

MATT DAMON JAKO JASON BOURNE

KRUCJATA BOURNE'A

SKRADZIONO MU TOŻSAMOŚĆ,
TERAZ CHCE JĄ ODZYSKAĆ

DVD
VIDEO

UNIVERSAL

„Robert Ludlum jest bez wątpienia największym mistrzem powieści sensacyjnych wszech czasów”. „New Yorker”

ROBERT LUDLUM

A hand holding a glowing circular object with a crosshair, and a blue fingerprint.

KRUCJATA
BOURNE'A

Robert Ludlum

Krucjata Bourne'a

Konwersja do formatu Epub:



ROZDZIAŁ 1

Koulun. Kipiący życiem, najdalej wysunięty skrawek Chin. Z rozciągającymi się na północy terenami łączy go jedynie niemożliwa do zerwania duchowa więź żyjących tam ludzi, ignorująca brutalne, praktyczne aspekty istnienia politycznych granic. Ziemia i woda stanowią tu jedność, o tym zaś, w jaki sposób będą wykorzystywane, decyduje zamieszkujący ludzkie wnętrza duch, nie przywiązujący żadnej wagi do takich abstrakcji, jak bezużyteczna wolność czy niedoskonałe więzienie. Istotne są jedynie puste żołądki kobiet i dzieci. Przeżyć, tylko to się liczy. Cała reszta to łajno, nadające się wyłącznie do rozsypania po nieurodzajnych polach.

Właśnie zachodziło słońce i zarówno w Koulunie, jak i po drugiej stronie Portu Wiktorii, na wyspie Hongkong, panujący za dnia chaos krył się stopniowo pod niewidzialnym, ciemnym kocem. Donośne wrzaski Aiya! ulicznych handlarzy milkły wraz ze stopniowym pogłębianiem się cieni, a negocjacje prowadzone na górnych piętrach znaczących krajobraz miasta ogromnych wieżowców ze stali i szkła kończyły się ledwie dostrzegalnymi skinięciami głów, poruszeniami ramion i przelotnymi uśmiechami. Zbliżała się noc, zapowiedziana przez pomarańczowe, oślepiające słońce, które od zachodu przebijało się przez wysoką, poszarpaną ścianę chmur. Strumienie niewyobrażalnej energii rozjaśniały mroczniejące niebo, jakby nie chcąc dopuścić, by ta część świata zapomniała o dziennym świetle.

Już wkrótce na niebie miała się rozpostrzeć nieprzenikniona ciemność, zupełnie jednak bezsilna wobec wymyślonych przez ludzi światła, rozpraszających mrok na tej części Ziemi, gdzie ląd i woda stanowiły pełne niepokoju drogi porozumienia i konfliktu. Wraz z nie mającym końca, hałaśliwym nocnym karnawałem rozpoczynały się także inne zabawy, które ludzie powinni byli porzucić już bardzo dawno temu, zaraz po stworzeniu świata. Wtedy jednak jeszcze nie istnieli, więc kto mógł o tym wiedzieć, a tym bardziej przywiązywać do tego jakąś wagę? Wówczas jeszcze śmierć nie była artykułem pierwszej potrzeby.

Niewielka, obdrapana motorówka o zadziwiająco mocnym silniku sunęła kanałem Lamma, kierując się w stronę portu. Dla postronnego obserwatora stanowiła ona jedną z wielu xiao wan ju, odziedziczonych w spadku przez najstarszego syna po ojcu rybaku, któremu dzięki wygranej w madzonga, a także przemytowi haszyszu ze Złotego Trójkąta i diamentów z Makau udało się osiągnąć względną zamożność. Kogo to obchodziło? Syn mógł łowić ryby albo unowocześnić interes, rezygnując z żaglowej dżonki lub powolnego sampana na rzecz spalinowego silnika o wielkiej mocy. Chińska straż graniczna i morskie patrole nie strzelały do takich intruzów; byli mało ważni, a poza tym, kto wiedział, jakie rodziny na Nowych Terytoriach i na kontynencie otrzymywały profity z ich działalności? Niewykluczone, iż były wśród nich także rodziny żołnierzy i strażników. Dzięki słodkim ziołom ze wzgórz mogło zostać napełnionych wiele żołądków, w tym także żołądków ich bliskich. Kogo to obchodziło? Niech płyną, dokąd chcą.

Mała jednostka z przednią częścią kokpitu starannie zasłoniętą płócienną plandeką zmniejszyła prędkość, manewrując ostrożnie wśród rozproszonej flotyli dżonek i sampanów powracających do zatoczonych nabrzeży Aberdeen. Ich załogi posyłały w kierunku intruza groźne okrzyki, oburzone beczelnym perkotem silnika i jeszcze bardziej beczelną, rozchodzącą się na dwie strony falą. Jednak na tych łodziach, które znalazły się w bezpośredniej bliskości nieproszonego gościa, wrzaski natychmiast milkły. Widok czegoś, co było usytuowane w przedniej, nakrytej plandeką części kadłuba, najwyraźniej działał kojąco nawet na najbardziej gwałtowne wybuchy gniewu.

Łódź wpłynęła do portowego kanału, którego czarne wody graniczyły z prawej strony z jarzącą się niezliczonymi światłami wyspą Hongkong, z lewej zaś z miastem Koulun. Trzy minuty później warkot doczepionego silnika przeszedł w najniższy rejestr, a Łódź wsunęła się między dwie obskurne, zacumowane przy magazynie barki i przybiła do pustego miejsca w zachodniej części Tsimshatsui, wiecznie zatłoczonego, ceniącego pieniądze nabrzeża Koulunu. Tłumy rozwrzeszczanych handlarzy, rozstawiających swoje nocne pułapki na turystów, nie zwróciły na nią najmniejszej uwagi: ot, jeszcze jedna. jiqi wracająca z połowu. Kogo to obchodziło?

Jednak już wkrótce, podobnie jak wcześniej na wodzie, przekupnie zajmujący stragany najbliższej niepozornej łodzi zaczęli stopniowo milknąć. Podniecone głosy cichły jeden za drugim, a wszystkie oczy kierowały się ku postaci wdrapującej się na nabrzeże po czarnej, przesiąkniętej smarami drabinie.

Był to święty człowiek. Szczupły, wysoki, a nawet bardzo wysoki, jak na Zhongguo rena, gdyż miał blisko metr osiemdziesiąt wzrostu - odziany był w długi, śnieżnobiały kaftan. Jego twarz pozostawała prawie niewidoczna, wiatr bowiem szarpał luźnym materiałem i przyciskał go do jego smagłego oblicza. Spod białej szaty widać było jedynie błysk zdecydowanych na wszystko fanatycznych oczu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż nie był to zwyczajny mnich, lecz heshang, wybrany przez mądrych starców, potrafiących dostrzec w młodym mnichu cechy predestynujące go do dokonywania nadzwyczajnych czynów. Fakt, że człowiek ów był wysoki i szczupły, i że miał płonące spojrzenie, w niczym tu nie przeszkadzał. Tego rodzaju święci mężowie zwracali na siebie uwagę, której towarzyszyły zazwyczaj hojne dary, składane często z czcią, a prawie zawsze ze strachem. Być może heshang należał do jednej z tajemniczych sekt wędrujących wśród wzgórz i lasów Guangze lub do jakiegoś religijnego bractwa mającego swą siedzibę w odległych górach Qingzang Gaoyuan. Członkowie tych bractw, będący podobno potomkami ludzi zamieszkujących dalekie Himalaje, budzili największy lęk, gdyż mało kto rozumiał ich zagmatwane nauki. Głosili je w sposób łagodny, lecz nie omieszkali dawać przy tym do zrozumienia, iż na tych, którzy ich nie będą słuchać, spadną potworne cierpienia. Tymczasem na lądzie i wodzie było już i tak dość cierpień. Komu było trzeba więcej? Lepiej więc złożyć dar demonom mieszkającym w tych płonących oczach. Może gdzieś, przez kogoś zostanie to jednak zauważone.

Odziana w białe szaty postać przeszła niespiesznie przez rozstępujący się przed nią tłum, minęła zatłoczone nabrzeże promowe i zniknęła w wypełniającym Tsimshatsui wirze ludzkich ciał. Trwający kilka chwil czar prysł jak mydlana bańka i zgiełk uderzył w niebo ze zdwojoną siłą.

Mnich szedł na wschód Salisbury Road, aż dotarł do hotelu Peninsula, którego dyskretna elegancja przegrywała walkę z niechlujnym otoczeniem, a następnie skręcił na północ w Nathan Road, docierając do początku roziskrzanej Golden Mile, która kipiała tłumem wrzeszczących co sił w płucach ludzi. Mijając sklepy, alejki, niezliczone dyskoteki i bary z kelnerkami w strojach topless, gdzie ogromne, wykonane odręcznie napisy zachwalały orientalne wdzięki i specjały wschodniej kuchni, ścierał na siebie spojrzenia zarówno turystów, jak i tubylców. Wędrówka przez krzykliwy karnawał zajęła mu prawie dziesięć minut; od czasu do czasu odpowiadał na spojrzenia lekkim skinieniem głowy, a dwukrotnie potrząsnął nią, wydając jakieś polecenia niskiemu, umięśnionemu Zhongguo renowi, który albo szedł za nim, albo wyprzedzał go szybkim, lekkim krokiem, spoglądając w błyszczące oczy w oczekiwaniu na znak.

Wreszcie go dostrzegł - dwa raptowne skinienia głową - a zaraz potem mnich wszedł do gwarnej wnętrza jednego z kabaretów.. Zhongguo ren pozostał na zewnątrz, trzymając od niechcenia rękę pod luźnym kaftanem i przeczesując wzrokiem rozwrzeszczaną ulicę, której

przyczyny i celu istnienia nie był w stanie pojąć. Co za szaleństwo! Odrażające, wstrętne szaleństwo! Ale on był tudi: będzie chronił świętego męża nawet z narażeniem życia, nie zważając na własne myśli i uczucia.

We wnętrzu kabaretu kolorowe światła przedzierały się jaskrawymi smugami przez gęstą zasłonę papierosowego dymu, to wirując wściekle, to znowu koncentrując się na estradzie, gdzie kiluosobowy zespół wykonywał ogłuszającą, szaleńczą mieszankę punk-rocka i tradycyjnej, dalekowschodniej muzyki. Czarne, lśniące, z założenia obciste, choć w praktyce źle dopasowane spodnie podrygiwały idiotycznie na kabłąkowatych nogach, czarne skórzane kurtki kryły pod spodem jedwabne, białe, rozpięte do pasa koszule, głowy były ogolone na wysokości skroni, a groteskowo wykrzywione twarze pokryte grubym makijażem, mającym za zadanie ożywić ich z natury spokojne, orientalne rysy. Jakby w celu podkreślenia konfliktu między Wschodem a Zachodem, jazgotliwa muzyka milkła co jakiś czas w najmniej spodziewanym momencie, a samotny instrument podchwytował prostą, chińską melodię, podczas gdy ubrane w czarno-białe stroje postaci stały bez ruchu, wyprężone pod migotliwym ostrzałem reflektorów.

Mnich zatrzymał się na kilka chwil, by ogarnąć wzrokiem duże, zatłoczone pomieszczenie. Wielu spośród znajdujących się w różnych stadiach nietrzeźwości klientów spojrzało na niego ze swoich miejsc. Niektórzy sięgnęli do kieszeni po drobne monety i wyciągnęli je w jego kierunku, inni natychmiast wstali i wyszli z lokalu, pozostawiając przy nie dopitych drinkach odliczone pospiesznie banknoty. Pojawienie się heshanga bez wątpienia wywarło efekt, lecz z pewnością nie taki, jakiego by sobie życzył otyły, ubrany w smoking mężczyzna.

- Czym mogę służyć, świętobliwy mężu? - zapytał właściciel kabaretu, przekrzykując harmider.

Mnich nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Oczy mężczyzny rozszerzyły się. Po chwili skłonił się nisko i wskazał w kierunku małego, usytuowanego przy ścianie stolika. Mnich skinął głową z podziękowaniem i ruszył za nim w tamtą stronę, ściągając na siebie zmieszane spojrzenia gości zajmujących pobliskie stoliki.

- Czy pragniesz się czegoś napić, świętobliwy mężu? - zapytał właściciel z szacunkiem, którego wcale nie czuł.

- Koziego mleka, jeśli jest to możliwe. A jeśli nie, to w zupełności zadowolę się czystą wodą. Dziękuję ci.

- To dla nas zaszczyt - odparł z niskim ukłonem odziany w smoking mężczyzna, starając się bezskutecznie rozpoznać dialekt, jakim posługiwał się niezwykle gość. Nieważne. Istotne było tylko to, że ów wysoki, ubrany na biało kapłan miał jakąś sprawę do laobana. Wymienił nawet jego imię, które rzadko wymawiało się głośno przy Golden Mile, a tak się akurat składało, że potężny taipan akurat dzisiaj załatwiał tu jakieś swoje interesy w pokoju na zapleczu, o którego istnieniu właściciel oficjalnie nic nie wiedział. Mnich dał mu jednak jasno do zrozumienia, że ma nie zawiadamiać laobana o jego przybyciu. Według jego słów najważniejsza była dyskrecja. Kiedy szlachetny taipan zechce się z nim zobaczyć, bez wątpienia przyśle kogoś po niego. Niech i tak będzie, skoro taka była wola tajemniczego laobana, jednego z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych taipanów Hongkongu.

- Poślij chłopaka na drugą stronę ulicy po trochę tego cholernego koziego mleka -' - polecił właściciel kelnerowi. - Tylko powiedz mu, żeby się pospieszył, jeśli chce mieć w przyszłości jakieś potomstwo.

Święty człowiek siedział spokojnie przy stoliku, przypatrując się nieco łagodniejszym

spojrzeniem szaleńczej zabawie, najwyraźniej nie potępiając jej ani nie akceptując, tylko chłonąc z cierpliwością ojca obserwującego nieznośne, ale drogie mu dzieci.

Nagle wśród wirujących świateł coś błysnęło. Przy stojącym w pewnej odległości stoliku ktoś zapalił dużą, sztormową zapałkę, po czym zgasił ją i zaraz zapalił następną, ale i tę również szybko zgasił, aż wreszcie zapalił trzecią, którą przytrzymał przy długim, czarnym papierosie. Błyski otwartego ognia przyciągnęły uwagę mnicha, który obrócił powoli głowę w kierunku płomienia i nędznie ubranego, nie ogolonego Chińczyka zapalającego papierosa. W chwili gdy spotkały się ich oczy, kapłan ledwie dostrzegalnie skinął głową, otrzymując taką samą odpowiedź. Zaraz potem zapałka zgasła.

Kilka sekund później stonk zajmowany przez ubogo odzianego mężczyznę z papierosem stanął nagle w płomieniach. Płomienie błyskawicznie ogarnęły wszystkie znajdujące się na stoliku papierowe przedmioty: serwetki, kartę potraw i plecione koszyczki. Chińczyk wrzasnął przeraźliwie i z donośnym hukiem przewrócił stół, w kierunku którego natychmiast rzucili się krzyczący wniebogłosy kelnerzy. Siedzący dookoła goście zerwali się w panice z miejsc, gdy pełznące po podłodze języki błękitnego ognia dosięgły ich stóp. Zamieszanie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy ludzie zaczęli na własną rękę, głównie za pomocą obrusów, tłumić niewielkie ogniska pożaru. Właściciel machał rozpaczliwie rękami wrzeszcząc co sił w płucach, że żadnego niebezpieczeństwa już nie ma i że wszystko jest pod kontrolą, zespół zaś grał z jeszcze większą werwą, by ściągnąć na siebie uwagę tłumu i odwrócić ją od obszaru ogarniętego słabnącym powoli zamieszaniami.

Jednak chwilę potem zamieszanie wybuchło ze zdwojoną intensywnością. Dwaj kelnerzy zderzyli się z nędznie ubranym Zhongguo renem, którego nieuwaga i zbyt duże zapałki stały się przyczyną nieszczęścia, a on zareagował błyskawicznymi ciosami Wing Chun; wyprostowane dłonie uderzyły w łopatki i gardła, a stopy w żołądki, odrzucając dwóch shi-ji w krąg klientów otaczających miejsce zdarzenia. Ów pokaz fizycznej przemocy wzmógł panikę i chaos. Otyły właściciel rycząc wściekle rzucił się na siewcę zamętu, lecz natychmiast zatoczył się do tyłu, obezwładniony celnym ciosem w żebra. Niechlujny Zhongguo ren złapał następnie krzesło i cisnął nim w krzyczących przeraźliwie ludzi, którzy usiłowali podtrzymać ślaniającego się grubasa; w wir walki rzucili się trzej kolejni kelnerzy, idąc w sukurs swojemu chlebobdawcy. Mężczyźni i kobiety, jeszcze kilka sekund temu poprzestający na głośnym krzyku, teraz puścili w ruch ramiona, zasypując gradem uderzeń każdego, kto znalazł się w pobliżu, by w ten sposób wywalczyć sobie trochę miejsca. Sprawca zamieszania zerknął szybko w kierunku stolika przy ścianie: mnich zniknął.

Zhongguo ren chwycił kolejne krzesło i roztrzaskawszy je o podłogę cisnął w tłum odłamane nogi. Potrzebował jeszcze tylko kilku chwil, ale od tych chwil zależało wszystko.

Mnich uchylił drzwi w ścianie znajdujące się w głębi pomieszczenia obok wejścia do kabaretu, prześlizgnął się przez nie i natychmiast zamknął je za sobą, dostosowując wzrok do półmroku panującego w długim, wąskim korytarzu. Prawą rękę trzymał sztywno pod połą kaftana, lewa zaś, przyłożona do piersi, także kryła się pod białym materiałem. Jakieś siedem metrów dalej w głębi korytarza stał oparty o ścianę mężczyzna, który drgnął na widok mnicha, przyjmując czujną postawę i wyciągając z tkwiącej pod ramieniem kabury ciężki, wielkokalibrowy pistolet. Świątobliwy mąż skinął łagodnie głową i ruszył w jego kierunku spokojnym, pełnym gracji krokiem.

- Emitufo, Emitufo - powiedział cicho. - Wszystko jest pogrążone w spokoju, albowiem tak sobie życzą duchy.

- Jou matyeh? - Mężczyzna pilnował drzwi. Wysunął przed siebie broń i zadawał pytania w gardłowym kantońskim dialekcie z północnych prowincji. - Pomyliłeś drogę, mnichu? Co tutaj

robisz? Odejdź stąd! Nie powinieneś tutaj być!

- Emitufo, Emitufo...

- Musisz stąd wyjść! Natychmiast!

Strażnik nie miał najmniejszych szans. Mnich błyskawicznym ruchem wyszarpnął spod kaftana długi, ostry jak brzytwa sztylet i uderzył w ściskającą pistolet rękę, o mało jej nie odcinając, po czym rozchlastał strażnikowi gardło idealnie prostym, niemal chirurgicznym cięciem. Głowa mężczyzny poleciała bezwładnie do tyłu, a z okropnej rany trysnęła fontanna krwi. Strażnik osunął się bezwładnie na podłogę.

Przebrany za mnicha zabójca pewnym ruchem wsunął sztylet za poję kaftana, po czym spod przewieszonych przez ramię śnieżnobiałych fałd wyciągnął lekki pistolet maszynowy uzi; zakrzywiony magazynek mieścił więcej pocisków, niż było mu potrzebne. Uniósłszy stopę uderzył w drzwi z siłą górskiego kota i wpadł do wnętrza, gdzie ujrzał to, co spodziewał się zobaczyć.

Pięciu mężczyzn - wszyscy Zhongguo ren - siedziało dokoła stołu zastawionego dzbankami z herbatą i szklaneczkami napełnionymi mocną whisky. Nigdzie nie było żadnej kartki papieru, notesu ani przyborów do pisania, tylko uważne oczy i uszy. Teraz w oczach pojawiło się zaskoczenie, twarze zaś wykrzywił grymas potwornego przerażenia. Dwaj spośród doskonale ubranych rozmówców zerwali się z krzesel, sięgając pod poły swych nienagannie skrojonych marynarek, jeden dał nura pod stół, natomiast dwaj pozostali odskoczyli, przyciskając się plecami do wyłożonych jedwabiem ścian. Błagali spojrzeniami o litość, choć doskonale wiedzieli, że ich prośba nie zostanie spełniona. Z lufy pistoletu maszynowego posypał się grad pocisków szarpiących ciała, roztrzaskujących czaszki, rozrywających szeroko otwarte w niemym krzyku usta. Ściany, podłoga i stół pokryły się szkarłatnymi plamami śmierci. Wkrótce potem było już po wszystkim.

Morderca przypatrywał się przez chwilę swemu dziełu, po czym, usatysfakcjonowany, przyklęknął obok dużej kałuży krwi i przez kilka sekund wodził po niej palcem. Następnie wyciągnął z lewego rękawa kaftana skrawek czarnego materiału i przykrył nim wykonany napis, po czym podniósł się, wyszedł pośpiesznie z pokoju i pobiegł słabo oświetlonym korytarzem, rozpinając po drodze biały kaftan. Kiedy znalazł się przy drzwiach prowadzących do wnętrza lokalu, wsunął sztylet do wiszącej u pasa pochwy, naciągnął na głowę kaptur i ściskając oburącz poły swej białej szaty wkroczył do pomieszczenia, w którym nadal panował potworny chaos. Ale nie było w tym nic dziwnego: opuścił je zaledwie trzydzieści sekund temu, a jego człowiek był bardzo dobrze wyszkolony.

- Faai di! - krzyknął nędznie ubrany, nie ogolony wieśniak z Kantonu. Pojawił się w odległości trzech metrów od mnicha, przewrócił kolejny stolik i rzucił na podłogę płonąca zapałkę. - Zaraz przyjedzie policja! Widziałem, jak barman rozmawiał przez telefon!

Zabójca błyskawicznie zdarł z siebie kaftan wraz z kapturem.

W blasku wirujących dziko świateł jego twarz wyglądała równie makabrycznie, jak twarze członków rockowego zespołu: pokrywał ją gruby makijaż, nadający oczom skośny kształt, a skórze nienaturalny brązowy odcień.

- Idź przodem! - rozkazał wieśniakowi, rzucając na podłogę przy drzwiach swój strój i pistolet maszynowy. Szybkim ruchem ściągnął z dłoni gumowe, chirurgiczne rękawiczki, które wcisnął do kieszeni spodni.

Dla obsługi lokalu przy Golden Mile decyzja o wezwaniu policji nie należała do

najłatwiejszych, albowiem w takim wypadku zawsze groziły surowe kary za zaniedbanie obowiązków oraz narażenie na niebezpieczeństwo życia i zdrowia turystów. Policja zdawała sobie sprawę z podejmowanego przez personel ryzyka, więc jeśli otrzymywała już wezwanie, przybywała w mgnieniu oka. Morderca pobiegł za Chińczykiem do wyjścia, gdzie kłębił się w panice przeraźliwie wrzeszczący tłum. Posługujący się kantońskim dialektem człowiek był prawdziwym siłaczem; po jego ciosach ciała momentalnie osuwały się na podłogę, dzięki czemu po chwili obaj mężczyźni wypadli na ulicę. Tam także zebrał się tłum, zadający pytania, rzucający przekleństwa i wyrażający głośno współczucie. Kiedy przedarli się przez podekscytowaną gawieź, dołączył do nich czekający na zewnątrz niski, muskularny Chińczyk. Chwyciwszy za ramię byłego mnicha wciągnął go w najwęższą z bocznych alejek, gdzie wydobył spod ubrania dwa ręczniki; jeden był miękki i suchy, drugi zaś, schowany w plastikowym woreczku, ciepły i wilgotny.

Morderca zaczął energicznie wycierać twarz mokrym ręcznikiem, szczególną uwagę poświęcając skórze dokoła oczu i policzkom. Następnie zajął się skroniami i czołem, ścierając z białej skóry brązowy makijaż, a potem wytarł się do sucha drugim ręcznikiem, przygładził ciemne włosy i poprawił niebieski krawat, uzupełniający jego strój, który składał się z kremowej koszuli, granatowej kurtki i miękkich spodni.

- Jau! - rozkazał swoim dwóm współnikom. Natychmiast odwrócili się i zniknęli w tłumie.

Samotny, starannie ubrany biały mężczyzna ruszył wolnym krokiem na przechadzkę po wypełnionej orientalnymi atrakcjami ulicy.

We wnętrzu kabaretu podekscytowany właściciel wymyślał barmanowi, który wezwał jingcha, jego durna głowa w tym, żeby zapłacić wszystkie kary! Ku zdumieniu oszołomionych gości zamieszanie błyskawicznie wygasło i teraz kelnerzy uspokajali klientów, poklepując ich po ramionach, uprzątając szczątki porozbijanych mebli oraz podsuwając nowe krzesła i szklaneczki darmowej whisky. Zespół muzyczny skoncentrował się na najświeższych przebojach; spokój wrócił do sali równie szybko, jak niedawno z niej zniknął. Właściciel miał nadzieję, iż policja przyjmie jego wyjaśnienie, że niedoświadczony barman wziął nieco głośniejsze zachowanie jednego z podchmielonych gości za początek poważnego zamieszania.

Nagle z głowy otyłego, ubranego w smoking mężczyzny zniknęły wszystkie myśli dotyczące kar i kłopotów z władzami, jego spojrzenie bowiem padło na niepozorną stertę białego materiału leżącą przy drzwiach prowadzących do usytuowanych na zapleczu, prywatnych gabinetów. Biały materiał... Mnich? Drzwi! Laoban! Spotkanie! Łapiąc z trudem powietrze, z twarzą pokrytą potem, pulchny właściciel popędził przez salę w kierunku drzwi. Kiedy znalazł się przy porzuconym ubraniu, uklęknął i na chwilę w ogóle przestał oddychać, ujrzał bowiem wyłaniającą się spomiędzy białych fałd kolbę pistoletu maszynowego. Jego przerażenie osiągnęło apogeum, kiedy dostrzegł na materiale wyraźne krople świeżej krwi.

- Go hai matyeh? - Pytanie zostało zadane przez mężczyznę również odzianego w smoking, ale nie przepasanego świadcząca o jego randze szarfą. Był to brat właściciela, pełniący jednocześnie funkcję jego pierwszego zastępcy. - Na Jezusa białych ludzi! - wykrzyknął zduszonym głosem, gdy zobaczył broń leżącą na zbryzganym krwią ubraniu.

- Chodź! - polecił właściciel, zrywając się na nogi i kierując w stronę drzwi.

- A policja? - przypomniał mu brat. - Ktoś musi zostać, żeby z nimi rozmawiać, uspokoić ich. Musimy zrobić, co się tylko da!

- Możliwe, że jedyne, co będziemy mogli zrobić, to podać im na tacy nasze głowy! Szybko!

Pierwszy dowód potwierdzający jego obawy znaleźli natychmiast, gdy tylko weszli do słabo oświetlonego korytarza. Zaszlachtowany strażnik leżał w kałuży krwi, ściskając broń w niemal odciętej od ciała dłoni. Widok wnętrza gabinetu stanowił dowód ostateczny: pięć zakrwawionych, leżących w dramatycznych pozach ciał. Jedno z nich, o częściowo roztrzaskanej kulą czaszce, szczególnie przyciągnęło uwagę zaszokowanego właściciela lokalu, który nachylił się i otarł chusteczką zakrwawioną twarz.

- Już po nas... - wyszeptał. - Jesteśmy martwi. Koulun, Hongkong, wszyscy.

- Co ty wygadujesz?

- Ten człowiek to wicepremier Chin, następca samego Przewodniczącego!

- Tutaj! Spójrz! - Jego brat rzucił się w kierunku nieruchomego ciała laobana. Na podłodze obok zwłok leżała duża, czarna chustka, starannie rozprostowana i przesiąknięta w wielu miejscach krwią. Zastępca właściciela podniósł ją i rozdziawił szeroko usta na widok ukrytego pod spodem, wykonanego w szkarłatnej kałuży napisu:

JASON BOURNE.

Właściciel odskoczył jak dźgnięty nożem.

- Na Boga białych ludzi! - wykrzyknął, drżąc na całym ciele. - On wrócił! Zabójca jest znowu w Azji! Jason Bourne wrócił!

ROZDZIAŁ 2

Słońce skryło się właśnie za górami Sangre de Cristo w środkowym Colorado, kiedy z rozświetlającej horyzont oślepiającej poświaty wypadł z rykiem silników śmigłowiec Kobra i pognął w dół, ku linii cienia pokrywającej się z granicą lasu. Betonowe lądowisko znajdowało się w odległości kilkudziesięciu metrów od dużego, kwadratowego budynku z grubych bali, o małych oknach osadzonych w drewnianych ramach. Oprócz baraku z generatorami i zamaskowanych anten nie widać było żadnych innych konstrukcji. Rosnące gęsto drzewa tworzyły wysoką ścianę, chroniącą teren przed niepowołanymi spojrzzeniami.

Piloci tej dysponującej ogromną zdolnością manewrową maszyny rekrutowali się spośród kadry oficerskiej bazy Cheyenne w Colorado Springs. Wszyscy zostali zatwierdzeni przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego w Waszyngtonie, a najniższy rangą miał stopień pułkownika. Nigdy z nikim nie rozmawiali o swoich lotach do ukrytego w górach budynku, a jego położenie nie było zaznaczone na żadnych mapach. Piloci otrzymywali kurs drogą radiową, kiedy helikoptery wisiały już w powietrzu. Ani swoi, ani tym bardziej obcy nie byli w stanie przechwycić docierających do tego miejsca lub opuszczających je informacji. Utajnienie było całkowite, bo po prostu nie mogło być inne. Odosobniona budowla powstała z myślą o tych, którzy tworzyli strategiczne plany i których zadania były często tak delikatnej natury i dotyczyły tak istotnych dla całego świata kwestii, że ludziom tym nie wolno było nigdzie razem się pokazywać. Zakaz dotyczył także sąsiadujących gabinetów, o których wiedziano, że są ze sobą połączone. Ciekawskie oczy, należące zarówno do przyjaciół, jak i wrogów, były przecież wszędzie. Gdyby któreś z nich zobaczyło tych ludzi razem, zostałyby to natychmiast odpowiednio zinterpretowane, a uwaga podwojona. Nieprzyjaciel był czujny, sprzymierzeńcy zaś strzegli zazdrośnie swych tajemnic.

Drzwiczki Kobry otworzyły się i stalowe schodki sięgnęły betonowej, oświetlonej blaskiem reflektorów nawierzchni lądowiska. Ze śmigłowca wyszedł jakiś mocno oszołomiony mężczyzna, któremu towarzyszył człowiek w mundurze generała majora. Cywil był szczupły, w średnim wieku, ubrany w prążkowany garnitur, białą koszulę i wzorzysty krawat. Mimo ostrych podmuchów wiatru wzniesianego przez wirujące jeszcze śmigło jego starannie uczesane włosy nie drgnęły nawet o milimetr. Przepuściwszy generała poszedł za nim betonową ścieżką prowadzącą do drzwi w ścianie budynku; drzwi otworzyły się, kiedy tylko dwaj mężczyźni do nich dotarli, lecz do środka wszedł jedynie cywil. Generał skinął głową w sposób, w jaki starzy żołnierze pozdrawiają wysoko postawionych cywilów lub równych sobie stopniem oficerów.

- Miło było pana poznać, panie McAllister - powiedział. - Z powrotem odwiezie pana ktoś inny.
- Pan nie wchodzi? - zdziwił się cywil.
- Nigdy tam nie byłem - odparł z uśmiechem generał. - Moim zadaniem było tylko sprawdzić, czy pan to na pewno pan, a potem odstawić pana z punktu B do punktu C.
- Wygląda mi to na marnowanie pańskiej rangi, generale.
- Chyba tak nie jest - uciął oficer. - Czekają na mnie inne obowiązki. Do widzenia.

McAllister znalazł się w długim korytarzu; jego eskortę stanowił teraz dobrze ubrany, krzepki mężczyzna o sympatycznej twarzy, który stanowił idealny wzór ochroniarza: sprawny fizycznie, szybki i potrafiący znakomicie wtopić się w tłum.

- Czy miał pan przyjemną podróż, sir? - zapytał.

- W tej cholernej maszynie? Strażnik roześmiał się.

- Proszę tędy, sir.

Ruszyli korytarzem, mijając liczne, usytuowane po obu stronach drzwi, aż wreszcie dotarli do jego końca, gdzie znajdowały się drzwi dwukrotnie większe od pozostałych i zaopatrzone w tkwiące w górnych rogach czerwone światła. Były to podłączone do niezależnych obwodów kamery. Edward McAllister nie widział podobnych urządzeń od dwóch lat, odkąd opuścił Hongkong, a i wtedy zapoznał się z nimi bliżej wyłącznie dlatego, że został na krótko przydzielony w charakterze konsultanta do Wydziału Specjalnego brytyjskiego wywiadu, znanego pod nazwą MI 6. Odniósł wówczas wrażenie, że Anglicy mają kompletnego świra na punkcie bezpieczeństwa i ochrony. Nigdy nie udało mu się zrozumieć tych ludzi, szczególnie po tym, jak przyznali mu pochwałę za minimalną pomoc w rozwiązaniu spraw, z którymi sami doskonale daliby sobie radę. Strażnik zapukał do dwuskrzydłowych drzwi; rozległo się stuknięcie odskakującego zatrzasku i prawa połowa stanęła otworem.

- Pański kolejny gość, sir - zaanonsował mocno zbudowany mężczyzna.

- Bardzo dziękuję - odpowiedział głos, który McAllister natychmiast rozpoznał, w ciągu ostatnich lat słyszał go bowiem wielokrotnie w radiu i telewizji; charakterystyczny akcent był efektem nauki w najlepszych szkołach i uniwersytetach, a następnie długotrwałego pobytu w Wielkiej Brytanii. McAllister nie miał jednak czasu, żeby się zdziwić lub zastanowić, gdyż siwowłosa, nienagannie ubrany mężczyzna o pociągłej, poranej głębokimi bruzdami twarzy, która bezlitośnie zdradzała jego siedemdziesiąt kilka lat, wstał zza dużego biurka i podszedł do niego energicznie z wyciągniętą ręką.

- Cieszę się, że mógł pan przybyć, panie podsekretarzu. Pozwoli pan, że się przedstawię: Raymond Havilland.

- Wiem doskonale, kim pan jest, panie ambasadorze. To dla mnie zaszczyt, sir.

- Ambasador bez przydziału, McAllister, a to oznacza, że zaszczyt zdecydowanie się zmniejszył, natomiast pozostała jeszcze praca.

- Nie wyobrażam sobie, żeby którykolwiek z prezydentów, jakich mieliśmy przez ostatnie dwadzieścia lat, zdołał przetrwać bez pańskiej pomocy.

- Niektórym się to jakoś udało, panie podsekretarzu, ale jako wysoki urzędnik w Departamencie Stanu wie pan o tym z pewnością lepiej ode mnie. - Stary dyplomata odwrócił głowę. - Chciałbym, żeby pan poznał Johna Reilly'ego. Jest on jednym z tych naszych przyjaciół, którzy dysponują nieocenioną wiedzą i o których nie wolno nam pisać ani słowa podczas przesłuchań w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Nie wygląda wcale przerażająco, nieprawdaż?

-- Istotnie - odparł McAllister, wymieniając uścisk dłoni z Reillym, który podniósł się z jednego z dwóch skórzanych foteli stojących przed biurkiem. - Miło mi pana poznać, panie Reilly.

- Mnie również, panie podsekretarzu - powiedział otyły mężczyzna o rudych włosach i pokrytym piegami czole. Spojrzenie oczu ukrytych za okularami w metalowych oprawkach było zimne i ostre.

- Pan Reilly jest tutaj po to - ciągnął Havilland, wskazując zza biurka stojący po prawej stronie McAllistera fotel - żebym ściśle trzymał się tematu. Oznacza to chyba, że o niektórych sprawach

wolno mi mówić, a o niektórych nie, oraz że są takie sprawy, o których może pan usłyszeć wyłącznie od niego. - Ambasador usiadł na swoim poprzednim miejscu. - Przykro mi, jeśli brzmi to dla pana niejasno, panie podsekretarzu, ale nic więcej nie mogę w tej chwili powiedzieć.

- Wszystko, co przydarzyło mi się w ciągu ostatnich pięciu godzin, odkąd zostałem wezwany do bazy Andrews, jest dla mnie niejasne, panie ambasadorze. Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego się tutaj znalazłem.

- W takim razie postaram się to panu w ogólnym zarysie wyjaśnić - odparł Havilland. Zerknął przelotnie na Reilly'ego i oparł się łokciami na biurku. - Otóż nie jest wykluczone, iż może pan oddać nieocenione usługi swojemu krajowi, a także społeczności międzynarodowej, przewyższające swoim znaczeniem wszystko, czego dokonał pan do tej pory podczas swojej długiej i godnej najwyższego uznania kariery.

McAllister przyglądał się surowej twarzy ambasadora, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

- Moja dotychczasowa kariera w Departamencie Stanu była dla mnie bardzo satysfakcjonująca i, mam nadzieję, nienaganna, ale nie jestem pewien, czy można ją określić jako godną najwyższego uznania. Po prostu nie nadarzyły mi się sprzyjające okoliczności, jeśli mam być szczery.

- Jedna nadarza się panu właśnie teraz - przerwał mu Havilland. - Tylko pan posiada jedyne w swoim rodzaju kwalifikacje, żeby ją wykorzystać.

- Jak mam to rozumieć?

- Daleki Wschód - powiedział dyplomata takim tonem, jakby miało to być jednocześnie pytanie. - Dwadzieścia lat temu, zanim podjął pan pracę w Departamencie Stanu, uzyskał pan w Harvardzie doktorat w zakresie badań nad Dalekim Wschodem. Podczas długich lat służby w Azji oddał pan swemu rządowi ogromne przysługi, a od chwili powrotu z ostatniej placówki wspomaga pan skutecznie swymi radami i opiniami tworzenie naszej polityki w tym niespokojnym rejonie świata. Jest pan uważany za znakomitego analityka.

- Miło mi to słyszeć, ale proszę nie zapominać, że dokładnie to samo robiło i robi także wielu innych, osiągając takie same, a czasem nawet lepsze rezultaty.

- Zależnie od koniunktury i miejsca, panie podsekretarzu. Bądźmy szczerzy: pan był najlepszy. Poza tym, nikt nie może się z panem równać, jeśli chodzi o znajomość wewnętrznych problemów Chińskiej Republiki Ludowej. O ile się nie mylę, odegrał pan kluczową rolę w negocjacjach handlowych między Pekinem a Waszyngtonem. Oprócz tego, żaden z tych „innych”, o których pan wspominał, nie spędził siedmiu lat w Hongkongu. - Raymond Havilland umilkł, by po chwili dodać: - Wreszcie, nikt poza panem nie został zaakceptowany jako współpracownik na tym terenie przez Wydział Specjalny brytyjskiego MI 6.

- Rozumiem - odparł McAllister, zdając sobie doskonale sprawę, iż ta ostatnia uwaga, dla niego właściwie bez znaczenia, była dla ambasadora najważniejsza. - Mój wkład w działalność wywiadowczą był minimalny, panie ambasadorze. Przypuszczam, że do zaakceptowania mnie przez Brytyjczyków przyczynił się raczej ich brak zorientowania w sytuacji niż jakieś moje specjalne talenty. Przyjęli niewłaściwe założenia i nie zgadzał im się ostateczny wynik działań. Nie trzeba było wiele czasu, żeby ustalić „prawidłową postać równania”, jak sami to określili.

- Zaufali panu, McAllister. I nadal panu ufają.

- Mam wrażenie, że zaufanie nie ma nic wspólnego z okolicznością, o której teraz rozmawiamy?

- Ma, i to bardzo dużo. Stanowi jej nieodłączną część.

- W takim razie, czy mogę się dowiedzieć, na czym ona polega?

- Tak. - Havilland spojrział na milczącego do tej pory uczestnika spotkania, członka Rady Bezpieczeństwa Narodowego. - Jeśli pan łaskaw...

- Rzeczywiście, teraz moja kolej - odezwał się Reilly uprzejmym głosem. Poprawił się w fotelu, po czym skierował na McAllistera uważne spojrzenie, pozbawione jednak obecnego tam jeszcze niedawno chłodu, jakby starał się w ten sposób prosić o zrozumienie. - Od tej pory nasza rozmowa jest rejestrowana na taśmie magnetofonowej. Ma pan prawo o tym wiedzieć, lecz jest to prawo działające w obie strony. Musi pan przysiąc, że zachowa pan w całkowitej tajemnicy informacje, które pan tutaj usłyszy, co jest spowodowane nie tylko koniecznością zachowania bezpieczeństwa państwa, lecz także ważnymi okolicznościami związanymi z zapewnieniem nienaruszalności równowagi międzynarodowej. Wiem, że to brzmi tak, jakbym chciał celowo zaostrzyć pański apetyt, lecz mogę pana zapewnić, że nie mam takich intencji. Czy zgadza się pan na ten warunek? W razie złamania przysięgi może pan być sądzony podczas zamkniętego przewodu sądowego przez trybunał wyłoniony przez Radę i odpowiedzialny jedynie przed nią.

- Jak mogę się zgodzić, skoro nie mam najmniejszego pojęcia, czego mogą dotyczyć te informacje?

- Ponieważ przedstawię panu najpierw sprawę w ogólnym zarysie, a to panu wystarczy, by powiedzieć tak lub nie. Jeżeli odpowiedź będzie brzmiała nie, zostanie pan odwieziony do Waszyngtonu i nikt nic na tym nie straci.

- Niech pan mówi.

- W porządku - odparł spokojnie Reilly. - Będziemy rozmawiać o pewnych wydarzeniach, które miały miejsce w przeszłości. Nie są to wydarzenia historyczne, ale też nie całkiem współczesne. Utrzymywane są w tajemnicy, czy też po prostu zostały zakopane, bo tak to się chyba nazywa, prawda? Wie pan, co mam na myśli, panie podsekretarzu?

- Pracuję w Departamencie Stanu. Zakopujemy przeszłość zawsze, gdy jej ujawnienie nie jest celowe. Okoliczności wciąż się zmieniają i decyzje podejmowane wczoraj w dobrej wierze już jutro mogą stać się przyczyną poważnych problemów. Nie jesteśmy w stanie tego zmienić, podobnie jak Rosjanie czy Chińczycy.

- Dobrze powiedziane! - zauważył Havilland.

- Niezupełnie - zaprotestował Reilly, unosząc dłoń. - Pan podsekretarz jest bez wątpienia bardzo doświadczonym dyplomatą, nie powiedział bowiem ani tak, ani nie. - Spojrzenie, którym człowiek z Rady Bezpieczeństwa Narodowego obrzucił teraz McAllistera, znowu było nie tylko uważne, ale także-ostre i zimne. - A więc jak to będzie? Decyduje się pan na to, czy woli pan zrezygnować?

- Część mnie chciałaby jak najprędzej wstać i stąd wyjść - odparł McAllister, spoglądając to na jednego, to na drugiego z mężczyzn. - Druga część krzyczy, żeby zostać.

Umilkł, zatrzymawszy wzrok na twarzy Reilly'ego, a po chwili dodał: - Niezależnie od pańskich intencji udało się panu zaostrzyć mój apetyt.

- Ostrzegam, że jego zaspokojenie może pana wiele kosztować - powiedział Irlandczyk.

- Jestem zawodowcem - odparł cicho podsekretarz w Departamencie Stanu. - Jeśli nie

popęlniliście błąd i rzeczywiście potrzebujecie właśnie mnie, to nie mam wyboru.

- Obawiam się, że jednak muszę usłyszeć przewidzianą na takie okoliczności formułkę - powiedział Reilly. - Mam ją panu powtórzyć?

- Nie trzeba. - McAllister zamilkł na chwilę, po czym zmarszczył brwi i wyrecytował donośnym, wyraźnym głosem: - Ja, Edward Newington McAllister, przyjmuję do wiadomości, że wszystko, co zostanie powiedziane podczas tego spotkania... - Przerwał i spojrzał na Reilly'ego. - Mam nadzieję, że uzupełni pan wszystkie szczegóły dotyczące czasu, miejsca i obecnych osób?

- Data, czas i tożsamość wszystkich uczestników zostały już zarejestrowane i wprowadzone do zapisu.

- Znakomicie. Zanim stąd wyjdę, chciałbym otrzymać kopię tego dokumentu.

- Oczywiście. - Nie podnosząc głosu Reilly popatrzył prosto przed siebie i wydał polecenie: - Proszę przygotować kopię zapisu, a także zapewnić możliwość skontrolowania, czy zawiera ona ten sam materiał co oryginał... Proszę kontynuować, panie McAllister.

- Dziękuję... Wszystko, co zostanie powiedziane podczas tego spotkania, musi zostać zachowane w ścisłej tajemnicy. Nie będę na ten temat rozmawiał z nikim, z wyjątkiem osób wskazanych mi osobiście przez ambasadora Havillanda. Przyjmuję także do wiadomości, że w razie naruszenia przeze mnie tej przysięgi będę odpowiadał przed sądem specjalnym. Jednak gdyby kiedykolwiek miało do tego dojść, zastrzegam sobie prawo do tego, by stanąć twarzą w twarz z moimi sędziami. Zastrzeżenie to czynię dlatego, że nie potrafię sobie wyobrazić sytuacji, w której mógłbym lub chciałbym postąpić wbrew tej przysiędze.

- Zapewniam pana, iż takie sytuacje się zdarzają - powiedział cicho Reilly.

- W takim razie, ja nic o nich nie wiem.

- Wielkie cierpienie fizyczne, środki chemiczne, podstępne działania kobiet i mężczyzn dysponujących jeszcze większym doświadczeniem niż pan. Jest wiele sposobów, panie podsekretarzu.

- Powtarzam jeszcze raz: Gdybym kiedykolwiek znalazł się przed takim trybunałem, zastrzegam sobie prawo do tego, by stanąć twarzą w twarz z moimi sędziami.

- To nam w zupełności wystarczy - stwierdził Reilly i dodał nieco donośniejszym głosem: - Proszę zakończyć nagranie, odłączyć sprzęt i potwierdzić wykonanie polecenia.

- Potwierdzam - rozległ się głos z umieszczonego gdzieś pod sufitem głośnika.

- Może pan mówić dalej, panie ambasadorze - powiedział rudowłosy, otyły mężczyzna. - Będę przerywał tylko wtedy, jeśli uznam to za absolutnie konieczne.

- Jestem tego pewien, Jack. - Havilland zwrócił się do McAllistera. - Cofam swoją poprzednią uwagę. On naprawdę jest straszny. Po ponad czterdziestu latach służby jakiś gruby rudzielec, który od dawna powinien być na diecie, będzie mi dyktował, kiedy mam się zamknąć.

Na twarzach trzech mężczyzn pojawiły się uśmiechy; weteran dyplomacji wiedział doskonale, kiedy i w jaki sposób wprowadzić odrobinę odprężenia. Reilly potrząsnął głową i dobrodusznie rozłożył ręce.

- Nigdy nie ośmieliłbym się tego tak ująć, sir. W każdym razie, nie tak dosłownie.

- I co ja mam z nim zrobić, McAllister? Proponuję, byśmy przeszli na stronę Moskwy i

powiedzieli im, że to on nas zwerbował. Ruscy prawdopodobnie każdemu z nas daliby po daczę, a on skończyłby w Leavenworth.

- P a n by dostał daczę, panie ambasadorze. Ja natomiast pewnie wylądowałbym w jednym mieszkaniu z dwunastoma Czukczami. Serdecznie dziękuję za taką perspektywę. On nie mnie ma przerywać, lecz panu.

- Bardzo słusznie. Dziwię się tylko, że żaden z kolejnych lokatorów Owального Gabinetu nie wziął pana do swojej ekipy, a przynajmniej nie wysłał do ONZ.

- Po prostu nie wiedzieli, że istnieję.

- To się teraz zmieni - powiedział poważnie Havilland. Milczał przez chwilę, przypatrując się uważnie podsekretarzowi, a potem zapytał: - Słyszał pan kiedyś nazwisko Jason Bourne?

- A czy mógł o nim nie słyszeć ktokolwiek, kto choćby przez krótki czas przebywał w Azji? - odparł ze zdumieniem McAllister. - To nieuchwytny morderca do wynajęcia, mający na sumieniu trzydzieści pięć do czterdziestu zamachów. Patologiczny zabójca, dla którego jedynym miernikiem moralności jest zapłata za zbrodnię. Podobno był, czy też jest Amerykaninem - nie wiem dokładnie, bo jakiś czas temu wszelki słuch o nim zaginął - należał kiedyś do zakonu, zarobił miliony na nieuczciwych operacjach handlowych, dezertował z Legii Cudzoziemskiej i popełnił Bóg wie ile innych tego typu czynów. Jedyne, co j a wiem, to że nigdy nie udało się go schwytać i że stanowi to poważne niedociągnięcie naszej dalekowschodniej dyplomacji.

- Czy można dostrzec jakiś schemat, według którego dobierał swoje ofiary?

- Żadnego. Tutaj dwaj bankierzy, tam trzech attache - najwyraźniej powiązani z CIA - minister stanu z Delhi, przemysłowiec z Singapuru, a oprócz tego wielu, zbyt wielu, polityków, zwykle porządnymi ludźmi. Najczęściej ich samochody eksplodowały na ulicy albo ich mieszkania wylatywały w powietrze. Poza tym byli jeszcze niewierni mężowie, żony i kochankowie; Bourne proponował urażonej dumie którejś ze stron ostateczne rozwiązanie. Nie było nikogo, kogo nie mógłby zabić, nie istniała dla niego metoda zbyt brutalna lub poniżająca... Nie było żadnego schematu, jedynie pieniądze. On oferował za nie najwięcej. Był prawdziwym potworem. I jest nim nadal, jeśli jeszcze żyje.

Havilland ponownie oparł się łokciami na biurku i nachylił do przodu, nie spuszczać wzroku z twarzy podsekretarza stanu.

- Powiedział pan, że wszelki słuch o nim zaginął. Tak po prostu? Nigdy nie dotarły do was jakieś plotki lub pogłoski z naszych ambasad i konsulatów na Dalekim Wschodzie?

- Oczywiście, że docierały, ale żadne nie zostały potwierdzone. Najczęściej powtarzająca się historia pochodziła od policji z Makau, gdzie Bourne'a widziano po raz ostatni. Według niej wcale nie zginął ani nie wycofał się z interesu, lecz przeniósł się do Europy w poszukiwaniu zamożniejszych klientów. Ale nawet jeśli tak było w istocie, to jest to zaledwie połowa prawdy, jednocześnie bowiem policja przyznała, iż według jej informatorów kilku byłych zleceniodawców postanowiło rozprawić się z Bourne'em, gdyż w jednym wypadku zdarzyło mu się zlikwidować nie tę osobę, o którą chodziło, a w innym zgwałcić żonę swego klienta. Może czuł pętlę zaciskającą mu się na szyi, a może nie.

- Co pan przez to rozumie?

- Większość z nas uwierzyła w pierwszą część tej historyjki, ale nie w drugą. Bourne nie mógł

zabić niewłaściwego człowieka, ponieważ nie popełnia takich błędów, a nawet jeśli faktycznie zgwałcił żonę klienta, w co raczej należy poważnie wątpić, to mógł to uczynić wyłącznie z zemsty lub nienawiści. Obezwładniłby wówczas męża i kazał mu na wszystko patrzeć, a potem zabiłby obydwój. Nie, bardziej prawdopodobna była pierwsza część historii. Przeniósł się do Europy, gdzie żyją znacznie grubsze ryby.

- Właśnie w to mieliście uwierzyć - powiedział Havilland, opierając się wygodnie w fotelu.

- Proszę?

- Jedynym człowiekiem, którego Jason Bourne zabił w Azji po zakończeniu wojny wietnamskiej, był pewien łącznik, usiłujący go zdradzić.

McAllister wpatrywał się z osłupieniem w ambasadora.

- Nie rozumiem...

- Jason Bourne, którego pan nam opisał, nigdy nie istniał. Był mitem.

- Chyba nie mówi pan poważnie?

- Najpoważniej, jak tylko można sobie wyobrazić. Były to bardzo burzliwe czasy na Dalekim Wschodzie. Gangi handlarzy narkotyków działające w rejonie Złotego Trójkąta prowadziły bezlitosną, chaotyczną wojnę, w którą w mniejszym lub większym stopniu zamieszani byli dosłownie wszyscy: konsulowie, wicekonsulowie, policja, politycy, przestępcy, patrole graniczne. Niewyobrażalne sumy pieniędzy stawały się przyczyną równie niewyobrażalnej korupcji. Gdziekolwiek i kiedykolwiek zdarzało się jakieś poważne zabójstwo, Jason Bourne natychmiast zjawiał się na scenie i zbierał oklaski.

- On b y ł mordercą - upierał się oszołomiony McAllister. - Pozostawiał ślady, swoje ślady! Wszyscy je znali!

- Wszyscy wierzyli,- że to są jego ślady, panie podsekretarzu. Tajemniczy telefon na policję, jakaś część ubrania przesłana pocztą, czarna chustka znaleziona kilka dni później w krzakach. To wszystko stanowiło część przemyślanej strategii.

- Jakiej strategii? O czym pan mówi?

- Prawdziwy Jason Bourne był skazanym za przestępstwa mordercą, uciekinierem, który skończył z kulą w głowie w miejscu zwanym Tam Ouan, kilka miesięcy przed zakończeniem wojny w Wietnamie. Został rozstrzelany w środku dżungli, ponieważ okazał się zdrajcą. Jego ciało pozostawiono na miejscu, by zgniło. Po prostu zniknął i już. Kilka lat później człowiek, który dokonał egzekucji, przyjął jego nazwisko, żeby wziąć udział w naszej operacji. Niewiele brakowało, żeby zakończyła się ona powodzeniem, a w każdym razie powinna się zakończyć powodzeniem, gdyby nie to, że w pewnej chwili straciliśmy na nią namiar.

- Proszę?

- Wymknęła się spod kontroli. Ów człowiek, bardzo dzielny człowiek, zszedł dla nas do podziemia, gdzie przez trzy lata posługiwał się nazwiskiem Bourne'a. Potem został ciężko ranny, w wyniku czego wystąpiła u niego niemal całkowita amnezja. Stracił pamięć i nie wiedział już ani kim jest, ani, co gorsza, kim miał być.

- Mój Boże...

- Znalazł się między młotem a kowadłem. Z pomocą zapijaczo-nego lekarza mieszkającego na jednej ze śródziemnomorskich wysepek próbował odtworzyć swoje życie i odzyskać tożsamość, lecz, niestety, nie udało mu się. Jemu się nie udało, ale udało się kobiecie, którą przypadkowo poznał. Kobieta ta jest teraz jego żoną. Przeczucia, jakie miała, okazały się słuszne: nie był bezlitosnym mordercą. Zmuszała go, żeby analizował swoje słowa i czyny, dzięki czemu zdołał nawiązać kontakty prowadzące z powrotem do nas, lecz my, dysponujący najbardziej rozbudowaną machiną wywiadowczą na świecie, nie chcieliśmy wziąć pod uwagę czynnika ludzkiego. Zastawiliśmy pułapkę, żeby go zabić...

- Muszę panu przerwać, panie ambasadorze - wtrącił się Reilly.

- Dlaczego? - zapytał Havilland. - Przecież to prawda, a poza tym nie jesteśmy nagrywani.

- Powinien pan zaznaczyć, że decyzję tę podjęła pojedyncza osoba, a nie rząd Stanów Zjednoczonych. Dyplomata skinął głową.

- Rzeczywiście. Człowiek ów nazywał się Conklin, ale to nie ma żadnego znaczenia, Jack. Ludzie pracujący dla rządu całkowicie się z nim zgadzali. To po prostu się stało, i już.

- Ludzie pracujący dla rządu ocalili mu także życie.

- Nieco po czasie -- mruknął Havilland.

- Ale dlaczego? - zdołał wreszcie wykrztusić McAllister. Nachylił się w fotelu, oszołomiony niesamowitą historią. - Przecież był jednym z nas! Dlaczego ktoś chciał go zabić?

- Nikt nie uwierzył, że naprawdę stracił pamięć. Przyjęto błędne założenie, że zdradził, zabił trzech kurierów i zniknął z ogromną sumą rządowych pieniędzy. Było tego ponad pięć milionów dolarów.

- Pięć milionów...? - Podsekretarz obsunął się powoli w głąb fotela. - Osobiście mógł rozporządzać takimi funduszami?

- Tak - odparł ambasador. - To także stanowiło część strategii, fragment naszego planu.

- Przypuszczam, że właśnie w tej chwili musi pan przerwać.

- To absolutnie nieodzowne - wtrącił się Reilly. - Nie z powodu samej operacji, gdyż niezależnie od jej wyniku nie mamy zamiaru nikogo za nic przepraszać, ale przez wzgląd na człowieka, który pracował dla nas jako Jason Bourne.

- Przyznam, że brzmi to dosyć tajemniczo.

- Wkrótce się wyjaśni.

- W takim razie czekam na informacje o tej operacji. Reilly spojrzał na Havillanda. Stary dyplomata skinął głową i powiedział:

- Stworzyliśmy Bourne'a po to, żeby wywabił z kryjówki i zabił najgroźniejszego mordercę w Europie.

- Carlosa?

- Jest pan bardzo bystry, panie podsekretarzu.

- Przecież nie mogło chodzić o nikogo innego. W Azji bez przerwy porównywano Bourne'a i Szakala.

- Właśnie o to nam chodziło - odparł Havilland. - Te porównania były często fabrykowane i rozpowszechniane przez grupę zwaną Treadstone-71 - ludzi odpowiedzialnych za przeprowadzenie operacji. Nazwa pochodzi od domu przy Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy w Nowym Jorku, gdzie wskrzeszony Jason Bourne przechodził szkolenie. Był to nasz punkt dowodzenia, tak że powinien tę nazwę zapamiętać.

- Rozumiem... - mruknął z zadumą McAllister. - A więc te porównania, coraz częstsze, w miarę jak rosła sława Bourne'a, stanowiły wyzwanie dla Carlosa... Dlatego właśnie Bourne przeniósł się do Europy - żeby zmusić Szakala do opuszczenia kryjówki i podjęcia walki.

- Słusznie, panie podsekretarzu. W największym skrócie, właśnie na tym polegał nasz plan.

- Niewiarygodne. W gruncie rzeczy genialne, nie trzeba być fachowcem, żeby dojść do takiego wniosku. Jeden Bóg wie, że ja nim na pewno nie jestem...

- Ale może pan zostać.

- Powiada pan więc, że ów człowiek grający przez trzy lata rolę Bourne'a został ranny...

- Postrzelony - poprawił go Havilland. - Otrzymał postrzał w głowę.

- I stracił pamięć?

- Całkowicie.

- Mój Boże!

- Jednak pomimo wszystkiego, co przeszedł, niewiele brakowało, żeby z pomocą tej kobiety udało mu się jednak zrealizować zadanie. Nawiasem mówiąc, ona jest ekonomistką, a wtedy pracowała dla kanadyjskiego rządu. Niezła historia, nieprawdaż?

- Niesamowita. Jaki człowiek był w stanie tego dokonać? Rudowłosy John Reilly zakasłał znacząco; ambasador odpowiedział mu spojrzeniem.

- Dotarliśmy do sedna sprawy, panie McAllister - powiedział otyły mężczyzna, poprawiając się w fotelu. - Jeżeli ma pan jakieś wątpliwości, to ostatnia okazja, żeby się wycofać.

- Wolałbym się nie powtarzać. Ma pan przecież taśmę.

- Nadmierny apetyt nie zawsze wychodzi wszystkim na zdrowie.

- Zdaje się, iż chce mi pan przez to dać do zrozumienia, że w pewnych okolicznościach może nawet nie być rozprawy, tak?

- Tego nie powiedziałem.

McAllister przełknął z trudem ślinę, wpatrując się w spokojne, chłodne oczy człowieka z Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Po chwili przeniósł wzrok na Havillanda.

- Proszę mówić dalej, panie ambasadorze. Kim jest ten człowiek? Skąd go wzięliście?

- Nazywa się Dawid Webb. Obecnie jest wykładowcą orientalis-tyki w niewielkim uniwersytecie w Maine i mężem pewnej Kanadyjki, która, bez żadnej przenośni, wyprowadziła go z tego labiryntu. Gdyby nie ona, już by nie żył, ale z kolei gdyby nie on, ta kobieta zginęłaby w Zurychu.

- Interesujące - wyszeptał McAllister.

- To jest jego druga żona. Pierwsze małżeństwo zakończyło się wstrząsającą rzezią, od której

jednocześnie wszystko się dla nas zaczęło. Wiele lat temu Webb był młodym pracownikiem służby zagranicznej, a zarazem znakomitym, rozpoczynającym błyskotliwą karierę uczonym, specjalistą od Dalekiego Wschodu władającym biegle kilkoma azjatyckimi językami. Mieszkał w Phnom-Penh w dużym domu nad brzegiem rzeki razem z pochodzącą z Tajlandii żoną i dwojgiem dzieci. Był to dla niego znakomity układ, dzięki któremu mógł służyć Waszyngtonowi swoją wiedzą i doświadczeniem, prowadząc jednocześnie taki tryb życia, jaki mu najbardziej odpowiada. Pewnego dnia nad brzegiem rzeki pojawił się lecący na niskim pułapie samolot - nikt nie jest do końca pewny, jakie miał znaki rozpoznawcze, ale i nikt nie uznał za stosowne powiedzieć o tym Bourne'owi - i zbombardował stojącą nad wodą rodzinę Webba. Webb próbował ich ratować, lecz na próżno. Trzymając w objęciach poszarpane ciała krzyczał bezsilnie w ślad za odlatującym samolotem.

- Okropne... - szepnął McAllister.

- W tym momencie coś w nim przeskoczyło i stał się kimś, kim nigdy nie był ani nawet nie podejrzewał, że może się nim stać:

partyzantem o pseudonimie Delta.

- Delta? - powtórzył McAllister. - Partyzantem? Obawiam się, że nic z tego nie rozumiem.

- Bo na razie nie może pan nic rozumieć. - Havilland spojrzał na Reilly'ego, a następnie ponownie na funkcjonariusza Departamentu Stanu. - Jak już Jack powiedział kilka chwil temu, dotarliśmy do sedna sprawy. Ogarnięty furją Webb przedostał się do Sajgonu, gdzie za namową oficera CIA nazwiskiem Conklin, który kilka lat później próbował go zabić, wstąpił do tajnego oddziału oznaczonego kryptonimem „Meduza”. Członkowie „Meduzy” nie używali nazwisk, lecz greckich liter alfabetu. Webb był od tej pory Delta Jeden.

- „Meduza”? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Akta „Meduzy” są w dalszym ciągu ściśle tajne - powiedział Reilly - ale nam udało się uzyskać zezwolenie i poznaliśmy część tajemnicy. Oddział składał się z ludzi różnych narodowości, dysponujących doskonałą znajomością zarówno północnego, jak i południowego Wietnamu. Wszyscy byli przestępcami - przemytnikami narkotyków, złota i broni, a nie brakowało wśród nich także morderców, uciekinierów skazanych na śmierć in absentia i byłych przedstawicieli władz kolonialnych, których ogromne, zdobyte nieuczciwą drogą majątki zostały skonfiskowane przez jedną albo drugą stronę. Oddali się pod opiekę Wuja Sama, w zamian za co przedzierali się za linie nieprzyjaciela, zabijali tubylców podejrzanych o współpracę z komunistami, a także organizowali ucieczki naszych żołnierzy, których wzięto do niewoli. Najlepszym określeniem dla nich byłby „szwadron śmierci”, ale nikt tego nigdy głośno nie powiedział i nie powie. W wyniku błędów i defraudacji ginęły bez śladu miliony dolarów, a większość tych ludzi, łącznie z Webbem, nie zostałyby przyjęta do żadnej cywilizowanej armii.

- Przyłączył się do nich mimo swojej wiedzy i wykształcenia?

- Miał potężną motywację - odparł Havilland. - Uwierzył bez zastrzeżeń, że ten samolot nad Phnom-Penh był z Północy.

- Niektórzy twierdzili, że był szaleńcem - kontynuował Reilly - inni zaś, że wyśmienitym taktykiem, znakomitym dowódcą partyzanckiego oddziału, znającym tajniki orientального umysłu i dowodzącym najśmielszymi operacjami. W jednakowym stopniu bał się go nieprzyjaciel co dowództwo w Sajgonie. Nie można było go kontrolować, ponieważ trzymał się wyłącznie ustalonych przez siebie reguł. Wyglądało to tak, jakby prowadził swoje własne polowanie, tropiąc człowieka,

który siedział wówczas za sterami samolotu i zniszczył jego życie. Wojna stała się je g o wojną i j e g o zemstą. Im bardziej była brutalna, tym więcej przynosiła mu satysfakcji. Być może dlatego, że przez cały czas miał w sobie głębokie pragnienie śmierci.

- Śmierci...? - powtórzył podsekretarz stanu, pozwalając, by słowo to zawisło na chwilę w powietrzu.

- W każdym razie taką wysnuto wówczas teorię - wyjaśnił ambasador.

- Wojna zakończyła się dla Webba równie tragicznie, jak dla nas wszystkich, a może nawet jeszcze gorzej - ciągnął Reilly. - Nie miał już nic, żadnego celu, do którego mógłby dążyć i w imię którego zabijać. Wtedy pojawiliśmy się m y, dając mu ten cel.

- Miał wcielić się w postać Jasona Bourne'a i zapolować na Carlosa - uzupełnił McAllister.

- Tak - skinął głową Reilly. W pokoju zapadła cisza.

- Teraz potrzebujemy go znowu - odezwał się po chwili Havilland. Wypowiedziane cichym głosem słowa zabrzmiały jak trzask spadającej na twarde drewno siekiery.

- Znowu Carlos?

Dyplomata potrząsnął przecząco głową.

- Nie, tym razem to nie Europa. Potrzebujemy go z powrotem w Azji. Liczy się każda minuta.

- Chodzi o kogoś innego? O inny... cel? - McAllister przełknął z trudem ślinę. - Rozmawialiście z nim?

- Nie możemy się do niego z tym zwrócić. W każdym razie nie bezpośrednio.

- Dlaczego?

- Nie wpuściłby nas nawet do domu. Nie ufa nikomu ani niczemu, co ma jakikolwiek związek z Waszyngtonem. Szczerze mówiąc, trudno mieć o to do niego pretensje. Kiedyś błagał nas o pomoc, a my nie chcieliśmy go słuchać. Zamiast tego próbowaliśmy go zabić.

- Ponownie muszę się z panem nie zgodzić - przerwał ambasadorowi Reilly. - Nie my, tylko pojedyncza osoba, opierająca się na fałszywych przesłankach. Obecnie rząd USA wydaje rocznie ponad czterysta tysięcy dolarów, by zapewnić Webbowi całkowite bezpieczeństwo.

- A on ma to gdzieś, uważając te zabezpieczenia za pułapkę na Carlosa, zastawioną na wypadek, gdyby Szakalowi udało się go odszukać. Jest przekonany, że on sam nic was nie obchodzi, i pode-
jrzewam, że chyba zbyt się nie myli. Widział Carlosa. Tamten nie wie, że Webb nie może sobie przypomnieć jego twarzy, więc ma wszelkie powody, by starać się go odnaleźć. Kiedy mu się uda, będziecie mieli jeszcze jedną szansę.

- Prawdopodobieństwo, że Szakal może go odszukać, równa się praktycznie zeru - odparł Reilly. - Wszystkie dokumenty dotyczące Treadstone-71 są pilnie strzeżone, a poza tym i tak nie zawierają informacji na temat obecnego miejsca pobytu Webba ani tego, czym się teraz zajmuje.

- Niechże pan nie żartuje, panie Reilly! - parsknął gniewnie ambasador. - A czym może się zajmować z takim wykształceniem i doświadczeniem? Ma na czole napisane odblaskowymi literami NAUKOWIEC i widać to z odległości mili!

- Nie chcę się panu sprzeciwiać, panie ambasadorze, a jedynie wszystko wyjaśnić - powiedział

spokojnie Reilly. - Bądźmy szczerzy:

z Webbem należy postępować nadzwyczaj ostrożnie. Odzyskał już w znacznej części pamięć, choć z pewnością nie całą. W każdym razie to, co już teraz wie o „Meduzie”, sprawia, że stanowi on poważne zagrożenie dla interesów państwa.

- W jaki sposób? - zapytał McAllister. - Przecież to była po prostu może nie najlepsza, ale i nie najgorsza strategia prowadzenia działań w czasie wojny.

- Strategia nigdzie nie zatwierdzona i nie zaplanowana. Nie istnieje żaden oficjalny dokument na ten temat.

- Jak to możliwe? Przecież szły na to ogromne pieniądze, które powinny...

- Proszę mi nie robić wykładu - przerwał mu rudowłosy mężczyzna. - Teraz nie jesteśmy nagrywani, ale byliśmy wcześniej i ja mam taśmę.

- Czy to pańska odpowiedź?

- Nie. Ale oto ona, panie podsekretarzu: Zbrodnie wojenne i morderstwa nie podlegają przedawnieniu, a były one popełniane wówczas zarówno na sojusznikach, jak i na naszych własnych żołnierzach. Sprawcami byli patologiczni zabójcy, pragnący wzbogacić się możliwie szybko i możliwie tanim kosztem. Choć pod wieloma względami „Meduza” okazała się bardzo skuteczna, to w gruncie rzeczy była jednak tragiczną pomyłką, zrodzoną z gniewu i zawiedzionych nadziei w sytuacji, z której właściwie nie było wyjścia. Co by nam dało, gdybyśmy teraz zaczęli rozdrapywać stare rany? Niezależnie od roszczeń, jakie by zaczęto wysuwać pod naszym adresem, w oczach całego cywilizowanego świata stalibyśmy się potwornymi barbarzyńcami.

- Jak już wspomniałem, my w Departamencie Stanu nie wierzymy w coś takiego, jak rozdrapywanie starych ran - powiedział spokojnie McAllister i zwrócił się do ambasadora. - Zaczynam wszystko rozumieć. Chcecie, żebym porozmawiał z tym Webbem i namówił go do powrotu do Azji. Czeka na niego nowa operacja i nowy... cel, choć Bóg mi świadkiem, że nigdy do tej pory nie użyłem tego słowa w takim znaczeniu. Zwróciliście się do mnie dlatego, że ja także spędziłem wiele lat na Dalekim Wschodzie. Obu nas łączą z Azją silne więzy i dlatego przypuszczacie, że zechce mnie wysłuchać.

- Ogólnie rzecz biorąc, tak właśnie przedstawia się sprawa.

- A jednocześnie mówicie, że on nie chce mieć z nami nic wspólnego. W tym momencie moje zdolności umysłowe okazują się niewystarczające. Jak więc miałbym to zrobić?

- Razem z nami. On ustalał kiedyś reguły dla siebie, teraz my zrobimy to dla niego. Jest to absolutnie konieczne.

- Ze względu na człowieka, którego ma zabić?

- Osobiście wolę słowo „wyliminować”.

- Jesteście pewni, że Webb da sobie radę?

- Webb nie, ale Jason Boume tak. Przez trzy lata działał samotnie w nieustannym napięciu, a potem utracił nagle tożsamość i stał się obiektem polowania. Lecz mimo to zachował umiejętność infiltracji i zabijania. Staram się być szczerzy.

- Widzę. Skoro nasza rozmowa nie jest nagrywana... A nie jest, prawda? - Podsekretarz spojrzął

na Reilly'ego, który wzruszył ramionami i pokręcił przecząco głową. - Czy mogę się dowiedzieć, kto ma być jego celem?

- Może pan. Radzę panu dobrze zapamiętać to nazwisko, panie podsekretarzu: Sheng Chouyang, chiński minister stanu.

- Wcale nie muszę go zapamiętywać i pan doskonale o tym wie! - wybuchnął McAllister. - W drugiej połowie lat siedemdziesiątych braliśmy wspólnie udział w chińsko-amerykańskich negocjacjach handlowych. Czytałem raporty na jego temat, analizowałem każdy jego ruch i każdą decyzję, ponieważ był moim bezpośrednim przeciwnikiem. Przypuszczam, że macie na ten temat dokładne informacje!

- Doprawdy? - siwowłosa ambasador uniósł brwi, puszczając mimo uszu złośliwość. - I czego pan się o nim dowiedział?

- Miał opinię bardzo bystrego i ambitnego człowieka. Można to było wywnioskować z tempa, w jakim piął się w górę w Pekinie. Kilka lat wcześniej wpadł w oko wysłannikom Komitetu Centralnego na Uniwersytecie Fudan w Szanghaju przede wszystkim z uwagi na doskonałą znajomość angielskiego, a także dzięki wyśmienitej orientacji w problemach ekonomiki Zachodu.

- Co jeszcze?

- Uznano go za obiecujący materiał, a po dokładnej indoktrynacji wysłano do Londyńskiej Szkoły Ekonomicznej na studia podyplomowe. Przyjęły się obydwie sadzonki.

- Co pan przez to rozumie?

- Jeśli chodzi o kwestie związane z rządzeniem scentralizowanym państwem, jest czystej wody marksistą, ale jednocześnie żywi głęboki szacunek dla kapitalistycznych zysków.

- Rozumiem - mruknął Havilland. - Czyli akceptuje upadek radzieckiego systemu?

- Obciąża za to winą rosyjską skłonność do korupcji, bezmyślny konformizm wyższych kadr państwowych i alkoholizm szerzący się wśród niższych. Trzeba przyznać, że w najważniejszych okręgach przemysłowych Chin udało mu się wytepić wszystkie te wady.

- Można pomyśleć, że przeszedł szkolenie w IBM.

- Wniósł poważny wkład w rozwój nowej polityki handlowej Chin, a także przysporzył im sporych pieniędzy. - McAllister ponownie pochylił się naprzód w fotelu, wpatrując się w swoich rozmówców ze zdumionym, a nawet wręcz oszołomionym wyrazem twarzy. - Dobry Boże, dlaczego ktokolwiek na Zachodzie miałby pragnąć śmierci Shenga? To nie ma najmniejszego sensu! Pod względem ekonomicznym jest naszym sprzymierzeńcem, a pod politycznym - czynnikiem stabilizującym we władzach największego narodu na Ziemi, który wyznaje przeciwstawną do naszej ideologię! Wszystko, co udało nam się do tej pory osiągnąć, dokonaliśmy dzięki niemu i jemu podobnym. W chwili, gdy z jakiegokolwiek powodu go zabraknie, na horyzoncie natychmiast pojawi się widmo katastrofy! Jestem specjalistą w sprawach Chin, panie ambasadorze, i powtarzam jeszcze raz, jasno i wyraźnie: to absurd! Człowiek o tak ogromnym doświadczeniu jak pańskie pierwszy powinien to dostrzec.

Wiekowy dyplomata spojrział ostro na oskarżającego go mężczyznę, po czym odpowiedział, starannie dobierając każde słowo:

- Kilka minut temu usłyszał pan, że młody naukowiec Dawid Webb stał się Jasonem Bourne'em

dla pewnych celów. Analogicznie, Sheng Chouyang nie jest już pańskim przeciwnikiem w negocjacjach, którego zdołał pan tak dobrze poznać. On stał się takim człowiekiem również dla pewnych celów.

- O czym pan mówi? - zapytał ze zdumieniem McAllister. - Przecież wszystko to, co o nim mówiłem, jest w naszych oficjalnych kartotekach, w większości ściśle tajnych i dostępnych jedynie dla wąskiego kręgu wtajemniczonych!

- Tak pan uważa? - zapytał ze znużeniem w głosie stary dyplomata. - Na tego rodzaju raportach oficjalna pieczęć jest często przystawiana przez ludzi nie mających najmniejszego pojęcia, kto je sporządził i co one zawierają. Nie, panie podsekretarzu, to jeszcze o niczym nie świadczy.

- Najwyraźniej dysponuje pan informacjami, o których ja nic nie wiem - odparł chłodno funkcjonariusz Departamentu Stanu. - O ile oczywiście są to informacje, a nie dezinformacje. Ja znałem Sheng Chouyanga takiego, jakiego opisałem.

- Tak samo jak Dawid Webb, którego panu opisaliśmy, był Jasonem Bourne'em? Nie, proszę się nie denerwować. Nie bawię się z panem w kotka i myszkę, tylko zależy mi, żeby pan to zrozumiał:

Sheng nie jest tym człowiekiem, którego pan znał. Nigdy nim nie był.

- W takim razie kogo znałem? Kto siedział po drugiej stronie stołu w czasie negocjacji?

- To zdrajca, panie podsekretarzu. Sheng Chouyang zdradził swój kraj, a kiedy jego zdrada wyjdzie na jaw, co prędzej lub później musi nastąpić, Pekin obciąży odpowiedzialnością cały wolny świat. Konsekwencje tego błędu będą wręcz niewyobrażalne... Niemniej jesteśmy pewni, że przyświeca mu konkretny cel.

- Sheng zdrajcą! Nie wierzę panu! Przecież w Pekinie jest niemalże wielbiony! Najprawdopodobniej w przyszłości zostanie Przewodniczącym!

- Wówczas Chinami będzie rządził nacjonalista i fanatyk, pod względem ideologicznym wywodzący się z Tajwanu.

- Pan oszalał! Chwileczkę, przed chwilą powiedział pan, że on ma jakiś cel. „Przyświeca mu konkretny cel”, takiego użył pan sformułowania!

- Wraz ze swoimi zwolennikami pragnie zagarnąć Hongkong. Potajemnie przygotowuje ekonomiczny „Blitzkrieg”, polegający na poddaniu całego handlu i wszystkich instytucji finansowych kontroli „neutralnej” komisji, a w rzeczywistości podległej Pekinowi, czyli jemu. Pretekstem ma być fakt, że w roku 1997 wygasa brytyjsko-chiński układ, w związku z czym powołanie owej komisji ma się stać pozornie logicznym wstępem do przejęcia przez Chiny zwierzchności nad wyspą. Nastąpi to w momencie, gdy Sheng usunie ze swojej drogi wszystkie przeszkody i kiedy w sprawach ekonomii będzie się liczyć wyłącznie jego zdanie. Może to się zdarzyć za miesiąc lub dwa. Albo w przyszłym tygodniu.

- Uważacie, że Pekin się na to zgodzi? - zaprotestował McAl-lister. - Mylicie się! To... to szaleństwo! Chińska Republika Ludowa nigdy nie tknie Hongkongu, ponieważ przechodzi przez niego sześćdziesiąt procent jej międzynarodowej wymiany. Porozumienia gwarantują istnienie Wolnej Strefy Ekonomicznej przez pięćdziesiąt lat, a najważniejszym podpisem, jaki na nich figuruje, jest właśnie podpis Shenga!

- Ale dzisiaj Sheng nie jest tym samym Shengiem, którego pan znał.

- Tylko kim, do diabła?

- Proszę się przygotować na niespodziankę, panie podsekretarzu. Sheng Chouyang jest najstarszym synem działającego na terenie Szanghaju przemysłowca, który zdobył swą fortunę w starych, skorumpowanych Chinach Czang Kaj-szeka. Kiedy stało się jasne, że rewolucja Mao jednak zwycięży, cała rodzina uciekła za granicę, tak jak uczyniło to wielu posiadaczy ziemskich i kupców, zabierając ze sobą wszystko, co tylko udało się zabrać. Ojciec jest teraz jednym z najważniejszych taipanów w Hongkongu - niestety nie wiemy którym. Dzięki łaskawości jego syna, najpotężniejszego ministra w Pekinie, kolonia stanie się praktycznie jego własnością. To największa ironia i zarazem zemsta starego człowieka: Hongkong znajdzie się pod władaniem tych samych ludzi, którzy skorumpowali nacjonalistyczne Chiny, Przez długie lata bezwzględnie wykorzystywali swój kraj, ciągnąc olbrzymie zyski z pracy głodujących, ubezwłasnowolnionych ludzi, przygotowując grunt pod rewolucję Mao. Nawet jeżeli to, co mówię, brzmi jak komunistyczny bełkot, to obawiam się, że w większej części jest jednak żenująco prawdziwe. Obecnie garstka prowadzonych przez maniaka fanatyków chce siłą uzyskać to, czego nie przyznałby im żaden sąd na świecie. - Hayilland umilkł na chwilę, po czym fuknął z pogardą: - Szaleńcy!

- Skoro nie wiecie, kto jest tym taipanem, skąd macie pewność, że to wszystko prawda?

- Informacja pochodzi ze ściśle tajnych źródeł, ale została potwierdzona - odparł Reilly. - Po raz pierwszy dotarła do nas z Tajwanu. Pierwszym informatorem był członek tamtejszego rządu obawiający się, że taki rozwój wydarzeń nie przyniesie nic oprócz krwawej łaźni, w której skąpie się cały Daleki Wschód. Błagał nas, byśmy do tego nie dopuścili. Nazajutrz rano został znaleziony z poderżniętym gardłem i trzema kulami w głowie. W chińskim języku symboli oznacza to, że był zdrajcą. Od tamtej pory w podobny sposób zginęło jeszcze pięciu ludzi. To prawda. Spisek istnieje, rozszerza się coraz bardziej, a jego serce znajduje się w Hongkongu.

- Szaleństwo!

- W dodatku takie, które nigdy nie przyniesie oczekiwanych rezultatów - uzupełnił Hayilland. - Gdyby istniały jakiegokolwiek szansę, moglibyśmy udać, że patrzymy akurat w inną stronę i pozostawić sprawy ich biegowi. Ale takie szansę nie istnieją. Wszystko spali na panewce, podobnie jak w siedemdziesiątym drugim spisek Lin Piao przeciwko Mao Tse-tungowi, a wtedy Pekin zwróci się przeciwko Ameryce, Tajwanowi i Wielkiej Brytanii, oskarżając jednocześnie najważniejsze ogólnoswiatowe instytucje finansowe o to, że wspomagały konspiratorów. Osiem lat postępu pójdzie na marne tylko dlatego, że jakiejś grupce fanatyków zachciało się zemsty. Ujmując to w sposób, do którego jest pan przyzwyczajony, panie podsekretarzu. Chińczycy są podejrzliwym i skorym do niepokoju narodem, a jeśli wolno mi dodać także moją opinię, wynikającą z wieloletniego doświadczenia, do którego niedawno pan się odwoływał - ich rząd jest niezwykle skłonny do paranoidalnych podejrzeń, doszukując się bezustannie zdrady zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz swego kręgu. Bez trudu uwierzą, że cały świat postanowił zdusić ich ekonomię, odcinając ją od międzynarodowego rynku i rzucić kraj na kolana, podczas gdy zza północnej granicy Rosjanie będą się temu przyglądali z coraz szerszymi uśmiechami. Odpowiedź będzie gwałtowna i natychmiastowa: wojska zajmą Koulun, Hongkong i całe Nowe Terytoria, na których szerzy się burżuazyjne zepsucie. Niezliczone miliardowe inwestycje przepadną bez śladu, handel właściwie ustanie, miliony ludzi stracą pracę, pojawią się głód i choroby. Daleki Wschód stanie w płomieniach, a cały świat w obliczu wojny, o jakiej nikt z nas wolałby nie myśleć.

- Boże... - szepnął McAllister. - Nie można do tego dopuścić!

- Rzeczywiście, nie można - zgodził się ambasador.

- Ale dlaczego właśnie Webb?
- Nie Webb, tylko Jason Bourne - poprawił go Havilland.
- W porządku! W takim razie, dlaczego Jason Bourne?
- Ponieważ z Koulunu dotarła do nas informacja, że on już tam jest.
- Co takiego?
- A my wiemy, że to nieprawda.
- Nic nie rozumiem!
- Znowu uderza. Zabija. Wrócił do Azji.
- Przecież to, co pan mówi, nie ma najmniejszego sensu!
- Ale to, co robi Sheng Chouyang, ma głęboki sens.
- Jak to?

- On go tam sprowadził. Jason Bourne jest ponownie do wynajęcia. Jego klient, jak zwykle, tak dobrze się zamaskował, że nie sposób do niego dotrzeć - tym bardziej, iż jest nim ktoś, kogo nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby o to podejrzewać: czołowy polityk Chińskiej Republiki Ludowej, pragnący wyeliminować swoich oponentów zarówno w Hongkongu, jak i w Pekinie. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy dziwnym zbiegiem okoliczności umilkło wiele wpływowych głosów w Komitecie Centralnym. Według oficjalnych dokumentów część spośród nich zmarła, czemu trudno się dziwić, zważywszy na ich wiek, dwaj zaś prawdopodobnie zginęli w wypadkach - jeden w samolotowym, drugi na wylew krwi do mózgu podczas urlopu w górach Shaoguan. Nawet jeśli to kłamstwo, to przynajmniej starano się nadać mu pozory prawdopodobieństwa. Inny został „przeniesiony”, co stanowi eufemizm oznaczający popadnięcie w niełaskę, a wreszcie, i to jest najbardziej niezwykle, wicepremier rządu ChRL zginął zamordowany w Koulunie, kiedy w Pekinie nie wiadano nawet, że się tam znajduje. To okropna sprawa. Wraz z nim zostało zmasakrowanych jeszcze czterech ludzi, a zabójca pozostawił wizytówkę, pisząc w kałuży krwi na podłodze dwa słowa: Jason Bourne. Ego uzurpatora wymagało, by wszyscy łączyli z tym morderstwem wyłącznie to nazwisko.

McAllister zamrugał raptownie powiekami, rozglądając się bezradnie po pokoju.

- To przerasta mnie o głowę - wykrztusił z trudem, lecz niemal natychmiast opanował się i utkwiał nieruchome spojrzenie w twarzy Havillanda. - Czy ofiary zbrodni miały ze sobą coś wspólnego?

Dyplomata skinął głową.

- Raporty naszego wywiadu nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. Niektórzy mniej, a niektórzy bardziej otwarcie, ale wszyscy występowali przeciwko polityce Shenga. Ze szczególną energią czynił to właśnie wicepremier, stary rewolucjonista i weteran Wielkiego Marszu Mao. Nie mógł po prostu znieść parweniuszowskiego Shenga. Ale co robił potajemnie w Koulunie, w towarzystwie bankierów? Pekin nie mógł znaleźć odpowiedzi na to pytanie, więc całą sprawę zatuszowano, ciało poddano kremacji, a wicepremier po prostu przestał oficjalnie istnieć.

- „Wizytówka” zabójcy... To nazwisko wypisane w kałuży krwi... wskazywałoby na Shenga - powiedział drżącym głosem podsekretarz stanu, nerwowo trąc ręką czoło. - Dlaczego to zrobił?

Dlaczego zostawił nazwisko?

- Przecież to biznes, a każdy biznes wymaga reklamy. Trudno sobie wymarzyć lepszą. Czy już zaczyna pan rozumieć?

- Nie jestem pewien, co pan ma na myśli.

- • Dla nas ten nowy Bourne stanowi drogę wiodącą bezpośrednio do Shenga. Użyjemy go jako pułapki. Uzurpator podszywa się pod mityczną postać, lecz jeśli autentyczny Bourne wytropi go i zajmie jego miejsce, będzie mógł osiągnąć samego Shenga. To bardzo proste. Nasz Jason Bourne zastąpi tamtego mordercę, a następnie wyśle do Shenga pilną wiadomość, że stało się coś, co może zagrozić całości starannie przygotowanego planu. Sheng musi na to zareagować. Nie może sobie pozwolić na zignorowanie takiego sygnału, bo przecież najważniejsze jest to, żeby jego prawdziwe plany nie wyszły na jaw zbyt wcześnie. Aż do ostatniej chwili musi mieć czyste ręce. Stawi się na spotkanie choćby po to, by osobiście zabić wynajętego mordercę i usunąć w ten sposób wszelkie wiążące go z nim ślady. Kiedy to uczyni, my będziemy przygotowani i tym razem nie zawiedziemy.

- To błędne koło - rzekł niemal szeptem McAllister, wpatrując się bez zmrużenia powieki w starego dyplomatę. - W dodatku z tego, co mi pan powiedział, wynika, że Webb nawet się do tego koła nie zbliży, nie mówiąc już o tym, by miał do niego wejść.

- Dlatego musimy dostarczyć mu powodu, by jednak to uczynił - powiedział cicho Havilland. - W moim zawodzie, bo szczerze mówiąc na tym właśnie polegał mój zawód, zawsze poszukujemy motywów, które skłaniają ludzi do działania. - Zmarszczywszy brwi oparł się głęboko w fotelu; sprawiał wrażenie człowieka, który nie może dojść do ładu ze swoim sumieniem. - Wnioski, do jakich dochodzimy, budzą często odrazę, ale my musimy wszystko dokładnie zważyć i wybrać tę szalę, na której leżą większe dobro i większe korzyści. Dla wszystkich.

- Przyznam, że niewiele mi to mówi.

- Dawid Webb zmienił się w Jasona Bourne'a właściwie tylko z jednego powodu, tego samego, który pchnął go w szeregi „Meduzy”:

odebrano mu rodzinę. Jego żona i dzieci zostały zamordowane.

- O, mój Boże...

- Jeśli panowie pozwolą, to w tym momencie ich opuszczę - oznajmił Reilly, wstając z fotela.

ROZDZIAŁ 3

Marie! Mój Boże, Marie, to znów się stało! Tama pękła, a ja próbowałem się bronić, ale nie dałem rady, woda zalała mnie i zacząłem się topić. Wiem, jak byś zareagowała, gdybym ci o tym powiedział i dlatego nie powiem, choć zdaję sobie sprawę, że zobaczysz to w moich oczach i usłyszysz w głosie, nie wiem, w jaki sposób, bo tylko ty go znasz. Powiesz, że powinienem był wrócić do domu i porozmawiać z tobą, żebyśmy mogli razem się z tym zmierzyć. Razem! Mój Boże! Ile jeszcze możesz znieść? Jak długo mogę jeszcze być wobec ciebie tak nieuczciwy i postępować w taki sposób jak do lej pory? Kocham cię tak bardzo, na tak wiele sposobów, że czasem przychodzi chwila, kiedy muszę sam się z tym zmierzyć. Choćby po to, żeby cię choć na trochę uwolnić, pozwolić ci spokojnie pooddychać i odprężyć się, bez konieczności ciągłego sprawowania nade mną opieki. Widzisz, kochanie? Potrafię to zrobić! Dałem sobie radę dziś w nocy i nic mi nie jest. Już się uspokoilem. Już wszystko w porządku. Kiedy teraz wrócę do domu, będę lepszy niż przedtem. To konieczne, bo tylko ciebie jedną mam na świecie.

Spocony, zadyszany, w przyklejonym do ciała dresie Dawid Webb przebiegł przez rozległy trawnik, minął rzędy drewnianych ławek i wpadł na wybetonowaną ścieżkę prowadzącą do hali sportowej. Jesienne słońce zniknęło już za kamiennymi budynkami miasteczka uniwersyteckiego i zawisło nad odległą ścianą lasu, rozpalając na wieczornym niebie nad stanem Maine krwistoczerwone płomienie.

Jesienny chłód z każdą chwilą stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Webb zadrzał; jego lekarze chyba nie to mieli na myśli.

Jednak stosował się do ich zaleceń. Pracujący dla rządu medycy powiedzieli mu, że jeśli zdarzy się - a będzie się zdarzać - iż w jego pamięci pojawią się wyraźne, niepokojące obrazy, stanowiące fragmenty zagubionych wspomnień, to najlepszym środkiem mogącym pomóc mu się z nimi uporać będzie intensywny wysiłek fizyczny. Badania EKG wykazały, że ma mocne serce, płuca również były bez zarzutu, mimo idiotycznego nawyku palenia papierosów, więc skoro ciało mogło znieść taką karę, należało ją zastosować, by ulżyć umysłowi. W takich chwilach najwięcej zależało od tego, żeby jak najszybciej odzyskać spokój.

- Co może być złego w kilku drinkach i papierosach? - zapytał lekarzy, dając im w ten sposób do zrozumienia, jaki rodzaj kuracji by wolał. - Serce bije szybciej, ciało nie cierpi, a umysł autentycznie się odpręża.

- To wszystko są depresory - odparł jedyny z ich grona, którego naprawdę słuchał. - Sztuczne stymulatory, których stosowanie prowadzi jedynie do pogłębienia depresji i wzmożonego niepokoju. Lepiej biegaj, pływaj, kochaj się z żoną albo rób cokolwiek w tym rodzaju. Nie bądź głupcem i nie daj się tu przywieźć z powrotem w kaftanie bezpieczeństwa. Jeżeli nie zależy ci na sobie, to pomyśl o mnie. Zbyt wiele nad tobą pracowałem, niewdzięczniku. Znikaj stąd, Webb. Zaczynaj żyć w tym miejscu, w którym przerwałeś, i baw się najlepiej, jak potrafisz. Nie zapominaj, że jesteś urządzony lepiej niż zdecydowana większość ludzi, bo jak zapomnisz, to natychmiast kończymy nasze comiesięczne, kontrolowane szaleństwa i możesz sobie iść do diabła. Tobie będzie wszystko jedno, ale mnie na pewno będzie ich brakować... Idź już, Dawidzie. Pora na ciebie.

Morris Panov był jedynym człowiekiem, oczywiście oprócz Marie, który zawsze potrafił do niego dotrzeć. Kryła się w tym pewna ironia, początkowo bowiem Morris wcale nie należał do

zespołu lekarzy sprawujących opiekę nad Webbem i nikt nie zamierzał wprowadzać go w tajniki operacji, w wyniku której Dawid Webb przeistoczył się w Jasona Bourne'a. Psychiatra wlepiał się na siłę, grożąc ujawnieniem różnych kompromitujących faktów, jeśli nie zleci mu się opieki nad stanem umysłowym pacjenta. Przytaczane przez niego argumenty były bardzo proste: to on, Morris Panov, nieświadomie wydał na niego wyrok śmierci, a sama myśl o tym, w jaki sposób to uczynił, wciąż jeszcze doprowadzała go do wściekłości. Ogarnięty paniką człowiek, który teoretycznie powinien w każdej sytuacji zachować zimną krew, zadał mu kilka „hipotetycznych” pytań dotyczących „hipotetycznego” agenta znajdującego się w krytycznej sytuacji. Odpowiedzi, jakich Panov udzielił, były ostrożne i wyważone; nie mógł zdiagnozować pacjenta, którego nie widział na oczy, ale owszem, wszystko było możliwe, a bez dokładnego badania niczego nie można było wykluczyć. Najważniejszym słowem było „niczego”. Powiedział je, a powinien był milczeć jak grób! W uszach dyletantów to jedno jedyne słowo zabrzmiało jak potwierdzenie rozkazu zlikwidowania Dawida Webba - wówczas Jasona Bourne'a - a nie doszło do tego wyłącznie dzięki działaniu samego Dawida, kiedy zabójcy nie zdążyli jeszcze ruszyć do akcji.

Morris Panov nie tylko wszedł w skład zespołu opiekującego się Dawidem w szpitalu Waltera Reeda, a potem w centrum medycznym w Wirginii, ale objął nad nim kierownictwo. Ten sukinsyn ma amnezję, wy barany! Od kilku tygodni usiłuje wam to powiedzieć nienaganną angielszczyzną, chyba zbyt poprawną dla waszych niedorozwiniętych mózdków!

Pracowali razem przez wiele miesięcy, najpierw jak pacjent i lekarz, potem jak para przyjaciół. Bardzo pomógł im fakt, że Marie darzyła Mo czymś w rodzaju uwielbienia; dobry Boże, jakże ona wówczas potrzebowała sojusznika! Ciężar, jaki Dawid stanowił dla swojej żony, był wręcz niewyobrażalny, począwszy od pierwszych dni w Szwajcarii, kiedy zaczęła rozumieć cierpienie człowieka, który ją uwięził, aż do chwili, kiedy powzięła postanowienie - przeciwstawiając się jego woli - że mu pomoże, nie wierząc nigdy w to, w co on wierzył i powtarzając mu bez przerwy, że nie jest zbrodniarzem, za którego się uważa, ani zabójcą, za którego uważają go inni. Jej wiara stanowiła wówczas dla niego jedyne pewny punkt odniesienia, a jej miłość stała się początkiem długiej drogi ku normalności. Bez Marie byłby trupem, a bez Mo Panova zaledwie wegetującą rośliną, lecz przy pomocy ich obojga coraz śmieiej rozgarniał kłębiące się chmury, odnajdując na nowo blask słońca.

Właśnie dlatego po zakończeniu popołudniowego seminarium nie pojechał od razu do domu, lecz biegał przez godzinę po opustoszałym stadionie. Cotygodniowe seminaria często kończyły się znacznie później, niż było to przewidziane w planie zajęć, więc Marie w te dni nie szykowała obiadu, wiedząc, że po jego powrocie pojedą do jakiejś restauracji, w towarzystwie dwóch dyskretnych, kryjących się w ciemności strażników. Teraz jeden z nich z pewnością szedł za nim przez boisko, a drugi czekał w hali. Szaleństwo! Ale czy na pewno?

Zastosował się do rady Panova z powodu obrazu, jaki pojawił się w jego umyśle, kiedy porządkował papiery w swoim biurze. Była to twarz, którą znał, pamiętał i bardzo kochał. Chłopięca twarz, doroslejaca jak na przyspieszonym filmie, a potem cała postać w wojskowym mundurze, niewyraźna, zamazana, lecz na pewno mocno z nim związana. Czując spływające mu po policzkach łzy domyślił się, że to nieżyjący brat, o którym mu opowiadali, wiele lat temu odbity przez niego z niewoli w dżungli Tam Quan oraz zdrajca o nazwisku Jason Bourne, którego własnoręcznie rozstrzelał. Nie mógł dać sobie rady z gwałtownymi, pojawiającymi się jeden po drugim obrazami. Z trudem dotrwał do końca skróconego seminarium, usprawiedliwiając się poważnym bólem głowy. Musiał znaleźć jakieś ujście dla wzbierającego w nim napięcia, zaakceptować lub odrzucić wymieszane, chaotyczne fragmenty wspomnień; rozsądek podpowiadał mu, że może w tym pomóc długi, morderczy bieg pod wiatr, pod silny wiatr. Nie wolno mu szukać opieki Marie za każdym

razem, kiedy pęka tama; zbytnio ją kochał. Jeżeli tylko może, musi sobie radzić sam. Taką umowę zawarł z samym sobą.

Otwierając ciężkie drzwi zastanowił się przez moment, dlaczego wejście do każdej hali sportowej jest zaprojektowane niczym wrota Troi. Kiedy znalazł się w pomalowanym na biało korytarzu, ruszył przed siebie, aż wreszcie dotarł do szatni dla wykładowców; z ulgą zauważył, że pomieszczenie było puste. Nie był w nastroju do towarzyskich pogaduszek, a gdyby musiał podjąć ten wysiłek, z pewnością sprawiłby dziwaczne wrażenie. Mógł też obejść się bez spojrzeń, które z pewnością by na siebie ściągnął. Znalazł się zbyt blisko krawędzi. Musiał cofać się powoli i ostrożnie, najpierw sam, potem z pomocą Marie. Boże, kiedy to się wreszcie skończy? Jak wiele może od niej wymagać? Co prawda, nigdy nie musiał jej prosić - zawsze sama ofiarowywała mu wszystko, co mogła,

Webb przeszedł wzdłuż rzędu szafek. Jego własna znajdowała się prawie na samym końcu. W pewnej chwili jego uwagę zwrócił jakiś jasny przedmiot, umieszczony mniej więcej na wysokości jego głowy. Przyspieszył kroku, by po chwili przekonać się, że to zwinięta kartka papieru, którą wepchnięto w szczelinę drzwi szafki. Wyszarpnął ją i rozwinął.

„Dzwoniła Pańska żona. Prosiła, żeby skontaktował się Pan z nią tak szybko, jak tylko Pan będzie mógł. Podobno to bardzo pilne. Raiph”.

Dozorca powinien ruszyć trochę głową i od razu go zawołać, pomyślał z gniewem Dawid, otwierając szafkę. Wydobył z kieszeni spodni garść drobnych, po czym podbiegł do wiszącego na ścianie telefonu i włożył do szczeliny monetę; z niepokojem zauważył, że drży mu ręka. Natychmiast domyślił się dlaczego: Marie nie używała słowa „pilne”. Unikała takich słów.

- Halo?

- O co chodzi?

- Domyśliłam się, że tam będziesz - powiedziała jego żona. - Panaceum Mo, które powinno cię wyleczyć, pod warunkiem, że wcześniej nie dostaniesz zawału serca.

- Co się stało?

- Wracaj do domu, Dawidzie. Czeka na ciebie ktoś, z kim musisz się zobaczyć. Pospiesz się, kochanie.

Podsekretarz stanu Edward McAllister ograniczył do minimum ceremonię prezentacji, ale udało mu się przekazać kilka szczegółów mających świadczyć jednoznacznie o tym, że należy do najwyższych kręgów Departamentu. Zarazem jednak starał się zbytnio nie podkreślać swojego znaczenia; był biurokratą znającym swój fach i spokojnym o to, że jego kwalifikacje pozwolą mu przetrzymać wszystkie zmiany w administracji.

- Jeśli pan sobie życzy, panie Webb, mogę poczekać, aż przebierze się pan w coś bardziej wygodnego.

Dawid cały czas był w przepoconym dresie, ponieważ zaraz po odwieszeniu słuchawki złapał ubranie z szafki i popędził do samochodu.

- Nie wydaje mi się - odparł. - Zważywszy na to, w jakiej instytucji pan pracuje, chyba nie może pan czekać zbyt długo.

- Usiądź, Dawidzie. - Marie St. Jacques Webb weszła do pokoju z dwoma ręcznikami. - Zechce

pan spocząć, panie McAllister.

Obaj mężczyźni zajęli miejsca naprzeciw siebie, po dwóch stronach wygaszonego kominka. Marie podała mężowi jeden z ręczników, a drugim zaczęła wycierać jego kark i ramiona. Blask stojącej na stole lampy podkreślał rdzawy odcień jej włosów i piękno rysów skrytej w półcieniu twarzy. Utkwiła wzrok w przedstawicielu Departamentu Stanu.

- Proszę mówić - zachęciła go. - Jak pan wie, posiadam takie same upoważnienia, jak mój mąż.

- Czyżby były co do tego jakieś wątpliwości? - zapytał Dawid z nie ukrywaną wrogością w głosie.

- Absolutnie żadnych - odparł McAllister z lekkim, ale szczerym uśmiechem. - Nikt, kto wie, czego dokonała pańska żona, nie śmiałby jej wykluczyć. Poradziła sobie tam, gdzie zawiodło wielu innych.

- To prawda - skinął głową Webb. - Choć jednocześnie nic to nie znaczy.

- Ejże, Dawidzie! Nie bądź taki spięty!

- Przepraszam, masz rację. - Webb próbował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia. - Jestem chyba uprzedzony, a nie powinienem, prawda?

- Ma pan do tego wszelkie prawo - odparł podsekretarz. - Ja na pańskim miejscu na pewno bym był. Choć nasza kariera przebiegała do pewnego czasu bardzo podobnie, gdyż ja także przez wiele lat przebywałem na Dalekim Wschodzie, to nikomu nawet przez myśl by nie przeszło powierzyć mi takie zadanie jak pańskie. To, co pan przeszedł, jest o całe lata świetlne nad moją głową.

- Nad moją też.

- Nie wydaje mi się. Wszyscy wiedzą, że to nie pan zawiódł.

- Jest pan bardzo miły. Proszę nie brać tego do siebie, ale tak ciepłe słowa od kogoś zajmującego pańskie stanowisko wywołują u mnie dreszcze.

- W takim razie może przejdziemy od razu do rzeczy?

- Bardzo proszę.

- Mam nadzieję, że nie osądził mnie pan zbyt pochopnie, panie Webb. Nie jestem pańskim wrogiem, a chciałbym zostać przyjacielem. Wiem, za które pociągnąć sznurki, żeby pana ochronić.

- Przed czym?

- Przed czymś, czego nikt się nie spodziewał.

- To znaczy?

- Za pół godziny od tej chwili pańska obstawa zostanie podwojona - powiedział McAllister, patrząc Dawidowi prosto w oczy. - To ja tak zdecydowałem, a jeśli uznam za stosowne, wzmocnię ją czterokrotnie. Każda osoba przyjeżdżająca do miasteczka uniwersyteckiego będzie dokładnie sprawdzana, a cały teren bezustannie patrolowany. Strażnicy przestaną wtapiać się w tło. Otrzymają polecenie, żeby jak najbardziej rzucać się w oczy.

- Boże! - Webb zerwał się z fotela. - Carlos!

- Raczej nie - odparł McAllister, kręcąc głową. - Oczywiście nie możemy tego wykluczyć, ale wydaje się to zbyt mało prawdopodobne.

- Rzeczywiście - zauważył znacznie spokojniej Dawid. - Gdyby to był on, wasi ludzie staraliby się być zupełnie niewidoczni. Pozwolilibyście mu się zbliżyć, a gdyby mnie zabił, to i tak by się opłacało.

- Nie mnie. Może mi pan nie wierzyć, ale naprawdę tak uważam.

- Dziękuję. Ale w takim razie, o czym właściwie mówimy?

- Ktoś dostał się do pańskich dokumentów, to znaczy do dokumentów Treadstone-71.

- Nielegalnie?

- Początkowo wszystko było jak najbardziej legalne. Stanęliśmy w obliczu poważnego kryzysu i w pewnym sensie nie mieliśmy wyboru. Dopiero potem okazało się, że coś jest nie w porządku i dlatego teraz boimy się o pana.

- Proszę trochę wolniej. Kto dobrał się do akt?

- Człowiek z wewnątrz, bardzo wysoko postawiony. Nikt nie mógł kwestionować jego uprawnień.

- Kto to był?

- Funkcjonariusz brytyjskiego MI 6 z Hongkongu, od lat cieszący się zaufaniem CIA. Przyleciał do Waszyngtonu i od razu poszedł do pewnego człowieka z Agencji, który utrzymywał z nim kontakt. Zażądał dostępu do wszystkich informacji, jakie posiadamy na temat Jasona Bourne'a. Twierdził, że mają kłopoty bezpośrednio związane z projektem Treadstone, a także dał oględnie do zrozumienia, iż udostępnienie mu tych akt stanowi warunek kontynuowania dobrej współpracy między naszymi wywiadami.

- Musiał chyba podać jakieś konkretne powody.

- Podał. - McAllister umilkł na chwilę, mrugając nerwowo powiekami i pocierając dłonią czoło.

- Jakie?

- Jason Bourne wrócił - powiedział cicho funkcjonariusz Departamentu Stanu. - Znowu zabija. W Koulunie.

Marie wciągnęła gwałtownie powietrze i zacisnęła palce na ramieniu męża, wpatrując się z napięciem w siedzącego naprzeciwko nich mężczyznę. Dawid nie poruszył się, ale jego utkwiony w McAllisterze wzrok przypominał spojrzenie człowieka, który nagle ujrzał przed sobą jadowitą kobrę.

- Co pan wygaduje, do cholery? - szepnął wreszcie, a potem uniósł głos. - Jason Bourne... ten Jason Bourne już nie istnieje! Nigdy nie istniał!

- Pan o tym wie i my o tym wiemy, lecz w Azji jego legenda ciągle żyje. Pan ją stworzył, panie Webb, zresztą w znakomity sposób, jeśli chce pan znać moje zdanie.

- Nie interesuje mnie pańskie zdanie, panie McAllister - powiedział Dawid. Odsunął dłoń żony i wstał z miejsca. - Nad czym pracuje ten agent MI 6? Ile ma lat? Jaki był jego dotychczasowy przebieg służby? Chyba wzięliście go natychmiast pod lupę, prawda?

- Oczywiście, ale nie znaleźliśmy niczego szczególnego. Londyn potwierdził jego najwyższe kwalifikacje, obecny przydział, jak również wszystko, co nam powiedział. Jest szefem placówki MI 6

w Hongkongu i nawet brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wyraziło o nim bardzo pochlebną opinię. Został wciągnięty do sprawy przez policję w Hongkongu, podejrzewającą jakieś poważne komplikacje.

- To nieistotne! - krzyknął Webb, potrząsając głową. - On zdradził, panie McAllister! - dodał nieco ciszej. - Ktoś zaproponował mu fortunę za uzyskanie dostępu do tej teczki, a on posłużył się jedynym kłamstwem mającym pozory prawdopodobieństwa, które wy połknęliście bez zmruczenia oka!

- Obawiam się, że to nie jest kłamstwo. Zarówno on sam, jak i Londyn nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. Jakiś Jason Bourne zjawił się ponownie w Azji.

- Zapewniam pana, że nie byłby to pierwszy przypadek zdrady wieloletniego i cieszącego się zaufaniem, ale nisko opłacanego agenta.

Tyle lat ciężkiej, ryzykownej pracy, tyle niebezpieczeństw, a właściwie żadnych konkretnych efektów. Uczepił się okazji, która miała mu zapewnić spokojne, dostatnie życie. W tym wypadku chodziło o te dokumenty.

- Nawet jeśli rzeczywiście tak było, to niewiele na tym skorzystał. Nie żyje.

- Co takiego?

- Dwa dni temu zastrzelono go w jego biurze w Koulunie, zaledwie w godzinę po tym, jak przyleciał do Hongkongu.

- Do diabła, to niemożliwe! - wykrzyknął ze zdumieniem Dawid. - Pierwszą rzeczą, jaką robi facet zdradzający swego dotychczasowego chlebodawcę, jest poinformowanie nowego, że w razie, gdyby przydarzyło mu się coś nieoczekiwanego, odpowiednie informacje dotrą do właściwych osób! To jedyne zabezpieczenie, jakie może mieć!

- Był czysty - powtórzył z uporem McAllister.

- Albo głupi.

- Tego byśmy nie powiedzieli.

- A c o byście powiedzieli?

- Że szedł intrygującym tropem, według wszelkiego prawdopodobieństwa prowadzącym do wydarzeń, które mogą zaowocować niesamowitą eskalacją przemocy w podziemnym świecie Hongkongu i Makau. W szeregi przestępczych organizacji wkrada się coraz większy chaos, zupełnie nieznany podczas wojen gangów w latach dwudziestych i trzydziestych. Mnożą się zabójstwa. Rywalizujące grupy wszczynają otwarte zamieszki. Portowe nabrzeża zamieniają się w pola bitew, wylatują w powietrze całe statki, wysadzone z zemsty lub w celu wyeliminowania konkurencji. Może się za tym kryć tylko walka potężnych sił... albo Jason Bourne.

- Bourne nie istnieje, więc to sprawa dla policji, a nie dla MI 6!

- Pan McAllister powiedział przed chwilą, że ten człowiek został „wciągnięty do sprawy” przez policję z Hongkongu - odezwała się Marie, nie spuszczać wzroku z twarzy podsekretarza stanu. - Ta decyzja z pewnością została zatwierdzona przez MI 6. Dlaczego?

- To wszystko nie trzyma się kupy! - parsknął Dawid.

- Jason Bourne nie został stworzony przez policję, lecz przez wywiad USA, we współpracy z

Departamentem Stanu - dodała Marie, stając przy swoim mężu. - Podejrzewam, że MI 6 włączył się do akcji z ważniejszego powodu, niż tylko po to, by ująć mordercę podającego się za Jasona Bourne'a. Czy mam rację, panie McAllister?

- Całkowitą, pani Webb. To znacznie ważniejszy powód. Podczas trwających niemal bez przerwy od dwóch dni dyskusji doszliśmy do wniosku, że pani zrozumie to lepiej niż ktokolwiek z nas. Chodzi o istotny problem natury ekonomicznej, który może doprowadzić do ogromnego politycznego zamieszania nie tylko w Hongkongu, ale także na całym świecie. Jest pani znakomitą ekonomistką, współpracującą kiedyś z rządem Kanady. Służyła pani radą waszym ambasadorom i delegacjom w wielu krajach.

- Czy bylibyście uprzejmi mówić nieco jaśniej w obecności człowieka, który w tym domu podpisuje wszystkie czeki? - zapytał uprzejmie Dawid.

- To nie jest odpowiednia chwila na jakiegokolwiek zaburzenia rynkowe w Hongkongu, panie Webb. Nawet jeśli chodzi o tamtejsze podziemie gospodarcze. Takie zaburzenia, połączone z eskalacją przemocy, stwarzają wrażenie niestabilności, przede wszystkim rządu, ale być może też poważniejszej, sięgającej znacznie głębiej. To nie jest odpowiedni czas na to, żeby dostarczać ekspansjonistom w czerwonych Chinach więcej amunicji, niż już mają.

- Mógłby pan to wszystko jeszcze raz powtórzyć, ale powoli i wyraźnie?

- Chodzi o chińsko-brytyjski układ w sprawie Hongkongu - odezwała się przyciszonym głosem Marie. - Wygasa w roku 1997, czyli za niespełna dziesięć lat, i Londyn rozpoczął już negocjacje w sprawie nowego. Wszyscy są w związku z tym bardzo nerwowi i podejrzliwi, i lepiej, żeby nikt nie kołysał łodzią. Spokój i stabilizacja, o to teraz przede wszystkim chodzi.

Dawid spojrział na nią, po czym przeniósł wzrok na McAllistera i skinął głową.

- Rozumiem. Czytałem o tym w gazetach, ale szczerze mówiąc, nie jest to temat, o którym bym zbyt dużo wiedział.

- Mój mąż interesuje się innymi zagadnieniami - wyjaśniła Marie McAllisterowi. - Przede wszystkim ludźmi i tworzonymi przez nich cywilizacjami.

- Zgadza się - potwierdził Webb. - I co z tego?

- Mnie z kolei pasjonują pieniądze, ich bezustanna wymiana, tworzenie i rozszerzanie się rynków, stabilizacja lub jej brak. Hongkong istnieje wyłącznie dzięki pieniądзом. To jego jedyne bogactwo naturalne. Bez pieniędzy natychmiast zginąłby tam cały przemysł, tak jak wysychają pompy nie zalewane przez dłuższy czas.

- A jeśli zabraknie stabilizacji, natychmiast pojawi się chaos - dodał McAllister. - Wiedzą o tym doskonale nastawieni wojowniczo starcy z chińskiego kierownictwa. Pekin wysyła wojsko, tłumy rozruchy, a potem nie ma już nic, tylko niedołączony kolos borykający się z dodatkowym ciężarem wyspy i Nowych Terytoriów. Trzeźwiejsze głosy są zagłuszane przez agresywnych krzykaczy pragnących ratować twarz za pomocą siły militarnej. W chwili gdy upadną działające w Hongkongu banki, wymiana handlowa na Dalekim Wschodzie praktycznie przestanie istnieć.

- Chińczycy naprawdę byliby gotowi to zrobić?

- Hongkong, K-oulun, Makau i Nowe Terytoria stanowią część tak zwanego „wielkiego kraju pod jednym niebem” i nawet brytyjsko--chiński układ nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. To jeden organizm, a jak pan sam doskonale wie, żaden człowiek Wschodu nie będzie

tolerował nieposłusznego dziecka.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że jeden człowiek podający się za Jasona Bourne'a może spowodować tak ogromny kryzys? Nie wierzę!

- To najgorszy z możliwych scenariuszy, ale owszem, może tak się zdarzyć. Widzi pan, jego otacza legenda, a jest to coś w rodzaju czynnika hipnotycznego. Przypisuje mu się wiele zabójstw, choćby po to, by usunąć w cień innych morderców, fanatycznych konspiratorów z prawa i lewa, zakładających przy każdej nadarzającej się sposobności jego maskę. Jeśli się pan nad tym zastanowi, przyzna pan, że sam mit został stworzony właśnie w taki sposób. Kiedy tylko w tamtym rejonie świata została zabita jakaś ważna osoba, pan, jako Jason Bourne, robił wszystko, żeby morderstwo zapisano na pańskie konto. Po dwóch latach stał się pan legendarną postacią, choć w rzeczywistości zabił pan tylko jednego człowieka, pijanego donosiciela z Makau, który chciał poderżnąć panu gardło.

- Nie pamiętam tego - powiedział Dawid.

Człowiek z Departamentu Stanu skinął współczująco głową.

- Wiem. Sam pan widzi, że gdyby zamordowano jakąś naprawdę ważną osobistość, na przykład brytyjskiego gubernatora albo przewodniczącego chińskiej delegacji na rokowania, cała kolonia znalazłaby się w stanie wrzenia. - McAllister umilkł na chwilę, kręcąc głową ze smutkiem. - To jednak nasze zmartwienie, nie pańskie. Mogę pana tylko zapewnić, że pracują nad tym najlepsi ludzie, jakich tam mamy. Pan ma się troszczyć tylko o siebie, panie Webb. Pan, a także ja, bo to sprawa mego sumienia. Musimy pana chronić za wszelką cenę.

- Nikt nie powinien był dostać tych dokumentów - zauważyła lodowatym tonem Marie.

- Nie mieliśmy wyboru. Ściśle współpracujemy z Brytyjczykami i musieliśmy dostarczyć im dowodu, że z Treadstone już koniec i że pani mąż jest tysiące mil od Hongkongu,

- Zdradziliście im miejsce jego pobytu? - wykrzyknęła Marie St. Jacques Webb. - Kto wam pozwolił?

- Nie mieliśmy wyboru - powtórzył McAllister pocierając palcami czoło. - W obliczu pewnych kryzysów konieczna jest pełna współpraca. Jestem pewien, że pani to rozumie.

- Jedno, czego nie rozumiem, to dlaczego w ogóle istniała jakaś teczka z dokumentami dotyczącymi mojego męża! - wycedziła z wściekłością Marie. - Wszystko miało pozostać w najgłębszej tajemnicy!

- Zażądał tego Kongres, który finansuje wszystkie operacje wywiadowcze. Takie jest prawo.

- Dajmy temu spokój! - przerwał im gniewnie Dawid. - Skoro jest pan tak dobrze poinformowany, to z pewnością wie pan także, skąd się wziąłem. Gdzie są wszystkie materiały dotyczące „Meduzy”?

- Tego nie mogę powiedzieć - odparł McAllister.

- Właśnie pan to zrobił.

- Doktor Panov błagał was, żebyście zniszczyli wszystkie dokumenty dotyczące Treadstone - przypomniała mu Marie. - A jeśli nie zniszczyli, to przynajmniej zastąpili prawdziwe nazwiska fałszywymi, lecz wy nawet tego nie zrobiliście. Co z was za ludzie?

- Gdyby to ode mnie zależało, na pewno kazałbym tak zrobić! - wybuchnął z zaskakującą gwałtownością McAllister. - Proszę mi wybaczyć, pani Webb... Ja jeszcze wtedy nie zajmowałem się tymi sprawami. Jestem głęboko oburzony, podobnie jak pani. Może rzeczywiście nie powinien pozostać żaden ślad tamtej operacji? Istnieją przecież sposoby, żeby...

- Gówno prawda - przerwał mu Dawid głuchym głosem. - To wszystko należy do innej strategii, innego planu. Chcecie dostać Carlosa i nie interesują was koszty z tym związane.

- Mnie interesują, panie Webb. Oczywiście, w to także nie musi pan wierzyć. Co Szakal może znaczyć dla mnie lub dla całego wydziału Dalekiego Wschodu? To europejski problem, nie nasz.

- Chce mi pan powiedzieć, że spędziłem trzy lata mego życia polując na człowieka, który nic nie znaczy?

- Skądże znowu. Po prostu zmieniają się czasy, a wraz z nimi perspektywa. Niektóre sprawy zaczynają nagle wydawać się błahe i nieistotne.

- O, Boże!

- Spokojnie, Dawidzie - szepnęła jego żona przyglądając się uważnie człowiekowi z Departamentu Stanu, który siedział w fotelu z pobladłą twarzą, zaciskając kurczowo dłonie na poręczach. - Wszyscy musimy się uspokoić - dodała głośniejszym głosem i spojrzała Dawidowi prosto w oczy. - Dzisiaj po południu coś się stało, prawda?

- Opowiem o tym później.

- Oczywiście. - Marie ponownie przeniosła wzrok na McAllistera. Dawid usiadł głębiej w fotelu. Wydawał się bardzo zmęczony, a jego twarz wyglądała znacznie starszej niż zaledwie kilka minut temu. - Wszystko, co pan do tej pory mówił, miało nas do czegoś doprowadzić, prawda? Jest jeszcze coś, o czym chce pan nas poinformować.

- Zgadza się. Proszę mi wierzyć, że nie jest to dla mnie łatwe. Dopiero niedawno zaznajomiono mnie ze wszystkimi aspektami sprawy pani męża.

- Łącznie ze śmiercią jego żony i dzieci w Kambodży?

- Tak.

- W takim razie proszę mówić, co ma pan do powiedzenia. McAllister po raz kolejny uniósł szczupłą dłoń i potarł czoło.

- Z uzyskanych przez nas informacji, potwierdzonych przez Londyn pięć godzin temu, wynika, że pani mąż prawdopodobnie stał się celem wynajętego mordercy.

- Ale to nie Szakal, prawda? - zapytał Webb, prostując się w fotelu.

- Nie. W każdym razie nie dostrzegamy żadnego związku.

- A co dostrzegacie? - zapytała Marie, przysuwając się do Dawida. - Czego się dowiedzieliście?

- Zabity w Koulunie oficer MI 6 miał w swoim biurze wiele dokumentów, za które sporo majątnych osób z Hongkongu zapłaciłoby wysoką cenę. Jednak jedyną teczką, która zniknęła, była ta z materiałami dotyczącymi Treadstone-71 i Jasona Bourne'a. Właśnie to potwierdził nam Londyn. To tak, jakby wysłano sygnał: tego człowieka musimy dostać.

- Ale dlaczego? - niemal wykrzyknęła Marie, zaciskając palce na dłoni Dawida.

- Dlatego, że zginął człowiek, a ktoś postanowił wyrównać rachunki - odparł spokojnie Webb.

- Właśnie nad tym pracujemy - powiedział McAllister, kiwając głową. - Udało nam się osiągnąć pewien postęp.

- Kogo zabito? - zapytał człowiek, który kiedyś był Jasonem Bourne'em.

- Zanim panu odpowiem, musi pan wiedzieć, że do wszystkiego, co pan usłyszy, nasi ludzie w Hongkongu dogrzebali się zupełnie sami. Częściowo są to czyste spekulacje, ponieważ nie dysponujemy żadnymi dowodami.

- Co to znaczy „zupełnie sami”? A gdzie byli Brytyjczycy, do cholery? Przecież udostępniłście im dokumenty Treadstone!

- Wykazali ponad wszelką wątpliwość, że ów człowiek został zamordowany w imieniu Treadstone - w pańskim imieniu. W związku z tym nie mieli najmniejszej ochoty zdradzać nam swoich kontaktów, dokładnie tak samo, jak my nie poinformowalibyśmy ich o naszych. Nasi ludzie pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, sprawdzając każdą możliwość. Próbowali dotrzeć do źródeł informacji człowieka z MI 6, przypuszczając, że tam może się znajdować wyjaśnienie przyczyny jego śmierci. Natrafili na obiecującą plotkę w Makau, ale okazało się, że to tylko plotka.

- Powtarzam pytanie: Kogo zabito?

- Kobietę - odparł McAllister. - Żonę miejscowego bankiera o nazwisku Yao Ming, potężnego taipana, którego bank stanowi jedynie drobną część jego bogactwa. Ma tak olbrzymi majątek, że został nawet zaproszony do Pekinu w charakterze konsultanta i potencjalnego inwestora. Jest wpływowy, silny i niedostępny.

- Okoliczności?

- Paskudne, choć dość typowe. Jego żona, znacznie od niego młodsza, była kiepską aktoreczką; wystąpiła w kilku filmach nakręconych w miejscowych wytwórniach. Co się tyczy wierności, to pod tym względem dorównywała norce w okresie rui, jeśli pani wybaczy porównanie...

- Proszę mówić dalej - ponagliła go Marie.

- On jednak wolał za każdym razem patrzeć w inną stronę, traktując ją jak młodą, piękną ozdobę. Należała do miejscowej śmietanki towarzyskiej, składającej się z bardzo nieciekawych typów. Życie trwało od weekendu do weekendu: szaleńczy hazard w Makau, wyścigi konne w Singapurze, palarnie opium na Peskadorach i kibicowanie odmianie rosyjskiej ruletki, kiedy dwaj ludzie siedzą naprzeciw siebie po dwóch stronach stołu i strzelają z rewolwerów naładowanych tylko jednym pociskiem. Do tego wszystkiego należy dodać, rzecz jasna, narkotyki. Jej ostatni kochanek zajmował się dystrybucją. Miał dostawców w Kantonie, a trasy przerzutów prowadziły wzdłuż wschodnich brzegów zatoki.

- Według raportów jest to bardzo ruchliwy szlak - przerwał mu Webb. - Dlaczego skoncentrowaliście się akurat na tym człowieku?

- Dlatego, że w szybkim tempie wykańczał wszystkich konkurentów, sownie opłacając chińskie patrole przybrzeżne, żeby zatapiały ich łodzie i pozbywały się załóg. Zlecenia były wykonywane bardzo skrupulatnie, a morze coraz częściej wyrzucało na brzeg ciała podziurawione kulami. W świecie przemytników rozgorzała prawdziwa wojna, a kochanek młodej aktoreczki został skazany na śmierć.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, powinien liczyć się z takim niebezpieczeństwem. Na pewno miał stale przy sobie co najmniej dziesięciu goryli.

- Słusznie. Żeby przedrzeć się przez taką ochronę, trzeba kogoś otoczonego legendą. I jego wrogowie wynajęli właśnie takiego człowieka.

- Bourne... - szepnął Dawid, potrząsając głową.

- Tak jest - potwierdził McAllister. - Dwa tygodnie temu handlarz narkotyków i żona Yao Minga zostali zastrzeleni w łóżku w hotelu Lisboa, w Makau. Z trudem można było rozpoznać ich ciała. Ustalono, że zabójca posługiwał się pistoletem maszynowym uzi. Przykry incydent starannie zatuszowano, przekupując policję i funkcjonariuszy rządowych ogromnymi sumami pieniędzy, oczywiście pochodzącymi z kieszeni taipana.

- Pozwoli pan, że resztę ja dopowiem - przerwał mu Dawid bezbarwnym tonem. - Uzi. Ta sama broń, którą dokonano poprzedniego zabójstwa przypisywanego Bourne'owi.

- Pistolet maszynowy tego typu znaleziono w kabarecie w Kou-lunie, przed drzwiami prywatnego gabinetu konferencyjnego. W pomieszczeniu leżało pięć trupów, wśród nich trzech najzamożniejszych biznesmenów kolonii. Brytyjczycy nie bawili się w słowne relacje, tylko pokazali nam kilka bardzo realistycznych zdjęć.

- Brakującym ogniwem, którego szukali wasi ludzie, okazał się zapewne ten taipan, Yao Ming?

- Ustalili, że był informatorem MI 6. Układy, jakie miał w Pekinie, czyniły z niego nadzwyczaj efektywnego współpracownika wywiadu. Był nieoceniony.

- Kiedy więc zamordowano jego śliczną, ukochaną żonę...

- Powiedziałbym raczej: jego śliczną, ukochaną zdobycz - poprawił go McAllister.

- Słusznie - skinął głową Webb. - Zdobycz jest znacznie ważniejsza od żony.

- Spędziłem wiele lat na Dalekim Wschodzie. Jest na to specjalne określenie... Chyba w dialekcie mandaryńskim, ale nie pamiętam dokładnie.

- Ren youjiaqian - powiedział Dawid. - Człowiek ma cenę.

- Tak, chyba właśnie to.

- W porządku. Tak więc rozwścieczony taipan kontaktuje się z człowiekiem z MI 6 i żąda od niego informacji na temat Jasona Bourne'a, który zabił jego żonę albo, jeśli pan woli, pozbawił go zdobyczy. W przeciwnym razie brytyjski wywiad może przestać otrzymywać informacje z Pekinu.

- Tak właśnie odczytali to nasi ludzie. W nagrodę za swój trud człowiek z MI 6 został zamordowany, Yao Ming bowiem nie mógł sobie pozwolić na to, by w jakikolwiek sposób łączono jego nazwisko z Bourne'em. Taipana musiał pozostać poza wszelkimi podejrzeniami. Pragnął zemsty, lecz nie za cenę zdemaskowania.

- Co wam na to powiedzieli Brytyjczycy?

- Że mamy trzymać się z daleka. Londyn dał nam jasno do zrozumienia, że zawaliliśmy Treadstone, więc w tej delikatnej sytuacji nie chcą mieć w Hongkongu do czynienia z naszą nieporadnością.

- Czy pociągnęli do odpowiedzialności Yao Minga? - zapytał Webb, przypatrując się uważnie

podsekretarzowi stanu.

- Kiedy poruszyłem ten temat, odparli, że nie może być o tym mowy. Moja sugestia chyba jeszcze bardziej ich rozwścieczyła.

- Nietykalny - powiedział Dawid.

- Zdaje się, że chcą z niego w dalszym ciągu korzystać.

- Pomimo tego, co zrobił? - nie wytrzymała Marie. - I pomimo tego, co ma oż e zrobić mojemu mężowi?

- To zupełnie inny świat, proszę pani - powiedział cicho McAllister.

- Przecież współpracowaliście z nimi...

- Bo musieliśmy - przerwał jej człowiek z Departamentu Stanu.

- Więc teraz zażądajcie współpracy od nich!

- Wtedy oni będą się od nas domagać nowych rzeczy. Nie możemy tego zrobić.

- Kłamcy! - Marie odwróciła głowę z odrazą.

- Wszystko, co powiedziałem, jest prawdą, pani Webb.

- Jak pan sądzi, dlaczego jakoś nie mogę panu uwierzyć? - zapytał Dawid.

- Być może dlatego, że nie może pan uwierzyć swojemu rządowi. Wiem, że ma pan po temu wszelkie powody. Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że jestem uczciwym człowiekiem. Może pan to przyjąć lub nie, ale tymczasem ja uczynię wszystko, żeby był pan bezpieczny.

- Dlaczego tak dziwnie mi się pan przygląda?

- Dlatego, że pierwszy raz w życiu znalazłem się w takiej sytuacji. Rozległ się dzwonek do drzwi. Marie potrząsnęła głową, wstała i ruszyła szybkim krokiem w kierunku wejścia. Otworzywszy drzwi stanęła jak wryta, wpatrując się przed siebie osłupiałym wzrokiem i wstrzymując na chwilę oddech. Dwaj mężczyźni wyciągali w jej stronę plastikowe karty identyfikacyjne, błyszczące w świetle palących się na werandzie lamp. Za nimi, na podjeździe, stał ciemny samochód.

W środku widać było kilka sylwetek i jeden czy dwa żarzące się punkciki papierosów. Strażnicy. Niewiele brakowało, żeby przeraźliwie krzyknęła.

Edward McAllister wsiadł do swego rządowego samochodu i spojrzął przez zasuniętą szybę na stojącego w drzwiach domu Dawida Webba. Człowiek, który kiedyś był Jasonem Bourne'em, nie poruszył się, mierząc twardym spojrzeniem odjeżdżającego gościa.

- Znikamy stąd - powiedział McAllister do kierowcy, łysiejącego mężczyzny mniej więcej w jego wieku, w okularach w rogowej oprawie wypełniających przestrzeń między nosem a wysokim czołem.

Samochód ruszył powoli, prowadzony ostrożnie przez szofera nie znajęcego wąskiej, wysadzonej drzewami uliczki. Przez kilka minut we wnętrzu pojazdu panowała cisza. Przerwał ją kierowca.

- Jak poszło?

- Jak poszło? - powtórzył podsekretarz stanu. - Ambasador powiedziałby, że „wszystkie

elementy układanki znalazły się na swoich miejscach". Są już fundamenty, jest i logika. Praca misyjna zakończona.

- Miło mi to słyszeć.

- Doprawdy? W takim razie mnie też. - McAllister uniósł drżącą dłoń do skroni. - Nieprawda! - wybuchnął niespodziewanie. - Chce mi się rzygać!

- Przykro mi, ale...

- A skoro już mówimy o pracy misyjnej, to jestem chrześcijaninem. To znaczy, wierzę, wprawdzie nie jak fanatyk leżący krzyżem w kościele, ale wierzę. Razem z żoną chodzimy przynajmniej dwa razy w miesiącu do kościoła, a moi dwaj synowie służą do mszy. Daję duże ofiary, bo takie mam życzenie. Potrafi pan to zrozumieć?

- Oczywiście. Nie podchodzę do tego w ten sposób, ale doskonale pana rozumiem.

- Ja właśnie wyszedłem z domu tego człowieka!

- Spokojnie! O co panu chodzi?

McAllister wpatrywał się przed siebie. Reflektory nadjeżdżających z przeciwka samochodów tworzyły cienie przesuwające się po jego twarzy.

- Niech Bóg zlituje się nad moją duszą... - wyszeptał.

ROZDZIAŁ 4

Ciemność wypełniły nagle przeraźliwe krzyki i szybko zbliżająca się kakofonia podniesionych głosów. Chwilę potem rozpedzone ciała i wykrzywione w zawziętych grymasach twarze otoczyły ich ze wszystkich stron. Webb padł na kolana, zasłaniając twarz i kark rękami, kołysząc się raptownie na boki, by utrudnić celowanie. Fakt, że miał na sobie ciemne ubranie, działał na jego korzyść, lecz niewiele mogło mu to pomóc, kiedy posypie się grad zmasowanego ognia, rozszarpując nie tylko jego, ale i towarzyszących mu strażników. Ale zabójca wcale nie musiał posługiwać się bronią palną. Istniały jeszcze niosące śmiertelną truciznę strzałki, wyrzucane bezszelestnie z wiatrówki. Jeśli dosięgły nie osłoniętego niczym ciała, zgon następował najdalej w ciągu kilku minut, a nawet sekund.

Jakaś dłoń opadła na jego ramię! Odwrócił się raptownie, unosząc rękę i jednocześnie odskoczył w bok, przyczajony niczym zwierzę.

- Wszystko w porządku, profesorze? - zapytał strażnik, uśmiechając się szeroko w blasku latarki.

- Co... Co to? Co się stało?

- A to dopiero! - wykrzyknął drugi goryl, zbliżając się z lewej strony. Dawid wyprostował się z trudem.

- Co takiego?

- Te dzieciaki! Aż przyjemnie popatrzeć, co wyrabiają! Wrzawa ucichła równie nagle, jak wybuchła. Na rozległej, porośniętej trawą przestrzeni w środku miasteczka akademickiego znowu zapanował spokój. W pewnej odległości, pomiędzy kamiennymi budynkami otaczającymi tereny rekreacyjne i stadion migotało światło pochodni. Pochód rozwrzeszczanych kibiców dotarł już niemal na miejsce, a obaj strażnicy szczerzyli w uśmiechu zęby.

- Jak tam, profesorze? - zagadnął ten z lewej strony. - Lepiej się pan czuje, jak tu jesteśmy?

Już po wszystkim. Szaleństwo ogarniające jego umysł zniknęło. Ale czy na pewno? Dlaczego serce nadal waliło mu jak młotem? Dlaczego wciąż był przestraszony i zdumiony? Coś było nie tak.

- Dlaczego ta wczorajsza parada ciągle nie daje mi spokoju? - zapytał Dawid następnego ranka przy porannej kawie w ich starym, wiktoriańskim domu.

- Przestałeś chodzić na spacer po plaży - zauważyła Marie, kładąc sadzone jajko na świeżym toście. - Zjedz to, zanim zapalisz papierosa.

- Naprawdę mnie to męczy. Dopiero wczoraj uświadomiłem sobie, że od tygodnia jestem wypchaną kaczką na strzelnicy.

- Co masz na myśli? - Marie zalała patelnię wodą i wstawiła ją do zlewozmywaka. - Sześciu ludzi ochrania ci „skrzydła”, jak sam to określiłeś, a dwaj są bezustannie z przodu i z tyłu.

- Parada.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie wiem. Wszyscy na swoich miejscach, maszerujący w takt bicia bębnow. Naprawdę, nie

wiem...

- Ale coś przeczuwasz?

- Chyba tak.

- Więc powiedz mi co. Twoje przeczucia ocaliły mi kiedyś życie na Guisan Quai w Zurychu. Chciałabym je usłyszeć... To znaczy niekoniecznie, ale będzie lepiej, jeśli mi powiesz.

Webb przekroił tost, rozlewając żółtko na talerzyku.

- Wiesz, jak łatwo byłoby wczoraj komuś młodemu, wyglądającemu na studenta wmieszać się w tłum i strzelić do mnie zatrutą strzałką z wiatrówki? Zamaskowałyby pyknięcie kaszlem albo głośniejszym śmiechem, a ja miałbym w krwiobiegu kilka centymetrów sześciennych strychniny.

- Wiesz o tych sprawach znacznie więcej ode mnie.

- Oczywiście. Choćby dlatego, że ja właśnie tak bym to zrobił.

- Nie. Tak zrobiłby Jason Bourne, nie ty.

- Masz rację, ale to nie zmienia samego faktu.

- Co się właściwie wczoraj stało?

Dawid dziobał w zamyśleniu widelcem zimny jużjstost.

- Seminarium jak zwykle trochę się przeciągnęło. Zaczęło się już ściemniać, więc razem ze strażnikami poszedłem na przełaj w kierunku parkingu. Po drodze spotkaliśmy pochód kibiców; nie było ich zbyt wielu, ale wobec nas trzech stanowili prawdziwy tłum. Minęli nas, niosąc pochodnie, wrzeszcząc i śpiewając piosenki, a ja pomyślałem, że to właśnie teraz. Że jeśli kiedykolwiek w ogóle ma się zdarzyć, to właśnie teraz. Uwierz mi, przez kilka chwil znowu byłem Bourne'em. Przypadłem do ziemi, robiłem uniki, obserwowałem wszystko, co się dzieje. Niewiele brakowało, a wpadłbym w panikę.

Przerwał.

- I co? - zapytała Marie, zaniepokojona przedłużającym się milczeniem męża.

- Moi strażnicy gapili się i śmiali do rozpuku, traktując to jak znakomitą zabawę.

- Właśnie to cię zaniepokoiło?

- Instynkt. Mój układ nerwowy mówił mi, że stanowią łatwy cel w tym tłumie.

- Z kim ja teraz rozmawiam?

- Nie jestem pewien. Wiem tylko tyle, że w ciągu tych kilku minut wszystko przestało mieć dla mnie jakkolwiek sens, a chwilę potem jeden ze strażników podszedł do mnie i powiedział coś w rodzaju: „Przyjemnie popatrzeć, co wyrabiają te dzieciaki!” Wymamrotałem coś bez sensu, a on na to: „Jak tam, profesorze? Lepiej się pan czuje, jak tu jesteśmy?” - Dawid podniósł wzrok na żonę. - Rozumiesz? Czy j a się lepiej czuję?

- Wiedział, że mają za zadanie cię chronić - wtrąciła Marie. - Na pewno chodziło mu o to, czy czujesz się bezpieczniejszy.

- Czyżby? Rozwrzeszczany tłum, ciemność, prawie nic nie widać, niewyraźne twarze, a on śmieje się w najlepsze... Obaj się śmiali. Czy na pewno są tu po to, żeby mnie chronić?

- A po cóż innego?

- Nie wiem. Może to dlatego, że byłem tam, gdzie nie był żaden z nich. Może po prostu za dużo myślę, między innymi o McAllisterze i jego dziwnym spojrzeniu. Gdyby nie mrugał, powiedziałbym, że ma oczy martwej ryby. Można w nich było wyczytać wszystko, cokolwiek się chciało, zależnie od nastawienia.

- To, co ci powiedział, było wstrząsające - rzekła Marie. Oparła się o zlewozmywak i ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami mierzyła męża uważnym spojrzeniem. - Bardzo to przeżyłeś, podobnie jak ja.

- Na pewno masz rację. - Webb skinął głową. - Może jest w tym jakaś ironia, ale oprócz wielu rzeczy, które chciałbym sobie przypomnieć, jest bardzo dużo takich, których wolałbym nie pamiętać.

- Dlaczego nie zadzwonisz do McAllistera i nie powiesz mu, co myślisz i czujesz? Masz przecież bezpośredni numer telefonu i do biura, i do domu. Mo Panov z pewnością kazałby ci to zrobić.

- Tak, niewątpliwie. - Dawid bez przekonania włożył do ust kawałek tostu. - Usłyszałbym coś w rodzaju: „Jeśli pragniesz pozbyć się jakiegoś konkretnego lęku, zrób to najszybciej, jak możesz”.

- Więc zastosuj się do tej rady.

Webb uśmiechnął się, wykazując równie wielki entuzjizm, jak przed chwilą apetyt.

- Może to zrobię, a może nie. Wolałbym nie ogłaszać wszem wobec nawrotu manii prześladowczej, czy jak tam oni to nazywają. Mo przyleciałby tu w ciągu kilku godzin i zrobiłby mi z mózgu galaretę.

- Gdyby nie miał czasu, ja się chętnie tym zajmę.

- Ni shi nuhaizi - powiedział Dawid. Wytarł usta papierową serwetką, wstał z krzesła i ruszył w jej stronę.

- A cóż to znaczy, mój tajemniczy mężu i kochanku numer osiemdziesiąt siedem?

- Bogini-suka. A w wolnym przekładzie, że jesteś małą, ale niezupełnie małą, dziewczynką, i że trzy razy na pięć mogę postawić na swoim, szczególnie w łóżku, gdzie są ciekawsze rzeczy do robienia, niż spuszczenie ci porządnego lania.

- I to wszystko w zaledwie trzech wyrazach?

- My nie marnujemy słów, my malujemy obrazy... Muszę już iść. Dzisiaj na przedpołudniowym konwersatorium zajmujemy się królem Syjamu Ramą II i jego roszczeniami wobec państw Malajów na początku dziewiętnastego wieku. Nudne jak flaki z olejem, ale ważne. Co gorsza, mam studenta z Birmy, który chyba wie na ten temat więcej ode mnie.

- Syjam? - zapytała Marie przytrzymując go przy sobie. - To Tajlandia, prawda?

- Tak, teraz to Tajlandia.

- Twoja żona, dzieci... Czy to bardzo boli, Dawidzie? Spojrzał na nią, czując, jak bardzo ją kocha.

- Nie, bo tego nie pamiętam. Czasem mam nadzieję, że nigdy sobie nie przypomnę.

- Ja wcale tak nie myślę. Chciałabym, żebyś ich widział, słyszał i czuł, i zdawał sobie sprawę, że

ja także ich kocham.

- O, mój Boże...

Przytulili się do siebie w ciepło, które należało tylko do nich i do nikogo innego na świecie.

Kiedy Webb po raz drugi usłyszał w słuchawce zajęty sygnał, odłożył ją na widełki i zajął się ponownie lekturą „Syjamu pod panowaniem Ramy II” W. F. Vella, aby sprawdzić, czy student z Birmy miał rację mówiąc o konflikcie, do jakiego doszło między Ramą II a sułtanem Kedahu o wyspę Penang. Nadszedł czas konfrontacji; zamiast pagód z wierszy Kiplinga pojawił się przemądrzały student z Birmy, nie wykazujący najmniejszego szacunku dla starszych wiekiem i doświadczeniem. Kipling z pewnością by to zrozumiał i natychmiast się z nim rozprawił.

Rozległo się krótkie, ostre pukanie i drzwi gabinetu otworzyły się, zanim Dawid zdążył cokolwiek powiedzieć. Okazało się, że to jeden ze strażników, ten sam, który rozmawiał z nim wczoraj wieczorem podczas pochodu kibiców - wśród tłumu, zgietku i gnębiących Dawida zmór.

- Cześć, profesorze.

- Witaj... Jim, jeśli się nie mylę?

- Nie, Johnny. Nieważne, i tak nie powinien nas pan rozróżniać.

- Coś się stało?

- Przeciwnie, proszę pana. Wpadłem się pożegnać, w imieniu całej naszej grupy. Wszystko jest w porządku i wraca pan do normalnego życia. Kazali nam się zgłosić z powrotem do B-Jeden-L.

- Gdzie?

- Prawda, że to cholernie głupio brzmi? Zamiast zwyczajnie powiedzieć „Wracajcie do bazy”, oni wymyślają jakieś B-Jeden-L, jakby trudno było to rozszyfrować.

- Ja nie rozszyfrowałem.

- Baza-Jeden-Langley. Jesteśmy z CIA, cała szóstka, ale pan na pewno o tym wie.

- Wracacie? Wszyscy?

- Na to wygląda...

- Ale ja myślałem... Myślałem, że to coś poważnego!

- Już wszystko w porządku.

- Nikt mi o tym nie powiedział. Ani McAllister, ani nikt inny.

- Przykro mi, ale nie znam go. My tylko wykonujemy rozkazy.

- Przecież nie możesz tu tak po prostu wejść i powiedzieć, że odchodzicie, bez żadnego wyjaśnienia! Mówiono mi, że mam być celem ataku, że jakiś człowiek z Hongkongu chce mnie zabić.

- Ja tam nie wiem, czy to panu mówiono, czy pan sam to sobie wmówił, ale wiem na pewno, że mamy poważne kłopoty w Newport News. Zaraz po briefingu wkraczamy do akcji.

- Poważne kłopoty...? A co ze mną?

- Niech pan dużo odpoczywa, profesorze. Podobno bardzo pan tego potrzebuje.

Człowiek z CIA odwrócił się i wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Ja tam nie wiem, czy to panu mówiono, czy pan sam to sobie wmówił... Jak tam, profesorze? Lepiej się pan czuje, jak tu jesteśmy?

Parada?

Szarada!

Gdzie jest numer telefonu McAllistera? Gdzie on jest, do cholery? Zapisał go na dwóch kartkach; jedna została w domu, druga powinna być w szufladzie... Nie, w portfelu! Wstrząsany dreszczami strachu i gniewu wyjął kartkę i nakręcił numer.

- Biuro pana McAllistera - rozległ się w słuchawce kobiecy głos.

- Powiedziano mi, że to numer do jego domu!

- Pan McAllister wyjechał służbowo z Waszyngtonu, proszę pana. W takich wypadkach mamy obowiązek rejestrować wszystkie rozmowy.

- Rejestrować rozmowy...? A gdzie on jest?

- Tego nie wiem, proszę pana. Zajmuję się tylko sekretariatem.

Kontaktuje się z nami przynajmniej raz dziennie. Czy mogę wiedzieć, kto mówi, żebym mogła mu przekazać?

- To nie wystarczy! Nazywam się Webb. Jason Webb... Nie! Dawid Webb. Muszę z nim koniecznie porozmawiać! Natychmiast!

- Połączę pana z wydziałem zajmującym się pilnymi sprawami... Webb rzucił słuchawkę na widełki. Miał jeszcze numer do domu McAllistera.

- Halo? - Również kobieta.

- Chciałbym mówić z panem McAllisterem.

- Niestety, nie ma go. Gdyby zechciał pan podać swoje nazwisko i numer telefonu, na pewno mu przekażę.

- Kiedy?

- Powinien dzwonić jutro lub pojutrze. Zawsze tak robi.

- Musi mi pani powiedzieć, gdzie mogę go znaleźć, pani... pani McAllister, prawda?

- Też tak myślę. Po osiemnastu latach małżeństwa... Kim pan jest?

- Nazywam się Webb. Dawid Webb.

- Ach, oczywiście! Edward rzadko opowiada o swojej pracy, ale wspominał kilka razy, że bardzo polubił pana i pańską małżonkę. Szczerze mówiąc, nasz starszy syn, który właśnie kończy liceum, jest bardzo zainteresowany uniwersytetem, w którym pan wykłada. Przez ostatni rok trochę opuścił się w nauce i testy też nie wypadły najlepiej, ale on ma takie cudowne, entuzjastyczne nastawienie do życia! Jestem pewna, że jeśli tylko...

- Pani McAllister! - przerwał jej Webb. - Muszę się skontaktować z pani mężem! Natychmiast!

- Strasznie mi przykro, ale to chyba niemożliwe. Jest teraz na Dalekim Wschodzie i nie mam pojęcia, jak by się można było z nim skontaktować. W pilnych sprawach zawsze dzwoniemy do Departamentu Stanu.

Dawid odłożył słuchawkę. Musi'koniecznie ostrzec Marie! Linia powinna już być wolna, gdyż od jego pierwszego telefonu minęła ponad godzina, a nie było nikogo takiego, z kim Marie mogłaby rozmawiać przez godzinę; na pewno nie z ojcem ani matką, ani z którymś z dwóch braci mieszkających w Kanadzie. Wszyscy bardzo się kochali, lecz ona uchodziła w rodzinie za czarną owcę. Nie była frankofilem jak ojciec, ani domatorem jak matka, i choć uwielbiała obu braci, to źle się czuła w towarzystwie prostych, niewykształconych ludzi, wśród których oni się obracali. Swoje powołanie znalazła na niebotycznych wyżynach nauk ekonomicznych, zdobywając doktorat i znakomitą posadę pracownika rządowego, a wreszcie, co chyba było najgorsze, wyszła za mąż za Amerykanina.

Quel dommage.

Telefon nadal był zajęty. Do licha, Marie!

Nagle zamarł w bezruchu, zamieniając się na kilka bolesnych sekund w bryłę rozpalonego gorączką lodu. Kiedy wreszcie udało mu się pokonać opór stężyłych mięśni, wypadł z gabinetu i popędził korytarzem, przewracając dwóch studentów i kolegę z wydziału, którzy nie zdążyli usunąć mu się z drogi.

Dojechał do domu i wdepnął z całej siły hamulec. Samochód zatrzymał się z piskiem opon. Webb wyskoczył z auta, nie zamykając za sobą drzwi i pognał ścieżką prowadzącą do wejścia. Tuż przed werandą zwolnił, a potem przystanął, nie mogąc nagle złapać tchu;

drzwi domu były otwarte, a obok na ścianie widniał wyraźny, krwawy odcisk dłoni.

Wpadł do środka, wywracając wszystko, co stało mu na drodze. Zaczął przeszukiwać parter, rozrzucając meble i sprzęty, a potem ruszył powoli na górę, niosąc ze sobą dwie bryły granitu, w jakie zamieniły się jego dłonie. Nerwy miał napięte do ostateczności, a instynkt zabójcy powrócił z taką samą siłą, z jaką został odcisnięty krwawy ślad przy wejściu. Wiedział, że stał się znowu śmiertelnościami narzędziem, jakim był Jason Bourne, lecz nie miał nic przeciwko temu. Jeżeli na górze znajdzie swoją żonę, zabije każdego, kto zechce ją skrzywdzić - lub kto już to zrobił.

Dotarłszy na piętro przypadł płasko do podłogi i pchnął ostrożnie drzwi sypialni.

Eksplozja, która nastąpiła w ułamek sekundy potem, oderwała fragment ściany w hallu. Webb przetoczył się w przeciwnym kierunku;

nie miał broni, ale miał zapalniczkę. Wyjął ją, wyszarpnął z kieszeni garść luźnych, zapisanych kartek, jakie zawsze noszą ze sobą wszyscy nauczyciele, zmiął je w ciasną kulę i podpalił, po czym cisnął do wnętrza sypialni. Jednocześnie uniósł ostrożnie głowę i obrzucił szybkim spojrzeniem wąski hali, po czym dwa, trzy razy mocno uderzył stopami w podłogę.

Nic, żadnej reakcji. Dwa pozostałe pokoje były puste. Jeżeli w domu czaił się jeszcze jakiś nieprzyjaciel, to mógł być tylko w sypialni. Kapa na łóżku zajęła się ogniem; wysokie płomienie sięgały już sufitu. Jeszcze kilka sekund.

Teraz!

Rzucił się do pokoju i chwyciwszy płonąca kapę zatoczył nią błyskawiczne koło, sam zaś padł na podłogę i odtoczył się na bok. Kapa rozpadła się na zwęglone, dogasające fragmenty, a on znieruchomiał, oczekując w każdej chwili bolesnego szarpnięcia pocisku rozrywającego mu ramię lub bark, ale wiedząc jednocześnie, że mimo to i tak rozprawiłby się z przeciwnikiem. Boże! Jason Bourne wrócił!

Jednak Marie nie było w pokoju. Panowała cisza. Na środku pomieszczenia stał przymocowany do trójnogu karabin, którego spust połączono z drzwiami za pomocą zwyczajnego drutu. Lufa była ustawiona pod takim kątem, żeby wypalić w pierś każdemu, kto by wszedł do sypialni. Podniósłszy się z podłogi zadeptał dogasające płomienie, po czym włączył lampę.

Marie! Marie!

Wtedy to zobaczył: zapisana kartka papieru, leżąca na poduszce po jej stronie łóżka:

Żona za żonę, Jawnie Bourne. Twoja jest ranna, ale żyje, w przeciwieństwie do mojej. Jeśli wykazesz się inteligencją i dopisze ci szczęście, domyślisz się, gdzie możesz mnie znaleźć. Być może uda nam się dogadać, bo ja także mam wielu wrogów, a jeżeli nie, to cóż znaczy śmierć jeszcze jednej kobiety?

Webb krzyknął przeraźliwie i padł na łóżko, usiłując powstrzymać rozpaczliwe wycie, które cisnęło mu się do gardła, i opanować pulsujący w skroniach niesamowity ból. Nagle ogarnął go okrutny, obojętny spokój; odwrócił się na plecy i wpatrzył w sufit. Powróciły ukryte za gęstą mgłą wspomnienia, o których istnieniu nie wiedział nawet Morris Panov. Ciała padające pod ciosami jego noża, szarpane eksplozjami pocisków - to nie były urojone zabójstwa, lecz jak najbardziej realne. Zrobili z niego kogoś, kim nie był, i uczynili to lepiej, niż się spodziewali. Ponownie stał się mitem, człowiekiem, który w ogóle nie powinien istnieć. Musiał. Musiał to zrobić, żeby przeżyć, nie zadając sobie pytania, kim właściwie jest.

W tej chwili poznał dokładnie dwóch ludzi, którzy w nim żyli. O jednym z nich zawsze będzie pamiętał, bo nim właśnie pragnął pozostać, lecz na jakiś czas musiał przemienić się w drugiego, którym pogardzał.

Jason Bourne podniósł się z łóżka i podszedł do wnękowej szafy. Sięgnął w górę ręką i odkleił przyczepiony do sufitu kawałek samoprzylepnej taśmy, po czym wyjął ukryty pod nią klucz, włożył go do zamka trzeciej od góry szuflady i przekręcił. W szufladzie znajdowały się dwa rozmontowane pistolety, cztery kawałki cienkiego, mocnego drutu nawinięte na szpulki łatwo mieszczące się w dłoni, trzy paszporty wystawione na trzy różne nazwiska i sześć ładunków wybuchowych zdolnych wysadzić w powietrze spore pomieszczenia. Był gotów użyć wszystkich tych narzędzi. Dawid Webb odnajdzie swoją żonę albo Jason Bourne zamieni się w terrorystę, o jakim nikomu nie śniło się nawet w najgorszych koszmarach. Nie obchodziło go to. Zbyt wiele mu zabrano. Nie mógł już tego dłużej wytrzymać.

Bourne sprawnymi ruchami złożył drugi pistolet i z trzaskiem zamknął magazynek; oba pistolety były gotowe, tak jak on sam. Podszedł do łóżka i ponownie położył się na wznak. Wiedział, że już wkrótce w jego głowie zrodzi się precyzyjny, niezawodny plan i wtedy rozpocznie się polowanie. Znajdzie ją, żywą lub martwą. Jeżeli będzie martwa, zacznie zabijać, i będzie zabijał bez końca.

Ktokolwiek to był, nie ukryje się przed nim. Nie przed Jasonem Bourne'em.

ROZDZIAŁ 5

Z trudem nad sobą panując zdawał sobie sprawę, że o spokoju nie może być nawet mowy. Jego dłoń zacisnęła się na kolbie pistoletu, podczas gdy przez głowę przebiegały mu z szybkością wystrzeliwanych z automatycznej broni pocisków surrealistyczne, natrętne obrazy. Przede wszystkim nie wolno mu leżeć beczynnym;

musi być w ruchu. Musi wstać i zacząć działać!

Departament Stanu. Ludzie, których poznał podczas długich miesięcy spędzonych w ukrytym gdzieś w lasach Wirginii ośrodku leczniczym; uparci, opanowani obsesją ludzie, wypytyjący go niemal bez przerwy i podsuwający dziesiątki fotografii, dopóki Mo Panov kategorycznie nie nakazał im przestać. Zapamiętał ich nazwiska i zapisał je sobie, przypuszczając, że być może pewnego dnia będzie chciał się dowiedzieć, kim są. Powodowała nim wyłącznie ukryta głęboko w jego wnętrzu nieufność, bo przecież nie tak dawno temu właśnie ci ludzie usiłowali go zabić. Nigdy nie zapytał wprost o ich nazwiska, a oni nigdy nie przedstawiali mu się inaczej jak Harry, Bili lub Sam, uważając zapewne, iż ujawnienie prawdziwych tożsamości jeszcze bardziej zamąci mu w głowie. Ale jemu udało się zapamiętać to, co dostrzegł na plakietkach identyfikacyjnych przyczepionych do nienagannie odprasowanych marynarek, a następnie spisał imiona i nazwiska na kartkach papieru, które znajdowały się w oddanym do jego dyspozycji biurku, i przekazał odwiedzającej go codziennie Marie, wraz z prośbą, żeby dobrze je ukryła.

Później żona wyznała mu, iż choć postąpiła zgodnie z jego życzeniem, to uważała tę podejrzliwość za nieuzasadnioną i przesadną. Jednak pewnego dnia, zaledwie kilka minut po gorącej dyskusji z ludźmi z Waszyngtonu, Dawid ubłagał ją, żeby natychmiast pojechała do banku, kazała otworzyć skrytkę i włożyła do niej jeden, dosłownie jeden włos, a następnie wyszła, pojeździła trochę po mieście i wróciła po jakichś dwóch godzinach, by sprawdzić, czy go tam jeszcze znajdzie.

Nie znalazła. Na pewno nie wyparował, a wypaść mógłby tylko wtedy, gdyby skrytka była ponownie otwierana. Dostrzegła go na podłodze przy drzwiach sejfu.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała go następnego dnia.

- Jeden z przesłuchujących mnie przyjaciół zagalopował się i próbował mnie sprowokować. Mo musiał wyjść na kilka minut, a on w tym czasie oskarżył mnie, że udaję amnezję i ukrywam przed nimi istotne wiadomości. Wiedziałem, że wkrótce przyjdiesz, więc postanowiłem podjąć grę i sprawdzić, jak daleko się posuną... Jak daleko mogą się posunąć.

Nie było nic świętego wtedy, nie było nic świętego także i teraz. Symetria od razu rzucała się w oczy. Strażnicy zostali wycofani, ale nawet wówczas, kiedy mu towarzyszyli, ich zadanie polegało głównie na prowokowaniu i badaniu jego reakcji, jakby to on sam prosił o wzmocnioną ochronę, a nie uległ naleganiom jakiegoś Edwarda McAllistera. Potem, zaledwie kilka godzin później, nastąpiło porwanie Marie, dokładnie według scenariusza przepowiedzianego przez nerwowego mężczyznę o martwych oczach; zbyt dokładnie. A teraz okazuje się, że wspomniany Edward McAllister przebywa piętnaście tysięcy mil stąd, tam gdzie według jego własnych słów znajduje się źródło wszystkich problemów. Czyżby podsekretarz stanu pracował na dwie strony? Czyżby został przekupiony w Hongkongu? Czy zdradził swój kraj, podobnie jak człowieka, którego przysiągł strzec? Czy to naprawdę możliwe? Cokolwiek to jednak było, to wśród wszystkich nieprzeniknionych tajemnic znajdował się kryptonim „Meduza”. Podczas przesłuchań, którym go poddawano, słowo to nie padło

ani razu, nikt nie uczynił na ten temat najmniejszej wzmianki. Było to ze wszech miar zdumiewające; zupełnie jakby otoczony ścisłą tajemnicą batalion złożony z morderców i psychopatów nigdy nie istniał, a jego nazwa zniknęła ze wszystkich dokumentów. Ale on wiedział, że musi zacząć właśnie od tego.

Wyszedł szybkim krokiem z sypialni i skierował się na dół, do swego gabinetu urządzonego w niewielkiej bibliotece na parterze wiktoriańskiego domu. Usiadł przy biurku, wysunął dolną szufladę i wyjął z niej wszystkie papiery i notatniki, a następnie za pomocą metalowego noża do otwierania listów podważył podwójne dno, odsłaniając inne, gęsto zapisane kartki. Zostały na nich utrwalone oderwane, niezrozumiałe fragmenty wspomnień, obrazy pojawiające się nie wiadomo skąd, o najdziwniejszych porach dnia i nocy. Były tam arkusze papieru maszynowego, ale także wymięte skrawki, a nawet serwetki, na których w pośpiechu zapisywał eksplodujące w jego głowie wizje i słowa. Wśród tych bolesnych notatek wiele było do tego stopnia przesyconych cierpieniem, że nie mógł ich pokazać Marie, obawiając się, iż wyłaniająca się z nich prawdziwa postać Jasona Bourne'a sprawiłaby jej zbyt wiele bólu. Znajdowały się tam także nazwiska ludzi kierujących tajnymi operacjami wywiadu, którzy tak skrupulatnie przeszukiwali go w ośrodku leczniczym w Wirginii.

Niespodziewanie wzrok Dawida spoczął na leżącym na blacie biurka ohydny, wielkokalibrowym pistolecie. Nie zdając sobie z tego sprawy zabrał go ze sobą z sypialni. Przez chwilę mu się przypatrywał, a potem podniósł słuchawkę. Zaczynała się najokropniejsza godzina jego życia, towarzyszyła mu bowiem bezustannie świadomość, że z każdą minutą żona coraz bardziej się od niego oddala.

Pierwsze dwie rozmowy sprowadziły się do krótkiej wymiany zdań z żonami lub kochankami; kiedy się tylko przedstawił, natychmiast słyszał w odpowiedzi, że mężczyzn, z którymi chciał się skontaktować, nie ma w domu i nie wiadomo, gdzie są ani kiedy wrócą. Wciąż jeszcze był nietykalny! Bez zgody z „góry” nikt się do niego nawet nie zbliży, a ta zgoda została właśnie cofnięta. Boże, powinien był się tego domyślić!

- Halo?

- Czy to rezydencja państwa Lanierów?

- Tak.

- Chciałbym mówić z panem Williamem Lanierem. Proszę mu przekazać, że to bardzo pilna sprawa o pńorytecie szesnaście-zero-zero. Moje nazwisko Thompson, dzwonię z Departamentu Stanu.

- Chwileczkę - odpowiedziała wyraźnie przejęta kobieta.

- Kto mówi? - odezwał się po kilku sekundach męski głos.

- Dawid Webb. Czyba pamięta pan Jasona Bourne'a, prawda?

- Webb? - Cisza w słuchawce, wypełniona oddechem Williama Laniera. - Dlaczego przedstawił się pan jako Thompson i powiedział, że to sprawa związana z Białym Domem?

- Podejrzewałem, że w przeciwnym razie nie zechciałby pan ze mną rozmawiać. Sam mi pan kiedyś mówił, że nigdy nie kontaktuje się pan z ludźmi, którzy nie mają odpowiednich uprawnień. Oni dla pana nie istnieją. Ogranicza się pan wówczas do złożenia meldunku o próbie nawiązania kontaktu.

- W takim razie mogę również przypuszczać, iż pan wie, że taki sposób nawiązania kontaktu,

przez domowy telefon, jest całkowicie sprzeczny z regulaminem?

- Domowy telefon? Czyżby miejsce, w którym pan mieszka, można było nazwać domem?

- Doskonale pan wie, o czym mówię.

- Powiedziałem, że to bardzo pilna sprawa...

- Ja na pewno nie mam z nią nic wspólnego - przerwał mu Lanier. - U mnie jest już pan tylko martwą fiszką.

- I pewnie wolałby pan, żeby tak było naprawdę?

- Tego nie powiedziałem. Miałem na myśli tylko to, że nie zajmuję się panem, a nie mam zwyczaju wkraczać w kompetencje innych.

- Jakich „innych”? - zapytał szybko Webb.

- A skąd mam wiedzieć, do cholery?

- Czy w związku z tym mam rozumieć, że pana nie interesuje, co mógłbym panu powiedzieć?

- To, czy mnie interesuje, czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia. Wiem tylko tyle, że pańska sprawa nie wchodzi w zakres moich obowiązków. Jeżeli ma pan coś do przekazania, proszę skontaktować się ze swoim człowiekiem.

- Próbowałem. Jego żona powiedziała mi, że wyjechał na Daleki Wschód.

- Więc niech pan spróbuje w biurze. Na pewno ktoś się panem zajmie.

- Wiem o tym, ale nie mam najmniejszej ochoty, żeby ktoś się mną zajmował. Muszę porozmawiać z kimś, kogo znam, a ciebie akurat znam, Bili. W Wirginii przedstawiłeś mi się jako „Bili”, pamiętasz? Wtedy nic cię nie interesowało tak bardzo, jak to, co miałem do powiedzenia.

- Wtedy było wtedy, a teraz jest teraz. Posłuchaj, Webb: nie mogę ci pomóc, bo nie jestem w stanie nic ci doradzić. Bez względu na to, co od ciebie usłyszę, nie mogę w żaden sposób zareagować. Już od prawie roku nie otrzymuję na twój temat żadnych informacji. Musisz dotrzeć do człowieka, który się z tobą kontaktuje. Zadzwoń jeszcze raz do Departamentu Stanu. Kończę rozmowę.

- „Meduza”... - szepnął Dawid. - Słyszysz mnie, Lanier? „Meduza”!

- Jaka meduza? Chcesz mi coś powiedzieć?

- Wyciągnę wszystko na światło dzienne, słyszysz? Wszystko rozpieprzę, jeżeli nie uzyskam konkretnych odpowiedzi!

- A może jednak pozwoliłbyś, żeby ktoś się tobą zajął? - zaproponował chłodno Lanier. - Zastanów się również, czy nie warto by się zgłosić do szpitala.

Rozmowa została przerwana. Dawid, cały mokry od potu, odłożył słuchawkę.

Lanier nic nie wiedział o „Meduzie”. Gdyby było inaczej, nie skończyłby rozmowy, tylko starałby się dowiedzieć możliwie najwięcej, macki „Meduzy” sięgały bowiem aż do teraźniejszości. Lanier należał jednak do najmłodszych spośród tych, którzy go przesłuchiwali; liczył sobie z pewnością nie więcej niż trzydzieści trzy lub trzydzieści cztery lata i chociaż odznaczał się wybitną inteligencją, to z pewnością nie zaliczał się do zasłużonych weteranów. O oddziale degeneratów, którego istnienie w dalszym ciągu było okryte głęboką tajemnicą, mógł wiedzieć jedynie ktoś starszy

i bardziej doświadczony. Webb spojrzął ponownie na listę nazwisk i numerów i jeszcze raz podniósł słuchawkę.

- Halo? - odezwał się męski głos.

- Czy pan Samuel Teasdale?

- Owszem. Kto mówi?

- Cieszę się, że to pan odebrał telefon, a nie pańska żona.

- Jeszcze niedawno na pewno by się tak stało, ale nie teraz. Żegluję po Morzu Karaibskim z kimś, kogo nigdy w życiu nie widziałem na oczy. A teraz, skoro już pan zna historię mojego życia, może by pan się przedstawił?

- Jason Bourne. Pamięta mnie pan?

- Webb?

- Już prawie zapomniałem, że się tak nazywam - odparł Dawid.

- Dlaczego pan do mnie dzwoni?

- Bo byłeś dla mnie miły. Kiedy poznaliśmy się w Wirginii, kazałeś mi mówić do siebie Sam.

- Tak, tak, oczywiście. Powiedziałem ci, żebyś mi mówił Sam, bo wszyscy przyjaciele tak mnie nazywają... - Teasdale najwyraźniej był zdumiony i przestraszony. - Ale to było już prawie rok temu, Davey, a przecież wiesz, jakie są przepisy. Przydzielają ci człowieka, z którym masz się kontaktować albo w terenie, albo w Departamencie. Tylko z nim powinieneś gadać, bo tylko on jest ze wszystkim na bieżąco.

- A czy ty nie jesteś na bieżąco, Sam?

- Jeśli chodzi o ciebie, to nie. Pamiętam jeszcze polecenie, jakie otrzymaliśmy w twojej sprawie kilka tygodni po tym, jak wyjechałeś z Wirginii. Wszystkie informacje i doniesienia związane z „obiektem” takim to a takim miały być natychmiast przekazywane do sekcji takiej to a takiej, natomiast sam „obiekt” ma od tej pory nawiązywać kontakt wyłącznie za pośrednictwem wyznaczonego człowieka w Departamencie i pełnomocników znajdujących się na miejscu.

- Ci „pełnomocnicy” zostali wycofani, a mój „człowiek” zniknął bez śladu.

- Daj spokój - zaprotestował podejrzliwie Teasdale. - To bez sensu. Nic takiego nie mogło się zdarzyć.

- Ale się zdarzyło! - ryknął Webb. - Nie tylko mnie, ale i mojej żonie!

- O czym ty mówisz? Co z twoją żoną?

- Zniknęła, ty sukinsynu! Wszyscy jesteście sukinsynami! To wy do tego dopuściliście! - Webb z całej siły zacisnął dłoń na rękę, w której trzymał słuchawkę, usiłując opanować jej drżenie. - Muszę poznać wszystkie odpowiedzi. Sam. Muszę wiedzieć, kto utorował drogę, kto zdradził. Podejrzewam, kto to był, ale potrzebuję dowodów, żeby go przygwoździć. Żeby was wszystkich przygwoździć, jeśli będę musiał.

- Uspokój się! - przerwał mu gniewnie Teasdale. - Jeśli próbujesz mnie zastraszyć, to marnie ci to wychodzi! Ja nie jestem chłopcem do bicia. Odchrzań się ode mnie! Opowiadaj swoje historyjki lekarzom, ale nie mnie. Ja nawet nie muszę z tobą rozmawiać, tylko zameldować o tym, że do mnie

dzwoniłeś, co zrobię natychmiast, jak się tylko od ciebie odcepię! Dodam też, że zasypałeś mnie stekiem nieprawdopodobnych bzdur i że powinni porządnie przebadać ci głowę, żeby...

- „Meduza”! - krzyknął Dawid. - Dziwne, że nawet dzisiaj nikt nie chce o niej mówić, nie uważasz? Pewnie to w dalszym ciągu ścisła tajemnica, co?

Tym razem nie usłyszał trzasku odkładanej słuchawki. Teasdale nie przerwał rozmowy.

- Plotki - powiedział po chwili spokojnym, bezbarwnym głosem. - Coś takiego, jak tajne kartoteki Hoovera. Dobry temat, żeby pogadać przy paru piwach, ale nic ponadto.

- To nie są plotki. Sam. Podobnie jak to, że żyję i oddycham, chodzę do toalety i pocę się, tak jak teraz.

- Wiele przeszedłeś, Davey...

- Byłem tam! Walczyłem w „Meduzie”! Niektórzy twierdzą nawet, że byłem najlepszy, czyli najgorszy. Właśnie dlatego zostałem wybrany, żeby przemienić się w Jasona Bourne'a.

- Nie wiedziałem o tym. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy i dlatego nie wiedziałem. A co, może rozmawialiśmy kiedykolwiek o tym, Davey?

- Przestań mnie tak nazywać! Nie jestem żaden „Davey”!

- W Wirginii byliśmy „Sam” i „Davey”, nie pamiętasz?

- To nie ma znaczenia! Wtedy wszyscy graliśmy. Morris Panov był naszym sędzią, aż do pewnego dnia, kiedy zrobiłeś się nieco grubiański.

- Już za to przeprosiłem - odparł cicho Teasdale. - Każdy może mieć gorszy dzień. Przecież powiedziałem ci o mojej żonie.

- Nie obchodzi mnie twoja żona, tylko moja! Jeżeli nie otrzymam pomocy, roztrąbię wszystkim na lewo i prawo o „Meduzie”!

- Jestem pewien, że otrzymasz taką pomoc, jaką zechcesz, jeśli skontaktujesz się ze swoim człowiekiem w Departamencie Stanu.

- Nie ma go! Wyjechał!

- W takim razie z kimś, kto go zastępuje. Na pewno się tobą zajmie.

- Zajmie się? Boże, kim ty jesteś? Robotem?

- Człowiekiem, który stara się wykonywać swoje obowiązki, panie Webb. Obawiam się, że nic więcej nie mogę dla pana zrobić. Dobrej nocy.

Rozległo się znajome stuknięcie i połączenie zostało przerwane.

Został jeszcze jeden, pomyślał ogarnięty gorączką Dawid, wpatrując się w listę zmrużonymi, zalewanymi potem oczami. Uprzejmy, znacznie lepiej wychowany od pozostałych, odrobinę flegmatyczny, co świadczyło albo o dobrze zamaskowanym, błyskawicznie działającym umyśle, albo o braku przekonania do wykonywanego zawodu, w którym nie czuł się najlepiej. Wszystko jedno; teraz i tak nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

- Czy to rezydencja państwa Babcock?

- Jak najbardziej - odparł kobiecy głos, przesycony aromatem magnolii. - Nie nasz dom, co

zawsze podkreślam, ale na pewno miejsce, w którym chwilowo mieszkamy.

- Czy mógłbym rozmawiać z panem Harrym Babcockiem?

- A czy wolno mi zapytać, z kim mówię? Możliwe, że wyszedł z dziećmi przed dom, choć nie jest wcale wykluczone, że poszedł z nimi aż do parku. Odkąd zmieniono oświetlenie alejek, można tam spokojnie spacerować, bez obawy, że zza krzaków wyskoczy jakiś bandzior i...

Dobrze zamaskowane, błyskawicznie działające umysły. Zarówno on, jak i ona.

- Nazywam się Reardon, z Departamentu Stanu. Mam dla pana Babcocka pilną wiadomość. Otrzymałem polecenie, żeby skontaktować się z nim osobiście tak prędko, jak to tylko możliwe.

Delikatny szum w słuchawce wzmógł się, kiedy kobieta zasłoniła mikrofon dłonią, ale i tak słychać było ściszoną wymianę zdań. Po chwili rozległ się flegmatyczny głos Harry'ego Babcocka.

- Nie znam żadnego Reardona, panie Reardon, a wszystkie wiadomości dla mnie przekazuje telefonistka, która przedstawia się w ściśle określony sposób. Czy pan jest tą telefonistką, panie Reardon?

- Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak szybko wrócił do domu ze spaceru po parku, panie Babcock.

- Godne uwagi, prawda? Być może wystąpię na następnej olimpiadzie. Wracając jednak do zasadniczego tematu naszej rozmowy:

odnoszę wrażenie, że znam pański głos, ale nie potrafię sobie przypomnieć nazwiska...

- Jason Bourne.

Milczenie nie trwało dłużej niż sekundę. Miał naprawdę błyskawicznie działający umysł.

- To było już dość dawno temu, nieprawdaż? Coś około roku, jeśli mnie pamięć nie myli. Więc to ty, Dawidzie. - Z całą pewnością nie było to pytanie.

- Tak, Harry. Muszę z tobą porozmawiać.

- To niemożliwe. Powinieneś rozmawiać z innymi, nie ze mną.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zostałem odsunięty?

- Dobry Boże, po co takie dramatyczne określenia! Nic nie sprawi mi większej przyjemności, niż wiadomość o tym, jak tobie i twojej żonie układa się nowe życie... W Massachusetts, o ile się nie mylę?

- Maine.

- Oczywiście. Wybacz mi. I co, wszystko w porządku? Jak z pewnością wiesz, ja i moi koledzy mamy tyle różnorodnych zajęć, że nie bardzo mogliśmy śledzić na bieżąco twoje postępy.

- Ktoś inny określił to tak, że nie bardzo mogliście znowu dostać mnie w swoje ręce.

- Och, mam nadzieję, że w to nie wierzysz.

- Chcę rozmawiać, Babcock - powtórzył Dawid ochrypłym głosem.

- A ja nie - odparł lodowatym tonem Harry Babcock. - Stosuję się do przepisów, a jeśli chcesz wiedzieć, to tacy jak ty rzeczywiście są od nas natychmiast odsuwani. Nigdy nie pytam dlaczego. Sytuacja się zmienia, wszystko się zmienia.

- „Meduza"! - syknął Dawid. - Skoro nie chcesz rozmawiać o mnie, porozmawiajmy o „Meduzie"!

Tym razem milczenie trwało znacznie dłużej niż poprzednio, a kiedy Babcock ponownie się odezwał, jego głos kojarzył się z gigantycznym sopłem lodu:

- Ten telefon jest zupełnie czysty, Webb, więc powiem ci to, co chcę powiedzieć. Rok temu o mało nie zostałeś zlikwidowany, co byłoby poważnym błędem i wszyscy byśmy cię szczerze opłakiwali, ale jeśli zaczniesz zbyt mocno szarpać za sznurki, jutro nikt nie uroni łzy nad twoim grobem. Oczywiście z wyjątkiem twojej żony.

- Ty sukinsynu! Ona zniknęła! Została porwana, a wy, bandyci, do tego dopuściliście!

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Moi ochroniarze! Zostali wycofani, wszyscy co do jednego, i wtedy ją porwano! Muszę znać odpowiedź, Babcock, albo wszystko rozpieprzę w drobny mak! Zrobisz dokładnie to, co ci powiem, bo jak nie, to ludzie będą płakać nie nad jednym grobem, ale nad wieloma - wszyscy, wasze żony, matki i dzieci! Pamiętaj, że rozmawiasz z Jasonem Bourne'em!

- Pamiętam tylko tyle, że jesteś kompletnym szaleńcem. Po tym, co powiedziałaś, nie pozostaje nam nic innego, jak wysłać do ciebie paru ludzi. W stylu dawnej „Meduzy".

Nagle rozmowę przerwał donośny, świdrujący w uszach gwizd, zmuszając Dawida do raptownego odsunięcia słuchawki, a następnie rozległ się spokojny, opanowany głos:

- Możecie mówić, Colorado.

Webb powoli zbliżył słuchawkę do ucha.

- Czy to Jason Bourne? - zapytał męski, arystokratyczny głos.

- Nazywam się Dawid Webb.

- Wiem o tym. Ale jest pan także Jasonem Bourne'em.

- Byłem - odparł Dawid, ogarnięty dziwnym, trudnym do określenia przecuciem.

- Subtelne granice osobowości łatwo się zacierają, panie Webb. Szczególnie, jeśli ktoś ma za sobą tyle przeżyć co pan.

- Kim pan jest, do diabła?

- Przyjacielem, może pan być pewien. Pragnę pana ostrzec. Oskarżył pan w nadzwyczaj napastliwy sposób kilku spośród najbardziej oddanych temu krajowi ludzi, którym jednak nigdy nie dano by swobodnie dysponować pięcioma milionami dolarów. Sumy, z której, o ile pan sobie przypomina, jeszcze się pan nie rozliczył.

- Może chciałby pan mnie przeszukać?

- Nie bardziej, niż zgłębić skomplikowane metody, dzięki którym pańskiej żonie udało się rozprowadzić te pieniądze po kilku europejskich...

- Ona zniknęła! Czy ci oddani krajowi ludzie powiedzieli panu o tym?

- Opisałi pana jako osobnika ogarniętego rozpaczą, wściekłością, a także miotającego obelgi i oskarżenia związane z pańską żoną.

- Związane z moją... Do cholery, została porwana z naszego domu! Zrobił to ktoś, kto chce dotrzeć do mnie!

- Jest pan pewien?

- Zapytajcie o to tego rybiockiego McAllistera. To był jego pomysł, od początku do końca, łącznie z listem. A teraz, nie wiadomo jak i dlaczego, facet znalazł się na drugim końcu świata!

- Więc jest także jakiś list? - zapytał arystokratyczny głos.

- Owszem, nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Wszystko potoczyło się tak, jak wymyślił McAllister, a wy na to pozwoliliście.

- Może powinien pan dokładniej się przyjrzeć temu listowi.

- Po co?

- Zresztą nieważne. Być może z pomocą psychiatry wszystko stanie się dla pana bardziej jasne.

- Co takiego?

- Proszę nam wierzyć, że chcemy dla pana zrobić wszystko, co w naszej mocy. Pan ofiarował już ze swej strony tak wiele - chyba więcej niż jakikolwiek inny człowiek - że pańskich zasług nie można zlekceważyć nawet wtedy, gdyby sprawa miała trafić do sądu. W pewnym sensie to przez nas znalazł się pan w tej sytuacji, więc nie zawahamy się nawet poważnie nagiąć prawo lub wpłynąć na przebieg procesu.

- O czym pan mówi, do diabła? - wrzasnął Dawid.

- Kilka lat temu powszechnie szanowany wojskowy lekarz zamordował swoją żonę. Można było o tym przeczytać we wszystkich gazetach. Nie wytrzymał napięcia. To, które pan musiał znieść, było dziesięciokrotnie większe.

- Nie wierzę panu!

- Ujmijmy to inaczej, panie Bourne...

- Nie nazywam się Bourne!

- W porządku, panie Webb. Będę z panem szczerzy.

- Nareszcie!

- Nie jest pan zupełnie zdrowy. Przeszedł pan ośmiomiesięczną kurację psychiatryczną, ale pozostały jeszcze ogromne obszary pańskiego życia, których pan nie pamięta. Kiedy rozpoczynaliśmy terapię, nie wiedział pan nawet, jak się pan nazywa. To wszystko, co zawiera pańska historia choroby, wyraźnie wskazuje na znaczne zaawansowanie choroby psychicznej, skłonność do przemocy i nieakceptowanie własnej tożsamości. Broniąc się przed cierpieniem, ucieka pan w świat fantazji, podając się za kogoś, kim pan nie jest. Można nawet odnieść wrażenie, iż odczuwa pan wewnętrzny przymus, by być kimś innym.

- To wszystko idiotyzmy i pan doskonale o tym wie! Kłamstwa!

- Idiotyzmy to ostre sformułowanie, panie Webb, a jeśli to są kłamstwa, to na pewno nie pochodzą ode mnie. Moje zadanie polega na tym, by strzec nasz rząd przed fałszywymi oskarżeniami i nieuzasadnionymi atakami, mogącymi narazić na poważne niebezpieczeństwo interesy kraju.

- Jakie to oskarżenia?

- Chociażby dotyczące wymyślonej przez pana organizacji pod kryptonimem „Meduza”. Jestem pewien, panie Webb, że żona wróci do pana, jak tylko będzie mogła, ale jeśli będzie się pan upierał przy swoich urojeniach, a szczególnie przy tym wytworze pańskiego udręczonego umysłu, który nazwał pan „Meduzą”, nie pozostanie nam nic innego, jak uznać pana za cierpiącego na paranoję schizofrenika i patologicznego kłamcę, zdolnego zarówno do nie kontrolowanej przemocy, jak i do oszukiwania się. Jeżeli taki człowiek zgłasza zaginięcie żony, to kto wie, co to może w istocie oznaczać? Czy wyrażam się jasno?

Dawid zamknął oczy, czując, jak pot ścieka mu strużkami po twarzy.

- Najjaśniej, jak tylko można - powiedział i odłożył słuchawkę. Paranoja... Patologiczny kłamca... Sukinsyny! Otworzył oczy, czując nagłą potrzebę, żeby wyładować wściekłość rzucając się na coś, na cokolwiek, ale nagle zamarł w bezruchu, w głowie eksplodowała mu bowiem nieprawdopodobnie oczywista myśl: Morris Panov! Mo Panov potwierdzi jego podejrzenia: niekompetentni kłamcy, manipulatorzy chroniący skorumpowanych biurokratów, a może nawet coś jeszcze gorszego... Wyciągnął drżącą dłoń i nakręcił numer telefonu człowieka, który tyle razy w przeszłości spokojnym głosem potrafił go przekonać o sensie życia.

- Dawid? Miło mi cię słyszeć - powiedział z autentycznym zadowoleniem Panov.

- Obawiam się, że zaraz zmienisz zdanie. To najgorsza sprawa, z jaką kiedykolwiek się do ciebie zwracałem.

- Daj spokój, nie dramatyzuj aż tak bardzo. Przeszliśmy już przez...

- Pozwól mi powiedzieć! - krzyknął Dawid. - Marie zniknęła! Porwali ją! - Słowa popłynęły bezładnym strumieniem, wymieszane, bez sensu.

- Przestań! - rozkazał ostrym tonem Panov. - Chcę to usłyszeć jeszcze raz, od początku. Ten człowiek, który do ciebie przyszedł...

- Jaki człowiek?

- Z Departamentu Stanu.

- Ach, tak. Nazywał się McAllister.

- Zaczni od niego. Nazwiska, stopnie, stanowiska. I przeliteruj mi nazwisko tego bankiera z Hongkongu. A przede wszystkim, błagam cię, zwolnij!

Webb ponownie zacisnął palce na dłoni, w której trzymał słuchawkę. Zaczął jeszcze raz, starając się mówić ze spokojem, którego wcale nie czuł, ale i tak słowa goniły jedno za drugim coraz szybciej i szybciej. Wreszcie udało mu się wyrzucić z siebie wszystko, co pamiętał, choć z przerażeniem uświadomił sobie, że nie było to wszystko. Czarne, puste przestrzenie pojawiły się znowu, napełniając go nieopisanym bólem. Powiedział wszystko, co mógł; nic nie pozostało.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, Dawidzie - odezwał się po krótkim milczeniu Mo Panov. - Natychmiast.

- Co?

- Może to cię zdziwi albo nawet wyda ci się głupie, ale proszę cię, żebyś poszedł teraz na spacer brzegiem morza. Pół godziny do czterdziestu pięciu minut, nie więcej. Posłuchaj szumu fal i huku przyboju.

- Chyba nie mówisz tego poważnie! - zaprotestował Webb.

- Najpoważniej w świecie - odparł Mo. - Kiedyś zgodziłeś się ze mną, że są w życiu każdego człowieka chwile, kiedy musi dać trochę odpocząć swojej głowie. Jeden Bóg wie, że ja sam robię to częściej, niż powinien szanujący się psychiatra. Wydarzenia czasem przytłaczają nas swoim ogromem i zanim podejmiemy jakiegokolwiek działanie, musimy zrzucić z siebie choć część tego obciążenia. Zrób, o co cię proszę, Dawidzie. Zadzwoń do ciebie za godzinę. Chcę, żebyś był wtedy znacznie spokojniejszy niż teraz.

Rada wydawała się zupełnie szalona, ale, podobnie jak w wielu innych, udzielanych przez Panova flegmatycznym, opanowanym głosem, było w niej sporo zdrowego rozsądku. Webb siedł przed siebie kamienistą plażą, nie przestając ani na moment myśleć o tym, co się wydarzyło, lecz czy to za sprawą otaczającego go krajobrazu, świszczącego wiatru, czy też rytmicznego, głuchego odgłosu uderzających o skały fal z każdym krokiem oddychał coraz głębiej i swobodniej, czując, jak z napiętych mięśni ustępuje histeryczne drżenie. Zerknął na oświetloną blaskiem księżyca tarczę zegarka; spacerował już od trzydziestu dwóch minut. Nie odważył się wystawić swojej cierpliwości na poważniejszą próbę. Skręcił w ścieżkę wijącą się między porośniętymi trawą wydmami i ruszył w kierunku domu.

Usiadł przy biurku i nie spuszczał wzroku z telefonu. Poderwał słuchawkę, zanim jeszcze zdołał przebrzmieć pierwszy dzwonek.

- Mo?

- Tak.

- Trochę zmarzłem. Dziękuję.

- To ja dziękuję.

- Czego się dowiedziałeś?

W tym momencie koszmar zaczął się na nowo.

- Jak dawno temu zniknęła Marie?

- Nie wiem. Godzinę, dwie, może więcej. Jakie to ma znaczenie?

- Czy jesteś pewien, że nie poszła po zakupy? A może pokłóciliście się i postanowiła pobyć trochę sama? Obaj wiemy, że nie jest jej lekko. Ty sam wiele razy zwracałeś na to uwagę.

- O czym ty gadasz, do cholery? Przecież znalazłem list, a na ścianie była krew!

- Owszem, wspomniałeś o tym. Jak myślisz, dlaczego ktoś mógłby to zrobić?

- A skąd mam wiedzieć? Zrobił to, i już! Zrobili to!

- Wezwałeś policję?

- Boże, nie! To nie jest sprawa dla policji, tylko dla nas, dla mnie! Nie rozumiesz? Powiedz mi, czego się dowiedziałeś! Dlaczego rozmawiasz ze mną w taki sposób?

- Dlatego, że muszę. Podczas wszystkich naszych spotkań mówiliśmy sobie tylko prawdę, ponieważ wyłącznie prawda może ci pomóc, Dawidzie.

- Na litość boską, Mo! Tu chodzi o Marie!

- Proszę, pozwól mi skończyć. Jeśli oni kłamią, tak jak kłamali kiedyś, dowiem się o tym i ich

zdemaskuję, ale teraz powtórzę ci dokładnie to, co mi powiedzieli, co dał mi wyraźnie do zrozumienia człowiek numer dwa w Sekcji Dalekiego Wschodu, a co potwierdził szef ochrony Departamentu Stanu po sprawdzeniu w oficjalnych raportach.

- W oficjalnych...?

- Tak. Jest tam napisane czarno na białym, że przeszło tydzień temu zażądałeś natychmiastowego wzmocnienia swojej ochrony, będąc, jak zostało to sformułowane, w „stanie znacznego podniecenia nerwowego”...

- Ja zażądałem?

- Tak jest, to właśnie mi powiedzieli. Według raportów twierdziłeś, jakoby ci grożono, mówiłeś w sposób „niespójny” i domagałeś się podwojenia ochrony. Przez wzgląd na twój specjalny status życzenie przekazano wyżej, a tam powiedzieli: „Dajcie mu, co chce, byle tylko się uspokoił”.

- Nie wierzę!

- To dopiero początek, Dawidzie. Pozwól mi dokończyć, tak jak ja ci pozwoliłem.

- W porządku. Mów dalej.

- Tak już lepiej. Kiedy dodatkowi goryle zjawili się na miejscu - cały czas opieram się na oficjalnych raportach, z których korzystał szef ochrony Departamentu Stanu - dwukrotnie zgłaszałeś skargi, że nie wypełniają swoich obowiązków. Twierdziłeś, że siedząc w samochodzie przed twoim domem piją alkohol, że wyśmiewają się z ciebie, kiedy towarzyszą ci podczas zajęć na uniwersytecie, a wreszcie, i tu zacytuję dosłownie, „urządzają sobie kpiny z tego, co powinni robić”. Podkreśliłem sobie to zdanie.

- Kpiny...?

- Tylko spokojnie. Zbliżamy się już do końca. Kiedy po raz ostatni skontaktowałeś się z Departamentem, zażądałeś stanowczo, żeby natychmiast usunięto wszystkich strażników, bo oni wszyscy są twoimi wrogami i to oni chcą cię zamordować. Mówiąc krótko, przemieniłeś tych, którzy mieli za zadanie cię chronić, w tych, którzy dybali na twoje życie.

- Jestem pewien, że to zachowanie pasuje jak ulał do diagnozy, według której moje lęki zaczęły się przeradzać w obsesyjną paranoję.

- Masz rację - potwierdził Panov. - Pasuje znakomicie.

- A co powiedział ci numer dwa w Sekcji Dalekiego Wschodu? Panov odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Na pewno nic, co chciałbyś usłyszeć, Dawidzie, ale wyrażał się jasno i dobitnie. Nigdy nie słyszał o żadnym bankierze ani wpływowym taipanie o nazwisku Yao Ming. Stwierdził, że gdyby taka postać istniała, znałby jej dossier na pamięć.

- Czy on uważa, że ja to wszystko sobie wymyśliłem? Nazwisko, jego żonę, powiązania z handlem narkotykami, miejsca, okoliczności, reakcję Brytyjczyków? Na Boga, nie wymyśliłbym tego, nawet gdybym chciał!

- Rzeczywiście, musiałbyś się nieźle wysilić - przyznał łagodnie psychiatra. - Czy w takim razie mam rozumieć, że wszystko, co ci przed chwilą powiedziałem, słyszysz po raz pierwszy w życiu i nie dostrzegasz w tym żadnego sensu? Że ostatnie wydarzenia zapamiętałeś w zupełnie inny sposób?

- Mo, to wszystko kłamstwo! Nigdy nie telefonowałem do Departamentu Stanu. McAllister przyjechał do nas do domu i opowiedział całą historię dokładnie tak, jak ci ją powtórzyłem, włącznie ze sprawą Yao Minga! Teraz zniknął bez śladu, a mnie podrzucano trop, że bym nim poszedł. Dlaczego? Na rany Chrystusa, czego oni od nas chcą?

- Zapytałem ich o McAllistera - wtrącił gniewnym tonem Panov. - Sprawdzili w komputerze i powiedzieli mi, że dwa tygodnie temu poleciał do Hongkongu, w związku z czym nie mógł być w twoim domu w podanym przez ciebie dniu.

- On tu był!

- Chyba ci wierzę.

- Co to ma znaczyć?

- Przede wszystkim słyszę to w twoim głosie. Również określenie „urządzać sobie kpiny” rzadko kiedy pojawia się w słownictwie podnieconego psychotyka, a na pewno nigdy nie słyszałem tego określenia u ciebie, nawet w najgorszych chwilach.

- Chyba za tobą nie nadążam.

- Ktoś sprawdził, gdzie pracujesz i w jaki sposób zarabiasz na życie, i postanowił nieco urozmaicić twój sposób wyrażania się lub przynajmniej zabarwić go miejscowym kolorytem. Boże, co oni wyrabiają?! - wybuchnął psychiatra.

- Wpychają mnie w bloki startowe - odparł spokojnie Webb. - Zmuszają mnie, że bym poszedł tropem, który dla mnie przygotowali.

- Sukinsyny!

- Zazwyczaj nazywa się to po prostu zaciągiem. - Dawid wpatrywał się pustym wzrokiem w ścianę. - Trzymaj się od tego z daleka, Mo. Nic mi nie możesz pomóc. Ułożyli już wszystkie fragmenty łamigłówek. Mają mnie.

Odłożył słuchawkę.

Oszołomiony, wyszedł z gabinetu i stanął w wiktoriańskim hallu, spoglądając na poprzewracane meble, porozbijane lampy, potłuczoną porcelanę. Jedno po drugim powracały do niego zdania usłyszane podczas dramatycznej rozmowy z Panovem.

Nie bardzo zdając sobie sprawę, co czyni, podszedł do frontowych drzwi i otworzył je na oścież, a następnie zmusił się, by zbadać dokładnie pozostawiony na zewnętrznej ścianie odcisk dłoni; w blasku lamp zaschnięta krew wydawała się niemal czarna. Zbliżył się i przyjrzał uważniej.

Był to odcisk w kształcie dłoni, ale na pewno nie jej ślad. Sam zarys nie nasuwał żadnych podejrzeń, lecz brakowało przerw, jakie zawsze powstają na zgięciach palców, a także zniekształceń, charakterystycznych dla odbicia powstałego w wyniku krótkiego zetknięcia zakrwawionego ciała z twardą powierzchnią oraz, co najważniejsze, linii papilarnych. Tylko płaski, kolorowy cień, nie budzący wątpliwości jedynie na pierwszy rzut oka. Rękawiczka? Gumowa rękawiczka?

Dawid powoli się odwrócił i ruszył w kierunku schodów, zastanawiając się nad słowami wypowiedzianymi przez innego człowieka spokojnym, arystokratycznym głosem:

Może powinien pan dokładniej się przyjrzeć temu listowi... Być może z pomocą psychiatry wszystko stanie się dla pana bardziej jasne...

Nagle Webb krzyknął przeraźliwie i czując, jak ogarnia go panika, popędził po schodach na piętro i wpadł do sypialni. Chwycił leżący wciąż na łóżku, napisany na maszynie list, podszedł do nocnego stolika, włączył lampkę i przyjrzał mu się dokładnie w blasku światła.

Serce Dawida Webba powinno w tym momencie pęknąć, rozsądzone na niezliczone kawałki, lecz Jason Bourne spokojnie badał trzymaną w dłoni kartkę.

Niemal natychmiast zauważył nieco pochyłe „r” i słabo odbite, zamazane u góry „d”.

Sukinsyny.

List został napisany na jego maszynie. Koło się zamknęło.

ROZDZIAŁ 6

Usiadł na wznoszących się nad plażą skałach, zdając sobie sprawę, że musi się spokojnie zastanowić, co go czeka i czego od niego oczekiwano, a następnie wymyślić sposób na przechytrzenie tych, którzy nim manipulowali. Wiedział, że przede wszystkim nie może poddać się panice - taki człowiek jest niebezpieczny, stanowi ryzyko, które trzeba jak najszybciej wyeliminować. Jeżeli przekroczy ten próg, wyda na siebie i na Marie wyrok śmierci. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Wszystko było takie delikatne... Tak brutalnie delikatne.

Dawid Webb musiał przestać istnieć, ustępując miejsca Jasonowi Bourne'owi. Boże! To nie miało najmniejszego sensu! Mo Panov powiedział mu, żeby poszedł na spacer po plaży jako Dawid Webb, a on siedzi tu jako Bourne, myśląc w sposób, w jaki tylko Bourne potrafi myśleć. Musiał odrzucić część siebie, akceptując tę drugą, stanowiącą jej całkowite przeciwieństwo.

Dziwne, ale okazało się, że jest to zupełnie możliwe, wyłącznie ze względu na Marie. Jego ukochana, jedyna... Nie wolno ci tak myśleć! Jest twoją własnością, którą ktoś ci odebrał! Odzyskaj ją, polecił mu Jason Bourne.

Ona nie jest własnością, lecz moim życiem!

Jason Bourne: W takim razie lam wszelkie prawa! Szukaj jej! Sprowadź ją z powrotem do domu!

Dawid Webb: Nie wiem, jak mam to zrobić. Pomóż mi!

Jason Bourne: Wykorzystaj mnie, wykorzystaj wszystko, czego się ode mnie nauczyłeś. Masz odpowiednie narzędzia, miałeś je od lat. Byłeś najlepszy z całej „Meduzy”. Sam twierdziłeś, że nie ma nic ważniejszego od samokontroli. Udało ci się przeżyć.

Samokontrola.

Takie proste słowo. Tak niesamowicie wygórowane żądanie.

Webb zszedł ze skał i po raz drugi tego dnia ruszył wijącą się wśród wydm ścieżką w kierunku starego wiktoriańskiego domu, w kierunku budzącej odrazę i rozpacz, panującej w nim pustki. Niespodziewanie w jego myślach błysnął nikły płomyk, by zaraz potem zamigotać ponownie i już pozostać, wydobywając z ciemności rysy twarzy należącej do człowieka budzącego w Dawidzie odrazę nie mniejszą od tej, którą czuł przed chwilą.

Aleksander Conklin dwa razy próbował go zabić i dwukrotnie niewiele brakowało, a osiągnąłby swój cel. Kiedyś, jeszcze w Kambodży - zarówno według jego oświadczeń, jak i zgodnie z tym, co on sam zdołał sobie przypomnieć podczas wielogodzinnych seansów psychiatrycznych z Panovem - był przyjacielem Dawida Webba, jego tajlandzkiej żony i dzieci. Gdy z nieba spadła niespodziewana śmierć, barwiąc na czerwono rzekę, ogarnięty ślepą rozpaczą Dawid uciekł do Sajgonu, gdzie jego przyjaciel z CIA, Aleks Conklin, znalazł dla niego miejsce w tajnym oddziale znanym jako „Meduza”.

Jeżeli uda ci się przeżyć wstępny trening w dżungli, staniesz się człowiekiem, jakiego potrzebują. Pamiętaj jednak, żeby ani na chwilę nie spuszczać ich z oka. Odetną ci rękę, jeśli spodoba im się twój zegarek. Webb pamiętał dokładnie te słowa, a także fakt, iż wypowiedział je nie kto inny, jak właśnie Aleksander Conklin.

Wytrzymał brutalny trening i stał się Deltą Jeden. Nie miał już nazwiska ani imienia, tylko

pseudonim będący jedną z liter alfabetu. Potem, już po wojnie, Delta przeistoczył się w Kaina. Kain to Delta, a Carlos to Kain. Tak brzmiało wyzwanie rzucone Carlosowi. Stworzony przez Treadstone-71 zabójca Kain miał złapać Szakala.

Conklin zdradził Kaina, o którym cały przestępczy świat Europy wiedział, że w istocie nazywa się Jason Bourne i jest osławionym zabójcą z Azji. Wystarczyło, by Aleks choć trochę mu zaufał, ale on nie był w stanie się na to zdobyć; nie pozwalała mu na to jego ogromna zgorzkniałość. Uwierzył we wszystkie przerażające informacje o swoim przyjacielu, gdyż musiał w nie uwierzyć, powodowany swoim cierpiętniczo-męczeńskim nastawieniem do życia. Taki rozwój wydarzeń przedstawiał mu samego siebie w lepszym świetle, napełniając przekonaniem, że jest więcej wart od swego byłego przyjaciela. W czasach, kiedy współpracował z „Meduzą”, stracił na minie stopę, a wraz z nią szansę na kontynuowanie kariery znakomitego, zaangażowanego bezpośrednio w akcje stratega. Inwalida nie mógł piąć się dalej po szczeblach drabiny, po których stąpali przed nim Allen Dulles i James Angleton, a także zupełnie nie nadawał się na przebojowego biurokrate, jakich potrzebowano w Langley. Wiądlł szybko, patrząc, jak wyprzedzają go pośledniejsze umysły. Zwracano się do niego po radę coraz rzadziej i zawsze w ścisłej tajemnicy, trzymając go w cieniu, a jednocześnie bojąc się stracić choćby na chwilę z oczu.

Przeżył w ten sposób dwa lata, aż wreszcie człowiek nazywany Mnichem - Rasputin wszystkich tajnych operacji - przypomniał sobie o nim, Dawid Webb został bowiem wyznaczony do nie mającej precedensu akcji, a on, Aleksander Conklin, znał go od lat. Powołano do życia Treadstone-71; Jason Bourne stał się jego produktem, Carlos zaś celem. Przez trzydzieści dwa miesiące Conklin sprawował nadzór nad najbardziej tajną operacją w historii wywiadu aż do chwili, gdy wraz ze zniknięciem Bourne'a i podjęciem pięciu milionów dolarów z konta Treadstone w Zurychu cały plan wziął w łeb.

Nie dysponując żadnymi innymi dowodami, Conklin uwierzył w najgorsze. Otoczony legendą Bourne zdradził; życie w niereczywistym świecie stało się dla niego nie do zniesienia, a pokusa, by powrócić z pięcioma milionami dolarów, zbyt silna, aby się jej oprzeć. Szczególnie dla kogoś określanego mianem „kameleona” - władającego wieloma językami, świetnie wyszkolonego specjalisty, potrafiącego bez najmniejszego wysiłku zmieniać zewnętrzny wygląd i sposób zachowania, dzięki czemu błyskawicznie wtapiał się w każde nowe tło. Nie szczędząc trudów przygotowano pułapkę na najgroźniejszego terrorystę wszystkich czasów, lecz w ostatniej chwili przynęta zniknęła bez śladu. Dla okaleczonego Aleksandra Conklina stanowiło to akt niewybaczalnej zdrady. Biorąc pod uwagę wszystko, co o n musiał przeżyć - zamiast stopy kawałek martwego drewna, wrzynający się boleśnie w kikut, wspaniała kariera w gruzach, osobiste życie wypełnione pustką, jaką przynieść może jedynie całkowite oddanie się Agencji - nie mieściło mu się w głowie, by ktoś inny mógł zdradzić. Czy tamten doświadczył chociaż w połowie tego co on?

W taki właśnie sposób Dawid Webb, niegdyś serdeczny przyjaciel, przemienił się w Jasona Bourne'a, wroga, a właściwie w obsesję. Conklin pomógł stworzyć legendę, a teraz robił wszystko, żeby przyczynić się do jej zniszczenia. Pierwszą próbę podjął przy pomocy dwóch wynajętych morderców na przedmieściach Paryża.

Dawid zadrżał na wspomnienie przygarbionej, utykającej postaci, która ucieka z linii strzału.

Drugiej próby nie pamiętał dokładnie i prawdopodobnie nigdy sobie nie przypomni jej wszystkich okoliczności. Miała miejsce na nowojorskiej Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy, w siedzibie Treadstone. Przemysłna, zastawiona przez Conklina pułapka zatrzasnęła się bez zdobyczy, przede wszystkim dzięki histerycznym wysiłkom walczącego o życie Dawida, a także, co wydaje się

dosyć dziwne, dzięki obecności Carlosa.

Kiedy później okazało się, że „zdrajca” nie był wcale zdrajcą, tylko dotkniętym amnezją nieszczęśnikiem, Conklin całkowicie się załamał. Podczas wielomiesięcznej rekonwalescencji, jaką Dawid przechodził w Wirginii, Aleks wielokrotnie próbował się z nim skontaktować, wszystko wytłumaczyć, błagać o przebaczenie.

Jednak Webb nie miał dla niego przebaczenia.

- Zabiję go, jeśli wejdzie przez te drzwi - powiedział.

Teraz to się zmieni, pomyślał Dawid, zmierzając szybkim krokiem w kierunku domu. Bez względu na błędy i potknięcia Conklina chyba nikt w całej CIA nie mógł się z nim równać, jeśli chodzi o doświadczenia i kontakty, nawiązane w czasie wieloletniej służby. Dawid prawie o nim zapomniał, lecz teraz przywołał na pamięć słowa, które wypowiedział kiedyś Mo Panov:

„Nie mogę mu pomóc, bo on sam tego nie chce. Przeniesie się na tamten świat z butelką whisky pod pachą. Bardzo bym się zdziwił, gdyby dożył emerytury, czyli do końca roku. A z drugiej strony, jeśli jednak się nie wykończy, to ma wielkie szanse, żeby wylądować u czubków. Nie mam pojęcia, w jaki sposób udaje mu się codziennie dotrzeć do pracy. Freudowi nawet nie śniło się o tym, co ten facet teraz przechodzi”.

Rozmowa ta miała miejsce nie dalej niż pięć miesięcy temu, a więc Conklin powinien jeszcze pracować w Agencji.

Przykro mi, Mo, ale jego przeżycia mało mnie obchodzą. Dla mnie jest on już martwy.

Teraz się to zmieni, pomyślał Dawid, wbiegając po schodkach na werandę. Aleks Conklin żyje, wszystko jedno, pijany czy trzeźwy, a nawet gdyby miało się okazać, że jest przesiąknięty bourbonem jak gąbka, to przecież nadal istniały powiązania i kontakty, wypracowane przez niego podczas wielu lat służby dla spowitego cieniem świata, który ostatecznie go odrzucił. W tym rządzonej przez strach świecie obowiązywała zasada spłacania długów.

Aleksander Conklin, numer 1 na liście Jasona Bourne'a.

Otworzył drzwi i ponownie znalazł się w hallu, lecz jego oczy nie dostrzegały już rumowiska sprzętów. Jakiś spokojny, rozsądny głos kazał mu pójść do gabinetu i rozpocząć logiczne działanie. Bez porządku, choćby narzuconego siłą, powstawało zamieszanie, to zaś stwarzało problemy, na które nie mógł sobie teraz pozwolić. W ramach tworzonej przez niego rzeczywistości wszystko musiało być jak najbardziej zwyczajne, by odwrócić uwagę ciekawskich od tej rzeczywistości, która istniała naprawdę.

Usiadł przy biurku, próbując zebrać myśli. Przed nim jak zawsze leżał gruby notes, kupiony w uniwersyteckim sklepie. Otworzył go i sięgnął po długopis... Nie mógł go podnieść! Drżała mu nie tylko ręka, lecz całe ciało. Wstrzymał oddech i zacisnął z całej siły dłoń, aż poczuł, jak paznokcie wbijają mu się w ciało. Zamknął oczy, a następnie otworzył je i ponownie wyciągnął rękę, nakazując jej robić to, co chciał. Powoli, niezgrabnie, palce ujęły długopis i przesunęły go nad otwartą stronę. Słowa były ledwo czytelne, ale były.

Uniwersytet - zadzwonić do rektora i dziekana. Kłopoty rodzinne, ale nie Kanada, bo mogą sprawdzić. Na przykład brat w Europie. Tak, Europa. Krótkie zwolnienie. Będę w kontakcie.

Dom - zadzwonić do agenta, ta sama historia. Poprosić Jacka, żeby wpadał od czasu do czasu. Ma klucz. Przetawić termostat na 15°. Korespondencja - zawiadomić pocztę, żeby przechowali

wszystkie przesyłki. Gazety - odwalać.

Drobnostki, te wszystkie cholerne drobnostki; nieistotne, niezauważalne na co dzień szczegóły, którymi trzeba było się zająć, tak by nic nie świadczyło o nagłym wyjeździe bez określonej choćby w przybliżeniu daty powrotu. Było to niezwykle ważne i musiał o tym pamiętać przez cały czas. Pytania należało ograniczyć do minimum, a domysły sprowadzić do rozsądnych proporcji, co oznaczało, iż będzie musiał zapobiec spekulacjom, że jego zniknięcie ma jakiś związek ze wzmożoną ochroną, jaka ostatnio towarzyszyła jego osobie. Aby to osiągnąć, należało przede wszystkim podkreślać krótki okres okolicznościowego zwolnienia, a także, kiedy tylko się da, brać byka za rogi, mówiąc coś w rodzaju: „Na pewno myślisz, że to ma jakiś związek z... no, wiesz z czym. Otóż nie, nic z tych rzeczy. Tamto to już zamknięty ROZDZIAŁ". W wyborze właściwego sposobu zachowania powinna mu pomóc rozmowa z rektorem i dziekanem. Musi uważnie obserwować ich reakcje i wyciągać z nich właściwe wnioski, o ile, rzecz jasna, będzie do tego zdolny. Weź się w garść! Pisz dalej! Zapełnij jeszcze jedną stronę, a potem jeszcze jedną! Pisz o wszystkim, co musisz zrobić! Paszporty, inicjały na portfelach lub koszulkach, rezerwacje biletów lotniczych - z przesiadkami, nie bezpośrednio - o, Boże! Dokąd? Marie, gdzie jesteś?

Przestań! Opanuj się! Dasz radę, musisz dać radę. Nie masz wyboru, więc stań się znowu tym, kim kiedyś byłeś. Bądź zimny jak lód.

Nagle rozległ się brzęczyk stojącego na biurku telefonu, roztrzaskując na drobne kawałki cienką skorupę, jaką zdołał już wokół siebie wybudować. Z przerażeniem spojrzął na telefon, zastanawiając się w popłochu, czy potrafi nadać swemu głosowi choćby w miarę normalne brzmienie. Dzwonek rozległ się ponownie, jakby mówił: Nie masz wyboru.

Podniósł słuchawkę, zaciskając na niej palce z taką siłą, że aż zbieleły mu kostki.

- Tak? - wykrztusił z trudem.

- Tu centrala łączności satelitarnej...

- Słucham? Że co, proszę?

- Mamy rozmowę z pokładu samolotu do pana Webba. Czy pan nazywa się Webb?

- Tak.

I wtedy świat rozpadł się na tysiące odłamków luster, w każdym zaś odbijała się cząstka jego udreki.

- Dawid!

- Marie?

- Tylko się nie denerwuj, kochanie! Słyszysz mnie? Tylko się nie denerwuj! - Jej głos dobiegał poprzez gęsty szum. Starła się nie krzyczeć, ale nie bardzo jej to wychodziło.

- Nic ci się nie stało? W liście było napisane, że jesteś ranna!

- Nic mi nie jest. Kilka zadrapań, to wszystko.

- Skąd dzwonicz?

- Znad oceanu. Na pewno sami ci to powiedzą. Nic więcej nie wiem, bo mnie uśpili.

- Boże, nie zniosę tego! Zabrali mi ciebie!

- Weź się w garść, Dawidzie. Wiem, co czujesz, ale zapewniam cię: to nie to, o czym myślisz! Rozumiesz mnie? To nie jest to, o czym myślisz!

Przesyłała mu wiadomość. Nietrudno było ją rozszyfrować: Musiał znowu stać się człowiekiem, którego nienawidził. Musiał stać się Jasonem Bourne'em, zabójcą ukrywającym się w ciele Dawida Webba.

- Tak, oczywiście. Cały czas odchodziłem od zmysłów...

- Twój głos jest wzmacniany przez głośniki.

- Domyślam się.

- Pozwolili mi porozmawiać z tobą, żebyś wiedział, że żyję.

- Zranili cię?

- Nie mieli takiego zamiaru.

- Więc co to za „zadrapania”, do cholery?

- Broniałam się, a jak wiesz, wychowałam się na farmie.

- Boże...

- Dawidzie, proszę! Nie pozwól, żeby ci to zrobili!

- Mnie? Tu chodzi o ciebie!

- Wiem, najdroższy. Mam wrażenie, że chcą cię wypróbować, rozumiesz?

Kolejna wiadomość. Bądź Jasonem Bourne'em przez wzgląd na was oboje.

- Tak. Tak, oczywiście. - Zaczął mówić trochę spokojniej, starając się opanować. - Kiedy to się stało? - zapytał.

- Dziś rano, jakąś godzinę po twoim wyjściu.

- Rano? Boże, to już cały dzień! Jak?

- Dwaj mężczyźni zadzwonili do drzwi...

- Kto to był?

- Wolno mi tylko powiedzieć, że są z Dalekiego Wschodu. Zresztą nic więcej nie wiem. Poprosili, żebym z nimi poszła, ale nie chciałam. Pobiegłam do kuchni, złapałam nóż i zraniłam jednego z nich.

- Ślad przy drzwiach...

- Nie rozumiem.

- Nieważne.

- Ktoś chce z tobą porozmawiać, Dawidzie. Wysłuchaj go bez gniewu i wściekłości, rozumiesz?

- Dobrze. Tak, rozumiem.

Męski głos, który rozległ się w słuchawce, należał do kogoś, kto uczył się angielskiego od Anglika lub od człowieka, który spędził w Wielkiej Brytanii wiele lat. Mimo to południowochiński akcent zdradzał natychmiast Azjatę, a skrócone samogłoski i ostre spółgłoski nasuwały skojarzenia z

dialektem Kantonu.

- Nie mamy zamiaru krzywdzić pańskiej żony, panie Webb, lecz zrobimy to, jeśli nie będziemy mieli innego wyjścia.

- Nie robiłbym tego na waszym miejscu - odparł lodowatym tonem Dawid.

- Czy rozmawiam z Jasonem Bourne'em?

- Tak.

- To podstawa, bez której nie uda nam się osiągnąć porozumienia.

- Jakiego porozumienia?

- Zabrał pan pewnemu człowiekowi rzecz ogromnej wartości.

- Podobnie jak wy mnie.

- Ona żyje.

- I lepiej, żeby tak pozostało.

- Tamta jest martwa. Pan ją zabił.

- Jesteście tego pewni?

Bourne przyznałby się od razu tylko wtedy, gdyby mógł coś dzięki temu osiągnąć.

- Całkowicie pewni.

- Jakie macie dowody?

- Widziano pana. Wysoki mężczyzna, kryjący się w cieniu, który następnie uciekał hotelowymi korytarzami i przez awaryjne wyjście ze zwinnością górskiego kota.

- I to ma być dowód? To nie mogłem być ja, bo znajdowałem się wtedy tysiące mil stamtąd.

Bourne zawsze starałby się pozostawić sobie możliwość manewru.

- Cóż znaczy odległość w epoce szybkich samolotów? - Azjata umilkł na chwilę, po czym dodał znacznie ostrzejszym tonem: - Dwa i pół tygodnia temu odwołał pan wszystkie swoje zajęcia!

- A gdybym powiedział, że brałem wtedy udział w symposium w Bostonie na temat historii dynastii Song i Yuan, co, nawiasem mówiąc, wiąże się z tematem mojej pracy?

- Byłbym bardzo zdziwiony, że Jason Bourne próbuje się wykpić tak marną wymówką.

Nie chciał wtedy lecieć do Bostonu. Problematyka symposium w^o ogóle go nie interesowała, ale otrzymał oficjalne zaproszenie z Waszyngtonu, z Biura Wymiany Kulturalnej. Boże! Wszystkie fragmenty układanki były na swoich miejscach!

- Wymówką?

- Albo kamuflażem, jeśli pan woli. Tłumy ludzi, niektórzy spośród nich opłaceni, by przysiąc, że pan tam był.

- To żalosne, a w dodatku beznadziejnie amatorskie. Ja nie płacę.

- Racja, to panu zapłacono.

- Mnie? W jaki sposób?

- Za pośrednictwem tego samego banku, z którego usług już pan kiedyś korzystał. Gemeinschaft Bank w Zurychu, przy Bahnhofstrasse, rzecz jasna.

- Dziwne, że nie otrzymałem żadnego potwierdzenia przelewu - zauważył Dawid, nadstawiając uważnie ucha.

- Kiedy przebywał pan w Europie jako Jason Bourne, nigdy nie potrzebował pan podobnych formalności, bo pańskie konto miało trzyzerowe oznaczenie - ściśle tajne, co wiele znaczy w tak pilnie strzegącej tajemnic Szwajcarii. Mimo to udało nam się w papierach pewnego człowieka - martwego człowieka - znaleźć dokument świadczący o dokonaniu przelewu.

- Nie wątpię. Chyba nie był to człowiek, którego rzekomo zamordowałem?

- Oczywiście, że nie. Był nim ten, który rozkazał go zabić, a wraz z nim najdroższy skarb mego pracodawcy.

- Skarb czy zdobycz?

- To bez znaczenia, panie Bourne. Już wystarczy. Proszę przybyć do Koulunu i zameldować się w hotelu Regent pod dowolnym

nazwiskiem, ale koniecznie w apartamencie 690. Może pan powołać się na wcześniejszą rezerwację.

- To miłe z waszej strony.

- Zaoszczędzimy w ten sposób sporo czasu.

- Ale ja też potrzebuję trochę czasu, żeby uporządkować tutaj wszystkie sprawy.

- Jesteśmy przekonani, że nie uczyni pan żadnego niewłaściwego kroku i załatwi pan wszystko możliwie najszybciej. Spodziewamy się pana pod koniec tygodnia.

- Możecie na mnie liczyć. Chcę jeszcze porozmawiać z żoną.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

- Na miłość boską, przecież możecie słuchać, o czym mówimy!

- Będzie pan mógł rozmawiać z nią w Koulunie.

Połączenie zostało przerwane. Webb odłożył słuchawkę; dopiero rozluźniwszy dłoń poczuł ból spowodowany silnym napięciem mięśni. Potrząsnął ręką, wdzięczny za to, że nieprzyjemne uczucie pozwoliło mu przynajmniej na chwilę oderwać myśli od gnębiącego go koszmaru. Kiedy rozprostował skurczone palce drugą ręką, wiedział już, co ma uczynić możliwie najszybciej, nie tracąc czasu na niezwykle ważne, lecz w tej chwili nieistotne drobiazgi. Musi skontaktować się z Conklinem w Waszyngtonie, z tym ściekowym szczurem, który próbował go zabić w biały dzień na Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy. Dla Aleksa, obojętne, trzeźwego czy pijanego, nie istniała różnica między dniem a nocą, ponieważ w zawodzie, który wykonywał, takie różnice nie miały znaczenia. Jedyną rzeczywistość stanowił mdły blask jarzeniówek w czynnych przez całą dobę biurach, Jeżeli będzie musiał, przycisnie Conklina tak, że krew tryśnie mu oczu i dowie się, czego będzie chciał, ponieważ Conklin może dotrzeć do każdej informacji.

Webb wstał z miejsca i poszedł niepewnym krokiem do kuchni, gdzie przyrządził sobie drinka;

dłonie drżały mu w dalszym ciągu, lecz już znacznie mniej.

Część rzeczy mógł zlecić innym osobom. Jason Bourne nigdy tego nie robił, ale on był jeszcze Dawidem Webbem i znał kilku ludzi, którym mógł zaufać - oczywiście, w grę mogło wchodzić jedynie wiarygodne kłamstwo. Zanim wrócił do gabinetu, wybrał już łącznika. Łącznika, dobry Boże! Słowo z przeszłości, o której, jak sądził, będzie mu wolno zapomnieć. Młody człowiek z pewnością zrobi wszystko, o co go poprosi, jego pracę doktorską bowiem miał zaopiniować między innymi niejaki Dawid Webb.

Wykorzystuj każdą przewagę, wszystko jedno, czy jest to całkowita ciemność, czy oślepiające sionce. Wykorzystuj ją, wywołując strach lub współczucie, zależnie od tego, czego akurat potrzebujesz.

- James? Mówi Dawid Webb.

- Dobry wieczór, panie Webb. Coś schrzaniłem?

- Nic nie schrzaniłeś, Jim. To mnie się pochrzaniło kilka rzeczy i dlatego będę potrzebował pomocy. Uda ci się znaleźć trochę czasu?

- W najbliższy weekend?

- Nie, jutro rano. Zajmie ci to godzinę lub dwie, ale dzięki temu będziesz mógł wpisać nowe osiągnięcie do swego naukowego życiorysu.

- Niech pan wali.

- Między nami mówiąc, muszę wyjechać na tydzień lub dwa i mam zamiar zaproponować dziekanowi, żebyś w tym czasie mnie zastąpił. Dasz sobie spokojnie radę, bo doszedłem do przewrotu Manchu i układów rosyjsko-chińskich.

- Tysiąc dziewięćset do tysiąc dziewięćset sześć - stwierdził autorytatywnie kandydat na doktora.

- Tylko nie zapomnij o Japończykach, Port Arthur i Teddym Roosevelcie. Chodzi mi o dokładne naświetlenie wszystkich zależności.

- Nie ma problemu, zajrzę do paru książek. A co z jutrem?

- Wyjeżdżam jeszcze dziś wieczorem. Masz pod ręką ołówek?

- Jasne.

- Wiesz, ile jest potem gadania, jeśli się nie odbiera gazet i listów, więc odwołaj prenumeratę i powiedz na poczcie, żeby wstrzymali wszystko do mojego powrotu. Podpisz, co ci każą. Potem zadzwoń do agencji Scully'ego w miasteczku, poproś Jacka albo Adelę i...

Młody uczonek został wciągnięty do spisku. Następna rozmowa przebiegła znacznie łatwiej, niż Dawid oczekiwał. Rektor wydawał właśnie przyjęcie w swojej rezydencji i był znacznie bardziej zainteresowany swoim zbliżającym się wystąpieniem, niż dość mętnie umotywowaną prośbą jednego z wykładowców o kilkudniowe zwolnienie.

- Proszę się skontaktować z dziekanem, panie... Wedd. Ja tylko zbieram na was pieniądze, do diabła.

Z dziekanem poszło już znacznie gorzej.

- Dawidzie, czy to ma jakiś związek z tymi ludźmi, którzy nie odstępowali cię na krok przez

ostatni tydzień? Możesz mi powiedzieć, bo w końcu jestem tutaj jednym z nielicznych, którzy wiedzą, że miałeś coś wspólnego z jakimiś tajemniczymi sprawami w Waszyngtonie.

- Najmniejszego, Doug. Tamto było bzdurą od samego początku, a to, niestety, nie jest. Mój brat miał poważny wypadek samochodowy. Muszę polecieć na kilka dni do Paryża, może na tydzień, i to wszystko.

- Byłem tam dwa lata temu. Ci Francuzi jeżdżą jak szaleńcy.

- Nie gorzej niż w Bostonie, Doug, a o wiele lepiej niż w Kairze.

- No cóż, przypuszczam, że da się coś załatwić. Tydzień to nie tak długo. Johnsona nie było przecież przez prawie miesiąc, kiedy miał zapalenie płuc, więc...

- Ja już wszystko załatwiłem, jeśli to zaakceptujesz, rzecz jasna. Może mnie zastąpić Jim Crowther, wiesz, ten z otwartym przewodem doktorskim. Zna dobrze materiał i na pewno da sobie radę.

- A, Crowther... Rzeczywiście, zdolny facet, pomimo tej brody. Nie ufam brodaczo, ale to chyba dlatego, że byłem tu pod koniec lat sześćdziesiątych.

- Spróbuj sam zapuścić, może w ten sposób pozbędziesz się uprzedzeń.

- Dzięki za radę, ale nie skorzystam. Więc jesteś całkowicie pewien, że to nie ma nic wspólnego z tymi ludźmi z Departamentu Stanu? Muszę znać prawdę, Dawidzie. Jak się nazywa twój brat? W którym szpitalu leży?

- Nie wiem, bo nazwę zapisała Marie, a ona poleciała już dziś rano. Do widzenia, Doug. Zadzwoń do ciebie jutro albo pojutrze. Muszę jechać na lotnisko.

- Dawidzie...

- Tak?

- Dlaczego mam wrażenie, że nie jesteś ze mną całkiem szczery?

- Dlatego, że pierwszy raz w życiu znalazłem się w takiej sytuacji - odparł Dawid. - Proszę przyjaciela o przysługę ze względu na osobę, o której wolę nie myśleć.

Odłożył słuchawkę.

Podczas lotu z Bostonu do Waszyngtonu o mało nie oszalał, a to z powodu przypominającego skamielinę nauczyciela logiki - Dawid nigdy nie uczył się tego przedmiotu - zajmującego miejsce obok niego. Podczas całej podróży mężczyźnie ani na chwilę nie zamykały się usta. Dopiero po wylądowaniu na lotnisku National w Waszyngtonie stary nauczyciel wyznał prawdę.

- Proszę mi wybaczyć, jeżeli zanudziłem pana na śmierć. Strasznie boję się samolotów i dlatego bez przerwy gadam. To głupie, prawda?

- Wcale nie, ale dlaczego od razu pan tego nie powiedział? Przecież to nie przestępstwo.

- Przypuszczam, że z obawy przed pogardliwymi spojrzeniami i potępieniem.

- Będę o tym pamiętał następnym razem, kiedy usiądę obok kogoś takiego jak pan - powiedział z lekkim uśmiechem Webb. - Może uda mi się pomóc.

- To bardzo miłe z pańskiej strony. I uczciwe. Dziękuję bardzo.

- Nie ma za co.

Dawid odebrał walizkę z taśmy i wyszedł przed budynek dworca lotniczego. Zirytował go fakt, że taksówkarze brali po dwóch lub trzech pasażerów jadących w tym samym kierunku. Znalazł się na tylnym siedzeniu samochodu w towarzystwie atrakcyjnej kobiety, dającej mu cały czas jakieś znaki zarówno poruszeniami ciała, jak i spojrzeniami. Nie był tym zupełnie zainteresowany, więc z satysfakcją zaobserwował rozczarowanie, jakie pojawiło się na jej twarzy, gdy podziękował jej za towarzystwo i wysiadł z taksówki.

Wynajął pokój w hotelu Jefferson na Szesnastej ulicy, podając w recepcji pierwsze nazwisko, jakie przyszło mu na myśl. Jednak wybór hotelu nie był przypadkowy; budynek wznosił się kilka przecznic od mieszkania Conklina, które oficer CIA zajmował od niemal dwudziestu lat, przebywając w nim zawsze, gdy nie brał akurat udziału w żadnej operacji. Dawid zdobył ten adres, jeszcze zanim opuścił ośrodek leczniczy w Wirginii, powodowany zakorzenioną głęboko w jego psychice nieufnością. Miał także numer telefonu, ale wiedział, że nie na wiele mu się to przyda. Gdyby wcześniej zadzwonił, dałby czas doświadczonemu funkcjonariuszowi wywiadu na przygotowanie linii obrony, a przecież zależało mu na tym, by go dopaść bez żadnego ostrzeżenia. Pojawi się nagle, żądając spłacenia zaciągniętego w przeszłości długu.

Dawid spojrział na zegarek: za dziesięć minut północ. Równie dobra pora, jak każda inna, a być może nawet najlepsza. Wziął prysznic, zmienił koszulę, po czym wyciągnął z walizki jeden z dwóch rozmontowanych na części, schowanych do foliowej torby pistoletów. Złożywszy broń wprowadził pocisk do komory i przyjrzał się swojej dłoni; z zadowoleniem stwierdził, że drżenie zniknęło bez śladu. Jeszcze osiem godzin temu nie uwierzyłby, że może trzymać w ręku naładowany pistolet nie bojąc się, że wystrzeli; to było jednak osiem godzin temu, nie teraz. Teraz pistolet leżał doskonale w dłoni, stanowiąc część jego ciała, część Jasona Bourne'a,

Opuścił hotel i ruszył przed siebie Szesnąstą ulicą. Skręciwszy na rogu zauważył, że w tym kierunku numery domów się zmniejszają. Budynek bardzo przypominały stare domy o elewacjach wykładanych piaskowcem, z jakich składała się niemal cała Upper East Side w Nowym Jorku. W tym spostrzeżeniu była pewna logika, zważywszy na rolę, jaką Conklin odegrał w operacji Treadstone. Dom przy Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy w Nowym Jorku był taki sam - stary, brunatny, o dziwnym kształcie i oknach powyżej parteru z przyciemnionego, niebieskawego szkła. Widział go ze wszystkimi szczegółami i słyszał głosy, nie rozumiejąc, co do niego mówią. Ponownie znalazł się w inkubatorze, w którym dojrzewał Jason Bourne.

Jeszcze raz!

Czyja to twarz?

Jakie stosuje metody zabijania?

Źle! Jeszcze raz!

Kto to jest? Jak ma powiązania z Carlosem?

Pomyśl, do cholery!

Nie wolno ci popełnić błędu!

Stary budynek o elewacji z piaskowca. Właśnie tam powstawało jego drugie „ja”, którego teraz tak bardzo potrzebował.

Dotarł do domu Conklina. Oficer CIA mieszkał na pierwszym piętrze; w oknach paliło się

światło. Aleks był w domu i nie spał. Kiedy przechodził przez ulicę, spostrzegł, że zaczęła padać mżawka, rozpraszając blask ulicznych latarni i tworząc pod kloszami z matowego szkła delikatne aureole. Wszedłszy po schodkach otworzył drzwi, wślizgnął się do środka i stanął przed domofonem; pod każdym nazwiskiem znajdowało się sitko mikrofonu.

Nie miał czasu na żadne skomplikowane pomysły. Jeśli diagnoza Panova była słuszna, wystarczy sam jego głos. Nacisnął guzik przy nazwisku Conklina i czekał niecierpliwie na odpowiedź. Nastąpiła dopiero po minucie.

- Słucham?

- Tu Harry Babcock - powiedział Dawid, naśladowując południowy akcent człowieka, za którego się podawał. - Muszę się z tobą zobaczyć, Aleks.

- Harry? Co, do diabła... Jasne, wchodź na górę!

Rozległ się brzęczyk, przerwany na chwilę, gdy palec Conklina oderwał się od przycisku.

Dawid popędził wąskimi schodami, mając nadzieję znaleźć się przed drzwiami Conklina, zanim ten zdąży je otworzyć. Udało się;

w niecałą sekundę później drzwi uchyliły się i stanął w nich niezbyt pewnie trzymający się na nogach Aleks. Z trudem skoncentrował na twarzy Webba spojrzenie zamglonych oczu, po czym zaczął krzyczeć.

Dawid rzucił się naprzód, przycisnął dłoń do ust mężczyzny, odwrócił go, unieruchamiając żelaznym chwytem i kopnięciem zatrzasnął za sobą drzwi.

Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni zaatakował człowieka. Powinno to być dla niego nowe, niezwykle doznanie, lecz zamiast tego odniósł wrażenie, że wykonuje najbardziej naturalną czynność. Boże!

- Zaraz cofnę rękę, Aleks, ale jeśli znowu zaczniesz wrzeszczeć, znowu cię przyduszę. Tym razem na dobre, rozumiesz? - Dawid postąpił zgodnie z zapowiedzią, odginając jednocześnie głowę Conklina do tyłu.

- Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się ciebie - wykrztusił oficer wywiadu. Kiedy Dawid uwolnił go z uścisku, zatoczył się lekko. - Trzeba to oblać.

- Ty chyba już to zrobiłeś.

- Jesteśmy, jacy jesteśmy - odparł Conklin sięgając niepewnie po pustą szklankę pozostawioną na stoliku ustawionym przed dużą, wysiedzianą kanapą. Ze szklanką w ręku pokuśtykał w kierunku stojącego pod ścianą baru, ozdobionego zwartym szeregiem identycznych butelek bourbona i wiaderkiem z lodem. Bar nie był przeznaczony dla gości, lecz dla pana domu, stanowiąc najwyraźniej jego kaprys, umeblowanie pokoju bowiem nie dorównywało klasą temu błyszczącemu chromem i miedzią sprzętowi.

- Czemu mogę zawdzięczać tę wątpliwą przyjemność? - zapytał Conklin, napełniając swoją szklankę. - W Wirginii nie chciałeś się ze mną widzieć, mało tego, odgrażałeś się, że mnie zabijesz. Tak mówiłeś. „Zabiję go, jak tylko tu wejdzie”.

- Jesteś pijany.

- Chyba tak. Ostatnio prawie zawsze jestem pijany. Chcesz zacząć od jakiegoś wykładu? To

niewiele da, ale jeśli masz ochotę, oczywiście możesz spróbować.

- Jesteś chory.

- Nie, tylko pijany. Sam to powiedziałaś. Czyżbym się powtarzał?

- Ad nauseam.

- W takim razie przepraszam. - Conklin odstawił butelkę, pociągnął kilka łyków ze szklanki i spojrzał na Dawida. - Nie ja przyszedłem do ciebie, lecz ty do mnie, ale to chyba nie ma większego znaczenia. Czy postanowiłaś wreszcie spełnić swoją groźbę, odpłacić mi za krzywdy, wyrównać rachunki, czy jak to tam się nazywa? Nie przypuszczam, żeby to wybrzuszenie pod marynarką było spowodowane butelką whisky.

- Nie odczuwam już tak nieodpartego pragnienia, żeby cię zabić, ale, oczywiście, w dalszym ciągu jestem do tego zdolny. Możesz bardzo łatwo mnie sprowokować.

- Fascynujące. W jaki sposób, jeśli można wiedzieć?

- Nie dostarczając mi tego, czego potrzebuję, a co możesz dostarczyć.

- Chyba wiesz coś, o czym ja nie wiem.

- Wiem, że masz za sobą dwadzieścia lat pracy w wywiadzie i kilkadziesiąt tajnych operacji.

- To już historia - mruknął Conklin, popijając ze szklanki.

- Ale można ją ożywić. W przeciwieństwie do mojej, twoja pamięć jest bez zarzutu. Potrzebuję informacji i odpowiedzi.

- O czym? Na co?

- Zabrali mi żonę - powiedział Dawid. - Zabrali mi Marie! - powtórzył podniesionym tonem.

Conklin zamrugał raptownie powiekami.

- Mógłbyś to jeszcze raz powtórzyć? Mam wrażenie, że się przesłyszałem.

- Nie przesłyszałaś się! Jestem pewien, że w y maczaliście w tym palce!

- Nie ja! Nigdy bym... Nie mógłbym tego zrobić! Co ty wygadujesz? Marie zniknęła?

- Jest teraz w samolocie lecącym nad Pacyfikiem. Mam za nią wyruszyć. Do Koulunu.

- Oszalałaś!

- Posłuchaj mnie, Aleks. Posłuchaj uważnie wszystkiego, co ci powiem...

Słowa popłynęły ponownie, lecz tym razem znacznie spokojniejszym strumieniem niż wtedy, gdy rozmawiał przez telefon z Pa-novem. Pijany Conklin miał bystrzejszy umysł niż większość trzeźwych, inteligentnych ludzi i Webb nie mógł sobie pozwolić, żeby do jego relacji wkradły się choćby najdrobniejsze nieścisłości. Wszystko musiało być jasne od samego początku, od chwili, gdy rozmawiał z Marie przez telefon i usłyszał jej słowa: „Dawidzie, wracaj do domu. Jest tu ktoś, z kim musisz się spotkać. Szybko, najdroższy”.

Podczas gdy mówił, Conklin przekuśtykał niepewnie przez pokój i usiadł na kanapie, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Kiedy Dawid na zakończenie wspomniał o hotelu za rogiem, w którym zamieszkał, Aleks potrząsnął głową i sięgnął po swego drinka.

- Niesamowite - odezwał się po długim milczeniu wypełnionym bolesną koncentracją, która pomogła mu pokonać opary alkoholu. Odstawił szklankę na stół. - Wygląda to tak, jakby przygotowano pewną strategię, która nagle się zawaliła.

- Zawaliła?

- Wymknęła spod kontroli.

- W jaki sposób?

- Tego nie wiem - odparł oficer wywiadu z lekkim ychacnięciem ręki. Mówił powoli, starannie wymawiając słowa. - Zaznajamiamą cię ze scenariuszem, prawdziwym lub nie, a potem dokonują zamiany ról - twoja żona zamiast ciebie - i przystępują do realizacji. Początkowo zachowujesz się zgodnie z przewidywaniami, ale kiedy wspominasz o „Meduzie”, dają ci jasno do zrozumienia, żebyś siedział cicho, bo jak nie, to możesz się poważnie sparzyć.

- Nic dziwnego.

- Ale tak się nie robi. Nagle twoja żona schodzi na drugi plan, a na jej miejscu pojawia się niebezpieczeństwo zdemaskowania „Meduzy”. Ktoś się przeliczył.

- Masz resztę dzisiejszej nocy i cały jutrzejszy dzień na to, żeby zdobyć informacje, których potrzebuję. Jutro o siódmej wieczorem lecę do Hongkongu.

Conklin pokręcił powoli głową i wyciągnął trzęsącą się dłoń w kierunku szklanki.

- Trafiłeś pod zły adres - powiedział, przełknąwszy spory łyk. - Myślałem, że wiesz, bo sam przecież to zauważyłeś. Jestem dla ciebie całkowicie bezużyteczny. Zostałem odstawiony na boczny tor i nikt mi o niczym nie mówi, bo i po co? Mało tego: nikt w ogóle nie chce mieć ze mną do czynienia. Jeszcze trochę, a powiedzą o mnie „nie do uratowania”. Przypuszczam, że pamiętasz, co znaczy to słowo?

- Owszem. „Zabijcie go, za dużo wie”.

- A może właśnie na tym ci zależy? Chcesz mnie podpuścić, żebym obudził śpiącą „Meduzę” i dostał za swoje? W ten sposób wyrównałbyś rachunki.

- To ty doprowadziłeś do tej sytuacji - powiedział Dawid, wyjmując pistolet z ukrytej pod marynarką kabury.

- Zgadza się. - Conklin pokiwał głową, zerkając na broń. - Dlatego, że znałem Deltę i wiedziałem, że wszystko jest możliwe. Nie zapominaj, że oglądałem cię w akcji. Mój Boże, w Tam Ouan rozwaliłeś głowę jednemu z naszych ludzi, bo podejrzewałeś - nie wiedziałeś, tylko podejrzewałeś - że przekazuje meldunki komunistom! Żadnych zarzutów, żadnej obrony, tylko jeszcze jedna pospieszna egzekucja w dżungli. Okazało się, że miałeś rację, ale przecież mogłeś się mylić! Sam ustalałeś dla siebie prawa. Było więc bardzo prawdopodobne, że wtedy w Zurychu nas zdradziłeś.

- Nie pamiętam, co zdarzyło się w Tam Quan, ale dowiedziałem się o tym od innych - odparł gniewnie Dawid. - Miałem wyprowadzić dziewięciu ludzi. Nie było miejsca dla dziesiątego, który zwalniałby marsz albo informował nieprzyjaciela o naszej pozycji.

- Znakomicie! To są właśnie twoje prawa! Jesteś taki pomysłowy, więc znajdź teraz szybko jakieś uzasadnienie i pociągnij za spust, tak jak zrobiłeś to wtedy! Mówiłem ci już w Paryżu, żebyś to zrobił! - Oddychając gwałtownie Conklin utkwiał w Dawidzie spojrzenie swoich nabiegłych krwią

oczu i wyszeptał błagalnie: - Prosiłem cię wtedy i proszę cię teraz: Zrób to! Mam już dosyć!

- Byliśmy przyjaciółmi, Aleks! - wykrzyknął Dawid. - Przychodziłeś do nas do domu! Jedliśmy razem kolację, a potem bawiłeś się z dziećmi! Pływałeś z nimi w rzece...

Boże, wszystko zaczęło znowu wracać! Obrazy, twarze... Twarze! dala unoszące się bezwładnie w czerwonej wodzie... Opanuj się! Zapomnij o tym! Natychmiast!

- To było w innym kraju, Dawidzie. A poza tym... Nie wiem, czy chcesz, żebym dokończył zdanie.

- „A poza tym, dziewczka nie żyje”. Nie, lepiej tego nie powtarzaj.

- Obydwaj byliśmy prawdziwymi erudytami, nie uważasz? - zapytał ochryple Conklin, niemal opróżniając do końca szklankę. - Naprawdę, nie mogę ci pomóc.

- Właśnie, że możesz. I zrobisz to.

- Nie widzę sposobu.

- Ludzie mają u ciebie zaciągnięte długi. Powołaj się na nie, tak jak ja powołuję się teraz.

- Przykro mi. Możesz pociągnąć za spust, kiedy tylko zechcesz, ale ja z własnej woli nie podstawię się do skreślenia ani nie zrezygnuję z tego, na co sobie zapracowałem. Jeśli już mam iść na zieloną trawkę, to chcę, żeby pastwisko było możliwie najbujniejsze. Wystarczająco dużo mi zabrali, teraz chcę część odzyskać z powrotem.

Oficer CIA wstał z kanapy i pokuśtykał przez pokój w kierunku chromowanego baru. Utykał bardziej niż kiedyś, ciągnąc za sobą prawą stopę, równie użyteczną jak kawałek martwego drewna, którym w istocie była.

- Z nogą jest gorzej, prawda? - zapytał Dawid.

- Jakoś to przeżyję.

- Powiem ci nawet, że z tym umrzesz - wycedził Webb, unosząc pistolet. - Dlatego, że ja nie mogę żyć bez mojej żony, a ciebie to gównu obchodzi. Czy wiesz, kim jesteś, Aleks? Po tym wszystkim, co nam zrobiłeś, po tych kłamstwach, pułapkach i brudach, które wylewałeś na nasze głowy...

- Na twoją, nie na jej! - przerwał mu Conklin, napełniając szklankę i spoglądając na pistolet.

- To na jedno wychodzi, ale ty i tak tego nie zrozumiesz.

- Nigdy nie miałem okazji się nauczyć.

- Bo nie pozwoliło ci to wszawie użalanie się nad samym sobą! Nie pragniesz niczego innego, jak zamknąć się w skorupie, zalać w trupa i o niczym nie myśleć. „I tak oto przez głupią minę rozpoczął się upadek człowieka, który mógł osiągnąć największe zaszczyty”. Jesteś żaloszny. Masz przecież życie, masz umysł...

- Jezu, więc je sobie weź! Strzelaj! Pociągnij za ten cholerny spust, ale daj mi wreszcie spokój! - Conklin raptownie wlał w siebie całą zawartość szklanki; jego ciałem wstrząsnął długotrwały, chrapliwy kaszel. Kiedy atak minął, ponownie skierował na Dawida spojrzenie nabiegłych krwią, załamanych oczu. - Myślisz, że bym ci nie pomógł, gdybym tylko mógł, ty sukinsynu? - wyszeptał z wysiłkiem. - Myślisz, że tak lubię się zalewać? To ty niczego nie rozumiesz, nie ja! - Oficer

wywiadu wyciągnął przed siebie pustą szklanę i upuścił ją na podłogę; naczynie rozbiło się w drobny mak. Kiedy ponownie przemówił, jego wysoki głos nabrał me-lodyjności, a na twarzy pojawił się blady uśmiech. - Po prostu nie zniósłbym kolejnej porażki, przyjacielu, a tak by się to skończyło, możesz mi wierzyć. Zabiłbym was oboje, a nie wydaje mi się, żebym potrafił potem z tym żyć.

Webb opuścił broń.

- Na pewno nie z tym, czego się dowiedziałeś. Tak czy inaczej, zaryzykuję. Mam niewielki wybór, więc decyduję się na ciebie. Szczerze mówiąc, nie znam nikogo innego. Mam trochę pomysłów, może nawet plan, ale trzeba go szybko dopracować.

- Hę? - wystękał ze zdumieniem Conklin, przytrzymując się baru.

- Zaparzyć ci kawy, Aleks?

ROZDZIAŁ 7

Czarna kawa podziałała na Conklina trzeźwiąco, lecz nie tak bardzo jak fakt, że Dawid postanowił mu zaufać. Były Jason Bourne doceniał umiejętności swego do niedawna śmiertelnego przeciwnika i dał mu to do zrozumienia. Rozmawiali do czwartej nad ranem, szkicując zarysy strategii opierającej się na terażniejszości, lecz wybiegającej daleko w przyszłość. W miarę jak słabł wpływ alkoholu, Conklin zaczynał działać coraz sprawniej, nadając konkretny kształt podsuwanym przez Dawida, nie do końca sprecyzowanym myślom. Sposób, w jaki Webb podszedł do sprawy, nie budził w nim zastrzeżeń.

- Chodzi ci o stworzenie nagłej, kryzysowej sytuacji związanej ze zniknięciem Marie i nadanie jej odpowiedniego rozgłosu. Sam jednak powiedziałaś, że musimy ją zmontować w szybkim tempie, by uderzyć mocno i celnie, nie dając im czasu na domysły.

- Trzeba zacząć od prawdy - wtrącił Webb. - Wdarłem się tu grożąc ci śmiercią i oskarżając cię o wszystko, co się do tej pory zdarzyło: od scenariusza McAllistera poprzez groźbę Babcocka, że wyślą po mnie pluton egzekucyjny, aż do tego arystokratycznego głosu, który kazał mi zostawić „Meduzę” w spokoju, bo jak nie, to wsadzą mnie w kaftan bezpieczeństwa i odwiozą do czubków. To wszystko naprawdę się zdarzyło, a ja naprawdę grozę ujawnieniem wszystkiego, co wiem o „Meduzie”.

- Więc musimy im wcisnąć jakieś wielkie kłamstwo, które wywoła wśród nich popłoch.

- Na przykład jakie? - Jeszcze nie wiem. Trzeba nad tym pomyśleć. Powinno to być coś zupełnie nieoczekiwanego, co wytrąci z równowagi nawet najbardziej doświadczonych strategów, kimkolwiek są. Mam przeczucie, że już popełnili co najmniej jeden błąd, a jeśli okaże się, że tak jest w istocie, to będą się starali nawiązać kontakt.

- W takim razie wyciągnij swoje notatki i spróbuj dotrzeć do pięciu lub sześciu ludzi, którzy najbardziej pasują do schematu.

- To by zajęło wiele godzin, jeśli nie dni - zaproponował Aleks. - Musiałbym obchodzić dookoła wzniesione już barykady, a na to nie mamy czasu. T y nie masz czasu.

- Więc musimy ten czas znaleźć! Zaczynaj coś robić!

- Istnieje lepszy sposób - odparł Conklin. - Panov ci go podsunął.

- Mo?

- Tak. Oficjalne raporty w Departamencie Stanu.

- Raporty...? - Webb zupełnie o nich zapomniał. - W jaki sposób mogą nam pomóc?

- Jeśli właśnie tam zaczęli tworzyć nową dokumentację na twój temat, to dostarczę im jeszcze inną wersję, którą będą musieli natychmiast sprawdzić - zakładając oczywiście, że się nie mylę i że istotnie stracili nad tym kontrolę. Raporty stanowią jedynie narzędzie:

rejestrują fakty, ale nie potwierdzają ich autentyczności. Ludzie, którzy je wprowadzają do komputerów, podniosą natychmiast alarm, jeśli tylko zaczną podejrzewać, że ktoś tam grzebał. Odwalą za nas kawał roboty... Niemniej jednak w dalszym ciągu potrzebujemy jakiegoś kłamstwa, które dokonałoby przełomu.

- Przełomu?

- Chodzi mi o jakieś zakłócenie w realizacji scenariusza, lukę w planie.

- Wiem, o co ci chodzi... Słuchaj, a co ty na to: jak wiesz, nazywają mnie schizofrenikiem, co oznacza, że czasem mówię prawdę, a czasem nie, i nie potrafię odróżnić jednego od drugiego.

- Niektórzy z nich mogą nawet w to wierzyć - uzupełnił Conklin. - I co z tego?

- Dlaczego nie mielibyśmy tego wykorzystać? Powiesz im, że usłyszałeś ode mnie, jakoby Marie udało się uciec i zawiadomić mnie, gdzie jest, a ja natychmiast ruszyłem jej na ratunek.

Aleks zmarszczył brwi, lecz niemal natychmiast rozpogodził się, wpatrując w Dawida błyszczącymi oczami.

- Doskonały pomysł! - powiedział. - Bez zarzutu! Zamieszanie rozprzestrzeni się jak ogień w suchych zaroślach. W tak zakamufLOWANYCH operacjach jak ta tylko dwóch lub trzech ludzi zna wszystkie szczegóły, a reszta nie ma o niczym pojęcia. Boże, wyobrażasz to sobie? Porwanie w majestacie prawa! Ci, którzy maczali w tym palce, mogą wpaść w panikę i przeszkadzać sobie nawzajem, próbując ratować swoje tyłki. Wspaniale, panie Bourne!

Webb nawet się nie skrzywił słysząc to nazwisko. Zaakceptował je bez namysłu.

- Słuchaj! - powiedział, wstając z miejsca. - Obaj jesteśmy wyczerpani. Wiemy już, czego się trzymać, więc prześpijmy się trochę, a rano weźmiemy się do roboty. Sam nieraz się przekonałeś, ile może działać kilka godzin snu.

- Wrócisz do hotelu? - zapytał Conklin.

- Wykluczone - odparł Dawid, spoglądając na bladą, ściągniętą twarz oficera wywiadu. - Daj mi jakiś koc. Będę spał tutaj, przy barze.

- Powinieneś już wiedzieć, kiedy nie należy się martwić o pewne rzeczy - powiedział Aleks. Uniósł się z kanapy i pokuśtykał do szafy w przedpokoju. - Jeżeli to ma być moja ostatnia akcja, to bez względu na rezultat postaram się dać z siebie wszystko. Może mi to coś pomoże. - Wrócił do pokoju z kocem i poduszką pod pachą. - Zapewne uznasz to za jakieś idiotyczne przecucie, ale czy wiesz, co zrobiłem wczoraj wieczorem po pracy?

- Jasne, że wiem. Na podłodze leży rozbite szkło.

- Nie, jeszcze wcześniej.

- No, co takiego?

- Pojechałem do supermarketu i kupiłem tonę żarcia. Befszyki, jaja, mleko, nawet ten klej, który nazywają płatkami owsianymi. Nigdy wcześniej nic takiego nie robiłem.

- Wygląda na to, że po prostu miałeś duży apetyt.

- Kiedy mi to się zdarza, idę do restauracji.

- W takim razie, do czego zmierzasz?

- Kładź się na kanapie, zmieścisz się. Mam zamiar coś zjeść i jeszcze trochę pomyśleć. Usmażę sobie befszyk, a kto wie, może również jajecznicę.

- Potrzebujesz snu.

- Dwie, dwie i pół godziny w zupełności mi wystarczą. Potem zjem trochę tej przeklętej owsianki.

Aleksander Conklin szedł korytarzem na czwartym piętrze budynku Departamentu Stanu, utykając mniej niż zwykle, lecz okupując to olbrzymim wysiłkiem woli i większym bólem. Wiedział, jaka była tego przyczyna: czekało go zadanie, które pragnął ze wszystkich sił wykonać dobrze, a nawet znakomicie, jeśli to słowo miało dla niego jeszcze jakieś znaczenie. Przekonał się, że nie sposób w jednej chwili nadrobić długich miesięcy, podczas których zaniedbał swoje ciało, ale że można odzyskać poczucie sensu działania. O, ironio! Nie dalej jak rok temu chciał zniszczyć człowieka zwanego przez nich Jasonem Bourne'em, teraz zaś opanowała go nagła obsesja nakazująca pomóc Dawidowi Webbowi, ponieważ tamto pragnienie sprzed roku okazało się tragiczną pomyłką. Wiedział, że ta obsesja może obrócić się przeciwko niemu, lecz mimo to był gotów podjąć ryzyko. Może wyrzuty sumienia nie zawsze zamieniają człowieka w tchórze, ale czasem też pozwalają mu poczuć się kimś lepszym.

I wyglądać lepiej, dodał w myśli. Przebył dziś pieszo znacznie większą odległość niż powinien, pozwalając, by zimny jesienny wiatr namalował mu na policzkach rumieńce, których nie było tam już od lat. Gładko ogolony, w nie noszonym od dawna prążkowanym garniturze ani trochę nie przypominał człowieka, którego Webb ujrzał wczorajszej nocy. Jednak zbliżając się do podwójnych drzwi gabinetu szefa Ochrony Wewnętrznej Departamentu Stanu zdawał sobie doskonale sprawę, że cała reszta była jedynie grą.

Formalności zajęły niewiele czasu, a niezobowiązująca wymiana zdań jeszcze mniej. Na prośbę Conklina - czytaj: na żądanie Agencji - sekretarz opuścił gabinet i Aleks został sam na sam z gburowatym byłym generałem brygady (niegdyś G-2), kierującym obecnie Ochroną Wewnętrzną Departamentu Stanu. Aleks postanowił natychmiast zepchnąć przeciwnika do defensywy.

- Nie przyszedłem tutaj z żadną międzywydziałową misją dyplomatyczną, generale. Jest pan generałem, prawda?

- Owszem, czasem tak mnie tytułują.

- W związku z tym nie będę się bawił w żadne dyplomatyczne ceregiele, rozumie mnie pan?

- Rozumiem. Wydaje mi się, że zaczynam pana nie lubić.

- To akurat niewiele mnie obchodzi - odparł Conklin. - Interesuje mnie coś innego, a mianowicie człowiek o nazwisku Dawid Webb.

- Co z nim?

- „Co z nim?” Fakt, że od razu przyznaje się pan do tego, że go zna, nie napawa mnie zbytnim optymizmem. Co tu się dzieje, generale?

- Potrzebujesz megafonu, tajniaku?

- Potrzebuję odpowiedzi, poruczniku - dokładnie tyle znaczy dla nas w Agencji pańska funkcja.

- Spokojnie, Conklin! Kiedy zadzwoniłeś do mnie z tą swoją „superważną” sprawą, a na dodatek zażądałeś dokładnej identyfikacji, sprawdziłem to i owo. Twoja znakomita reputacja została ostatnio trochę nadszarpnięta, żeby użyć delikatnego określenia. Jesteś pijusem, tajniaku, i wszyscy o tym wiedzą. Masz minutę na to, żeby powiedzieć, co masz do powiedzenia, zanim każę cię stąd wyrzucić. Możesz wybierać - winda albo okno.

Aleks wziął pod uwagę możliwość, że generał dowie się o jego skłonnościach.. Utkwił nieruchome spojrzenie w jego twarzy i powiedział spokojnym, wręcz przyjaznym tonem:

- Generale, odpowiem na te oskarżenia tylko jednym zdaniem, ale jeśli wyjdzie ono poza ten gabinet, Agencja będzie wiedzieć, czyja to zasługa. - Zamilkł na chwilę, nie spuszczać nieruchomego wzroku z oczu siedzącego za biurkiem mężczyzny. - Z różnych powodów, o których nie chcę i nie mogę teraz nic powiedzieć, rozpowszechniamy o wielu naszych pracownikach opinie nie zawsze zgodne z prawdą. Jestem pewien, że pan wie, co mam na myśli.

Spojrzenie wysokiego funkcjonariusza Departamentu Stanu natychmiast złagodniało.

- Boże... - wykrztusił. - To samo robiliśmy podczas wojny z ludźmi, których mieliśmy zamiar wysłać do Berlina...

- Często w porozumieniu z nami - dodał Conklin, kiwając głową. - Mam nadzieję, że w ten sposób wyczerpaliśmy temat.

- Oczywiście. Nie byłem w to wprowadzony, ale muszę panu powiedzieć, że zasłona dymna działa bez zarzutu. Jeden z zastępców waszego szefa powiedział mi, że zemdleję, jeśli chuchnie pan na mnie ze środka pokoju.

- Nie chcę wiedzieć który, bo pewnie nie wytrzymałbym i roześmiał mu się w twarz. Tak się składa, że w ogóle nie piję. - Aleks poczuł ogromną potrzebę, żeby tak jak w dzieciństwie niepostrzeżenie skrzyżować w tym momencie palce, nogi, cokolwiek, ale nie miał jak tego zrobić. - Wracajmy do Dawida Webba - powiedział ostrym, poważnym tonem.

- Co pana boli?

- Co mnie b o l i? Tu chodzi o moje życie, a nie o to, co mnie boli! Coś się dzieje, a ja chcę wiedzieć co! Ten sukinsyn włamał się wczoraj wieczorem do mojego mieszkania i zagroził, że mnie zabije. Wy-wrzaskiwał jakieś dzikie oskarżenia, wymieniając nazwiska waszych ludzi - Harry'ego Babcocka, Samuela Teasdale'a i Williama Laniera. Sprawdziliśmy ich: brali udział w waszych tajnych operacjach i w dalszym ciągu są czynni. Co oni wyrabiają, do cholery? Jeden dał mu wyraźnie do zrozumienia, że wyślecie za nim pluton egzekucyjny! Co to za gadka, do diabła? Inny znowu kazał mu wracać do szpitala, a przecież Webb był już w dwóch szpitalach i w naszej resortowej klinice w Wirginii! Razem go tam wsadziliśmy, a kiedy wyszedł, dostał normalne papiery. Teraz okazało się, że ma w głowie parę tajemnic, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego, i jest bliski wybuchu, dlatego że paru waszych idiotów powiedziało albo zrobiło nie to, co trzeba! Twierdził, że ma dowody na to, że znowu wleźliście z butami w jego życie i zaczęliście go ustawiać na swoją modłę.

- Jakie dowody? - zapytał oszołomiony generał.

- Rozmawiał ze swoją żoną - powiedział Conklin, ścisząc dramatycznie głos.

- I co?

- Została uprowadzona z domu przez dwóch mężczyzn, którzy ją uśpili i wsadzili do prywatnego samolotu. Przewieźli ją na Zachodnie Wybrzeże.

- Porwano ją?

- Otóż to. Co gorsza, podsłuchiwała rozmowę jednego z tych mężczyzn z pilotem, a z rozmowy tej wynikało jednoznacznie, że cała ta brudna sprawa ma jakiś związek z Departamentem Stanu,

ponieważ padło nazwisko „McAllister”. Do pańskiej wiadomości, to jeden z waszych podsekretarzy z Sekcji Dalekiego Wschodu.

- To szaleństwo!

- Więcej niż szaleństwo: to nasze jaja, pańskie i moje, posiekane na sałatkę! Kobieta uciekła podczas tankowania paliwa w San Francisco i zadzwoniła do Webba, do Maine. Właśnie po nią wyruszył, jeden Bóg wie dokąd, ale lepiej przygotujcie sobie trochę wiarygodnych odpowiedzi, chyba że uda wam się udowodnić, że to wariat, który zabił swoją żonę, i że nie było żadnego porwania!

- Niczego nie trzeba udowadniać, to jasne! - wykrzyknął szef Ochrony Wewnętrznej Departamentu Stanu. - Czytałem raporty! Musiałem, bo wczoraj też ktoś dzwonił w jego sprawie. Proszę nie pytać kto, bo nie wiem.

- Co tu się dzieje, do cholery? - zapytał Conklin pochylając się nad biurkiem w stronę generała.

- To paranoik! Wymyśla sobie różne rzeczy i w nie wierzy.

- Lekarze nic takiego nie stwierdzili - odparł lodowatym tonem Aleks. - Wiem coś na ten temat.

- Ale ja nie, do diabła!

- I zapewne nigdy się pan nie dowie - skinął głową Conklin. - Jednak jako uczestnik operacji Treadstone, który przeżył, chciałbym, żeby dotarł pan do kogoś, kto potrafi mnie uspokoić. Ktoś na górze otworzył puszkę z robakami, która powinna pozostać na zawsze zamknięta. - Conklin wydobyl z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielki notes i długopis, napisał numer telefonu, wydarł kartkę i położył ją na biurku. - Nie uda wam się ustalić adresu - powiedział spokojnie, wpatrując się w generała nieruchomym spojrzeniem. - Będę pod tym numerem dziś po południu między trzecią a czwartą, nie wcześniej i nie później. Niech ktoś się ze mną skontaktuje. Nie interesuje mnie, kto to będzie ani w jaki sposób to zrobicie. Możliwe, że będziecie musieli zwołać jedną z tych swoich strategicznych narad, ale najważniejsze, żebyście udzielili mi... udzielili nam odpowiedzi.

- Przecież to wszystko może być nieprawda!

- Mam nadzieję, że tak rzeczywiście jest, ale jeśli nie, to będziecie się mocno pocić, bo zapuściliście się daleko poza swój teren.

Dawid cieszył się, że ma tyle rzeczy do zrobienia. W przeciwnym razie zaczęłby zbyt dużo myśleć i świadomość, że wie

zbyt wiele i jednocześnie zbyt mało, mogłaby go sparaliżować. Kiedy Conklin wyruszył do Langley, Dawid wrócił do hotelu i zajął się przygotowaniem listy niezbędnych rzeczy. To zajęcie zawsze działało na niego uspokajająco, gdyż stanowiło wstęp do konkretnego działania i pozwalało skoncentrować się na samych przedmiotach, a nie na przyczynach, dla których je wybierał. Rozmyślanie nad przyczynami okaleczyłoby jego umysł tak samo jak mina, która rozerwała Conklinowi stopę. O Aleksie także nie mógł myśleć; z nim wiązało się zbyt wiele możliwości i niemożliwości. Nie mógł także zadzwonić do swego niedawnego wroga. Conklin był dokładny, był najlepszy. Przewidział wszystkie posunięcia i ich bezpośrednie następstwa, w tym także i to, że natychmiast po jego rozmowie z szefem Ochrony Wewnętrznej Departamentu Stanu rozdzwonią się liczne telefony, a dwa inne znajdą się na podsłuchu. Obydwa należące do niego - jeden w domu, a drugi w Langley. Dlatego też, aby uniknąć wszelkich niespodzianek, postanowił nie wracać do biura. Z Dawidem spotka się dopiero na lotnisku, na pół godziny przed jego odlotem do Hongkongu.

- Jesteś pewien, że nikt za tobą nie szedł? - zapytał Webba. - Ja nie dałbym za to głowy. Traktują cię jak program komputerowy, a jak już ktoś taki program puści, to potem go nieustannie kontroluje.

- Czy byłbyś uprzejmy mówić po angielsku lub po chińsku? Porozumiewam się w obu tych językach, ale taki bełkot to dla mnie ciemna magia.

- Niewykluczone, że zainstalowali mikrofon pod twoim łóżkiem. Mam nadzieję, że nie robiłeś nic nieprzyzwoitego?

Tak więc skontaktować się mieli dopiero w hali lotniska Dulles i dlatego Dawid stał teraz przy kasie w sklepie na Wyoming Avenue. Zamiast walizki kupił dużą torbę lotniczą; powinna w zupełności wystarczyć, bo nie weźmie ze sobą wielu rzeczy. Poza tym, będzie mógł ją zabrać do kabiny, dzięki czemu uniknie niepotrzebnego ryzyka podczas oczekiwania na bagaż po przylocie. Wszystko, czego będzie potrzebował, kupi na miejscu, a to z kolei oznacza, że musi dysponować znaczną sumą pieniędzy. W związku z tym następnym miejscem, w którym się zatrzymał, był bank przy Czternastej ulicy.

Przed rokiem, kiedy pracujący dla rządu ludzie badali to, co pozostało z jego pamięci, Marie dyskretnie wycofała pieniądze z Ge-meinschaft Bank w Zurychu, jak również te, które przesłał do Paryża jako Jason Bourne, i ulokowała je na odpowiednio zabezpieczonym koncie w banku na Kajmanach, gdzie знаła jednego z pracowników. Biorąc pod uwagę bezmiar krzywd, jakie Waszyngton wyrządził jej mężowi - cierpienia psychiczne i fizyczne, a także narażanie go na śmierć przez ludzi, którzy nie chcieli słuchać rozpaczliwych próśb o pomoc - stanowiło to i tak niewielką rekompensatę. Gdyby Dawid zdecydował się wystąpić na drogę sądową, co wcale nie było niemożliwe, każdy w miarę bystry prawnik zażądałby odszkodowania w wysokości co najmniej dziesięciu milionów dolarów, a nie marnych pięciu z groszami.

Rozmawiała na ten temat z wyjątkowo drażliwym wicedyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Zagadnięta o brakujące fundusze powiedziała tylko tyle, że jest zaskoczona, jak mało uwagi poświęca się odpowiedniemu zabezpieczeniu dolarów ciężko zarobionych przez amerykańskich podatników. Wygłosiła tę uwagę ze zdumieniem, lecz spokojnym tonem, podczas gdy jej oczy mówiły coś zupełnie innego. Przypominała nadzwyczaj inteligentnego, dążącego do określonego celu tygrysa, co zostało odpowiednio docenione. Mądrzy ludzie dostrzegli logikę jej rozumowania; brakujące fundusze zostały zaksięgowane jako supertajne wydatki na zaopatrzenie.

Od tej pory ilekroć Marie i Dawid potrzebowali dodatkowych środków finansowych - jakiś wyjazd, wynajęcie domu, kupno samochodu - rezydujący na Kajmanach bankier otrzymywał telefoniczną wiadomość i przysyłał żadaną sumę do jednego z pięciu banków w Europie, Stanach Zjednoczonych, Polinezji lub na Dalekim Wschodzie.

Tym razem Webb zadzwonił do niego z budki na Wyoming Avenue, zaskakując go trochę wysokością kwoty, jaką chciał podjąć już nazajutrz w Hongkongu. Rozmowa kosztowała go niecałe osiem dolarów, natomiast suma, o jaką mu chodziło, przekraczała pół miliona.

- Zakładam, Dawidzie, że moja droga przyjaciółka, mądra i wspaniała Marie, popiera twoje zamiary?

- Prosiła mnie, żebym do ciebie zadzwonił. Ona sama nie ma czasu na takie głupstwa.

- Jakież to do niej podobne! Posłużymy się następującymi bankami...

Następnie Webb wszedł przez grube, szklane drzwi do banku przy Czternastej ulicy, stracił dwadzieścia długich minut na rozmowę z wiceprezesem, który nagle postanowił za wszelką cenę

zmienić się w niewzruszonego tępaka, i wreszcie wyszedł tą samą drogą z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w kieszeni; czterdzieści tysięcy otrzymał w pięćsetkach, resztę drobniejszymi.

Zatrzymawszy taksówkę kazał się zawieźć do północno-zachodniej części miasta, gdzie mieszkał człowiek, którego poznał jeszcze jako Jason Bourne i który oddał nieocenione usługi Treadstone-71. Człowiekiem tym był siwowłosy Murzyn; pracował jako taksówkarz aż do dnia, kiedy to jakiś pasażer zostawił na tylnym siedzeniu samochodu aparat fotograficzny marki Hasselblad i już się po niego nie zgłosił. Było to dawno temu; kilka następnych lat czarny taksówkarz spędził na eksperymentowaniu, odnajdując wreszcie swoje prawdziwe powołanie. Otóż okazało się, iż jest on autentycznym geniuszem, jeśli chodzi o „przerabianie” - specjalizował się w paszportach, prawach jazdy i dowodach tożsamości wykonywanych na zamówienie ludzi, którzy z takich czy innych powodów weszli w konflikt z prawem. W szpitalu Dawid nie mógł go sobie przypomnieć, lecz zahipnotyzowany przez Panova wymienił jego imię - choć może się to wydać nieprawdopodobne, brzmiało ono „Kaktus” - Mo zaś sprowadził fałszerza do Wirginii, aby w ten sposób dopomóc swemu pacjentowi w odzyskaniu pamięci. Podczas pierwszej wizyty w oczach starego Murzyna pojawiło się autentyczne współczucie i choć stanowiło to dla niego sporą niewygodę, wymógł na Panoyie zezwolenie na cotygodniowe odwiedziny.

- Dlaczego, Kaktus?

- On ma kłopoty, proszę pana. Zobaczyłem to od razu przez aparat parę lat temu. Czegoś mu brakuje, ale to dobry człowiek. Spróbuję mu pomóc. Lubię go, proszę pana.

- Możesz przychodzić, kiedy zechcesz, ale daruj sobie to „proszę pana”.

- Cóż, czasy się zmieniają. Teraz, kiedy nazywam któregoś z moich wnuczków dobrym czarnuchem, widzę, że ma ochotę walnąć mnie w łeb.

- Powinien to zrobić... proszę pana. Webb wysiadł z taksówki i poprosił kierowcę, żeby zaczekał.

Taksówkarz jednak odmówił, więc Dawid dał mu najmniejszy z możliwych napiwek i wspiął się po szerokich, kamiennych schodach prowadzących do wejścia. Budynek przypominał mu trochę ich dom w Maine - był zbyt duży, zbyt delikatny i pilnie potrzebował remontu. Postanowili z Marie, że jakąś bardziej reprezentacyjną rezydencję kupią nie wcześniej niż po roku. Skromny profesor, wprowadzający się od razu do najelegantszej dzielnicy w miasteczku mógłby wzbudzić niezdrowe zainteresowanie. Dawid nacisnął przycisk dzwonka.

Drzwi otworzył Kaktus, który powitał go tak naturalnie, jakby się widzieli zaledwie kilka dni temu.

- Masz może kołpaki na kołach, Dawidzie?

- Przyjechałem taksówką, ale szofer nie chciał czekać.

- Widocznie naczytał się tych wrednych plotek rozpowszechnianych przez faszystowską prasę. Ja mam tylko trzy karabiny maszynowe w oknach i niczego się nie boję. Proszę, wchodź do środka. Cieszę się, że cię widzę, ale dlaczego wcześniej nie zadzwoniłeś?

- Twojego numeru nie ma w książce telefonicznej.

- Doprawdy? Widocznie jakieś niedopatrzenie.

Przez chwilę rozmawiali w kuchni, aż wreszcie fotograf zorientował się, że Dawid się spieszy. Zaprowadził go do atelier, położył na biurku pod ostrym światłem lampy trzy fałszywe paszporty

Webba, a jemu polecił usiąść przed zamontowanym na statywie aparatem.

- Włosy zrobimy ci na popielato, ale nie będą aż tak jasne, jak wtedy w Paryżu. Popielaty kolor zmienia odcień w zależności od oświetlenia, więc będziemy mogli go wykorzystać do wszystkich zdjęć. Brwi zostaw takie, jakie są, zajmę się nimi przy retuszu.

- A oczy?

- Nie ma czasu na szkła kontaktowe, ale jakoś sobie poradzę. Zwykłe okulary, lekko zabarwione dokładnie przed tęczówkami. Mam błękitne, brązowe albo czarne, jakie tylko chcesz.

- Wszystkie trzy.

- Są bardzo drogie, Dawidzie, a przyjmuję tylko gotówkę.

- Mam forszę przy sobie.

- Więc lepiej zbyt głośno się nie chwal.

- Teraz włosy. Kto się tym zajmie?

- Moja znajoma, kilka domów stąd. Prowadziła kiedyś salon piękności, dopóki policja nie zajrzała do pokojów na piętrze. Zna się na rzeczy. Chodźmy, zaprowadzę cię.

Godzinę później Webb wyszedł spod suszarki w niewielkim, słabo oświetlonym pomieszczeniu i spojrzał w wiszące na ścianie lustro. Właścicielka przybytku, niska Murzynka o gęstych, siwych włosach i przenikliwym wzroku stanęła obok niego.

- Niby to pan, a jednak inny - stwierdziła, kiwając głową. - Dobra robota, nie ma dwóch zdań.

Ma rację, pomyślał Dawid, patrząc na swoje odbicie. Jego ciemne włosy nie tylko stały się znacznie jaśniejsze, ale dopasowały się do nieco zmienionego koloru cery, zyskując jednocześnie na miękkości i układając się swobodnie, jakby potargane przez wiatr. Człowiek spoglądający na niego z lustra był nim, a jednocześnie nie był.

- Rzeczywiście - przyznał. - Dobra robota. Ile płacę?

- Trzysta dolarów - powiedziała kobieta. - Oczywiście w cenę jest wliczonych pięć opakowań pudru wraz z instrukcją użycia i najbardziej dyskretne usta w Waszyngtonie. To pierwsze wystarczy panu na kilka miesięcy, a to drugie do końca życia.

- Miło mi to słyszeć - odparł Webb, sięgając do kieszeni. Odliczył banknoty i wręczył je kobiecie. - Kaktus powiedział, że zadzwoni pani do niego, kiedy już będzie po wszystkim.

- Nie ma potrzeby, on ma zegarek w głowie. Czeka w saloniku.

- W saloniku?

- To właściwie tylko przedpokój z kanapą i stojącą lampą, ale lubię nazywać go salonikiem. Ładnie brzmi, nie uważa pan?

Wykonanie zdjęć nie zajęło wiele czasu; Dawid trzykrotnie zmieniał koszule i marynarki, a Kaktus poprawiał mu brwi za pomocą aerozolu i szczoteczki do zębów. Na zapleczu znajdował się magazyn kostiumów, jakiego nie powstydziliby się niejedni zawodowy teatr. Jedno zdjęcie było bez okularów, natomiast dwa pozostałe w szklach barwiących oczy na niebiesko i brązowo. Po zrobieniu odbitek Kaktus wkleił je na miejsce, po czym za pomocą narzędzia własnego pomysłu wykonał na nich odcisk pieczęci Departamentu Stanu. Uporawszy się z tym przedstawił Dawidowi do oceny trzy

paszporty.

- Żaden celnik nie ma prawa się do niczego przyczepić - zapewnił go konfidencjonalnym tonem.

- Wyglądają na bardziej prawdziwe niż przedtem.

- Wyczyściłem je, to znaczy trochę postarzyłem.

- Wspaniała robota, przyjacielu. Ile jestem ci winien?

- A skąd mam wiedzieć, do cholery? To nic nadzwyczajnego, a poza tym znamy się tak długo...

-- Ile?

- A ile możesz dać? Chyba nie jesteś na państwowej posadce?

- Dzięki, jakoś sobie radzę.

- Pięć paczek i będziemy kwita.

- Możesz mi wezwać taksówkę?

- To długo potrwa, a poza tym nie wiadomo, czy jakaś zechce przyjechać. Mój wnuk cię odwiezie, dokąd będziesz chciał. Jest taki jak ja: nie zadaje pytań. Widzę, że się spieszysz, Dawidzie. Chodźmy, odprowadzę cię do drzwi.

- Dziękuję. Zostawię forszę na stole.

- Dobra.

Dawid odwrócił się plecami do Kaktusa, wyjął z kieszeni sześć pięćsetek i położył je w najciemniejszym miejscu na stole. Po tysiącu za sztukę paszporty były właściwie za darmo, ale bał się zostawić więcej, żeby nie urazić starego przyjaciela.

Wysiadł z samochodu kilka przecznic od hotelu, by nie obarczać wnuka K-aktusa znajomością swego adresu. Okazało się, że młody człowiek studiuje w American University i choć nie ulegało wątpliwości, że uwielbia swego dziadka, to nie miał najmniejszej ochoty brać udziału w jego nielegalnych interesach.

- Wsiądę tutaj - powiedział Dawid, gdy utknęli na dobre w korku.

- Dziękuję - odparł z ulgą Murzyn. - Doceniam to. Webb spojrział na niego uważnie.

- Dlaczego pan to robi? - zapytał. - Jako przyszły prawnik powinien pan omijać dziadka z daleka.

- Może i tak, ale to wspaniały facet, który bardzo dużo dla mnie zrobił. Poza tym powiedział mi, że to będzie dla mnie zaszczyt poznać pana i że może kiedyś w przyszłości zdradzi mi, kim był nieznajomy, którego odwiozłem swoim samochodem.

- Mam nadzieję, że uda mi się wrócić znacznie wcześniej i wtedy sam to panu powiem. To na pewno żaden zaszczyt, ale usłyszysz pan wówczas historię, która trafi do prawniczych ksiąg. Do widzenia.

Znalazłszy się z powrotem w pokoju Dawid musiał się zdecydować, które ubrania zapakuje do lotniczej torby, a także jakoś się pozbyć pozostałych rzeczy, w tym dwóch pistoletów, które przywiózł ze sobą z Maine. Wtedy po prostu rozmontował je, zawinął w folię i wepchnął do walizki, ale teraz musiałyby je przemycić na pokład samolotu, co z pewnością zostałyby wykryte. Należało się

więc ich pozbyć, zniszczyć mechanizmy spustowe i wrzucić do kanału. Bez większych trudności kupi broń w Hongkongu.

Pozostała mu do zrobienia jeszcze jedna rzecz, nie tylko trudna, ale i bolesna. Musi usiąść i spokojnie, słowo po słowie, przypomnieć sobie wszystko, co nie tak dawno usłyszał od człowieka o nazwisku McAllister. Cały czas nie dawała mu spokoju świadomość, że przeoczył wtedy coś niezmiernie ważnego.

Spojrzał na zegarek: 15.37. Dzień mijał w szybkim, nerwowym tempie. Musi to wytrzymać! Och, Marie, gdzie jesteś?

Conklin postawił szklanę wypełnioną ginger, ale na porysowanym, poplamionym blacie baru w nędznej knajpcie na Dziewiątej ulicy. Był tu stałym gościem z tej prostej przyczyny, że nikt z jego kręgów zawodowych ani towarzyskich, jeśli o takich w ogóle można było jeszcze mówić, z pewnością nie przekroczyłby progu tego lokalu. Ta świadomość dawała mu poczucie pewnej swobody, inni zaś klienci szybko zaakceptowali „kulasa”, który zaraz po wejściu ściągał krawat i utykając zmierzał w stronę stołka przy końcu baru, obok elektrycznego bilardu. Kiedy tam dotarł, szklanka bourbona z lodem już na niego czekała. Właściciel lokalu nie miał nic przeciwko temu, żeby Aleks korzystał w obie strony z archaicznego automatu telefonicznego umieszczonego w stojącej pod ścianą kabiny. Telefon właśnie zadzwonił.

Conklin zsunął się ze stołka, kuśtykając wszedł do kabiny, zamknął za sobą dokładnie drzwi i podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Czy to Treadstone? - zapytał dziwnie brzmiący, męski głos.

- Byłem tam. Pan też?

- Nie, ale wiem o tym całym gównie.

Ten głos! Jak go opisał Webb? Arystokratyczny, z angielskim akcentem, niezwykły. To był ten sam człowiek. Gnomy nie próżnowały. Ktoś zaczął się bać.

- Jeśli tak, to mam nadzieję, że pańskie wspomnienia odpowiadają moim, które dokładnie spisałem. Fakty, nazwiska, wydarzenia... Wszystko, łącznie z historią, którą wczoraj w nocy usłyszałem od Webba.

- Chyba chce mi pan dać do zrozumienia, że gdyby przydarzyło się panu coś przykrego, to ten fascynujący reportaż trafi do jednej z senackich komisji lub któregoś z gorliwych kongresmanów?

- Miło mi, że tak szybko się zrozumieliśmy.

- Nic by to panu nie dało - powiedział pobłaźliwie głos w słuchawce.

- Jeżeli zdarzyłoby mi się coś przykrego, to chyba byłoby mi już wszystko jedno, prawda?

- Ma pan niebawem przejść na emeryturę. Sporo pan pije.

- To nie znaczy, że tak było zawsze. Człowiek w moim wieku i o takim doświadczeniu musi mieć poważny powód, żeby zdecydować się na obie te rzeczy.

- Nieważne. Lepiej porozmawiajmy.

- Pod warunkiem, że powie mi pan coś więcej. O Treadstone słyszało kilka osób, a poza tym nie

miało to aż tak wielkiego znaczenia.

- Dobrze. „Meduza”.

- To już brzmi lepiej - przyznał Aleks. - Ale jeszcze za słabo.

- Mnich. Stworzenie Jasona Bourne'a.

- Ciepłej.

- Nigdy nie rozliczone pięć milionów dolarów. Ślady prowadzą z Zurychu do Paryża, a potem dalej na zachód.

- Krążyły o tym różne plotki. Potrzebuję czegoś konkretnego.

- Proszę bardzo. Egzekucja Jasona Bourne'a, dwudziestego piątego marca, Tam Quan... a cztery lata później, dokładnie tego samego dnia, w Nowym Jorku Siedemdziesiąta Pierwsza ulica. Treadstone-71.

Conklin przymknął powieki i przez chwilę łapał szybko powietrze, czując, jak jakaś obręcz zaciska mu się na gardle.

- W porządku - wykrztusił wreszcie. - Zna pan temat.

- Nie mogę panu powiedzieć, jak się nazywam.

- A co pan mi może powiedzieć?

- Jedno zdanie: Trzymaj się od tego z daleka.

- I myśli pan, że ja posłucham?

- Musi pan - odparł spokojnie głos. - Potrzebujemy Bourne'a tam, gdzie go posłaliśmy.

- Bourne'a? - Aleks spojrzał ze zdumieniem na telefon.

- Tak, Jasona Bourne'a. Obaj wiemy, że nie przekonalibyśmy go w żaden inny sposób.

- Więc postanowiliście porwać mu żonę! Zwierzęta!

- Nic jej się nie stanie.

- A jaką możecie dać na to gwarancję? Przecież nie kontrolujecie w pełni biegu wypadków, bo z tego, co wiem, na pewno działacie przy pomocy dwóch lub trzech pośredników, żeby nikt nie mógł do was dotrzeć! Założę się, że nawet nie wiecie, kim oni są... Mój Boże, nie zadzwoniłby pan do mnie, gdybyście wiedzieli! Gdyby mógł się pan z nimi bezpośrednio skontaktować i uzyskać potwierdzenie lub zaprzeczenie, nie zawracałby pan sobie mną głowy!

- Wynika z tego, że obaj kłamaliśmy, czyż nie tak, panie Conklin? - zapytał po krótkim milczeniu arystokratyczny głos. - Kobieta nie uciekła i nie rozmawiała z mężem. Obaj graliśmy w ciemno i wygląda na to, że nic nie osiągnęliśmy.

- Jest pan barakudą, panie Nie-Wiadomo-Kto.

- Kiedyś był pan na moim miejscu, panie Conklin. A teraz, wracając do Webba: Co może mi pan o nim powiedzieć?

Aleks ponownie poczuł ucisk w gardle, tym razem połączony z ostrym ukłuciem w piersi.

- Zgubiliście ich, prawda? - wyszeptał. - Zgubiliście ją...

- Czterdzieści osiem godzin jeszcze o niczym nie świadczy - odparł głos obronnym tonem.

- Ale podczas tych czterdziestu ośmiu godzin nie udało wam się nic osiągnąć! - wykrzyknął Conklin. - Zaczęliście szukać swoich łączników, tych, którzy wynajęli tamtych ludzi, i okazało się, że ich nie ma! Mój Boże, straciliście kontrolę! Ktoś włączył się do gry, a wy nawet nie wiecie, kto to może być. Wcisnął się na wasze miejsce i odciął was od dopływu informacji!

- Podjęliśmy wszystkie niezbędne środki. - Głos stracił co najmniej połowę dotychczasowej pewności siebie. - Nasi najlepsi ludzie pracują bez chwili przerwy.

- Łącznie z McAllisterem w Hongkongu?

- Pan o nim wie?

- Wiem.

- McAllister to cholerny głupiec, ale zna się na swojej robocie. Rzeczywiście taro jest. Nie wpadamy w panikę. Na pewno wszystko się wyjaśni.

- C o się wyjaśni? - syknął z wściekłością Aleks. - Nie macie teraz nic do powiedzenia! Kontrolę przejął ktoś inny! Na jakiej podstawie przypuszczacie, że wam ją odda? Zabiliście żonę Webba, panie Nie-Wiadomo-Kto! Czy wy w ogóle wiecie, co chcieliście osiągnąć?

- Sprowadzić go tam, pokazać mu, o co chodzi, i wszystko wyjaśnić - odparł niepewnie głos. - Potrzebujemy go. - Mężczyzna odzyskał część tupetu. - Z tego, co wiemy, na razie wszystko odbywa się według ustalonego planu. W tym rejonie świata zawsze były ogromne kłopoty z utrzymaniem łączności.

- To stara wymówka w tym fachu.

- W każdym fachu, panie Conklin... Co pan o tym wszystkim myśli? Pytam zupełnie poważnie. Ma pan znakomitą opinię.

- Miałem.

- Opinii nie traci się ani nie zyskuje, tylko dokłada się do niej coraz to nowe elementy.

- Wie pan przecież, że nie jestem oficjalnie wprowadzony w sprawę.

- Wiem, ale nic mnie to nie obchodzi. Jest pan jednym z najlepszych. Co pan o tym myśli?

Aleks potrząsnął głową; w kabinie robiło się coraz duszniej, a dobiegający z wnętrza lokalu gwar narastał z każdą minutą.

- To, co już powiedziałem: Ktoś się dowiedział, co planujecie, i postanowił to przechwycić.

- Ale dlaczego, na miłość boską?

- Dlatego, że ktokolwiek to jest, potrzebuje Jasona Bourne'a jeszcze bardziej od was - powiedział Aleks i odwiesił słuchawkę.

Była 18.28, kiedy Conklin wszedł do budynku portu lotniczego Dulles. Wcześniej czekał w taksówce pod hotelem Webba i kazał kierowcy jechać za Dawidem. Okazało się, że miał rację, choć obarczanie Dawida tą wiedzą nie miało żadnego sensu: taksówkę, w której siedział Webb, śledziły na zmianę dwa szare plymouthy. Niech i tak będzie. W Departamencie Stanu zatrudniają chyba coraz większych idiotów, pomyślał, zapisując numery rejestracyjne. Na lotnisku dostrzegł Dawida w najciemniejszym kącie jednej z kawiarni.

- To chyba ty, prawda? - zapytał, przysiadając się do stolika. - Czyżby blondynki naprawdę miały większe powodzenie?

- Przynajmniej w Paryżu. Czego się dowiedziałeś?

- Że pod kamieniami żyją obrzydliwe robaki, które nie potrafią się wydostać na powierzchnię. Z drugiej strony, gdyby nawet im się to udało, co by im przyszło ze słonecznego blasku?

- Słońce oświetla, a ty nie, Aleks. Przestań mówić zagadkami. Zaraz muszę się zgłosić do odprawy.

- Mówiąc w największym skrócie, obmyślili plan, żeby ściągnąć cię do Hongkongu. Opierali się przy tym na...

- Daruj sobie - przerwał mu Dawid. - Po co?

- Podobno cię tam potrzebują. Nie ciebie, Webb, tylko Jasona Bourne'a.

- Ponieważ, jak twierdzą, Bourne już się tam znajduje. Mówiłem ci, co bredził McAllister. Czy on jest w to zamieszany?

- Tego się nie dowiedziałem, ale spróbuję coś z nich wycisnąć. Jest jedna rzecz, z której musisz sobie zdawać sprawę: stracili kontakt ze swoimi łącznikami, tak że nie wiedzą, kogo wynajęli ani co się właściwie dzieje. Twierdzą, że to tylko chwilowe zakłócenie, niemniej zgubili Marie. Do gry włączył się ktoś inny, kto także bardzo cię potrzebuje.

Webb uniósł dłoń do czoła, a spod przymkniętych powiek popłynęły w ciszy łzy.

- Wróciłem, Aleks - wyszeptał wreszcie. - Wróciłem do miejsca, którego w ogóle nie pamiętam. Mój Boże, jak ja ją kocham! Jak jej potrzebuję!

- Opanuj się! - syknął Conklin. - Powiedziałeś mi wczoraj w nocy, że mam jeszcze tęgi łeb, choć ciało do kitu. Ty masz i jedno, i drugie! Odegraj się!

- W jaki sposób?

- Stań się tym, kim chcą, żebyś się stał: kameleonem! Przemień się w Jasona Bourne'a!

- To było tak dawno...

- Możesz to zrobić! Podejmij ich grę!

- Zdaje się, że nie mam żadnego wyboru, prawda?

Z głośników rozległo się ostatnie wezwanie do odprawy pasażerów udających się lotem numer 26 do Hongkongu.

Siwowłosa Havilland odłożył słuchawkę, oparł się głęboko w fotelu i spojrzał na McAllistera stojącego przy dużym, osadzonym na ozdobnym trójnogu globusie. Palec podsekretarza stanu spoczywał na południowych krańcach Chin, lecz jego oczy były skierowane na ambasadora.

- Załatwione - oznajmił dyplomata. - Wsiadł do samolotu.

- To straszne... - szepnął McAllister.

- Rozumiem, że może pan tak myśleć, ale zanim wyda pan ostateczny wyrok, proszę rozważyć wszystkie „za” i „przeciw”. Nas to już nie dotyczy. Od tej pory nie ponosimy najmniejszej odpowiedzialności za wydarzenia, jakie się rozegrają. Kontrolę przejęła inna, nieznana siła.

- Boże, to okropne!

- Czy pański Bóg wziął pod uwagę konsekwencje ewentualnej porażki?

- Dał nam wolną wolę. Ogranicza nas jedynie sumienie.

- To banały, panie podsekretarzu. Istnieje jeszcze coś takiego, jak większe dobro.

- A także ludzka istota, człowiek, którym manipulujemy, wpędzając go ponownie w koszmar, z którego dopiero co się otrząsnął. Czy mamy do tego prawo?

- Wiem tylko tyle, że na pewno nie mamy wyboru. On jest w stanie osiągnąć to, czego nie udałoby się dokonać nikomu innemu, pod warunkiem, że dostarczymy mu odpowiedni powód.

McAllister zakręcił globusem i podszedł do biurka ambasadora.

- Może nie powinienem tego mówić, ale powiem - wycedził, stając tuż przed Raymondem Havillandem. - Jest pan najbardziej niemoralnym człowiekiem, jakiego spotkałem.

- To pozory, panie podsekretarzu. Mam jedną zaletę, która przeważa wszystkie grzechy, jakie popełniłem lub popełnię. Użyję wszelkich środków, choćby najbardziej wstrętnych, żeby nie dopuścić do zagłady tej planety. W tym celu gotów jestem nawet poświęcić życie niejakiego Dawida Webba, jeśli potrzebuję go jako Jasona Bourne'a.

ROZDZIAŁ 8

Ogromny samolot podchodził do lądowania na lotnisku Kai Tak, przebijając pasma mgły unoszące się nad Portem Wiktorii. Gęsta, poranna mgła zapowiadała kolejny wilgotny dzień. Poniżej, na wodzie, dżonki i sampany kołysały się wśród wielkich frachtowców, prostokątnych barek, sapiących, wielopokładowych promów i nielicznych wojskowych łodzi patrolowych. Kiedy samolot znalazł się nad lotniskiem w Koulunie, stłoczone na wyspie Hongkong drapacze chmur upodobniły się nagle do alabastrowych gigantów, sięgając ponad otulinę mgły i odbijając promienie wschodzącego słońca.

Webb spoglądał na rozciągający się w dole widok oczami człowieka znajdującego się pod ogromną presją, a jednocześnie trawionego palącą ciekawością. Gdzieś w tym kipiącym, przeludnionym mieście znajdowała się Marie - to była dominująca i zarazem najbardziej bolesna myśl. Jednak w jego duszy krył się także opanowany uczyony, który spogląda z chłodnym zainteresowaniem w okular mikroskopu, starając się rozwiązać kolejną, pasjonującą zagadkę. To, co znajome, i to, co zupełnie obce, połączyło się w całość, wywołując strach i zdziwienie. Podczas seansów z Panovem w Wirginii Dawid, poddając się nieustającemu, bolesnemu sondowaniu, przeglądał setki folderów i zdjęć z miejsc, w których bywał niegdyś mityczny Jason Bourne. Wspomnienia powracały w pojedynczych błyskach, czasem zbyt krótkich i niewyraźnych, czasem w długich i szczegółowych sekwencjach, zdumiewających bogactwem detali. Patrząc teraz w dół wiedział, że widzi coś, co zna, lecz czego nie może sobie przypomnieć. Odwrócił wzrok i skoncentrował myśli na czekającym go dniu.

Jeszcze przed odlotem z Waszyngtonu zadzwonił do hotelu Regent w Koulunie i zarezerwował na tydzień pokój dla niejakiego Jamesa Howarda Cruetta, niebieskookiego mężczyzny z jednego ze spreparowanych przez Kaktusa paszportów.

- Zdaje się, że nasza firma zamawiała apartament 690 - dodał. - Dzień przyjazdu na pewno się nie zmieni, natomiast nie mam jeszcze pewności co do godziny.

W odpowiedzi usłyszał, że apartament będzie przygotowany. Pozostało tylko ustalić, komu ma to zawdzięczać. Będzie to jego pierwszy krok w kierunku Marie. Przedtem, w trakcie lub potem musi dokonać kilku zakupów; część nie powinna nastęrczać żadnych problemów, inne mogły zabrać trochę czasu, lecz z pewnością nie będzie miał z tym większych trudności. Był to przecież Hongkong, miasto gotowe dostarczyć narzędzi zapewniających przetrwanie każdemu, kto za nie odpowiednio zapłaci, a zarazem jedyne cywilizowane miejsce na Ziemi, gdzie kwitły i rozwijały się bez przeszkód najróżniejsze religie i gdzie jedynym wyznawanym powszechnie bogiem był pieniądz. Marie ujęła to w taki sposób: „To jedyny powód istnienia tego miasta”.

Wilgotne powietrze wczesnego poranka było przesiąknięte wonią stłoczonych, spieszących się ludzi; zapach był dziwny, ale nie przykry. Chodniki splukiwano z zapałem wodą, kałuże schły błyskawicznie, parując w promieniach słońca, a w wąskich uliczkach unosiła się woń gotowanych w oleju ziół, zachwalanych przez krzykliwych właścicieli małych lokali i obwoźnych barów na kółkach. Hałas wzrastał się z każdą chwilą - kakofonia wrzasków ludzi usiłujących sprzedać towar lub przynajmniej zainteresować nim kogoś z przechodniów. Hongkong stanowił kwintesencję filozofii przetrwania: tutaj mógł przeżyć jedynie ten, kto się o to pilnie starał, Adam Smith nie przewidział takiej możliwości, jego koncepcje gospodarki rynkowej nie miały tu racji bytu. To był Hongkong.

Dawid uniósł rękę, by zatrzymać taksówkę, wiedząc, że już kiedyś to robił, wiedząc, że widział już kiedyś drzwi, przez które wyszedł z budynku dworca lotniczego i wypełnione ludzkim mrowiem ulice. Nie pamiętał ich, ale wiedział, że powinien. Było to uczucie zarazem uspokajające i przerażające. Wiedział i jednocześnie nic nie wiedział. Czuł się jak marionetka w teatrze cieni, nie znając ani imienia odtwarzanej przez siebie postaci, ani tego, kto nim manipulował.

Zaszła jakaś pomyłka - powiedział Dawid do recepcjonisty stojącego za półokrągłym, marmurowym blatem pośrodku holu w hotelu Regent. - Nie chcę apartamentu. Wolę coś mniejszego, jedynekę albo dwójkę.

- Ale wszystko zostało już przygotowane, panie Cruett - odparł ze zdziwieniem recepcjonista.

- Na czyje polecenie?

Młody Azjata spojrział na podpis figurujący pod komputerowym wydrukiem.

- Pana Lianga, zastępcy dyrektora.

- W takim razie, czy mógłbym z nim porozmawiać?

- Obawiam się, że to będzie konieczne, proszę pana. Nie jestem pewien, czy mamy jeszcze jakieś wolne pokoje.

- Rozumiem. Wobec tego poszukam innego hotelu.

- Nie ma potrzeby, proszę pana. Zaraz pójde po pana Lianga. Dawid skinął głową; chłopak, ściskając w ręku wydruk, dał nura pod kontuarem i skierował się szybkim krokiem w stronę najbliższych drzwi. Webb rozejrzał się po obszernym holu, który właściwie zaczynał się jeszcze przed wejściem, wśród wysokich fontann. Posadzka była wyłożona marmurowymi płytami, a jedna ze ścian składała się z ogromnych tafli przyciemnionego szkła, za którymi rozciągał się wspaniały widok na Port Wiktorii. Ta żywa makieta stanowiła hipnotyzujące tło dla wypełniającego hali, wielojęzycznego tłumu. Przed szklaną ścianą stały skórzane fotele i stoliki, wśród których uwijali się bezszelestnie kelnerzy i kelnerki. Z tego miejsca, niczym z łoży widokowej, turyści i biznesmeni mogli obserwować ruch w porcie, oddzielonym od horyzontu masywem wyspy Hongkong. Webb znał ten widok, ale nic poza tym. Nigdy przedtem nie był we wnętrzu tego hotelu, a w każdym razie nic z tego, co zobaczył, nie wywołało w nim żadnych przebłysków wspomnień.

Niebawem recepcjonista pojawił się znowu w hallu, idąc szybkim krokiem przed nienagannie ubranym mężczyzną w średnim wieku; bez wątpienia był to zastępca dyrektora hotelu, pan Liang. Młody człowiek prześlizgnął się pod ladą i zajął swoje poprzednie miejsce, wpatrując się w Dawida szeroko otwartymi oczami. Kilka sekund później wicedyrektor stanął przed Webbem i uklonił się nisko.

- To jest pan Liang, proszę pana - poinformował go recepcjonista.

- Czy mogę być panu w czymś pomocny? - zapytał Liang. - Mam nadzieję, że wolno mi powitać pana jako naszego gościa? Dawid uśmiechnął się grzecznie i potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie tym razem.

- Jest pan niezadowolony z naszych usług, panie Cruett?

- Skądże znowu. Nie wątpię, że są na najwyższym poziomie, ale, jak już powiedziałem temu młodemu człowiekowi, lubię niewielkie pokoje, najwyżej dwuosobowe, lecz nie apartamenty. Z tego, co zrozumiałem, wynika, że akurat nic takiego nie macie.

- W pańskiej rezerwacji wymieniono konkretnie apartament 690, proszę pana.

- Wiem o tym i przepraszam. To z powodu nadgorliwości jednego z naszych urzędników. - Webb skrzywił się lekko i dodał od niechcienia: - A tak przy okazji, kto zgłaszał tę rezerwację?

- Najwidoczniej jeden z pańskich urzędników - odparł Liang, wpatrując się w Dawida nieruchomym spojrzeniem.

- Osobiście? Bardzo wątpię. Myślę, że poprosił o to którąś z tutejszych firm. Nie mogę tego przyjąć, rzecz jasna, ale chciałbym wiedzieć, komu mam zawdzięczać tak wspaniałomyślną ofertę. Pan powinien to wiedzieć, bo przecież pan sam potwierdzał rezerwację.

W niewzruszonych oczach pojawił się błysk niepokoju. Wicedyrektor zamrugał raptownie. Dawidowi w zupełności wystarczyła taka odpowiedź, lecz musiał grać dalej.

- Mam wrażenie, że przyniósł mi ją do podpisu ktoś z naszego bardzo licznego personelu, proszę pana. Otrzymujemy tak wiele rezerwacji, że doprawdy trudno mi sobie dokładnie przypomnieć...

- A kwestia płatności?

- Mamy wielu klientów, od których wystarcza nam ustne zobowiązanie.

- Hongkong bardzo się zmienił.

- I dalej się zmienia, panie Cruett. Możliwe, że pański gospodarz zechce panu osobiście o tym opowiedzieć. Nie wolno nam przeciwstawiać się takim życzeniom.

- Pańska ufność jest godna najwyższego podziwu.

- Opieram ją na odpowiednich informacjach zawartych w pamięci naszego komputera.

Liang spróbował się uśmiechnąć, ale zupełnie mu się to nie udało.

- Cóż, skoro nie może mi pan zaproponować nic innego, muszę sam sobie poradzić. Mam paru znajomych po drugiej stronie ulicy - powiedział Dawid, mając na myśli słynny hotel Peninsula.

- Zapewniam pana, że nie ma takiej potrzeby. Z pewnością będziemy mogli panu pomóc.

- Ale ten młody człowiek powiedział...

- Ten młody człowiek nie jest zastępcą dyrektora - odparł Liang, obrzucając recepcjonistę piorunującym spojrzeniem.

- Komputer pokazuje, że nie ma żadnych wolnych miejsc! - próbował usprawiedliwić się chłopak.

- Milcz! - syknął Liang i uśmiechnął się równie nieudolnie, jak przed chwilą, zdając sobie sprawę, że w tym momencie przegrał partię. - Jest taki młody... Wszyscy są młodzi i jeszcze trochę niedoświadczeni, ale bardzo się starają. Zawsze mamy w rezerwie kilka pokoi w razie jakichś nieporozumień. - Ponownie spojrzął na recepcjonistę i nie przestając się uśmiechać zaczął mówić do niego szybko po chińsku; Dawid rozumiał każde słowo. - Ting, ruan ji! Słuchaj, ty tępy kurczaku! Nie wyskakuj z informacjami w mojej obecności, dopóki cię o to nie poproszę! Jeśli zrobisz to jeszcze raz, osobiście wrzucę cię do zsypu na śmieci. Daj temu durniowi pokój 202. Jest oznaczony jako zarezerwowany, ale to nie szkodzi. Ruszaj się! - Uśmiechając się jeszcze szerzej zwrócił się ponownie po angielsku do Dawida: - To bardzo przyjemny pokój ze wspaniałym widokiem na port,

panie Cruett.

Rozgrywka dobiegła końca; zwycięzca postanowił zminimalizować swój triumf okazując głęboką wdzięczność.

- Serdecznie panu dziękuję - powiedział Dawid, wpatrując się w oczy coraz bardziej niespokojnego Chińczyka. - Oszczędzi mi to kłopotu telefonowania do całej masy ludzi i informowania ich o tym, że zmieniłem hotel. - Przerwał na chwilę z lekko uniesioną dłonią;

Dawid Webb zdał się na instynkt Jasona Bourne'a. Wiedział, że to najlepszy moment, by zasiać ziarenko strachu. - Mówiąc, że to pokój ze wspaniałym widokiem na port, miał pan zapewne na myśli hao jingse de fangjian, prawda? Mam nadzieję, że nie zrobiłem zbyt wielu błędów?

Zastępca dyrektora wlepił w niego wybałuszone oczy.

- Sam nie powiedziałbym tego lepiej - wykrztusił wreszcie. - Życzę panu przyjemnego pobytu, panie Cruett.

- Przyjemność powinno się mierzyć stopniem realizacji zamierzeń, panie Liang. To chińskie przysłowie, niestety, nie jestem pewien - stare czy nowe.

- Podejrzewam, że jedno z nowszych. Zaleca zbyt dużą aktywność, która nie sprzyja refleksji, leżącej, jak pan z pewnością wie, u podstaw nauki Konfucjusza.

- On chyba właśnie w ten sposób pragnął realizować zamierzenia, nieprawdaż?

- Obawiam się, że nie jestem w stanie dotrzymać panu kroku w tej rozmowie - odparł Liang, kłaniając się nisko. - Gdyby pan czegoś potrzebował, jestem do dyspozycji.

- Nie przypuszczam, żeby zaszła taka konieczność, niemniej dziękuję. Jeśli mam być szczery, lot był bardzo męczący, więc chyba poproszę centralę, żeby do obiadu nie łączyła żadnych rozmów.

- Doprawdy? - Dotychczasowa niepewność Lianga ustąpiła miejsca otwartemu strachowi. - Ale chyba w razie jakichś pilnych wiadomości...

- Pilne wiadomości także mogą poczekać, a ponieważ nie zająłem przeznaczonego dla mnie apartamentu, telefonistka może po prostu powiedzieć, że jeszcze nie przyjechałem, czyż nie tak? Jestem ogromnie zmęczony. Dziękuję panu, panie Liang.

- To ja panu dziękuję, panie Cruett.

Wicedyrektor ukłonił się po raz kolejny i obrzucił twarz Webba uważnym spojrzeniem, jakby oczekując na jakiś znak. Nic takiego jednak nie dostrzegł, odwrócił się więc i ruszył szybkim krokiem do swojego biura.

Działaj przez zaskoczenie... Siej zamieszanie w szeregach nieprzyjaciela, wytrącaj go z równowagi... Jason Bourne. A może Aleksander Conklin?

- To wspaniały pokój, proszę pana! - wykrzyknął z ulgą recepcjonista. - Na pewno będzie pan zadowolony.

- Pan Liang okazał się bardzo pomocny, podobnie jak pan, rzecz jasna. Postaram się odpowiednio wyrazić swoją wdzięczność. - Mówiąc to Webb wydobył dyskretnie z kieszeni plik banknotów, wyciągnął z niego jedną dwudziestkę i podał chłopakowi. - O której godzinie pan Liang kończy pracę?

Zdumiony, ale i uradowany recepcjonista rozejrzał się szybko dookoła i schował pieniądze, mówiąc cały czas krótkimi, oderwanymi zdaniami.

- Tak! To bardzo miłe, proszę pana. Nie trzeba, proszę pana, ale serdecznie dziękuję! Pan Liang wychodzi do domu o piątej. Ja też, proszę pana. Oczywiście zostałbym dłużej, gdyby zaszła taka potrzeba. Staram się robić wszystko dla dobra naszego hotelu.

- Jestem tego pewien - skinął głową Dawid. - Mogę prosić o klucz? Mój bagaż przywiozą później. Na lotnisku było straszne zamieszanie.

- Oczywiście, proszę pana.

Dawid siedział w fotelu przy oknie z barwionego szkła, spoglądając ponad portem na wyspę Hongkong. Jedna za drugą powracały nazwy, a niektórym z nich towarzyszyły także obrazy:

Causeway Bay, Wanchai, Repulse Bay, Mandaryn, a wreszcie doskonale widoczny Victoria Peak ze słynną panoramą całej kolonii. Przed oczami przesuwaly mu się niezliczone tłumy wypełniające kolorowe, brudne uliczki i zaułki, a także hotelowe halle i apartamenty oświetlone dyskretnym blaskiem złoconych żyrandoli, gdzie doskonale ubrani spadkobiercy imperium niechętnie zawierali przeróżne transakcje z chińskimi nuworyszami - stare szlachectwo i nowe pieniądze musiały jakoś dojść do porozumienia... Zaułki? Z jakiegoś powodu one właśnie przykuły jego uwagę. Niewyraźne postacie biegły dokąś na oślep, roztrącając stłoczonych przekupniów, przewracając klatki z drobiem i kosze z węzami przeróżnych rozmiarów. Tymi towarami handlowali sprzedawcy zajmujący najniższą pozycję w tym fachu. Mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, odziani w łachmany, wąska przestrzeń między rozpadającymi się budynkami wypełniona gryzącym dymem wznoszącym się wolno ku niebu i przyćmiewającym światło, przez co poczerwiałe mury wydawały się ciemniejsze i wyższe niż w rzeczywistości. Widział to wszystko, lecz nic z tego nie rozumiał, nie mogąc znaleźć żadnego punktu odniesienia. Doprowadzało go to do szału.

Gdzieś tam była Marie. Musi ją odnaleźć! Ogarnięty rozpaczą zerwał się z fotela i o mało nie zaczął uderzać głową w ścianę, by odzyskać zdolność myślenia. Wiedział jednak, że to nie pomoże;

pomóc mógł tylko czas. Ale jak długo można czekać? Nie był już w stanie tego znieść. Musi ją znaleźć, przygarnąć, pomóc jej... Tak jak ona pomogła kiedyś jemu, wierząc mu, gdy nawet on sam sobie nie wierzył. Stał naprzeciwko wiszącego na ścianie lustro i spojrzał na zawziętą, pobladłą twarz. Jedno było jasne: musi planować i działać szybko, lecz nie tak, jak ten człowiek, którego widział w lustrze. Musi sobie przypomnieć i wykorzystać wszystko, czego nauczył się jako Jason Bourne, odnaleźć w sobie nieuchwytną przeszłość i zaufać instynktowi.

Najważniejszy był pierwszy krok. Nie ulegało wątpliwości, że uczynił go w dobrym kierunku. Liang na pewno dostarczy mu jakiejś informacji, możliwe, że niepełnej i niezbyt istotnej, ale będzie to już coś - nazwisko, adres, a może inny człowiek, który zaprowadzi go do następnego, i tak dalej. Musi działać szybko, nie dając nieprzyjacielowi czasu na zastanowienie i stawiając kolejnych ludzi, do których uda mu się dotrzeć, przed jasnym wyborem: współpraca i życie, albo milczenie i śmierć. Jednak żeby być do tego zdolnym, musi się odpowiednio przygotować. Powinien zrobić zakupy, a także poznać nieco dokładniej teren. Wystarczy mu godzina obserwacji z tylnego siedzenia samochodu, która pozwoli mu spoić w jedną całość oderwane fragmenty wspomnień.

Wziął do ręki grubą, oprawioną w czerwoną skórę książkę telefoniczną, usiadł na brzegu łóżka i zaczął ją pospiesznie kartkować. „Centrum Handlowe «Nowy Świat», wspaniały, pięciopiętrowy kompleks gromadzący pod jednym dachem znakomite towary ze wszystkich czterech kątów ziemi...” Abstrahując od dosyć karkołomnej przenośni ów „kompleks” miał tę zaletę, że znajdował się w

pobliżu hotelu. „Limuzyny do wynajęcia. Oferujemy szeroki wybór samochodów marki Daimler, na godziny lub na cały dzień, w celach turystycznych lub w interesach. Telefon hotelowy 62". Za kierownicami takich limuzyn siedzieli zwykle doświadczeni szoferzy, orientujący się doskonale w zawłościach komunikacyjnych Hongkongu, Koulunu i Nowych Terytoriów, a także dysponujący rozległą wiedzą na inne tematy. Ludzie ci znali nie tylko zewnętrzną stronę, ale i wnętrze miasta, któremu służyli. O ile nie myliło go przecucie, a raczej nie myliło, właśnie w ten sposób uda mu się wejść w posiadanie broni. Wreszcie ostatnia sprawa: bank w centrum Hongkongu, współpracujący z siostrzaną instytucją na odległych o wiele tysięcy mil Kajmanach. Wejdzie tam, podpisze to, co mu dadzą do podpisania, i wyjdzie z większą sumą pieniędzy, niż jakikolwiek normalny człowiek odważyłby się nosić przy sobie nie tylko w Hongkongu, ale w każdym innym miejscu na Ziemi. Pieniądze gdzieś ukryje, ale na pewno nie będzie ich trzymał w banku. Banki są otwarte w ściśle określonych godzinach, a to mogłoby znacznie ograniczyć jego swobodę działania. Jason Bourne znał doskonale pewną prostą zasadę: człowiek, któremu obieca się życie, prawie na pewno zdecyduje się na współpracę; człowiek, któremu obieca się życie i bardzo dużo pieniędzy, natychmiast zmienia się w niewolnika.

Dawid sięgnął po leżący przy telefonie notatnik i zaczął sporządzać dokładną listę. Z każdą upływającą godziną dotychczasowe drobiazgi nabierały coraz większego znaczenia, a tych godzin pozostawało mu coraz mniej. Dochodziła już jedenasta. Port błyszczał w promieniach słońca zbliżającego się do najwyższego punktu swojej wędrówki. Do 16.30, kiedy zamierzał zająć dogodny stanowisko, by ruszyć w ślad za wychodzącym z pracy, nieszczerze uśmiechniętym Liangiem, miał jeszcze sporo do zrobienia.

Trzy minuty później lista była gotowa. Wydarł kartkę, podniósł się z łóżka i sięgnął po wiszącą na krześle marynarkę, kiedy nagle ciszę hotelowego pokoju rozdarł dzwonek telefonu. Musiał zacisnąć powieki i naprężyć niemal każdy mięsień, by nie rzucić się w jego stronę i nie podnieść słuchawki; nie wiadomo skąd pojawiła się opętańcza nadzieja, że usłyszy w niej głos Marie. Nie wolno mu tego zrobić. Instynkt. Jason Bourne. Jeśli odbierze telefon, ujawni miejsce swojego pobytu. Odwrócił się i wyszedł pośpiesznie z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Wrócił dziesięć po dwunastej, z kilkoma cienkimi torbami. Widniały na nich nadruki różnych sklepów mieszczących się w Centrum Handlowym „Nowy Świat". Rzuciwszy je na łóżko zaczął rozpakowywać zakupy. Znajdowały się wśród nich: ciemny płaszcz przeciwdeszczowy, zbliżony kolorem kapelusz, para szarych półbutów na gumowej podeszwie, czarne spodnie i również czarny sweter. To był jego strój na wieczór. Pozostałe torby zawierały zwój wędkarskiej żyłki o wytrzymałości czterdziestu kilogramów z dwoma dużymi przelotkami, mniej więcej półkilogramowy mosiężny przycisk do papierów w kształcie miniaturowej sztangi, szpikulec do kruszenia lodu, a także ostry nóż myśliwski o wąskim, dziesięciocentymetrowym ostrzu. Tę nie czyniącą hałasu broń będzie nosił przy sobie w dzień i w nocy. Pozostała mu do kupienia jeszcze tylko jedna rzecz.

Przeglądając sprawunki w pewnej chwili uświadomił sobie, że przeszkadza mu jakieś migające na granicy pola widzenia światełko. Irytowało go, że nie może ustalić jego źródła, choć był pewien, że nie jest ono wytworem jego umysłu. Rozglądając się po pokoju skierował spojrzenie na nocny stolik; wpadające przez okna promienie słońca oświetlały stojący tam telefon - w dolnej części aparatu zapalała się i gasła mała, czerwona kropka informując, że osoba zajmująca pokój otrzymała jakąś wiadomość i jest proszona o jej odebranie. Dawid podszedł do stolika, zapoznał się z umieszczoną w plastikowej okładce instrukcją, podniósł słuchawkę i nacisnął odpowiedni guzik.

- Słucham, panie Cruett? - rozległ się głos telefonistki.

- Zdaje się, że jest dla mnie jakaś wiadomość?

- Owszem. Pan Liang próbował skontaktować się z panem, ale...

- Wydaje mi się, że jasno się wyraziłem - przerwał jej Webb. - Miano mnie nie niepokoić do chwili, aż wydam odmienne polecenie.

- Tak, proszę pana, ale pan Liang jest zastępcą dyrektora... Jego pierwszym zastępcą... To podobno bardzo pilna sprawa. Dzwoni od godziny co kilka minut. Zaraz pana z nim połączę, sir.

Dawid szybko odłożył słuchawkę. Jeszcze nie był przygotowany do rozmowy z Liangiem, czy też, by ująć to bardziej precyzyjnie, Liang nie był gotowy do rozmowy z nim. Nie osiągnął jeszcze stanu, do jakiego Dawid miał zamiar go doprowadzić. Na pewno był mocno przestraszony, niewykluczone, że znajdował się już na granicy paniki, ponieważ stanowił pierwsze, najmniej ważne ogniwo i spaprał paskudnie robotę, nie umieszczając wskazanego człowieka w specjalnie przygotowanym, wyposażonym w podsłuch apartamencie. Jednak Dawidowi nie wystarczała granica paniki; chciał zepchnąć Lianga za jej krawędź. Najpewniejszym i najszybszym sposobem było uniemożliwienie mu złożenia jakichkolwiek wyjaśnień i usprawiedliwienia się przed chlebodawcami.

Webb wepchnął zakupione rzeczy do szuflad, wrzucił tam jeszcze przedmioty wyjęte z lotniczej torby i ukrył między nimi linkę z przelot-kami, a następnie postawił przycisk na biurku i wsadził nóż do kieszeni marynarki. Kiedy spojrzął na szpikulec do lodu, uderzyła go dziwna myśl: wystraszony człowiek może łatwo wpaść w panikę na widok jakiejś przerażającej rzeczy. Ujął ostrożnie szpikulec przez chusteczkę, wytarł go starannie, po czym przeszedł do niewielkiego przedpokoju i wbił śmiercionośne narzędzie w białą ścianę naprzeciwko drzwi, mniej więcej na poziomie oczu. Rozległ się dzwonek telefonu;

brzęczał bez przerwy, jak oszalały. Webb wyślizgnął się z pokoju, pobiegł w kierunku wind, schował się za zakrętem korytarza i wysunął ostrożnie głowę.

Nie omylił się; błyszczące, metalowe drzwi otworzyły się, z windy wypadł Liang i pognał do pokoju Webba. Dawid wychylił się nieco bardziej, obserwując, jak zastępca dyrektora naciska nerwowo przycisk dzwonka, a potem zaczyna coraz głośniej stukać w drzwi.

Na piętrze zatrzymała się następna winda i wyszły z niej dwie roześmiane pary. Kiedy mijały Webba, jeden z mężczyzn spojrzął na niego podejrzliwie, po czym wzruszył nieznacznie ramionami. Dawid ponownie skoncentrował uwagę na Liangu. Wicedyrektor dosłownie szalał pod drzwiami, na przemian dzwoniąc i waląc w nie pięścią. W pewnej chwili przestał i przyłożył na moment ucho do drewnianej powierzchni, a następnie, najwidoczniej usatysfakcjonowany, wydobył z kieszeni pęk kluczy i rozejrzał się ostrożnie dookoła. Dawid w ostatniej chwili cofnął głowę. Nie musiał teraz nic widzieć; wystarczy, że będzie słyszał.

Oczekiwanie nie trwało zbyt długo. Do jego uszu dobiegł zduszony, przerażony krzyk, a zaraz potem głośnie trzaśnięcie drzwi. Tkwiący w ścianie szpikulec spełnił swoje zadanie. Dawid wysunął ostrożnie głowę: zdyszany Liang stał przy windach, chwając się wyraźnie na nogach i naciskając raz po raz przycisk. Wreszcie zadźwięczał elektroniczny sygnał, metalowe drzwi rozsunęły się i wicedyrektor wskoczył do windy.

Dawid nie miał jeszcze sprecyzowanego planu, ale wiedział mniej więcej, co powinien zrobić, był to bowiem jedyny i najbardziej oczywisty sposób postępowania. Wróciwszy biegiem do pokoju chwycił słuchawkę i naciskając w pośpiechu klawisze wybrał zapamiętany numer.

- Tu portiernia - rozległ się przyjemny głos. Chyba Hindus, pomyślał Dawid.

- Czy mówię z szefem portierni?

- Tak, proszę pana.

- Na pewno? Nie z którymś z pomocników?

- Niestety, nie. A z którym konkretnie życzy pan sobie mówić?

- Wolę z panem - odparł Webb. - Chodzi mi o sprawę, która musi być załatwiona z największą dyskrecją. Czy mogę na pana liczyć? Potrafię się odpowiednio odwdziżyć.

- Czy jest pan gościem naszego hotelu?

- Tak.

- Jak się domyślam, nie wchodzi w grę nic, co by mogło nas narazić na jakieś straty lub nieprzyjemności?

- Wręcz przeciwnie. Dzięki temu umocnicie jeszcze bardziej swoją renomę.

- Jestem do pańskich usług, sir.

Ustalono, że limuzyna prowadzona przez najbardziej doświadczonego kierowcę podjedzie za dziesięć minut do bocznego wyjścia na Salisbury Road. Za swoją gotowość do współpracy, a także za to, że nie wprowadzi do komputera nazwiska klienta, portier otrzyma dwieście dolarów. Jeden z boyów zaprowadzi pana Cruetta do windy dla personelu, która zwiezie go do podziemia, skąd wychodzi się prosto na Salisbury Road.

Pozbywszy się ustalonej sumy, Dawid zajął miejsce na tylnym siedzeniu daimiera. Z zadowoleniem stwierdził, że za kierownicą siedzi ubrany w uniform niemłody już mężczyzna o znudzonym wyrazie twarzy, z trudem zmuszający się do okazania uprzejmości.

- Dzień dobry panu! Nazywam się Pak-fei i zapewniam pana, że na pewno będzie pan ze mnie zadowolony. Pan mi powie, gdzie chce jechać, a ja pana tam zawiozę! Wiem wszystko!

- Na to właśnie liczyłem - odparł cicho Webb.

- Słucham, proszę pana?

- Wo buski lukę - powiedział Dawid, dając kierowcy jasno do zrozumienia, że nie jest zwyczajnym turystą. - Nie byłem tu od wielu lat i chcę sobie przypomnieć pewne rzeczy - mówił dalej po chińsku. - Co byś powiedział na normalny objazd wyspy, połączony z krótkim wypadem do Koulunu? Muszę tu być z powrotem za jakieś dwie godziny... Aha, od tej pory będziemy mówić wyłącznie po angielsku.

- Pana chiński jest bardzo dobry! Z wyższych sfer, ale wszystko rozumiem. Tylko dwie zhongtou...

- Dwie godziny - przerwał mu Webb. - Pamiętaj, tylko po angielsku, nie chcę się powtarzać. Jeśli dobrze się spieszysz, dostaniesz napiwek za całe dwadzieścia cztery.

- Dobrze! - wykrzyknął Pak-fei, uruchomił silnik i sprawnie włączył się do nieprawdopodobnie gęstego ruchu na Salisbury Road. - Zapewniam pana, że będzie pan nadzwyczaj zadowolony!

Tak też było w istocie. Nazwy i obrazy, przesuwane się w pokoju przed oczami Dawida, znalazły swoje rzeczywiste odpowiedniki. Okazało się, że zna niemal wszystkie ulice w centrum,

rozpoznał hotel Mandaryn, Hongkong Ciub i Chater Square z budynkiem Sądu Najwyższego usytuowanym naprzeciwko najważniejszych banków kolonii. Z całą wyrazistością powróciły wspomnienia spacerów zatłoczonymi uliczkami prowadzącymi do przystani linii promowych, stanowiących główne połączenie wyspy z Koulunem, a także Queen's Road, Hillier, Possession Street i hałaśliwą Wanchai. Był tu kiedyś, znał te wszystkie miejsca, a nawet mniejsze zaułki i skróty, którymi można było przemykać niepostrzeżenie, omijając najbardziej zatłoczone rejony. Rozpoznał krętą szosę prowadzącą do Aberdeen, wiedząc, że za chwilę ujrzy ekskluzywne, unoszące się na wodzie restauracje, a nieco dalej niesamowitą cizbę dżonek i sampanów zamieszkałych przez nieprzeliczone ludzkie mrowie. Niemal słyszą! okrzyki graczy w madżonga, licytujących coraz większe sumy w przyćmionym, żółtym blasku naftowych lamp. Przypomniał sobie, że na plażach Shek O i Big Wave spotykał się kiedyś z wieloma nieznanymi ludźmi - nie z ludźmi, lecz łącznikami, poprawił się natychmiast - że kąpał się w zatłoczonych wodach Repulse Bay, nad którą wznosiły się kolonialne hotele, tracące w coraz szybszym tempie swój wiekowy splendor. Wszystko to znał i widział, lecz nie wywoływało to w jego pamięci żadnych skojarzeń.

Spojrzał na zegarek; jeździli po mieście już od prawie dwóch godzin. Zatrzymają się jeszcze w jednym miejscu, a potem podda Pak-feia próbie.

- Wracamy na Chater Square - powiedział do kierowcy. - Muszę coś załatwić w jednym z banków. Zaczekasz na mnie w samochodzie.

Pieniądze nie tylko spełniały funkcję smaru niezbędnego dla prawidłowego funkcjonowania zarówno maszyny przemysłowej, jak i towarzyskich układów, lecz były również przepustką do wolności. Bez nich uciekający człowiek musiał walczyć z wieloma krępującymi go więzami, a prowadzący pościg stawał nieraz bezradny wobec przeszkód uniemożliwiających mu kontynuowanie polowania. Łatwość wydawania zwiększała się wraz ze wzrostem sumy. Nietrudno wyobrazić sobie katusze, jakie przeżywa człowiek mogący rozporządzać sumą pięciuset dolarów, i swobodę zachowania tego, który dysponuje kwotą tysiąc razy większą. Tak właśnie czuł się Dawid w banku przy Chater Square. Wszystkie formalności załatwiono szybko i sprawnie;

pieniądze zjawiły się w eleganckiej teczce, a wraz z nimi propozycja zorganizowania dyskretnej obstawy, która mogłaby towarzyszyć niezwykle klientowi do hotelu, gdyby takie było jego życzenie. Dawid grzecznie odmówił, podpisał podsunięty formularz i wrócił do czekającego na ruchliwej ulicy samochodu.

Nachyliwszy się w kierunku szofera położył jedną dłoń na miękkim materiale oparcia, a drugą podał mu studolarowy banknot.

- Muszę kupić pistolet, Pak-fei - powiedział cicho. Kierowca odwrócił powoli głowę. Jego spojrzenie najpierw padło na banknot, a potem przesunęło się na twarz Webba. Wymuszona służalczość i sztuczny zapach zniknęły, jakby ich nigdy nie było.

- K-oulun - odparł spokojnie. - Mongkok. Wziął pieniądze.

ROZDZIAŁ 9

Daimier przeciskał się przez zatłoczone ulice Mong-koku, dzielnicy, która dźrzy niezbyt godne pozazdroszczenia pierwszeństwo jako najgęściej zaludniony obszar miejski w historii ludzkości. Zaludniony, trzeba zaznaczyć, prawie wyłącznie przez Chińczyków. Twarz przybysza z Zachodu stanowiła tu taką rzadkość, że za pasażerem limuzyny biegly zaciekawione spojrzenia. Wyrażały zarazem wrogość i rozbawienie. Żaden biały mężczyzna ani kobieta nie powinni zapuszczać się po zmierzchu w zaułki Mongkoku; nie działa tutaj żaden orientalny Cotton Ciub. U źródła takiego nastawienia nie stoi bynajmniej rasizm; to po prostu kwestia uznania tutejszej rzeczywistości. Zbyt mało tu miejsca dla członków ich własnej nacji - a oni od tysięcy lat, przez wszystkie chińskie dynastie dbali wyłącznie o swoich. Rodzina jest wszystkim, poza nią nie istnieje nic, a wiele rodzin, które bynajmniej nie popadły w nędzę, gnieździło się w jednej izbie, mieszczącej pojedyncze łóżko i materace rozłożone na czystej podłodze z nie heblowanych desek.

Rozwieszane na setkach małych balkoników pranie świadczyło o powadze, z jaką traktuje się tutaj wymóg czystości, mieszkańcy bowiem pojawiali się tam wyłącznie po to, by powiesić nowe sztuki garderoby. Balkony wypełniające całą przestrzeń między przyległymi domami wydawały się drzeć niespokojnie, kiedy wiatr uderzał w ruchomą ścianę tkanin i do tańca ruszały dziesiątki tysięcy najprzeróżniejszych strojów - kolejny dowód na wyjątkowe przeludnienie tej dzielnicy.

Mongkok nie był bynajmniej biedny. Wszędzie kłuły w oczy żywe, sztuczne kolory, najbardziej zaś przyciągała wzrok jaskrawa czerwień. Ponad głowami tłumy widać było olbrzymie, dopracowane do ostatniego szczegółu neony, a każdą ulicę i alejkę wypełniały reklamy sięgające nawet trzeciego piętra. Chińskie ideogramy za wszelką cenę starały się uwieść klientów. W Mongkoku znajdowało się bogactwo, i to zarówno to dyskretne, jak i to krzykliwe, rzucające się w oczy, choć nie zawsze zgromadzone zgodnie z prawem. Brakowało tylko jednej rzeczy - wolnej przestrzeni. Jej nieliczne enklawy należały do tubylców, a nie przybyszy z zewnątrz, chyba że taki przybysz - przyprowadzony tu przez kogoś z miejscowych - dostarczał pieniędzy dla nienasyconej maszyny produkującej szeroki asortyment dóbr doczesnych i pozadoczesnych. Trzeba było tylko wiedzieć, gdzie szukać, a także znać cenę. Kierowca Pak-fei wiedział, gdzie szukać, a Jason Bourne znał cenę.

- Zatrzymam się, żeby zatelefonować - powiedział Pak-fei parkując samochód za ustawioną w drugim rzędzie ciężarówką. - Zamknę pana w środku i zaraz wracam.

- Czy to konieczne? - spytał Webb.

- To pana teczka, sir, nie moja.

Wielki Boże, pomyślał Dawid, chyba zgłupiałem! Zapomniał o teczce. Pojawił się z ponad trzystoma tysiącami dolarów w samym sercu Mongkoku, tak jakby to była torba z drugim śniadaniem. Złapał dyplomatkę za uchwyt, położył ją na kolanach i sprawdził zatraski;

były zamknięte, ale żeby je otworzyć, wystarczyło tylko nacisnąć lekko oba przyciski.

- Daj mi trochę taśmy! Taśmy samoprzylepnej! - wrzasnął za kierowcą, który wysiadł już z samochodu.

Za późno. Uliczny hałas stał się ogłuszający, tłum był niczym utkana z ludzkich ciał zasłona, rozciągająca się gdzie okiem sięgnąć. Nagle owo „gdzie okiem sięgnąć” ograniczyło się do szyb

limuzyny. Ze wszystkich stron gapiły się na niego setki oczu, zniekształcone twarze rozpląszczyły się na szybach - na wszystkich szybach - i Webb miał wrażenie, jakby nagle znalazł się w samym środku świeżo wybuchłego ulicznego wulkanu. Słyszał wykrzykiwane ostrym głosem pytania: bin go a? i chong mañ tui, co w luźnym tłumaczeniu znaczy: kto to? i jakiś waźniak, a w połączeniu: Co to za gruba ryba? Czuł się jak uwięzione w klatce zwierzę, któremu przypatruje się krwiożercza horda, należąca do innego gatunku. Skoncentrował się na teczce i patrzył prosto przed siebie, a kiedy w wąską szparę uchylonej z prawej strony szyby wślizgnęły się dwie dłonie, sięgnął powoli po myśliwski nóż. Palce cofnęły się.

- Jau! - wrzasnął Pak-fei, torując sobie drogę przez tłum. - To bardzo ważny taipan i policja wyleje wam wrzący olej na jaja, jeśli natychmiast nie zostawicie go w spokoju! Wyoście się stąd, no już!

Otworzył samochód, wskoczył za kierownicę i zatrzasnął drzwi wśród wściekłych przekleństw. Zapуścił motor, dodał gazu, nacisnął potężnie brzmiały klakson i nie zdejmował z niego ręki, zwiększając do granic wytrzymałości ogólną kakofonię. Ludzkie morze powoli i niechętnie się rozstało. Daimler zachybotał się i ruszył nagłymi zrywami w dół ulicy.

- Dokąd jedziemy?! - krzyknął Webb. - Myślałem, że to tu!

- Kupiec, z którym robi pan interesy, przeniósł swoje biuro gdzie indziej, i dobrze zrobił, bo nie jest to najlepsza dzielnica Mongkoku.

- Mogłeś najpierw zadzwonić. Czekanie tutaj nie należało do przyjemności.

- Jeśli wolno mi poprawić wrażenie niewłaściwej obsługi, sir - oznajmił Pak-fei, przyglądając się Dawidowi w tylnym lusterku - to w ten sposób upewniliśmy się, że nikt pana nie śledzi. A więc i ja nie jestem śledzony. Nikt nie będzie wiedział, dokąd pana zawiozłem.

- O czym ty mówisz?

- Wszedł pan z pustymi rękami do dużego banku przy Chater Square, ale kiedy pan wychodził, trzymał pan teczkę.

- I co z tego? - Webb patrzył kierowcy prosto w oczy.

- Nie towarzyszył panu żaden strażnik, a kręci się tam mnóstwo złych ludzi, którzy wypatrują kogoś takiego jak pan i często dostają cynk od innych złych ludzi w środku. Żyjemy w niepewnych czasach, a w takich wypadkach lepiej mieć pewność.

- Teraz masz tę pewność...

- O tak, sir - uśmiechnął się Pak-fei. - Nietrudno byłoby odkryć śledzący nas samochód w zaułkach Mongkoku.

- A więc nigdzie nie dzwoniłeś.

- Dzwoniłem, sir, naprawdę. Zawsze trzeba najpierw zadzwonić, Ale rozmowę zakończyłem bardzo szybko, a potem trochę się przespacerowałem, oczywiście bez mojej czapki. Nie dostrzegłem ani jednego samochodu wiozącego podenerwowanych pasażerów, żadnego, z którego ktoś wyskakiwałby nagle na ulicę. Zawiozę pana teraz do tego kupca o wiele spokojniejszy.

- Ja też jestem spokojniejszy - odparł Dawid zastanawiając się, dlaczego na krótką chwilę opuścił go Jason Bourne. - Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że powinienem się czegoś obawiać. Nie tego w każdym razie, że ktoś będzie nas śledził.

W miarę jak budynki stawały się coraz niższe, gęsty tłum nieco się przerzedził i nagle Webb zobaczył za wysoką siatką wody Portu Wiktorii. Ogrodzenie broniło dostępu do kompleksu magazynów wychodzących na nabrzeże, przy którym stały przycumowane statki i gdzie rozlegało się skrzywienie ciężkiej portowej maszynierii. Wielkie wagony unosiły się w powietrze i znikwały w ładowniach. Pak-fei skręcił w kierunku stojącego na uboczu parterowego magazynu. Budynek wydawał się opustoszały, na asfaltowym parkingu widać było tylko dwa samochody. Brama była zamknięta; z przeszklonej budki wyszedł do nich strażnik z kartką w dłoni.

- Nie znajdziesz mego nazwiska na tej liście - oświadczył mu po chińsku Pak-fei, z dziwną pewnością siebie. - Poinformuj pana Wu Songa, że jest tutaj numer piąty z hotelu Regent i że przywiózł mu taipana, tak samo ważnego jak on. Pan Wu Song oczekuje nas.

Strażnik kiwnął głową i mrużąc oczy w popołudniowym słońcu starał się dostrzec, jakiego to ważnego pasażera przywiózł tutaj jego rozmówca.

- Aiya! - wrzasnął Pak-fei na widok takiej impertynencji i obrócił się do Webba. - Niech mnie pan źle nie zrozumie - powiedział, kiedy strażnik pobiegł do telefonu. - To, że wymieniłem tutaj nazwę mego wspaniałego hotelu, nie ma nic wspólnego z moim wspaniałym hotelem. Prawdę mówiąc, gdyby pan Liang albo ktokolwiek inny dowiedział się, że to zrobiłem, natychmiast wyleciałbym na bruk. Powiedziałem tak tylko dlatego, że urodziłem się piątego dnia piątego miesiąca roku 1935, licząc od urodzenia naszego chrześcijańskiego Pana.

- Nic nikomu nie powiem - zapewnił go Dawid uśmiechając się pod nosem i myśląc sobie, że mimo wszystko nie opuścił go Jason Bourne. Mityczna postać, którą był kiedyś, wiedziała, jak nawiązać właściwy kontakt - wiedziała zupełnie instynktownie - a zatem tkwiła gdzieś wewnątrz Dawida Webba.

Wnętrze magazynu, gdzie wzdłuż otynkowanych na biało przepierzeń poustawiane były jedna za drugą poziome, zamknięte na klucz gabloty, przypominało salę muzealną, w której wystawia się prymitywne narzędzia, skamieliny owadów i starodawne, religijne płaskorzeźby. Różnica polegała na charakterze eksponatów. Można tu było podziwiać cały zestaw broni palnej, poczynając od małokalibrowych pistoletów i strzelb, aż po najbardziej wyszukaną broń współczesnego pola walki - tysiącstrzałowe, osadzone na lekkich jak piórko ramach karabiny maszynowe ze spiralnie biegnącymi pasami z amunicją, a także coś specjalnie dla terrorystów: naprowadzane laserem, odpalane z ramienia rakiety. Tego arsenału pilnowało dwóch mężczyzn ubranych jak ludzie interesu. Jeden trzymał straż na zewnątrz, przed wejściem do pomieszczenia, drugi wewnątrz. Pierwszy z nich, co było do przewidzenia, ukłonił im się z przepaszającym wyrazem twarzy i zbadał elektronicznym czujnikiem ubranie Webba i jego kierowcy, a potem sięgnął po teczkę. Dawid przysunął ją do siebie potrząsając przecząco głową i gestem wskazał na podobny do różdżki czujnik. Ochroniarz przeciągnął nim po powierzchni teczki wpatrując się we wskaźnik.

- To prywatne papiery - oświadczył Webb zdumionemu strażnikowi, po czym minął go i wszedł do pokoju.

Dopiero po minucie dotarło do niego to, co zobaczył, i otrząsnął się z niedowierzania. Spojrzał na namalowane na wszystkich ścianach jaskrawe, wielkie napisy NIE PALIĆ w językach angielskim, francuskim i chińskim. Zachodził w głowę, po co je tutaj umieszczono. Cała broń zamknięta była przecież w gablotach. Przespacerował się wzdłuż pokoju i przyjrzał uważniej eksponatom, trzymając kurczowo w dłoni teczkę, jakby w tym zwariowanym świecie, wypełnionym instrumentami przemocy stanowiła jedyną nić łączącą go z normalnym życiem.

- Huanying! - usłyszał. Zza rozsuwanych drzwi wyszedł wyglądający jak młodzieniec męczyzna. Ubrany był w jeden z tych dopasowanych do figury, poszerzających ramiona i wyszczuplających talię europejskich garniturów, w których poły marynarki powiewają niczym pawie ogony - wytwór projektantów zdecydowanych trzymać się najświeższej mody nawet za cenę zagubienia gdzieś męskiej sylwetki.

- To pan Wu Song, sir - oświadczył Pak-fei składając ukłon najpierw handlarzowi, a potem Webbowi. - Pan nie musi się przedstawiać własnym nazwiskiem - poinstruował Dawida.

- Bul - krzyknął młody kupiec wskazując na teczkę. - Bujingja!

- Pański klient, panie Song, mówi płynnie po chińsku - powiedział kierowca i zwrócił się do Dawida: - Jak pan słyszał, pan Song ma obiekcje co do pańskiej teczki.

- Nie zamierzam wypuścić jej z ręki - odparł Webb.

- W takim razie nie może być mowy o poważnym interesie - oświadczył Wu Song nienaganną angielszczyzną.

- Dlaczego? Teczkę sprawdził pański człowiek. W środku nie ma broni, a zresztą nawet gdyby była i próbowałbym otworzyć teczkę, jestem pewien, że znalazłbym się na podłodze, zanim odskoczyłoby wieko.

- Plastik? - zapytał Wu Song. - Plastikowe mikrofony, w których zawartość metalu jest tak nikła, że nie zdołają jej wykryć nawet najczulsze urządzenia?

- Jest pan paranoikiem.

- Jak mówią w pańskim kraju, to idzie w parze z obszarem, na którym się mieszka.

- Świetnie opanował pan nasze idiomy.

- Columbia University, rocznik siedemdziesiąty trzeci.

- Czy dyplom zrobił pan w dziedzinie broni palnej?

- Nie, marketingu.

- Aiya! - wrzasnął Pak-fei, ale było za późno. Krótka rozmowa miała odwrócić ich uwagę od tego, co robią strażnicy, którzy tymczasem zbliżyli się bezszelestnie i z nienacką zaatakowali Webba i kierowcę.

Jason Bourne obrócił się błyskawicznie, wybił w bok rękę napastnika, tak że mógł ją objąć własnym ramieniem, wykręcił ją i wyrzucił padającego tęczką w twarz. Wracały do niego właściwe ruchy, tak jak wróciły do doprowadzonego do pasji, chorego na amnezję człowieka na rybackiej łodzi na Morzu Śródziemnym. Tyle rzeczy zapomnianych, tyle nie wyjaśnionych, ale to pamiętał. Oszołomiony męczyzna runął na podłogę. Jego towarzysz poradził sobie tymczasem z kierowcą i ruszył z furią na Webba z rękami podniesionymi do ukośnego uderzenia. Dwa szybkie ciosy wyprostowanych ramion przecięły powietrze. Dawid rzucił teczkę, zrobił unik w prawo, obrócił się i ponownie uskoczył w prawo. Jego lewa stopa oderwała się od podłogi i uderzyła Chińczyka w pachwinę z taką siłą, że ten zgiął się wpół wyjąc z bólu. Webb natychmiast wyrzucił w górę prawą stopę i wbił jej wielki palec w gardło napastnika, dokładnie pod dolną szczęką. Strażnik związał się na podłodze, usiłując złapać powietrze; jedną ręką obejmował genitalia, drugą trzymał się za gardło. Tymczasem z podłogi podnosił się pierwszy członek ochrony. Bourne dał krok do przodu i kopnął go kolaniem w klatkę piersiową. Facet potoczył się przez pół pokoju i legł nieprzytomny pod którąś z

gablot.

Młody kupiec, absolwent Columbia University, oniemiał z wrażenia. Po jego oczach było widać, że to, co zobaczył, nie mieściło mu się w głowie. Oczekiwał, że jego goryle podniosą się lada chwila z ziemi i że to oni odniosą zwycięstwo. Potem nagle zdał sobie sprawę, że tak się nie stanie; ruszył w panice ku rozsuwanym drzwiom i dopadł ich w tym samym momencie, kiedy Webb dopadł jego. Dawid chwycił go za watawone ramiona i okręcił ku sobie. Wu Song potknął się o własną stopę i wywrócił, podnosząc natychmiast ręce w błagalnym geście.

- Nie, proszę! Niech pan przestanie! Nie jestem w stanie znieść fizycznej konfrontacji! Niech pan weźmie, co pan chce!

- Czego nie jesteś w stanie znieść?

- Słyszał pan, ja się rozchoruję.

- Co to ma wszystko, u diabła, znaczyć?! - krzyknął Dawid zataczając ramieniem dokoła pokoju.

- Wykonuję zlecenie, to wszystko. Może pan wziąć, co pan chce, ale proszę mnie nie dotykać. Proszę!-

Ogarnięty niesmakiem Webb podszedł do pobitego kierowcy, który dźwigał się na kolana. Z kącika ust kapała mu krew.

- Zawsze płacę za to, co biorę - oświadczył Webb handlarzowi, ujmując kierowcę pod ramię i pomagając mu wstać. - Nic ci się nie stało? - zapytał Pak-feia.

- Napyta pan sobie wielkiej biedy - odparł kierowca. W oczach miał strach i trzęsły mu się ręce.

- To nie ma nic wspólnego z tobą. Wu Song świetnie o tym wie, prawda, Wu?

- To ja pana tutaj przywiozłem! - upierał się kierowca.

- Żebym dokonał zakupu - dodał szybko Dawid. - Załatwmy zatem to, po cośmy przyjechali. Ale najpierw zwiąż tych dwóch baranów. Zasłonami. Podrzyj je na pasy.

Pak-fei spojrzał błagalnie na młodego handlarza.

- Wielki chrześcijański Jezu, rób, co ci każe! - zawył Wu Song. - Inaczej mnie pobije! Zerwij zasłony! Zwiąż ich, ty imbecylny!

Trzy minuty później Webb trzymał w ręku dziwnie wyglądający pistolet, pękaty, ale niezbyt duży. To była broń najnowszej generacji;

perforowany, służący jako tłumik cylinder wysuwał się pneumatycznie podczas strzału, redukując liczbę decybeli do takiej, która towarzyszy głośnemu splunięciu - zaledwie splunięciu - bez żadnego uszczerbku dla precyzji strzału, przynajmniej z bliskiej odległości. Magazynek zawierający dziewięć nabojów mieścił się w podstawie kolby, a wymiana trwała nie dłużej niż kilka sekund. Do broni dołączone były trzy zapasowe magazynki - trzydzieści sześć pocisków o sile rażenia magnum 357, które można było wypalić z broni o połowę mniejszej i lżejszej od colta 45.

- Wspaniałe - stwierdził Webb przypatrując się związanym strażnikom i rozdygotanemu kierowcy. - Kto to projektował? Wracają do niego wiedza eksperta. Prawdziwego eksperta. Skąd się brała?

- Być może urazi to pański amerykański patriotyzm - odparł Wu Song - ale jest to ktoś, kto

mieszka w Bristolu, w stanie Connecticut. Zdał sobie sprawę, że firma, dla której pracuje, a raczej projektuje, nigdy nie wynagrodzi go odpowiednio do jego wynalazczych talentów. Poprzez pośredników wszedł na rynek międzynarodowy i sprzedał projekt temu, kto dał najwięcej.

- Tobie.

- Ja nie inwestuję. Zajmuję się tylko marketingiem.

- Racja, zapomniałem. Wykonujesz zlecenia.

- Dokładnie tak.

- Komu płacisz?

- Znam tylko numer konta w Singapurze. Nic więcej nie wiem. Oczywiście jestem kryty. Wszystkie przesyłki są konsygnowane.

- Rozumiem. Ile za tę sztukę?

- Niech ją pan weźmie ode mnie w prezencie.

- Śmierdzisz. Nie biorę prezentów od ludzi, którzy śmierdzą. Ile? Wu Song przełknął ślinę.

- Cena katalogowa wynosi osiemset dolarów.

Webb sięgnął do lewej kieszeni i wyciągnął stamtąd plik banknotów. Odliczył osiem studolarówek i wręczył je handlarzowi broni.

- Zapłacone co do centa.

- Zapłacone - potwierdził Chińczyk.

- Zwiąż go - zwrócił się Webb do przerażonego Pak-feia. - No, nie bój się, zwiąż go.

- Rób, co ci każe, idioto!

- A potem wyprowadź wszystkich trzech na zewnątrz. Wzdłuż ściany magazynu, za samochodem. Tak żeby cię nie zobaczył ten przy bramie.

- Szybko! - wrzasnął Song. - On jest w złym humorze!

- Jakbyś zgadł - potwierdził Webb.

Cztery minuty później dwaj strażnicy i Wu Song wymaszerowali niezdarnie wprost w oślepiające popołudniowe słońce, któremu, ku ,ch dodatkowej udręce, towarzyszyły roztańczone błyski na falach Portu Wiktorii. Ze związanymi rękami i nogami skrępowanymi w kolanach poruszali się niepewnie i niezdecydowanie. Milczenie gwarantowały tkwiące w ustach strażników bawełniane wkładki. Tego rodzaju środki zabezpieczające nie były potrzebne w przypadku młodego handlarza;

całkowicie sparaliżował go strach.

Kiedy Dawid został sam, postawił swoją porzuconą dyplomatkę na podłodze i szybko przespacerował się po pokoju przyglądając się eksponatom, aż znalazł to, czego szukał. Rozbił szybę kolba pistoletu i omijając wyszczerbione szkło sięgnął po broń, którą miał zamiar się posłużyć - broń, na którą pożądliwie patrzą terroryści całego świata - granaty zegarowe, każdy o sile wybuchu dwudziestofumowej bomby. Skąd wiedział? Jak stał się w tej dziedzinie ekspertem?

Wyjął sześć granatów i sprawdził, czy w każdym znajdują się naładowane baterie. Potrafił to zrobić. Skąd wiedział, gdzie zajrzeć, gdzie nacisnąć? Nieważne. Wiedział.

Nastawił zegary i ruszył szybko wzdłuż gablot, rozbijając w nich szyby kolbą pistoletu i wrzucając do każdej po jednym granacie. Pozostał mu jeden granat i dwie gabloty; spojrzawszy na trójjęzyczny napis NIE PALIĆ i zmienił decyzję. Podbiegł do rozsuwanych drzwi, otworzył je i zobaczył to, czego się spodziewał. Wrzucił do środka ostatni granat.

Spojrzawszy na zegarek, podniósł dyplomatkę i wyszedł na zewnątrz, starając się za wszelką cenę nie stracić nad sobą panowania. Zbliżył się do daimiera od strony magazynu, gdzie spocony jak mysz Pak-fei błagał bez przerwy swoich jeńców o wybaczenie. Wu Song, który pragnął jedynie, by nikt nie tknął go palcem, na zmianę mieszał z błotem i pocieszał kierowcę.

- Zabierz ich na falochron - rozkazał Dawid wskazując na kamienny mur wznoszący się nad wodami portu. Wu Song wlepił oczy w Webba.

- Kim jesteś? - zapytał.

Nadszedł właściwy moment. Teraz.

Webb ponownie spojrzawszy na zegarek i zbliżył się do handlarza bronią. Złapał przerażonego Wu Songa za łokieć i popchnął go dalej wzdłuż ściany budynku, tam gdzie inni nie mogli usłyszeć wypowiedzianych półgłosem słów.

- Nazywam się Jason Bourne - powiedział krótko.

- Jason bou...i - człowiek Wschodu rozwarł szeroko usta, jakby gardło przebił mu sztylet, a jemu kazano na własne oczy oglądać swoją gwałtowną śmierć.

- I jeśli chodzą ci po głowie jakieś pomysły, żeby za swoją urażoną dumę odegrać się na przykład na moim kierowcy, to lepiej o tym zapomnij. Będę wiedział, gdzie cię znaleźć. - Webb przerwał na moment, a potem mówił dalej: - Jesteś człowiekiem uprzywilejowanym, ale razem z przywilejami idzie w parze odpowiedzialność. Z pewnych względów możesz być przesłuchiwany, a ja nie chcę, żebyś kłamał - wątpię zresztą, czy w ogóle potrafisz to dobrze robić - wolno ci zatem powiedzieć, że się spotkaliśmy. Okradłem cię nawet, jak uznasz za stosowne. Ale jeśli podasz mój dokładny rysopis, to lepiej dla ciebie, żebyś się znalazł w innej stronie świata - martwy. Mniej by cię to bolało.

Absolwent Columbii zastygł w bezruchu wpatrując się bez słowa w Webba. Drżała mu dolna warga. Webb odwzajemnił w milczeniu jego spojrzenie i skinął głową. Puścił rękę Wu Songa i wrócił do Pak-feia i dwóch związanych strażników, pozostawiając ogarniętego paniką handlarza jego własnym, rozszalałym myśleniem.

- Rób, co ci powiedziałem, Pak-fei - powiedział, ponownie spoglądając na zegarek. - Zabierz ich na falochron i każ im się położyć. Uprzedź, że celuję do nich z pistoletu i że będę to robił, dopóki nie przejedziemy przez bramę. Sądzę, że ich pracodawca zaświadczy, że uchodzę za dość sprawnego strzelca.

Kierowca niezbyt chętnie wyszczekał po chińsku rozkazy, kłaniając się przy tym Wu Songowi, który wyszedł na czoło niezgrabnego pochodzającego w stronę odległego o jakieś siedemdziesiąt metrów falochronu. Webb zajrzał do środka daimiera.

- Rzuć mi kluczyki! - krzyknął do Pak-feia. - I pospiesz się! Złapał kluczyki w powietrzu i siadł za kierownicą. Uruchomił silnik, wrzucił bieg i ruszył w ślad za dziwnym pochodem maszerującym po asfalcie na tyłach magazynu.

Wu Song i jego dwaj goryle przypadli twarzą do ziemi. Webb nie gasząc silnika wyskoczył z

samochodu i obiegł go z tyłu trzymając w rękunowu zakupioną broń z zamocowanym na lufie tłumikiem.

- Siadaj za kierownicą! - wrzasnął na Pak-feia. - Szybko! Oszołomiony kierowca wskoczył do środka. Dawid oddał trzy strzały - trzy splunięcia, które odłupały asfalt przed twarzą każdego z więźniów. To wystarczyło, by wszyscy trzej poturlali się w panice w stronę falochronu. Webb wskoczył na przednie siedzenie samochodu. Po raz ostatni spojrzął na zegarek.

- Ruszaj! - powiedział, celując z wysuniętego przez okno pistoletu do trzech leżących plackiem na ziemi postaci. - Teraz!

Brama uchyliła się przed dostojnym taipanem w jego dostojnej limuzynie. Daimier przejechał przez nią i skręcił w prawo na wypełnioną pędzącymi pojazdami dwupasmową autostradę do Mongkoku.

- Zwolnij! - rozkazał Dawid. - Zatrzymaj się na poboczu.

- Ci kierowcy to wariaci, sir. Pędzą tak, bo wiedzą, że za kilka minut utkną tu w korku. Ciężko będzie z powrotem włączyć się do ruchu.

- Podejrzewam, że nie będzie to takie trudne.

Stało się. Jeden po drugim zagrzmiały kolejne wybuchy - trzeci, czwarty, piąty... szósty. Stojący na uboczu, jednopiętrowy magazyn uniósł się w górę, a niebo nad portem wypełniło się płomieniami i ciężkim, czarnym dymem. Na autostradzie z piskiem opon zatrzymywały się samochody, ciężarówki i autobusy.

- To pana sprawka? - jęknął Pak-fei otwierając szeroko usta i wytrzeszczając oczy na Webba.

- Byłem tam.

- Byliśmy tam razem, sir! Jestem już martwy! Aiya!

- Nie, Pak-fei, nie jesteś martwy - odparł Dawid. - Jesteś kryty, masz na to moje słowo. Nigdy więcej nie usłyszysz o panu Wu Songu. Podejrzewam, że przeniesie się bardzo daleko stąd, być może do Iranu, gdzie będzie uczył marketingu multów. Nie sądzę, by ktoś inny zgodził się go zaangażować.

- Ale dlaczego, sir? Dlaczego?

- Jest skończony. Prowadził tak zwany „skład konsygnacyjny”, a to oznacza, że uiszczal należności po sprzedaniu towaru. Rozumiesz?

- Sądzę, że tak.

- Towaru już nie ma, ale nikomu nie został sprzedany. Po prostu wyparował.

- Sir?

- Na zapleczu trzymał laski dynamitu i skrzynie z plastikiem. Zbyt prymitywny towar, żeby umieszczać go w gablotach. No i było go zbyt wiele.

- Sir?

- Nie mogłem sobie nawet u niego zapalić... Wjedź na autostradę, Pak-fei. Muszę dostać się z powrotem do Koulunu.

Kiedy znaleźli się w Tsimshatsui, Webba wytrąciła z zamyślenia ciągle odwracająca się do tyłu głowa kierowcy.

- O co chodzi? - zapytał.

- Nie jestem pewien, sir. Po prostu się boję.

- Nie wierzysz w to, co ci powiedziałem? Że nie masz się czego obawiać?

- To nie o to chodzi, sir. Uważam, że powinienem panu wierzyć, bo widziałem, co pan zrobił, i widziałem twarz Wu Songa, kiedy pan do niego mówił. Myślę, że to właśnie pana się boję, ale jednocześnie myślę, że nie mam racji, bo przecież pan mnie ochrania. Zobaczyłem to w oczach Wu Songa. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Nie przejmuj się - odparł Dawid sięgając do kieszeni po pieniądze. - Jesteś żonaty, Pak-fei? A może masz kochankę albo kochanka? Mów, ja się nie zgorszę.

- Mam żonę, sir. I dwoje dorosłych dzieci, które mają niezłe posady. Spłacają zaciągnięty u mnie dług. Bogowie są dla mnie łaskawi.

- Teraz będą jeszcze łaskawsii. Jedź do domu, Pak-fei, zabierz swoją żonę - a także, jeśli masz ochotę, i dzieci - i ruszaj w drogę. Pojedźcie daleko, aż na Nowe Terytoria. Zatrzymajcie się i zamówcie sobie dobry obiad w Tuen Mun albo Yuen Long, a potem pojedźcie jeszcze dalej. Pozwól im się nacieszyć tym wspañałym samochodem.

- Sir?

- Xiaoxin - mówił dalej Webb trzymając pieniądze w dłoni. - Mam na myśli małe, niewinne kłamstewko, które nikomu nie przyniesie szkody. Chcę, widzisz, aby stan twojego licznika odpowiadał mniej więcej temu, dokąd mnie zawiozłeś dzisiaj w ciągu dnia, a także w nocy.

- To znaczy gdzie?

- Zawiozłeś pana Cruetta najpierw do Luohu, a potem wzdłuż podnóża gór do Lok Ma Chau.

- To przejścia graniczne prowadzące do Republiki Ludowej.

- Zgadza się - potwierdził Dawid wyjmując dwa studolarowe banknoty, a potem trzeci. - Sądzisz, że uda ci się to zapamiętać i nabijesz odpowiednią liczbę mil?

- Z całą pewnością, sir.

- A może - dodał Webb z palcem na czwartym bar'::'ocie - przypomnisz sobie także, że w Lok Ma Chau wyszedłem z samochodu i mniej więcej przez godzinę wałęsałem się po wzgórzach?

- Jeśli pan sobie życzy, może być i dziesięć godzin. Nie potrzebuję wcale snu.

- Jedna godzina wystarczy. - Dawid trzymał czterysta dolarów przed oczyma zaskoczonego kierowcy. - Dowiem się, jeśli nie dotrzymasz naszej umowy.

- Proszę się nie obawiać, sir! - krzyknął Pak-fei, trzymając jedną dłonią kierownicę, a drugą łapiąc banknoty. - Zabiorę żonę, dzieci, jej rodziców, a także moich. Ta bestia pomieści nawet dwanaście osób. Dziękuję panu, sir! Dziękuję!

- Wysadź mnie dziesięć przecznic od Salisbury Road i zaraz zawracaj. Nie chcę, żeby ktoś widział ten wóz w Koulunie.

- To niemożliwe, sir. Pojechaliśmy przecież do Luohu i do Lok Ma Chau!

- Jutro rano możesz mówić, co ci się żywnie podoba. Mnie tu już nie będzie. Wyjeżdżam tej nocy. Nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

- Tak, sir.

- Nasz kontrakt dobiegł końca, Pak-fei - powiedział Jason Bourne, powracając myślami do strategii, która stawała się coraz jaśniejsza z każdym jego posunięciem. A każde posunięcie przybliżało go do Marie. Na wszystko patrzył teraz chłodniejszym okiem. To, że był kimś, kim nie był, dawało mu szczególną wolność.

Postępuj zgodnie z otrzymanym scenariuszem. Bądź wszędzie jednocześnie. Spraw, by spocili się ze strachu.

O godzinie 5.02 najwyraźniej zaniepokojony Liang wybiegł nagle przez szklane drzwi hotelu Regent. Przyjrzał się bacznie przybywającym i odjeżdżającym gościom, a potem skręcił w lewo i szybko ruszył chodnikiem w kierunku prowadzącego na ulicę podjazdu. Dawid obserwował go z drugiej strony dziedzińca poprzez tryskające w górę fontanny. Kryjąc się nadal za ścianą wody przebiegł przez zatłoczony teren, przemknął pomiędzy samochodami i taksówkami, i ruszył w ślad za Liangiem w stronę Salisbury Road.

Zatrzymał się nagle w połowie drogi do ulicy, obracając się bokiem. Zastępca dyrektora przystanął niespodziewanie, wychylając się cały do przodu, tak jak czyni to zaaferowana, spiesząca dokądś osoba, kiedy nagle coś sobie przypomni albo zmieni zdanie. To musiało być to drugie, pomyślał Dawid, ostrożnie odwracając głowę i widząc Lianga przebiegającego aleję i skręcającego na zatłoczony chodnik przy centrum handlowym „Nowy Świat”. Wiedział, że jeśli się nie pośpieszy, zaraz zgubi go w tłumie. Podniósł obie ręce do góry i przebiegł na ukos aleję nie zważając na klaksony i wściekłe okrzyki kierowców. Spocony i zdenerwowany skoczył na chodnik. Nie widział nigdzie Lianga. Gdzie on się podział? W oczach rozmazywały mu się setki orientalnych twarzy, identycznych, a jednak różnych. Gdzie on się podział? Dawid ruszył dalej, przepychając się i przepraszając zaskoczonych ludzi. Wreszcie zobaczył go. Był pewien, że to Liang - choć właściwie nie, niezupełnie. Widział, jak postać w ciemnym garniturze skręca w stronę przejścia do portu, długiej, betonowej, zawieszanej nad wodą estakady, gdzie ludzie łowili ryby, spacerowali i uprawiali wczesnym rankiem ćwiczenia taijiquan. Cały czas widział tylko plecy mężczyzny; jeśli to nie on, prawdziwy Liang przedostanie się na ulicę i całkiem zgubi w tłumie. Instynkt. Nie twój, ale Bourne'a - oczy Jasona Bourne'a.

Webb puścił się biegiem w stronę otwierającego estakadę łuku, W oddali błyszczały w słońcu wieżowce Hongkongu, w porcie panował gorączkowy ruch, kończył się pracowity dzień na wodzie. Przebiegając pod łukiem Webb zwolnił; na Salisbury Road można było wrócić wyłącznie tą drogą. Estakada kończyła się ślepo na nabrzeżu. Rodziło się pytanie, a odpowiedź na nie pociągała za sobą następne. Dlaczego Liang - jeśli to był Liang - pchał się w ślepią uliczkę? Co go tu ściągnęło? Spotkanie z łącznikiem, z pośrednikiem, odbiór przesyłki? Cokolwiek to było, zachowanie Chińczyka świadczyło o tym, że nie dopuszcza on nawet myśli, iż ktoś może go śledzić - i tylko to musiał teraz wiedzieć Webb. Wniosek był oczywisty. Jego ofiara wpadła w panikę, a niespodziewane wydarzenie mogło ją jedynie powiększyć.

Oczy Jasona Bourne'a nie kłamały. To był Liang, ale na pierwsze pytanie wciąż brakowało odpowiedzi. To, co zobaczył teraz Webb, dodatkowo komplikowało sprawę. Spośród tysięcy publicznych telefonów w Koulunie - zainstalowanych zarówno w zatłoczonych pasażach, jak i w opuszczonych kątach ciemnych poczekalni - Liang wybrał automat zamontowany na ścianie biegnącej środkiem estakady. Znalazł się tutaj jak na patelni, na otwartym terenie, w samym środku przejścia, które prowadziło donikąd. To nie miało sensu; nawet zupełny amator ma jakiś instynkt samozachowawczy. Kiedy wpada w panikę, szuka osłony.

Liang sięgnął do kieszeni po drobne. Dawid usłyszał nagle wewnętrzny głos i uświadomił sobie, że nie może dopuścić do tego, żeby tamten zadzwonił. Kiedy trzeba będzie zadzwonić, będzie to musiał zrobić on sam. To należało do jego strategii, to go zbliży do Marie. To on powinien trzymać w ręku wszystkie nitki, nikt inny!

Puścił się biegiem w stronę białej, plastikowej muszli, pod którą zamontowany był automat. Chciał krzyczeć, ale wiedział, że jego głos nie przedrze się przez szum wiatru i rozbijających się ta!. Zastępca dyrektora nakręcał numer; po chwili opuścił rękę - skończył. Gdzieś zadzwonił telefon.

- Liang! - ryknął Webb. - Odejdź od tego telefonu! Jeśli ci życie miłe, odwieś słuchawkę i wynoś się stamtąd!

Chińczyk obrócił się, na jego twarzy malowało się czyste przerażenie.

- Ty! - wrzasnął histerycznie opierając się o osłonę z białego plastiku. - Nie... nie! Nie teraz! Nie tutaj!

Nagle, zagłuszając szum fal, w powietrzu zadudniły strzały. Staccato wybuchów zmieszało się z portowym zgiełkiem. Na estakadzie rozpętało się piekło; ludzie krzycząc i wrzeszcząc padali na ziemię albo uciekali we wszystkie strony ze strachu przed nagłą śmiercią.

ROZDZIAŁ 10

Aiya'. - ryknął Liang dając nurka spod plastikowej osłony. Pociski cięły po ścianie i rozrywały się nad ich głowami, Webb rzucił się ku Chińczykowi, doczołgał się do niego i wyciągnął z futerału myśliwski nóż.

- Nie! Co pan robi? - pisnął Liang, kiedy leżący na boku Dawid złapał go z przodu za koszulę i wbił mu ostrze w podbródek, rozcinając skórę. Pocięła krew.

- Aaaaa! - W piekle, jakie rozpętało się na estakadzie, nikt nie usłyszał histerycznego krzyku.

- Daj mi numer! Już!

- Niech pan mi tego nie robi! Przysięgam, nie wiedziałem*, że to pułapka.

- To nie na mnie zastawili pułapkę, Liang - szepnął łapiąc oddech Webb; po twarzy spływał mu pot. - To na ciebie!

- Na mnie? Pan zwariował! Dlaczego na mnie?

- - Ponieważ wiesz, że tu teraz jestem, widziałeś mnie i rozmawiałeś ze mną. Zadzwoiłeś i już im jesteś niepotrzebny.

- Ale dlaczego?

- Dostałeś numer telefonu. Wykonałeś swoją robotę, a im nie wolno zostawiać za sobą żadnych śladów.

- To nic nie wyjaśnia.

Może wyjaśni to moje nazwisko. Nazywam się Jason Bourne. O. mój Boże...! - wyszeptał Liang. Popatrzył na Dawida mępinymi, szklanymi oczyma. Pobladł na twarzy i rozchylił usta.

- Można do nich dotrzeć tylko przez ciebie - stwierdził Webb. - Jesteś już martwy.

- Nie, nie! - potrząsnął głową Chińczyk. - To niemożliwe. Nie znam nikogo, tylko ten numer! Aparat zamontowany jest w opuszczonym biurze w Centrum „Nowy Świat”, tylko w tym celu. Proszę! Ten numer to trzydzieści cztery, czterysta jeden. Niech pan mnie nie zabija, panie Bourne. Na miłość naszego chrześcijańskiego Boga, niech pan tego nie robi!

- Gdybym choć przez chwilę myślał, że ta pułapka została zastawiona na mnie, miałbyś już dawno poderżnięte gardło, a nie draśnięty podbródek. Trzydzieści cztery, czterysta jeden?

- Tak, dokładnie tak!

Strzały umilkły tak samo nagle i niespodziewanie, jak się rozległy.

- Centrum „Nowy Świat” jest dokładnie nad nami, prawda? Jedno z tych okien, tam wysoko.

- Dokładnie tak! - Liang zadrżał, niezdolny oderwać oczu od twarzy Dawida. Potem zacisnął mocno powieki, aż pociekły mu łzy, i potrząsał gwałtownie głową. - Nigdy pana nie widziałem. Przysięgam na święty krzyż Jezusowy!

- Czasami nie wiem, czy jestem w Hongkongu, czy może raczej w Watykanie.

Webb uniósł głowę i rozejrzał się. Wokół na estakadzie przerażeni ludzie z wahaniem wstawali

z ziemi. Matki obejmowały dzieci, mężczyźni podawali ręce kobietom, wszyscy podnosili się powoli na kolana, na nogi, a potem w popłochu biegli w stronę Łuku Salisbury.

- Kazano ci zatelefonować właśnie stąd, prawda? - spytał nagle Dawid odwracając się do przerażonego hotelarza.

- Tak, sir.

- Dlaczego? Czy podali ci jakiś powód?

- Tak, sir.

- Na miłość boską, otwórz oczy!

- Tak, sir. - Liang wykonał polecenie i od razu uciekł spojrzeniem w bok. - Powiedzieli, że nie mają zaufania do gościa, który poprosił o apartament 690. Że jest człowiekiem, który potrafi każdego zmusić do kłamstwa. Dlatego chcieli mnie mieć na oku, kiedy będę do nich dzwonił... Panie Bourne... nie, nie wymówiłem tego nazwiska! Panie Cruett, cały dzień próbowałem się z panem skontaktować, panie Cruett! Chciałem, żeby pan wiedział, że wywierano na mnie nieustanny nacisk. Ciągłe do mnie dzwonili. Chcieli wiedzieć, kiedy dokładnie do nich zatelefonuję - z tego miejsca. Powtarzałem im, że jeszcze pan nie przyjechał! Co innego mogłem zrobić? Bez przerwy starałem się z panem skontaktować, co świadczy, że chciałem pana ostrzec. To chyba oczywiste, prawda?

- Oczywiste jest tylko to, że jesteś skończonym durniem.

- Nie nadaję się do tej roboty, sir.

- Więc dlaczego się za nią bierzesz?

- Pieniądze, sir! Byłem z Chiangiem, w Kuomintangu. Mam żonę i pięcioro dzieci, dwóch synów i trzy córki. Muszę się stąd wydostać! Oni sprawdzają, jakie kto ma pochodzenie, każdemu przylepiają etykietkę i nie ma od niej odwołania. Jestem wykształconym człowiekiem! Skończyłem uniwersytet w Fudanie, byłem drugi na roku;

miałem swój własny hotel w Szanghaju. Ale to wszystko jest teraz bez znaczenia. Kiedy zaczniesz tu rządzić Pekin, jestem martwy, ja i cała moja rodzina. A teraz pan mi mówi, że jestem martwy już w tej chwili. Co mam robić?

- Pekin nie ruszy kolonii. Oni niczego tutaj nie zmienią - oświadczył Dawid, przypominając sobie, co mu powiedziała Marie tego straszliwego wieczoru, kiedy McAllister wyszedł z ich domu. - Dopóki do władzy nie dojdą szaleńcy.

- Oni wszyscy są szaleni, sir. Niech pan w nic innego nie wierzy. Pan ich nie zna!

- Może i nie znam. Ale poznałem paru z was. I szczerze mówiąc, nie odniosłem najlepszego wrażenia.

- Kto jest wśród was bez grzechu, niechaj pierwszy rzuci kamieniem, sir.

- Kamieniem, ale nie srebrem, którym obłowiłeś się przy Chiangu.

- Sir?

- Jak się nazywają twoje trzy córki? Szybko!

- Nazywają się... nazywają się... Wang... Wang Sho...

- Daj spokój! - krzyknął Dawid patrząc w stronę Łuku Salisbury. -- Ni buski ren! Nie jesteś

człowiekiem, jesteś świnia. Żyj zdrowo, Liang, żołnierzu Kuomintangu. Żyj zdrowo, dopóki ci na to pozwolą. Szczerze mówiąc, mam gdzieś twoje zdrowie.

Wstał, gotów rzucić się z powrotem na ziemię na widok jakiegoś podejrzanego błysku w którymś z okien po lewej stronie. Oczy Jasona Bourne'a były dokładne: za oknami nic się nie działo. Dawid dołączył do spanikowanego tłumy i torując sobie przezeń drogę przedostał się na Salisbury Road.

Zatelefonował z aparatu zainstalowanego w zatłoczonym, hałaśliwym pasażu na tyłach Nathan Road. Do prawego ucha wsadził palec wskazujący, żeby lepiej słyszeć.

- Wei? - odezwał się męski głos.
- Tu Bourne, będę mówił po angielsku. Gdzie jest moja żona?
- Wodę tian a! Powiadają, że potrafisz mówić w naszym języku w kilku dialektach.
- To było dawno temu. Chcę, żebyście mnie dokładnie zrozumieli. Pytałem cię o moją żonę!
- To Liang dał ci ten numer?
- Nie miał wyboru.
- A więc jest już martwy.
- Nie dbam o to, co z nim zrobicie, ale na waszym miejscu chwilę bym się zastanowił, zanim bym go zabił.
- Dlaczego? To tyle, co rozgnieść robaka.
- Wybraliście do tej roboty skończonego głupka, więcej, histeryka. Rozmawiał ze zbyt wieloma ludźmi. Telefonista powiedział mi, że Liang wydzwaniał do mnie bez przerwy co kilka minut...
- Wydzwaniał do ciebie?
- Przyleciałem dziś rano. Gdzie moja żona...
- Liang to kłamca!
- Nie spodziewaliście się, że nie zatrzymam się w tym apartamencie? Kazałem mu, żeby mnie przeniósł do innego pokoju. Widziano, jak rozmawialiśmy ze sobą i kłóciliśmy się. Przyglądało się temu pół tuzina urzędników z recepcji. Zabijając go, narobicie więcej zamieszania, niż komukolwiek z nas jest to potrzebne. Policja zacznie szukać bogatego Amerykanina, który nagle zapadł się pod ziemię.
- Liang narobił w portki - odezwał się Chińczyk. - Może to wystarczy.
- Wystarczy. Teraz, co z moją żoną?
- Słyszę, słyszę. Nie jestem upoważniony do przekazywania tego rodzaju informacji.
- Więc daj mi kogoś, kto jest. Zaraz!
- Spotkasz się z ludźmi, którzy wiedzą więcej.
- Kiedy?
- Odezwiemy się. W którym mieszkasz pokoju?
- Ja się odezwę. Za piętnaście minut.

- Wydajesz mi rozkazy?

- Wiem, gdzie cię znaleźć, za którym siedzisz oknem, w którym gabinecie. Sfuszerowałeś sprawę z tym karabinem. Powinieneś poczernić lufę, to podstawowa zasada. Za trzydzieści sekund będę trzydzieści metrów od twoich drzwi, ale ty nie będziesz wiedział, w którym miejscu, a poza tym nie możesz odejść od telefonu.

- Nie wierzę ci!

- Więc sprawdź! To nie ty mnie teraz obserwujesz, to ja obserwuję ciebie. Masz piętnaście minut. Kiedy zadzwonię ponownie, chcę rozmawiać z moją żoną.

- Nie ma jej tutaj.

- Gdybym choć przez chwilę pomyślał, że tam jest, już dawno byś nie żył, a twoja odrąbana głowa wyfrunęłaby przez okno i dołączyła do innych portowych śmieci. Jeśli sądzisz, że przesadzam, zrób małą sondę. Zapytaj ludzi, którzy mieli ze mną do czynienia. Zapytaj swojego taipana, nie istniejącego Yao Minga.

- Nie mogę sprawić, żeby pojawiła się tutaj twoja żona, Jasonie Bourne! - wrzasnął wystraszony pomagier.

- Daj mi numer, pod który mogę do niej zadzwonić. Albo usłyszę jej głos... w rozmowie ze mną... albo nic z tego nie zostanie. Oprócz twojego bezgłowego trupa z krwawiącą szyją, którą przykrywać będzie czarna chusta. Piętnaście minut!

Dawid odwiesił słuchawkę i otarł pot z twarzy. Udało się. Jego umysł i słowa należały do Jasona Bourne'a. Zanurzył się głęboko w przeszłość - przeszłość, którą niejasno tylko sobie przypominał - i instynktownie wiedział, co robić, co mówić, jakich użyć gróźb. Ktoś musiał go tego nauczyć. Pozory wzięły górę nad rzeczywistością. A może rzeczywistością był ten, który chciał wyjść na zewnątrz i przejąć kontrolę, ten, który przekonywał Dawida Webba, żeby zaufał postaci kryjącej się w jego wnętrzu?

Wyszedł z nieznośnie zatłoczonego pasażu i skręcił w prawo, przedzierając się przez równie gęsty tłum wypełniający chodnik. Złota Mila Tsimshatsui, podobnie jak on, szykowała się do nocnego życia. Teraz wróci do hotelu; zastępca dyrektora jest już zapewne daleko stąd i rezerwuje sobie lot na Tajwan, jeżeli w ogóle w jego histerycznych oświadczeniach było jakieś ziarno prawdy. Webb pojedzie na swoje piętro windą towarową, w razie gdyby ktoś jeszcze oczekiwał go w hotelowym holu, w co zresztą wątpił. Snajper w opuszczonym biurze Centrum „Nowy Świat” nie miał prawa podejmować samodzielnych decyzji; nie był dowódcą, lecz wynajętym mordercą, teraz obawiającym się o własne życie.

Z każdym krokiem oddech Dawida stawał się coraz krótszy, coraz mocniej waliło mu serce. Za dwanaście minut usłyszy głos Marie. O, Boże, jak bardzo chciał ją usłyszeć! Musiał ją usłyszeć! Tylko to się liczyło, tylko to mogło go uchronić przed popadnięciem w szaleństwo.

Twoje piętnaście minut minęło - oświadczył Webb siedząc na skraju łóżka, starając się opanować łomot serca i zastanawiając się, czy słychać jego walenie po drugiej stronie linii. Miał nadzieję, że nie drży mu głos.

- Zadzwon pod numer pięćdziesiąt dwa, sześćset pięćdziesiąt trzy.

- Pięćdziesiąt... - Dawid rozpoznał centralę. - Trzymacie ją w Hongkongu, nie w Koulunie.

- I tak zostanie natychmiast przeniesiona w inne miejsce.

- Zadzwoń do ciebie ponownie, kiedy z nią porozmawiam.

- Nie ma takiej potrzeby, Jasonie Bourne. Pod tamtym numerem znajdziesz ludzi, którzy udzielą ci wszelkich wyjaśnień. Moja robota jest skończona. Nigdy mnie nie widziałeś i nie zobaczysz.

- Nie muszę. Kiedy będziesz wychodzić ze swej kryjówki, ktoś zrobi ci zdjęcie. Nie będziesz wiedział, kto i w którym miejscu cię sfotografuje. Ujrzysz prawdopodobnie mnóstwo ludzi - na korytarzu, w windzie i w holu - ale nie będziesz wiedział, który z nich jest wyposażony w aparat podobny do guzika w męskiej marynarce albo do ozdóbki na damskiej torebce. Życzę ci dobrego samopoczucia, sługusie. I przyjemnych rozważań.

Webb przycisnął widełki aparatu; odczekał trzy sekundy, puścił widełki, a gdy usłyszał sygnał centrali, wystukał numer. Wydawało mu się, że słyszy dzwonek. Chryste, nie był w stanie tego wytrzymać!

- Wei?

- Tu Bourne. Chcę mówić z moją żoną.

- Jak pan sobie życzy.

- Dawid?

- Czy dobrze się czujesz?! - krzyknął Webb czując, że jest bliski hysterii.

- Tak, jestem tylko zmęczona, to wszystko, kochanie. Czy u ciebie wszystko w porządku...

- Czy cię skrzywdzili... czy któryś z nich cię dotknął?

- Nie, Dawidzie, są właściwie całkiem mili. Ale wiesz, jaka czasem bywam zmęczona. Pamiętasz ten tydzień w Zurychu, kiedy chciałeś obejrzeć Fraumunster, zwiedzić muzea i popływać żaglówką po Limmacie, a ja powiedziałam, że po prostu nie jestem w formie?

Nie było żadnego tygodnia w Zurychu. Był tylko trwający jedną noc koszmar, kiedy oboje omal nie stracili życia. On maltretowany przez swoich niedoszłych katów, ona prawie zgwałcona, skazana na śmierć na opuszczonym parkingu przy Guisan Quai. Co takiego starała się mu przekazać?

- Tak, pamiętam.

- Więc nie powinieneś się o mnie martwić, kochanie. Dzięki Bogu, że tam jesteś! Wkrótce będziemy razem, obiecali mi to. Wszystko będzie tak jak w Paryżu, Dawidzie. Pamiętasz Paryż, kiedy myślałam, że cię utraciłam? Wtedy było to straszne, ale teraz takie nie będzie. Przyszedłeś do mnie i oboje wiedzieliśmy, dokąd pójść. Pamiętasz tę uroczą ulicę, wzdłuż której rósł szpaler ciemnozielonych drzew i...

- Wystarczy, pani Webb - przerwał jej męski głos. - Czy może powinienem raczej powiedzieć, pani Bourne - dodał mężczyzna mówiąc wprost do słuchawki.

- Pomyśl, Dawidzie, i bądź ostrożny! - krzyknęła z oddali Marie. - I nie przejmuj się, kochanie! Ta urocza ulica, wzdłuż której rosły zielone drzewa, moje ulubione drzewa...

- Tingzhi! - wrzasnął męski głos, wydając po chińsku rozkazy. - Zabierzcie ją stąd! Ona przekazuje mu informacje! Szybko! Nie pozwólcie jej mówić!

- Jeśli zrobicie jej jakąkolwiek krzywdę, będziecie tego żałować do końca waszego krótkiego

życia - odezwał się lodowatym tonem Webb. - Przysięgam na Chrystusa, że was znajdę.

- Jak dotąd nie było powodu, byśmy traktowali się w nieuprzejmy sposób - odparł powoli mężczyzna; w jego tonie brzmiała szczerłość. - Słyszał pan swoją żonę. Jest dobrze traktowana. Na nic się nie skarży.

- Coś jest z nią nie w porządku. Co takiego, u diabła, jej zrobiliście, o czym nie może mi powiedzieć?

- To tylko napięcie, panie Bourne. A jednak przekazała panu jakąś wiadomość, starając się niewątpliwie opisać w podnieceniu miejsce, w którym się znajduje - całkowicie mylnie, powinienem dodać - a nawet jeśli wiernie, to i tak informacja ta będzie dla pana równie bezużyteczna jak numer telefonu. Pańska żona jest już w drodze do innego apartamentu, jednego z milionów, jakie się znajdują w Hongkongu. Po cóż zresztą mielibyśmy ją krzywdzić? To byłoby sprzeczne z naszymi zamiarami. Chce się z panem spotkać wielki taipan.

- Yao Ming?

- Podobnie jak pan, używa wielu nazwisk. Może się wam uda zawrzeć ugodę.

- Albo się nam uda, albo on umrze. Razem z tobą.

- Wierzę w to, co mówisz, Jasonie Bourne. Zabiłeś kiedyś mojego bliskiego krewnego, który schronił się przed tobą we własnej twierdzy na wyspie Lantau. Jestem pewien, że sobie przypominasz.

- Nie przechowuję żadnych wspomnień. Yao Ming. Kiedy?

- Tej nocy.

- Gdzie?

- Musi pan zrozumieć, że taipana łatwo rozpoznać, więc na spotkanie trzeba wybrać jakieś naprawdę niezwykle miejsce.

- Przypuśćmy, że to ja je wybiorę?

- Propozycja nie do przyjęcia. Proszę nie nalegać. Mamy pańską żonę.

Dawid zastygł; tracił kontrolę, której tak desperacko teraz potrzebował.

- Co to za miejsce? - spytał.

- Miasto za Murami. Sądzymy, że pan je zna.

- Ze słyszenia - sprostował Webb, próbując sobie uprzytomnić, co pamięta. - O ile sobie dobrze przypominam, to najbardziej plugawy zakątek na powierzchni Ziemi.

- A czego innego można się spodziewać? To jedyny w całej kolonii obszar będący legalną własnością Republiki Ludowej. Obmierzły Mao Tse-tung dał nawet naszym policjantom pozwolenie na zaprowadzenie tam porządku. Ale oni nie dostają z rządowej kasy aż tyle pieniędzy. Więc w zasadzie nic się tam nie zmieniło.

- O której godzinie?

- Po zmierzchu, ale jeszcze przed zamknięciem bazaru. Pomiędzy dziewiątą trzydzieści a za kwadrans dziesiątą, nie później.

- Jak znajdę tego Yao Minga, który nie jest Yao Mingiem?

- Przy pierwszym straganie jest kobieta, która sprzedaje wnętrzości węży, przede wszystkim kobry, jako afrodyzjaki. Niech pan podejdzie do niej i zapyta, gdzie jest wielki wąż. Ona panu powie, gdzie skręcić i którymi zejść schodami. Ktoś spotka pana po drodze.

- Mogę się tam nigdy nie dostać. Biały człowiek nie jest tam chętnie widziany.

- Nikt nie zrobi panu nic złego. Niemniej, jeśli wolno mi coś zasugerować, lepiej niech pan się nie ubiera w nic krzykliwego ani nie pokazuje drogiej biżuterii.

- Biżuterii?

- Jeśli ma pan przypadkiem kosztowny zegarek, niech go pan zostawi w domu.

Obetną ci rękę dla zegarka. Meduza. Niech będzie.

- Dziękuję za cenną radę.

- Jeszcze jedno. Niech pan nie próbuje zawiadamiać miejscowych władz ani pańskiego konsulatu. Wtedy pańska żona umrze, a panu i tak nie uda się skompromitować taipana.

- Ta uwaga była niepotrzebna.

- Wobec Jasona Bourne'a żadna uwaga nie jest niepotrzebna. Będzie pan obserwowany.

- Między dziewięcią trzydzieści a dziewięcią czterdzieści pięć - powtórzył Webb odkładając słuchawkę i wstając z łóżka. Podszedł do okna i wyjrzał na port. Co to było? Co starała się mu przekazać Marie?

...wiesz, jaka czasami bywam zmęczona.

Nie, wcale tego nie wiedział. Jego żona była silną, wiejską dziewczyną z Ontario. Nigdy nie słyszał, by narzekała, że jest zmęczona.

...nie powinieneś się o mnie martwić, kochanie.

Głupia prośba, musiała chyba zdawać sobie z tego sprawę. Marie nie marnowałyaby drogiego czasu na głupstwa. Chyba... że mówi od rzeczy?

Nie, nie mówiła wcale od rzeczy, udawała tylko, a w tym udawaniu zawarta była jakaś istotna informacja. Ale jaka? Co to za urocza ulica wysadzana szpalerem ciemnozielonych drzew? Nic mu się nie nasuwało, mimo że wychodził z siebie. Zawiódł ją. Przesyłała mu informację, a on nie potrafił jej odszyfrować.

...Pomyśl, Dawidzie, i bądź ostrożny! ...nie przejmuj się, kochanie. Ta urocza ulica, wzdłuż której rosły zielone drzewa, moje ulubione drzewa...

Co to za urocza ulica? Co to za cholerne drzewa, jej ulubione drzewa? Nie potrafił tego połączyć w sensowną całość, a przecież powinien! Powinien jej odpowiedzieć, a nie gapić się na port, grzebiąc w pustej pamięci. Pomóż mi, pomóż mi! - szeptał cicho sam nie wiedząc do kogo.

Wewnętrzny głos kazał mu się nie zadręczać tym, czego nie był w stanie zrozumieć. Miał do zrobienia wiele rzeczy; nie mógł przecież iść na spotkanie z przeciwnikiem na miejsce przez niego wybrane, nie kryjąc w rękawie jakichś kart, które w odpowiednim momencie wyciągnie. ...Lepiej niech pan się nie ubiera w nic krzykliwego... W żadnym wypadku nie będzie to nic krzykliwego, pomyślał Webb, wprost przeciwnie - postara się ich całkowicie zaskoczyć.

Kiedy podczas długich miesięcy zdierał z siebie kolejne warstwy Jasona Bourne'a, jedna rzecz

powtarzała się bez przerwy. Zmiana, zmiana, zmiana. Bourne był mistrzem, jeśli chodzi o zmianę swojej powierzchowności; nazywali go „kameleonem”, człowiekiem, który z łatwością potrafi wtopić się w każde nowe otoczenie. Nie jak groteskowa postać z komiksu zmieniająca ciągle peruki i kształt nosa, lecz jak ktoś, kto potrafi dostosować najistotniejsze cechy swej powierzchowności do aktualnych okoliczności. To dlatego ci, którzy mieli sposobność przyjrzeć się „zabójcy” - rzadko, co prawda, w pełnym świetle i z bliskiej odległości - podawali tak odmienne rysopisy człowieka ściganego w całej Azji i Europie. Szczegóły zawsze bardzo się różniły: włosy były jasne albo ciemne; oczy piwne, niebieskie albo cętkowane; cera blada, smagła albo krostowata; ubranie dobrze skrojone i stonowane, jeśli rendez-vous odbywało się w słabo oświetlonej, ekskluzywnej kawiarni, albo zmiętoszone i nie dopasowane, jeśli miało miejsce nad wodą lub w zaułkach wielkiego miasta. Zmiana. Bez wysiłku, z minimalnym udziałem charakteryzacji. Dawid Webb mógł ufać tkwiącemu w jego wnętrzu kameleonowi. Swobodne spadanie. Idź tam, dokąd prowadzi Jason Bourne.

Wcześniej, gdy tylko wysiadł z daimiera, przespacerował się do hotelu Peninsula i wynajął tam pokój. Dyplomatkę oddał do hotelowego sejfu. Był dość czujny, by zameldować się pod nazwiskiem, które figurowało w trzecim fałszywym paszporcie Kaktusa. Jeżeli ktoś miał go szukać, to pod nazwiskiem, którego używał w hotelu Regent; tylko tym dysponowali.

Zapakował do torby lotniczej kilka ubrań, które były mu potrzebne, i wyszedł szybkim krokiem z pokoju. Zjechał na dół służbową windą prosto na ulicę. Jeśli ktoś miał go szukać, niech szuka go tam, gdzie go nie ma.

Po wprowadzeniu się do hotelu Peninsula miał czas, żeby coś zjeść i zrobić zakupy w kilku sklepach jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Zanim nastaną ciemności, znajdzie się w Mieście za Murami - przed dziewiątą trzydzieści. Jason Bourne wydawał rozkazy, a Dawid Webb posłusznie je wykonywał.

Miasto za Murami w Koulunie nie jest otoczone żadnym widzialnym murem, ale nazwa jest tak jednoznaczna, jakby rzeczywiście wznosiła się wokół niego wysoka ściana z hartowanej stali. Jej obecność wyczuwa się już na załoczoną, usytuowaną na ulicy targowisku, naprzeciwko którego wznoszą się ciemne, zaniedbane rudery - właściwie szereg bud postawionych na chybił trafił jedna na drugiej - tak że można odnieść wrażenie, iż cała ta nieszczęsna piętrowa konstrukcja załamie się pod własnym ciężarem i pozostanie po niej jedynie kupa gruzu. Tylko przez moment, kiedy schodzi się po kilku schodkach do środka, nieforemna bryła może wydać się całkiem solidna. Poniżej poziomu ulicy, pod kruszącymi się ścianami biegną kręte, wybrukowane kocimi łbami przejścia, w większości po prostu tunele. W wypełnionych nieczystościami korytarzach kalecy żebracy współzawodniczą z na wpół rozebranymi prostytutkami i sprzedawcami narkotyków - wszyscy skąpani w niesamowitym świetle gołych żarówek, sterczących z nie osłoniętych, biegnących wzdłuż kamiennych ścian przewodów. Wszędzie czuć zgniłą wilgoć; to miejsce znajduje się w stanie rozkładu, ale rozkładu spetryfikowanego, utrwalonego dzięki patynie czasu.

Cuchnącymi korytarzami można dotrzeć do pobudowanych to tu, to tam, bez żadnego zamysłu wąskich, słabo oświetlonych schodów i wspiąć się do poustawianych piętrowo bud, wznoszących się na ogół na wysokość trzech kondygnacji, z których tylko dwie znajdują się nad poziomem ulicy. W małych, zrujnowanych pomieszczeniach sprzedaje się najprzeróżniejsze rodzaje seksu i narkotyków. Policji tu nie uświadczysz - za cichym przyzwoleniem wszystkich zainteresowanych stron - bo niezbyt wielu przedstawicielom władz kolonii zależy na tym, by penetrować wnętrza Miasta za Murami.

Na zewnątrz, na zaśmieconej, przeznaczanej tylko dla ruchu pieszego ulicy, na poplamionych

stołach wciśniętych pomiędzy kapiące od brudu stragany, gdzie nad ogromnymi garami unoszą się obłoki pary, piętrzą się stosy kradzionych albo odrzuconych przez kontrolę techniczną towarów. Do wrzącego oleju bez przerwy wrzuca się kawałki mięsa i ryb niewiadomego pochodzenia, po czym wygarnia się je chochlą i wyklada na gazety, żeby natychmiast sprzedać. Tłumy ludzi przesuwają się od jednego kramu do drugiego w słabym świetle ulicznych latarni. Targują się cienkimi głosami, wrzeszczą na siebie, odchodzą i wracają, kupują i sprzedają. Są tam jeszcze ludzie z krawężnika, ubłoceni mężczyźni i kobiety, którzy nie mają własnych kramów ani stolików, i których towar rozłożony jest na chodniku. Siedzą przykucnięci za tanimi świecidełkami i biżuterią, które w większości udało im się ukraść w porcie, i za uplecionymi ze sznurka kłatkami, w których pełzają żuki i trzepocą skrzydłami niewielkie ptaszki.

Blisko wejścia na ten dziwaczny, cuchnący bazar siedziała na niskim drewnianym stołku samotna, muskularna kobieta, obdzierając węże ze skóry i wyjmując z nich wnętrzności. Rozchyliła grube uda, a ciemne oczy utkwiała w patroszonym właśnie gadzie. Po obu jej stronach leżały poskręcane jutowe worki, a w nich wiły się w konwulsjach rozwścieczone niewolą i atakujące się nawzajem nieszczęsne stworzenia. Potężną bosą stopą kobieta przyciskała do ziemi czarną jak smoła, wyprostowaną nieruchomo królewską kobrę. Jej małe, osadzone w płaskiej głowie oczka hipnotyzował widok wciąż przesuwającego się tłumu. Nędzne targowisko stanowiło skuteczną zaporę przed rozciągającym się z tyłu, pozbawionym murów Miastem za Murami.

Po drugiej stronie długiego bazaru wyszedł zza rogu jakiś obdartus i posuwał się zatłoczoną ulicą. Ubrany był w tani, nie dopasowany brązowy garnitur, składający się z wypchanych spodni i zbyt obszernej, a jednocześnie zbyt ciasnej w ramionach marynarki. Jego twarz kryła się w cieniu czarnego, niewątpliwie orientalnego miękkiego kapelusza z szerokim rondem. Ramiona miał pochylone, a chód powolny, jak przystało na uważnego klienta, który zatrzymuje się przed wieloma straganami i skrupulatnie bada towar. Tylko raz sięgnął z wahaniem do kieszeni, by dokonać jakiegoś zakupu. Jego przygarbiona sylwetka świadczyła, że wiele lat przepracował zgięty wpół na polu albo na nabrzeżu i że nigdy nie jadł tyle, ile potrzebowało jego ciało, z którego ciężki mózół wysał prawie wszystkie soki. Tkwił w nim także jakiś smutek, poczucie daremności zrodzone z tego, że osiągnął zbyt mało, zbyt późno i zbyt wielkim kosztem. Tkwiło w nim pogodzenie się z losem i odrzucona duma, bo nie było z czego być dumnym; cena przetrwania okazała się zbyt wysoka. Ów człowiek, ów pochylony mężczyzna, który z ociąganiem kupił zawinięty w gazetę kawałek smażonej ryby niewiadomego pochodzenia przypominał wielu innych mężczyzn przemierzających targowisko - ktoś mógłby rzec, że niczym się od nich nie różnił. Zbliżył się do muskularnej kobiety, która wyjmowała wnętrzności z wciąż wijącego się gada.

- Gdzie jest wielki wąż? - zapytał Jason Bourne po chińsku. Wzrok utkwiał w zastygłej bez ruchu kobrze. Po lewej ręce spływał mu tłuszcz z gazety.

- Wcześniej przyszedłeś - odparła kobieta nie zmieniając wyrazu twarzy. - Jest ciemno, ale przyszedłeś wcześniej.

- Miałem stawić się jak najszybciej. Czy podajesz w wątpliwość rozkazy taipana?

- Jest diablo, diablo tani jak na taipana - rzuciła w gardłowym kantońskim dialekcie. - Zresztą, co mnie to obchodzi. Zejdź tymi schodkami za mną i skręć w pierwszą alejkę w lewo. Piętnaście, dwadzieścia metrów dalej będzie stała kurwa. Czeka na białego człowieka, którego ma zaprowadzić do taipana. Czy jesteś białym człowiekiem? Nie potrafię rozpoznać w tym świetle, ale mówisz dobrze po chińsku. Nie wyglądasz na białego człowieka, biali się tak nie ubierają.

- Gdybyś była na moim miejscu i kazano by ci tutaj przyjść, czy prosiłabyś bogów, by wyglądać

jak biały człowiek i być ubranym jak biały człowiek?

- Do stu tysięcy czartów! Wolałabym wyglądać jak ktoś z Oing-zang Gaoyuan - odparła kobieta, śmiejąc się szeroko i ukazując nieliczne zęby. - Szczególnie jeśli miałabym przy sobie pieniądze. Czy masz przy sobie pieniądze... nasz Zhongguo rerp.

- Pochlebiasz mi, ale nie, nie mam.

- Kłamiesz. Gdy idzie o pieniądze, biali ludzie zawsze oszukują, używając przy tym słodkich słówek.

- No więc dobrze, kłamię. Ufam, że twój wąż nie rzuci się na mnie za karę.

- Głupcze. On jest stary, nie ma zębów, nie ma trucizny. Ale jest boskim wyobrażeniem męskiego organu. Przynosi mi pieniądze. Czy ty także dasz mi pieniądze?

- Tak, za usługę.

- Aiya! Masz ochotę na to stare ciało? W spodniach nosisz chyba niezły topór! Przerznij jakąś kurwę, nie mnie!

- Nie topór, tylko kilka słów - odparł Bourne sięgając prawą ręką do kieszeni spodni. Wyjął studolarowy banknot i umieścił go we wnętrzu dłoni tuż przed twarzą handlarki, tak żeby nie dostrzegli go otaczający ich poszukiwacze taniego zysku.

- Aiya... aiya! - szepnęła kobieta, kiedy cofnął banknot sprzed jej zaciskających się palców; na ziemię między jej grubymi udami zsunął się martwy wąż.

- Płacę za usługę - powtórzył Bourne. - Skoro uznałaś mnie za jednego ze swoich, spodziewam się, że inni pomyślą tak samo. Jeśli ktoś będzie cię wypytywał, masz powiedzieć, że biały człowiek w ogóle się nie pojawił, nic więcej. Czy to uczciwe?

- Uczciwe! Daj pieniądze!

- A usługa?

- Kupiłeś węża! Węża! Nic nie wiem o żadnym białym człowieku. W ogóle się nie pojawił! Proszę. Masz tu swojego węża. Kochaj się! - Kobieta chwyciła banknot, po czym nabrała pełną garść wnętrzości i wrzuciła je do plastikowej torby, ozdobionej podpisem dyktatora mody, Christiana Diora.

Wciąż pochylony Bourne uklonił się szybko dwa razy i zmieszał z tłumem. Bebechy węża wyrzucił przy krawężniku, daleko od ulicznej latarni, żeby nikt nie zauważył. Schodząc powoli po schodkach w wypełnione oparami wnętrzości Miasta za Murami, udał kilka razy, że podnosi do ust ociekający tłuszczem, cuchnący kawałek ryby. Upuścił go w końcu na ziemię spoglądając na zegarek. Była 9.15; na miejsce powinni przybywać ludzie taipana.

Musiał wiedzieć, jak daleko sięgają podjęte przez bankiera środki ostrożności. Chciał, żeby kłamstwo, które wcisnął snajperowi w opuszczonym biurze nad portową estakadą, stało się prawdą. Chciał obserwować, zamiast być obserwowany. Powinien zapamiętać każdą twarz i miejsce każdego z nich w strukturze dowodzenia, wiedzieć, jakimi posługują się środkami łączności, a przede wszystkim odkryć słabe punkty w ochronie taipana. Dawid rozumiał, że sprawę przejmuje teraz w swoje ręce Jason Bourne; w tym, co robił, był wyraźny sens. List od bankiera zaczynał się od słów: Żona za żonę... Trzeba było tam zmienić tylko jedno słowo: Żona za taipana.

Bourne skręcił w zaułek po lewej stronie i przeszedł kilkadziesiąt metrów umyślnie nie zwracając uwagi na to, co widział; nie inaczej zachowałby się stały mieszkaniec Miasta za Murami. Na ciemnej klatce schodowej jakaś kobieta odbywała na klęczkach stosunek z mężczyzną, który trzymał nad jej twarzą pieniądze; chłopak i dziewczyna, najwyraźniej narkomani na głodzie, błagali o coś mężczyzną w drogiej, skórzanej kurtce; przy ścianie sikał mały, palący marihuanę chłopiec; beznogi żebrak sunął z klekotem na swoim wózku, mrucząc bez przerwy bong ngo, bong ngo, prosząc o jałmużnę; na kolejnej pogrążonej w półmroku klatce schodowej elegancko ubrany alfons straszył jedną ze swych dziwek, że uszkodzi jej fizjonomię, jeśli ta nie zacznie przynosić więcej pieniędzy. Dawid Webb zastanawiał się, czy nie znalazł się przypadkiem w Disneylandzie. Jason Bourne badał bacznie okiem zaułek niczym zwiadowca, który znalazł się na tyłach wroga, w strefie walki. 9.24. Żołnierze zajmują swoje posterunki. Bourne-Webb zawrócił i ruszył w drogę powrotną.

Na wyznaczone miejsce szła wynajęta przez bankiera dziwka. Nie dopięta czerwona bluzka ledwo skrywała jej małe piersi, a tradycyjne rozcięcie czarnej, spódnicy sięgało pachwiny. Wyglądała jak karykatura samej siebie. „Biały człowiek” musiał ją rozpoznać. Punkt pierwszy:

akcentuj to, co oczywiste. Coś, co wbija się w pamięć; nie ma czasu na subtelności. Kilka metrów za nią jakiś facet mówił coś do trzymanego w dłoni radiotelefonu, potem wymienił szybkie spojrzenie z dziewczyną, skinął głową i ruszył w stronę schodków. Bourne przystanął, zgarbił się i obrócił do ściany. Usłyszał za sobą kroki: pospieszne, zdecydowane, coraz szybsze. Minął go drugi Chińczyk, niewysoki mężczyzna w średnim wieku, w ciemnym garniturze człowieka interesu, krawacie i wypolerowanych na wysoki połysk butach. Nie był obywatelem Miasta za Murami: na jego twarzy przetrzała się z niesmakiem. Ignorując dziewczynę spojrzął na zegarek i pospieszył dalej. Wyglądał i zachowywał się jak dyrektor, któremu polecono spełnić przykry obowiązek. Skrupulatny i dyspozycyjny pracownik firmy, dbający przede wszystkim o bieżące notowania jej akcji, ponieważ liczby nigdy nie kłamią.

Jason badał nieregularny rozkład klatek schodowych; facet musiał wyjść z którejś z nich. Jego kroki rozległy się nagle w niewielkiej odległości, a sądząc po tempie, w jakim się poruszał, nie dalej niż dwadzieścia metrów od Bourne'a. W grę wchodziła trzecia klatka po lewej albo czwarta po prawej. W jednym z pomieszczeń przy którejś z tych klatek czekał na swego gościa taipan. Bourne musiał odkryć, przy której i na którym piętrze. Taipan powinien być zaskoczony, nawet wstrząśnięty. Musi zrozumieć, z kim ma do czynienia i ile go będzie kosztować to, co przedsięwziął.

Jason ruszył ponownie, udając teraz pijanego przechodnia. Przypomniał sobie starą mandaryńską melodię ludową.

- Mciiii hua chengzhang liu yue - zanucił cicho i odbił się miękko od ściany w chwili, gdy dotarł do prostytutki. - Mam pieniądze - odezwał się niezbyt poprawnie po chińsku. - A ty, piękna kobieto - dodał miłym głosem - masz to, czego ja potrzebuję. Dokąd pójdziemy?

- Nigdzie, pijaczku. Zjeżdżaj stąd.

- Bong ngo! Cheng bong ngo! - zaskrzeczał beznogi żebrak wprawiając w ruch swój klekocący wózek. - Cheng bong ngo! - krzyczał pochylając się ku ścianie.

- Jau! - wrzasnęła kobieta. - Wynoś się stąd, Loo Mi, zanim dostaniesz takiego kopa, że twoje bezużyteczne ścierwo zleci z wózka. Mówiłam ci już, żebyś nie przeszkadzał w interesach!

- Robisz interesy z takim tanim pijaczkiem? Załatwię ci coś lepszego.

- To nie jest mój klient, kochanie. Zawraca mi tylko głowę. Czekam na kogoś innego.

- W takim razie odrąbię mu stopę! - wrzasnął groteskowy żebrak wyciągając spod wózka rzeźnicki tasak.

- Co robisz, u diabła? - ryknął po angielsku Bourne, uderzając go stopą w pierś, tak że beznogi kadłub razem z wózkiem potoczył się aż do przeciwległej ściany.

- Są jeszcze jakieś prawa - zaskrzeczał poszkodowany. - Zaatakowałeś kalekę! Obrabowałeś kalekę!

- Zaskarż mnie - odparł Jason i odwrócił się do kobiety. Żebrak odjechał w głąb zaułka klekocząc swoim wózkiem.

- Mówisz... po angielsku. - Dziwka wlepiała w niego oczy.

- Podobnie jak ty - odrzekł Bourne.

- Mówisz także po chińsku, ale nie jesteś Chińczykiem.

- Może w duchu. Szukałem cię.

- To ty jesteś tym człowiekiem?

- Ja.

- Zabiorę cię do taipana.

- Nie. Powiedz mi tylko, która to klatka schodowa i które piętro.

- Nie takie dostałam instrukcje.

- Są już nowe instrukcje. Wydał je taipan. Czyżbyś je kwestionowała?

- Musi je dostarczyć jego zarządca.

- Mały Zhongguo ren w ciemnym garniturze?

- On nam mówi, co mamy robić. I płaci nam w imieniu taipana.

- Komu jeszcze płaci?

- Sam go zapytaj.

- Taipan chce to wiedzieć. - Bourne sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik złożonych banknotów. - Kazał mi cię dodatkowo wynagrodzić, jeśli mi pomożesz. Podejrzewa, że jego zarządca go oszukuje.

Kobieta cofnęła się do ściany, patrząc na przemian na pieniądze i na twarz Bourne'a.

- Jeśli kłamiesz...

- Dlaczego miałbym kłamać? Taipan chce mnie widzieć, wiesz o tym. Miałaś mnie do niego zaprowadzić. To on kazał mi się tak ubrać, tak zachowywać, znaleźć ciebie i obserwować pilnie jego ludzi. Skąd bym wiedział, że tu czekasz, jeśli nie od niego?

- Od kogoś z bazaru. Miałaś się tam z kimś spotkać.

- Nie byłem tam. Przyszedłem prosto tutaj. - Jason wyjął z pliku kilka banknotów. - Oboje pracujemy dla taipana. Masz. On chce, żebyś to wzięła i poszła stąd, ale nie pokazuj się na ulicy. - Wyciągnął pieniądze.

- Taipan jest bardzo hojny - odparła dziwka sięgając po banknoty.

- Która to klatka schodowa? - zapytał Bourne cofając rękę z pieniędzmi. - Które piętro? Taipan wcześniej tego nie wiedział.

- Tam - odrzekła kobieta wskazując odległą ścianę. - Trzecia klatka, drugie piętro. Teraz pieniądze.

- Komu jeszcze zapłacił zarządca? Szybko.

- Na targowisku jest jeszcze ta dziwka z węzem, stary złodziej, co sprzedaje fałszywe złote łańcuszki z północy, facet przy garach, ten co pichci brudną rybę i mięso.

- To wszyscy?

- Umówiliśmy się. To wszyscy.

- Taipan miał rację, oszukano go. Odwdzięczy ci się. - Bourne rozwinął kolejny banknot. - Ale i ja chcę być uczciwy. Ilu jeszcze ludzi pracuje dla zarządcy oprócz tego faceta z radiotelefonem?

- Jest ich trzech, każdy ma radio - powiedziała dziwka nie odrywając oczu od pieniędzy i wyciągając po nie rękę.

- Masz, weź to i zjeżdżaj. Tędy. Nie wychodź na ulicę. Kobieta złapała banknoty i stukając obcasami pobiegła w głąb zaułka. Jej postać rozplynęła się w półmroku. Bourne patrzył za nią, dopóki nie zniknęła, a potem odwrócił się i szybko ruszył w stronę wyjścia, ku schodkom. Przybrawszy znowu zgarbioną sylwetkę wyszedł na ulicę. Trzech goryli i zarządca. Wiedział, co ma robić, i musiał się z tym szybko uwinąć. Była 9.36. Żona za taipana.

Dostrzegł pierwszego członka ochrony, który wypytywał podniesionym tonem sprzedawcę ryb, dźgając go przy tym palcem w pierś. Zgiełk był tak wielki, że Jason nie słyszał ani słowa. Przekupień wytrwale potrząsał głową. Bourne wybrał potężnego, stojącego nie opodal, nie spodziewającego się niczego mężczyznę, po czym ruszył do przodu popychając go na członka obstawy, a kiedy ten uskoczył, podstawił mu nogę. W krótkiej bijatyce, jaka się wywiązała, Jason odciągnął oszołomionego ochroniarza na bok i wbił mu pięść w gardło. Tamten runął na ziemię. Bourne obrócił go i trzasnął prawą dłońią w kark, tuż nad kręgiem szyjnym. Powlókł nieprzytomnego mężczyznę po chodniku, przepaszając po chińsku tłoczących się ludzi za swego pijanego przyjaciela. Zostawił go przy opuszczonym straganie rozbijając przedtem na kawałki jego radio.

Drugi człowiek taipana nie wymagał aż tak skomplikowanych podchodów. Stał na uboczu i krzyczał głośno do mikrofonu. Bourne zbliżył się do niego w postawie pełnej uniżenia, wyciągając rękę w żebraczym geście. Na pozór nie stanowił żadnego zagrożenia. Goryl machnął nań, żeby się wynosił; był to ostatni ruch, jaki zapamiętał. Bourne złapał go za nadgarstek, wykręcił i złamał mu rękę. Po czternastu sekundach drugi człowiek taipana legł w cieniu sterty śmieci, w którą ciśnięte zostało jego radio.

Trzeci członek ochrony konferował właśnie z „dziwką z węzem”. Ku zadowoleniu Bourne'a ona także, podobnie jak sprzedawca ryb, potrząsała głową; kiedy w grę wchodziły łapówki, w Mieście za Murami obowiązywała szczególnego rodzaju lojalność. Mężczyzna wyciągnął radio, ale nie zdążył już z niego skorzystać. Jason podbiegł do niego, złapał wiekową, bezzębną kobrę i cisnął jej płaski łeb prosto w twarz ochroniarza. Ten wytrzeszczył szeroko oczy i wrzasnął. Takiej właśnie reakcji oczekiwał Bourne. W szyi umiejscowiony jest misterny i łatwy do zablokowania splot cienkich jak szpagat włókien, łączących wszystkie narządy z centralnym układem nerwowym. Bourne szybko go zlokalizował i po raz któryś z rzędu powlókł swą nieprzytomną ofiarę przez tłum gęsto się przy tym tłumacząc. Zostawił ją w mroku, na betonowej płycie. Podniósł do ucha radio; w tym momencie nikt

nie nadawał. Była 9.40. Pozostał mu tylko zarządca.

Nieduży Chińczyk w drogim garniturze i lśniących butach ciągle zadzierał nosa biegając od jednego posterunku do drugiego i szukając swoich ludzi, wystrzegając się przy tym najmniejszego fizycznego kontaktu z hordami oblegającymi stragany i stoły. Przy tak niskim wzroście niełatwo było mu cokolwiek dostrzec. Bourne zaobserwował, w którym kierunku zmierza Chińczyk, wyprzedził go, a potem nagle się odwrócił i zadał mu potężny cios pięścią w brzuch. Kiedy Chińczyk zwijał się wóół, Jason złapał go lewą ręką w pasie. Doprowadził słaniającego się na nogach do krawężnika, przy którym siedziało dwóch oprychów kiwając się i podając sobie z rąk do rąk butelkę. Bourne dzielił zarządcę przez kark ciosem Wushu i posadził między jego nowymi kumplami. Pijacy, chociaż odurzeni, z pewnością zadbają o to, by ich nowy towarzysz pozostał nieprzytomny przez odpowiednio długi czas. Mieli bowiem do przetrząśnięcia liczne kieszenie, musieli też uwolnić go z ubrania i butów. Wszystko można sprzedać, a znaleziona gotówka będzie dodatkową premią za ich starania. 9.43.

Bourne już się nie garbił, kameleon gdzieś się ulotnił. Przedarł się przez zalewający ulicę tłum i zbiegł po schodkach do zaułka. Dokonał tego! Pokonał gwardię pretorianów. Żona za taipana! Dotarł do klatki schodowej - trzeciej po prawej stronie - i wyciągnął znakomitą broń, którą nabył od handlarza w Mongkoku. Tak cicho, jak tylko potrafił, sprawdzając stopień po stopniu, wspiął się na drugie piętro. Stanąwszy pod drzwiami zmobilizował się, odpowiednio ustawił, po czym uniósł lewą nogę i roztrzaskał kopnięciem cienkie drewno.

Drzwi otworzyły się na oścież. Bourne wskoczył do środka i przykucnął, trzymając broń w wyciągniętej ręce.

Miał przed sobą trzech mężczyzn ustawionych w półkolu. Każdy z nich trzymał wycelowany w jego głowę pistolet. Za nimi siedział na krześle olbrzymi Chińczyk, odziany w biały, jedwabny garnitur. Grubas skinął na swoich strażników.

A więc przegrał. Bourne pomylił się w obliczeniach i Dawid Webb umrze. O wiele bardziej bolała go jednak świadomość, że wkrótce po nim zginie Marie. Niech strzelają, pomyślał Dawid. Niech pociągną za spust, niech wyświadczą mu tę łaskę i przyniosą wyzwolenie. Zniszczył tę jedną jedyną rzecz, która liczyła się w jego życiu.

- Niech was wszyscy diabli, strzelajcie! Strzelajcie!

ROZDZIAŁ 11

Witamy, panie Bourne - odezwał się grubas w białym, jedwabnym garniturze, dając znak gorylom, żeby się odsunęli. - Chyba zgodzi się pan ze mną, że rozsądniej będzie odłożyć pistolet na podłogę i podsunąć go w naszą stronę. Naprawdę, nie ma żadnej innej alternatywy, wie pan o tym.

Webb przyjrzał się trzem Chińczykom; ten w środku odbezpieczył broń. Dawid schylił się, położył pistolet na podłodze i pchnął go do przodu.

- Spodziewaliście się mnie, prawda? - spytał cicho i wyprostował się. Strażnik po prawej stronie podniósł pistolet z podłogi.

- Nie wiedzieliśmy, czego mamy się spodziewać... z wyjątkiem niespodziewanego. Jak pan tego dokonał? Czy moi ludzie nie żyją?

- Są pokiereszowani i nieprzytomni, ale żyją.

- Znakomicie. Sądził pan, że siedzę tutaj sam?

- Powiedziano mi, że przyjechał pan ze swoim zarządcą i trzema innymi ludźmi, nie z sześcioro. Pomyślałem, że to logiczne. Większa obstawa rzuciłaby się w oczy.

- Dlatego właśnie ci ludzie przyszedli tutaj wcześniej, żeby wszystko przygotować i już nie opuszczali tej dziury. A więc myślał pan, że zdoła mnie ująć i wymienić na swoją żonę.

- Ona nie ma z tą przeklętą sprawą nic wspólnego, to oczywiste. Wypuście ją, przecież nie może wam zrobić nic złego. Zabijcie mnie, ale jej pozwólcie odejść.

- Pigu! - warknął bankier, rozkazując dwóm ze swych goryli wyjść z pokoju; pochyłili głowy w ukłonie i szybko się ulotnili. - Ten zostanie - mówił dalej Chińczyk, zwracając się do Webba. - Niezależnie od faktu, że darzy mnie bezgraniczną lojalnością, nie rozumie on i nie potrafi wymówić ani jednego słowa po angielsku.

- Widzę, że ufa pan swoim ludziom.

- Nie ufam nikomu. - Finansista wskazał Dawidowi rozlatujące się krzesło po drugiej stronie obdrapanego pokoju, błyskając przy tym złotym, wysadzonym brylantami rolexem na nadgarstku. Zegarkowi w niczym nie ustępowały inkrustowane złote spinki, które Chińczyk miał przy mankietach koszuli. - Niech pan siada - rozkazał. - Poczyniłem olbrzymie starania i wydałem mnóstwo pieniędzy, żeby doprowadzić do naszego spotkania.

- Pański zarządca... zakładam, że to był pański zarządca - odezwał się mimochodem Bourne, przemierzając pokój i przyglądając się wszystkiemu dokładnie - uprzedził mnie, że bym idąc tutaj nie wkładał drogiego zegarka. Widzę, że pan nie korzysta z jego rad.

- Przyszedłem tutaj w poplamionym, brudnym kaftanie o rękawach wystarczająco długich, by zakryć to, co trzeba. Patrząc na pański przydziewek, jestem pewien, że Kameleon wie, o co chodzi.

- To pan jest Yao Ming. - Webb usiadł.

- To nazwisko, którego używam, pan to z pewnością rozumie. Kameleon zmienia kształt i barwę.

- Nie zabiłem pańskiej żony ani mężczyzny, który jej towarzyszył.

- Wiem o tym, panie Webb...

- Co?! - Dawid zerwał się z krzesła. Strażnik zrobił krok do przodu biorąc go na muszkę.

- Niech pan siada - powtórzył bankier. - I proszę nie wyprowadzać z równowagi mego oddanego przyjaciela, bo możemy tego obaj żałować, pan w znacznie większym stopniu niż ja.

- Pan wiedział, że to nie ja, a jednak pan nam to zrobił.

- Niech pan siada, szybko.

- Żądam odpowiedzi! - powiedział Webb siadając.

- Ponieważ jest pan prawdziwym Jasonem Bourne'em. To dlatego pan się tu znalazł, a pańska żona pozostaje pod moją opieką i pozostanie, póki nie wykona pan tego, o co pana poproszę.

- Rozmawiałem z nią.

- Wiem. Pozwoliłem na to.

- Była jakaś zmieniona, nawet biorąc pod uwagę okoliczności. Jest silna, silniejsza, niż ja byłem podczas tych parszywych tygodni w Szwajcarii i Paryżu. Coś jest z nią nie w porządku. Czy daliście jej narkotyki?

- Na pewno nie.

- Odniosła jakieś rany?

- Być może w sensie duchowym, ale w żadnym innym. Niemniej odniesie rany i zginie, jeśli pan mi odmówi. Czy można się wyrazić jaśniej?

- Jesteś martwy, taipanie.

- Teraz przemawia prawdziwy Jason Bourne. Znakomicie. Tego właśnie potrzebuję.

- Niech pan powie, o co chodzi.

- Prześladowuje mnie ktoś o pańskim nazwisku - zaczął taipan twardym głosem, który podnosił się w miarę mówienia. - O wiele bardziej dotkliwie - niechaj przebaczą mi bogowie - aniżeli zadając śmierć mojej młodej żonie. Ze wszystkich stron, na wszystkich obszarach atakuje mnie ten terrorysta, ten nowy Jason Bourne. Uśmierca moich ludzi, wysadza w powietrze dostawy wartościowych towarów, grozi innym taipanom śmiercią, jeśli będą prowadzili ze mną interesy! Swoją hojną zapłatę dostaje od moich wrogów: stąd, z Hongkongu i Makau, a także z terenów położonych po drugiej stronie Deep Bay, z samych północnych prowincji!

- Ma pan wielu wrogów.

- Prowadzę rozległe interesy.

- Podobnie, zdaje się, jak ów człowiek, którego nie zabiłem w Makau.

- Zabrzmi to może dziwnie - oświadczył bankier dysząc ciężko i ściskając poręcz fotela, żeby nad sobą zapanować - ale on i ja nie byliśmy wcale wrogami. Na pewnych obszarach nasze interesy pokrywały się. W ten sposób poznał moją żonę.

- Bardzo wygodne. To się nazywa dzielone wspólnie aktywa.

- Pan mnie obraża.

- To nie są zasady, do których ja się stosuję- odparł Bourne mierząc Chińczyka chłodnym spojrzeniem. - Do rzeczy. Moja żona żyje i chcę ją mieć z powrotem, całą i zdrową. I niech nikt nie podnosi na nią głosu. Jeśli zostanie w jakiś sposób skrzywdzona, pan razem z pańskimi Zhongguo ren nie będziecie dla mnie żadnymi przeciwnikami.

- W pańskim obecnym położeniu groźby są nie na miejscu, panie Webb.

- W położeniu Webba - przyznał najbardziej niegdyś poszukiwany zabójca w Azji i Europie. - Ale nie Bourne'a.

Człowiek Wschodu spojrział twardo na Jasona i kiwnął dwa razy głową. Jego oczy uciekły w końcu przed wzrokiem Webba.

- Pańska bezczelność dorównuje pańskiej arogancji. Do rzeczy. To bardzo proste, proste i jasne. - Taipan zacisnął nagle prawą dłoń w pięść, uniósł ją i walnął w wąż poręcz rozlatującego się fotela. - Chcę mieć dowód przeciwko moim wrogom! - krzyknął. Spomiędzy nabrzmiałych mięśni twarzy niczym zza nieprzeniknionej ściany wyzierały wściekłe oczka. - Mogę go zdobyć tylko wtedy, gdy przywlecze mi pan tego zbyt wiarygodnego oszusta, który zajął pana miejsce! Chcę, żeby spojrzął mi prosto w oczy, żeby patrzył na mnie, kiedy będzie wyciekało z niego życie, patrzył, dopóki nie powie mi wszystkiego, co muszę wiedzieć. Niech mi go pan przyprowadzi, Jasonie Bourne! - Bankier odetchnął głęboko. - Wtedy i tylko wtedy - dodał cicho - połączy się pan ponownie ze swoją żoną.

Webb przyglądał się taipanowi w milczeniu.

- Na jakiej podstawie pan sądzi, że zdołam to zrobić? - zapytał w końcu.

- Któż dostanie w swoje ręce oszusta, jeśli nie ten, pod którego tamten się podszył?

- To tylko słowa - odparł Webb. - Bez znaczenia.

- On pana przestudiował. Przeanalizował pańskie metody, pańską technikę. Nie potrafiłby tak dobrze pana udawać, gdyby tego nie zrobił. Niech pan go odnajdzie! Niech pan go złapie w pułapkę używając metod, które sam pan stworzył!

- Tak po prostu?

- Pomogę panu. Podam kilka nazwisk i rysopisów ludzi, którzy, jestem o tym przekonany, współpracują z tym nowym mordercą używającym starego nazwiska.

- W Makau?

- Nigdy! Tylko nie Makau! Nie wolno ani słowem wspominać o incydencie w hotelu Lisboa. Ta sprawa jest zamknięta, skończona; nic pan o niej nie wie. Moja osoba nie może być w żaden sposób powiązana z pańską działalnością. Nie ma pan ze mną nic wspólnego. Poluje pan po prostu na człowieka, który się pod pana podszywa. Chroni pan wyłącznie swoje własne interesy. W tych okolicznościach rzecz absolutnie naturalna.

- Sądziłem, że potrzebuje pan dowodu...

- Będę go miał, kiedy przyprowadzi mi pan tego oszusta! - krzyknął taipan.

- Jeśli nie z Makau, to skąd?

- Stąd, z Koulunu. Z Tsimshalsui. Na zapleczu kabaretu zamordowano pięć osób, wśród nich bankiera, taipana takiego jak ja, od czasu do czasu mojego współnika, nie mniej wpływowego ode

mnie. Tożsamości trzech zabitych w ogóle nie ujawniono; taka była najwyraźniej decyzja rządu. Nigdy się nie dowiedziałem, kim byli.

- Ale wie pan, kim był piąty - stwierdził Bourne.

- Pracował dla mnie. Zastępował mnie na tym spotkaniu. Gdybym zjawił się tam osobiście, pański imiennik zamordowałby także mnie. Tam właśnie pan zaczął, w Koulunie, w Tsimshatsui. Podam panu dwa znane nazwiska zabitych i informacje na temat ich wrogów, którzy są teraz moimi wrogami. Niech pan się spieszy. Niech pan odnajdzie i przyprowadzi do mnie człowieka, który zabija w pańskim imieniu. I jeszcze ostatnie ostrzeżenie, panie Bourne. Jeśli będzie pan próbował odkryć, kim jestem, rozkaz będzie szybki, a egzekucja jeszcze szybsza. Pańska żona umrze.

- Wtedy pan także umrze. Niech pan mi da te nazwiska.

- Są na tej kartce - odparł człowiek, który używał nazwiska Yao Ming. Sięgnął do kieszeni swej białej jedwabnej kamizelki. - Napisała je na maszynie zawodowa maszynistka w Mandarynie. Szukanie tej konkretnej maszyny jest bezcelowe.

- Strata czasu - powiedział Bourne biorąc do ręki kartkę. - W Hongkongu musi być co najmniej dwadzieścia milionów maszyn do pisania.

- Ale nie aż tylu taipanów mojego wzrostu i tuszy, he?

- To właśnie zapamiętam.

- Jestem tego pewien.

- Jak do pana dotrzeć?

- Nie będzie takiej potrzeby. Nigdy. To spotkanie nigdy nie miało miejsca.

- Więc dlaczego się w ogóle odbyło? Dlaczego zdarzyło się to wszystko, co się zdarzyło? A jeśli, powiedzmy, uda mi się odnaleźć i porwać tego kretyna, który nazywa siebie Bourne'em - a jest to cholernie wielkie jeśli - co mam z nim wtedy zrobić? Zostawić go przy schodkach tutaj, na granicy Miasta za Murami?

- To byłby wspaniały pomysł. I nafaszerować go narkotykami. Nikt nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi, przetrząsnęliby mu tylko kieszenie.

- Ja bym zwrócił. I to cholernie dużą uwagę. Coś za coś, taipanie. Chcę żelaznych gwarancji. Chcę mieć z powrotem moją żonę.

- A co uznałby pan za taką gwarancję?

- Najpierw chcę usłyszeć w telefonie jej głos, przekonać się, że nic jej się nie stało. Potem chcę ją widzieć spacerującą, powiedzmy, po ulicy, o własnych siłach, bez obstawy.

- To mówi Jason Bourne?

- Tak.

- Świetnie. Produkujemy tutaj w Hongkongu najbardziej nowoczesny sprzęt, proszę zapytać kogoś, kto zajmuje się elektroniką w pańskim kraju. Na dole tej kartki zapisany jest numer telefonu. Kiedy oszust znajdzie się w pańskich rękach - ale tylko i wyłącznie wtedy - nakręci pan ten numer i powie kilka razy „dama z węzłem”...

- „Meduza” - szepnął przerywając mu Jason. - Siły powietrzne. Taipan uniósł brwi, nie

podejmując wątku.

- Miałem naturalnie na myśli kobietę z bazaru - dodał.

- No pewnie. Niech pan mówi dalej.

- Jak już powiedziałem, musi pan powtarzać te słowa kilka razy, aż usłyszysz pan w słuchawce trzaski.

- Urządzenie będzie wybierać kolejny numer albo numery - przerwał mu znowu Bourne.

- To ma coś wspólnego z brzmieniem wypowiedzianych przez pana wyrazów. Twarda spółgłoska, po której następuje szeroka samogłoska i szczelinowe „ż”. Przyzna pan, że to genialne?

- Nazywa się to odbiór zaprogramowany audytywnie. Urządzenie aktywizuje się na ściśle określony dźwięk.

- Skoro nie wywarło to na panu większego wrażenia, proszę pozwolić mi wyraźnie określić warunki, w jakich może się odbyć ta telefoniczna rozmowa. Mam nadzieję, że to potraktuje pan poważnie.

Dla dobra pańskiej żony. Wolno panu zatelefonować dopiero wtedy, kiedy gotów pan będzie dostarczyć oszusta w ciągu kilkunastu minut. Jeśli pan albo ktokolwiek inny nakręci ten numer i wypowie słowa szyfru nie dając powyższej gwarancji, będę wiedział, że mnie namierzacie. W takim wypadku pańska żona zginie. Martwe, zdeformowane ciało białej kobiety wrzucone zostanie do morza daleko za wyspami. Czy wyrażam się jasno?

Bourne przełknął ślinę czując, jak mimo chorobliwego strachu ogarnia go wściekłość.

- Przyjmuję pańskie warunki. A teraz niech pan wysłucha moich. Kiedy nakręcę ten numer, chcę rozmawiać z moją żoną, i to natychmiast, w ciągu kilkunastu sekund, nie minut. Jeżeli warunek ten nie zostanie spełniony, to ten, kto podniesie słuchawkę, usłyszysz strzał z pistoletu. Będzie pan wtedy wiedział, że pańskiemu zabójcy, nagrodzie, której się pan spodziewa, właśnie odstrzelono głowę. Daję panu trzydzieści sekund.

- Pańskie warunki są przyjęte i zostaną spełnione. Uważam naszą rozmowę za zakończoną, Jasonie Bourne.

- Chcę dostać z powrotem moją broń. Ma ją jeden z pańskich goryli, ten, który wyszedł.

- Odbierze ją pan przy wyjściu.

- Mam mu tak po prostu kazać mi ją zwrócić?

- To zbyteczne. Otrzymał polecenie, że ma ją panu oddać, jeśli wyjdzie pan stąd żywy. Trup nie potrzebuje pistoletu.

To, co pozostało z majestatycznych rezydencji Hongkongu, pamiętających ekstrawaganckie, kolonialne czasy, odnaleźć można na wznoszących się ponad miastem wzgórzach, na obszarze znanym jako Victoria Peak. Tak się nazywa najwyższe wzniesienie wyspy, królujące nad całym terytorium. Wysadzone różami alejki biegną tu poprzez urocze ogrody, pomiędzy altankami i werandami, z których moźni tego świata obserwują wspaniały, rozciągający się u ich stóp port i majaczące na skraju horyzontu wyspy. Rezydencje położone w najlepszych punktach widokowych są, w nieco mniejszej skali, replikami wielkich hacjend Jamajki. Nieregularne w kształcie, o wysokich sufitach, składają się z usytuowanych względem siebie pod dziwnymi kątami segmentów, tak aby jak

najlepiej wykorzystać chłodne bryzy podczas długiego i męczącego lata. Wszystkie szyby zamocowane są w rzeźbionych, polerowanych framugach, wystarczająco mocnych, by wytrzymać pod naporem wiejących tu zimą wiatrów i siekącego deszczu. Te małe pałace łączą w sobie wytrzymałość i wygodę, a ich zewnętrzny kształt uzależniony jest przede wszystkim od klimatu.

Jedna z tych rezydencji wyraźnie różniła się jednak od pozostałych. Nie tyle rozmiarem, solidnością czy elegancją, ani pięknem ogrodu, który zajmował nieco większy obszar niż inne położone w sąsiedztwie ogrody, ani też imponującą bramą wjazdową czy wysokością kamiennego muru otaczającego posiadłość. Wrażenie odmienności brało się między innymi z poczucia osobliwej izolacji, zwłaszcza nocą, kiedy w licznych pokojach paliło się tylko kilka świateł i żadne dźwięki nie dochodziły zza okien ani z ogrodu. Zdawało się, że dom jest prawie nie zamieszkały, a już na pewno nie sposób było w nim dostrzec śladu frywolności. Jednakże tym, co zdecydowanie odróżniało go od innych, była obecność mężczyzn pełniących wartę przy bramie, a także widocznych z ulicy kilku innych, podobnych do nich ludzi, którzy patrolowali teren za ogrodzeniem. Byli uzbrojeni i ubrani w polowe mundury amerykańskich marines.

Całą tę posiadłość wynajął konsul Stanów Zjednoczonych na zlecenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Na wszelkie ewentualne pytania pracownicy konsulatu mieli tylko jedną odpowiedź, a mianowicie, że w przyszłym miesiącu, w różnych, nie ustalonych jeszcze terminach mają przylecieć do kolonii liczni przedstawiciele amerykańskiego rządu i biznesu i że wynajmując dom najłatwiej będzie im zapewnić zakwaterowanie oraz pełne bezpieczeństwo. Tyle tylko wiedział konsul. Wybrani pracownicy brytyjskiego Wydziału Specjalnego MI 6, których współpraca okazała się konieczna i została uzgodniona z Londynem, uzyskali dostęp do nieco dokładniejszych informacji. Były jednak one ograniczone, także za zgodą Londynu, do niezbędnego minimum. Czołowi przedstawiciele obu rządów, wliczając w to najbliższych doradców prezydenta USA i premiera Wielkiej Brytanii, doszli do tego samego wniosku: jakakolwiek niedyskrecja dotycząca prawdziwego przeznaczenia posiadłości na Victoria Peak, stanowi poważne zagrożenie dla Dalekiego Wschodu i całego świata. Był to dobrze chroniony dom, kwatery główna tajnej operacji, do tego stopnia poufnej, że nawet prezydent i premier znali tylko jej cele, ale nie orientowali się w szczegółach.

Do bramy podjechał niewielki czterodrzwiowy samochód. Natychmiast zabłyśły potężne reflektory. Oślepiony kierowca zasłonił oczy ramieniem. Dwóch marines z wyciągniętą bronią zbliżyło się z obu stron do samochodu.

- Powinniście się już nauczyć rozpoznawać to auto, chłopaki - odezwał się potężny Chińczyk w białej jedwabnej marynarce, zezując przez otwartą szybę.

- Znamy ten samochód, majorze Lin - odparł kapral po lewej. - Musimy tylko się upewnić, kto siedzi za kierownicą.

- Któż mógłby się pode mnie podszyć? - zażartował olbrzymi major.

- Chyba tylko Człowiek-Góra, sir - powiedział szeregowiec piechoty morskiej po prawej.

- A tak, przypominam sobie. Amerykański zapaśnik.

- Opowiadał mi o nim mój dziadek.

- Dzięki, mój synu. Mógłbyś przynajmniej powiedzieć, że ojciec. Wolno mi jechać dalej, czy jestem zatrzymany?

- Zgasimy tylko światła i otworzymy bramę - oznajmił pierwszy żołnierz. - A przy okazji, majorze, dziękuję za polecenie mi tej restauracji w Wanchai. To knajpa z klasą i człowiek nie spłucze

się tam do suchej nitki.

- Nie znalazłeś tam jednak Suzie Wong.

- Kogo, sir?

- Nieważne. Otwórzcie, jeśli można, bramę, chłopaki. W środku domu, w przerobionej na gabinet biblioteki siedział za biurkiem podsekretarz stanu Edward Newington McAllister, studiując w świetle lampy akta i robiąc znaczki na marginesach obok poszczególnych akapitów i linijek. Zajęty był bez reszty tym, co robił. Zabrzęczał interkom i dyplomata musiał podnieść oczy i sięgnąć do telefonu.

- Tak? - Słuchał przez chwilę. - Wprowadźcie go, oczywiście - odparł. Odłożył słuchawkę i powrócił z ołówkiem w rękę do leżącego przed nim dossier. U góry każdej kartki, którą czytał, powtarzały się te same słowa: Supertajne. ChRL. Sprawy wewnętrzne. Sheng Chouyang.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł olbrzymiej postury major Lin Wenzu z brytyjskiego wywiadu, a ściślej z Wydziału Specjalnego MI 6 w Hongkongu. Zamknął za sobą drzwi i uśmiechnął się na widok zaabsorbowanego pracą McAllistera.

- Wciąż to samo, prawda, Edwardzie? Gdzieś pomiędzy wierszami tkwi ukryty wzór, ślad, którym trzeba podążać.

- Chciałbym go odnaleźć - odparł podsekretarz stanu wczytując się gorączkowo w tekst.

- Odnajdziesz, przyjacielu. Cokolwiek to jest.

- Zaraz się tobą zajmę.

- Nie spiesz się - powiedział major zdejmując złotego rolexa i spinki do mankietów i kładąc wszystko na biurku. - Jaka szkoda, że trzeba je zwrócić - oznajmił cicho. - Dodają mi zdecydowanie prezencji. Za garnitur będziesz musiał jednak zapłacić, Edwardzie. Nie jest mi koniecznie potrzebny, ale jak na kogoś mojego wzrostu nie był wcale taki drogi, nawet biorąc pod uwagę miejscowe ceny.

- Tak, oczywiście - zgodził się zaprzątnięty czym innym podsekretarz.

Major Lin usadowił się w stojącym przed biurkiem czarnym skórzanym fotelu i przez prawie minutę nie odzywał się. Było oczywiste, że nie potrafi zachować milczenia ani chwili dłużej.

- Czy jest coś, w czym mógłbym ci pomóc, Edwardzie? Albo konkretniej, coś związanego z bieżącą operacją? Coś, o czym mógłbyś mi powiedzieć?

- Obawiam się, że nie ma nic takiego, Lin. Absolutnie nic.

- Będziecie musieli nam powiedzieć wcześniej czy później. Będą musieli nam powiedzieć nasi zwierzchnicy w Londynie. „Róbcie wszystko, o co poprosi”, powtarzają. „Zapisujcie każdą rozmowę i każde polecenie, ale wypełniajcie wszystkie jego rozkazy i starajcie się mu doradzać”. Doradzać? Jak dotąd niczego nie mieliśmy okazji doradzić. Organizujemy tylko akcje. Człowiek w opuszczonym biurze wystrzelił sześć pocisków do wody, cztery w ścianę przy portowej estakadzie. Pozostałe były ślepe. Nikt, dzięki Bogu, nie dostał zawału serca. Zainscenizowaliśmy wszystko tak, jak chciałeś. To jeszcze możemy zrozumieć...

- Domyślałam się, że wszystko poszło świetnie.

- Jeśli przez „świetnie” rozumiesz potworne zamieszanie, to tak.

- To właśnie miałem na myśli. - McAllister oparł się na krzesło, masując sobie skronie smukłymi palcami prawej dłoni.

- Pierwsza runda wygrana, przyjacielu. Prawdziwy Jason Bourne dał się przekonać i wykonał swój ruch. Nawiasem mówiąc, będziesz musiał zapłacić za hospitalizację jednego człowieka ze złamaną ręką i dwóch innych, którzy znajdują się nadal w szoku i skarżą na potworny ból w szyi. Czwarty czuje się zbyt zakłopotany, żeby cokolwiek mówić.

- Bourne jest świetny w tym, co robi... w tym, co zrobił.

- To morderca, Edwardzie.

- Domyślam się, że sobie z nim poradziłeś.

- Bojąc się, że za chwilę wysadzi tę śmierdzącą dziurę w powietrze! Byłem przerażony. Ten człowiek to maniak. Nawiasem mówiąc, dlaczego ma unikać Makau? To dziwaczny zakaz.

- Niczego tam nie wskóra. Zabójstwa miały miejsce tutaj. Klienci fałszywego Bourne'a znajdują się z całą pewnością tutaj, nie w Makau.

- To żadna odpowiedź, jak zwykle.

- Ujmijmy to inaczej - tyle tylko mogę ci powiedzieć. Właściwie i tak o tym wiesz, skoro odegrałeś dziś w nocy swoją rolę. Zmyślona opowieść o młodej żonie naszego mitycznego taipana zamordowanej w Makau razem ze swoim kochankiem. Co o tym sądzisz?

- Genialny pomysł - odparł Lin, ściągając brwi. - Niewiele aktów zemsty spotyka się z takim zrozumieniem, jak te wynikające z zasady „oko za oko”. W jakimś sensie to podstawa naszej strategii. Z tego, co wiem.

- Co, twoim zdaniem, zrobi Webb, jeśli dowie się, że to kłamstwo?

- Nie dowie się. Wyjaśniłeś mu chyba, że zabójstwa zostały starannie zatuszowane.

- Nie doceniasz go. Kiedy znajdzie się w Makau, przewróci każdy śmieć, żeby się dowiedzieć, kim jest ten taipan. Będzie wypytywał każdego posłańca, każdą pokojówkę - zastraszy albo przekupi tuzin pracowników hotelu Lisboa i większość tamtejszej policji, dopóki nie dowie się prawdy.

- Ale my mamy jego żonę i to nie jest już kłamstwo. Będzie się zachowywał jak należy.

- Tak, ale w innym wymiarze. Cokolwiek teraz myśli - aż pewnością ma jakieś podejrzenia - niczego nie wie na pewno. Jeśli jednak powęszy w Makau i dowie się prawdy, będzie miał dowód, że oszukuje go jego własny rząd.

- A to dlaczego?

- Ponieważ zmyśloną historię opowiedział mu wyższy urzędnik departamentu stanu, dokładniej mówiąc ja. A jeśli spojrzeć na całą sprawę z jego punktu widzenia, już raz został zdradzony.

- Tyle wiemy.

- Chcę, żeby na przejściu granicznym do Makau dyżurował przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nasz człowiek. Wynajmij ludzi, którym ufasz, i daj im fotografie, ale żadnych informacji. Obiecay premię dla każdego, kto go zobaczy i zatelefonuje do ciebie.

- Możemy to zrobić, ale on nie zaryzykuje. Uwierzył, że mu się to nie opłaca. Jeden donosiciel w hotelu albo na posterunku policji i jego żona zginie. Nie będzie kusił losu.

- My też nie podejmiemy ryzyka, mimo że jest niewielkie. Jeśli odkryje, że znów chcemy się nim posłużyć, że znów został zdradzony, może przestać się kontrolować: może popełnić czyny i opowiadać rzeczy o nieobliczalnych dla nas wszystkich konsekwencjach. Jeśli przedostanie się do Makau, to, szczerze mówiąc, może stać się dla nas straszliwym obciążeniem, a nie, jak myśleliśmy, kartą atutową, którą w odpowiedniej chwili wyciągniemy z rękawa.

- Likwidacja? - zapytał po prostu major.

- Nie ująłbym tego w ten sposób.

- Nie sądzę, żebyś musiał. Byłem bardzo przekonujący. Waliłem pięścią w poręcz i podnosiłem głos. „Pańska żona umrze!”, wrzeszczałem. Uwierzył mi. Powinienem uczyć się w szkole operowej.

- Dobrze się spisałeś.

- Przedstawienie było godne Akima Tamiroffa.

- Kogo?

- Błagam cię. Przeszedłem już przez to przy bramie.

- Słucham?

- Nieważne. Mówili mi w Cambridge, że spotkam ludzi podobnych do ciebie. Miałem profesora historii orientalnej, który twierdził, że wy nigdy się nie zmienicie, żaden z was. Będziecie z uporem trzymać wszystko w sekrecie, ponieważ Zhongguo ren należą do niższej rasy, nie są w stanie zrozumieć. Czy o to tutaj chodzi, yangguizi?

- Dobry Boże, nie.

- Więc co my w takim razie wyprawiamy? Rozumiem to, co oczywiste. Werbujecie człowieka, który ma wyjątkowe szansę ujęcia mordercy, ponieważ ów morderca podszywa się właśnie pod niego. Ale brnąć w to tak głęboko - porywając jego żonę, angażując nas - wdajecie się w bardzo skomplikowaną i szczerze mówiąc niebezpieczną grę. Powiem ci prawdę, Edwardzie. Kiedy przedstawiłeś mi ten scenariusz, skontaktowałem się z własnej inicjatywy z Londynem. „Wypełniaj rozkazy”, powtórzyli mi. „A przede wszystkim, zachowaj milczenie”. Cóż, jak powiedziałaś jakiś czas temu, to nie wystarcza. Powinniśmy się dowiedzieć czegoś więcej. Nie wiedząc o niczym Wydział Specjalny nie może ponosić za nic odpowiedzialności.

- W tej chwili my ponosimy całą odpowiedzialność i my podejmujemy wszystkie decyzje. Londyn się na to zgodził, a nigdy by tego nie zrobił, gdyby nie uważał, że to dla niego najlepsze wyjście. Musimy panować nad sytuacją, nie może być mowy o żadnym przecieku ani pomyłce w wyliczeniach. Nawiasem mówiąc, to właśnie usłyszeliśmy od Londynu. - McAllister pochylił się i splótł dłonie, aż pobiełały mu kostki palców. - - Powiem ci tylko jedno. Lin. Modlę się do Boga, żeby odpowiedzialność nie spoczywała na nas, zwłaszcza że znajduję się prawie w samym środku. Nie dlatego, że podejmuję ostateczne decyzje, ale ponieważ wolałbym nie podejmować żadnych. Nie mam odpowiednich kwalifikacji.

- Tego bym nie powiedział, Edwardzie. Jesteś jednym z najbardziej skrupulatnych ludzi, jakich w życiu spotkałem. Udowodniłeś to dwa lata temu. Jesteś znakomitym analitykiem. Nie musisz ogarniać całości sprawy, jeżeli odbierasz instrukcje od kogoś, kto nad tym czuwa. Wystarczy, że rozumiesz, o co chodzi, i wierzysz w to, co robisz - a ta wiara wypisana jest na twojej zatroskanej twarzy. Jeżeli powierzy ci się jakieś zadanie, wykonasz je jak trzeba.

- Domyślam się, że powinienem ci podziękować.

- Dziś udało się osiągnąć to, czego sobie życzyłeś, wkrótce więc dowiesz się, czy twój zmartwychwstały łowca odzyskał swoje umiejętności. W ciągu nadchodzących dni będziemy mogli tylko śledzić wydarzenia, to wszystko. Nie mamy na nie wpływu. Bourne rozpoczął swą niebezpieczną podróż.

- Dostał nazwiska?

- Prawdziwe nazwiska, Edwardzie. Najbardziej bezwzględnych bandziorów wywodzących się z podziemia Hongkongu i Makau:

adiutantów przenoszących rozkazy oraz kapitanów, którzy inicjują rozmowy i zawierają kontrakty, kontrakty na morderstwo. Jeśli na tym terenie jest ktoś, kto wie coś o samozwańcym zabójcy, to jego nazwisko znajduje się na tej liście.

- Rozpoczynamy drugą fazę. Świetnie. - McAllister rozplótł dłonie i spojrzął na zegarek. - Wielkie nieba, nie miałem pojęcia, która to godzina. To był dla ciebie długi dzień. Naprawdę nie musiałeś dziś w nocy oddawać zegarka i spinek.

- Dobrze o tym wiedziałem.

- Więc czemu zawdzięczam...?

- Nie chciałbym ci dłużej zawracać głowy, ale wyłonił się pewien nieprzewidziany problem. A przynajmniej taki, którego nie braliśmy pod uwagę, być może z głupoty.

- O co chodzi?

- Ta kobieta może być chora. Jej mąż wyczuł to, kiedy z nią rozmawiał.

- Mówisz o poważnej chorobie?

- Nie możemy tego wykluczyć... nie może tego wykluczyć lekarz.

- Lekarz?

- Nie było powodu, żeby cię alarmować. Wezwałem kilka dni temu jednego z naszych wojskowych lekarzy - można na nim w pełni polegać. Stwierdził, że to może być nerwica, depresja albo jakieś schorzenie wirusowe. Zapisał jej antybiotyki i łagodne środki uspokajające. Jej stan nie uległ poprawie. Prawdę mówiąc, gwałtownie się pogarsza. Jest apatyczna, ma dreszcze i mówi od rzeczy. Bardzo się zmieniła, zapewniam cię.

-- Wierzę! - odparł podsekretarz stanu mrugając gwałtownie oczyma i zaciskając usta. - Co możemy zrobić?

- Doktor uważa, że powinno się ją przewieźć do szpitala i natychmiast poddać badaniom.

- To niemożliwe! Chryste Panie, to absolutnie nie wchodzi w rachubę!

Chińczyk wstał z krzesła i zbliżył się powoli do biurka.

- Edwardzie - powiedział ze spokojem. - Nie wiem, jakie są dopuszczalne granice tej operacji, ale z fragmentarycznych danych zdołałem odtworzyć kilka jej podstawowych celów, zwłaszcza jeden. Obawiam się, że muszę ci zadać to pytanie: Co się stanie z Dawidem Webbem, jeśli jego żona poważnie zachoruje? Co się stanie z twoim Jasonem Bourne'em, jeśli ona umrze?

ROZDZIAŁ 12

Potrzebna mi jest jej historia choroby i chcę ją mieć tak szybko, jak to możliwe, majorze. Proszę to potraktować jako rozkaz, sir, wydany przez byłego porucznika Korpusu Medycznego Jej Królewskiej Mości.

To ten angielski doktor, który mnie badał. Bardzo grzeczny, ale chłodny; podejrzewam, że z niego cholernie dobry diagnostyk. Jest wyraźnie w kłopotcie. To świetnie.

- Dostarczymy ją panu, mamy swoje sposoby. Powiada pan, że ona nie potrafi podać nazwiska swego lekarza w Stanach Zjednoczonych?

To ten wielki Chińczyk, zawsze uprzejmy - udziela wykrętnych odpowiedzi, ale przynajmniej nie kłamie. Był dla mnie miły, podobnie jak jego ludzie. Wypełnia tylko rozkazy - oni wszyscy wypełniają tylko rozkazy - ale nie wiedzą, jaki jest ich sens.

- Nawet kiedy ma przebłyski świadomości, nic nie można od niej wydobyć, co nie jest objawem pozytywnym. Może to być mechanizm obronny wskazujący, że ona zdaje sobie sprawę ze swej pogłębiającej się choroby i nie chce jej stawić czoła.

- Ona taka nie jest, doktorze. To silna kobieta.

- Silna psychika to rzecz względna. Najsilniejsi z nas często nie chcą uznać faktu, że są śmiertelni. Nie godzi się na to ich ego. Niech mi pan dostarczy jej historię choroby, muszę ją mieć.

- Ktoś od nas zadzwoni do Waszyngtonu, a ludzie stamtąd zatelefonują dalej. Znają jej adres zamieszkania i w ciągu kilku minut dotrą do jej sąsiadów. Któryś z nich musi wiedzieć. Znajdziemy tego lekarza.

- Chcę, żeby przesłano informację przez satelitę. Mamy w szpitalu odpowiednie wyposażenie do odbioru transmisji.

- Każdy przekaz musi przejść przez nasze biuro.

- W takim razie idę z panem. Proszę zaczekać na mnie kilka minut.

- Jest pan zaniepokojony, prawda, doktorze?

- Kiedy ma się do czynienia z chorobą układu nerwowego, wówczas zawsze jest powód do niepokoju. Jeśli pańscy ludzie się postarają, być może uda mi się osobiście porozmawiać z jej lekarzem. To byłoby optymalne rozwiązanie.

- Nic pan nie odkrył podczas badania?

- Nic konkretnego, mam tylko pewne hipotezy. W jednym miejscu odczuwa bóle, w innym nie. Na jutro rano zarządziłem badanie tomograficzne.

- Jest pan zaniepokojony.

- Niech pan skończy z tą głupią gadką, majorze.

Och, robicie dokładnie to, co chcę. Dobry Boże, jaka jestem głodna! Będę jadła przez pięć godzin bez przerwy, kiedy się stąd wydostanę - bo wydostanę się stąd! Dawidzie, czy zrozumiałeś? Czy pojąłeś, co starałam ci się przekazać? Ciemne drzewa to klony; tak łatwo je spotkać, kochanie,

tak łatwo rozpoznać. Pojedynczy liść klonu to Kanada. Ambasada. Tutaj w Hongkongu to konsulat. To właśnie zrobiliśmy w Paryżu, kochanie. Wtedy było to straszne, ale teraz takie nie będzie. Na pewno spotkam tu kogoś znajomego. Kiedy wróciłam do Ottawy, zapoznałam ze sprawą wiele osób z naszych placówek rozsianych po całym świecie. Twoja pamięć jest zamglona, kochany, ale nie moja. Musisz też zrozumieć, Dawidzie, że ludzie, z którymi miałam wtedy do czynienia, nie różnią się tak bardzo od tych, którzy przetrzymują mnie teraz. Pod pewnymi względami to oczywiście roboty, ale poza tym żywi ludzie, którzy myślą, zadają pytania i zastanawiają się, dlaczego kazano im robić pewne rzeczy. Są jednak posłuszni, kochanie, ponieważ jeśli zaczną się stawiać, zostanie to odnotowane w ich aktach, a to jest równoznaczne z czymś gorszym od dymisji - która przydarza się rzadko - ponieważ oznacza brak awansów, pójdzie w odstawkę. Właściwie są dla mnie mili - naprawdę grzeczni - jak gdyby fakt, że muszą wypełniać takie rozkazy, wprawiał ich w zakłopotanie. Uważają, że jestem chora i martwią się o mnie, szczerze martwią. To nie są zabójcy ani kryminaliści, mój najdroższy Dawidzie! To biurokraci czekający na instrukcje z góry. To biurokraci! W tę całą niewiarygodną historię zamieszany jest RZĄD. Wiem o tym. To są ludzie podobni do tych, z którymi przez długie lata pracowałam. Byłam jedną z nich!

Marie otworzyła oczy. Drzwi były zamknięte, pokój pusty, ale wiedziała, że na zewnątrz stoi strażnik - słyszała rozkazy, które wydał major. Nikomu nie wolno było do niej wchodzić oprócz angielskiego doktora i dwóch znanych strażnikowi pielęgniarek, które miały pełnić dyżur aż do rana. Znała reguły gry i dzięki temu potrafiła je naruszyć.

Usiadła. Jezu, jaka jestem głodna! Ubawiła ją ponuro myśl o sąsiadach z Maine wypytywanych o jej doktora. Sąsiadów prawie nie znała i oczywiście nie było żadnego lekarza. Mieszkali w miasteczku uniwersyteckim dopiero niecałe trzy miesiące, a Dawid przygotowywał się do sesji letniej. Na głowie miała mnóstwo codziennych problemów z wynajęciem domu i nauczeniem się wszystkiego, o co powinna troszczyć się młoda żona świeżo upieczonego uniwersyteckiego wykładowcy: znalezienie sklepów, pralni, kupno pościeli i bielizny, tysiące rzeczy, które wykonuje kobieta, żeby stworzyć dom - i nie było po prostu czasu, żeby pomyśleć o doktorze. Zresztą, dobry Boże, przez osiem miesięcy praktycznie nie odstępowali ich lekarze i, z wyjątkiem Mo Panova, żadnego z nich nie miała ochoty oglądać ponownie.

Najważniejszy był Dawid, który usiłował wydostać się ze swoich, jak je określał, osobistych tuneli, nie pokazując, ile bólu go to kosztuje; tak wdzięczny, ilekroć miał jakiś przebłysk pamięci. Boże, z jaką on furią atakował książki, jak się cieszył, kiedy wracały do niego całe fragmenty historii i jak gniewało go zarazem, że są to zaledwie skrawki jego własnego życia, życia, które przed nim umknęło. Tak często czuła w nocy, jak ugina się materac i wiedziała, że to on wstaje z łóżka, żeby być sam na sam ze swymi urwanymi myślami i dręczącymi go koszmarami. Czekwała parę minut, a potem schodziła do hallu i siadała na stopniach nasłuchując. Raz czy drugi nadchodziła ta wielka chwila: Marie słyszała ciche łkanie silnego, dumnego mężczyzny, który przeżywa katusze. Podchodziła do niego, a on odwracał się w jej stronę. Wstyd i ból były zbyt wielkie. „Nie walczysz z tym samotnie, kochanie - mówiła. - Walczymy z tym razem. Tak jak walczyliśmy przedtem”. Wówczas on zaczynał mówić, z początku niechętnie, potem coraz śmielej, coraz szybciej i szybciej, aż pękały śluzy i odnajdywał, odkrywał rzeczy, które do tej pory były przed nim zasłonięte.

Drzewa, Dawidzie! Moje ulubione drzewo, klon. Liść klonu. Konsulat, kochanie! Miała przed sobą dużo rzeczy do zrobienia. Sięgnęła po przewód i nacisnęła przycisk, by wezwać siostrę.

Po dwóch minutach drzwi otworzyły się i do środka weszła mniej więcej czterdziestoletnia Chinka w nieskazitelnie białym wykroch-malonym fartuchu.

- Co mogę dla pani zrobić, kochanie? - zapytała miłym głosem. Miała przyjemny angielski akcent.

- Jestem straszliwie zmęczona, ale w żaden sposób nie mogę zasnąć. Czy mogłabym dostać tabletkę na sen?

- Zapytam pani doktora; jeszcze nie wyszedł. Jestem pewna, że się zgodzi.

Kiedy pielęgniarka wyszła, Marie wstała z łóżka. Podeszła do drzwi. Nie dopasowana szpitalna koszula zsunęła jej się z lewego ramienia; chłodny powiew z klimatyzatora sprawił, że po plecach przeszedł jej dreszcz. Otworzyła drzwi zaskakując tym młodego, siedzącego na krześle z prawej strony, muskularnego strażnika.

- Słucham panią...? - Mężczyzna skoczył na równe nogi.

- Tssss! - uciszyła go Marie podnosząc do ust palec. - Wejź do środka! Szybko!

Oszołomiony młody Chińczyk wszedł za nią do pokoju. Marie wskoczyła do łóżka, ale nie przykryła się kołdrą. Opuściła prawe ramię, przez co koszula ześlizgnęła się niżej i teraz ledwo trzymała się na wypukłości piersi.

- Chodź tutaj - szepnęła. - Nie chcę, żeby mnie ktoś usłyszał.

- O co chodzi, proszę pani? - zapytał strażnik, unikając wzrokiem obnażonego ciała Marie, wlepiając za to oczy w jej twarz i kasztanowate włosy. Zrobił kilka kroków do przodu, ale wciąż trzymał się w bezpiecznej odległości. - Drzwi są zamknięte. Nikt pani nie usłyszy.

- Chcę, żebyś... - jej szept stał się niesłyszalny.

- Nawet ja pani nie słyszę, proszę pani - mężczyzna podszedł bliżej.

- Jesteś najsympatyczniejszym z moich strażników. Byłeś dla mnie bardzo miły.

- Nie było powodu, żebym zachowywał się inaczej, proszę pani.

- Wiesz, dlaczego jestem przetrzymywana?

- Dla pani własnego bezpieczeństwa - skłamał strażnik z kamiennym wyrazem twarzy.

- Rozumiem. - Marie usłyszała na korytarzu zbliżające się kroki. Zmieniła pozycję; dolny skraj koszuli powędrował w górę odsłaniając uda. Drzwi otworzyły się i do środka weszła siostra.

- Och? - Chinka była zaskoczona. Scena, którą ujrzała, nie budziła żadnych wątpliwości. Zmierzyła ostrym wzrokiem zawstydzonego strażnika. Marie przykryła się.

- Zdziwiło mnie, dlaczego nie ma cię na zewnątrz - powiedziała pielęgniarka.

- Ta pani prosiła, żebym z nią porozmawiał - odparł strażnik cofając się o krok.

Siostra rzuciła szybkie spojrzenie Marie.

- Tak?

- Skoro on tak mówi...

- To idiotyczne - przerwał jej muskularny strażnik idąc do drzwi i otwierając je. - Ta pani nie czuje się dobrze. Z jej głową coś jest nie w porządku. Mówi od rzeczy. - Wyszedł na korytarz i zamknął za sobą mocno drzwi z drugiej strony.

Siostra ponownie spojrzała na Marie, tym razem pytająco.

- Dobrze się pani czuje?

- Z moją głową jest wszystko w porządku i to nie ja opowiadam idiotyzmy. Robię tylko to, co mi się każe. - Marie przerwała na chwilę, a potem mówiła dalej: - Kiedy ten wielki major wyjdzie ze szpitala, proszę do mnie przyjść. Mam siostrze coś do powiedzenia.

- Przykro mi, ale nie wolno mi tego robić. Musi pani odpoczywać. Proszę, przyniosłam pani coś na sen. Zobaczę, czy ma pani czym to popić.

- Jest pani przecież kobietą - powiedziała Marie wpatrując się w nią surowym wzrokiem.

- Tak - zgodziła się bez entuzjazmu Chinka. Zostawiła niewielki tekturowy kubek i tabletkę na stoliku przy łóżku i zawróciła do drzwi. Rzuciła swojej pacjentce ostatnie pytające spojrzenie i wyszła.

Marie wstała z łóżka i podeszła cicho do drzwi. Przyłożyła ucho do metalowej framugi; z korytarza doszły ją przytłumione odgłosy gwałtownej wymiany zdań, oczywiście po chińsku. Czegokolwiek dotyczyła i cokolwiek wyjaśniła krótka, prowadzona podniesionym tonem rozmowa, ziarno zostało zasiane. Pracuj nad stroną wizualną, powtarzał bez końca Jason Bourne podczas ich gehenny w Europie. To najbardziej skuteczna metoda. Ludzie prędzej wyciągną pożądane przez siebie wnioski na podstawie tego, co widzą na własne oczy, niż opierając się na najbardziej przekonujących kłamstwach, których im naopowiadasz.

Podeszła do szafy i otworzyła ją. Część rzeczy, które kupili dla niej w Hongkongu, została w apartamencie, ale spodnie, bluzka i buty, które miała dzisiaj na sobie, znajdowały się tutaj; nikomu nie przyszło do głowy, żeby je zabrać. Dlaczego zresztą mieliby to robić? Widzieli przecież na własne oczy, że jest bardzo chora. Przekonały ich dreszcze i spazmy; widzieli je dokładnie. Jason Bourne by to zrozumiał. Rzuciła okiem na mały biały telefon na stoliku przy łóżku. Właściwie była to tylko słuchawka z zainstalowaną po wewnętrznej stronie tarczą z przyciskami. Namyslała się chwilę, ale nie przychodził jej do głowy nikt, do kogo mogłaby zadzwonić. Podeszła do stolika i podniosła słuchawkę. Telefon był wyłączony, tak jak się spodziewała. Był tylko przycisk, którym wzywało się siostrę; to było wszystko, czego potrzebowała, i wszystko, na co jej pozwolono.

Podeszła do okna i podniosła białą roletę. Za oknem była noc. Niebo rozświetlały jaskrawe, kolorowe światła Hongkongu, a ona znajdowała się bliżej nieba niż ziemi. Jak powiedziałby Dawid albo raczej Jason: Niech będzie. Drzwi. Korytarz.

Niech będzie.

Podeszła do umywalki. Szpitalna szczoteczka i pasta do zębów wciąż tkwiły w oryginalnym plastikowym pudełku; dziewicze było także mydło owinięte w fabryczne opakowanie. Widniejący na nim napis gwarantował, że jest czystsze od oddechu aniołów,

Obok znajdowała się ubikacja; nie było w niej nic szczególnego oprócz paczki podpasek higienicznych opatrzonej małym napisem w czterech językach informującym, czego nie należy z nimi robić. Wróciła do pokoju. Czego szukała? Cokolwiek to było, nie znalazła tego.

Przypatruj się wszystkiemu. Zawsze znajdziesz coś, czego będziesz mogła użyć. Słowa Jasona, nie Dawida. W tym momencie ujrzała to, czego potrzebowała.

Niektóre łóżka szpitalne - a jej zaliczało się do tego właśnie rodzaju - zaopatrzone są u dołu w specjalną rączkę, którą można obniżać bądź podwyższać ich poziom. Rączkę tę można usunąć - i

czyni się tak dosyć często - wówczas, gdy pacjent jest odżywiany dożylnie albo kiedy lekarz chce, aby pozostał on dłużej w danej pozycji, na przykład na wyciągu. Pielęgniarka może zdjąć tę rączkę wciskając ją, a następnie przekręcając w lewo i pociągając energicznie po zwolnieniu zatrasku. Robi się tak często w godzinach wizyt, ponieważ goście odwiedzający pacjenta mogliby ulec jego prośbom i zmienić poziom łóżka wbrew zaleceniom lekarza. Marie знаła ten rodzaj łóżek i wiedziała, jak się obchodzić z uchwytem.

Kiedy Dawid dochodził do siebie po ranach, których doznał w siedzibie Treadstone-71, utrzymywano go przy życiu odżywiając dożylnie. Marie przyglądała się bacznie pielęgniarkom. Cierpienia jej przyszłego męża były czymś, czego nie potrafiła znieść, i siostry zdawały sobie sprawę, że pragnąc je złagodzić, Marie może zakłócić proces leczenia. Wiedziała, jak usunąć rączkę, a kiedy się ją usunęło, stawała się poręcznym, zakrzywionym kawałkiem żelaza.

Marie wyjęła rączkę i wskoczyła z powrotem do łóżka, chowając ją pod kołdrę. Czekwała rozmyślając, jak różnymi ludźmi - w jednym wcieleniu - byli Jason i Dawid. Jej kochanek, Jason, potrafił czasem być taki zimny, taki opanowany. Cierpliwie czekał na odpowiedni moment, a potem ruszał na zaskoczzonego przeciwnika, by przemocą zapewnić sobie przetrwanie. A z drugiej strony jej mąż, Dawid:

oddany, umiejący słuchać człowiek - typowy naukowiec - który za wszelką cenę starał się unikać przemocy, ponieważ ją znał i nienawidził bólu i strachu, które jej towarzyszą - a przede wszystkim konieczności zredukowania swoich uczuć do czysto zwierzęcych odruchów. A teraz go wezwano, by stał się człowiekiem, którym pogardza. Dawidzie, mój Dawidzie! Nie zwariuj od tego wszystkiego! Tak bardzo cię kocham.

Szmer na korytarzu. Marie popatrzyła na zegar na stoliku. Minęło szesnaście minut. Położyła obie dłonie na kołdrze i przymknęła powieki, tak jakby ogarnęła ją senność. Weszła siostra.

- W porządku, kochanie - powiedziała, zbliżając się do łóżka. - Nie będę zaprzeczać, że poruszyła mnie pani. Ale obowiązują mnie instrukcje, w pani wypadku bardzo ściśle. Major i pani lekarz już wyszli. Co chciała mi pani powiedzieć?

- Nie... teraz... - wyszeptała Marie. Głowa opadła jej na poduszkę, po twarzy widać było, że zapada w sen. - Taka jestem zmęczona... Wzięłam... tabletkę.

- Czy to chodzi o tego strażnika za drzwiami?

- On jest nienormalny... Nigdy mnie nie dotyka... nie dbam zresztą o to. Każe mi robić rzeczy... Taka jestem zmęczona...

- Co pani rozumie przez „nienormalny“?

- On lubi... patrzeć na kobiety... To mi nie przeszkadza... kiedy śpię... - Marie zamknęła powieki.

- Zang\ - mruknęła pod nosem siostra. - Co za brud, co za ohyda. - Obróciła się na pięcie i wyszła na korytarz zamykając za sobą drzwi.

- Ta kobieta śpi! Rozumiesz, co mówię?! - zwróciła się do strażnika.

- No i bardzo się z tego cieszę.

- Mówi, że jej w ogóle nie dotykasz!

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

- No więc nie próbuj tego przypadkiem teraz!

- Nie będziesz mi tu prawa kazać, stara jędzo. Jestem tutaj służbowo.

- Więc rób to, co ci kazano. Jutro rano porozmawiam z majorem Linem! - Pielęgniarka spiorunowała strażnika wzrokiem i zagniewana ruszyła szybkim krokiem przez korytarz.

- Hej, ty! - Chrapliwy szept dobiegał zza lekko uchylonych drzwi izolatki. Marie otworzyła je trochę szerzej. - Ta siostra? Kim ona jest?

- Myślałem, że pani śpi - odparł skołowany strażnik.

- Uprzedziła mnie, że to właśnie ma zamiar ci powiedzieć.

- Co?

- Ona tu po mnie wróci. Mówi, że można do mnie wejść z pokoju obok. Kim ona jest?

- Jak to kim?

- Nie odzywaj się. Nie patrz na mnie. Zobaczysz cię!

- Poszła korytarzem w prawo.

- Nigdy nic nie wiadomo. Lepszy diabeł znany niż nie znany. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Nie rozumiem ani w ząb, co kto ma na myśli! - powiedział błagalnie strażnik, przemawiając cicho i z naciskiem do przeciwległej ściany. - Nie wiem, co ona ma na myśli i co pani ma na myśli.

- Wejź do środka. Szybko. Podejrzewam, że ona jest komunistką. Z Pekinu!

- Z Pekinu?

- Nigdzie z nią nie pójdę! - Marie otworzyła drzwi i schowała się za nimi.

Strażnik ruszył za nią. Kiedy znalazł się w środku, drzwi zatrzasnęły się. W pokoju było ciemno, tylko zza nie domkniętych drzwi do łazienki przedostawała się wąska smuga światła. Mężczyzna był widoczny, sam natomiast nie widział nic.

- Gdzie pani jest? Proszę zachować spokój. Ona nigdzie pani nie zabierze.

Nie zdołał powiedzieć nic więcej. Marie trzasnęła go metalową rączką w podstawę czaszki z siłą wiejskiej dziewczyny z Ontario, przyzwyczajonej do posługiwania się bykowcem podczas spędu bydła. Strażnik upadł, a Marie uklękła przy nim i szybko zabrała się do dzieła.

Chińczyk był muskularny, ale nieduży, niewysoki. Marie także nie była duża, ale jak na kobietę dość wysoka. Po drobnych poprawkach ubranie i buty strażnika świetnie nadawały się do tego, by szybko opuścić szpital; problem stanowiły tylko jej włosy. Rozejrzała się po pokoju. Przypatruj się wszystkiemu. Zawsze znajdziesz coś, czego będziesz mogła użyć. Znalazła. Na chromowanej poręczy przy stoliku wisiał mały ręcznik. Ściągnęła go, zebrała włosy na czubku głowy i owinęła je ręcznikiem, zaplatając go w węzeł. Wyglądało to na pewno głupio i z bliska nikt by się na to nie nabrał, ale ręcznik stanowił w końcu coś w rodzaju turbanu.

Rozebrany do slipek i skarpetek strażnik jęknął i usiłował się podnieść, a potem ponownie stracił przytomność. Marie podbiegła do szafy, chwyciła własne ubranie i zbliżyła się do drzwi, uchylając je nieznacznie. Na korytarzu stały rozmawiając półgłosem dwie pielęgniarki - jedna z nich była Chinką, ale nie tą, która wróciła, by wysłuchać jej skargi, druga zaś wyglądała na Europejkę. Po chwili zjawiła się kolejna pielęgniarka; kiwnęła głową tym dwóm i skręciła ku drzwiom po drugiej

stronie korytarza. Mieścił się tam składzik na pościel. Piętnaście metrów dalej rozdzwonił się telefon stojący na owalnym biurku; przecinały się tam dwa korytarze. Pod sufitem wisiała oznaczona strzałką w prawo tabliczka z napisem WYJŚCIE. Dwie zajęte rozmową siostry ruszyły w stronę biurka; trzecia wyszła ze składziku z naręczem prześcieradeł. Najlepiej uciekać etapami, wykorzystując każde powstałe zamieszanie.

Marie wyślizgnęła się z izolatki i przebiegła przez korytarz do składziku. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Nagle zamarła w bezruchu. Korytarz wypełnił kobiecy wrzask. Słyszała głośny zbliżający się tupot, potem także odgłosy innych kroków.

- Strażnik! - wydierała się po angielsku Chinka. - Gdzie jest ten obleśny strażnik?

Marie uchyliła drzwi składziku. Trzy podekscytowane siostry dobiegły do jej izolatki i wpadły do środka.

- Ty! Rozebrałeś się. Zang sile, ty lubieżniku! Zobacz w łazience!

- Ty! - wrzasnął niepewnym głosem strażnik. - To ty pozwoliłaś jej uciec. Odpowiesz za to przed moimi zwierzchnikami.

- Puść mnie, ty zbereźniku. Kłamiesz!

- Jesteś komunistką! Z Pekinu!

Marie wyskoczyła ze składziku ze stosem ręczników na ramieniu i pobiegła w stronę prostopadłego korytarza, tam gdzie wisiał napis WYJŚCIE.

- Zadzwońcie do majora Lina! Złapałem komunistyczną agentkę!

- Zadzwońcie na policję! To zboczeniec!

Wydostawszy się z budynku szpitala, Marie pobiegła w najciemniejszy kąt parkingu i usiadła bez tchu w cieniu między dwoma samochodami. Musiała pomyśleć, musiała ocenić sytuację. Rzuciła na ziemię ręczniki i swoje ubranie, po czym zaczęła przetrząsać kieszenie strażnika w poszukiwaniu portfela albo portmonetki. Znalazła ją, otworzyła i w słabym świetle policzyła pieniądze. Było tam niewiele ponad sześćset hongkongijskich dolarów, co stanowiło w przeliczeniu trochę więcej niż sto dolarów amerykańskich. Z ledwością starczy na hotelowy pokój. Nagle zobaczyła kartę kredytową wydaną przez bank w Koulunie. Nie wychodź z domu bez karty kredytowej. Wzięła pieniądze i kartę i przebrała się w swoje ubranie zerkając na biegnącą wzdłuż terenu szpitala ulicę. Ku jej uldze kłębił się na niej tłum; ten tłum stanowił gwarancję jej bezpieczeństwa.

Nagle na parking wpadł z piskiem opon samochód i zatrzymał się gwałtownie przed wejściem do izby przyjęć. Marie uniosła się i zerknęła przez szybę stojącego obok auta. Z samochodu wyskoczyli potężny chiński major i chłodny, precyzyjny doktor i szybko pognali do wejścia. Kiedy zniknęli za drzwiami, Marie wybiegła z parkingu na ulicę.

Spacerowała całymi godzinami, przystając co jakiś czas, żeby sobie kupić kolejnego hamburgera, aż nie mogła już na nie patrzeć. Wstąpiła do publicznej toalety i przejrzała się w lustrze. Straciła na wadze i miała podkrążone oczy, ale przecież nadal była sobą. Tylko te przekłete włosy! Szukając jej przewrócą do góry nogami cały Hongkong, a w każdym rysopisie znajdzie się przede wszystkim informacja o jej wzroście i włosach. Na swój wzrost nic nie mogła poradzić, była jednak w stanie całkowicie zmienić fryzurę. Wstąpiła do drogerii i kupiła spinki i szpilki do włosów. Przypomniawszy sobie, co Jason kazał jej zrobić w Paryżu, kiedy w gazetach opublikowano jej zdjęcie, ściągnęła włosy do tyłu, skręciła je w kok i przypięła gładko z obu stron. Rysy twarzy

nabrały teraz większej ostrości. Efekt pogłębiała utrata wagi i brak makijażu. Taki właśnie efekt chciał osiągnąć Jason - Dawid - w Paryżu... Nie, poprawiła się, tam, w Paryżu, to nie był Dawid. To był Jason Bourne. I była noc jak teraz.

- Dlaczego pani to robi? - zapytał sprzedawca stojący przy lustrze za ladą z kosmetykami. - Ma pani takie ładne włosy. Bardzo piękne.

- Naprawdę? Mam dosyć ich ciągłego szczotkowania, to wszystko. Po wyjściu z drogerii w jednym z ulicznych kramów kupiła sandały na płaskim obcasie, a w innym imitację torby Gucciego z przekreślonymi do góry nogami literami G. Zostało jej czterdzieści pięć dolarów USA i nie miała pojęcia, gdzie spędzi noc. Na wizytę w konsulacie było zarazem zbyt późno i zbyt wcześnie. Z pewnością podnieśliby alarm, gdyby po północy zjawiała się tam Kanadyjka i poprosiła o listę personelu. Nie miała poza tym czasu na wymyślanie bajeczki, która usprawiedliwiłaby taką prośbę. Dokąd mogła pójść? Musiała się wyspać. Nie przystępuj do działania, kiedy jesteś zmęczona albo wyczerpana. Odpoczynek to broń. Nie zapominaj o tym.

Mijała zamykany właśnie pasaż. Młoda amerykańska para ubrana w dżinsy targowała się z właścicielem stoiska z koszulkami.

- No, człowieku, nie daj się prosić - mówił chłopak. - Chcesz chyba jeszcze dzisiaj coś utargować? Możesz obniżyć trochę cenę. T tak zostanie ci w kieszeni parę dineros. Nie mam racji?

- Żadnych dineros - krzyknął handlarz uśmiechając się. - Tylko dolary, a pan daje mi za mało. Mam dzieci. Odejmuje im pan jedzenie od ust!

- Pewnie ma jeszcze poza tym restaurację - zauważyła dziewczyna.

- Chce pani do restauracji? Autentyczna chińska kuchnia?

- Jezu, miałaś rację, Lacy!

- Mój kuzyn ze strony ojca ma budkę z pysznymi potrawami, dwie przecznice stąd. Bardzo blisko, bardzo tanio, bardzo smacznie.

- Nieważne - odezwał się chłopak. - Cztery dolce amerykańskie za sześć koszulek. Bierzesz pan albo idę.

- Biorę. Tylko dlatego, że jest pan silniejszy ode mnie. - Handlarz złapał pieniądze i zapakował koszulki do papierowej torby.

- Jesteś cudowny, Buzz. - Dziewczyna pocałowała swego towarzysza w policzek i zaśmiała się. - On i tak wyciąga z tego czterysta procent zysku.

- Tak jest z wami zawsze, spece od wielkiego biznesu. Nie liczy się dla was strona estetyczna. Posmak kłótni, satysfakcja, jaką daje słowna utarczka.

- Jeśli kiedyś za ciebie wyjdę, będę cię utrzymywać do końca mego nieszczęsnego życia, mój ty wielki negocjatorze.

Sposobność sama się nadarzy. Trzeba ją rozpoznać i wykorzystać. Marie podeszła do dwojga studentów.

- Przepraszam - odezwała się, zwracając najpierw do dziewczyny. - Usłyszałam przypadkiem waszą rozmowę...

- Czyż nie byłem wspaniały? - przerwał jej młodzieniec.

- Bardzo sprytny - odparła Marie. - Ale obawiam się, że rację ma twoja dziewczyna. Za te koszulki płaci się w hurcie na pewno nie więcej niż dwadzieścia pięć centów za sztukę.

- Czterysta procent - kiwnęła głową dziewczyna.

- Otaczają mnie sami filistrzy - powiedział młodzieniec. - Jestem studentem historii sztuki. Któregoś dnia zostanę dyrektorem Metropolitan Museum!

- Nie wierz w te bajki - stwierdziła dziewczyna, zwracając się do Marie. - Nie przejmuj się, nie jesteśmy szurnięci, po prostu świetnie się bawimy. Ale przerwaliśmy ci.

- Trochę się krępuję, naprawdę, ale mój samolot spóźnił się o cały dzień i przepadła mi wycieczka do Chin. W hotelu nie ma wolnych miejsc i zastanawiam się...

- Chcesz się pewnie gdzieś przespać? - przerwał jej student historii sztuki.

- No właśnie. Zostały mi pewne fundusze, ale prawdę mówiąc, są ograniczone. Przyjechałam z Maine, jestem nauczycielką. Wykładałam niestety ekonomię.

- Nie ma się czego wstydzic - pocieszyła ją z uśmiechem dziewczyna.

- Możemy ci pomóc, prawda, Lacy?

- Pewnie, że możemy. Nasz college ma umowę z Uniwersytetem Chińskim w Hongkongu.

- Nie dostarczają tam do pokoju szampana, ale cena jest całkiem umiarkowana - stwierdził chłopak. - Trzy dolce za noc. Ale, niech ich gęś kopnie, zwyczajnie mają przedpotopowe.

- On ma na myśli to, że obowiązuje tam nieco purytański regulamin. Chłopcy i dziewczęta śpią oddzielnie.

- „Razem chłopcy i dziewczęta...” - zanucił przyszły dyrektor Metropolitan Museum. - Takiego wała razem!

Mearie siedziała na polowym łóżku rozstawionym w olbrzymim pomieszczeniu pod dwunastometrowym sklepieniem;

sypialnię urządzono najwyraźniej w sali gimnastycznej. Wszędzie wokół niej spały albo leżały z otwartymi oczami młode kobiety. Z kilku posłań rozlegało się chrapanie, ale większość dziewczyn zachowywała się cicho, część paliła papierosy. Co jakiś czas któraś przemykała się do toalety, w której bez przerwy paliły się światła. Marie znalazła się między dziećmi i żałowała, że sama nie jest dzieckiem, wolnym od czających się wszędzie strachów. Dawidzie, potrzebuję cię. Uważasz, że jestem taka silna, ale ja, kochanie, nie potrafię stawić czoła rzeczywistości. Co mam zrobić? Jak mam to zrobić!

Przypatruj się wszystkiemu. Zawsze znajdziesz coś, czego będziesz mogła użyć. Jason Bourne.

ROZDZIAŁ 13

Lało jak z cebra. Krople deszczu siekły piasek i błyskały w snopach światła, które padało na stojące przy Repulse Bay groteskowe posągi ogromnych, miotających się w furii chińskich bogów, którzy zapełniają pełną gwałtowności mitologię Wschodu. Niektóre z rzeźb miały prawie dziesięć metrów wysokości. Ciemna plaża była pusta, natomiast nieco wyżej, w starym hotelu i w pochodzącym z innej epoki pawilonie z hamburgerami po drugiej stronie drogi kłębił się tłum. Byli tam spacerowicze i smakosze, turyści i mieszkańcy wyspy. Przybyli wieczorem nad zatokę, żeby coś wypić, zjeść albo tylko popatrzeć na groźne posągi broniące dostępu do lądu wszelkiego rodzaju obłąkanym duchom, które mogły wynurzyć się z morza. Nagła ulewa zagoniła spacerowiczów pod dach; zmotoryzowani czekali, aż trochę zelżeje, żeby wyruszyć z powrotem do domu.

Przemoczony do suchej nitki Bourne przykucnął w krzakach w połowie drogi na plażę, w odległości sześciu metrów od cokołu groźnie wyglądającego bożka. Otarł deszcz z twarzy i wpatrywał się w betonowe schody wiodące ku wejściu do hotelu Colonial. Czekał na trzeciego człowieka z listy taipana.

Pierwszy człowiek z listy próbował go podejść na pokładzie promu „Star”, uzgodnionym wcześniej miejscuspotkania, ale Jasonowi, który ubrany był tak samo, jak w Mieście za Murami, udało się wypatrzeć dwóch członków jego obstawy. Nie było to takie łatwe, jak wyśledzenie ludzi posługujących się radiotelefonem, ale nie tak znowu trudne. W trakcie trzech kolejnych rejsów po wodach zatoki Bourne nie pojawił się w umówionym miejscu - w oknie przy burcie. W tym czasie ci sami dwaj mężczyźni dwukrotnie minęli człowieka, z którym się kontaktował, i po krótkiej wymianie zdań rozeszli się w różnych kierunkach. Żaden z nich nie spuszczał wzroku z szefa. Jason poczekał, aż prom zbliży się do nabrzeża i pasażerowie rzucą się hurmem ku dziobowi w stronę wyjścia. Mijając w tłumie pierwszego członka obstawy powalił go potężnym ciosem w nerkę, a potem wyrzucił w tył głowy ciężkim mosiężnym przyciskiem do papierów; w półmroku nikt nie zwrócił na to uwagi. Bourne ruszył z powrotem, mijając po drodze puste ławki. Dopadł drugiego goryla, wcisnął mu lufę w brzuch i poprowadził na rufę. Tam przerzucił go przez reling i zepchnął za burtę dokładnie w tej samej chwili, gdy prom zagwizdał w ciemną noc i przybił do nabrzeża Koulunu. Dopiero wtedy Jason wrócił do oczekującego nań przy pustym oknie Chińczyka.

- Dotrzymał pan słowa - powiedział. - Ja niestety trochę się spóźniłem.
- To ty do mnie dzwoniłeś? - Chińczyk przyglądał się uważnie obdartej garderobie Bourne'a.
- Ja.
- Nie wyglądasz na kogoś, kto obraca pieniędzmi, o których mówiłeś przez telefon.
- Masz prawo tak sądzić. - Bourne wyciągnął zwitek amerykańskich banknotów, wśród których można było dostrzec tysiąc dolarowe nominały.
- Jesteś tym, za kogo się podajesz. - Chińczyk rzucił szybko okiem ponad jego ramieniem. - Czego chcesz? - zapytał z niepokojem w głosie.
- Informacji o najemniku, który nazywa siebie Jasonem Bour-ne'em.
- Skontaktowałeś się z niewłaściwą osobą.
- Hojnie zapłacę.

- Nie mam nic do sprzedania.

- Myślę, że masz. - Bourne schował pieniądze i wyciągnął broń, przysuwając się do swego rozmówcy. Na prom zaczęli wchodzić pasażerowie z Koulunu. - Albo powiesz mi to, co chcę wiedzieć za pieniądze, albo zrobisz to, żeby ratować życie.

- Wiem tylko jedno - protestował Chińczyk. - Moi ludzie nie tkną go palcem!

- Dlaczego?

- Bo to nie ten sam człowiek!

- Coś powiedział? - Jason wstrzymał oddech i pilnie obserwował swego rozmówcę.

- Podejmuje ryzyko, na jakie nigdy przedtem się nie ważył. - Chińczyk znowu lustrował teren za Bourne'em. Z czoła spływał mu pot. - Powrócił po dwóch latach. Kto wie, co się z nim w tym czasie działo? Alkohol, narkotyki, jakaś franca, którą zaraziły go kurwy, kto wie?

- Co masz na myśli mówiąc o ryzyku?

- Oto co mam na myśli! Facet odwiedza kabaret w Tsimshatsui. Akurat rozpętała się tam awantura, policja jest w drodze. Mimo to on wchodzi i zabija pięć osób. Mogli go wtedy złapać i namierzyć jego klientów. Nie zrobiliby czegoś takiego dwa lata temu.

- Powinieneś lepiej sobie przypomnieć kolejność zdarzeń - stwierdził Bourne. - Mógł wejść tam wcześniej, w przebraniu, i wszcząć awanturę. Zabija jako jedna osoba, a ucieka jako inna, korzystając z zamieszania.

Chińczyk popatrzył przez chwilę w oczy Jasonowi i nagle z większym przerażeniem niż przedtem spojrział ponownie na jego obdarte, luźne ubranie.

- Tak, to całkiem możliwe - powiedział drżącym głosem i wyciągnął szyję najpierw w lewo, potem w prawo.

- Jak można dotrzeć do tego Bourne'a? , - Nie wiem, przysięgam na duchy przodków! Dlaczego zadajesz mi te pytania?

- Jak? - powtórzył Jason pochylając się ku mężczyźnie, aż dotknęli się czołami. Pistolet wcisnął mu w podbrzusze. - Jeśli twoi ludzie nie mają zamiaru tknąć go palcem, to chyba wiesz, gdzie można by to zrobić, wiesz, gdzie go można znaleźć. No, gdzie?

- O chrześcijański Jezu!

- Nie wzywaj Jego imienia! Chodzi o Bourne'a!

- Makau! Ludzie szepczą, że ma swoją bazę w Makau, to wszystko, co wiem, przysięgam. - Facet rozglądał się w panice na wszystkie strony.

- Jeśli wypatrujesz członków swojej obstawy, możesz to sobie darować. Zaraz ci powiem, co się z nimi stało. Jednego otacza ten tłumek, a co się tyczy drugiego, to mam nadzieję, że umie pływać.

- Ci ludzie to... Kim jesteś?

- Sądzę, że już wiesz - odparł Bourne. - Idź na rufę i tam zostań. Jeśli ruszysz się stamtąd choćby na krok, zanim przycumujemy, nigdy już nie zrobisz następnego.

- O, Boże, to ty jesteś...

- Na twoim miejscu nie mówiłbym ani słowa więcej.

Przy drugim nazwisku figurował nietypowy adres. Mieściła się tam, przy Causeway Bay, restauracja specjalizująca się w klasycznej kuchni francuskiej. Wedle krótkich notatek Yao Minga drugi człowiek z listy uchodził za jej kierownika, ale w rzeczywistości był jej właścicielem, a wielu spośród jego kelnerów tak samo dobrze obchodziło się z rewolwerem, jak z tacą. Jego adres domowy nie był znany. Wszystkie swoje interesy załatwiał w restauracji i podejrzewano, że nie ma stałego miejsca zamieszkania. Bourne wrócił do hotelu Peninsula, zdjął marynarkę i kapelusz i szybko przeszedł przez zatłoczony hali kierując się do windy; elegancko ubrana para starała się ukryć szok, którego doznała na jego widok.

- Jestem poszukiwaczem skarbów. Trochę głupio to wygląda, nieprawdaż? - mruknął przepraszająco i szeroko się do nich uśmiechnął.

W pokoju pozwolił sobie na to, by na chwilę wejść z powrotem w skórę Dawida Webba. To był błąd. Nie potrafił potem rozumować tak jak Bourne. Znowu nim jestem. Muszę być. Tylko on wie, co robić. Ja nie!... Zmył pod prysznicem brud Miasta za Murami i przykrą wilgoć, którą przesiąknął na promie, usunął charakteryzującą z twarzy i przebrał się do późnego francuskiego obiadu.

Znajdę go, Marie! Przysięgam na Chrystusa, że go znajdę! Obietnicę składał Dawid Webb, ale to Jason Bourne wykrzyczał ją z siebie w furii.

Restauracja przypominała bardziej wytworny rokokowy salon na paryskim Boulevard Montaigne aniżeli parterową budowlę w Hongkongu. Pod sufitem wisały misterne żyrandole; z małych żaróweczek sączyło się przyćmione światło. Na stołach nakrytych najdelikatniejszym płótnem i zastawionych najwytworniejszym srebrem i kryształami migotały świece w szklanych kloszach.

- Obawiam się, że nie mamy dziś wieczór wolnych stolików, monsieur - oświadczył maitre, jedyny Francuz w zasięgu wzroku.

- Powiedziano mi, że mam zapytać o Jianga Yu i zaznaczyć, że to pilne - odparł Bourne pokazując mu studolarowy banknot. - Być może uda mu się coś dla mnie znaleźć, jeśli t o znajdzie drogę do jego kieszeni.

- Może i mnie uda się coś znaleźć, monsieur. - Maitre delikatnie uściśnął dłoń Jasona przejmując pieniądze. - Jiang Yu jest szanowanym członkiem naszej małej społeczności, ale to ja dokonuję wyboru. Comprenez- vous?

- Absolutement.

- Bien! Ma pan pociągającą twarz inteligentnego mężczyzny. Bardzo proszę tędy, monsieur.

Nie dane mu było zjeść obiadu; wypadki potoczyły się zbyt szybko. Kilka minut po podaniu drinka do stolika zbliżył się szczupły Chińczyk w czarnym garniturze. Jeśli różnił się czymś od innych, zauważył Dawid Webb, to ciemniejszym kolorem skóry i bardziej skośnymi oczami. W żyłach miał domieszkę krwi malezyjskiej. Przestań! - rozkazał Bourne. Te sprawy są teraz nieistotne!

- Pan o mnie pytał? - odezwał się kierownik, lustrując twarz przyglądającego mu się Bourne'a. - Czym mogę służyć?

- Przede wszystkim proszę usiąść.

- Siadanie razem z gośćmi jest niezgodne z regulaminem.

- Nie całkiem. Zwłaszcza jeśli jest pan właścicielem. Proszę siadać.

- Czy to kolejna przykra wizyta z Urzędu Podatkowego? Jeśli tak, to mam nadzieję, że będzie panu smakował obiad, za który zapłaci pan pełny rachunek. Moje księgi są w całkowitym porządku.

- Jeśli pan sądzi, że jestem Brytyjczykiem, to nie słuchał pan uważnie tego, co mówię. I jeśli określenie „przykra wizyta” oznacza, że nudzi pana suma pół miliona dolarów, to może pan natychmiast się stąd zabierać, a ja zjem w spokoju swój obiad. - Bourne oparł się o ściankę i lewą ręką podniósł drinka do ust. Prawą dłoń miał schowaną pod stołem.

- Kto pana przysłał? - zapytał Chińczyk siadając.

- Niech pan nie siada na samym skraju. Nie chcę się wydzierać na całe gardło.

- Tak, oczywiście. - Jiang Yu przysunął się bliżej i siedział teraz dokładnie naprzeciwko Bourne'a. - Muszę zadać panu jedno pytanie. Kto pana przysłał?

- Ja też muszę zadać panu jedno pytanie - odparł Jason. - Czy lubi pan amerykańskie filmy? Zwłaszcza westerny?

- Oczywiście. Amerykańskie filmy są piękne, a najbardziej podziwiam te z Dzikiego Zachodu. Tak poetycznie przedstawiają wątek zemsty i wymierzania sprawiedliwości. Użyłem chyba właściwych słów?

- Owszem, właściwych. Bo właśnie występuje pan w jednym z nich.

- Słucham?

- Mam tu pod stołem bardzo szczególny pistolet. Jego lufa wycelowana jest między pańskie nogi. - Jason odchylił obrus, na sekundę wyciągnął broń pokazując jej lufę i schował ją z powrotem. - Ma tłumik, który redukuje huk wystrzału z czterdziestki piątki do odgłosu wyskakującego korka szampana, ale mam na myśli tylko hałas, nie siłę rażenia. Liaojie ma?

- Liaojie... - odparł Chińczyk, dysząc ciężko ze strachu. - Pracuje pan dla Wydziału Specjalnego?

- Nie pracuję dla nikogo oprócz siebie samego.

- Nie istnieje żadne pół miliona dolarów, prawda?

- To zależy, na ile pan wycenia swoje życie.

- Dlaczego ja?

- Jesteś na liście - odparł szczerze Bourne.

- Do egzekucji? - wyszeptał Chińczyk i otworzył usta. Zmienił się na twarzy.

- To zależy od ciebie.

- Muszę panu zapłacić, żeby mnie pan nie zabił?

- Tak, w pewnym sensie.

- Nie noszę pół miliona dolarów w kieszeni! Ani nie mam tyle tutaj, w restauracji!

- Więc zapłać mi czym innym.

- Czym? Ile? Tracę przez pana głowę!

Informacje zamiast pieniędzy.

- Jakie informacje? - dopytywał się Chińczyk. Jego strach przechodził w panikę. - Jakie ja mogę mieć informacje? Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie?

- Ponieważ prowadzisz interesy z człowiekiem, którego chcę odnaleźć. Najemnikiem, który nazywa siebie Jasonem Bourne'em.

- Nie! Nic takiego nigdy nie miało miejsca!

Człowiek Wschodu zaczął się trząść. Żył na jego szyi nabrzmiały, a oczy po raz pierwszy umknęły przed spojrzeniem Jasona. Facet kłamał.

- Jesteś kłamcą - powiedział cicho Bourne. Pochylił się do przodu i wetknął prawą rękę głębiej pod stół. - Skontaktowałeś się z nim w Makau.

- W Makau, tak! Ale nie doszło do tego. Przysięgam na groby moich przodków!

- Za chwilę odstrzelę ci brzuch i będzie po tobie. Wysłano cię do Makau, żebyś się z nim skontaktował!

- Wysłano mnie, ale do niego nie dotarłem.

- Udowodnij to. Jak miałeś nawiązać kontakt?

- Przez Francuza. Miałem stać z zawiązaną na szyi czarną chustką u szczytu schodów prowadzących do spalonej bazyliki świętego Pawła na Calcadzie. Czekałem, aż podejdzie do mnie łącznik - Francuz - i powie coś na temat piękna tych ruin. Miałem wówczas powiedzieć: „Kain to Delta”. Gdyby odpowiedział: „A Carlos to Kain”, oznaczałoby to, że jest łącznikiem Jasona Bourne'a. Ale przysięgam, on nigdy...

Bourne nie słyszał dalszych zaklęć swego rozmówcy. W głowie miał łoskot wybuchów; jego umysł cofnął się w przeszłość. Oślepiło go białe światło, nie mógł znieść huku eksplozji. Kain to Delta, a Carlos to Kain... Kain to Delta! Delta Jeden to Kain! Meduza przystępuje do akcji; wąż zrzuca skórę. Kain jest w Paryżu i schwyta Carlosa! Tak brzmiały słowa, szyfr, wyzwanie rzucone Szakalowi. Jestem Kainem, jestem lepszy i jestem tutaj. Chodź, znajdź mnie, Szakalu! Pozwalam ci odnaleźć Kaina, bo on zabija lepszych od ciebie. Lepiej znajdź mnie, zanim ja znajdę ciebie, Carlosie. Nie możesz się równać z Kainem!

Dobry Boże! Któż po drugiej stronie świata znał te słowa? Któż mógł je znać? Były zamknięte w niedostępnych archiwach tajnych operacji. Miały bezpośredni związek z „Meduzą”.

Bourne o mało nie nacisnął spustu ukrytego pod stołem pistoletu, tak nagły był wstrząs, którego doznał, kiedy usłyszał tę niewiarygodną rewelację. Zwolnił spust i umieścił palec wskazujący za kabłąkiem;

omal nie zabił człowieka, który przekazał mu niezwykłą wiadomość. Ale jak? Jak to możliwe? Kim jest łącznik nowego „Jasona Bourne'a”, skoro wie o takich rzeczach?

Wiedział, że musi się opanować. Jego milczenie zdradzało go, zdradzało, że jest wytrącony z równowagi. Chińczyk przyglądał mu się bacznie; jego ręka skradała się za skraj przepierzenia.

- Cofnij rękę, bo odstrzelę ci jaja!

Ramię Chińczyka podskoczyło do góry. Ręka pojawiła się z powrotem na stole.

- Powiedziałem prawdę - oznajmił. - Francuz nigdy do mnie nie przyszedł. Gdyby to zrobił, wyznałbym panu wszystko. Pan postąpiłby tak samo na moim miejscu. Chronię wyłącznie siebie.

- Kto cię wysłał, żebyś nawiązał kontakt? Kto podał ci hasło?

- To naprawdę odbywa się za moimi plecami, musi mi pan wierzyć. Wszystko załatwiają przez telefon osoby drugie i trzecie, które znają tylko treść przekazywanej informacji. Dowodem sfinalizowania kontraktu jest nadejście funduszy, które stanowią moje wynagrodzenie.

- W jaki sposób nadchodzą? Ktoś musi ci je przekazywać.

- Ktoś, czyli nikt, osoba wynajęta. Jakiś nie znany gość, który po sutym obiedzie w liczonym towarzystwie chce się zobaczyć z kierownikiem. Ja przyjmuję jego podziękowania i w czasie rozmowy dostaję do ręki kopertę. Za skontaktowanie się z Francuzem miałem dostać dziesięć tysięcy amerykańskich dolarów.

- Co dalej? Jak nawiązuje się kontakt?

- Jedzie się do Makau, do kasyna Kam Pęk, w śródmieściu. Przychodzą tam głównie Chińczycy, którzy grają w Fantan i Dai Sui. Siada się przy stoliku numer pięć i zostawia numer telefonu jakiegoś hotelu w Makau i nazwisko - dowolne - byle nie własne, oczywiście

cie.

On dzwoni pod ten numer? Dzwoni albo i nie. Czeka się dwadzieścia cztery godziny w Makau. Jeśli Francuz przez ten czas nie zadzwoni, oznacza to, że odrzucił ofertę i że nie ma dla ciebie czasu.

- Takie są zasady?

- Tak. Mnie odmówiono dwukrotnie, a kiedy w końcu oferta została przyjęta, Francuz nie pojawił się na schodach Calcady.

- Dlaczego, twoim zdaniem, ci odmówiono? Jak sądzisz, dlaczego się nie pokazał?

- Nie mam pojęcia. Może miał już za dużo zleceń dla swojego mordercy. Może powiedziałem coś nie tak za pierwszym czy za drugim razem. A za trzecim może wydawało mu się, że widzi na Calcadzie jakieś podejrzanе osoby, ludzi, którzy, jego zdaniem, byli ze mną i mogli oznaczać kłopoty. Nie było tam oczywiście nikogo, ale w takich sprawach nie ma odwołania.

- Stolik numer pięć. Rozdający karty? - spytał Bourne.

- Rozdający ciągle się zmieniają. Chodzi o numer stolika. Opłatę wnosi się w ciemno, tak sędzę. Do podziału. Oczywiście sam łącznik nie pojawia się w Kam Pęk; wynajmuje w tym celu jakąś dziwkę z ulicy. Jest bardzo ostrożny, prawdziwy z niego profesjonalista.

- Czy znasz jeszcze kogoś, kto próbował skontaktować się z tym Bourne'em? - spytał Bourne. - Jeśli skłamię, będę o tym wiedział.

- Wierzę. Jest pan opętany - choć to oczywiście nie moja sprawa - i przyłapał mnie pan na pierwszym kłamstwie. Nie, nie znam nikogo. Mówię prawdę, naprawdę nie chcę, żeby przy odgłosie wyskakującego korka od szampana wyszły ze mnie wnętrzności.

- Utrafiłeś w samo sedno. Sędzę, że ci wierzę, jak powiedział kiedyś ktoś inny.

- Proszę mi wierzyć, sir. Jestem tylko kurierem, droгим być może, ale tylko kurierem.

- Powiedziano mi, że twoi kelnerzy są czymś więcej.

- Nie okazali się specjalnie spostrzegawczy.

- Mimo to i tak odprowadzisz mnie do drzwi.

A. teraz trzecie nazwisko, trzeci człowiek z listy - w strumieniach ulewy, która rozszalała się nad Repulse Bay.

Łącznik odpowiedział na hasło: „Ecouchez, monsieur. Kain to Delta, a Carlos to Kain”.

- Mieliśmy się spotkać w Makau - wrzasnął przez telefon. - Gdzie się pan podziewał?

- Byłem zajęty - odparł Jason.

- Być może jest już za późno. Mój klient ma bardzo mało czasu i dużo wie. Słyszał, że pański człowiek wyjechał na akcję. To go zaniepokoiło. Obiecał mu pan przecież, Francuzie!

- Dokąd, jego zdaniem, udał się mój człowiek?

- Wykonać inne zlecenie, oczywiście. Mój klient zna szczegóły!

- Pański klient się myli. Mój człowiek jest do dyspozycji, jeśli zgadzacie się na cenę.

- Niech pan zadzwoni do mnie za kilka minut. Porozmawiam z moim klientem i zobaczę, czy sprawa jest nadal aktualna.

Bourne zadzwonił po pięciu minutach. Porozumienie zostało zawarte, ustalono warunki spotkania. Repulse Bay. Za godzinę. Posąg boga wojny, w połowie drogi na plażę, po lewej stronie, patrząc w kierunku nabrzeża. Łącznik będzie miał zawiązaną wokół szyi czarną chustkę; hasło pozostaje to samo.

Jason spojrział na zegarek; od umówionej pory minęło dwanaście minut. Łącznik spóźnił się, a przecież desze? nie stanowił problemu, przeciwnie, był czynnikiem sprzyjającym, ponieważ dawał dodatkową osłonę. Bourne sprawdził w promieniu kilkunastu metrów każdy skrawek miejsca spotkania, z którego widać było posąg bożka, i robił to nadal, gdy minęła wyznaczona pora, obserwując prowadzącą do posągu ścieżkę. Jak dotąd wszystko było w porządku. Nikt nie zastawił pułapki.

W polu widzenia pojawił się Zhongguo ren. Zbiegał po stopniach przygarbiony, jakby kształt jego ciała mógł stanowić najlepszą osłonę przed deszczem. Ruszył ścieżką w stronę posągu i zatrzymał się przy ogromnej, szczerzącej zęby postaci. Kiedy znalazł się na chwilę w świetle reflektorów, można było dostrzec tylko jego wykrzywioną gniewem twarz - nikogo nie zobaczył.

- Francuzie! Francuzie!

Bourne ruszył z powrotem przez zarośla w stronę schodów. Ponownie sprawdzał teren, chcąc zminimalizować zagrożenie. Okrążył gruby, ustawiony przy końcu schodów kamienny słupek i wpatrywał się poprzez ścianę deszczu w ścieżkę na górze. Zobaczył to, czego miał nadzieję nie ujrzeć. Z podupadłego hotelu Colonial wyszedł szybkim krokiem mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym i kapeluszu. W połowie drogi do schodów zatrzymał się i wyciągnął coś z kieszeni. Obrócił się i w jego dłoni zamigotało światółko. W odpowiedzi na nie natychmiast pojawił się słaby błysk w jednym z okien zatłoczonego hallu. Kieszonkowe latarki. Sygnały. Zwiadowca wyruszył na wysunięty posterunek, a jego łącznik albo pomocnik potwierdzał łączność. Jason obrócił się i wrócił tą samą ścieżką, którą przedarł się tutaj przez mokre zarośla.

- Francuzie, gdzie jesteś?

- Tutaj!

- Dlaczego nie odpowiadałeś? Gdzie?

- Dokładnie przed tobą. W krzakach naprzeciwko. Pospiesz się! Łącznik zbliżył się do zarośli; znajdował się teraz na wyciągnięcie ręki. Bourne skoczył, złapał go, wykręcił mu ramię do tyłu i popchnął dalej w mokre krzaki, lewą dłonią zatykając mu jednocześnie usta.

- Ani słowa, jeśli chcesz żyć!

Dziesięć metrów dalej, w nadmorskim zagajniku, Jason rozpląszczył łącznika na pniu drzewa.

- Kto jest z tobą? - zapytał chrapliwie, odsłaniając mu powoli usta.

- Ze mną? Nikogo ze mną nie ma!

- Nie kłam! - Bourne wyciągnął pistolet i przyłożył go łącznikowi do gardła. Chińczyk walnął głową o pień, oczy miał rozszerzone, usta rozwarte.

- Nie mam czasu na podchody! - mówił dalej Jason. - Nie mam czasu!

- Nikogo ze mną nie ma! W tych sprawach od mojego słowa zależy moje życie! Na tym polega mój fach!

Bourne przypatrzył się Chińczykowi. Schował broń za pasek, złapał łącznika za ramię i pchnął go w prawo.

- Zachowuj się cicho. Chodź ze mną.

Dziewięćdziesiąt sekund później Jason razem z łącznikiem wynurzyli głowy z ociekających wodą zarośli mniej więcej sześć metrów na zachód od potężnego bożka. Ulewa tłumiła wszystkie hałasy, które byłyby słyszalne podczas suchej nocy. Nagle Bourne złapał Chińczyka za ramię zatrzymując go w miejscu. Przed nimi widać było trzymającego się skraju ścieżki, zgiętego wpół zwiadowcę z pistoletem w dłoni. Na moment zalało go światło skierowanego na posąg reflektora; trwało to tylko chwilę, ale wystarczyło.

Chińczyk zbaraniał. Nie mógł oderwać wzroku od tego miejsca, w którym w snopie światła pojawił się przed chwilą zwiadowca. Nagle opadły go złe myśli i ogarnęło przerażenie; widać to było po jego oczach.

- Shi - szepnął. - Jiagian\

- Mówiąc krótko i dosadnie po angielsku - stwierdził Jason - ten człowiek to kat?

- Shi\ Tak.

- Powiedz, coś mi przyniósł.

- Wszystko - odparł łącznik, wciąż w szoku. - Zaliczkę, instrukcje... wszystko.

- Klient nie przysyła pieniędzy, jeśli ma zamiar zabić człowieka, którego wynajmuje.

- Wiem - powiedział cicho łącznik, kiwając głową i zamykając oczy. - To ja jestem tym, którego chcą zabić.

Prorocze okazało się to, co powiedziałem Liangowi na portowej estakadzie, pomyślał Bourne. To nie na mnie zastawili pułapkę... To na ciebie. Wykonałeś swoją robotę, a im nie wolno zostawiać za sobą żadnych siadów... Już im jesteś niepotrzebny.

- Jest jeszcze jeden, w hotelu. Widziałem, jak dawali sobie sygnały latarkami. Dlatego właśnie nie mogłem przez kilka minut ci odpowiedzieć.

Człowiek Wschodu obrócił się i spojrzął na Jasona; w jego oczach nie było użalania się nad sobą.

- Ryzyko zawodowe - powiedział po prostu. - Jak powiadają moi głupi ziomkowie, kiedyś dołączę do swoich przodków i mam nadzieję, że oni nie okażą się tacy głupi. Proszę - sięgnął do kieszeni i wyciągnął kopertę. - Tu jest wszystko.

- Sprawdziłeś?

- Tylko pieniądze. Nie spotkałbym się z Francuzem nie mając pewności, że przynoszę tyle, ile zażądał. Reszta mnie nie obchodzi. - Nagle Chińczyk spojrzął ostro na Bourne'a i zamrugał oczami w deszczu.

- Ale ty nie jesteś Francuzem!

- Spokojnie - odparł Jason. - Spotyka cię dzisiaj dużo niespodzianek.

- Kim jesteś?

- Kimś, kto wynurzył się z krzaków tam, gdzie stałeś. Ile pieniędzy mi przyniosłeś?

- Trzydzieści tysięcy amerykańskich dolarów.

- Jeśli to tylko zaliczka, ofiarą musi być ktoś ważny.

- Domyślam się.

- Zatrzymaj je.

- Co? Co powiedziałaś?

- Nie jestem Francuzem, pamiętasz?

- Nie rozumiem.

- Nie chcę nawet instrukcji. Jestem pewien, że ktoś, kto jest takim profesjonalistą jak ty, potrafi z nich skorzystać. Człowiek płaci dużo za informacje, które mogą mu się przydać; o wiele więcej płaci za swoje życie.

- Dlaczego to robisz?

- Ponieważ żadna z tych rzeczy mnie nie obchodzi. Interesuje mnie tylko jedno. Chcę człowieka, który nazywa siebie Bourne'em, i nie mogę marnować czasu. Dostaniesz to, co właśnie ci zaproponowałem, oraz dywidendę - wydostanę cię stąd żywego, nawet jeśli będę musiał zostawić tutaj w zatoce dwa trupy. Ale musisz mi odpowiedzieć na pytanie, które zadałem ci przez telefon. Mówiłeś, że twój klient ci powiedział, iż morderca działa gdzieś indziej. Gdzie? Gdzie jest Bourne?

- Mówisz tak szybko...

- Jak już powiedziałem, nie mam czasu. Powiedz! Jeśli odmówisz, zostawię cię tutaj i twój klient cię zabije. Wybieraj.

- Shenzhen - szepnął łącznik, jakby wystraszyła go sama nazwa.

- W Chinach? Kontrakt dotyczy kogoś w Shenzhen?

- Można się tego tylko domyślać. Mój bogaty klient ma informatorów przy Queen's Road.

- Co się tam mieści?

- Konsulat Chińskiej Republiki Ludowej. Wydano tam ostatnio bardzo nietypową wizę. Sprawa została najwyraźniej załatwiona na najwyższym szczeblu w Pekinie. Informator nie wiedział dlaczego, a kiedy zakwestionował tę decyzję, został szybko przeniesiony do innej sekcji. Doniósł o tym memu klientowi. Za pieniądze, oczywiście.

- Dlaczego wiza była taka nietypowa?

- Ponieważ klient nie musiał w ogóle czekać. Nie musiał nawet zjawić się w konsulacie. O czymś takim nigdy tam nie słyszano.

- A jednak to tylko wiza.

- W Republice Ludowej nie ma takiej rzeczy jak „tylko wiza”. Zwłaszcza dla białego mężczyzny podróżującego samotnie i legitymującego się podejrzanym, wydanym w Makau paszportem.

- Makau?

- Tak.

- Jaka jest data wjazdu?

- Jutro. Przejście graniczne w Luohu. Jason przyjrzał się łącznikowi.

- Powiedziałaś, że twój klient ma swoich ludzi w konsulacie? A ty?

- To, o czym pan myśli, będzie kosztować mnóstwo pieniędzy. Ryzyko jest kolosalne.

Bourne uniósł głowę i spojrzał poprzez ścianę deszczu na skąpanego w świetle bożka. Coś się tam poruszyło; zwiadowca szukał swojej ofiary.

- Zaczekaj tutaj - powiedział Jason.

Wczesny poranny pociąg z Koulunu jechał do Luohu nieco ponad godzinę. Samo przejście na drugą stronę granicy nie zajęło Jasonowi więcej niż dziesięć sekund.

Niech żyje Chińska Republika Ludowa!

Wykrzyknik był niepotrzebny - strażnicy graniczni świetnie go zastępowali. Byli surowi, czujni i obraźliwi; przybijali swoje pieczęcie w paszportach z furią wrogo nastawionych wobec całego świata dorastających młodzieńców. Zorganizowano jednak coś, by naprawić owo wrażenie. Za strażnikami stała falanga uśmiechniętych młodych kobiet w mundurach. Przed sobą miały długie stoły ze stosami folderów sławiących piękno i zalety ich kraju i systemu. Jeśli w ich pozie była jakaś hipokryzja, nie sposób było jej dostrzec.

Bourne zapłacił za wizę zdradzonemu, napiętnowanemu łącznikowi siedem tysięcy dolarów. Była ważna na pięć dni. Jako cel wizyty podano „inwestycje gospodarcze w Specjalnej Strefie Ekonomicznej”. Można ją było przedłużyć w biurze imigracyjnym w Shenzhen po przedstawieniu zaświadczenia o dokonaniu inwestycji i w obecności chińskiego bankiera, przez którego miały przechodzić pieniądze. W dowód wdzięczności, i bez dodatkowej opłaty, łącznik podał mu nazwisko bankiera z Shenzhen, który mógł bez większych trudności doradzić „panu Cruettowi”, gdzie ulokować pieniądze, wiedząc, że rzeczony pan Cruett wciąż zameldowany jest w hotelu Regent w Hongkongu. Na koniec była jeszcze specjalna premia od Chińczyka, któremu uratował życie nad Repulse Bay - rysopis mężczyzny, który miał przekroczyć granicę w Luohu legitymując się wydanym w Makau paszportem: ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, około osiemdziesięciu kilogramów wagi, rasy białej, jasnobrązowe włosy. Jason czytał ten opis i

podświadomie stanęły mu przed oczyma dane z jego własnej rządowej karty identyfikacyjnej: „wzrost: 183 cm, waga 81 kg, biały mężczyzna, włosy: j. brąz.”. Opanowało go dziwne uczucie lęku. Nie strach przed konfrontacją; chciał jej nade wszystko, ponieważ nade wszystko pragnął odzyskać Marie. Powodem przerażenia był fakt, że oto w jakiś sposób udało mu się stworzyć potwora: mordercę, który rozwinął się z udoskonalonego w jego ciele i umyśle śmiertelnościanego wirusa.

Był to pierwszy poranny pociąg z Koulunu. Wśród pasażerów przeważali wykwalifikowani robotnicy i personel kierowniczy, którym Chińska Republika Ludowa zezwoliła na wjazd - a może raczej zwabiła - do wolnej strefy ekonomicznej Shenzhen w nadziei przyciągnięcia zagranicznego kapitału. Mijali kolejne przystanki, przybywało pasażerów. Na każdej stacji Bourne przechodził przez wszystkie wagony, przypatrując się krótko, lecz uważnie każdemu z białych mężczyzn, których do przyjazdu do Luohu naliczył w sumie czternastu. Żaden nawet w przybliżeniu nie pasował do rysopisu człowieka z Makau - jego własnego rysopisu. Nowy „Jason Bourne” przyjedzie widać późniejszym pociągiem. Ten oryginalny zaczeka na niego po drugiej stronie granicy. Czekał już teraz.

W ciągu czterech godzin, które minęły, szesnaście razy wyjaśniał dopytującym się urzędnikom granicznym, że oczekuje swego współnika;

że źle odczytał rozkład jazdy i wybrał zbyt wczesny pociąg. Podobnie jak w każdym obcym kraju, ale szczególnie na Wschodzie, fakt, że uprzejmy Amerykanin zadaje sobie trud porozumienia się w miejscowym języku, przemawiał zdecydowanie na jego korzyść. Sześć razy zaoferowano mu filiżankę kawy, siedem razy gorącą herbatę. Dwie umundurowane dziewczyny z chichotem wręczyły mu przesłodzone chińskie lody w waflu. Przyjmował wszystko - inaczej okazałyby się nieuprzejmy - a ponieważ większość członków Bandy Czwojga straciła nie tylko twarze, ale i głowy, nieuprzejmość była wykluczona, z wyjątkiem naturalnie strażników granicznych.

Była 11.10. Po załatwieniu formalności pasażerowie wysypywali się z długiego ogrodzonego przejścia na zewnątrz. W większości byli to turyści, w większości biali, w większości oszołomieni i przejęci grozą. Wchodzili na ogół w skład małych grup turystycznych. Każdej z nich towarzyszyli dwaj przewodnicy - jeden z Republiki Ludowej i jeden z Hongkongu - mówiący dość dobrze po angielsku, niemiecku albo francusku, bądź też z niechęcią po japońsku, kiedy obsługiwali szczególnie nielubianych turystów, którzy posiadali jednak więcej pieniędzy niż Marks i Konfucjusz razem wzięci. Jason przypatrywał się każdemu białemu mężczyźnie. Ci z nich, którzy mieli ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, byli na ogół zbyt starzy albo zbyt młodzi, zbyt tędzy lub szczupli, wreszcie, jak na człowieka z Makau, zbyt rzucający się w oczy w swoich oliwkowozielonych albo cytrynowożółtych spodniach.

Poczekaj! Tam! Starszy, średniego wzrostu mężczyzna w brązowym gabardynowym garniturze, który wydawał się utykać na jedną nogę, nagle zrobił się dużo wyższy - i już nie kulał! Zbiegł szybko po stopniach przez środek tłumu i ruszył w stronę rozległego parkingu, na którym stały autobusy, mikrobusy i kilka taksówek, każda z widocznym na przedniej szybie napisem zhan - zajęty. Bourne puścił się za nim w pogoń. Przedzierał się przez tłum, nie dbając o to, czy kogoś nie potrąci. To był ten człowiek - człowiek z Makau!

- Hej, czyś pan oszalał? Raiph, on mnie popchnął!
- No to go odepchnij. Czego ode mnie chcesz?
- Zrób coś!
- Już go nie ma.

Mężczyzna w gabardynowym garniturze wskoczył przez otwarte drzwi do środka ciemnozielonego mikrobusu z przyciemnionymi szybami, który, jeśli wierzyć wymalowanemu z boku chińskim znakom, należał do Rezerwatu Ptaków Chutang. Drzwi zasunęły się i pojazd natychmiast ruszył. Zarzucając przy wymijaniu innych samochodów, skierował się ku drodze wyjazdowej z parkingu. Bourne szalał; nie mógł pozwolić mu się teraz wymknąć! Po prawej stronie stała stara taksówka z zapuszczonym silnikiem. Kiedy otworzył drzwiczki, powitał go wrzask.

- Zhan! - darł się kierowca.

- Shi ma? - ryknął Jason wyciągając z kieszeni wystarczająco dużo amerykańskich pieniędzy, by zapewnić tamtemu pięć lat dobrobytu w Republice Ludowej.

- Aiya!

- Zou! - zakomenderował Bourne wskakując na przednie siedzenie i pokazując mikrobus, który wchodził właśnie w zakręt. - Nie zgub go, a będziesz mógł otworzyć własny biznes w strefie - powiedział w dialekcie kantońskim. - Masz na to moje słowo!

Marie! Jestem tak blisko! Wiem, że to on. Złapię go. Jest teraz mój! Jest naszym wybawieniem!

Na pierwszym skrzyżowaniu mikrobus skręcił z drogi wyjazdowej na południe, omijając wielki plac wypełniony autokarami i tłumem kręcących się wokół nich turystów. Jechał ostrożnie ze względu na nie kończący się strumień rowerzystów na ulicach. Taksówka dogoniła mikrobus na prymitywnej autostradzie, pokrytej w większym stopniu stwardniałą gliną aniżeli asfaltem. Widzieli przed sobą, jak pojazd z przyciemnionymi szybami wchodzi w długi zakręt. Za nim jechała ciężarówka wyładowana ciężkim sprzętem rolniczym. Przy końcu zakrętu stał turystyczny autokar, który wtoczył się na szosę tuż za nią.

Bourne obserwował drogę przed mikrobusem; zaczynały się pagórki, szosa wznosiła się. Pojawił się następny autokar, tym razem za nimi.

- Shenzhen Shuiku - oznajmił kierowca.

- Bin do? - zapytał Jason.

- Zbiornik wodny Shenzhen Shuiku - odparł po chińsku szofer. - Bardzo piękne jezioro, jedno z najwspanialszych w całych Chinach. Woda płynie stamtąd na południe do Koulunu i Hongkongu. Bardzo dużo turystów o tej porze roku. Jesienią są tam wspaniałe widoki.

Nagle mikrobus przyspieszył, oderwał się od ciężarówki i autokaru i pędził szybko stromą szosą.

- Nie możesz jechać szybciej? Wyprzedź ten autokar i ciężarówkę!

- Przed nami jest wiele zakrętów.

- Spróbuj!

Kierowca wcisnął gaz do dechy i wyprzedził autokar. Kiedy wracał na swój pas, wypukła maska taksówki niemal otarła się o nadjeżdżającą z przeciwka półciężarówkę, w kabinie której siedziało dwóch żołnierzy. Zarówno żołnierze, jak i przewodnicy w autokarze obrzucili ich przekleństwami przez otwarte okna swoich pojazdów.

- Dmuchajcie swoje garbate matki! - odpowiedział im przepełniony triumfem kierowca, ale mina mu zrzędła, kiedy ujrzał tuż przed sobą szeroką, wyładowaną sprzętem rolniczym ciężarówkę,

która blokowała drogę.

Wchodzili w ostry zakręt w prawo. Bourne chwycił się okna i wychylił najdalej jak mógł, żeby sprawdzić, czy nic nie nadjeżdża z przeciwka.

- Droga wolna! - wrzasnął do kierowcy przekrzykując porywisty wiatr. - Dalej! Możesz wyprzedzać! Teraz!

Kierowca usłuchał go, wyciskając ze starej taksówki ostatnie siły. Opony ślizgały się po pokrytej stwardniałą gliną nawierzchni. Tuż przed ciężarówką taksówkę niebezpiecznie zarzuciło. Kolejny zakręt, tym razem ostro w lewo i coraz bardziej stromo pod górę. Mieli przed sobą dłuższy odcinek wznoszącej się, prostej drogi. Mikrobusu nie było nigdzie w zasięgu wzroku; zniknął za szczytem wzgórza.

- Kuai! - krzyknął Bourne. - Nie możesz zmusić tego przeklętego gruchota, żeby jechał szybciej?

- Nigdy nie jechał tak szybko! Obawiam się, że diablo-diablo złe duchy wysadzą w powietrze silnik! I co ja wtedy pocznę? Pięć lat oszczędzałem, żeby kupić tę przeklętą maszynę. Wiele przeklętych łapówek kosztowało mnie, żeby jeździć w strefie.

Jason rzucił garść banknotów na podłogę tuż przy nodze kierowcy.

- Dostaniesz dziesięć razy tyle, jeśli złapiemy ten mikrobus. Teraz jedź!

Taksówka wspięła się triumfalnie na szczyt wzgórza i pognęła w dół skrajem olbrzymiej górskiej doliny, na dnie której znajdowało się wielkie, mające kilka kilometrów długości jezioro. Na horyzoncie Bourne widział pokryte śniegiem szczyty gór. Z lazurowych rozciągających się gdzie okiem sięgnąć wód jeziora wynurzały się zielone wyspy. Taksówka zatrzymała się przy dużej czerwonozłotej pagodzie, do której prowadziły długie betonowe schody. Jej tarasy przeglądały się w tafli jeziora. Na skraju parkingu stłoczone były stragany z napojami i sklepy z pamiątkami. Stały tam cztery autokary; dublujący się przewodnicy wykrzykiwali informacje i błagali swoich podopiecznych, żeby nie pomylili autokarów po powrocie ze spaceru.

Nigdzie nie było widać mikrobusu z ciemnymi szybami. Bourne rozglądał się gorączkowo na wszystkie strony. Gdzie on się podział?

- Dokąd prowadzi ta droga? - spytał kierowcę.

- Do stacji pomp. Nie wolno tamtędy jeździć, patroluje ją wojsko. Za zakrętem jest wysokie ogrodzenie i budka strażnika.

- Zaczekaj tutaj.

Jason wyskoczył z taksówki i ruszył w stronę zakazanej drogi, żałując, że nie ma przy sobie aparatu fotograficznego albo przewodnika - czegoś, z czym wyglądałby jak turysta. A tak mógł co najwyżej udawać niepewny chód wycieczkowicza, który gapi się na wszystko z zachwytem. Przyglądał się bacznie otoczeniu, ponieważ każda rzecz mogła okazać się ważna. Zbliżył się do zakrętu kiepsko wyasfaltowanej drogi, skąd zobaczył wysokie ogrodzenie i fragment budki strażniczej, a potem całą budkę. Drogę zagradał długi metalowy szlaban; dwaj odwróceni do Jasona plecami żołnierze rozmawiali ze sobą, patrząc w przeciwną stronę - tam gdzie przed kwadratowym, pomalowanym na brązowo betonowym budynkiem stały dwa zaparkowane obok siebie pojazdy. Jednym z nich był mikrobus z przyciemnionymi szybami, drugim - brązowy samochód osobowy. Mikrobus właśnie ruszał. Kierował się z powrotem ku bramie!

Bourne błyskawicznie rozważył sytuację. Nie miał broni; bez sensu było nawet myśleć o przemycaniu jej przez granicę. Jeśli spróbuje zatrzymać mikrobus i wywlec z niego zabójcę, hałas zaalarmuje strażników, którzy dysponowali szybkostrzelnymi i celnymi karabinami. Dlatego musiał sprawić, żeby człowiek z Makau opuścił mikrobus z własnej woli. Z resztą Jason sobie poradzi; w ten czy inny sposób dopadnie swego sobowtóra. W ten czy inny sposób doprowadzi go do granicy - i przemyci na drugą stronę. Nie miał godnego siebie przeciwnika; niczyje oczy, gardło ani pachwina nie były bezpieczne od jego szybkich, zadających potworny ból uderzeń. Dawid Webb nigdy nie zmierzył się z rzeczywistością. Bourne nigdy nie robił nic innego.

Był pewien sposób!

Jason pobiegł z powrotem na początek zakrętu, tam skąd nie było widać żołnierzy i budki strażniczej. Ponownie przybrał pozę oczarowanego widokami turysty i nasłuchiwał. Silnik mikrobusu pracował na wolnym biegu; zgrzyt oznaczał, że żołnierze podnoszą do góry szlaban. Teraz już tylko kilka chwil. Bourne zajął pozycję w zaroślach na skraju szosy. Kiedy mikrobus wjechał w zakręt, Jason zaczął odliczać sekundy, jakie pozostały mu do rozpoczęcia akcji.

Nagle znalazł się tuż przed nadjeżdżającym pojazdem. Z wyrazem przerażenia na twarzy uskoczył w bok, poniżej przedniej szyby, po czym walnął otwartą dłoń w drzwi, wydając przy tym okrzyk bólu, tak jakby został uderzony, a być może nawet zabity. Legł na wznak na ziemi. Mikrobus zatrzymał się. Wskoczył z niego kierowca przekonany o swojej niewinności i gotów jej dowodzić. Nie miał jednak sposobności, by to uczynić. Jason wyciągnął rękę, chwycił go za przegub i szarpnął tak mocno, że kierowca walnął głową prosto w boczną ścianę mikrobusu. Nieprzytomnego mężczyznę Bourne powłókł za mikrobus, poniżej przyciemnionych okien. W jego kurtce zobaczył wyrzuczenie; pod spodem był pistolet - zrozumiałe, skoro wiozł takiego pasażera. Jason zabrał broń i czekał na człowieka z Makau.

Tamten nie pojawiał się. To nie było logiczne.

Bourne przekradł się na czworakach pod drzwi po stronie kierowcy. Złapał za wyłożony gumą stopień i wyprostował się z bronią gotową do strzału, wodząc lufą po tylnych siedzeniach.

Nikogo. Mikrobus był pusty.

Zeskoczył ze stopnia i wrócił do kierowcy. Napluł mu na twarz i klepiąc po policzkach pomógł odzyskać przytomność.

- Nali? - spytał ostrym szeptem. - Gdzie jest człowiek, którego wiozłeś?

- Został tam! - odparł kierowca w dialekcie kantońskim i potrząsnął głową. - W służbowym samochodzie, z kimś, kogo nikt nie zna. Oszczędź moje nieszczęsne życie. Mam siedmioro dzieci.

- Siadaj za kierownicą - powiedział Bourne podnosząc go na nogi i wpychając w otwarte drzwi. - Zjeżdżaj stąd najszybciej, jak tylko potrafisz.

Nie musiał mówić nic więcej. Mikrobus przemknął obok parkingu zarzucając na zakręcie z taką szybkością, że obserwującemu go Bourne'owi wydawało się, że wyłamie barierkę i wpadnie do jeziora. Ktoś, kogo nikt nie zna. Co to oznaczało? Nieważne, człowiek z Makau znajdował się w potrzebie. Siedział w brązowym samochodzie, za bramą, do której wiodła zakazana droga. Bourne pognął z powrotem do taksówki i wskoczył na przednie siedzenie; z podłogi zniknęły rozrzucone pieniądze.

- Jest pan zadowolony? - zapytał kierowca. - Czy dostanę dziesięć razy tyle, ile upuścił pan na

moje niegodne stopy?

- Skończ z tym, Charlie Chan! Z drogi prowadzącej do stacji pomp wyjedzie samochód. Będiesz robił dokładnie to, co ci powiem. Rozumiesz?

- Czy pan zdaje sobie sprawę, ile to będzie dziesięć razy tyle, ile zostawił pan w mojej starej, niepozornej taksówce?

- Zdaję sobie sprawę. Może być i piętnaście razy tyle, jeśli zrobisz to, co do ciebie należy. A teraz ruszaj. Stań na skraju parkingu. Nie wiem, jak długo będziemy musieli czekać.

- Czas to pieniądz, sir.

- Och, zamknij się!

Czekali raptem dwadzieścia minut. Brązowy samochód pojawił się u wylotu drogi i Bourne ujrzał to, czego nie dostrzegł wcześniej; jego szyby były jeszcze bardziej przyciemnione niż te w mikrobusie;

ktokolwiek znajdował się w środku, był niewidoczny. A potem Jason usłyszał słowa, których najmniej się spodziewał.

- Niech pan zabierze swoje pieniądze - odezwał się cicho kierowca. - Zawiozę pana z powrotem do Luohu. Nigdy pana nie widziałem.

- Dlaczego?

- To samochód rządowy, oficjalna rządowa limuzyna. Nie odważę się jej śledzić.

- Poczekaj chwilę! Tylko chwilę. Dam ci dwadzieścia razy tyle, ile już dostałeś, plus dodatkowa premia, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Dopóki nie powiem inaczej, możesz trzymać się na dużą odległość. Jestem tylko turystą, który chce się trochę rozejrzeć. Nie, zaczekaj. Zobacz tutaj, mogę ci pokazać! W mojej wizie jest napisane, że inwestuję tu pieniądze. Inwestorom wolno się trochę rozejrzeć.

- Dwadzieścia razy? - upewnił się kierowca wlepiając oczy w Jasona. - Jaką mam gwarancję, że dotrzyma pan obietnicy?

- Położę pieniądze na siedzeniu między nami. Ty prowadzisz; możesz zrobić dużo rzeczy z samochodem, dużo rzeczy, na które nie jestem przygotowany. Nie będę próbował ich odzyskać.

- Dobrze. Ale będę się trzymał z daleka. Znam tutejsze drogi. Nie wszędzie można tutaj jeździć.

Trzydzieści pięć minut później wciąż mieli na oku wyprzedzający ich znacznie brązowy samochód.

- Jadą na lotnisko - stwierdził kierowca.

- Jakie lotnisko?

- Przeznaczone dla dygnitarzy rządowych i bogatych ludzi z południa.

- Ludzi, którzy inwestują tu w fabryki, w przemysł?

- Znajdujemy się w Specjalnej Strefie Ekonomicznej.

- Jestem inwestorem - powiedział Bourne. - Tak mam napisane w wizie. Pospiesz się! Zbliź się do niego!

- Między nami jest pięć pojazdów, no i uzgodniłmy przecież, że będę się trzymał z daleka.

- Dopóki nie powiem inaczej. Teraz jest inaczej. Mam pieniądze. Inwestuję w Chinach!

- Zatrzymają nas przy bramie. Będą telefonować.

- Znam nazwisko bankiera w Shenzhen!

- Ale czy on zna pańskie nazwisko, sir? I ma listę chińskich przedsiębiorstw, z którymi robi pan interesy? Jeśli tak, może pan się wdać w rozmowę przy bramie. Ale jeśli ten bankier w Shenzhen wcale pana nie zna, to zostanie pan zatrzymany za podanie fałszywych informacji. Posiedzi pan w Chinach, póki nie zakończy się w pańskiej sprawie dokładne śledztwo. Tygodnie, może miesiące.

- Muszę być blisko tego samochodu!

- Jeśli się pan do niego zbliży, zastrzelą pana.

- Niech to diabli wezmą! - zaklął Jason po angielsku i natychmiast przeszedł na chiński. - Słuchaj, co mówię. Nie mam czasu na wyjaśnienia, muszę go zobaczyć!

- To nie moja sprawa - odparł ostrożnie kierowca.

- Jedź do bramy - rozkazał Bourne. - Jestem pasażerem, który cię wynajął w Luohu, to wszystko. Ja będę mówił.

- Prosi pan o zbyt wiele. Nie chcę być widziany z kimś takim jak pan.

- Rób, co każe - powiedział Jason wyciągając zza paska pistolet.

Bourne stał przy wielkim oknie, z którego rozciągał się widok na lotnisko. Serce waliło mu tak mocno, że nie mógł tego wytrzymać. Dworzec był mały i tylko dla uprzywilejowanych pasażerów. Widok zachowujących się nonszalancko zachodnich biznesmenów z dyplomatami i rakietami tenisowymi w ręku wyprowadzał Jasona z równowagi, kiedy spoglądał na stojących obok, sztywno wyprostowanych strażników w mundurach. Olej i woda najwyraźniej mieszały się tu ze sobą.

Wyłożył po angielsku sprawę tłumaczowi, który wyjaśnił wszystko dokładnie dowódcy straży. Przedstawił się jako zdezorientowany menedżer, którego poinformowano w konsulacie przy Queen's Road, że ma się spotkać na tutejszym lotnisku z dygnitarzem przylatującym z Pekinu. Zapomniał jego nazwiska, ale spotkali się kiedyś przelotnie w Departamencie Stanu w Waszyngtonie i na pewno się rozpoznają. Dał do zrozumienia, że spotkanie to oczekiwane jest z dużą przychylnością przez ważne osoby w samym Komitecie Centralnym. Otrzymał przepustkę uprawniającą do przebywania na lotnisku, na koniec zaś zapytał, czy może zatrzymać swoją taksówkę, w razie gdyby był mu potrzebny później jakiś środek transportu. Udzielono mu na to zgody.

- Jeśli chcesz dostać swoje pieniądze, to zostaniesz - powiedział po kantońsku do kierowcy, zabierając zwitek banknotów z siedzenia.

- Ma pan broń i złe oczy. Zabije pan kogoś. Jason przyjrzał się kierowcy.

- Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to zabić tego człowieka w samochodzie. Zabić mogę tylko w obronie jego życia.

Nigdzie na parkingu nie było brązowego samochodu z przyciemnionymi, nieprzejrzystymi szybami. Na tyle szybko, żeby nie wzbudzać podejrzeń, Bourne wszedł do pawilonu dworcowego i ruszył w stronę wielkiego okna, przez które właśnie teraz wyglądał. Skronie pękały mu z gniewu i frustracji, ponieważ na płycie lotniska w odległości nie większej niż piętnaście metrów widział

rządowy samochód. Jasona dzieliła jednak od niego - i od wybawienia - nieprzebyta szklana ściana. Nagle limuzyna ruszyła ostro do przodu w kierunku średniej wielkości odrzutowca stojącego sześćset metrów dalej na pasie startowym. Bourne wyteżył wzrok, modląc się do Boga, żeby zesłał mu lornetkę. Potem zdał sobie sprawę, że i tak nic by mu z niej nie przyszło: samochód objechał ogon samolotu i zniknął mu z oczu.

Niech to diabli!

Po paru sekundach odrzutowiec zaczął kołować na początek pasa, a brązowy samochód zawrócił w stronę parkingu i drogi wyjazdowej.

Co mógł zrobić? Nie mogę dać się w ten sposób załatwić! On jest tam! Jest tam i jest mną. Wymyka mi się z rąk! Bourne podbiegł do pierwszego stanowiska i przybrał wygląd pasażera znajdującego się w straszliwym stresie.

- Ten samolot, który ma właśnie wystartować! Mam być na jego pokładzie! Leci do Szanghaju, a w Pekinie powiedzieli mi, że mam do niego wsiąść. Niech go pan zatrzyma!

Urzędnik za ladą podniósł słuchawkę telefonu. Nakręcił szybko numer, a potem odetchnął z ulgą.

- To nie pański samolot, sir - oświadczył. - Ten leci do Guangdongu.

- Gdzie?

- To lotnisko przy granicy z Makau, sir. Nigdy! Tylko nie Makau! - krzyczał taipan... Rozkaz będzie szybki, a egzekucja jeszcze szybsza! Pańska żona umrze! Makau. Stolik numer pięć. Kasyno Kam Pęk.

Jeśli przedostanie się do Makau - stwierdził cichym głosem McAllister - to może stać się dla nas straszliwym obciążeniem...

- Likwidacja?

- Nie ująłbym tego w ten sposób.

ROZDZIAŁ 14

Nie powiesz mi tego, nie masz prawa! - krzyknął Edward Newington McAllister zrywając się z krzesła. - Nie mogę tego zaakceptować, nie przyjmuję do wiadomości! Nie chcę o tym słyszeć!

- Lepiej posłuchaj, Edwardzie - odparł major Lin. - To fakt.

- To moja wina - dodał angielski doktor. Stał przed biurkiem Amerykanina w rezydencji na Yictoria Peak, patrząc mu prosto w oczy. - Wszystkie objawy wskazywały na to, by postawić diagnozę gwałtownie postępującej choroby układu nerwowego. Brak koncentracji, utrata ostrości widzenia, brak apetytu i znaczny spadek wagi, a co najbardziej istotne, ciągłe dreszcze przy jednoczesnej utracie kontroli motorycznej. Szczerze mówiąc, sądziłem, że proces chorobowy wszedł w stadium ostrego kryzysu.

- Co to, do diabła, oznacza?

- Że pacjentka umiera. Że grozi jej śmierć, nie w ciągu kilku godzin, co prawda, ani nawet dni czy tygodni, ale że proces jest nieodwracalny.

- Czy pańska diagnoza była prawidłowa?

- Wiele bym za to dał, by móc stwierdzić, że tak, że była przynajmniej rozsądna, ale niestety nie mogę. Mówiąc wprost, wystrychnięto mnie na dudka.

- Oberwał pan, co?

- Metaforycznie rzecz biorąc, tak. I to tam, gdzie boli najbardziej, panie podsekretarzu. Ucierpiała moja zawodowa duma. Ta dziwka wyprowadziła mnie w pole za pomocą karnawałowych sztuczek, a sama prawdopodobnie nie widzi różnicy między guzem a gorączką. Wszystko, co robiła, było wyrachowane, poczynając od rozmowy z pielęgniarką, a kończąc na ogłuszeniu i rozebraniu strażnika. Wszystkie jej kolejne kroki były zaplanowane, a jedyną osobą, która cierpiała na utratę ostrości widzenia, byłem ja.

- Chryste, muszę skontaktować się z Havillandem!

- Z ambasadorem Havillandem? - zapytał Lin unosząc ze zdziwieniem brwi.

MacAllister spojrzał na niego.

- Zapomnij o tym, coś usłyszał.

- Nie powtórzę tego nikomu, ale nie jestem w stanie zapomnieć. Sprawa staje się jaśniejsza, przynajmniej ze strony Londynu. Mówisz o Sztapie Generalnym, Pierwszym Lordzie i znacznej części Olimpu.

- Proszę nikomu nie wspominać o tym nazwisku, doktorze - powiedział McAllister.

- Prawie już je zapomniałem. Nie jestem nawet pewien, czy wiem, kto to jest.

- Co mogę mu powiedzieć? Co teraz robicie?

- Wszystko, co w ludzkiej mocy - odparł major. - Podzieliliśmy Hongkong i Koulun na sektory. Wypyujemy w każdym hotelu, dokładnie sprawdzamy książki meldunkowe. Zaalarmowaliśmy policję i patrole piechoty morskiej; wszyscy funkcjonariusze otrzymali jej rysopis i zostali

poinformowani, że jej odnalezieniem w najwyższym stopniu zainteresowane są władze kolonii.

- Boże, co ty opowiadasz? Jak to wyjaśniłeś?

- Okazałem się tutaj nieco przydatny - wtrącił się doktor. - Skoro wszystkiemu winna moja głupota, tyle przynajmniej mogłem zrobić. Zarządziłem alarm medyczny. Dzięki temu mogliśmy zaangażować do poszukiwań ekipy paramedyczne, które wysłano w teren ze wszystkich szpitali. Pozostają naturalnie w kontakcie radiowym, gdyby zaszła potrzeba ich interwencji w innych przypadkach. Patrolują ulice.

- Co to za alarm medyczny? - zapytał ostro McAllister.

- Jak najmniej informacji; jedynie takie, które wywołują poruszenie. Podaliśmy mianowicie, że ta kobieta odwiedziła nie wymienioną z nazwy wyspę w Cieśninie Luzońskiej, zamkniętą dla ruchu międzynarodowego ze względu na panującą tam zakaźną chorobę przenoszoną za pośrednictwem brudnych sprzętów kuchennych.

- Ujmując to w ten sposób - przerwał Lin - nasz znakomity doktor sprawił, że ekipy medyczne nie zawahają się ani chwili, gdy trzeba będzie ją ująć i odizolować. Pewnie i tak by się nie wahały, ale jak wiadomo, w każdym koszu trafi się zgniłe jabłko, a my nie możemy sobie pozwolić na żadną wpadkę. Naprawdę wierzę, Edwardzie, że ją znajdziemy. Wszyscy wiemy, że ta kobieta wyróżnia się w tłumie. Wysoka, atrakcyjna, no i te jej włosy. Będzie jej szukało ponad tysiąc ludzi.

- Modłę się do Boga, żebyś miał rację. Ale nie jestem dobrej myśli. Otrzymała już pierwsze lekcje od kameleona.

- Słucham?

- Nic, nic, doktorze - powiedział major - to takie techniczne wyrażenie, którym posługujemy się w naszej profesji.

- Tak?

- Muszę mieć pełne dossier, wszystko!

- Jakie dossier, Edwardzie?

- Ścigano ich oboje po całej Europie. Teraz są rozdzieleni, ale nadal ścigani. Co wtedy robili? Co zrobią teraz?

- Szukasz jakiejś nici? Wzoru?

- Zawsze jakiś jest - odparł McAllister pocierając prawą skroń. - Przepraszam, panowie. Muszę was teraz prosić o opuszczenie gabinetu. Czeka mnie nader nieprzyjemna rozmowa telefoniczna.

IMarie sprzedała swoje ubranie i dopłacając kilka dolarów sprawiła sobie nowe. Z włosami upiętymi pod miękkim słonecznym kapeluszem o szerokim rondzie, w plisowanej spódnicy i szarej bluzce, które dokładnie skrywały jej figurę, upodobniła się do całkiem prostej kobiety. Sandały na płaskim obcasie ujęły jej kilka centymetrów, a z imitacją firmowej torby Gucciego sprawiała wrażenie łatwowiernej turystki, czyli kogoś, kim z całą pewnością nie była. Zadzwoiła do konsulatu kanadyjskiego i dowiedziała się, jakim tam dojechać autobusem. Biura mieściły się na czternastym piętrze Asian House w Hongkongu. Wsiadła do autobusu jadącego od Uniwersytetu

Chińskiego przez Koulun i potem tunelem na wyspę; uważnie śledziła trasę i wysiadła na właściwym przystanku. Wjeżdżając windą na górę z satysfakcją odnotowała, że żaden z jadących

razem z nią mężczyźni nie spojrzeli na nią po raz drugi; nie była to normalna reakcja. Nauczyła się w Paryżu - nauczył ją kameleon - jak można w prosty sposób zmienić swoją powierzchowność. Teraz wracała do niej ta wiedza.

- Zdaję sobie sprawę, że to zabrzmie śmiesznie - oznajmiła nonszalanckim, wesołym tonem recepcjonistce - ale pracuje u was mój daleki kuzyn ze strony matki, a ja obiecałam rodzinie, że do niego wdepnę.

- Nie brzmi to wcale tak śmiesznie.

- Zabrzmie, jeśli powiem, że zapomniałam jego nazwiska. - Obie kobiety roześmiały się. - Oczywiście nigdy w życiu się nie spotkaliśmy i on prawdopodobnie może się świetnie obejść bez mojej wizyty, ale wtedy nasłucham się wymówek po powrocie.

- Czy pani wie, w jakiej on pracuje sekcji?

- Sądzę, że ma coś wspólnego z gospodarką.

- To będzie najprawdopodobniej Wydział Handlu. Recepcjonistka otworzyła szufladę i wyciągnęła stamtąd wąską białą książeczkę z wytłoczoną na okładce kanadyjską flagą.

- To jest spis naszych pracowników. Proszę, niech pani spocznie i rzuci na to okiem.

- Dziękuję bardzo - odparła Marie siadając w skórzanym fotelu. - Mam poczucie, że się strasznie wygłupiłam - dodała. - To znaczy, że powinnam znać jego nazwisko. Pani z całą pewnością zna nazwiska swych kuzynów ze strony matki.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, jak się nazywają, kochanie. Na biurku recepcjonistki zadzwonił telefon; kobieta odebrała go. Marie obracała szybko kartki, obejmując wzrokiem całe kolumny w poszukiwaniu nazwiska, które skojarzyłoby jej się z jakąś twarzą. Znalazła trzy, ale wywołane z pamięci postacie były niewyraźne, rysy zamazane. Dopiero na widok nazwiska na dwunastej stronie ujrzała wyraźnie twarz i usłyszała głos. Catherine Staples.

„Zimna" Catherine, „zimna jak lód Catherine", „sztywna jak kij" Staples. Przewiska były niesprawiedliwe i nie oddawały prawdziwego charakteru i zalet tej kobiety. Marie poznała Catherine Staples w Ottawie, pracując jeszcze w Ministerstwie Finansów. Jej wydział szkolił członków korpusu dyplomatycznego przed ich wyjazdem na placówki. Staples dwukrotnie brała udział w tych szkoleniach; za pierwszym razem był to kurs dla początkujących na temat Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, a potem... no tak, oczywiście, na temat Hongkongu! Było to trzynaście albo czternaście miesięcy temu i chociaż ich znajomości nie można by uznać za zażyłą - cztery albo pięć lunchów, obiad, który ugotowała Catherine, i kolejny, upieczony w rewanżu przez Marie - poznała całkiem dobrze kobietę, która wykonywała swoją pracę lepiej niż niejeden mężczyźni.

Ceną, jaką Catherine zapłaciła za szybkie awanse w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, był rozpad jej wcześniej zawartego małżeństwa. Poprzysięgła wtedy, że już nigdy się z nikim nie zwiąże, ponieważ ciągłe podróże i nienormalne godziny pracy były nie do przyjęcia dla żadnego wartościowego mężczyzny. Licząca sobie pięćdziesiąt kilka lat Staples była szczupłą, energiczną kobietą średniego wzrostu. Ubierała się elegancko, ale z prostotą. Ta rzeczowa profesjonalistka miała ostry jak skalpel, sarkastyczny umysł, który natychmiast demaskował wszelkie oszustwa i obłudne wykręty. Tych ostatnich nie tolerowała. Mogła być miła, a nawet grzeczna w stosunku do tych, którzy nie potrafili sobie poradzić na stanowisku, które im powierzono, jeśli nie było w tym ich winy; ale zarazem obchodziła się brutalnie z tymi, którzy dopuścili do takich nominacji, niezależnie od ich rangi. Twarda, ale uczciwa - tak można było w trzech słowach scharakteryzować wyższego

urzędnika służby dyplomatycznej, Catherine Staples. Czasem bywała także całkiem zabawna w swoim samokrytycyzmie. Marie miała nadzieję, że jej znajoma zachowa się wobec niej fair tutaj, w Hongkongu.

- Nic nie znalazłam - powiedziała wstając z fotela i odnosząc spis recepcjonistce. - Tak mi głupio.

- Czy pani wie może, jak wygląda ten pani kuzyn?

- Nigdy nie pomyślałam, żeby o to zapytać.

- Przykro mi.

- Mnie jeszcze bardziej. Czeka mnie bardzo kłopotliwy telefon do Vancouver... Aha, znalazłam tam jednak pewne nazwisko. Nie ma to co prawda nic wspólnego z moim kuzynem, ale myślę, że to znajoma mojej znajomej. Kobieta o nazwisku Staples.

- Katarzyna Wielka? Jest tutaj, porządna babka, choć niektórzy z personelu nie mieliby nic przeciwko temu, gdyby mianowano ją ambasadorem i wysłano do Europy Wschodniej. Działa im na nerwy. Jest pierwszorzędną.

- Och, czy to znaczy, że jest tutaj w tej chwili?

- Nie dalej niż dziesięć metrów stąd. Czy mam podać pani nazwisko i zobaczyć, czy pani znajoma będzie miała czas się z panią przywitać?

Marie kusiło, żeby tak zrobić, ale wymogi formalne wykluczały pójście na skróty. Jeżeli rzeczy miały się tak, jak podejrzewała, i zaprzyjaźnione konsulaty zostały zaalarmowane, Staples mogła czuć się w obowiązku z nimi współpracować. Prawdopodobnie nie zrobiłaby tego, ale była odpowiedzialna za całe swoje biuro. Ambasady i konsulaty bez przerwy wyświadczają sobie wzajemnie liczne przysługi. Marie potrzebowała więcej czasu na rozmowę z Catherine, i to najlepiej gdzieś poza jej biurem.

- To bardzo miło z pani strony - powiedziała do recepcjonistki. - Moja znajoma dopiero się zdziwi... Ale zaraz. Powiedziała pani „Catherine”?

- Tak. Catherine Staples. Proszę mi wierzyć, jest tylko jedna taka.

- Jestem tego pewna, ale znajoma mojej znajomej ma na imię Christine. O, Boże, dzisiaj naprawdę mam zły dzień. Była pani bardzo uprzejma, naprawdę nie będę już pani więcej zawracać głowy. Zabieram się stąd.

- Przyjemnie się z panią gawędziło, kochanie. Powinna pani widzieć facetów, którzy przychodzą tutaj, bo im się wydawało, że kupili za diabelnie niską cenę autentyczny zegarek Cartiera, oczywiście tylko do momentu, kiedy stanął i jubiler powiedział im, że w środku są dwie gumki i miniaturowe jo-jo. - Wzrok recepcjonistki padł na torbę od Gucciego z odwróconymi literami G. Chrząknęła cicho.

- Co się stało?

- Nic, nic. Życzę, żeby się pani dodzwoniła.

Marie czekała w holu Asian House, aż w końcu poczuła się nieswojo i wyszła na zatłoczoną ulicę. Prawie przez godzinę spacerowała tam i z powrotem przed wejściem. Minęło właśnie południe i Marie zastanawiała się, czy Catherine w ogóle ma czas na lunch - a pójście na lunch to byłby naprawdę znakomity pomysł. Istniała również całkiem inna możliwość, choć bardzo mało

prawdopodobna. Modliłaby się o to, gdyby potrafiła jeszcze się modlić. Mógł pojawić się Dawid, ale nie jako Dawid, lecz jako Jason Bourne, a wtedy mógłby to być każdy z przechodniów. Jej mąż w przebraniu Bourne'a byłby od niej o wiele sprytniejszy; widziała jego pomysłowość w Paryżu i było to coś z innego świata, ze świata, w którym za każdym węglem czaiła się śmierć, a każde potknięcie mogło kosztować życie. Każdy ruch był przemyślany na wszystkie możliwe sposoby. Co będzie, jeżeli ja...? Co będzie, jeżeli on...? W świecie gwałtu intelekt odgrywa daleko większą rolę, niż brzydzący się przemocą intelektualiści będą skłonni kiedykolwiek przyznać. W świecie, który uważają za barbarzyński, natychmiast odstrzelono by im mózg, nie potrafią bowiem myśleć dostatecznie szybko i dostatecznie wnikliwie. Cogito ergo... nic. Dlaczego myśli w ten sposób? Nie należała przecież do tego świata, podobnie jak Dawid! Nagle przyszła jej do głowy jasna odpowiedź: nie należeli, ale zostali ponownie do niego wciągnięci; musieli przetrwać i wzajemnie się odnaleźć.

Zobaczyła ją! Z Asian House wyszła - właściwie wymaszerowała - Catherine Staples i od razu skręciła w prawo. Dzieliło je kilkanaście metrów; Marie puściła się biegiem, roztrącając na boki przechodniów. Staraj się nigdy nie biec, to cię wyróżnia. Nie dbam o to! Muszę z nią porozmawiać!

Staples przecięła chodnik. Przy krawężniku czekał na nią samochód konsulatu z wymalowanym na drzwiach klonowym liściem. Wsiadła do środka.

- Nie! Zaczekaj! - zawołała Marie przedzierając się przez tłum. Złapała za drzwi w tej samej chwili, kiedy Catherine miała je zamknąć.

- Słucham panią? - krzyknęła Staples. Kierowca obrócił się do tyłu; w jego dłoni nie wiadomo skąd pojawił się pistolet.

- Proszę! To ja! Ottawa. Szkolenie.

- Marie? To ty?

- Tak. Mam kłopoty i potrzebuję twojej pomocy.

- Wsiadaj - powiedziała Catherine Staples przesuwając się dalej. - Schowaj tę głupią rzecz - rozkazała kierowcy. - To moja przyjaciółka.

Pod pretekstem pilnego wezwania do siedziby delegacji brytyjskiej - co zdarzało się dosyć często podczas nie kończących się negocjacji z Chińską Republiką Ludową dotyczących traktatu o wycofaniu się z kolonii - Catherine Staples odwołała umówiony lunch i poleciła kierowcy, żeby wysadził je na początku Food Street w Causeway Bay.

Przy Food Street mieściło się około trzydziestu restauracji; imponująca liczba, zważywszy na fakt, że wszystkie stłoczone były w obrębie dwóch przecznic. Ruch kołowy był tutaj zabroniony, a nawet gdyby nie wprowadzono tego ograniczenia, żaden pojazd nie zdołałby się przecisnąć przez ludzką ciżbę oblegającą około czterech tysięcy stolików. Catherine poprowadziła Marie do służbowego wejścia jednej z restauracji. Zadzwoiła; po piętnastu sekundach drzwi się otworzyły i owionął je zapach stu orientalnych dań.

- Panna Staples, jak to miło znów panią widzieć - oznajmił Chińczyk odziany w biały fartuch szefa kuchni, których było tutaj wielu. - Proszę, proszę. Mamy dla pani stolik, jak zawsze.

Catherine odwróciła się do Marie, kiedy przechodziły przez rozległą kuchnię, w której panował potworny chaos.

- Dzięki Bogu - powiedziała - choć płacą nam nędzne grosze, jest jeszcze czym przekupywać ludzi. Właściciel tej knajpy ma krewnych w Quebecu, którzy prowadzą diabelnie wytworną

restaurację przy St. John Street, a ja staram się dopilnować, żeby jego formalności wizowe załatwiano, jak to oni mówią, „diabło-diabło szybko”. - Skinęła głową w stronę jednego ze stolików w głębi restauracji; znajdował się tuż przy drzwiach do kuchni. Usiadły i dosłownie skryły się za strumieniem wbiegających i wybiegających przez wahadłowe drzwi kelnerów i tłumem klientów oblegających stoliki w zatłoczonej restauracji.

- Dziękuję, że pomyślałaś o takim miejscu - powiedziała Marie.

- Moja droga - odparła Staples gardłowym, twardym głosem. - Ktoś z twoją prezencją, kto ubiera się tak, jak ty jesteś teraz ubrana, i maluje, jak jesteś umalowana, nie stara się chyba zwrócić na siebie uwagi.

- To się nazywa ująć rzecz eufemistycznie. Czy osoba, z którą umówiłaś się na lunch, uwierzy w bajeczkę o delegacji brytyjskiej?

- Na sto procent. Stara metropolia wytacza najbardziej przekonujące argumenty. Pekin kupuje od nas wielkie ilości bardzo im potrzebnego zboża - ale ty jesteś w tym zorientowana równie dobrze jak ja, a prawdopodobnie znacznie lepiej, jeśli idzie o dolary i centy.

- Nie jestem ostatnio na bieżąco.

- Tak, rozumiem - kiwnęła głową Staples przypatrując się Marie surowo, ale życzliwie. - Przebywałam w tym czasie tutaj, ale docierały do nas plotki i czytaliśmy europejskie gazety. Kiedy powiem, że byliśmy wstrząśnięci, nie oddam tego, co czuli ci z nas, którzy cię znali. Przez kilka następnych tygodni wszyscy próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć, ale powiedziano nam, żebyśmy dali sobie z tym spokój i nie dopytywali się dla twego dobra. „Nie drażście tego - powtarzali - w jej najlepszym interesie jest teraz pozostać w cieniu”. W końcu usłyszeliśmy oczywiście, że zostałaś oczyszczona z wszelkich zarzutów. Chryste, cóż to za obraźliwa formułka po tym wszystkim, przez co przeszłaś! A później po prostu zniknęłaś i nikt już o tobie więcej nie słyszał.

- Powiedzieli wam prawdę, Catherine. W moim interesie... w naszym interesie musiałam pozostać w cieniu. Przez długie miesiące trzymano nas w ukryciu. Wróciliśmy do cywilizowanego życia na prowincji, pod nazwiskiem, które znało bardzo niewielu ludzi. Mimo to wciąż byliśmy pilnowani.

- My?

- Poślubiłam mężczyznę, o którym czytałaś w gazetach. Oczywiście nie był tym człowiekiem, o którym pisały gazety; w głębokiej konspiracji pracował dla amerykańskiego rządu. Poświęcił kawał własnego życia, żeby wypełnić potwornie dziwną misję.

- A teraz jesteś w Hongkongu i powiadasz, że masz kłopoty.

- Jestem w Hongkongu i mam poważne kłopoty.

- Domyślam się, że zajścia z zeszłego roku mają coś wspólnego z twoimi obecnymi problemami?

- Moim zdaniem mają.

- Co możesz mi powiedzieć?

- Wszystko, co wiem, ponieważ potrzebuję twojej pomocy. Nie mam prawa cię o nią prosić, dopóki nie będziesz wiedziała wszystkiego, co ja sama wiem.

- Lubię związane postawienie sprawy. Nie tylko dlatego, że ma się wtedy jasność, ale ponieważ dużo mówi ono na ogół o samym rozmówcy. Chcesz przez to także powiedzieć, że dopóki nie dowiem się wszystkiego, nie będę prawdopodobnie w stanie w niczym ci pomóc.

- Nie myślałam o tym w ten sposób, ale chyba masz rację.

- Dobrze. Sprawdzałam cię. W nouvelle diplomatic prostolinijność stała się zarazem tarczą i mieczem. Równie często służy do ukrycia własnej obłudy, jak do uspienia czujności przeciwnika. Odsyłam cię do ostatnich oświadczeń rządu twego nowego kraju - nowego dla ciebie w roli żony, oczywiście.

- Znam się na ekonomii, Catherine, nie na dyplomacji.

- Jeśli połączysz talenty, które według mnie posiadasz, będziesz mogła dojść w Waszyngtonie do podobnych stanowisk, jakie zajmowałaś w Ottawie. Ale wtedy musiałabyś wyjść z cienia, w którym tak bardzo pragniesz pozostać, odkąd wróciłaś do cywilizowanego życia.

- Musimy żyć w cieniu. Tylko to się liczy. Nie ze względu na mnie.

- Kolejny test. Byłaś kiedyś całkiem ambitna. Musisz kochać tego swojego męża.

- Bardzo. Chcę go odnaleźć. Chcę go odzyskać. Staples poderwała głowę do góry. Zamrugła oczami.

- On jest tutaj?

- Gdzieś tutaj. To część tej historii.

- Czy jest skomplikowana?

- Bardzo.

- Czy możesz z tym trochę poczekać, zanim nie znajdziemy się w jakimś spokojniejszym miejscu? Mówię serio, Marie.

- Cierpliwości nauczył mnie człowiek, którego życie w ciągu trzech lat przez dwadzieścia cztery godziny na dobę od tego zależało.

- Dobry Boże. Jesteś głodna?

- Zagłodzona. To także część tej historii. Mogłybyśmy coś zamówić, dopóki siedzimy tutaj i rozmawiamy?

- Nie polecam ci dim sum, jest za bardzo wygotowane i wysmażone. Ale kaczkę mają tu najlepszą w całym Hongkongu... Czy możesz zaczekać, Marie? Czy wolałabyś raczej wyjść?

- Mogę zaczekać, Catherine. Idzie o moje życie. Pół godziny nie robi większej różnicy. A jeśli się nie najem, nie będę mógł mówić składnie.

- Wiem. To także część tej historii.

Siedziały naprzeciwko siebie w mieszkaniu Catherine Staples, oddzielone stolikiem, na którym stał dzbanek z herbatą.

- Sądzę - oświadczyła Catherine - że to, co właśnie usłyszałam, stanowi najbardziej rażący przypadek nadużycia władzy w ciągu ostatnich trzydziestu lat w służbie zagranicznej, z naszej oczywiście strony. Chyba że mamy do czynienia z gigantycznym nieporozumieniem.

- Mówisz, że mi nie wierzysz.

- Wprost przeciwnie, moja droga, nie potrafiłabyś czegoś takiego sama wymyślić. Masz całkowitą rację. W całej tej cholernej sprawie tkwi jakaś irracjonalna logika.

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś, to oczywiste. Twego męża wyszkolono, a kiedy grunt został przygotowany, wystrzelono go niczym raketę z głowicą nuklearną. Po co?

- Powiedziałam ci. Pojawił się człowiek, który zabija ludzi i rozpowiada, że nazywa się Jason Bourne. Jego rolę Dawid grał przez trzy lata.

- Morderca jest mordercą, niezależnie od tego, jakie imię przybiera, Czyngis-chana, Kuby Rozpruwacza czy, jeśli wolisz, Carlosa Szakala... a nawet Jasona Bourne'a. Pułapki na takich ludzi zastawia się za zgodą głównych myśliwych.

- Nie rozumiem cię, Catherine.

- Więc posłuchaj mnie uważnie, moja droga. Mówi to ktoś, kto rozumuje w staroświecki sposób. Pamiętasz, jak przyszedłam do ciebie na kurs dotyczący Wspólnego Rynku ze specjalnym uwzględnieniem handlu z blokiem wschodnim?

- Tak. Upichciłyśmy sobie wzajemnie obiady. Twój był lepszy.

- W samej rzeczy. Ale tak naprawdę zapisałam się na ten kurs tylko po to, żeby dowiedzieć się, jak przekonać moich partnerów z bloku wschodniego, że zakupy u nas mogą stać się dla nich nieskończenie bardziej opłacalne, jeśli wykorzystają zmienne kursy walut. Udało mi się to. Moskwa była wściekła.

- Catherine, co to, u diabła, ma wspólnego ze mną? Staples spojrzała na Marie. Za jej uprzejmością kryło się zdecydowanie.

- Pozwól, że ci wyjaśnię. Jeśli w ogóle się nad tym zastanawiałaś, musiałaś dojść do przekonania, że przyjechałam do Ottawy, by zapoznać się dokładniej z gospodarką europejską i tym samym lepiej wykonywać swoją pracę. W pewnym sensie była to prawda, ale nie to było głównym powodem. Zapisałam się na to szkolenie, żeby dowiedzieć się, w jaki sposób wykorzystywać zmienne kursy walut i proponować bardziej opłacalne kontrakty naszym potencjalnym klientom. Kiedy w górę szła marka, sprzedawaliśmy we frankach, guldenach albo w jakiejś innej walucie. Umieszczaliśmy to w kontraktach.

- Nie było to dla was zbyt korzystne.

- Nie szukaliśmy profitów, otwieraliśmy rynki, które do tej pory były dla nas zamknięte. Zyski przychodzą później. Nie ukrywałaś, jakie jest twoje zdanie na temat spekulacji na zmiennych kursach. Ukazałaś całe tkwiące w niej zło, a ja musiałam stać się kimś w rodzaju diabła, w dobrej oczywiście sprawie.

- W porządku, wykorzystawałaś moją wiedzę w celu, o którym nie miałam pojęcia...

- Trzeba to było, oczywiście, utrzymać w całkowitej tajemnicy.

- Ale co to ma wspólnego z tym, o czym ci opowiedziałam?

- Ta sprawa nielicho śmierdzi, a ja mam dobrego nosa. Podobnie jak ja miałam ukryty motyw jadąc do ciebie, do Ottawy, tak samo ten, kto zmontował tę aferę, niezależnie od tego, kim jest, ma w

tym głębszy cel niż tylko ujęcie sobowtóra twego męża.

- Dlaczego tak uważasz?

- Twój mąż powiedział to pierwszy. Jest to w gruncie rzeczy typowa sprawa dla policji, powiedziałabym nawet policji międzynarodowej, coś dla wysoko cenionej sieci wywiadowczej Interpolu. Oni nadają się do tego znacznie lepiej aniżeli Departament Stanu, oba Ministerstwa Spraw Zagranicznych, CIA albo MI 6. Zagraniczne organizacje' wywiadowcze nie zajmują się pospolitymi przestępcami, a zwłaszcza najemnymi mordercami, bo nie mogą sobie na to pozwolić. Mój Boże, gdyby większość tych dupków wzięła się za policyjną robotę, zdemaskowałyby wszystkich agentów, których udało im się do tej pory zwerbować.

- McAllister mówił co innego. Oświadczył, że pracują nad tą sprawą najwięksi specje od wywiadu ze Zjednoczonego Królestwa i USA. Powiedział, że jeśli zabójca, który podszył się pod mojego męża... pod tę osobę, za którą w oczach ludzi uchodził mój mąż, zabije jakiegoś wysokiego rangą polityka, obojętnie po której stronie, albo rozpocznie wojnę w podziemiu, status Hongkongu zostanie poważnie zagrożony. Pekin dokona błyskawicznej akcji i przejmie władzę w kolonii pod pretekstem wypełnienia postanowień traktatu. „Człowiek Wschodu nie będzie tolerował nieposłusznego dziecka”, takie były jego słowa.

- Nedorzeczne i niewiarygodne - zaproponowała Catherine Stap-les. - Albo twój podsekretarz kłamie, albo ma zerowy iloraz inteligencji. Wyłuszczył ci wszelkie możliwe powody, dla których nasze służby wywiadowcze powinny trzymać się od tej sprawy z daleka, tak żeby się przypadkiem nie ubrudzić. Jakakolwiek pogłoska o ich zaangażowaniu mogłaby spowodować katastrofę, sprowokowałyby bowiem do działania jastrzębie w Komitecie Centralnym. Niezależnie od tego, nie wierzę w ani jedno jego słowo. Londyn nigdy by na coś takiego nie pozwolił, nie zgodziłby się nawet, żeby w tym kontekście wymieniać nazwę Wydziału Specjalnego.

- Mylisz się, Catherine. Nie słuchałaś mnie uważnie. Człowiek, który leciał do Waszyngtonu po akta Treadstone, był Brytyjczykiem, należał do MI 6. Dobry Boże, zamordowano go właśnie z powodu tych akt.

- Słyszałam, co mówiłaś. Po prostu w to nie wierzę. A poza tym Foreign Office nalegałoby, żeby cały ten kram pozostawić policji i wyłącznie policji. Oni nie pozwoliliby facetowi z MI 6 wejść do tej samej restauracji, w której siedzi policyjny detektyw, nawet na Food Street. Wierz mi, wiem, co mówię. Żyjemy w bardzo niestabilnych czasach i nie ma w nich miejsca na żadne cyrkowe sztuczki, a zwłaszcza na to, żeby za jakimś mordercą uganiały się oficjalne organizacje wywiadowcze. Nie, moja droga, sprowadzono cię tutaj i zmuszono twego męża, żeby przyjechał w ślad za tobą z całkiem innych powodów.

- Jakich, na miłość boską? - krzyknęła Marie zrywając się z krzesła.

- Nie wiem. Może to ktoś inny?

- Kto?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Cisza. Dwa wysoce inteligentne umysły zastanawiały się nad każdym wypowiedzianym przez drugą osobę słowem.

- Catherine - odezwała się w końcu Marie. - Przyznaję, że wszystko, co powiedziałaś, jest logiczne, ale stwierdziłaś przecież także, że w całej tej sprawie tkwi jakaś irracjonalna logika.

Przypuśćmy, że mam rację, że ludzie, którzy mnie przetrzymywali, nie są zabójcami ani przestępcami, ale biurokratami wykonującymi rozkazy, rozkazy, których nie rozumieją, że na twarzach mają wypisane RZĄD, co można poznać po ich wykrętnych wyjaśnieniach, a nawet po tym, jak troszczyli się o moją wygodę i dobre samopoczucie. Wiem, że uważasz, iż McAllister, przynajmniej taki, jakiego ci opisałam, jest kłamcą albo głupcem, ale załóżmy, że jest kłamcą, lecz nie głupcem. Przyjmując taką hipotezę - a uważam, że jest prawdziwa - mówimy o dwóch rządach działających ręka w rękę. W naszych niestabilnych czasach. Co wtedy?

- Wtedy szykuje się nam niezła katastrofa - odparła cicho Catherine Staples.
- I wszystko kręci się wokół mego męża?
- Jeżeli masz rację, to tak.
- Więc to jednak możliwe?
- Nie chcę nawet o tym myśleć.

ROZDZIAŁ 15

Czterdzieści mil na południowy zachód od Hongkongu, za wyspami na Morzu Południowochińskim leży Półwysep Makau, z formalnego punktu widzenia kolonia portugalska. Jej historyczne początki istotnie odnaleźć można w Portugalii, ale obecna pozycja międzynarodowa, z dorocznym Grand Prix, kasynami gry i jachtami, oparta jest na luksusie i stylu życia wyznaczanym przez bogatych Europejczyków. Niezależnie od tego nie wolno popełnić błędu. Makau jest chińskie. Za nitki pociąga się w Pekinie.

Nigdy! Tylko nie Makau! Rozkaz będzie szybki, a egzekucja jeszcze szybsza! Pańska żona umrze!

Ale w Makau znajdował się zabójca i kameleon musiał wkroczyć w kolejną dżunglę.

Przyglądając się uważnie twarzom i zaglądając w mroczne kąty małego zatłoczonego dworca, Bourne posuwał się razem z tłumem ku przystani, przy której cumował wodolot do Makau, pokonujący tę odległość w ciągu godziny. Pasażerowie dzielili się na trzy odrębne kategorie: pierwszą stanowili powracający mieszkańcy portugalskiej kolonii, w większości pogrążeni w milczeniu Chińczycy; drugą zawodowi gracze - prawdziwa mieszanka rasowa - którzy jeśli w ogóle ze sobą rozmawiali, to bardzo cicho, i wciąż rozglądali się naokoło, żeby przyjrzeć się swoim przyszłym rywalom; do trzeciej wreszcie kategorii zaliczali się łowcy nocnych przygód - hałaśliwi turyści, wyłącznie biali, nierzadko pijani, w dziwacznych kapeluszach i krzykliwych tropikalnych koszulach.

Jason opuścił Shenzhen i wyruszył z Luohu do Koulunu pociągiem o trzeciej. Podróż była wyczerpująca, targwały nim emocje, nie potrafił rozsądnie myśleć. Był tak blisko swego sobowtóra! Gdyby choć na minutę udało mu się odciągnąć gdzieś na bok człowieka z Makau, mógłby go stamtąd porwać! Miał na to sposoby. Wizy ich obu były w porządku; człowieka zwijającego się z bólu, z gardłem zniszczonym do tego stopnia, że nie potrafiłby wykrztusić słowa, można by było przeprowadzić przez granicę jako chorego, może nawet na jakąś zaraźliwą chorobę, a zatem niezbyt miłego gościa, którego lepiej szybko się pozbyć. Ale tak się nie stało, nie tym razem. Gdyby tylko mógł go zobaczyć!

A na dodatek dokonał jeszcze tego zaskakującego odkrycia: okazało się, iż nowy morderca, ten młody człowiek, który nie był żadnym mitem, lecz brutalnym zabójcą, ma powiązania w Republice Ludowej. Napełniało to Dawida głębokim niepokojem, ponieważ chińscy notable mogli wejść w kontakt z oszustem tylko po to, żeby skorzystać z jego usług. Była to komplikacja, której Dawid wcale sobie nie życzył. Nie miało to nic wspólnego z Marie ani z nim samym, a ich dwoje to było wszystko, na czym mu zależało! Wszystko, na czym mu zależało! Jason Bourne: Przyprawdź człowieka z Makau!

Wrócił do hotelu Peninsula zatrzymując się po drodze w Centrum Handlowym „Nowy Świat”, żeby kupić ciemną nylonową wiatrówkę i parę niebieskich marynarskich butów na grubych gumowych podeszwach. Dawida Webba ogarniał przejmujący niepokój. Jason Bourne, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, planował kolejne posunięcia. Zamówił lekki posiłek i pojadł go siedząc na łóżku i oglądając obojętnie telewizyjne wiadomości. Potem Dawid przyłożył głowę do poduszki, na krótko zamknął oczy i zastanawiał się, skąd biorą się te słowa: Odpoczynek to broń. Nie zapominaj o tym. Bourne obudził się po piętnastu minutach.

Jason kupił bilet na rejs o 8.30 wieczorem w kiosku w hali tranzytowej w Tsimshatsui w

godzinach szczytu. Żeby zdobyć pewność, że nie jest śledzony - a musiał być tego absolutnie pewien - trzy razy zmieniał taksówkę w drodze do przystani, z której odpływały statki do Makau. Na godzinę przed rejssem wysiadł w odległości kilkuset metrów od celu i resztę drogi przebył na piechotę, postępując według rytuału, w którym go wyszkolono. Samego szkolenia nie pamiętał, tylko sposoby zachowania. Wmieszał się w tłum przed halą portową, kręcąc się to tu, to tam, klucząc, przechodząc z jednego korytarza do drugiego, a potem nagle przystając z boku i koncentrując na tym, co dzieje się za nim, szukając kogoś, kogo już widział przed chwilą, jakiejś twarzy albo pary baczących, utkwionych w nim oczu. Nie było nikogo. Ale musiał mieć całkowitą pewność, bo od tego zależało życie Marie. Powtórzył więc cały ten rytuał jeszcze dwukrotnie, aż w końcu zatrzymał się wewnątrz pogrążonej w półmroku hali portowej przy ławkach, skąd widać było przystań i otwarte morze. Nadal wypatrywał pojedynczej, zaniepokojonej twarzy, kogoś kręcącego się w miejscu, rozglądającego się na wszystkie strony, kogoś, kto go szukał. I tym razem nie zauważył nikogo. Mógł popłynąć do Makau. Był już w drodze.

Usiadł w głębi przy oknie i patrzył, jak oddalające się światła Hongkongu i Koulunu zlewają się w lunę na azjatyckim niebie. W miarę jak wodolot nabierał szybkości i mijał należące do Chin wyspy, pojawiały się i znikwały nowe światła. Wyobraził sobie żołnierzy w mundurach patrzących przez działające na podczerwień teleskopy i lornetki, nie orientujących się, czego właściwie wypatrują, ale poinstruowanych, żeby zwracać na wszystko uwagę. Przed oczyma wyrastały złowieszcze pasma górskie Nowych Terytoriów; światło księżyca wydobywało szczyty z ciemności, podkreślając ich piękno i mówiąc zarazem: W tym miejscu się zatrzymasz. Dalej jesteśmy inni. W rzeczywistości wcale tak nie było. Na placach Shenzhen ludzie zachwalali swoje towary. Prosperowało rzemiosło, chłopci hodowali bydło i żyli wcale nie gorzej niż wykształcone elity w Pekinie i Szanghaju - mając przy tym lepsze na ogół warunki mieszkaniowe. Chiny zmieniały się. Choć zmiany te nie następowały zbyt szybko według kryteriów zachodnich i choć Chiny nadal pozostawały paranoicznym gigantem, to jednak, myślał Dawid Webb, znikwały tak częste niegdyś rozdęte głodem brzuchy dzieci. Na najwyższych szczeblach władzy nie brakowało takich, którzy obrastali w tłuszcz, ale mało też było głodujących na polach. Nastąpił postęp, myślał, bez względu na to, czy większość świata pochwała metody, którymi tego dokonano.

Wodolot zwolnił, jego kadłub zanurzył się w wodzie. Przepłynął pomiędzy oświetlonymi blaskiem reflektorów kamiennymi wieżyczkami wieńczącymi sztuczną rafę. Znajdowali się w Makau i Bourne wiedział, co ma robić. Wstał, przeprosił sąsiada i ruszył przejściem w kierunku stłoczonych w jednym miejscu Amerykanów. Kilku stało, a reszta siedziała, śpiewając najwyraźniej już nie po raz pierwszy tego wieczoru przeciwioną wersję Pana Sandmana.

Baam baam baam baam Panie Sandman, zaśpiewaj nam Baam baam baam baam O, Panie Sandman...

Byli na rauszu, ale nie pijani, nie wrzaskliwi. Inna grupa turystów, Niemcy, sądząc po brzmieniu ich języka, zachęcała Amerykanów do śpiewania i nagrodziła ich oklaskami po zakończeniu piosenki.

- Gut!

- Sehr gut!

- Wunderbar!

- Danke, meine Herren. - Amerykanin stojący najbliżej Jasona ukłonił się. Wywiązała się krótka przyjacielska rozmowa, w której Niemcy posługiwali się angielskim, a Amerykanie odpowiadali po

niemiecku.

- Przez chwilę poczułem się jak w domu - odezwał się Bourne do Amerykanina.

- Hej, mamy Landsmanna! Ta piosenka zdradza także twój rok urodzenia, przyjacielu. Niektóre z tych starych przebojów są naprawdę świetne, co? Należysz do naszej grupy?

- A co to za grupa?

- Honeywell-Porter - odparł mężczyzna wymieniając nazwę nowojorskiej agencji reklamowej, która z tego, co wiedział Jason, miała filie na całym świecie.

- Nie, obawiam się, że nie.

- Też mi się tak wydawało. Jest nas tylko trzydziestu, razem z Australijczykami, i chyba wszystkich zdążyłem już świetnie poznać. Skąd jesteś? Nazywam się Ted Mather. Z agencji Honeywella-Portera w Los Angeles.

- Nazywam się Jim Cruett. Z żadnej agencji, uczę w szkole, w Bostonie.

- Beanburg! Pozwól, że ci przedstawię twojego Landsmanna, czy może raczej Sladtsmanna. Jim, poznaj Beantown Berniego. - Mather uklonił się ponownie, tym razem mężczyźnie, który z otwartymi ustami i zamkniętymi oczyma siedział rozwalony na ławce przy oknie. Był najwyraźniej wstawiony i miał na głowie baseballową czapkę drużyny Red Sox. - Nie musisz do niego mówić, i tak nie usłyszysz. Bernard Mądrała jest z naszego biura w Bostonie. Powinieneś go widzieć kilka godzin temu. Garnitur od J. Pressa, krawat w prążki, w rękę wskazówka i tuzin map morskich, w których tylko on jeden mógł się połapać. Ale jedno muszę mu przyznać: nie dał nam zasnąć. Myślę, że to dlatego wszyscy sobie trochę golnęliśmy... on trochę za dużo. Ale co tam, do diabła, to nasza ostatnia noc.

- Wracacie jutro do domu?

- Wieczornym lotem. Będziemy mieli czas, żeby dojść do siebie.

- Dlaczego do Makau?

- Poczuliśmy nagły pociąg do hazardu. Ty też?

- Pomyślałem, że może spróbuję. Chryste, jak widzę tę czapkę, to aż łza mi się w oku kręci. Red Sox mogą wygrać w tym roku ligę. Aż do tego wyjazdu nie opuściłem ani jednego ich meczu!

- A Bernie nawet nie zauważy, że zgubił swój kapelusz! - Mather zaśmiał się, pochylił i zerwał baseballową czapkę z głowy Bernarda Mądrali. - Masz, Jim, włóż to. Zasługujesz, żeby to nosić!

Wodolot przybił do brzegu. Bourne wstał i ruszył w kierunku stanowiska kontroli granicznej razem z chłopakami z firmy Honeywell--Porter jako jeden z ich grupy. Kiedy schodzili po stromych cementowych schodkach ku oklejonej plakatami hali portowej, idący chwiejnie, z opuszczonym na oczy daszkiem czapki Red Sox Jason spostrzegł stojącego przy ścianie po lewej stronie mężczyznę, który lustrował nowo przybyłych. W dłoni trzymał fotografię, a Bourne wiedział, że jest na niej jego twarz. Roześmiał się z kolejnej uwagi Teda Mathera i przytrzymał opadające ramię Beantown Berniego.

Sposobność sama się nadarzy. Trzeba ją rozpoznać i •wykorzystać.

Ulice Makau są prawie tak samo jaskrawo oświetlone jak w Hongkongu; nie ma się tutaj tylko wrażenia, że zbyt wielu ludzi znalazło się na zbyt małej przestrzeni. Co jest naprawdę inne - inne i

anachroniczne - to architektura wielu domów, w których zamontowano kolorowe reklamy, pełne pulsujących chińskich znaków. Budynki wzniesiono w starym hiszpańskim stylu - ściślej rzecz biorąc, portugalskim - ale przewodniki określają go jako hiszpański, o charakterze śródziemnomorskim. Odnosi się wrażenie, jakby kultura, która dała początek kolonii, uległa pod naporem kolejnej cywilizacji, lecz nie straciła swego pierwotnego charakteru, głosząc wyższość kamienia nad nietrwałymi, jarzącymi się kolorowo szklanymi rurkami. Historia została świadomie zanegowana; puste kościoły i ruiny spalonej katedry współistnieją w dziwnej harmonii z zatłoczonymi kasynami, w których krupierzy i rozdający karty mówią dialektem kantońskim i z rzadka tylko można spotkać potomka dawnych konkwistadorów. Wszystko to jest fascynujące, ale wcale nie złowrogie. Takie jest Makau.

Jason wyslizgnął się z grupy Honeywella-Portera i znalazł taksówkę, której kierowca musiał się chyba uczyć jeździć obserwując doroczne wyścigi o Grand Prix Makau. Mimo protestów szofera kazał się wieźć do kasyna Kam Pęk.

- Dla pana dobra Lisboa, nie Kam Pęk! Kam Pęk dla Chińczyka! Dai Sui! Fantan!

- Kam Pęk, Cheng nei - powiedział Bourne, dodając kantońskie „proszę” i ani słowa więcej.

W kasynie panował półmrok. Powietrze było wilgotne i cuchnące;

w przyćmionym świetle nad stolikami wirowały gęste kłęby słodkiego gryzącego dymu. W głębi za stolikami znajdował się bar. Jason podszedł tam i usiadł na stołku opuszczając ramiona, żeby ukryć swój wzrost. Mówił po chińsku; twarz ocieniał mu daszek czapki, co było prawdopodobnie zbyteczne, bo i tak z trudem mógł przeczytać napisy na nalepkach butelek za kontuarem. Zamówił drinka, a kiedy go otrzymał, wręczył barmanowi hojny napiwek w hongkongskiej walucie.

- Mgoi - odezwał się tamten dziękując.

- Hou - odparł Jason i machnął ręką.

Tak szybko, jak tylko potrafisz, zdobądź czyjaś życzliwość. Zwłaszcza w nowym dla siebie miejscu, tam gdzie możesz się zetknąć z wrogością. Dzięki tej życzliwej osobie możesz później zyskać czas albo sposobność, której potrzebujesz. Czy to była „Meduza”, czy Treadstone? Nie mógł sobie tego przypomnieć, ale to się teraz nie liczyło.

Obrócił się powoli na stołku i popatrzył na stoliki; nad jednym z nich dostrzegł zawieszoną tabliczkę z chińskim ideogramem oznaczającym piątkę. Odwrócił się z powrotem w stronę baru, po czym wyjął notes i długopis. Wydarł kartkę i zanotował na niej numer telefonu hotelu w Makau, który zapamiętał z magazynu Yoyager dostępnego na pokładzie wodolotu. Napisał drukowanymi literami nazwisko, które przypomniałby sobie tylko w razie pilnej potrzeby, i umieścił dopisek: nieprzyjaciel Carlosa.

Trzymając szklanekę pod kontuarem, wylał jej zawartość na podłogę, po czym podniósł do góry, domagając się następnego drinka. Kiedy go otrzymał, był jeszcze hojniejszy.

- Mgoi saai - podziękował kłaniając się barman.

- Msai - odparł Bourne ponownie machając ręką, która nagle znieruchomiła: sygnał dla barmana, żeby zatrzymał się tam, gdzie stał. - Czy może mi pan wyświadczyć małą przysługę? - zapytał w jego języku. - Nie zajmie to panu więcej niż dziesięć sekund.

- O co chodzi, sir?

- Proszę oddać tę kartkę rozdającemu przy stoliku piątym. To mój stary przyjaciel i chcę, żeby wiedział, że tu jestem. - Jason złożył kartkę i podniósł ją do góry. - Zapłacę panu za tę uprzejmość.

- To mój niebiański przywilej, sir.

Bourne obserwował. Rozdający wziął kartkę, a kiedy barman się oddalił, otworzył ją na chwilę, a potem wsunął pod stół.

To trwało bez końca, ciągnęło się tak długo, że jego barman skończył tymczasem swój dyżur. Rozdający przeniósł się do innego stolika, a następny zmienił się po dwóch godzinach. Upłynęły kolejne dwie godziny i przy stoliku piątym pojawił się nowy rozdający. Podłoga pod Jasonem była mokra od whisky. Uznał za logiczne zamówić kawę, potem czekała go jeszcze herbata; było dziesięć po drugiej w nocy. Jeszcze godzina i pójdzie do hotelu, którego numer zanotował na kartce. Wyglądało na to, że będzie musiał dać zarobić jego właścicielowi i wynająć pokój. Zamykały mu się oczy.

Nagle otworzył je szeroko. Coś się działo. Do stolika piątego zbliżyła się Chinka w sukience z głębokim rozcięciem typowym dla prostytutki. Obeszła graczy z prawej strony i szepnęła coś rozdającemu, który sięgnął pod blat i dyskretnie podał jej złożoną kartkę. Skinęła mu głową i skierowała się ku drzwiom kasyna.

On sam oczywiście się tam nie pojawia. Wynajmuje w tym celu jakąś dziwkę z ulicy.

Bourne wyszedł z baru i ruszył w ślad za kobietą. Podążał za nią w odległości mniej więcej piętnastu metrów pogrążoną w mroku ulicą, na której kręciło się trochę ludzi, choć w Hongkongu wyglądałaby pewnie na wyludnioną. Zatrzymywał się co jakiś czas, przypatrując się oświetlonym wystawom, a potem przyspieszał kroku, żeby nie stracić z oczu idącej przed nim kobiety.

Nie daj się nabrać pierwszemu posłańcowi. Oni też potrafią myśleć, podobnie jak ty. Pierwszy może być biedakiem, który nic nie wie, ale chce zarobić parę dolców. Podobnie drugi i trzeci. Prawdziwego łącznika od razu poznasz. Będzie się od nich różnił.

Do dziwki podszedł zgarbiony starzec. Otarli się o siebie; podając mu kartkę kobieta wydarła się na niego na cały głos. Jason udał pijanego i zaczął iść w przeciwną stronę, przejmując drugiego posłańca.

To zdarzyło się cztery przecznice dalej, i tym razem był to ktoś, kto różnił się od swoich poprzedników - mały, elegancko ubrany Chińczyk, szczupły w pasie i szeroki w ramionach. Z jego zwartego ciała emanowała siła. Szybkość, z jaką zapłacił staremu obdartusowi i następnie przebiegł przez ulicę, mogła stanowić ostrzeżenie dla każdego potencjalnego napastnika. Dla Bourne'a była zaproszeniem, któremu nie mógł się oprzeć; to był prawdziwy łącznik, ktoś, kto kontaktował się z Francuzem.

Jason przebiegł na drugą stronę; dzieliło ich teraz piętnaście metrów i odległość wciąż się zwiększała. Nie było sensu dłużej bawić się w chowanego; Jason puścił się biegiem. Po kilku sekundach znalazł się tuż za łącznikiem; gumowe podeszwy butów tłumiły odgłos kroków. Na wprost mieli zaułek biegnący pomiędzy dwoma budynkami, które wyglądały na biurowce; w oknach nie paliło się żadne światło. Musiał działać szybko, ale tak, aby nie wywołać zbiegowiska i nie dopuścić do tego, by któryś z nocnych spacerowiczów wezwał policję albo podniósł krzyk. Okoliczności mu sprzyjały; kręcący się tu ludzie byli w większości pijani albo naćpani, pozostali zaś dopiero co skończyli nocną pracę i znużeni chcieli jak najszybciej dostać się do domu. Łącznik zbliżył się do wylotu alejki. Teraz.

Bourne podbiegł do niego z prawej strony.

- Francuz! - odezwał się po chińsku. - Mam wiadomości od Francuza! Pospiesz się! - Skręcił w alejkę. Zdezorientowany łącznik nie miał wyboru. Wytrzeszczył oczy i jak zahipnotyzowany podążył w ślad za nim. Teraz!

Jason wyłonił się z ciemności. Złapał łącznika za lewe ucho, szarpnął, wykręcił i pociągnął całego do przodu waląc go kolanem w podstawę kręgosłupa, a drugą ręką uderzając w kark. Popchnął go w głąb ciemnej alejki i szedł za nim, kopiąc go marynarskim butem z tyłu za kolanem. Mężczyzna upadł obracając się w locie i spojrzał z dołu na Bourne'a.

- Ty! To ty! - krzyknął. A potem zamrugał oczyma w przyćmionym świetle. - Nie - stwierdził nagle ze spokojem, po namyśle. - To nie ty.

Zupełnie nieoczekiwanie uniósł prawą nogę i niczym rakietą poderwał się z chodnika. Kopnął Jasona w lewe udo, po czym zadał mu lewą stopą cios prosto w brzuch. Wylądował na obu nogach z wyciągniętymi sztywno przed siebie rękami. Jego umięśnione ciało poruszało się płynnie, niemal z wdziękiem, zataczając półkole w oczekiwaniu na starcie.

To, co nastąpiło, było walką dwóch zwierząt, dwóch wyszkolonych w zabijaniu katów. Każdy ruch był dokładnie przemyślany, każdy cios śmiertelny, gdyby doszedł celu. Jeden z nich walczył o swoje życie, a drugi o przetrwanie, wybawienie... i o kobietę, bez której nie mógł i nie miał zamiaru żyć. Na koniec dała o sobie znać różnica wzrostu, wagi, a także motywu, który silniejszy był niż chęć życia. To przyniosło jednemu z nich zwycięstwo, drugiemu klęskę.

Leżeli spleceni przy ścianie, obaj spoceni i podrapani, a z oczu i ust sączyła im się krew. Bourne trzymał od tyłu w żelaznym uścisku szyję Chińczyka, lewym kolanem przygniatał mu kręgosłup, a prawą nogą przytrzymywał jak w kleszczach jego kostki.

- Wiesz, co się z tobą zaraz stanie - szeptał bez tchu, cedząc powoli dla większego efektu chińskie słowa. - Jeden ruch i złamię ci kręgosłup. To niezbyt przyjemny sposób umierania. A ty wcale nie musisz umierać. Możesz żyć i mieć więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek w życiu dostałeś od Francuza. Francuz i jego zabójca nie będą się tu dłużej kręcić, masz na to moje słowo. Wybieraj! Już! - Jason napiął mięśnie; żyły na gardle łącznika nabrzmiały tak, iż wydawało się, że lada chwila pękną.

- Tak, tak! - krzyknął. - Chcę żyć, nie umierać!

Siedzieli w ciemnej alejce, oparci plecami o ścianę, paląc papierosy. Okazało się, że łącznik mówi płynnie po angielsku;

nauczyły go tego zakonnice w katolickiej szkole portugalskiej.

- Wiesz, jesteś bardzo dobry - oświadczył Bourne ocierając krew z warg.

- Jestem mistrzem Makau. Dlatego właśnie Francuz mi płaci. Ale ty mnie pokonałeś. Straciłem honor, niezależnie od tego, co się dalej stanie.

- Nie, nie straciłeś. Po prostu znam więcej nieczystych chwytów od ciebie. Nie uczą ich tam, gdzie ciebie szkolono, i nigdzie nie powinno się ich uczyć. Poza tym nikt się nie dowie o twojej porażce.

- Ale ja jestem młody! A ty stary.

- Nie tak bardzo. I jestem w wyśmienitej kondycji dzięki jednemu zwariowanemu doktorowi,

który mi mówi, co mam robić. Ile, twoim zdaniem, mam lat?

- Ponad trzydzieści!

- Zgoda.

- Więc jesteś stary!

- Dzięki.

- Jesteś bardzo silny, bardzo ciężki... ale jest jeszcze coś więcej. Ja jestem normalny. Ty nie!

- Być może. - Jason rozgniół papierosa o chodnik. - Porozmawiajmy rozsądnie - oświadczył wyciągając z kieszeni pieniądze. - To, co powiedziałem, mówiłem serio. Dobrze ci zapłacę... Gdzie jest Francuz?

- Zakłócona została równowaga.

- Co przez to rozumiesz?

- Równowaga jest bardzo ważna.

- Wiem o tym, ale nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Nie ma harmonii i Francuz jest bardzo zły. Ile mi zapłacisz?

- A ile się od ciebie dowiem?

- Powiem ci, gdzie będzie jutro w nocy Francuz i jego najemny morderca.

- Dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich.

- Aiya!

- Ale tylko wtedy, jeśli mnie tam zabierzesz.

- To po drugiej stronie granicy!

- Mam wizę do Shenzhen. Jest ważna jeszcze przez trzy dni.

- To może pomóc, ale nie da się z nią przekroczyć granicy Guangdongu.

- Więc wymyśl coś. Dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich.

- Coś wymyślę. - Łącznik zamilkł wlepiając oczy w trzymane przez Amerykanina pieniądze. - Czy mogę dostać coś, co nazywacie zaliczką?

- Nie więcej niż pięćset dolarów.

- Rozmowy na granicy będą więcej kosztować.

- Zadzwoń do mnie. Przyniosę pieniądze.

- Gdzie mam zadzwonić?

- Załatw mi hotel tu, w Makau. Złożę pieniądze w ich sejfie.

- Hotel Lisboa.

- Nie, nie Lisboa. Nie mogę tam pójść. Załatw coś innego.

- Żaden problem. Pomóż mi wstać... Nie! Mniej ucierpi na tym moja godność, jeśli wstanę bez

niczyjej pomocy.

- Niech będzie - odparł Jason Bourne.

Catherine Staples siedziała przy swoim biurku trzymając wciąż w ręku słuchawkę telefonu; spojrzała na nią roztargnionym wzrokiem i odłożyła na widełki. Rozmowa, którą właśnie odbyła, wprawiła ją w zdumienie. Ze względu na fakt, iż kanadyjska służba wywiadowcza nie prowadziła aktualnie żadnych działań na terenie Hongkongu, w sytuacjach, kiedy potrzebna była dokładna informacja, urzędnicy konsulatu na własną rękę kontaktowali się z miejscową policją. Okazje takie zdarzały się zwłaszcza wtedy, gdy trzeba było bronić interesów obywateli kanadyjskich mieszkających tu bądź odwiedzających kolonię. Były to sprawy różnego kalibru: dotyczyły osób, które zostały aresztowane, i tych, które napadnięto, Kanadyjczyków, których oszukano, oraz tych, którzy innych wystrychnęli na dudka. Zdarzały się także poważniejsze problemy związane z bezpieczeństwem i szpiegostwem. W pierwszym wypadku chodziło o zapewnienie ochrony dygnitarzom państwowym odwiedzającym kolonię; w drugim zaś o przeciwdziałanie elektronicznej inwigilacji i próbom szantażowania pracowników konsulatu w celu zdobycia ważnych informacji. Nie mówiło się o tym głośno, ale było powszechnie wiadomo, że agenci z bloku wschodniego i fanatycznych religijnych reżimów Bliskiego Wschodu gotowi byli posłużyć się każdym narkotykiem i prostytutkami obojga płci zaspokajającymi każde żądanie w nieustannym dążeniu do przechwycenia tajemnic państwowych przeciwnika. W Hongkongu nie było rzeczy, która nie stałaby się przedmiotem handlu. Właśnie w tej dziedzinie Staples miała największe sukcesy w trakcie wypełniania swej misji w kolonii. Udało jej się wyciągnąć z opałów dwóch attache pracujących w konsulacie, a także jednego Amerykanina i trzech Brytyjczyków. Kompromitujące ich fotografie zostały zniszczone łącznie z negatywami, a deportowanym z kolonii szantażystom zagrożono nie tylko zdemaskowaniem, ale i obrażeniami ciała. Któregoś razu doprowadzony do białej gorączki irański dygnitarz wydzierał się przez telefon na Staples ze swej kwatery w Gammon House, oskarżając ją, że miesza się w sprawy, które daleko wykraczają poza jej kompetencje. Słuchała tego dupka, dopóki była w stanie znieść jego nosowy bełkot; w końcu zakończyła rozmowę krótkim stwierdzeniem: „Nie wiedział pan o tym? Chomeini lubi małych chłopców”.

Wszystko to stało się możliwe dzięki stosunkom, jakie łączyły ją z pewnym emerytowanym angielskim wdowcem, który po odejściu ze Scotland Yardu upatrzył sobie posadę szefa Królewskiego Wydziału do Spraw Kolonii w Hongkongu. Liczący sześćdziesiąt pięć lat Ian Ballantyne pogodził się z faktem, że skończyła się jego kariera w policji, ale nie zamierzał wcale marnować swych zawodowych umiejętności. Dał się chętnie wysłać na Daleki Wschód, gdzie wstrząsnął do głębi sekcją wywiadowczą hongkongijskiej policji przekształcając ją we właściwy sobie, dyskretny sposób w wysoce skuteczną organizację, która wiedziała o miejscowym półświatku więcej niż jakakolwiek inna instytucja, wliczając w to Wydział Specjalny MI 6. Catherine i Ian spotkali się podczas jednego z owych nudnych obiadów, których wymaga protokół dyplomatyczny. Po dłuższej, pełnej błyskotliwych dowcipów i wzajemnych komplementów rozmowie Ballantyne pochylił się ku Staples i zapytał: „Nie sądzisz, że mogłoby nam się jeszcze udać, staruszko?” „Spróbujmy”, odparła.

Spróbowali. Spodobało im się to i Ian zakotwiczył się w życiu Staples. Bez żadnych zobowiązań. Lubili się i na tym koniec.

To właśnie Ian Ballantyne zaprzeczył przed chwilą wszystkiemu, co podsekretarz stanu Edward McAllister naopowiadał Marie Webb i jej mężowi w Maine. Nie było w Hongkongu żadnego taipana o nazwisku Yao Ming. Niezawodni (czytaj: bardzo dobrze płatni) informatorzy w Makau zapewnili

Ballantyne'a, że w hotelu Lisboa nie doszło do żadnego podwójnego morderstwa, którego ofiarami byłoby żona taipana i handlarz narkotyków. Nic podobnego nie wydarzyło się tu od czasu wycofania się japońskich okupantów w roku 1945. Zanotowano co prawda liczne przypadki zasztytowania oraz ran postrzałowych w kasynie, a także kilka wypadków śmiertelnych spowodowanych przedawkowaniem narkotyków w pokojach hotelowych, ale nie było incydentu, który odpowiadałby opisowi przekazanemu przez informatora pani Staples.

- To wszystko sieć misternie utkanych kłamstw, Cathy - stwierdził Ian. - Nie mam tylko pojęcia, w jakim celu.

- Moje źródło jest godne zaufania, staruszk. Czym to dla ciebie pachnie?

- Zjełczałym tłuszczem, moja droga. Ktoś podejmuje wielkie ryzyko, by osiągnąć jakiś ważny cel. Działa oczywiście w ukryciu - można w tym mieście kupić wszystko, włącznie z milczeniem - ale cała ta cholerna historia jest czystą fikcją. Chcesz mi wyjawić coś więcej?

- A gdybym ci wyjawiała, że cała ta sprawa ma związek z Waszyngtonem, a nie ze Zjednoczonym Królestwem.

- Nie mogę się z tobą zgodzić. Sprawa zaszła zbyt daleko, żeby Londyn mógł nie maczać w tym palców.

- To nie ma sensu!

- Z twojego punktu widzenia, Cathy. Nie znasz ich. Mogę ci powiedzieć tylko tyle: ten maniak, Bourne, wszystkim nam załazł głęboko za skórę. Jedną z jego ofiar jest człowiek, o którym nikt nie powie ci ani słowa. Nie dowiesz się o tym nawet ode mnie, dziewczyno.

- Powiesz mi, jeśli dostarczę ci więcej informacji?

- Prawdopodobnie nie, ale próbuj.

Staples siedziała przy biurku zastanawiając się nad każdym słowem, które usłyszała.

Jedną z jego ofiar jest człowiek, o którym nikt nie powie ci ani słowa.

Co miał na myśli Ballantyne? Co się dzieje? I dlaczego kanadyjska ekonomistka znalazła się nagle w samym środku burzy?

Tak czy owak, na razie jej nic nie groziło.

Ambasador Havilland wpadł z dyplomatką w dłoni do gabinetu na Yictoria Peak. McAllister podniósł się z krzesła, gotów ustąpić miejsca swemu zwierzchnikowi.

- Zostań tam, gdzie jesteś, Edwardzie. Jakie wiadomości?

- Obawiam się, że nic nowego.

- Chryste, nie chcę tego słyszeć!

- Przykro mi.

- Gdzie jest ten opóźniony w rozwoju skurwysyn, który do tego dopuścił?

Z kanapy stojącej przy przeciwległej ścianie wstał nie zauważony przez Havillanda major Lin Wenzu. McAllister zbladł.

- To ja jestem tym opóźnionym w rozwoju skurwysynem, Kitajcem, który do tego dopuścił,

panie ambasadorze.

- Nie zamierzam pana bynajmniej przeproszać - odparł ostrym tonem Havilland odwracając się.
- To wasze głowy próbujemy ocalić, nie nasze. My damy sobie jakoś radę. Wy nie.

- Nie mam przyjemności pana rozumieć.

- To nie jego wina - zaprotestował podsekretarz stanu.

- Więc może twoja?! - wrzasnął ambasador. - Może to ty byłeś za nią odpowiedzialny?

- Jestem tutaj odpowiedzialny za wszystko.

- To bardzo po chrześcijańsku z pańskiej strony, panie McAllister, ale nie słuchamy teraz ewangelii w szkółce niedzielnej.

- To ja byłem odpowiedzialny - wtrącił się Lin. - Podjąłem się tego zadania i nawaliłem. Ta kobieta nas po prostu przechytrzyła.

- Pan jest Lin z Wydziału Specjalnego?

- Tak, panie ambasadorze.

- Słyszałem o panu wiele dobrego.

- To, co się wydarzyło, z pewnością to unieważnia.

- Powiedziano mi, że udało jej się również nabrać bardzo sprytnego doktora.

- Udało jej się - potwierdził McAllister. - Jednego z najlepszych specjalistów w kolonii.

- Anglika - dodał Lin.

- Ta uwaga nie była potrzebna, majorze. Podobnie jak określenie siebie słowem „Kitajec”. Nie jestem rasistą. Świat o tym nie wie, ale szkoda czasu na wyjaśnianie takich bzdur. - Havilland podszedł do biurka, postawił na nim dyplomatkę, otworzył ją i wyjął ze środka grubą brązową kopertę z czarną obwódką. - Prosiłeś o akta Treadstone. Oto one. Nie potrzebuję mówić, że nie mogą znaleźć się poza tym pokojem i że kiedy ich nie nie czytasz, powinny leżeć zamknięte w sejfie.

- Chcę się z nimi zapoznać najszybciej, jak to możliwe.

- Myślisz, że coś tu znajdziesz?

- Nie wiem, gdzie mógłbym jeszcze szukać. Nawiasem mówiąc, przenieśliem się do gabinetu na dole. Jest tam sejf.

- Nie krępuj się, możesz tu wstępować - oświadczył dyplomata. - Jak dalece wprowadziłeś w sprawę majora?

- Trzymałem się ściśle instrukcji. - McAllister popatrzył na Lina Wenzu. - Często się skarżył, że powinien mieć więcej informacji.

- W mojej obecnej sytuacji nie bardzo wypada mi się skarżyć, Edwardzie. Londyn był stanowczy, panie ambasadorze. Naturalnie godzę się na takie warunki.

- Nie chcę, żeby się pan na cokolwiek „godził”, majorze. Chcę pana przerazić i to tak, jak jeszcze nikt pana w życiu nie przeraził. Zostawimy teraz pana McAllistera, żeby sobie poczytał, a sami wybierzemy się na małą przechadzkę. Kiedy mnie tutaj przywieziono, widziałem duży przyjemny ogród. Przejdzie się pan ze mną?

- To będzie dla mnie zaszczyt, sir.

- To wątpliwe, niemniej konieczne. Musi pan to do końca zrozumieć. Musi pan odnaleźć tę kobietę!

Marie stała w oknie w mieszkaniu Catherine Staples i spoglądała w dół. Na ulicach jak zawsze było tłoczno i ogarniało ją przepotężne pragnienie, aby wyjść na zewnątrz i przechadzać się anonimowo w tym tłumie, krążyć wokół Asian House w nadziei, że znajdzie Dawida. Będzie przynajmniej w ruchu, będzie obserwować, nasłuchiwać i mieć nadzieję - a nie dumać w ciszy, prawie odchodząc od zmysłów. Ale nie mogła wyjść; dała słowo Catherine. Obiecała, że tu zostanie, nikogo nie wpuści, i słuchawkę podniesie jedynie wówczas, gdy właściwy telefon poprzedzą dwa dzwonki. Będą oznaczać, że telefonuje Staples.

Droga Catherine, sprytna Catherine - przerażona Catherine. Próbowwała ukryć swój strach, ale można było poznać, że się boi po jej testujących pytaniach zadawanych zbyt szybko i zbyt natarczywie, po zdumieniu, z jakim przyjmowała odpowiedzi, po urywanym oddechu i uciekającym w bok spojrzeniu, któremu najwyraźniej towarzyszyła gonitwa myśli. Marie nie znała ich treści, ale zdawała sobie sprawę, jak rozległa jest wiedza Staples o mrocznych sprawach Dalekiego Wschodu. Rozumiała też, że kiedy tak dobrze zorientowana osoba stara się ukryć swoje obawy związane z tym, co usłyszała, cała historia kryje w sobie więcej, niż wiedzą o niej ci, którzy ją opowiadają.

Telefon. Dwa dzwonki. Cisza. Potem trzeci. Marie podbiegła do stolika przy tapczanie i podniosła słuchawkę przy trzecim dzwonku.

- Słucham?

- Marie, kiedy ten kłamca, McAllister, rozmawiał z tobą i twoim mężem, wspomniał, o ile dobrze pamiętam, o kabarecie w Tsimshatsui. Mam rację?

- Tak, wspomniał o tym. Powiedział, że uzi... to taki pistolet...

- Wiem, co to jest, moja droga. Tej samej broni użyto podobno, żeby zabić żonę taipana i jej kochanka w Makau, prawda?

- Zgadza się.

- Ale czy powiedział coś o człowieku, który został zamordowany w kabarecie w Koulunie? Cokolwiek? Marie próbowała sobie przypomnieć.

- Nie, nie sędzę. Wspomniał tylko o broni.

- Jesteś o tym przekonana?

- Tak, jestem. Nie wyleciałoby mi to z głowy.

- Jestem pewna, że nie - zgodziła się Staples.

- Odtwarzałam z pamięci tę rozmowę tysiące razy. Dowiedziałaś się czegoś?

- Tak. Zabójstwa, o których opowiedział ci McAllister, nigdy nie miały miejsca w hotelu Lisboa w Makau.

- Zostały zatuszowane. Zapłacił za to bankier.

- Nie temu, komu zapłacił mój niezawodny informator - i to czymś więcej niż pieniędzmi. Niezawodną i pożądaną przez wielu niewidzialną pieczętką swojej instytucji, dzięki której można

sobie zapewnić o bardzo długi czas niezłe zyski. Oczywiście w zamian za informacje.

- Co ty opowiadasz, Catherine?

- Albo jest to najbardziej popaprana operacja, o jakiej w życiu słyszałam, albo genialny plan, mający na celu wciągnięcie twojego męża w coś, o czym normalnie nie chciałby nawet słyszeć, a już na pewno nigdy by się na to nie zgodził. Podejrzewam, że mamy do czynienia z tym drugim.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Dzisiaj po południu wylądował na lotnisku K-ai Tak pewien mąż stanu, osoba, która zawsze była kimś dużo ważniejszym od zwykłego dyplomaty. My wszyscy o tym wiemy, ale świat niczego nie podejrzewa. Wiadomość o jego przyjeździe pojawiła się na wszystkich naszych wydrukach. Kiedy próbowano z nim przeprowadzić wywiad, zasłaniał się stwierdzeniem, że przyjechał do swego ukochanego Hongkongu wyłącznie na wakacje.

- I?

- Ten człowiek nigdy w życiu nie wyjechał na wakacje.

McAllister wybiegł do otoczonego murem ogrodu mijając altanki, białe meble z kutego żelaza, rabatki z różami i wyłożone kamieniem sadzawki. Zostawił akta Treadstone w sejfie, ale słowa, które tam wyczytał, mocno zapadły mu w pamięć. Gdzie oni są? Gdzie on jest?

Tam! Siedzieli na dwóch betonowych ławkach pod wiśnią. Lin pochylony do przodu i sądząc z wyrazu twarzy, zahipnotyzowany. McAllister nie mógł się powstrzymać; puścił się biegiem. Dobięł do wiśni i zdyszany wlepił wzrok w majora z Wydziału Specjalnego MI 6.

- Lin! Kiedy Marie Webb rozmawiała z mężem przez telefon - to była ta rozmowa, którą przerwałeś - co dokładnie powiedziała?

- Zaczęła mówić o jakiejś ulicy w Paryżu wysadzonej szpalerem drzew, jej ulubionych drzew, tak chyba to ujęła - odparł oszołomiony Lin. - Najwyraźniej starała mu się przekazać, gdzie się znajduje, ale całkiem błędnie.

- Całkiem prawidłowo! Kiedy cię wypytywałem, stwierdziłaś także, że powiedziała Webbowi, iż wtedy na tej ulicy w Paryżu „było to straszne”, czy coś w tym rodzaju...

- Tak właśnie powiedziała - potwierdził major.

- Ale że teraz będzie lepiej...

- Dokładnie tak powiedziała.

- W Paryżu zamordowano w ambasadzie człowieka, który próbował im pomóc!

- Do czego zmierzasz, McAllister? - przerwał mu Havilland.

- Nie chodzi o szpaler drzew, panie ambasadorze, chodzi o jej ulubione drzewo. Klon, liść klonu. Godło Kanady. Kanada nie ma w Hongkongu ambasady, ale ma konsulat. To jest miejsce, w którym się spotkają. Ten sam wzór. Tak samo jak w Paryżu!

- Nie zawiadomił pan zaprzyjaźnionych ambasad ani konsulatów?

- Do jasnej cholery! - wybuchnął podsekretarz stanu. - Co mam panu na to odpowiedzieć, do diabła? Związany jestem przysięgą, pamięta pan chyba o tym, sir?

- Ma pan całkowitą rację. Zasłużyłem na reprimendę.

- Nie może pan nam wiązać całkowicie rąk, panie ambasadorze - powiedział Lin. - Jest pan osobą, dla której żywię wielki szacunek, ale niektórym z nas też się trochę tego szacunku należy, jeżeli mamy dobrze wykonywać naszą robotę. Takiego właśnie szacunku, jaki mi pan okazał wyjawiając tę w najwyższym stopniu przerażającą historię. Sheng Chouyang. Nie do wiary!

- Musi pan zachować absolutną dyskrecję.

- Zachowam ją.

- Konsulat kanadyjski... - odezwał się Havilland. - Zdobądźcie mi pełny spis jego personelu.

ROZDZIAŁ 16

Telefon zadzwonił o piątej po południu i Bourne był nań przygotowany. Nie wymieniono żadnych nazwisk.

- Załatwione - oznajmił rozmówca. - Mamy być na granicy tuż przed godziną dwudziestą pierwszą, kiedy zmieniają się strażnicy. Sprawdzą twoją wizę do Shenzhen i machną w powietrzu stemplem, ale nikt jej nie dotknie. Po przejściu granicy musisz sobie radzić sam, ale nie możesz się przyznać, że wjechałeś przez Makau.

- A co z powrotem? Jeśli powiedziałaś mi prawdę i wszystko pójdzie dobrze, ktoś będzie mi towarzyszył.

- To nie będę ja. Przejdę z tobą przez granicę i zaprowadzę na miejsce. Potem się rozstaniemy.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Wyjazd nie jest taki trudny jak wjazd, chyba że cię przeszukają i odkryją, że coś przemycasz.

- Nie mam takiego zamiaru.

- W takim razie proponuję, żebyś udawał wstawionego. Często się to zdarza. Niedaleko Shenzhen jest specjalne lotnisko...

- Wiem.

- Możesz powiedzieć, że pomyliłeś samolot, to także często się zdarza. W Chinach są fatalne rozkłady lotów.

- Ile za dzisiejszą noc?

- Cztery tysiące dolarów hongkongijskich i nowy zegarek.

- Zgoda.

Mniej więcej szesnaście kilometrów na północ od wioski Gongbei zaczynają się pagórki. Zaraz potem przechodzą w niewielkie, porośnięte gęstym lasem pasmo gór. Jason i jego niedawny przeciwnik z alejki w Makau szli polną drogą. Chińczyk zatrzymał się i spojrzał na wznoszące się przed nimi wzgórze.

- Jeszcze pięć albo sześć kilometrów i dojdziemy do pola. Przetniemy je i wejdziemy w kolejny las. Musimy być ostrożni.

- Jesteś pewien, że tam ich znajdziemy?

- Przekazałem wiadomość. Jeśli będzie się palić ognisko, to znaczy, że tam będą.

- Jak brzmiała wiadomość?

- Zwołano konferencję.

- Dlaczego po drugiej stronie granicy?

- Mogła się odbyć tylko po drugiej stronie granicy. To także stanowiło część wiadomości.

- Ale nie wiesz dlaczego?

- Jestem tylko posłańcem. Zachwiana została równowaga.
- Mówiłeś to już wczoraj. Możesz wyjaśnić, co przez to rozumiesz?
- Sam nie potrafię sobie tego wyjaśnić.
- Czy to dlatego, że konferencja ma się odbyć właśnie tutaj? W Chinach?
- Częściowo tak, oczywiście.
- Jest coś więcej?
- Wenti - odparł przewodnik. - Pytania, które biorą się ze złych przeczuć.

- Chyba rozumiem. - I Jason rzeczywiście rozumiał. Rodziły się w nim te same pytania i te same przeczucia, kiedy ujrzał, jak zabójca, który nazywa siebie Bourne'em, wsiada do rządowej limuzyny ChRL.

- Byłeś zbyt szczodry dla strażnika. Zegarek był za drogi.
- Ten człowiek może mi się jeszcze przydać.
- Mogą go przenieść na inny posterunek.
- Znajdę go.
- Sprzeda zegarek.
- No i dobrze. Przyniosę mu następny.

Zgięci w pół przebiegli przez wysoką, rosnącą na polu trawę, co jakiś czas przypadając do ziemi. Bourne biegł tuż za przewodnikiem, nieustannie rozglądając się na boki i obserwując szczyt wzgórza, wypatrując cieni w ciemnościach, choć niecałkowitych ciemnościach. Po niebie płynęły niskie chmury, co pewien czas jednak wychylał się spoza nich księżyc i zalewał krajobraz srebrzystą poświatą. Dotarli do pagórka porośniętego wysokimi drzewami i zaczęli się wspinać. Chińczyk zatrzymał się i obrócił, podnosząc obie ręce.

- Co jest? - szepnął Jason.
- Musimy iść powoli, bez hałasu.
- Patrole?

Przewodnik wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Brak jest harmonii.

Wspinali się pod górę przedzierając się przez gęsty las. Zatrzymywali się, ilekroć usłyszeli świergot zaniepokojonego ptaka, a zaraz potem trzepot skrzydeł. Mijały długie chwile. Szum lasu był wszechogarniający; świerszcze grały swoją nie kończącą się symfonię, pohukiwała samotna sowa, póki nie odezwała się inna w odpowiedzi, w krzakach buszowały małe, podobne do łasic stworzenia. Bourne i jego przewodnik doszli do skraju lasu; porośnięte wysoką trawą zbocze opadało tu w dół, w oddali zaś wznosiły się postrzępione, ciemne zarysy kolejnego zalesionego pagórka.

Jason dostrzegł coś więcej. Blask nad szczytem następnego wzgórza, wysoko ponad gałęziami drzew. To było ognisko, ich ognisko! Musiał się opanować, powstrzymać ogarniające go pragnienie, by puścić się biegiem przez pole, dopaść lasu, wspiąć się ku ognisku. Cierpliwość była teraz wszystkim. Znajdował się w ciemnościach, w otoczeniu, które tak dobrze znał; mgliste wspomnienia

kazały mu zaufać samemu sobie - podpowiadały, że jest najlepszym z najlepszych. Cierpliwość. Przetnie pole i po cichu wdrapie się na szczyt wzgórza; znajdzie wśród drzew miejsce, z którego będzie miał dobry widok na ognisko, umówione miejsce spotkania. Będzie obserwował i czekał wiedząc, kiedy wykonać ruch. Kiedyś często tak robił - ulotniły się z jego pamięci szczegóły, ale pozostał wzór. Od ogniska oddali się mężczyzna, a on ruszy za nim przez las i będzie się skradał bezszelestnie niczym kot, aż nadejdzie właściwy moment. Wyczuje ten moment i pokona swego sobowtóra.

Tym razem nie zawiodę nas, Marie. Potrafię teraz działać, bo mam poczucie straszliwej czystości - brzmi to po wariacku, wiem, ale to prawda... Potrafię nienawidzić i pozostać przy tym czysty - to jest miejsce, z którego przychodzę. Trzy zakrwawione, unoszące się na wodzie przy brzegu dała nauczyć mnie nienawiści. Krwawy odcisk ręki na drzwiach w Maine nauczył mnie, jak umocnić w sobie tę nienawiść i jak nigdy więcej do czegoś takiego nie dopuścić. Nieczęsto się z tobą pieram, kochana, ale nie miałaś racji w Genewie, nie miałaś racji w Paryżu. Jestem zabójcą.

- Co się z tobą dzieje? - szepnął przewodnik tuż przy głowie Jasona. - Nie reagujesz na mój sygnał!

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Ja też cały czas myślę, ale o tym, jak wyjść z tego cało. Za nas obu.

- Nie masz się czego obawiać, możesz już wracać. Widziałem ognisko na szczycie wzgórza. - Bourne wyciągnął z kieszeni pieniądze. - Wolę tam iść sam. Jednego człowieka trudniej wy-patrzeć niż dwu.

- Przypuśćmy, że są tam inni? Patrole wojskowe? Pokonałeś mnie w Makau, ale mogę ci się jeszcze na coś przydać.

- Jeżeli są tam inni, to sam zamierzam ich odszukać.

- Jezu Chryste, po co?

- Chcę zdobyć pistolet. Nie mogłem podejmować ryzyka i przemycać go przez granicę.

- Aiya!

Jason wręczył przewodnikowi pieniądze.

- Co do centa. Dziewięć tysięcy pięćset. Chcesz może wrócić do lasu i przeliczyć? Mam małą latarkę.

- Nie podważa się słowa człowieka, który pokonał cię w walce. Nie pozwala na to honor.

- Brzmi to wspaniale, ale nie próbuj przypadkiem kupować brylantów w Amsterdamie. No dobrze, wynoś się stąd. To mój teren.

- A to mój pistolet - oświadczył przewodnik. Wyjął z za paska broń i podał ją Bourne'owi, biorąc jednocześnie pieniądze. - Użyj go, jeśli będziesz musiał. Magazynek jest pełny: dziewięć nabojów. Broń nie jest zarejestrowana, żadnych śladów. Nauczył mnie tego Francuz.

- Przemyciłeś to przez granicę?

- Ty przyniosłeś zegarek. Ja nie. Mogłem zawsze wyrzucić pistolet do śmieci, ale potem zobaczyłem twarz strażnika. Nie będę teraz potrzebował broni.

- Dzięki. Ale uprzedzam, jeśli mnie okłamałeś, odnajdę cię. Możesz być tego pewien.

- W takim wypadku te kłamstwa nie pochodziłyby ode mnie i otrzymałbyś z powrotem swoje pieniądze.

- Naprawdę przekraczasz wszystkie granice.

- Pokonałeś mnie. Muszę być honorowy we wszystkim.

Bourne czołgał się powoli, wolniej niż kiedykolwiek w życiu, przez wysoką twardą trawę i pokrzywy, wyjmując z szyi i czoła kolce i dziękując losowi, że ma na sobie nylonową kurtkę, po której się ześlizgiwały. Instynkt podpowiadał mu coś, o czym nie wiedział jego przewodnik, coś, co było przyczyną, dla której nie chciał, żeby Chińczyk dalej z nim szedł. Porośnięte wysoką trawą pole było najlepszym miejscem do wystawienia posterunków; poruszające się źdźbła zdradzały, któredy przemykają się nieproszeni goście. Dlatego należało obserwować z ziemi kołyszącą się trawę i iść tam, gdzie pochylała się ona akurat pod powiewem nadmorskiej bryzy albo wiatru z gór.

Widział miejsce, gdzie zaczynał się las, drzewa wznoszące się na końcu trawiastego pola. Ukucnął, a potem nagle szybko przepadł do ziemi i zastygł w bezruchu. Z przodu, po prawej stronie stał na skraju pola mężczyzna. W ręku trzymał strzelbę i obserwował trawę w słabym świetle księżyca, wypatrując miejsc, w których porusza się ona niezgodnie z kierunkiem wiatru. Wiało od strony gór. Bourne wykorzystał to i zbliżył się do niego na odległość trzech metrów. Kawałek po kawałku czołgał się ku granicy pola; znajdował się teraz dokładnie naprzeciwko wartownika, który akurat patrzył prosto przed siebie. Jason uniósł głowę, żeby dojrzeć coś przez źdźbła trawy. Mężczyzna odwrócił głowę w lewo. Teraz!

Bourne wyskoczył z trawy i rzucił się na wartownika. Tamten ogarnięty paniką instynktownie podniósł do góry kolbę, żeby się osłonić przed nagłym atakiem. Jason złapał za lufę, przekręcił ją nad jego głowę i trzasnął go nią w odsłoniętą czaszkę, wbijając mu jednocześnie kolano w klatkę piersiową. Wartownik upadł. Bourne szybko zawlókł go w wysoką trawę, gdzie nie mogli być widoczni. Ograniczając ruchy do minimum, zdjął z niego kurtkę i zerwał mu z pleców koszulę, drąc materiał na pasy. Po kilku chwilach wartownik skrępowany był tak, że każdy jego ruch powodował zaciskanie więzów. W ustach miał knebel umocowany obwiązany wokół głowy urwanym rękawem.

Normalnie, tak jak to kiedyś bywało - Bourne instynktownie przewidywał bieg wypadków w podobnych okolicznościach - nie traciłby czasu, starając się jak najszybciej uciec z pola i przedostać się przez las ku ognisku. Zamiast tego przyjrzał się uważnie nieprzytomnemu Chińczykowi; coś go w tej postaci zaniepokoiło... jakiś brak harmonii. Przede wszystkim spodziewał się, że wartownik będzie miał na sobie mundur chińskiej armii: tak silnie zapadł mu w pamięć widok rządowej limuzyny w Shenzhen, którą podróżował wiadomy pasażer. Nie chodziło tylko o to, że ten człowiek nie był w mundurze, lecz o to, jak w ogóle wyglądało jego ubranie: miał na sobie tanie, brudne rzeczy cuchnące zjełczalym olejem. Jason sięgnął ręką i obrócił ku sobie twarz Chińczyka otwierając mu usta; miał nieliczne czarne, spróchniałe zęby. Cóż to za wartownik, co za członek patrolu? To był bandzior - z pewnością doświadczony - ale nader prymitywny, zahartowany w tutejszych ordynarnych bójkach, gdzie życie ludzkie jest tanie i w zasadzie bez znaczenia. A przecież ludzie biorący udział w tej „konferencji” obracali dziesiątkami tysięcy dolarów. Cena, jaką płacili za ludzkie życie, była bardzo wysoka. Zachwiana została równowaga.

Bourne zabrał strzelbę i wyczołgał się z trawy. Nie widząc nic i słysząc tylko szmery dobiegające z lasu, uniósł się i wszedł między drzewa. Wspinał się szybko i cicho, przystając za każdym razem, gdy usłyszał świergot ptaka, trzepot skrzydeł czy nagłą przerwę w symfonii

świerszczy. Nie czołgał się teraz, lecz skradał na ugiętych nogach, trzymając w dłoni lufę strzelby. W razie potrzeby mogła mu służyć jako maczuga. Nie mógł zabrznieć ani jeden strzał, nie wolno mu było ostrzec ofiary, chyba że chodziłoby o ocalenie własnego życia. Pułapka zamykała się; teraz była to już tylko kwestia cierpliwości, cierpliwości i precyzji, z jaką osaczy swoją ofiarę, kiedy zatrzasną się sidła. Dotarł na szczyt wzgórza, a potem zsunął się bezszelestnie za stojącą na skraju obozowiska skałę. Cicho położył strzelbę na ziemi, wyciągnął zza pasa podarowany mu przez przewodnika pistolet i wyjrzał zza wielkiego głazu.

Zobaczył teraz to, co spodziewał się ujrzeć niżej, na polu. Nie dalej niż sześć metrów od ogniska stał wyprostowany żołnierz z bronią u boku. Tak jakby chciał, żeby go widziano, widziano, lecz nie rozpoznano. Brak równowagi. Mężczyzna spojrział na zegarek; zaczęło się oczekiwanie.

Trwało prawie całą godzinę. Żołnierz wypalił pięć papierosów;

Jason tkwił bez ruchu, ledwo oddychając. I wtedy to się stało: powoli, spokojnie i bez surm bojowych. Wejście pozbawione dramatyzmu. Pojawiła się druga postać; wynurzyła się z cienia niedbale rozchylając gałęzie. W tej samej chwili, bez ostrzeżenia, z nocnego nieba spłynęły błyskawice, przenikając na wskroś, przepalając mózg Dawida Webba i paraliżując umysł Jasona Bourne'a.

Kiedy mężczyzna wszedł w krąg światła, Bourne otworzył usta i złapał lufę strzelby, żeby nie krzyczeć - albo żeby nie zabić. Spoglądał na własnego ducha, na koszmar, który powrócił z przeszłości, żeby go prześladować, bez względu na to, kto był teraz myśliwym. Ta twarz była kiedyś jego twarzą, a jednak nie należała do niego - być może wyglądała tak, zanim została przerobiona przez chirurgów na twarz Jasona Bourne'a. Podobnie jak szczupłe, prężne ciało, była młodsza - młodsza niż mit, który naśladowała - i w tej młodości tkwiła siła, siła Deltę z operacji „Meduza”. Nie do wiary. Ten sam ostrożny koci krok i zwisające luźno ręce, tak biegłe w sztuce zabijania. Widział Deltę, Deltę, o którym mu opowiadano, Deltę, który stał się Kainem i na koniec Jasonem Bourne'em. Patrzył na siebie samego i zarazem na kogoś innego. Na mordercę.

Leśne szmery zakłócił głośny trzask. Zabójca zatrzymał się, odwrócił od ogniska i dał nurka w prawo. Żołnierz przypadł do ziemi. Spomiędzy drzew zagrzmiała ogłuszająca, odbijająca się echem seria wystrzałów; zabójca poturlał się po trawie obozowiska, uciekając przed rozrywającymi ziemię pociskami, aż zniknął w cieniu drzew. Chiński żołnierz przyklęknął na jedno kolano i strzelał dziko w jego stronę.

Rozgorzała gwałtowna bitwa, od której pękały w uszach bębenki. Jej trzy kolejne fazy znaczyły potężne detonacje wybuchów. Pierwszy granat zniszczył obozowisko, następny wyrwał z korzeniami drzewa i zapalił suche, targane wiatrem gałęzie, na koniec trzeci, ciśnięty wysoko w powietrze, eksplodował ze straszliwą siłą w miejscu, z którego strzelano z broni maszynowej. Nagle wszędzie pojawiły się płomienie i Bourne przysłonił oczy wychylając się z bronią w rękę zza skały. Na mordercę zastawiono pułapkę i on w nią wpadł! Chiński żołnierz nie żył, jego broń, podobnie jak większą część jego ciała, rozerwał granat. Nagle z lewej strony ukazała się jakaś postać pędząca w stronę gorejącego piekła, w jakie zamieniło się obozowisko; rozejrzała się dookoła, przebiegła przez płomienie, obróciła się dwa razy i widząc Jasona wypaliła do niego. To zabójca przeczekał w lesie i wrócił mając nadzieję, że złapie w pułapkę i zabije tych, którzy chcieli go zabić. Bourne uskoczył najpierw w prawo, potem w lewo i padł na ziemię, nie odrywając oczu od biegnącego mężczyzny. Podniósł się i ruszył naprzód. Nie może pozwolić mu uciec! Przebiegł przez buchające płomienie; postać przemykała pomiędzy drzewami, oddalając się coraz bardziej. To był morderca! Oszust, podszywający się pod bohatera legendy, która wstrząsnęła całą Azją, i wykorzystujący tę

legendę dla własnych celów, niszczący prawdziwego bohatera i jego ukochaną żonę. Bourne biegł tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu; wymijał błyskawicznie drzewa i przeskakiwał kępy krzaków ze zwinnością przekreślającą wszystkie te lata, które upłynęły od operacji „Meduza”. Był znowu w „Meduzie”! Był meduzyjczykiem! I przebiegając każde dziesięć metrów, zmniejszał dzielący ich dystans o pięć. Znał ten las, bo każdy las był dżunglą, a każda dżungla była mu przyjazna. Przetrwał w dżungli; nie myśląc - zdając się tylko na instynkt - czuł jej ukształtowanie, jej poszycie, wyłaniające się niespodziewanie jamy i wąwozy. Był lepszy, lepszy! Od zabójcy dzieliło go już tylko kilka metrów!

Jason rzucił się do przodu - Bourne przeciwko Bourne'owi. Zdawało się, że wydaje z siebie ostatnie tchnienie. Jego ręce były niczym zaciskające się szczęki górskiej pantery. Złapał uciekającego za ramiona, wbił palce w twarde mięśnie i kości i szarpnął go do tyłu zapierając się mocno piętami o ziemię i celując prawym kolanem w jego kręgosłup. Ogarnęła go taka furia, że musiał świadomie powściągać się, by go nie zabić. Nie giń jeszcze! Jesteś moją wolnością, naszą wolnością!

Prawdziwy Jason Bourne unieruchomił żelaznym chwytem kark zabójcy, wykręcił mu głowę w prawo i przygiął do ziemi. Oszust wrzasnął i obaj upadli. Bourne przyduślił przedramieniem gardło mężczyzny, zacisnął lewą dłoń w pięść i kilka razy uderzył go w podbrzusze, pozbawiając tchu osłabłe ciało.

Twarz? Ta twarz? Gdzie była twarz, która należała do przeszłości? Do zjawy, która chciała wciągnąć go ponownie w piekło kryjące się w zablokowanych zakamarkach pamięci. Gdzie się podziała? To nie była ta twarz!

- Delta! - wrzasnął leżący pod nim mężczyzna.

- Jak mnie nazwałeś? - krzyknął Bourne.

- Delta! - zawyła wijąca się postać. - Kain to Carlos, a Delta to Kain!

- Niech cię diabli! Coś ty za jeden?

- D'Anjou! Jestem d'Anjou! „Meduza”! Tam Ouan! Nie mamy nazwisk, tylko symbole. Na miłość boską, Paryż! Luwr! Ocaliłeś mi życie w Paryżu - tak jak ocaliłeś życie wielu ludziom z „Meduzy”! Jestem d'Anjou! To ja ci powiedziałem to, czego chciałeś się dowiedzieć w Paryżu. Ty jesteś Jasonem Bourne'em. Szaleniec, który stąd uciekł, jest tylko sztucznym tworem! Moim tworem!

Webb przyjrzał się wykrzywionej bólem twarzy, świetnie utrzymanemu szaremu wąsikowi i siwym włosom okalającym postarzałą głowę. Koszmar powracał... był znowu w oparach rojącej się od robactwa dżungli Tam Ouan, w dżungli, z której nie było wyjścia i gdzie wszędzie wokół czaiła się śmierć. Potem nagle znalazł się w Paryżu, tuż przy schodach do Luwru, w oślepiającym południowym słońcu. Strzały. Pisk opon, krzyki w tłumie. Musi ocalić tę twarz. Ocalić twarz meduzyjczyka, który potrafi uzupełnić brakujące ogniwa tej wariackiej układanki!

- D'Anjou? - szepnął Jason. - Ty jesteś d'Anjou?

- Jeśli puścisz moje gardło - wychrypiał Francuz - opowiem ci całą historię. Jestem pewien, że ty też masz mi coś do powiedzenia.

Philippe d'Anjou zbadał resztki obozowiska, z którego pozostały tylko dymiące szczątki. Przeżegnał się, po czym przeszukał kieszenie nieżywego „żołnierza”, zabierając z nich wszystkie wartościowe przedmioty.

- Odchodząc stąd zwolnimy tego człowieka na dole - powiedział. - Nie można się tutaj dostać inną drogą. Dlatego postawiłem go tam na posterunku.

- I czego kazałeś mu wypatrywać?

- Jestem podobnie jak ty meduzyjczykiem. Przez pola trawy - nie wyłączając poetów i ich czytelników - łatwo się podróżuje, ale równie łatwo tam wpaść w pułapkę. Wiedzą o tym partyzanci. Wiedzieliśmy o tym i my.

- Nie mogłeś przewidzieć, że tu przyjdę.

- Raczej nie. Ale mogłem i przewidziałem każdy ruch stworzonego przeze mnie człowieka. Miał przybyć sam. Instrukcje były jasne, ale nikt nie powinien był mu ufać, a już najmniej ja.

- Nie bardzo rozumiem.

- To część mojej historii. Zaraz ją usłyszysz.

Poszli w dół przez las. Stary d'Anjou przytrzymał się pni i młodych drzewek, żeby ułatwić sobie zejście. Wkrótce dotarli na skraj pola. Kiedy weszli w wysoką trawę, usłyszeli stłumione jęki związanego wartownika. Bourne przeciął nożem więzy, a Francuz wręczył mu obiecane pieniądze.

- Zou ba! - wrzasnął d'Anjou. Chińczyk rozpląnął się w ciemnościach. - To śmieć. Wszyscy oni to śmiecie, ale jeśli im zapłacić, chętnie kogoś zabiją i znikną.

- Próbowaleś go zabić tej nocy, prawda? To była pułapka.

- Tak. Wydawało mi się, że został ranny podczas wybuchu. Dlatego rzuciłem się za nim w pogoń.

- A ja pomyślałem, że to on wrócił, żeby cię podejść od tyłu.

- Tak, w ten właśnie sposób postąpilibyśmy w „Meduzie”.

- Dlatego wziąłem cię za niego. Coś ty najlepszego narobił? - krzyknął nagle z wściekłością Jason.

- To część tej historii.

- Chcę ją usłyszeć. Teraz!

- Jest tutaj niedaleko, kilkaset metrów w lewo, płaski kawałek terenu - rzekł Francuz wskazując ręką. - Kiedyś było tam pastwisko, ale ostatnio lądują na nim helikoptery przywożące pasażerów na spotkanie z mordercą. Przejdźmy na jego przeciwległy skraj. Odpoczniemy sobie i porozmawiamy. W razie gdyby ktoś z wioski zauważył pożar.

Wioska jest dziesięć kilometrów stąd. Nie zapominaj, że to Chiny.

Nocny wiatr rozpędził chmury; księżyc zachodził, ale znajdował się jeszcze dość wysoko, by zalać odległe góry srebrzystą poświatą. Dwóch tak różniących się od siebie meduzyjczyków usiadło na ziemi. Bourne zapalił papierosa.

- Pamiętaj Paryż - mówił d'Anjou - załoczoną kafejkę, w której rozmawialiśmy po tym szaleństwie przed Luvrem?

- Pewnie. Carlos o mało nas nie zabił tamtego popołudnia.

- A ty omal nie złapałeś w sidła Szakala.

- Ale nie udało mi się. Cóż z tą kafejką w Paryżu?

- Powiedziałem ci wtedy, że wracam do Azji. Do Singapuru albo Hongkongu, może na Seszele, tak chyba mówiłem. We Francji nigdy nie czułem się dobrze. Po Dien Bien Phu - wszystko, co miałem, zostało zniszczone, wysadzone w powietrze przez naszych dzielnych żołnierzy - opowieści o odszkodowaniach nie miały dla mnie sensu. Puste giedzenie pustych ludzi. Dlatego wstąpiłem do „Meduzy”. Tylko zwycięstwo Amerykanów dawało szansę na odzyskanie tego co moje.

- Pamiętam - odparł Jason. - Co to ma wspólnego z dzisiejszą nocą?

- Jak widzisz, wróciłem do Azji. Ponieważ Szakal mnie widział, podróżowałem określną drogą i miałem czas na przemyślenie pewnych spraw. Musiałem jasno ocenić sytuację i swoje możliwości. Podczas tej ucieczki przed śmiercią uznałem, że moje aktywa nie są znaczne, ale też nie można ich uznać za żałosne. Tamtego popołudnia zaryzykowałem i wróciłem do sklepu przy St. Honore. Zabrałem stamtąd każde su, które leżało na wierzchu, a także nieco głębiej. Znałem szyfr sejfów, który nie został na szczęście opróżniony. Mogłem kupić sobie bilet na koniec świata, tam gdzie nie znalazłby mnie Carlos, i żyć przez wiele tygodni niczego się nie bojąc. Ale cóż miałem począć dalej? Fundusze w końcu by się wyczerpały, a umiejętności - tak cenione w cywilizowanym świecie - nie były tego rodzaju, by pozwolić mi przeżyć resztę moich dni w komforcie, którego mnie pozbawiono. Nie na darmo jednak byłem węzłem z głowy „Meduzy”. Bóg jeden wie, jakie odkryłem w sobie i rozwinąłem talenty: talenty, o których istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia. Stwierdziłem też, że względy moralne, prawdę mówiąc, wcale się nie liczą. Zostałem źle potraktowany, mogłem więc źle traktować innych. Próbowano mnie zabić wielu obcych ludzi, bez twarzy i bez nazwiska, więc teraz ja z kolei wziąć mogłem odpowiedzialność za śmierć wielu obcych ludzi, bez twarzy i nazwiska. Dostrzegasz symetrię, prawda? Jeden ruch i równanie staje się abstrakcyjne.

- Jak dotąd słyszę stek bzdur - odparł Bourne.

- W takim razie nie słuchasz mnie dobrze, Delta.

- Nie jestem Delta.

- Bardzo dobrze. Bourne.

- Nie jestem... mów dalej. Być może jestem.

- Comment?

- Rien. Mów dalej.

- Uderzyła mnie myśl, że niezależnie od tego, co się stanie z tobą w Paryżu... wygrasz czy przegrasz, zginiesz czy się uratujesz, Jason Bourne i tak jest skończony. I na wszystkich świętych, wiedziałem, że Waszyngton nie wykrztusi z siebie jednego słowa, żeby przyznać się do udziału w tej sprawie albo cokolwiek wyjaśnić; po prostu znikniesz. „Nie do uratowania”, tak chyba brzmi ten termin.

- Znam go - odparł Jason. - A więc byłem skończony.

- Naturellement. Bez żadnych wyjaśnień, ponieważ nie mogło ich być. Mon Dieu, zabójca, którego wymyślili, oszalał... i zaczął zabijać. Nie, na ten temat ani mru-mru. Stratedzy wycofają się w najgłębszy cień, tam gdzie odkłada się ich plany... „na półkę”, takie chyba jest to wyrażenie.

- Znam je także.

- Bien. W takim razie potrafisz zrozumieć rozwiązanie, które dla siebie znalazłem, sposób na

życie dla starzejącego się mężczyzny.

- Zaczynam rozumieć.

- Bien encore. W Azji było miejsce do wypełnienia. Nie istniał już Jason Bourne, ale jego legenda była wciąż żywa. Znaleźliby się ludzie, którzy chętnie zapłaciliby za usługi tak niezwykłego osobnika. Dlatego wiedziałem, co mam robić. Była to po prostu kwestia znalezienia odpowiedniego materiału.

- Materiału?

- No dobrze, jeśli sobie życzysz, oszusta. I wyszkolenia go za pomocą metod stosowanych w „Meduzie”, metod, które trafiały nawet do najbardziej chępliwych członków tego zakonspirowanego, przestępczego bractwa. Pojechałem do Singapuru i często z narażeniem życia odwiedzałem jaskinie występku, aż znalazłem odpowiedniego człowieka. I mogę dodać, że znalazłem go szybko. Był zdesperowany;

przez prawie trzy lata uciekał walcząc o własne życie, a pogoń, jak to się mówi, deptała mu po piętach. To Anglik, były komandos Jej Królewskiej Mości. Którejś nocy upił się i w napadzie szału zabił siedem osób. Ze względu na wzorową służbę wysłano go na leczenie do szpitala psychiatrycznego w Kent, skąd uciekł i jakimś cudem - Bóg jeden wie jakim - przedostał się do Singapuru. Miał wszelkie predyspozycje - trzeba było je tylko wyszlifować i skierować w odpowiednim kierunku.

- Wygląda tak jak ja. Tak jak kiedyś wyglądałem.

- Teraz jest do ciebie dużo bardziej podobny niż przedtem. Miał zbliżone rysy twarzy, a także wysoki wzrost i muskularne ciało; to były jego atuty. Należało jedynie nieco zmienić zbyt sterczący nos i kształt policzków, które były bardziej wydatne od twoich, tak jak je zapamiętałem u ciebie - to znaczy u Delty, oczywiście. W Paryżu wyglądałeś inaczej, ale nie do tego stopnia, żebym cię nie rozpoznał.

- Komandos - powiedział cicho Jason. - Pasuje. Kto to jest?

- To facet bez nazwiska, ale za to z makabryczną historią - odparł d'Anjou wpatrując się w odległe góry.

- Bez nazwiska...?

- Nie podał mi żadnego, którego by nie odwołał w następnym zdaniu, żadnego, które choćby w przybliżeniu było autentyczne. Strzeże go tak, jakby stanowiło jedyną gwarancję zachowania się przy życiu, a jego ujawnienie groziło mu nieuniknioną śmiercią. Ma oczywiście rację: w takiej znajduje się teraz sytuacji. Gdybym znał jego nazwisko, mógłbym je anonimowo wysłać brytyjskim władzom Hongkongu. Ich komputery jakoś by sobie z tym poradziły; z Londynu przyjechaliby specjaliści i zorganizowali łowy na taką skalę, o jakiej mnie nawet się nie śniło. Nie wzięliby go nigdy żywcem - on by na to nie pozwolił, a im wcale by na tym nie zależało - i w ten sposób osiągnąłbym swój cel.

- Dlaczego Brytyjczycy chcą go zlikwidować?

- Wystarczy powiedzieć, że podczas gdy Waszyngton ma swoje May Lai i swoją „Meduzę”, konto Londynu obciąża całkiem niedawna działalność pewnej specjalnej jednostki wojskowej, którą dowodził psychopatyczny morderca. Zostawiał za sobą setki ofiar; kwestia, czy byli winni, czy nie, nie miała dla niego większego znaczenia. Zna zbyt wiele tajemnic. Ich ujawnienie mogłoby doprowadzić do aktów odwetu na całym Bliskim Wschodzie i w Afryce. Najważniejsze są względy

praktyczne, wiesz o tym. Albo powinieneś wiedzieć.

- On był dowódcą? - zapytał ze zdumieniem Bourne.

- To nie żaden prosty żołdak, Delta. W wieku dwudziestu dwu lat został kapitanem, a dwudziestu czterech majorem, a wszystko to w czasach, kiedy jakikolwiek awans graniczył z cudem z powodu oszczędnościowej polityki Whitehallu. Gdyby nie opuściło go szczęście, dzisiaj bez wątpienia byłby brygadierem albo nawet pełnym generałem.

- Sam ci o tym opowiadał?

- Podczas powtarzających się pijackich seansów, kiedy wychodziła na jaw brzydka prawda... ale nigdy jego nazwisko. Zdarzały się przeciętnie raz albo dwa razy w miesiącu i trwały kilka dni;

odblokowywał się wtedy pogrążając w pijackim oceanie odraży do samego siebie. Do ostatniej chwili jednak zawsze kołatały się w nim jakieś resztki świadomości. Kiedy nadchodził ten jego atak, prosił, bym go związał, zamknął, uchronił przed nim samym... Przeżywał na nowo straszliwe wydarzenia z przeszłości, głos miał chrapliwy, gardłowy, głuchy. Kiedy był we władaniu alkoholu, zaczynał opisywać sceny tortur i męczarni, przesłuchań, podczas których wyłupywał więźniom oczy, przecinał im nożem przeguby, każąc swym ofiarom patrzeć, jak życie wycieka im z żył. Z tego, co udało mi się zebrać do kupy na podstawie jego opowieści, dowodził wieloma skrajnie niebezpiecznymi, szaleńczymi operacjami, które miały na celu tłumienie fanatycznych powstań wybuchających pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych - począwszy od Jemenu, a skończywszy na krwawych zamieszkach we wschodniej Afryce. Zamroczony alkoholem opowiadał kiedyś z triumfem, że na brzmienie jego nazwiska sam Idi Amin wstrzymywał oddech. Tak daleko sięgała jego sława, sława człowieka, który dorównał, a nawet przewyższył brutalnością krwawego Amina. - D'Anjou przerwał i pokiwał wolno głową, unosząc brwi, w typowy dla Galijczyka sposób akceptując to, co niewytłumaczalne. - Był, to znaczy jest, czymś niższym od człowieka, ale mimo to stanowi jednocześnie wzór wysoce inteligentnego oficera i dżentelmena. Zupełny paradoks, całkowite przeciwieństwo człowieka cywilizowanego... Śmiał się z tego, że jego podwładni nim pogardzali, że nazywali go bestią, a jednak żaden nie ośmielił się wnieść przeciw niemu oficjalnej skargi.

- Dlaczego? - zapytał wstrząśnięty Jason. To, co słyszał, napełniało go bólem. - Dlaczego nie złożyli na niego raportu?

- Ponieważ pod jego dowództwem wychodzili cało - a przynajmniej większość z nich - z najgorszych opresji.

- Rozumiem - odparł Bourne. - Nie, nie rozumiem! - krzyknął nagle wściekle, jakby go coś ugryzło. - Struktura dowodzenia nie jest aż tak zła. Dlaczego zwierzchnicy nie zawiesili go w obowiązkach? Musieli przecież wiedzieć!

- O ile dobrze zrozumiałem jego tyrady, podejmował się zadań, których inni nie potrafili albo nie chcieli wykonać. Poznał sekret, o którym my w „Meduzie” dowiedzieliśmy się przed laty; Przyjmij najbardziej bezwzględne reguły gry przeciwnika. Zmieniaj zasady w zależności od kultury. Dla niektórych życie ludzkie nie jest przecież tym samym, czym jest ono wedle koncepcji judeochrześcijańskiej. Jak mogłoby być? Dla wielu śmierć stanowi wyzwolenie z nieznośnych warunków życia.

- Oddychać znaczy oddychać - upierał się zajadle Jason. - Być znaczy być, a myśleć znaczy myśleć - dodał Dawid Webb. - To neandertalczyk.

- W nie większym stopniu, niż bywał nim czasami Delta. I ty wydostałeś nas z tyłu...

- Nie opowiadaj takich rzeczy! - zaprotestował członek „Meduzy”, przerywając Francuzowi. - To nie to samo.

- No to najwyżej trochę inny wariant - upierał się d'Anjou. - W ostatecznym rozrachunku motywy się nie liczą, czyż nie? Tylko rezultaty. A może nie chcesz przyjąć do wiadomości prawdy? Kiedyś żyłeś w prawdzie. Czy Jason Bourne żyje teraz w kłamstwie?

- W tej chwili po prostu żyję: z dnia na dzień, z nocy na noc... aż to się skończy. W ten czy inny sposób.

- Powinieneś wyrażać się jaśniej.

- Kiedy będę chciał albo musiał - odparł lodowato Bourne. - Więc jest dobry, tak czy nie? Ten twój komandos... major bez nazwiska. Dobry w tym, co robi.

- Tak dobry jak Delta... a może lepszy. On, widzisz, nie ma wcale sumienia, ani skrawka. Ty natomiast, przy całej swej gwałtowności, miałeś odruchy współczucia. Coś w środku kazało ci je okazywać. „Oszczędźcie tego człowieka - mawiałeś - jest mężem, ojcem, bratem. Wyeliminujcie go z walki, ale dajcie mu żyć, pozwólcie dalej funkcjonować”. Stworzona przeze mnie twoja imitacja nigdy by tego nie uczyniła. Zadowolala go tylko ostateczne rozwiązanie: śmierć zadana na jego własnych oczach.

- Co go opętało? Dlaczego zabił tych ludzi w Londynie? To, że był pijany, nie jest wystarczającym powodem, nie tam, gdzie się znalazł.

- Jest, jeśli ktoś nie potrafi zrezygnować z pewnego sposobu życia.

- Dopóki nie jesteś zagrożony, odkładasz broń na bok. W przeciwnym razie sam napytasz sobie biedy.

- Tamej nocy w Londynie nie miał przy sobie żadnej broni. Walczył gołymi rękami.

- Co?

- Przemierzał ulice w poszukiwaniu wymaganych przeciwników: tyle zrozumiałem z jego majaczeń. „To było w ich oczach! - krzyczał. - To zawsze jest w oczach. Wiedzieli, kim jestem, czym jestem”. Powiadam ci, Delta, to było przerażające, ale jednocześnie nudne. Nigdy nie udało mi się wydobyć z niego nazwiska ani żadnego konkretnego, oprócz Idi Amina, o którym będzie opowiadać każdy pijany najemnik, żeby sobie przydać ważności. Zaangażowanie Brytyjczyków w Hongkongu oznaczałoby wplątanie w całą sprawę mojej osoby, a ja przecież nie mogę sobie na to pozwolić. To wszystko było bardzo frustrujące, przypominałem więc sobie stare metody „Meduzy”. Zrób to sam. To tyś nas tego nauczył, Delta. Stale nam powtarzałeś - rozkazywałeś - żeby używać wyobraźni. To właśnie uczyniłem dziś w nocy. I nie udało mi się. Można się było tego spodziewać po kimś tak starym jak ja.

- Odpowiedz na moje pytanie - naciskał go Bourne. - Dlaczego zabił tych ludzi w Londynie?

- Z powodu równie błahego, co bezsensownego. I zdecydowanie zbyt często spotykanego. Został odtrącony, a jego dumne ego nie potrafiło się z tym pogodzić. Szczerze wątpię, czy w grę wchodziły jakieś inne uczucia. Podobnie jak pozostałe pragnienia, aktywność seksualna stanowi dlań po prostu sposób na zwierzęce rozładowanie się; w grę nie wchodzi żadne uczucie, bo nie jest do tego zdolny. Mon Dieu, miał całkowitą rację!

- Jeszcze raz. Co się wydarzyło?

- Wrócił ranny z jakiejś szczególnie brutalnej akcji w Ugandzie i miał nadzieję, że wskoczy z powrotem do ciepłego łóżka swojej kochanki - osoby, jak to mówią Anglicy, raczej dobrze urodzonej, niewątpliwie pamiątki z jego starych, dobrych dni. Ona jednak nie chciała się z nim widzieć i po jego telefonie wynajęła uzbrojonych strażników, żeby pilnowali jej domu w Chelsea. Dwóch z nich znalazło się pośród owych siedmiu, których zamordował tej nocy. Rozumiesz, ta dziewczyna twierdziła, że on ma niepohamowany temperament, a alkohol wyzwala w nim mordercze skłonności. I wyzwolił. Ale dla mnie stanowił doskonały materiał. W Singapurze wyszedłem w ślad za nim z jakiegoś zakazanego baru i zobaczyłem, jak dopadł w zaułku dwóch bandziorów, szmuglerów, którzy robili wielki szmal sprzedając narkotyki przy tym obskurnym nabrzeżu. Widziałem, jak przyparł ich do muru i jednym pociągnięciem noża poderznął im obu gardła, a potem zabrał z kieszeni cały zarobek. Uznałem wtedy, że ma wszystko, co trzeba. Odnalazłem swojego Jasona Bourne'a. Podszedłem do niego powoli, w milczeniu, trzymając w wyciągniętej ręce więcej pieniędzy, niż zabrał swoim ofiarom. Porozmawialiśmy. Tak to się zaczęło.

- Pigmalion stworzył więc swoją Galateę, a ta po pierwszym przyjętym przez ciebie kontrakcie stała się Afrodytą, w którą tchnąłeś życie. Bernard Shaw by cię za to pokochał, a ja mógłbym zabić.

- W jakim celu? Przyszedłeś tutaj, żeby go odnaleźć. Ja przyszedłem, żeby go zniszczyć.

- To część mojej historii - odparł Dawid Webb odwracając oczy od Francuza i patrząc w stronę zalanych białym światłem szczytów;

pomyślał o Maine i o życiu z Marie, które zostało tak brutalnie przerwane. - Ty sukinsynu! - krzyknął nagle. - Mógłbym cię zabić. Czy zdajesz sobie sprawę, coś narobił?

- To twoja historia. Delta. Pozwól mi skończyć moją.

- Skończ ją jakimś miłym akcentem... Echo. Takie nosiłeś imię, prawda? Echo? - Wracają wspomnienia.

- Tak, tak się nazywałem. Zakomunikowałeś kiedyś Sajgonowi, że nie będziesz podróżował bez „starego Echa”. Musiałem być w twoim oddziale, ponieważ nikt tak jak ja nie umiał radzić sobie z wodzami plemion i wiosek - co niewiele miało oczywiście wspólnego z moim alfabetycznym symbolem. Nie było w tym żadnego mistycyzmu. Przeżyłem w koloniach dziesięć lat. Od razu wiedziałem, kiedy Quan-si mijał się z prawdą.

- Skończ swoją historię - rozkazał Bourne.

- Zdrada - oświadczył d'Anjou rozkładając dłonie. - Stworzyłem swego własnego Jasona Bourne'a, podobnie jak ty zostałeś stworzony. I mój twór zrobił to samo co ty: oszalał. Obrócił się przeciwko mnie; straciłem wpływ na swój własny wynalazek. Zapomnij o Galatei, Delta. On stał się Frankensteinem, tyle że nie odczuwał męczarni, które dręczyły tamtego potwora. Rozstał się ze mną i zaczął sam kombinować, sam działać. Dzięki mojej nieocenionej pomocy i dotknięciu skalpela opuściła go desperacja, a na jej miejsce powróciła żądza władzy, a także arogancja i szpetota. Uważał mnie za błazna. Tak właśnie mnie nazywał: „błazen”. Nic nie znaczące zero, które go wykorzystuje! Mnie, który go stworzyłem!

- Masz na myśli to, że zawierał własne kontrakty?

- Wynaturzone, groteskowe i skrajnie niebezpieczne.

- Ale wysłodziłem go poprzez ciebie, poprzez zaaranżowany przez ciebie układ. Kasyno Kam

Pęk. Stolik piąty. Numer telefonu jakiegoś hotelu w Makau i nazwisko.

- Sposób kontaktowania się, który on postanowił utrzymać, ponieważ był wygodny. Dlaczego nie? Zapewnia prawie całkowite bezpieczeństwo. Cóż mogę na to poradzić? Zgłosić się do władz i oznajmić: „Posłuchajcie, panowie, jest taki facet, za którego ponoszę w pewien sposób odpowiedzialność. Wykorzystuje w dalszym ciągu układy, które sam mu stworzyłem po to, żeby mógł zabijać ludzi za pieniądze”. Przejął nawet mojego łącznika.

- Zhongguo rena o szybkich rękach i jeszcze szybszych stopach? D'Anjou przyjrzał się Jasonowi.

- A więc w ten sposób tego dokonałeś, tak odnalazłeś to miejsce. Nic się nie zmieniłeś. Delta. Czy ten człowiek żyje?

- Żyje i jest bogatszy o dziesięć tysięcy dolarów.

- Chciwy na pieniądze cochoń. Ale trudno mi go krytykować, sam się nim posłużyłem. Zapłaciłem mu pięćset dolarów za odebranie i przekazanie wiadomości.

- Która przywiodła tutaj dzisiaj twoje dzieło po to, abyś mógł je zniszczyć? Skąd miałeś taką pewność, że się pojawi?

- Instynkt meduzyjczyka i urywkowa wiedza o nawiązanych przez niego osobliwych znajomościach i o niezwykle opłacałym dlań kontrakcie, który może doprowadzić do wybuchu wojny w Hongkongu i sparaliżować całą kolonię.

- Słyszałem już tę teorię - odezwał się Jason przypominając sobie słowa McAllistera wypowiedziane owego wczesnego wieczoru w Maine - i nadal w nią nie wierzę. Kiedy mordercy zaczynają zabijać jeden drugiego, zwykle oni sami na tym tracą. Wyniszczają się wzajemnie, a informatorzy wychodzą z ukrycia w obawie, że mogą stać się następnymi w kolejce.

- Jeśli krąg ofiar ogranicza się do takich ludzi, wtedy z pewnością masz rację. Ale nie wówczas, kiedy ginie wpływowi polityk potężnego i agresywnego kraju.

Bourne przyjrzał się badawczo Francuzowi.

- Chiny? - zapytał cicho. D'Anjou kiwnął głową.

- W Tsimshatsui zginęło pięciu mężczyzn.

- Wiem o tym.

- Czterech z nich nie miało żadnego znaczenia. Ale nie ten piąty. Był wicepremierem Chińskiej Republiki Ludowej.

- Wielki Boże! - Jason zastygł w bezruchu. Wracał do niego obraz samochodu z przyciemnionymi szybami. Oficjalnej, należącej do chińskiego rządu limuzyny, którą podróżował zabójca.

- Moi informatorzy donieśli mi, że gorąca linia między Pekinem a Pałacem Rządowym nie stygła ani na moment. Tym razem wzięły górę względy praktyczne i konieczność zachowania twarzy. Na początek, co robił wicepremier w Koulunie? Czy dostojny członek Komitetu Centralnego nie zaliczał się przypadkiem do grona skorumpowanych? Ale, jak powiedziałem, to było tym razem. Nie, Delta, trzeba zniszczyć stworzoną przeze mnie istotę, zanim przyjmie następny kontrakt, kontrakt, który wtrąci nas wszystkich w otchłań.

- Przykro mi, Echo. Nie można go zabić. Trzeba go przekazać pewnej osobie. Żywego.

- Tak brzmi twoja historia? - zapytał d'Anjou.

- Jeden z jej fragmentów.

- Opowiedz mi.

- Tylko to, co musisz wiedzieć. Moja żona została porwana i przewieziona do Hongkongu. Żeby ją odzyskać - i odzyskam ją albo wszyscy pożegnacie się z waszym zasranym życiem - muszę dostarczyć tego sukinsyna, którego stworzyłeś. A teraz jestem bliżej tego o krok, ponieważ ty mi pomożesz. Mówiąc „pomożesz”, mam na myśli prawdziwą pomoc. Jeśli nie...

- Groźby są niepotrzebne, Delta - przerwał mu były meduzyjczyk. - Wiem, co potrafisz zrobić. Widziałem to na własne oczy. Obaj chcemy go mieć, każdy z innych powodów. Będziemy działać wspólnie.

ROZDZIAŁ 17

Catherine Staples nalegała, by zaproszony przez nią na kolację gość wypił jeszcze jedno martini z wódką. Sama wymówiła się pod pretekstem, że ma jeszcze do połowy pełną szklanekę.

- Jest również w połowie pusta - zauważył trzydziestodwuletni amerykański attache. Był zdenerwowany; uśmiechnął się blado, odgarniając ciemne włosy z czoła. - To głupie z mojej strony, Catherine - dodał - przykro mi, ale nie potrafię zapomnieć, że widziałaś te zdjęcia. Nie mówiąc już o tym, że ocaliłaś moją karierę i zapewne też życie. Ciągłe idzie o te cholerne zdjęcia.

- Prócz mnie widział je tylko inspektor Ballantyne.

- Ale t y je widziałaś.

- W moim wieku mogłabym być twoją matką.

- Tym gorzej. Patrzę na ciebie i jest mi wstyd, czuję się po prostu brudny.

- Mój były mąż, lichy wie, gdzie teraz przebywa, powiedział mi kiedyś, że w stosunkach seksualnych nie ma niczego, co można by czy powinno się uważać za brudne. Podejrzewam, że powiedział mi to nie bez powodu, ale tak się składa, że uważam, iż miał rację. Słuchaj, John, przestań o nich myśleć. Ja przestałam.

- Postaram się. - Zbliżył się kelner, więc gestem zamówił kolejnego drinka. - Po twoim telefonie dziś po południu poczułem się wykończony. Myślałem, że okazało się coś znacznie gorszego. Przecież przez dwadzieścia cztery godziny nie wiedziałem, co robię.

- Dano ci podstępnie dużą dawkę narkotyku. Nie mogłeś za siebie odpowiadać. I przepraszam cię, powinnam była ci od razu powiedzieć, że nie ma to nic wspólnego z naszymi poprzednimi sprawami.

- Gdybyś to zrobiła, nie wyłączyłbym się z pracy na ostatnie pięć godzin.

- Postąpiłam okrutnie i bezmyślnie. Raz jeszcze przyjmij moje przeprosiny.

- Przyjęte. Jesteś wspaniałą dziewczyną, Catherine.

- Wykorzystuję twoje nawroty infantylizmu.

- Nie licz na to aż tak bardzo.

- W takim razie nie pij piątego martini.

- To dopiero drugie.

- Odrobina pochlebstwa nigdy nie zaszkodzi.

Zaśmiali się cicho. Kelner wrócił z drinkiem dla Johna Nelsona. Attache podziękował i zwrócił się do Catherine. - Przyszło mi właśnie do głowy, że nie zawdzięczam zaproszenia na cudzy koszt do „The Plume” potrzebie stworzenia okazji do pochlebstw. Ta knajpa jest poza moimi możliwościami finansowymi.

- Moimi też, ale nie Ottawy. Zostaniesz tam wpisany na listę bardzo ważnych osobistości. Faktycznie już jesteś.

- To miłe. Nigdy mi o tym nie mówiono. Dostałem tu bardzo dobre stanowisko, ponieważ nauczyłem się chińskiego. Wykombinowałem sobie, że konkurując z tymi wszystkimi absolwentami Ivy League*, chłopak z Wyższego College'u Stanowego w Fayette, stan Iowa, powinien mieć jakąś przewagę.

- I masz ją, Johnny. Jesteś lubiany w konsulatach. W światku naszych wysuniętych placówek ambasadzkich cenią się wysoko. I słusznie.

- Jeśli tak jest, to dzięki tobie i Ballantyne'owi. I tylko dzięki wam obojgu. - Nelson przerwał, pociągnął martini i popatrzył na kobietę znad szklanki. Odstawił koktajl i spytał: - O co idzie, Catherine? Czemu jestem tak ważny?

- Ponieważ potrzebuję twojej pomocy.

- Zrobię wszystko. Wszystko, co będę mógł.

- Nie tak szybko, Johnny. Jesteśmy w sezonie powodzi i ja sama mogę się utopić.

- Ivy League - sześć czołowych uniwersytetów amerykańskich, jak Yale, Harvard itd.

- Jeśli istnieje ktokolwiek, komu powinienem rzucić koło ratunkowe, to właśnie tobie. Pomijając drobne różnice, nasze dwa kraje są sąsiadami i zasadniczo lubią się wzajemnie. Jesteśmy po tej samej stronie. Więc o co chodzi? Jak mam ci pomóc?

- Marie St. Jacques... Webb - powiedziała Catherine, badając wyraz jego twarzy.

Nelson zamrugał oczami w głębokim zamyśleniu, jego spojrzenie błędziło w przestrzeni.

- Nic - odrzekł. - To nazwisko nic mi nie mówi.

- Dobrze, próbujmy dalej: Raymond Havilland.

- Ach, to zupełnie inna para kaloszy. - Attache otworzył szeroko oczy i pochylił na bok głowę. - Wszyscy u nas plotkują na jego temat. Nie zjawił się w konsulacie, nawet nie zadzwonił do naszego głównego szefa, który marzy o tym, by mieć z nim wspólną fotografię w gazecie. Przecież Havilland jest naszą czołową gwiazdą, czymś w rodzaju metafizycznego zjawiska tej firmy. Siedział tutaj już w czasach przedhistorycznych i to on prawdopodobnie zmontował ten cały szwindel.

- A więc zdajesz sobie sprawę, że przed laty wasz arystokratyczny ambasador był zamieszany w negocjacje nie tylko dyplomatyczne.

- Nikt o tym nie mówi, ale tylko naiwniacy nabierają się na jego minę faceta nie mieszającego się do awantur.

- Naprawdę jesteś dobry, Johnny.

- Tylko spostrzegawczy. Dostaję za to część mojej pensji. Jaki jest związek między nazwiskiem, które znam, i tym mi nie znanym?

- Gdybym tylko wiedziała! Czy orientujesz się, po co Havilland się tu pojawił? Doszły ci jakieś plotki?

- Nie mam pojęcia, po co tu jest, ale wiem, że nie znajdziesz go w żadnym hotelu.

- Przypuszczam, że ma zamożnych przyjaciół...

- Tego jestem pewien, ale u nich też go nie ma.

- O?

- Konsulat po cichu wynajął dom na Victoria Peak, a z Hawajów przyleciał następny oddział piechoty morskiej, by go strzec. Żaden z nas, wyższych urzędników, nie został o tym poinformowany. Wyszło to na jaw dopiero kilka dni temu, gdy wybuchła jedna z tych zwykłych, głupich historii. Dwóch żołnierzy z tamtej grupy poszło na kolację do Wanchai i jeden z nich zapłacił rachunek czekiem tymczasowym, wystawionym na bank w Hongkongu. No cóż, wiesz, jak to jest z wojskowymi i czekami; kierownik knajpy przyczepił się do tego kaprała na amen. Chłopak oświadczył, że ani on, ani jego kumpel nie mieli czasu, by podjąć gotówkę, a czek jest całkowicie w porządku. Niech tylko kierownik zatelefonuje do konsulatu albo pogada z attache wojskowym.

- Bystry ten kapral - wtrąciła kobieta.

- I całkiem tępy konsulat - odrzekł Nelson. - Ci chłopcy mieli wolny dzień, ale nasz napalony dział bezpieczeństwa w swej bezgranicznej paranoi na punkcie tajemnicy nie wciągnął na listę personelu oddziału z Victoria Peak. Kierownik powiedział później, że kapral pokazał mu dowody tożsamości i wyglądał na miłego chłopaka, więc zaryzykował.

- Bardzo rozsądnie. Zapewne tak by nie postąpił, gdyby kapral inaczej się zachował. A więc raz jeszcze mamy dowód, że żołnierz był bystry.

- Ale on zachował się inaczej. Następnego ranka w konsulacie. Udzielił wszystkim surowego ostrzeżenia prawie że koszarowym językiem i tak głośno, że nawet ja to usłyszałem. A mój gabinet jest na przeciwnym końcu korytarza niż recepcja. Chciał się dowiedzieć, co, u diabła, my, cywilbanda, myślimy, po co oni tam siedzą na tej górze i jak to możliwe, że nie ma ich na liście personelu, mimo że są tu już od tygodnia. Jeśli kiedykolwiek widziałem rozwścieczonego żołnierza piechoty morskiej, to właśnie wtedy.

- I nagle cały konsulat dowiedział się, że w tej kolonii znajduje się tajny dom pod specjalną ochroną.

- Ty to powiedziałaś, nie ja. Ale powtórzę ci dokładnie, co okólnik dla całego personelu polecił nam mówić. A pojawił się na naszych biurkach w godzinę po odejściu kaprała, który przez dwadzieścia minut wymyślał bardzo zaambarasowanym błaznom z bezpieczeństwa.

- I to, co macie mówić, nie jest zgodne z tym, w co wierzysz.

- Bez komentarzy - oświadczył Nelson. - „Dom na Victoria został wynajęty dla wygody i bezpieczeństwa podróżujących osobistości rządowych, jak również dla przedstawicieli amerykańskich koncernów, przybyłych tu w interesach”.

- Ucho od śledzia. Szczególnie to ostatnie. Od kiedy to amerykańscy podatnicy fundują takie numery General Motors albo ITT?

- Zgodnie z naszą polityką coraz szerzej otwartych drzwi wobec Republiki Ludowej, Waszyngton usilnie zachęca do rozwoju stosunków handlowych. To się nawet zgadza. Ułatwiamy je, staramy się o szerszy dostęp, a spróbuj tylko dostać miejsce w przyzwoitym hotelu z rezerwacją na dwa dni naprzód. Miasto jest piekielnie zatłoczone.

- Wygląda, jakbyś się tego nauczył na pamięć.

- Bez komentarzy. Powtórzyłem ci tylko to, co według instrukcji mam mówić, gdybyś poruszyła ten temat. A właśnie tak zrobiłaś.

- To oczywiście. Mam przyjaciół na Victoria Peak, którzy uważają, że przez tych wszystkich włóczących się kapralików dzielnica straci ekskluzywny charakter. - Catherine Staples upiła trochę ze swej szklanki i odstawiła ją na stół. - Havilland tam jest?

- Prawie pewne.

- Prawie?

- Biuro naszej referentki prasowej jest obok mojego. Próbowała wyciągnąć od ambasadora coś dla siebie do publikacji. Spytała konsula generalnego, w którym hotelu jest Havilland, i dowiedziała się, że nie ma go w żadnym. Więc w czyjej rezydencji? Ta sama odpowiedź. „Mamy czekać, aż nas zawiadomi, jeśli w ogóle to zrobi”, powiedział szef. Wypłakała mi się w kamizelkę, ale rozkaz był kategoryczny. Nie wolno go poszukiwać.

- Jest tam na Peak - spokojnie oświadczyła Staples. - Kazał sobie założyć chronioną kwaterę i montuje jakąś operację.

- A to ma związek z tą Webb, Marie St. Ktoś-tam Webb?

- St. Jacques. Tak.

- Możesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie teraz. Zarówno dla twego dobra, jak mojego. Jeśli mam rację, a ktokolwiek dojdzie do wniosku, że otrzymałeś takie informacje, zostaniesz przeniesiony do Rejkiawiku natychmiast i bez swetra.

- Ale sama powiedziałaś, że nie wiesz, jaki to ma związek, że chciałabyś wiedzieć.

- W tym znaczeniu, że jeśli taki związek naprawdę istnieje, to nie wiem z jakich przyczyn. Znam tylko jeden aspekt sprawy i to z ogromnymi lukami. Mogę się mylić. - Catherine znów wypiła małe łyżeczki whisky. - Posłuchaj, Johnny - kontynuowała - tylko ty możesz w tej sprawie podjąć decyzję. Jeśli będzie negatywna, potrafię to zrozumieć. Muszę się dowiedzieć, czy obecność Havillanda tutaj ma cokolwiek wspólnego z człowiekiem o nazwisku Dawid Webb i jego żoną, Marie St. Jacques. Przed wyjściem za mąż była ekonomistką w Ottawie.

- Kanadyjka?

- Tak. Pozwól mi wytłumaczyć, czemu chcę się tego dowiedzieć nie pakując cię w tarapaty. Jeśli jest tu jakiś związek, muszę pójść w pewnym kierunku. Jeśli nie, mogę zrobić zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i skierować się gdzie indziej. I wtedy mogłabym sprawę ujawnić. Za pomocą prasy, radia, telewizji, czegokolwiek, co może nadać rzeczy rozgłos i sprowadzić tu jej męża.

- Co oznacza, że gdzieś przepadł - przerwał attache. - A ty wiesz, gdzie ona jest, inni nie.

- Jak już powiedziałam, szybko myślisz.

- Ale w pierwszym wypadku, jeśli to rzeczywiście ma związek z Havillandem, jak przypuszczasz...

- Bez komentarzy. Gdybym ci powiedziała, dowiedziałabyś się więcej, niż powinnaś.

- Rozumiem. Ryzykowna sprawa. Pozwolisz, że się zastanowię. - Wziął swoje martini, ale zaraz odstawił. - A gdybym tak dostał anonimowy telefon?

- To znaczy?

- Zaniepokojona Kanadyjka, poszukująca informacji na temat zaginionego męża.

- Czemu miałyby dzwonić akurat do ciebie? Jest dobrze zorientowana w kołach rządowych. Czemu nie wprost do konsula generalnego?

- Nie było go w biurze. Ja byłem.

- Nie chciałabym cię urazić, Johnny, ale nie jesteś następnym w hierarchii.

- Racja. A poza tym każdy byłby w stanie sprawdzić w centralce i ustalić, że nie było takiego telefonu.

Catherine zmarszczyła brwi, a potem pochyliła się do niego.

- Jest pewien sposób, gdybyś się zdecydował na dalej posunięte kłamstwo. Oparty na realnych faktach. Tak mogło się zdarzyć i nikt nie mógłby temu zaprzeczyć.

- Mianowicie?

- Na Garden Road, gdy wychodziłeś z konsulatu, podeszła do ciebie kobieta. Nie powiedziała ci wiele, ale wystarczająco, abyś się zaniepokoił. Była tak przestraszona, że nie chciała wejść do środka. Była to bardzo zdenerwowana kobieta, szukająca swego amerykańskiego męża. Potrafiłbyś ją nawet opisać.

- No, to zacznij opisywać.

Siedzący przed biurkiem McAllistera Lin Wenzu czytał z notesu. Podsekretarz stanu słuchał. - Chociaż opis jest nieco inny, zmiany są drobne i nie wymagają wielkiego zachodu. Włosy zaczesane gładko do tyłu i przykryte kapeluszem, brak makijażu, pantofle na płaskim obcasie, by wydać się niższą, ale nie za bardzo... To ona.

- I twierdziła, że nie rozpoznaje żadnego nazwiska w spisie pracowników, które mogłoby odpowiadać jej tak zwanemu kuzynowi?

- Kuzynowi ze strony matki. Naciągane, ale wystarczająco konkretne, by wyglądało wiarygodnie. Jak twierdzi recepcjonistka, zachowywała się niezręcznie, była jakby podniecona. Miała torebkę, tak ordynarną imitację Gucciego, że wzięła ją za babkę z głębokiej wiochy. Sympatyczną, ale naiwną.

- Rozpoznała czyjeś nazwisko - oświadczył McAllister.

- Jeśli tak, to czemu o nie nie zapytała? W takich okolicznościach nie traciłaby czasu.

- Prawdopodobnie uznała, że ogłosiliśmy alarm, że nie może ryzykować, iż zostanie rozpoznana, a już szczególnie nie w budynku.

- Nie sądzę, Edwardzie, by to ją niepokoiło. Biorąc pod uwagę, co wie i przez co przeszła, potrafi być bardzo przekonująca.

- To, co jej się wydaje, że wie, Lin. Niczego nie może być pewna. Musi postępować bardzo ostrożnie w obawie przed fałszywym krokiem. Jej mąż jest tam - a możesz mi wierzyć na słowo, bo widziałem ich, gdy byli razem - ona zrobi wszystko, by go uchronić. Mój Boże, ukradła ponad pięć milionów dolarów z tej prostej przyczyny, że pomyślała, zresztą całkiem słusznie, iż jego rodacy wyrządzili mu krzywdę. Według niej należały mu się te pieniądze... im obojgu się należały... i niech cały Waszyngton idzie do wszystkich diabłów.

- Ona to zrobiła?

- Havilland zezwolił na udzielanie ci wszelkich informacji. Zrobiła to i w dodatku bezkarnie. Kto by się ośmielił pisać słowo? Ustawiła sobie tajny Waszyngton dokładnie tak, jak chciała: byli przerażeni i zakłopotani, jedno i drugie aż po uszy.

- Im więcej się dowiaduję, tym bardziej ją podziwiam.

- Podziwiał sobie, ile chcesz, ale ją odzyskaj.

- A sam ambasador gdzie się znajduje?

- Na cichym lunchu z wysokim komisarzem Kanady.

- Powie mu wszystko?

- Nie, poprosi o poufną współpracę, a w zasięgu ręki będzie miał telefon, by móc w każdej chwili porozumieć się z Londynem. Londyn poinstruuje komisarza, aby zrobił wszystko, o co poprosi Havilland. To już jest załatwione.

- Szybko działa, co?

- Nie ma drugiego takiego jak on. Powinien zjawić się tu w każdej chwili, już jest spóźniony. - Telefon zadzwonił i McAllister podniósł słuchawkę. - Słucham?... Nie, nie ma go tutaj. Kto taki?... Tak, oczywiście, rozmawiam z nim. - Zakrył mikrofon. - To nasz konsul generalny.

- Coś się stało - rzekł nerwowo Lin, wstając z fotela.

- Tak, panie Lewis, mówi McAllister. Chciałbym panu powiedzieć, sir, jak bardzo to wszystko sobie cenimy. Konsulat wykazał dobre chęci w najwyższym stopniu.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Havilland.

- Panie ambasadorze, to amerykański konsul generalny - powiedział Lin. - O ile zrozumiałem, pytał o pana.

- Nie mam czasu na żadne z jego cholernych przyjęć.

- Chwileczkę, panie Lewis. Ambasador właśnie przyszedł. Jestem pewien, że chciałby pan z nim porozmawiać. - McAllister wyciągnął telefon w stronę Havillanda, który podszedł szybkim krokiem.

- Tak, Jonathan, o co chodzi? - Wysoki, wyprostowany i szczupły ambasador słuchał w milczeniu, błędząc niewidzącymi oczami po ogrodzie za szklanymi drzwiami. Wreszcie odezwał się. - Dziękuję, Jonathanie, postąpiłeś właściwie. Nie mów absolutnie nic i nikomu, a od teraz ja to przejmuję. - Havilland odłożył słuchawkę i popatrzył najpierw na McAllistera, a potem na Wenzu. - Trop, jakiego szukamy, jeśli rzeczywiście to jest ten trop, pojawił się w zupełnie niewłaściwym miejscu. Nie w kanadyjskim, lecz amerykańskim konsulacie.

- To się nie trzyma kupy - oświadczył McAllister. - Tu nie Paryż i nie ulica z jej ulubionymi drzewami, klonami, klonowym liściem. Tam jest konsul kanadyjski, nie amerykański.

- I opierając się na tym, mamy zbagatelizować ten trop?

- Oczywiście, że nie. Co się stało?

- Na Garden Road, do attache o nazwisku Nelson, podeszła Kanadyjka poszukująca swego męża. Ten Nelson zaofiarował jej pomoc, zaproponował, że pójdzie z nią na policję, ale była nieugięta. Nie pójdzie z nim na policję ani nie wejdzie z nim do konsulatu.

- Czy podała jakieś przyczyny? - spytał Lin. - Prosi o pomoc, a następnie ją odrzuca.

- Powiedziała, że to sprawa czysto prywatna. Nelson opisał ją jako osobę bardzo zdenerwowaną i przemęczoną. Podała, że nazywa się Mary Webb i dodała, że być może mąż szukał jej w konsulacie. Poprosiła, by Nelson popytał się o to, a ona do niego jeszcze zadzwoni.

- Ale to nie to, co mówiła poprzednio - sprzeciwił się McAllister. - Przecież wyraźnie robiła aluzję do tego, co ich spotkało w Paryżu, a to oznaczało zamiar skontaktowania się z przedstawicielem jej rządu, jej kraju, Kanady.

- Czemu się upierasz? - spytał Havilland. - Nie krytykuję cię, ale po prostu chciałbym się dowiedzieć dlaczego.

- Nie jestem pewien. Coś się tu nie zgadza. Między innymi, obecny tu major ustalił, że była w konsulacie kanadyjskim.

- O? - Ambasador zwrócił się do przedstawiciela Wydziału Specjalnego.

- Recepcjonistka to potwierdziła. Rysopis prawie się zgadzał, szczególnie jak na kogoś, kto pobierał lekcje u kameleona. Jej historyjka brzmiała następująco: obiecała swej rodzinie, że poszuka dalekiego kuzyna, którego nazwiska zapomniała. Recepcjonistka dała jej spis personelu, a ona go przejrzała.

- Znalazła tam kogoś, kogo zna - oświadczył podsekretarz stanu. - Skontaktowała się.

- I masz odpowiedź - rzekł stanowczo Havilland. - Ustaliła, że jej mąż nie poszedł na ulicę wysadzaną klonami, więc zrobiła kolejny właściwy krok. Konsulat amerykański.

- Podała własne nazwisko wiedząc, że poszukują jej w całym Hongkongu?

- Podanie fałszywego nic by jej nie dało - odparł ambasador.

- Oboje znają francuski. Mogła użyć na przykład francuskiego słowa toile, co po angielsku oznacza „sieć”, a pisze się web.

- Wiem, co oznacza, ale to już zbyt naciągane.

- Jej mąż by zrozumiał. Powinna była zrobić coś mniej nachalnego.

- Panie ambasadorze - przerwał Lin Wenzu, powoli odwracając wzrok od McAllistera - usłyszawszy pana słowa skierowane do amerykańskiego konsula generalnego, że nie powinien absolutnie nikomu o niczym wspominać, i teraz rozumiejąc w pełni pańską troskę o zachowanie tajemnicy, wnioskuję, że pan Lewis nie został powiadomiony o istniejącej sytuacji.

- Zgadza się, majorze.

- Więc dlaczego do pana zadzwonił? U nas, w Hongkongu, ludzie często znikają. Zaginiony mąż czy zaginiona żona to nie taka znowu rzadkość.

Przez chwilę twarz Havillanda wyrażała niepewność. - Znamy się z Jonathanem Lewisem od bardzo dawna - powiedział wreszcie, lecz w jego głosie brakowało zwykłej stanowczości. - Być może to bon vivant, ale na pewno nie jest głupcem. W przeciwnym razie nie znalazłby się tutaj. A biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich kobieta zwróciła się do jego attache... no cóż, Lewis mnie zna i wyciągnął własne wnioski. - Zwrócił się teraz do McAllistera, a w miarę jak mówił, wracała jego pewność siebie. - Zadzwoni do Lewisa, Edwardzie. Powiedz mu, by polecił temu Nelsonowi czekać na twój telefon. Wolałbym bardziej dyskretne podejście, ale nie mamy czasu. Chcę, abyś go

wypytał o wszystko, cokolwiek przyjdzie ci do głowy. Będę słuchał przez drugi aparat, w twoim gabinecie.

- A więc jednak zgadzasz się - powiedział podsekretarz. - Coś nie gra.

- Tak - odparł Havilland, spoglądając na Lina. - Major to dostrzegł, a ja nie. Ująłbym to nieco inaczej, ale w istocie rzeczy to jest to samo, co i jego niepokoi. Nie w tym problem, czemu Lewis telefonował do mnie, lecz dlaczego attache poszedł akurat do niego. Przecież w końcu to była tylko bardzo zdenerwowana kobieta, która oświadczyła, że zaginął jej mąż, ale nie chciała pójść na policję ani nie zgodziła się wejść do konsulatu. Normalnie taką osobę uznano by za znikowaną. Z całą pewnością, na pierwszy rzut oka, nie jest to sprawa godna uwagi przepracowanego konsula generalnego. Zadzwoń do Lewisa.

- Oczywiście. Ale powiedz mi jeszcze, czy z komisarzem kanadyjskim sprawy idą gładko? Będzie współpracował?

- Na twoje pierwsze pytanie odpowiedź brzmi: nie, sprawy nie idą gładko. A co do drugiego, to nie ma on wyboru.

- Nie rozumiem.

Havilland westchnął zmęczony i poirytowany. - Dzięki Ottawie dostarczy nam listę tych osób ze swego personelu, które miały jakąkolwiek styczność z Marie St. Jacques. Zrobi to niechętnie. Taki jest zakres współpracy, jaki mu zlecono, ale diabli go biorą z tego powodu. Przede wszystkim cztery lata temu on sam brał udział w dwudniowym seminarium u niej, i dodał, że zapewne jedna czwarta załogi jego konsulatu też przez to przechodziła. Wątpliwe, czy ona ich pamięta, ale oni z pewnością ją pamiętają. Ona była „wybitna”, tak to określił. Do tego jest Kanadyjką, która została po szyję wciągnięta w jakieś paskudztwo przez grupę amerykańskich zasrańców - zauważ, że nie miał żadnych zahamowań co do użycia tego słowa - w jakąś kretynską, ciemną operację - tak, to właśnie powiedział: „kretynską” - idiotyczną operację zmontowaną przez tych samych zasrańców - i znowu to powtórzył - której nigdy nie wyjaśniono zadowolająco. - Ambasador przerwał na chwilę, parsknąwszy śmiechem. - To było bardzo pokrzepiające. Nie miał najmniejszych oporów, a do mnie nikt tak nie mówił od czasu, gdy zmarła moja droga żona. Potrzeba mi więcej takich przeżyć.

- Ale przecież mu powiedziałaś, że to jest dla jej własnego dobra, prawda? Że musimy ją odnaleźć, nim przytrafi jej się coś złego.

- Mam nieodparte wrażenie, że nasz kanadyjski przyjaciel ma poważne wątpliwości co do mego zdrowia psychicznego. Zadzwoń do Lewisa. Bóg jeden wie, kiedy dostaniemy tę listę. Nasz klonowy listek zapewne poleci wysłać ją koleją z Ottawy do Vancouver, a stamtąd najpowolniejszym frachtowcem do Hongkongu, gdzie zostanie zgubiona w rozdzielni poczty. A tymczasem mamy attache, który bardzo dziwnie się zachowuje. Ujmuje się za kimś w sytuacji, która wcale tego nie wymaga.

- Poznaliśmy się z Johnem Nelsonem, sir - powiedział Lin. - Inteligentny chłopak, dobrze mówi po chińsku. Bardzo lubiany w świątku konsularnym.

- Jest też jeszcze kimś innym, majorze.

Nelson odłożył słuchawkę. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Otarł je wierzchem dłoni. Pod każdym względem mógł być z siebie zadowolony: zachował się bardzo dobrze. Szczególną przyjemność sprawiło mu to, że potrafił odwrócić ostrze pytań McAllistera, kierując je przeciw samemu wypytyjącemu, chociaż bardzo dyplomatycznie.

- Dlaczego uważał pan za konieczne zwrócić się do konsula generalnego?

- Pański telefon jest chyba wystarczającą odpowiedzią, panie McAllister. Uznałem, że wydarzyło się coś niezwykłego. Pomyślałem, że konsula należy powiadomić.

- Ale ta kobieta odmówiła pójścia na policję; nie zgodziła się nawet wejść do konsulatu.

- Jak powiedziałem, sir, było to niezwykłe. Była nerwowa i napięta, ale nie miała nie po kolei.

- Nie miała co?

- Była absolutnie przytomna, można by nawet powiedzieć opanowana, pomimo niepokoju.

- Rozumiem.

- Nie jestem pewien, czy do końca, sir. Nie mam pojęcia, co konsul generalny panu powiedział, ale podsunąłem mu, że zważywszy na dom na Yictoria Peak, piechotę morską w charakterze ochrony; a następnie przybycie ambasadora Havillanda, mógłby rozważyć, czy nie należy zatelefonować do kogoś na górze.

- Pan to zaproponował?

- Tak, sir.

- Dlaczego?

- Nie sądzę, panie McAllister, by wgłębianie się w takie sprawy było dla mnie wskazane. Mnie one nie dotyczą.

- Tak, oczywiście, ma pan rację. To znaczy... tak, w porządku. Ale, panie Nelson, musimy odnaleźć tę kobietę. Polecono mi przekazać panu, że jeśli zdoła pan nam w tym dopomóc, będzie to dla pana bardzo korzystne.

- W każdym wypadku chciałbym dopomóc. Jeśli ona skontaktuje się ze mną, postaram się gdzieś z nią umówić i zadzwonię do pana. Wiedziałem, że postępuję słusznie i powiedziałem, co należało.

- Będziemy oczekiwać na pański telefon.

Catherine trafiła w sedno, pomyślał John Nelson. Powiązanie było jak cholera. Powiązanie tak poważne, że nie odważył się skorzystać z telefonu konsulatu, by do niej zadzwonić. Ale gdy się z nią spotka, postawi parę bardzo zasadniczych pytań. Ufał Catherine, ale nawet pomimo zdjęć i związanych z nimi konsekwencji nie był na sprzedaż. Wstał zza biurka i podszedł do drzwi. Nagle przypomniana sobie wizyta u dentysty powinna wystarczyć jako pretekst. Gdy szedł korytarzem do recepcji, powrócił myślami do Catherine Staples. Należała do najmocniejszych ludzi, jakich spotkał w życiu, ale jej spojrzenie ubiegłego wieczoru nie zdradzało siły, lecz przeraźliwy lęk. Takiej Catherine jeszcze nie widział.

Odparował twoje pytania, jak chciał - oświadczył Havilland, wchodząc do pokoju; w ślad za nim podążała potężna postać. - Zgadza się pan, majorze?

- Tak, a to znaczy, że spodziewał się takich pytań. Był na nie przygotowany.

- Co oznacza, że ktoś go przygotował!

- Nie powinniśmy byli do niego dzwonić - zauważył spokojnym tonem McAllister siedząc za biurkiem i znowu nerwowo masując palcami prawą skroń. - Wszystko, co mówił, było tak

pomyślane, by sprowokować odpowiedź z mojej strony.

- Musieliśmy do niego zadzwonić - upierał się Havilland - choćby po to, by się tego dowiedzieć.

- On pokierował rozmową. Ja utraciłem nad nią kontrolę.

- Edwardzie, nie mogłeś zachować się inaczej - powiedział Lin. - Gdybyś reagował w inny sposób, oznaczałoby to, że kwestionujesz motyw jego postępowania. Czyli faktycznie zacząłbyś mu grozić.

- A w tej chwili nie życzymy sobie, by się poczuł zagrożony - zgodził się Havilland. - On zbiera dla kogoś informacje, a my musimy się dowiedzieć dla kogo.

- To zaś oznacza, że żona Webba jednak dotarła do kogoś, kogo zna, i powiedziała temu komuś wszystko. - McAllister pochylił się do przodu z łokciami opartymi na biurku i mocno zaciśniętymi dłońmi.

- Okazało się, że miałeś rację - przyznał ambasador, spoglądając z góry na podsekretarza. - Ulica z jej ulubionymi klonami. Paryż. Nieuchronne powtórzenie. To całkiem jasne. Nelson pracuje dla kogoś w konsulacie kanadyjskim, a ten nieznany ktoś jest w kontakcie z żoną Webba.

McAllister podniósł głowę. - Ten Nelson jest albo cholernym głupcem, albo jeszcze cholerniejszym głupcem. Sam się przyznał, że wie, a przynajmniej się domyśla, iż natknął się na informację o kluczowym znaczeniu politycznym, dotyczącą doradcy prezydenta. Można go wsadzić do więzienia za spiskowanie przeciw rządowi, nie mówiąc już o wyrzuceniu z pracy.

- Zapewniam cię, że to nie jest głupiec - powiedział Lin.

- W takim razie albo ktoś zmusza go do robienia czegoś wbrew jego woli, zapewne za pomocą szantażu, albo zapłacono mu za to, by ustalił, czy istnieje jakieś powiązanie między Marie St. Jacques a tym domem na Victoria Peak. Nie ma trzeciej możliwości. - Havilland zmarszczył brwi i usiadł na fotelu stojącym przed biurkiem.

- Dajcie mi jeden dzień - kontynuował major z MI 6. - Może uda mi się czegoś dowiedzieć. Jeśli tak, to kimkolwiek jest ten człowiek w konsulacie, zgarniemy go.

- Nie - sprzeciwił się dyplomata z wielkim doświadczeniem w tajnych operacjach. - Damy ci czas dzisiaj do ósmej wieczorem. Nie możemy sobie na to pozwolić, ale jeśli da się uniknąć zderzenia i smrodu, który z tego wyniknie, musimy spróbować. Najważniejsze to panować nad sobą. Postaraj się. Lin. Na litość boską, po staraj się.

- A po ósmej, panie ambasadorze? Co wtedy?

- Wtedy, majorze, łapiemy naszego sprytnego i wykrętnego attache i łamiemy go. O wiele bardziej bym wolał użyć go bez jego wiedzy, nie ryzykując, że podniesie się alarm, ale kobieta jest najważniejsza. Ósma wieczór, majorze Lin.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- A jeśli się mylimy - kontynuował Havilland, jakby Lin Wenzu nic nie powiedział - jeśli tego Nelsona wystawiono nam jako kukłę i on nie wie nic, chcę, aby wszelkie przepisy zostały złamane. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz ani ile wydasz na łapówki, ani jakich brudów będziesz musiał użyć, by to załatwić. Chcę kamer, telefonów na podsłuchu, nadzoru elektronicznego, cokolwiek potrafisz zmobilizować, w stosunku do wszystkich, co do jednej, osób w tamtym konsulacie. Ktoś z nich wie, gdzie ona jest. Ktoś z nich ją ukrywa.

Catherine, tu John - powiedział Nelson dzwoniąc z automatu telefonicznego na Albert Road.

- Jak to miło, że zadzwoniłeś - odpowiedziała pośpiesznie. - Miałam ciężkie popołudnie, ale musimy koniecznie umówić się któregoś dnia na drinka. Będzie mi bardzo miło spotkać się z tobą po tylu miesiącach, a ty mi opowiesz, jak tam było w Canberrze. Ale teraz powiedz mi tylko jedno: czy miałam rację z tym, co ci mówiłam?

- Muszę się z tobą spotkać, Catherine.

- Ani słówka?

- Muszę się z tobą zobaczyć. Masz czas?

- Za trzy kwadranse mam spotkanie.

- No to później, koło piątej. Jest takie miejsce zwane „Monkey Tręe” w Wanchai, na Gloucester...

- Znam. Będę tam.

John Nelson odłożył słuchawkę. Nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do biura. Nie mógł oddalić się na trzy godziny, w każdym razie nie po rozmowie z samym podsekretarzem stanu Edwardem McAllis-terem; konieczność zachowania pozorów wykluczała tak długą nieobecność. Słyszał o McAllisterze; podsekretarz spędził w Hongkongu siedem lat, opuściwszy go zaledwie na parę miesięcy przed przybyciem Nelsona. Czemu wrócił? Do czego służył ten chroniony dom na Yictoria Peak, w którym tak nagle zamieszkał ambasador Havilland?

A ponad wszystko, co tak przestraszyło Catherine Staples? Zawdzięczał jej swą karierę, ale ona musi mu udzielić kilku odpowiedzi. A on musi podjąć decyzję.

Lin Wenzu prawie wyczerpał swoje źródła informacji. Tylko jedno dało mu coś do myślenia. Inspektor Ian Ballantyne jak zwykle odpowiadał pytaniami na pytania, zamiast udzielać zwięzłych odpowiedzi. Było to irytujące, ponieważ nigdy nie było wiadomo, czy człowiek ze Scotland Yardu wiedział coś na dany temat czy nie, w tym wypadku na temat amerykańskiego attache o nazwisku John Nelson.

- Spotkałem się z facetem parę razy - powiedział Ballantyne. - Bystrzak. Mówi waszą gwara, wiesz o tym?

- Moją „gwarą”, inspektorze?

- No cóż, cholernie niewielu z nas to potrafiło, nawet podczas wojen opiumowych. Ciekawy był to okres historyczny, nieprawdaż, majorze?

- Wojny opiumowe? Pytałem o tego attache, Johna Nelsona.

- O, i jest tu jakiś związek?

- Z czym, inspektorze?

- Z wojnami opiumowymi.

- Jeśli jest, to on ma ze sto pięćdziesiąt lat, a jego akta mówią, że tylko trzydzieści dwa.

- Naprawdę? Taki młody, he?

Ballantyne prowadził rozmowę zbyt wykrętnie, by zadowolić Lina. Jeśli ten stary wyga coś wiedział, to nie zamierzał tego ujawniać. Wszyscy inni, od policjantów z Hongkongu i Koulunu, aż po „specjalistów” zbierających za pieniądze informacje dla konsulatu amerykańskiego, wystawili

Nelsonowi najlepsze świadectwa, jakie tylko były możliwe na tym terenie. Jeśli Nelson miał jakąś słabą stronę, to było nią jedynie nadmierne uganianie się za seksem; nie należał przy tym do wybrednych. Ale biorąc pod uwagę, że był heteroseksualistą i kawalerem, zasługiwało to raczej na podziw niż potępienie. Jeden ze „specjalistów” powiedział Linowi, że słyszał, jakoby Nelsonowi zalecono możliwie regularne poddawanie się kontroli lekarskiej. Żadne przestępstwo; attache był po prostu ogierem. Trzeba zaprosić go na kolację.

Zadzwoił telefon. Lin gwałtownie chwycił słuchawkę.

- Słucham?

- Nasz obiekt poszedł na Peak Tram i złapał taksówkę do Wanchai. Jest w kawiarni o nazwie „Monkey Tree”. Jestem tu z nim. Widzę go.

- Lokal stoi na uboczu i jest bardzo zatłoczony - powiedział major. - Czy z kimś się tam spotkał?

- Nie, ale zamówił stolik dla dwóch osób.

- Przyjadę najszybciej jak to możliwe. Jeśli będziesz musiał stamtąd wyjść, skontaktuję się z tobą przez radio. Ty jesteś z Wozu Siódmego, tak?

- Wóz Siódmy, sir.... Chwileczkę! Do jego stolika podchodzi jakaś kobieta. Obiekt wstaje.

- Rozpoznajesz ją?

- Nie. Jest za ciemno.

- Zapłać kelnerowi. Spowoduj przerwę w obsłudze gości. Ale nie nachalnie, tylko na parę minut. Pojadę naszą sanitarką, syrenę wyłączę o jedną przecznicę wcześniej.

Catherine, zawdzięczam ci bardzo wiele i ze wszystkich sił chcę ci pomóc. Ale muszę wiedzieć coś więcej niż to, co mi powiedziałaś.

- A więc jest związek, tak? Havilland i Marie St. Jacques.

- Tego nie potwierdzam, nie mogę potwierdzić, ponieważ nie rozmawiałem z Havillandem. Ale rozmawiałem z kimś innym, o kim wiele słyszałem i kto był na tej placówce... To wielki mózg, a mimo to był tak zdesperowany, jak ty zeszłego wieczoru.

- Takie wczoraj sprawiałam na tobie wrażenie? - spytała Catherine, przyglądając szpakowate włosy. - Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Ej, daj spokój. Nie chodzi o twoje słowa, lecz o sposób, w jaki je wypowiadałaś. Z ledwie skrywanym napięciem. Takim samym tonem jak ja, gdy dawałaś mi fotografie. Zapewniam cię, że potrafię to zauważyć.

- Johnny, uwierz mi. Być może zajmujemy się czymś, do czego żadne z nas nie powinno się nawet zbliżać, czymś znajdującym się tak wysoko, że my... ja... nie mamy dość wiadomości, by podjąć właściwą decyzję.

- Ja muszę ją podjąć, Catherine. - Nelson zaczął się rozglądać w poszukiwaniu kelnera. - Gdzie te cholerne drinki?

- Nie odczuwam pragnienia.

- Ale ja tak. Zawdzięczam ci wszystko, lubię cię i wiem, że nie użyłabyś tych zdjęć przeciwko mnie, a to tylko pogarsza sprawę...

- Oddałam ci wszystkie odbitki, a negatywy spaliliśmy razem.

- A więc mój dług jest tym bardziej rzeczywisty, nie rozumiesz tego? To dziecko miało ile?... Dwanaście lat?

- Nie miałeś o tym pojęcia. Byłeś zamroczony narkotykiem.

- Paszport do krainy zapomnienia. Moja przyszłość to nie sekretarz stanu, lecz szef dziecięcego burdelu. Cóż to był za diabelski odlot!

- Było, minęło, a ty skończ wreszcie z tym melodramatem. Chcę tylko, byś mi powiedział, czy istnieje związek między Havillandem i Marie St. Jacques. A to, jak sądzę, wiesz. Skąd te opory? Bo ja będę wtedy wiedziała, co zrobić.

- Stąd, że jeśli ci powiem, muszę także powiedzieć Havillandowi, że ci mówiłem.

- Więc daj mi godzinę.

- Dlaczego?

- Bo ja mam jeszcze kilka fotografii w moim sejfie w konsulacie - skłamała Catherine Staples.

Oszupiałego Nelsona aż odrzuciło na oparcie krzesła. - O, Boże! Nie mogę w to uwierzyć!

- Johnny, postaraj się zrozumieć. To twarda, bezlitosna gra. Od czasu do czasu wszyscy w nią gramy, ponieważ jest to w interesie naszych pracodawców... a jeśli wolisz, to nawet naszych krajów. Marie St. Jacques była moją przyjaciółką... jest moją przyjaciółką... a jej życie nie ma żadnej wartości dla zarozumiałców kierujących tajną operacją, którzy kichają na to, co stanie się z nią i z jej mężem. Wykorzystywali ich oboje i próbowali ich zabić! Pozwól, Johnny, że coś ci powiem. Nienawidzę waszej Centralnej Agencji Wywiadowczej oraz tak szumnie nazywanych Operacji Konsularnych waszego Departamentu Stanu. Nie chodzi o to, że są to sukinsyny, lecz o to, że tak bezdennie głupie sukinsyny. I jeśli tylko wyczuję, że montuje się jakąś operację i znów wykorzystuje tych dwoje, którzy doznali tak wielkiego bólu, zamierzam wykryć, dlaczego tak się dzieje i podjąć odpowiednie działania. Nie będzie się już wystawiać czeków in blanco na ich życie. Ja mam doświadczenie, którego im brak, i jestem dostatecznie rozzłoszczona, nie, dostatecznie rozwścieczona, by zażądać odpowiedzi.

- O, Chryste...

Kelner przyniósł drinki, a gdy Catherine podniosła głowę, by skinąć w podziękowaniu, jej wzrok przyciągnęła postać mężczyzny, który stał koło kabiny telefonicznej w zatłoczonym korytarzu prowadzącym do wyjścia i przyglądał im się. Odwróciła głowę.

- A więc jak, Johnny? - kontynuowała. - Potwierdzasz czy zaprzeczasz?

- Potwierdzam - wyszeptał Nelson chwytając szklanę.

- Dom na Victoria Peak?

- Tak.

- Kim jest człowiek, z którym rozmawiałeś, ten, który tu był przedtem na placówce?

- McAllister. Podsekretarz stanu McAllister.

- Wielki Boże!

Przy wejściu zrobił się nadmierny ruch. Catherine przysłoniła oczy dłonią i obróciła lekko

głową, by ogarniać wzrokiem większą przestrzeń. Wszedł ogromny człowiek, kierując się w stronę telefonu przy ścianie. W całym Hongkongu był tylko jeden taki człowiek: Lin Wenzu, MI 6, Wydział Specjalny! Amerykanie zwerbowali najlepszego, ale to mogło okazać się najgorsze dla Marie i jej męża.

- Nie zrobiłeś nic złego, Johnny - zapewniła kobieta wstając z miejsca. - Porozmawiamy jeszcze, ale w tej chwili muszę pójść do toalety.

- Catherine?

- Co?

- Twarda gra?

- Bardzo twarda, kochanie.

Przeszła obok Wenzu, który skulił się i odwrócił. Weszła do toalety, odczekała kilka sekund, po czym wyszła wraz z dwiema innymi kobietami i uciekła korytarzem do kuchni na zapleczu „Monkey Tree”. Nie odzywając się ani słowem do zdumionych kelnerów i kucharzy, odnalazła tylne wyjście i wydostała się na zewnątrz.

Pobiegła boczną uliczką do Gloucester Road i skręciła w lewo przyspieszając kroku, póki nie znalazła budki telefonicznej. Wrzuciła monetę i nakręciła numer.

- Halo?

- Marie, znikaj z mieszkania! Mój wóz jest w garażu o jedną przecznicę na prawo od wyjścia z budynku. Garaż nazywa się „Pałac Minga”, ma czerwony szyld. Leć tak szybko, jak potrafisz! Spotkam się z tobą. Pospiesz się!

Catherine przywołała taksówkę.

Kobieta nazywa się Staples, Catherine Staples! - krzyczał ostrym tonem Lin Wenzu do słuchawki w „Monkey Tree”, zagłuszając hałas panujący w korytarzu wyjściowym. - Wrzuć dyskietkę konsulatu do komputera i przeszukaj. Szybko! Potrzebny mi jej adres i masz się diabło-diabło postarać, żeby był aktualny! - Major czekał słuchając. Mięśnie szczęki drgały mu z wściekłości. Wreszcie usłyszał adres i wydał kolejny rozkaz.- Jeśli jakiś wóz z naszej grupy jest w tamtej okolicy, złap go przez radio i każ tam lecieć na złamanie karku. Gdyby takiego nie było, wysyłaj natychmiast inny. - Lin przerwał słuchając odpowiedzi. - Niech na nią czekają. Gdy ją zauważą, mają ją otoczyć i brać. My już jedziemy.

^>Wóz piąty, zgłoś się! - powtarzał radiooperator do mikrofonu z ręką na wyłączniku w prawym dolnym rogu stojącej przed nim konsoly. Pokój był biały, bez okien, pomruk klimatyzatora cichy, ale nieprzerwany, warkot urządzenia filtrującego powietrze jeszcze cichszy. Trzy ściany zajmowały baterie skomplikowanej aparatury radiowej i komputerowej nad niepokalanie białymi blatami z najgładszego plastiku. Wnętrze miało w sobie coś antyseptycznego i surowego. Mogłoby to być laboratorium elektroniczne w zasobnym instytucie medycznym, ale nie było. Była to zupełnie inna instytucja. Centrum łączności MI 6, Wydział Specjalny, Hongkong.

- Wóz piąty, zgłaszam się! - rozległ się zadyszany głos z odbiornika. - Dostałem twoją wiadomość, ale byłem o całą ulicę dalej, śledząc Tajlandczyka. Mieliśmy rację. Narkotyki.

- Przejdź na falę kodowaną! - zarządził operator, przerzucając wyłącznik. Rozległ się gwizd i urwał równie nagle, jak się włączył. - Masz zostawić tego Tajlandczyka - kontynuował radiowiec. -

Jesteś najbliżej. Jedź na Arbuthnot Road, najszybsza droga jest przez bramę do Ogrodów Botanicznych. - Podał adres Catherine Staples i zakończył rozkazem: - Amerykanka. Przypilnować. Zdjąć ją.

- Aiya - wyszeptał bez tchu agent Wydziału Specjalnego.

Marie próbowała nic poddawać się panice, narzucając sobie opanowanie wbrew temu, co czuła. Sytuacja była absurdalna. Ale równocześnie śmiertelnie poważna. Ubrana była w źle leżący na niej szlafrok Catherine, ponieważ wzięła długą, gorącą kąpiel. Co gorsza uprała swoje ubranie w zlewozmywaku. Było nadal mokre, rozwieszona na plastikowych fotelikach na małym balkonie mieszkania Catherine. Tak naturalna, tak logiczna wydawała się potrzeba, by zmyć z siebie pot i brud Hongkongu, a także z cudzego ubrania. A od tanich sandałków miała na podszewkach stóp bąble; największy przekłuła igłą. Trudno było z tym chodzić. Ale chodzić nie śmiała, musiała biec.

Co się stało? Catherine nie należała do osób wydających arbitralne rozkazy. Ona sama też nie, szczególnie wobec Dawida. Ludzie typu Catherine starannie unikali takiej postawy, ponieważ ofiara traci wówczas jasność myślenia. A jej przyjaciółka Marie St. Jacques była w tej chwili ofiarą; nie w takim stopniu jak biedny Dawid, ale jednak ofiarą. Rusz się! Jakże często Jason używał tego słowa w Zurychu i Paryżu. I jak często ona sama podrywała się na ten dźwięk.

Narzuciła mokre, oblepiające ciało ubranie i zaczęła przetrząsać garderobę Catherine w poszukiwaniu pantofli. Były niewygodne, ale miększe od sandałów. Mogła w nich biec, musiała.

Włosy! Chryste, jej włosy! Pobiegła do łazienki, gdzie Catherine trzymała porcelanowy słoik pełen szpilek i wsuwek do włosów. W parę sekund upięła włosy na czubku głowy, pospiesznie wróciła do malutkiej bawialni, znalazła swój idiotyczny kapelusik i wcisnęła go na głowę.

Oczekiwanie na windę ciągnęło się bez końca! Jak pokazywały świetlne cyfry nad drzwiami, obie windy jeździły tam T z powrotem między pierwszym, trzecim i siódmym piętrem, nigdy nie docierając na dziewiąte. Wychodzący wieczorem na miasto mieszkańcy zaprogramowali te pionowe potwory według własnych potrzeb, opóźniając jej ucieczkę.

Unikaj wind, gdy tylko możesz. To pułapki. Jason Bourne. Zurych.

Marie rozejrzała się po korytarzu. Dostrzegła schody pożarowe i pobiegła w ich stronę. Bez tchu wpadła do małego holu, przybierając tak spokojną postawę, jak tylko potrafiła, by nie skupiać na sobie zainteresowania pięciu czy sześciu lokatorów wchodzących i wychodzących z domu. Nie umiała ich policzyć, prawie nic nie widziała;

musiała się stąd wydostać!

Mój wóz jest w garażu o jedną przecznicę na prawo od wyjścia z budynku. Garaż nazywa się „Pałac Minga”. Na prawo? Czy na lewo? Zawahała się pośrodku chodnika. Prawo czy lewo? „Prawo” było tak wieloznaczne, „lewo” konkretniej sze. Próbowała zebrać myśli. Co właściwie powiedziała Catherine? Prawo! Miała pójść na prawo; to jej najpierw przyszło do głowy. I na tym musiała się oprzeć.

Twój pierwszy odruch jest najlepszy, najważniejszy, bo oparty na informacjach zakodowanych w twojej głowie jak w pamięci komputera. Bo tym właśnie jest twój mózg. Jason Bourne. Paryż.

Rzuciła się do biegu. Spadł jej lewy pantofel. Zatrzymała się i schyliła, by go podnieść. Nagle z bramy Ogrodów Botanicznych po drugiej stronie ulicy wypadł zarzucając na wirażu samochód, a potem niczym rozwścieczona, samonaprowadzająca się na źródło ciepła rakietą skoczył w lewo i

skierował wprost na nią. Zatoczył łuk poślizgiem, piszcząc oponami. Z auta wyskoczył człowiek i rzucił się w jej stronę.

ROZDZIAŁ 18

Nic już nie mogła zrobić. Została przyparta do muru, schwytana w pułapkę. Marie wrzasnęła i wrzeszczała bez przerwy. Gdy chiński agent zbliżył się, grzecznie, ale stanowczo biorąc ją za ramię, jej histeria osiągnęła szczyt. Poznała go: to był jeden z nich, jeden z tych strasznych biurokratów! Wrzeszczała teraz ze wszystkich sił. Przechodnie zaczęli się zatrzymywać i odwracać. Kobiety głośno sapały z oburzenia, a zdumieni, niezdecydowani mężczyźni zaczęli powoli się zbliżać. Inni nerwowo rozglądali się za policjantami lub głośno ich wzywali.

- Proszę pani! - zawołał Chińczyk, starając się panować nad swoim głosem. - Nie stanie się pani nic złego. Pozwoli pani, że ją odprowadzę do samochodu. To dla pani własnego dobra.

- Ratunku! - wrzasnęła Marie, gdy zdziwieni popołudniowi spacerowicze zaczęli ich otaczać. - To złodziej! Ukradł mi torebkę, moje pieniądze! Próbuje mi zabrać biżuterię!

- Hej, ty tam, typku! - krzyknął starszawy Anglik, kulejąc i wymachując laską, gdy podchodził. - Posłałem chłopca po policję, ale na Boga, nim się zjawia, spuszczę ci lanie!

- Proszę, sir - nalegał spokojnym głosem funkcjonariusz Wydziału Specjalnego - to jest sprawa władz, a ja je reprezentuję. Proszę pozwolić, że się wylegitymuję.

- Łapy przy sobie, chłoptysiu! - ryknął głos z australijskim akcentem, gdy funkcjonariusz zrobił krok do przodu. Mężczyzna łagodnie odsunął Brytyjczyka na bok, zmuszając go do opuszczenia laski. - Jesteś, mój stary, fantastycznie równym facetem, ale nie zawracaj sobie nim głowy! Na te szumowiny trzeba kogoś młodszego. - Barczysty Australijczyk stanął przed chińskim agentem. - Łapy precz od tej lady, brudasie! A na twoim miejscu zrobiłbym to cholernie szybko.

- Przepraszam, sir, to wielkie nieporozumienie. Ta pani jest w niebezpieczeństwie i władze jej poszukują, by ją przesłuchać.

- Nie nosisz żadnego munduru!

- Proszę mi pozwolić pokazać moje dokumenty.

- Właśnie to powiedział godzinę temu, gdy mnie napadł na Garden Road! - wrzasnęła histerycznie Marie. - Ludzie chcieli mi pomóc! Wszystkich okłamał! A potem ukradł mi torebkę! I jeszcze poszedł za mną! - Marie doskonale wiedziała, że wszystko, co wyrzaskuje, jest bez sensu. Mogła tylko liczyć na wywołanie zamieszania; to było coś, czego nauczył ją Jason.

- Trzeci raz nie będę powtarzał, chłoptysiu! - zawył Australijczyk dając krok do przodu. - Precz z brudnymi łapskami od tej lady!

- Proszę, sir. Nie mogę tego zrobić. Zaraz nadejdą inne osoby urzędowe.

- O, czyżby, czyżby? Wy, chuligani, włóczyście się bandami, nie? No to żałośnie będziesz wyglądał, gdy się tu zjawia! - Australijczyk chwycił Chińczyka za ramię, szarpiąc nim w lewo. Ale człowiek z Wydziału Specjalnego obrócił się w miejscu, a jego prawa noga w skórzanym bucie z obcasem spiczastym jak nóż zatoczyła krąg, trafiając Australijczyka w brzuch. Dobry samarytanin z południowej półkuli zgiął się wpół, padając na kolana.

- Ponownie pana proszę o nieingerowanie, sir!

- Naprawdę? Ty skośnooki skurwysynu! - Rozwścieczony Australijczyk poderwał się i rzucił z

pięściami na funkcjonariusza Wydziału Specjalnego. Tłum zaryczał z aprobatą, wypełniając swym chóralnym głosem ulicę, a ramię Marie było wolne! A potem inne dźwięki dołączyły się do odgłosów bijatyki. Najpierw rozległy się syreny, następnie ukazały się trzy auta, wśród nich sanitarka. Wszystkie zarzuciły gwałtownie na zakręcie, zapiszczały opony, auta zatrzęsły się hamując w miejscu.

Marie skoczyła w tłum i na chodnik; ruszyła biegiem w kierunku czerwonego szyldu o pół przecznicy dalej. Pantofle spadły jej z nóg; nabrzmiałe, poszarpane bąble piekły sprawiając ból, promieniujący na całe nogi. Nie mogła sobie pozwolić na myślenie o bólu. Musiała biec, biec, uciekać! I nagle rozległ się tubalny głos zagłuszając hałas uliczny. Dostrzegła potężną postać krzyczącego z całych sił mężczyzny. Był to olbrzymi Chińczyk, nazywany majorem.

- Pani Webb! Pani Webb, błagam panią! Niech się pani zatrzyma! Mamy najlepsze intencje! Powiemy pani wszystko! Na litość boską, stój!

Powiedzą wszystko! - pomyślała Marie. Powiedzą kłamstwa. Same kłamstwa. Nagle ludzie puścili się biegiem w jej kierunku. Co chcieli zrobić? Dlaczego...? Przebiegli obok niej, w większości mężczyźni, ale nie wyłącznie. Zrozumiała. Na ulicy wybuchła panika - może jakiś wypadek, okaleczenie, śmierć. No to popatrzmy. Obejrzyjmy sobie. Ale uwaga, z odległości.

Sposobność sama się nadarzy. Trzeba ją rozpoznać i wykorzystać.

Marie nagle zawróciła w miejscu i skulona prześlizgnęła się przez wciąż nadbiegający tłum do krawężnika. Schylona najniżej, jak mogła, pobiegła z powrotem tam, gdzie prawie ją schwytano. Nieustannie odwracała głowę w lewo - wypatrując z nadzieją. Wreszcie dostrzegła go wśród pędzących ludzi! Ogromny major przebiegł obok niej zmierzając w przeciwnym kierunku; razem z nim był jeszcze jeden człowiek, jeszcze jeden elegancko ubrany biurokrata.

Tłum był ostrożny, z ludożerczą ostrożnością posuwając się naprzód po krocisku, ale nie aż tak daleko, by być zamieszany w wydarzenia. To, co ujrzeli, nie było miłe ani oczom obecnych tam Chińczyków, ani ludziom żywiącym mistyczny szacunek dla sztuk walki Wschodu. Zwinny, muskularny Australijczyk, wykrzykując imponująco nieprzyzwoite wyzwiska, właśnie wyrzucił szybkimi ciosami kolejno trzech napastników poza obręb swego osobistego ringu bokserskiego. Nagle, ku zdumieniu wszystkich obecnych, Australijczyk postawił na nogi jednego z leżących przeciwników i ryknął głosem równie potężnym jak głos majora:

- Na litość boską! Czy wy, wariaci, dacie wreszcie spokój? Nie jesteście chuliganami, nawet ja potrafię to zauważyć! Wszystkich nas zrobiono w konia!

Marie przebiegła przez szeroką ulicę ku wejściu do Ogrodów Botanicznych. Stała pod drzewem koło bramy, dokładnie na wprost garażu „Pałac Minga”. Major wyminął go, i pobiegł dalej zatrzymując się u wylotu kolejnych zaułków przecinających Arbuthnot Road. Wysyłał w głąb uliczek swoich podwładnych i bez przerwy rozglądał się, czy nie nadciągają posiłki. Ale nie mógł na nie liczyć; Marie przekonała się o tym, gdy tłum zaczął się rozchodzić. Wszyscy trzej funkcjonariusze, doprowadzeni pod sanitarkę przez Australijczyka, opierali się o nią ciężko dysząc.

Pod firmę Minga podjechała taksówka. Nikt z niej nie wysiadł. Dopiero po dłuższej chwili wyłonił się kierowca. Wszedł na parking i zagadnął kogoś siedzącego w szklanej kabinie. Skłonił się w podziękowaniu, wrócił do wozu i powiedział coś do pasażera. Ten ostrożnie otworzył drzwiczki i wysiadł na chodnik. Catherine! Weszła na parking znacznie szybszym krokiem niż poprzednio taksówkarz i przemówiła do szklanej budki. Potrząsnęła głową, jakby powiedziano jej coś, czego nie życzyła sobie usłyszeć.

Nagle pojawił się Wenzu. Wracał, wyraźnie rozszłoszczony na swych ludzi, którzy powinni byli podążać za nim. Już miał wejść na parking i natknąć się na Catherine!

- Carlos! - wrzasnęła Marie zakładając, że teraz wydarzy się najgorsze, lecz wiedząc, że dzięki temu dowie się wszystkiego. - Delta!

Major zawrócił na pięcie, z oczami rozszerzonymi w szoku. Marie pobiegła w głąb Ogrodów Botanicznych. A więc to był klucz! Kain to Delta i Kain zabije Carlosa..., czy jak tam brzmiały te szyfry puszczane w obieg po całym Paryżu! A więc znowu posługiwali się Dawidem! To już nie było prawdopodobieństwo, lecz rzeczywistość! Oni... raczej on... rząd Stanów Zjednoczonych wysłał gdzieś jej męża, by znów zagrał rolę, która już raz niemal doprowadziła go do śmierci, śmierci z rąk własnych ludzi! Kim były te sukinsyny? Albo przeciwnie, jakiego rodzaju cele usprawiedliwiały użycie takich środków przez ludzi rzekomo zdrowych na umyśle?

Teraz tym bardziej musiała odnaleźć Dawida, znaleźć go, zanim on podejmie ryzyko, które powinni wziąć na siebie inni! Dał z siebie tak wiele, a teraz żądali od niego jeszcze więcej, żądali w najbardziej okrutny sposób. Lecz by go odnaleźć, musiała dotrzeć do Catherine, oddalonej w tym momencie nie więcej niż o sto metrów. Musiała jakoś odciągnąć wroga i znów przejść na drugą stronę ulicy nie zauważona. Jasonie, co mogę zrobić?

Schowała się za kępą krzaków, powolutku cofając się w głąb ogrodu. Major wbiegł przez bramę. Ogromny Chińczyk zatrzymał się i rozglądał wokół skośnymi, przenikliwymi oczami, a następnie odwrócił się i krzyknął na podwładnego, który wynurzył się na Arbuthnot Road z jednej z bocznych uliczek. Trudno mu było jednak przedostać się przez jezdnię; ruch był gęstszy i wolniejszy z powodu sanitarki i dwóch innych wozów, które blokowały przejazd koło wejścia do ogrodów. Zrozumiawszy przyczyny tych zakłóceń major wpadł we wściekłość.

- Każ tym durniom się stamtąd zabierać! - ryknął. - I przyślij wozy tutaj... Nie! Jeden niech jedzie do bramy na Albany Road. Reszta do mnie! Biegiem!

Popołudniowych spacerowiczów przybywało. Mężczyźni rozluźniali krawaty, zaciśnięte przez cały dzień pracy w urzędach; kobiety niosły pantofle na wysokich obcasach w torbach na zakupy, zmieniawszy je na sandałki. Żonom pchającym wózki z dziećmi towarzyszyli mężowie;

zakochani obejmowali się lub szli pod rękę wśród rzędów kwitnących krzewów. W całym ogrodzie rozlegały się śmiechy pędzących na wyścigi dzieci. Major nadal tkwił w miejscu przy bramie wejściowej. Sanitarkę i dwa wozy przestawiono i ruch na jezdni znów popłynął normalnie.

Trrrach! Niedaleko sanitarki jakiś niecierpliwy kierowca uderzył w samochód jadący przed nim. Major nie mógł się powstrzymać;

wypadek drogowy zdarzył się tak blisko jego służbowego wozu, że musiał tam podejść, niewątpliwie po to, by stwierdzić, czy któryś z jego ludzi nie był w to zamieszany. Sposobność sama się nadarzy... Wykorzystaj ją. Teraz!

Marie obiegnęła krzaki, a potem puściła się pędem przez trawnik, by dogonić czwórkę spacerowiczów idących zwirowaną ścieżką, wychodzącą z Ogrodów. Zerknęła w prawo bojąc się tego, co może zobaczyć, lecz wiedząc, że musi spojrzeć. Ogarnęły ją najczarniejsze myśli: ogromny major wyczuł, a może dostrzegł postać biegnącej za nim kobiety. Przystanął na moment, wciąż niepewny, a potem rzucił się w kierunku bramy.

Klakson czterokrotnie krótko zatrąbił. Była to Catherine, machająca ręką do biegnącej ulicą Marie przez otwarte okno małego, japońskiego samochodu.

- Wskakuj! - krzyknęła.

- Widział mnie!

- Prędeej!

Marie wskoczyła na przednie siedzenie. Catherine ruszyła ostro, wymanewrowała samochód z potoku wozów jadąc dwoma kołami po chodniku, a następnie zawróciła wykorzystując chwilową przerwę w ruchu. Skręciła w boczną ulicę i na pełnym gazie dojechała do skrzyżowania, na którym był drogowy znak z czerwoną strzałką skierowaną w prawo i napisem „Centrum. Okręg Handlowy”. Skręciła w prawo.

- Catherine! - krzyknęła Marie. - On mnie widział!

- Gorzej - odparła kobieta. - Widział mój wóz.

Dwudrzwiowy zielony mitsubishi - krzyczał Wenzu do trzymanego w ręku radiotelefonu. - Numer rejestracyjny AOR-pięć-trzy-pięć-zero, choć może to być szóstka, a nie zero, ale nie sądzę. To bez znaczenia, wystarczą trzy pierwsze litery. Chcę, by natychmiast przekazano je wszystkim stanowiskom drogą alarmową przez centralę telefoniczną policji! Kierowcę i pasażerkę należy zatrzymać i nie wolno z żadną z nich rozmawiać. To sprawa podlegająca kompetencji rządu i nie będzie żadnych wyjaśnień. Wykonać! Natychmiast!

Catherine skręciła na parking na Ice House Street. Dopiero co zapalony jaskrawoczerwony świetlny napis na hotelu Mandaryn był ledwie widoczny z odległości przecznicy. - Wynajmiemy samochód - oświadczyła Catherine, przyjmując kwit od człowieka w budce parkingowej. - Znam kilku głównych pracowników personelu hotelowego.

- Mam zaparkować? Pani zaparkuje? - Uśmiechnięty parkingowy wyraźnie miał nadzieję, że Catherine wybierze to pierwsze.

- Zaparkuj - odparła Catherine, wyciągając parę hongkongijskich dolarów z torebki. - Idziemy - zwróciła się do Marie. - I trzymaj się mojej prawej strony, w cieniu i blisko budynku. Jak twoje nogi?

- Lepiej nie mówić.

- To nie mów. Nic w tej chwili nie możemy z nimi zrobić. Wytrzymaj, stara.

- Catherine, przestań przemawiać tonem, jakiego używa C. Aubrey Smith w trudnych sytuacjach.

- Kto to taki?

- Nieważne. Lubię stare filmy. Idziemy.

Obie kobiety, Marie kulejąc, przeszły ulicą do bocznego wejścia do Mandaryna. Weszły po schodach do środka. - Na prawo za sklepami jest damska toaleta - powiedziała Catherine.

- Widzę napis.

- Poczekaj tam. Przyjdę tu do ciebie, gdy tylko wszystko załatwię.

- Jest tu gdzieś drogeria?

- Nie chcę, byś tu spacerowała. Twój rysopis już na pewno wszędzie podano.

- To rozumiem, ale przecież ty możesz pospacerować. Tylko odrobinę.

- Kłopotliwy czas miesiąca?

- Nie, moje nogi! Wazelina, tonik do skóry, sandały... nie, nie sandały. Raczej klapki na gumie i woda utleniona.

- Zrobię, co się da, ale czas jest najważniejszy.

- To samo było w zeszłym roku. Okropny kołowrót. Czy się zatrzyma, Catherine?

- Wyłażę ze skóry, by to sprawić. Jesteś moją przyjaciółką i rodaczką, kochanie. A ja jestem bardzo rozzłoszczoną kobietą... A mówiąc o kobietach, ile ich spotkałaś w poświęconych korytarzach CIA i jej namaszczonego odpowiedniku w Departamencie Stanu, Operacjach Konsularnych?

Marie zamruła próbując sobie przypomnieć. - Naprawdę ani jednej.

- No to ich pieprz!

- W Paryżu była kobieta...

- Zawsze jakaś jest, kochanie. Idź do toalety.

W Hongkongu samochód tylko zawadza - powiedział Wenzu, spoglądając na zegar w swym gabinecie w centrali Wydziału Specjalnego MI 6. Była 18.34. - Musimy więc przyjąć, że

ona zamierza wywieźć gdzieś żonę Webba i ją ukryć. Nie zaryzykuje jazdy taksówką z powodu rejestru kursów. Nasz termin do ósmej został anulowany, teraz zarządzamy pogoń. Musimy ją przechwycić. Czy jest jeszcze coś, czego nie wzięliśmy dotąd pod uwagę?

- Wsadzenie Australijczyka do aresztu - zaproponował zdecydowanym głosem niski, starannie ubrany podwładny. - W Mieście za Murami mieliśmy ofiary, ale on zakłócił porządek publiczny. Wiemy, gdzie się znajduje. Możemy go zatrzymać.

- Pod jakim zarzutem?

- Utrudniania czynności służbowych.

- W jakim celu?

Podwładny ze złością wzruszył ramionami. - Dla satysfakcji i to wystarczy.

- Sam sobie odpowiedziałeś na pytanie. Twoja urażona duma jest bez znaczenia. Trzymaj się kobiety. Raczej kobiet.

- Ma pan oczywiście rację.

- Wszystkie garaże, wszystkie agencje wynajmu samochodów tu na wyspie i w Koulunie zostały uprzedzone. Zgadza się?

- Tak, sir. Ale muszę zwrócić uwagę, że ta Staples może łatwo skontaktować się z którymś ze swych przyjaciół, swych kanadyjskich przyjaciół, i dostać wóz, którego nie będziemy mogli wyśledzić.

- Działamy tylko w takim zakresie, w jakim jest to możliwe. Ponadto, zgodnie z tym, co wiedziałem przedtem i czego się dowiedziałem później na temat pracowniczki służby zagranicznej Staples, jestem zdania, że działa ona na własną rękę, z pewnością bez urzędowego błogosławieństwa. W tej chwili nie wciągaj w to nikogo innego.

- Skąd może pan mieć pewność?

Wenzu popatrzył na podwładnego; musiał starannie dobierać słowa.

- Po prostu przypuszczam.

- Pana przypuszczenia znane są z wielkiej trafności.

- Ocena przesadna. Moim sprzymierzeńcem jest zdrowy rozsądek. Zadzwonił telefon. Major błyskawicznie wyciągnął rękę.

- Słucham?

- Centrala Policyjna Cztery - rozległ się monotonny męski głos.

- Centrala Cztery, doceniamy waszą współpracę.

- Na nasze zapytanie odpowiedział garaż „Pałac Minga”.

Mitsubishi AOR ma tam miejsce opłacane na zasadzie miesięcznego abonamentu. Nazwisko właścicielki brzmi Staples, Catherine Staples. Kanadyjka. Wóz zabrano mniej więcej trzydzieści pięć minut temu.

- Centrala Cztery, wasza pomoc jest bardzo cenna - powiedział Lin. - Dziękuję. - Odłożył słuchawkę i popatrzył na zaniepokojonego podwładnego. - Mamy więc już trzy nowe informacje. Pierwszą, że zapytanie, które skierowaliśmy za pośrednictwem policji, zostało rzeczywiście przekazane dalej. Drugą, że przynajmniej w jednym garażu zanotowano sobie to pytanie, i trzecią, że pani Staples ma tam miesięczny abonament.

- To już coś jest, sir.

- Istnieją trzy wielkie i około tuzina mniejszych agencji wynajmu samochodów, nie licząc hoteli, które objęliśmy osobną akcją. To nam daje statystyczną możliwość manewru, ale oczywiście nie dotyczy to garaży.

- Czemu nie? - spytał podwładny. - Jest ich najwyżej ze sto. Kto by chciał budować garaż w Hongkongu, gdy może na tej samej powierzchni pomieścić tuzin sklepów czy biur handlowych? A centrala policyjna przy pełnej obsadzie ma dwudziestu do trzydziestu telefonistów. Mogą zadzwonić do wszystkich garaży.

- Nie chodzi o liczbę, przyjacielu. Chodzi o mentalność pracowników, bo ich robota jest nie do pozazdroszczenia. Ci, którzy umieją pisać, są zbyt leniwi lub nazbyt wrogo usposobieni, by sobie zawracać tym głowę. Ci zaś, którzy nie umieją, uchylają się od jakichkolwiek kontaktów z policją.

- Jeden garaż odpowiedział.

- Prawdziwy kantończyk. To był właściciel.

Trzeba powiedzieć właścicielowi! - krzyczał boy parkingowy piskliwą chińszczyzną do człowieka siedzącego w budce przed garażem na Ice House Street.

- Dlaczego?

- Tłumaczyłem ci! Zapisałem to dla ciebie...

- To, że chodzisz do szkoły i piszesz odrobinę lepiej niż ja, nie znaczy, że możesz mi tu włożyć na głowę.

- Ty w ogóle nie umiesz pisać! Zesrałeś się w portki ze strachu!

Zawołałeś mnie, gdy przez telefon powiedziano, że to alarm policyjny. Wy analfabeci zawsze uciekacie od policji. To był ten wóz, zielony mitsubishi, który zaparkowałem na drugim poziomie!

Jeśli nie chcesz dzwonić na policję, musisz zawołać właściciela.

- Są rzeczy, których was nie uczą w szkole, chłopczyku z małym fiutkiem.

- Uczą nas, żeby nie zadzierać z policją. To marny los.

- Ja zadzwonię na policję... A może lepiej będzie, jeśli ty zostaniesz ich bohaterem?

- Dobrze!

- Ale dopiero jak wrócą te dwie kobiety i kiedy sobie porozmawiam z tą, co prowadziła.

- Co?!

- Myślała, że daje mi... nam... dwa dolary, ale to było jedenaście. Jeden z banknotów to dziesiątka. Była bardzo zdenerwowana, bardzo przestraszona. Ona się boi. Nie zwraca uwagi na pieniądze.

- Powiedziałaś, że to były dwa dolary!

- A teraz mówię uczciwie. Czy byłbym z tobą uczciwy, gdyby mi nie leżały na sercu nasze wspólne interesy?

- Jakie interesy?

- Powiem tej bogatej, wystraszonej Amerykance - mówiła po amerykańsku - że ty i ja nie zadzwoniliśmy na policję z jej powodu. Nagrodzi nas natychmiast, bardzo, bardzo hojnie, bo będzie wiedziała, że bez tego nie dostanie swego wozu. Ty się będziesz przyglądał ze środka garażu, przy drugim telefonie. Kiedy zapłaci, wyślę innego boya po jej samochód. Będzie miał wielkie trudności ze znalezieniem, bo mu podam niewłaściwe miejsce, a ty zadzwonisz na policję. Policja przyjedzie, my spełnimy nasz niebiański obowiązek, a za jej pieniądze spędzimy taką noc, jak rzadko nam się zdarzało przy tej nędznej robocie.

Boy parkingowy łypnął okiem i potrząsnął głową.

- Masz rację - powiedział. - Takich rzeczy w szkole nie uczą. I przypuszczam, że nie mam wyboru.

- Ależ masz - oświadczył dozorca, wyciągając zza pasa długi nóż. - Możesz powiedzieć „nie”, a ja wtedy utnę ci ten twój o wiele za długi język.

W holu hotelowym Catherine podeszła do recepcji, niezadowolona, że nie zna żadnego z dwóch recepcjonistów urzędujących za ladą. Potrzebowała czyjejś przysługi, i to szybko. W Hongkongu oznaczało to załatwienie sprawy po znajomości. Z wielką ulgą dostrzegła kierownika nocnej zmiany w recepcji. Stał pośrodku holu, próbując ułagodzić jakąś podnieconą klientkę. Catherine przesunęła się na prawo i czekała w nadziei, że Lee Teng ją zauważy. Zaskarbiła sobie przychylność Tenga, kierując do niego licznych Kanadyjczyków, gdy problem znalezienia komfortowego miejsca w hotelu zdawał się nierozwiązalny. I zawsze był hojnie wynagradzany.

- Czym mogę pani służyć? - spytał młody Chińczyk podchodząc do niej.

- Dziękuję, poczekam na pana Tenga.

- Pan Teng jest bardzo zajęty, proszę pani. Bardzo zły czas dla pana Tenga. Czy pani jest naszym gościem?

- Mieszkam na tym terenie i jestem od dawna przyjaciółką pana Tenga. W miarę możliwości kieruję przyjezdnych tutaj, aby recepcja miała z tego korzyści.

- Oooo...? - Urzędnik zareagował na fakt, że Catherine nie była turystką. Pochylił się ku niej, szepcząc poufnie. - Lee Teng ma dzisiaj okropny los. Ta pani idzie na wielki bal w Pałacu Rządowym, a jej odzież poleciała do Bangkoku. Chyba jest przekonana, że pan Teng ma skrzydła pod marynarką i silniki odrzutowe pod pachami, nie?

- Interesujący pomysł. Ta pani właśnie przyleciała?

- Tak, proszę pani. Ale miała dużo bagażu. Nie zauważyła, że nie ma tej walizki, której właśnie teraz potrzebuje. Najpierw obwiniła o to swego męża, a teraz pana Tenga.

- Gdzie jest jej mąż?

- W barze. Zaproponował, że poleci najbliższym samolotem do Bangkoku, ale to ją tylko jeszcze bardziej rozszło. On nie chce wyjść z baru i nie dotrze do Pałacu Rządowego w takim stanie, by jutro rano być z siebie zadowolonym. Zły los wszędzie dokoła... Może mógłbym pani w czymś pomóc, póki panu Tengowi nie uda się wszystkich uspokoić.

- Chcę wynająć samochód i potrzebuję możliwie najszybszego, jaki jesteście w stanie mi dostarczyć.

- Aiya - odparł urzędnik. - Jest już jedenasta wieczór, a biura wynajmu rzadko działają w porze nocnej. Większość jest zamknięta.

- Jestem pewna, że istnieją wyjątki.

- Może wóz hotelowy z kierowcą?

- Tylko wtedy, gdy nie znajdzie się nic innego. Jak wspomniałam, nie mieszkam w hotelu, a szczerze mówiąc nie jestem workiem z pieniędzmi.

- Któż z nas jest? - spytał recepcjonista tajemniczo. - Jak to powiedziano, o ile się nie mylę, w Piśmie chrześcijan.

- Słusznie - zgodziła się Catherine. - Proszę więc zatelefonować i zrobić, co się tylko da.

Młody człowiek sięgnął pod ladę i wyciągnął oprawioną w plastik listę biur wynajmu samochodów. Przesunął się nieco w prawo, podniósł słuchawkę i zaczął nakręcać numery. Catherine popatrzyła na Lee Tenga. Udało mu się wmanewrować wściekłą kobietę za miniaturową palmę przy ścianie, najwyraźniej po to, by uniemożliwić jej posianie niepokoju wśród reszty gości, którzy siedzieli w przeładowanym ozdobami holu, pozdrawiając przyjaciół i zamawiając koktajle. Przemawiał do niej pospiesznie, ściszym głosem i, na Boga, pomyślała Catherine, udało mu się zmusić kobietę do słuchania. Bez względu na to, czy jej skargi były uzasadnione, czy nie, kobieta była kompletną idiotką, doszła do wniosku Catherine. Ubrana była w etolę z szynszyli w tym możliwie najgorszym pod względem klimatu miejscu na Ziemi dla tak delikatnego futra. I bynajmniej nie chodziło o to, że ona, pracownica służby dyplomatycznej Staples, nigdy nie miała podobnych problemów. Mogłaby mieć, gdyby rzuciła w diabły tę posadę i pozostała z Owenem Staplesem. Sukinsyn był w tej chwili właścicielem co najmniej czterech banków w Toronto. I naprawdę był to całkiem porządny facet, a to jeszcze zwiększało jej poczucie winy. Owen nie ożenił się ponownie. To nie w porządku, Owen! Trzy lata temu, po powrocie z placówki w Europie, natknęła się na niego podczas organizowanej przez Brytyjczyków konferencji w Toronto. Poszli na parę drinków do klubu Mayfair w hotelu King Edward, dość podobnym do Mandaryna.

- Ależ, Owen! Twój wygląd, twoje pieniądze, a byłeś przystojny, zanim doszedłeś do pieniędzy, więc czemu nie? W promieniu pięciu ulic jest tysiąc pięknych dziewczyn gotowych rzucić ci się na

szyję.

- Jeden raz wystarczy, Cathy. Nauczyłaś mnie tego.

- No, nie wiem, ale przez ciebie czuję się... no, sama nie wiem... tak okropnie winna. Rzuciłam cię, Owen, ale nie dlatego, że cię nie lubiłam.

- „Lubiłam”?

- Wiesz, co chcę powiedzieć.

- Owszem, tak sędzę. - Owen zaśmiał się. - Rzuciłaś mnie z najślusznieszych powodów, a ja z podobnych powodów zgodziłem się na to nie żywiąc urazy. Gdybyś poczekała jeszcze pięć minut, przypuszczam, że wyrzuciłbym cię za drzwi. W tamtym miesiącu to ja zapłaciłem komorne.

- Ty sukinsynu!

- Bynajmniej, i żadnego z nas dwojga nie można tak określić. Ty miałaś swoje ambicje, a ja swoje. Były nie do pogodzenia.

- Ale to nie tłumaczy, dlaczego nigdy nie ożeniłeś się po raz drugi.

- Właśnie ci powiedziałem. Nauczyłaś mnie tego, kochanie.

- Czego nauczyłam? Że wszelkie ambicje są nie do pogodzenia?

- W tak skrajnych wypadkach jak nasz, owszem. Przekonałem się, że w żaden trwały sposób nie potrafię się zainteresować kimś, kto nie posiada tego, co zapewne nazwałabyś „wściekłym rozpędem” czy łamiącą wszystkie przeszkody ambicją. Ale jednocześnie nie potrafiłbym żyć z osobą o takich ambicjach na co dzień. W stosunkach zaś tego pozbawionych czegoś mi brakowało. Nie było podstaw do żadnej trwałości.

- Ale założyć rodzinę? Mieć dzieci?

- Mam swoje dzieci - odrzekł spokojnie Owen. - Które niezmiernie lubię. Kocham je bardzo, a ich ambitne matki były zawsze dla mnie strasznie miłe. Nawet ich późniejsi mężowie wykazali dużo zrozumienia. Ciągle spotykałem się z moimi dziećmi i patrzyłem, jak dorastały. Tak więc w pewnym sensie mam trzy rodziny. Bardzo kulturalny układ, choć czasami trudno się w nim połapać.

- Ty? Chłuba społeczeństwa, czołowy bankier? Człowiek, o którym mówiono, że bierze prysznic w nocnej koszuli pod szyję! Prezes rady parafialnej!

- Z tym wszystkim dałem sobie spokój, gdy odeszłaś. Z mojej strony były to tylko pociągnięcia dyplomatyczne. Ty się tym zajmujesz na co dzień.

- Owen, nigdy mi tego nie powiedziałeś.

- Nigdy nie spytałaś, Cathy. Ty miałaś swoje ambicje, ja swoje. Ale jeśli chcesz posłuchać, to ci powiem, czego jedynie żałuję.

- Chcę.

- Bardzo żałuję, że nie mieliśmy dziecka. Sądząc po tych dwojgu, które mam, on czy ona byłiby cudowni.

- Ty sukinsynu, zaraz się rozpłaczę.

- Proszę, nie rób tego. Bądźmy wobec siebie szczerzy: żadne z nas nie odczuwa żalu.

Zamyślenie Catherine nagle coś przerwało. Recepcjonista odskoczył od telefonu, triumfalnie rozkładając ręce. - Ma pani dobry los, proszę pani! - zawołał. - Dyspozytor agencji Apex na Bonham Strand East jeszcze był w biurze i ma wolne wozy, ale żadnego kierowcy, który mógłby tu jakiś samochód przyprowadzić.

- Wezmę taksówkę. Proszę mi zapisać adres. - Rozejrzała się w poszukiwaniu drogerii hotelowej. W holu było zbyt wiele osób, za duży ruch. - Gdzie mogę kupić trochę... toniku do skóry czy wazeliny, sandałki albo klapki? - spytała.

- W głębi holu na prawo jest kiosk z gazetami. Mają tam wiele z wymienionych przez panią artykułów. Ale czy mogę poprosić o pieniądze, bo musi pani przedstawić dyspozytorowi pokwitowanie. To wyniesie tysiąc dolarów hongkongskich; nadpłata zostanie zwrócona albo też trzeba będzie trochę dopłacić.

- Nie mam tyle przy sobie. Muszę użyć karty kredytowej.

- Tym lepiej.

Catherine otworzyła torebkę i wyjęła kartę z wewnętrznej kieszonki. - Zaraz wracam - oświadczyła, kładąc ją na ladzie, i skierowała się na prawo w głąb holu. Mimochodem zerknęła na Lee Tenga i jego roztargnioną klientkę. Na moment rozbawiło ją, że pretensjonalnie ubrana kobieta w idiotycznym futrze skinęła głową aprobująco, gdy Teng wskazał jej szereg drogich sklepów mieszczących się na półpiętrze nad holom. Lee Teng był prawdziwym dyplomata. Nie ulegało wątpliwości, iż wytłumaczył rozhisteryzowanej klientce, że ma możliwość zaspokojenia zarówno swoich potrzeb, jak i ulżenia nerwom, a także trafienia swego niepoprawnego męża w finansowy splot słoneczny. Tu jest Hongkong, może więc sobie kupić wszystko, co najlepsze i najbardziej błyszczące, a za odpowiednią cenę wszystko też będzie gotowe na czas, by mogła wziąć udział w wielkim balu w Pałacu Rządowym. Staples ruszyła w kierunku przejścia.

- Catherine! - Jej imię zabrzmiało tak ostro, że zamarła. - Proszę, pani Catherine!

Odwróciła się sztywno. To był Lee Teng, który wreszcie uwolnił się od oburzonej, lecz już ugłaskanej klientki.

- O co chodzi? - spytała ze strachem. Podstarzały Teng zbliżał się z twarzą pobrużdżoną od niepokoju i spoconą łysiną. > - Zobaczyłem cię dopiero przed chwilą. Miałem problemy.

- Jestem poinformowana.

- Więc już wiesz, Catherine.

- Przepraszam?

Teng rzucił okiem w stronę recepcji, ale co dziwne, nie na młodego pracownika, który jej dopomógł, lecz na siedzącego przy drugim końcu lady. Nie było przy nim żadnych gości i pracownik patrzył na swego kolegę.

- Cholernie zły los! - zawołał po cichu Teng.

- O czym mówisz? - zapytała.

- Chodź ze mną - powiedział szef nocnej zmiany i odciągnął Catherine na bok, tak aby nie byli widziani przez jego podwładnych. Sięgnął do kieszeni i wydobył pół arkusza perforowanego papieru z wydrukiem komputerowym. - Przysłano nam to z góry w czterech egzemplarzach. Udało mi się zatrzymać trzy, ale czwarty jest już pod ladą.

Pilne. Sprawa wagi państwowej. Obywatelka Kanady o nazwisku Catherine Staples może usiłować wynająć samochód do celów osobistych. Ma pięćdziesiąt siedem lat, włosy szpakowate, jest średniego wzrostu i szczupłej figury. W takim wypadku opóźnić działania i zawiadomić Centralę Policyjną Cztery.

Catherine pomyślała, że Wenzu musiał poczynić wnioski oparte na inwigilacji, jak również wiedzy, że ktokolwiek dobrowolnie siada za kierownicą w Hongkongu, musi być albo wariatem, albo mieć ku temu szczególne powody. Zaciągał się szybko i kompetentnie.

- Tamten młody człowiek właśnie zamówił dla mnie wóz na Bonham Strand East. Widocznie nie zdążył tego przeczytać.

- Znalazł ci agencję wynajmu o tej porze?

- W tej chwili wypisuje przelew kredytowy. Czy uważasz, że jeszcze to zobaczy?

- Nie o niego się martwię. Jest praktykantem, więc mogę mu powiedzieć cokolwiek, a on w to uwierzy. Inaczej jest z tym drugim, który chce koniecznie zająć moje miejsce. Poczekaj tutaj. Nie pokazuj się.

Teng podszedł do lady. Młodszy recepcjonista niespokojnie się rozglądał z plastikowymi odcinkami karty kredytowej w dłoni. Lee Teng odebrał mu blankiet zlecenia i wsadził do kieszeni. - To już zbędne - oświadczył. - Nasza klientka zmieniła zdanie. Spotkała w holu kogoś z przyjaciół, kto ją odwiezie.

- O? A więc muszę powiedzieć drugiemu recepcjoniście, by dał sobie spokój. Ponieważ kwota przekracza limit, uzgadnia za mnie potwierdzenie. Ja jeszcze niezbyt dobrze się orientuję, a on się zaofiarował...

Teng gestem nakazał mu milczenie i podszedł do drugiego pracownika, stojącego przy drugim końcu lady z telefonem w ręku. - Oddaj mi kartę i nie telefonuj. Jak na dzisiejszą noc, mam wyżej uszu zrozpaczonych pań! Znalazła inny środek lokomocji.

- Oczywiście, panie Teng - odparł recepcjonista uniżenie. Oddał kartę kredytową, szybko przeprosił telefonistę w centrali i odłożył słuchawkę.

- Niedobra noc. - Teng wzruszył ramionami, odwrócił się i pospieszył w głąb zatłoczonego holu. Podszedł do Catherine wyciągając równocześnie portfel. - Brak ci pieniędzy. Ja to pokryję. Nie używaj kart.

- Nie brak mi ani w domu, ani w banku, ale nie noszę tyle przy sobie. To jedno z niepisanych praw.

- I jedno z najlepszych - potwierdził Teng kiwając głową. Wzięła banknoty z ręki Tenga i spojrzała mu w oczy. - Czy chcesz usłyszeć wyjaśnienie? - spytała.

- Nie potrzeba, Catherine. Cokolwiek by powiedziała Centrala Cztery, wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. A jeśli nie jesteś i uciekniesz, a ja nigdy już nie zobaczę moich pieniędzy, to i tak na szczęście mam jeszcze wiele tysięcy dolarów hongkongijskich.

- Nigdzie nie ucieknę, Teng.

- Ale też nie pójdziesz piechotą. Jeden z kierowców dużo mi zawdzięcza i jest właśnie w garażu. Zawiezie cię na Bonham Strand. Chodź, zaprowadzę cię do niego.

- Jest ze mną jeszcze ktoś. Wywożę ją z Hongkongu. Jest w toalecie damskiej.

- Poczekam w korytarzu. Pospiesz się.

Czasem myślę, że czas płynie szybciej, gdy ma się nawał problemów - powiedział starszy recepcjonista do młodego kolegi praktykanta, wyciągając spod lady półstronicowy wydruk komputerowy i ukradkiem chowając go do kieszeni.

- Jeśli masz rację, to od chwili gdy objęliśmy służbę dwie godziny temu, pan Teng przeżył ledwie piętnaście minut. On jest bardzo dobry, prawda?

- Pomaga mu brak włosów na głowie. Ludzie patrzą na niego jak gdyby był mędrcom, nawet jeśli nie mówi im żadnych mądrych rzeczy.

- Ale potrafi sobie radzić z ludźmi. Bardzo chciałbym być kiedyś taki jak on.

- To wyłysiej trochę - doradził starszy kolega. - A tymczasem, póki nikt nam nie zawraca głowy, pójdę do toalety. A propos, gdybym kiedykolwiek potrzebował wiedzieć, która z agencji wynajmu jest czynna o tej porze, to była to agencja Apex na Bonham Strand East, prawda?

- O, tak.

- Dołożyłeś wielu starań.

- Po prostu telefonowałem według listy. Apex była przy końcu.

- Niektórzy wcześniej przestaliby szukać. Należy ci się pochwała.

- Jesteś zbyt uprzejmy dla niegodnego praktykanta.

- Życzę ci tylko wszystkiego najlepszego - odparł starszy. - Zapamiętaj to sobie.

Starszy z rozmówców wyszedł zza lady. Ostrożnie okrążył palmy w donicach, aż dotarł do miejsca, skąd widział Lee Tenga. Szef nocnej zmiany stał u wylotu korytarza po prawej stronie. To wystarczyło: czekał oczywiście na kobietę. Recepcjonista szybko odwrócił się i wspinał po schodach w kierunku szeregu sklepów znacznie szybciej, niż by nakazywała przyzwoitość. Spieszył się. Wpadł do pierwszego butiku koło schodów.

- W sprawie dotyczącej hotelu - oświadczył znudzonej sprzedawczyni, chwytając słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie za ladą pełną błyszczących drogich kamieni. Nakręcił numer.

- Centrala Policyjna Cztery.

- Sir, wasza dyrektywa w sprawie Kanadyjki, pani Staples...

- Czy ma pan informacje?

- Tak sądzę, sir. Ale ich przekazanie jest dla mnie nieco kłopotliwe.

- Dlaczego? To pilna sprawa wagi państwowej.

- Proszę mnie zrozumieć, jestem tylko podrzędnym urzędnikiem.

I nie można wykluczyć, że szef nocnej zmiany w recepcji nie pamięta o waszej dyrektywie. To bardzo zajęty człowiek.

- Co to wszystko ma znaczyć?

- A więc, proszę pana, sir... podsłuchałem, jak kobieta odpowiadająca dokładnie rysopisowi w

dyrektywie rządowej pyta o szefa recepcji. Ale gdyby wyszło na jaw, że to ja was zawiadomiłem, znalazłbym się w niezwykle kłopotliwej sytuacji.

- Osłonimy cię. Pozostaniesz nie ujawniony. Jak brzmi ta informacja?

- A więc, sir, podsłuchałem... - Ostrożnie, używając dwuznaczników, pierwszy zastępca szefa recepcji zrobił, co tylko mógł, dla własnej korzyści, a więc ku największej szkodzie swego przełożonego, Lee Tenga. Ale ostatnie jego słowa były bardzo zwięzłe i zupełnie niedwuznaczne. - Jest to Agencja Wynajmu Samochodów Apex na Bonham Strand East. Pozwalam sobie doradzić pośpiech, bo ona już jest w drodze.

Wczesnym rankiem ruch był zdecydowanie mniejszy niż w godzinach szczytu. Ale nadal ogromny. Dlatego też, gdy kierowca limuzyny z Mandaryna, zamiast wpasować się w dość szeroką lukę między pojazdami, która nagle przed nim się pojawiła, wjechał na wolne miejsce przy krawężniku na Bonham Strand East, Catherine i Marie wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Po żadnej stronie ulicy nie było widać szyldu agencji wynajmu.

- Czemu się zatrzymujemy? - ostro spytała Catherine.

- Polecenie pana Tenga, proszę pani - odparł odwracając się do niej kierowca. - Zamknę samochód włączając system alarmowy. Nikt paniom nie będzie przeszkadzał, gdy pod wszystkimi czterema klamkami zabłysną światła ostrzegawcze.

- To bardzo pocieszające, ale chciałabym wiedzieć, czemu nie wieziesz nas do agencji.

- Przyprowadzę wóz tutaj, proszę pani.

- Nie rozumiem?

- Polecenie pana Tenga, bardzo stanowcze. I dzwonił też w tej sprawie do Apex. Garaż znajduje się o jedną ulicę dalej. Zaraz wracam. - Kierowca zdjął czapkę i kurtkę, położył je na siedzeniu, włączył urządzenia alarmowe i wysiadł.

- I co o tym myślisz? - spytała Marie, opierając prawą stopę na kolanie i opatrując ją ligniną, zabraną z damskiej toalety. - Czy masz zaufanie do tego Tenga?

- Tak, z pewnością - odparła zakłopotana Catherine. - Ale nic z tego wszystkiego nie rozumiem. To oczywiste, że działa z wyjątkową ostrożnością. Wiąże się to dla niego z poważnym ryzykiem, ale nie wiem jakim. Jak ci już powiedziałam w Mandarynie, ta komputerowa informacja na mój temat była określona jako „sprawa wagi państwowej”, a takich rzeczy nie lekceważy się w Hongkongu. Więc co on właściwie wyprawia? I dlaczego?

- Oczywiście nie jestem w stanie ci na to odpowiedzieć - rzekła Marie. - Ale mogę podzielić się pewną obserwacją.

- Jaką?

- Widziałam, w jaki sposób na ciebie patrzy. Jestem pewna, że ty tego nie zauważyłaś.

- Czego?

- Powiedziałałabym, że on cię bardzo lubi.

- Lubi... mnie?

- Można to tak sformułować. Istnieją oczywiście mocniejsze wyrażenia.

Catherine odwróciła twarz do okna. - Mój Boże - szepnęła.

- O co chodzi?

- Przed chwilą, tam w Mandarynie i z przyczyn zbyt niedorzecznych, by je analizować, bo to zaczęło się od idiotki w szynszyłowej etoli, pomyślałam o Owenie.

- Owenie?

- Moim byłym mężu.

- Owenie Staplesie? Tym bankierze, Owenie Staplesie?

- Tak się nazywam i tak samo mój chłop... mój były chłop. W owych czasach po rozwodzie zachowywało się nazwisko męża.

- Nigdy nie wspominałaś, że Owen Staples był twoim mężem.

- Nigdy nie pytałaś, kochanie.

- Catherine, mówisz rzeczy bez sensu.

- Pewnie masz rację - zgodziła się, potrząsając głową. - Ale rozmyślałam o czasach, gdy kilka lat temu w Toronto spotkaliśmy się z Owenem. Poszliśmy na drinka do klubu Mayfair i dowiedziałam się o nim rzeczy, w które nigdy bym nie uwierzyła. Bardzo mnie ucieszyły, choć sukinyśn prawie doprowadził mnie do łez.

- Catherine, na litość boską, co to ma wspólnego z tym, co się dzieje w tej chwili?

- Ma coś wspólnego z Tengiem. My także pewnego wieczoru poszliśmy na drinka. Oczywiście nie do Mandaryna, ale kawiarni na wybrzeżu w Koulunie. Bo powiedział, że gdyby nas razem widziano tu na wyspie, nie byłby to dla mnie dobry los.

- Czemu nie?

- O to właśnie zapytałam. Widzisz, on mnie wówczas bronił tak, jak broni dzisiaj. A ja być może go nie zrozumiałam. Uznałam, że szuka tylko dodatkowego źródła dochodów. Ale mogłam się straszliwie mylić.

- W jaki sposób?

- Owego wieczoru mówił dziwne rzeczy. Że chciałby, aby sprawy wyglądały inaczej; aby różnice między ludźmi nie były tak wyraźne i tak istotne dla innych. Oczywiście uznałam te banały za mocno amatorską... dyplomację, jak to określał mój były mąż. Ale być może było tu coś więcej.

Marie popatrzyła jej w oczy z cichym śmiechem.

- Kochana, kochana Catherine. Ten człowiek jest w tobie zakochany.

- Chryste w Calgary! Tego mi tylko brakowało!

Na przednim siedzeniu Wozu Drugiego należącego do MI 6 siedział Wenzu, nie odrywając wzroku od wejścia do agencji Apex na Bonham. Strand East. Wszystko było w porządku; za kilka minut obie kobiety zostaną schwytane. Jeden z jego ludzi wszedł do środka i porozmawiał z dyspozytorem. Przerażony pracownik na widok legitymacji rządowej pokazał mu rejestr z całego wieczoru. Rzeczywiście, dyspozytor miał rezerwację dla niejakiej pani Catherine Staples, ale została anulowana, a samochód przydzielony na inne nazwisko, mianowicie kierowcy hotelowego. A ponieważ pani Catherine Staples nie wynajmowała wozu, dyspozytor nie widział potrzeby

zawiadamiania Centrali Policyjnej Cztery. Bo o czym miałyby zawiadamiać? I nie, z całą pewnością nikt inny nie mógł odebrać wozu, który został zarezerwowany dla hotelu Mandaryn.

Więc wszystko w porządku, pomyślał Wenzu. Gdy tylko przekaze wiadomości do zakonspirowanego domu, na Yictoria Peak odczują niebywałą ulgę. Major już z góry wiedział, jakich dokładnie słów wtedy użyje: - Kobiety zdjęto... kobietę zdjęto.

Po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna w koszuli wszedł do agencji. Linowi wydało się, że człowiek ten się zawahał, a ponadto było tu jeszcze coś... Nagle podjechała taksówka i major rzucił się do przodu, chwytając za klamkę drzwiczek. O wahającym się mężczyźnie już nie pamiętał.

- Pełne pogotowie, chłopcy - powiedział Lin do mikrofonu radia. - Musimy działać tak szybko i tak dyskretnie, jak tylko się da. Nie będę tolerować niczego podobnego do sprawy z Arbuthnot Road. I żadnej strzelaniny, rzecz jasna. Uwaga, teraz!

Ale nie było na co uważać: taksówka pojechała dalej nie wysadzając żadnego pasażera.

- Wóz Trzy! - rzucił szorstko major. - Zapisz numer rejestracyjny i porozum się z firmą taksówkową! Chcę, by byli w kontakcie radiowym. Wypytaj się dokładnie, co ich taksówka tu robiła! A raczej pojedź za nią i zrób, co ci powiem. To mogły być te kobiety.

- Sir, wydaje mi się, że na tylnym siedzeniu był tylko jeden mężczyzna - padła odpowiedź.

- Mogły się ukryć niżej! Cholerne oczy. Mężczyzna, powiedziałaś?

- Tak, sir.

- Czuję zapach zgniłej kałamarnicy.

- Czemu, majorze?

- Gdybym wiedział, smród nie byłby tak ostry. Oczekiwanie przedłużało się i ogromny Lin zaczął się pocić. Zachodzące słońce rzucało oślepiające pomarańczowe promienie przez przednią szybę i kładło wzdłuż Bonham Strand East pasy czarnych cieni.

- To trwa za długo - mruknął do siebie major. Z radia rozległ się szum fali nośnej. - Sir, mamy meldunek z firmy taksówkowej.

- Jazda!

- Taksówka, o której mowa, próbowała znaleźć towarzystwo importowe na Bonham Strand East, ale kierowca powiedział pasażerowi, że to musi być adres na Bonham Strand West. Najwyraźniej jego klient bardzo się rozszłościł. Przed chwilą wysiadł i rzucił taksówkarzowi pieniądze przez okno.

- Zostaw go i wracaj tutaj - rozkazał Lin. W tym momencie zauważył, że w agencji Apex po drugiej stronie ulicy otwierają się drzwi garażu. Wynurzył się skręcający w lewo samochód, kierowany przez mężczyznę w koszuli.

Po twarzy majora spływał pot. Coś tu było nie w porządku; coś się rozgrywało inaczej, niż powinno. Więc co go niepokoiło? Co to było?

- To on! - wrzasnął Lin do swego zaskoczonego kierowcy.

- Sir?

- Pognieciona biała koszula, ale spodnie odprasowane na kant. To uniform! Kierowca! Zakręcaj! Jedź za nim!

Przyciskając nieprzerwanie klakson kierowca zakręcił o sto osiemdziesiąt stopni, podczas gdy major wydawał przez radio rozkazy pozostałym wozom, polecając jednemu nadal pilnowanie agencji Apex, a innym dołączenie do pościgu.

- Aiya! - wrzasnął kierowca naciskając z całej siły hamulec w chwili, gdy z bocznej ulicy wyskoczyła wielka brązowa limuzyna, blokując im przejazd. Wozy leciutko się stuknęły; rządowy samochód ledwie dotknął lewych tylnych drzwi dużego auta.

- Fengzi! - zawył szofer limuzyny, nazywając kierowcę Lina szaleńcem i równocześnie wyskakując z samochodu, by sprawdzić, czy wóz nie doznał jakichś uszkodzeń.

- Lai! Lai! - wrzasnął kierowca majora, wyskakując z wozu w gotowości do bójki.

- Stój! - ryknął Wenzu. - Załatw tylko, żeby się stąd zabrał!

- Ale to on nie chce się ruszyć, sir!

- Powiedz mu, że musi! Pokaż mu legitymację!

Cały ruch uliczny zamarł, klaksony wyły, ludzie w samochodach wrzeszczeli ze złością. Major zamknął oczy, trzęsąc głową. Był sfrustrowany. Jedyne, co mógł zrobić, to wysiąść z samochodu.

Podobnie jak to zrobił człowiek z limuzyny: podstarzały Chińczyk z łysiejącą głową.

- Zdaje się, mamy tu jakiś problem - oświadczył Lee Teng.

- Znam cię! - rozdarł się Lin. - Mandaryn!

- Wiele osób o doskonale wyrobionym smaku bywa naszymi gośćmi i mnie zna, sir. Obawiam się, że ja ze swej strony nie mogę tego powiedzieć o panu. Czy był pan naszym gościem, sir?

- Co pan tu robi?

- Załatwiam poufne zlecenie pewnego gentlemana z Mandaryna i nie zamierzam mówić niczego więcej na ten temat.

- Cholera, cholera jasna! Rozesłano dyrektywę rządową! W sprawie Kanadyjki, o nazwisku Staples! Jeden z waszych pracowników dzwonił do nas!

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Przez ostatnią godzinę próbowałem wybawić z kłopotu pewną osobę będącą naszym gościem, która ma być obecna na balu w Pałacu Rządowym dziś wieczorem. Z przyjemnością podam panu jej nazwisko... jeśli pańska funkcja pana do tego uprawnia.

- Moja funkcja z pewnością mnie uprawnia! Powtarzam! Czemu pan nas zatrzymał?

- Uważam, że to pański człowiek próbował przejechać skrzyżowanie podczas zmiany świateł.

- Tak nie było! - wrzasnął kierowca Wenzu.

- A więc musi to rozstrzygnąć sąd - oświadczył Lee Teng. - Czy możemy się rozjechać?

- Jeszcze nie! - odparł major, podchodząc do szefa recepcji. - Powtarzam raz jeszcze. Wasz hotel otrzymał dyrektywę rządową. Wyraźnie mówiła, że kobieta o nazwisku Staples może usiłować wynająć wóz i że macie zameldować o takiej próbie Centrali Policyjnej Cztery.

- A ja powtarzam, sir, że w ciągu ostatniej godziny nie zbliżałem się do mego biurka i nie widziałem dyrektywy, o której pan mówi. Niemniej, wyrażając chęć współpracy na podstawie legitymacji, której pan mi nie okazał, mogę pana poinformować, że wszelkie sprawy dotyczące

wynajmu samochodów załatwiane są przez mego pierwszego zastępcę, człowieka, który, mówiąc otwarcie, jak stwierdziłem wielokrotnie, dopuszcza się rażących zaniedbań.

- Ale to pan jest tutaj!

- Ilu gości z Mandaryna może mieć o tak późnej porze sprawy do załatwienia na Bonham Strand East, sir? Proszę nie wykluczać zbiegu okoliczności.

- Ale pańskie oczy śmieją się ze mnie, Zhongguo ren.

- Ja jednak się nie śmieję, sir. Teraz odjadę. Uszkodzenie jest minimalne.

Kicham na to, czy pan i pańscy ludzie będą musieli tam czekać całą noc - powiedział ambasador Hayilland. - To jedyny trop, jaki mamy. Zgodnie z tym, co pan mówił, ona ma zwrócić wynajęty wóz, a następnie odebrać swój. Do jasnej cholery, jutro o czwartej po południu mamy kanadyjsko-amerykańską konferencję na temat wspólnej strategii. Ona musi wrócić! Zostań tam! Utrzymaj wszystkie posterunki! Doprowadź ją do mnie za wszelką cenę!

- Oskarży nas o naruszenie przywilejów. Złamiemy międzynarodowe prawo dyplomatyczne.

- No to je złamcie! Tylko dostarczcie ją tutaj; nawet tak jak Kleopatę w dywanie, jeśli inaczej się nie da! Nie mam czasu do stracenia, ani chwili!

Wściekła Catherine Staples, mocno przytrzymywana przez dwóch agentów, została wprowadzona do pokoju w domu na Yictoria Peak. Drzwi otworzył przed nimi Wenzu; zamknął je, gdy Catherine znalazła się twarzą w twarz z ambasadorem Raymondem Havillandem i podsekretarzem stanu Edwardem McAllisterem. Była 11.35 rano; przez wielkie oszklone drzwi do ogrodu wlewały się strumienie światła słonecznego.

- Posunąłeś się za daleko, Havilland - powiedziała Catherine. Jej gardłowy głos brzmiał głucho i lodowato.

- Jeśli chodzi o panią, pani Staples, nie posunąłem się tak daleko, jak trzeba. Skorumpowała pani członka poselstwa amerykańskiego. Dokonała pani poważnego wymuszenia na szkodę mojego rządu.

- Nie możesz tego udowodnić, bo nie ma dokumentów, nie ma fotografii...

- Nie muszę niczego udowadniać. Zeszłego wieczoru, punktualnie o siódmej wieczór, ten młody człowiek przyjechał tutaj i wszystko nam powiedział. Plugawy fragmencik biografii, nieprawdaż?

- Cholerny głupiec! On nie ponosi winy, ale ty tak! A skoro już użyłeś słowa „plugawy”, to on nie zrobił niczego, co mogłoby się równać z obrzydlistwem twoich działań. - Nie przerywając ani na chwilę potoku oskarżeń, Catherine spojrzała na podsekretarza stanu. - Jest to, jak sądzę, kłamca zwany McAllister.

- Jest pani niezwykle dokuczliwa - powiedział podsekretarz.

- A ty jesteś pozbawionym wszelkich zasad lokajem, odwalającym za innych brudną robotę. Wiem na ten temat wszystko i to wszystko jest obrzydliwe! Ale każda z tych nici prowadzi do - Catherine gniewnie kiwnęła głową w stronę Havillanda - fachowca. Kto dał wam prawo zabawiania się w Pana Boga? Którymukolwiek z was? Czy wiecie, coście zrobili tamtym dwojgu? Czy wiecie, czego od nich żądacie?

- Wiemy - powiedział zwyczajnie ambasador. - Ja wiem.

- I ona też wie, choć nie miałam serca ostatecznie ją o tym upewnić. Ty, McAllister! Kiedy się

dowiedziałam, że to ty siedzisz tu na górze, nie byłam pewna, czy ta dziewczyna potrafiłaby znieść prawdę. Nie w tym momencie. Ale zamierzam jej wszystko powiedzieć. Ty i twoje łgarstwa! Żona taipana zamordowana w Makau... och, jakaż to symetria, jakież usprawiedliwienie dla odebrania komuś żony! Łgarstwa! Mam swoje źródła informacji; nigdy nic takiego się nie wydarzyło! A więc jasno i wyraźnie: zabieram ją do konsulatu, zapewniając oficjalną opiekę mego rządu. A na twoim miejscu, Havilland, byłabym cholernie ostrożna w szermowaniu zarzutami łamania prawa. Ty i twoi przekłęci ludzie okłamaliście i wciągnęliście obywatelkę kanadyjską w operację grożącą jej śmiercią, obojętne co to za diabelstwo tym razem. Twoja arogancja przekracza wszelkie wyobrażenia! Ale mogę cię zapewnić, że koniec z nią. Czy to się będzie podobało memu rządowi, czy nie, zdemaskuję was, was wszystkich! Jesteście nie lepsi niż barbarzyńcy z KGB. I amerykański moloch tajnych operacji dozna krwawej porażki! Rzygać mi się chce na wasz widok, cały świat na was rzyga!

- Szanowna pani! - wrzasnął ambasador, tracąc resztki opanowania w nagłym wybuchu gniewu. - Proszę grozić czym tylko pani sobie chce, ale musi mnie pani wysłuchać! A gdy po usłyszeniu tego, co mam do powiedzenia, zechce pani wypowiedzieć wojnę, to proszę bardzo! Jak mówią słowa piosenki, moje dni dobiegają końca, ale nie dni milionów innych ludzi! I chcę zrobić, co w mojej mocy, by je przedłużyć. A jeśli pani się z tym" nie zgodzi, szanowna pani, to wypowiadaj swoją wojnę! A potem, na Boga, żyj ze świadomością konsekwencji!

ROZDZIAŁ 19

Siedząc w fotelu, pochylony do przodu Bourne wyjął zamek broni z łoża i sprawdzał stan lufy w świetle stojącej obok lampy. Była to zbędna, mechaniczna czynność: lufa była bez skazy. W ciągu ostatnich czterech godzin trzykrotnie czyścił pistolet d'Anjou, za każdym razem rozkładając go całkowicie i oliwiąc każdą część, aż do uzyskania pełnego połysku. Tak wypełniał sobie czas. Zbadał cały arsenał broni i materiałów wybuchowych d'Anjou, ale ponieważ większa jego część znajdowała się w zamkniętych skrzynkach, zapewne zaopatrzonych w miny pułapki na złodziei, dał sobie z tym spokój i skupił się na pistolecie. Niewiele było miejsca na spacer w mieszkaniu Francuza na Rua das Lorchas, z widokiem na Porto Interiore Makau, czyli Port Wewnętrzny. Ponadto umówili się, że Bourne nie będzie wychodził z domu w ciągu dnia. Tutaj był bezpieczny, o ile w Makau jest to w ogóle możliwe. D'Anjou, który zmieniał adresy przy byle zachciance, wynajął nadmorskie mieszkanie niespełna dwa tygodnie temu, posługując się fałszywym nazwiskiem oraz za pośrednictwem prawnika, którego nie oglądał na oczy. Ten ze swej strony wynajął „lokatora”, by podpisał umowę najmu, którą prawnik przesłał swemu nie znanemu klientowi przez posłańca do szatni w zatłoczonym Pływającym Kasynie. Takie były obyczaje Philippe'a d'Anjou, poprzednio Echa z „Meduzy”.

Jason złożył broń, wsadził Naboje do magazynku i wepchnął go do kolby. Wstał z fotela i podszedł do okna z pistoletem w dłoni. Po drugiej stronie wody znajdowała się Republika Ludowa, jakże dostępna dla każdego, kto znał sposoby postępowania oparte na zwykłej ludzkiej chciwości. Jeśli idzie o granice, to od czasów faraonów nie wydarzyło się nic nowego pod słońcem. Tworzono je po to, by je przekraczać - takim lub innym sposobem.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się piąta, słońce już zachodziło. D'Anjou telefonował do niego z Hongkongu w południe. Francuz pojechał na półwysep z kluczem od pokoju Bourne'a, zapakował jego walizkę nie zwalniając jednak pokoju i miał wsiąść na wodolot do Makau o pierwszej. Gdzie się podział? Podróż trwała niespełna godzinę, a z molo w Makau do Rua das Lorchas taksówką jechało się najwyżej dziesięć minut. Ale przepowiadanie, co robi Echo, nie było wdzięcznym zadaniem.

Obecność d'Anjou spowodowała pojawienie się w pamięci Jasona fragmentów z okresu „Meduzy”. Niektóre wspomnienia, choć bolesne i przerażające, przynosiły pewną ulgę, znów dzięki d'Anjou. Francuz był nie tylko wytrawnym kłamcą, gdy mu się to opłacało, oraz oportunistą pierwszej wody, ale także człowiekiem niezwykle pomysłowym. Przede wszystkim zaś był zwolennikiem pragmatyzmu. Udowodnił to w Paryżu, i w tym zakresie wspomnienia Jasona były jasne. Jeśli się spóźniał, to z uzasadnionych przyczyn. Jeśli się nie pojawi - nie żyje. Ale taka ewentualność była dla Bourne'a nie do przyjęcia. D'Anjou mógł zrobić coś, co Jason ponad wszystko chciałby zrobić osobiście. Ale nie mógł w ten sposób narażać życia Marie. Już sam fakt, że pogoń za podszywającym się pod niego mordercą zaprowadziła go do Makau, znacznie zwiększała ryzyko. Ale dopóki trzymał się z dala od hotelu Lisboa, ufał swemu instynktowi. Pozostanie ukryty przed tymi, którzy go szukają - czy szukają kogoś choćby w przybliżeniu podobnego doń wzrostem, budową ciała czy cerą. Kogoś, kto wypytywał ludzi w hotelu Lisboa.

Jeden telefon z Lisboa do taipana w Hongkongu oznaczał śmierć Marie. Taipan nie ograniczył się do gróźb - pogrożki aż nazbyt często okazywały się puste; użył o wiele bardziej morderczego sposobu. Zaczął od wrzasków i walenia wielką pięścią w poręcz rozklekotanego fotela, po czym spokojnie dał słowo: Marie umrze. Była to obietnica złożona przez człowieka, który swych obietnic

dotrzymywał, dotrzymywał słowa.

Ale pomimo wszystko Dawid Webb odczuwał coś, czego nie potrafił określić. W ogromnym taipanie było coś nienaturalnego, teatralnego, nie licującego z jego wzrostem. Wyglądało to tak, jak gdyby użył swego wielkiego ciała, by uzyskać przewagę w sposób, jaki ludzie jego postury rzadko stosowali. Woleli robić wrażenie samym swym rozmiarem. Kim był taipan? Odpowiedź znajdowała się w hotelu Lisboa, ale ponieważ nie mógł wybrać się tam osobiście, pomocne będą tu umiejętności d'Anjou. Powiedział Francuzowi bardzo niewiele;

teraz powie mu więcej. Opisz brutalne podwójne morderstwo, którego dokonano za pomocą pistoletu maszynowego uzi, i powie też, że jedną z ofiar była żona potężnego taipana. D'Anjou zada te pytania, których on sam nie mógł postawić, a jeśli otrzyma odpowiedź, będzie to kolejny krok do Marie.

Graj według scenariusza. Aleksander Conklin.

Czyjego scenariusza? Dawid Webb.

Tracisz czas! Jason Bourne. Znajdź tego, który cię udaje. Złap go!

W korytarzu za drzwiami ciche kroki. Jason jednym skokiem odwrócił się od okna i bezgłośnie podbiegł do ściany. Z wycelowanym pistoletem przywarł do niej plecami w miejscu, gdzie zasłonią go otwarte drzwi. Ostrożnie, bezszelestnie włożono klucz do zamka. Drzwi wolno się otworzyły.

Bourne potężnym pchnięciem uderzył nimi intruza, obrócił się i chwycił oszołomionego człowieka w samym wejściu. Wciągnąwszy go do środka zamknął drzwi kopnięciem, trzymając broń wycelowaną w głowę leżącego na podłodze mężczyzny, który podczas upadku upuścił walizkę i ogromny pakunek. Był to d'Anjou.

- To był najlepszy sposób, by zarobić kulę w łeb, Echo!

- Sacre bieu! Po raz ostatni w życiu potraktowałem cię delikatnie! Powinieneś przejrzeć się w lustrze, Delta. Wyglądasz jak wtedy w Tam Quan, po kilku dniach bez snu. Myślałem, że drzemiesz.

Znów krótki błysk, kolejne wspomnienie z przeszłości.

- W Tam Quan powiedzieliście mi, że mam iść spać, tak było? - spytał Jason. - Ukryliśmy się w krzakach, a wy ustawiliście się wokół mnie i prawie wydaliście mi rozkaz, żebym spał.

- Żądanie leżało w naszym interesie. My nie potrafilibyśmy się stamtąd wydostać, tylko ty mogłeś.

- Coś mi wtedy powiedziałaś. Co to było? Bo ja usłuchałem.

- Wy tłumaczyłem ci, że odpoczynek jest nie mniej skuteczną bronią niż którekolwiek z tępych narzędzi czy przyrządów do strzelania, jakie człowiek wynalazł.

- W późniejszych czasach stosowałem pewną odmianę tej zasady. Stała się dla mnie aksjomatem.

- Jest mi niezmiernie miło, że miałaś dość inteligencji, by posłuchać starszych. Czy wolno mi już wstać? I czy byłbyś łaskaw opuścić tę cholerną broń?

- Och, przepraszam.

- Nie mamy czasu - rzekł d'Anjou wstając. Walizkę zostawił na podłodze, pakunek obdarł z brązowego papieru. W środku znajdowały się odprasowane ubrania khaki, dwa pasy z kaburami i

dwie czapki z daszkami. Rzucił to wszystko na krzesło. - To są mundury. W kieszeni mam odpowiednie legitymacje. Obawiam się, Delta, że mam tym razem wyższy stopień niż ty, ale wiek ma swoje prawa.

- To są mundury hongkongijskiej policji.

- Ściśle mówiąc Koulunu. Być może mamy pewną szansę, Delta! Dlatego tak długo nie wracałem. Lotnisko Kai Tak! Środki bezpieczeństwa są niesłychane; właśnie to, czego potrzebuje twój sobowtór, by pokazać, że jest lepszy, niż ty byłeś kiedykolwiek! Oczywiście nie ma na to żadnej gwarancji, ale postawiłbym własne życie... bo to jest klasyczne wyzwanie dla opętanego maniaka. „Zgromadźcie wszystkie swe siły, a ja się przez nie przebiję!” Jednym morderstwem tego typu może znów odtworzyć swą legendę, że jest absolutnie niezwyciężony. To on, jestem tego pewien!

- Zaczniij od początku - polecił Bourne.

- Owszem, w czasie gdy będziemy się ubierać - zgodził się Francuz, ściągnając koszulę i odpinając pasek spodni. - Pospiesz się! Po drugiej stronie ulicy mam motorówkę. Czteryście koni. W Koulunie możemy być za trzy kwadranse. Trzymaj! To twoje! Mon Dieu, rzygać mi się chce na myśl, ile pieniędzy na to poszło!

- A patrole ChRL?- spytał Jason, ściągnając ubranie. Sięgnął po mundur. - Zestrzelą nas z wody!

- Idiota! Z pewnymi znanymi łodziami rozmawia się szyfrem przez radio. Ostatecznie jesteśmy ludźmi honoru. Jak sądzisz, w jaki sposób przewozimy towary? Jakim sposobem udaje się nam przeżyć? Spotykamy się w zatoczkach na chińskiej wyspie Teh Są Wei i tam dokonuje się wypłat. Pospiesz się!

- A co z tym lotniskiem? Skąd masz pewność, że to on?

- Gubernator brytyjski. Morderstwo.

- Co? - wrzasnął oszołomiony Bourne.

- Z półwyspu do przystani promowej „Star” szedłem piechotą z twoją walizką w ręce. To bardzo krótki dystans, a promem jest znacznie szybciej niż taksówką przez tunel. Przechodząc koło Komendy Policji w Koulunie na Salisbury Road, ujrzałem siedem radiowozów ruszających na pełnym gazie jeden za drugim; wszystkie skręcały w lewo, a więc nie do dzielnicy magazynów. To mnie uderzyło. Dziwna sprawa. Owszem, dwa czy trzy z powodu jakichś lokalnych zamieszek, ale siedem? To był dobry los, jak tu mawiają. Zadzwoiłem do swojego człowieka w Komendzie i on chętnie udzielił mi informacji; zresztą w tym momencie to już nie było tajemnicą służbową. Powiedział, że jeśli pozostanę dłużej w tamtym miejscu, to w ciągu najbliższych dwóch godzin zobaczę jeszcze dziesięć radiowozów i dwadzieścia furgonetek, wszystkie jadące w kierunku Kai Tak. Te, które widziałem, to był tylko pierwszy rzut dla przeszukania lotniska. Dostali cynk ze swych podziemnych źródeł, że szykowany jest zamach na gubernatora.

- Szczegóły! - rzucił rozkazująco Bourne, równocześnie zapinając spodnie i sięgając po długą koszulę khaki, pełniącą równocześnie rolę kurtki mundurowej, po spięciu jej pasem wyładowanym nabojami.

- Dziś wieczorem gubernator przylatuje z Pekinu wraz ze swą świtą z Foreign Office oraz kolejną delegacją negocjatorów chińskich. Będą dziennikarze, ekipy telewizyjne, wszyscy. Oba rządy życzą sobie pełnej obsługi prasowej. Jutro ma się odbyć wspólne spotkanie wszystkich negocjatorów z przywódcami finansistów kolonii.

- W sprawie traktatu brytyjsko-chińskiego?

- Jeszcze jedna runda nie ustającego gadulstwa na temat Porozumień. Ale przez wzgląd na nas wszystkich módl się, aby ich rozmowy były przyjazne.

- Scenariusz - szepnął Jason, nagle zamierając.

- Jaki scenariusz?

- Ten, o którym sam mówiłeś. Ten, który powoduje, że druty telefoniczne między Pekinem a Pałacem Rządowym rozpały się do czerwoności. Zabić gubernatora w zamian za wicepremiera? A może ministra spraw zagranicznych za wysokiej rangi członka Komitetu Centralnego? Może premiera za Przewodniczącego? Jak daleko można się posunąć? Ile ma być tych starannie dobranych morderstw, nim dojdzie się do punktu krytycznego? Ile czasu upłynie do chwili, gdy tatuś odmówi dalszego pobłażania nieposłusznemu dziecku i wmaszeruje do Hongkongu? Chryste, to przecież może nastąpić. Ktoś chce, by nastąpiło.

D'Anjou stał nieruchomo, trzymając pas złowieszczo wyładowany nabojami w mosiężnych łuskach. - Nie sugerowałem niczego więcej niż bezplanowe akty gwałtu dokonywane przez opętanego zabójcę, przyjmującego wszelkie kontrakty bez wyboru. Po obu stronach istnieje dość chciwości i korupcji politycznej, by uznać to za wytłumaczenie. Ale to, co ty, Delta, sugerujesz, to coś zupełnie innego. Twierdzisz, że to plan, zorganizowany plan zdestabilizowania Hongkongu do tego stopnia, by został zajęty przez Chiny.

- Scenariusz - powtórzył Jason Bourne. - Im bardziej staje się skomplikowany, tym wydaje się prostszy.

Na wszystkich dachach lotniska Kai Tak roiło się od policji. Nie inaczej było przy bramach, w tunelach, przy kontroli wizowej i w pomieszczeniach bagażowych. Na zewnątrz, na ogromnej czarnej płycie lotniska, prócz potężnych stałych reflektorów, świeciły się jeszcze ostrzejsze szperacze, śledzące każdy poruszający się pojazd, przeczesujące każdy centymetr kwadratowy terenu. Ekipy telewizyjne rozwijały kable pod nadzorem czujnych oczu, sprawozdawcy stojący za wozami transmisyjnymi ćwiczyli wymowę w tuzinie języków. Reporterów i fotografów zatrzymano za barierkami, a wrzeszczący przez megafony personel lotniska zapewniał, że dla wszystkich uprawnionych dziennikarzy, posiadających przepustki wydane przez zarząd Kai Tak, wkrótce zostanie udostępnione miejsce wydzielone sznurami, Istny dom wariatów. I nagle zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego:

znad ciemnego zachodniego horyzontu nadciągnęła ulewa i lunęła na terytorium kolonii. Kolejny jesienny potop.

- Samozwaniec ma szczęście; dobry los, jak tutaj mówią, prawda? - powiedział d'Anjou. Odziani w mundury maszerowali obaj w falandze policji krytym korytarzem z blachy falistej do jednego z ogromnych hangarów naprawczych. Krople deszczu łomotały w dach ogłuszająco.

- Szczęście nie ma z tym nic wspólnego - odparł Jason. - On przestudiował prognozy pogody z tak odległych miejsc, jak Sichuan. Są na każdym lotnisku. Wypatrzył tę ulewę jeszcze wczoraj, jeśli nie przedwczoraj. Pogoda też jest bronią, Echo.

- Ale mimo wszystko nie może dyktować, kiedy gubernator brytyjski przyleci chińskim samolotem. One często się spóźniają o całe godziny, a zwykle się spóźniają.

- Ale zwykle nie o całe dni. Kiedy policja w Koulunie otrzymała cynk o planowanym zamachu?

- O to właśnie zapytałem - powiedział Francuz. - Dziś około wpół do dwunastej.

- A samolot z Pekinu miał przylecieć tego popołudnia?

- Tak, już ci to mówiłem. Prasie i telewizji polecono być tutaj o dziewiątej.

- Przystudiował prognozę pogody. Sposobność sama się nadarzy. Wykorzystaj ją.

- I ty to musisz zrobić, Delta! Myśl jak on, bądź nim! To jest nasza szansa!

- A myślisz, że co robię? Gdy dojdziemy do hangaru, chcę się urwać. Czy twoja fałszywa legitymacja to umożliwia?

- Jestem komendantem Sektora Brytyjskiego w Oddziale Policyjnym w Mongkoku.

- A co to oznacza?

- Doprawdy nie wiem, ale to było najlepsze, co mi się udało zdobyć.

- Nie masz brytyjskiego akcentu.

- A któż, mój stary, się w tym połapie tutaj, na Kai Tak?

- Brytyjczycy.

- Będę ich unikał. Mówię po chińsku lepiej niż ty. Zhongguo ren to uszanują. Będziesz mógł się powłóczyć.

- Muszę - odrzekł Jason Bourne. - Jeśli jesteśmy twoim oddziałem, to ja go muszę mieć, nim zauważy go ktokolwiek inny! Tutaj. Teraz!

Ekipy techniczne ubrane w błyszczące, żółte płaszcze przeciwdeszczowe wyniosły z wysokiego hangaru słupki ze sznurami. Pojawiła się ciężarówka pełna takich samych płaszczy dla policjantów.

Chwyтали je, rzucane z platformy. Nałożywszy je policjanci rozbili się na grupy, by wysłuchać instrukcji swych przełożonych. Początkowe zamieszanie, wynikłe z dezorientacji nowo przybyłych oddziałów i nagłej ulewy, szybko zmieniało się w uporządkowane działanie. Ale był to porządek tego typu, jakiemu Bourne nie ufał. Wszystko szło zbyt gładko, zbyt konwencjonalnie jak na stojące przed policją zadanie. Szeregi jaskrawo odzianych żołnierzy maszerujących przed siebie były nie na miejscu i stosowały błędną taktykę, jeśli miały szukać partyzantów. A nawet jednego człowieka wyszkolonego w walce partyzanckiej. Każdy policjant w żółtym płaszczu stanowił zarówno ostrzeżenie, jak i cel. I był czymś jeszcze. Pionkiem. Każdy mógł być zastąpiony przez innego, identycznie ubranego - przez zabójcę, który wiedział, jak przybrać wygląd nieprzyjaciela.

Ale strategia infiltracji dla dokonania morderstwa była samobójcza, a Jason wiedział, że podszywający się pod niego człowiek do czegoś takiego się nie zobowiązał. Chyba... chyba że broń, jakiej miał użyć, była tak cicha, że deszcz zagłuszy odgłos jej użycia... ale nawet wówczas cel nie będzie mógł zareagować natychmiast. Przy pierwszych oznakach słabnięcia u gubernatora teren, na którym dokonano by morderstwa, zostałby natychmiast otoczony kordonem, wszystkie wyjścia zablokowane, a wszyscy znajdujący się w pobliżu zostaliby pod groźbą użycia broni zmuszeni do pozostania na miejscu. Działanie opóźnione? Małe strzałka z broni pneumatycznej o sile uderzenia nie większej niż ułknięcie szpilką, drobna niedogodność, na którą naturalną reakcją jest machnięcie ręką, jakby się odganiało dokuczliwą muchę. A równocześnie mordercza kropla trucizny przeniknie do krwiobiegu, powodując powolną, lecz nieuchronną śmierć - jeśli czas nie odgrywa roli. Było takie prawdopodobieństwo, ale i w takim wypadku istniało zbyt wiele przeszkód do

pokonania, a przy tym dokładność trafienia powinna być większa niż to możliwe z broni pneumatycznej. Gubernator z pewnością będzie miał na sobie kamizelkę kuloodporną, a celowanie w twarz nie wchodziło w grę. Nerwy twarzy nadmiernie reagują na ból, więc jakikolwiek obcy przedmiot trafiając tak blisko oczu wywołuje natychmiastową, gwałtowną reakcję. Pozostawały dłonie i gardło. Pierwsze były jako cele zbyt małe i zapewne zbyt ruchliwe; to drugie po prostu stanowiło zbyt małą powierzchnię. Dalekonośny karabin na dachu? Karabin o najwyższej celności, wyposażony w celownik lunetkowy na podczerwień? I dodatkowa możliwość: zamiast zbyt widocznego żółtego płaszcza, wystąpienie we własnym. Ale to też byłoby samobójcze, bo tego rodzaju broń daje pojedynczy głośny strzał, a wyposażenie jej w tłumik pogarsza celność do tego stopnia, że nie można już jej ufać. Wszelkie racje przemawiały przeciw ewentualności mordercy na dachu. Takie działanie byłoby zbyt rzucające się w oczy.

Ale przecież szło jedynie o dokonanie zabójstwa. Bourne to rozumiał, szczególnie biorąc pod uwagę okoliczności. D'Anjou miał rację. Wszystkie elementy potrzebne do dokonania spektakularnego morderstwa były tu, na miejscu. Carlos Szakal nie mógłby sobie życzyć niczego lepszego. Nie mógłby też Jason Bourne, pomyślał Dawid Webb. Dokonanie tego zabójstwa pomimo wszystkich nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa uczyniłoby nowego „Bourne'a” królem jego odrażającej profesji. Więc jak? Którą możliwość wybierze? A po podjęciu decyzji, jaka droga ucieczki byłaby najskuteczniejsza, najprawdopodobniejsza?

Każdy z wozów transmisyjnych pełen skomplikowanej aparatury stanowił zbyt dogodny cel, by mógł posłużyć do ucieczki. Zespoły obsługi technicznej lądujących samolotów były kontrolowane, a potem jeszcze kontrolowane po raz drugi i trzeci; wśród nich żaden obcy by się nie przemknął. Wszyscy dziennikarze muszą przejść przez bramki elektroniczne, wykrywające każdy przedmiot o wadze przekraczającej dziesięć miligramów. A dachy zostały wykluczone. Więc jak?

- Masz zezwolenie! - oznajmił d'Anjou, pojawiając się nagle u jego boku z kartką w ręce. - Podpisał to prefekt policji Kai Tak.

- Co mu powiedziałaś?

- Że jesteś Żydem wyszkolonym przez Mosad do działań antyterrorystycznych i przydzielonym do nas na zasadzie wymiany osobowej. Ta informacja zostanie przekazana oddziałom.

- Wielki Boże, przecież ja nie znam hebrajskiego!

- A kto tu zna? Wzruszaj tylko ramionami i dalej mów swoją niezłą francuszczyzną, którą tutaj mówią, choć bardzo źle. Z tym sobie poradzisz.

- Jesteś niemożliwy i wiesz o tym, prawda?

- Wiem, że Delta, gdy był naszym dowódcą w „Meduzie”, oświadczył dowództwu w Sajgonie, że nie wyruszy do akcji bez „starego Echa”.

- Musiałem mieć fioła.

- Wtedy większego niż teraz, to przyznaję.

- Bardzo dziękuję, Echo. Życz mi szczęścia.

- Nie potrzebujesz szczęścia - odrzekł Francuz. - Ty jesteś Delta. I zawsze będziesz Delta.

Ściągnąwszy jaskrawożółty płaszcz od deszczu i czapkę z daszkiem Bourne wyszedł z hangaru, pokazując swe upoważnienie wartownikowi przy wejściu. W oddali stado dziennikarzy kierowano

przez elektroniczną bramkę w stronę otoczonego sznurami miejsca. Na brzegu pasa startowego ustawiono mikrofony, a do furgonetek policyjnych dołączyły patrole motocyklowe, otaczając gęstym półkolem miejsce, gdzie miała się odbyć konferencja prasowa. Przygotowania były niemal zakończone, wszystkie siły bezpieczeństwa na stanowiskach, kamery i mikrofony gotowe do włączenia. Wynikało z tego, że samolot z Pekinu zaczął podchodzić do lądowania w deszczu. Przybędzie za kilka minut; minut, które Jason chciałby możliwie wydłużyć. Tylu rzeczy należało poszukać i tak mało było na to czasu. Gdzie? Co? Wszystko było równocześnie możliwe i niemożliwe. Co wybierze morderca? W jakim punkcie się ulokuje, by dokonać zabójstwa doskonałego? I jaka będzie jego najlogiczniejsza droga ucieczki z miejsca zbrodni?

Bourne przemyślał wszelkie ewentualności, które mu przysły do głowy, i wszystkie wykluczył. Pomyśl znowu! I znowu! Zostały ledwie minuty. Cofnij się i zacznij od początku... początku. Założenie:

zamordować gubernatora. Sytuacja: na pozór hermetyczna izolacja, z policją bezpieczeństwa na dachach trzymającą wycelowaną broń, blokującą wszelkie wejścia, każde wyjście, każdą klatkę schodową i schody ruchome, a wszyscy w kontakcie radiowym. Druzgocący brak szans. Samobójstwo... Ale przecież właśnie ten niesłychany brak szans tak nieodparcie przyciągał udającego Bourne'a zabójcę. D'Anjou miał rację: jednym spektakularnym morderstwem dokonanym w takich warunkach zabójca zapewniłby sobie albo też odzyskał supremację w tym zawodzie. Jak to powiedział Francuz? Jednym morderstwem tego typu może znów odtworzyć swą legendę, że jest absolutnie niezwyciężony.

Kto? Gdzie? Kiedy? Jak? Mysi! Patrz!

Mundur policji kouluńskiej przemoczył mu deszcz. Włócząc się po całym terenie, przyglądając się wszystkiemu i wszystkim, nieustannie ocierał wodę z twarzy. Nic! A wtedy usłyszał w oddali przygłuszony ryk silników odrzutowca. Samolot z Pekinu podchodził na odległy koniec pasa startowego. Lądował.

Jason badał wzrokiem tłum stojący wewnątrz otoczonej sznurami przestrzeni. Uprzejmy rząd Hongkongu, okazując względy Pekinowi i posłuszny jego życzeniu „pełnej obsługi prasowej”, dostarczył poncza, płócienne plandeki oraz tanie płaszcze od deszczu wszystkim, którzy tego sobie życzyli. Personel lotniska Kai Tak na żądania dziennikarzy, by konferencja prasowa odbyła się pod dachem, odpowiedział prosto, a mądrze, bo bez zbędnych wyjaśnień, że uniemożliwiają to względy bezpieczeństwa. Oświadczenia będą krótkie, w sumie nie dłuższe niż pięć do sześciu minut. Z całą pewnością wybitni przedstawiciele zawodu dziennikarskiego mogą ścierpieć odrobinę deszczu przy tak ważnej okazji.

Fotoreporterzy? Metal! Aparaty przechodziły przez bramki, ale nie każdy „aparat” służy do robienia zdjęć. Dostyc proste urządzenie może zostać wmontowane i zamknięte w korpusie kamery - potężny mechanizm, zdolny wystrzelić pocisk albo strzałkę z pomocą teleskopowego celownika. Czy to o to chodziło? Czy to właśnie wybrał morderca, spodziewając się, że zmiażdży „aparat fotograficzny” nogą i wyciągnie z kieszeni drugi, szybko przesuając się na skraj tłumy, zaopatrzone w dokumenty równie autentyczne jak te, które posiadał d'Anjou oraz „antyterrorysta” z Mosadu? To było możliwe.

Ogromny odrzutowiec siadł na pasie startowym. Bourne szybko wszedł na ogrodzony sznurami teren, podchodząc do każdego fotoreportera, którego mógł dostrzec, szukając... szukając człowieka wyglądającego jak on sam. Było ze dwa tuziny ludzi z aparatami fotograficznymi. W miarę jak samolot z Pekinu kołując zbliżał się do tłumy, Jason zaczął wpadać w szal. Reflektor i szperacze

skupiły się na przestrzeni wokół mikrofonów i ekip telewizyjnych. Przechodził od jednego fotografa do drugiego, błyskawicznie upewniając się, że żaden z nich nie może być mordercą, i następnie spoglądając ponownie, by sprawdzić, czy ich ciała nie są zbyt napięte, a twarze uszmińkowane. Znowu nic! Żaden z nich! Musi go znaleźć, złapać! Zanim zrobi to ktokolwiek inny. Morderstwo nie miało z tym związku, było dla niego zupełnie nieistotne! Prócz Marie nic nie miało znaczenia!

Wróć do początku! Cel: gubernator. Sytuacja: skrajnie niesprzyjająca dokonaniu morderstwa, cel maksymalnie zabezpieczony, niewątpliwie też we własnej zbroi; cały korpus bezpieczeństwa spokojny, zdyscyplinowany, oficerowie sprawnie dowodzący... Początek? Czegoś tu brakowało. Zaczni od początku. Gubernator: cel, pojedyncze morderstwo. Metoda zabójstwa: narażanie się na samobójstwo wykluczało wszelkie środki z wyjątkiem działających z opóźnieniem, jak strzałka pneumatyczna czy pigułka trucizny. Ale wobec koniecznej dokładności trafienia użycie takiej broni byłoby nielogiczne, a głośny wystrzał z broni palnej natychmiast uruchomiłby wszystkie siły bezpieczeństwa. Opóźnienie? Opóźniona akcja, nie reakcja! Sam początek, pierwsze założenie było błędne! Celem był nie tylko gubernator. Nie pojedyncze, lecz wielokrotne morderstwo, wiele ofiar! O, ileż bardziej spektakularne! O ileż skuteczniejsze z punktu widzenia szaleńca, który chciał wtrącić Hongkong w stan chaosu! A w siłach bezpieczeństwa natychmiast zapanuje chaos. Zamieszanie, ucieczka!

Myśli Boume'a biegły błyskawicznie, podczas gdy on sam przeciskał się przez tłum, strzelając oczami na prawo i lewo. Próbował przypomnieć sobie wszystkie 'bronie, jakie znał. Broń, z której można wystrzelić czy uruchomić ją cicho, niezauważalnie na ograniczonej, wypełnionej tłumem przestrzeni; o działaniu na tyle opóźnionym, by zabójca mógł zmienić miejsce i uciec z łatwością. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to granaty, ale natychmiast je wykluczył. A potem uderzyła go inna myśl: dynamit albo plastik z zapalnikiem czasowym. To było o wiele dogodniejsze z punktu widzenia opóźnienia i możliwości schowania. Plastik można tak nastawić, by eksplodował po upływie kilku minut lub ułamka minuty, a nie po paru sekundach; ładunki wybuchowe można ukryć w małych pudełkach lub paczuszkach, nawet wąskich teczkach... albo pękatych torbach, rzekomo wypchanych sprzętem fotograficznym, niekoniecznie niesionym przez fotografa. Znow ruszył przed siebie, mieszając się z tłumem reporterów i fotoreporterów, przeszukując wzrokiem czarną płytę lotniska poniżej spodni i spódniczek, wypatrując odosobnionego pojemnika, stojącego nieruchomo na twardym asfalcie. Logika podpowiadała mu, że powinien skupić się na mężczyznach i kobietach stojących najbliżej oddzielonego sznurami pasa startowego. Obliczył, że „pakunek”, jeśli będzie dość gruby, nie powinien mieć więcej niż trzydzieści centymetrów długości;

pięćdziesiąt, jeśli zostanie umieszczony w teczce dyplomatce. Mniejszy ładunek nie zabiłby negocjatorów obu rządów. Światła na lotnisku były jasne, ale tworzyły przez to niezliczone cienie, ciemniejsze obszary wewnątrz ciemności. Żałował, że nie miał na tyle przytomności umysłu, by zabrać latarkę -zawsze ją nosił, choćby najmniejszą, kieszonkową, bo to także była broń! Dlaczego zapomniał? A wtedy, ku swemu zdumieniu, ujrzał, jak snopy szperaczy zaczynają przeszukiwać czarną płytę lotniska, krzyżując swe światła i przeskakując po tych samych spodniach i spódnicach, wśród których Jason przed chwilą szukał pakunku. Policja bezpieczeństwa wpadła na ten sam pomysł, czemu nie? Lotnisko La Guardia, 1972; lotnisko Łód, Tel Awiw, 1974; Rue du Bać, Paryż 1975; Harrods, Londyn 1982. Oraz pół tuzina ambasad od Teheranu do Bejrutu. Więc to chyba oczywiste? Oni byli w kursie tych spraw, on nie. Myślał powoli, a na to nie mógł sobie pozwolić!

Kto? Gdzie?

Ogromny Boeing 747 Republiki Ludowej pojawił się jak wielki, srebrny ptak, zagłuszając

rykiem odrzutowych silników bębnienie deszczu, apotem cichnąc, gdy skierowano go na właściwe stanowisko na obcym dla niego terenie. Otworzyły się drzwi, angielska i chińska eskorta zbiegła po schodach, zajmując swe miejsca. Zaczęła się uroczystość. Przewodniczący brytyjskiej i chińskiej delegacji razem wynurzyli się z samolotu. Pomachali zgromadzonym rękami i zgodnym krokiem zaczęli schodzić po metalowych schodach; jeden w klasycznym stroju urzędnika Whitehallu, drugi w ciemnobłękitnym mundurze Armii Ludowej bez dystynkcji. Za nimi postępowały dwa rzędy doradców i adiutantów, Europejczyków i Azjatów, ze wszystkich sił starających się okazywać sobie wzajemną sympatię przed kamerami. Szefowie podeszli do mikrofonów, ich głosy popłynęły z głośników wśród deszczu. Następne kilka minut Jason zapamiętał mgliście. Tylko niewielka część jego uwagi zwrócona była na ceremonię odbywającą się w świetle reflektorów, natomiast większa jej część ku ostatecznemu celowi poszukiwań - bo będzie on ostateczny. Jeśli samozwaniec • jest gdzieś tutaj, Jason musi go znaleźć - przed zabójstwem, zanim nastąpi chaos. Ale, do jasnej cholery, gdzie? Bourne wyszedł poza sznury daleko na prawo, by zająć lepszy punkt obserwacyjny. Jeden ze strażników chciał go zawrócić; Jason pokazał mu przepustkę nie ruszając się z miejsca, ze wzrokiem wlepionym w ekipy telewizyjne, w ich wygląd, oczy, wyposażenie. Jeśli morderca znajdował się wśród nich, to który to był?

- Wyrażamy wspólne zadowolenie z możliwości ogłoszenia, iż w związku z Porozumieniami dokonany został dalszy postęp. My ze Zjednoczonego Królestwa...

- My z Chińskiej Republiki Ludowej - jedynych prawdziwych Chin na kuli ziemskiej - wyrażamy pragnienie osiągnięcia wzajemnego zbliżenia z tymi, którzy życzą...

Przemówienia przeplatały się; każdy z szefów delegacji popierał swego kolegę, równocześnie dając światu do zrozumienia, że pozostało jeszcze wiele do uzgodnienia. Pod płaszczykiem uprzejmości, słownych placebo i przylepionych uśmiechów wyczuwało się napięcie. A Jason wciąż nie znalazł niczego, na czym mógłby się skupić, niczego. Wytarł więc krople deszczu z twarzy i kiwnąwszy głową strażnikowi raz jeszcze prześlizgnął się pod sznurami i wszedł w zgromadzony za nimi tłum. Przepchnął się w stronę grupy dziennikarzy oczekujących na konferencję prasową.

Nagle jego spojrzenie przyciągnął szereg przebijających się przez ulewę samochodowych reflektorów, które zakręciły przed pasem startowym na drugim końcu lotniska i szybko zbliżały się do stojącego samolotu. W tym momencie, jakby na znak, rozległy się burzliwe oklaski. Krótka ceremonia zakończyła się, o czym świadczyło przybycie rządowych limuzyn. Każdą z nich otaczała eskorta motocyklistów, którzy wjechali między delegacje a oddzielony sznurami tłum dziennikarzy i fotoreporterów. Policja otoczyła wozy transmisyjne, polecając wszystkim z wyjątkiem dwóch uprzednio wybranych kamerzystów wsiąść do wozów.

To był ten moment. Jeśli cokolwiek ma się wydarzyć, nastąpi teraz. Jeśli śmiertelne narzędzie ma zostać użyte, a ładunek zdetonowany za minutę lub szybciej, musiał zostać podłożony teraz!

Po lewej stronie dostrzegł oficera dowodzącego oddziałem policji, wysokiego mężczyznę rzucającego na wszystkie strony tak szybkie spojrzenia, jak Bourne. Jason wyciągnął przepustkę i osłaniając ją dłonią od deszczu pochylił się do policjanta. - Jestem z Mosadu! - wrzasnął po chińsku, starając się przekrzyczeć oklaski.

- Tak, wiem o tym! - odkrzyknął oficer. - Zostałem zawiadomiony. Jesteśmy wdzięczni za pańską obecność!

- Ma pan latarkę?

- Ależ oczywiście. Potrzebna panu?

- Bardzo.

- Proszę wziąć.

- Proszę teraz kazać mnie przepuścić - polecił Bourne, podnosząc sznur i gestem nakazującym oficerowi, by poszedł wraz z nim. - Nie mam czasu pokazywać papierów!

- Oczywiście! - Chińczyk podążył za nim, wyciągniętą ręką powstrzymując strażnika gotowego zatrzymać Jasona, nawet strzelając do niego, gdyby to było konieczne. - Zostaw go! To jeden z nas! Jest wyszkolony do takich rzeczy!

- Żyd z Mosadu?

- Właśnie on.

- Zostaliśmy zawiadomieni. Dziękuję, sir... Ale oczywiście on mnie nie może rozumieć.

- Choć to dziwne, ale potrafi. Mówi Guangzhou hua.

- Na Food Street jest tak zwana koszerna restauracja, która podaje nasze potrawy...

Bourne znalazł się między rzędem limuzyn i słupkami ze sznurem. Szedł wzdłuż nich, ze światłem skierowanym w dół, na czarną płytę, wydając rozkazy po chińsku i angielsku - krzycząc, ale nie wrzeszcząc;

rozkazy przytomnego człowieka, być może poszukującego zgubionego przedmiotu. Jeden po drugim przedstawiciele prasy cofali się, tłumacząc osobom stojącym za nimi, co się dzieje. Jason zbliżył się do głównej limuzyny. Na jej prawym błotniku powiewała flaga Wielkiej Brytanii, na lewym zaś Republiki Ludowej, co oznaczało, że Anglia jest tu gospodarzem, a Chiny gościem. Szefowie delegacji mieli jechać razem. Jason skupił uwagę na ziemi; dostojni pasażerowie już prawie wsiadali do długiego pojazdu wraz z najbardziej zaufanymi doradcami. Oklaski nie ustawały.

To się zdarzyło, ale Bourne nie był pewien co. Lewym ramieniem dotknął innego ramienia i było to niczym wstrząs elektryczny. Człowiek, o którego się otarł, najpierw pochylił się do przodu, a potem tak dziko rzucił do tyłu, że Jason stracił równowagę. Odwrócił się i ujrzał człowieka na motocyklu eskorty policyjnej. Uniósł latarkę, by przyjrzeć mu się przez ciemną, plastikową osłonę kasku.

Uderzenie pioruna; ostre, zygzakowate błyskawice przeleciały mu wewnątrz czaszki. Wybałuszył oczy, próbując pojąć rzecz nieprawdopodobną. Patrzył na siebie - sprzed zaledwie paru lat! Śniada twarz pod ciemnym kaskiem była jego własną! To był komandos! Samozwaniec! Morderca!

W patrzących na niego oczach także pojawiła się panika, ale człowiek był szybszy niż Webb. Płaska, sztywna dłoń wystrzeliła do przodu, miażdżąc Jasonowi krtań, odbierając mowę i zdolność myślenia. Bourne upadł na plecy, niezdolny do krzyku, chwytając się ręką za szyję. Morderca zeskoczył z motocykla. Przebiegł obok Jasona i zanurkował" pod sznury.

Dopaść go! Złapać! ...Marie! Nie mógł wydusić z siebie ani słowa, tylko histeryczne myśli milcząco krzyczały w jego głowie. Zwymiotował, co wywołało eksplozję bólu w gardle, a potem przeskoczył przez sznur i wpadł w tłum, biegnąc tropem pozostawionym przez uciekającego zabójcę: leżące na ziemi ciała, powalone ciosami pięści.

- Zatrzymać... go! - Tylko to drugie słowo wydobyło się z gardła Jasona i to jako chrapliwy szept. - Przepuście mnie! - wydusił z siebie dwa słowa, ale nikt go nie słuchał. Gdzieś w okolicy terminalu wśród deszczu grała orkiestra.

Trop się urwał! Byli tylko ludzie, ludzie, ludzie! Znaleźć go! Złapać go! Marie! On uciekł! Zniknął!

- Przepuście mnie! - wrzasnął. Słowa były już zupełnie wyraźne, ale nikt nie reagował. Szarpał, ciągnął i rozpychał ludzi na swej drodze ku skrajowi tłum. Przed nim, za szklanymi drzwiami terminalu, stał zwrócony twarzami ku niemu drugi tłum.

Nic! Nikogo! Morderca uciekł!

Morderca? Morderstwo!

To była ta limuzyna, jadąca na czele limuzyna z flagami obu krajów! To był cel! Gdzieś w samochodzie lub pod nim znajdował się mechanizm zegarowy, który wysadzi ją w powietrze, zabijając szefów obu delegacji. Rezultat: scenariusz... chaos. Przejęcie władzy!

Bourne obrócił się dokoła, gorączkowo rozglądając się za kimś reprezentującym władzę. Dwadzieścia metrów od sznura stał na baczność, gdyż grano właśnie brytyjski hymn narodowy, oficer policji kouluńskiej. Do pasa miał przypięte radio. Szansa! Limuzyny ruszyły w uroczystej procesji w stronę niewidocznej stąd bramy lotniska.

Jason szarpnął sznur w górę przewracając słupek i rzucił się biegiem w stronę niskiego, wyprostowanego chińskiego oficera. - Xunsu! - ryknął.

- Shenme^ - odparł zdumiony mężczyzna, instynktownie sięgając po broń w kaburze.

- Zatrzymaj ich! Samochody, limuzyny! Tę pierwszą!

- O czym ty mówisz? Kim jesteś?

Zrozpaczony Bourne niemalże uderzył oficera. - Mosad! - wrzasnął.

- To ty jesteś tym z Izraela? Słyszałem, że...

- Słuchaj! Łap za radio i każ im się zatrzymać! Wyrzuć wszystkich z tego wozu! On wyleci w powietrze! Zaraz!

W strugach deszczu oficer popatrzył Jasonowi w oczy, a potem jeden raz kiwnął głową i wyszarpnął radio zza paska. - Alarm! Zwolnić kanał i połączyć mnie z Czerwoną Gwiazdą Jeden! Natychmiast!

- Ze wszystkimi wozami! - przerwał Bourne. - Każ im się rozproszyć!

- Zmiana rozkazu! - krzyknął oficer policji. - Alarm dla wszystkich wozów. Łączyć! - Napiętym, ale opanowanym głosem, bardzo wyraźnie i z naciskiem na każde słowo Chińczyk wydawał polecenia. - Tu Kolonia Pięć w trybie alarmowym. Jest ze mną człowiek z Mosadu i przekazuję jego instrukcje. Mają zostać wykonane natychmiast. Czerwona Gwiazda Jeden ma się bezzwłocznie zatrzymać i rozkazać wszystkim wysiąść i pobiec w ukrycie. Wszystkie pozostałe wozy niech skręcają w lewo, w kierunku środka lotniska, jak najdalej od Czerwonej Gwiazdy Jeden. Wykonać natychmiast!

Ośłupiałe tłumy usłyszały w oddali, jak silniki samochodów ryknęły jednym głosem. Pięć limuzyn wypadło z szyku, pędząc w stronę zalegających nad lotniskiem ciemności. Pierwsza

zahamowała z piskiem, drzwi się otworzyły i wyskoczyli z nich ludzie, rozbiegając się we wszystkie strony.

Osiem sekund później to nastąpiło. Limuzyna zwana Czerwoną

Gwiazdą Jeden eksplodowała dwanaście metrów od otwartej bramy. Płonący metal i odłamki szkła wyleciały w górę wśród deszczu, a orkiestra umilkła w pół taktu.

Pekin, 23.25

Za północnymi przedmieściami Pekinu znajduje się ogromne osiedle, o którym rzadko się wspomina i z pewnością nie jest ono dostępne dla zwykłych ludzi. I choć jest to głównie podyktowane względami bezpieczeństwa; niemniej w tym egalitarnym społeczeństwie stanowi ono zjawisko nieco ambarasujące. Bo wewnątrz tej rozległej zalesionej enklawy wśród wzgórz znajdują się wille najpotężniejszych ludzi w Chinach. Osiedle otoczone jest wysokim murem z szarego kamienia, bram wejściowych strzegą zahartowani weterani armii, a gęsty las wewnątrz nieustannie patrolowany jest przez agresywne psy. A gdyby ktoś chciał się zastanawiać nad istniejącymi tutaj związkami politycznymi czy towarzyskimi, musiałby zauważyć, że żadnej z tych willi nie widać z okien innych, ponieważ każda jest otoczona własnym murem wewnętrznym, a wszyscy strażnicy ochrony osobistej wybierani spośród ludzi, którzy przez wiele lat musieli wykazać się posłuszeństwem i ślepym oddaniem. Jeśli nazwa osiedla jest kiedykolwiek wymieniana, to mówi się o nim jako o Górze Nefrytowej Wieży, co nie odnosi się do góry pochodzenia geologicznego, lecz do ogromnego pagórka, wznoszącego się nad innymi. W swoim czasie, w miarę przyływów i odpływów powodzenia politycznego, przemieszkivali tam tacy ludzie, jak Mao Tse-tung, Liu Szao-ci, Lin Piao czy Czou En-laj. Obecnym mieszkańcem osiedla był człowiek kształtujący przyszłość ekonomiczną Republiki Ludowej. Prasa światowa określała go tylko nazwiskiem Sheng, lecz wszyscy wiedzieli natychmiast, kogo ono oznacza. Pełne jego nazwisko brzmiało Sheng Chouyang.

Czterodrzwiowy brązowy samochód pędził drogą biegnącą wzdłuż imponującego szarego muru. Zbliżył się do Bramy Numer Sześć i w tym momencie kierowca, jakby czymś zaabsorbowany, nagle wcisnął hamulec i wóz z poślizgiem zakręcił ku bramie, zatrzymując się tuż przed jaskrawopomarańczową barierą, odbijającą światła przednich reflektorów. Podszedł wartownik.

- Kim jest ten, do którego przyjechałeś, i jak się nazywasz? Chcę zobaczyć twoją legitymację służbową.

- Do ministra Shenga - oświadczył kierowca. - A moje nazwisko nie jest istotne i żadne papiery nie są potrzebne. Poinformuj rezydencję ministra, że przybył jego wysłannik z Koulunu.

Żołnierz wzruszył ramionami. Tego rodzaju odpowiedzi były wręcz standardowe na Górze Nefrytowej Wieży, a dalsze wypytywanie mogło tylko spowodować przeniesienie z tego rajskiego miejsca, gdzie ilości zbywającego mieszkańcom jedzenia przekraczały wszelkie wyobrażenie, a za posłuszeństwo i lojalną służbę można było nawet dostać zagraniczne piwo. Niemniej wartownik posłużył się telefonem. Gość musiał być wpuszczony zgodnie z przepisami. Inne postępowanie mogło spowodować, że winny musiałby uklęknąć w polu, by otrzymać strzał w potylicę. Wartownik wszedł więc do kordegardy i nakręcił numer willi Sheng Chouyanga.

- Wpuść go. Szybko!

Nie podchodząc do samochodu wartownik nacisnął guzik i pomarańczowa bariera uniosła się. Auto wpadło-na teren, o wiele za szybko jak na jazdę po zwirowanej drodze, pomyślał wartownik. Wysłannikowi niezmiernie się spieszyło.

- Minister Sheng jest w ogrodzie - oświadczył oficer armii stojący w drzwiach. Spoglądał w przestrzeń za gościem, przeszukując wzrokiem ciemność. - Idź do niego.

Wysłannik popędził przez pierwszy pokój wypełniony meblami z czerwonej laki w stronę korytarza, za którym znajdował się otoczony murem, przepiękny ogród z czterema połączonymi stawami pełnymi lilii wodnych, które delikatnie podświetlały żółte lampy ukryte pod wodą. Dwie przecinające się ścieżki wysypane białymi kamykami tworzyły „X” między basenami, a na końcu każdej z nich ustawione były w półkole czarne wiklinowe fotele i stoły. Na końcu wschodniej ścieżki, pod ceglana ścianą, siedział samotny mężczyzna. Był to człowiek średniego wzrostu, szczupły, z krótko przystrzyżonymi, przedwcześnie posiwiałymi włosami i zmizerowaną twarzą. Jedyne, co mogło zaskoczyć kogoś widzącego go po raz pierwszy, to jego oczy, czarne oczy martwego człowieka o nigdy nie mrugających powiekach.

Ale mimo tego wrażenia były to także oczy fanatyka, którego ślepe oddanie jednej sprawie stanowiło istotę jego siły; źrenice tliły się białym żarem, a oczy ciskały błyskawice. Takie były oczy Sheng Chouyanga i w tej chwili płonęły.

- Gadaj! - ryknął, chwytając obu rękami czarne poręcze plecionego fotela. - Kto to robi?

- To wszystko kłamstwo, panie ministrze! Sprawdziliśmy przez naszych ludzi w Tel Awiwie. Taki człowiek, jakiego nam opisano, nie istnieje. W Koulunie nie ma żadnego agenta Mosadu! To kłamstwo!

- Jakie działania podjąłeś?

- To niezwykle zawikłana...

- Jakie działania?

- Poszukujemy w Mongokoku Anglika, o którym, jak się wydaje, nikt nic nie wie.

- Durnie i idioci! Idioci i durnie! Z kim rozmawiałeś?

- Z naszym najważniejszym człowiekiem w kouluńskiej policji. Jest zdezorientowany, a także, co z przykrością stwierdzam, przestraszony. Parę razy mówił o Makau i nie podobał mi się ton jego głosu.

- Jest trupem.

- Przekażę tę instrukcję.

- Obawiam się, że nie możesz. - Shang uczynił gest lewą dłonią, a prawą, ukrytą w cieniu, sięgnął pod niski stolik.

- Podejdz, by wyrazić swe posłuszeństwo Kuomintangowi - rozkazał.

Wysłannik podszedł do ministra. Skłonił się głęboko, sięgając po lewą rękę wielkiego człowieka. Sheng uniósł prawą. Trzymał w niej pistolet.

Rozległ się wystrzał, który rozerwał głowę wysłannika. Kawałki czaszki i mózgu doleciały aż do basenów z liliami. W korytarzu pojawił się oficer armii. Od uderzenia pocisku trup zwałił się do tyłu na biały żwir.

- Pozbądź się go - rozkazał Sheng. - Za wiele słyszał, za wiele wiedział... za wiele się domyślał.

- Tak jest, panie ministrze.

- I skontaktuj się z człowiekiem w Makau. Mam dla niego instrukcje, które mają być wykonane natychmiast, póki ogień w Koulunie ciągle jeszcze oświetla niebo. Chcę go widzieć tutaj.

Oficer zbliżył się do martwego kuriera. Sheng nagle wstał z fotela, a następnie wolnym krokiem podszedł do najbliższego basenu. Jego twarz rozjaśniło światło padające spod wody. Znowu przemówił, głosem głuchym, lecz pełnym stanowczości.

- Wkrótce cały Hongkong i terytoria - powiedział, wpatrując się w liść lilii wodnej. - Wkrótce potem całe Chiny.

- Ty prowadzisz, ministrze - odrzekł oficer, nie odrywając od Shenga oczu płonących fanatycznym oddaniem. - My idziemy za tobą. Marsz, który obiecałeś, rozpoczął się. Wracamy do naszej Matki i kraj znowu będzie nasz.

- Tak jest, będzie - potwierdził Sheng Chouyang. - Nam się nie można sprzeciwić. Mnie się nie można sprzeciwić.

ROZDZIAŁ 20

Około południa owego dnia, gdy wszystko miało się dopiero rozegrać, gdy K-ai Tak było jeszcze zwykłym lotniskiem, a nie sceną planowanego zabójstwa, ambasador Havilland opowiedział pokrótce oszołomionej Catherine Staples o spisku Shenga, sięgającym korzeniami Kuomintangu. Cel: konsorcjum taipanów skupione wokół jednego przywódcy, którego syn Sheng przejmuje władzę nad Hongkongiem, by go przekształcić w prywatne imperium finansowe konspiratorów. Nieuchronny wynik: spisek poniesie fiasko, a rozwścieczony olbrzym, jakim jest Republika Ludowa, uderzy i wkroczy do Hongkongu, zrywając Porozumienia i wtrącając cały Daleki Wschód w chaos. Absolutnie w to nie wierząc Catherine zażądała dowodów i do godziny 14.15 dwukrotnie przeczytała obszerny i ściśle tajny dossier Departamentu Stanu na temat Sheng Chouyanga. Ale nadal zawzięcie podtrzymywała swoje obiekcje, ponieważ rzetelności sprawozdania w żaden sposób nie można było sprawdzić. O 15.30 zaprowadzono ją do radiocentrali i tam, za pośrednictwem kodowanego radiotelefonu satelitarnego usłyszała od człowieka o nazwisku Reilly z Rady Bezpieczeństwa Narodowego w Waszyngtonie cały szereg „faktów”.

- Panie Reilly - odrzekła Catherine - pan jest tylko głosem. Skąd mogę wiedzieć, czy nie znajduje się pan u podnóża Yictoria Peak w Wanchai?

Rozległ się trzask na linii i do Catherine przemówił głos dobrze znany jej i całemu światu: - Pani Staples, mówi prezydent Stanów Zjednoczonych. Jeśli pani w to wątpi, proponuję, by pojechała pani do konsulatu. Proszę zażądać, by połączyli się z Białym Domem linią dyplomatyczną, i poprosić o potwierdzenie naszej rozmowy. Będę czekać. Otrzyma pani potwierdzenie. W tej chwili nie istnieje dla mnie nic ważniejszego, n i c.

Catherine potrząsnęła głową i na moment przymknęła oczy, po czym odpowiedziała spokojnym głosem: - Wierzę panu, panie prezydencie.

- Nie chodzi o mnie, proszę uwierzyć w to, co pani powiedziano. To jest prawda.

- Ale tak niewiarygodna... nieprawdopodobna.

- Nie jestem ekspertem od tych spraw i nigdy się za takiego nie uważałem. Ale koń trojański też nie był szczególnie wiarygodny. Oczywiście może to być tylko legendą, a żona Menelaosa jedynie tworem imaginacji bazarza, ale sam pomysł jest trafny; stał się symbolem wroga, niszczącego przeciwnika od wewnątrz.

- Menelaos...?

- Proszę nie wierzyć w to, co o mnie piszą; przeczytałem w życiu parę książek. Ale proszę uwierzyć naszym ludziom. Potrzebujemy pani. Jeśli to może coś pomóc, zadzwonię do waszego premiera, ale szczerze mówiąc wolałbym tego nie robić. Bo on może uznać za konieczne przedyskutowanie tej sprawy z innymi.

- Nie, panie prezydencie. Tylko udaremnienie tego planu jest naprawdę ważne. Zaczynam rozumieć ambasadora Havillanda.

- To ma pani nade mną przewagę. Ja nie zawsze go rozumiem.

- Może to i lepiej, sir.

O godzinie 15.58 w chronionym domu na Yictoria Peak odebrano wyjątkowo pilny telefon. Nie

był to jednak telefon do ambasadora ani podsekretarza stanu McAllistera, lecz do majora Lin Wenzu. A potem rozpoczęło się przerażające czterogodzinne wyczekiwanie. Skąpa informacja była tak elektryzująca, że cała uwaga skoncentrowała się na nadciągającym kryzysie, a Catherine Staples zatelefonowała do swego konsulatu, zawiadamiając Wysokiego Komisarza, iż jest chora i nie weźmie udziału w konferencji na temat wspólnej strategii z Amerykanami, która miała się odbyć tego popołudnia. Jej obecność w domu na Victoria Peak uznano za pożądaną. Ambasador Havilland chciał, by kanadyjska dyplomatką sama przekonała się i zrozumiała, że Daleki Wschód znalazł się w punkcie krytycznym. Że nieuchronny błąd Shenga lub jego mordercy może spowodować wybuch tak katastrofalny, że wojska Republiki Ludowej wkroczą do Hongkongu w ciągu paru godzin, nie tylko powodując wstrzymanie wymiany handlowej kolonii ze światem, ale także przynosząc cierpienia ogromnym masom ludzi: powszechne krwawe zamieszki; szwadrony śmierci lewicy i prawicy, wykorzystujące urazy istniejące od czterdziestu lat; rasowe i lokalne ugrupowania walczące ze sobą i z wojskiem. Krew popłynie ulicami i w porcie, a ponieważ wszystko to odbije się także na wielu innych krajach, wojna światowa jest bardzo realną możliwością.

Podczas gdy Havilland to opowiadał, Lin gorączkowo pracował wydając przez telefon rozkazy i koordynując działania swych ludzi z policją kolonii i służbą bezpieczeństwa lotniska.

Wszystko zaczęło się od tego, że major z MI 6 zakrył mikrofon słuchawki dłonią i przemówił spokojnym głosem w wiktoriańskim pokoju na Victoria Peak.

- Kai Tak, dziś wieczorem. Delegacje chińska i brytyjska. Morderstwo. Celem jest gubernator. Uważają, że to Jason Bourne.

- Tego nie rozumiem! - zaprotestował McAllister, zrywając się z kanapy. - To przedwczesne! Sheng nie jest jeszcze gotowy! Mielibyśmy jakiś sygnał, gdyby tak było... oficjalne oświadczenie jego ministerstwa sugerujące powołanie jakiejś komisji. To pomyłka!

- Błąd w rozumowaniu? - spytał chłodno ambasador.

- Być może. Lub coś innego. Strategia, której nie braliśmy pod uwagę.

- Do roboty, majorze - rzekł Havilland.

Lin wydał ostatnie rozkazy, lecz zanim udał się na lotnisko, sam otrzymał ostatni rozkaz od Havillanda. - Pozostań niewidoczny, majorze - rzekł ambasador. - Mówię poważnie.

- Niemożliwe - odrzekł Lin. - Z całym szacunkiem, sir, muszę być z moimi ludźmi na miejscu. Mam doświadczone oczy.

- Z równym szacunkiem - kontynuował Havilland - muszę oświadczyć, że jedynie pod tym warunkiem przedostanie się pan przez bramę wejściową.

350

- Dlaczego, panie ambasadorze?

- Biorąc pod uwagę pana przenikliwość, dziwię się temu pytaniu.

- Muszę tam być! Nie rozumiem!

- W takim razie jest to zapewne mój błąd, majorze. Sądziłem, że dość jasno wytłumaczyłem, dlaczego posunęliśmy się do tak skrajnych środków, by sprowadzić naszego Jasona Bourne'a tutaj. Proszę pogodzić się z tym, że jest on człowiekiem niezwykłym i jego życiorys tego dowodzi. Trzyma uszy nie tylko przy ziemi, ale także nastawione na cztery strony świata. Musimy założyć, że

jeśli prognozy lekarzy są trafne i pamięć stopniowo mu wraca, to ma on w tej części świata znajomości w różnych zakątkach i kryjówkach, o których my nic nie wiemy. Założmy, tylko założmy, majorze, że jeden z jego informatorów powiadomił go, iż na dzisiejszy wieczór lotnisko Kai Tak zostało postawione w stan pogotowia, iż wszelkie siły bezpieczeństwa zostały zgromadzone dla ochrony gubernatora. Jak pan sądzi, co on wtedy zrobi?

- Będzie tam - odpowiedział niechętnie cichym głosem Lin Wenzu. - Gdzieś w pobliżu.

- Więc założmy jeszcze, że nasz Bourne ujrzy pana. Proszę mi wybaczyć, ale trudno pana nie zauważyć. Jego logiczny i zdyscyplinowany umysł - a przeżył jedynie dzięki logice, dyscyplinie i wyobraźni - zmusi go do ustalenia, kim pan właściwie jest. Czy muszę jeszcze coś dodawać?

- Nie sądzę - rzekł major.

- Związek łatwo ustalić - kontynuował Havilland nie zwracając uwagi na słowa majora. - Nie istnieje żaden taipan w Makau, któremu zamordowano młodą żonę. Istnieje natomiast wielce szanowany oficer operacyjny wywiadu brytyjskiego, udający fikcyjnego taipana, który nagadał mu kłamstw jeszcze większych niż te, które opowiadano mu poprzednio. Dowie się, że kolejny raz był manipulowany przez instytucje rządowe, manipulowany w najbardziej brutalny sposób: przez porwanie jego żony. Umysł, majorze, to delikatny instrument, a u Bourne'a jest on delikatniejszy niż u większości ludzi. Może wytrzymać tylko określoną ilość stresu. Nie chcę nawet myśleć o tym, co on może zrobić, co my będziemy zmuszeni zrobić.

- To było zawsze najłabszym elementem scenariusza, ale równocześnie jego istotą - zauważył Wenzu.

- „Sprytnie pomyślane” - przerwał mu McAllister, wyraźnie kogoś cytując. - „Niewiele aktów zemsty spotyka się z takim zrozumieniem, jak te wynikające z zasady oko za oko”. Twoje własne słowa, Lin.

- Skoro tak, to nie powinniście byli wybierać mnie do odgrywania roli waszego taipana! - upierał się major. - Mamy w Hongkongu krytyczną sytuację, a wy mnie unieruchomiliście.

- Ta sama krytyczna sytuacja dotyczy nas wszystkich - odrzekł łagodnie Havilland. - Tylko że tym razem zostaliśmy ostrzeżeni. A ponadto, Lin, kogo innego mogliśmy wybrać? Który inny Chińczyk prócz wypróbowanego szefa Wydziału Specjalnego mógłby uzyskać zezwolenie Londynu na otrzymanie informacji, które podano ci na początku, nie mówiąc już o tych, które posiadasz obecnie. Umieść swój punkt dowodzenia w wieży kontrolnej. Ma ciemne szyby.

Ogromny major odwrócił się ze złością i w milczeniu opuścił pokój.

- Czy rozsądnie było pozwolić mu tam pójść? - spytał McAllister, patrząc wraz z ambasadorem i Catherine Staples, jak Lin wychodzi.

- Z pewnością - odrzekł dyplomata od tajnych operacji.

- Pracowałem tu szereg tygodni z MI 6 - kontynuował szybko podsekretarz. - Jest znany z tego, że nie zawsze wykonywał polecenia.

- Tylko w wypadku, gdy rozkazy wydawali mu nadęci brytyjscy oficerowie, mający znacznie mniejsze doświadczenie niż on. Nigdy nie otrzymał nagany, zawsze miał rację. A teraz on wie, że ja mam rację.

- Skąd masz tę pewność?

- A jak sądzisz, czemu powiedział, że go unieruchomiliśmy? Nie spodobało mu się, ale zgodził się z tym. - Havilland przeszedł za biurko i zwrócił się do Catherine. - Proszę usiąść, pani Staples. Ciebie zaś, Edwardzie, chcę poprosić o przysługę, nie mającą nic wspólnego z poufnością sprawy. Wiesz o niej tyle co ja, a zapewne twoje wiadomości są jeszcze świeższe, więc z całą pewnością zwrócę się do ciebie, gdy będę potrzebował informacji. Niemniej chciałbym pomówić z panią Staples w cztery oczy.

- Ależ oczywiście - odparł podsekretarz, zbierając z biurka swoje papiery. Catherine usiadła w fotelu naprzeciw ambasadora. - Mam bardzo wiele do przemyślenia - dodał. - Jeśli ta sprawa z Kai Tak nie jest mistyfikacją, jeśli jest to osobisty rozkaz Shenga, oznaczałoby to, że przyjął on strategię, której nie braliśmy pod uwagę, a to jest niebezpieczne. Według wszystkich badań, wszystkich sondaży, jakich dokonałem, powinien zaproponować tę swoją izbę obrachunkową, tę cholerną komisję gospodarczą w sytuacji stabilnej, a nie niestabilnej. Może wszystko rozwalić, a nie jest przecież głupcem, jest wybitnie inteligentny. Co on wyprawia?

- Zechciej wziąć pod uwagę - wtrącił siedzący za biurkiem ambasador zmarszczywszy brwi - odwrotność twego rozumowania, Edwardzie. Zamiast instalować tutaj swą izbę obrachunków finansowych, złożoną z dobranych taipanów w okresie stabilności, robi to wtedy, gdy występuje niestabilność, więc spotyka się z powszechną sympatią, gdyż chodzi o szybkie przywrócenie porządku. Zamiast wściekłego giganta, opiekuńczy ojciec, zatroskany o swe wzburzone emocjonalnie potomstwo, pragnący je uspokoić.

- A co by na tym zyskał?

- Szybkość działania, to wystarczy. Kto badałby dokładnie skład grupy szanowanych finansistów z kolonii, wprowadzonych na stanowiska w momencie kryzysu? Mimo wszystko oni reprezentują stabilność. Warto o tym pomyśleć.

Trzymając w ręce papiery McAllister popatrzył na Havillanda. - To jednak dla niego zbyt ryzykowne przedsięwzięcie - powiedział. - Sheng ryzykowałby utratę kontroli nad ekspansjonistami w Komitecie Centralnym, starymi wojskowymi rewolucjonistami, którzy szukają jakiegokolwiek pretekstu, by wkroczyć do kolonii. Sytuacja kryzysowa wynikła z aktów przemocy byłaby im niesłychanie na rękę. Taki scenariusz podaliśmy Webbowi. Realistyczny scenariusz.

- Chyba że osobista pozycja Shenga jest w tej chwili na tyle mocna, że potrafi ich odsunąć. Jak sam to stwierdziłeś, Sheng Chouyang zarobił dla Chin masę pieniędzy, a jeśli istnieje naród z natury kapitalistyczny, to są nim Chińczycy. Dla pieniędzy żywią oni coś więcej niż zdrowy szacunek. Mają na ich punkcie obsesję.

- Mają też szacunek dla starców z Wielkiego Marszu i ten też jest obsesyjny. Gdyby nie ci dawni maoiści, większość obecnych młodszych przywódców Chin byłaby niepiśmiennymi chłopami, harującymi na polach. Oni czczą tych starych żołnierzy. Sheng nie zaryzykowałby konfrontacji.

- Wobec tego istnieje teoria alternatywna, stanowiąca kombinację tego, co obaj mówimy. Nie powiedzieliśmy Webbowi, że znaczna część bardziej krzykliwych przywódców z pekińskiej starej gwardii zamilkła od miesiący. A w wielu wypadkach, gdy pojawiała się oficjalne oświadczenie, zawiadamiano jedynie, że ten czy ów zmarł śmiercią naturalną albo wskutek tragicznego wypadku, a tylko jeden został zdjęty ze stanowiska popadłszy w niełaskę. Wobec tego, jeśli nasze domysły są słuszne, przynajmniej część z tych, co zamilkli, padła ofiarą mordercy wynajętego przez Shenga...

- To znaczyłoby, że umocnił swą pozycję przez eliminację - wpadł mu w słowo McAllister. - W Pekinie jest mnóstwo białych, hotele są przepełnione. Cóż w takiej sytuacji oznacza jeden więcej, a

już szczególnie morderca, który może być kimkolwiek: attache, dyrektorem jakiejś firmy... Kameleonem.

- I któż lepiej niż biegły w manipulacjach Sheng potrafiłby doprowadzić do potajemnych spotkań swego Jasona Bourne'a z wybranymi ofiarami? Pod dowolnym pretekstem, najlepiej przekazania informacji wywiadowczych na temat wysoko rozwiniętej technologii militarnej. Każdy z nich się na to złapie.

- Jeśli cokolwiek z tego jest bliskie prawdy, to Sheng posunął się znacznie dalej, niż przypuszczaliśmy.

- Zbierz informacje. Żądaj, czego chcesz, od naszych ludzi z wywiadu i z MI 6. Przystudiuj wszystko, ale odkryj, jaka w tym tkwi prawidłowość, Edwardzie. Jeśli dziś wieczorem stracimy gubernatora, będzie to oznaczać, że za kilka dni możemy stracić Hongkong. Z jak najbardziej niesłusznych powodów.

- Będzie chroniony - mruknął McAllister, kierując się ku drzwiom z zatroskaną twarzą.

- Liczę na to - rzucił w ślad za nim ambasador. A potem zwrócił się do Catherine Staples. - Czy naprawdę zaczyna mnie pani rozumieć? - spytał.

- Rozumiem słowa, jak również to, co z nich wynika, owszem, ale nie pewne szczegóły - odparła, spoglądając z zastanowieniem na drzwi, za którymi zniknął właśnie podsekretarz. - To dziwny człowiek, nieprawdaż?

- McAllister?

- Tak.

- Czy to panią niepokoi?

- Wręcz przeciwnie. Dzięki niemu wszystko, co mi powiedziano, nabiera pewnej wiarygodności. To, co powiedział pan, ten Reilly, a nawet wasz prezydent, jak stwierdzam z przykrością. - Catherine znów odwróciła się do ambasadora. - Mówię szczerze.

- Chciałbym, aby nadal tak było. I doskonale panią rozumiem. McAllister jest jednym z najlepszych analityków w Departamencie Stanu, znakomity urzędnik, który nigdy nie osiągnie pozycji, na jaką zasługuje.

- Dlaczego nie?

- Sądzę, że pani wie, a jeśli nie, to pani wyczuwa. Jest człowiekiem głęboko moralnym i ta moralność stanowi przeszkodę dla jego awansu. Gdyby spadło na mnie przekleństwo odczuwania w podobny sposób oburzenia moralnego, nigdy nie zostałbym tym, kim jestem. A na swoją obronę dodam, że nigdy bym nie dokonał tego, co dokonałem. Ale sądzą, że i to pani wie. Wchodząc tutaj powiedziała pani to samo innymi słowami.

- Teraz i pan jest szczerzy. Doceniam to.

- Cieszę się. Chcę oczyścić atmosferę między nami, ponieważ potrzebuję pani pomocy.

- Marie?

- I jeszcze więcej - rzekł Havilland. - Jakie szczegóły panią niepokoją? Co mogę wyjaśnić?

- Ta izba obrachunkowa, komisja bankierów i taipanów, jaką Sheng zaproponuje dla

nadzorowania polityki finansowej kolonii...

- Pozwoli pani, że wybiegnę myślą naprzód - przerwał dyplomata. - Na pozór ludzie ci będą bardzo różnili się charakterami i pozycją oraz będą w najwyższym stopniu do przyjęcia. Jak powiedziałem McAllisterowi podczas naszego pierwszego spotkania, gdybyśmy uważali, że ten szaleńczy plan ma szansę, przymknęlibyśmy oczy i życzyli im wielkich sukcesów. Ale on nie ma cienia szansy. Wszyscy potężni ludzie mają wrogów; pojawią się tu w Hongkongu i w Pekinie sceptycy z zawistnych klik, którzy zostali pominięci i będą badać to znacznie wnikliwiej, niż Sheng oczekuje. Przypuszczam, że pani wie, co znajdują.

- Że wszystkie naziemne i podziemne drogi prowadzą do Rzymu. A tutejszym Rzymem jest ów taipan, ojciec Shenga, którego nazwiska wasze najtajniejsze dokumenty nigdy nie wymieniają. To on jest owym pajakiem, którego sieć sięga do każdego członka tej izby obrachunkowej. On nimi steruje. Na litość boską, kto to, u diabła, jest?

- Chciałbym, abyśmy to wiedzieli - odparł Havilland głuchym głosem.

- Naprawdę nie wiecie? - spytała zdumiona Catherine Staples.

- Gdybyśmy wiedzieli, życie byłoby znacznie prostsze, a ja bym pani powiedział. Nie bawię się z panią w ciuciubabkę, nigdy nie udało nam się tego dowiedzieć. Ilu taipanów jest w Hongkongu? Ilu fanatyków, chcących się zemścić w każdy dostępny im sposób na Pekinie za sprawę Kuomintangu? W ich przekonaniu Chiny im ukradziono. Ojczyznę, groby przodków, własność... wszystko. Wielu z nich, pani Staples, było uczciwymi ludźmi, ale reszta bynajmniej. Liderzy polityczni, generalicja, wielcy ziemianie, ludzie niebywale bogaci, to było uprzywilejowane towarzystwo, tuczące się na wyzysku i ucisku milionów. A jeśli nawet to wszystko brzmi jak bełkot współczesnej komunistycznej propagandy, niemniej jest to klasyczny przykład na to, jak wczorajsze nadużycia stanowią pożywkę dla takich bredni. Mamy do czynienia z garstką maniackalnych emigrantów, którzy chcą odzyskać swoje majątki. Zapominając, że to własna korupcja doprowadziła ich do upadku.

- Czy myślał pan o spotkaniu z Shengiem? Nieoficjalnym?

- Oczywiście, a jego reakcję można aż nazbyt łatwo przewidzieć. Będzie udawał oburzenie i oświadczy bez ogródek, że jeżeli będziemy się posługiwać tak obrzydliwymi wymysłami, by go zdyskredytować, unieważni Porozumienia Chińskie oskarżając nas o dwulicowość i natychmiast włączy Hongkong do obszaru ekonomicznego podlegającego Pekinowi. Stwierdzi, że wielu starych marksistów w Komitecie Centralnym przykłaśnie takiemu posunięciu i będzie miał rację. A potem popatrzy na nas i powie: „Panowie, możecie wybierać. Do widzenia”.

- A jeśli ujawnicie spisek Shenga, nastąpi dokładnie to samo, i on wie, że wy o tym wiecie - powiedziała Catherine marszcząc brwi. - Pekin zerwie Porozumienia, oskarżając Tajwan oraz kraje zachodnie o to, że grają na zwłokę. Ponieważ twarz Zachodu jest czerwona jak burak z powodu jego wewnętrznego kapitalistycznego zepsucia, więc terytorium kolonii maszeruje w takt marksistowskiego bębena, nie mając zresztą już innego wyboru. Po czym następuje załamanie ekonomiczne.

- Tak to pojmujemy - zgodził się Havilland.

- Rozwiązanie?

- Jest tylko jedno. Sheng.

Catherine skinęła głową. - Twarda gra - oświadczyła.

- Najbardziej drastyczne środki działania, jeśli to miała pani na myśli.

- To oczywiście miałam na myśli - odparła. - I mąż Marie, ten Webb, jest nieodzowny do rozwiązania?

- Tak, Jason Bourne jest nieodzowny.

- Dlatego, że ten samozwaniec, morderca nazywający siebie Bourne'em może wpaść tylko w pułapkę zastawioną przez niezwykłego człowieka, z którym próbuje rywalizować, jak to określił McAllister, choć nie w tym kontekście. Bourne występuje jako tamten i wyciąga Shenga tam, gdzie może zastosować rozwiązanie, ostateczne rozwiązanie... Do diabła, on go zabije.

- Tak. Oczywiście gdzieś w Chinach.

- W Chinach... oczywiście?

- Tak by to wyglądało na jakieś wewnętrzne porachunki bez zewnętrznych powiązań. Pekin nie będzie mógł oskarżać nikogo poza nieznanymi wrogami Shenga wewnątrz własnej hierarchii. Zresztą w obecnym stanie rzeczy, jeśli to nastąpi, zapewne okaże się bez znaczenia. Świat nie dowie się oficjalnie o śmierci Shenga przez kilka tygodni, a gdy w końcu poda się to do publicznej wiadomości, jego „nagłe zejście” z całą pewnością zostanie przypisane ciężkiemu zawałowi albo wylewowi krwi do mózgu, na pewno nie morderstwu. Olbrzym nie przechwala się swymi wynaturzeniami, on je ukrywa.

- A wy życzyście sobie dokładnie tego samego.

- Naturalnie. Świat funkcjonuje dalej, taipanowie zostają odcięci od swego źródła, izba obrachunkowa Shenga wali się jak domek z kart, a rozsądni ludzie posuwają się naprzód honorując Porozumienia z korzyścią dla wszystkich... Ale do tego jeszcze daleko, pani Staples. A na początek dzisiaj, tego wieczoru, mamy Kai Tak. Może to się okazać początkiem końca, bo nie mamy przeciwdrodków, które moglibyśmy zastosować. Jeśli wydają się spokojny, to jest to złudzenie, które stwarzam po latach ukrywania napięcia. Dwie tylko rzeczy mam na pociechę: pierwszą, że siły bezpieczeństwa kolonii są jednymi z najlepszych na świecie, i drugą - niezależnie od tragedii, jaką jest śmierć - że Pekin został zaalarmowany o istniejącej sytuacji. Hongkong niczego nie ukrywa ani nie zamierza ukrywać. Tak więc, w pewnym sensie ochrona gubernatora staje się wspólnym ryzykiem i wspólnym przedsięwzięciem.

- A co to pomoże, jeśli nastąpi najgorsze?

- O tyle, o ile ma to znaczenie psychologiczne. Może pomóc uniknąć pozorów niestabilności, choć nie samego faktu, bo alarm został od razu określony jako dotyczący odosobnionego aktu gwałtu, dokonywanego z premedytacją, a nie będącego przejawem niepokoju w kolonii. Ale co najważniejsze, stało się to wspólną sprawą. Obie delegacje mają własne eskorty wojskowe i zostaną one wprowadzone do akcji.

- I tak subtelnymi chwytami protokolarnymi można opanować kryzys?

- O ile mi wiadomo, pani nie są potrzebne żadne lekcje na temat opanowywania kryzysów, a także nagłego ich wywoływania. Ponadto wszystko może pójść w diabły z powodu jednego drobnego wydarzenia i te subtelne chwytaki będą się nadawać tylko na śmietnik. Pomimo wszystkiego, co tu powiedziałem, jestem śmiertelnie przerażony. Tyle można popełnić błędów i omyłek... one są naszymi wrogami, pani Staples. Pozostaje nam tylko czekać, a czekanie jest rzeczą najcięższą, najbardziej wyczerpującą.

- Mam jeszcze inne pytania - rzekła Catherine.

- Ależ proszę bardzo, ile tylko pani sobie życzy. Proszę mnie zmusić do myślenia, do wyłazenia ze skóry, jeśli pani potrafi. Może to nam obojgu pomóc przestać myśleć wyłącznie o czekaniu.

- Wspomniał pan o moich wątpliwych umiejętnościach opanowywania kryzysów. Ale dodał pan także, i jak sądzę z większym przekonaniem, że potafię je wywoływać.

- Przepraszam. Nie potrafiłem oprzeć się pokusie. Brzydki nałóg.

- O ile rozumiem, miał pan na myśli attache Johna Nelsona.

- Kogo?... A, tak, tego młodego człowieka z konsulatu. Brak rozsądku nadrabia odwagą.

- Myli się pan.

- Na temat zdrowego rozsądku? - spytał Havilland, unosząc gęste brwi w łagodnym zdziwieniu. - Naprawdę?

- Nie usprawiedliwiam jego słabości, ale to jeden z najlepszych ludzi, jakich macie. Umiejętnościami zawodowymi i rozsądkiem przerasta większość waszego bardziej doświadczonego personelu. Proszę spytać któregoś z pracowników konsulatu, którzy wraz z nim brali udział w naradach. Należy przy tym do nielicznych, którzy władają biegle dialektem kantońskim.

- Naraził na poważne ryzyko operację, o której wiedział, że jest ściśle tajna - odparł szorstko ambasador.

- Gdyby tego nie zrobił, nie trafilibyście do mnie. Nie mielibyście w zasięgu ręki Marie St. Jacques, będąc tu, gdzie się teraz znajdujecie. W zasięgu ręki.

- Zasięgu ręki...? - Havilland pochylił się do przodu, patrząc na nią badawczo, ze złością w oczach. - Z pewnością nie zamierza pani nadal jej ukrywać?

- Zapewne nie. Ale jeszcze nie zdecydowałam.

- Boże, kobieto, po tym wszystkim, co pani usłyszała? Ona musi się tu znaleźć! Bez niej przegraliśmy, przegraliśmy wszystko! Jeśli Webb się dowie, że jej u nas nie było, że znikła, oszaleje! Musi pani ją nam dostarczyć!

- W tym cała rzecz. Mogę ją dostarczyć w każdej chwili. Ale nie na każde wasze żądanie.

- Nie! - ryknął ambasador. - Kiedy, a także pod warunkiem, że nasz Jason Bourne wykona swe zadanie, nastąpi seria rozmów telefonicznych, mających umożliwić mu bezpośredni kontakt z żoną!

- Nie dam wam numeru telefonu - odparła rzeczowo Catherine. - Równie dobrze mogłabym podać wam adres.

- Pani nie wie, co robi! Co mam jeszcze powiedzieć, by panią przekonać?

- To proste. Udzielcie Johnowi Nelsonowi ustnej nagany. Albo pouczenia, jeśli wolicie, ale załatwcie to wszystko dyskretnie i zatrzymajcie go w Hongkongu, gdzie ma największe szansę zdobyć należne mu uznanie.

- Jezu Chryste! - wybuchnął Havilland. - Przecież to narkoman!

- Niedorzeczna, ale najbardziej typowa prymitywna reakcja amerykańskiego „moralisty” na usłyszany slogan.

- Ależ, pani Staples...

- Dosołano mu narkotyku, on ich nie używa. Granicą jego ekstrawagancji są trzy martini z wódką, ponadto lubi dziewczyny. Oczywiście niektórzy z waszych attache płci męskiej wołają chłopców, a ich granica jest bliżej sześciu martini, ale kto by to liczył? Szczerze mówiąc, mam w nosie, co robią dorośli ludzie w czterech ścianach swojej sypialni; naprawdę nie wierzę, by to, co tam robią, miało jakikolwiek wpływ na ich działania poza sypialnią; ale Waszyngton ma ten dziwny lęk przed...

- Zgoda, pani Staples! Nelson otrzyma naganę... ode mnie... a konsul generalny nie zostanie o tym poinformowany i nic nie zostanie wpisane do jego akt. Czy to pani wystarczy?

- Jesteśmy coraz bliżej. Proszę go wezwać dziś po południu i powiedzieć co trzeba. A także kazać mu, by dla własnego dobra wziął się w garść podczas zajęć pozaszkolnych.

- Z przyjemnością. Czy jest jeszcze coś?

- Tak. I obawiam się, że nie wiem, jak to wyrazić nie obrażając pana.

- Dotychczas to pani nie odstraszało.

- Ale teraz mnie odstrasza, bo wiem o wiele więcej niż przed trzema godzinami.

- A więc proszę mnie obrazić, droga pani.

Catherine zawahała się, a gdy przemówiła, jej głos był błaganiem o zrozumienie. Był głuchy, lecz jednocześnie drżący i donośny. - Dlaczego? Czemu to zrobiliście? Czy nie było innej drogi?

- Domyślam się, że ma pani na myśli panią Webb.

- Oczywiście mam na myśli panią Webb, ale w nie mniejszym stopniu jej męża! Już pana pytałam, czy ma pan w ogóle jakieś wyobrażenie, co im zrobiliście? To jest barbarzyństwo, i chcę podkreślić całą ohydę zawartą w tym słowie. Przywiązaliście ich oboje do jakiegoś średniowiecznego narzędzia tortur, dosłownie rozrywając ich ciała i dusze na strzępy, kładąc im żyć ze świadomością, że mogą się już nigdy nie zobaczyć; kładąc każdemu z nich wierzyć, że podejmując błędną decyzję może spowodować śmierć drugiego. Jeden z amerykańskich prawników podczas przesłuchania w Senacie zadał pewne pytanie i obawiam się, że muszę je zadać panu... Czy pan nie ma poczucia przyzwoitości, panie ambasadorze?

Havilland popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem.

- Mam poczucie obowiązku - oświadczył głosem pełnym znużenia, z grymasem na twarzy. - Musiałem błyskawicznie stworzyć sytuację wywołującą błyskawiczną reakcję, całkowite zaangażowanie w natychmiastowe działanie. Było to oparte na pewnym wydarzeniu z przeszłości Webba, wydarzeniu okropnym, które przemieniło młodego kulturalnego naukowca w... wyrażenie, jakim go określano, brzmiało:

„goryl doskonały”. Potrzebowałem tego człowieka, tego łowcy, z tych wszystkich powodów, które pani usłyszała. Jest tutaj, poluje, a ja zakładam, że jego żona nie poniosła żadnej szkody i oczywiście jest, że nigdy nie chcieliśmy dla niej niczego innego.

- Wydarzenie z przeszłości Webba. Chodzi o jego pierwszą żonę? W Kambodży?

- A więc pani wie?

- Marie mi powiedziała. Jego żona i dwoje dzieci zostali zabici przez samotny samolot, lecący

lotem koszącym wzdłuż rzeki i ostrze-liwujący wodę w miejscu, gdzie się bawili.

Havilland potwierdził skinieniem głowy.

- Stał się innym człowiekiem. Jego umysł nie wytrzymał i ta wojna stała się j e g o wojną bez względu na to, że miał niewielki albo żaden szacunek dla ludzi w Sajgonie. Znalazł ujście dla swego oburzenia w jedyny znany sobie sposób: walcząc z nieprzyjacielem, który ukradł jego życie. Zwykle podejmował się wyłącznie najbardziej skomplikowanych i niebezpiecznych zadań, które dotyczyły najważniejszych celów i osób znajdujących się na najwyższych szczeblach dowodzenia. Jeden z lekarzy orzekł, że w swym wypaczonym umyśle Webb morduje morderców, którzy wydawali rozkazy innym bezmyślnym mordercom. Przypuszczam, że tak właśnie jest.

- A porywając jego drugą żonę z Maine wywołaliście widmo jego pierwszej straty. Wydarzenie, które najpierw zrobiło z niego „goryla doskonałego”, a potem Jasona Bourne'a zmieniło w łowcę Carlosa Szakala.

- Tak, pani Staples, łowcę - podkreślił spokojnie dyplomata. - Potrzebowałem tego łowcy na scenie wydarzeń natychmiast. Nie miałem czasu do stracenia, nawet jednej minuty, i nie znalazłem żadnej innej drogi, by osiągnąć natychmiastowy skutek.

- Jest naukowcem, orientalistą! - krzyknęła Catherine. - Dynamikę wydarzeń na Wschodzie rozumie o całe nieco lepiej niż ktokolwiek z nas, tak zwanych ekspertów. Czy nie mógł pan zaapelować do niego, odwołać się do jego poczucia odpowiedzialności za bieg historii, wskazać na konsekwencje tego, co może nastąpić?

- Być może jest naukowcem. Ale przede wszystkim jest człowiekiem, który uważa, i to nie bez racji, że został zdradzony przez własny rząd. Prosił o pomoc, a w odpowiedzi zastawiono pułapkę, która miała go zabić. Żadne apele z mojej strony nie przełamałyby tej bariery.

- Mógł pan chociaż spróbować!

- I ryzykować opóźnienie, gdy liczyła się każda godzina? Do pewnego stopnia żałuję, że nigdy pani nie była w mojej sytuacji. Może wtedy potrafiłaby pani mnie zrozumieć.

- Mam pytanie - oświadczyła przekornie Catherine, podnosząc rękę. - Na jakiej podstawie sądzi pan, że Dawid Webb uda się do Chin zapolować na Shenga, jeśli znajdzie i złapie samozwańca? O ile zrozumiałam, umowa z nim jest taka, że ma dostarczyć człowieka podającego się za Jasona Bourne'a i wówczas Marie zostanie mu zwrócona.

- Na tym etapie, jeśli to nastąpi, będzie to już bez znaczenia. Bo wtedy powiemy mu, dlaczego zrobiliśmy to, cośmy zrobili. Wtedy właśnie odwołamy się do jego znajomości Dalekiego Wschodu oraz wskażemy na światowe konsekwencje machinacji Shenga i taipanów. Jeśli odwróci się do nas plecami, mamy cały szereg doświadczonych tajnych agentów, którzy mogą zająć jego miejsce. Nie są to ludzie, których pragnęłaby pani zaprosić do domu i przedstawić matce, ale są dyspozycyjni i potrafią to wykonać.

- Jak?

- Szyfry, pani Staples. Metoda działania prawdziwego Jasona Bourne'a zawsze obejmowała szyfry między nim i jego klientami. Tak został zbudowany jego mit, a samozwaniec przestudiował dokładnie wszelkie cechy oryginału. Gdy już będziemy mieli tego fałszywego Bourne'a w rękach, wydobędziemy z niego takim czy innym sposobem potrzebne informacje, oczywiście potwierdzone dzięki użyciu odpowiednich farmaceutyków. Będziemy wiedzieli, jak dotrzeć do Shenga, i to -nam

wystarczy. Jedno spotkanie w terenie poza Górą Nefrytowej Wieży. Jedna śmierć i świat toczy się dalej. Nie potrafię wymyślić innego rozwiązania. Czy pani potrafi?

- Nie - odrzekła cicho Catherine wolno potrząsnąwszy głową. - To twarda gra.

- Proszę nam dać panią Webb.

- Tak, oczywiście, ale nie dzisiaj. Ona nie ma dokąd pójść, a wy macie dość zmartwień w związku z Kai Tak. Zabrałam ją do mieszkania w Tuen Mun na Nowych Terytoriach. Należy do jednego z moich przyjaciół. Zaprowadziłam ją także do lekarza, który dał jej środek uspokajający i zabandażował stopy; paskudnie je poraniła uciekając przed Linem. Mój Boże, przecież ona jest wykończona! Nie spała wiele dni, a ostatniej nocy nawet tabletki słabo na nią działały;

była zbyt napięta, nadal zbyt przerażona. Siedziałam przy niej, a ona mówiła aż do świtu. Dajcie jej wypocząć. Przywiozę ją rano.

- Jak pani to załatwi? Co jej pani powie?

- Nie jestem pewna. Zadzwonię do niej później i postaram się ją uspokoić. Powiem jej, że zrobiłam postępy... może nawet większe, niż przypuszczałam. Chcę po prostu dać jej nadzieję, złagodzić napięcie. Powiem jej, żeby czekała przy telefonie, jak najwięcej odpoczywała, a ja przyjadę rano i, jak sądzę, z dobrymi wieściami.

- Chciałbym wysłać z panią posiłki - powiedział Havilland. - Wraz z McAllisterem. Oni się znają, a ja naprawdę wierzę, że potrafi ją przekonać do swych racji moralnych. To pomoże pani ją namówić.

- Może i tak - zgodziła się Catherine, skinąwszy głową. - Jak pan powiedział, wyczułam to. Zgoda, ale muszą trzymać się z daleka do chwili, gdy się z nią rozmówię, a to może potrwać kilka godzin. Jej brak zaufania do Waszyngtonu bardzo się pogłębił, więc będę musiała długo ją przekonywać. Idzie o to, że jej mąż jest tam, a ona go bardzo kocha. Nie mogę i nie chcę jej mówić, że pochwalam to, coście zrobili. Ale mogę powiedzieć, że w świetle nadzwyczajnych okoliczności, nie wykluczając prawdopodobnego załamania się ekonomicznego Hongkongu, rozumiem, dlaczego to zrobiliście. Ona zaś powinna zrozumieć - jeśli w ogóle będzie w stanie cokolwiek rozumieć - że będąc z wami jest bliżej swego męża, niż uciekając od was. Oczywiście może próbować pana zabić, ale to już pański problem. Jest bardzo kobiecą, przystojną dziewczyną; bardziej niż przystojną, prawdę powiedziawszy uderzająco piękną, ale proszę pamiętać, że to dziewczyna z ranczo w Calgary. Nie doradzałabym pozostawiania z nią sam na sam w pokoju. Jestem pewna, że potrafiła gołymi rękami pokonywać byczki o wiele silniejsze niż pan.

- Wezwę oddział piechoty morskiej.

- Radzę tego nie robić. Zwróci ich przeciw panu. Ona ma większy dar przekonywania niż większość ludzi, których spotkałam w życiu.

- Musi mieć - zgodził się ambasador, rozsiadając się wygodniej w fotelu. - Zmusiła człowieka bez nazwiska, za to z obezwładniającym poczuciem winy, by wejrzał w siebie i wyszedł wreszcie z ciemnych korytarzy psychicznego chaosu. Niełatwe zadanie... Proszę mi o niej opowiedzieć. Nie chodzi mi o suche fakty z teczki personalnej, lecz o jej osobowość.

Catherine opowiedziała mu o wszystkim, co zdołała sama zaobserwować i co podyktowało jej wycucie, a w miarę jak rysował się jakiś aspekt osobowości Marie, wynikały z niego dalsze pytania. Czas mijał;

minuty i półgodziny odmierzane były powtarzającymi się rozmowami telefonicznymi, w których informowano Havillanda o sytuacji na lotnisku Kai Tak. Słońce zeszło już poniżej ścian otaczających ogród wokół domu. Podano lekką kolację.

- Czy zechcesz poprosić pana McAllistera, by nam towarzyszył? - rzekł Havilland do kelnera.

- Spytałem pana McAllistera, sir, czy mam mu coś podać, i uzyskałem nader zdecydowaną odpowiedź. Kazał mi się wynosić i zostawić go w spokoju.

- No to trudno, dziękuję.

Telefony dzwoniły w dalszym ciągu; temat Marie St. Jacques został wyczerpany i rozmowa dotyczyła obecnie wyłącznie sytuacji na Kai Tak. Pani Staples przyglądała się dyplomacie ze zdumieniem, bo im bardziej napięta stawała się sytuacja, tym mówił wolniej i bardziej opanowanym głosem.

- Proszę mi opowiedzieć o sobie, pani Staples. Oczywiście tylko to, co pani zechce z zawodowego punktu widzenia.

Catherine przyjrzała się dokładnie Raymondowi Havillandowi i zaczęła spokojnym głosem: - Znalaziono mnie w kolbie kukurydzy w Ontario...

- Tak, oczywiście - odrzekł zupełnie szczerze ambasador, zerkając na telefon.

Catherine w tym momencie zrozumiała. Wybitny dyplomata prowadził towarzyską rozmowę, podczas gdy jego uwaga skupiona była na zupełnie innym temacie. Kai Tak. Spojrzeniem co chwila uciekał w stronę telefonu; nadgarstek skręcał nieustannie tak, by móc spojrzeć na zegarek, a mimo to nie przeoczył żadnej przerwy w ich dialogu, gdy powinien był wtrącić uwagę.

- Mój były mąż sprzedaje buty...

Havilland gwałtownie oderwał wzrok od zegarka. Wyglądał na człowieka niezdolnego do zakłopotanych uśmiechów, niemniej w tym momencie właśnie taki miał na twarzy.

- Przyłapała mnie pani - powiedział.

- Już dawno temu - odrzekła Catherine.

- Nie bez powodu. Z Owenem Staplesem znamy się dość blisko.

- To by się zgadzało. Poruszacie się w tych samych kręgach.

- Spotkałem go w zeszłym roku w Toronto na wyścigach Queen's Piąte. Uważam, że jeden z jego koni biegał wyjątkowo dobrze. A on wspaniale wyglądał w zakiecie, ale należał wówczas do świty Królowej Matki.

- Gdy byliśmy małżeństwem, nie mógł sobie pozwolić na garnitur z domu towarowego.

- Wie pani co - rzekł Havilland - gdy przeczytałem pani dane i dowiedziałem się o Owenie, przez chwilę kusiło mnie, by do niego zadzwonić. Oczywiście nie po to, by mu coś powiedzieć, ale by go o panią spytać. A potem pomyślałem: o, Boże, w naszej epoce porozwodowych uprzejmości oni zapewne nadal ze sobą rozmawiają. Wsypałbym się.

- Nadal rozmawiamy, a pan się wsypał przylatując do Hongkongu.

- Przed panią, być może. Ale dopiero wtedy, gdy zgłosiła się do pani żona Webba. Proszę mi powiedzieć, co pani pomyślała dowiedziawszy się, że jestem tutaj?

- Że Zjednoczone Królestwo wezwało tu pana na konsultację w sprawie Porozumień.

- Pani mi pochlebia...

Zadzwonił telefon. Dłoń Havillanda błyskawicznie skoczyła w jego kierunku. Dzwonił Wenzu, meldując o postępach dokonanych na Kai Tak, a ściśle mówiąc, co było widoczne, o braku jakichkolwiek postępów.

- Czemu, do jasnej cholery, nie odwołają tego wszystkiego? - spytał ze złością ambasador. - Wrzucicie ich do samochodów i niech stamtąd zjeżdżają! - Jakkolwiek brzmiała odpowiedź majora, jedynym jej skutkiem była jeszcze większa irytacja Havillanda. - To absurd! To nie pokaz bohaterstwa, lecz potencjalne morderstwo! W tych okolicznościach czyjś wizerunek albo honor nie mają z tym nic wspólnego i wierz mi, świat nie czeka z otwartymi ustami na tę cholerną konferencję prasową. Na litość boską, większość ludzi na Ziemi śpi! - Dyplomata znowu słuchał. Odpowiedź Lina nie tylko go zdziwiła, ale wręcz rozwścieczyła. - Chińczycy to powiedzieli? To niedorzeczne! Pekin nie ma prawa stawiania takich żądań, to jest... - Havilland zerknął na panią Staples. - To jest barbarzyństwo! Ktoś powinien im powiedzieć, że to nie ich azjatyckie twarze mają zostać uratowane, ale twarz brytyjskiego gubernatora, a jego twarz jest przymocowana do głowy, która może zostać odstrzelona! - Milczenie; oczy ambasadora zamrugały z gniewną rezygnacją. - Wiem, wiem. Niebiańska czerwona gwiazda musi dalej świecić na niebiańskim czarnym tle. Nic pan nie może zrobić, więc niech pan robi to, co się da, majorze. Proszę nadal telefonować. Jak mawia jeden z moich wnuków: ja tu „jem banany”, choć diabli wiedzą, co by to miało oznaczać. - Havilland odwiesił słuchawkę i spojrzął na Catherine. - Rozkazy z Pekinu. Delegacji nie wolno uciekać przed zachodnim terroryzmem. Należy zabezpieczyć wszystkie osoby, ale realizować program wizyty.

- Londyn by to pewnie zaaprobował. Słowo „realizować” brzmi znajomo.

- Rozkazy z Pekinu... - w zamyśleniu powtórzył dyplomata, nie słuchając Catherine. - Rozkazy Shenga!

- Czy jest pan tego całkiem pewien?

- To jego decydujący manewr! On tym kieruje. Mój Boże, on jest gotów!

Co kwadrans napięcie rosło w postępie geometrycznym, aż wreszcie powietrze było naładowane elektrycznością. Rozpadał się deszcz, bijąc w drzwi do ogrodu nieustającym werblem. Przyniesiono i włączono telewizor. Amerykański ambasador wypełniający misję specjalną i kanadyjska dyplomatką patrzyli nań w milczeniu z przerażeniem w oczach. Ogromny odrzutowiec kołował w ulewie na wyznaczone miejsce spotkania z tłumami reporterów i kamerzystów telewizyjnych. Najpierw wynurzyły się kompanie honorowe, równocześnie po obu stronach otwartych drzwi samolotu. Ich zachowanie było zaskakujące, bo zamiast paradnego kroku, jakiego oczekuje się przy takich okazjach, żołnierze z obu kompanii błyskawicznie zbiegli po metalowych schodkach, z łokciami uniesionymi ku górze i dłońmi na kolbach pistoletów gotowych do wyciągnięcia z kabur. Następnie ukazali się szefowie delegacji machając rękami do zgromadzonych. Zaczęli schodzić po schodach, za nimi zaś dwa rzędy uśmiechających się z zakłopotaniem podwładnych. Zaczęła się dziwna „konferencja prasowa”, a podsekretarz stanu Edward McAllister wpadł jak bomba do pokoju, pchnąwszy ciężkie drzwi tak mocno, że z trzaskiem uderzyły o ścianę.

- Mam! - wrzasnął, trzymając w dłoni arkusz papieru. - Jestem pewien, że mam!

- Uspokój się, Edwardzie. Mów zrozumiale.

- Chińska delegacja! - wrzasnął McAllister resztką tchu, podbiegając do dyplomaty i wtykając

mu papier. - Jej szefem jest człowiek nazwiskiem Lao Xing! Jego zastępcą generał Yunshen! To ludzie wpływowi, którzy przez całe lata przeciwstawiali się Sheng Chouyangowi, otwarcie występując przeciwko jego polityce w Komitecie Centralnym! Ich włączenie do delegacji uznano za oznakę zaakceptowania przez Shenga równowagi sił; dowód uczciwego postępowania wobec starej gwardii.

- Na litość boską, co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie chodzi o gubernatora! Nie tylko o niego! O nich wszystkich! Jednym ruchem eliminuje dwóch najmocniejszych przeciwników w Pekinie i oczyszcza drogę dla siebie. A potem, jak to ująłeś, wciska tutaj swoją izbę obrachunkową, swoich taipanów, w okresie destabilizacji obu rządów!

Havilland zerwał słuchawkę z widełek. - Dajcie mi Lina na Kai Tak! - rozkazał telefoniście w centrali. - Szybko!... Proszę z majorem Linem. Natychmiast!... Co to znaczy, że go nie ma? Gdzie on jest?... Kto mówi?... Tak, wiem, kim jesteś. Słuchaj mnie, i to uważnie! Nie gubernator jest celem, jest znacznie gorzej. Także dwóch członków delegacji chińskiej. Rozdzielcie wszystkich... Wiecie o tym?... Człowiek z Mosadu? Co, u diabła... Nie było takiego porozumienia, nie mogło być!... Tak, oczywiście, wyłączam się. - Dyplomata dysząc gwałtownie, z pobrużdżoną bladą twarzą, popatrzył na ścianę i przemówił ledwie słyszalnym głosem. - Wykryli to, Bóg wie jak, i podejmują natychmiast przeciwdziałania... Kto? Na litość boską, kto to był?

- Nasz Jason Bourne - odrzekł spokojnie McAllister. - On tu jest.

Na ekranie telewizyjnym oddalona limuzyna jednym szarpnięciem zatrzymała się w miejscu, pozostałe zaś rozproszyły się w ciemności. Ze stojącego wozu wybiegły w panice ludzkie postacie, a w parę sekund później ekran wypełniło oślepiające światło wybuchu.

- On jest tutaj - powtórzył szeptem McAllister. - Jest tutaj!

ROZDZIAŁ 21

Motorówka podskakiwała gwałtownie w ciemności wśród tropikalnej ulewy. Dwuosobowa załoga wylewała wodę, nieustannie przelewając się przez burty, a posiwiały kapitan, chińsko--portugalski mieszaniec, mrużąc oczy wypatrywał drogi przez duże okna kabiny, powoli zbliżając się do czarnych konturów wyspy. Bourne i d'Anjou stali po obu stronach właściciela łodzi. Odezwał się Francuz podnosząc głos, by przekrzyczeć ulewę:

- Według ciebie, jak daleko jesteśmy od brzegu?

- Jakies dwieście metrów, plus minus dziesięć do dwudziestu - odparł kapitan.

- Czas na światło. Gdzie je masz?

- W szafce koło ciebie. Z prawej strony. Jeszcze siedemdziesiąt pięć metrów i zatrzymuję się. Metr dalej, i przy tej pogodzie skały mogą się okazać niebezpieczne.

- Musimy się dostać na brzeg! - krzyknął Francuz. - To bezwarunkowo konieczne, już ci mówiłem.

- Tak, ale zapomniałeś mi powiedzieć, że będzie ta ulewa i te fale. Dziewięćdziesiąt metrów i dalej możecie popłynąć łódką. Ma mocny silnik, dostaniecie się na wyspę.

- Merde! - prychnął d'Anjou otwierając szafkę i wyciągając światło sygnałowe. - Więc będziemy mieli sto metrów albo i więcej.

- W żadnym wypadku nie mniej niż pięćdziesiąt, to ci powiedziałem.

- A po drodze jest głęboka woda!

- Czy mam zawrócić do Makau?

- I dać się zestrzelić patrolom? Płacisz, kiedy się należy, albo nie docierasz do celu! Wiesz o tym!

- Nie więcej niż sto metrów.

Rozdrażniony d'Anjou kiwnął głową i podniósł światło sygnałowe na wysokość piersi. Nacisnął i natychmiast puścił guzik; na krótką chwilę niesamowity, ciemnoniebieski błysk rozjaśnił okno sterówki. W parę sekund później podobny niebieski sygnał na brzegu wyspy można było dostrzec przez pokrytą kroplami deszczu szybę.

- Widzisz, mon capitaine, gdybyśmy nie przybyli na spotkanie, ta nędzna łajba zostałaby zestrzelona z morza.

- Dziś po południu bardzo ci się podobała! - odparł sternik, gorączkowo kręcąc kołem.

- To było wczoraj po południu. W tej chwili jest pierwsza trzydzieści w nocy, a ja wreszcie pojąłem twoje złodziejskie metody.

D'Anjou odłożył latarnię sygnałową do szafki i spojrzął na Bourne'a, który odwzajemnił spojrzenie. Każdy z nich robił to samo, co niegdyś wielokrotnie w czasach „Meduzy”: sprawdzał ubiór i wyposażenie partnera. Obaj mieli na sobie spodnie, swetry i cienkie gumowe czepki pływackie, wszystko w czarnym kolorze. Swe zwykłe ubrania trzymali zwinięte w płóciennych

torbach. Oprócz pistoletu Jasona i mniejszego, bo kalibru 22, jakim posługiwał się Francuz, mieli noże w pochwach, wszystko dobrze ukryte.

- Podpłyn tak blisko, jak możesz - zwrócił się d'Anjou do kapitana. - I zapamiętaj sobie, że ostatniej raty nie otrzymasz, jeśli cię tu nie będzie, gdy wrócimy.

- A jeśli oni zabiorą pieniądze, a was zabiją?! - wykrzyknął kapitan, kręcąc kołem sterowym. - Będę zrobiony na szaro!

- Wzruszyłeś mnie - zauważył Bourne.

- Tego się nie obawiaj - odrzekł Francuz, groźnie spoglądając na Chińczyko-Portugalczyka. - Miałem do czynienia z tym człowiekiem wielokrotnie w ciągu wielu miesięcy. Tak ja ty jest sternikiem szybkiej łodzi i kropka w kropkę takim samym złodziejem. Napycham jego marksistowskie kieszenie do tego stopnia, że jego kochanki żyją jak konkubiny członków Komitetu Centralnego. Ponadto podejrzewa on, że wszystko zapisuję. Jesteśmy w rękach Boga, a może nawet lepszych.

- W takim razie zabierzcie światło - mruknął niechętnie kapitan. - Może wam się przydać, a nic mi po was, jeśli wpadniecie na mieliznę albo rozwalicie się na skałach.

- Twoja troska o nas doprowadza mnie do łez - oświadczył d'Anjou wyciągając latarnię i kiwając głową na Jasona. - Zaznajomimy się z łódką i jej silnikiem.

- Silnik jest przykryty grubym płótnem. Nie zapalajcie go, póki nie będziecie na wodzie!

- A skąd mamy wiedzieć, że zaskoczy? - spytał Bourne.

- Bo chcę dostać moje pieniądze, panie Milczący.

Krótki przejazd na brzeg przemoczył ich do nitki. Obaj kurczowo trzymali się łódki, aby nie wylecieć za burtę, Jason obu boków, a d'Anjou steru i rufy. Otarli się o podwodną rafę. Metal zazgrzytał o kamień; Francuz przerzucił gwałtownie ster na prawą burtę, dodając gazu do maksimum.

Dziwny, ciemnoniebieski błysk raz jeszcze pojawił się na brzegu. W mokrej ciemności zboczyli z kursu; d'Anjou skierował łódź w stronę sygnału i po paru minutach kil poszorował po dnie. Francuz przycisnął drążek sterowy podnosząc silnik przyczepny, a Bourne przeskoczył przez burtę chwytając za cumkę i wyciągając łódkę na plażę.

Na moment zapało mu dech, gdy tuż przy nim nagle pojawiła się ludzka postać, chwytając za linkę.

- Cztery ręce lepsze są niż dwie - wrzasnął obcy, Azjata, doskonałą angielszczyzną, i to angielszczyzną z amerykańskim akcentem.

- Jesteś naszym kontaktem?! - odwrzasnął zdumiony Jason zastanawiając się, czy szum deszczu i fal nie przytępił jego słuchu.

- Co za niedorzeczne określenie! - krzyknął człowiek. - Jestem po prostu przyjacielem!

Pięć minut później, zabezpieczywszy łódkę, całą trójką ruszyli przez gęste nadbrzeżne zarośla, które nagle zastąpiły karłowate drzewka. „Przyjaciel” zmontował prymitywną osłonę z łodziowej plandeki; maleńkie ognisko, niewidoczne z tyłu ani z boku, oświetliło gęsty las znajdujący się przed nimi. Ciepło było mile widziane; Bourne i d'Anjou zziębli na wietrze i ulewnym deszczu. Usiedli po

turecku wokół ognia, a Francuz odezwał się do umundurowanego Chińczyka.

- To naprawdę nie było konieczne, Gamma...

- Gamma! - wybuchnął Jason.

- Sięgnąłem do pewnych tradycji z naszej przeszłości. Delta. Oczywiście mogłem użyć imienia „Tango” albo „Fokstrot”, bo jak wiesz, nie wszystko opierało się na greczyźnie. Grecki zastrzeżony był dla dowódców.

- Kretyńska gadanina. Chcę wiedzieć, po co tu jesteśmy. Czemu mu nie zapłaciłeś, żebyśmy mogli już pójść sobie w diabły?

- Człowieku...! - powiedział przeciągle Chińczyk, używając typowo amerykańskiego kolokwializmu. - Jaki napalony typunio! Czego się rzuca?

- Rzucam się, człowieku, bo chcę wracać do łodzi. Naprawdę nie mam czasu na herbatkę!

- A co powiecie na szkocką? - spytał oficer Republiki Ludowej. Sięgnął za siebie i wyciągnął butelkę całkiem przyzwoitej whisky. - Niestety bez szklanek, ale nie przypuszczam, byśmy przynosili zarazki. Kąpiemy się, myjemy zęby, sypiamy ze zdrowymi kurwami; a przynajmniej mój niebiański rząd zapewnia, że są one zdrowe.

- Kim ty, u diabła, jesteś?

- Wystarczy Gamma, Echo mnie o tym przekonał. A czym jestem, pozostawiam twojej wyobraźni. Na przykład pomyśl o UPK, co oznacza Uniwersytet Południowej Kalifornii, łącznie ze studiami dyplomowymi w Berkeley... Te wszystkie protesty w latach sześćdziesiątych, z pewnością je pamiętasz.

- Należałeś do tej bandy?

- Na pewno nie! Byłem zagorzałym konserwatystą, członkiem John Birch Society i żądałem, by ich wszystkich wystrzelano! Wrzaskliwe brudasy bez szacunku dla racji moralnych swego narodu.

- To dopiero jest kretyńska gadanina.

- Mój przyjaciel Gamma - wtrącił się d'Anjou - jest znakomitym pośrednikiem. Jest wysoce wykształconym podwójnym, potrójnym, a niewykluczone, że i poczwórnym agentem pracującym na wszystkie strony we własnym tylko interesie. Jest człowiekiem absolutnie amoralnym i za to go szanuję.

- Wróciłeś do Chin? Do Republiki Ludowej?

- Bo tu są pieniądze - potwierdził oficer. '- Każdy system oparty na ucisku otwiera ogromne możliwości przed człowiekiem podejmującym drobne ryzyko na rzecz uciskanych. Spytaj komisarzy w Moskwie czy w bloku wschodnim. Oczywiście trzeba do tego mieć kontakty na Zachodzie oraz posiadać pewne talenty, na które liczą również wyżsi dowódcy. Na szczęście jestem także doskonałym żeglarzem, co zawdzięczam przyjacielom mieszkającym nad Zatoką, właścicielom jachtów i motorówek. Pewnego dnia powrócę. Naprawdę lubię San Francisco.

- Nie próbuj dociekać wysokości jego konta w szwajcarskim banku - oświadczył d'Anjou. - Zamiast tego skoncentrujmy się na przyczynach, dla których Gamma stworzył dla nas tak miłą samotnię wśród deszczu. - Francuz wziął butelkę i przyłożył do ust.

- To cię będzie kosztować. Echo - rzekł Chińczyk.

- A co u ciebie nie kosztuje? Co to takiego? - D'Anjou podał butelkę Jasonowi.

- Czy mogę mówić przy twoim towarzyszu?

- Wszystko.

- Będziesz potrzebował informacji. Ja je zapewniam. Cena wynosi tysiąc amerykańskich.

- I to jest to?

- Powinno wystarczyć - powiedział Chińczyk, biorąc szkocką z rąk Bourne'a. - Jest was dwóch, a moja łódź patrolowa znajduje się o pół mili stąd, w zatoczce. Moja załoga sądzi, że mam poufne spotkanie z naszymi tajnymi agentami z kolonii.

- Ja „będę potrzebował informacji”, a ty mi je „zapewnisz”. Na podstawie tych słów mam ci wręczyć bez walki tysiąc dolarów, gdy tymczasem jest całkiem możliwe, że masz tu w krzakach tuzin Zhongguo ren.

- Pewne rzeczy trzeba dawać na wiarę.

- Ale nie moje pieniądze - zastrzegł Francuz. - Nie dostaniesz nawet su, póki się nie dowiem, co sprzedajesz.

- Jesteś galijski do szpiku kości - odrzekł Gamma potrząsając głową. - Doskonale. Dotyczy to twego ucznia, tego, co już nie słucha swego mistrza, ale sam odbiera trzydzieści srebrników i o wiele więcej.

- Mordercy?

- Zapłać mu! - rozkazał Bourne nagle sztywniejac, wlepiwszy oczy w chińskiego oficera.

D'Anjou najpierw spojrział na Jasona, następnie na człowieka zwanego Gammą, podciągnął sweter i rozpiął swe ociekające wodą spodnie. Sięgnął głębiej i wydobył nieprzemakalny pas na pieniądze; rozsunął zamek błyskawiczny środkowej kieszeni, wyciągnął banknoty jeden po drugim i podał je chińskiemu oficerowi.

- Trzy tysiące za dzisiejszą noc i jeden za tę nową informację. Pozostałe są fałszywe. Zawsze noszę dodatkowy tysiąc na wszelki wypadek, ale tylko tysiąc...

- Informacja - przerwał mu Jason Bourne.

- On za nią zapłacił - odparł Gamma. - Będę się zwracał do niego.

- Zwracaj się do kogo, u diabła, chcesz, ale gadaj.

- Nasz wspólny przyjaciel w Kantonie... - zaczął oficer mówiąc do d'Anjou. - Radiotelegrafista w Dowództwie Numer Jeden.

- Robiliśmy już interesy - oświadczył ostrożnie Francuz.

- Wiedząc, że o tej porze mam się z tobą spotkać, nabrałem paliwa w stacji w Zhuhai Shi tuż po dziesiątej trzydzieści. Czekala na mnie wiadomość, abym się z nim skontaktował; mamy tam zaufanego łącznika. Nasz człowiek powiedział mi, że z Pekinu łączono pilną rozmowę z pewnym nie zidentyfikowanym numerem w Nefrytowej Wieży. Była do Su Jianga...

D'Anjou rzucił się do przodu, opierając ręce na ziemi.

- Do Świni!

- Kto to taki? - spytał szybko Bourne.

- Ponoć szef wywiadu do spraw operacyjnych w Makau - odparł Francuz - ale sprzedałby własną matkę do burdelu, jeśli cena byłaby odpowiednia. W tej chwili za jego pośrednictwem można dotrzeć do mojego dawnego, byłego ucznia. Mojego Judasza!

- Który nagle został wezwany do Pekinu - przerwał mu człowiek zwany Gammą.

- Jesteś tego pewien? - spytał Jason.

- Nasz wspólny przyjaciel jest pewien - odparł Chińczyk, nadal patrząc na d'Anjou. - Adiutant Su przybył do Dowództwa Numer Jeden, by sprawdzić wszystkie jutrzejsze loty z Kai Tak do Pekinu. Z upoważnienia swego wydziału zarezerwował miejsce, tylko jedno miejsce, na każdy z nich. W wielu wypadkach oznaczało to, że pasażera mającego rezerwację przesuwano na listę oczekujących. Gdy jeden z oficerów Dowództwa Numer Jeden poprosił o osobiste potwierdzenie rezerwacji przez Su, adiutant odpowiedział, że wyjechał on do Makau w pilnej sprawie. Kto ma sprawy w Makau o północy? Wszystko jest pozamykane.

- Z wyjątkiem kasyn - zauważył Bourne. - Stolik piąty. Kam Pęk. Miejsce całkowicie kontrolowane.

- To zaś, biorąc pod uwagę te wszystkie rezerwacje, oznacza, iż Su nie jest pewien, o jakiej porze uda mu się skontaktować z mordercą - dodał Francuz.

- Ale jest pewien, że się z nim skontaktuje. Jakakolwiek wiadomość ma mu do przekazania, nie może to być nic innego jak rozkaz, który należy natychmiast wykonać. - Jason spojrział na chińskiego oficera. - Pomóż nam się dostać do Pekinu - powiedział. - Na lotnisko, najbliższym lotem. Będziesz bogaty, zapewniam cię.

- Delta, oszalałeś! - wrzasnął d'Anjou. - Pekin nie wchodzi w rachubę!

- Czemu? Przecież nikt nas nie szuka, a w całym mieście roi się od Francuzów, Anglików, Włochów, Amerykanów... Bóg wie kogo jeszcze. Obaj mamy paszporty, dzięki którym możemy się przedostać.

- Bądźże rozsądny! - błagał Echo. - Wpadniemy w ich sieci. Zważywszy na to, co wiemy, jeśli nakryją nas w sytuacji budzącej choćby najmniejsze podejrzenia, zginiemy na miejscu! On znowu się pojawi w kolonii, najprawdopodobniej w ciągu paru dni.

- Nie mam do stracenia dni - odparł zimno Bourne. - Twój twór wymknął mi się dwukrotnie. Nie mam zamiaru dopuścić do tego po raz trzeci.

- Uważasz, że będziesz w stanie złapać go w Chinach?

- A gdzie mógłby najmniej spodziewać się pułapki?

- Szaleństwo! Ty zwariowałeś!

- Załatw to - polecił Jason chińskiemu oficerowi. - Pierwszy lot z Kai Tak. Gdy otrzymam bilety, wręcę pięćdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich temu, kto mi je dostarczy. Przyślij kogoś, komu możesz zaufać.

- Pięćdziesiąt tysięcy...? - Człowiek zwany Gammą wpatrywał się w Bourne'a.

Niebo nad Pekinem było mgliste; pył niesiony przez wiatr znad Niziny Północnochińskiej tworzył w promieniach słońca kłęby o barwie mdłej żółci i matowego brązu. Lotnisko, jak wszystkie

porty międzynarodowe, było ogromne. Pasy startowe, niektóre trzykilometrowej długości, krzyżowały się tworząc kratę czarnych alei. Jeśli istniała jakaś różnica między lotniskiem pekińskim a jego zachodnimi odpowiednikami, to stanowił ją tylko ogromny kopulasty terminal z przylegającymi doń hotelami i autostradami prowadzącymi aż do środka kompleksu. Choć terminal był nowoczesny, uderzała w nim skrajna funkcjonalność, bez cienia upiększeń. Było to lotnisko, z którego korzystano i które podziwiano z powodu jego sprawnego działania, nie zaś piękna.

Bourne i d'Anjou przeszli przez odprawę celną prawie bez problemu torując sobie drogę biegną znajomością chińskiego. Celnicy byli naprawdę mili; ledwo rzucili okiem na ich wyjątkowo małe bagaże, bardziej zaintrygowani ich umiejętnościami lingwistycznymi niż pakunkami. Główny urzędnik bez zastrzeżeń przyjął ich historyjkę, że są orientalistami na wakacjach, o których będą z przyjemnością opowiadać podczas swych wykładów. Wymienili tysiąc dolarów na Renminbi, co dosłownie znaczyło Ludowe Pieniądze, i w zamian otrzymali niemal po dwa tysiące juanów na głowę. Bourne zaś zdjął okulary, które kupił w Waszyngtonie od swego przyjaciela Kaktusa.

- Jedno mnie zdumiewa - powiedział Francuz, gdy stanęli przed elektronicznym ekranem, wyświetlającym przyloty i odloty w ciągu trzech najbliższych godzin. - Dlaczego on miałby przylecieć cywilnym samolotem? Z pewnością ten, który mu płaci, ma do dyspozycji samolot rządowy albo wojskowy.

- Tak jak i u nas, takie samoloty muszą mieć rozkaz wyjazdu, z którego trzeba się rozliczyć - odpowiedział Jason. - A kimkolwiek jest ten człowiek, musi się trzymać z dala od twego mordercy. On przyleci tu jako turysta albo biznesmen i wtedy dopiero rozpocznie się zawiły proces kontaktowania. Na to przynajmniej liczę.

- Szaleństwo! Powiedz mi, Delta, jeśli go złapiesz, a dodam, że owo „jeśli” jest istotne, gdyż to niezwykle zdolny człowiek, czy masz jakikolwiek pomysł, jak go stąd wydostać?

- Mam pieniądze, amerykańskie pieniądze, o dużych nominałach, więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Są pod podszewką mojej marynarki.

- To dlatego zatrzymaliśmy się w hotelu Peninsula, prawda? Dlatego mi powiedziałeś, żebym cię wczoraj nie wymeldowywał. Tam są twoje pieniądze.

- Były. W hotelowym sejfie. A jego stąd wydobędę.

- Na skrzydłach pegaza?

- Nie, prawdopodobnie samolotem linii Pan Am, przy czym my dwaj będziemy się opiekować chorym przyjacielem. Prawdę powiedziawszy, zdaje się, że to ty podsunąłeś mi ten pomysł.

- W takim razie jestem niespełna rozumu!

- Nie odchódź od okna - polecił Bourne. - Za dwadzieścia minut ma wylądować następny samolot z Kai Tak. Ale w rzeczywistości równie dobrze może to oznaczać dwie minuty, jak dwie godziny. Pójdę kupić dla nas prezent.

- Szaleństwo - mruknął Francuz pod nosem, zbyt zmęczony, by zrobić coś więcej, niż potrząsnąć głową.

Po powrocie Jason wysłał d'Anjou w róg hali, skąd było widać drzwi prowadzące do kontroli paszportowej, zamknięte z wyjątkiem chwil, gdy pasażerowie wychodzili z odprawy celnej. Bourne sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął długie, wąskie pudełko w krzykliwym opakowaniu, jakie często spotyka się w sklepach z pamiątkami na całym świecie. Wewnątrz na sztucznym

aksamicie leżał wąski, mosiężny nóż do otwierania listów z chińskimi znakami wzdłuż rękojeści. Klinga wyraźnie była naostrzona jak brzytwa.

- Weź go - polecił Jason. - Schowaj za pasem.

- Jak jest wyważony? - spytał Echo z „Meduzy”, wsuwając ostrze za spodnie.

- Nieźle. Środek ciężkości ma mniej więcej w połowie, licząc od podstawy rękojeści, a mosiądz daje mu dobrą wagę. Powinien się przyzwoicie wbijać.

- Tak, przypominam sobie - odparł d'Anjou. - Jedną z pierwszych zasad było, żeby nigdy nie rzucać nożem. Ale któregoś popołudnia, o zmroku, zobaczyłeś, jak pewien Gurkha likwiduje zwiadowcę z odległości trzech metrów, bez strzału i nie ryzykując walki wręcz. Jego bagnet obrócił się w powietrzu jak wirujący pocisk i wbił prosto w pierś zwiadowcy. Następnego ranka wydałeś rozkaz, by Gurkha zaczął nas uczyć. Niektórym wychodziło to lepiej niż innym.

- A tobie?

- Nieźle. Byłem z was najstarszy i dlatego pociągały mnie wszelkie sposoby obrony, nie wymagające wielkiego wysiłku fizycznego. I bez przerwy trenowałem. Widziałeś mnie, wypowiadałeś się często na ten temat.

Jason popatrzył na Francuza.

- Zabawne, ale niczego takiego sobie nie przypominam.

- Po prostu pomyślałeś sobie... Przepraszam, Delta.

- Nie ma sprawy. Uczę się ufać rzeczom, których nie rozumiem. Czuwanie trwało nadal; Bourne'owi przypominało to oczekiwanie w Luowu, gdy pociągi jeden po drugim przejeżdżały przez granicę i nikt się nie pojawiał, aż wreszcie niski, kulejący starszy pan wydał mu się z odległości kimś innym. Samolot, który miał przybyć o 11.30, miał ponad dwie godziny spóźnienia. Odprawa celna zajmie dodatkowo pięćdziesiąt minut...

- To on! - zawołał d'Anjou, wskazując postać wynurzającą się z sali kontroli paszportowej.

- Ten z laską? - spytał Jason. - Kulejący?

- Jego sfatygowane ubranie nie jest w stanie ukryć potężnych ramion! - krzyknął Echo. - Siwe włosy są zbyt nowe, nie wyszczotkował ich dostatecznie, a ciemne okulary za szerokie. Jest zmęczony jak my. Miałeś rację. Wezwania do Pekinu musiał usłuchać, a okazał się niedbały.

- Ponieważ „odpoczynek jest bronią”, a on go zaniedbał?

- Tak. Kai Tak zeszłej nocy musiało go wyczerpać, ale co ważniejsze, musiał wykonać rozkaz. Merde! Jego honoraria pewnie wynoszą setki tysięcy!

- Kieruje się do hotelu - powiedział Bourne. - Zostań tutaj, a ja pójdę za nim... w pewnej odległości. Jeśli cię zauważy, ucieknie i możemy go stracić z oczu.

- Może zauważyć ciebie!

- Wątpliwe. To ja wynalazłem tę grę. Poza tym będę szedł za nim. Zostań. Wrócę po ciebie.

Niosąc płócienną torbę i poruszając się krokiem zdradzającym zmęczenie długą podróżą odrzutowcem, Jason włączył się do kolejki nowo przybyłych pasażerów kierujących się do hotelu. Nie spuszczał z oczu siwowłosego człowieka. Dwukrotnie były brytyjski komandos zatrzymał się i

odwrócił, więc i Bourne dwukrotnie, gdy tylko drgnęły ramiona śledzonego, także odwracał się i pochylał, jak gdyby strzepywał z nogi owada albo poprawiał pasek torby, ukrywając w ten sposób twarz i większość ciała. Tłum przy recepcji gęstniał. Jason stanął w drugiej kolejce, o osiem osób za zabójcą, starając się jak najmniej rzucać w oczy i nieustannie przystając, by posunąć nogą swoją torbę. W końcu komandos podszedł do urzędniczki, pokazał dokumenty, wypełnił kartę meldunkową i pokuśtykał w kierunku brązowych wind z prawej strony. Sześć minut później Jason stanął przed tą samą recepcjonistką. Odezwał się w dialekcie mandaryńskim.

- Ni neng bangzhu wo ma? - zaczął, prosząc o pomoc. - Musiałem nagle wyjechać i nie mam się gdzie zatrzymać. Tylko na jedną noc.

- Bardzo dobrze mówi pan naszym językiem - powiedziała urzędniczka z aprobatą, otwierając szeroko migdałowe oczy. - Czyni pan nam zaszczyt - dodała uprzejmie.

- Mam nadzieję znacznie się podciągnąć w czasie mego pobytu. Jestem na objeździe naukowym.

- To najlepsze, co można zrobić. W Pekinie jest wiele skarbów, tak jak wszędzie, oczywiście, ale to miasto niebiańskie. Nie ma pan rezerwacji?

- Obawiam się, że nie. Wszystko było na ostatnią chwilę, jeśli pani wie, co mam na myśli.

- Ponieważ mówię oboma językami, mogę pana zapewnić, że w naszym określił pan to prawidłowo. Wszystko jest na łeb na szyję. Zobaczę, co się da zrobić. Oczywiście nie będzie to wielki luksus.

- Nie mogę sobie pozwolić na wielki luksus - odrzekł nieśmiało Jason. - Ale jestem z kolegą... jeśli to będzie konieczne, możemy spać w jednym łóżku.

- Jestem pewna, że przy tak nagłym przyjeździe wspólne łóżko okaże się koniecznością. - Recepcjonistka przerzuciła karty meldunkowe. - Jednoosobowy pokój z oknem na podwórze na drugim piętrze. Przypuszczam, że będzie odpowiadał pana zasobom...

- Weźmiemy go - zgodził się Bourne. - A propos, kilka minut temu w tej kolejce zobaczyłem człowieka, którego z pewnością znam. Teraz już się nieco postarzał, ale przypuszczam, że jest to mój dawny profesor z okresu studiów w Anglii. Siwy, z laską... Jestem pewien, że to on. Chciałbym się z nim spotkać.

- A, tak, pamiętam. - Urzędniczka rozłożyła przed sobą najnowsze karty meldunkowe. - Nazywa się Wadsworth, Joseph Wadsworth. Pokój trzysta dwadzieścia pięć. Ale chyba pan się myli. Jako zawód podał: konsultant do spraw podmorskiej ropy naftowej, z Wielkiej Brytanii.

- Ma pani rację, to nie on - odrzekł Jason, potrząsając w zakłopotaniu głową. Wziął klucz do swego pokoju.

Mażemy go dopaść! Teraz! - Bourne chwycił d'Anjou za ramię, wyciągając go z opuszczonego kąta terminalu.

- Teraz? Tak łatwo? Tak szybko? To niewiarygodne!

- Wręcz przeciwnie - oświadczył Jason, prowadząc go do obleganych przez tłum kilku szklanych drzwi, prowadzących do hotelu. - To absolutnie wiarygodne. Twój człowiek w tej chwili ma na głowie tuzin różnych spraw. Musi być niewidoczny. Nie może zatelefonować przez centralę hotelową, więc będzie siedział w swym pokoju, czekając na telefon z instrukcjami.

Przeszli przez szklane drzwi, rozejrzeli się i skręcili w lewo koło długiej lady. Bourne

kontynuował szybko:

- Na Kai Tak zeszłej nocy poniósł porażkę, więc musiał się liczyć z inną możliwością, mianowicie z własną eliminacją. To wynikało z założenia, że człowiek, który odkrył materiał wybuchowy pod samochodem, widział go i rozpoznał, zresztą założenia zgodnego z prawdą. Musiał więc nalegać, by jego klient przybył sam na umówione spotkanie, tak żeby się mogli zmierzyć jeden na jednego. To dla niego najlepsze zabezpieczenie.

Znaleźli klatkę schodową i zaczęli wchodzić na górę.

- Do tego jego ubranie - kontynuował Delta z „Meduzy”. - Zmieni je. Nie może już wyglądać tak jak przedtem i nie może też wyglądać tak jak teraz. Musi stać się kimś innym. - Dotarli do trzeciego piętra i Jason kładąc rękę na kłamce powiedział do d'Anjou: - Wierz mi na słowo, Echo, twój chłopiec się zaplątał. W tej chwili rozwiązuje w głowie zadania godne rosyjskiego mistrza szachowego.

- Czy to mówi uczony, czy człowiek niegdyś zwany Jasonem Bourne'em?

- Bourne - odparł Dawid Webb z lodem w głosie i chłodem w oczach. - Jeśli kiedykolwiek istniał, to właśnie w tej chwili.

Przerzuciwszy płócienną torbę przez ramię, Jason powoli uchylił drzwi u szczytu schodów, przywierając ciałem do framugi. Dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach w prążki szli korytarzem w jego stronę, narzekając na brak obsługi w pokojach. Rozmawiali po angielsku. Otworzyli drzwi do swego pokoju i znikli w środku. Bourne pchnął drzwi prowadzące na podest i przepuścił d'Anjou. Ruszyli wzdłuż korytarza. Pokoje miały numerację chińską i angielską.

341, 339, 337 - a więc znajdowali się na właściwym korytarzu, ich pokój był z lewej strony. Z brązowej windy nagle wysiadły trzy hinduskie pary, kobiety w sari, mężczyźni w obcisłych płóciennych spodniach. Minęli Jasona i d'Anjou szczebiocząc, rozglądając się w poszukiwaniu swych pokoi; mężczyźni byli wyraźnie niezadowoleni z faktu, że sami muszą nieść bagaże.

335, 333, 331...

- To już koniec! - rozległ się damski wrzask. Tłusta kobieta w papilotach i szlafroku wymaszerowała z wojowniczą miną z drzwi po prawej. Wystająca spod szlafroka koszula nocna ciągnęła się po ziemi i kobieta co chwila ją przydeptywała. Zadarła ją do góry, odsłaniając parę nóg godnych nosorożca. - Toaleta nie działa, a o telefonie nie ma co marzyć!

- Isabel, mówiłem ci! - krzyknął mężczyzna w czerwonej piżamie, wyglądający zza drzwi. - To tylko zmęczenie spowodowane różnicą czasu. Prześpij się i pomyśl, że to nie jest Short Hill! Przestań dzielić włos na czworo! Odpręż się!

- Ponieważ nie mogę skorzystać z łazienki, nie mam wyboru! Znajdę któregoś z tych skośnookich sukinsynów i zrobię piekło! Gdzie są schody? Za nic nie wejdę do żadnej z ich cholernych wind. Jeśli w ogóle kursują, to pewnie w poprzek i prosto przez ścianę do pokoju 747!

Wściekła niewiasta minęła ich pędząc ku schodom. Dwie z trzech hinduskich par miały trudności z kluczami, wreszcie udało im się otworzyć zamki głośnymi, dobrze wycelowanymi kopniakami; mężczyzna w czerwonej piżamie wrzasnął coś do swej rozgniewanej żony, a potem trzasnął drzwiami pokoju.

- Przecież to jest jak spotkanie klasowe w klubie! Zachowujesz się żenująco, Isabel! - krzyknął jej na pożegnanie. 329, 327... 325. To ten pokój. Korytarz był pusty. Zza drzwi dobiegały tony

wschodniej muzyki. Radio było włączone na cały regulator; zapewne przy pierwszym dzwonku telefonu zostanie nastawione jeszcze głośniej. Jason odciągnął d'Anjou do tyłu i stanąwszy przy ścianie powiedział cicho:

- Nie pamiętam żadnych Gurkhów ani zwiadowców...

- Jakaś część ciebie pamięta, Delta - przerwał Echo.

- Możliwe, ale to nie ma nic do rzeczy. Jesteśmy na początku końca drogi. Torby zostawimy tutaj. Ja zajmę się drzwiami, a ty wal śmiało za mną. Trzymaj sztylet w pogotowiu. Ale chcę, żebyś coś zrozumiał i nie popełnił błędu: nie rzucaj nim, dopóki nie będziesz absolutnie musiał. A jeśli już rzucisz, to celuj mu w nogi. Ani centymetra wyżej pasa.

- Masz więcej wiary w starszego pana niż ja sam.

- Mam nadzieję, że nie będę musiał się do niej uciekać. Te drzwi są zrobione z podwójnej cienkiej dykty, a twój morderca jest pochłonięty myślami. Zastanawia się nad strategią, nie nad nami. Bo skąd byśmy mogli wiedzieć, że on tu jest; a nawet gdybyśmy wiedzieli, to jak mielibyśmy w tak krótkim czasie przedostać się przez granicę? Ja go chcę mieć! Złapię go! Gotów?

- Jak zawsze - odparł Francuz, kładąc na podłogę swoją torbę i wyciągając zza pasa mosiężny nóż do papierów. Umieścił ostrze na dłoni i rozłożył palce szukając środka ciężkości.

Bourne zsunął torbę lotniczą z ramienia i spokojnie zajął pozycję naprzeciw drzwi do pokoju 325. Spojrzał na d'Anjou. Echo kiwnął głową, a Jason skoczył na drzwi, z lewą nogą wyciągniętą niczym taran, celując w punkt poniżej zamka. Drzwi wpadły do środka jak wysadzone w powietrze; posypało się drewno, zawiasy wyleciały z framugi. Bourne wleciał do pokoju turlając się po podłodze i rzucając oczami na wszystkie strony.

- Arretez! - ryknął d'Anjou.

Zza wewnętrznych drzwi wynurzyła się ludzka postać, siwowłosa człowiek, morderca! Jason skoczył na nogi, rzucił się na swą zwierzynę; chwycił mężczyznę za włosy, szarpnął w lewo, potem w prawo, przygniatając go do framugi drzwi. Nagle Francuz wrzasnął, a mosiężne ostrze noża do papieru błysnęło w powietrzu, wbijając się w ścianę z drzeniem rękojeści. To nie był rzut do celu, lecz ostrzeżenie.

- Delta! Nie!

Bourne zamarł unieruchomiwszy zdobycz, bezbronną w jego rękach i pod jego ciężarem.

- Popatrz! - zawołał d'Anjou.

Jason cofnął się wolno, trzymając przed sobą człowieka uwięzionego w mocnym uścisku. Spojrzał na wychudzoną, pomarszczoną twarz bardzo starego człowieka z przerzedzonymi siwymi włosami.

Marie leżała na wąskim łóżku, gapiąc się w sufit. Południowe słońce wlewało się przez pozbawione firanek okna, wypełniając pokój oślepiającym światłem i nadmiernym gorącem. Twarz miała pokrytą potem, a podarta bluzka lepiała się do wilgotnej skóry. Stopy bolały ją po porannym szaleństwie, które zaczęło się od spaceru po nie wykończonej nadbrzeżnej ulicy na kamienistą plażę poniżej -- głupi to był wyczyn, ale w tym momencie tylko tyle mogła zrobić; odchodziła od zmysłów.

Powietrze wypełniał uliczny hałas - dziwna kakofonia wysokich głosów, nagłych wrzasków,

dzwonekó rowerowych oraz ryczących klaksonów ciężarówek i autobusów miejskich. Wyglądało to tak, jakby zatłoczona, ruchliwa, pełna krzątaniny dzielnica Hongkongu została oddarta od wyspy i osadzona w odległym miejscu, gdzie zamiast Portu Wiktorii i ciągnących się nieskończonym szeregiem wieżowców ze szkła i kamienia, była szeroka rzeka, rozpościerające się aż po horyzont pola i odległe góry. W pewnym sensie był to przeszczep, pomyślała. Miniaturowe miasto Tuen Mun należało do owych poszukujących szerszej przestrzeni fenomenów, które pojawiły się na północ od Koulunu na Nowych Terytoriach. Jednego roku była to jałowa równina, a następnego błyskawicznie rozwijająca się metropolia z brukowanymi ulicami, fabrykami, dzielnicami handlowymi i coraz liczniejszymi eleganckimi domami mieszkalnymi, przyciągająca ludzi z południa obietnicami mieszkań i pracy dla tysięcy; ci zaś, którzy usłuchali wezwań, przynosili tu typową, gorączkową atmosferę hongkongijskiego biznesu. Gdyby ipe i.o, troski dawnych mieszkańców Kuangtungu, prowincji kantońskiej, a nie zblazowanego Szanghaju, byłyby zbyt błahe, by się nimi zajmować.

Marie obudziła się o świcie. Jej niedługi sen pełen był koszmarów, a wiedziała, że dopóki Catherine ponownie do niej nie zadzwoni, znów musi spędzać czas beczynn timer. Telefonowała w środku nocy, wyrывая ją ze snu spowodowanego skrajnym wyczerpaniem i to tylko po to, by jej tajemniczo oznajmić, że wydarzyły się rzeczy niezwykle i można się spodziewać pomyślnych wiadomości. Spotkała człowieka, który się tym zainteresował, wybitnego człowieka, który jest w stanie im pomóc. W razie gdyby miało zdarzyć się coś nowego, Marie ma pozostać w mieszkaniu i czekać na telefon. Ponieważ umówiły się, że nie będą przez telefon wymieniać nazwisk ani omawiać szczegółów, Marie nie dziwiła lapidarność tej rozmowy. - Kochanie, z samego rana do ciebie zadzwonię - powiedziała Staples i nagle przerwała połączenie.

Nie zadzwoniła ani o 8.30, ani o 9.00, a o 9.36. Marie nie była w stanie dłużej tego znieść. Tłumaczyła sobie, że nazwiska były zbędne, obie znały swoje głosy, a poza tym Catherine musiała zrozumieć, że żona Dawida Webba ma prawo się czegoś dowiedzieć „z samego rana”. Marie nakręciła numer w mieszkaniu Staples w Hongkongu. Odpowiedzi nie było - więc nakręciła numer po raz drugi, by mieć pewność, że się przedtem nie pomyliła. Nic. Zrozpaczona i kompletnie zrezygnowana zadzwoniła do konsulatu.

- Poproszę panią Staples. Jestem jej przyjaciółką z Ministerstwa Skarbu w Ottawie. Chcę jej zrobić niespodziankę.

- Kochanie, słychać cię znakomicie.

- Ja nie dzwonię z Ottawy, jestem tutaj - oświadczyła Marie, aż nazbyt dobrze wyobrażając sobie minę gadatliwej recepcjonistki.

- Przykro mi, kochanie, pani Staples jest poza biurem i nie zostawiła żadnej wiadomości. Prawdę powiedziawszy sam najwyższy szef jej poszukuje. Proszę mi podać swój numer...

Marie odłożyła słuchawkę na widełki ogarnięta lekką paniką. Dochodziła dziesiąta, a Catherine była rannym ptaszkiem. „Z samego rana” mogło oznaczać dowolną porę między 7.30 i 9.30, najprawdopodobniej gdzieś w połowie tego czasu, ale nie dziesiątą, nie w takich okolicznościach. I dwanaście minut później telefon zadzwonił. Był to początek paniki, już nie takiej lekkiej.

- Marie?

- Catherine, czy u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście.

- Powiedziałaś „z samego rana”! Czemu nie zadzwoniłaś wcześniej? Odchodzę od zmysłów!

Czy możesz mówić?

- Tak, dzwonię z budki...

- Co się stało? Co się dzieje? Kim jest ten człowiek, którego spotkałaś?

Głos z Hongkongu zamilkł na chwilę. Marie wydało się to niezręczne i sama nie wiedziała dlaczego.

- Kochanie, chciałam, żebyś miała spokój - powiedziała Catherine. - Nie dzwoniłam wcześniej, bo wypoczynek jest ci potrzebny za każdą cenę. Mogę mieć wiadomości, na jakie czekasz, jakich potrzebujesz. Sprawy nie wyglądają wcale tak strasznie, jak myślisz, więc powinnaś być spokojna.

- Do cholery, przecież jestem spokojna, a przynajmniej w miarę przytomna! O czym ty, u diabła, mówisz?

- Mogę ci powiedzieć, że twój mąż żyje.

- A ja ci mogę powiedzieć, że w tym, co robi, jest bardzo dobry... w tym, co robił. Nie mówisz mi nic nowego.

- Za parę minut wyjeżdżam i niedługo się zobaczymy. Ruch jest jak zwykle okropny, a nawet jeszcze gorszy w związku z przyjazdem delegacji chińskiej i brytyjskiej i tymi wszystkimi środkami bezpieczeństwa. Ulice i tunele są zablokowane, ale jazda do ciebie nie powinna mi zająć więcej niż półtorej godziny, może dwie.

- Catherine, żądam odpowiedzi!

- Przywiozę ci ją, przynajmniej częściową. Odpoczywaj, Marie, postaraj się odprężyć. Wszystko będzie dobrze. Wkrótce będę przy tobie.

- A ten człowiek? - spytała błagalnym głosem żona Dawida Webba. - Czy będzie z tobą?

- Nie, przyjadę sama. Chcę z tobą porozmawiać. Zobaczysz go później.

- Dobrze.

Czy ton jej głosu był niepokojący? - zastanawiała się Marie odłożywszy słuchawkę. Czy raczej to, że Catherine nie powiedziała jej dosłownie nic, chociaż przedtem przyznała się, że może swobodnie mówić z automatu? Taka Catherine, jaką znała, próbowałaby przynajmniej uśmierzyć lęki przerażonej przyjaciółki, gdyby miała dla niej na pociechę konkretne fakty czy choćby jedną kluczową wiadomość, jeśli cały splot okoliczności był zbyt skomplikowany. Cokolwiek. Żonie Dawida Webba chyba coś się należało! A tymczasem usłyszała dyplomatyczną gadaninę, jakieś aluzje, ale nic istotnego. Coś tu się nie zgadzało, ale Marie nie potrafiła tego uchwycić. Catherine ją ochraniała, podejmując z jej powodu niebywałe ryzyko, zarówno zawodowe, gdyż nie uzgodniła tego ze swym konsulem, jak i osobiste, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo. Marie zdawała sobie sprawę, że powinna odczuwać wdzięczność, bezmierną wdzięczność, a mimo to ogarniały ją coraz większe wątpliwości. Powtórz to jeszcze raz, Catherine! - krzyczała bezgłośnie. Powiedz, że wszystko będzie w porządku! Nie potrafię już myśleć. Nie potrafię myśleć tutaj! Muszę wyjść na zewnątrz... Muszę odetchnąć świeżym powietrzem!

ROZDZIAŁ 22

Sięgając po ubranie zachwiała się. Zaraz po przyjeździe do Tuen Mun Catherine zaprowadziła ją do lekarza, który zajął się jej poranionymi stopami, założył solidny opatrunek, dał szpitalne kapcie i zalecił noszenie tenisówek na grubej podeszwie, jeśli w ciągu paru najbliższych dni zamierza odbywać dłuższe spacery. Potem kupiły ubranie. Ścisłe mówiąc, kupiła je Catherine, pozostawiając Marie w samochodzie. Mimo napięcia, w jakim była wówczas Catherine, wybrała rzeczy zarówno ładne, jak i praktyczne. Do jasnozielonej letniej bawełnianej spódniczki dobrała białą bawełnianą bluzkę i małą, białą lakierowaną torebkę. Prócz tego kupiła parę ciemnozielonych spodni, gdyż szorty uważano tu za nieprzyzwoite, a także drugą sportową bluzkę. Wszystko to były doskonale skopionowane fasony słynnych projektantów mody, z właściwymi metkami.

- Są śliczne, Catherine. Dziękuję.

- Pasują do twoich włosów - odrzekła. - Wprawdzie nikt w Tuen Mun nie będzie ich oglądał, bo nie chcę, żebyś wychodziła z mieszkania, ale kiedyś będziemy musiały się przenieść. A w razie gdybym ugrzęzła w biurze, a ty byś czegoś potrzebowała, włożyłam ci trochę pieniędzy do torebki.

- Sądziłam, że mam sama nie opuszczać mieszkania i że razem wybierzemy się po jakieś zakupy.

- Nie mam większego pojęcia niż ty, co się tam dzieje w Hongkongu.

Lin może się wściec do tego stopnia, by powołać się na stare kolonialne przepisy prawne i zamknąć mnie w areszcie domowym... Na Blossom Soon Street jest sklep z obuwem. Będziesz musiała tam wejść, żeby zmierzyć tenisówki. Oczywiście pójdę z tobą. Po dłuższym milczeniu Marie spytała:

- Catherine, skąd ty tak dużo wiesz o tej okolicy? Nie spostrzegłam tu żadnych innych białych. Czyje to mieszkanie?

- Przyjaciela - odpowiedziała Catherine, nie wdając się w szczegóły. - Nie korzysta z niego zbyt często, więc bywam tutaj, kiedy chcę się od wszystkiego oderwać. - Catherine nie dodała nic więcej, temat był zamknięty. Nawet podczas ich długiej nocnej rozmowy, nagabywana o to przez Marie, nie odpowiedziała na żadne pytanie. Po prostu nie życzyła sobie o tym mówić.

Marie włożyła spodnie, białą bluzkę i rozpoczęła zmagania ze zbyt obszernymi pantoflami. Ostrożnie zeszła po schodach i wydostała się na ruchliwą ulicę; natychmiast zdała sobie sprawę, że przyciąga zaciekawione spojrzenia i zastanawiała się, czy nie powinna zawrócić i wejść do domu. Ale nie potrafiła; na kilka minut mogła wyrwać się z dusznego więzienia w małym mieszkaniu i podziały one na nią jak lek wzmacniający. Powoli, z wysiłkiem posuwała się chodnikiem, zahipnotyzowana kolorami, gorączkowym ruchem i nieustannym trajkotaniem dobiegającym ze wszystkich stron. Podobnie jak w Hongkongu nad wszystkimi budynkami wznosiły się krzykliwe reklamy i wszędzie wokoło ludzie targowali się przy kramach i przy wejściach do sklepów. To jednak był kawałek kolonii przeniesiony w kierunku szerokiej granicy.

Dostrzegła nie dokończoną drogę przy końcu bocznej ulicy. Prace najwyraźniej tu przerwano, ale tylko na pewien czas, ponieważ maszyny drogowe, nieczynne i rdzewiejące, stały po bokach. Dwie tablice z chińskimi napisami ustawiono po obu stronach biegnącej w dół bitej drogi. Ostrożnie stawiając kroki Marie zeszła po stromiźnie aż do opuszczonego wybrzeża i tam usiadła na stosie kamieni; minuty wolności dawały jej bezcenne chwile spokoju. Spojrzawszy w dal zobaczyła statki

odbijające od nabrzeża w Tuen Mun i te, które przyływały tutaj z Republiki Ludowej. O ile mogła dostrzec, te pierwsze były statkami rybackimi z sieciami rozwieszonymi na dziobach i burtach, wśród tych z kontynentu zaś przeważały małe frachtowce, ze stosami skrzyń na pokładach - choć nie na wszystkich. Były także smukłe, pomalowane na szaro patrolowce marynarki wojennej z powiewającą flagą Republiki Ludowej. Z każdego z nich sterczały we wszystkie strony groźne, czarne działa, przy których stali nieruchomo umundurowani ludzie, spoglądający przez lornety. Od czasu do czasu któryś z patrolowców podpływał do statku rybackiego, na co rybacy reagowali gwałtowną gestykulacją. Odpowiadano im ze stoickim spokojem, a potem potężne patrolowce powoli zawracały i odpływały. To tylko taka gra, pomyślała Marie. Północ dyskretnie rozciągała całkowitą kontrolę nad akwenem, podczas gdy Południu pozostawało jedynie protestować z powodu naruszenia jego strefy połowów. Jedni dysponowali potęgą hartowanej stali i sprawną strukturą dowodzenia, drudzy mieli miękkie sieci i upór. Żadna ze stron nie odnosiła zwycięstwa z wyjątkiem owych dwóch rywalizujących sióstr: nudy i niepokoju.

- Jingcha! - rozległ się męski wrzask z pewnej odległości.

- Shei! - odwrzasnął drugi. - Ni zai zher gan shenme! Marie odwróciła się gwałtownie. Dwaj mężczyźni, którzy pojawili się u szczytu drogi, rzucili się biegiem w dół nie wykończonej ulicy. Ich wrzaski wydawane rozkazującym tonem były skierowane do niej. Marie niezdarnie podniosła się z miejsca, opierając o kamienie. Mężczyźni podbiegli. Obaj ubrani byli w jakieś paramilitarne mundury, a przyjrząwszy im się z bliska Marie zobaczyła, że obaj byli młodzi - kilkunastoletni, najwyżej dwudziestoletni.

- Bu xing! - warknął wyższy z chłopców oglądając się za siebie i gestem polecając koledze, by chwycił Marie. Cokolwiek zamierzali, zrobili to szybko. Drugi chłopak wykręcił jej rękę do tyłu.

- Dosyc tego! - krzyknęła Marie wrywając się. - Kim jesteście?

- Ta pani mówi po angielsku - oświadczył jeden z młodych ludzi. - Ja też mówię po angielsku - dodał dumnie, z namaszczeniem. - Pracowałem u jubilera w Koulunie. - Znów spojrział w górę, w kierunku nie dokończonej drogi.

- No to powiedz swojemu przyjacielowi, żeby mnie puścił!

- Pani nie rozkazuje, co mam robić. Ja rozkazuję pani. - Chłopak zbliżył się do Marie ze wzrokiem wlepionym w wypukłość jej piersi pod bluzką. - Ta droga jest zakazana i zakazana jest ta część wybrzeża. Pani nie widziała tablic?

- Nie czytam po chińsku. Przepraszam. Pójdę sobie. Tylko każ mu, żeby mnie puścił. - Nagle poczuła, jak ciało młodzieńca przywiera do jej pleców. -- Przestań! - wrzasnęła, słysząc cichy śmiech i czując gorący oddech na szyi.

- Czy pani czeka na łódź z kryminalistami z Republiki Ludowej? Czy daje sygnały ludziom na wodzie? - Wyższy Chińczyk podniósł obie ręce do bluzki Marie, chwytając palcami górne guziki. - - Może ukrywa radiostację, urządzenie sygnałowe? Naszym obowiązkiem jest badanie takich spraw. Policja tego od nas oczekuje.

- Idź do jasnej cholery, zabierz łapy! - Marie zaczęła się wrywać z całej siły, kopiąc na oślep. Stojący z tyłu chłopak pociągnął ją do tyłu przewracając na plecy, wyższy zaś chwycił ją za nogi i próbował je rozewrzeć wciskając własne. Nie mogła się poruszyć; leżała wyciągnięta na ukos na kamienistej plaży, mocno przytrzymywana. Pierwszy Chińczyk zerwał z niej bluzkę i stanik i zaczął obiema rękami ścisnąć jej piersi. Marie wrzasnęła, zaczęła się szarpać i nadal wrzeszczała, aż dostała

po twarzy, a dwa palce wbito jej w gardło, tłumiąc krzyk do odgłosu zdławionego kaszlu. Znów ten sam koszmar co w Zurychu: gwałt i śmierć na Guisan Quai.

Zaciągnęli ją w gęstą trawę; chłopak znajdujący się z tyłu zatkał jej usta dłonią, a zaraz potem całym ramieniem, pozbawiając Marie powietrza i uniemożliwiając jej krzyk w chwili, gdy szarpnął nią do przodu. Rzucono ją na ziemię; jeden z napastników położył się gołym brzuchem na jej twarzy, podczas gdy drugi zaczął ściągać jej spodnie i wpychać rękę między nogi. To był Zurych, i tylko zamiast walki w chłodnej ciemności Szwajcarii, wokół był wilgotny upał Wschodu; zamiast Limmat, inna rzeka, znacznie szersza, znacznie bardziej opustoszała, a zamiast jednego zwierzęcia, dwa. Czują na sobie ciało wysokiego Chińczyka, próbującego gwałtownie w nią wejść, rozwścieczonego, że nie jest w stanie tego zrobić, bo rzucała się tak, że atak się nie udawał. Nagle chłopak leżący na jej twarzy sięgnął pod spodnie do swej pachwiny; ten ruch sprawił jej chwilową ulgę, a Marie zupełnie oszalała! Zatopiła zęby w ciele nad sobą, aż trysnęła krew; w ustach poczuła mdły smak ludzkiego mięsa.

Rozległy się wrzaski, uwolniono jej ręce. Gdy młody Azjata potoczył się ściskając za brzuch, Marie kopnęła miażdżąc kolanem obnażony organ męski powyżej swej talii, a potem zaczęła orać paznokciami przerażoną, spoconą twarz wyższego chłopaka i sama podniosła wrzask; krzyczała, wrzeszczała i wzywała pomocy jak jeszcze nigdy w życiu. Trzymając się za jądra, rozwścieczony chłopak rzucił się na nią, ale już nie z zamiarem gwałtu, lecz uciszenia jej. Marie dusiła się, pociemniało jej w oczach, a wówczas usłyszała w oddali inne głosy i wiedziała, że musi ostatnim krzykiem wezwać pomoc. Z desperackim wysiłkiem wbiła paznokcie w wykrzywioną twarz nad sobą, na moment uwalniając usta.

- Tutaj! Tu na dole! Tutaj!

Nagle wkoło niej zaroilo się od ciał, usłyszała odgłosy ciosów, kopniaków i wściekłe wrzaski, ale całe to szaleństwo nie było skierowane przeciw niej. A potem zaczęła zapadać się w ciemność, myśląc nie tylko o sobie. Dawidzie! Dawidzie, na litość boską, gdzie jesteś? Żyj, mój najdroższy! Nie pozwól, aby znowu odebrali ci rozum. Przede wszystkim na to im nie pozwól! Mnie także chcą go odebrać, ale ja na to nie pozwolę! Dlaczego oni to robią? Mój Boże, dlaczego?

Ocknęła się na leżance w pokoiku bez okien. Młoda Chinka, prawie dziewczynka, ocierała jej czoło chłodnym, perfumowanym materiałem.

- Gdzie...? - wyszeptała Marie. - Gdzie jesteśmy? Gdzie ja jestem?

Dziewczyna uśmiechnęła się słodko i wzruszyła ramionami, wskazując głową człowieka siedzącego po drugiej stronie leżanki. Był to Chińczyk po trzydziestce, jak oceniła Marie, w tropikalnym ubraniu i białej guayaberze zamiast koszuli.

- Pozwoli pani, że się przedstawię - powiedział dobrą angielszczyzną, choć z obcym akcentem. - Nazywam się Jitai, i jestem z filii banku Hang Chów w Tuen Mun. Znajduje się pani w pakamerze fabryki tekstylnej, należącej do przyjaciela i klienta, pana Changa. Przyniesiono panią tutaj i zadzwoniono po mnie. Została pani napadnięta przez dwóch chuliganów z Didi Jingcha, co można przetłumaczyć jako Młodzieżowa Policja Pomocnicza. Jest to jeden z naszych stworzonych w najlepszej wierze programów socjalnych, który ma wiele dobrych stron, ale od czasu do czasu zdarzają się też, jak wy. Amerykanie, mawiacie, zgniłe jabłka.

- Czemu pan sądzi, że jestem Amerykanką?

- Po pani wymowie. Gdy była pani nieprzytomna, mówiła pani o człowieku o imieniu Dawid.

Bez wątpienia drogim przyjacielu. Chce pani go odnaleźć.

- Co jeszcze mówiłam?

- Właściwie nic więcej. Pani wypowiedzi nie były logiczne.

- Nie znam nikogo o imieniu Dawid - oświadczyła zdecydowanie Marie. - Nie tak blisko. Musiało to być bredzenie, w którym przypominają się rzeczy z dzieciństwa.

- To bez znaczenia. Istotne jest pani dobro. To, co się wydarzyło, napełnia nas smutkiem i wstydem.

- Gdzie są ci dwaj chuligani, te sukinsyny?

- Zostali schwytani i będą ukarani.

- Mam nadzieję, że posiedzą dziesięć lat w więzieniu. Chińczyk zmarszczył brwi.

- Aby to spowodować, trzeba by zgłosić się na policję, wnieść oficjalnie skargę, złożyć zeznania. Cała masa formalności prawnych. Marie patrzyła na bankowca.

- Oczywiście jeśli pani sobie życzy, pójdę z panią na policję i będę służył jako tłumacz, ale byliśmy zdania, że najpierw należy wysłuchać, jakie są pani życzenia w tym względzie. Tyle pani przeszła... i jest pani sama w Tuen Mun, z przyczyn znanych tylko pani.

- Nie, panie Jitai - odrzekła spokojnie Marie. - Nie chciałabym wnosić skargi. Czuję się dobrze, a zemsta nie jest dla mnie sprawą najważniejszą.

- Ona należy do nas, madame.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Pani napastnicy zanoszą nasz wstyd do swych łóżnic małżeńskich, gdzie ich dokonania nie będą odpowiadały oczekiwaniom.

- Rozumiem. Oni są młodzi...

- Dziś rano dowiedzieliśmy się, że nie jest to ich pierwsze przestępstwo. To szumowiny, powinni dostać nauczkę.

- Dziś rano? O, mój Boże, która godzina? Od jak dawna tu jestem?

Bankowiec spojrział na zegarek.

- Blisko godzinę.

- Muszę się dostać z powrotem do mieszkania, i to natychmiast. To ważne.

- Panie pragną naprawić pani odzież. Są doskonałymi krawcowymi i nie zabierze im to dużo czasu. Były jednak przekonane, że nie powinna pani obudzić się bez ubrania.

- Nie mam czasu. Muszę już wracać. O, Chryste! Nie wiem, gdzie to jest i nie znam adresu!

- My wiemy, co to za budynek, madame. Wysoka, przystojna, samotna biała kobieta w Tuen Mun zwraca uwagę. Wieści się rozchodzą. Zawieziemy tam panią natychmiast. - Bankowiec odwrócił się i szybko powiedział coś po chińsku w stronę na w pół otwartych drzwi. Marie usiadła. Nagle zauważyła, że do środka zagląda cały tłum ludzi. Wstała na nogi - bolące nogi - i przez chwilę próbowała odzyskać równowagę, przytrzymując swą podartą bluzkę.

Drzwi otworzyły się na oścież i weszły dwie stare kobiety, niosąc jedwabne ubrania o żywych kolorach. Jedno z nich było czymś w rodzaju kimona. Kiedy delikatnie włożono je Marie przez głowę, okazało się krótką sukienką, przykrywającą jej poszarpaną bluzkę i znaczną część wybrudzonych, zielonych spodni. Drugim była długa, szeroka szarfa, którą kobiety równie delikatnym ruchem owinęły wokół jej talii i zawiązały. Mimo zdenerwowania Marie zauważyła, że obie części garderoby były w najlepszym gatunku.

- Proszę, madame - powiedział bankowiec, dotykając jej łokcia. - Będę pani towarzyszył.

Wyszli na halę fabryczną. Marie uśmiechała się i pozdrawiała skinieniem głowy kłaniający się jej tłum Chinek i Chińczyków z oczami przepełnionymi smutkiem.

Po powrocie do mieszkania Marie zdjęła przepiękną szarfę oraz kimono i położyła się na łóżku, usiłując na próżno coś z tego wszystkiego zrozumieć. Ukryła twarz w poduszce, próbując wymazać z pamięci okropne poranne wydarzenia, ale ich ohyda sprawiała, że nie potrafiła o nich zapomnieć. Cała oblała się potem, a im mocniej zaciskała powieki, tym przeraźliwsze widziała obrazy, na które nakładały się przerażające wspomnienia z Guisan Quai w Zurychu, gdzie mężczyzna zwany Jasonem Bourne'em ocalił jej życie.

Zdusiła krzyk w gardle i wyskoczyła z łóżka. Przez chwilę stała drżąca, a potem poszła do maleńkiej kuchenki i odkręciła kran. Podstawiła szklanę, ale strumyk wody był cienki i słaby. Czekala, aż szklanka się napełni, błędząc myślami gdzie indziej.

Bywają czasy, gdy ludzie muszą powstrzymać się od myślenia -

Bóg tylko wie, że sam robię to częściej, niż powinien w miarę szanowany psychiatra... Uginamy się pod naciskiem wydarzeń... musimy najpierw pozbierać się do kupy. Morris Panov, przyjaciel Jasona Bourne'a.

Marie zakręciła kran, napiła się letniej wody i wróciła do ciasnego pokoju. Mogła tam robić tylko trzy rzeczy: spać, siedzieć lub chodzić. Stała w drzwiach i rozejrzała się, wreszcie zrozumiałwszy, co w jej schronieniu wydało się tak dziwaczne. To była cela, nie mniej prawdziwa, niż gdyby stanowiła część jakiegoś więzienia na odludziu. Co gorsza, była to autentyczna pojedyńka. Znów znajdowała się w izolacji, sama z własnymi myślami, własnym przerażeniem. Podeszła do okna, tak jakby to zrobił więzień, i wyjrzała na zewnątrz. To, co zobaczyła, stanowiło jedynie przedłużenie jej celi: nie wolno jej było wyjść na tłoczną ulicę, którą widziała w dole. Nie znała tego świata, a on jej nie chciał. Niezależnie od plugawego koszmaru porannych wydarzeń na wybrzeżu, była tu intruzem, który nic nie rozumiał ani nie mógł być rozumiany. Była sama, a ta samotność doprowadzała ją do szaleństwa.

Marie tępym wzrokiem patrzyła na ulicę. Ulica! Tam była ona! Catherine! Stała koło szarego samochodu w towarzystwie mężczyzny;

oboje mieli głowy zwrócone w kierunku trzech innych mężczyzn znajdujących się dziesięć metrów za nimi, przy drugim aucie. Cała piątka rzucała się w oczy, bo nie było na ulicy innych podobnych do nich ludzi. Byli to biali w morzu Azjatów, obcy w obcym miejscu. Wyglądali na wyraźnie podnieconych, czymś zaniepokojonych i ciągle kiwali głowami rozglądając się dokoła, szczególnie zaś spoglądając na drugą stronę ulicy. Na ten dom. Głowami? Włosy! Trzech mężczyzn miało je krótko przycięte... po wojskowemu... żołnierze. Amerykańska piechota morska!

Towarzyszący Catherine mężczyzna, sądząc po uczesaniu cywil, mówił szybko, bez przerwy pokazując coś palcem... Marie go rozpoznała! To był człowiek z Departamentu Stanu, ten sam, który

odwiedził ich w Maine! Podsekretarz stanu z martwymi oczami, który nieustannie pocierał sobie skroń i prawie nie protestował, gdy Dawid oświadczył, że mu nie ufa. To był McAllister! Człowiek, z którym Catherine miała się spotkać.

Gdy Marie patrzyła na scenę rozgrywającą się na ulicy, nagle oderwane części okropnej łamigłówki ułożyły się w całość. Dwaj żołnierze z drugiego wozu przeszli przez jezdnię i rozdzielili się. Ten, który stał koło Catherine, zamienił parę słów z McAllisterem, a potem pobiegł w prawo, wyciągając z kieszeni małą radiostację. Catherine powiedziała coś do podsekretarza, a potem podniosła głowę i spojrzała na dom. Marie odskoczyła od okna.

Przyjadę sama. Chcę z tobą porozmawiać.

Dobrze.

To była pułapka! Dotarli do Catherine Staples. Nie była przyjacielem, była wrogiem! Marie wiedziała, że musi uciekać. Na litość boską, uciekaj! Złapała białą torebkę z pieniędzmi i spojrzała przelotnie na jedwabne ubrania z fabryki tekstylnej. Chwyciła je i wybiegła z mieszkania.

W domu były dwa korytarze. Jeden biegł od frontu przez całą długość budynku dochodząc do schodów z prawej strony, które wiodły na ulicę; drugi przecinał go pod kątem prostym, tworząc odwrócone „T”, i prowadził ku drzwiom na zapleczu. Były tam drugie schody, używane do wynoszenia śmieci do pojemników stojących w uliczce na tyłach domu. Catherine mimochodem zwróciła jej na to uwagę, gdy tu przyjechały, mówiąc, że istnieje zarządzenie zakazujące wystawiania śmieci na ulicę, ponieważ jest to główna droga przelotowa w Tuen Mun. Marie pomknęła prostopadłym korytarzem do tylnych drzwi i otworzyła je. Nagle straciła oddech, natknąwszy się na przygarbionego starca ze słomianą miotłą w ręku. Zerknął na nią przelotnie, a potem potrząsnął głową z miną wyrażającą najwyższe zaciekawienie. Marie wyszła na ciemny podest, Chińczyk zaś wszedł do środka. Zostawiła w drzwiach szparę czekając, aż Catherine pojawi się na frontowych schodach. Jeśli stwierdzi, że mieszkanie jest puste, zawróci, by pospieszyć do McAllistera i żołnierzy, a wtedy Marie będzie w stanie wślizgnąć się ponownie do mieszkania i zabrać stamtąd spódnice oraz drugą bluzkę, które wczoraj kupiły. Ogarnięta paniką nie pomyślała o nich, chwytając tylko jedwabie; nie odważyłaby się zresztą tracić bezcennych chwil na przeszukiwanie szafy, w której Catherine powiesiła je wraz z wieloma innymi ubraniami. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że nie może chodzić, a cóż dopiero biec ulicami w podartej bluzce i utyłanych spodniach. Coś tu się nie zgadzało! Ten starzec! Po prostu stał sobie, zaglądając przez szparę w drzwiach.

- Idź sobie! - szepnęła Marie.

Kroki. Stukot wysokich obcasów na metalowych stopniach frontowych schodów. Jeśli to była Catherine, będzie musiała po drodze do mieszkania przejść koło prostopadłego korytarza.

- Deng yideng - wrzasnął stary Chińczyk, nadal stojąc nieruchomo z miotłą i nadal nie spuszczać jej z oka. Marie jeszcze bardziej przymknęła drzwi, zostawiając ledwie centymetrową szparę.

Ukazała się Catherine. Spojrzała przelotnie, z zaciekawieniem na starca, usłyszawszy niewątpliwie jego ostry, wysoki i gniewny głos. Nie zwalniając, podążyła korytarzem z wyłącznym zamiarem dotarcia do mieszkania. Marie czekała; serce biło jej tak głośno, że zdawało się budzić echo w ciemnej klatce schodowej, A potem usłyszała głos, błagalny, histeryczny krzyk.

- Nie! Marie! Marie, gdzie jesteś? - Kroki stały się szybsze, obcasy zastukały na betonie. Catherine skręciła, biegnąc w stronę starego Chińczyka, w jej stronę. - Marie, to nie jest to, co

myślisz! Na litość boską, zatrzymaj się!

Marie Webb obróciła się i pobiegła w dół ciemnymi schodami. Nagle oświetlił je snop jaskrawożółtego światła słonecznego i równie nagle powróciła ciemność. Drzwi na parterze, trzy kondygnacje niżej, zostały otwarte; szybkim krokiem weszła jakaś postać w ciemnym ubraniu. Był to żołnierz spieszący na posterunek. Biegł schodami na górę; Marie skuliła się w kącie podestu na drugim piętrze. Gdy żołnierz znalazł się na ostatnim stopniu przed podestem, przytrzymując się ręką poręczy, by szybciej zakręcić, Marie wypadła z ukrycia. Jej dłoń - dłoń trzymająca zwinięte jedwabie - zderzyła się z twarzą zdumionego żołnierza, pozbawiając go równowagi. Uderzyła barkiem w jego klatkę piersiową, zrzucając go ze schodów. Przebiegła obok wijącego się ciała, słysząc równocześnie dobiegające z góry krzyki.

- Marie! Marie! Wiem, że to ty! Na litość boską, posłuchaj mnie! Wypadła na uliczkę, a tam rozpoczął się następny koszmar, rozgrywany w oślepiającym słońcu Tuen Mun. Biegąc przejściem za szeregiem bloków mieszkalnych, z nogami krwawiącymi w tenisówkach, Marie wciągnęła przez głowę kimonową sukienkę i zatrzymała się przy stojących rzędem pojemnikach na śmieci. Zdjęła zielone spodnie i wrzuciła do najbliższego. Następnie udrapowała szeroką szarfę na głowie przykrywając włosy i wbiegła w następną drogę dojazdową, prowadzącą do głównej ulicy. Kilka sekund później szła w tłumie ludzi z Hongkongu, przeniesionych ku nowej granicy kolonii. Przeszła przez jezdnię.

- Tam! - krzyknął męski głos. - Ta wysoka!

Rozpoczęło się polowanie, ale nagle, nieoczekiwanie, zupełnie zmienił się jego przebieg. Mężczyzna biegnący za nią chodnikiem został zatrzymany przez stragan na kółkach, który zajechał mu drogę. Próbował go odepchnąć, ale trafił rękami do wbudowanych w wózek garnków z wrzącym tłuszczem. Wrzasnął przewracając wózek. Właściciel podniósł krzyk, najwyraźniej domagając się odszkodowania. Tłum Chińczyków spieszących z pomocą właścicielowi otoczył żołnierza, spychając go na chodnik.

- Tam jest ta suka!

W tym samym momencie Marie wpadła na zwartą grupę kobiet robiących zakupy. Skręciła w prawo wbiegając w kolejną boczną uliczkę, by po chwili stwierdzić, że znalazła się w ślepych zaułku, zamkniętym ścianą chińskiej świątyni. I znów to samo! Pięciu młodzieńców - nastolatków w paramilitarnych mundurach - nagle wyłoniło się z bramy i gestem wskazało jej, by przeszła dalej.

- Jankes kryminalista! Jankes złodziej!

Okrzyki brzmiały tak, jakby wydawali je ludzie wcześniej wyćwiczeni w naśladowaniu obcego języka. Młodzieńcy wzięli się pod ręce i bez wysiłku zatrzymali biegnącego za Marie mężczyznę, przypierając go do ściany.

- Precz z drogi, wy kutasy! - wrzasnął żołnierz. - Precz z drogi albo załatwię każdego z was, szczeniaki!

- Podniesiesz ręce... albo broń... - dobiegł donośny głos z głębi zaułka.

- Nic nie powiedziałem na temat broni! - przerwał żołnierz z Yictoria Peak.

- ...ale jeśli zrobisz jedno lub drugie - kontynuował głos - oni przestaną się trzymać pod rękę, a pięciu Didi Jingcha, tak znakomicie wyszkolonych przez naszych amerykańskich przyjaciół, z pewnością da sobie radę z jednym człowiekiem.

- Do jasnej cholery, sir! Próbuję tylko wykonywać moją robotę! To nie pańska sprawa.

- Obawiam się, że moja, sir. Z przyczyn panu nie znanych.

- Gówno! - Żołnierz bez tchu oparł się o ścianę i spojrzał na uśmiechnięte młode twarze przed sobą.

- Lai - powiedziała do Marie jakaś kobieta, pokazując palcem szerokie, dziwaczного kształtu drzwi bez klamki. Wyglądały na grubą, nie do sforsowania konstrukcję. - Xiaoxin. Osobosnie.

- Ostrożnie? Rozumiem. - Drzwi otworzyła jakaś postać w fartuchu i Marie wpadła do środka. Natychmiast poczuła ostry powiew zimnego powietrza. Stała w ogromnej chłodni, pełnej budzących grozę wiszących na hakach tusz zwierzęcych, które oświetlały żarówki osłonięte metalową siatką. Człowiek w fartuchu czekał przez pełną minutę z uchem przystawionym do drzwi. Marie okręciła szyję jedwabną szarfą i skrzyżowała ramiona dla ochrony przed ostrym zimnem, tym dotkliwszym, że kontrastowało tak bardzo z nieznośnym upałem na zewnątrz. Chińczyk przesunął żelazną dźwignię i pchnął inne ciężkie drzwi, kiwnięciem głowy wskazując drżącej Marie, by przez nie przeszła. Znalazła się w długim, wąskim pomieszczeniu pustego sklepu rzeźniczego. Frontowe okna zaciągnięte były bambusowymi żaluzjami, tłumiącymi mocne południowe światło. W głębi, pod prawym oknem, stał za kontuarem białowłosa mężczyzna, wyglądający przez szpary w żaluzjach na ulicę. Gestem przywołał Marie. Znowu wykonała to, co jej polecono, zwracając równocześnie uwagę na wieniec o dziwacznym kształcie, umieszczony nad wejściem do sklepu, zapewne zamkniętego.

Starzec dał znak, że Marie może wyrzeć przez okno. Rozsunęła dwie zagięte bambusowe listwy i na chwilę straciła oddech ujrawszy, co się dzieje na zewnątrz. Gorączka poszukiwań dosięgła szczytu. Żołnierz z oparzonymi dłońmi, machając nimi w powietrzu wchodził kolejno do sklepów po drugiej stronie ulicy. Zobaczyła Catherine Staples i McAllis-tera gorąco dyskutujących z tłumem Chińczyków, którzy wyraźnie mieli za złe cudzoziemcom zakłócanie spokojnego, choć szalenie pracowitego życia w Tuen Mun. Ogarnięty paniką McAllister musiał widocznie wykrzyknąć coś obraźliwego, gdyż rzucił się na niego starzec w orientalnym stroju, dwukrotnie od niego starszy, powstrzymywany przez młodsze, bardziej opanowane osoby. Podsekretarz stanu cofał się z podniesionymi rękami, dowodząc swej niewinności, a Catherine bezskutecznie coś wykrzykiwała, próbując wydostać ich oboje ze środka rozzłoszczonego tłumu.

Nagle żołnierz z oparzonymi rękami wyleciał z łoskotem przez drzwi jakiegoś sklepu na ulicę i potoczył się po chodniku, wyjąc z bólu, gdy jego dłonie dotknęły betonu. We wszystkie strony posypały się odłamki rozbitego szkła. Ukazał się goniący go młody Chińczyk w białej tunice, pasie i sięgających do kolan spodniach instruktora sztuk walki. Żołnierz skoczył na nogi i w chwili, gdy jego azjatycki przeciwnik do niego dobiegł, trafił go lewym sierpowym w okolicę nerki, a następnie celnym prawym prostym w twarz, zapędzając go uderzeniami z powrotem do wnętrza sklepu, choć za każdym ciosem zadany poparzonymi dłońmi wył z bólu.

Ostatni żołnierz z Victoria Peak przybiegł ulicą utykając na nogę, z ramionami zwieszonymi jakby zostały uszkodzone przy upadku - upadku ze schodów, pomyślała Marie, przypatrując się scenie ze zdumieniem. Przybył z pomocą swemu cierpiącemu koledze, i to pomocą bardzo skuteczną. Amatorskie próby odzianych w stroje treningowe uczniów nieprzytomnego instruktora sztuk walki zostały odparte gradem kopniaków, miażdżących ciosów kantem dłoni i błyskawicznymi manewrami znawcy judo.

I znowu nagle, zupełnie nieoczekiwanie, rozległa się kakofonia wschodniej muzyki, cymbały i prymitywne instrumenty drewniane wybuchające nagłymi crescendo za każdym krokiem

zaimprovizowanej orkiestry, która maszerowała ulicą na czele pochodu niosącego ozdobione kwiatami tablice z chińskimi napisami. Bitwę przerwano, przytrzymując walczących za ręce. Na głównej alei handlowej Tuen Mun zaległa cisza. Amerykanie stracili orientację, Catherine Staples z trudem powściągnęła niezadowolenie, a Edward McAllister wzniósł w irytacji ręce do nieba.

Marie patrzyła dosłownie zahipnotyzowana widokiem za szybą. Wszystko zamarło, jakby spokój zapanował na rozkaz jakiejś osobistości z zaświatów, nie znoszącej sprzeciwu. Spojrzała na zbliżającą się grupę obdartusów. Prowadził ją bankier Jitai! Prosto do sklepu rzeźniczego!

Przenosząc wzrok w drugą stronę, Marie dostrzegła Catherine Staples i McAllistera przebiegających za dziwną grupą zebraną przed sklepem. Po drugiej stronie ulicy dwaj żołnierze znów podjęli pościg. I wszyscy zniknęli w potokach oślepiającego słońca.

Rozległo się pukanie. Białowłosy starzec zdjął wieniec i otworzył drzwi sklepu. Bankier Jitai wszedł do środka i skłonił się przed Marie.

- Czy parada podobała się pani, madame?

- Nie jestem pewna, co to było.

- Marsz żałobny na cześć zmarłych. W tym wypadku bez wątpienia chodziło o zamordowane zwierzęta w chłodni pana Woo.

- Pan? To wszystko było zaplanowane?

- Można powiedzieć, że był to stan gotowości - wyjaśnił Jitai. - Często naszym kuzynom z północy udaje się przedostać przez granicę... nie złodziejom, lecz członkom rodzin pragnącym jedynie połączyć się z bliskimi. Żołnierze zaś pragną jedynie ich chwycić i odsyłać z powrotem. Musimy być gotowi do obrony naszych ludzi.

- Ale mnie...? Pan wiedział?

- Patrzyliśmy, czekaliśmy. Pani się ukrywała uciekając przed kimś, tyle tylko było nam wiadomo. Dowiedzieliśmy się tego od pani w chwili, gdy pani oświadczyła, że nie zamierza stawić się przed urzędnikiem, by „wnieść skargę”, jak to pani sformułowała. Została pani skierowana w boczną uliczkę.

- Te kobiety z torbami na zakupy...

- Tak. Przeszły przez ulicę za panią. Musimy pani pomóc. Marie spojrzała na zaniepokojone twarze ludzi z tłumu za bambusowymi listwami, a potem na bankiera.

- Skąd pan wie, że nie jestem kryminalistką?

- To nieistotne. Istotna jest zniewaga, jakiej doznała pani od dwóch członków naszego narodu. A także, madame, nie wygląda pani ani nie mówi tak jak ktoś uciekający przed wymiarem sprawiedliwości.

- Bo nie jestem kimś takim. I rzeczywiście potrzebuję pomocy. Muszę się dostać do Hongkongu, do hotelu, gdzie mnie nie znajdą i skąd będę mogła zatelefonować. Naprawdę nie wiem, do kogo, ale muszę dotrzeć do ludzi, którzy mogą mi pomóc... nam pomóc. - Marie zawahała się, a potem oświadczyła patrząc Jitai prosto w oczy. - Człowiek o imieniu Dawid to mój mąż.

- Rozumiem - odrzekł bankowiec. - Ale najpierw musi panią obejrzeć lekarz.

- Co?

- Pani stopy krwawią.

Marie spojrzała w dół. Krew przesiąkła przez bandażę i płótno jej pantofli. Wyglądało to okropnie.

- Chyba ma pan rację - zgodziła się.

- A potem będzie sprawa ubrania, środka lokomocji... Osobiście wynajdę hotel, w którym będzie pani mogła zamieszkać pod dowolnym nazwiskiem. I jest jeszcze sprawa pieniędzy. Czy ma pani jakiegokolwiek fundusze?

- Nie wiem - odparła Marie, kładąc jedwabie na ladzie i otwierając białą torebkę. - To znaczy jeszcze nie sprawdzałam. Przyjaciel... ktoś, o kim myślałam, że jest przyjacielem... zostawił mi pieniądze. - Wyciągnęła banknoty włożone przez Catherine.

- Nie jesteśmy bogaczami tutaj w Tuen Mun, ale być może zdołamy pani pomóc. Była już mowa o zrobieniu zbiórki.

- Panie Jitai - przerwała Marie - nie jestem biedna. Jeśli okaże się to konieczne, a szczerze mówiąc, jeśli jeszcze będę żyć, zwrócę wszystko co do centa, z procentem znacznie przekraczającym wysokość wkładu.

- Jak pani sobie życzy. Jestem bankierem. Ale co tak piękna kobieta jak pani może wiedzieć o procentach i wkładach? - rzekł Jitai z uśmiechem.

- Pan jest bankierem, a ja ekonomistką. Co bankierzy wiedzą o wpływie inflacyjnego oprocentowania na zmiany kursu wymiany walut, szczególnie oprocentowania wkładu pierwotnego? - Po raz pierwszy od długiego czasu Marie uśmiechnęła się.

Siedząc w taksówce, którą jechała do Koulunu przez spokojną, wiejską okolicę, Marie miała ponad godzinę na rozmyślanie. Przed nimi jeszcze trzy kwadransy jazdy, nim dotrą do mniej spokojnych przedmieść, a szczególnie do zatłoczonej dzielnicy Mongkok. Pełni skruchy mieszkańcy Tuen Mun nie tylko okazali się szczodrzy, ale także opiekuńczy i pomysłowi. Bankier Jitai najwyraźniej zdołał ich przekonać, że ofiarą chuliganów padła biała kobieta ukrywająca się i walcząca o życie, a ponadto, ponieważ podejmuje ona próbę dotarcia do ludzi, którzy mogą jej pomóc, zarządził, iż należy zmienić jej wygląd. W kilku sklepach zakupiono odzież typu zachodniego; odzież, która zrobiła na Marie dziwne wrażenie. Wydawała się bezbarwna, choć praktyczna, schludna, ale ponura. Nie tania, lecz tego rodzaju, jaki wybrałaby albo kobieta bez poczucia estetyki, albo przekonana, że jest ponad takimi sprawami. Jednak po godzinie spędzonej w pokoju na zapleczu gabinetu kosmetycznego pojęła, czemu wybrano dla niej taki kostium. Kobiety krzątały się koło niej; jej włosy umyto i wysuszono, a gdy już było po wszystkim i przejrzała się w lustrze, dech jej zapało. Jej twarz -- zmizerowaną, bladą i wymęczoną - otaczała fryzura z włosów już nie ogniście kasztanowych, lecz mysiej szarości, z cienkimi pasemkami bieli. Postarzono ją o ponad dziesięć lat. Stanowiło to ulepszoną wersję jej własnej próby, dokonanej po ucieczce ze szpitala, ale znacznie odważniejszą i dokładniejszą. Była chińskim wyobrażeniem poważnej, pryncypialnej turystki, dość zamożnej, prawdopodobnie wdowy, która wydawała apodyktycznie polecenia, dokładnie liczyła pieniądze i nigdzie nie ruszała się bez przewodnika w rękę, do którego nieustannie zaglądała w każdym kolejnym punkcie jej dokładnie przemyślanego planu zwiedzania. Ludzie z Tuen Mun doskonale znali takie turystki i narzucony jej portret był precyzyjny. Jason Bourne pochwaliby to osiągnięcie.

Ale podczas jazdy do Koulunu nurtowały ją także inne myśli, myśli rozpaczliwe, które starała

się opanować i oddalić od siebie, tłumiąc uczucie paniki, mogące tak łatwo nią zawładnąć i popchnąć do fałszywego kroku, który mógłby zaszkodzić Dawidowi - zabić Dawida. O, Boże, gdzie jesteś? Jak mogę cię odnaleźć? Jak?

Próbowała odnaleźć w pamięci kogokolwiek, kto mógłby jej pomóc, nieustannie odrzucając każdą kolejną twarz i nazwisko przychodzące jej na myśl, bo każde w jakiś sposób związane było z ową straszliwą strategią, określaną złowieszczo terminem „nie-do-uratowania” - co oznaczało śmierć człowieka jako jedyne możliwe rozwiązanie. Oczywiście z wyjątkiem Morrisa Panova, ale Mo z punktu widzenia rządu był wyrzutkiem; wymienił po nazwisku oficjalnych zabójców, nazywając ich nieudolnymi mordercami. Nie dotrze nigdzie i zapewne przywiezie tylko następny rozkaz „nie-do-uratowania”.

Nie-do-uratowania... Nagle przypomniała sobie twarz, twarz zalaną łzami i stłumiony krzyk litości wydany drżącym głosem; twarz człowieka będącego niegdyś bliskim przyjacielem młodego pracownika dyplomacji, jego żony i dzieci na dalekiej placówce zwanej Phnom-Penh. Conklin! Nazywał się Aleksander Conklin! W okresie długiej rekonwalescencji Dawida wielokrotnie próbował się z nim zobaczyć, ale Dawid na to nie pozwalał mówiąc, że zabije agenta CIA, gdy tylko ten przekroczy próg. Inwalida Conklin bezmyślnie, niesłusznie oskarżył Dawida, nie słuchając błagań człowieka dotkniętego amnezją, a zamiast tego podejrzewając go o zdradę i przejście na stronę nieprzyjaciela. Uwierzył w to do tego stopnia, że sam próbował zabić Dawida pod Paryżem. I wreszcie zmontował ostatni zamach w Nowym Jorku na Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy, w domu będącym tajną siedzibą Treadstone-71; zamach prawie udany. Gdy prawda o Dawidzie wyszła na jaw, Conklin był wstrząśnięty, obarczając się winą za to, co zrobił. Marie zaś naprawdę go żałowała; jego udręka była tak prawdziwa, poczucie winy tak dotkliwe. Rozmawiała z Alekssem przy kawie na werandzie, ale Dawid nie chciał w ogóle go widzieć. Conklin był jedynym człowiekiem, do którego zwrócenie się o pomoc miałoby sens, jakikolwiek sens!

Hotel nazywał się Empress i mieścił się na Chatham Road w Koulunie. Był to niewielki hotel w zatłoczonej dzielnicy Tsimshatsui, gdzie zamieszkiwali ludzie różnych narodowości, ani bogaci, ani szczególnie ubodzy, głównie komiwojażerowie ze Wschodu i Zachodu, którzy przybywali tu w interesach bez funduszu reprezentacyjnego, przysługującego dyrektorom. Bankier Jitai dobrze się spisał; pokój zarezerwowano dla pani Austin, Penelopy Austin. „Penelopa” była pomysłem Jitai, który przeczytał mnóstwo angielskich powieści i „Penelopa” wydała mu się „bardzo odpowiednia”. Niech będzie, powiedziałyby Jason Bourne, pomyślała Marie.

Usiadła na brzegu łóżka i sięgnęła po telefon, niepewna, co ma powiedzieć, ale równocześnie świadoma, że musi to zrobić.

- Potrzebny mi jest numer osoby w Waszyngtonie, District Columbia, Stany Zjednoczone - powiedziała do telefonistki. - To pilne.

- Pobieramy opłatę za informację zamorską...

- To ją pobierzcie - przerwała Marie. - Czekam przy telefonie...

- Słucham? -- odezwał się zaspany głos. Halo?

- Aleks, tu Marie Webb.

- Jasny gwint, gdzie ty się podziewasz? Gdzie oboje jesteście? Czy on cię odnalazł?

- Nie wiem, o czym mówisz. Ani ja go nie znalazłam, ani on mnie. Ty w i e s z o wszystkim?

- A jak sądzisz, kto, u diabła, prawie skreślił mi kark przyleciawszy do Waszyngtonu w zeszłym tygodniu? Dawid! Każdy telefon, pod który może zadzwonić, zostanie przełączony na mnie! To samo załatwił Mo Panov! Gdzie ty jesteś?!

- W Hongkongu, w Koulunie, jak przypuszczam. Hotel Empress, pod nazwiskiem Austin. Dawid dotarł do ciebie?

- I do Mo! On i ja zajrzeliśmy do wszystkich mysich dziur, by się dowiedzieć, co, u diabła, się dzieje, i postawiono nam mur nie do przebicia. Nie, cofam to, nie postawiono; po prostu nikt się nie orientuje, o co tu chodzi! Dobry Boże, Marie, od zeszłego czwartku nie miałem w ustach kropli alkoholu!

- Nie wiedziałam, że go potrzebujesz.

- Potrzebuję! Co się dzieje?

Marie opowiedziała mu, nie pomijając niewątpliwego udziału biurokracji rządowej w jej porwaniu, o swej ucieczce, pomocy udzielonej przez Catherine Staples, pomocy, która w końcu okazała się pułapką, zastawioną przez człowieka o nazwisku McAllister, którego ujrzała na ulicy w towarzystwie Catherine.

- McAllister? Widziałaś go?

- Aleks, on jest tutaj. Znowu chce mnie schwytać. Mając mnie, będzie mógł sterować Dawidem, aż wreszcie go zabije! Już tego próbowali!

W rozmowie nastąpiła przerwa wypełniona napięciem.

- Rzeczywiście próbowaliśmy tego - powiedział cicho Conk-lin. - Ale to było wtedy, nie teraz.

- Co ja mogę zrobić?

- Zostań, gdzie jesteś - polecił Aleks. - Wsiadam do pierwszego samolotu do Hongkongu. Nie wychodź z pokoju. Nie telefonuj już nigdzie. Szukają cię, muszą to robić.

- Dawid jest tam, Aleks! Do czegokolwiek go zmusili z mego powodu, jestem śmiertelnie przerażona!

- Delta był najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek wyszkoliła „Meduza”. Na tym polu nie było lepszego. Wiem o tym. Widziałem.

- To jedna sprawa i nauczyłam się z tym żyć. Ale jest jeszcze drugi aspekt, Aleks! Jego umysł! Co się stanie z jego umysłem?

Conklin znowu chwilę milczał, a gdy podjął rozmowę, jego głos był pełen namysłu.

- Zabiorę ze sobą przyjaciela, przyjaciela nas wszystkich, Mo nie odmówi. Nie ruszaj się, Marie. Nadchodzi czas ostatecznej rozgrywki. I na Boga, on nastąpi!

ROZDZIAŁ 23

Kim jesteś?! - wrzasnął oszalały Bourne, trzymając starca za gardło i przyciskając go do ściany.

- Delta, przestań! - rozkazał d'Anjou. - Twój głos! Ludzie cię usłyszą. Pomyślą, że go mordujesz. Zadzwoń do recepcji.

- Mogę go zabić, a telefony nie działają! - Jason wypuścił fałszywego samozwańca, a w każdym razie puścił jego gardło, chwytając za koszulę i rozdzierając ją, gdy rzucił mężczyznę na fotel.

- Drzwi - nalegał spokojnie, lecz ze złością d'Anjou. - Wstaw je na miejsce, najlepiej jak umiesz, na litość boską. Chcę się wydostać z Pekinu żywy, a każda sekunda w twoim towarzystwie zmniejsza moje szansę. Drzwi!

Na wpół oszalały Bourne obrócił się dokoła, chwycił rozbite drzwi i wepchnął je we framugę, dopasowując boki i kopniakami wciskając je na miejsce. Starzec rozmasował sobie gardło, a potem nagle spróbował poderwać się z fotela.

- Non, mon ami - oświadczył Francuz, zagradzając mu drogę. - Zostań, gdzie jesteś. Nie przejmuj się mną, tylko nim. Widzisz, on naprawdę może cię zabić. W swoim szale nie ma szacunku dla złotego wieku, ale ponieważ ja sam się do niego zbliżam, posiadam go.

- Szale? To jest zniewaga! - wykrzykiwał gorączkowo starszy pan. - Walczyłem pod El-Alamejn i, Jezu Chryste, będę walczył teraz! - znów próbował wydostać się z fotela i znowu d'Anjou pchnął go na miejsce widząc, że Jason wraca.

- Och, heroicznie powściągliwy Brytyjczyk - skomentował

Francuz. - Przynajmniej byłeś na tyle łaskaw, by nie wymieniać bitwy pod Agincourt.

- Dość bzdur! - krzyknął Bourne. Odsunął d'Anjou na bok i pochylił się nad fotelem z rękami na poręczach, wpychając własnym ciałem starca z powrotem na miejsce. -- Powiesz mi, gdzie on jest, i powiesz bardzo szybko albo będziesz żałował, że wydostałeś się spod El-Alamejn.

- Gdzie jest kto, ty wariacie?

- Nie jesteś tym samym człowiekiem, który był na dole. Nie jesteś Josephem Wadsworthem, który miał zamieszkać w pokoju trzysta dwadzieścia pięć!

- To jest pokój trzysta dwadzieścia pięć, a ja jestem Josephem Wadsworthem! Brygadierem w stanie spoczynku, Królewscy Saperzy!

- Kiedy się zameldowałeś?

- Oczywiście oszczędzono mi tego kłopotu - odrzekł dumnie Wadsworth. - Specjalistom zaproszonym przez rząd należą się pewne względy. Przeprowadzono mnie przez kontrolę celną i zaprowadzono wprost tutaj. Przyznać muszę, że obsługi w pokojach nie można uznać za zadowalającą; Bogu wiadomo, że to nie hotel Connaught, a ten cholerny telefon nawala przez większość czasu.

- Spytałem cię k i e d y?

- Zeszłego wieczoru, ale ponieważ samolot spóźnił się o sześć godzin, powinienem raczej powiedzieć, że dzisiaj rano.

- Jakie miałeś instrukcje?

- Uważam, że to nie twoja sprawa. Bourne wyszarpnął zza pasa mosiężny nóż do papierów i przycisnął ostrze do gardła starszego pana.

- Moja, jeśli chcesz wstać żywy z tego fotela.

- Dobry Boże, on naprawdę zwariował!

- Masz rację. Nie zostało mi dużo czasu na zachowanie zdrowia psychicznego. Prawdę mówiąc, nie zostało nic. Instrukcje!

- Całkiem niewinne. Mieli po mnie przyjść gdzieś około południa, a ponieważ jest już po trzeciej, można przyjąć, że Rząd Ludowy nie bardziej stosuje się do zegara niż jego linia lotnicza.

D'Anjou dotknął ramienia Bourne'a.

- Samolot o jedenastej trzydzieści - powiedział spokojnie Francuz. - Ten tutaj jest tylko przynętą i nie wie nic.

- Więc twój Judasz jest w innym pokoju - rzucił Jason przez ramię. - Musi być!

- Nie mów nic więcej, będą go przesłuchiwać. - Nagle i nieoczekiwanie d'Anjou władczo odsunął Jasona od fotela i przemówił zniecierpliwionym tonem wyższego oficera. - Posłuchaj, brygadierze, przepraszamy za kłopoty, wiem, że to było cholernie nieprzyjemne. To już trzeci pokój, do którego się włamujemy; dowiedzieliśmy się nazwisk wszystkich gości, by dokonać przesłuchań metodą szoku.

- Metodą czego? Nie rozumiem.

- Jedna z czterech osób na tym piętrze przeschmuglowała narkotyki wartości ponad pięciu milionów dolarów. Ponieważ to nie był nikt z was trojga, mamy naszego człowieka. Proszę powiedzieć, że wdarł się do pana alkoholik w delirium, rozwścieczony warunkami panującymi w hotelu, co zresztą mówią wszyscy. Masa takich rzeczy tu się dzieje i najlepiej jest nie ściągać na siebie podejrzeń, nawet przez błędne skojarzenia. Tutejszy rząd często reaguje nazbyt gwałtownie.

- Tego byśmy sobie nie życzyli - wybełkotał Wadsworth, Królewski Saper w stanie spoczynku. - Z tej cholernej emerytury nie da się wyżyć. Ta podróż miała pozwolić na dodatkowe wyścielenie mojego starego gniazda w Surrey.

- Drzwi, majorze - rozkazał Jasonowi d'Anjou. - I ostrożnie. Proszę się postarać, by stały prosto. - Francuz zwrócił się do Anglika. - Brygadierze, niech pan będzie w pogotowiu, ale wstrzyma się od działania. Po prostu proszę się tym nie zajmować i dać nam dwadzieścia minut na schwytanie naszego człowieka, a potem może pan robić, co się panu żywnie podoba. Proszę zapamiętać: pijak w delirium. Dla pana własnego dobra.

- Tak, tak, oczywiście. Pijak. Delirium.

- Idziemy, majorze!

Zabrali swoje torby z korytarza i szybkim krokiem skierowali się w stronę schodów.

- Pospieszmy się! - powiedział Bourne. - Jeszcze zdążymy. On musi zmienić wygląd... ja bym musiał! Sprawdźmy wyjścia na ulicę, postoje taksówek i postaramy się wybrać dwie logiczne ewentualności albo, do ciężkiej cholery, dwie nielogiczne. Każdy z nas zajmie się jedną i ustalimy system sygnałów.

- Najpierw jeszcze dwoje drzwi - przerwał zdyszany d'Anjou. -

W tym korytarzu. Wybierz, które chcesz, ale zrób to szybko. Wywal je kopniakami i wrzeszcz obraźliwe słowa, bełkotliwym językiem oczywiście.

- Więc mówiłeś mu to poważnie?

- Najpoważniej w świecie, Delta. Jak sami mogliśmy zauważyć, wyjaśnienie jest całkowicie prawdopodobne, a kłopotliwa sytuacja nie pozwoli im na żadne oficjalne śledztwo. Dyrekcja z całą pewnością przekona naszego brygadiera, by trzymał język za zębami. Groziłaby jej utrata ciepłych posad. A teraz szybko! Wybieraj i bierz się do roboty!

Jason zatrzymał się przy następnych drzwiach z prawej strony. Napiął mięśnie, a potem rzucił się przed siebie, waląc barkiem w słabą sklejkę. Drzwi puściły natychmiast.

- Boska potęgo! - wrzasnęła w hindi kobieta, na wpół rozebrana z sari, które opadło jej na nogi.

- Co, u diabła, tu się dzieje! Czy ten cholerny zamek znów się zepsuł? - wykrzyknął nagi mężczyzna wybiegając z łazienki z genitaliami ledwie zakrytymi skąpym ręcznikiem.

Oboje znieruchomieli zagapieni na rozwścieczonego intruza, który zataczał się z błędnym wzrokiem, strącając przedmioty z najbliższej komody i wyjąc chrapliwym, pijackim głosem.

- Parszywy hotel! Toalety nie działają, telefony nie działają. Jezu... to nie mój pokój! Szczępraszam...

Bourne wytoczył się na zewnątrz, zatrząskując za sobą drzwi.

- Znakomicie! - pochwalił d'Anjou. - Oni już mieli kłopoty z tym zamkiem. Pospiesz się. Jeszcze jeden. O, ten! - Francuz wskazał drzwi po lewej. - Wewnątrz słyszałem śmiech. Dwa głosy.

Jason znów natarł na drzwi, rozwalając je na rozcież i pijackim głosem wyrzaskując swoje skargi. Ale zamiast natknąć się na dwoje zdumionych gości, znalazł się przed parą młodych ludzi. Oboje byli nadzy do pasa, oboje ze szklistym wzrokiem zaciągali się skrętami, wdychając głęboko dym.

- Witaj, sąsiedzie - powiedział młody Amerykanin niepewnym głosem, wymawiając słowa wyraźnie, choć cztery razy wolniej niż normalnie. - Nie przejmuj się tak rzeczami. Telefony nie działają, ale nasza toaleta owszem. Skorzystaj z niej, podzielimy się. Nie bądź taki spięty.

- Co, u diabła, robicie w moim pokoju? - zawył Jason jeszcze bardziej pijacko, bełkotliwie płacząc słowa.

- Jeśli to twój pokój, mój macko - przerwała mu dziewczyna kołysząc się na fotelu - zostałeś wtajemniczony w prywatne sprawy, a my nie jesteśmy tacy. - Zachichotała.

- Chryste, ależ jesteście na haju!

- A nie biorąc imienia Pana naszego nadaremno - odpalił chłopak - ty jesteś bardzo pijany.

- Nie wierzymy w alkohol - dodała półprzytomnie dziewczyna. - Wywołuje wrogość, która wpływa na powierzchnię jak demony Lucyfera.

- Pójdź wytrzeźwieć, sąsiedzie - sepleniąc kontynuował chłopak. - A potem uzdrów się trawką. Zaprowadzę cię na pola, gdzie znów odnajdziesz swą duszę...

Bourne wypadł z pokoju zatrząskując drzwi i chwycił d'Anjou za ramię.

- Idziemy - oświadczył, a gdy zbliżyli się do schodów dodał: - Jeśli rozejdzie się ta opowiadka, którą zaserwowałeś brygadierowi, ta dwójka spędzi najbliższe dwadzieścia lat na kastroowaniu baranów w Mongolii Wewnętrznej.

Skłonność Chińczyków do dokładnej obserwacji i ostrych środków bezpieczeństwa powodowała, że hotel przy lotnisku mógł mieć tylko dwa wyjścia: jedno duże od frontu dla gości i drugie z boku dla pracowników. Przy tym drugim pełno było umundurowanych strażników, którzy sprawdzali świadectwa pracy wszystkich wchodzących, a wychodzącym po pracy rewidowali torby i wyładowane kieszenie. Brak jakichkolwiek oznak zażyłości między pracownikami i strażnikami sugerował, że ci ostatni byli często zmieniani, by nie dopuścić do zbliżenia między potencjalnymi dawcami i odbiorcami łapówek.

- On by nie ryzykował przejścia między strażnikami - powiedział Jason, gdy opuścili hotel wyjściem dla pracowników, pospiesznie podawszy do sprawdzenia torby podrózne pod pretekstem, że mogą nie zdążyć na spotkanie z powodu opóźnienia samolotu. - A oni tak wyglądają, jakby zdobywali sprawności zuchowe w zamian za złapanie kogoś na wynoszeniu skrzydełka kurczaka albo kawałka mydła.

- Bo oni ogromnie nie lubią tych, którzy tutaj pracują - zgodził się d'Anjou. - Ale skąd masz pewność, że on jeszcze jest w hotelu? Przecież zna Pekin. Mógł pojechać taksówką do innego hotelu, wynajmując inny pokój.

- Nie z takim wyglądem, jaki miał w samolocie, to ci już mówiłem. On by sobie na to nie pozwolił, ja bym sobie nie pozwolił. Chce mieć swobodę ruchów i to taką, by nikt go nie wykrył ani nie deptał mu po piętach. Musi to sobie zapewnić dla własnego bezpieczeństwa.

- Jeśli tak, to jego pokój może być pod obserwacją już w tej chwili. Wiedzą, jak on wygląda.

- Gdybym to był ja, a tylko na takim założeniu mogę się opierać, to już by mnie tam nie było. Załatwił sobie inny pokój.

- Sam sobie zaprzeczasz! - stwierdził Francuz, gdy zbliżyli się do zatłoczonego holu hotelowego. - Powiedziałaś, że on otrzyma instrukcje przez telefon. Ktokolwiek ma zatelefonować, zapyta o pokój, który mu przydzielono, a nie o pokój przynęty, nie Wadswortha.

- Jeśli telefony działają, a nawiasem mówiąc byłaby to korzystna okoliczność dla twego Judasza, łatwo przełączyć rozmowę z jednego pokoju do drugiego. Zwykła wtyczka w prymitywnej centralce lub programowana w centralce skomputeryzowanej. Prosta sprawa. Konferencja na temat interesów, starzy przyjaciele, którzy spotkali się w samolocie - możesz powiedzieć, co tylko chcesz - a najlepiej nie podawać żadnych wyjaśnień.

- Błąd w rozumowaniu! - oświadczył d'Anjou. - Jego klient tu w Pekinie zaalarmuje hotelowych telefonistów. Będzie miał podsłuch na centralce.

- To jest jedyna rzecz, której nie robi - powiedział Bourne, popychając Francuza przez obrotowe drzwi na chodnik pełen zdezorientowanych turystów i biznesmenów, próbujących załatwić sobie jakiś środek transportu. - Na takie ryzyko nie może sobie pozwolić - kontynuował Jason, gdy szli wzdłuż stojących przy krawężniku sfatygowanych mikrobusów i starych taksówek. - Klient twojego komandosa musi trzymać się od niego jak najdalej. Nie może dopuścić do tego, by odkryto jakikolwiek ślad powiązania, a to oznacza, że cała sprawa rozgrywa się w bardzo ścisłym, bardzo elitarnym gronie, bez poleceń dla centralek telefonicznych, bez ściągania uwagi na kogokolwiek, a już szczególnie na twego komandosa. Nie zaryzykują też kręcenia się w okolicy hotelu. Będą się

trzymać z dala, pozwolą, by on robił posunięcia. Tutaj jest za dużo tajniaków, ktoś z kręgu elity mógłby zostać rozpoznany.

- Telefony, Delta. Według tego, cośmy słyszeli, nie działają. Co on wobec tego zrobi?

Nie przerywając marszu Jason z wysiłkiem zmarszczył czoło, jakby próbował przypomnieć sobie coś zapomnianego.

- Dla niego atutem jest czas, działający na jego korzyść. Powinien mieć instrukcje dodatkowe, w razie gdyby w określonym terminie od przybycia nie nawiązano z nim -- z jakichkolwiek powodów - kontaktu. A wariantów postępowania w takim wypadku może mieć wiele, zważywszy na to, jakie muszą podejmować środki ostrożności.

- W takiej sytuacji czekaliby teraz na niego, prawda? Gdzieś na zewnątrz, żeby go przechwycić, tak?

- Oczywiście, i on o tym wie. Musi więc przemknąć się koło nich i dotrzeć na właściwe miejsce nie zauważony. Tylko w ten sposób może utrzymać kontrolę nad sytuacją. To dla niego najpilniejsze.

D'Anjou ścisnął Bourne'a za łokieć.

- Wobec tego sądzę, że zauważyłem jednego z obserwatorów.

- Co?! - Jason odwrócił się do Francuza zwalnając kroku.

- Nie zatrzymuj się - polecił d'Anjou. - Nad ciężarówką, tą stojącą dwoma kołami na jezdni, człowiek na rozsuwanej drabinie.

- To by się zgadzało - odrzekł Bourne. - To pogotowie telefoniczne.

Cały czas idąc w tłumie dotarli do ciężarówki.

- Spójrz w górę. Z zainteresowaną miną. A potem spójrz w lewo. Ta furgonetka dosyć daleko przed pierwszym autobusem. Widzisz ją?

Jason rzucił okiem i natychmiast nabrał pewności, że Francuz ma rację. Furgonetka była biała, prawie nowa, a okna miała z ciemnego szkła. Gdyby nie kolor, mógłby to być ten sam mikrobus, którym morderca odjechał w Shenzhen, na przejściu granicznym w Luowu. Bourne zaczął odczytywać chińskie znaki na drzwiach:

- Niao Jing Shan... Boże, to ten sam! Nazwa nie ma znaczenia, on należy do rezerwatu ptaków. Rezerwatu Ptaków Jing Shan! W Shenzhen był to rezerwat Chutang, tutaj jakiś inny. Dlaczego zwróciłeś na niego uwagę?

- Z powodu człowieka w otwartym oknie, ostatnim po tej stronie. Stąd nie widać go zbyt dobrze, ale on patrzy na wejście. Poza tym w ogóle nie wygląda na pracownika rezerwatu ptaków, to oczywiste.

- Czemu?

- To oficer armii, a sądząc po kroju munduru i gatunku materiału, wyższy oficer. Czy okryta chwałą Armia Ludowa zarządziła pobór białych kruków do swych oddziałów szturmowych? Czy też raczej jest to zaniepokojony człowiek, któremu polecono kogoś wytropić, a potem śledzić, używając bardzo dobrej przykrywki, której jedynym minusem jest to, że trzeba to robić przez otwarte okno?

- Bez Echa nie zrobiłbym kroku naprzód - oświadczył Jason Bourne, niegdyś Delta, bicz boży

„Meduzy”. - Rezerwy ptaków... Chryste, to przepiękne. Jakaż zasłona dymna. Tak odległe, tak pełne spokoju. To fantastyczna przykrywka.

- Typowo chińska, Delta. Cnotliwa maska na niecnotliwej twarzy. Przypowieści Konfucjusza przestrzegają przed tym.

- Nie o tym mówię. Wtedy w Shenzhen, pod Luowu, gdy po raz pierwszy zgubiłem twojego chłoptysia, także zabrał go mikrobus, mikrobus z ciemnymi szybami, również należący do rządowego rezerwatu ptaków.

- Jak sam powiedziałaś, doskonała przykrywka.

- To coś więcej, Echo. To rodzaj znaku firmowego.

- Ptaki czczono w Chinach od stuleci - odparł d'Anjou, spoglądając na Jasona z zaintrygowaniem. - Zawsze przedstawiano je w wielkim malarstwie, na wspaniałych jedwabiach. Są uważane za rozkosz zarówno dla oczu, jak i podniebienia.

- W tym wypadku mogą służyć do czegoś znacznie prostszego i znacznie praktyczniejszego.

- Na przykład?

- Rezerwy ptaków zajmują znaczne obszary. Są dostępne dla publiczności, ale tylko zgodnie z przepisami wydawanymi przez rząd, jak zresztą wszędzie na świecie.

- To znaczy, Delta?

- W kraju, w którym dziesięciu ludzi przeciwnych oficjalnej linii obawia się, by nie ujrano ich razem, jakież może być lepsze miejsce spotkań niż rezerwat przyrody, który z reguły ciągnie się całymi kilometrami? Nie ma biur, domów czy apartamentów, które można by obserwować, żadnych telefonów na podsłuchu czy nadzoru elektronicznego. Po prostu niewinni obserwatorzy ptaków, jakże naturalni w kraju miłośników ptaków, każdy wyposażony w urzędową przepustkę zezwalającą na wejście w czasie, gdy rezerwat jest oficjalnie zamknięty... w ciągu dnia i nocą.

- Od Shenzhen po Pekin? Chcesz przez to powiedzieć, że sprawa ma większy wymiar, niż zakładaliśmy.

- Bez względu na to jaki - odpowiedział Jason, nie przestając rozglądać się wokół - nas to nie dotyczy. Ale dotyczy jego... Musimy się rozdzielić, ale zachowując łączność wzrokową. Ja pójdę...

- Nie ma potrzeby! - przerwał mu Francuz. - Jest tutaj!

- Gdzie?

- Cofnij się! Bliżej ciężarówki. Ukryj się w jej cieniu.

- Który to jest?

- Ksiądz głoszący po główce dziecko, małą dziewczynkę - odparł d'Anjou, stając plecami do ciężarówki i patrząc w tłum przed wejściem do hotelu. - Duchowny - kontynuował z goryczą Francuz. - Jedno z przebrań, których nauczyłem go używać. Zrobiono mu w Hongkongu czarną sutannę, kompletną, z tekstem anglikańskiego błogosławieństwa wszytym w kołnierzyk pod metką londyńskiego krawca z Savile Rów. Po tym przebraniu go poznałem. Ja za nie zapłaciłem.

- Pochodzisz z bogatej diecezji - odrzekł Bourne, uważnie przyglądając się mężczyźnie, którego doścignąć i schwytać pragnął bardziej, niż ocalić własne życie; chciał go pokonać i zmusić do

wejścia do pokoju hotelowego, by samemu móc rozpocząć drogę powrotną do Marie. Maskę mordercy była dobra, więcej niż dobra, a Jason próbował przeanalizować, z czego to wynika. Poniżej ciemnego kapelusza zabójca nosił szpakowate bokobrody; cienkie okulary w metalowej oprawce nisko opuszczone na nosie wystającym z bladej, bezbarwnej twarzy. Szeroko otworzył oczy i uniósł brwi, dając wyraz radości i podziwu, jaki wywołał w nim widok nie znanego dotychczas miejsca. Wszystko to były dzieła boże i boże dzieci, co okazywał zbliżywszy się do małej Chinceczki, by ją poklepać po główce, równocześnie uśmiechając się i kłaniając uprzejmie jej matce. Więc to o to chodziło, pomyślał Jason z zazdrosnym podziwem. Ten skurwysyn promieniował miłością. Wyrażał ją każdym gestem, każdym niezdecydowanym ruchem, każdym spojrzeniem łagodnych oczu. Był współczującym duchownym, pasterzem swej trzódki, wykraczającej daleko poza granice parafii czy wikariatu. W tej roli mógł oczekiwać, że ktoś skieruje na niego przelotne spojrzenie, ale natychmiast odwróci wzrok poszukując zabójcy.

Bourne pamiętał. Carlos! Szakał przebrany w strój księdza, ze śniadą latynoską twarzą nad krochmalonym białym kołnierzykiem, wychodzący z kościoła w Neuilly-sur-Seine w Paryżu. Jason już go widział! Widzieli się wzajemnie, patrzyli sobie w oczy, poznavszy się bez słów. Złap Carlosa. Schwytaj Carlosa. Kain to Charlie, a Carlos to Kain! Słowa - szyfry rozbłysły mu w pamięci, gdy pomknął za Szakalem ulicami Paryża... by wkrótce zgubić go w ulicznym tłumie, podczas gdy stary żebrak, który przycupnął na chodniku, śmiał się szyderczo.

Ale to nie Paryż, pomyślał Bourne. Nie ma tu armii umierających starców, broniących mordercy. Złapie swojego szakała w Pekinie.

- Bądź gotów do skoku! - rzekł d'Anjou, przerywając wspomnienia Jasona. - Zbliża się do autobusu.

- Przecież jest przepelniony.

- I o to idzie. On będzie ostatni. Kto odmówi prośbie spieszącego się księdza? Oczywiście to jedna z moich lekcji.

Francuz znów miał rację. Drzwi nędznego autobusiku zaczęły się zamykać, ale przytrzymało je ramię księdza, który wepchnął bark do środka i najwidoczniej prosił, by uwolniono go z potrzasku. Drzwi odskoczyły, zabójca wcisnął się do środka, a drzwi zamknęły się za nim.

- To jest pospieszny na plac Tiananmen - oświadczył d'An-jou. - Zapamiętałem numer.

- Musimy znaleźć taksówkę. Chodź!

- Delta, to nie będzie łatwe.

- Udoskonalilem tę technikę - odpowiedział Bourne, wychodząc z cienia ciężarówki. Autobus przejechał obok, Francuz podążył za Jasonem. Przecisnęli się przez tłum zgromadzony przed hotelem i poszli wzdłuż rzędu stojących taksówek, aż dotarli na jego koniec. Następny wóz objeżdżał rondo, by ustawić się w kolejce, ale Jason wyskoczył na jezdnię, nieznacznie unosząc dłonie. Taksówka zatrzymała się, a kierowca wystawił głowę przez okno.

- Shemmdl

- Wei! - krzyknął Bourne, podbiegając do taksówkarza i podnosząc do góry plik juanów, równowartość pięćdziesięciu dolarów amerykańskich. - Biyao bangzhu - powiedział, wyjaśniając, iż bardzo potrzebuje pomocy i zapłaci za nią niezależnie od licznika.

- Hao! -- zawołał kierowca, chwytając pieniądze. - Bingli ba! - dodał, usprawiedliwiając swoje

zachowanie koniecznością udzielenia pomocy turyście, który nagle zachorował.

Jason i d'Anjou wsiedli. Taksówkarz głośno wyraził protest widząc, że od strony chodnika wsiadł drugi pasażer. Bourne rzucił mu dalsze dwadzieścia juanów, co go udobruchało. Kierowca zawrócił z dala od kolejki taksówek i wyjechał z kompleksu lotniskowego.

- Przed nami jest autobus rzekł d'Anjou pochylając się do przodu i zwracając do kierowcy w łamanym mandaryńskim. - Czy mnie rozumiesz?

- Mówisz jak kantończyk, ale rozumiem.

- Jedzie na plac Tiananmen.

- Która brama? - spytał taksówkarz. - Który most?

- Nie wiem. Znam tylko numer, jaki ma z przodu. Siedem--cztery-dwa-jeden.

- Końcowa cyfra jeden - stwierdził kierowca. - Brama Tian, drugi most. Wejście do Miasta Cesarskiego.

- Czy jest tam plac postojowy autobusów?

- Będzie kolejka wielu autobusów. Wszystkie pełne. Bardzo zatłoczone. Tiananmen jest bardzo zatłoczony, gdy słońce świeci nisko.

- Powinniśmy wyminąć po drodze autobus, o którym wspomniałem, co byłoby dla nas korzystne, bo chcemy być na Tiananmen, zanim on tam przyjedzie. Czy możesz tak zrobić?

- Bez trudności - odparł Chińczyk, szczerząc zęby. - Autobusy są stare i często się psują. Możemy się dostać do Niebiańskiej Bramy Północnej na wiele dni przed nim.

- Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie - wtrącił Bourne.

- Ach, nie, hojny turysto. Wszyscy kierowcy są znakomitymi mechanikami... jeśli mają szczęście natrafić na miejsce, w którym znajduje się silnik. - Kierowca zaśmiał się pogardliwie i nacisnął na gaz.

Trzy minuty później wyminęli autobus, którym jechał zabójca. A po czterdziestu sześciu minutach wjechali na rzeźbiony biały marmurowy most nad fosą z płynącą wodą, prowadzący do Bramy Niebiańskiego Spokoju, pod którą przywódcy Chin ukazywali się na szerokiej trybunie, by oklaskiwać paradujące przed nimi narzędzia wojny i śmierci. Za tak nietrafnie nazwaną bramą znajduje się jedno z najbardziej niezwykłych ludzkich dokonań na Ziemi. Plac Tiananmen. Magnetyczne centrum Pekinu.

Wzrok turysty najpierw przyciąga sama potęga jego majestatycznych wymiarów, a następnie architektoniczny ogrom Wielkiej Hali Ludowej po prawej, gdzie samo foyer mieści aż trzy tysiące osób. Zwykła sala bankietowa ma ponad pięć tysięcy miejsc siedzących, a największy „pokój konferencyjny” dziesięć tysięcy i jeszcze zostaje dużo miejsca. Naprzeciw bramy stoi sięgający obłoków czworoboczny słup kamienny, obelisk umieszczony na dwupiętrowym marmurowym cokole otoczonym błyszczącymi w słońcu balustradami. Natomiast poniżej, w cieniu potężnej podstawy, wyrzeźbiono sceny walki i triumfu rewolucji Mao. Jest to Pomnik Bohaterów Ludowych, a na czele panteonu widnieje postać Mao. Są i inne budowle, inne konstrukcje:

pomniki, muzea, bramy i biblioteki - gdzie okiem sięgnąć. Ale nade wszystko wrażenie wywiera ogrom otwartej przestrzeni. Przeszłości i ludzi... Ludzkie ucho zaś zaskakuje coś zgoła innego,

całkowicie nieoczekiwanego. Na plac Tiananmen można by przenieść tuzin największych na Ziemi stadionów sportowych, o wiele większych od rzymskiego Koloseum, i jeszcze nie zapełnić tej przestrzeni. Mogą po niej spacerować setki tysięcy ludzi i nadal zostanie sporo miejsca dla dalszych setek tysięcy. Ale brak tu czegoś, na czym nigdy nie zbywało krwawym arenom Rzymu, a cóż dopiero wielkim współczesnym stadionom światowym. Dźwięku. Tutaj jest on prawie nieobecny, wznosi się ledwie o parę decybeli ponad zupełną ciszę, przerywaną łagodnym szmerem dzwonekórowerowych. Ta cisza najpierw uspokaja, a potem przeraża. Robi to takie wrażenie, jakby ogromną, przezroczystą geodezyjną kopułą przykryto ponad sto akrów; jakby bezsłowny, ale dobrze rozumiany rozkaz z pozaziemskiego królestwa nieustannie przypominał tym na dole, że znajdują się w katedrze. Jest to nienaturalne, nierealne; a przecież nie ma tu żadnych objawów wrogości wobec niesłyszalnego głosu, tylko posłuszeństwo - i jest jeszcze bardziej przerażające. Szczególnie, gdy milczą dzieci.

Jason popatrzył na to wszystko krótko i beznamiętnie. Dopłacił jeszcze taksówkarzowi sumę odpowiednią do przebytej odległości i skoncentrował się całkowicie na celu i problemach stojących przed nim i d'Anjou. Jakikolwiek były tego przyczyny, czy wezwanie przez telefon, czy przyjęcie taktyki wynikającej z dodatkowych instrukcji, komandos był w drodze na plac Tiananmen. Gdy tylko przybędzie, zaczną tańczyć pawanę, stawiając pierwsze powolne kroki ostrożnego tańca, który coraz bardziej przybliżyć będzie zabójcę do wysłannika jego klienta, oczywiście zakładając, że ów klient pozostanie niewidoczny. Ale nie dojdzie do żadnego kontaktu, póki samozwaniec nie przekona się, że miejsce spotkania jest czyste. Dlatego „ksiądz” zorganizuje własną inwigilację, krążąc wokół ustalonego miejsca spotkania, rozglądając się, czy nie ma w okolicy jakichś uzbrojonych zbójów. Dopadnie jednego, może dwóch, wymuszając posłuszeństwo ostrzem noża albo wbijając im w żebra pistolet z tłumikiem, by wydusić potrzebne mu informacje. Wyraz obłudy w ich spojrzeniach uświadomi mu, że planowane spotkanie ma być tylko wstępem do jego egzekucji. W końcu, jeśli uzna otoczenie za czyste, poprowadzi zbója pod groźbą użycia broni do wysłannika swego klienta, by przekazać mu ultimatum: klient musi pokazać się osobiście i wejść do sieci utkanej przez mordercę. Żadne inne rozwiązanie nie wchodzi w grę;

centralna postać, klient, ma swoją osobą zrównoważyć ryzyko śmierci. Ustalone zostanie drugie miejsce spotkania. Klient ma przybyć pierwszy, a jeśli cokolwiek będzie wskazywało na podstęp, zostanie zastrzelony. Tak postępował Jason Bourne. Tak samo postąpi komandos, jeśli ma w głowie choć połowę mózgu.

Mikrobus numer 7421 w żółtym tempie wtoczył się na plac i zatrzymał na końcu kolejki pojazdów, z których wysiadali turyści. Ukazał się morderca w księżowskim stroju, pomagając wsiąść na chodnik starszej kobiecie. Poklepał ją po dłoni i pożegnał się, uprzejmie skłoniwszy głowę. Odwrócił się, szybkim krokiem skierował w stronę końca pojazdu i zniknął za nim.

- Bądź o dobre dziesięć metrów z tyłu i uważaj na mnie - powiedział Jason. - Rób to, co ja. Gdy stanę, stawaj, jeśli skręcę, skręcaj. Trzymaj się w tłumie, przechodź od jednej grupy do drugiej, ale zawsze tak, by otaczali cię ludzie.

- Bądź ostrożny, Delta. To nie amator.

- Ja także nie. - Bourne podbiegł do końca autobusu, przystanął, po czym zaczął przeciskać się obok rozgrzanych, cuchnących szczelin wentylacyjnych tylnego silnika. Ksiądz znajdował się o jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim, jego czarna sutanna wyglądała jak ciemna latarnia w przymglonym słońcu. W tłumie czy poza nim, był łatwy do śledzenia. Maski komandosa była niezła, sposób jej stosowania jeszcze lepszy, ale jak większość masek stwarzała też nadmierne, choć nie

docenione ryzyko. Właśnie ograniczeniem tego ryzyka najlepsi odróżniali się od lepszych. Z zawodowego punktu widzenia Jason aprobował przybieranie księżowskiej postaci, ale nie księżowskiej barwy. Ksiądz katolicki był bezwzględnie związany czernią. Ale nie anglikański wikary, dla którego oprócz kołnierzyka ciemna szarość stroju była całkowicie dopuszczalna. W świetle słonecznym szarość zlewała się z tłem, czerń nie.

Nagle morderca oderwał się od tłumu i podszedł z tyłu do chińskiego żołnierza, który robił zdjęcia trzymając aparat przy oku i nieustannie kręcąc głową. Bourne zrozumiał. Nie był to nic nie znaczący szeregowiec na urlopie w Pekinie; był zbyt dojrzały, a jego mundur zbyt dobrze skrojony - co d'Anjou już zauważył u oficera w mikrobusie. Aparat był oczywiście urządzeniem służącym do obserwacji tłumu; początkowo ustalone miejsce spotkania nie mogło być zatem odległe. Komandos, rozgrywając swą rolę do końca, położył ojcowską prawicę na lewym ramieniu żołnierza. Lewa dłoń zabójcy pozostała niewidoczna za czarną sutanną wypełniającą przestrzeń między nim i żołnierzem i ukrywającą pistolet wepchnięty oficerowi pod żebra. Żołnierz znieruchomiał, lecz nawet w panice nie zmienił wyrazu twarzy. Ruszył przed siebie obok mordercy, teraz trzymającego go za ramię i wydającego rozkazy. Nagle żołnierz, w sposób zupełnie nie pasujący do jego poprzedniego zachowania, zgiął się chwytając za lewy bok, po czym szybko wyprostował, w oszołomieniu potrząsając głową; morderca znowu dźgnął go bronią w żebra. Miał wykonywać rozkazy albo zginąć na placu Tiananmen. Kompromisu być nie mogło.

Bourne błyskawicznie odwrócił się i pochylił, by zawiązać doskonale zawiązane sznurowadło, równocześnie przepaszając osoby znajdujące się za nim. Morderca sprawdzał swe tyły, konieczny był manewr wymijający. Jason wyprostował się. Gdzie był tamten? Gdzie samozwaniec? Tam! Bourne zdumiał się: komandos wypuścił żołnierza! Dlaczego? Oficer nagle rzucił się do biegu wrzeszcząc i dziko wymachując rękami, a potem w ataku szału zwał się na ziemię i zaraz rozgadany, podniecony tłum otoczył jego nieruchome ciało.

Dywersja! Pilnuj go. Jason pomknął przed siebie wyczuwając, że przyszedł właściwy moment. A więc nie był to pistolet wbity pod żebra, lecz igła, przebijająca klatkę piersiową żołnierza. Morderca zlikwidował jednego członka obstawy, teraz poszuka drugiego, a potem być może trzeciego. Scenariusz przewidziany przez Bourne'a rozgrywał się do końca. A ponieważ uwaga zabójcy skupiła się wyłącznie na poszukiwaniu następnej ofiary, moment był właściwy! Teraz! Jason wiedział, że potrafi obezwładnić każdego człowieka na Ziemi paraliżującym ciosem w nerki, szczególnie zaś człowieka, który zupełnie nie spodziewał się ataku, bo to właśnie on, zwierzyzna, atakował i skoncentrował się wyłącznie na tym. Bourne zmniejszył odległość dzielącą go od samozwańca. Piętnaście metrów, dwanaście, dziesięć, dziewięć... przeskakiwał od jednego tłumu do drugiego... czarno odziany „ksiądz” był w zasięgu ręki. Mógł więc go złapać! Marie!

Żołnierz. Znowu żołnierz! Ale teraz, zamiast ataku, wywiązała się rozmowa. Wojskowy kiwnął głową i gestem wskazał w lewo. Zdumiony Jason popatrzył w tamtą stronę. Niski Chińczyk w cywilu, z teczką urzędnika państwowego, stał u stóp szerokich kamiennych schodów prowadzących do wejścia ogromnego budynku otoczonego granitowymi kolumnami podtrzymującymi podwójny, pagodowy dach. Gmach znajdował się zaraz za Pomnikiem Bohaterów; rzeźbiony kaligraficzny napis na olbrzymich drzwiach informował, że jest to Sala Pamięci Przewodniczącego Mao. Uformowani w dwie kolejki ludzie wspinali się po schodach, a strażnicy dzielili ich na odrębne grupy. Cywil stał między kolejkami. Jego teczka była oznaką władzy; pozostawiono go w spokoju. Nagle, nie zdradziwszy się żadnym wcześniejszym ruchem, wysoki morderca chwycił żołnierza za ramię, popychając go przed sobą. Oficer wygiął się do tyłu, a ramiona podskoczyły mu do góry: wepchnięto mu broń w kręgosłup, wydając precyzyjne rozkazy.

Podczas gdy narastało ogólne podniecenie, gdy tłum ludzi wraz z policją biegł w stronę leżącego żołnierza, morderca ze swym jeńcem maszerowali równym krokiem w kierunku cywila stojącego na schodach mauzoleum Mao. Urzędnik nie śmiał zrobić najmniejszego ruchu i znowu Bourne zrozumiał przyczynę. Zabójca znał tych ludzi; należeli do ścisłego kręgu elity otaczającej klienta mordercy, a sam klient był niedaleko. To nie byli chłopcy na posyłki; gdy tylko pojawili się na scenie, mniej ważne figury stały się jeszcze mniej ważne, ponieważ tacy ludzie rzadko pokazywali się publicznie.

Dywersja, która teraz skurczyła się do rozmiarów drobnego zakłócenia porządku, ponieważ policjanci szybko opanowali panikę i zabrali ciało, dała samozwańcowi sekundy potrzebne, by uchwycić ogniwo łańcucha prowadzącego do jego klienta. Gdyby żołnierz, którego trzymał zabójca, okazał nieposłuszeństwo, w tym samym momencie byłby trupem. A każdy w miarę wyćwiczony strzelec potrafiłby zabić człowieka na schodach jednym strzałem. Spotkanie było więc dwuetapowe, a dopóki morderca miał drugi etap pod kontrolą, gotów był posuwać się do przodu. Najwidoczniej klient znajdował się gdzieś we wnętrzu ogromnego mauzoleum nie wiedząc, co się stało na zewnątrz, a prosty pachołek nie ośmieliłby się podążyć za przełożonymi na miejsce spotkania.

Nie było już czasu na analizę i Jason to wiedział. Musiał działać. Szybko. Musiał dostać się do mauzoleum Mao Tse-tunga i patrzeć, czekać, aż spotkanie zakończy się w taki lub inny sposób. I nagle przyszła mu na myśl odrażająca ewentualność, że być może będzie musiał chronić mordercę. A przecież było to całkiem prawdopodobne;

jedynym plusem sytuacji z punktu widzenia Jasona był fakt, że samozwaniec zachowuje się ściśle według scenariusza, który mógłby być dziełem samego Bourne'a.

A jeśli spotkanie zakończy się pokojowo, wszystko sprowadzało się do nader prostego zadania: śledzenia mordercy, który w tym momencie bez wątpienia będzie się upajał sukcesem własnej taktyki, jak również ofertą otrzymaną od klienta. A wtedy Jason schwyta niczego nie podejrzewającego, niebotycznego zarozumialca na placu Tiananmen.

Bourne obejrzał się, wypatrując d'Anjou. Francuz stał z brzegu grupy turystów. Kiwnął głową, jakby czytając w myślach Deltę, a potem skierował palec wskazujący w dół i zakreślił nim kółko. Był to ich bezgłówny sygnał z czasów „Meduzy”. Oznaczał, że na razie nie zmieni miejsca, ale jeśli będzie zmuszony stąd się ruszyć, pozostanie w zasięgu wzroku z tego punktu. To wystarczyło. Jason przeszedł za plecami mordercy i jego jeńca i podążył na ukos przez tłum, szybko przedostając się przez przerwę w kolejce stojącej po stronie schodów. Podszedł do strażnika, zwracając się doń uprzejmie, choć także prosząco w mandaryńskim.

- Panie komendancie, jestem w najwyższym stopniu zaambara-sowany! Tak zapatrzyłem się na kaligrafię na Pomniku Bohaterów, że zgubiłem moją grupę, która przeszła tędy ledwie przed paroma minutami.

- Bardzo dobrze mówi pan naszym językiem - odparł zdziwiony strażnik, najwyraźniej spotykający się na co dzień z dziwnym brzmieniem języków, których ani nie znał, ani nie pragnął poznać. - Jest pan wielce uprzejmy.

- Jestem zwykłym, źle płatnym nauczycielem z Zachodu, żywiącym głębokie uwielbienie dla waszego wielkiego narodu, panie komendancie.

Strażnik roześmiał się. - Nie jestem komendantem, ale nasz naród rzeczywiście jest wielki. Moja córka chodzi po ulicy w dzinsach.

- Przepraszam?

- To bez znaczenia. Gdzie jest identyfikator pańskiej grupy turystycznej?

- Moje co?

- Plakietka z nazwiskiem, którą należy nosić na wierzchniej odzieży.

- Ciągle odpadała - poskarżył się Bourne, bezradnie potrząsając głową. - Nie chciała się trzymać. Pewnie ją zgubiłem.

- Gdy pan dołączy do grupy, proszę zwrócić się do przewodnika, to dostanie pan nową. Proszę udać się na początek kolejki na schodach. Coś się dzieje. Być może następna grupa będzie musiała poczekać. Może pan rozminąć się ze swoją.

- O? Czy powstał jakiś problem?

- Nie wiem. Urzędnik z państwową teczką wydaje nam rozkazy. Przypuszczam, że liczy juany, które można by tu zarobić, bo sądzi, że to święte miejsce powinno stać się podobne do pekińskiej kolei podziemnej.

- Jest pan niezwykle uprzejmy.

- Proszę się pospieszyć, sir.

Bourne popędził schodami w górę, pochylając się za stłoczonymi ludźmi i ponownie poprawiając doskonale trzymające się sznurowadło. Głowę trzymał tak, by widzieć, co robi morderca. Samozwaniec spokojnie przemawiał do cywila, nadal trzymając żołnierza jak w kleszczach... ale coś było nie tak. Niski Chińczyk w ciemnym garniturze skinął głową, ale wzrok skierował nie na komandosa, lecz gdzieś w przestrzeń za nim. A może Jason się pomylił? Jego punkt obserwacyjny nie był najlepszy. To zresztą bez znaczenia, scenariusz był realizowany, dotarcie do klienta miało nastąpić na warunkach podyktowanych przez mordercę.

Wszedł przez drzwi do pogrążonego w półmroku wnętrza, okazując takie przejęcie, jak wszyscy stojący przed nim na widok gigantycznej marmurowej rzeźby siedzącego Mao, wznoszącej się tak wysoko i tak majestatycznie, że niemal zapierało dech. Snopy światła skierowane na wspaniały, jakby przeświecający marmur wywoływały nieziemski efekt, wyodrębniając ogromną siedzącą postać z aksamitnego obicia w tle panujących wokoło ciemności. Masywny posąg o przenikliwych oczach zdawał się żywy i świadomy.

Jason oderwał od niego oczy i rozejrzał się w poszukiwaniu wyjść i korytarzy. Nie było żadnych. To tutaj właśnie znajdowało się mauzoleum, sala poświęcona narodowemu bożyszczu. Były tu jednakże filary, szerokie i wysokie marmurowe słupy, tworzące ustronne zakątki. Spotkanie mogło się odbyć w cieniu któregoś z nich. Jason mógł poczekać. Mógł skryć się w innym cieniu i obserwować.

Cała grupa przeszła do następnej wielkiej sali, a ta wywierała, jeśli w ogóle było to możliwe, jeszcze większe wrażenie. Naprzeciw nich znajdowała się kryształowa trumna z ciałem Przewodniczącego Mao Tse-tunga, okrytym Czerwonym Sztandarem - woskowe ciało spoczywające w pełnym spokoju, choć jego zamknięte oczy wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły się otworzyć i miotać błyskawice potępienia. Wysoko ustawiony sarkofag otaczały kwiaty, a pod przeciwległymi ścianami w ogromnych ceramicznych donicach stały dwa szeregi ciemnozielonych sosen. I znowu krzyżujące się snopy światła grały dramatyczną symfonię kolorów, oświetlając ciemne zakątki, omywając blaskiem jaskrawą żółć, czerwień i błękit bogactwa kwiatów.

Wśród pełnego grozy milczenia zgromadzonych dało się słyszeć poruszenie w pierwszej sali, ale ucichło równie nagle, jak powstało. Jako ostatni w kolejce Jason oddalił się nie zauważony. Wślizgnął się za filar, ukrył w ciemnościach i wyjrzał zza błyszczącego, białego marmuru.

To, co ujrzał, sparaliżowało go. Wiele sprzecznych myśli kłębiło mu się w głowie, lecz wszystkie zdominowało jedno słowo: pułapka! Za jego grupą nie było następnej! Była ostatnią grupą, którą wpuszczono, on zaś był ostatnią wpuszczoną osobą, zanim zamknięto ciężkie drzwi. To właśnie ten dźwięk usłyszał: zamykanie bramy i pomruki rozczarowania ludzi czekających na zewnątrz.

Cos się dzieje... Być może następna grupa, będzie musiała poczekać... Uprzejmy wartownik na schodach.

Mój Boże, od samego początku była to pułapka! Każdy ruch, każde posunięcie zostało obliczone! Od początku! Informacja opłacona na złanej deszczem wyspie, nieomal nieosiągalne bilety na samolot, wygląd mordercy, którego zobaczył na lotnisku - zawodowego zabójcy, umiającego znacznie lepiej się przebrać - ze zbyt nienaturalnym uczesaniem, w stroju niedostatecznie skrywającym jego budowę. A potem komplikacje z tym starym człowiekiem, brygadierem Królewskich Saperów w stanie spoczynku - tak nielogicznie logiczne! Wszystko takie prawidłowe, mylny trop tak wyraźny, tak pewny! Żołnierz w oknie mikrobusu obserwujący nie jego, lecz i c h! Czarny księżowski ubiór kupiony przez twórcę samozwańca - ciemna latarnia w świetle słońca, tak zauważalna, tak łatwa do wytropienia. Chryste, od samego początku! I wreszcie scenariusz odegrany na ogromnym placu, scenariusz, który mógłby napisać sam Bourne - znów nieodparcie przyciągający ścigającego. Odwrócona pułapka: złap myśliwego podchodzącego zwierzynę!

Jason zaczął się gorączkowo rozglądać. Daleko przed sobą dojrzał wpadającą do środka smugę światła. Na drugim końcu mauzoleum znajdowało się wyjście, z pewnością pod nadzorem; każdy wychodzący turysta musiał być dokładnie obejrzany.

Kroki. Z prawej strony. Bourne obrócił się w lewo, wyciągając zza pasa mosiężny nóż do papieru. Człowiek w szarym maoistowskim mundurku o wojskowym kroju ostrożnie przemknął obok szerokiego filara w przyćmionym świetle padającym na sosny. Był nie dalej niż o półtora metra. W rękę trzymał pistolet z grubym cylindrycznym tłumikiem na lufie, gwarantującym, że wystrzał nie będzie głośniejszy od splunięcia. Jason dokonał morderczej kalkulacji w sposób, którego Dawid Webb nie byłby w stanie zrozumieć. Ostrze musiało być białe tak, by spowodować natychmiastową śmierć. Z ust wroga nie może wydobyć się żaden dźwięk w chwili, gdy jego ciało zostanie zawleczone w ciemne miejsce.

Jason skoczył zaciskając sztywne jak imadło palce lewej dłoni na twarzy żołnierza, równocześnie wbijając mu nóż w szyję i przecinając ścięgna i miękkie chrząstki tchawicy. Jednym błyskawicznym ruchem opuścił lewą rękę, chwytając wielki pistolet, który wróg ciągle jeszcze trzymał w dłoni, i obrócił trupa, padając wraz z nim pod gałęzie sosen stojących szeregiem pod prawą ścianą. Wepchnął zwłoki w niewidoczne miejsce między dwie wielkie ceramiczne donice, w których rosły sosny. Przelazł przez martwe ciało trzymając przed sobą broń gotową do strzału i wrócił na dawne miejsce pod ścianą dzielącą obie sale, skąd mógł widzieć, nie będąc samemu widzianym.

Drugi człowiek w mundurze przeszedł przez smugę światła, rozjaśniającego ciemności u wejścia do drugiej sali. Przystanął przed kryształową trumną Mao, oświetloną dziwnym blaskiem i rozejrzał się. Podniósł do ust przenośny nadajnik i powiedział coś. Czekał pięć sekund: na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju. Szybko ruszył w prawo, trasą wyznaczoną dla pierwszego

człowieka. Jason na czworakach bezgłośnie podpełznął po marmurowej posadzce aż do nisko zwisających gałęzi.

Żołnierz zbliżył się wolnym krokiem, przyglądając się ostatnim turystom w kolejce wychodzących. Teraz! Bourne skoczył na niego, zacisnął mu ramię na gardle dławiąc wszelkie odgłosy i szarpnął nim do tyłu, pod gałęzie, wbijając mu lufę pistoletu głęboko w brzuch. Pociągnął za spust; stłumiony wystrzał nie był głośniejszy niż powiew wiatru. Człowiek gwałtownie wypuścił powietrze z płuc i zwiotczał.

Musi się wydostać! Jeśli zostanie złapany i zabity w uroczystej ciszy mauzoleum, morderca umknie wolny i śmierć Marie będzie przypieczętowana. Jego wrogowie zatrzasnęli odwróconą pułapkę. Musi odwrócić tę odwrotność i w jakikolwiek sposób przeżyć! Najlepiej jest uciekać etapami, wykorzystując każde powstałe lub stworzone przez siebie zamieszanie.

Etap pierwszy i etap drugi miał już za sobą. Jeśli jacyś inni ludzie szeptali teraz do nadajników, to już powstało pewne zamieszanie. Tym, czego potrzebował, było ognisko wybuchu tak gwałtownego i nieoczekiwanego, że ludzie polujący na niego w ciemności sami staną się obiektem nagłych, histerycznych poszukiwań.

Istniał na to tylko jeden sposób, a Jasonowi obce były dwuznaczne uczucia typu „Mogę-zginać-ale-spróbuję”. Musiał wygrać. Musiał stworzyć coś, co odniesie skutek. Przeżycie liczyło się ponad wszystko i to nie ze względu na jego osobę. Znow był najlepszym z zawodowców. spokojnym i działającym z rozmysłem.

Wstał, przecisnął się przez gałęzie i przebiegł przez otwartą przestrzeń do najbliższego filara. Potem przemknął do następnego stojącego z tyłu i jeszcze do następnego - do pierwszego filara w drugiej sali, oddalonego o dziewięć metrów od teatralnie oświetlonej trumny. Wyjrzał ostrożnie zza muru, nie spuszczać oczu z drzwi wejściowych.

I stało się. Oni. Oficer, który był „jeńcem” mordercy, wynurzył się w towarzystwie cywila, niosącego urzędową teczkę. Żołnierz trzymał przy boku nadajnik; podniósł go do ust, powiedział coś, słuchał przez chwilę, po czym potrząsnął głową chowając nadajnik do prawej kieszeni i wyciągając pistolet z kabury. Cywil krótko skinął głową, sięgnął pod marynarkę i wy dobył rewolwer z krótką lufą. Poszli w stronę szklanej trumny ze szczątkami Mao Tse-tunga, a potem wymieniwszy spojrzenia rozdzielili się - jeden ruszył w lewo, drugi w prawo.

Teraz! Jason podniósł broń, szybko wycelował i strzelił. Raz! Teraz o włos w prawo. Dwa! Wystrzały zabrzmiały jak kaszlnięcia w ciemności. Obaj mężczyźni upadli na sarkofag. Bourne chwycił gorący cylinder tłumika na pistolecie i odkręcił go. Zostało mu pięć nabo. Szybko, raz za razem pociągnął za spust. Huk wystrzałów wypełnił mauzoleum, odbijając się echem od marmurowych ścian. Pociski rozwaliły kryształową trumnę wbijając się w podskakujące od uderzeń ciało Mao Tse-tunga; jeden utkwiał w bezkrwistym czole, inny zmiażdżył oko.

Zawyły syreny, dzwonki alarmowe ryknęły ogłuszająco, a żołnierze ukazujący się równocześnie ze wszystkich stron w panice rzucili się ku miejscu straszliwej zniszczenia. W dwóch kolejkach turystów, uwięzionych w dziwnym świetle domu śmierci, wybuchła histeria. Tłum ruszył hurmą w stronę wyjścia i światła dziennego, tratując każdego, kto stanął mu na drodze. Jason Bourne przyłączył się do niego, wciskając w sam środek. Gdy dotarł do zalanego oślepiającym światłem placu Tiananmen, zbiegł po schodach.

D'Anjou! Jason pognał w prawo obiegając kamienny narożnik i biegł tak długo wzdłuż kolumn budowli, aż dotarł do jej fasady.

Wartownicy robili, co mogli, by uspokoić podniecone tłumy i równocześnie dowiedzieć się, co się stało. Wybuchały awantury.

Bourne z uwagą rozglądał się po okolicy, w której po raz ostatni widział d'Anjou, a potem przeniósł spojrzenie na obszar za barierką, w którym zgodnie z logiką mógł ujrzeć Francuza. Nic, nikogo, kto by go choć trochę przypominał.

Nagle usłyszał pisk opon na dalekim przejeździe widocznym w oddali po lewej. Gwałtownie się odwrócił i spojrzał. Mikrobus z ciemnymi szybami zakręcał ostro na ogrodzonej barierką przestrzeni, kierując się z wielką szybkością w stronę południowej bramy placu Tiananmen.

Złapali d'Anjou. Echo zniknęło.

ROZDZIAŁ 24

Qu'est-il arrive?

- Des coups de fer! Les gar des sont pa.niqu.es!

Bourne usłyszał okrzyki i biegiem dołączył do grupy francuskich turystów prowadzonych przez przewodniczkę, której cała uwaga skupiona była na chaosie panującym na schodach wiodących do mauzoleum. Zapiął marynarkę zasłaniając pistolet wetknięty za pasek i wsunął dziurkowaną rurę tłumika do kieszeni. Rozejrzał się wokół, szybko przecisnął z powrotem przez tłum i stanął koło dobrze ubranego, wyższego od siebie mężczyzny, o pogardliwym wyrazie twarzy. Jason był wdzięczny losowi, że przed nim znajdowało się jeszcze kilka bardziej rostrych od niego osób. Przy odrobinie szczęścia może w całym tym zamieszaniu uda mu się nie zwrócić na siebie uwagi. Drzwi na szczycie schodów prowadzących do mauzoleum były uchylone. Umundurowani mężczyźni biegali bez przerwy w górę i w dół. Najwidoczniej dowództwo straciło całkowicie panowanie nad sytuacją i Bourne dobrze wiedział dlaczego. Uciekło, po prostu zniknęło, nie chcąc, by przypisano mu jakiś udział w tych straszliwych wydarzeniach. Teraz jednak Jasona interesował tylko morderca. Czy wyjdzie na zewnątrz? Czy może raczej znalazł d'Anjou, schwytał swojego stwórcę i odjechał wraz z nim mikrobusem, przekonany, że prawdziwy Jason Bourne wpadł w pułapkę i jego zwłoki leżą teraz w zbezczeszczonym mauzoleum.

- Qu'est-ce que c'est? - zapytał Jason stojącego obok niego wysokiego, dobrze ubranego Francuza.

- Niewątpliwie kolejne, skandaliczne opóźnienie - odparł mężczyzna nieco zniewieściałym, paryskim akcentem. - To istny dom wariatów i moja cierpliwość się kończy! Wracam do hotelu.

- A czy może pan to zrobić? - Jason zmienił nieco swoją wymowę. Teraz mówił po francusku nie jak przedstawiciel klasy średniej, lecz jak absolwent przyzwoitego universite. Dla paryżan miało to zawsze bardzo duże znaczenie. - Chodzi o to, czy pozwolą nam odłączyć się od grupy? Przecież ciągle nam powtarzają, że mamy trzymać się razem.

- Jestem biznesmenem, nie turystą. Tej całej „wycieczki”, jak ją pan nazywa, wcale nie było w moim rozkładzie zajęć. Prawdę mówiąc, miałem wolne popołudnie - ci ludzie bez końca zwlekają z podjęciem decyzji - i pomyślałem sobie, że mógłbym zobaczyć to i owo. Niestety, nie było na podorędziu kierowcy, który mówiłby po francusku. Recepcjonistka przydzieliła mnie - proszę zwrócić uwagę, przydzieliła - do tej grupy. Wie pan, ta przewodniczka studiuje historię literatury francuskiej i mówi zupełnie, jakby urodziła się w siedemnastym wieku. Nie mam pojęcia, co to w ogóle za wycieczka.

- To pięciogodzinna trasa - wyjaśnił Jason, po odczytaniu chińskich znaków wydrukowanych na plakietce identyfikacyjnej wpiętej w klapę marynarki Francuza. - Po placu Tiananmen zwiedzamy grobowce dynastii Ming, a potem pojedziemy oglądać zachód słońca z Wielkiego Muru.

- No nie, doprawdy! Ja już widziałem Wielki Mur! Mój Boże, przecież to było pierwsze miejsce, gdzie zawiozło mnie tych dwunastu urzędników z Komisji Handlu bez przerwy baj durząc mi za pośrednictwem tłumacza, że jest to symbol ich trwałości. Cholera! Gdyby robocizna nie była u nich tak niewiarygodnie tania, a zyski tak nadzwyczajne...

- Ja też jestem tu w interesach, ale kilka dni spędzam również jako turysta. Zajmuję się importem

wyrobów koszykarskich. A pan?

- Tekstylia, a cóż by innego? Chyba że woli pan coś związanego z elektroniką albo ropą naftową, węglem, perfumami, nawet wyrobami z bambusa. - Biznesmen uśmiechnął się lekko z wyższością, ale i zrozumieniem. - Mówię panu, ci ludzie tutaj siedzą na skarbach i nie mają zielonego pojęcia, co z nimi robić.

Bourne spojrział uważnie na wysokiego Francuza. Przyszedł mu na myśl Echo z „Meduzy” i pewien galijski aforyzm, który głosił, że im bardziej rzeczy się zmieniają, tym bardziej pozostają takie same. Sposobność sama się nadarzy. Trzeba ją rozpoznać i wykorzystać.

- Jak już powiedziałem - oznajmił Jason patrząc na zamieszanie panujące na schodach - ja też jestem biznesmenem. Przebywam tu obecnie na krótkim urlopie, który zawdzięczam ulgom podatkowym przyznawanym przez nasz rząd tym, którzy prowadzą interesy za granicą. Ale dużo podróżowałem po Chinach i nieźle nauczyłem się języka.

- Bambus zwyzkuje na rynkach światowych - stwierdził sardonicznie paryżanin.

- Nasza produkcja najwyższej jakości ma swój główny rynek zbytu na Lazurowym Wybrzeżu, jak również w wielu miejscach na północy i południu. Rodzina Grimaldich od lat należy do naszych stałych klientów. - Bourne nie spuszczał wzroku ze schodów.

- Przepraszam za nietakt, kolego w interesach... na obcej ziemi. - Francuz właściwie po raz pierwszy popatrzył na Bourne'a.

- I mogę panu powiedzieć - rzekł Bourne - że zwiedzający nie wejdą już do mauzoleum Mao, a wszyscy uczestnicy wycieczek, którzy znajdują się w pobliżu, zostaną odseparowani i najprawdopodobniej zatrzymani.

- Mój Boże, dlaczego?

- Najwidoczniej wewnątrz zdarzyło się coś strasznego. Strażnicy wykrzykują coś o zagranicznych gangsterach... Czy pan wspomniał, że pana przydzielono do tej grupy, ale właściwie nie należał pan do niej?

- No, tak.

- Wyjaśnić panu, na jakiej podstawie wyciągnąłem mój ostatni wniosek? Że prawie na pewno zostanie pan zatrzymany?

- To niewiarygodne!

- Takie są Chiny...

- Niemożliwe! W grę wchodzi miliony franków! Jestem na tej koszmarnej wycieczce tylko dlatego...

- Radzę panu, żeby pan stąd zniknął, przyjacielu. Niech pan im powie, że wybrał się pan na przechadzkę. Proszę mi dać swoją plakietkę identyfikacyjną, a ja pomogę panu się jej pozbyć...

- A co to takiego?

- Podano na niej kraj, z którego pan pochodzi, i numer paszportu. Dzięki niej mogą nas mieć pod kontrolą w czasie wycieczki.

- Będę na zawsze pańskim dłużnikiem! - zawołał biznesmen, zrywając plastikową tabliczkę z

kłapy marynarki. - Jeżeli kiedykolwiek będzie pan w Paryżu...

- Większość czasu spędzam z księciem i jego rodziną w...

- Ależ oczywiście! Jeszcze raz dziękuję! - Francuz tak odmienny, a zarazem tak podobny do Echa, oddalił się pospiesznie. W przymglonym, żółtoszarym świetle słonecznym jego elegancka sylwetka wyróżniała się wśród tłumu, gdy kierował się w stronę Niebiańskiej Bramy. Rzucał się w oczy, jak fałszywy trop prowadzący myśliwego do zastawionej na niego pułapki.

Bourne przyczepił plastikową tabliczkę do kłapy swojej marynarki i od tej pory stał się pełnoprawnym członkiem oficjalnej grupy wycieczkowej. Była to jego przepustka przez bramy placu Tiananmen.

Wycieczkę pospiesznie zawrócono od mauzoleum i skierowano do Wielkiej Hali Ludowej. Potem zaś, gdy autobus przejeżdżał przez północną bramę, Jason ujrzał z jego okna francuskiego biznesmena, który znajdował się na granicy apopleksji i błagał pekińskich policjantów, by pozwolili mu przejść. Wieści rozchodziły się szybko. Jakiś Europejczyk straszliwie zbeczczył trumnę i czcigodne ciało Przewodniczącego Mao. Biały terrorysta z wycieczki, który na swym ubraniu nie ma właściwej tabliczki identyfikacyjnej. Wartownicy na schodach zameldowali o takim właśnie człowieku.

"Wspominam zaiste - rzekła przewodniczka archaiczną francuszczyzną. Stała przy posągu rozwścieczonego lwa we wspaniałej alei Zwierząt, gdzie potężne, kamienne rzeźby wielkich kotów, koni, słoni i groźnych, mitycznych bestii strzegły drogi wiodącej do grobowców dynastii Ming. - Aliści pamięć ma zawodzi w przedmiocie pańskiej znajomości naszej mowy. I zaprawdę imaginuję, iż słyszałam pana władającego naszym językiem parę chwil temu za ledwie.

Studiuje historię literatury francuskiej i mówi zupełnie, jakby urodziła się w siedemnastym wieku... tak określił ją ów oburzony biznesmen, który teraz niewątpliwie był o wiele bardziej oburzony.

- Nie robiłem tego wcześniej - odparł Bourne w dialekcie mandaryńskim - ponieważ była pani razem z innymi członkami wycieczki, a ja nie lubię się wyróżniać. Ale chciałbym, żebyśmy teraz mówili w pani języku.

- Bardzo dobrze pan nim włada.

- Dziękuję. Czy więc przypomina sobie pani, że zostałem dołączony do pani grupy w ostatniej chwili?

- Kierownik hotelu Pekin ustalał to z moim zwierzchnikiem, ale owszem, przypominam sobie. - Kobieta uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - Prawdę mówiąc, grupa jest tak duża, że przypominam sobie jedynie, iż dawałam wysokiemu mężczyźnie plakietkę naszej grupy wycieczkowej, którą obecnie widzę przed sobą. Będzie pan musiał dopłacić juana do pańskiego rachunku hotelowego. Przykro mi, ale nie był pan uwzględniony w programie turystycznym.

- Nie, nie byłem, ponieważ jestem handlowcem prowadzącym negocjacje z waszym rządem.

- Życzę panu powodzenia - powiedziała przewodniczka z zalotnym uśmiechem. - Jednym się to udaje, innym nie.

- Chodzi o to, że mogę nie być w stanie zrobić niczego - odparł Jason odwzajemniając uśmiech. - Mówię po chińsku dużo lepiej, niż czytam. Kilka minut temu dotarło do mnie znaczenie kilku słów i uświadomiłem sobie, że mniej więcej za pół godziny mam spotkanie w hotelu Pekin. Jak mogę to

załatwić?

- Problem polega na znalezieniu środka transportu. Napiszę panu, co potrzeba, a pan okaże to strażnikom przy Dahongmen...

- Wielkiej Czerwonej Bramie? - przerwał jej Bourne. - Tej z łukowymi sklepieniami?

- Tak. Są tam autobusy, które zawiozą pana z powrotem do Pekinu. Możliwe, że się pan spóźni, ale jak sądzę, spóźnianie się jest również jednym ze zwyczajów przedstawicieli rządu. - Wyjęła z kieszeni swojego mundurka, będącego kopią bluzy Przewodniczącego Mao, notes i długopis przypominający trzcinę.

- Czy mnie nie zatrzymają?

- Jeżeli to zrobią, proszę im powiedzieć, żeby wezwali przedstawicieli rządu - powiedziała przewodniczka. Napisała po chińsku instrukcje i wyrwała kartkę z notesu.

To nie jest pańska grupa wycieczkowa! - burknął kierowca autobusu w dialekcie mandaryńskim używanym przez niższe klasy, kręcąc głową i szturchając palcem w klapę marynarki Jasona. Najwyraźniej nie spodziewał się, by jego słowa wywarły na turyście jakiegokolwiek wrażenie i dlatego podkreślał je przesadnymi gestami oraz podniesionym głosem. Było również widać, że ma nadzieję, iż jeden z jego przełożonych znajdujących się pod łukowym sklepieniem Wielkiej Czerwonej Bramy doceni jego czujność. Tak też się stało.

- Czy jest jakiś kłopot? - spytał poprawnie wysławiający się wojskowy, który podszedł szybkim krokiem do drzwi autobusu i przepychał się teraz między stojącymi za Bourne'em turystami.

Sposobność sama się nadarzy...

- Nie ma żadnego - Jason odparł po chińsku ostrym, nawet aroganckim tonem. Odebrał kierowcy notatkę sporządzoną przez przewodniczkę i wcisnął ją do ręki młodemu oficerowi. - Chyba że chce pan być odpowiedzialny za moją nieobecność na ważnym spotkaniu z delegacją Komisji Handlu, w której kierownikiem zaopatrzenia armii jest generał Liang Taki-czy-owaki.

- Mówi pan po chińsku? - wojskowy ze zdziwieniem uniósł wzrok znad kartki.

- To chyba słyhać. Generał Liang również mówi.

- Nie rozumiem powodu pańskiego gniewu.

- To może zrozumie pan powód gniewu generała Lianga - przerwał mu Bourne.

- Nie znam generała Lianga, proszę pana, ale mamy tak wielu generałów. Czy zdenerwowało pana coś w czasie wycieczki?

- Zdenerwowali mnie durnie, którzy powiedzieli mi, że wycieczka będzie trwała trzy godziny, a okazało się, że trwa pięć! Jeżeli z powodu ich niekompetencji nie zdążę na to spotkanie, kilku członków komisji rządowej będzie bardzo zirytowanych, a wśród nich pewien wpływowy generał z Armii Ludowej, który jest bardzo zainteresowany dokonaniem pewnych zakupów we Francji. - Jason przerwał, uniósł rękę i dodał szybko, już znacznie łagodniejszym tonem. - Jeżeli jednak dotrę tam na czas, z całą pewnością wspomnę imiennie o każdym, kto mi pomoże.

- Oczywiście, że pomogę panu! - oznajmił młody oficer. Jego oczy płonęły oddaniem. - Ten ciężarny wieloryb zwany autobusem będzie tam pana wiozł grubo ponad godzinę i tylko wtedy, jeżeli temu żałosnemu kierowcy uda się utrzymać na szosie. Mam do dyspozycji o wiele szybszy pojazd i

doskonałego kierowcę, który zawiezie pana na miejsce. Zrobiłbym to sam, ale nie powinienem opuszczać mego posterunku.

- Wspomnę generałowi również o pańskim poczuciu obowiązku.

- To moja druga natura, proszę pana. Nazywam się...

-- Tak, proszę mi podać swoje nazwisko. Niech je pan zapisze na tym kawałku papieru.

Bourne siedział w zatłoczonym holu w lewym skrzydle hotelu Pekin. Złożona na pół gazeta zasłaniała częściowo jego twarz, a jej lewy brzeg był nieco zawinięty, dzięki czemu Bourne widział drzwi wejściowe. Czekał na pojawienie się Jeana Louisa Ardissona zamieszkałego w Paryżu. Jason bez trudu dowiedział się, jak brzmi jego nazwisko. Dwadzieścia minut temu podszedł do Biura Obsługi Ruchu Turystycznego i odezwał się do urzędniczki swym najlepszym mandaryńskim.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale jestem pierwszym tłumaczem francuskiej delegacji prowadzącej interesy z przemysłem państwowym i obawiam się, że przepadła mi gdzieś jedna zbłąkana owieczka.

- Musi pan być świetnym tłumaczem. Mówi pan doskonale po chińsku... Co się stało z pańską... oszołomioną owieczką? - Kobieta zachichotała cichutko z ostatniego zdania.

- Nie jestem tego pewien. Piliśmy kawę w kawiarni i mieliśmy właśnie omówić jego program dnia, kiedy spojrzał na zegarek i powiedział, że odezwie się do mnie później. Miał zamiar pojechać na jedną z pięciogodzinnych wycieczek i najwyraźniej bał się spóźnić. Było mi to nie na rękę, ale zdaję sobie sprawę, co się dzieje z gośćmi, którzy po raz pierwszy przyjeżdżają do Pekinu. Są rzeczywiście oszołomieni.

- Też tak sędzę - przytaknęła urzędniczka. - Ale co możemy dla pana zrobić?

- Muszę wiedzieć, jak dokładnie brzmi jego nazwisko i czy ma drugie imię albo to, co nazywają imieniem z bierzmowania - te dane muszą być umieszczone w państwowych dokumentach, które wypełnię w jego imieniu.

- Ale w jaki sposób moglibyśmy panu pomóc?

- Zostawił to w kawiarni. - Jason podał jej plakietkę identyfikacyjną francuskiego biznesmena. - Nie mam nawet pojęcia, w jaki sposób dostał się na tę swoją wycieczkę.

Kobieta roześmiała się bez troski sięgając do dolnej szuflady biurka po rejestr ze spisem wycieczek na bieżący dzień.

- Powiedziano mi, skąd odjeżdżają autobusy, a przewodniczka nie robiła trudności, ponieważ każda z nich ma imienną listę. Te plakietki ciągle się odczepiają, więc z całą pewnością dostał tymczasową kartę uczestnika. - Urzędniczka wzięła plakietkę i przewracając kartki rejestru ciągnęła dalej: - Mówię panu, ci idioci, którzy produkują te plakietki, nie powinni dostawać złamanego juana za swoje wyroby. Mamy wszystkie te szczegółowe przepisy, surowy regulamin i od samego początku wychodzimy na durniów. Kto taki?

- Kobieta przerwała trzymając palec na zapisie w rejestrze. - Och, niech to złe duchy - powiedziała cicho i spojrzała w górę na Bourne'a. - Nie wiem, czy pańska owieczka jest rzeczywiście oszołomiona, ale muszę pana uprzedzić, że bardzo głośno beczy. Ten człowiek uważa się za kogoś niezwykle wielkiego i jest bardzo nieprzyjemny. Kiedy usłyszał, że nie mamy szofera, który mówi po francusku, uznał to za obrazę godności narodowej oraz jego własnej - i to drugie było dla niego

zdecydowanie ważniejsze. Proszę, niech pan sam przeczyta jego nazwisko. Nie jestem w stanie go wymówić.

- Bardzo pani dziękuję - rzekł Jason, zaglądając do książki. Następnie podszedł do opatrzonej napisem „Angielski” budki z wewnętrznym telefonem i poprosił o połączenie go z pokojem pana Ardissona.

- Może pan sam nakręcić numer - odparł operator centrali telefonicznej. W jego głosie brzmiała duma z osiągnięć technologii, jakie miał do dyspozycji. - To pokój tysiąc siedemset czterdzieści trzy. Bardzo dobry pokój. Doskonały widok na Zakazane Miasto.

- Dziękuję. - Bourne połączył się z podanym numerem pokoju. Nikt nie odpowiadał. Monsieur Ardisson jeszcze nie wrócił i w zaistniałej sytuacji mógł się nie pojawić jeszcze dość długo. Z drugiej jednak strony, owieczka, która znana jest ze swoich skłonności do beczenia, na pewno nie będzie siedziała cicho, gdy wystawiono na szwank jej godność lub jej dochody. Jason postanowił, że poczeka na Francuza. W jego myślach zaczął powstawać zarys planu. Była to strategia rozpaczliwie oparta wyłącznie na przypuszczeniach, ale nie miał wyboru. Kupił w kiosku francuskie czasopismo sprzed miesiąca i usiadł. Nagle poczuł się zupełnie bezradny i bezsilny.

Na ekranie wyobraźni Dawid Webb ujrzał twarz Marie i przestrzeń wokół niego wypełnił jej głos. Rozbrzmiewał echem w jego uszach, blokując myśli i wywołując straszliwy ból w samym środku czoła. Jason Bourne z trudem uwolnił się od tych natrętnych wrażeń. Ekran zgasł. Ostatni promyk migocącego na nim światła zniknął, zgaszony lodowatym władczym tonem polecenia. Przestań! Nie ma na to czasu. Skoncentruj się na tym, na czym powinieneś. Na niczym innym!

Wzrok Jasona błędził po sali i co chwila powracał do drzwi wejściowych. Klientela wypełniająca hol wschodniego skrzydła była międzynarodowa. Tworzyła mieszaninę języków i strojów z Fifth Avenue, Madison Avenue, Savile Row, St. Honore i Via Condotti. Widać tu było również utrzymane w bardziej szarych tonacjach ubiory z obu części Niemiec i z krajów skandynawskich. Goście hotelowi wchodzili i wychodzili z jaskrawo oświetlonych sklepów. Byli wyraźnie rozbawieni i zaintrygowani apteką, gdzie sprzedawano wyłącznie chińskie lekarstwa, tłoczyli się w sklepie z ludowym rękodziełem, który znajdował się tuż obok wielkiej plastycznej mapy świata umieszczonej na ścianie. Co chwila przez drzwi przechodził ktoś ważny w otoczeniu swojej świty albo pojawiali się w nich usłudźni tłumacze, którzy kłaniając się pośredniczyli w rozmowach między umundurowanymi reprezentantami rządu, starającymi się zachować beznamiętny wyraz twarzy, a przybyłymi z całego świata handlowymi przedstawicielami o'oczach zamglonych różnicą czasu, potrzebą snu poprzedzonego być może szklaneczką whisky. Mogą to być Czerwone Chiny, ale pertraktacje handlowe są starsze niż kapitalizm i świadomi swego zmęczenia kapitaliści nie chcieli rozmawiać o interesach, dopóki nie będą w stanie trzeźwo myśleć. Niech żyją Adam Smith i Dawid Hume.

I wreszcie zjawił się! Jean Louis Ardisson wkroczył przez drzwi w otoczeniu co najmniej czterech chińskich wyższych urzędników, którzy ze wszystkich sił starali się go udobruchać. Jeden z nich popędził przodem do znajdującego się „w holu sklepu z alkoholami, podczas gdy pozostali zatrzymali Francuza przy drzwiach windy, zagadując go bez przerwy za pośrednictwem tłumacza. Chiński urzędnik, który poszedł do sklepu, wrócił po chwili trzymając w ręku plastikową torbę, której dno wyraźnie obwisło pod ciężarem kilku butelek. Gdy drzwi windy otworzyły się. Chińczycy zaczęli się kłaniać i uśmiechać. Jean Louis Ardisson przyjął swą rekompensatę za straty moralne i

wszedł do windy. Dopiero gdy drzwi się zamykały, skinął głową na pożegnanie.

Bourne siedział w dalszym ciągu obserwując zapalające się kolejno światełka z numerami pięter. Piętnaste, szesnaste, siedemnaste. Winda dotarła na najwyższe piętro, na którym mieszkał Ardisson. Jason wstał i ponownie podszedł do telefonów. Patrzył na sekundnik swojego zegarka. Jego obliczenia były wyłącznie teoretyczne, ale przecież podniecony człowiek nie będzie po wyjściu z windy wracał do swego pokoju wolnym krokiem. Pokój był dla niego czymś, co oznaczało odprężenie, ulgę, jaką po paru godzinach napięcia i przerażenia może dać samotność. Zatrzymanie i przesłuchanie przez policję w obcym państwie mogło przestraszyć każdego, ale stawało się koszmarem, gdy widokowi całkowicie obcych twarzy i brzmieniu niezrozumiałego języka towarzyszyła świadomość, że jest się uwięzionym w kraju, w którym ludzie często w nie wyjaśniony sposób znikają bez śladu. Po takich przeżyciach po wejściu do pokoju człowiek przestaje panować nad nerwami. Zaczyna drżeć ze strachu i wyczerpania, zapala papierosa za papierosem, zapominając, gdzie zostawił poprzedniego; wypija kilka kieliszków czegoś mocniejszego, jeden po drugim, żeby szybciej zaczęły działać. I wreszcie chwyta za telefon, by podzielić się wiadomościami o swych koszmarnych przejściach, kierując się podświadomą nadzieją, że jeżeli komuś o nich opowie, to staną się one mniej przerażające. Bourne mógł pozwolić Ardissonowi na załamanie nerwowe i tyle wina czy wódki, ile będzie w stanie wypić, ale nie może mu pozwolić na telefonowanie. Francuz nie może się z nikim podzielić swym przerażeniem; ono nie może osłabnąć. Wręcz przeciwnie, strach Ardissona powinien być jeszcze bardziej rozbudzony, spotęgowany do takiego stanu, że sparaliżuje go całkowicie, ugruntuje w nim przekonanie, że jego życie będzie zagrożone w chwili, gdy opuści swój pokój. Minęło czterdzieści siedem sekund, czas dzwonić.

- Alio! - głos był pełen napięcia, zadyszany.

- Będę się streszczał - powiedział Jason cicho po francusku. -

Proszę zostać tam, gdzie pan jest i nie używać telefonu. Dokładnie za osiem minut zapukam do pańskiego pokoju dwa razy szybko i po przerwie jeszcze raz. Proszę mnie wpuścić, ale nikogo poza tym. Zwłaszcza pokojówki czy sprzątaczkę.

- Kim pan jest?

- Pańskim rodakiem, który musi z panem porozmawiać. Dla pańskiego własnego bezpieczeństwa. Za pięć minut. - Bourne odwiesił słuchawkę i wrócił na swój fotel. Odmierzał mijające minuty i obliczał, w jakim czasie winda z normalną liczbą pasażerów może przejechać z jednego piętra na drugie. Po wyjściu z windy wystarczy trzydzieści sekund, by dotrzeć do dowolnego pokoju na tym piętrze. Sześć minut minęło i Jason wstał. Ukłonił się zdziwionemu nieznanemu, który siedział obok, po czym podszedł do windy; świecąca nad nią cyfra wskazywała, że to właśnie ona pierwsza zjedzie na dół do holu. Osiem minut to było w sam raz tyle, ile trzeba, by odpowiednio przygotować obiekt. Pięć to zbyt mało, żeby wytworzyć odpowiedni stan napięcia. Sześć - to już lepiej, ale mijały zbyt szybko. Natomiast osiem wciąż stwarzało wrażenie nagłości sprawy, a przy tym dostarczało dodatkowych chwil niepokoju, osłabiających zdolność oporu obiektu. Bourne nie miał jeszcze skryzalizowanego planu. Cel jednak był wyraźnie określony, jedyny. Tylko to mu pozostało i wszelkie instynkty kryjące się w jego meduzyjskim ciele nakazywały mu do niego dążyć. Delta Jeden znał orientalny sposób myślenia. Pod jednym względem nie zmienił się on od stuleci. Zachowanie tajemnicy warte jest dziesięć tysięcy tygrysów albo nawet królestwo.

Stanął przed drzwiami z numerem 1743 i spojrzął na zegarek. Dokładnie osiem minut. Zastukał dwa razy, odczekał i stuknął jeszcze raz. Drzwi otworzyły się i wstrząśnięty Ardisson wytrzeszczył na niego oczy.

- C'est vous\ - zawołał Francuz podnosząc rękę do ust.

- Spokojnie - powiedział Jason po francusku. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. - Musimy porozmawiać - ciągnął dalej, - Muszę się od pana dowiedzieć, co się zdarzyło.

- To pan! To pan stał koło mnie w tym koszmarnym miejscu. Rozmawialiśmy. Wziął pan moją plakietkę identyfikacyjną! To pań był przyczyną wszystkiego!

- Czy wspomniał pan o mnie?

- Nie ośmieliłem się. Przecież sprawiłoby to wrażenie, że zrobiłem coś nielegalnego - oddając moją przepustkę komuś obcemu. Kim pan jest? Sprawił mi pan wystarczająco dużo kłopotów jak na jeden dzień! Uważam, że powinien pan wyjść, monsieur!

- Nie zrobię tego, dopóki nie opowie mi pan dokładnie, co się wydarzyło. - Bourne przeszedł przez pokój i usiadł przy czerwonym stoliczku z laki. - Muszę się dowiedzieć. To niezwykle pilne.

- Cóż, to, co panu powiem, wcale nie jest pilne. Nie ma pan prawa tu wchodzić, rozsiadać się i wydawać mi rozkazów.

- Obawiam się, że mam takie prawo. Nasza wycieczka miała prywatny charakter, a pan się do niej wmieszał.

- Przecież zostałem d o ł ą c z o n y do tej cholernej wycieczki!

- Na czyje polecenie?

- Recepcjonisty czy jak się tam nazywa ten idiota na dole.

- Nie o niego mi chodzi, lecz o kogoś nad nim. Kto to był?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi.

- Odłączył się pan.

- Mój Boże, przecież to pan mi powiedział, żebym się odłączył!

- Wystawiałem pana na próbę.

- Próbę?... To nie do wiary!

- Proszę mi wierzyć - rzekł Jason. - Jeżeli mówi pan prawdę, nie stanie się panu nic złego.

- Złego?

- Nie zabijamy niewinnych, jedynie wrogów.

- Zabijacie... wrogów?

Bourne wsadził rękę pod marynarkę, wyciągnął pistolet z za paska i położył go na stoliku. - A teraz proszę mnie przekonać, że pan nie jest wrogiem. Co się zdarzyło, kiedy się pan od nas odłączył?

Oszołomiony Ardisson zatoczył się aż pod ścianę. Nie spuszczał przerażonych, szeroko otwartych oczu z broni. - Przysięgam na wszystkich świętych, że rozmawia pan z niewłaściwą osobą - wyszeptał.

- Niech mnie pan przekona.

- O czym?

- O swojej niewinności. Co się wydarzyło?

- Ja... tam na placu - zaczął przerażony biznesmen - myślałem o tym, co mi pan powiedział: że coś strasznego zdarzyło się w mauzoleum Mao, że chińscy strażnicy wykrzykują coś o zagranicznych gangsterach, i że ludzie zostaną oddzieleni i zatrzymam... szczególnie tacy jak ja, którzy w zasadzie nie są członkami grupy wycieczkowej... Dlatego zacząłem biec... Mój Boże, przecież nie mogłem znaleźć się w takiej sytuacji! W grę wchodzi miliony franków, zyski, o jakich nie słyszano w przemyśle pracującym dla świata mody! Nie jestem przecież jakimś tam kupcem, ja reprezentuję konsorcjum!

- Dlatego zaczął pan biec i zatrzymali pana - przerwał mu Jason, chcąc uniknąć wdawania się w zbędne szczegóły.

- Tak! Mówili tak szybko, że nie rozumiałem ani słowa i dopiero po godzinie znaleźli jakiegoś urzędnika, który znał francuski.

- Dlaczego nie powiedział im pan po prostu prawdy? Że był pan z wycieczką?

- Dlatego, że przecież uciekałem od tej choleralnej grupy, a oprócz tego oddałem panu swoją plaketkę identyfikacyjną! Jak przyjęliby to ci barbarzyńcy, którzy w każdym człowieku o białej twarzy widzą faszystowskiego zbrodniarza?

- Naród chiński nie jest barbarzyński, monsieur - powiedział łagodnym głosem Bourne. I natychmiast potem wrzasnął: - Jedynie polityczna filozofia ich rządu jest barbarzyńska! Pozbawiona łaski Boga Wszechmogącego i powstała z poduszczenia Szatana!

- Słucham?

- Może później wyjaśnię - odparł Jason. Jego głos znowu raptownie złagodniał. - A więc przybył urzędnik, który mówił po francusku. I co zdarzyło się wtedy?

- Powiedziałem mu, że poszedłem na przechadzkę - to była pańska sugestia, monsieur. I że nagle przypomniałem sobie o oczekiwanym telefonie z Paryża. Zacząłem spieszyć się do hotelu i dlatego biegłem.

- Całkiem prawdopodobne.

- Ale nie dla urzędnika, monsieur. Zaczął odnosić się do mnie w bardzo grubiański sposób, czynił niezwykle obraźliwe uwagi i wysuwał najobrzydliwsze insynuacje. Zastanawiałem się, co, na litość boską, zdarzyło się w mauzoleum?

- To był prawdziwy majstersztyk, monsieur - odpowiedział Bourne. Oczy rozszerzyły mu się z zachwyty.

- Słucham?

- Może później. A więc urzędnik zachowywał się w grubiański sposób?

- Całkowicie! Ale posunął się za daleko, kiedy zaatakował' paryską modę, nazywając ją dekadencją, burżuazyjnym przemysłem! Przecież w końcu płacimy im za te ich cholerne tekstylia, a oni oczywiście wcale nie muszą wiedzieć, jaka jest nasza marża.

- I co pan zrobił?

- Zawsze mam przy sobie spis nazwisk osób, z którymi prowadzę negocjacje. Niektórzy z tych ludzi są, o ile się orientuję, nader ważnymi osobistościami. Zważywszy na to, jak wielkie sumy

wchodzą w grę, jest to zupełnie zrozumiałe. Zażądałem, by urzędnik porozumiał się z nimi i odmówił - proszę zwrócić uwagę: odmówił - odpowiedzi na dalsze pytania, dopóki nie zjawi się przynajmniej kilku z nich. No cóż, trwało to następne dwie godziny, ale niech mi pan wierzy, wszystko się odmieniło! Odwieziono mnie tu chińską wersją limuzyny, cholernie ciasną jak na mężczyznę o moich wymiarach, wraz z czterema osobami towarzyszącymi. A co gorsza, powiedzieli mi, że nasza końcowa konferencja znowu została odłożona. Nie odbędzie się jutro rano, lecz po południu. Cóż to za pora na robienie interesów? - Ardisson odsunął się od ściany. Oddychał głośno, w jego oczach widać było błaganie. - I to wszystko, co mogę panu powiedzieć, monsieur. Jak pan widzi, musiał mnie pan z kimś pomylić. Nie zajmowałem się tu niczym poza sprawami mojego konsorcjum.

- Ale pan powinien! - zawołał Jason oskarżycielsko, ponownie podnosząc głos. - Robienie interesów z bezbożnikami jest działaniem na szkodę Pana naszego!

- Słucham?

- Przekonał mnie pan - oznajmił kameleon. - Jest pan pomyłką.

- Czym?

- Powiem panu, co zdarzyło się w mauzoleum Mao Tse-tunga. My to zrobiliśmy. Ostrzelaliśmy kryształową trumnę i ciało tego podłego ateisty.

- Co zrobiliście?

- I w dalszym ciągu będziemy niszczyć wrogów Chrystusa, gdziekolwiek zdołamy ich znaleźć! Przyniesiemy na nowo światu Jego posłannictwo miłości, nawet gdybyśmy musieli w tym celu zabić każdą zarażoną owcę w owczarni, która myśli inaczej! Będzie to chrześcijański świat albo nie będzie go w ogóle.

- Z całą pewnością musi jednak istnieć możliwość jakichś negocjacji. Proszę pomyśleć o pieniądzach, o możliwości wsparcia finansowego.

- Ale nie od Szatana! - Bourne wstał z krzesła, wziął ze stolika pistolet, wsunął go za pasek, a następnie zapiał marynarkę i obciągnął ją, jakby to była kurtka munduru. Podszedł do zdeorientowanego biznesmena. - Nie jest pan jeszcze wrogiem, ale niewiele panu do tego brakuje, monsieur. Proszę o pański portfel i dokumenty handlowe, a także nazwiska tych, z którymi prowadzi pan pertraktacje.

- Pieniądze...

- Nie przyjmujemy datków. Nie potrzebujemy ich.

- To dlaczego?

- Dla pańskiego bezpieczeństwa, jak również dla naszego. Nasze tutejsze komórki muszą sprawdzić poszczególne osoby, żeby ustalić, czy przypadkiem nie został pan wyprowadzony w pole. Istnieją dowody, że wróg mógł przeniknąć w nasze szeregi. Wszystko zostanie panu zwrócone w dniu jutrzejszym.

- Doprawdy, muszę zaprotestować...

- Dość - przerwał mu kameleon. Jego ręka wsunęła się pod marynarkę i pozostała tam. - Pytał pan, kim jestem? Musi panu wystarczyć, co powiem. Wiadomo, że nasi nieprzyjaciele korzystają z usług takich sił, jak OWP, różne Czerwone Armie, fanatycy ajatollaha, grupa Baader-Meinhof. A

więc i my zorganizowaliśmy nasze własne brygady. Nie dajemy ani nie prosimy o zmiłowanie. To walka na śmierć i życie.

- Mój Boże!

- Walczymy w Jego imieniu. Niech pan nie opuszcza pokoju. Niech pan wyda polecenie, żeby posiłki przynoszono panu tutaj. Niech pan nie dzwoni do swoich kolegów ani partnerów tu, w Pekinie. Inaczej mówiąc, ma pan pozostać w ukryciu i modlić się. Muszę panu powiedzieć, że jeżeli mnie śledzono i wyjdzie na jaw, iż przyszedłem do pańskiego pokoju, po prostu zniknie pan bez śladu.

- Niewiarygodne!... - Oczy Ardissona nagle zmatowiały. Całe jego ciało zaczęło drżeć.

- Proszę o pański portfel i dokumenty.

Posługując się całym zestawem dokumentów Ardissona oraz jego spisem osób reprezentujących w negocjacjach rząd chiński, Jason wynajął samochód rzekomo w imieniu konsorcjum Francuza. Ku wyraźnej uldze ekspedytora w Chińskim Międzynarodowym Biurze Obsługi Podróżnych przy ulicy Cha-oyangmen Bourne wyjaśnił, że władza biegle mandaryńskim, a ponieważ wynajęty samochód będzie prowadzić jeden z chińskich urzędników, kierowca jest zbyteczny. Ekspedytor poinformował go, że samochód zostanie podstawiony pod hotel o siódmej wieczorem. Jeżeli wszystko się uda, pomyślał Bourne, to przez dwadzieścia cztery godziny będę miał taką swobodę ruchów, na jaką mógł liczyć w Pekinie Europejczyk. A to już coś. W ciągu pierwszych dziesięciu godzin tej doby okaże się, czy ta zrodzona z rozpaczy strategia pozwoli mu wydostać się z ciemności, czy też wtrąci Marie i Dawida Webba w otchłań. Ale Delta Jeden znał orientalny sposób myślenia. Pod jednym względem nie zmienił się on od stuleci. Zachowanie tajemnicy warte jest dziesięć tysięcy tygrysów albo nawet królestwo.

Wracając do hotelu, Bourne zatrzymał się na zatłoczonej ulicy handlowej Wangfujing, która znajdowała się tuż obok wschodniego skrzydła hotelu. Pod numerem 255 mieścił się Główny Dom Towarowy, w którym Jason kupił niezbędną odzież i sprzęt. Pod numerem 261 znalazł sklep o nazwie Tuzhang Menshibu, co można było przetłumaczyć jako Zakład Grawerowania Pieczęci, gdzie nabył najbardziej oficjalnie wyglądający papier listowy, jaki mógł znaleźć. (Z zaskoczeniem i radością stwierdził, że lista Ardissona zawierała nazwiska nie jednego, lecz dwóch generałów. Ale cóż w tym dziwnego? Francuzi produkowali Exocety i chociaż raczej nie należały one do asortymentu domów mody, zajmowały czołową pozycję na wszystkich listach sprzętu wojskowego o wysokim stopniu technologicznej doskonałości). Wreszcie pod numerem 265 na Wangfujing, w tak zwanym „Sklepie Artystycznym”, Bourne kupił pióro do kaligrafii, plan Pekinu i jego okolic oraz mapę, na której zaznaczone były drogi prowadzące z Pekinu do miast na południu kraju.

Zaniósł zakupy do hotelu, usiadł przy biurku w holu i rozpoczął przygotowania. Najpierw napisał po chińsku notatkę uwalniającą kierowcę wynajętego samochodu od wszelkiej odpowiedzialności za przekazanie pojazdu cudzoziemcowi. Notatka była podpisana przez generała i stanowiła właściwie rozkaz. Następnie rozłożył mapę i zakresił kółko wokół niewielkiej, zielonej plamki na północno--zachodnich przedmieściach Pekinu.

Rezerwat Ptaków Jing Shan.

Zachowanie tajemnicy warte jest dziesięć tysięcy tygrysów albo nawet królestwo.

ROZDZIAŁ 25

Marie zerwała się z krzesła, gdy rozległ się ostry, brzęczący dzwonek telefonu. Krzywiąc się z bólu pobiegła kulejąc przez pokój i podniosła słuchawkę. - Halo?

- Czy to pani Austin?

- Mo?... Mo Panov! Dzięki Bogu. - Marie zamknęła oczy, czując, jak ogarnia ją ulga i wdzięczność. Od jej rozmowy z Aleksandrem Conklinem minęło już prawie trzydzieści godzin i oczekiwanie, napięcie, a przede wszystkim poczucie bezsilności doprowadziły ją niemal do hysterii. - Aleks powiedział, że ma zamiar cię poprosić, abyś tu z nim przyjechał. Przypuszczał, że się zgodzisz.

- Przypuszczał? Czy mogła tu być jakaś wątpliwość? Jak się czujesz, Marie? I nie życzę sobie żadnych wykrętnych odpowiedzi.

- Odchodzę od zmysłów, Mo. Próbuję się opanować, ale odchodzę od zmysłów.

- Dopóki jednak nie zakończyłaś tej swojej podróży, to muszę ci powiedzieć, że byłaś wspaniała. A biorąc pod uwagę, z jakim trudem przychodzi ci robić każdy krok, jest to jeszcze większe osiągnięcie. Ale wcale nie potrzebujesz ode mnie jakiejś kuchennej psychologii. Po prostu szukałem pretekstu, żeby usłyszeć twój głos.

- I przekonać się, czy nie jestem już bełkocącą ruiną człowieka - stwierdziła Marie łagodnie, ale tonem nie dopuszczającym dyskusji.

- Zbyt wiele przeszliśmy wspólnie, żebym teraz uciekał się do takich trzeciorzędnych wybiegów. Nigdy by mi się to z tobą nie udało. I dlatego po prostu tego nie robię.

- Gdzie jest Aleks?

- Rozmawia z sąsiedniego automatu. Poprosił mnie, żebym do ciebie zadzwonił. Najwidoczniej chce z tobą pogadać, ale osoba, z którą w tym momencie rozmawia, ciągle wisi na telefonie... Poczekaj chwilkę. Kiwa głową. Następny głos, który usłyszysz i tak dalej, i tak dalej...

- Marie?

- Aleks? Dziękuję. Dziękuję, że przyjechałeś...

- Jak by powiedział twój mąż: „Nie ma na to czasu”. W co byłaś ubrana, kiedy cię ostatnio widzieli?

- Ubrana?

- Kiedy im umknęłaś.

- Uciekłam im dwukrotnie. Po raz drugi w Tuen Mun.

- Nie wtedy - przerwał jej Conklin, - Grupa była niewielka i panowało zbyt duże zamieszanie - jeżeli dobrze pamiętam to, co mi powiedziałaś. W zasadzie widziało cię tylko paru żołnierzy z piechoty morskiej i nikt poza tym. Tutaj. Tu w Hongkongu. Zaczną od opisu, który utrwalił się im w pamięci. Jak byłaś wtedy ubrana?

- Niech pomyślę. W szpitalu...

- Później - przerwał jej Aleks. - Powiedziałaś mi coś o zmianie ubrania i kupieniu paru rzeczy.

Konsulat kanadyjski. Mieszkanie Staples. Możesz sobie przypomnieć?

- Na litość boską, jakim cudem to zapamiętałeś?

- Żaden sekret. Robię notatki. To jeden z ubocznych skutków alkoholu. Pospiesz się, Marie. Tylko w ogólnym zarysie, co miałaś na sobie?

- Plisowaną spódnicę... Tak, szarą, plisowaną spódnicę. I taką błękitnoszarą bluzkę z wysokim kołnierzykiem...

- Pewnie je zmienisz.

- Co?

- Mniejsza o to. Co jeszcze?

- Och, i kapelusz. Z dość szerokim rondem, żeby zasłaniało mi twarz.

- Doskonale!

- I podrabianą torebkę Gucciego, którą kupiłam na ulicy. O, a poza tym sandały, żeby robić wrażenie niższej.

- Chcę, żebyś miała swój normalny wzrost. Będziemy się trzymać butów na obcasie. Wspaniale, tego właśnie potrzebowałam.

- Po co, Aleks? Co ty właściwie robisz?

- Bawię się w chowanego. Doskonale zdaję sobie sprawę, że paszportowe komputery Departamentu Stanu mnie wyłowiły. A jeżeli weźmiemy pod uwagę mój płynny, sprężysty krok, to bez trudu można się domyślić, że nawet ich cerbery zdołały mnie rozpoznać w czasie kontroli celnej. Nie mają o niczym zielonego pojęcia, ale dostali od kogoś rozkaz, a ja bardzo chciałbym wiedzieć, kto się jeszcze pojawi.

- Chyba niezbyt cię rozumiem.

- Wyjaśnię ci później. Zostań tam, gdzie jesteś. Zjawimy się, gdy tylko uda nam się im urwać. Ale operację musimy przeprowadzić bardzo czysto, nawet sterylnie. Może to więc zająć nam godzinę albo coś koło tego.

- A co z Mo?

- Musi zostać ze mną. Jeżeli teraz się rozdzielimy, to w najlepszym razie pójdą za nim, a w najgorszym go zatrzymają.

- A co z tobą?

- Nie spotka mnie nic gorszego od ścisłego nadzoru.

- Jesteś pewny siebie.

- Jestem zły. Nie są w stanie ustalić, co zostawiłem, ani jakich i komu udzieliłem instrukcji w razie gdyby nastąpiła jakaś przerwa w uzgodnionych telefonach kontrolnych. Jestem dla nich obecnie chodzącą, a raczej kulejącą megafonową bombą, która może rozwalić w gruzy całą ich operację - bez względu na to, czym, u diabła, jest.

- Wiem, Aleks, że zaraz stwierdzisz, że nie ma czasu, ale muszę ci coś powiedzieć. Nie jestem pewna dlaczego, ale muszę. To dotyczy ciebie. Sądzę, że jedną z rzeczy, która tak bolała i gniewała

Dawida, było to, że uważał cię za najlepszego w twoim fachu. Za każdym razem, kiedy wypił parę kieliszków albo kiedy jego myśli zaczynały błędzić - i otwierała się przed nim jakaś furтка czy dwie - potrząsał ze smutkiem głową lub uderzał pięścią w dłoń i pytał sam siebie dlaczego? „Dlaczego?”, mówił. „Przecież był lepszy... był najlepszy”.

- Nie mogłem się równać z Delta. Nikt nie mógł. Nigdy.

- Wydajesz mi się cholernie dobry.

- Ponieważ mogę wreszcie wziąć się do roboty. I mam do tego o wiele lepszy powód niż kiedykolwiek dotąd.

- Bądź ostrożny, Aleks.

- To raczej im powiedz, żeby byli ostrożni. - Conklin odwiesił słuchawkę, a Marie poczuła, że po policzkach spływają jej wolno łzy.

Morris Panov i Aleks wyszli ze sklepu z upominkami na dworcu kolejowym w Koulunie i skierowali się w stronę ruchomych schodów prowadzących na niższy poziom, do torów piątego i szóstego. Mo - przyjaciel był skłonny postępować zgodnie z instrukcjami byłego pacjenta. Ale psychiatra Panov nie mógł się powstrzymać od wyrażenia zawodowej opinii.

- Nic dziwnego, że wy tam jesteście tacy popieprzeni - oznajmił trzymając wypchaną pandę pod pachą i ściskając w garści bardzo kolorowe czasopismo. - Wyjaśnijmy to sobie jeszcze raz. Kiedy zejdziemy na dół, skręć w prawo, tam gdzie znajduje się szósty tor, a potem będę szedł w lewo, w stronę końca pociągu, który, jak zakładamy, powinien przybyć w ciągu paru minut. Jak dotąd zgadza się?

- Zgadza się - przytaknął Conklin. Szedł kulejąc obok doktora. Na jego czole perlił się pot.

- Następnie mam czekać koło ostatniego filara, trzymając tego brzydko pachnącego, wypchanego zwierzaka pod pachą i przeglądając to wyjątkowo pornograficzne pisemko do chwili, kiedy podejdzie do mnie kobieta.

- I to również się zgadza - stwierdził Conklin, kiedy stanęli na ruchomych schodach. - Panda jest całkiem zwyczajnym podarunkiem, uwielbianym przez Europejczyków. Myśl o tym jak o prezencie dla jej dziecka. Natomiast czasopismo porno po prostu uzupełnia sygnał rozpoznawczy. Pandy i świńskie obrazki zazwyczaj niezbyt do siebie pasują.

- Wręcz przeciwnie, to połączenie jest isticie freudowskie.

- Jeden zero dla czubków. Po prostu rób, co ci powiedziałem.

- Powiedziałem? Nigdy mi nie wyjaśniłeś, co mam powiedzieć tej kobiecie.

- Spróbuj: „Cieszę się, że cię widzę” albo „Jak się miewa mała?”. To bez znaczenia. Oddaj jej pandę i wracaj do schodów ruchomych najszybciej, jak możesz, ale nie biegnij. - Zjechali na dolny peron i Conklin dotknął ramienia Panova, kierując go w prawo. - Uda ci się, trenerze. Zrób po prostu to, co ci powiedziałem i wracaj tutaj. Wszystko będzie w porządku.

- To się o wiele łatwiej mówi siedząc na miejscu, które zazwyczaj zajmuję.

Panov doszedł do końca peronu, gdy na stację z hukiem wjechał pociąg z Luowu. Doktor stanął koło ostatniego filara i gdy setki pasażerów zaczęło wysypywać się z drzwi wagonów, niezgrabnie wcisnął pod pachę czarno-białą pandę i podniósł czasopismo na wysokość oczu. A kiedy wreszcie

stało się to, na co czekał, omal nie zemdleł z wrażenia.

- To ty, Haroldzie! - trącając go w ramię zawołała głośno falsetem wysoka, mocno umalowana postać ubrana w szarą, plisowaną spódnicę i w miękkim kapeluszu z szerokim rondem na głowie. - Poznałabym cię wszędzie, kochanie!

- Cieszę się, że cię widzę. Jak się miewa mała? - ledwo wykrztusił Morris.

- Jak się miewa A l e k s? - odpowiedział nagle cicho męski bas. - Jestem mu coś winien i zawsze spłacam długi, ale to wariactwo! Czy on ma jeszcze wszystkie klepki w porządku?

- Nie jestem pewien, czy ma je którykolwiek z was - rzekł zdziwiony psychiatra.

- Szybko - rzuciła dziwna postać. - Zbliżają się. Proszę mi dać pandę, a kiedy zaczną biec, niech się pan wmiesza w tłum i znika stąd. Proszę mi to dać!

Panov zrobił, co mu kazano. Uświadomił sobie, że kilku mężczyzn przeciska się przez idących grupami pasażerów i zbliża do nich z różnych stron. Nagle mocno umalowany mężczyzna w damskim ubraniu wbiegł za filar i pojawił się z drugiej strony. Zrzucił z nóg buty na wysokich obcasach, znowu okrążył filar i niczym piłkarski obrońca wpadł w tłum koło pociągu wymijając Chińczyka, który próbował go złapać. Przemykał między zaskoczonymi ludźmi wymachując pięściami, a za nim ruszyli w pościg inni mężczyźni. Powstrzymywali ich coraz bardziej wrogo nastawieni pasażerowie, którzy za pomocą walizek i plecaków starali się odeprzeć ten zaskakujący atak. W pewnym momencie, kiedy na peronie zapanował chaos przypominający niemal zamieszki uliczne, panda została wetknięta w ręce wysokiej Europejki, trzymającej rozłożony rozkład jazdy. Natychmiast chwycili ją dwaj dobrze ubrani Chińczycy. Kobieta wrzasnęła, Chińczycy spojrzeli na nią, krzyknęli coś jeden do drugiego i rzucili się do przodu.

Morris Panov znowu zrobił to, co mu polecono. Szybko zmieszał się z odchodzącym tłumem po drugiej stronie peronu i wzdłuż toru piątego pobiegł z powrotem w kierunku ruchomych schodów, przed którymi ustawiała się już kolejka. Kolejka była, ale nie było Aleksa Conklina! Starając się opanować ogarniającą go panikę, Mo zwolnił kroku, ale dalej posuwał się do przodu. Rozglądał się wokoło, wypatrując Conklina w tłumie na peronie i wśród jadących schodami do góry. Co się stało? Gdzie się podział agent CIA?

- Mo!

Panov odwrócił się gwałtownie w lewo. W krótkim okrzyku zabrzmiała zarówno ulga, jak i ostrzeżenie. Conklin przesunął się i ukrył za filarem znajdującym się dziesięć metrów za ruchomymi schodami. Szybkimi, gwałtownymi ruchami dawał znać, że musi pozostać na swoim miejscu, Mo zaś ma powoli i ostrożnie do niego podejść. Panov zrobił minę człowieka, którego zirytowała kolejka przed schodami i w związku z tym postanowił, że zanim podejmie próbę przedostania się do wyjścia, poczeka, aż tłok się zmniejszy. Żałował, że nie pali albo że nie zachował chociażby pornograficznego pisemka wyrzuconego wcześniej na tory. Przynajmniej miałby się czym zająć. Zamiast tego założył ręce do tyłu i pozornie bez celu zaczął spacerować po opustoszałej części peronu, rzucając spod zmarszczonych brwi spojrzenia na czekających. Wreszcie dotarł do filara, wślizgnął się za niego i zaparło mu dech w piersiach.

U nóg Conklina leżał na brzuchu mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Na jego plecach opierała się proteza Aleksa.

- Poznaj Matthew Richardsa, doktorze. Matt jest starym specjalistą od spraw Dalekiego Wschodu jeszcze z wczesnych sajgońskich czasów. Wtedy zetknęliśmy się po raz pierwszy. Oczywiście, był

wtedy młodszy i o wiele zręczniejszy. Ale cóż, czyż wszyscy nie byliśmy kiedyś młodszy?

- Na rany boskie, Aleks, pozwól mi wstać - błagał Richards kręcąc głową na tyle, na ile pozwalała mu jego horyzontalna pozycja. - Głowa mnie boli jak diabli. Czym mnie wyróżnałeś, łomem?

- Nie, Matt. Butem z mojej nie istniejącej nogi. Ciężki, prawda? Ale wiele może wytrzymać. A jeżeli chodzi o to, żebym pozwolił ci wstać, to doskonale wiesz, że nie zrobię tego, dopóki nie odpowiesz na moje pytania.

- Do diabła, przecież odpowiedziałem! Jestem marnym, szeregowym funkcjonariuszem operacyjnym, a nie szefem rezydentury. Zajęliśmy się tobą, bo dostaliśmy dyrektywę z SD, z poleceniem wzięcia cię pod nadzór. A potem Departament Stanu przysłał kolejną „deerkę”, której nawet nie widziałem!

- Powiedziałem ci, że trudno mi w to uwierzyć. Tworzycie tu bardzo zwartą grupkę, wszyscy wszystko widzą. Bądź rozsądny, Matt. Cofnijmy się daleko w przeszłość. Co było w dyrektywie Departamentu Stanu?

- Nie wiem! Przeznaczona była do wyłącznej wiadomości SR!

- To znaczy „szefa rezydentury”, doktorze - wyjaśnił Conklin spoglądając na Panova. - To najstarszy wykręt, jaki stosujemy. Używamy go zawsze, gdy podpadniemy innej agencji rządowej. „Co wiem? Zapytajcie SR”. W ten sposób jesteśmy czysti, ponieważ nikt nie ma ochoty nagabywać szefa rezydentury. Musisz wiedzieć, że SR ma bezpośrednie połączenie z Langley i w zależności od Owalnego Jo-jo Langley ma bezpośrednie połączenie z Białym Domem. Słowo daję, to wszystko jest szalenie upolitycznione i ma bardzo mało wspólnego z działalnością wywiadowczą.

- To niezwykle pouczające - rzekł Panov, wpatrując się w leżącego mężczyznę. Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć i był bardzo wdzięczny losowi, że peron właściwie opustoszał, a filar w głębi znajdował się w cieniu.

- To żaden wykręt! - wrzasnął Richards wierząc się pod ciężarem masywnego buta Conklina. - Jezus, przecież mówię ci prawdę! W lutym przyszłego roku idę na emeryturę! Dlaczego miałbym napaść sobie biedy z twojego powodu albo kogoś innego z centrali?

- Ech, Matt, biedny Matt. Nigdy nie byłeś ani najlepszy, ani najbystrzejszy. Właśnie odpowiedziałeś na swoje własne pytanie. Masz w perspektywie emeryturę tak jak ja i nie chcesz żadnych problemów. Ja mam być pod ścisłym nadzorem, a ty nie masz ochoty spartolić roboty na swoim odcinku. Dobra, koleś, przekabluję z powrotem ocenę, na podstawie której przeniosą cię do zespołów dywersyjnych działających w Ameryce Środkowej na czas, który pozostał ci do emerytury - jeżeli w ogóle jej dożyjesz.

- Daj spokój!

- Pomyśl tylko: wpaść jak dupek w pułapkę zastawioną za filarem na zatłoczonym dworcu kolejowym przez marnego kalekę. Pewnie ci każą samodzielnie zaminować parę portów.

- Nic nie wiem!

- Kim są ci Chińczycy?

- Nie...

- Nie są z policji, a więc skąd?

- Rząd.

- Jaki wydział? Musieli ci to powiedzieć. SR musiał ci to powiedzieć. Przecież nie spodziewał się chyba, że będziesz pracował w ciemno.

- Ale tak właśnie było. Działaliśmy na ślepo! Powiedział mi jedynie, że SD uzgodnił nasze działania na najwyższym szczeblu. Zaklinał się, że to wszystko, co wie. Co, u diabła, mieliśmy zrobić? Powiedzieć, że chcemy sprawdzić ich prawa jazdy?

- A więc nikt nie jest odpowiedzialny, bo nikt nic nie wie. Byłoby bardzo fajnie, gdyby to okazali się komuniści z Chin łapiący swojego zbiega, prawda?

- Za wszystko odpowiada SR. Zdajemy się na niego.

- Ach tak, to ta wyższa moralność. „Postępowaliśmy tylko zgodnie z rozkazem, Hen Generaf\ - Conklin powiedział to z twardym, niemieckim akcentem. - A Hen General, oczywiście, nic nie wie, gdyż on postępował zgodnie ze swoimi rozkazami. - Aleks przerwał i zerknął w dół. - Był tam jeden mężczyzna, wielki facet, który wyglądał jak chiński Paul Bonyan. - Przerwał ponownie. Głowa i całe ciało Richardsa nagle drgnęły. - Kim on jest, Matt?

- Nie wiem... na pewno.

- Kto to?

- Widziałem go i to wszystko. Trudno go nie spostrzec.

- Nie, to nie wszystko. Ponieważ trudno go nie zauważyć i biorąc również pod uwagę miejsca, w których go widywałeś, musiałeś zadawać pytania. Czego się dowiedziałeś?

- Daj spokój, Aleks! To tylko plotki, nic pewnego.

- Uwielbiam plotki. Gadaj, Matt, albo ta paskudna, ciężka rzecz na mojej nodze może ci spaść na twarz. Wiesz, nie jestem w stanie jej opanować. Ma swoją własną duszę i cię nie lubi. Może być bardzo nieprzyjazna, nawet w stosunku do mnie. - Conklin z wysiłkiem uniósł protezę i opuścił ją między łopatki Richardsa.

- Chryste! Łamiesz mi kręgosłup!

- Nie, sądzę, że ta proteza ma ochotę rozwalić ci twarz. Kim on jest, Matt? - Aleks z wykrzywioną twarzą znowu uniósł swoją sztuczną stopę i opuścił ją ponownie, tym razem na podstawę czaszki agenta CIA.

- Dobrze już, dobrze! Jak mówiłem, nie jestem w stanie przysiąc, że to święta prawda, ale słyszałem, że jest to ktoś wysoko w KW Korony.

- KW Korony - wyjaśnił Conklin Morrisowi Panowowi - oznacza brytyjski kontrwywiad tu w Hongkongu, co oznacza, że jest to wydział MI 6, co z kolei oznacza, że otrzymują rozkazy z Londynu.

- To bardzo pouczające -- odparł psychiatra, równie oszołomiony jak przerażony.

- Bardzo - przytaknął Aleks. - Czy mogę cię prosić o krawat, doktorze? - zapytał Conklin zdejmując swój własny. - Pokryję to z funduszków na nieprzewidziane wydatki, ponieważ mamy teraz nowy, dobry punkt zaczepienia. Przystępuję oficjalnie do pracy. Langley najwyraźniej finansuje, przeznaczając na to uposażenie Matthew i jego czas, coś związanego z operacją wywiadowczą naszego sojusznika. W zaistniałej sytuacji jako urzędnik państwowy powinienem przyłożyć do tego

działa swą pomocną dłoń. Potrzebny mi jest również twój krawat, Matt.

Dwie minuty później funkcjonariusz operacyjny Richards leżał za filarem zakneblowany oraz ze związanymi rękami i nogami. A wszystko to za pomocą trzech krawatów.

- Jesteśmy czyści - stwierdził Aleks spojrzawszy na resztki tłumu. - Pognali za naszą przynętą, która obecnie jest już chyba w połowie drogi do Malezji.

- Ale kim była... był? Chodzi mi o to, że z całą pewnością to nie kobieta.

- Nie chcę być uznany za seksualnego szowinistę, ale kobieta najprawdopodobniej by sobie tu nie poradziła. A jemu się powiodło. Związał i pociągnął za sobą innych. Przeskoczył przez poręcz ruchomych schodów i wy dostał się na górę. Chodźmy. Jesteśmy czyści.

- Ale kto to był? - dopytywał się Panov, gdy okrążali filar i szli w stronę ruchomych schodów i stojących przed nimi paru osób.

- Wykorzystywaliśmy go tu od czasu do czasu, przeważnie do wyszukiwania dodatkowych alarmowych instalacji granicznych. Wiedział o nich sporo, bo musiał je pokonywać ze swoim towarem.

- Narkotyki?

- Nawet by ich nie tknął. To najwyższej klasy paser. Przerzuca kradzione złoto i kosztowności. Działa między Hongkongiem, Makau i Singapurem. Uważam, że ma to jakiś związek z tym, co mu się przydarzyło kilka lat temu. Odebrali mu jego medale za postawę niezgodną z prawie wszystkim, co można wymyślić. Kiedy był w college'u i potrzebował pieniędzy, pozował do jakichś świńskich fotografii. Potem dzięki zbereźnemu wydawcy o moralności marcowego kota to się wydało i w rezultacie został wyrzucony poza nawias i zrujnowany.

- To czasopismo, które miałem w ręku! - wykrzyknął Mo, gdy obydwaj stanęli na ruchomych schodach.

- Jak sądzę, coś w tym rodzaju.

- Co to za medale?

- Olimpiada w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym. Konkurencje biegowe. Jego specjalnością był bieg z przeszkodami.

Panov, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa, patrzył na Aleksandra Conklina, gdy wjeżdżali schodami na górę, kierując się do wyjścia z dworca. Oddział zamiataczy z szerokimi miotłami na ramionach pojawił się na przeciwległych schodach, zjeżdżając na peron. Aleks skinął im głową, strzelił palcami prawej ręki i kciukiem wskazał drzwi wyjściowe. Wiadomość była czytelna. Za parę chwil związany agent CIA zostanie znaleziony za filarem.

To będzie ten, którego nazywali majorem - powiedziała Marie siedząc na krześle przed Conklinem, podczas gdy Morris Panov klęcząc obok niej badał jej lewą stopę. - Au! - zawołała, cofając nogę. - Przepraszam, Mo.

- Nie musisz - odparł lekarz. - Masz paskudne stłuczenie rozciągające się między drugą a trzecią kością śródstopia. To musiał być niezły upadek.

- Kilka. Znasz się na stopach?

- W chwili obecnej czuję się bardziej kompetentny jako ortopeda niż psychiatra. Wy i wam

podobni żyć w świecie, który cofnąłby mój zawód do średniowiecza. Choć z drugiej strony wielu z nas wciąż tam tkwi, tylko używa bardziej wymyślnych słów. - Panov spojrzął do góry na Marie. Jego wzrok spoczął na przetykanych siwymi pasmami włosów ułożonych we fryzurę nadającą jej bardzo surowy wygląd. - Leczone cię doskonale, niegdyś ciemnoruda damo. Wyrażam uznanie dla wszystkiego, poza włosami. Są koszarne.

- Są wspaniałe - poprawił go Conklin.

- Cóż ty możesz wiedzieć? Byłeś moim pacjentem. - Mo ponownie zajął się stopą. - Obie bardzo ładnie się goją - myślę tu o skaleczeniach i pęcherzach. Stłuczenie będzie ci dokuczać trochę dłużej. Potem przyniosę parę rzeczy i zmienię opatrunki. - Panov podniósł się i odsunął krzesło z prostym oparciem od niewielkiego biurka.

- A więc zamieszkacie tutaj? - spytała Marie.

- Trochę dalej w głębi korytarza. Nie udało mi się załatwić żadnego pokoju sąsiadującego z twoim.

- Jakim cudem zdołałeś tego dokonać?

- Pieniądze. To Hongkong i zawsze ktoś, kogo akurat nie ma w pobliżu, może stracić swoją rezerwację... ale wróćmy do majora.

- Nazywa się Lin Wenzu. Catherine Staples powiedziała mi, że pracuje w brytyjskim wywiadzie i mówi po angielsku z brytyjskim akcentem.

- Czy jest tego pewna?

- Całkowicie. Powiedziała mi, że jest uważany za najlepszego oficera wywiadu w Hongkongu, włączając w to wszystkich - od KGB po CIA.

- Łatwo to zrozumieć. Nazywa się Lin Wenzu, a nie Iwanowicz czy Joe Smith. Uzdolniony tubylec, którego wysłano do Anglii, wykształcono i wyszkolono, a następnie sprowadzono z powrotem, by powierzyć mu odpowiedzialne stanowisko w rządzie. Standardowa polityka kolonialna, szczególnie w sferze ochrony prawa i bezpieczeństwa wewnętrznego.

- Całkowicie słuszna z psychologicznego punktu widzenia - dodał Panov, siadając. - Dzięki temu mniej jest powodów do jakichś uraz i kształtowane są nowe więzi z rządzącym, obcym społeczeństwem.

- Rozumiem - rzekł Aleks potakując skinieniem głowy - ale czegoś mi brakuje. Te kawałki łamigłówek nie pasują do siebie. Co innego, jeżeli Londyn daje zielone światło tajnej akcji przeprowadzanej przez SD - a wszystko, czego się dowiedzieliśmy, wskazuje, że z taką właśnie, tylko o wiele bardziej dziwaczną operacją mamy tu do czynienia. Co innego jednak, gdy MI 6 użycza nam miejscowych ludzi w kolonii, która wciąż jeszcze znajduje się pod rządami Zjednoczonego Królestwa.

- Dlaczego? - spytał Panov.

- Jest kilka powodów. Po pierwsze, nie ufają nam - och nie, nie oznacza to, że nie dowierzają naszym intencjom. Raczej naszej inteligencji. W niektórych sprawach mają rację, w innych wypadkach są w błędzie, ale to sprawa ich osądu. Po drugie, dlaczego mieliby ryzykować dekonspirację swego personelu po to, by realizować decyzje podjęte przez jakiegoś amerykańskiego urzędnika, który zupełnie nie orientuje się w tutejszych mechanizmach władzy. To kluczowe

zagadnienie i Londyn odrzuciły to natychmiast.

- Przypuszczam, że masz na myśli McAllistera - rzekła Marie.

- Jak cholera albo jeszcze bardziej. - Conklin potrząsnął głową robiąc głęboki wydech. - Przeprowadziłem swoje badania i mogę stwierdzić, że jest to najsilniejszy albo najsłabszy punkt tego cholernego scenariusza. Podejrzewam, że mamy do czynienia z drugą ewentualnością. Jest to czysty, chłodny intelekt, jak w przypadku McNamarry, zanim jeszcze zaczął mieć wątpliwości.

- Przestań pieprzyć - powiedział Mo Panov. - Powiedz prosto i wyraźnie, o co chodzi, a nie chrzań na okrągło. Zostaw to mnie.

- Chodzi mi o to, doktorze, że Edward Newington McAllister jest jak królik. Uszy stają mu dęba na pierwszą oznakę jakiegoś konfliktu albo nietypowej sytuacji i rzuca się do ucieczki. Jest analitykiem, i to jednym z najlepszych, ale nie nadaje się na funkcjonariusza operacyjnego, nie mówiąc już o stanowisku szefa rezydentury. I nawet nie ma co rozważać możliwości, że jest on autorem planu strategicznego dużej, tajnej operacji. Wyśmialiby go, możecie mi wierzyć.

- Jeśli chodzi o Dawida i mnie, był cholernie przekonujący - wtrąciła Marie.

- Bo dostał taki scenariusz. Powiedziano mu: „Przygotuj obiekt”.

Trzymaj się skomplikowanej historii, która stopniowo będzie stawać się dla obiektu coraz bardziej zrozumiała, gdy tylko uczyni pierwszy krok. A musiał go zrobić, ponieważ ty zniknęłaś.

- Ale kto ułożył ten scenariusz? - spytał Panov.

- - Chciałbym to wiedzieć. Nikt, do kogo zwracałem się w Waszyngtonie, nie wie. Nawet le osoby, które wiedzieć powinny. Nie kłamali -- po paru latach roboty w branży jestem w stanie wyczuć, kiedy ktoś próbuje wodzić mnie za nos. Cała ta sprawa jest tak zakamuflowana i tak pełna sprzeczności, że w porównaniu z tym Treadstone-71 wygląda jak-robota amatora. A przecież to nie była amatorszczyzna.

- Catherine powiedziała mi coś - przerwała mu Marie. - Nie wiem, czy to coś pomoże, ale utkwilo mi to w pamięci. Powiedziała mi, że do Hongkongu przyleciał jakiś człowiek. Mówiła o nim „mąż stanu” i że to ktoś „więcej niż dyplomata”, czy coś w tym rodzaju. Uważała, że być może istnieje tu jakiś związek z tym wszystkim, co się zdarzyło.

- Jak się nazywał?

- Tego mi nie powiedziała. Kiedy później zobaczyłam McAllistera z nią na ulicy, pomyślałam, że to on. Ale może się myliłam. Analityka, którego mi opisałeś, i tego nerwowego człowieka, który rozmawiał z Dawidem i ze mną, raczej trudno byłoby uznać za dyplomatę, a tym bardziej za męża stanu. To musi być ktoś inny.

- Kiedy ci to powiedziała? - spytał ją Conklin.

- Trzy dni temu, kiedy ukrywała mnie w swoim mieszkaniu w Hongkongu.

- Zanim zawiozła cię do Tuen Mun? - Aleks aż pochylił się do przodu w krześle.

- Tak.

- I nigdy więcej już o nim nie wspomniała?

- Nie, a kiedy ją zapytałam, odpowiedziała mi, że nie ma sensu, żeby któreś z nas wiązało z tym

jakieś nadzieje. Stwierdziła, że musi jeszcze poszperać.

- I zgodziłaś się na to?

- Tak, ponieważ myślałam wtedy, że rozumiem sytuację. Nie miałam powodu, by ją wypytywać. W końcu pomagając mi, podejmowała osobiste i zawodowe ryzyko. Na własną odpowiedzialność, nie pytając o radę konsula, przyjęła moje słowa za dobrą monetę, podczas gdy inni zrobiliby to po prostu, żeby się zabezpieczyć. Użyłaś słowa „dziwaczne”, Aleks. No więc należy sobie uświadomić, że to, co jej powiedziałam, było tak dziwaczne, że aż szokujące. Wymieńmy tu choćby całą gmatwaninę kłamstw Departamentu Stanu, znikających strażników z Centralnej Agencji Wywiadowczej, podejrzania, które prowadzą na najwyższe szczeble waszego rządu. Ktoś mniejszego formatu mógłby po prostu się wycofać i ukryć.

- Mniejsza o wdzięczność - powiedział łagodnie Conklin. - Ukrywała informacje, które miałaś prawo znać. Chryste! Po tym, co przeżyłaś ty i Dawid...

- Mylisz się, Aleks - przerwała mu delikatnie Marie. - Powiedziałam ci, że myślałam, że ja rozumiem, ale nie dokończyłam zdania. Naj okrutniej szym postępkim wobec człowieka żyjącego w ciągłym strachu jest dać mu nadzieję, która później okazuje się fałszywa. Wierz mi, spędziłam ponad rok z człowiekiem rozpaczliwie poszukującym odpowiedzi. Znalazł ich sporo, ale te odpowiedzi, które po bliższym zbadaniu okazały się fałszywe, prawie go załamały. Jeżeli traci nadzieję człowiek żyjący nadzieją, to nie jest to temat do żartów.

- Ma rację - powiedział Panov kiwając głową i spoglądając na Conklina. - I przypuszczam, że dobrze o tym wiesz, prawda?

- Różnie bywało - odparł Conklin. Wzruszył ramionami i popatrzył na zegarek. - W każdym razie pora na Catherine Staples.

- Przecież będzie pilnowana, strzeżona! - Tym razem Marie pochylła się do przodu na krześle. Miała zafrasowaną twarz i badawcze spojrzenie. - Będą zakładali, że przyjechaliście tu obaj z mojego powodu, że dotarliście do mnie, a ja wam o niej opowiedziałam. Będą się spodziewali, że spróbujecie się z nią spotkać i będą na was czekać. Jeżeli są zdolni zrobić to, co zrobili do tej pory, mogą was zabić.

- Nie, nie mogą - stwierdził Conklin. Wstał i pokuśtykał w stronę stojącego przy łóżku telefonu. - Nie są wystarczająco dobrzy - dodał.

Jesteś kawał cholernego drania! - wyszeptał Matt-hew Richards zza kierownicy małego samochodu zaparkowanego naprzeciwko mieszkania Catherine Staples.

- Nie można powiedzieć, żebyś pałał wdzięcznością, Matt - odparł Aleks, który siedział w cieniu obok funkcjonariusza CIA. - Przecież nie tylko nie wysłałem swojego raportu z oceną, ale również pozwoliłem ci wziąć mnie znowu pod obserwację. Lepiej mi podziękuj, zamiast mnie obrażać.

- Niech cię cholera!

- Co im powiedziałaś w biurze?

- Jak to co? Że zostałem napadnięty, na litość boską!

- Przez ilu?

- Przynajmniej pięciu młodocianych chuliganów. Zhongguo ren.

- I gdybyś zaczął z nimi walczyć, narobiłbyś hałasu i mógłbym cię zauważyć.

- Właśnie tak - przyznał spokojnie Richards.

- A kiedy do ciebie zadzwoniłem, był to oczywiście jeden z twoich informatorów ulicznych, który zobaczył kulejącego białego.

- W dziesiątkę.

- Może nawet dostaniesz awans.

- Pragnę tylko emerytury.

- Dostaniesz ją.

- Ale nie w ten sposób.

- A więc to starego Havillanda we własnej osobie przywiało do miasta.

- Tego ci nie mówiłem! O tym było w dokumentach.

- O tajnym domu na Yictoria Peak nie było, Matt.

- Hej, posłuchaj, przecież mamy umowę. Jeżeli będziesz miły dla mnie, to ja będę miły dla ciebie. Żadnych wrednych raportów o tym, że zostałem ogłuszony butem, w którym nie było stopy, a w zamian za to dostajesz adres. W każdym razie zaprzeczę temu. Dostałeś go na Garden Road. Dzięki schlanemu żołnierzowi z piechoty morskiej wie o tym cały konsulat.

- Havilland - rozmyślał na głos Aleks. - To by pasowało. Kręci tyłkiem przed Angolami, nawet mówi jak oni... Mój Boże, przecież powinienem rozpoznać ten głos!

- Głos? - zapytał zdziwiony Richards.

- Przez telefon. Następna stronica scenariusza. To był Havilland! Nie pozwoliłby tego zrobić nikomu innemu! „Zgubiliśmy ją”. O, Jezu, a ja dałem się wciągnąć w sam środek!

- Czego?

- Zapomnij o tym.

- Z przyjemnością.

Przed dom po drugiej stronie ulicy, w którym znajdowało się mieszkanie Staples, podjechał samochód i zatrzymał się. Z tylnych drzwi wysiadła kobieta i gdy Conklin zobaczył ją w świetle ulicznych latarni, poznał natychmiast Catherine Staples. Skinęła głową kierowcy, odwróciła się i przeszła przez chodnik w stronę masywnych, szklanych drzwi wejściowych.

Nagle, od strony parku ciszę ulicy przerwał ryk pracującego na wysokich obrotach silnika samochodowego. Długa, czarna limuzyna wyskoczyła gdzieś z tyłu i z piskiem opon zatrzymała się przy samochodzie Staples. Z drugiego pojazdu rozległ się huk szybko następujących po sobie wystrzałów. Na jezdnię i chodnik posypało się szkło z roztrzaskanych wraz z głową kierowcy szyb zaparkowanego samochodu i podziurawionych drzwi wejściowych, które rozpadły się na krwawe odłamki, gdy ciało Catherine Staples zostało wbite w ich framugę gradem pocisków.

Z piskiem buksujących opon czarna limuzyna zniknęła w ciemnej ulicy pozostawiając za sobą krwawe pobojuwisko.

- Jezu Chryste! - ryknął Richards.

- Zwiewaj stąd - rozkazał Conklin.

- Dokąd? Na rany boskie, dokąd?

- Victoria Peak.

- Zwariowałeś?

- Nie, ale z pewnością zwariował ktoś inny. Pewien dobrze urodzony sukinsyn dał się nabrać. To musiało tak się stać. I ja pierwszy mu o tym powiem. Ruszaj.

ROZDZIAŁ 26

Bourne zatrzymał czarną limuzynę typu Szanghaj na ciemnym i pustym odcinku drogi biegnącej między dwoma szpalerami drzew. Według mapy minął już Wschodnią Bramę Letniego Pałacu. Był to właściwie cały zespół dawnych królewskich willi usytuowanych w rozległym i ozdobionym mnóstwem rzeźb parku nad jeziorem Kunming. Jechał wzdłuż linii brzegu na północ do chwili, gdy kolorowe światła dawnej cesarskiej rezydencji ustąpiły miejsca mrokowi polnej drogi. Zgasił reflektory, wysiadł i zabierając ze sobą wodoszczelny plecak z zakupionymi rzeczami poszedł w kierunku ciągnącej się wzdłuż drogi ściany drzew. Tam wbił obcas w ziemię. Była miękka, co bardzo ułatwiało mu zadanie. Musiał przecież poważnie liczyć się z możliwością, że wynajęty samochód zostanie przeszukany. Sięgnął do plecaka, wyjął parę roboczych rękawic i myśliwski nóż o długim ostrzu. Ukląkł i wykopał jamę, wystarczająco głęboką, by ukryć w niej bagaż. Nie zasypał otworu do końca, wyjął nóż i ściał kawałek kory z najbliższego drzewa, tak że widać było biały skrawek drewna. Potem włożył rękawice i nóż do plecaka, wcisnął go głębiej i przysypał ziemią. Wrócił do samochodu, sprawdził na liczniku liczbę przejechanych kilometrów i zapuścił silnik. Jeżeli odległości na mapie zaznaczono równie precyzyjnie, jak obszary zamknięte dla ruchu kołowego w Pekinie i okolicach, wejście do Rezerwatu Jing Shan było nie dalej niż kilometr stąd, za widocznym przed nim długim zakrętem drogi.

Mapa była dokładna. Dwa reflektory oświetlały wysoką zieloną metalową bramę, nad którą znajdowały się wielkie tablice z namalowanymi kolorowymi ptakami. Brama była zamknięta. Po prawej stronie w niewielkiej oszklonej budce siedział samotny strażnik. Na widok zbliżających się reflektorów auta Jasona zerwał się i wybiegł na zewnątrz. Trudno było określić, czy kurtka i spodnie mężczyzny stanowiły część umundurowania. W każdym razie nie miał przy sobie żadnej broni.

Bourne zatrzymał limuzynę w odległości dwóch metrów od bramy, wysiadł z samochodu i zbliżył się do stojącego za nią Chińczyka. Ze zdziwieniem stwierdził, że mężczyzna ma około sześćdziesięciu lat.

- Beitong, beitong - zaczął przeproszać za zakłócanie spokoju, nie dając strażnikowi dojść do głosu. - To było straszne - mówił szybko dalej wyciągając z wewnętrznej kieszeni marynarki listę kontrahentów Francuza. - Miałem tu być trzy i pół godziny temu, ale samochód nie przyjechał i nie mogłem skontaktować się z ministrem... - Znalazł na liście nazwisko ministra przemysłu tekstylnego. - Ministrem Wang Xu. Jestem pewien, że on martwi się tym tak samo jak ja!

- Pan mówi w naszym języku - rzekł oszołomiony strażnik. - I ma pan samochód bez kierowcy.

- Minister to załatwił. Byłem w Pekinie wiele, bardzo wiele razy. Mieliśmy zjeść razem obiad.

- Rezerwat już jest zamknięty i nie ma tu żadnej restauracji.

- Może zostawił dla mnie wiadomość?

- Tu nikt nic nie zostawia, poza zgubionymi rzeczami. Mam bardzo dobrą japońską lornetkę i mogę ją tanio sprzedać.

Jest. Za bramą, w odległości jakichś trzydziestu metrów Bourne dostrzegł człowieka stojącego w cieniu wysokiego drzewa koło bitej drogi. Mężczyzna ubrany był w długą bluzę. Cztery guziki. Oficer. Na szerokim pasie wisiała kabura. Broń.

- Przykro mi, ale nie potrzebuję lornetki.

- Może na prezent?

- Mam niewielu przyjaciół, a moje dzieci to złodziejaszki.

- Jest pan nieszczęśliwym człowiekiem. Nie ma nic ważniejszego niż dzieci i przyjaciele - i duchy przodków, oczywiście.

- Proszę posłuchać, ja chcę tylko znaleźć ministra. Omawiamy milionowe Renminbi\

- Lornetka kosztuje tylko kilka juanów.

- No dobrze! Ile?

- Pięćdziesiąt.

- Niech ją pan przyniesie - rzekł kameleon zniecierpliwionym tonem i sięgnął do kieszeni. Gdy strażnik popędził w stronę swojej budki, wzrok Jasona na pozór mimochodem błędził za zieloną bramą, Chiński oficer cofnął się głębiej w cień, ale wciąż obserwował bramę. Łomotanie w piersi Bourne'a przypominało tam-tamy - podobnie jak to się często zdarzało w czasach „Meduzy”. Przechytrzył ich, odkrył ich strategię. Delta znał wschodni sposób rozumowania. Zachowanie tajemnicy. Samotna postać oczywiście nie potwierdzała jego domysłów, ale też im nie zaprzeczała.

- Proszę popatrzeć, jaka wspaniała! - zawołał strażnik podbiegając do ogrodzenia z lornetką w ręku. - Sto juanów.

- Powiedział pan pięćdziesiąt.

- Nie zauważyłem, jakie ma szkła. O wiele lepsze. Niech mi pan da pieniądze, a ja przerzucę ją przez bramę.

- Dobrze - rzekł Bourne zwijając banknoty, żeby przepchnąć je przez oczko siatki. - Ale pod jednym warunkiem, złodzieju. Jeżeli przypadkiem będą cię o mnie pytać, nie chcę mieć kłopotów.

- Pytać! To głupie. Poza mną nikogo tu nie ma. Delta miał rację.

- Ale gdyby ktoś pytał, żądam, żebyś powiedział prawdę. Jestem francuskim biznesmenem, który pilnie poszukuje ministra przemysłu tekstylnego, ponieważ samochód dostarczono mi z niewybaczalnym opóźnieniem. Nie chcę mieć kłopotów.

- Jak pan sobie życzy. Proszę o pieniądze.

Jason przepchnął banknoty przez siatkę. Strażnik chwycił je i przerzucił lornetkę przez bramę. Bourne złapał ją i spojrzał błagalnym wzrokiem na Chińczyka. - Czy nie przychodzi panu do głowy, dokąd minister mógł pojechać?

- Miałem zamiar to panu powiedzieć bez żadnej dodatkowej zapłaty. Ludzie tak wielcy jak pan i on z pewnością wybierali się do restauracji o nazwie Ting Li Guan. To ulubiona restauracja bogatych cudzoziemców i potężnych przedstawicieli naszych boskich władz.

- Gdzie to jest?

- W Letnim Pałacu. Minął go pan po drodze. Niech pan się cofnie jakieś piętnaście, dwadzieścia kilometrów, to zobaczy pan wielką bramę Donganmen. Proszę w nią wjechać, a dalej przewodnicy wskażą panu drogę. Ale proszę pokazać im swoje dokumenty. Podróżuje pan w bardzo niezwykły sposób.

- Dziękuję! - zawołał Jason biegnąc do samochodu. - Vive la France!

- Jak pięknie - powiedział strażnik wzruszając ramionami. Skierował się z powrotem do swojej budki, licząc po drodze pieniądze.

Oficer podszedł cicho do budki strażniczej i zastukał w szybę. Zdziwiony strażnik zerwał się z krzesła i otworzył drzwi.

- Och, ależ mnie pan przestraszył! Zdaje się, że pana tu zamknięto. Zapewne zasnął pan w jednym z naszych wspaniałych miejsc wypoczynkowych. Co za pech. Zaraz otworzę bramę!

- Kim był ten człowiek? - zapytał spokojnie oficer.

- Obcokrajowiec, proszę pana. Francuski biznesmen, którego spotkało niepowodzenie. O ile go dobrze zrozumiałem, kilka godzin temu miał się spotkać z ministrem przemysłu tekstylnego i udać się z nim na obiad, ale jego samochód się spóźnił. Był bardzo zmartwiony. Nie chce mieć kłopotów.

- Co za minister przemysłu tekstylnego?

- Jak mi się zdaje, minister Wang Xu.

- Proszę poczekać na zewnątrz.

- Oczywiście, proszę pana. Otworzyć bramę?

- Za parę minut. - Wojskowy podniósł słuchawkę telefonu stojącego na niewielkim kontuarze i nakręcił numer. Kilka sekund później powiedział: - Czy mogę się dowiedzieć, jaki jest numer telefonu ministra przemysłu tekstylnego, który nazywa się Wang Xu? Dziękuję. - Oficer przycisnęła widełki, zwolnił je, a potem ponownie nakręcił numer. - Czy mogę mówić z ministrem Wang Xu?

- To ja - odezwał się dość niesympatyczny głos z drugiej strony. - Kto mówi?

- Jestem urzędnikiem z Biura Wymiany Handlowej, proszę pana. Przeprowadzamy rutynową kontrolę francuskiego biznesmena, który się na pana powołał...

- Wielki Boże chrześcijan, znowu ten idiota Ardisson! Co on tym razem zrobił?

- Zna go pan, panie ministrze?

- Wolałbym nie znać! Specjalne to, specjalne tamto! Pewnie sobie myśli, że kiedy się załatwia, całą ubikację wypełnia zapach fiołków.

- Czy miał pan zjeść z nim obiad dziś wieczorem?

- Obiad? Tego popołudnia mogłem mu wszystko obiecać, żeby tylko siedział cicho! Oczywiście, słyszy tylko to, co zechce. Z drugiej jednak strony bardzo możliwe, że powołuje się na mnie, żeby zdobyć miejsce, bo nie załatwił sobie wcześniej rezerwacji. Powiedziałem już - specjalne to, specjalne tamto! Dajcie mu wszystko, czego sobie życzy. To wariat, ale dość niegroźny. Wysłalibyśmy go do Paryża następnym samolotem, gdyby ci głupcy, których reprezentuje, nie płacili tak wiele za tak nędzny materiał. Ma prawo do najlepszej nielegalnej dziwki w Pekinie! Tylko proszę mi już nie przeszkadzać, mam przyjęcie. - Minister rzucił gwałtownie słuchawkę.

Wyraźnie uspokojony oficer wojsk lądowych odłożył słuchawkę i wyszedł na zewnątrz do strażnika. - Powtórzyłeś dokładnie - stwierdził.

- Cudzoziemiec był bardzo podniecony. I niezwykle oszołomiony.

- Powiedziano mi, że to jego normalny stan. - Wojskowy przerwał na chwilę, a potem dodał: - Teraz możesz otworzyć bramę.

- Oczywiście, proszę pana. - Strażnik sięgnął do kieszeni i wydobyl kółko z wiszącymi kluczami. Zatrzymał się nagle i spojrzal na oficera. - Ale nie widzę żadnego samochodu. Do najbliższego środka lokomocji jest wiele kilometrów. Niedaleko jest Letni Pałac...

- Zadzwońm już po samochód. Powinien tu być za jakieś dziesięć, piętnaście minut.

- Obawiam się, że mnie już tu wtedy nie będzie. Widzę na drodze światelko roweru mojego zmiennika. Za pięć minut schodzę ze służby.

-- Może więc zaczekam tutaj - rzekł oficer nie zwracając uwagi na słowa strażnika. - Widzę, że od północy nadciągają chmury. Jeżeli zacznie padać, będę mógł się schronić w budce i poczekać na mój samochód.

- Nie widzę żadnych chmur, proszę pana.

- Twoje oczy nie są już takie jak dawniej.

- Bardzo słusznie. - Natarczywy dzwonek rowerowy rozdarł ciszę. Zmiennik strażnika podjechał do ogrodzenia, a jego kolega zaczął otwierać bramę. - Ci młodzi ludzie oznajmują o swoim przybyciu, jakby byli duchami zstępującymi z niebios.

- Chciałbym ci coś powiedzieć - oznajmił ostrym tonem oficer. Strażnik zatrzymał się gwałtownie. - Podobnie jak ten obcokrajowiec, ja również nie chcę mieć kłopotów tylko dlatego, że uciałem sobie małą drzemkę w waszym wspaniałym miejscu. Czy jesteś zadowolony ze swojej pracy?

- Bardzo, proszę pana.

- Aż tego, że możesz sprzedawać japońskie lornetki, które oddano ci na przechowanie?

- Słucham?

- Mam dobry słuch, a twój piskliwy głos słychać z daleka.

- Słucham?

- Jeżeli nie powiesz nic o mnie, ja nie powiem nic o twoich nieetycznych postępkach, które z całą pewnością zaprowadziłyby cię pod lufę pistoletu kata. Twoje zachowanie było godne potępienia.

- Wcale pana nie widziałem! Przysięgam na duchy przodków.

- W partii odrzucamy takie przesady.

- A więc na wszystko, co pan zechce.

- Otwórz bramę i wynoś się stąd!

- Tylko wezmę swój rower, panie! - Strażnik podbiegł do oddalonej części ogrodzenia, wyprowadził stamtąd rower i otworzył bramę. Uchylił jej skrzydło i kiwnął z ulgą głową, dosłownie rzucając nowo przybyłemu pęk kluczy. Wskoczył na siodełko roweru i popędził drogą.

Drugi strażnik przeszedł leniwym krokiem przez bramę prowadząc rower za kierownicę. - Wyobraża pan sobie? - odezwał się do oficera. - Syn jednego z wodzów Kuomintangu zmiennikiem głupiego chłopca, który najwyżej mógłby służyć u nas w kuchni.

Bourne dostrzegł białą plamę na pniu drzewa i zjechał z drogi kierując limuzynę między dwie sosny. Zgasił światła i wysiadł. Szybko nałamał gałęzi, żeby zamaskować samochód. Instynktownie pracował szybko - zawsze tak postępował - ale gdy tylko skończył, ku jego zaskoczeniu na drodze z

Pekinu pojawiły się reflektory. Schylił się, klękając w krzakach i obserwował przejeżdżający samochód.

Zaintrygował go widok roweru przymocowanego do dachu, a potem, gdy silnik samochodu ucichł gwałtownie i samochód zatrzymał się za zakrętem, zaniepokoił się na dobre. Obawiając się, że jakiś fragment jego samochodu został zauważony przez doświadczonego agenta operacyjnego, który zaparkował wóz poza zasięgiem jego wzroku i teraz wraca tu pieszo, Jason przebiegł przez drogę w stronę gęstych zarośli za szpalerem drzew. Biegł w prawo, przeskakując od sosny do sosny, aż do połowy zakrętu. Tam ponownie przykłęknął w ocienionych zaroślach i czekał, obserwując każdy skrawek pobocza, nasłuchując odgłosu, który odróżniałby się od szelestów opuszczonej polnej drogi.

Nic. Aż wreszcie coś się pojawiło, ale kiedy zobaczył co to takiego, uznał to za absurd. A może jednak nie? Mężczyzna na rowerze z zasilaną dynamem lampką na przednim błotniku pedałowal tak, jakby jego życie zależało od prędkości, której i tak nie był w stanie osiągnąć. Gdy podjechał bliżej, Bourne spostrzegł, że to strażnik... na rowerze... a na dachu samochodu, który stanął za zakrętem, również znajdował się przymocowany rower. Czy przeznaczony był dla strażnika? Oczywiście że nie - samochód podjechałby do bramy... Drugi rower? Drugi strażnik, który przyjeżdża na rowerze? Oczywiście! Jeżeli to, co podejrzewał, było prawdą, strażnik przy bramie się zmieni; jego miejsce zajmie spiskowiec.

Jason poczekał, aż światło roweru pierwszego strażnika stanie się ledwo widocznym punktem w ciemności i pobiegł z powrotem drogą w stronę samochodu i drzewa z białym zaciosem na pniu. Wykopał plecak i zaczął rozkładać swoje narzędzia pracy. Zdjął marynarkę i białą koszulę i włożył czarny golf. Przytwierdził pochwę myśliwskiego noża do paska, a z drugiej strony wsunął pistolet z jedynym nabojem. Podniósł dwie szpule połączone dziewięćdziesięciocentymetrowym odcinkiem cienkiego drutu i pomyślał, że ten śmiercionośny sprzęt jest o wiele lepszy od przygotowanego w Hongkongu. Czemu nie? Był obecnie znacznie bliżej swego celu, o ile to, czego się nauczył niegdyś „Meduzie”, miało jakąkolwiek wartość. Nawinał na każdą szpulkę identyczny kawałek drutu i ostrożnie wsunął go do tylnej prawej kieszeni spodni, a potem wziął małą latarkę i przymocował ją z przodu u dołu prawej kieszeni. Do lewej przedniej kieszeni wsadził złożoną na pół i owiniętą gumką długą, podwójną taśmę dużych chińskich ogni sztucznych oraz trzy pudełka zapalek i małą woskową świecę. Najbardziej nieporęczną rzeczą były nożyce do cięcia drutu przypominające kombinerki średniej wielkości. Wsunął je uchwyty do góry do lewej tylnej kieszeni i zwolnił mocujący zamek. Krótkie uchwyty rozsunęły się, blokując narzędzie w jego zaimprovizowanym futerale. Wreszcie sięgnął po opakowaną odzież, zwiniętą ciasno w wałek. Umieścił ją pośrodku pleców, przepasał się elastyczną taśmą i zatrzasnął sprzączkę. Być może nigdy nie skorzysta z tego ubrania, ale nic nie mógł pozostawić przypadkowi - był zbyt blisko!

Złapię go, Marie! Przysięgam, że go złapię i znowu będziemy mogli żyć naszym życiem. Dawid i ja tak bardzo cię kochamy! Tak bardzo cię potrzebuję!

Przestań! Nie ma ludzi, są tylko obiekty. Żadnych emocji, są tylko cele i ludzie, których należy wyeliminować, bo stoją nam na drodze. Nie jesteś mi potrzebny, Webb. Jesteś mięczak i pogardzam tobą. Słuchaj Delty - słuchaj Jasona Bourne 'a.

Morderca, który stał się mordercą z konieczności, zakopał swój plecak z białą koszulą oraz tweedową marynarką i stanął wśród sosen. Na myśl o tym, co go czeka, jego płuca napełniły się powietrzem jak miechy. Jedną część jego osoby była przestraszona i niepewna, druga ogarnięta lodowatą wściekłością.

Jason zaczął iść wzdłuż zakrętu na północ, tak jak poprzednio przeskakując od drzewa do drzewa. Dotarł do samochodu, który go minął z rowerem przymocowanym na dachu. Stał teraz zaparkowany na poboczu, a za przednią szybą miał duży napis. Bourne podszedł bliżej i z uśmiechem odczytał chińskie znaki.

Jest to unieruchomiony służbowy pojazd rządowy.

Uszkodzenie jakiegokolwiek części jego mechanizmu jest poważnym przestępstwem. Kradzież tego pojazdu będzie karana śmiercią w trybie doraźnym.

W lewym dolnym rogu umieszczono dopisek drobnym drukiem:

Drukarnia Ludowa Nr 72. Szanghaj.

Bourne pomyślał sobie, ileż to setek tysięcy takich obwieszczeń musiała sporządzić Drukarnia Nr 72. Być może dawano je zamiast karty gwarancyjnej, po dwa na każdy pojazd.

Jason cofnął się w cień i szedł dalej wzdłuż zakrętu, aż wreszcie dotarł do otwartej przestrzeni przed oświetloną jaskrawo bramą.

Powiódł wzrokiem po zielonym ogrodzeniu, które z lewej strony znikało w leśnym mroku, a z prawej ciągnęło się około sześćdziesięciu metrów wzdłuż parkingu z ponumerowanymi miejscami dla autobusów turystycznych i taksówek, a potem gwałtownie skręcało na południe. Zgodnie z jego przewidywaniami rezerwat ptaków w Chinach był ogrodzony, aby uniemożliwić dostęp kłusownikom. Jak określił to d'Anjou: „Ptaki czczono w Chinach od stuleci. Są uważane za rozkosz zarówno dla oczu, jak i podniebienia”. Echo. Echo zniknął. Zastanawiał się, czy d'Anjou cierpiał... Nie ma czasu.

Głosy! Bourne gwałtownie odwrócił głowę ku bramie, przemykając się w stronę najbliższych krzaków. Chiński oficer wojsk lądowych i nowy, dużo młodszy strażnik... nie, teraz z całą pewnością wartownik... wyszli zza budki strażniczej. Wartownik prowadził rower, a oficer trzymał przy uchu niewielki nadajnik.

- Zaczną przybywać tuż po dziewiątej - powiedział wojskowy opuszczając nadajnik i chowając antenę. - Siedem samochodów w odstępach trzyminutowych.

- A ciężarówka?

- Przyjedzie na samym końcu.

Wartownik spojrział na zegarek. - Może więc powinien pan sprowadzić samochód. Jeżeli będzie kontrola telefoniczna, wiem, co robić.

- To dobra myśl - przytaknął oficer, przyczepiając nadajnik do paska i chwytając z prawej strony kierownicę roweru. - Nie mam cierpliwości do tych biurokratycznych bab, które ryczą jak krowy.

- Ale pan powinien - nalegał wartownik ze śmiechem. - I musi pan brać samotne i brzydkie, i robić im dobrze między nogami. Bo co będzie, jeżeli wyślą niedobry raport? Może to pana kosztować tę niebiańską pracę.

- Twierdzi pan, że ten głupkowaty chłop, którego pan zmienił...

- Nie, nie - przerwał mu wartownik puszczając rower. - Wyszukują młodszych, przystojnych,

takich jak ja. Na podstawie naszych fotografii, oczywiście. Z tym chłopem jest inaczej: płaci im juana od każdej sprzedanej zgubionej rzeczy. Czasem się zastanawiam, czy w ogóle coś na tym zarabia.

- Z trudem pojmuję was, cywilów.

- Mała poprawka, jeśli można, pułkowniku. W prawdziwych Chinach jestem kapitanem sił zbrojnych Kuomintangu.

Słowa młodego człowieka ogłuszyły Jasona. To, co usłyszał, było zupełnie nieprawdopodobne! „W prawdziwych Chinach jestem kapitanem sił zbrojnych Kuomintangu”. Prawdziwe Chiny? Tajwan? Dobry Boże, czyżby się zaczęło? Wojna obydwu chińskich państw? Czy o to chodzi tym ludziom? To szaleństwo! Ogólna rzeź! Daleki Wschód zostanie zmieciony z powierzchni Ziemi! Chryste! Polując na zabójcę natknął się na coś niewyobrażalnego!

Sprawa była zbyt wielka, żeby ogarnąć ją umysłem, zbyt przerażająca, zbyt apokaliptyczna. Musiał działać szybko, skupić myśli tylko na jednym, skoncentrować się tylko na działaniu. Odczytał podświetlone cyfry na swoim zegarku. 8.54. Miał bardzo mało czasu na zrealizowanie tego, co należało zrobić. Odczekał, aż oficer przejedzie obok na rowerze, a potem przemykał się cicho i ostrożnie przez krzaki do chwili, gdy ujrzał płot. Zbliżył się i wyciągnął latarkę z kieszeni. Błysnął ją dwukrotnie, by przyrzeć się ogrodzeniu. Było niezwykle. Miało co najmniej trzy i pół metra wysokości i na szczycie było odchylone na zewnątrz jak zaporę na murze więziennym. Pomiędzy równoległymi, stalowymi prętami rozciągnięte były spirale drutu kolczastego. Bourne sięgnął do tylnej kieszeni, ścisnął uchwyty nożyc i wyciągnął je z kieszeni. Potem sięgnął lewą ręką w ciemności i gdy namacał krzyżujące się zwoje drutu, przyłożył szczypcę do najniższego.

Gdyby Dawid Webb nie był doprowadzony do rozpacz, a Jason Bourne do wściekłości, nigdy by tego nie dokonał. Płot nie był zwykłym płotem. Metal był o wiele bardziej wytrzymały niż w jakimkolwiek więziennym ogrodzeniu, gdzie zamykano najgroźniejszych przestępców świata. Przecięcie każdego drutu wymagało od Jasona wielkiej siły. Poruszał zaciśniętymi nożycami w tył i w przód, aż wreszcie metal ustąpił. Przecinał w ten sposób jeden drut po drugim, ale bezcenne minuty mijały nieubłaganie.

Bourne znowu spojrzął na świecąca tarczę zegarka. 9.06. Naparł ramieniem, wbijając się stopami w ziemię i wgiął do środka prostokąt ogrodzenia o wysokości zaledwie sześćdziesięciu centymetrów. Przeczółgał się na drugą stronę i zatrzymał się, oddychając ciężko. Nie ma czasu. 9.08.

Ukląkł chwiejnie, potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić otepiające zmęczenie, a potem przytrzymując się ogrodzenia ruszył w prawo. Dotarł do rogu, gdzie zaczynał się parking. Oświetlona brama znajdowała się sześćdziesiąt metrów na lewo.

Nagle nadszedł pierwszy pojazd. Była to radziecka limuzyna marki Ził, wyprodukowana pod koniec lat sześćdziesiątych. Objechała parking i zatrzymała się w pierwszym prostokącie namalowanym na prawo od budki strażniczej. Wysiadło z niej sześciu mężczyzn i maszerując w nogę skierowało się w stronę drogi, która najwyraźniej była głównym szlakiem prowadzącym przez rezerwat ptaków. Zniknęli w ciemności i tylko błyski latarek oświetlały trasę ich marszu. Jason bacznie ich obserwował, wiedząc, że być może później ruszy tą samą trasą.

Trzy minuty później, zgodnie z rozkładem, przez bramę przejechał drugi samochód i zatrzymał się koło ziła. Otworzyły się tylne drzwi i wysiadło trzech mężczyzn, podczas gdy kierowca i pasażer siedzący z przodu jeszcze przez chwilę rozmawiali. Kilka sekund później ci dwaj mężczyźni także wysiedli z ziła i gdy spojrzenie Bourne'a spoczęło na pasażerze z przedniego siedzenia, z wielkim trudem zdołał się opanować. Mężczyzna, który obchodził tył samochodu, by przyłączyć się do

kierowcy, był wysoki, szczupły i poruszał się z kocią zwinnością. To był zabójca! Chaos w porcie lotniczym Kai Tak skłonił go do zastawienia tak precyzyjnej pułapki w Pekinie. Kimkolwiek był człowiek tropiący mordercę, musiał zostać szybko schwytany i uciszony. Widocznie nastąpił jakiś przeciek informacji i dotarła ona do twórcy zabójcy - któż bowiem lepiej znał taktykę najemnego mordercy niż jego nauczyciel? Któż bardziej od Francuza pragnął zemsty? Czy ktokolwiek inny byłby w stanie wyciągnąć jak spod ziemi drugiego Jasona Bourne'a? D'Anjou stanowił tu kluczową postać i klient sobowtóra dobrze o tym wiedział.

Instynkt, który mu pozostał z „Meduzy” - tak powoli i z takim bólem sobie przypominanej - okazał się niezawodny. Kiedy tak katastrofalnie zawiodła pułapka zastawiona w mauzoleum Mao, to zbezczeszczenie świętości, które mogłoby wstrząsnąć całą republiką, kręgi dowódcze konspiratorów musiały dokonać przegrupowania - szybkiego i utrzymanego w całkowitej tajemnicy przed wścibskimi współtowarzyszami. Spiskowcy stanęli w obliczu niesłychanego kryzysu - musieli bezzwłocznie uzgodnić dalsze posunięcia.

Najważniejsze było jednak zachowanie tajemnicy. Bez względu na to, gdzie się spotykali, była to ich najważniejsza broń. W prawdziwych Chinach jestem kapitanem sił zbrojnych Kuomintangu. Chryste! Czy to możliwe?

Tajemnica. Utracone królestwo za zachowanie tajemnicy? Gdzież można lepiej ją zachować niż na dzikich obszarach idyllicznych państwowych ptasich rezerwatów, w rządowych parkach kontrolowanych przez wpływowe wtyczki z Kuomintangu na Tajwanie. Strategia zrodzona z desperacji doprowadziła Bourne'a do niewiarygodnego odkrycia. Nie ma czasu! To nie twoja sprawa! Tylko on cię obchodzi!

Osiemnaście minut później sześć samochodów stało na swoich miejscach, a ich pasażerowie odeszli, dołączając do swoich kolegów znajdujących się gdzieś w ciemnym lesie rezerwatu. Wreszcie, dwadzieścia jeden minut po przybyciu radzieckiej limuzyny, przez bramę wjechała przykryta plandeką ciężarówka, zatoczyła szeroki łuk i zatrzymała się za ostatnim samochodem, najwyżej dziesięć metrów od Jasona. Wstrząśnięty patrzył, jak związanych i zakneblowanych mężczyzn i kobiety, których otwarte usta przewiązane były kawałkami materiału, wypychano z ciężarówki. Wszyscy bez wyjątku padali na ziemię i toczyli się po niej jęcząc z bólu i strachu. A potem w otworze w plandecce pojawił się mężczyzna. Walczył, wyginając szczupłe, niewysokie ciało i starając się kopnąć dwóch strażników, którzy go trzymali. Wreszcie rzucili go na pokryty tłuczniem parking. To był biały człowiek... Bourne zamarł. To był d'Anjou! W świetle odległych lamp mógł dostrzec, że twarz Echa była pokancerowana, oczy miał podbite. Kiedy Francuz w końcu podniósł się z wysiłkiem, jego lewa noga ugięła się i załamywała pod nim, wciąż jednak traktował z pogardą swoich strażników i stał wyzywająco wyprostowany.

Ruszaj się! Zrób cokolwiek! Ale co? „Meduza” - mieliśmy umówione sygnały. Co to było takiego? Och, Boże, co to było? Kamyki, patyczki... żwir! Ciśnij czymś, co wywoła szmer, niegłośny, odwracający uwagę dźwięk, który mogłoby spowodować cokolwiek i który rozlegnie się z dala od tego miejsca, z przodu, gdzieś daleko stąd! A potem pobiec w tym kierunku. Szybko!

Jason przyklęknął w cieniu zakręcającego pod kątem prostym ogrodzenia. Schylił się, nabrał garść żwiru i cisnął nim w powietrze nad głowami podnoszących się z ziemi więźniów. Krótki grzechot na dachach kilku samochodów prawie całkowicie zagłuszyły zduszone okrzyki spętanych więźniów. Bourne powtórzył zabieg, tym razem biorąc nieco więcej kamyków. Strażnik stojący przy d'Anjou zerknął w kierunku, z którego dobiegał hałas, ale nagle jego uwagę zwróciła kobieta, która zdołała się podnieść i teraz biegła w kierunku bramy. Popędził za nią, chwycił ją za włosy i rzucił z

powrotem w stronę grupy. Jason znowu sięgnął po żwir.

Zamarł nieruchomo. D'Anjou całym ciężarem upadł na prawe kolano, podpierając się związanymi rękami o tłuczeń. Popatrzył na strażnika, którego cała uwaga skupiona była w tym momencie na kobiecie, a potem obrócił powoli głowę w stronę Bourne'a. Echo nigdy nie odszedł daleko od „Meduzy” - jednak pamiętał. Jason szybko odwrócił rękę ukazując wewnętrzną część dłoni: raz, potem drugi. Słaby poblask jego białej skóry wystarczył - wzrok Francuza podążył w tym kierunku. Ukryty w cieniu Bourne wysunął nieco głowę do przodu. Echo spostrzegł go! Ich oczy się spotkały. D'Anjou skinął głową, a potem odwrócił się i widząc zbliżającego się strażnika niezgrabnie, krzywiąc się z bólu podniósł się z ziemi.

Jason policzył więźniów. Dwie kobiety i pięciu mężczyzn, w tym Echo. Poganiało ich dwóch strażników, którzy wyciągnęli ciężkie pałki zza pasów i szturchali nimi teraz skrzepowanych ludzi, kierując całą grupę w stronę ścieżki prowadzącej z parkingu. D'Anjou upadł. Przewrócił się na podkuloną lewą nogę, wykręcając całe ciało. Bourne obserwował go uważnie. W tym upadku było coś dziwnego. A potem zrozumiał. Palce związanych z przodu dłoni Francuza były rozstawione. Oslaniając swoim ciałem dalsze poczynania, Echo zaczerpnął z ziemi dwie pełne garście żwiru i gdy strażnik zbliżył się i szarpnięciem podniósł go na nogi, d'Anjou znowu na ułamek sekundy spojrzął w stronę Jasona. To był sygnał. Echo będzie upuszczał maleńkie kamyki, dopóki mu ich wystarczy, tak aby kolega z „Meduzy” miał trop, którym będzie mógł podążać.

Gdy więźniów popędzono w prawo, poza obszar wysypany żwirem, młody wartownik, „kapitan sił zbrojnych K-uomintangu”, zamknął bramę. Jason przebiegł z cienia rzucanego przez ogrodzenie w cień ciężarówki i skulony za maską, spojrzął w stronę wartowni wyciągając jednocześnie swój nóż myśliwski. Wartownik stał tuż przed budką i mówił coś do trzymanego w ręku nadajnika, dzięki któremu utrzymywał łączność z miejscem zbiórki. Nadajnik należy zlikwidować. Tego człowieka również.

Zwiąż go. Wykorzystaj jego ubranie jako knebel. Zabij go. Nie można podejmować żadnego dodatkowego ryzyka. Słuchaj się mnie!

Bourne przypadł do ziemi, wbił myśliwski nóż w przednie lewe koło ciężarówki, a gdy zaczęło zeń uchodzić powietrze, pobiegł do tyłu i powtórzył tę czynność. Przemknął za ciężarówką do sąsiedniego samochodu. Posuwając się do przodu obracał się w obie strony dziurawiąc na przemian opony ciężarówki stojącej po prawej i samochodu osobowego po lewej. Powtórzył tę operację przechodząc wzdłuż całego szeregu pojazdów, aż wreszcie przebił opony we wszystkich z wyjątkiem radzieckiego ziła, który zaparkowany był mniej więcej dziesięć metrów od budki strażnika. Pora na wartownika.

Zwiąż go...

Zabij! Każdy krok należy zamaskować i każdy krok prowadzi cię z powrotem do twojej żony.

Jason bezszelestnie otworzył drzwi radzieckiego samochodu, sięgnął do środka i zwolnił hamulec. Zamknął drzwi równie cicho, jak je otworzył, a potem spojrzął, jaka odległość dzieli maskę od ogrodzenia. Mniej więcej dwa i pół metra. Chwytał za obramowanie bocznej szyby i z całej siły zaczął pchać do przodu krzywiąc się z wysiłku. Wreszcie wielka limuzyna zaczęła się toczyć. Pchnął ją mocno jeszcze raz i przeskoczył za maskę sąsiedniego samochodu. Ził wyrznął w ogrodzenie. Bourne pochylił się, znikając całkowicie z pola widzenia i sięgnął do tylnej kieszeni.

Słyszając huk, zaskoczony strażnik obiegł swoją budkę rozglądając się na wszystkie strony, aż wreszcie jego spojrzenie padło na ziła. Pokręcił głową, jakby przyjmując do wiadomości fakt

nieoczekiwanej awarii samochodu i podszedł do drzwi.

Bourne wyskoczył z ciemności trzymając szpulki w obu rękach i łukiem przerzucił drut nad głową strażnika. W ciągu niecałych trzech sekund było już po wszystkim. Nie rozległ się żaden dźwięk poza obrzydliwym odgłosem przypominającym gwałtowny wydech. Garota była zabójczą bronią - kapitan wojsk Kuomintangu nie żył.

Jason wyjął nadajnik zza paska martwego mężczyzny, a potem obszukał jego ubranie. Zawsze istniała możliwość, że znajdzie coś cennego. I rzeczywiście! Przede wszystkim broń, pistolet. Nie zaskoczyło go, że był tego samego kalibru co broń, którą odebrał innemu spiskowcowi w mauzoleum Mao. Specjalne pistolety dla specjalnych ludzi, jeszcze jeden znak rozpoznawczy - jednolita broń. Zamiast jednego naboju miał teraz w komplecie wszystkie dziewięć oraz tłumik, który mógł zapobiec przebudzeniu się czcigodnego zmarłego spoczywającego w czcigodnym mauzoleum. Drugim wartościowym przedmiotem był portfel, w którym znajdowały się pieniądze i oficjalny dokument głoszący, iż okaziciel niniejszego jest członkiem Ludowej Służby Bezpieczeństwa. Spiskowcy mieli wysoko postawionych kolegów. Bourne wtoczył zwłoki pod ziła, przedziurawił lewe opony i przebiegł na drugą stronę samochodu powtarzając tę operację z prawymi. Potężna limuzyna osiadła na ziemi. Kapitan wojsk Kuomintangu miał teraz bezpieczne, ukryte przed ludzkim wzrokiem miejsce spoczynku.

Jason podbiegł do budki zastanawiając się, czy nie zestrzelić lampy nad bramą i doszedł do wniosku, że nie powinien. Jeżeli przeżyje, będzie potrzebował oświetlonego punktu orientacyjnego. Jeśli -jeśli? Musi przeżyć! Marie! Wszedł do środka i przyklęknąwszy, by nie było go widać przez okno, przełożył naboje z pistoletu strażnika do swojego. Potem rozejrzał się, poszukując jakiegoś grafiku dyżurów czy instrukcji. Do ściany, koło wiszącego na gwoździu kółka z kluczami, przymocowany był wykaz dyżurów. Bourne chwycił klucze.

Zadzwoił telefon! Świdrujący w uszach dzwonek rozległ się wśród przeszklonych ścian małej budki wartowniczej. Jeżeli będzie kontrola telefoniczna, wiem, co robić. Kapitan wojsk Kuomintangu. Bourne podniósł się, wziął stojący na kontuarze telefon i znowu przykucnął. Przesłonił palcami mikrofon słuchawki i powiedział ochrypłym głosem:

- Jing Shan. Słucham?

- Halo, mój jebliwy motylku - odparł w mandaryńskim kobiecy głos, w którym wyraźnie pobrzmiwał pospolity akcent, typowy dla ludzi niewykształconych. - Jak się mają dziś w nocy wszystkie twoje ptaszki?

- Doskonale, w przeciwieństwie do mnie.

- Masz dziś taki zmieniony głos. To Wo, prawda?

- Przy takich strasznych dreszczach, wymiotach i bieganiu co dwie minuty do ubikacji to chyba nic dziwnego. Nic się we mnie nie zatrzymuje.

- Ale wydobrzejesz do rana? Nie chciałabym się zarazić. Bierz samotne, brzydkie...

- Bardzo bym nie chciał stracić naszego spotkania...

- Będziesz za słaby. Zadzwoię do ciebie jutro w nocy.

- Moje serce usycha jak umierający kwiat.

- Krowie gównu! - Kobieta odłożyła słuchawkę.

W trakcie tej rozmowy wzrok Jasona spoczął na leżącym w kącie, zwiniętym, ciężkim łańcuchu. W Chinach, gdzie zawodziły wszelkie mechanizmy, łańcuch stanowił środek zastępczy, w razie gdyby brama nie chciała się zamknąć. Na łańcuchu leżała zwyczajna stalowa kłódka. Jeden z kluczy na kółku powinien do niej pasować, pomyślał. Wsadzał po kolei jeden po drugim, aż wreszcie kłódka się otworzyła. Podniósł łańcuch i zbierał się do wyjścia, ale nagle zatrzymał się, odwrócił i wyrwał przewód telefonu ze ściany. Kolejna techniczna niesprawność.

Przy bramie rozprostował łańcuch i owinął nim kilkakrotnie stykające się środkowe części obu skrzydeł bramy, aż powstał gruby zwój splątanego łańcucha. Złożył cztery ogniwa razem, przełożył przez nie ucho kłódki i zatrzaskał ją. Łańcuch napiął się, a wbrew panującym poglądom, wystrzelenie pocisku w taką masę twardego metalu nie rozerwałoby jej, ale raczej zwiększyłoby prawdopodobieństwo, że rykoszetujący pocisk zabije strzelającego i poważnie zagrozi życiu każdej znajdującej się w pobliżu osoby. Bourne odwrócił się i ruszył główną ścieżką starając się trzymać w cieniu.

Na ścieżce było ciemno. Światło padające od strony bramy przesłaniała zwarta ściana drzew rezerwatu, ale poblask był wciąż widoczny na niebie. Trzymając zapaloną latarkę w dłoni opuszczonej ku ziemi, mógł dostrzec leżący co kilka kroków kamyk. Gdy tylko zobaczył pierwsze dwa czy trzy, wiedział już, czego ma wypatrywać - niewielkich jaśniejszych plamek na tle ciemnej ziemi znajdujących się w mniej więcej równych odstępach. D'Anjou ścisnął każdy kamień, zapewne między kciukiem a palcem wskazującym, i pocierając go z całej siły, usuwał warstwę parkingowego brudu. Dzięki temu kamyk rzucał się w oczy. Poturbowany Echo nie stracił przytomności umysłu.

Nagle pojawił się nie jeden kamień, lecz dwa, leżące w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów od siebie. Jason przyjrzał się, mrużąc oczy w słabym świetle małej latarki. Dwa kamienie to nie był przypadek, lecz kolejny sygnał. Główna ścieżka biegła dalej prosto, ale ta, którą pędzono więźniów, skręcała ostro w prawo. Dwa kamienie oznaczały skręt.

A potem nastąpiła gwałtowna zmiana w odstępach między kamykami. Były coraz bardziej oddalone od siebie i kiedy Bourne pomyślał, że już ich więcej nie będzie, zobaczył następny. Nagle na ziemi znowu pojawiły się dwa kamienie, oznaczające kolejne skrzyżowanie. D'Anjou wiedział, że zaczyna mu brakować kamyków, zmienił więc sposób sygnalizacji. Wkrótce ten system znaków również stał się dla Jasona zrozumiały. Dopóki więźniowie idą prostą ścieżką, nie będzie więcej kamieni, ale jeżeli skręca, dwa kamyki wskażą kierunek.

Bourne ominął brzeg bagna i przeszedł przez pola, słysząc wszędzie nagłe trzepotanie skrzydeł i popiskiwanie spłoszonych ptaków, gdy wzbijały się w niebo rozjaśnione księżycową poświatą. W końcu pozostała już tylko jedna wąska ścieżka, która prowadziła w głąb jakiejś doliny...

Zatrzymał się, błyskawicznie gasząc trzymaną w dłoni latarkę. Poniżej, jakieś trzydzieści metrów dalej zobaczył na ścieżce żarzący się ognek papierosa. Poruszał się wolno, w górę i w dół. Jakiś człowiek zwyczajnie sobie palił, ale mimo to znajdował się tam z określonego powodu. Wtedy Jason zaczął wpatrywać się w ciemność - ponieważ była to inna ciemność. Przez gęste drzewa w dolinie przebłyskiwały tu i ówdzie punkciki światła. Zapewne były to pochodnie, gdyż ledwo widoczne światło wciąż migotało. Wreszcie dotarł do celu. Poniżej, w tej oddalonej dolince, za wartownikiem z papierosem, było miejsce spotkania.

Bourne wślizgnął się w gęste zarośla z prawej strony ścieżki. Zaczął schodzić w dół i natychmiast stwierdził, że trzciny splątane przez wiatry wiejące od lat tworzyły jakby sieć. Rozrywanie ich czy też przedzieranie przez nie z pewnością wywołałoby hałas odbiegający od normalnych odgłosów rezerwatu. Trzaski i szelesty podobne do zgrzytu odsuwanej zamka

błyskawicznego nie przypominały trzepotu skrzydeł czy popiskiwanie przestraszonych mieszkańców rezerwatu. Mógł je spowodować tylko człowiek, oznaczały więc, że wdarł się tu ktoś obcy. Bourne sięgnął po nóż żałując, że ostrze nie jest dłuższe i zaczął wędrówkę, która zajęłaby mu najwyżej trzydzieści sekund, gdyby pozostał na ścieżce. Zamiast tego stracił aż dwadzieścia minut, żeby utorować sobie drogę przez trzciny poza zasięgiem wzroku wartownika.

- Mój Boże! - Bourne stłumił wzbierający mu w gardle krzyk. Poślizgnął się; pełzające, syczące stworzenie pod jego lewą stopą miało co najmniej półtora metra długości. Wąż owinał się wokół jego nogi i Jason ogarnięty nagłą paniką chwycił go, odciągnął górną część tułowia gada od swego ciała i przeciął go w powietrzu ciosem noża. Wąż przez kilka sekund wił się gwałtownie, aż wreszcie konwulsje ustały - martwe ciało gada leżało rozciągnięte u jego stóp. Jason zamknął oczy i zadrżał. Odczekał chwilę. Potem znowu pochylił się i podkradł jeszcze bliżej do strażnika, który zapalał kolejnego papierosa. Właściwie próbował zapalić, ponieważ zapałki gasły jedna po drugiej. Strażnik kłął pod nosem produkt państwowych zakładów.

- Ma de shizi, shizi! - mruczał pod nosem trzymając papierosa w ustach.

Bourne podczołgał się do przodu, wycinając kilka ostatnich trzcin, aż wreszcie znalazł się w odległości półtora metra od mężczyzny. Schował nóż do pochwy i znowu sięgnął do tylnej kieszeni po garotę. Nie mógł sobie pozwolić na niecelne pchnięcie nożem, które spowodowałoby krzyk. Całkowitą ciszę mogło zakłócić jedynie niedosłyszalne, gwałtowne wypuszczenie powietrza.

Jest istotą ludzką! Synem, bratem, ojcem!

Jest wrogiem. Jest naszym celem. To wszystko, co musimy wiedzieć. Marie jest nasza, a nie ich.

Bourne wyskoczył z trawy, gdy strażnik zaciągnął się papierosem po raz pierwszy. Tytoniowy dym eksplodował z płuc Chińczyka. Garota opadła łukiem i bezwładne ciało martwego strażnika z przeciętą krtanią osunęło się w zarośla.

Jason zdjął z gardła strażnika zakrwawiony drut, otrząsnął go w trawę i nawinał z powrotem na szpulki, które wsunął do kieszeni. Wciągnął trupa głębiej między krzewy, dalej od ścieżki i zaczął przeszukiwać mu kieszenie. Najpierw znalazł coś, co w dotyku sprawiało wrażenie grubego zwitka papieru toaletowego. Nie było to czymś niespotykanym w Chinach, gdzie wyrób ten zawsze należał do deficytowych. Bourne odzepił latarkę, osłonił ją dłońmi i z zaskoczeniem spojrzął na swoje znalezisko. Papier był zwinięty i miękki w dotyku, ale nie był to papier toaletowy. Były to Renminbi, tysiące juanów, więcej niż paroletni dochód dla większości Chińczyków. Wartownik przy bramie, „kapitan wojsk Kuomintangu”, miał przy sobie pieniądze - wprawdzie niecu więcej, niż Jason mógłby się spodziewać - ale zupełnie nieporównywalne z tą sumą. Następny był portfel. Znajdowały się w nim fotografie dzieci, które Bourne szybko schował z powrotem, prawo jazdy, przydział na mieszkanie i oficjalny dokument stwierdzający, że okaziciel niniejszego jest... członkiem Ludowej Służby Bezpieczeństwa! Jason wyjął dokument, który zabrał z portfela pierwszego strażnika, i położył jeden obok drugiego na ziemi. Były identyczne. Złożył oba i wsadził do kieszeni. Ostatnia rzecz była w równym stopniu zaskakująca, jak i interesująca. Była to przepustka upoważniająca okaziciela do korzystania ze Sklepów Przyjaźni, które obsługiwały /'agranicznych podróźnych. Chińczycy, z wyjątkiem wysokich funkcjonariuszy państwowych, nie mieli do nich wstępu. Kimkolwiek byli ci ludzie tam, na dole, pomyślał Bourne, stanowili dziwną i dość wyjątkową grupę. Prości strażnicy, którzy mają przy sobie olbrzymie sumy pieniędzy, korzystają z oficjalnych przywilejów przewyższających o całe lata świetlne ich pozycję i posiadają dokumenty, które zaświadcza, że są członkami tajnej policji państwowej. Jeżeli oni byli spiskowcami - a wszystko, z czym się zetknął, od Shenzhen przez plac Tiananmen aż do tego rezerwatu przyrody, zdawało się na

to wskazywać - to spisek zahaczał również o najwyższe kręgi w Pekinie. Nie ma na to czasu! To nie twoja sprawa!

Broń przy pasie zabitego była, jak się spodziewał, identyczna z tą, którą miał zatknąć za pasek, jak również z pistoletem, który rzucił w las koło bramy Jing Shan. Była to doskonała broń, a broń stanowiła symbol. Wyrafinowana broń była świadectwem społecznego statusu w nie mniejszym stopniu niż drogi zegarek -- mogło istnieć wiele falsyfikatów, ale wprawne oko zawsze bez trudu rozpoznałoby autentyk. Jedno zaledwie spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, czy ktoś ma wysoki status, czy też nie, jeżeli był to służbowy egzemplarz wydany w wojsku, które kupowało broń pochodzącą z wszelkich możliwych źródeł na całym świecie. Był to bardzo subtelny znak rozpoznawczy tych najlepszych, należących do elity. Nie ma czasu. To nie twoja sprawa! Ruszaj dalej!

Jason opróżnił magazynek pistoletu z nabojów, wsypał je do kieszeni i cisnął broń w głąb lasu. Wyczołgał się z powrotem na ścieżkę i zaczął posuwać się wolno, bezszelestnie w stronę ogni migocących za widoczną w dole ścianą drzew.

Było to coś więcej niż dolina, raczej potężne zapadlisko z prehistorycznych czasów, nie zagojone do tej pory pęknięcie skorupy ziemskiej, które powstało w epoce lodowcowej. Wystraszone i zaintrygowane ptaki latały w górze z furkotem skrzydeł, rozgniewane sowy pohukiwały niemelodyjnie. Bourne stanął na skraju urwiska spoglądając w dół przez drzewa na zgromadzonych tam ludzi. Pulsujący krąg pochodni oświetlał całe miejsce. Dawid Webb zachłysnął się powietrzem czując, jak zbiera mu się na wymioty, ale lodowaty głos wewnętrzny kazał mu się opanować.

Uspokój się. Obserwuj. Zobacz, z czym mamy do czynienia.

Z gałęzi drzewa zwisał więzień na linie przymocowanej do jego związanych nadgarstków. Ręce miał wyprężone nad głową, jego stopy zaś znajdowały się tuż nad ziemią. Wił się przerażony, z gardła wydobywały mu się stłumione jęki, a oszalałe ze strachu oczy nad kneblującą usta przepaską były pełne błagania.

Przed gwałtownie szarpiącym się ciałem stał szczupły mężczyzna w średnim wieku ubrany w maoistowską kurtkę i spodnie. Prawą rękę trzymał wyciągniętą do przodu, a jego dłoń spoczywała na wysadzanej drogimi kamieniami rękojeści miecza, którego długa i wąska głownia zatknęta była w ziemię. Dawid Webb rozpoznał ten miecz. Była to broń, ale nie tylko broń. Był to obrzędowy miecz wodza z czternastego wieku, przedstawiciela bezlitosnej kasty żołdaków, którzy niszczyli wsie i miasta, pustoszyli całe okolice, ilekroć zaistniało podejrzenie, iż tamtejsza ludność sprzeciwia się woli cesarzy z dynastii Yuan - Mongołów pozostawiających za sobą tylko ogień, śmierć i krzyki dzieci. Taki miecz był również wykorzystywany do ceremonii o wiele mniej symbolicznych i bardziej okrutnych niż rytuał dworski. Dawid poczuł, jak na widok rozgrywającej się w dole sceny ogarnia go fala mdłości i przerażenia.

- Słuchajcie mnie! - krzyknął stojący przed więźniem szczupły mężczyzna, odwracając się w stronę zgromadzonych. Jego głos był wysoki, lecz opanowany, zmuszający do posłuchu. Jason nie znał mężczyzny z mieczem, ale miał on twarz, którą trudno byłoby zapomnieć. Krótka obcięte siwe włosy, wychudła, blada twarz - a przede wszystkim spojrzenie. Jason nie widział dokładnie jego oczu, ale w świetle migocącego płomienia pochodni mógł dostrzec, że one również płonęły. Za plecami mężczyzny z mieczem stał w milczeniu, niemal bezwolnie ten, który się pod niego podszywał. Człowiek, który wyglądał jak Dawid... Nie, jak Jason Bourne.

- Zaczynają się noce długiego ostrza! - wrzasnął nagle szczupły mężczyzna. - I będą trwały noc po nocy aż do chwili, w której ci, którzy mogliby nas zdradzić, trafią do piekła! Każdy z tych

jadowitych insektów popełnił wykroczenie przeciwko naszej świętej sprawie, a każde takie wykroczenie, jak wiemy, prowadzi do zbrodni największej, wymagającej długiego ostrza. - Mówca odwrócił się do zawieszzonego na gałęzi więźnia. - Ty! Wyznaj prawdę i tylko prawdę! Znasz Europejczyka?

Więzień pokręcił głową. Jego dzikim szarpnięciem towarzyszyły gardłowe jęki.

- Kłamca! - rozległ się okrzyk z tłumu. - Tego popołudnia był na Tiananmen.

Ogarnięty paniką więzień znowu zaczął spazmatycznie potrząsać głową.

- Mówił rzeczy wrogie prawdziwym Chinom! - zawołał ktoś inny. - Słyszałem, co opowiadał młodym ludziom w parku Hua Gong!

- I w kawiarni na Xidan bei!

Więzień miotał się konwulsyjnie, a jego szeroko otwarte, oszołomione oczy wpatrywały się z przerażeniem w tłum. Bourne zaczął wszystko pojmwować. Zawieszony na gałęzi drzewa mężczyzna słyszał same kłamstwa i nie mógł zrozumieć, dlaczego tamci kłamią. Ale Jason wiedział. Trwała rozprawa przed Izbą Gwiazdzistą. Człowiek, którego postępowanie budziło jakieś zastrzeżenia, sprawiający kłopoty, miał zostać wyeliminowany pod zarzutem popełnienia wielkiej zbrodni, istniała bowiem pewna, choć odległa możliwość, że mógłby ją popełnić. Zaczynają się noce długiego ostrza... noc po nocy! Były to rządy terroru sprawowane wewnątrz niewielkiego, krwawego państewka, istniejącego w granicach ogromnego kraju, w którym od wieków triumfowali okrutni wodzowie.

- Dopuszcili się tych czynów? - zawołał mówca o wychudłej twarzy. - Czy wypowiedział te słowa?

W dolince rozległ się chór gorączkowych potwierdzeń.

- Na Tiananmen!

- Rozmawiał z Europejczykiem!

- Zdradził nas wszystkich!

- Spowodował kłopoty w mauzoleum znenawidzonego Mao!

- Chciał, abyśmy zginęli, a nasza sprawa upadła!

- Występował przeciwko naszym przywódcom i chciał ich zguby!

- Gdy ktoś przeciwstawia się naszym przywódcom - rzekł mówca spokojnym, ale przybierającym na sile głosem - tym samym ich znieważa. I czyniąc to pozbawia się opieki, jaką winno się otaczać najcenniejszy dar zwany życiem. Kiedy zdarza się coś takiego, dar ten musi zostać odebrany.

Zawieszony na gałęzi mężczyzna zaczął miotać się jeszcze gwałtowniej. Jego stłumione krzyki stawały się coraz głośniejsze i zlewały się z jękami pozostałych więźniów. Zmuszono ich do ukłęknięcia przed mówcą, tak by mogli dokładnie widzieć mającą nieuchronnie nastąpić egzekucję. Tylko jeden człowiek stawiał opór i próbował ciągle wstawać, okazując tym swój sprzeciw i nieposłuszeństwo, lecz za każdym razem ciosy stojącego przy nim strażnika powalały go na ziemię. Był to Philippe d'Anjou. Echo przekazywał Delcie kolejną wiadomość, ale Jason Bourne nie był w stanie jej zrozumieć.

- ...ten zrobaczywiały, niewdzięczny hipokryta, ten nauczyciel młodzieży, którego w nasze oddane sprawie szeregi przyjęliśmy jak brata, wierzyliśmy bowiem w słowa, które wypowiadał - z taką odwagą, jak sądziliśmy - przeciwko dręczycielom naszej ojczyzny, ten człowiek jest zdrajcą. Jego słowa są p u s t e. Jest zaprzysięgłym kompanem zdradzieckich wichrów i niechaj porwą go one do naszych wrogów, ciemieżycieli Chin! Niechaj przez jego śmierć nastąpi nasze oczyszczenie! - Mówca, którego głos wznosił się coraz bardziej w przenikliwym crescendo, wyszarpnął miecz z ziemi. Uniósł go wysoko nad głowę.

/ niechaj nasienie jego się nie pleni - uczony Dawid Webb przypomniał sobie. słowa starożytnego zaklęcia. Pragnął zamknąć oczy, ale nie był w stanie tego uczynić. Nie pozwalało mu na to jego drugie ja. Zniszczymy źródło, z którego tryska nasienie, błagając duchy, by zniszczyły to, które padło na ziemię.

Miecz wzniósł się do góry i opadł, przecinając pachwinę i genitalia wrzeszczącego, zwijającego się człowieka.

/ aby myśli jego się nie rozprzestrzeniały, siejąc zarazę wśród niewinnych i słabych, błagamy duchy, aby je zniszczyły, gdziekolwiek one będą, tak jak my tu niszczymy źródło, z którego wytrysnęły.

Tym razem miecz został wzniesiony poziomo i cios spadł na kark więźnia. Wijące się ciało spadło na ziemię w deszczu krwi tryskającej z odciętej głowy, nad którą szczupły mężczyzna z płonącymi oczyma znęcał się dalej. Zadawał ciosy mieczem tak długo, aż z twarzy ofiary nie pozostało nawet śladu.

Całą dolinę wypełniły jęki grozy przerażonych więźniów. Tarzali się po ziemi, błagając o litość. Strach wywołał u wielu rozkurcz zwieraczy i mimowolne wydalanie odchodów. U wszystkich z wyjątkiem jednego. D'Anjou wstał i w milczeniu patrzył na ogarniętego proroczym zapalem mężczyznę z mieczem. Strażnik podszedł do niego. Słyszając jego kroki, Francuz odwrócił się i splunął mu w twarz. Wartownik, oszołomiony i być może poruszony spektaklem, którego był świadkiem, cofnął się. Co Echo robi? Co mu chce przekazać?

Bourne spojrzał na kata - mężczyznę o wychudłej twarzy i krótko przyciętych siwych włosach. Wycierał długą głównię miecza białą jedwabną chustą, podczas gdy jego pomocnicy usuwali ciało i to, co pozostało z głowy więźnia. Wskazał na wyjątkowo urodziwą kobietę, którą dwaj strażnicy wlekli w stronę zwisającego z gałęzi sznura. Kobieta trzymała się prosto, dumnie. Delta obserwował uważnie twarz mężczyzny z oczyma szaleńca. Kąciki jego wąskich, zaciśniętych ust unosiły się lekko. Ten człowiek się uśmiechał.

Był już martwy. To nastąpi gdzieś, kiedyś. Może tej nocy. Rzeźnik splamiony krwią, zaślepiony fanatyk, który mógł pogрузić cały Daleki Wschód w niewyobrażalnej wojnie - Chin przeciwko Chinom, do której następnie zostałby wciągnięty cały świat.

Tej nocy!

ROZDZIAŁ 27

Ta kobieta jest kurierem, jedną z osób, którym zaufaliśmy - ciągnął mówca podnosząc stopniowo głos jak ortodoksyjny kaznodzieja, który głosi słowo miłości, ale jednocześnie nie traci z oczu diabelskich knowań. - Zaufania tego nie zdobyła, lecz udzielono go jej w dobrej wierze, ponieważ jest ona żoną jednego z nas, dzielnego żołnierza, pierworodnego syna czcigodnej rodziny w prawdziwych Chinach. Człowiek, o którym mówię, naraża teraz życie, przenikając w szeregi naszych wrogów na południu. On również obdarzył ją swoim zaufaniem... a ona je zdradziła, zdradziła swego dzielnego męża, zdradziła nas wszystkich! Jest zwykłą dziwką, która śpi z wrogiem! A w czasie, gdy zaspokajała swoje żądze, ile tajemnic wyjawiała, jak daleko się posunęła? Czy jest ona łącznikiem Europejczyka tu, w Pekinie? Czy to ona na nas donosi, mówi naszym wrogom, czego mają szukać, czego się spodziewać? Bo jakże inaczej mógłby się zdarzyć ten straszliwy dzień? Nasi najbardziej doświadczeni, najbardziej oddani ludzie zastawili pułapkę na naszych wrogów, w której mieli ich zniszczyć, uwalniając nas od zbrodniarzy z Zachodu, którzy widzą jedynie bogactwa, jakie mogą zdobyć płaszcząc się przed ciemieczkami naszej chińskiej ojczyzny. Doniesiono nam, że była tego ranka na lotnisku. Na lotnisku! Tam gdzie organizowana była zasadzka! Czy oddała swe rozpustne ciało naszemu pełnemu poświęcenia człowiekowi, a być może nawet go uspiła? Czy to kochanek rozkazał jej, co ma robić, co powiedzieć naszym wrogom? Czego dopuściła się ta ladacznica?

Wszystko zostało ukartowane, pomyślał Bourne. Cały ten materiał dowodowy pomijał jedne fakty i przytaczał inne tak dowolnie, że nawet sąd w Moskwie odesłałby tego marionetkowego oskarżyciela z powrotem na uczniowską ławkę. Rządy terroru przywódcy plemienia trwały nadal. Wyplenić myślących inaczej. Znaleźć zdrajcę. Zabić każdego, mężczyznę czy kobietę, kto mógł nim być.

Od strony zgromadzonych dobiegł stłumiony, lecz pełen wściekłości chór okrzyków: „Dziwka!” i „Zdrajczyni!”, podczas gdy kobieta szamotała się z dwoma strażnikami. Mówca uniósł dłonie, chcąc przywrócić ciszę. Zaległa natychmiast.

- Jej kochankiem był godny pogardy dziennikarz z Agencji Prasowej Sinhua, kłamliwego, skompromitowanego organu podłego reżimu. Powiedziałem był, ponieważ od godziny ta obrzydliwa kreatura jest martwa, z kulą w głowie i poderżniętym gardłem, aby wszyscy wiedzieli, że on również był zdrajcą! Osobiście rozmawiałem z mężem tej dziwki, chcąc ocalić jego honor. Polecił mi, abym uczynił to, czego żądają od nas duchy naszych przodków. Nie chce mieć z nią nic wspólnego...

- Aiyaaa - Z niezwykłą siłą i wściekłością kobieta zerwała z ust mocno zawiązany kawałek materiału. - Kłamco! - wrzasnęła. - Morderco morderców! Zabiłeś porządnego człowieka, a ja nikogo nie zdradziłam! To mnie zdradzono! Nie byłam na lotnisku i dobrze o tym wiesz! Nigdy nie widziałam tego Europejczyka i o tym wiesz także! Nic nie wiedziałam o tej zasadzce na zachodnich zbrodniarzy i możesz tę prawdę wyczytać z mojej twarzy! Jak bym mogła to zrobić?

- Puszczając się z oddanym sługą naszej sprawy i korumpując go, podając mu narkotyki! Oddając mu swoje piersi i swą sprzedaj na grocie, powstrzymując go i wycofując się aż do chwili, gdy zioła doprowadziły go do szaleństwa!

- To ty jesteś szalony! Mówisz to, te wszystkie kłamstwa, ponieważ wysłałeś mojego męża na

południe i przychodziłeś do mnie przez wiele dni - najpierw z obietnicami, a potem z groźbami. Miałam ci służyć ciałem. Mówiłeś, że to mój obowiązek! Kładłeś się ze mną i dowiedziałam się o...

- Kobieto, jesteś godna pogardy! Przychodziłem do ciebie i błagałem, żebyś oszczędziła honor swego męża, dla sprawy! Żebyś porzuciła swego kochanka i starała się o wybaczenie.

- Kłamstwo! Przychodzili do ciebie ludzie, taipanowie z południa, przysłani przez mojego męża, ludzie, których nikt nie powinien widzieć koło twojego wysokiego urzędu. Przychodzili potajemnie do sklepów mieszczących się pod moim mieszkaniem, mieszkaniem tak zwanej czcigodnej wdowy - jeszcze jedno kłamstwo, którym spętałeś mnie i moje dziecko!

- Dziwka! - wrzasnął mężczyzna o oczach szaleńca i z mieczem w dłoni.

- Twoje kłamstwa są wielkie jak północne góry! - krzyknęła w odpowiedzi kobieta. - Podobnie jak ty, mój mąż ma wiele kobiet i wcale o mnie nie dba! Bije mnie, a ty mi mówisz, że to jego prawo, bo jest wielkim synem prawdziwych Chin! Przewożę z jednego miasta do drugiego wiadomości, które przyniosłyby mi tortury i śmierć, gdyby je przy mnie znaleziono, a w zamian otrzymuję jedynie pogardę. Nikt mi nie zwraca pieniędzy za przejazdy ani juań, które potracono mi w pracy, bo ty mi mówisz, że to mój obowiązek! A co ma jeść moje dziecko? Dziecko, na które ten twój wielki syn Chin ledwo zwraca uwagę, ponieważ chce tylko synów!

- Duchy nie dały ci synów, bo stałoby się kobietami, przynoszącymi hańbę wielkiemu domowi Chin! Ty jesteś zdrajczynią! Poszłaś na lotnisko i skontaktowałaś się z naszymi wrogami, umożliwiając ucieczkę wielkiemu zbrodniarzowi! Zaprzedałaś nas w niewolę na tysiąc lat...

- A wy zrobilibyście z nas stado bydła na dziesięć tysięcy lat!

- Nie wiesz, czym jest wolność, kobieto.

- Wolność? To słowo w twoich ustach? Mówisz mi... mówisz nam... że zwrócisz nam wolność, którą nasi przodkowie cieszyli się w prawdziwych Chinach, ale jaka to wolność, kłamco? Wolność, która żąda ślepego posłuszeństwa, która odbiera ryż mojemu dziecku, dziecku odepchniętemu przez ojca, który wierzy tylko w panów, ziemskich panów, władców Ziemi! Aiya! - Kobieta odwróciła się w stronę tłumu i rzuciła do przodu, oddalając się od mówcy. - Słuchajcie! - krzyknęła. - Słuchajcie mnie wszyscy! Nie zdradziłam was ani naszej sprawy, ale wiele się dowiedziałam. Wszystko było inaczej, niż mówi ten wielki kłamca! Jest wiele bólu i ograniczeń, wiemy o tym dobrze, ale ból i ograniczenia były również przedtem!... Mój kochanek nie był zły, nie był zaślepionym zwolennikiem reżimu, ale wykształconym, łagodnym człowiekiem, który wierzył w wieczne Chiny! Pragnął tego, czego i my pragniemy! Uważał jedynie, że potrzeba czasu, by naprawione zostało zło, które skaziło rządzących nami starców w komitetach. Zmiany nastąpią, powiedział mi. Niektórzy wskazują już nową drogę. Już!... Nie pozwólcie temu kłamcy mnie zabić!

- Dziwka! Zdrajczyni! - Głownia miecza przecięła powietrze, pozbawiając kobietę głowy. Jej kadłub potoczył się w lewo, głowa w prawo. Z obu części tryskały gejzery krwi. Mówca znów machnął mieczem, tnąc ciało kobiety, ale cisza, jaka zapadła w tłumie, była brzemienią, wzbudzającą grozę. Zatrzymał się, wyczuł, że jego pozycja się zachwiała. Odzyskał ją jednak natychmiast. - Niechaj najświętsze duchy przodków zapewnią jej pokój i oczyszczenie! - krzyknął. Jego oczy przesunęły się po zgromadzonych, zatrzymywały na każdej twarzy. - Gdyż pozbawiłem ją życia nie z nienawiści, lecz kierując się współczuciem dla jej słabości. Znajdzie spokój i przebaczenie. Duchy zrozumieją, ale my też musimy jedno zrozumieć, tu, w naszej ojczyźnie. Nie możemy odstąpić od naszej sprawy... Musimy być silni! Musimy...

Bourne miał już dość tego szaleńca. Ten człowiek był wcieloną nienawiścią. I był martwy. Kiedyś. Gdzieś. Może tej nocy... jeżeli to możliwe, tej nocy!

Delta wyciągnął nóż z pochwy i zaczął czołgać się w prawo, przez gęste zarośla. Jego tętno było niezwykle równo; czuł, jak narasta w nim wściekłość i determinacja - Dawid Webb zniknął. Tak wielu rzeczy nie mógł sobie przypomnieć z tej odległej przeszłości, ale było również wiele takich, które do niego powracały. Szczegóły pamiętał mgliście, ale pozostał instynkt. Kierował się odruchami i czuł się całkowicie zespolony z ciemnością lasu. Dżungla nie była jego przeciwnikiem. Jego chaotyczne wspomnienia z odległych czasów podpowiadały mu, że była sojusznikiem, który go chronił, była jego ocaleniem. Drzewa, pnącza, poszycie były jego przyjaciółmi. Poruszał się wśród nich jak dziki kot, stąpający pewnie i bezszelestnie.

Skręcił w lewo nad krawędzią prehistorycznej doliny i zaczął schodzić w dół, kierując się wprost na drzewo, pod którym w swobodnej pozie stał morderca. Mówca ponownie zmienił swoją strategię w stosunku do zgromadzonych. Starł się odrobić straty, zrezygnował więc z egzekucji następnej kobiety. Zdawał sobie doskonale sprawę, że taka kaźń byłaby dla obecnych, z których każdy przecież miał matkę, czymś nie do przyjęcia, bez względu na jednoczącą ich sprawę. Pełna żaru przemowa martwej, zmasakrowanej kobiety musiała się zatrzeć w ich pamięci. Mówca, mistrz w swym rzemiośle - a może raczej w sztuce - wiedział, kiedy powrócić do słów miłości, natychmiast usuwając w cień Lucyfera. Pomocnicy szybko zatarli ślady gwałtownej śmierci, a wtedy mężczyzna ruchem obrzędowego miecza przywołał drugą kobietę. Była to ładna dziewczyna, w wieku najwyżej osiemnastu lat. Gdy wleczono ją na miejsce rozprawy, płakała i wymiotowała.

- Nie pragniemy twej choroby i łez, dziecko - rzekł mówca najbardziej ojcowskim tonem, na jaki mógł się zdobyć. - Zawsze pragnęliśmy cię oszczędzić, gdyż wymagano od ciebie spełniania obowiązków, które cię przerastały ze względu na twój młody wiek i dowiadywałaś się tajemnic przekraczających twoje możliwości zrozumienia. Młodość często mówi, gdy powinna milczeć... Widywano cię w towarzystwie dwóch braci z Hongkongu... ale nie byli to nasi bracia. Są to ludzie pracujący dla brytyjskiej korony, tego słabego, dekadentckiego rządu, który sprzedał Ojczyznę naszym gnębicielom. Dawali ci błyskotki, ładną biżuterię, szminki i francuskie perfumy z Koulunu. A teraz powiedz, dziecko, co ty im dałaś?

Młoda dziewczyna wymiotująca histerycznie przez zatykający jej usta knebel, potrząsnęła gwałtownie głową. Łzy strumieniami spływały jej po twarzy.

- Trzymała rękę pod stołem między nogami mężczyzny w kawiarni na Guangqu! - zawołał jeden z oskarżycieli.

- To jedna z tych świń pracujących dla Anglików! - dodał następny.

- Młodość podatna jest na podniety - rzekł mówca spoglądając na oskarżycieli. Jego oczy płonęły, jakby nakazując milczenie. - Nasze serca mogą wybaczyć młodzieńczą wylewność uczuć - dopóki tej łatwości ulegania podnieciom, tej wylewności nie towarzyszy zdrada.

- Była przy bramie Oianmen!..

- Ale nie była na Tiananmen. Ja sam to ustaliłem! - krzyknął mężczyzna z mieczem. - Twoje informacje są fałszywe. Pozostaje tylko jedno proste pytanie. Dziecko! Czy mówiłaś o nas? Czy twoje słowa mogły zostać przekazane naszym wrogom tu lub na południu?

Dziewczyna wiała się na ziemi, gwałtownie wyginała całe ciało w tył i w przód, starając się zaprzeczyć oskarżeniu.

- Uznaję twą niewinność, tak jak uczyniłby to ojciec, ale głupota zasługuje na skarcenie, dziecko. Byłaś zbyt swobodna w zawieraniu znajomości, zbyt lubiłaś błyskotki. Kiedy nie służy to naszej sprawie, może stać się niebezpieczne.

Młodą kobietę oddano pod nadzór znajdującego się wśród zgromadzonych tęgiego, pewnego siebie mężczyzny w średnim wieku, z zaleceniem, by ją „pouczał i skłaniał do medytacji”. Z wyrazu twarzy przyszłego opiekuna łatwo było wyczytać, że powierzone mu obowiązki będzie rozumiał o wiele szerzej. A kiedy już będzie miał jej dosyć, to dziecko, które wydobywało tajemnice od przedstawicieli pekińskiej hierarchii, domagających się, by sprowadzono im młode dziewczynki, w przekonaniu, że takie związki odnawiają ich siły witalne, po prostu zniknie.

Dwóm z pozostałych trzech Chińczyków dosłownie wytoczono proces. Oskarżono ich o handel narkotykami za pośrednictwem siatki działającej między Szanghajem a Pekinem. Ich przestępstwem nie było jednak rozprowadzanie narkotyków, lecz nagminne podkradanie zysków i przekazywanie poważnych sum na prywatne konta w bankach w Hongkongu. Kilku ze zgromadzonych osób wystąpiło, by potwierdzić te ciężkie zarzuty. Oznajmili oni, że jako podlegli braciom dystrybutorzy wręczali obu „szefom” duże sumy w gotówce, które nie zostały nigdy zarachowane w tajnych księgach organizacji. Był to wstępny, ale nie najważniejszy punkt oskarżenia. Wypowiedział go dopiero główny mówca swym wysokim, przenikliwym głosem.

--- Podróżowaliście na południe do Koulunu. Raz, dwa albo i trzy razy w miesiącu. Port lotniczy Kai Tak... Ty! - wrzasnął fanatyk z mieczem wskazując więźnia stojącego po lewej stronie. - Przyleciałeś z powrotem tego popołudnia. Byłeś ubiegłej nocy w Koulunie. Ubiegłej nocy! Kai Tak! A właśnie ubiegłej nocy zostaliśmy zdradzeni na Kai Tak! - Mówca wyszedł poza krąg światła wokół pochodni i złowieszczo zbliżył się do klęczących, zmartwiałych z przerażenia mężczyzn. - Wasza miłość do pieniędzy przytłumiła waszą miłość do naszej sprawy - zaintonował jak przepełniony smutkiem, ale rozgniewany patriarcha. - Bracia poprzez krew i bracia w złodziejstwie. Wiedzieliśmy o tym już od wielu tygodni, wiedzieliśmy, gdyż wasza chciwość wzbudziła wiele zaniepokojenia. Wasze pieniądze musiały mnożyć się jak szczury w śmierdzącym ścieku, a więc zwróciliście się do przestępczych triad w Hongkongu. Jakie to pomysły, oryginalne i jakże głupie! Czy sądzicie, że nie mamy powiązań z niektórymi triadami?

Sądzicie, że nie istnieją sfery, gdzie nasze interesy się pokrywają? Sądzicie, że żywią oni mniejszą pogardę dla zdrajców niż my?

Dwaj związani bracia tarzali się w kurzu, klękali błagalnie, kręcili przecząco głowami. W stłumionych okrzykach słyhać było prośbę o to, by ich wysłuchano, by pozwolono im mówić. Mówca zbliżył się do więźnia po lewej stronie i zsunął mu gwałtownie knebel, szarpiąc skórę na twarzy.

- Nie zdradziliśmy nikogo, wielki panie! - wrzasnął więzień. - Nie zdradziłem nikogo! Tak, byłem na Kai Tak, ale tylko w tłumie. Żeby obserwować, panie! Żeby się uradować!

- Z kim rozmawiałeś?

- Z nikim, wielki panie! Ach tak, z urzędnikiem. Żeby potwierdzić mój lot następnego ranka i to wszystko, przysięgam na duchy moich przodków. Mojego młodszego brata i moich, panie!

- Pieniądze. Co powiesz o pieniądzach, które ukradłeś.

- Nie ukradłem ich, wielki panie, przysięgam! Wierzyliśmy w naszych dumnych sercach, dumnych z naszej sprawy, że będziemy mogli wykorzystać te pieniądze dla dobra prawdziwych Chin!

Każdy juan dochodu miał być oddany sprawie!

Tłum zahuczał w odpowiedzi. Pod adresem więźniów posypały się pogardliwe okrzyki, odnoszące się do dwóch spraw - zdrady i kradzieży. Mówca podniósł ręce żądając ciszy. Głosy umilkły.

- Niech rozejdzie się wieść - powiedział wolno potężniejącym głosem. - Niechaj ci z naszej powiększającej się gromady, którzy myślą o zdradzie, wysłuchają tego ostrzeżenia. Nie ma w nas litości, ponieważ nam jej nie okazano. Nasza sprawa jest słuszna i czysta, i sama myśl o zdradzie jest wstrętna. Niech rozejdzie się wieść. Nie wiecie, kim jesteśmy ani gdzie jesteśmy - czy urzędnikiem w ministerstwie, czy członkiem Służby Bezpieczeństwa. Jesteśmy wszędzie i nie ma nas nigdzie. Ci, którzy się wahają i wątpią, są jak martwi... Proces tych jadowitych psów jest zakończony. Teraz wszystko zależy od was, moje dzieci.

Orzeczenie było błyskawiczne i jednogłośnie: winni w pierwszym punkcie oskarżenia, prawdopodobnie winni w drugim. Zapadł następujący wyrok: jeden brat umrze, drugi będzie żył; pojedzie pod eskortą na południe, do Hongkongu, by odzyskać pieniądze. Wybór zostanie dokonany za pomocą znanego od wieków rytuału yi zangli, co w dosłownym tłumaczeniu znaczyło: „jeden pogrzeb”. Obaj mężczyźni otrzymali noże o ząbkowanych i ostrych jak brzytwy klingach. Walka miała odbyć się w kole o średnicy dziesięciu kroków. Dwaj bracia stanęli twarzą w twarz i okrutny rytuał rozpoczął się. Jeden z nich całym ciałem rzucił się rozpaczliwie w przód. Drugi zrobił unik i ostrze jego noża przecięło twarz atakującego.

Pojedynek w kręgu śmierci oraz barbarzyńskie reakcje publiczności zagłuszały każdy hałas powodowany przez Bourne'a. Jason postanowił działać szybko. Biegł przez zarośla, łamiąc gałęzie i przecinając splątane źdźbła wysokiej trawy, aż wreszcie znalazł się dwadzieścia metrów od drzewa, za którym stał morderca. Mógł skręcić i podejść bliżej, ale najpierw musiał zająć się d'Anjou. Echo powinien się dowiedzieć, że Jason tu jest.

Francuz i ostatni chiński więzień stali nieco na prawo od kręgu. Po ich obu bokach znajdowali się strażnicy. Jason przesuwał się do przodu, podczas gdy tłum wykrzykiwał obelgi lub słowa zachęty dla walczących. Jeden z braci zadał niemal decydujący cios nożem, ale jego przeciwnik do końca walczył o życie. Bourne był zaledwie trzy czy cztery metry od d'Anjou. Obmacał ziemię wokół siebie i podniósł leżącą gałąź. Korzystając z kolejnej eksplozji wrzasków oszalałych widzów, przełamał ją w dwóch miejscach. Oczyszczył wszystkie trzy kawałki z liści i otrzymał stosunkowo proste kijki. Wycelował i cisnął pierwszy patyk, który poleciał niskim łukiem i upadł tuż za nogami Francuza. Rzucił drugi i ten trafił Echo pod kolanami! D'Anjou dwukrotnie skinął głową na znak, że wie o obecności Delty. A potem zrobił coś dziwnego. Zaczął lekko kiwać głową. Próbował mu przekazać w ten sposób jakąś informację. Nagle lewa noga d'Anjou ugięła się i Francuz runął bezwładnie na ziemię. Stojący po prawej stronie strażnik brutalnym szarpnięciem natychmiast postawił go na nogi, choć cała jego uwaga była zwrócona na krwawe zmagania w kręgu „jednego pogrzebu”.

Echo ponownie zaczął kiwać głową powoli, znacząco. Potem obrócił ją i zaczął wpatrywać się w stojącego po lewej stronie siwowłosego mordercę, który odsunął się od drzewa, by lepiej widzieć śmiertelne zmagania. Francuz ponownie odwrócił głowę, kierując teraz wzrok na szaleńca z mieczem.

D'Anjou upadł ponownie, ale tym razem podniósł się, zanim strażnik zdołał go dotknąć. Wstając poruszył szczupłymi ramionami w górę i w dół. A Bourne wziął głęboki oddech i przymknął oczy. Była to jedyna króciutka chwila żalu, na jaką mógł sobie pozwolić. Wiadomość była wyraźna. Echo

sam wycofywał się z gry i zlecał Delcie, by zajął się sobowtórem - a przy okazji załatwił również tego opętanego rzeźnika. D'Anjou zdawał sobie sprawę, że jest zbyt poturbowany, zbyt słaby, żeby brać udział w ucieczce. Byłby jedynie zawadą, a poza tym sobowtór miał pierwszeństwo... Marie miała pierwszeństwo. Życie Echa dobiegło końca. Ale jego nagrodą będzie śmierć szalonego kata, fanatyka, który z całą pewnością go zabije.

Ogłuszający wrzask wypełnił dolinę, a potem tłum ucichł gwałtownie. Bourne szybko spojrzał w lewo, w przerwę między widzami. To, co zobaczył, było równie obrzydliwe, jak wszystko, czego był świadkiem w ostatnich, pełnych przemocy minutach. Profetyczny mówca zatopił swój obrzędowy miecz w karku jednego z walczących braci. Wyciągnął go, gdy ciało zwinęło się w konwulsjach i upadło na ziemię. Mistrz tej morderczej ceremonii uniósł głowę i zawołał:

- Lekarzu!

- Tak, panie? -- odezwał się głos z tłumy.

- Opatrz tego, który przeżył. Wylecz go najlepiej, jak potrafisz, żeby był zdolny do podróży na południe. Gdybym pozwolił, by walka trwała nadal, obaj by zginęli i przepadłyby nasze pieniądze. Te żyte rodziny wnoszą do yi zangli wrogość nagromadzoną przez lata. Zabierzcie jego brata i wrzucie do bagna wraz z innymi. Wszyscy staną się doskonałą padliną dla mięsożernych ptaków.

- Tak jest, panie. - Mężczyzna z czarną lekarską torbą wszedł, w udeptany krąg. Trupa odciągnięto i zaraz potem pojawiły się nosze. Wszystko było przygotowane, zaplanowane. Lekarz wbił igłę w jęczącego, zakrwawionego mężczyznę, którego później wyniesiono z kręgu śmierci. Mówca wytarł miecz w kolejną jedwabną chustę i skinął głową w stronę dwu pozostałych więźniów.

Oszołomiony Bourne zobaczył, jak stojący obok d'Anjou Chińczyk spokojnie uwalnia swoje skrępowane ręce, a potem sięga za kark i rozwiązuje rzekomo duszący go kawałek szmaty i sznur, które miały zapobiec wydostawaniu się z jego rozwartych ust jakichkolwiek dźwięków poza gardłowymi jękami. Mężczyzna podszedł do mówcy i odezwał się podniesionym głosem zwracając się zarówno do niego, jak i do zgromadzonych. milczy i nie chce niczego wyznać, mimo że mówi biegle po ilirs! u i miał doskonałą okazję do rozmowy ze mną, zanim wsadzono nas do ciężarówki i zakneblowano. Nawet kiedy odzywałem się do niego rozluźniwszy mój knebel i proponowałem mu, że jego knebel także rozluźnię. Odmówił. Jest uparty i barbarzyńsko odważny, ale jestem pewien, że wie to, czego nie chce nam powiedzieć.

- Tongku, tongku! - Z tłumy rozległy się dzikie wrzaski żądające tortur. Do tych okrzyków dołączyły się jeszcze inne - fen hong gui! - w których domagano się, by strefę bólu ograniczyć jedynie do jąder Europejczyka.

- Jest stary, słaby i tak jak przedtem tylko straci przytomność - zaproponował rzekomy więzień. - Proponuję więc co innego, jeżeli nasz przywódca pozwoli.

- Jeśli istnieje szansa sukcesu, czyn, co uważasz za słuszne - odparł mówca.

- Ofiarowaliśmy mu wolność w zamian za informacje, ale nam nie dowierza. Zbyt długo miał do czynienia z komunistami. Proponuję zabrać naszego opornego sojusznika na lotnisko w Pekinie i wykorzystać moje stanowisko, by zapewnić mu przelot następnym samolotem na Kai Tak. Przeprowadzę go przez kontrolę paszportową, a przed wejściem na pokład samolotu będzie musiał mi przekazać tę informację. Czy może być większe świadectwo zaufania? Znajdziemy się pośród naszych wrogów i jeżeli uzna, że jego sumienie zostało narażone na szwank, wystarczy tylko, że podniesie głos. Widział i słyszał więcej niż ktokolwiek, komu kiedykolwiek darowaliśmy życie. Z

biegiem czasu możemy stać się prawdziwymi sojusznikami, ale najpierw należy okazać sobie zaufanie.

Mówca wpatrywał się przez chwilę w twarz prowokatora, a następnie przeniósł spojrzenie na d'Anjou, który stał wyprostowany, patrzył przez szparki w opuchniętych powiekach i słuchał z nieporuszoną twarzą. Wreszcie mężczyzna z mieczem odwrócił się i odezwał do siwowłosego mężczyzny stojącego pod drzewem. Nagle okazało się, że mówi po angielsku. - Zaproponowaliśmy temu nic nie znaczącemu manipulantomu, że darujemy mu życie, jeżeli powie nam, gdzie znajdziemy jego towarzysza. Czy przystaje pan na to?

- Francuz was okłamał - odparł zabójca robiąc krok do przodu. Mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem.

- W jakim celu? - zapytał mówca. - Ocali życie i odzyska wolność. Jego akta stanowią dowód, że nie troszczy się o innych.

- Nie jestem tego taki pewien - stwierdził Anglik. - Brali wspólnie udział w operacji o nazwie „Meduza”. Wciąż o tym opowiadał. Obowiązywały tam pewne reguły, może to pan również nazwać zasadami zachowania. Skłamał.

- Osławiona „Meduza” składała się z wyrzutków, ludzi, którzy zabiliby towarzysza walki, gdyby dzięki temu mogli ocalić swoje życie.

Morderca wzruszył ramionami. - Chciał pan, żebym wypowiedział swoją opinię - rzekł. - Zrobiłem to.

- Zapytajmy więc tego, komu jesteśmy gotowi okazać łaskę. - Mówca ponownie przeszedł na dialekt mandaryński i zaczął wydawać polecenia. Oszust wrócił pod drzewo i zapalił papierosa, d'Anjou zaś został wyprowadzony do przodu. - Rozwiążcie mu ręce. Nigdzie stąd nie odejdzie. I wyjmijcie mu knebel z ust. Usłyszmy, co ma nam do powiedzenia. Udowodnijmy mu, że potrafimy także okazać... zaufanie, a nie tylko mniej przyjemne aspekty naszej natury.

D'Anjou potrząsnął opuszczonymi wzdłuż ciała rękami, a potem podniósł prawą dłoń i rozmasował sobie usta. - Wasze zaufanie jest równie litościwe i przekonywające, jak wasz sposób postępowania z więźniami - powiedział po angielsku.

- Zapomniałem. - Mówca uniósł brwi. - Pan nas rozumie.

- Niekiedy lepiej, niż pan sobie wyobraża - odparł Echo.

- Dobrze. Ale wolę mówić po angielsku. W pewnym sensie jest to sprawa między nami, nieprawdaż?

- Nie ma niczego między nami. Staram się unikać szaleńców, ich poczynania są tak trudne do przewidzenia. - D'Anjou spojrział na stojącego pod drzewem sobowtóra. - Oczywiście, zdarzało mi się popełniać błędy. Ale myślę, że w jakiś sposób da się ten błąd naprawić.

- Będzie pan żył - oznajmił mówca.

- Jak długo?

- Dłużej niż do końca tej nocy. Wszystko inne zależeć będzie tylko od pana, pańskiego zdrowia i zdolności.

- Nie, to nieprawda. Wszystko skończy się, gdy wysiądę z samolotu na lotnisku Kai Tak. Nie

chybicie tak jak wczoraj wieczorem. Nie będzie sił bezpieczeństwa, kuloodpornych limuzyn, ale pojedynczy człowiek wychodzący z dworca lotniczego i drugi - z pistoletem zaopatrzonego w tłumik albo z nożem. Jak stwierdził to już pański raczej niezbyt przekonujący „współwięzień”, byłem tu dzisiejszej nocy. Widziałem. Słyszałem. A to, co widziałem i słyszałem, jest moim wyrokiem śmierci... A przy okazji, jeżeli on zastanawia się, dlaczego mu się nie zwierzyłem, to proszę mu powiedzieć, że zdecydowanie za bardzo się narzucał, był zbyt podniecony - i potem ten nagle obluźowany knebel. Mój Boże. Nigdy nie mógłby zostać moim uczniem. Był obłudny podobnie jak pan, ale poza tym jest jeszcze beznadziejnie głupi.

- Podobnie jak ja?

- Tak, ale w pańskim przypadku nie ma na to żadnego usprawiedliwienia. Jest pan wykształconym człowiekiem, człowiekiem, który wiele podróżował po świecie - to widać z pańskiego sposobu mówienia. Gdzie pan studiował? W Oksfordzie? A może w Cambridge?

- W Londyńskiej Wyższej Szkole Ekonomii - rzekł Sheng Chouyang, nie mogąc się powstrzymać.

- Nieźle. Widzę, że jest pan wciąż dumny ze starej budy, jak powiadają Anglicy. Mimo to jest pan z gruntu fałszywy. Błazen. Nie jest pan uczonym ani nawet studentem, lecz jedynie fanatykiem bez wyczucia rzeczywistości. Jest pan głupcem.

- Śmie mi pan to mówić?

- Kai sai zuan - rzekł Echo zwracając się do tłumu. - Shenjingbing! - dodał ze śmiechem. Wyjaśnił właśnie wszystkim zebranym, że rozmawia z wariatem.

- Dość tego!

- Weishenme? Dlaczego? - ciągnął dalej osłabiony Francuz po chińsku, włączając w ten sposób do rozmowy całe zgromadzenie. - Prowadzisz tych ludzi do zagłady z powodu twoich szaleńczych teorii o możliwości przemiany ołowiu w złoto! Sików w wino! Ale jak powiedziała ta nieszczęsna kobieta - czyje złoto, czyje wino? Wasze czy jego? - D'Anjou machnął ręką w stronę tłumu.

- Ostrzegam pana! - krzyknął Sheng po angielsku.

- Widzicie! - zawołał ochryłym głosem Echo w dialekcie mandaryńskim. - Nie chce mówić ze mną w waszym języku! Ukrywa coś przed wami. Ten człowieczek o krzywych nogach i z wielkim mieczem - czy dlatego go ma, bo brak mu wszystkiego innego? Czy dlatego tnie kobiety jego ostrzem, bo nie ma innego urządzenia i nie może z nimi robić nic innego? Spójrzcie na tę głowę jak dynia, o śmiesznym, płaskim czubku...

- Dostyc!

- ...i ma oczy rozwrzeszczanego, nieposłusznego, brzydkiego dziecka! Jak już powiedziałem, jest to tylko wariat. Po co poświęćcie mu swój czas? Da wam w zamian tylko siki, wcale nie wino!

- Na pańskim miejscu przestałbym - powiedział Sheng robiąc krok do przodu. W rękę wciąż trzymał miecz. - Zabiją pana, zanim ja to zrobię.

- Nieco w to wątpię - odparł d'Anjou po angielsku. - Gniew przytępia pański słuch, Monsieur Puste Miejsce. Czy nie dosłyszał pan paru chichotów? Bo ja tak.

- Gou le! - ryknął Sheng Chouyang, każąc Echu umilknąć. - Udzieli nam pan informacji, których potrzebujemy - ciągnął dalej po chińsku przenikliwym, szczekającym głosem kogoś przywykłego do

posłuchu. - Zabawy się skończyły i nie ścierpimy pana dłużej! Gdzie jest zabójca, którego sprowadził pan z Makau?

- Tutaj - odparł d'Anjou lekceważąco, kiwając głową w stronę sobowtóra.

- Nie o niego chodzi. O tego, który przybył tu wcześniej. Tego szaleńca, którego pan wskrzesił, żeby pana pomścić. Gdzie mieliście się spotkać? Gdzie jest wasz punkt kontaktowy? Gdzie jest wasza baza tu, w Pekinie?

- Nie ma punktu kontaktowego - odparł Echo przechodząc znowu na angielski. - Nie ma bazy operacyjnej ani planów spotkania.

- Musiały być jakieś plany! Wy zawsze zwracacie uwagę na awaryjne rozwiązania, zabezpieczenia. W taki sposób udaje się panu przeżyć!

- Udawało. Obawiam się, że to już czas przeszły. Sheng uniósł miecz. - Niech pan mówi, bo inaczej pan zginie - i to w nieprzyjemny sposób, monsieur.

- Powiem tylko tyle. Gdyby mógł słyszeć mój głos, wytłumaczyłbym mu, że to pana musi zabić. Ponieważ to pan jest człowiekiem, który rzuci całą Azję na kolana i utopi miliony ludzi w oceanach krwi ich braci. Musi oczywiście dbać o swój własny interes, rozumiem to, ale wydając ostatnie tchnienie powiedziałbym mu, że zabicie pana leży także w jego interesie! Powiedziałbym mu: Ruszaj! Szybko!

Zafascynowany spektaklem w wykonaniu d'Anjou, Bourne drgnął jak uderzony. Echo dawał mu ostateczny sygnał! Ruszaj! Już! Jason sięgnął do lewej przedniej kieszeni i wyciągał z niej zawartość czołgając się między drzewami z dala od areny okrutnych rytuałów. Znalazł wielką skałę, wysoką na półtora metra. Powietrze za nią stało nieruchomo, a jej rozmiary doskonale osłaniały jego działania. Pracując słyszał nadal głos d'Anjou. Był słaby i drżący, ale mimo to słychać w nim było wyzwanie. Echo odnajdywał w sobie wewnętrzne siły, by nie tylko godnie przeżyć ostatnie chwile życia, ale również zyskać kilka minut tak rozpaczliwie potrzebnych Delcie.

- ...Nie spiesz się tak, mon general Czyngis-chanie, czy kimkolwiek pan jest. Jestem starym człowiekiem i pańscy pomocnicy dobrze wykonali swoją robotę. Jak pan zauważył, nigdzie stąd nie odejdę. Z drugiej jednak strony nie mam pewności, czy pragnąłbym udać się tam, dokąd chce pan mnie wysłać... Nie byliśmy wystarczająco sprytni, by przewidzieć pułapkę, którą na nas zastawiliście. Gdybyśmy ją przewidzieli, nigdy byśmy w nią nie wpadli, dlaczego więc pan uważa, że byliśmy na tyle sprytni, żeby ustalić punkt kontaktowy?

- Dlatego, że pan w nią wpadł - powiedział spokojnie Sheng Chouyang. - Wszedł pan... on wszedł... do mauzoleum za człowiekiem z Makau. Ten szaleniec miał nadzieję wyjść stamtąd. Wasz plan, na wypadek nieprzewidzianej sytuacji, musiał więc zawierać zarówno sposób wywołania chaosu, jak i ustalony punkt spotkania.

- Pozornie pańska logika wydaje się nienaganna...

- Gdzie? - wrzasnął Sheng.

- Co mi pan proponuje?

- Życie!

- Ach tak, już pan wspomniał.

- Pański czas ucieka.

- Będę wiedział, kiedy przyjdzie mój czas, monsieur! - Ostatnia wiadomość. Delta zrozumiał.

Bourne potarł zapałkę o pudełko i zasłonił płomień dłońmi. Następnie zapalił cienką, woskową świecę, w której w odległości kilku milimetrów od czubka zatopiony był detonator. Odczołgał się szybko w las, rozwijając po drodze szpagat przywiązany do podwójnego zwoju petard. Gdy sznur się skończył, Jason ponownie skierował się w stronę drzewa.

- ...A jakie mam gwarancje, że ocaleę życie! - nalegał Echo. Jak arcymistrz szachowy, który planuje własną nieuniknioną śmierć, prowadził tę perwersyjną grę z wyraźnym zadowoleniem.

- Chcemy prawdy - odparł Sheng. - To wszystko.

- Ale przecież mój były uczeń powiedział panu, że skłamię - tak jak pan konsekwentnie kłamał przez cały ten wieczór. - D'Anjou przerwał i powtórzył ostatnie zdanie w dialekcie mandaryńskim. - Liaojie ma? - zwrócił się do widzów pytając ich, czy zrozumieli.

- Dosyć!

- Bez przerwy się pan powtarza. Doprawdy, powinien pan próbować się opanować. To taki męczący nawyk.

- Moja cierpliwość się kończy! Gdzie jest twój szaleniec?

- W pańskim zawodzie, mon generał, cierpliwość jest nie tylko cnotą, ale i koniecznością.

- Dosyć! - zawołał sobowtór i ku ogólnemu zaskoczeniu odskoczył od drzewa. - On gra na zwłokę. Bawi się z panem. Znam go!

- Po co? - spytał Sheng unosząc miecz.

- Nie wiem - odparł brytyjski komandos. - Po prostu nie podoba mi się to i to jest dla mnie wystarczający powód!

Trzy metry dalej, za drzewem, Delta spojrział na świecąca tarczę zegarka, zwracając szczególną uwagę na dużą wskazówkę. Jeszcze w samochodzie obliczył czas spalania się świecy i widział, że zbliża się ten moment. Przymknął oczy, zanosząc błaganie do czegoś, czego nie pojmował, nabrał garść ziemi i cisnął ją wysoko w górę, na prawo od drzewa, tak by spadła z prawej strony d'Anjou. Słyszac szmer spadających grudek. Echo natężył głos najbardziej jak potrafił.

- Układać się z tobą? - wrzasnął. - Prędzej zawarłbym układ z archaniołem ciemności. Może jeszcze mnie to czeka, a może i nie, gdyż łaskawy Bóg wie, że popełniłeś grzechy, o jakich nawet nie odważyłbym się pomyśleć i opuszczam tę Ziemię marząc tylko o tym, by cię zabrać ze sobą! Bo poza cechującą cię obrzydliwą brutalnością, mon general, jesteś głupkowskim, próżnym nudziarzem, okrutną hańbą twego narodu! Umrzyj wraz ze mną, generale Gównu!

Wykrzykując ostatnie słowa d'Anjou rzucił się na Sheng Chouyan-ga, wbijając mu paznokcie w twarz i plując w szeroko otwarte ze zdumienia oczy. Sheng odskoczył do tyłu i machnął swym obrzędowym mieczem, opuszczając go na głowę Francuza. Koniec nastąpił miłosiernie szybko dla Echa.

Zaczęło się! Urywana seria eksplozji petard wypełniła dolinkę, odbijając się echem od drzew i potęgując w uszach oszołomionego tłumu. Ludzie rzucali się na ziemię; inni śmiertelnie przerażeni, ogarnięci paniką, wbiegali między drzewa, chowając się w zaroślach.

Sobowtór skoczył za pień drzewa i przyklęknął z bronią w rękę. Bourne, trzymając pistolet z

nałożonym na lufę tłumikiem, podszedł do zabójcy i stanął nad nim. Wycelował dokładnie i strzelił wytrącając broń z ręki mężczyzny. Z dłoni komandosa między kciukiem i palcem wskazującym trysnęła struga krwi. Morderca odwrócił się gwałtownie z wytrzeszczonymi oczyma i otwartymi ustami. Kolejny strzał Jasona rozciął mu skórę na kości policzkowej.

- Odwróć się! - rozkazał Bourne przykładając lufę do lewego oka komandosa. - A teraz obejmij drzewo! Obejmij! Obydwoma ramionami, mocno, mocniej! - Jason wcisnął pistolet w kark mordercy i wyjrzał zza drzewa. Niektóre pochodnie wbite w grunt leżały przewrócone, ich płomienie zgasły.

Z głębi lasu dobiegła kolejna seria eksplozji. Ogarnięci paniką ludzie zaczęli strzelać w kierunku, z którego dochodziły dźwięki. Noga oszusta drgnęła! A potem jego prawa ręka! Bourne wystrzelił dwukrotnie prosto w pień. Pociski wbiły się w drzewo tuż obok czaszki komandosa obsypując go kawałkami kory. Złapał mocno pień i jego ciało gwałtownie zeszytniało.

- Odwróć głowę w lewo! - powiedział Jason ostro. - Ruszysz się jeszcze raz, to ci ją przedziurawię!

Gdzie on jest? Gdzie jest ten szaleniec z mieczem? Delta był to winien Echu. Gdzie... Tam! Człowiek z oczyma fanatyka podnosił się z ziemi rozglądając się na wszystkie strony, wykrzykując rozkazy do tych, którzy znajdowali się w pobliżu, i domagając się broni. Jason wysunął się zza drzewa i uniósł pistolet. Głowa fanatyka zamarła nieruchomo. Ich oczy się spotkały. Bourne wystrzelił dokładnie w tej samej chwili, gdy Sheng szarpnięciem pociągnął strażnika do siebie. Żołnierz wygiął się do tyłu. Jego plecy zadrgały pod uderzeniem pocisków. Sheng trzymał trupa przed sobą używając go jako tarczy, podczas gdy Jason wystrzelił jeszcze dwa razy powodując konwulsyjne drgnięcia zwłok. Nie mógł tego zrobić! Szaleniec wciąż był zasłonięty ciałem żołnierza! Delta nie mógł spełnić żądania Echa! Generał Gówno przeżyje! Przepraszam cię, Echo! Nie ma czasu! Ruszaj! Echo odszedł... Marie!

Sobowtór przekręcił głowę, usiłując dostrzec, co się dzieje. Bourne pociągnął za spust. Kora eksplodowała w twarz zabójcy, który instynktownie podniósł ręce do oczu, a potem potrząsnął głową usiłując odzyskać możliwość widzenia.

- Wstawaj! - rozkazał Jason. Chwycił mordercę za gardło i obrócił go w stronę ścieżki, którą uTORował sobie w krzakach schodząc do doliny. - Idziesz ze mną!

W głębi lasu po raz trzeci rozległy się trzaski petard, eksplodujących gwałtownie nakładającymi się na siebie seriami. Sheng Chouyang wrzeszczał histerycznie rozkazując swym ludziom, żeby biegli w dwu kierunkach - w stronę drzewa i odległych odgłosów detonacji. Wybuchy ucichły w chwili, kiedy Bourne pchnął swego jeńca w krzaki i kazał mu się położyć na ziemi. Jason postawił komandosowi stopę na karku i pochylił się. Pomacał wokół siebie, podniósł trzy kamienie i cisnął jeden po drugim ponad głowami ludzi przeszukujących okolice drzewa. Kamienie padały coraz dalej od drzewa i skutecznie odwróciły ich uwagę.

- Nali!

- Shu nar!

- Bul Caodi nar!

Podwładni Shenga zaczęli iść przed siebie z bronią gotową do strzału. Kilku pobiegło przodem zagłębiając się w zarośla. Pozostali przyłączyli się do nich w chwili, gdy rozległa się czwarta i ostatnia kanonada petard. Mimo odległości eksplozje były równie głośne, a może nawet głośniejsze niż poprzednio. Była to ostatnia scena, kulminacyjny punkt całego przedstawienia, z najdłuższymi i

najbardziej dudniącymi wybuchami.

Delta wiedział, że teraz liczy się każda minuta i jeśli kiedykolwiek las był jego przyjacielem, to ten musiał się nim stać już teraz. Za chwilę, może za parę sekund, Chińczycy znajdą rozrzucone na ziemi puste łuski po petardach i jego podstęp się wyda. A wtedy nastąpi masowy, histeryczny wyścig do bramy.

- Ruszaj! - rozkazał Bourne chwytając mordercę za włosy. Poderwał go na nogi i popchnął naprzód. - Pamiętaj, ty skurwysynu, że każdą sztuczkę, której się nauczyłeś, ja opanowałem do perfekcji, i zacieram to różnicę wieku między nami! Spróbuj tylko zerknąć w niewłaściwą stronę, a będziesz miał dwie dziury po kulach zamiast oczodołów. Ruszaj!

Kiedy biegli nierówną ścieżką przez zalesioną dolinę, Bourne sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść nabojów. Podczas gdy zabójca biegł przed nim łapiąc z trudem oddech, trąc oczy i rozmazując ciekącą mu po policzku krew, Jason wyjął magazynek z pistoletu, uzupełnił go amunicją i z trzaskiem wsunął z powrotem. Słyszając ten dźwięk, komandos odwrócił gwałtownie głowę, ale zorientował się, że się spóźnił - broń była już ponownie gotowa do strzału. Bourne wystrzelił i pocisk drasnął zabójcę w ucho.

- Ostrzegałem - powiedział oddychając głośno, ale regularnie. - Gdzie chcesz dostać? W środek czoła? - Podniósł do góry pistolet.

- Jezu Chryste, ten rzeźnik miał rację! - zawołał brytyjski komandos chwytając się za ucho. - Jesteś szaleńcem!

- A ty trupem, jeżeli nie zaczniesz się ruszać. Szybciej! Dotarli do martwego strażnika pozostawionego przy wąskiej ścieżce

prowadzącej do głębokiej doliny. - Skręcaj w prawo! - rozkazał

Jason.

- Dokąd, na litość boską? Nic nie widzę!

- Tam jest ścieżka. Wyczujesz ją pod nogami. Ruszaj! Gdy wreszcie znaleźli się na jednej ze ścieżek ptasiego rezerwatu, Jason wciąż wbijał lufę pistoletu w plecy mordercy, zmuszając go, by biegł szybciej, jeszcze szybciej! Na chwilę powrócił Dawid Webb i Delta przywitał go z wdzięcznością. Webb był świetnym biegaczem długodystansowcem z powodów, które miały związek z przeszłością Jasona Bourne'a i męczącymi wspomnieniami przenoszącymi go do czasów niesławnej „Meduzy”. Tupot nóg, pot i wiatr bijący w twarz ułatwiał Dawidowi przetrwanie każdego dnia i w tej chwili Jason Bourne oddychał ciężko, ale na pewno nie był tak zadyszany, jak o wiele od niego młodszy, silniejszy mężczyzna.

Delta zobaczył poświatę na niebie - za polem i trzema ciemnymi, krętymi ścieżkami znajdowała się brama. Nie dalej niż półtora kilometra stąd! Bourne wystrzelił między biegnące stopy komandosa.

- Chcę, żebyś biegł jeszcze szybciej! - powiedział, starając się opanować głos, tak jakby wysiłek fizyczny przychodził mu bez trudu.

- Jezu, nie mogę! Nie mogę złapać tchu!

- Postaraj się! - polecił Jason.

Nagle w oddali za ich plecami rozległy się histeryczne okrzyki, gdy szalony przywódca rozkazywał swoim ludziom, żeby wrócili do bramy;

kazał im znaleźć i zabić niebezpiecznego intruza, który zagraża ich życiu i majątkom. Odnaleziono już poszarpane resztki petard. Nie udało się nawiązać połączenia radiowego z wartownią przy bramie. Znajdźcie go! Zatrzymajcie! Zabijcie!

- Jeżeli masz jakieś pomysły, majorze, to lepiej o nich zapomnij! - wrzasnął Bourne.

- Majorze? - wysapał komandos, z trudem łapiąc oddech.

- Jesteś dla mnie jak otwarta księga, a to, co mogę w niej wyczytać, przyprawia mnie o mdłości! Obserwowałeś, kiedy zarzynali d'Anjou jak świnie. Uśmiechałeś się, ty skurwysynu.

- Chciał umrzeć! Chciał mnie zabić!

- To ja cię zabiję, jeżeli przestaniesz biec. Ale zanim to zrobię, wypatroszę cię od jaj aż po gardło tak wolno, że będziesz żałował, że nie zdechłeś razem z człowiekiem, który cię stworzył.

- A czy mam wybór? I tak mnie zabijesz!

- A może nie? Zastanów się nad tym. Może ratuję ci życie. Pomyśl o tym.

Morderca zaczął biec szybciej. Przemknęli ostatnią ciemną ścieżką i wbiegli na otwartą przestrzeń.

- Na parking! - krzyknął Jason. - W prawy róg! - Bourne zatrzymał się. - Stój! - Oszołomiony morderca stanął natychmiast. Jason wyjął latarkę, a potem uniósł broń. Podszedł z tyłu do zabójcy i wystrzelił pięć razy, chybiając tylko raz. Reflektory eksplodowały, brama pogrążyła się w ciemności, a Bourne wbił lufę pistoletu w podstawę czaszki komandosa. Włączył latarkę, oświetlając z boku twarz zabójcy. - Sytuacja jest pod kontrolą, majorze, i operacja trwa nadal. Ruszaj, ty skurwysynu!

Przebiegając przez ciemny parking morderca potknął się i upadł jak długi na żwir. Jason wystrzelił dwukrotnie oświetlając cel latarką - pociski rykoszetowały tuż koło głowy komandosa. Zerwał się na równe nogi i pobiegł obok samochodów osobowych i ciężarówki w stronę końca parkingu.

- Ogrodzenie! - polecił głośnym szeptem Bourne. - Skręć w tę stronę. - Gdy kończył się teren pokryty żwirem, wydał następny rozkaz: - Na kolana, oprzyj się na rękach i patrz prosto przed siebie! Jeżeli tylko się odwrócisz, będzie to ostatnia rzecz w życiu, jaką zobaczysz. A teraz czołgaj się. - Morderca dotarł do wyciętego otworu w ogrodzeniu. - Przełóż - powiedział Jason. Ponownie sięgnął do kieszeni po naboje i cicho wyjął magazynek z pistoletu. - Stój! - szepnął, gdy psychopatyczny ekskomandos do połowy przeczołgał się przez otwór. Uzupełnił w ciemności wystrzelone naboje i wcisnął magazynek na miejsce. - To na wypadek, gdybyś liczył - powiedział. - A teraz przełóż i odpełznij ze trzy metry od ogrodzenia. Pospiesz się!

Gdy morderca prześlizgnął się pod wygiętymi drutami, Bourne schylił się i przeczołgał przez otwór tuż za nim. Komandos, spodziewając się czegoś innego, odwrócił się gwałtownie i podniósł na klęczki. Napotkał promień latarki, który oświetlał broń wymierzoną w jego głowę. - Zrobiłbym to samo - powiedział Jason, prostując się. - Pomyślałbym w identyczny sposób. A teraz wróć do ogrodzenia, sięgnij pod spód i wegnij odchylony fragment na miejsce. Szybko!

Zabójca spełnił polecenie, z wysiłkiem przyginając do dołu grubą drucianą siatkę. Gdy wykonał to mniej więcej w trzech czwartych, Bourne odezwał się: - Dostyc. A teraz wstań i idź przede mną z rękami splecionymi na karku. Idź prosto przed siebie, odchylając gałęzie ramieniem. Świecę latarką na twoje ręce. Jeśli rozsuniesz dłonie, zabiję cię. Wyrażam się jasno?

- Myślisz, że puszczę ci odgiętą gałąź w twarz.

- Ja bym tak zrobił.

- Jasne.

Znaleźli się na drodze przed dziwnie ciemną bramą. Odległe krzyki stawały się coraz głośniejsze, czołówka pościgu wyraźnie się zbliżała. - Wzdłuż drogi - powiedział Jason. - Biegiem! - Trzy minuty później włączył latarkę. - Stój! - krzyknął. - Widzisz tam tę kupę zieleni?

- Gdzie? - wysapał zabójca, nie mogąc złapać tchu.

- Skierowałem na nią promień latarki.

- To gałęzie sosnowe.

- Odciągnij je na bok. Pospiesz się.

Komandos zaczął rozrzucać gałęzie i po chwili odsłonił czarną limuzynę typu Szanghaj. Teraz przysłała pora na plecak. - A teraz patrz w ślad za moim światłem, na lewo od maski - rzekł Bourne.

- Na co?

- Szukaj drzewa z białym zaciosem na pniu. Widzisz?

- Tak.

- Pod nim, jakieś pół metra od pnia, jest rozpulchniona ziemia. Pod nią plecak. Wykop go.

- Pieprzony technik z ciebie, co?

- Aż ciebie nie?

Zabójca bez słowa odgarnął ziemię i wydobył plecak. Trzymając go za pasy w prawej ręce, zrobił krok do przodu, jakby chciał podać pakunek Jasonowi. A potem nagle zamachnął się plecakiem, celując w broń oraz latarkę trzymaną przez Bourne'a i rzucił się do przodu z palcami rąk rozstawionymi jak pazury wielkiego, wściekłego kota.

Bourne spodziewał się tego. W takim właśnie momencie on sam spróbowałby uzyskać pewną, choćby chwilową przewagę, kilka sekund potrzebnych na to, by skoczyć w ciemność. Zrobił krok do przodu i uderzył przelatującego obok siłą rozpędu mordercę pistoletem w głowę.

Wbił kolano w plecy rozpląszczonego na ziemi komandosa i trzymając w zębach latarkę, wykręcił mu prawą rękę za plecy.

- Ostrzegałem cię - powiedział Jason, podrywając zabójcę na nogi. - Rzecz jednak w tym, że jesteś mi potrzebny. A więc zamiast odbierać ci życie, wykonam za pomocą kuli małą operację. - Przyłożył ukośnie lufę pistoletu do bicepsu na ramieniu Anglika i pociągnął za spust.

- Jezu! - wrzasnął zabójca, gdy rozległo się kasznięcie pistoletu i trysnęła krew.

- Kości masz całe - powiedział Delta. - Przedziurawiłem tylko mięśnie i dzięki temu możesz teraz zapomnieć o posługiwaniu się prawą ręką. Masz szczęście, że jestem miłosiernym człowiekiem. W plecaku jest gaza, plaster i środki dezynfekujące. Możesz się teraz połatać, majorze. A potem pojedziemy. Zostaniesz moim szoferem w Chińskiej Republice Ludowej. Będę siedział na tylnym siedzeniu z pistoletem wymierzonym w twoją głowę i z mapą w rękę. Na twoim miejscu postarałbym się nie pomylić zakrętu.

Do bramy dobiegło dwunastu ludzi Sheng Chouyan-ga. Mieli ze sobą jedynie cztery latarki.

- Weishenme? Cuowu!

- Mafan! Fengkuang!

- You maobing!

- Weifani

Rozległy się wrzaski ludzi zbulwersowanych widokiem zgaszonych reflektorów. Oskarżano wszystkich i o wszystko - od nieudolności po zdradę. Sprawdzone budkę wartowniczą. Przełączniki elektryczne i telefon nie działały, strażnik gdzieś przepadł. Kilku ludzi obejrzało łańcuch owinięty wokół zamka bramy i zaczęło wydawać rozkazy innym. Ponieważ nikt nie mógł wydostać się na zewnątrz, doszli do wniosku, że sprawcy całego zamieszania muszą wciąż znajdować się na terenie rezerwatu.

- Biao! - zawołał prowokator, który poprzednio udawał więźnia. - Quan bu zai zheli! - wrzasnął, rozkazując pozostałym podzielić się latarkami i przeszukać parking, pobliski las i bagna. Ścigający z bronią gotową do strzału rozproszyli się i zaczęli biegać po całym parkingu. Przybyło jeszcze siedmiu ludzi, z których tylko jeden miał latarkę. Fałszywy więzień zażądał, żeby mu ją dano i zaczął wyjaśniać sytuację, próbując zorganizować kolejną grupę poszukiwawczą. Rozległy się protesty, że w takich ciemnościach jedno źródło światła to za mało na tyle osób. Rozwścieczony organizator wyrzeszczał całą wiązkę przekleństw, przypisując niewiarygodną głupotę wszystkim poza sobą.

Ciemności rozjaśniły tańczące płomienie pochodni, gdy z dolinki przybyła ostatnia grupa spiskowców, na czele której kroczył Sheng Chouyang. U jego boku w pochwie przytroczonej rapcami do pasa kołysał się obrzędowy miecz. Prowokator pokazał mu łańcuch owinięty wokół zamka bramy i powtórzył swoje argumenty.

- Nie rozumiesz właściwie - oznajmił rozdrażniony Sheng. - Wyciągasz błędne wnioski! Łańcuch nie został tu umieszczony przez kogoś z naszych ludzi, aby zatrzymać przestępcę czy przestępców w środku. Przeciwnie, założyli go winowajcy, żeby opóźnić pościg, żeby zamknąć nas na terenie rezerwatu!

- Ale jest tu zbyt wiele przeszkód...

- Które tamci zauważyli i wzięli pod uwagę! - krzyknął Sheng

Chouyang. - Czy muszę wszystko powtarzać? Ci ludzie to specjaliści od przeżycia! Przetrwali służbę w tym zbrodniczym batalionie o nazwie „Meduza”, ponieważ wszystko brali pod uwagę! Przeszli górą!

- Niemożliwe, panie! - zaoponował młodszy mężczyzna. - Górne zasieki z drutów i nachylona część ogrodzenia są pod napięciem, które włącza się, gdy nacisk przekracza trzydzieści funtów. Dzięki temu zwierzęta i ptaki nie zostają porażone prądem.

- W takim razie odkryli źródło zasilania i odcięli dopływ prądu!

- Przełączniki są wewnątrz, przynajmniej siedemdziesiąt pięć metrów od bramy, zamaskowane pod ziemią. Nawet ja nie wiem dokładnie, gdzie się znajdują.

- Poślij kogoś górą - rozkazał Sheng.

Jego podwładny rozejrzał się wokoło. Trzy metry dalej dwaj mężczyźni rozmawiali ze sobą. Było mało prawdopodobne, że dotarło do nich coś z tej ożywionej dyskusji. - Ty! - powiedział młodszy przywódca wskazując mężczyznę po lewej.

- Słucham?

- Wdrap się na ogrodzenie!

- Tak jest! - Jego podkomendny podbiegł do płotu i podskoczył chwytając dłońmi oka siatki i pracując gwałtownie nogami. Dotarł na sam wierzch i zaczął forsować nachyloną i oplecioną drutem kolczastym część ogrodzenia.

- Aiyaaa!

Trzaskowi wyładowania towarzyszyły oślepiające, błękitnobiałe błyskawice. Wyprężone ciało z włosami i brwiami wypalonymi do gołej skóry poleciało do tyłu i uderzyło o ziemię z łoskotem padającej skały. Skrzyżowały się na nim światła latarek. Mężczyzna był martwy.

- Ciężarówka! - wrzasnął Sheng. - To kretynizm! Weźcie ciężarówkę i rozwalcie bramę! Róbcie, co każę! Natychmiast!

Dwaj mężczyźni pobiegli na parking i po sekundzie ryk potężnego silnika ciężarówki wypełnił ciszę nocy. Rozległ się zgrzyt trybów, gdy zmieniano bieg na wsteczny. Wielka ciężarówka szarpnęła do tyłu, kołysząc całym nadwoziem i nagle zatrzymała się w miejscu. Sflaczałe opony obracały się, a tłąca się guma zaczęła dymić. Sheng Chouyang patrzył na to z narastającym lękiem i wściekłością.

- Pozostałe! - wrzasnął. - Uruchomcie pozostałe! Wszystkie! Zapuszczono silniki w kolejnych samochodach i maszyny jedna po drugiej szarpały do tyłu na wstecznym biegu, by z grzechotem i zgrzytem osiąść na miękkim żwirze, niezdolne do jazdy. Rozgorączkowany Sheng podbiegł do bramy, wyciągnął pistolet i wystrzelił dwukrotnie w owinięty wokół zamka łańcuch. Stojący z prawej strony człowiek krzyknął, chwycił się za zakrwawione czoło i upadł na ziemię. Sheng uniósł twarz ku ciemnemu niebu i wydał dziki ryk protestu. Wyszarpnął swój obrzędowy miecz i zaczął rąbać nim owinięty łańcuchem zamek bramy. Był to próżny wysiłek. Głownia miecza pękła.

ROZDZIAŁ 28

To ten dom, ten z wysokim murem - powiedział funkcjonariusz operacyjny CIA Matthew Richards wjeżdżając samochodem pod górę na Yictoria Peak. - Zgodnie z naszymi informacjami na całym terenie jest piechota morska i nie byłoby dobrze, gdyby mnie z tobą widziano.

- Chyba chcesz mi być winny parę dolarów - rzekł Aleks Conklin pochylając się do przodu i spoglądając przez przednią szybę. - To się da załatwić.

- Ja po prostu nie chcę być w to wplątany, na rany Chrystusa! I nie mam żadnych dolarów.

- Biedny Matt, smutny Matt. Rozumiesz wszystko zbyt dosłownie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie jestem pewny, czy ja sam to rozumiem, ale przejeżdż koło domu, tak jakbyś jechał gdzieś dalej. Powiem ci, gdzie się masz zatrzymać i mnie wypuścić.

- Zrobisz to?

- Pod pewnymi warunkami. Chodzi o dolary.

- O cholera!

- Nie są wcale takie trudne do zdobycia i może nawet nie zażądam ich zwrotu. Rozegramy to w ten sposób. Chcę się trzymać z daleka, nie rzucać się w oczy. Innymi słowy, chcę mieć tam wtyczkę. Będę dzwonił do ciebie kilka razy dziennie pytając, czy terminy naszych spotkań na lunch czy obiad się nie zmieniły albo czy spotkamy się na Wyścigach Happy Valiey...

- To nie tutaj - przerwał mu Richards.

- No dobra, to w Muzeum Figur Woskowych, cokolwiek ci przyjdzie do głowy, poza bieżnią. Jeżeli odpowiesz: „Nie, jestem zajęty”, będę wiedział, że mnie nie wyniuchali. Jeśli powiesz: „Tak”, zmywam się.

- Przecież, u diabła, nawet nie wiem, gdzie mieszkasz! Powiedziałaś, żebym cię zabrał z rogu Granville i Carnarvon.

- Przypuszczam, że twojej firmie zleci się uporządkowanie spraw i ustalenie odpowiedzialnych osób. Brytyjczycy będą na to nalegać. Nie mają zamiaru wylądować samotnie nosem w kałuży, jeżeli Waszyngton się wścieknie. Dla Brytyjczyków nastąpiły szalenie ciężkie chwile i dlatego będą się trząść o swoje kolonialne tyłki.

Minęli bramę. Conklin przez chwilę wpatrywał się w widniejący za nią wielki wiktoriański fronton.

- Przysięgam, Aleks, że nie wiem, o czym mówisz.

- To i lepiej na razie. Zgadzasz się? Będziesz tam moim guru?

- Do licha, tak. Wolałbym nie mieć do czynienia z piechotą morską.

- Doskonale. Zatrzymaj tutaj. Wsiądę i wrócę pieszo. Gdyby ktoś pytał, pojechałem tramwajem na Peak, tam wsiadłem do taksówki, pojechałem pod fałszywy adres i stamtąd poszedłem na piechotę pod właściwy, oddalony o kilkadziesiąt metrów. Jesteś zadowolony, Matt?

- Szaleńczo - odparł funkcjonariusz ze skrzywioną miną i zahamował.

- Wyśpij się dobrze. Wiele wody upłynęło od sajgońskich czasów, a w miarę jak się starzejemy, potrzeba nam coraz więcej snu.

- Słyszałem, że tego popijałeś. Czy to prawda?

- Słyszałeś to, co chciałeś usłyszeć - odparł Conklin beznamiętnym tonem. Tym razem jednak był w stanie skrzyżować palce, zanim niezgrabnie wysiadł z samochodu.

Rozległo się krótkie stuknięcie i drzwi otworzyły się gwałtownie. Havilland drgnął i podniósł głowę. Do pokoju wszedł szybkim krokiem Edward McAllister. Twarz miał szarą jak popiół. - Przed bramą jest Conklin - oznajmił podsekretarz. - Żąda widzenia się z panem i mówi, że jeśli będzie musiał, zostanie tam przez całą noc. Powiedział też, że jeśli zrobi się zimno, to rozпали ogień na drodze, żeby się ogrzać.

- Kulawy, ale wciąż zadziorny - powiedział ambasador.

- To zupełnie niespodziewane - ciągnął McAllister. - Nie jesteśmy przygotowani do konfrontacji.

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru. Tam przebiega droga publiczna i jest to rejon objęty opieką straży pożarnej kolonii, i na pewno nasi sąsiedzi by ją zaalarmowali.

- Przecież na pewno by nie...

- Na pewno tak - przerwał mu Havilland. - Wpuście go. To nie tylko nieoczekiwane, ale i niezwykle wydarzenie. Nie miał dość czasu, żeby powiązać wszystkie fakty albo zorganizować atak, który dałby mu przewagę. W otwarty sposób okazuje swoje zaangażowanie, a biorąc pod uwagę jego udział w tajnych i „czarnych” operacjach, na pewno nie robiłby tego dla byle głupstwa. To zdecydowanie zbyt niebezpieczne. On sam wydał kiedyś rozkaz w pewnym przypadku „nie do uratowania”.

- Możemy założyć, że nawiązał kontakt z tą kobietą - zaprotestował podsekretarz, zmierniejąc w stronę telefonu stojącego na biurku ambasadora. - A ona przecież poda mu wszystkie niezbędne fakty!

- Nie, nie robi tego. Nie zna ich.

- No i pan - rzekł McAllister kładąc rękę na telefonie. - Skąd mu przyszło do głowy, żeby przyjść do pana?

Havilland uśmiechnął się ponuro. - Wystarczyło tylko, że się dowiedział, że jestem w Hongkongu. Poza tym rozmawialiśmy i jestem pewien, że poskładał sobie to wszystko razem.

- Ale ten dom?

- Nigdy nam tego nie powie. Conklin jest starym fachowcem od spraw Dalekiego Wschodu, panie podsekretarzu, i ma kontakty, o których nam się nawet nie śni. I nie dowiemy się, co go tu sprowadza, dopóki go nie wpuścimy, prawda?

- Oczywiście. - McAllister podniósł słuchawkę i nakręcił trzy cyfry. - Dowódca warty?... Proszę przepuścić pana Conklina przez bramę, sprawdzić, czy nie ma przy sobie broni i osobiście doprowadzić go do biura we wschodnim skrzydle... Co zrobił?... Proszę szybko go wpuścić i zgasić to!

- Co się stało? - spytał Havilland, gdy podsekretarz odłożył słuchawkę.

- Rozpalił ognisko po drugiej stronie drogi.

Aleksander Conklin wszedł kulejąc do urządzonego z wiktoriańskim przepychem pokoju, a oficer piechoty morskiej zamknął za nim drzwi. Havilland wstał z krzesła i obszedł dookoła biurko wyciągając dłoń na przywitanie.

- Pan Conklin?

- Niech pan zabierze rękę, panie ambasadorze. Nie mam ochoty się zarazić.

- Rozumiem. Złość wyklucza grzeczność?

- Nie. Rzeczywiście nie mam ochoty czegoś złapać. Jak tu powiadają, z pana to kawał francowatego chińskiego bożka. Coś w panu siedzi. Przypuszczam, że to choroba.

- A jaką postawiłby pan diagnozę?

- Śmierć.

- Aż tak melodramatycznie? Sądziłem, panie Conklin, że stać pana na coś więcej.

- Nie, rzeczywiście tak uważam. Niecałe dwadzieścia minut temu widziałem, jak kogoś zabito na ulicy. Wpakowano w nią czterdzieści czy pięćdziesiąt kuł. Została wbita w szklane drzwi jej domu, a jej kierowcę zastrzelono w samochodzie. Mogę panu powiedzieć, że miejsce przypomina jatkę, krew i szkło na całym chodniku...

Wstrząśnięty Havilland otworzył szeroko oczy, ale agentowi CIA w pół słowa przerwał rozdygotany histerią głos McAllistera. - Nią? Została wbita? Czy to była kobieta?

- Kobieta - przytaknął Conklin, odwracając się w stronę podsekretarza, którego obecności dotąd nie zauważył. - To pan jest McAllister?

- Tak.

- Panu też nie chciałbym podawać ręki. Ta kobieta była związana z wami obydwoma.

- Żona Webba nie żyje? - krzyknął podsekretarz. Wyglądał, jakby go sparaliżowało.

- Nie, ale dzięki za potwierdzenie.

- Dobry Boże! - zawołał wieloletni ambasador do spraw tajnych operacji Departamentu Stanu. - Chodzi o Staples. Catherine Staples!

- Brawo dla tego pana! I ponowne dzięki za drugie potwierdzenie. Czy wybiera się pan wkrótce na obiad z wysokim komisarzem kanadyjskiego konsulatu? Bardzo bym chciał tam być i zobaczyć osławionego ambasadora Havillanda w działaniu. Rany gorzkie, założyłbym się, że my, mizeraki, moglibyśmy się cholernie dużo dowiedzieć.

- Zamknij się, ty przeklęty durniu! - wrzasnął Havilland, wrócił za biurko i rzucił się na fotel. Oparł się i zamknął oczy.

- Tego właśnie nie mam zamiaru zrobić - odparł Conklin, ruszając w jego stronę. Jego proteza łomotała o podłogę. - Jest pan za to odpowiedzialny... sir! - Funkcjonariusz CIA pochylił się do przodu, chwytając za krawędź biurka. - Tak samo jak jest pan odpowiedzialny za to, co stało się z Dawidem i Marie Webbami! Za kogo, do kurwy nędzy, pan się uważa? I jeżeli mój język pana obraża, sir, to powiem panu, za kogo ja pana uważam. Jest pan siewcą, rzuca pan do ziemi ziarna, ale w pańskim przypadku są to| ziarna zatrute. Rzuca je pan w czystą ziemię i zamienia ją w błoto. 'Pańskie

nasiona to kłamstwa i oszustwa. Kiełkują w ludziach, przekształcając ich w rozgniewane i przerażone kukiełki, które tańczą na pociąganych przez pana sznurkach, tak jak każe im pański cholerny scenariusz! Powtarzam, ty arystokratyczny skurwysynu, za kogo, do kurwy nędzy, się uważasz?

Havilland na wpół otworzył swoje ciężkie powieki i pochylił się do przodu. Miał twarz starego człowieka, który chciałby umrzeć, żeby tylko stłumić dręczący go ból. Ale jego oczy ożywiła ta sama wściekłość, która pozwalała mu zobaczyć coś, czego inni nie widzieli. - Czy wesprę pańską argumentację, jeżeli powiem panu, że Catherine Staples powiedziała mi ogólnie rzecz biorąc to samo?

- Wesprze pan i uzupełni!

- Ale dlatego została zabita, że przyłączyła się do nas. Nie podobało jej się to, ale uznała, że nie ma innej alternatywy.

- Kolejna kukiełka?

- Nie. Istota ludzka o wybitnym umyśle i bogatym doświadczeniu, która pojmowała, w obliczu czego się znaleźliśmy. Ubolewam nad jej stratą i sposobem, w jaki zginęła, znacznie bardziej, niż pan to sobie wyobraża.

- Czy nad jej stratą, sir, czy może nad faktem, że wasza święta operacja została zinfiltrowana?

- Jak pan śmie - cichym, lodowatym głosem odezwał się Havilland wstając z fotela i wbijając spojrzenie w funkcjonariusza CIA. - Trochę za późno wziął się pan za moralizowanie, panie Conklin. Pańskie oszustwa i uchybienia w sferze etyki są dobrze znane. Gdyby wszystko ułożyło się zgodnie z pańskim życzeniem, nie byłoby ani Dawida Webba, ani Jasona Bourne'a. To pan zdecydował, że jest „nie do uratowania”, nikt inny. To pan zaplanował jego egzekucję i omal się to panu nie udało!

- Zapłaciłem za swój błąd. Chryste, jeszcze jak zapłaciłem!

- I podejrzewam, że płaci pan nadal, bo inaczej nie byłoby pana teraz w Hongkongu - rzekł ambasador kiwając wolno głową. Lód w jego głosie zdawał się topnieć. - Przestańmy skakać sobie do gardła. Catherine Staples rzeczywiście zrozumiała i jeżeli jej śmierć ma jakieś znaczenie, to spróbujmy je odkryć.

- Nie mam zielonego pojęcia, od czego zacząć.

- Zostanie pan wprowadzony w szczegóły... podobnie jak Staples.

- Może nie zdołam ich usłyszeć.

- Muszę nalegać, by jednak się pan postarał. Nie mam innego wyjścia.

- Chyba nie słuchał mnie pan uważnie. Zostaliście zinfiltrowani! Catherine Staples została zabita, ponieważ uznano, iż posiada informacje, z powodu których należy ją zlikwidować. Krótko mówiąc, ktoś, kto tu przeniknął, widział, jak Staples spotkała się z wami raz czy kilka razy. Kanadyjski kontakt został nawiązany, wydano rozkaz, a pan pozwolił, żeby poruszała się bez żadnej ochrony!

- Czy obawia się pan o własne życie? - zapytał ambasador.

- Bez przerwy - odparł agent CIA. - A w chwili obecnej mam również na względzie czyjeś inne.

- Webba?

Conklin przerwał i wpatrywał się w twarz starego dyplomaty. - Jeżeli moje przypuszczenia są

słuszne - rzekł spokojnie - nie mogę dla Deltę zrobić nic, czego on sam nie zrobiłby lepiej. Ale jeśli mu się to nie uda, wiem, o co by mnie poprosił. Żebym chronił Marie. A najlepiej to zrobię walcząc z panem, a nie słuchając pana.

- I w jakiż to sposób ma pan zamiar walczyć?

- Tak, jak tylko potrafię. Podle i bardzo po świńsku. Rozpuszczę wieści po całym Waszyngtonie, że tym razem posunął się pan o wiele za daleko, że stracił pan panowanie nad sytuacją, być może ze względu na starczą demencję. Mam relację Marie, Mo Panova...

- Morrisa Panova? - przerwał mu ostrożnie Havilland. - Psychiatry Webba?

- Następny punkt. I wreszcie mój osobisty wkład. Przy okazji, dla odświeżenia pańskiej pamięci, nadmienię, że jestem jedynym człowiekiem, który rozmawiał z Dawidem przed jego przyjazdem tutaj. Wszystko to razem, w tym również i sprawa morderstwa kanadyjskiego pracownika służby zagranicznej, stanowić będzie wyjątkowo interesującą lekturę - oczywiście rozpowszechnianą w postaci urzędowych oświadczeń, według starannie opracowanego rozdzielnika.

- W ten sposób narazi pan wszystko na fiasko.

- To pańskie zmartwienie, nie moje.

- A więc nie pozostawia mi pan wyboru - rzekł ambasador. Jego głos i spojrzenie ponownie stały się lodowate. - Wydał pan rozkaz: „nie do uratowania” i ja będę zmuszony zrobić to samo w stosunku do pana. Nie wyjdzie pan stąd żywy.

- O, mój Boże! - szepnął McAllister z kąta pokoju.

- I byłaby to najbardziej kretyńska rzecz, jaką by pan zrobił - odparł Conklin wbijając wzrok w Havillanda. - Nie uwzględnił pan jednego. Nie wie pan, co ani komu zostawiłem. Ani co zostanie ujawnione, jeśli w wyznaczonym terminie nie skontaktuję się z pewnymi osobami i tak dalej. Pan mnie nie docenia.

- Przewidzieliśmy, że może się pan uciec do takiej taktyki - powiedział dyplomata. Odwrócił się od agenta CIA, jakby przestał go już interesować i ponownie usiadł w fotelu. - Pan też czegoś nie uwzględnił, panie Conklin. Ujmując to delikatnie, ale zapewne trafnie, wiadomo, że cierpi pan na pewną chroniczną dolegliwość zwaną alkoholizmem. Wobec pańskiego przejścia na emeryturę w niedługim czasie i w uznaniu pańskich dawnych osiągnięć nie podjęto wobec pana żadnego postępowania dyscyplinarnego, ale też nie powierzano panu niczego, co wiązałoby się z jakąkolwiek odpowiedzialnością. Był pan jedynie tolerowany jako bezużyteczny zabytek, który wkrótce miał być posłany na zieloną trawkę. Uznano pana za pijaka, którego paranoiczne wybuchy były tematem rozmów pańskich zaniepokojonych kolegów. Jeżeli nawet coś wypłynie z jakiegokolwiek źródła, zostanie to zakwalifikowane jako kolejny przykład chaotycznych bredni kalekiego, psychopatycznego alkoholika. - Ambasador rozparł się w fotelu, opierając łokieć na poręczy i długimi palcami prawej dłoni dotykając brody. - Będą panu współczuć, panie Conklin, ale nie potępiać. A jeżeli pańskie samobójstwo nada wszystkiemu dodatkowy dramatyzm...

- Havilland! - krzyknął oszołomiony McAllister.

- Niech pan będzie spokojny, panie podsekretarzu - rzekł dyplomata. - Pan Conklin i ja wiemy, o co chodzi. Już to przerabialiśmy.

- Z tą tylko różnicą - zaprotestował Conklin ani na chwilę nie odrywając oczu od Havillanda - że mnie ta zabawa nigdy nie sprawiała przyjemności.

- A czy sądzi pan, że mnie sprawiała? - Zadzwoił telefon. Havilland pochylił się gwałtownie i chwycił słuchawkę. - Tak? - Ambasador słuchał wpatrując się w ciemne okno w wykuszu. - Jeżeli nie sprawiam wrażenia wstrząśniętego, majorze, to tylko dlatego, że powiadomiono mnie już parę minut temu... Nie, nie policja, ale człowiek, z którym chciałbym, żeby się pan spotkał dziś wieczorem. Powiedzmy za dwie godziny. Czy odpowiada to panu?... Tak, teraz jest już jednym z nas. - Havilland podniósł wzrok i spojrzał na Conklina. - Niektórzy twierdzą, że jest lepszy niż większość z nas i śmiem twierdzić, że jego przebieg służby to potwierdza... Tak, to on... Tak, powiem mu... Co? Co pan powiedział? - Dyplomata ponownie spojrzał w okno marszcząc brwi. - Szybko się zabezpieczyli, prawda? Za dwie godziny, majorze. - Havilland odłożył słuchawkę. Oparł się łokciami na biurku i splótł palce dłoni. Wziął głęboki oddech. Wyraźnie było teraz widać, że jest to stary, zmęczony człowiek, który chce zebrać myśli, zanim zacznie mówić.

- Nazywa się Lin Wenzu - odezwał się Conklin. Jego słowa wyraźnie zaskoczyły Havillanda i McAllistera. - Kontrwywiad kolonii brytyjskiej, co oznacza powiązania z MI 6, a najprawdopodobniej z Wydziałem Specjalnym. Jest Chińczykiem wykształconym w Zjednoczonym Królestwie i uchodzi za najlepszego oficera wywiadu na tym terytorium. Jego jedyny minus to gabaryty. Łatwo rzuca się w oczy.

- Skąd?... - McAllister zrobił krok w stronę agenta CIA.

- Pewien mały ptaszek - rzekł Conklin.

- Zapewne kardynał z czerwonym łebkiem - stwierdził dyplomata.

- W gruncie rzeczy, już nie - odparł Aleks.

- Rozumiem. - Havilland rozplótł palce i opuścił ręce kładąc przedramiona na biurku. - On także wie, kim pan jest.

- Powinien. Był w grupie operacyjnej na dworcu w Koulunie.

- Prosił, żebym panu pogratulował i powiedział, że pański olimpijczyk był szybszy. Uciekł.

- Jest sprytny.

- Wie, gdzie go znaleźć, ale szkoda mu czasu.

- Jeszcze sprytniejszy, niż sądziłem. Strata jest zawsze stratą. Powiedział panu coś jeszcze, a ponieważ miałem okazję usłyszeć pańską pochlebną opinię na temat mojej przeszłości, to może zechciałby mi pan powiedzieć, co to było?

- A więc mnie pan wysłucha?

- Jeśli tego nie zrobię, to wyniosą mnie stąd w pudełku. Albo może w pudełkach? Czy mam jakiś inny wybór?

- No tak, słusznie - przyznał dyplomata. - Wie pan, że muszę brnąć dalej.

- Wiem, że pan wie, Hen General.

- To obraźliwe.

- Pan też był taki. Co jeszcze powiedział major?

- Terrorystyczna organizacja Tong z Makau zadzwoniła do Południowochińskiej Agencji Prasowej i oznajmiła, że jest odpowiedzialna za to podwójne zabójstwo. Twierdzą jedynie, że śmierć

kobiety była przypadkowa, ponieważ ich właściwy cel stanowił kierowca. Był tubylcem i jako członek znienawidzonej brytyjskiej służby bezpieczeństwa dwa tygodnie temu zastrzelił na bulwarze Wanchai jednego z ich przywódców. To prawdziwa informacja. Kierowca stanowił ochronę, którą przydzieliliśmy Catherine Staples.

- Kłamstwo! - krzyknął Conklin. - To ona była celem.

- Lin stwierdził, że podążanie fałszywym tropem byłoby stratą czasu.

A więc on wie?

Że zostaliśmy zinfiltrowani?

Cóż innego, u diabła? - odparł poirytowany agent CIA.

- Lin jest dumnym Zhongguo renem i człowiekiem o bystrym umyśle. Nie znosi jakichkolwiek niepowodzeń, zwłaszcza teraz. Podejrzewam, że rozpoczął już polowanie... Niech pan siada, panie Conklin. Mamy pewne sprawy do omówienia.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołał McAllister zduszonym głosem. - Mówicie panowie o zabójstwach, o celach, o ludziach „nie do uratowania”... o sfingowanym samobójstwie. Potencjalna ofiara rozmawia o swojej własnej śmierci... I wszystko w taki sposób, jakbyście rozprawiali o notowaniach na giełdzie albo o restauracyjnym menu! Co z was za ludzie?

- Już panu mówiłem, panie podsekretarzu - powiedział łagodnie Havilland. - Ludzie, którzy robią to, czego inni nie chcą, nie mogą albo nie powinni robić. Nie ma w tym żadnej mistyki, nie kończyliśmy żadnych diabolicznych uniwersytetów ani nie powoduje nami przemożna żądza zniszczenia. Zajęliśmy się tym, ponieważ były wolne miejsca, a kandydatów brakowało. Wszystko to jest, jak przypuszczam, dość przypadkowe. A po pewnym czasie człowiek przekonuje się, czy ma do tego dryg, czy nie. Bo ktoś musi to robić. Zgadza się pan ze mną, panie Conklin?

- To tylko strata czasu.

- Nie, jestem innego zdania - zaproponował dyplomata. - Proszę wyjaśnić to panu McAllisterowi. Niech mi pan wierzy, jest dla nas cenny i potrzebujemy go. Musi nas zrozumieć.

Conklin popatrzył na podsekretarza stanu. W jego spojrzeniu nie było miłosierdzia. - On nie potrzebuje żadnych moich wyjaśnień, to analityk. Rozumie wszystko równie dobrze jak my, jeśli nie lepiej. On doskonale wie, co jest grane, tylko nie chce się do tego przyznać, a najłatwiej się od sprawy zdystansować udając oburzenie. Niech pan się strzeże tego świętoszkowatego intelektualisty na każdym kroku. Rekompensuje sobie wszystko, co wnosi dzięki swemu umysłowi, rzucając fałszywe oskarżenia. Jest jak diakon zbierający w burdelu materiał do kazania, które napisze po powrocie do domu onanizując się.

- Miał pan rację - rzekł McAllister odwracając się w stronę drzwi. - To strata czasu.

- Edwardzie? - Havilland odezwał się ze współczuciem do podsekretarza. Był najwyraźniej wściekły na kulawego agenta CIA. -

Nie zawsze możemy wybierać ludzi, z którymi pracujemy. I to najwyraźniej jest ten przypadek.

- Rozumiem - odparł chłodno McAllister.

- Sprawdź cały personel Lina - ciągnął ambasador. - Może o nas wiedzieć najwyżej dziesięciu,

dwunastu ludzi. Pomóż mu. To nasz przyjaciel.

- Czy to doprawdy było potrzebne? - warknął Havilland, gdy zostali wreszcie z Conklinem sami.

- Tak. Było. Jeżeli mnie pan przekona, że to, co pan zrobił, było jedynym możliwym wyjściem - w co wątpię - albo jeżeli nie przedstawi mi pan alternatywy, dzięki której będzie można ocalić Marie i Dawidowi przynajmniej życie, jeśli nie zdrowe zmysły, wtedy będę z panem współpracował. Rozwiązanie typu „nie do uratowania” nie wchodzi w rachubę z kilku powodów, głównie osobistych, ale również dlatego, że jestem to winien Webbom. Czy w tych sprawach jesteśmy zgodni?

- Pracujemy razem, tak czy inaczej. Mat.

- Chcę, żeby ten sukinsyn McAllister, ten królik, wiedział, skąd się wziąłem. Siedzi w tym po uszy równie głęboko jak my i lepiej będzie, żeby ten jego umysł zanurkował w to szambo i wyłowił każdą możliwość i każdy prawdopodobny trop. Chcę wiedzieć, kogo powinniśmy zabić - nawet tych luźno związanych ze sprawą - żeby zmniejszyć nasze straty i wyciągnąć Webbów. Chcę, by McAllister wiedział, że na zbawienie duszy trzeba sobie zasłużyć. Jeżeli nam się nie uda, to nie uda się również jemu i nie będzie już mógł więcej uczyć w szkółce niedzielnej.

- Jest pan dla niego zbyt surowy. Jest analitykiem, nie katem.

- A jak pan sądzi, skąd kaci dostają wytyczne? Skąd my dostajemy wytyczne? Od kogo? Paladynów z Kongresu? Specjalistów od niedopatrzeń?

- Znowu mat. Jest pan rzeczywiście tak dobry, jak mówią. Zdobył informacje o przełomowym znaczeniu. Dlatego tu jest.

- Proszę mi wszystko powiedzieć, sir - rzekł Conklin. Usiadł wyprostowany na krześle, jego proteza wykręcona była nienaturalnie. - Chcę usłyszeć pańską historię.

- Ale najpierw o kobiecie. Czy żona Webba czuje się dobrze i jest bezpieczna?

- Odpowiedź na pańskie pierwsze pytanie jest tak oczywista, że zastanawiam się, czemu w ogóle pan o to pyta. Nie, nie czuje się dobrze. Jej mąż zaginął i ona nie wie, czy żyje, czy jest martwy. Jeśli chodzi o drugie pytanie, to tak, jest bezpieczna. Ze mną, nie z panem. Mam możliwość manewru i mam swoje dojścia. Pan musi tu tkwić.

- Jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji - odezwał się błagalnym tonem dyplomata. - Ona jest nam potrzebna!

- Ale wydaje się pan zapominać, że jesteście zinfiltrowani. Nie będę jej narażał.

- Ten dom to twierdza!

- Wystarczy jeden trefny kucharz. Albo jeden szaleniec na klatce schodowej.

- Conklin, niech mnie pan posłucha! Przeprowadziliśmy kontrolę danych paszportowych - wszystko się zgadza. To on, wiemy. Webb jest w Pekinie. W tej właśnie chwili. Nie pojechałby tam, gdyby nie ścigał celu - jedyne go celu. Jeżeli jakimś cudem ten pański Delta dostarczy towar, a jego żony nie będzie na miejscu, zabije człowieka, który stanowi nasze jedyne dojście, jedyne trop. Bez niego jesteśmy zgubieni. Wszyscy jesteśmy zgubieni.

- A więc tak wyglądał scenariusz od samego początku. Reductio ad absurdum. Jason Bourne poluje na Jasona Bourne'a.

- Owszem. Boleśnie proste, ale gdyby nie te dodatkowe komplikacje, nigdy by się nie zgodził.

Siedziałby wciąż w tym starym domu w Maine nad swoimi naukowymi papierzyskami. Nie mielibyśmy naszego myśliwego.

- Ależ z pana kawał sukinsyna - rzekł Conklin wolno, łagodnie i z pewnym podziwem w głosie. - Czy jest pan przekonany, że on temu podoła? Że poradzi sobie w dzisiejszej Azji w taki sam sposób, jak przed laty jako Delta?

- Kiedy korzystał z rządowej ochrony, co trzy miesiące przechodził badania lekarskie. Jest w doskonałej kondycji - o ile się orientuję, ma to coś wspólnego z jego obsesyjnym uprawianiem biegów.

- Niech pan zacznie od samego początku. - Funkcjonariusz CIA rozsiadł się na krześle. - Chcę poznać wszystko po kolei, bo przypuszczam, że pogłoski były prawdziwe. Mam przed sobą wyjątkowego sukinsyna.

- Wątpię, panie Conklin - powiedział Havilland. - Wciąż błądzimy po omacku. Oczywiście, chciałbym usłyszeć pańskie komentarze.

- Usłyszysz je pan. Proszę zaczynać.

- W porządku. Zacznę od nazwiska, które, jak sądzę, jest panu znane. Sheng Chouyang. Co pan może o nim powiedzieć?

- Jest twardym negocjatorem i podejrzewam, że pod maską życzliwości kryje się nieustępliwość. Mimo wszystko jest to jeden z najrozsądniejszych ludzi w Pekinie, Przydałoby się jeszcze tysiąc takich jak on.

- Gdyby pańskie słowa się spełniły, szansę na to, że na Dalekim Wschodzie rozpęta się piekło, byłyby tysiąckrotnie większe. -> !

Li Wenzu wyrzwał pięścią w biurko z taką siłą, że leżących przed nim dziewięć fotografii i przyklejone do nich wyciągi z teczek personalnych podskoczyły na blacie. Który? Który z nich? Wszyscy mieli doskonałe opinie z Londynu, a ich przeszłość poddano wielokrotnemu sprawdzeniu, nie było tu miejsca na błąd. Nie byli to tylko dobrze przeszkoleni Zhongguo ren wybrani w wyniku urzędniczej selekcji, lecz ludzie wyłonieni w efekcie intensywnych poszukiwań najwybitniejszych umysłów w obrębie rządu - a w niektórych wypadkach i poza nim - które mogłyby zostać zwerbowane do tej najbardziej tajnej ze służb. Była to reakcja Lina na fakt, że na murze - może Wielkim Murze - pojawił się napis: Mane thekel fares i że doskonałe specjalne służby wywiadowcze obsadzone pochodzącym z kolonii personelem mogą do 1997 roku stać się pierwszą linią obrony, a później, po przejęciu władzy przez Chiny, pierwszą linią zorganizowanego ruchu oporu. Brytyjczycy musieli zrezygnować z przywództwa w zakresie tajnych operacji wywiadowczych z powodów, które, choć trudne do strawienia w Londynie, były jednak jasne:

Europejczyk nigdy nie zdoła w pełni zrozumieć zawiłych subtelności wschodniego umysłu, a nie były to czasy, kiedy można by się opierać na mylnych bądź źle zanalizowanych informacjach. Londyn musiał wiedzieć - cały Zachód musiał wiedzieć -jak się sprawy mają...

Lin wprawdzie nie wierzył, by jego rozrastająca się grupa, która zajmowała się zbieraniem informacji wywiadowczych, mogła mieć decydujący wpływ na podejmowanie decyzji politycznych. Ale był głęboko przekonany, że jeśli kolonia ma mieć swój Wydział Specjalny, to musi być on obsadzony i dowodzony przez tych, którzy potrafią najlepiej wykonać swoje zadania. A nie należeli do nich najświetniejsi nawet weterani z brytyjskich tajnych służb o wyraźnie europejskiej orientacji. Po pierwsze, wszyscy byli do siebie podobni i nie pasowali ani do otoczenia, ani do języka. I po

latach pracy, w czasie których pokazał, na co go stać, Li Wenzu został wezwany do Londynu, gdzie przez trzy dni wałkowali go trzej śmiertelnie poważni specjaliści od dalekowschodniego wywiadu. Jednak czwartego dnia rano na ich twarzach pojawiły się uśmiechy, którym towarzyszyła decyzja o powierzeniu majorowi dowództwa wydziału w Hongkongu i udzieleniu mu szerokich pełnomocnictw. Doskonale zdawał sobie sprawę, że przez wiele następnych lat działał w sposób, który usprawiedliwiał okazane mu przez zwierzchników zaufanie. Wiedział również, że teraz, w tej jednej, najważniejszej w całej jego zawodowej karierze operacji zawiódł. Pod swoim dowództwem miał trzydziestu ośmiu funkcjonariuszy Wydziału Specjalnego, z których wybrał osobiście dziewięciu, by wzięli udział w tej niezwyklej, szaleńczej operacji. Wydawała mu się szaleńcza do chwili, kiedy z ust ambasadora usłyszał niezwykle wyjaśnienie. Cała ta dziewiątka stanowiła śmietankę trzydziestoośmio-osobowego zespołu i każdy z nich był w stanie przejąć dowództwo, w razie gdyby kierujący grupą został wyeliminowany - tak napisał w ich kartach kwalifikacyjnych. I zawiódł. Jeden z tych osobiście wybranych przez niego ludzi był zdrajcą.

Dalsze studiowanie dokumentów nie miało sensu. Bez względu na to, jakich niezgodności się doszuka, zbyt wiele czasu zajmie ich sprawdzenie, skoro umknęły zarówno jego doświadczonemu spojrzeniu, jak również uwagi kontrolerów w Londynie. Nie było czasu na zawiłe analizy, straszliwie powolne badanie dziewięciu odrębnych biografii. Miał tylko jeden wybór. Musiał przypuścić frontalny atak na każdego z tych ludzi, a słowo „front” miało dla jego planu kluczowe znaczenie. Jeśli mógł odegrać rolę taipana, mógł również zagrać rolę zdrajcy. Był świadom, że w jego planie tkwiło pewne ryzyko, na które ani Londyn, ani amerykański ambasador Havilland by się nie zgodzili, ale musiał je podjąć. Jeżeli mu się nie uda, Sheng Chouyang zostanie ostrzeżony, że rozpoczęto z nim tajną wojnę i jego kontrposunięcia mogą okazać się katastrofalne w skutkach, ale Li Wenzu nie miał zamiaru przegrywać. Jeżeli czekało go niepowodzenie, bo tak było zapisane w północnych wiatrach, to nic innego nie miało znaczenia, a tym bardziej jego życie.

Major sięgnął po słuchawkę telefonu. Wcisnął klawisz na swojej konsoli, żeby połączyć się z radiooperatorem w skomputeryzowanym centrum łączności Wydziału Specjalnego MI 6.

- Słucham, sir - odezwał się głos ze sterylnej, białego pokoju.

- Kto z grupy „Ważka” jest jeszcze na służbie? - zapytał Lin. „Ważka” była kryptonimem elitarnego dziewięcioosobowego zespołu, którego członkowie składali suche raporty bez żadnych wyjaśnień.

- Jest dwóch, sir. W wozach Trzecim i Siódmym, ale mogę się skontaktować z pozostałymi w ciągu paru minut. Pięciu się zameldowało - są w domach - a dwaj inni pozostawili numery telefonów. Jeden będzie w kinie Pagoda do jedenastej trzydzieści, a następnie wróci do swojego mieszkania, ale można go wywołać za pomocą komunikatora. Drugi jest w jachtklubie w Aberdeen z żoną i jej rodziną. Jego żona to Angielka, jak pan wie.

Lin roześmiał się cicho. - Iz całą pewnością rachunkiem za swoją brytyjską rodzinę obciążą nasz katastrofalnie skromny budżet przyznany nam przez Londyn.

- To można w ten sposób, panie majorze? Jeśli tak, to czy mógłby mnie pan przydzielić do „Ważki” bez względu na to, czym się zajmuje?

- Nie bądźcie bezczelni.

- Przepraszam, sir...

- Żartowałem, młody człowieku. W przyszłym tygodniu osobiście zaproszę pana na doskonały

obiad. Wykonuje pan swą pracę doskonale i polegam na panu.

- Dziękuję, sir!

- To ja dziękuję.

- Czy mam nawiązać łączność z „Ważką” i ogłosić alarm?

- Niech się pan skontaktuje z każdym z osobna, ale przekaże im pan coś wręcz przeciwnego.

Wszyscy są przepracowani, od kilku tygodni nie mieli spokojnego dnia. Proszę powiedzieć każdemu z nich, że oczywiście chcę, aby informowali o każdej zmianie miejsca pobytu, ale dopóki nie otrzymają innych poleceń, są wolni przez następne dwadzieścia cztery godziny. Ludzie w wozach Trzecim i Siódmym mogą jechać nimi do domu, ale nie do knajpy. Proszę im powiedzieć, żeby się dobrze wyspali albo spędzili czas, jak mają ochotę.

- Tak jest, sir. Będą z tego zadowoleni, sir.

- Ja sobie pojeżdżę wozem Czwartym. Odezwę się, proszę czuwać.

- Oczywiście, panie majorze.

- Niech się pan szykuje na obiad, młody człowieku.

- Jeśli można, sir - powiedział rozradowany radiooperator. - Wiem, że będę wyrazicielem nas wszystkich, jeśli stwierdzę, że nie chcielibyśmy pracować z nikim innym tylko z panem.

- No to może na dwa obiady.

Lin zaparkował samochód przed blokiem mieszkalnym na Yun Ping Road i podniósł mikrotelefon umieszczony pod deską rozdzielczą. - Radio? Tu „Ważka” Zero.

- Słucham, sir?

- Proszę przełączyć mnie na miasto i uruchomić urządzenie zabezpieczające. Będę wiedział, że działa, kiedy usłyszę echo, prawda?

- Oczywiście, sir.

Wraz z ciągłym sygnałem w słuchawce pulsowało słabiutkie echo. Major wystukał numer, rozległ się przerywany sygnał i po chwili odezwał się kobiecy głos.

- Słucham?

- Z panem Zhou. Kuai\ - rzucił szybko Lin, ponaglając kobietę.

- Oczywiście - odparła w dialekcie kantońskim.

- Tu Zhou - powiedział męski głos.

- Xunsu! Xiaoxi\ - rzekł chrapliwym szeptem Lin. Brzmiało to jak rozpaczliwe błaganie, by go wysłuchano. - Sheng! Skontaktować się natychmiast! Szafir przepadł!

- Co? Kto mówi?

Major rozłączył się i wcisnął guzik z prawej strony mikrotelefonu. Radiooperator zgłosił się natychmiast.

- Słucham, „Ważka”?

- Podłącz się do mojej prywatnej linii, również na zabezpieczeniu, i przełączaj wszystkie

telefony tutaj do mnie. Natychmiast! Będzie to standardowa procedura aż do odwołania. Zrozumiano?

- Tak jest, sir - odparł zduszonym głosem radiooperator.

Telefon w samochodzie zabrzączał i Lin podniósł słuchawkę.

- Tak? - zapytał niedbale, udając, że tłumii ziewnięcie.

- Majorze, tu Zhou! Przed chwilą odebrałem bardzo dziwny telefon. Zadzwoił do mnie jakiś mężczyzna - sprawiał wrażenie ciężko rannego - i powiedział mi, żebym skontaktował się z kimś, kto nazywa się Sheng. Miałem mu przekazać, że Szafir przepadł.

- Szafir? - zapytał major, jakby nagle wpadł w popłoch. - Nie mów tego nikomu, Zhou! Przeklęte komputery! Nie wiem, jak to się stało, ale ta wiadomość była przeznaczona dla mnie. To nie dotyczy „Ważki”. Powtarzam, nie mów nikomu!

- Rozumiem, sir.

Lin uruchomił silnik samochodu i przejechał kilka przecznic dalej na zachód, do Tanlung Street. Powtórzył całą operację i znowu odezwał się telefon przełączony z jego prywatnej linii.

- Majorze?

- Słucham?

- Odebrałem właśnie telefon od kogoś, kto sprawiał wrażenie umierającego! Chciał, żebym...

Wyjaśnienie było identyczne - - popełniono niebezpieczną pomyłkę w sprawie nie dotyczącej „Ważki”. Nie wolno niczego powtarzać. Rozkaz został przyjęty.

Lin przeprowadził jeszcze trzy rozmowy, za każdym razem zatrzymując samochód przed budynkiem, gdzie mieszkał człowiek, z którym się łączył. W każdym wypadku rezultat był taki sam - jego rozmówca odzywał się parę chwil później, żeby przekazać mu zadziwiającą wiadomość, ale żaden z nich nie wybiegał przedtem z domu, żeby poszukać na ulicy bezpiecznego automatu telefonicznego. Major był pewien jednego. Kimkolwiek był podwójny agent, na pewno nie będzie nawiązywał kontaktu korzystając ze swojego domowego telefonu. Rachunki wykazywały wszystkie numery, z którymi łączono się z każdego aparatu, a wszystkie rachunki z kolei były sprawdzane przez wydział. Były to rutynowe działania prowadzone dla wygody agentów. Koszty wszystkich rozmów pokrywał Wydział Specjalny, zaliczając je do wydatków służbowych.

Dwaj zwolnieni ze służby funkcjonariusze z wozów Trzeciego i Siódmego zameldowali się w centrali, podając miejsca pobytu. Major skontrolował to wykonując piąty telefon. Jeden z nich znajdował się w mieszkaniu przyjaciółki i wyraźnie dał do zrozumienia, że nie zamierza go opuszczać przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Błagał radiooperatora, żeby odbierał wszystkie „pilne telefony od klientów” i powtarzał każdemu, kto będzie próbował się z nim skontaktować, że przełożeni wysłali go na Antarktydę. To nie to. Podwójny agent tak się nie zachowuje, nie pozwala sobie przy tym na żarty. Nie stara się trzymać na uboczu, nie zdradza też miejsca swego pobytu ani tożsamości osoby, u której się znajduje. Drugi agent był jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, poza podejrzeniami. Powiadomił ośrodek łączności centrali, że w dalszym ciągu jest gotów wykonywać wszelkie zadania, obojętnie duże czy małe, związane lub nie związane z „Ważką” - może nawet odbierać telefony. Jego żona urodziła niedawno trojaczki i, według relacji radiooperatora, niemal z paniką w głosie oznajmił, że lepiej wypocznie w pracy niż w domu. To nie ten.

Siedmiu sprawdzonych ludzi i siedem odpowiedzi negatywnych. Pozostało dwóch: mężczyzna, który najbliższe czterdzieści minut spędzi w kinie Pagoda, i ten drugi, w jachtklubie w Aberdeen.

Telefon w samochodzie majora zabrzączał natarczywie - a może było to odbicie jego własnego niepokoju?

- Słucham?

- Odebrałem właśnie wiadomość dla pana - oznajmił radiooperator. - „»Orzeł« do »Ważki« Zero. Pilne. Zgłoś się”.

- Dziękuję. - Lin, nie przerywając połączenia, spojrzął na zegar umieszczony pośrodku deski rozdzielczej. Już o trzydzieści pięć minut spóźnił się na umówione spotkanie z Havillandem i Conklinem, tym legendarnym, kulawym agentem z dawnych lat. - Młody człowieku? - odezwał się, podnosząc ponownie mikrotelefon do ust.

- Słucham, sir?

- Nie mam teraz czasu dla niezbyt związanego ze sprawą, choć niespokojnego „Orła”, ale nie chciałbym go urazić. Jeśli się nie zgłoszę, zadzwoni ponownie, a wtedy chciałbym, żeby mu pan wyjaśnił, że nie zdołał się pan ze mną skontaktować. Oczywiście, kiedy zadzwoni, proszę mi natychmiast przekazać wiadomość od niego.

- Z całą przyjemnością, panie majorze.

- Słucham?

- Ten „Orzeł”, który telefonował, był bardzo nieprzyjemny.

Wykrzykiwał coś o spotkaniach, na które trzeba przychodzić, skoro się na nie umówiło i że...

Słuchając tej diatryby z ust pośrednika, Lin zanotował sobie w pamięci, że jeśli przeżyje tę noc, będzie musiał porozmawiać z Edwardem McAllisterem o zasadach dobrego wychowania w rozmowach telefonicznych, zwłaszcza podczas sytuacji kryzysowych. Cukier wywołuje uśmiech na twarzy, a sól jedynie grymas. - Tak, tak, rozumiem, młody człowieku. Jak by to powiedzieli nasi przodkowie: „Bodajby temu orłowi dziób utkwiał w otworze do wypróżnień”. Proszę zrobić, jak powiedziałem, a tymczasem - powiedzmy za piętnaście minut - niech się pan połączy z naszym człowiekiem w kinie Pagoda. Kiedy się odezwie, proszę mu podać mój nie zarejestrowany numer z czwartego poziomu, pamiętając oczywiście o włączeniu zabezpieczenia.

- Oczywiście, sir.

Lin ruszył na wschód Hennessy Road, minął park Southorn i przy Fleming skręcił w Johnston i potem w Burrows Street, gdzie znajdowało się kino Pagoda. Wjechał na parking i zatrzymał się na miejscu zarezerwowanym dla zastępcy kierownika. Umieścił za przednią szybą policyjną przepustkę, wysiadł z samochodu i pobiegł w stronę wejścia. Przy kasie stało zaledwie kilka osób oczekujących na nocny seans filmu „Namiętność Wschodu”. Upodobania agenta nieco zaskoczyły majora. Mimo to, nie chcąc zwracać na siebie uwagi w ciągu sześciu minut, jakie mu jeszcze pozostały, ustawił się za trzema mężczyznami czekającymi w kolejce do kasy. Dziewięćdziesiąt sekund później zapłacił za bilet i wszedł do środka. Podał bilet dziewczynie przy drzwiach i stanął przyzwyczajając oczy do ciemności i blasku padającego z odległego ekranu, na którym wyświetlany był film pornograficzny. Był to rzeczywiście bardzo dziwny rodzaj rozrywki jak na człowieka, którego sprawdzał, ale postanowił, że nie będzie wyciągał zbyt pochopnych wniosków w stosunku do żadnego z podejrzanych.

Jednakże w tym wypadku było to trudne. I to nie dlatego, że jakoś szczególnie lubił mężczyznę, który teraz znajdował się gdzieś w zaciemnionej sali i wraz z rozgorączkowaną publicznością przyglądał się seksualnej gimnastyce drewnianych pseudoaktorów. Prawdę mówiąc major n i e lubił go, ale po prostu uznawał za jednego z najlepszych wśród swoich podwładnych. Agent był arogancki i nieprzyjemny, ale był również dzielnym człowiekiem. Jego ucieczkę z Pekinu przygotowywano przez osiemnaście miesięcy, a każda godzina, którą spędził w tym czasie w komunistycznej stolicy, zwiększała zagrożenie dla jego życia. Był wyższym oficerem w siłach bezpieczeństwa i miał dostęp do bezcennych informacji wywiadowczych. A poza tym wzruszającym dowodem poświęcenia z jego strony było również to, że uciekając na południe pozostawił ukochaną żonę i córkę. Ośłonił je przed podejrzeniami posługując się spalonymi i podziurawionymi pociskami zwłokami, które zidentyfikowano jako jego ciało. Stał się bohaterem Chińskiej Republiki Ludowej, zastrzelonym, a następnie spalonym przez bandę włóczących się chuliganów - typowe zjawisko dla fali przestępczości, która ogarnęła cały kraj. Matka i córka były bezpieczne i utrzymywały się z renty wypłacanej przez rząd, on zaś, jak wszyscy zbiegli prominenci, został poddany najskrupulatniejszej kontroli, która miała na celu zdemaskowanie potencjalnych szpiegów. W tym wypadku jego arogancja wyszła mu właściwie na dobre. Nie próbował zabiegać o względy - był tym, kim był i to, co zrobił, zrobił dla dobra Chin. Gdyby władze nie przyjęły tego, co miał do zaoferowania, zawsze mógł rozejrzeć się gdzie indziej. Wszystko ułożyło się pomyślnie, oprócz sytuacji jego żony i córki. Władze nie zaopiekowały się nimi tak, jak uciekinier się spodziewał. W związku z tym do miejsca pracy jego żony bez żadnych wyjaśnień zaczęto dyskretnie przekazywać pieniądze. Ona nie mogła się o niczym dowiedzieć, bo gdyby zaistniało choć najmniejsze podejrzenie, że jej mąż żyje, poddano by ją torturom, żeby wydobyć z niej informacje, których nie miała. Wszystko to nie pasowało do psychologicznego portretu podwójnego agenta, bez względu na jego wątpliwy gust, jeśli chodzi o filmy.

Pozostawał więc człowiek w Aberdeen, który stanowił dla Lina pewną zagadkę. Ten agent był starszy od innych - niewysoki, zawsze nienagannie ubrany mężczyzna, obdarzony logiką myślenia były księgowy, okazujący tak wielką lojalność, że Lin omal nie uczynił go swoim powiernikiem. Powstrzymał się jednak, kiedy bliski był podzielenia się z nim informacjami, których nie powinien był zdradzać nikomu. Być może to dziwne uczucie duchowej bliskości wynikało z faktu, że człowiek ten był w podobnym wieku... Z drugiej strony, jak wspaniały mógł to być kamuflaż dla wtyczki z Pekinu! Ożeniony z bogatą Angielką i dzięki temu członek jachtklubu, do którego należeli bogaci i wpływowi przedstawiciele społeczności Hongkongu, ludzie wysoko usytuowani w hierarchii towarzyskiej. Był zawsze na miejscu, wcielona doskonałość. Linowi, jego najbliższemu koledze, wydawało się niewiarygodne, że do tego starszego mężczyzny, który prowadził takie stateczne życie, a mimo to chciał kiedyś aresztować australijskiego rozrabiakę za to, że naraził na szwank reputację grupy „Ważka”, mógł dotrzeć Sheng Chouyang i skorumpować go... Nie, to niemożliwe! Może, pomyślał major, powinienem wrócić i zająć się tym wesołym, urlopowanym na dobę agentem, proszącym, aby wszystkich klientów informowano, że został wysłany na Antarktydę, albo tym przepracowanym ojcem trojaczków, który gotów był nawet odbierać telefony, żeby tylko wymigać się od domowych obowiązków.

Te rozważania nie miały sensu! Lin Wenzu potrząsnął głową, jakby chcąc uwolnić się od tych myśli. Tu. Teraz. Skup się! Nagle spojrzął na schody i podjął decyzję. Skierował się w ich stronę i wszedł na balkon. Kabina projekcyjna znajdowała się dokładnie na wprost niego. Zastukał raz i wszedł do środka, ciężarem ciała wyłamując tanią, słabą zasuwkę w drzwiach.

- Tingzhi! - krzyknął kinooperator. Rękę trzymał pod spódnicą siedzącej mu na kolanach

kobiety, która zerwała się gwałtownie i odwróciła twarzą do ściany.

- Policja - powiedział major, okazując legitymację. - Proszę mi wierzyć, nie chcę nikomu z państwa zaszkodzić.

- Nie powinien pan tu wchodzić - odparł kinooperator. - To nie jest zbyt pobożne miejsce.

- Można dyskutować na ten temat, ale z całą pewnością to nie kościół.

- Uzyskaliśmy licencję na naszą działalność i opłaciliśmy ją co do grosza...

- Wcale temu nie przeczę, drogi panie - przerwał Lin. - Po prostu policja chciałaby, aby wyświadczył jej pan pewną przysługę, a spełnienie tej prośby z całą pewnością nie zaszkodzi pańskim interesom.

- A o co chodzi? - zapytał mężczyzna wstając. Ze złością zauważył, że kobieta wymyka się za drzwi.

- Niech pan zatrzyma film na, powiedzmy, trzydzieści sekund i włączy światło na widowni. Proszę poinformować ludzi, że nastąpiła awaria, która zostanie wkrótce usunięta.

Operator skrzywił się. - Film już się prawie kończy! Będą krzyki!

- Dopóki nie zgaśnie światło. Proszę to zrobić! Projektor zatrzymał się z pomrukiem, zapaliły się lampy i komunikat został nadany przez głośnik. Operator miał rację. W kinie rozległy się wrzaski, ludzie wymachiwali rękami, wystawiając środkowe palce swych dłoni. Oczy Lina przebiegły po widowni - tam i z powrotem, rząd po rządzie.

Jego człowiek tu był... A właściwie dwóch ludzi. Agent pochylał się do przodu mówiąc coś do człowieka, którego Lin Wenzu widział po raz pierwszy. Major spojrział na zegarek, a potem odwrócił się do operatora. - Czy na dole jest automat telefoniczny?

- Tak. Ale przeważnie jest zepsuty.

- A teraz?

- Nie wiem.

- W którym miejscu?

- Pod schodami.

- Dziękuję. Może pan wznowić projekcję za sześćdziesiąt sekund.

- Przedtem powiedział pan, że za trzydzieści!

- Zmieniłem zdanie. Chyba dzięki licencji nie narzeka pan na pracę?

- Ci tam na dole to zwierzęta!

- Niech pan zastawi drzwi krzesłem - poradził Lin, wychodząc. - Zasuwka jest wyłamana.

Major minął wiszący w holu pod schodami automat telefoniczny. Prawie w biegu zerwał przewód łączący słuchawkę z aparatem i wyszedł na zewnątrz, kierując się w stronę swojego samochodu. Zatrzymał się na widok automatu telefonicznego po drugiej stronie ulicy. Podbiegł do niego, odczytał numer i natychmiast go zapamiętał, a następnie biegiem wrócił do samochodu. Usiadł za kierownicą i spojrział na zegarek. Potem na wstecznym biegu wyjechał na ulicę i zaparkował wóz obok jakiegoś samochodu kilkadziesiąt metrów od markizy nad drzwiami do kina.

Zgasił reflektory i obserwował wejście.

Minutę i piętnaście sekund później pojawił się uciekinier z Pekinu i najwyraźniej podenerwowany rozejrzał się w prawo i w lewo. Potem spojrzał przed siebie i zobaczył to, czego szukał, a Lin wiedział, czego on szuka, ponieważ telefon w kinie nie działał. Był to automat telefoniczny po drugiej stronie ulicy. Lin nakręcił numer, podczas gdy jego podkomendny podbiegł do automatu i wsunął głowę do plastikowej muszli, w której znajdował się aparat. Telefon zaczął dzwonić, zanim jeszcze agent zdążył włożyć do niego monety.

- Xunsu! Xiaoxi\ - szepnął Lin, a potem zaczął kaszleć. - Wiedziałem, że znajdziesz telefon! Sheng! Skontaktuj się natychmiast! Szafir przepadł! - Odłożył słuchawkę, ale nie zdejmował z niej dłoni spodziewając się, że za chwilę, gdy agent zadzwoni na jego prywatny numer, będzie musiał znowu odebrać telefon.

Ale telefon nie zadzwonił. Lin odwrócił się w fotelu i spojrzał na plastikową muszlę osłaniającą automat telefoniczny po drugiej stronie ulicy. Agent nakręcił wprawdzie numer, ale nie dzwonił do niego. Już nie było potrzeby jechać do Aberdeen.

Major bezszelestnie wysiadł z samochodu, przeszedł przez jezdnię i kryjąc się w cieniu na przeciwległej stronie ulicy ruszył w kierunku automatu telefonicznego. Szedł wolnym krokiem starając się ukryć w mroku swoją potężną posturę i kłął, jak to mu się często zdarzało, swoje geny, którym zawdzięczał tak wybujałą sylwetkę. Nie wychodząc z zacienionych miejsc, zbliżył się do telefonu. Uciekinier znajdował się dwa i pół metra od niego. Stał odwrócony plecami i mówił z podnieceniem i irytacją.

- Kim jest ten Szafir? Dlaczego na ten telefon? Dlaczego skontaktował się ze mną?.. Nie, mówię ci, użył nazwiska przywódcy!.. Tak, owszem, nazwiska! Nie pseudonimu, nie szyfru! To było szaleństwo!

Lin Wenzu usłyszał wszystko, co chciał usłyszeć. Wyciągnął służbowy pistolet i szybkim krokiem wyszedł z ciemności.

- Film się zerwał i zapalili światła! Mój łącznik i ja byliśmy...

- Odłóż słuchawkę! - rozkazał major.

Zdrajca odwrócił się gwałtownie. - Ty! - wrzasnął.

Lin runął na niego. Olbrzymim ciałem wdusił podwójnego agenta w plastikową muszlę. Chwycił słuchawkę i cisnął nią w metalowe pudło aparatu. - Dość! - ryknął.

I nagle poczuł lodowaty żar ostrza wbijającego się w dolną część jego brzucha. Agent skulił się, trzymając nóż w lewej ręce. Lin pociągnął za spust. Huk wystrzału wypełnił cichą uliczkę i zdrajca upadł na trotuar. Z przedziurawionego kula gardła pociekła krew plamiąc jego ubranie i rozlewając się na betonie.

- Ni made! - bluznął przekleństwem czyjś głos po lewej stronie majora. Był to drugi mężczyzna, łącznik, z którym uciekinier rozmawiał w kinie. Uniósł pistolet i wystrzelił w tej samej chwili, gdy major rzucił się na niego. Potężny, zakrwawiony tors Li Wenzu runął na strzelającego jak skała. Pod prawym obojczykiem Lina nagle pojawiła się dziura, ale zabójca stracił równowagę. Teraz wystrzelił major. Mężczyzna upadł chwytając się za prawe oko. Był martwy.

Po drugiej stronie ulicy skończył się film pornograficzny i ulicę zaczął wypełniać tłum, ponury, zły, niezadowolony. Ciężko ranny Lin, resztkami swych niezwykłych sił podniósł dwa martwe ciała

spiskowców i na wpeł ciągnąc, na wpeł niosąc, zawlókł je do samochodu. Kilkoro spośród wychodzących z kina Pagoda widzów popatrzyło na niego bezmyślnym albo obojętnym wzrokiem. To, co widzieli, było rzeczywistością, której nie pojmowali. Przekraczała bowiem wąskie ramy ich wyobraźni.

Aleks Conklin wstał z krzesła i niezgrabnie, hałaśliwie pokuśtykał w stronę ciemnego okna. - No i co, u diabła, chce mi pan powiedzieć? - spytał odwracając się i patrząc na ambasadora.

- W zaistniałych okolicznościach wybrałem jedyne dostępne mi wyjście, dzięki któremu mogłem zwerbować Jasona Bourne'a. - Hayilland uniósł rękę. - Zanim pan się odezwie, chciałbym wyznać całkiem szczerze, że Catherine Staples nie zgadzała się ze mną. Uważała, że powinienem zwrócić się bezpośrednio do Dawida Webba. W końcu był uczonym zajmującym się problematyką dalekowschodnią, specjalistą, który był w stanie zrozumieć, o jaką stawkę toczy się gra i do jakiej tragedii może dojść.

- Jej pomysł był niedorzeczny - odparł Aleks. - Webb powiedziałby panu, żeby się pan wypchał.

- Dziękuję panu za to. - Dyplomata skinął głową.

- Chwileczkę - przerwał mu Conklin. - Powiedziałby to nie dlatego, że uważałby, iż nie ma pan racji, ale w przekonaniu, że nie jest w stanie tego zrobić. Pański postępek, to, że zabrał mu pan Marie, miał go zmusić do powrotu i przeistoczenia się w kogoś, o kim chciał zapomnieć.

- Ach tak?

- Ależ z pana kawał sukinsyna.

Nagle odezwał się ryk syren rozbrzmiewający echem w olbrzymim domu i otaczającym go parku, a za oknami pojawiły się światła reflektorów. Łomotowi pękającego metalu towarzyszyły odgłosy strzelaniny, a po chwili przed domem rozległ się pisk opon. Ambasador i agent CIA padli na podłogę. Po minucie było już po wszystkim. Obaj mężczyźni zerwali się na równe nogi, gdy drzwi otworzyły się z łoskotem. Lin Wenzu, z zakrwawioną piersią i brzuchem wszedł chwiejnym krokiem do pokoju, ciągnąc za sobą dwa martwe ciała.

- Oto pański zdrajca, sir - rzekł major, upuszczając zwłoki na podłogę. - I jego kolega. Wykańczając tych dwóch, udało mi się, jak sądzę, odciąć „Ważkę” od Shenga... - Oczy Wenzu zapadły się nagle w głąb oczodołów i ukazały się same białka. Westchnął ciężko i osunął się na ziemię.

- Wezwijcie ambulans! - krzyknął Havilland do ludzi zgromadzonych przy drzwiach.

- Przynieście gazę, plaster, ręczniki, środki odkażające, na litość boską, wszystko, co zdołacie znaleźć! - zawołał Conklin i kulejąc podbiegł do leżącego Chińczyka. - Trzeba zatamować ten cholerny krwotok!

ROZDZIAŁ 29

Bourne siedział na tylnym siedzeniu samochodu, po którym przesuwały się cienie. Rozbłyskujące co chwila światło księżyca zalewało wnętrze pojazdu, po czym równie gwałtownie zapadała ciemność. Co pewien czas Jason nieoczekiwanie pochylał się do przodu i przyciskał lufę pistoletu do karku swojego więźnia. - Spróbuj zjechać z drogi, to zarobisz kulę w łeb. Rozumiesz?

Przeważnie też padała taka sama odpowiedź, wypowiedziana z ostrym brytyjskim akcentem: - Nie jestem wariatem. Siedzisz za mną, masz broń, a ja cię nie widzę.

Jason wyrwał wsteczne lusterko z uchwytu. Mocująca je śruba od razu pękła pod naciskiem jego ręki. - Pamiętaj, że to ja jestem twoimi oczyma tu, z tyłu. Jestem również kresem twojego życia.

- Rozumiem - za każdym razem powtarzał beznamiętnie były komandos.

Z rządową mapą rozpostartą na kolanach, latarką w lewej ręce i pistoletem w prawej, Bourne sprawdzał drogi prowadzące na południe. Po upływie każdych trzydziestu minut Jason rejestrując wzrokiem mijane znaki i punkty orientacyjne uświadamiał sobie, że czas jest jego największym wrogiem. Choć prawa ręka zabójcy była skutecznie unieruchomiona, zdawał sobie sprawę, że pod względem wytrzymałości on sam nie może się równać z młodszym i silniejszym mężczyzną. Nagromadzenie przemocy w ciągu minionych trzech dni dawało o sobie znać - był wyczerpany fizycznie, umysłowo i bez względu na to, czy chciał się do tego przyznać, czy nie, także emocjonalnie. I choć

Jason Bourne się przed tym bronił, Dawid Webb czuł to każdym mięśniem swego ciała. Trzeba było trzymać naukowca w karchach, zepchnąć go w głąb psychiki, nie dopuszczać do głosu. Daj mi spokój! Jesteś teraz dla mnie bezużyteczny! Od czasu do czasu Jason czuł, że powieki zaczynają mu ciążyć i same się zamykają. Otwierał je gwałtownie i znęcał się nad jakąś częścią swojego ciała - szczypał wewnętrzną stronę uda albo wbijał paznokcie w wargę, powodując gwałtowny ból, który zagłuszał zmęczenie. Zdawał sobie sprawę ze swojego stanu - tylko idiota z manią samobójczą byłby tego nieświadomy - i nie miał czasu ani sposobności, żeby temu zaradzić, postępując zgodnie z zasadą zapożyczoną kiedyś od Echa z „Meduzy”. Nigdy nie zapominał, że wypoczynek też jest bronią. Daj spokój, Echo... dzielny Echo... nie ma teraz czasu na wypoczynek, nie ma takiego miejsca, gdzie mógłbym go zaznać.

I kiedy już trafnie ocenił swój własny stan, musiał również ocenić stan swojego więźnia. Morderca był przez cały czas czujny, widać to było po sposobie, w jaki prowadził samochód z pełną szybkością po tych obcych, nieznanym drogach. Wyczuwało się to w bezustannym ruchu głowy, widniało to w jego oczach za każdym razem, gdy Bourne mógł je zobaczyć. A widział je często, ilekroć rozkazywał zabójcy zwolnić i wypatrywać drogi odbiegającej w prawo lub w lewo od głównej szosy. Sobowtór odwracał się wtedy - widok tak dobrze znajomych rysów był zawsze wstrząsem dla Jasona - i pytał, o którą drogę z przodu chodzi jego „oczom”. Pytania były kamuflażem. Eks-komandos ciągle badał stan fizyczny i psychiczny swojego strażnika. Był wyszkolonym zabójcą, śmiertcionośną maszyną; zdawał sobie sprawę, że jego życie uzależnione jest od zdobycia przewagi nad wrogiem. Czekał, obserwował i starał się wyczuć moment, w którym powieki przeciwnika zamkną się na chwilę albo broń osunie się na podłogę, albo też jego głowa na moment spocznie na wygodnym zagłówku tylnego siedzenia. Czyhał na takie właśnie symptomy, błędy, które będzie mógł wykorzystać, by nagle odwrócić sytuację. Obrona Bourne'a zależała więc

całkowicie od sprawności jego umysłu i wykonywania nieoczekiwanych czynności, które pozwalały mu utrzymać psychologiczną przewagę. Jak długo to wytrzyma - i czy w ogóle wytrzyma?

Jego głównym wrogiem był czas, natomiast siedzący przed nim zabójca nie stanowił zbyt dużego problemu. W przeszłości - jak przez mgłę wspomnianej przeszłości - dawał już sobie radę z zabójcami, potrafił nimi manipulować, byli bowiem istotami ludzkimi podatnymi na różne fortele, które podsuwała mu wyobraźnia. Chryste, jednak do tego doszło! Takie proste, takie logiczne - a on jest tak zmęczony... Jego umysł. Nie pozostało już nic innego. Musiał myśleć, musiał pobudzać swoją wyobraźnię i zmuszać ją do działania. Przewaga, przewaga! Musiał ją utrzymać! Myśl. Działaj. Zrób coś nieprzewidzianego!

Zdjął tłumik z lufy pistoletu, skierował broń w stronę zamkniętego okna po prawej stronie i pociągnął za spust. Ogłuszający wystrzał zadudnił w zamkniętym pudle samochodu. Szyba rozprysła się, odłamki wyleciały na zewnątrz, porwane prądem nocnego powietrza.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - wrzasnął zabójca sobowtór, chwytając mocniej kierownicę i starając się zapanować nad tańczącym po szosie samochodem.

- Chcę ci pokazać, kto tu ma przewagę - odparł Jason. - Powinieneś zapamiętać, że jestem niezrównoważony. Następnym strzałem mogę rozwalić ci łeb.

- Jesteś pieprzonym wariatem i tyle!

- Cieszę się, że mnie rozumiesz.

Mapa. Jedną z najcenniejszych rzeczy na mapach drogowych ChRL były gwiazdki oznaczające garaże naprawcze położone przy ważniejszych szosach czynne przez całą dobę. Konieczność zorganizowania takiego systemu wydawała się oczywista, gdy wzięto się pod uwagę, jak wielkie zamieszanie mogło powstać w wyniku awarii rządowych bądź wojskowych samochodów. Dla Bourne'a był to dar niebios.

- Siedem kilometrów dalej przy tej szosie znajduje się stacja benzynowa - powiedział do mordercy, do Jasona Bourne'a, uświadomił sobie. - Zatrzymaj się, zatankuj paliwo, ale nie mów ani słowa. Byłaby to zresztą głupota z twojej strony, bo przecież nie znasz języka.

- A ty?

- Owszem, i dlatego ja jestem oryginałem, a ty imitacją.

- Możesz mnie pocałować, panie Oryginale!

Jason wystrzelił ponownie, wybijając okno do końca. - I m i t a - c j ą! - wrzasnął przekrzykując szum powietrza. - Pamiętaj o tym.

Czas był jego wrogiem.

Zrobił w myśli remanent swojego dobytku. Nie było tego zbyt wiele. Jego główną amunicją były pieniądze. Miał ich więcej, niż stu Chińczyków byłoby w stanie zarobić przez sto lat, ale pieniądze niczego nie rozwiązywały. Gdyby modlił się o możliwość wydostania się z Chin, prosiłby, aby odbyło się to drogą powietrzną, a nie po ziemi. Nie wytrwa tak długo. Znowu popatrzył uważnie na mapę. Droga do Szanghaju zajęłaby mu trzynaście do piętnastu godzin - jeżeli wytrzyma samochód, jeżeli wytrzyma on sam i jeżeli uda im się przejechać przez punkty kontrolne, które z całą pewnością zostaną zaalarmowane, że Europejczyk albo dwóch Europejczyków będzie próbowało się przez nie przedostać. Mogą go schwytać - mogą ich schwytać. A jeśli nawet uda im się dotrzeć do

Szanghaju i portu lotniczego, który nie był zbyt dobrze pilnowany, to jakie jeszcze pojawiają się trudności?

Istniała pewna alternatywa, zawsze zresztą istniały jakieś alternatywy. Było to coś zwariowanego i dziwnego, ale jednocześnie stanowiło jedyne wyjście.

Otoczył kółkiem małe znaczek w pobliżu miasta Jinan. Lotnisko.

Świt. Wszędzie wilgotno. Ziemia, wysokie trawy i metalowa siatka ogrodzenia błyszcząły od porannej rosy. Nieco dalej pojedynczy pas startowy stanowił czarną, połyskującą szramę, która przecinała pole z krótko przyciężoną trawą, częściowo zieloną od dzisiejszej wilgoci, a częściowo wypaloną do brązu wczorajszym upalnym słońcem. Limuzyna typu Szanghaj znajdowała się z dala od prowadzącej na lotnisko drogi w takiej odległości, na jaką morderca mógł od niej odjechać, i znowu ukryta była pod gałęziami. Sobowtór znowu był unieruchomiony, tym razem dzięki związanym kciukom. Jason przyłożył mu lufę do skroni i polecił zabójcy odwinąć drut ze szpulek, sporządzić dwie pętle zaciskowe i założyć je na kciuki. Potem odciął szpule, przeciągnął drut z powrotem i dokładnie okręcił oba końce wokół jego przegubów. Komandos przekonał się natychmiast, że najmniejszy ruch, próba rozsunęcia rąk albo zmiany ich położenia względem siebie, powoduje coraz mocniejsze wpijanie się drutu w ciało.

- Na twoim miejscu - rzekł Bourne - byłbym ostrożny. Wyobrażasz sobie, jak przykro jest żyć bez kciuków? Albo co będzie, jeżeli przetniesz sobie przeguby?

- Pieprzony technik!

- Możesz mi wierzyć!

Z drugiej strony pola startowego w parterowym budynku z rzędem niewielkich okien na ścianie zapaliło się światło. Było to coś w rodzaju baraku, prostego i funkcjonalnego. Potem zapaliły się następne światła - gołe, rzucające mdły blask żarówki. Barak. Jason sięgnął po zrolowaną odzież, którą miał przymocowaną na plecach. Rozpiął paski, rozwinął poszczególne części garderoby na trawie i ułożył je oddzielnie. Była tu duża bluza w stylu Mao, para wygniecionych, za dużych spodni i płócienna czapka z daszkiem. Wszystko to stanowiło typowe ubranie wieśniaka. Jason włożył czapkę, zapiął kurtkę, tak że nie było widać ukrytego pod nią czarnego swetra, wciągnął spodnie na te, które miał na sobie. Trzymały się na plecionym pasku z materiału. Obciągnął obszerną, ciemną bluzę na biodrach i odwrócił się do obserwującego go z zaciekawieniem i zdumieniem sobowtóra.

- Podejź do ogrodzenia - polecił Jason schylając się i grzebiąc w plecaku. - Uklęknij i oprzyj się o nie - mówił dalej wyciągając półtorametrową cienką, nylonową linkę. - Przyciśnij twarz do siatki. Patrz przed siebie! Szybko!

Zabójca zrobił, co mu kazano. Jego skrępowane ręce znalazły się między jego ciałem a ogrodzeniem, sprawiając mu ból i niewygodę, a twarz miał przyciśniętą do siatki. Bourne podszedł do niego, szybko przewiół linkę przez ogrodzenie z prawej strony karku zabójcy i przekładając palce przez oczka siatki przeciągnął linkę przed twarzą komandosa i ponownie przewiół ją na swoją stronę. Następnie zacisnął mocno i zawiązał przy podstawie czaszki sobowtóra. Działał tak błyskawicznie i niespodziewanie, że były oficer, zanim pojął, co się dzieje, zdążył tylko wykrztusić:

- Co, u diabła... O, Chryste!

- Powtórzę tylko to, co ten szaleniec powiedział do d'Anjou, zanim ściął mu głowę: „Nigdzie stąd nie odejdziesz, majorze”.

- Masz zamiar mnie tu zostawić? - spytał oszołomiony zabójca.

- Nie bądź głupi. Jesteśmy jak papużki nierozłączki. Gdzie ja pójde, tam i ty. A teraz, prawdę mówiąc, ty idziesz pierwszy.

- Gdzie?

- Przez ogrodzenie - stwierdził Jason, wyjmując z plecaka obcęgi do cięcia drutu. Zaczął przecinać siatkę wokół torsu mordercy i stwierdził z ulgą, że druty są nieporównywalnie cieńsze od tych w rezerwacie ptaków. Kiedy skończył, cofnął się o krok, uniósł stopę i oparł ją między łopatkami sobowtóra. Wyprostował gwałtownie nogę. Zabójca wraz z siatką upadł na trawę po drugiej stronie ogrodzenia.

- Jezu! - wrzasnął z bólu komandos. - Pewnie uważasz to za cholernie śmieszne, co?

- Wcale nie mam ochoty na żarty - odparł Jason. - Każdy mój ruch jest poważny, nie robię niczego dla zabawy. Wstawaj i mów szeptem.

- Na rany Chrystusa, przecież jestem przywiązany do tego cholernego ogrodzenia!

- Jest odcięte. Wstawaj i odwróć się. - Zabójca niezgrabnie podniósł się z ziemi. Bourne przyjrzał się swemu dziełu. Widok kawałka siatki przymocowanego do górnej połowy ciała mordercy za pomocą przewleczonej linki istotnie był zabawny. Ale powód, dla którego się tam znajdował, wcale nie był śmieszny. Tylko wtedy wszelkie ryzyko było wyeliminowane, kiedy miał obezwładnionego zabójcę bez przerwy na oku. Jason nie był w stanie kontrolować tego, czego nie widział, a to mogło kosztować go życie... a co ważniejsze, życie żony Dawida Webba, a nawet samego Dawida. Odczep się ode mnie! Nie przeszkadzaj! Jesteśmy zbyt blisko!

Bourne podniósł rękę, szarpnięciem rozwiązał węzeł, lecz nie wypuścił linki z ręki. Kawałek siatki upadł na ziemię, ale zanim komandos zdołał zareagować, Jason okręcił linkę wokół jego głowy tak, że wcisnęła się między jego wargi. Zaciągnął ją mocno, coraz mocniej, rozsuwając szczęki mordercy do chwili, gdy jego usta przekształciły się w czarną dziurę obramowaną białymi zębami, a z gardła komandosa zaczęły wydobywać się nieartykułowane dźwięki.

- Nie mogę przypisywać sobie tego patentu - oznajmił Bourne. Zawiązał cienką, nylonową linkę pozostawiając mniej więcej siedem-dziesięciopięciocentymetrową końcówkę. - Obserwowałem d'Anjou i innych. Nie mogli mówić, byli w stanie tylko dławić się własnymi wymiotami. Ty widziałeś to również i uśmiechałeś się. A jak teraz się czujesz, majorze?... Och, zapomniałem, że nie możesz mi odpowiedzieć, prawda? - Popchnął zabójcę do przodu, a potem chwycił go za ramię i skierował w lewo. - Obejdziemy koniec pasa startowego - powiedział. - Ruszaj!

Podczas gdy trzymając się granicy cienia szli po trawie płyty lotniska, Bourne przyglądał się jego dość prymitywnym zabudowaniom. Za barakiem znajdował się niewielki, okrągły i niemal całkowicie przeszklony budynek. Był zupełnie wygaszony, tylko z niewielkiej, kwadratowej nadbudówki na dachu dochodził słaby poblask. Był to dworzec lotniczy w Jinan, a skąpo oświetlona nadbudówka na dachu - wieża kontrolną. Z lewej strony baraku, sześćdziesiąt metrów na zachód, znajdował się ciemny, otwarty hangar o wysokim, łukowym dachu. W stojących przed jego szerokimi drzwiami wielkich drabinach samolotowych na kółkach odbijało się światło wczesnego poranka. Lotnisko było puste, jego obsługa wciąż jeszcze znajdowała się w swoich kwaterach. Koło południowej drogi okrężnej do kołowania po obu stronach pasa startowego lotniska stało pięć ledwie dostrzegalnych w mroku samolotów. Wszystkie były z napędem śmigłowym i żaden nie wyglądał szczególnie imponująco. Port lotniczy Jinan był drugo-, a może nawet trzeciorzędny

lotniskiem, niewątpliwie zmodernizowanym, jak wiele innych portów lotniczych w Chinach, ze względu na zagraniczne inwestycje, ale wciąż jeszcze daleko odbiegającym standardem od lotniska międzynarodowego. Niemniej korytarze powietrzne były swoistymi tunelami na niebie, niezależnie od wszystkich estetycznych czy technologicznych dziwactw samych portów lotniczych. Wystarczyło po prostu dostać się do odpowiedniego korytarza i trzymać kurs. Na niebie nie było granic, dotyczyły one jedynie ludzi i pojazdów poruszających się po Ziemi. Ale w połączeniu stanowiły odrębny problem.

- Idziemy do hangaru - szepnął Jason, szturchając komandosa w plecy. - Pamiętaj, jeżeli zaczniesz hałasować, nie będę musiał cię zabijać - oni to zrobią. A ja dzięki tobie będę miał okazję stąd uciec. Możesz być pewien. Padnij!

Z oddalonych od nich o trzydzieści metrów, przypominających wejście do pieczary wrót hangaru wyłonił się wartownik. Karabin miał przewieszony przez ramię i przeciągał się, ziewając. Bourne wiedział, że jest to właściwy moment do działania - lepsza okazja może się nie nadarzyć. Morderca leżał płasko przy ziemi, przygniatając ciałem związane drutem ręce, z rozwartymi ustami przyciśniętymi do ziemi. Jason wziął do ręki wolny koniec linki, szarpnął mordercę za włosy, odrywając jego głowę od ziemi i dwukrotnie okręcił mu sznur wokół gardła.

- Zaczniesz się wiercić, to się udusisz - szepnął wstając. Podbiegł do ściany hangaru, potem szybko zbliżył się do jego rogu i wyjrzał. Wartownik prawie nie ruszył się z miejsca. Jason natychmiast się zorientował, że mężczyzna sika. Całkiem naturalna czynność i doskonała okazja. Bourne wypadł zza budynku i rzucił do przodu, wybijając się prawą nogą jak startujący sprinter. Lewą stopą trafił żołnierza w plecy, a prawą ręką w kark. Wartownik runął nieprzytomny na ziemię. Jason zaciągnął go za róg hangaru, a potem do miejsca, w którym nieruchomo leżał morderca.

- Uczysz się, majorze - rzekł Bourne. Ponownie chwycił komandosa za włosy i odwinął mu nylonową linkę z szyi. Fakt, że linka mogła wcale nie udusić sobowtóra, podobnie jak okręcony wokół jego szyi luźny sznur do bielizny, był dla Deltę świadectwem, że jego więzień nie ma wyobraźni przestrzennej; stany napięcia źle oddziaływały na jego umysł, szczególnie zaś groźba śmierci. Była to rzecz, którą należało zapamiętać. - Wstawaj - rozkazał Jason. Morderca wykonał polecenie. Rozdziawionymi ustami łapał powietrze, a jego pełne wściekłości spojrzenie wyrażało nienawiść. - Pomyśl o Echu - rzekł Bourne patrząc na niego z taką samą odrazą. - Przepraszam, miałem na myśli d'Anjou. Człowieka, który stworzył na nowo twoje życie - życie, bądź co bądź, i to takie, które najwyraźniej ci się spodobało. Twój Pigmalion, stary!... A teraz mnie posłuchaj, posłuchaj uważnie. Chciałbyś, żebym zjął tę linę?

- Augghh! - stęknął morderca kiwając głową. Nienawiść w jego wzroku ustąpiła błaganiu.

- I uwolnił kciuki?

- Augghh, augghh!

- Nie jesteś partyzantem, ale zwykłym palantem - rzekł Jason, wyciągając pistolet zza paska. - Ale jak powiadaliśmy dawnymi czasy - grubo przed tobą, stary - będą pewne „warunki”. Widzisz, albo obaj wydostaniemy się stąd żywi, albo znikniemy, a nasze doczesne szczątki pochłonie chiński ogień - ludzie bez przeszłości i przyszłości, nie wspominani przez nikogo, zważywszy na nasze mniejsze od zera dokonania dla ludzkości... Widzę, że cię nudzę. Przepraszam, zapomnijmy o wszystkim.

- Augghh!

- No dobrze, skoro nalegasz. Oczywiście, nie dam ci broni, a jak tylko zobaczę, że próbujesz po nią sięgnąć, jesteś trupem. Ale jeśli będziesz grzeczny, to może zdołamy, powtarzam - może - się stąd wydostać. Chodzi mi o to, panie Bourne, że bez względu na to, kim jest ten pański klient, nie może pozwolić ci przeżyć, podobnie jak nie może pozwolić na to mnie. Zrozumiałeś? Kapujesz? Capiscet

- Augghh!

- I jeszcze jedno - dodał Jason, pociągając za linkę, która opadła na ramiona komandosa. - To jest nylon czy poliuretan, czy jak to jeszcze, u diabła, nazywają. Kiedy węzeł się podgrzeje, rozpływa się jak ciasto, a gdy ostygnie, w żaden sposób nie da się go rozsupłać. Będziesz miał związane obie kostki, a węzły zostaną stopione. Będziesz mógł robić kroki długości mniej więcej pół metra - tylko pół metra - bo jestem technikiem. Czy wyrażam się jasno?

Morderca skinął głową, a kiedy to zrobił, Jason odskoczył w prawo i podciął mu nogi, przewracając na ziemię. Oba kciuki sobowótora zaczęły krwawić. Jason przyklęknął i przyciskając mu do ust trzymany w lewej ręce pistolet, prawą rozwiązał supeł na karku zabójcy.

- O, Chryste! - zawołał były major, gdy linka opadła.

- Cieszę się, że jesteś pobożny - stwierdził Bourne odkładając broń i szybko okręcając plastikowym sznurem kostki komandosa. Błyskawicznie zrobił płaskie węzły, pstryknął zapalniczką i stopił je. - To się może przydać. - Podniósł pistolet, przyłożył go do czoła mordercy i odwinął drut, którym okręcone były przeguby jeńca. - Zdejmij resztę - polecił. - Uważaj na kciuki, masz na nich rany.

- Moje prawe ramię też jest w nie najlepszym stanie! - stwierdził Anglik zsuwając pętlę. Gdy oswobodził ręce, potrząsnął nimi, a potem wyssał krew ze skaleczeń. - Ma pan swoje magiczne pudełko, panie Bourne? - zapytał.

- Zawsze pod ręką, panie Bourne - odparł Jason. - A czego potrzebujesz?

- Plastra. Krwawią mi palce. To rany cięte.

- Jakże jest pan wykształcony. - Bourne sięgnął po leżący za nim plecak, przyciągnął go bliżej i rzucił komandosowi. Pistolet wciąż trzymał wymierzony w głowę Anglika. - Poszukaj. Gdzieś na górze powinna być rolka.

- Mam - rzekł morderca. Wyjął plaster i szybko owinął nim kciuki. - Cholernie paskudnie się ze mną obchodziłeś - dodał, gdy już opatrzył rany.

- Pomyśl o d'Anjou - rzekł sucho Jason.

- Przecież on chciał umrzeć, na litość boską! Co właściwie miałem zrobić?

- Nic. Bo jesteś niczym.

- No cóż, w takim razie jestem na tym samym poziomie co ty, prawda, stary? Przecież przerobił mnie na ciebie!

- Ale brak ci talentu - stwierdził Jason Bourne. - Popełniasz błędy. Nie masz wyobraźni przestrzennej.

- O co ci chodzi?

- Zastanów się. - Delta podniósł się. - Wstawaj - rozkazał.

- Powiedz - odezwał się morderca podnosząc się z ziemi i spoglądając na broń wymierzoną w jego głowę. - Dlaczego ja? Dlaczego w ogóle wycofałeś się z interesu?

- Bo nigdy do niego nie przystępowałem.

Nagle włączane jeden po drugim reflektory zaczęły rozświetlać płytę lotniska, a wzdłuż całego pasa startowego pojawiły się żółte światła pozycyjne. Z baraku wybiegli ludzie. Część z nich ruszyła w stronę hangaru, inni na zaplecze domu, skąd po chwili dobiegł gwałtowny ryk silników niewidocznych pojazdów. W budynku portu lotniczego zapaliły się światła. Całe lotnisko zaczęło nagle kipieć życiem.

- Zdejmij mu kurtkę i czapkę - rozkazał Bourne, wskazując pistoletem nieprzytomnego wartownika. - Włóż je.

- Nie będą pasować!

- Możesz oddać je do przeróbki na Savile Row. Ruszaj! Sobowtór spełnił polecenie. Ramię sprawiało mu tak poważne kłopoty, że Jason musiał przytrzymać mu rękaw. Szturchając komandosa pistoletem, Bourne podbiegł wraz z nim do ściany hangaru, a następnie obaj ostrożnie ruszyli w stronę końca budynku.

- Zgadzasz się? - zapytał szeptem Bourne, spoglądając na człowieka, który wyglądał dokładnie tak jak on sam przed laty. - Wydostajemy się albo umieramy.

- Tak jest - odparł komandos. - Ten wrzeszczący sukinsyn ze swoim cholernym mieczem jest pieprzonym wariatem. Chcę się stąd wydostać.

- Nie bardzo to było widać po twojej minie.

- Gdyby było widać, ten wariat mógłby się dobrać do mnie!

- Kim on jest?

- Nigdy nie dowiedziałem się jego nazwiska. Dostałem tylko szereg kontaktów, za pośrednictwem których miałem do niego dotrzeć. Pierwszym był człowiek w garnizonie kantonskim. Nazywa się Su Jiang...

- Słyszałem. Ma ksywkę „Świnia”.

- To chyba trafne określenie, nie wiem.

- A co potem?

- Numer pozostawiony przy stoliku piątym w kasynie w...

- Kam Pęk, Makau - przerwał mu Jason. - Co dalej?

- Miałem zadzwonić pod ten numer i mówić po francusku. Ten Su Jiang jest jednym z niewielu żółtków, którzy mówią w tym języku. On ustala czas spotkania, zawsze w tym samym miejscu. Potem przedostaje się przez granicę i idę na jakieś poletko w górach. Tam przylatuje śmigłowiec i ktoś podaje mi nazwisko celu. I wręcza połowę forsy za robotę... Popatrz! Nadlatuje! Podchodzi do lądowania.

- Trzymam pistolet przy twojej głowie.

- Rozumiem.

- Czy twoje szkolenie obejmowało również pilotowanie czegoś takiego?

- Nie. Tylko z nich skakałem.

- To nam nic nie da.

Nadlatujący samolot mrugając światłami spłynął z rozjaśniającego się nieba w stronę pasa. Wylądował gładko. Dokołował do końca asfaltu, skręcił w prawo i potoczył się z powrotem w kierunku terminalu.

- Kaiguan qiyou! - rozległ się okrzyk od strony hangaru. Stojący przed nim mężczyzna wskazywał zaparkowane z boku trzy cysterny, wyjaśniając, która z nich ma być użyta.

- Uzupełniają paliwo - powiedział Jason. - Samolot znowu wystartuje. Spróbujmy się nim wydostać.

Morderca odwrócił się z błagalnym wyrazem twarzy - tej twarzy. - Na litość boską, daj mi nóż, cokolwiek!

- Nie.

- Mogę pomóc!

- To moje przedstawienie, majorze, a nie twoje. Tym nożem mógłbyś mi rozpruć brzuch. Nie ma mowy, stary.

- Da longxia! - krzyknął ten sam głos sprzed hangaru, określając państwowych urzędników mianem wielkich homarów. - Fangsong - wołał do wszystkich, że mogą się uspokoić, gdyż samolot wkrótce odkołuje od terminalu i na jego spotkanie wyjedzie pierwsza z trzech cystern.

Urzednicy wysiedli. Odrzutowiec zawrócił i ruszył wzdłuż pasa, podczas gdy wieża informowała pilota, w którym miejscu ma uzupełniać paliwo. Cysterna podjechała z dużą szybkością. Obsługa zeskoczyła z samochodu i zaczęła wyciągać węże z nisz.

- Tankowanie potrwa około dziesięciu minut - powiedział morderca. - To chińska wersja zmodernizowanego DC-3.

Samolot zatrzymał się, silniki umilkły. Pod skrzydła podtoczono drabiny i ludzie z obsługi zaczęli się na nie wspinać. Przy akompaniamencie ciągłej paplaniny otworzyli wlewy paliwa i wsunęli w nie końcówki węży. Nagle w środku kadłuba otworzył się luk i na ziemię opadła metalowa drabinka. Zeszli po niej dwaj mężczyźni w mundurach.

- Kapitan i drugi pilot - rzekł Bourne. - I wcale nie wyszli po to, żeby rozprostować nogi. Sprawdzają, co ci ludzie tam robią. Musimy wszystko bardzo dokładnie zgrać, majorze, a kiedy dam hasło, ruszamy.

- Prosto do luku - przytaknął morderca. - Jak tylko ten drugi facet postawi nogę na pierwszym stopniu.

- Właśnie.

- A może odwrócimy ich uwagę?

- W jaki sposób?

- Ubiegłej nocy zupełnie nieźle ci się to udało. Urządziłeś sobie prywatne obchody Czwartego Lipca.

- Nie da rady. A poza tym, zużyłem już wszystkie... Poczekaj. Cysterna!

- Jak ją wysadzisz, szlag trafi także samolot. A poza tym nie będziesz mógł tego zgrać w czasie z wejściem załogi na pokład.

- Nie myślę o tej - powiedział Jason kręcąc przecząco głową i patrząc ponad ramieniem komandosa. - Chodzi mi o jedną z tamtych. - Wskazał bliższą z dwóch czerwonych cystern stojących na wprost nich w odległości około dwustu metrów. - Jeśli wybuchnie, będą się przede wszystkim starali zabrać stąd ten samolot.

- I znajdzie się dużo bliżej nas. Dobra, robimy to.

- Nie - poprawił go Jason. - Ty to zrobisz. Z moim pistoletem przy głowie i dokładnie w taki sposób, jak ci rozkażę.

Pobiegli w stronę ciężarówki, komandos z przodu, Jason tuż za nim, prawie niezauważalni w słabym świetle i panującym wokół samolotu zamieszaniu. Kapitan i drugi pilot oświetlali latarkami silniki i warknięciami rzucali obsłudze naziemnej ponaglące rozkazy. Bourne polecił komandosowi kucnąć przed sobą, a następnie otworzył plecak i wyciągnął z niego rolkę gazy. Wydobył z pochwy przy pasie myśliwski nóż, odczepił zwinięty wąż, rzucił go na ziemię i przesunął po nim dłonią do miejsca, w którym łączył się ze zbiornikiem.

- Sprawdź, co robią - polecił komandosowi. - Ile czasu im to jeszcze zajmie. I poruszaj się wolno, majorze. Mam cię na oku.

- Przecież powiedziałem, że chcę się stąd wynieść. Nie mam zamiaru spieprzyć sprawy.

- Pewnie, że chcesz się wydostać. Ale odnoszę wrażenie, że wolałbyś to zrobić w pojedynkę.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy.

- A więc nie jesteś moim sobowtórem.

- Bardzo dziękuję.

-- Nie, naprawdę tak myślę. Bo mnie by taki pomysł przyszedł do głowy... Jak długo jeszcze?

Sądzę, że od dwóch do trzech minut.

- A cóż warte są twoje sądy?

- - Dwadzieścia czy coś koło tego misji w Omanie, Jemenie i na południu. Samoloty o podobnej konstrukcji i wyposażeniu. Wiem o nich wszystko, kolego. To nie jest dla mnie nowy numer. Dwie do trzech minut, nie dłużej.

- Dobra. Wracaj tutaj. - Jason nakłuł wąż czubkiem noża i zrobił niewielkie nacięcie. Wystarczająco duże, by paliwo wyciekało swobodnie, ale na tyle małe, że pompy prawie nie pracowały. Wstał i trzymając mordercę pod strzałem, podał mu rolkę gazy. - Odwiń około dwóch metrów i namocz ją w wypływającym paliwie. - Zabójca ukląkł i wykonał polecenie. - A teraz - ciągnął Jason - wetknij koniec gazy w zrobione przeze mnie nacięcie. Głębiej... głębiej. Pomóż sobie kciukiem!

- Moja ręka nie jest zbyt sprawna.

- Ale lewa jest! Wciśnij mocniej! - Bourne odwrócił się szybko, żeby spojrzeć na tankowany - zatankowany - samolot. Obliczenia komandosa były dokładne. Obsługa schodziła ze skrzydeł i zwijała węże. Nagle kapitan i drugi pilot zaczęli przeprowadzać ostateczną kontrolę. Skierują się do luku za niecałą minutę! Jason sięgnął do tylnej kieszeni i rzucił pudełko zapalek pod nogi zabójcy,

ani na chwilę nie przestając mierzyć z pistoletu w jego głowę. - Podpal to. Już.

- Przecież to pieprznie jak cholerny wagon dynamitu! Wylecimy obaj w powietrze, a ja w pierwszej kolejności!

- Jeśli zrobisz to prawidłowo, to nic ci nie grozi! Połóż gazę na trawie, jest wilgotna...

- Opóźni ogień?

- Pospiesz się! No już!

- Gotowe! - Na końcu paska gazy buchnął płomień, po czym przygasł i rozpoczął swą powolną wędrówkę. - Cholerny technik - mruknął pod nosem komandos podnosząc się z ziemi.

- Stań przede mną - polecił Bourne mocując plecak do paska. - Zaczynij iść prosto przed siebie. Skul się i opuść ramiona, tak jak zrobiłeś to w Louwu.

- Jezu Chryste! Byłeś...

- Ruszaj!

Cysterna ruszyła na wstecznym biegu oddalając się od samolotu, a potem zatoczyła łuk i wyminęła stojące drabiny, zmierzając w stronę, gdzie zaparkowana była pierwsza... następnie zakręciła znowu, kierując się na swoje miejsce obok dwóch pozostałych czerwonych samochodów. Jason odwrócił gwałtownie głowę i wbił spojrzenie w podpaloną taśmę. Ogień objął ostatni odcinek! Wystarczy, by choć jedna iskra przedostała się do ciekącego zaworu, a odłamki eksplodującego zbiornika przebiją wrażliwe kadłuby sąsiednich pojazdów. To może się stać w każdej sekundzie!

Kapitan skinął dłonią drugiemu pilotowi i obaj ruszyli w stronę wjazdu.

- Szybciej! - wrzasnął Bourne. - Przygotuj się do biegu!

- Kiedy?

- Będiesz wiedział. Opuść ramiona. Przygarb się trochę, do diabła! - Skręcili w stronę samolotu, mijając idących z przeciwka mechaników z obsługi naziemnej, którzy wracali do hangaru. - Gongju fie? - zawołał Jason, czyniąc wymówkę koledze, że zostawił przy samolocie zestaw cennych narzędzi.

- Gongju? - krzyknął idący z tyłu mężczyzna. Chwycił Bourne'a za ramię i pokazał mu skrzynkę z narzędziami. Ich spojrzenia spotkały się. Oszołomiony mechanik otworzył usta i wytrzeszczył oczy. - Tian a! - wrzasnął.

Stało się. Było już za późno na jakiegokolwiek dalsze odkrycia. Cysterna eksplodowała wyrzucając w niebo pulsujące kłęby ognia, a śmiercionośne odłamki powykręcane metalu zaczęły przeszywać powietrze nad samochodem i wokół niego. Obsługa naziemna wrzasnęła jednym głosem i rozbiegła się we wszystkie strony, w większości jednak próbując się dostać pod osłonę hangaru.

- Biegiem! - zawołał Jason.

Mordercy nie trzeba było tego powtarzać. Obaj mężczyźni podbiegli do otwartego luku, z którego wyglądał zdziwiony kapitan. Drugi pilot stał jak skamieniały na drabince.

- Kuai! - wrzasnął Bourne. - Jiufei!... - zwrócił się do pilota usiłując ukryć twarz w cieniu i przygniatając głowę komandosa do metalowych stopni. Rozkazywał pilotowi wycofać samolot ze strefy zagrożenia i wyjaśniał mu, że jest z obsługi naziemnej i zabezpieczy luk wejściowy.

" Druga ciężarówka wyleciała w powietrze zamieniając się w ścianę ognia i rozpalonych odłamków metalu.

- W porządku! - zawołał kapitan po chińsku. Chwycił swego drugiego pilota za koszulę i wciągnął go do środka. Obaj pognali krótkim korytarzykiem w stronę kabiny pilotów.

Teraz, pomyślał Jason. Pewnie coś kombinuje. - Właż! - rozkazał komandosowi, gdy trzecia cysterna eksplodowała i płomienie buchnęły nad polem startowym, wzbijając się w jaśniejące poranne niebo.

- Dobra! - wrzasnął morderca, po czym uniósł głowę i wyprostował się, by wskoczyć na stopnie. I nagle, gdy rozległa się kolejna ogłuszająca eksplozja i ryknęły silniki samolotu, odwrócił się gwałtownie na drabince, wyrzucając prawą stopę w kierunku pachwiny Bourne'a, a ręką próbując wytrącić mu broń.

Jason był na to przygotowany. Lufą pistoletu walnął komandosa w kostkę, po czym podniósł rękę i uderzył go w skroń. Z rozciętej głowy popłynęła krew. Zabójca wyrzucił się do tyłu, a Bourne wskoczył za nim do samolotu i kopniakiem przesunął ciało nieprzytomnego sobowtóra po metalowej podłodze. Następnie zatrzasnął pokrywę luku i zabezpieczył drzwi. Samolot zaczął kołować, skręcając w lewo i oddalając się od niebezpiecznego pożaru. Jason ściągnął plecak z paska, wyjął drugi kawałek nylonowej linki i przywiązał nadgarstki mordercy do zacisków mocujących szeroko rozstawione fotele. Wyglądało na to, że komandos w żaden sposób nie będzie mógł się uwolnić - a w każdym razie Bourne nie widział takiej możliwości - na wszelki wypadek jednak rozciął linkę łączącą kostki Anglika, rozsunął mu nogi i przywiązał je do foteli zamocowanych po obu stronach przejścia.

Podniósł się i ruszył w stronę kabiny pilotów. Samolot znajdował się już na pasie startowym i kołował po jego czarnej nawierzchni. Nagle silniki umilkły. Samolot zaczął hamować przed budynkiem dworca, gdzie zebrała się grupa rządowych dostojników, która z odległości zaledwie kilkuset metrów obserwowała rozprzestrzeniający się gwałtownie pożar.

- Kai ba! - rzekł Bourne, przykładając lufę do potylicy pierwszego pilota. Drugi pilot odwrócił się gwałtownie w fotelu. Jason przesunął nieco dłoń z pistoletem i powiedział w czystym dialekcie mandaryńskim: - Patrz na przyrządy i przygotuj maszynę do startu, a potem daj mi swoje mapy.

- Nie dostaniemy zezwolenia na start! - krzyknął pilot. - Mamy stąd zabrać pięciu komisarzy!

- Dokąd?

- Do Baoding.

- To na północy - powiedział Bourne.

- Na północnym zachodzie - poprawił go drugi pilot.

- Dobrze. Lecimy na południe.

- Nie dostaniemy pozwolenia! - krzyknął kapitan.

- Pańskim pierwszym obowiązkiem jest ratowanie samolotu. Nie widzi pan, co się tu dzieje?! Może to być sabotaż, rewolta, powstanie.

Niech pan robi, co każe, bo w przeciwnym razie obydwaj zginiecie. a mnie na waszym życiu nie zależy.

Pilot gwałtownie obrócił głowę i spojrział w górę na Bourne'a.

- Pan jest Europejczykiem! Mówi pan po chińsku, ale jest pan Europejczykiem! Co pan robi?

- Dowodzę tym samolotem. Został jeszcze duży odcinek pasa. Startować! Na południe! I proszę dać mi mapy.

\Wróciły wspomnienia. Odległe dźwięki, odległe widoki, odległe grzmoty.

- Damo z Wężem, Damo z Wężem! Zgłoś się! Podaj współrzędne swojego sektora!

Zmierzali w stronę Tam Quan i Delta nie chciał nawiązywać łączności radiowej. Wiedział, gdzie się znajdują, i tylko to się liczyło. Dowództwo w Sajgonie mogło iść do diabła - nie miał najmniejszego zamiaru ujawniać północnowietnamskim stacjom nasłuchowym, dokąd się udają.

- Damo z Wężem, jeżeli nie możesz lub nie chcesz się zgłosić, pozostań na wysokości poniżej dwustu metrów! Mówi przyjaciel, wy dupki! Nie macie ich zbyt wielu tu na dole! Powyżej dwustu pięćdziesięciu namierzy was ich radar.

Wiem, Sajgonie, mój pilot też o tym wie, nawet jeśli mu się to nie podoba, ale mimo wszystko nie nawiążę z tobą łączności.

- Damo z Wężem, zgubiliśmy was! Czy któryś z idiotów biorących udział w tej misji potrafi czytać lotniczą mapę?

Tak, potrafię ją czytać, Sajgonie. Czy myślisz, że wystartowałem ze swoją grupą zdając się wyłącznie na ciebie? Do diabła, to przecież mój brat jest tam na dole! Nie ja jestem dla ciebie ważny, ale on!

Zwariowałeś, Europejczyku! - wrzasnął pilot. - Zaklinam cię na duchy przodków. To ciężki samolot, a my lecimy tuż nad czubkami drzew!

- Uszy do góry - poradził mu Bourne wpatrując się w mapę. - Po prostu leć jak najniżej i nabieraj wysokości tylko w miarę potrzeby. To wszystko.

- Ale to szaleństwo! - krzyknął drugi pilot. - Na tej wysokości wystarczy jeden prąd zstępujący i znajdziemy się w lesie! Zginiemy!

- Prognozy meteorologiczne podawane przez wasze radio nie przewidują żadnej turbulencji...

- Dobrze, ale w górze - wrzasnął pilot. - Pan sobie nie zdaje sprawy z ryzyka! Na dole jest inaczej!

- Jaki był ostatni komunikat z Jinan? - spytał Jason, doskonale znając jego treść.

- Od trzech godzin próbują nas odnaleźć na trasie do Baoding - odparł oficer. - Teraz przeszukują góry Hengshan... Wielkie duchy, czemu ja to panu mówię? Przecież sam pan słuchał komunikatów. Po chińsku mówi pan lepiej niż moi rodzice, a oni byli wykształconymi ludźmi!

- Dwa punkty dla Ludowego Lotnictwa... Dobra, za dwie minuty niech pan wykona zwrot o sto sześćdziesiąt stopni i wejdzie na trzysta pięćdziesiąt metrów. Będziemy przelatywać nad wodą.

- Znajdziemy się w zasięgu Japończyków! Zestrzelą nas.

- Niech pan wywiesi białą flagę. Chociaż może będzie lepiej, jeśli porozumiem się z nimi przez radio. Coś wymyślę. Być może nawet odeskortują nas do Koulunu.

- Koulunu?! - wrzasnął drugi pilot. - Zostaniemy zastrzeleni!

- Całkiem prawdopodobne - przytaknął mu Bourne. - Ale nie przeze mnie - dodał. - Wie pan, po przeanalizowaniu sytuacji doszedłem do wniosku, że powinienem się tam dostać bez waszej pomocy. Prawdę mówiąc, panowie, nie możecie zagrać w moim spektaklu. Nie wolno mi do tego dopuścić.

- Przecież to, co pan mówi, nie ma sensu! - stwierdził rozwścieczony pilot.

- Proszę po prostu wykonać zwrot o sto sześćdziesiąt stopni, kiedy panu powiem. - Jason sprawdził prędkość, po czym odmierzył na mapie węzły i obliczył potrzebną odległość. Przez okno kabiny widać było, jak w oddali za samolotem znika chińskie wybrzeże. Spojrzał na zegarek. Minęło dziewięćdziesiąt sekund. - Niech pan skręca, kapitanie - powiedział.

- I tak się panu nie uda! - zawołał pilot. - Nie jestem kamikaze. Nie mam zamiaru zginąć.

- Nawet dla swojego niebiańskiego rządu?

- Zwłaszcza dla niego.

- Czasy się zmieniają - stwierdził Bourne, ponownie skupiając uwagę na mapie. - Czasy się zmieniają.

Damo z Wężem, Damo z Wężem! Wycofajcie się! Jeżeli mnie słyszycie, wynoście się stamtąd i wracajcie do bazy. To na nic! Czy mnie słyszysz? Wycofajcie się!

- Co chcesz zrobić. Delta?

- Leć dalej, szefie. Jeszcze trzy minuty i możesz się stąd wynosić.

- Ja to ja. A co z tobą i twoimi ludźmi?

- Załatwimy to.

- Jesteś samobójcą. Delta.

- Mów do mnie jeszcze... Dobra, wszyscy sprawdzić spadochrony i przygotować się do skoku. Niech ktoś pomoże Echu i położy mu rękę na uchwycie linki wyzwalającej.

- Deraisonnable!

Prędkość samolotu utrzymywała się ciągle w granicach 600 kilometrów na godzinę. Trasa wybrana przez Jasona - na niedużej wysokości przez Cieśninę Tajwańską, nad Longhai i Shantou na wybrzeżu chińskim i Xinzhu oraz Fengshan na Tajwanie - liczyła ponad 2350 kilometrów. Tak więc przewidywany przez niego czas przelotu - jakieś cztery godziny, z dokładnością do paru minut - był obliczony prawidłowo. Zewnętrzne wyspy położone na północ od Hongkongu powinny być widoczne za niecałe pół godziny.

Podczas lotu dwukrotnie zostali wezwani przez radio. Raz przez garnizon na Quemoy, a drugi raz przez samolot patrolowy koło Raopingu. W obu wypadkach odpowiadał Bourne. Za pierwszym razem wyjaśnił, że prowadzi poszukiwania uszkodzonego statku przewożącego towary z Tajwanu na kontynent, za drugim zaś oznajmił tonem pogroźki, że są jednostką Ludowych Sił Bezpieczeństwa i poszukują statków przemytniczych, które niewątpliwie wymknęły się patrolom z Raopingu. Podczas ostatniego kontaktu radiowego był nie tylko obcesowo arogancki, ale wykorzystał również nazwisko i oficjalny, ściśle tajny numer identyfikacyjny martwego spiskowca, który obecnie leżał pod radziecką limuzyną w rezerwacie ptaków Jing Shan. Tak jak przewidywał, to czy mu uwierzono, czy nie, było bez znaczenia. Nikt nie miał ochoty zakłócać status quo ante. Życie i tak jest wystarczająco skomplikowane. Niech będzie, niech sobie lecą. Czym to może grozić?

- Gdzie jest pański sprzęt? - zapytał Jason pilota.

- Lecę nim! - odparł lotnik wpatrując się w przyrządy i wyraźnie podskakując przy każdym trzasku w głośniku, każdym meldunku z cywilnego samolotu. - Nie wiem, czy pan się orientuje, czy nie, ale nie mamy planu lotu. Możemy być na kolizyjnym kursie z tuzinem innych samolotów!

- Lecimy na to zbyt nisko - rzekł Jason - i mamy doskonałą widoczność. Wierzę, że pański wzrok nie pozwoli panu w coś trzepnąć.

- Pan zwariował! - krzyknął drugi pilot.

- Wręcz przeciwnie. Właśnie mam zamiar wrócić do normalnego świata. Gdzie macie sprzęt ratunkowy? Zważywszy na to, w jaki sposób produkujecie różne rzeczy, nie mogę sobie wyobrazić, żebyście bez tego latali.

- O co panu chodzi?

- Tratwy ratunkowe, urządzenia sygnalizacyjne... spadochrony.

- Wielkie duchy!

- Gdzie?

- W przedziale z tyłu samolotu, drzwi na prawo od kuchenki.

- Wszystko dla funkcjonariuszy państwowych - dodał kwaśno drugi pilot. - W razie jakichś kłopotów cały sprzęt przeznaczony jest wyłącznie dla nich.

- To rozsądne - stwierdził Bourne. - W przeciwnym wypadku, jaką mielibyście motywację?

- Szaleństwo!

- Idę na tył, panowie, ale mój pistolet będzie wciąż skierowany w tę stronę. Niech pan trzyma kurs, kapitanie. Jestem bardzo doświadczony i bardzo wrażliwy. Potrafię wyczuć nawet najdrobniejszą zmianę kursu i jeżeli coś takiego zauważę, jesteście martwi. Zrozumiano?

- Wariat!

- Mów do mnie jeszcze. - Jason wyszedł z kabiny i ruszył w głąb kadłuba. Przesząpił swojego związanego, rozkrzyżowanego więźnia, który zrezygnował już z prób uwolnienia się. Warstwa zaschniętej krwi pokrywała ranę na jego skroni.

- Jak tam, majorze?

- Popełniłem błąd. Czego jeszcze chcesz?

- Ciebie. Żywego w Koulunie, nic więcej.

- Po to żeby jakiś sukinsyn postawił mnie przed plutonem egzekucyjnym?

- To już twoja sprawa, ale ponieważ zaczynam porządkować pewne rzeczy, to jakiś sukinsyn może nawet dać ci medal, jeżeli tylko rozegrasz swoją partię tak, jak powinienes.

- Jesteś cholernie tajemniczy, Bourne. O co ci chodzi?

- Przekonasz się, jeśli dopisze ci szczęście.

- Wielkie dzięki! - krzyknął Anglik.

- Nie masz mi za co dziękować, stary. To ty mi podsunąłeś ten pomysł, kiedy cię zapytałem, czy

podczas swojego szkolenia uczyłeś się latać czymś takim. Pamiętasz, co mi odpowiedziałeś?

- Co?

- Powiedziałeś, że umiesz tylko z nich skakać.

- O, cholera!

Komandos ze spadochronem przypiętym na plecach leżał wyprostowany między dwoma fotelami. Nogi i ręce miał związane, a do prawej dłoni Jason przymocował mu linkę wyzwalającą.

- Wyglądasz jak ukrzyżowany, majorze, z tą tylko różnicą, że powinieneś mieć rozłożone ramiona.

- Na litość boską, czy możesz gadać z sensem?

- Proszę mi wybaczyć. To moje drugie ja usiłuje się wypowiedzieć. Nie zrób żadnego głupstwa, sukinsynu, bo wylecisz z tego luku! Słyszysz mnie? Rozumiesz?

- Rozumiem.

Jason wrócił do kabiny pilotów, usiadł na pokładzie, wziął mapę i odezwał się do drugiego pilota.

- Jaki zamiar? - zapytał.

- Za sześć minut Hongkong, jeżeli w coś nie „trzepniemy”.

- W pełni panu ufam, ale niestety, pańska ucieczka na stronę wroga nie dojdzie do skutku. Nie możemy lądować na Kai Tak. Proszę lecieć na północ w stronę Nowych Terytoriów.

- Aiya! - wrzasnął pilot. - Znajdziemy się w zasięgu radaru! Ci zwariowani Gurkhowie strzelają do wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z kontynentem!

- Nie zrobią tego, jeżeli pana nie namierzą, kapitanie. Lecąc ku granicy, niech pan zejdzie poniżej dwustu metrów, a potem przeskoczy nad górami w Luowu. Tam pan może nawiązać kontakt radiowy z Shenzhen.

- I cóż ja im, na duchy przodków, powiem?

- Że zostaliście porwani. Widzi pan, nie mogę dopuścić, żeby pan zagrał w mojej sztuce. Nie możemy lądować w kolonii. Mógłby pan przyciągnąć uwagę wyjątkowo nieśmiałego człowieka - i jego towarzysza.

Spadochrony otworzyły się z trzaskiem nad ich głowami. Osiemnastometrowa lina łącząca obu skoczków naprężyła się pod naporem wiatru. Samolot z pełną szybkością odleciał w kierunku Shenzhen.

Wodowali w stawie hodowlanym na południe od Lok Ma Chau. Bourne zwijał linkę przyciągając do siebie związanego zabójcę, podczas gdy właściciele fermy rybnej wrzeszczeli na niego z brzegów prostokątnego stawu. Jason wyciągnął pieniądze - więcej pieniędzy, niż to małżeństwo mogło zarobić w ciągu roku.

- Jesteśmy uciekinierami! - zawołał. - Bogatymi uciekinierami! Kogo to obchodzi?

Nikogo to nie obchodziło, a już najmniej właścicieli stawu. I kiedy Bourne wyciągał mordercę z wody, powtarzali tylko: - Mgoi! Mgoi ssaai! - dziękując dziwnym, różowym istotom, które spadły z nieba.

Ody zdjęli już chińską odzież i Bourne skrępował byłemu komandosowi ręce na plecach, wyszli na drogę biegnącą na południe do Koulunu. Ich przemoczone ubrania szybko wysychały w palącym słońcu, ale ich wygląd nie zwracał uwagi kierowców nielicznych pojazdów. A już na pewno żaden z nich nie miałby ochoty zabierać takich autostopowiczów. Był to problem, który wymagał rozwiązania. I to rozwiązanie szybkiego, dokładnego. Jason był u kresu sił, z trudnością mógł iść i chwilami zaczynał tracić świadomość. Jeden fałszywy ruch i może przegrać - ale przecież nie mógł przegrać właśnie teraz!

Chłopki, najczęściej stare kobiety, dreptały poboczem drogi. Ich wielkie, szerokie kapelusze osłaniały pomarszczone twarze przed słońcem, a na wspartych na ich leciwych ramionach nosidłach wisiały koszyki z produktami. Kilka z nich spojrzało z zaciekawieniem na Europejczyków w wymiętych ubraniach, ale tylko przez moment. Ich świat nie lubił niespodzianek. Trzeba było jedynie starać się przeżyć, ich wspomnienia wciąż były żywe.

Wspomnienia. Obserwuj wszystko. Znajdziesz coś, co ci się przyda.

- Kładź się - powiedział Jason do Anglika. - Przy drodze.

- Co? Dlaczego?

- Bo jeżeli tego nie zrobisz, będziesz oglądał ten świat jeszcze tylko przez trzy sekundy.

- Myślałem, że chcesz mnie dostarczyć żywego do Koulunu!

- Jeżeli będę musiał, zadowolę się zwłokami. Kładź się! Na plecach! Możesz krzyknąć, ile wlezie, i tak nikt cię nie zrozumie. W ten sposób mógłbyś mi nawet pomóc.

- Chryste, jak?

- Jesteś po wypadku.

- Co?

- Kładź się! Już!

Zabójca położył się na jezdni i obrócił na plecy. Patrzył w jasne światło słońca, a jego tors unosił się i opadał w rytm oddechu.

- Słyszałem, co mówił pilot - powiedział. - Ty rzeczywiście jesteś pieprzonym wariatem!

- Każdy ma prawo do własnej interpretacji, majorze. - Jason odwrócił się w stronę drogi i zaczął wołać do chłopek: - Jiuming! - krzyczał. - Qing bangmang!- Błagał te stare, doświadczone przez los kobiety, aby pomogły jego rannemu towarzyszowi, który ma złamane żebra albo uszkodzony kręgosłup. Sięgnął do plecaka i wyjął pieniądze, tłumacząc, że liczy się tu każda minuta i że ranny jak najszybciej powinien się znaleźć pod opieką lekarską. Jeśli mu pomogą, zapłaci im bardzo hojnie.

Wszystkie chłopki rzuciły się naraz do przodu. Ich oczy wpatrzone były nie w poszkodowanego, lecz w pieniądze. Kapelusze fruwały w powietrzu, nosidła leżały porzucone na poboczu.

- Na gunzi lai! - zawołał, prosząc o tyczki albo kawałki drewna, którymi można by unieruchomić rannego.

Kobiety pobiegły w pole i wróciły z długimi bambusowymi kijami. Wycięły z nich kawałki, które przywiązane we właściwych miejscach mogły przynieść ulgę obolałemu nieszczęśnikowi. Wszystko to działo się przy akompaniamentie okrzyków współczucia i w końcu, nie zważając na

protesty mówiącego po angielsku pacjenta, kobiety przyjęły od Bourne'a pieniądze i ruszyły dalej.

Prócz jednej, która dostrzegła jadącą z północy ciężarówkę.

- Duoshao qian? - szepnęła Jasonowi do ucha, pytając, ile mógłby jej zapłacić.

- Ni shuo hē - odparł Bourne proponując, by wymieniła swoją cenę.

Podala sumę i Delta przyjął warunki. Kobieta rozpostarła szeroko ramiona i wyszła na szosę. Ciężarówka zatrzymała się. Kolejne pertraktacje przeprowadzono już z kierowcą, a po ich zakończeniu przywiązanego do bambusa zabójcę załadowano na ciężarówkę. Jason także wspiął się na platformę samochodu.

- No i jak, majorze?

- To draństwo jest zapchane cholernymi, pieprzonymi kaczkami! - wrzasnął komandos, patrząc na otaczające go wielopoziomowe szeregi drewnianych klatek. Mdlący smród był nie do zniesienia.

Jakiś ptak, w swej nieskończonej mądrości, wybrał tę właśnie chwilę, by strzyknąć strumieniem ekskrementów prosto w twarz mordercy.

- Następny przystanek Koulun - rzekł Jason Bourne i zamknął oczy.

ROZDZIAŁ 30

Zadzwoił telefon i Marie odwróciła się gwałtownie na krzesło. Mo Panov powstrzymał ją jednak unosząc dłoń. Doktor przeszedł przez hotelowy pokój, podniósł słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu i zapytał łagodnym tonem: - Halo? - Słuchał ze zmarszczonymi brwiami, kiedy jednak się zorientował, że wyraz jego twarzy może przerazić Marie, popatrzył na nią, pokręcił głową i ruchem ręki uspokoił ją, że ten telefon to nic pilnego. - W porządku, Aleks - odezwał się niemal po minucie. - Nie ruszamy się z miejsca, dopóki nie dasz nam znać, ale muszę cię o coś zapytać i bardzo proszę, wybac mi moją bezpośredniość. Czy ktoś dał ci coś do picia? - Panov skrzywił się i na chwilę odsunął słuchawkę od ucha. - Mogę ci jedynie odpowiedzieć, że jestem zbyt łagodny i zbyt doświadczony, żeby wnikać obecnie w twoją przeszłość. Porozmawiamy o tym później. - Odłożył słuchawkę.

- Co się stało? - zapytała Marie, na wpół unosząc się z krzesła.

- Znacznie więcej, niż mógł powiedzieć, ale i to wystarczy. - Psychiatra przerwał i spojrzał w dół na Marie. - Catherine Staples nie żyje. Została zastrzelona przed wejściem do swego domu parę godzin temu...

- O, mój Boże - szepnęła Marie.

- Ten potężnie zbudowany oficer wywiadu - ciągnął dalej Panov. - Ten, którego widzieliśmy na dworcu w Koulunie. Mówiłaś, że zwracano się do niego „majorze”, a Staples wymieniła jego nazwisko - Lin Wenzu...

- Co z nim?

- Został ciężko ranny i w stanie krytycznym znajduje się w szpitalu. Conklin właśnie stamtąd dzwonił z automatu. Marie spojrzała Panowowi w oczy.

- Jest jakiś związek między śmiercią Catherine a Linem Wenzu, prawda?

- Tak. Kiedy Staples została zabita, stało się jasne, że operacja została zinfiltrowana...

- Jaka operacja? Przez kogo?

- Aleks powiedział, że wszystko wyjaśni później. W każdym razie sytuacja stała się krytyczna i ów Lin o mało nie stracił życia likwidując infiltrację - „neutralizując ją”, jak określił to Conklin.

- O, Boże - zawołała Marie głosem na granicy hysterii. - Operacja! Infiltracja... neutralizacja, Lin, nawet Catherine, przyjaciółka, która mnie wydała... nie dbam o to wszystko! Co z Dawidem?

- Powiedzieli, że pojechał do Chin.

- Jezu Chryste, zabili go! - krzyknęła Marie, zrywając się z krzesła.

Panov rzucił się do przodu i chwycił Marie za ramiona. Ścisnął ją mocno, powstrzymując konwulsyjny ruch jej głowy, bez słowa zmuszając ją, by na niego spojrzała. W końcu odezwał się:

- Pozwól mi powtórzyć to, co powiedział Aleks... Posłuchaj mnie! Powoli, bez tchu, jakby próbując zebrać myśli mimo całkowitej

dezorientacji i zmęczenia, Marie wreszcie znieruchomiała i spojrzała

na przyjaciela.

- Co? - wyszeptała.

- Powiedział, że w gruncie rzeczy cieszy się, że Dawid jest tu... czy raczej tam... bo według niego ma dzięki temu większą szansę przeżycia.

- I ty w to wierzysz? - krzyknęła żona Dawida Webba. Jej oczy wypełniły się łzami.

- To niewykłuczone - rzekł Panov. Pokiwał głową i odezwał się łagodnie. - Conklin zwrócił uwagę, że tu, w Hongkongu, Dawid mógłby zostać zastrzelony albo pchnięty nożem gdzieś na zatłoczonej ulicy. Tłum, powiedział, jest zarazem wrogiem i sojusznikiem. Nie pytaj mnie, skąd ci ludzie biorą swoje metafory, nie wiem.

- Co, u diabła, chcesz mi przez to powiedzieć?!

- To samo, co powiedział mi Aleks. Stwierdził, że Dawida zmusili do powrotu, zmusili, żeby stał się kimś, o kim chciał zapomnieć. A potem powiedział, że nie było nikogo, kto dorównałby Delcie. Delta był najlepszy ze wszystkich... a Dawid Webb był Deltą. Jason Bourne stanowił pewną refleksję, przedłużenie bólu, który musiał sobie zadawać, ale wszystkie swoje nadzwyczajne umiejętności zdobył jako Delta... Pod pewnym względem znam twojego męża równie dobrze jak ty.

- Jestem pewna, że pod tym względem znacznie lepiej - odparła Marie, opierając głowę na torsie Morrisa Panova. - Było tyle rzeczy, o których nie chciał rozmawiać. Za bardzo się bał albo może wstydził... O, Boże, Mo! Czy on kiedykolwiek do mnie wróci?

- Aleks uważa, że Delta wróci.

Marie odsunęła się od psychiatry i spojrzała mu prosto w oczy. Jej wzrok, mimo łez, był surowy.

- A co z Dawidem? - spytała żałosnym szeptem. - Czy o n powróci?

- Na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Bardzo bym chciał, ale nie mogę.

- Rozumiem. - Puściła Panova, podeszła do okna i spojrzała na tłum wypełniający położoną w dole, jaskrawo oświetloną ulicę. - Spytałeś Aleksa, czy pił? Dlaczego, Mo?

- Pożałowałem tych słów natychmiast, gdy mi się wymknęły.

- Dlatego, że go uraziłeś? - spytała, odwracając się ponownie w stronę psychiatry.

- Nie. Ponieważ zdałem sobie sprawę, że je usłyszałaś i zażadasz wyjaśnień. A nie mogę ci ich odmówić.

- A więc?

- To miało związek z ostatnią sprawą, o której mi powiedział. A właściwie z dwoma sprawami. Stwierdził, że myliłaś się co do Staples...

- Myliłam się? Byłam tam. Widziałam. Słyszałam jej kłamstwa!

- Próbowała cię w ten sposób chronić, starała się, żebyś nie wpadła w panikę.

- Znowu kłamstwa! A co to za druga sprawa?

Mo nie poddawał się. Odpowiadał, patrząc Marie prosto w oczy.

- Aleks stwierdził, że choć wszystko to robi wrażenie jakiegoś szaleństwa, to jednak w gruncie

rzeczy wcale takim szaleństwem nie jest.

- Mój Boże, przekabacili go!

- Na pewno nie. Nie powiedział im, gdzie jesteś... Gdzie jesteśmy. Polecił mi, żebyśmy byli gotowi do wyjścia w ciągu kilku minut po jego następnym telefonie. Nie może ryzykować powrotu tutaj. Obawia się, że może być śledzony.

- A więc znowu uciekamy... i nie mamy innego wyjścia, jak tylko znowu się ukrywać. I nagle nasz pancerz zaczął pękać. Nasz kulawy święty Jerzy, który zabija smoki, nieoczekiwanie postanowił się do nich przyłączyć.

- To niesprawiedliwe, Marie. Nie powiedzieliśmy tego - ani on, ani ja.

- Pieprzysz, doktorze! Tam jest mój mąż! Wykorzystują go, zabijają, nie mówiąc nam dlaczego! Och, zapewne może, jedynie może, przeżyć, bo jest tak cholernie dobry w tym, co robi, robił, i czym pogardzał, ale co pozostanie z tego człowieka i jego umysłu? Jesteś w tym specjalistą, doktorze! Co z niego zostanie, gdy te wszystkie wspomnienia powrócą? I lepiej, żeby wróciły, bo w przeciwnym razie nie ujdzie z życiem.

- Powiedziałem ci, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Och, jesteś wspaniały, Mo! Wszystko, na co cię stać, to starannie wyważone stwierdzenia faktów i żadnej odpowiedzi, a nawet śmielszej sugestii. Robisz uniki! Powinieneś być zostać ekonomistą! Minąłeś się z powołaniem!

- Minąłem się z wieloma sprawami. Niemal spóźniłem się na samolot do Hongkongu.

Marie stanęła jak wryta. Rozpłakała się, podbiegła do Panova i objęła go.

- O, Boże, przepraszam cię, Mo! Wybacz mi, wybacz!

- To ja powinienem cię przeproszać - odparł psychiatra. - To był tani chwyt. - Odchylił jej głowę i zaczął delikatnie głaskać jej szare, gęsto przetykane siwizną włosy. - Jezu, nie cierpię tej peruki.

- To nie peruka, doktorze.

- Mój dyplom nie obejmował kosmetyki.

- Tylko leczenie stóp.

- To prostsze niż leczenie głowy, możesz mi wierzyć. Telefon zadzwonił. Marie zamarła, a Panov wstrzymał oddech. Powoli odwrócił głowę w stronę znienawidzonego dźwięku.

Spróbujesz jeszcze raz wyciąć taki numer i jesteś martwy! - ryknął Bourne łapiąc się za grzbiet dłoni, na której szybko sianiało stłuczone miejsce. Morderca miał związane przeguby ukryte w rękawach kurtki, ale udało mu się gwałtownie uderzyć ramieniem w drzwi taniego hotelu i przytrzasnąć Jasonowi rękę.

- A czego, u diabła, się po mnie spodziewasz? - wrzasnął były komandos. - Że grzecznie wyjdę na nocną przechadzkę uśmiechając się do mojego plutonu egzekucyjnego?

- Widzę, że lubisz sobie również poczytać w ubikacji - stwierdził Bourne patrząc, jak zabójca obmacuje sobie żebra, na których przed chwilą wylądował jego kopniak. - Może nadszedł czas, żeby cię zapytać, dlaczego zajmujesz się robotą, do której ja właściwie nigdy nie miałem serca. Co, majorze?

- Naprawdę cię to interesuje, panie Oryginalny? - mruknął sobowtór opadając na przysunięty do ściany fotel. - A więc teraz moja kolej zapytać: dlaczego?

- Być może dlatego, że nigdy sam siebie nie rozumiałem - odparł Dawid Webb. - Jestem o tym zupełnie przekonany.

- Och, wiem o tobie wszystko! To stanowiło część treningu, który prowadził ten Francuz. Wielki Delta był szurnięty! Jego żona i dzieciaki zginęli nad rzeką w Phnom-Penh, zastrzeleni przez zabłąkany myśliwiec. Ten jakże ucywilizowany naukowiec dostał fioła i nikt nie był w stanie nad nim zapanować. Nikogo to zresztą nie obchodziło, ponieważ wraz z grupą, którą dowodził, zadał przeciwnikowi więcej strat niż większość zespołów działających według taktyki „rozpoznaj i zniszcz” razem wziętych. Sajgon uznał, że masz manię samobójczą i z ich punktu widzenia było to idealne rozwiązanie. Bardzo im zależało, żeby cię wraz z twoją bandą szlag trafił. Nigdy nie chcieli, żebyś wrócił. Byłeś dla nich tylko obciążeniem!

Damo z Wężem, Damo z Wężem... mówi przyjaciel, ty dupku. Nie macie ich tu zbyt wielu... Wycofajcie się! To beznadziejne!

- Wiem o tym albo zdaje mi się, że wiem - rzekł Webb. - Ale pytałem o ciebie.

Oczy mordercy rozszerzyły się, gdy siedział ze wzrokiem wbitym w związane dłonie. Kiedy wreszcie się odezwał, był to ledwie szept, niemal nierzeczywiste echo głosu.

- Bo jestem świrem, ty sukinsynu! Wiedziałem już o tym, kiedy byłem dzieciakiem. Paskudne, mroczne myśli, zwierzęta mordowane tylko po to, żeby widzieć ich oczy i pyski. Zgwałciłem córkę pastora, mojego sąsiada, bo wiedziałem, że nie będzie mogła się nikomu poskarżyć, a potem spotkałem ją na ulicy i odprowadziłem do szkoły. Miałem wtedy jedenaście lat. A potem w Oksfordzie, podczas klubowej balangi przytrzymałem chłopaka pod wodą, tuż pod powierzchnią, tak długo, aż się utopił - po to, żeby widzieć jego oczy, jego usta. A potem wróciłem na zajęcia i zakasowałem każdego głupka, który miał dość oleju w głowie, by uciec przed burzą z piorunami. Tam byłem facetem na właściwym miejscu, synem godnym swojego ojca.

- Nigdy nie próbowałeś się leczyć?

- Leczyć? Z takim nazwiskiem jak Allcott-Price?

- Allcott?.. - oszołomiony Bourne wytrzeszczył oczy na swojego więźnia. - Generał Allcott-Price? Genialny chłopak Montgomery'ego w czasie drugiej wojny światowej? „Rzeźnik” Allcott, który dowodził oskrzydłującym atakiem na Tobruk, a potem przetoczył się swoimi czołgami przez Włochy i Niemcy? Angielski Patton?

- Przecież nie było mnie jeszcze wtedy na świecie, na miłość boską! O ile wiem, byłem dziełem jego trzeciej żony... a może czwartej. Był bardzo aktywny w tych sprawach, to znaczy męskodamskich.

- D'Anjou powiedział, że nigdy nie podałeś mu swego prawdziwego nazwiska.

- No i miał rację! Pan generał, kołyszac swym kieliszkiem brandy, w swym jakże szacownym klubie na St. James, raczył rzec: „Zabijcie go! Zabijcie tę parszywą owcę i nie wspominajcie więcej o nim. To nie mój syn, ta kobieta była dziwką!” Ale jestem jego synem i on dobrze o tym wie. Ten sadystyczny sukinsyn wie, co mi sprawia przyjemność, i obaj zebraliśmy kupę dyplomów za to, co najbardziej lubimy robić.

- A więc wiedział?.. Wiedział o twojej chorobie?

- Wiedział... I wie. Nie pozwolił mi wstąpić do Sandhurst - to nasze West Point, jeśli nie wiesz - ponieważ nie chciał, żebym się znalazł choćby w pobliżu jego drogocennej armii. Uznał, że się na mnie poznają i nadszarpnie to jego wspaniałą reputację. Omal go szlag nie trafił, kiedy się dowiedział, że wstąpiłem do wojska. Nie przespał chyba spokojnie ani jednej nocy, dopóki nie powiedziano mu po cichu, że już stamtąd zniknąłem, zniknąłem na dobre i wszelki ślad po mnie zaginął.

- Dlaczego więc mówisz mnie, kim jesteś?

- To proste - odparł były komandos, świdrując Jasona wzrokiem. - Jak widzę, bez względu na rezultat, tylko jeden z nas wyjdzie z tego żywy. Uprzedzam cię, że zrobię wszystko, żebym to był ja. Ale może mi się nie udać, bo nie jesteś frajerem. Wtedy będziesz znał nazwisko, którym możesz zaszokować cały ten cholerny świat i niewykluczone, że zrobisz majątek na licencjach literackich i filmowych, czy coś w tym rodzaju.

- W takim razie generał do końca życia może spać spokojnie.

- Spać? Najprawdopodobniej strzeli sobie w łeb! Nie słuchałeś mnie uważnie. Powiedziałem, że poinformowano go po cichu, że wszystkie ślady zostały zatarte i żadne nazwisko nie wypłynie. Ale dzięki temu nic nie zostanie zatuszowane. Ta cała śmierdząca sprawa będzie się wlokła dalej jak diad z odpustu, i wcale mi nie jest przykro z tego powodu, stary. Wiem, kim jestem, i godzę się z tym. Niektórzy ludzie są po prostu inni. Można powiedzieć, że są jednostkami społecznymi albo skłonniymi do przemocy, albo też zepsutymi. Jediną różnicę w moim wypadku stanowi to, że jestem wystarczająco inteligentny, by zdawać sobie z tego sprawę.

- I godzić się z tym - powiedział spokojnie Bourne.

- Cieszyć się z tego. Być w euforii! I spójrzmy na to od innej strony. Jeżeli przegram i cała historia nabierze rozgłosu, iluż społecznych wyrzutków podniesie to na duchu? Ilu jest takich „odmieńców”, którzy byliby szczęśliwi mogąc zająć moje miejsce, tak jak ja zająłem twoje? Ten cholerny świat pełen jest Jasonów Bourne'ów. Wystarczy tylko wskazać im kierunek, podsunąć ideę, a natychmiast zaczną działać. To była ta podstawowa, genialna koncepcja Francuza. Czy tego nie widzisz?

- Widzę kupę draństwa i to wszystko.

- Wcale nie masz tak złego wzroku. Pan generał też to zobaczy - odbicie samego siebie - i będzie musiał żyć ze świadomością, że został zdemaskowany, dławić się nią.

- Jeżeli on nie chciał ci pomóc, to przecież sam mogłeś sobie pomóc, mogłeś się leczyć. Jesteś wystarczająco inteligentny, żeby zdawać sobie z tego sprawę.

- I stracić całą przyjemność, całą rozrywkę? To nie do pomyślenia, stary! Idziesz swoją drogą i trafiasz do najbardziej spisanej na straty formacji w całym wojsku w nadziei, że zdarzy się jakiś wypadek, który cię załatwi raz na zawsze, zanim cię rozpracują. Znalazłem taką formację, ale wypadek się nie zdarzył. Niestety, rywalizacja wyzwala w nas najlepsze cechy, prawda? Udaje nam się przeżyć dlatego, że ktoś inny sobie tego nie życzy... A poza tym, oczywiście, alkohol. Daje nam pewność siebie, a nawet odwagę do robienia rzeczy, co do których nie jesteśmy pewni, że możemy je zrobić.

- Ale nie wtedy, gdy jesteś w akcji.

- Oczywiście, że nie, ale nachodzą cię wspomnienia. Pijacka brawura, która podpowiada, że

jesteś w stanie tego dokonać.

- Błąd - rzekł Jason Bourne.

- Niezupełnie - zaprotestował morderca. - Człowiek czerpie siły z czego tylko może.

- Są w tobie dwaj ludzie - stwierdził Bourne. - Jeden, którego znasz, i drugi, którego nie znasz - albo nie chcesz znać.

- Błąd! - powtórzył po nim komandos. - I nie oszukuj się, tego pierwszego by tu nie było, gdybym nie znajdował w tym przyjemności. I nie miej złudzeń, panie Oryginale. Lepiej wpakuj mi kulę w łeb, bo jeśli mi się uda, dopadnę cię. Zabiję cię, jeśli zdołam.

- Chcesz, żebym zniszczył to, z czym nie możesz już dłużej żyć.

- Przestań pieprzyć, Boume! Nie wiem jak ty, ale ja to lubiłem! Chcę tego! Nie mógłbym bez tego żyć.

- Już mnie o to prosiłeś.

- Strzelaj, palancie!

- I znowu prosisz.

- Przestań! - Morderca zerwał się z krzesła. Jason zrobił dwa kroki, jego prawa stopa ponownie wystrzeliła do przodu, trafiając w żebra zabójcy i odrzucając go na krzesło. Allcott-Price wrzasnął z bólu.

- Nie zabiję cię, majorze - oznajmił spokojnie Bourne. - Ale jeszcze będziesz żałował, że nie jesteś martwy.

- Spełnij moją ostatnią prośbę - wykrztusił zabójca przyciskając związane ręce do piersi. - Nawet ja dawałem moim celom taką szansę... Mogę znieść przygodną kulę, ale nie garnizonowe więzienie w Hongkongu. Powieszają mnie późną nocą, kiedy nikt nie będzie widział, tylko dlatego, żeby wszystko odbyło się oficjalnie, zgodnie z ich świstkar::; Założą mi na szyję gruby sznur i każą stanąć na platform l ' '-. zmcaę tego!

Delta wiedział, kiedy zmienić ton rozmowy.

- Już ci mówiłem - oznajmił spokojnie - że może cię to nie spotka. Nie prowadzę spraw z Brytyjczykami w Hongkongu.

- Co?

- Tak sądziłeś, ale ja nigdy tego nie potwierdziłem.

- Łżesz!

- W takim razie jesteś mniej zdolny, niż przypuszczałem, a od samego początku nie byłeś wcale taki dobry.

- Wiem. Nie mam wyobraźni przestrzennej!

- Z całą pewnością.

- Jesteś najemnym łapaczem, kimś, kogo w Ameryce nazywają łowcą nagród, ale pracujesz na własną rękę.

- W pewnym sensie tak. I przyszło mi do głowy, że człowiek, który wysłał mnie w pogoń za

tobą, może zeche cię wynająć, a nie zabić.

- Jezu Chryste...

- A moja cena była wysoka. Bardzo wysoka.

- A więc jesteś z branży.

- Tylko tym razem. Nie mogłem zrezygnować z nagrody. Połóż się na łóżku.

- Co?

- Słyszałeś.

- Muszę iść do ubikacji.

- Proszę cię uprzejmie - powiedział Jason podchodząc do drzwi łazienki i otwierając je. - Nie jest to moje ulubione zajęcie, ale będę cię obserwował. - Zabójca załatwił się, trzymany przez Bourne'a pod strzałem. Kiedy skończył, wrócił do małego, obskurnego pokoiku w tanim hotelu na południe od Mongkoku. - Na łóżko - powtórzył Bourne, wykonując znaczący gest pistoletem. - Kładź się na brzuchu i rozłóż nogi.

- Pedzio, który siedzi w recepcji na dole, byłby szczęśliwy słysząc naszą rozmowę.

- Możesz do niego zadzwonić później w stosownej chwili. Kładź się. Szybko!

- Ciągłe sprawiasz wrażenie, jakby ci się spieszyło.

- I to o wiele bardziej, niż sobie wyobrażasz. - Jason podniósł plecak z podłogi, położył go na łóżku i podczas gdy zabójca gramolił się na brudny materac, wyciągnął nylonowe linki. Dziewięćdziesiąt

sekund później kostki komandosa były już przywiązane do sprężyn w nogach łóżka, a jego szyję otaczała cienka biała kreska napiętej linki umocowanej do sprężyn u wezgłowia. Wreszcie Bourne zdjął powłoczkę z poduszki i związał ją majorowi wokół głowy tak, że zakrywała mu oczy i uszy, ale nie utrudniała oddychania. Ponieważ morderca leżał teraz na swoich związanych rękach, był znowu całkowicie unieruchomiony. Nagle jego głowa zaczęła podrygiwać, a wykrzywione usta spazmatycznie łapały powietrze. Najwyraźniej byłego majora Allcott-Price'a ogarnął paniczny strach. Jason rozpoznał te symptomy, ale nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

Nędzny hotelik, który udało mu się znaleźć, nie dysponował takim luksusem jak telefon. Jedynym środkiem komunikowania się z zewnętrznym światem bywało tu łomotanie do drzwi oznaczające albo policję, albo pilnującego interesu recepcjonistę z dołu, który w ten sposób informował gościa, że jeśli pokój ma być zajmowany przez następną godzinę, należy uiścić opłatę za kolejny dzień. Bourne podszedł do drzwi, wyslizgnął się na brudny korytarz i skierował do automatu telefonicznego, który, jak mu powiedziano, znajdował się na jego końcu.

Numer wbił sobie w pamięć i przez cały czas oczekiwał chwili - modląc się, jeśli to było możliwe - w której będzie mógł go nakręcić. Włożył monetę i wreszcie to zrobił, łapiąc gwałtownie powietrze i czując, jak krew tętni mu w skroniach. - Damo z Wężem! - powiedział do telefonu twardym, stanowczym tonem. - Damo z Wężem, Damo...

- Qing, qing - przerwał mu bezosobowy głos w słuchawce mówiący szybko po chińsku. - Mamy chwilową awarię obejmującą wiele telefonów obsługiwanych przez tę centralę. Uszkodzenie zostanie wkrótce usunięte. To jest nagranie... Qing, qing...

Jason odwiesił słuchawkę. Tysiące bezładnych myśli jak odłamki lusterek zderzyły się w jego umyśle. Wrócił szybko słabo oświetlonym korytarzem, mijając po drodze prostytutkę, która stała w drzwiach licząc pieniądze. Uśmiechnęła się do niego, podnosząc ręce do zapięcia bluzki. Pokręcił przecząco głową i wbiegł do pokoju. Odczekał piętnaście minut stojąc cicho przy oknie i słuchając zduszonych jęków wydobywających się z gardła jego więźnia, po czym znów wyslizgnął się bezszelestnie z pokoju. Podszedł do telefonu, ponownie włożył monetę i nakręcił numer.

- Qing... - Trzasnął słuchawką. Ręce mu się trzęsły, mięśnie na szczękach poruszały się nerwowo, gdy myślał o rozciągniętym na łóżku „towarzu”, który tu sprowadził, by wymienić go na swoją żonę. Po raz trzeci podniósł słuchawkę i nakręcił zero. - Proszę pani - odezwał się po chińsku. - Mam bardzo pilną sprawę! Muszę jak najszybciej połączyć się z następującym numerem! - Podał jej cyfry głosem, w którym brzmiała z trudem kontrolowana panika. - Nagranie wyjaśniło mi, że jest uszkodzenie na linii, ale mam pilną sprawę...

- Proszę chwilę poczekać. Postaram się panu pomóc. - Zapadła cisza, którą wypełnił potężniejszy z każdą chwilą łomot w jego piersi, odbijający się echem jak uderzany coraz szybciej bęben. Pulsowało mu w skroniach, wargi miał spieczone, czuł suchość w gardle.

- Linia jest chwilowo nieczynna, proszę pana - odezwał się inny kobiecy głos.

- Linia? Ta linia?

- Tak jest, proszę pana.

- A nie „wiele telefonów obsługiwanych przez tę centralę”?

- Pytał pan telefonistkę o konkretny numer. Trudno mi coś powiedzieć o innych. Jeżeli mi je pan poda, chętnie je dla pana sprawdzę.

- Z nagrania wynikało, że wiele telefonów jest nieczynnych, a pani mówi, że to tylko jedna linia! Czy to znaczy, że nie może pani potwierdzić... uszkodzenia większej liczby połączeń?

- Słucham?

- Czy dużo telefonów nie działa! Przecież macie komputery. One potrafią odnaleźć uszkodzenia. Powiedziałem tamtej telefonistce, że mam bardzo pilną sprawę.

- Jeśli ktoś jest chory, to chętnie wezwę pogotowie. Zechce mi pan podać swój adres...

- Chcę tylko wiedzieć, czy uszkodzonych jest wiele telefonów, czy tylko ten jeden! Muszę to wiedzieć!

- Uzyskanie takiej informacji zajmie mi dużo czasu, proszę pana. Jest już po dziewiątej wieczorem i ekipa naprawcza pracuje w zmniejszonej obsadzie...

- Ale przecież, do cholery, mogą powiedzieć, czy jest jakaś większa awaria!

- Proszę pana, nie płacą mi za wysłuchiwanie obelg.

- Przepraszam, bardzo przepraszam!... Adres? Ach tak, adres! Czy mogę dostać adres, pod którym zarejestrowany jest ten numer, który pani podałam?

- Jest zastrzeżony, proszę pana.

- Ale go macie!

- Właściwie nie, proszę pana. Przepisy dotyczące zastrzeżonych telefonów są w Hongkongu

bardzo surowe. Na moim ekranie widnieje tylko słowo „zastrzeżony”.

- Powtarzam, to naprawdę sprawa życia i śmierci!

- A więc proszę pozwolić mi zadzwonić do szpitala... Och, niech pan poczeka. Miał pan rację, na moim ekranie pojawiła się informacja, że trzy ostatnie cyfry pańskiego numeru pokrywają się elektronicznie z innymi, co oznacza, że ekipa naprawcza stara się usunąć uszkodzenie.

- Czy może mi pani podać lokalizację numeru?

- Numer zaczyna się od cyfry „pięć”, a więc znajduje się na wyspie Hongkong.

- Ale konkretniej! Na wyspie, ale gdzie?

- Cyfry w numerze telefonicznym nie mają nic wspólnego z jakąś określoną ulicą czy miejscem. Obawiam się, że nie mogę panu w niczym więcej pomóc. Chyba że poda mi pan swój adres, żebym mogła wysłać karetkę.

- Mój adres?.. - odparł oszołomiony, zmęczony i znajdujący się na granicy paniki Jason. - Nie - odparł. - Nie mogę go podać.

Edward Newington McAllister pochylił się nad biurkiem, podczas gdy kobieta odkładała słuchawkę. Była wyraźnie wstrząśnięta, jej orientalna twarz pobladła pod wpływem napięcia. Podsekretarz stanu odłożył słuchawkę drugiego telefonu stojącego po przeciwnej stronie biurka. W prawej ręce trzymał ołówek, a w leżącym przed nim notatniku widniał zapisany adres.

- Była pani wspianiała - powiedział poklepując kobietę po ramieniu. - Mamy. Mamy go. Przettrzymała go pani wystarczająco długo - dłużej, niż by pozwolił na to dawniej - i namiar został potwierdzony. Mamy przynajmniej budynek, a to wystarczy. Jest w hotelu.

- Mówi bardzo dobrze po chińsku. Używa raczej północnego dialektu, ale dostosowuje się do Guangdong hua. A poza tym nie uwierzył mi...

- To bez znaczenia. Obstawimy cały hotel. Wszystkie wyjścia i wejścia. To na ulicy Shek Lung.

- To za Mongkokiem, w Yau Ma Ti - powiedziała tłumaczka. - Mają tam prawdopodobnie tylko jedno wejście, przez które co rano wynoszone są śmieci.

- Muszę porozumieć się z Havillandem w szpitalu. Po co tam jechał? Nie powinien!

- Sprawiał wrażenie bardzo zaniepokojonego - stwierdziła tłumaczka.

- Ostatnie zeznania - rzekł McAllister nakręcając numer. - Ważne informacje uzyskane od umierającego. To dozwolone.

- Nie rozumiem panów. - Kobieta wstała zza biurka, a podsekretarz obszedł je dokoła i usiadł w fotelu. - Mogę wykonywać polecenia, ale panów nie rozumiem.

- Dobry Boże, zapomniałem. Musi pani teraz wyjść. To, o czym będę rozmawiał, jest ściśle tajne... Jesteśmy pani niezmiernie wdzięczni i mogę zapewnić, że otrzyma pani należną gratyfikację i jestem pewny, że także premię, ale obawiam się, że teraz muszę panią prosić o opuszczenie pokoju.

- Z przyjemnością, sir - odparła tłumaczka. - I może pan nie zaprzętać sobie głowy gratyfikacją, ale proszę uwzględnić premię. Nauczyłam się tego na wydziale ekonomii w Uniwersytecie Arizony. - Kobieta wyszła.

- Pilne, połączenie policyjne! - McAllister niemal krzyczał do telefonu. - Proszę z ambasadorem.

To sprawa nie cierpiąca zwłoki. Nie, nie trzeba podawać nazwiska, dziękuję, i proszę zaprowadzić go do telefonu, z którego będzie mógł rozmawiać na osobności. - Podsekretarz pocierał skórę na skroni coraz mocniej, wbijając w nią palce, aż wreszcie odezwał się Havilland.

- Słucham, Edwardzie?

- Zadzwoił. Udało się. Wiemy, gdzie jest. Hotel w Yau Ma Ti.

- Otoczcie go, ale nie podejmujcie żadnych działań! Conklin będzie musiał to zrozumieć. Jeżeli wyczuje coś, co uzna za cuchnącą przynętę, wycofa się. A jeżeli nie będziemy mieli żony Bourne'a, nie

dostaniemy naszego zabójcy. Na litość boską, Edwardzie, nie zawal tego! Wszystko musi być przeprowadzone precyzyjnie i bardzo, ale to bardzo delikatnie! Następnym etapem może być już tylko decyzja:

„nie do uratowania”.

- Nie przywykłem do takich słów, panie ambasadorze. W telefonie zapadła na chwilę cisza, a gdy Havilland ponownie się odezwał, jego głos był lodowaty.

- Ależ jesteś, Edwardzie. Za bardzo protestujesz, Conklin miał co do tego rację. Mogłeś powiedzieć nie na samym początku, w Sangre de Cristo w Colorado. Mogłeś odejść, ale nie zrobiłeś tego, nie mogłeś. Pod pewnymi względami jesteś podobny do mnie - nie licząc, oczywiście, moich dość przypadkowych zalet. Myślimy i kombinujemy, czerpiemy siły do życia z naszych manipulacji. Pęczniejemy z dumy przy każdym udanym posunięciu w grze ludzkimi szachami, gdzie każdy ruch może mieć dla kogoś straszliwe konsekwencje, ponieważ w coś wierzymy. To wciąga jak narkotyk i syrenie pieśni rzeczywiście oddziałują na nasze „ego”. Nasz skromny zakres władzy zawdzięczamy naszym potężnym intelektom. Przyznaj to, Edwardzie. Ja to zrobiłem. I jeżeli dzięki temu poczujesz się lepiej, powtórzę, co mówiłem poprzednio: „Ktoś to musi robić”.

- Nie mam ochoty wysłuchiwać abstrakcyjnych pouczeń - stwierdził McAllister.

- Już ich więcej ode mnie nie usłyszysz. Po prostu rób, jak powiedziałem. Obstaw wszystkie wyjścia z hotelu, ale powiadom wszystkich ludzi, żeby nie podejmowali żadnych jawnych działań. Jeżeli Bourne dokądkolwiek pójdzie, ma być dyskretnie śledzony, ale w żadnym wypadku nie wolno go tknąć. Musimy mieć tę kobietę, zanim nawiążemy z nim kontakt.

Morris Panov podniósł słuchawkę. - Słucham?

- Coś się stało. - Conklin mówił szybko i cicho. - Havilland wyszedł z poczekalni, żeby odebrać jakiś pilny telefon. Czy u was coś się dzieje?

- Nie, nic. Właśnie rozmawialiśmy.

- Martwię się. Ludzie Havillanda mogli was znaleźć.

- Dobry Boże! Jak?

- Sprawdzając w każdym hotelu w kolonii, czy nie ma tam białego, kulejącego mężczyzny.

- Przecież zapłaciłeś recepcjoniście, żeby nic nikomu nie mówii. Uprzedziłeś go, że to poufna konferencja handlowa - całkiem zwyczajna sprawa.

- Oni również mogli mu zapłacić i powiedzieć, że chodzi o poufną sprawę państwową, a to oznacza albo dużą nagrodę, albo duże kłopoty. Jak myślisz, co wybierze?

- Sądzę, że przesadzasz - zaprotestował psychiatra.

- Mam w nosie, co sądzisz, doktorze. Po prostu wynoście się stamtąd. Natychmiast. Zostawcie bagaże Marie - jeśli w ogóle jakieś ma. Znikajcie najszybciej, jak wam się uda.

- Dokąd mamy iść?

- Tam, gdzie jest dużo ludzi, ale łatwo będę mógł was znaleźć.

- Restauracja?

- Zbyt wiele lat minęło, a oni zmieniają tu nazwy co dwadzieścia minut. Hotele odpadają, zbyt łatwo je sprawdzić.

- Jeśli twoje podejrzenia są słuszne, Aleks, to tracimy zbyt wiele czasu...

- Myślę!... Dobra. Złapcie taksówkę u wylotu Nathan Road na Salisbury - masz to? Nathan i Salisbury. Zobaczycie tam hotel Peninsula, ale nie wchodźcie do niego. Droga, która prowadzi od niego na północ, nazywa się Golden Mile. Spacerujcie po niej tam i z powrotem po prawej stronie - po wschodniej stronie, ale tylko w obrębie czterech pierwszych przecznic. Znajdę was tam najszybciej, jak mi się uda.

- W porządku - odparł Panov. - Nathan i Salisbury, pierwsze cztery przecznice po prawej... Aleks, czy jesteś zupełnie pewny tego, co robisz?

- Z dwóch powodów - odparł Conklin. - Po pierwsze, Havilland nie poprosił mnie, żebym z nim poszedł i dowiedział się, co to za pilna sprawa - tego nie było w naszej umowie. A jeśli nie dotyczy to Marie i ciebie, w takim razie oznacza, że Webb nawiązał kontakt. Jeżeli tak jest istotnie, to nie mam zamiaru oddawać swojej karty przetargowej, jaką jest Marie. Bez konkretnych gwarancji. I nie ambasadorowi Raymondowi Havillandowi. A teraz wynoście się stamtąd!

Coś było nie tak! Ale co? Boume wrócił do brudnego pokoju hotelowego i stał w nogach łóżka patrząc na więźnia, który miał coraz większe drgawki, a jego wyprężone ciało reagowało gwałtownie na każdy nerwowy ruch. Co to było? Dlaczego rozmowa z telefonistką tak go zaniepokoiła? Była uprzejma i chciała mu pomóc, nawet wybaczyła mu jego obraźliwe uwagi. O co więc... I nagle stanęły mu w pamięci słowa z dawno zapomnianej przeszłości. Słowa wypowiedziane przed wieloma laty przez inną nieznaną telefonistkę. Bezosobowy, poirytowany głos.

Pytałem panią o numer telefonu irańskiego konsulatu.

Znajduje się w książce telefonicznej. Jesteśmy bardzo zajęte i nie mamy czasu na załatwianie takich spraw. Trzask. Odłożona słuchawka.

To było to! Telefonistki w Hongkongu nie bez powodu miały opinię najbardziej apodyktycznych na świecie. Nie traciły czasu, bez względu na to, jak natarczywy był klient. Intensywna praca w tym zatłoczonym, rozgorączkowanym finansowym megalopolis po prostu na to nie pozwalała. A jednak mimo to druga telefonistka miała anielską wyrozumiałość... Trudno mi coś powiedzieć o innych numerach. Jeżeli mi je pan poda, chętnie je dla pana sprawdzę... Zechce mi pan podać swój adres... Chyba że poda mi pan swój adres... Adres! I właściwie nie zastanawiając się nad pytaniem, Jason instynktownie sobie na nie odpowiedział. Nie, nie mogę go podać. Gdzieś głęboko w jego podświadomości włączył się alarm.

Ślad! Grali z nim w dwa ognie, trzymając go wystarczająco długo przy telefonie, żeby namierzyć, skąd dzwoni! Automaty telefoniczne najtrudniej było zlokalizować. Najpierw należało

ustalić rejon, następnie miejsce i dopiero potem konkretny aparat, ale i tak była to sprawa minut i ułamków minut pomiędzy pierwszym a ostatnim etapem. Czy trzymali go przy telefonie wystarczająco długo? A jeśli tak, to dokąd ich to doprowadziło? Do najbliższej okolicy? Do hotelu? Do samego automatu? Jason próbował zrekonstruować rozmowę z telefonistką - drugą telefonistką, od której rozpoczęło się namierzanie. Gorączkowo, ale z całą precyzją, na jaką było go stać, próbował odtworzyć rytm wypowiedzianych przez nich słów, ich głosów, uświadamiając sobie, że kiedy on zaczynał przyspieszać, ona zwalniała. Zajmie mi to dużo czasu... Właściwie nie, proszę pana. Przepisy dotyczące zastrzeżonych numerów są w Hongkongu bardzo surowe - wykład! Och, niech pan poczeka. Miał pan rację, na moim ekranie pojawiła się... - uspokajające wytłumaczenie, granie na czas. Czas! Jak mógł do tego dopuścić? Ile to trwało?...

Dziewięćdziesiąt sekund, najwyżej dwie minuty. Rejestrował upływ czasu w sposób instynktowny, pamiętał rytm rozmowy. Powiedzmy dwie minuty. Wystarczy namierzyć rejon, a być może także najbliższą okolicę, ale biorąc pod uwagę setki tysięcy kilometrów odgałęzień telefonicznych, najprawdopodobniej nie udało się zlokalizować konkretnego aparatu. Z jakichś niejasnych powodów odżyły w jego pamięci rozmazane kształty budek telefonicznych, kiedy to wraz z Marie biegali od jednej do drugiej po paryskich ulicach i wykonywali na ślepo nie dające się namierzyć rozmowy, w nadziei na rozszyfrowanie zagadki, jaką był Jason Bourne. Cztery minuty. Tyle czasu to zajmie, ale musimy się wynosić z tego rejonu. Do tej pory już ustalili numer.

Ludzie taipana - jeżeli w ogóle istniał ten wielki, tłusty taipan - mogli namierzyć hotel, ale było mało prawdopodobne, że umiejscowili automat telefoniczny albo piętro, na którym się znajduje. Ten dodatkowy czas mógł zadziałać na jego korzyść, pod warunkiem jednak, że on sam będzie działał szybko. Jeżeli zlokalizowano hotel, to zakładając, że myśliwi są z Hongkongu, na co wskazywałyby pierwsza cyfra numeru telefonu, dotarcie do południowego Mongkoku zajmie im trochę czasu. Kluczową sprawą w tej chwili było tempo działania. Szybko.

- Oczy będziesz miał nadal zawiązane, majorze, ale ruszamy stąd - powiedział do mordercy odwiązując knebel i linki. Zwinął je i wsunął do kieszeni kurtki komandosa.

- Co? Co powiedziałaś?

- Tak będzie lepiej - odparł Bourne, podnosząc głos. - Wstawaj. Idziemy na spacer. - Jason chwycił plecak, otworzył drzwi i sprawdził korytarz. Do pokoju po lewej stronie wszedł chwiejnym krokiem jakiś pijak i zatrzasnął za sobą drzwi. Korytarz po prawej był pusty aż do samego automatu telefonicznego i znajdującego się tuż przy nim wyjścia ewakuacyjnego. - Ruszaj - rozkazał Bourne popychając swego więźnia.

Żadne towarzystwo ubezpieczeniowe z pewnością nie zatwierdziłoby tej drogi przeciwpożarowej. Metalowe stopnie były przeżarte rdzą, a poręcze powyginane. Gdyby ktoś uciekał przed ogniem, raczej wybrałby wypełnioną dymem klatkę schodową. Skoro jednak prowadziła w dół, w ciemność i mimo wszystko się nie zawaliła, to tylko to się liczyło. Jason złapał komandosa za klapę i ciągnął go w dół po zgrzytających, metalowych stopniach do chwili, gdy znaleźli się na pierwszym podeście. Na ulicę poniżej prowadziła złamana w połowie swej długości drabinka. Od trotuaru dzieliło ją nie więcej niż dwa metry, odległość, którą łatwo można było pokonać w obie strony:

zeskakując w dół, jak również, co ważniejsze, wracając potem na górę.

- Śpij dobrze - powiedział Bourne i mimo słabego światła celnie trafił kostkami palców w kark komandosa. Morderca runął na podest, a Bourne wyciągnął sznury, przywiązał go do stopni i

poręczy, a wreszcie obciągnął poszewkę i owinął ją linką, kneblując Anglikowi usta. Nocne odgłosy Yau Ma Ti i położonego w sąsiedztwie Mongkoku z pewnością zagłuszą wszelkie okrzyki, jakie Allcott-Price mógłby wydawać, gdyby przypadkiem zdołał się sam obudzić, choć Jason bardzo w to wątpił.

Bourne zszedł po drabince, zeskoczył na chodnik wąskiej alejki na kilka sekund przed tym, jak od strony ruchliwej ulicy nadbiegli trzej młodzi ludzie. Zadyszani, przystanęli w cieniu wejścia do budynku. Jason pozostał skulony na klęczkach, mając nadzieję, że jest niewidoczny. U wylotu alejki przebiegła wydając wściekłe okrzyki druga grupa młodych ludzi. Trzej mężczyźni wyskoczyli z mroku i pognali w przeciwną stronę, uciekając przed swoimi prześladowcami. Bourne podniósł się, zbliżył do wylotu alejki, a potem odwrócił się, spoglądając na drabinkę przeciwpożarową. Sobowtóra nie było widać.

Naraz zderzył się z dwoma rozpędzonymi ciałami. Odbił się od nich i wpadł na mur. Domyślił się, że te wyrostki należały do grupy ścigającej trójkę, która ukrywała się w wejściu do budynku. Jeden z chłopaków trzymał w ręku nóż. Jason nie chciał żadnej bijatyki, nie mógł do niej dopuścić! Zanim wyrostek zorientował się, co się dzieje, Bourne skoczył do przodu, chwycił go za przegub i wykręcał mu rękę aż do chwili, gdy chłopak wrzasnął z bólu i wypuścił nóż.

- Wynocha stąd! - krzyknął Jason ostro w kantońskim dialekcie. - Wasz gang nie ma równych szans ze starszymi i lepszymi od was. Jeśli zobaczymy tu któregoś z was, wasze matki dostaną zwłoki swoich synów. Wynocha!

- Aiya

- Szukamy złodziei! Tych z północy! Oni kradną...

- Precz!

Wyrostki uciekły, znikając w ulicznym tłoku Yau Ma Ti. Bourne potrząsnął ręką, którą zabójca próbował mu zmiążyć drzwiami w hotelu. W zamieszaniu zupełnie zapomniał o bólu - był to najlepszy sposób na jego przewycięzenie.

Podniósł głowę usłyszawszy dźwięk - dźwięki. Dwa ciemne samochody nadjechały z pełną prędkością Shek Lung Street i zatrzymały się przed hotelem. Na pierwszy rzut oka można się było zorientować, że są to służbowe pojazdy. Jason obserwował z niepokojem wysiadających z nich mężczyzn - dwóch z pierwszego, trzech z drugiego.

O, Boże, Marie! Przegrywamy! Zabiłem nas... O Boże.. zabiłem nas!

Spodziewał się, że pięciu mężczyzn wpadnie do hotelu, aby wypytać recepcjonistę, zając pozycje i rozpocząć działania. Dowiedzą się, że nikt nie widział, by goście z pokoju 301 opuszczali hotel, a więc najprawdopodobniej są wciąż na górze. W ciągu minuty włamią się do pokoju, drogę przeciwpożarową odkryją parę sekund później. Co może zrobić? Czy ma wspiąć się ponownie na górę, oswobodzić zabójcę, sprowadzić go na alejkę i uciec? Musi to zrobić! Zanim popędził w stronę drabinki, spojrzął jednak jeszcze raz w stronę hotelu.

I zatrzymał się. Działo się coś dziwnego, coś nieoczekiwanego, zupełnie nieoczekiwanego. Jeden z mężczyzn z pierwszego samochodu zdjął marynarkę - swój urzędowy strój - i rozluźnił krawat. Następnie rozczochrał sobie włosy i ruszył - chwiejnym krokiem? - w stronę wejścia do nędznego hotelu. Jego czterej towarzysze oddalali się od samochodów spoglądając w górę na okna. Dwóch szło w prawo, a dwóch w lewo w stronę wylotu zaułka - w jego stronę! Co się tu dzieje? Ci ludzie nie postępowali tak, jakby działali oficjalnie. Zachowywali się jak przestępcy, jak mafiosi,

k którzy osaczają ofiarę, ale nie chcą, by im ją później przypisywano, którzy zastawiają pułapkę z czyjegoś polecenia, nie dla siebie. Dobry Boże, czyżby Aleks Conklin mylił się wtedy na waszyngtońskim lotnisku Dullesa?

Graj według scenariusza. To jest rzeczywiste i jest tutaj. Rozgrywaj to. Stać cię na to. Delta!

Nie ma czasu. Nie ma czasu na to, by myśleć dłużej. Nie może tracić drogocennych chwil na zastanawianie się, czy istnieje, czy też nie istnieje wielki, tłusty taipan, zbyt operatywny, by był prawdziwy. Dwaj mężczyźni idący w jego kierunku spostrzegli alejkę. Zaczęli biec w tę stronę - w stronę „towaru”, w stronę zniszczenia i śmierci - wszystkiego, co było dla Jasona cenne na tym parszywym świecie. Świecie, który chętnie by porzucił, gdyby nie Marie.

Sekundy mijały porozbijane na milisekundy zaplanowanej przemocy, na którą się natychmiast zdecydował. Dawid Webb został uciszony i znowu Jason Bourne objął niepodzielnie dowództwo. Odejść ode mnie! Tylko to nam pozostało!

Pierwszy mężczyzna upadł z połamanymi żebrami, pozbawiony głosu uderzeniem w gardło. Drugiego Jason potraktował łagodniej. Ten człowiek musiał być w pełni świadomy tego, co nastąpi. Bourne zawlókł obu w najgłębszy mrok, porozcinał im ubrania nożem, a potem związał nogi, ręce i zakneblował usta paskami materiału z ich własnej odzieży.

Jason przycisnął kolanami do ziemi ramiona drugiego mężczyzny, przyłożył mu ostrze noża do skóry pod lewym oczodołem i przekazał jeńcowi swoje ultimatum:

- Gdzie jest moja żona? Gadaj! W przeciwnym razie stracisz najpierw jedno oko, a potem drugie! Potnę cię na kawałki, możesz mi wierzyć, Zhongguo ren\ - Wyrwał mu knebel z ust.

- Nie jesteśmy twoimi wrogami, Zhangfu - wrzasnął Chińczyk po angielsku, dodając słowo, które po chińsku oznaczało męża. - Próbowaliśmy ją znaleźć! Szukaliśmy wszędzie!

Jason patrzył na niego. Nóż w jego ręku drżał, w skroniach mu tętniło, jego własna galaktyka znalazła się na granicy eksplozji, z niebios lunął deszcz ognia i niewyobrażalnego bólu.

- Marie! - krzyknął z rozpaczą. - Co z nią zrobiliście? Otrzymałem gwarancje! Po dostarczeniu towaru miałem odzyskać moją żonę! Miałem usłyszeć jej głos przez telefon, ale telefon nie działał! Zamiast tego wysłędzono, skąd dzwonię i nagle zjawiliście się wy, a nie moja żona! Gdzie ona jest?!

- Gdybyśmy wiedzieli, byłaby tu razem z nami.

- Kłamca! - krzyknął Bourne.

- Ja nie kłamię i nie powinien mnie pan zabijać za to, że nie kłamię. Uciekła ze szpitala...

- Szpitala?

- Była chora. Lekarz nalegał. Byłem tam, przed jej pokojem i pilnowałem jej! Była osłabiona, ale uciekła...

- O, Chryste! Chora! Słaba? Sama w Hongkongu? Mój Boże, zabiliście ją.

- Nie, sir! Mieliśmy rozkaz zadbać o jej wygodę...

- Taki mieliście rozkaz - rzekł Jason Bourne zimnym, twardym głosem. - Ale nie był to rozkaz waszego taipana. On słuchał innych rozkazów, rozkazów, które wydano wcześniej w Zurychu, Paryżu i na Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy w Nowym Jorku. Byłem tam - byliśmy tam. A teraz zabiliście ją. Wykorzystaliście mnie, tak jak wykorzystywaliście mnie poprzednio i kiedy uznaliście, że wszystko

się skończyło, zabraliście mi ją. Czymże jest „śmierć jeszcze jednej córki”? Najważniejsze jest milczenie. - Jason gwałtownie chwycił twarz mężczyzny lewą ręką, unosząc nóż w prawej. - Kim jest ten tęgi mężczyzna? Powiedz mi albo dostaniesz nożem! Kim jest taipan?

- On wcale nie jest taipanem! To oficer, który uczył się i szkolił w Wielkiej Brytanii, człowiek, którego wszyscy tu szanują. Współpracuje z pańskimi rodakami, z Amerykanami. Pracuje w wywiadzie.

- Jestem tego pewien... Od samego początku wszystko wyglądało tak samo. Tylko że tym razem nie był to Szakał, ale ja. Przesuwano mnie po szachownicy do chwili, kiedy nie miałem innego wyboru, jak zacząć polować na samego siebie - na przedłużenie samego siebie, człowieka, który nazywa się Bourne. „A kiedy go sprowadzi, zabijcie go. Zabijcie ją. Za dużo wiedzą”.

- Nie! - zawołał Chińczyk. Twarz miał mokrą od potu i szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się w ostrze wbijające się w jego ciało. - Powiedziano nam niewiele, ale nie słyszałem nic takiego, o czym pan mówi!

- Wobec tego, co tu robicie? - spytał ostro Jason.

- Mieliśmy tylko obserwować, przysięgam! I nic więcej!

- Dopóki nie zjawią się likwidatorzy? - stwierdził lodowatym tonem Bourne. - Żeby twój trzyczęściowy garniturek pozostał czysty, żeby nie było plam krwi na twojej koszuli ani żadnych śladów prowadzących do tych ludzi bez twarzy i nazwisk, dla których pracujesz.

- Myli się pan! Nie jesteśmy tacy, nasi zwierzchnicy też nie są tacy!

- Mówiłem ci, że już przez to przeszedłem. Jesteś taki sam, wierz mi... A teraz coś mi powiesz. Cokolwiek to jest, jest to paskudne, brudne i całkowicie bezpieczne. Nikt nie prowadzi operacji takiej jak ta bez zakonspirowanej bazy. Gdzie to jest?

- Nie rozumiem pana.

- Dowództwo albo Baza Numer Jeden, albo zakonspirowany dom, albo tajny Ośrodek Dowodzenia... nie obchodzi mnie, jak to, u diabła, nazwiesz. Gdzie to jest?

- Proszę, nie mogę...

- Możesz. I powiesz. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz ślepy, bo ci wydłubię oczy. Już!

- Mam żonę i dzieci!

- Ja też. Remis. Tracę cierpliwość. - Jason przerwał, minimalnie zmniejszając nacisk na ostrze. - Poza tym jeżeli jesteś tak pewny, że masz rację... że twoi przełożeni nie są tacy, za jakich ich uważam, to w czym problem? Może zdołamy dojść do porozumienia.

- Tak! - krzyknął przerażony mężczyzna. - Porozumienie! To dobrzy ludzie. Nie zrobią panu krzywdy!

- Nie będą mieli szansy - szepnął Bourne.

- Słucham, sir?

- Nic. Gdzie to jest? Gdzież jest ten ustronny ośrodek dowodzenia? Już!

- Victoria Peak! - powiedział zmartwiały z przerażenia pracownik wywiadu. - Dwunasty dom po prawej stronie, otoczony wysokim murem...

Bourne wysłuchał opisu zakonspirowanego domu, spokojnej, strzeżonej posiadłości, położonej między innymi posesjami w zamożnej dzielnicy. Usłyszał to, co chciał usłyszeć, i nie potrzebował już nic więcej. Rąbnął mężczyznę w głowę ciężką, rogową rękojeścią, umieścił ponownie knebel w jego ustach i wstał. Spojrzał w górę na drabinkę przeciwpożarową i słabo widoczny zarys ciała sobowtóra.

Chcieli mieć Jasona Bourne'a i byli gotowi posunąć się do zabójstwa, żeby go zdobyć. Dostaną dwóch Jasonów Bourne'ów i zginą za swoje kłamstwa.

ROZDZIAŁ 31

Ambasador Havilland spotkał Conklina w korytarzu szpitalnym, w pobliżu dyżurki policyjnej. Decyzja dyplomaty, aby przeprowadzić rozmowę z człowiekiem z CIA w tym ruchliwym, jasnym korytarzu, podyktowana została faktem, że było to miejsce ruchliwe - pielęgniarki i salowe, lekarze i specjaliści przechodzili tędy nieustannie, naradzając się ze sobą i odbierając telefony, które nie przestawały dzwonić. W tych warunkach było mało prawdopodobne, aby Conklin pozwolił sobie na głośny, ostry spór. Dyskusja mogła być pełna oskarżeń, lecz spokojna; ambasador mógł w takich okolicznościach więcej zdziałać dla sprawy.

- Bourne nawiązał kontakt - rzekł Havilland.

- Wyjdźmy na zewnątrz - powiedział Conklin.

- Nie możemy - stwierdził dyplomata. - Lin jest w bardzo ciężkim stanie, ale może za chwilę będziemy mogli się z nim zobaczyć. Nie wolno nam stracić tej okazji, a lekarz wie, że tu jesteśmy.

- Wejdźmy więc z powrotem do środka.

- W dyżurce jest pięciu innych ludzi. Chyba panu nie mniej niż mnie zależy na tym, aby nas nie podsłuchiwano.

- Chryste! Boi się pan o swój tyłek, co?

- Muszę myśleć o nas wszystkich. Nie o jednym czy drugim, ale o wszystkich!

- Czego pan ode mnie chce?

- Kobiety, oczywiście. Wie pan o tym.

- Oczywiście, wiem. Co jest mi pan gotów zaoferować?

- O, Boże, Jasona Bourne'a!

- Chcę Dawida Webba. Chcę męża Marie. Muszę się dowiedzieć, że żyje i że jest bezpieczny w Hongkongu. Chcę go zobaczyć na własne oczy.

- To niemożliwe.

- Niech mi pan lepiej powie dlaczego.

- Zanim się ujawni, chce rozmawiać ze swoją żoną przez trzydzieści sekund. Taka jest umowa.

- Powiedział pan przed chwilą, że to on nawiązał kontakt!

- Tak. Nie mogliśmy tego zrobić bez Marie Webb.

- Pokonaliście mnie - rzekł Conklin ze złością.

- On postawił swoje własne warunki, nie różniące się w zasadzie od pańskich. Obaj byliście...

- Co to były za warunki? - przerwał człowiek z CIA.

- Gdyby zatelefonował, oznaczałoby to, że ma oszusta, to była umowa dwustronna.

- Jezu! Dwustronna?

- Obie strony na to przystały.

- Wiem, co to oznacza! Wpychacie mnie w otchłań, to wszystko.

- Niech pan mówi ciszej... Jego warunek był taki, że jeżeli w ciągu trzydziestu sekund nie przyprowadzimy jego żony, to ten, kto będzie przy telefonie, usłyszy wystrzał, oznaczający, że morderca nie żyje, że Bourne go zabił.

- Dobry stary Delta. - Na ustach Conklina pojawił się nikły uśmiech. - Nigdy nie tracił okazji zastawienia pułapki. Przypuszczam, że miał jeszcze jakieś dodatkowe wymagania, zgadza się?

- Tak - przyznał Havilland ponuro. - Miejsce wymiany ma być ustalone wspólnie...

- Nie dwustronnie?

- Niech się pan przymknie!.. Będzie mógł wówczas zobaczyć swoją żonę idącą samą i o własnych siłach. Gdy to go zadowoli, wyjdzie razem ze swoim więźniem, którego będzie prawdopodobnie trzymał pod strzałem, i wymiana dojdzie do skutku. Od pierwszego kontaktu do dokonania wymiany wszystko ma się odbyć w ciągu kilkunastu minut, najwyżej pół godziny.

- W rytmie marsza, gdzie nikt nie wykona żadnego zbędnego kroku - przytaknął Conklin. - Jeżeli mu nie odpowiedzieliście, to skąd wiecie, że nawiązał kontakt?

- Lin zablokował numer telefonu i uruchomił drugie połączenie z Yictoria Peak. Bourne'owi powiedziano, że linia chwilowo nie działa, a gdy usiłował to sprawdzić - co w tym wypadku musiał zrobić - został połączony z Victoria Peak. Trzymaliśmy go na linii wystarczająco długo, aby namierzyć automat telefoniczny, z którego dzwonił. Wiemy, gdzie jest. Nasi ludzie są teraz w drodze, mają rozkaz pozostać w ukryciu. Jeżeli on coś wyczuje lub zauważy, zabije ich.

- Trop? - Aleks wpatrywał się w twarz dyplomaty niezbyt życzliwie. - I on pozwolił się wciągnąć w tę długą rozmowę?

- Jest w stanie skrajnego podniecenia, na to liczyliśmy.

- Webb, możliwe - stwierdził Conklin - ale nie Delta. Nie wtedy, kiedy o tym myśli.

- Będzie dzwonił - upierał się Havilland. - Nie ma wyboru.

- Może tak, a może nie. Ile czasu minęło od jego ostatniego telefonu?

- Dwanaście minut - odrzekł ambasador spoglądając na zegarek.

- A od pierwszego?

- Około pół godziny.

- I za każdym razem, kiedy dzwoni, pan o tym wie?

- Tak. Informacja jest przekazywana do McAllistera.

- Niech pan zadzwoni i dowie się, czy Bourne telefonował jeszcze raz.

- Czemu?

- Ponieważ, jak pan to ujął, znajduje się w stanie skrajnego podniecenia i będzie dzwonił nadal. Nie może nad sobą zapanować.

- Co pan usiłuje przez to powiedzieć?

- Że być może popełniliście błąd.

- Gdzie? W jaki sposób?

- Tego nie wiem, ale znam Deltę.

- Co mógłby zrobić, gdyby nie dotarł do nas?

- Zabijać - skwitował Aleks.

Havilland odwrócił się, rozejrzał po załoczonemu korytarzu i ruszył w stronę recepcji. Powiedział parę słów do pielęgniarki; skinęła głową. Podniósł słuchawkę. Rozmawiał krótko. Wrócił do Conklina niezadowolony.

- To dziwne - zauważył. - McAllister ma podobne odczucia jak pan. Edward przypuszczał, że Bourne będzie dzwonił co pięć minut, skoro czekał już tak długo.

- Tak?

- Dano mu do zrozumienia, że linia telefoniczna może zacząć działać lada moment. - Ambasador pokręcił głową z niedowierzaniem. - Wszyscy jesteśmy zbyt spięci. Wytłumaczenia mogą być różne - od monet do automatu aż po rozstrój żołądka włącznie.

W drzwiach dyżurki ukazał się brytyjski lekarz.

- Panie ambasadorze?

- Co z Linem?

- To nadzwyczajny człowiek. To, przez co przeszedł, zabiłoby prawdopodobnie konia, ale przecież nie ustępuje mu prawie wielkością, a poza tym zwierzę nie wykazuje takiej woli życia.

- Czy możemy go zobaczyć?

- To nie miałoby sensu, jest nadal nieprzytomny. Budzi się co pewien czas, ale nic nie kojarzy. Każda minuta odpoczynku, gdy jego stan się nie zmienia, daje nadzieję.

- Rozumie pan chyba, jakie to ważne, byśmy z nim porozmawiali.

- Tak, panie Havilland. Może nawet bardziej, niż się panu wydaje. Wie pan o tym, że to ja ponoszę winę za ucieczkę tej kobiety...

- Wiem - przyznał dyplomata. - Mówiono mi też, że jeśli udało jej się pana oszukać, znaczy to, że oszukała najlepszego specjalistę w Klinice Mayo.

- Wątpliwe, choć miło mi słyszeć, że jestem fachowcem. Niestety, czuję się idiotycznie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc panu i memu przyjacielowi majorowi Linowi. To ja postawiłem diagnozę, ja popełniłem błąd, nie on. Jeżeli przeżyje następną godzinę, jest szansa, że będzie żył. W takim przypadku przywiozę go do panów i będziecie mogli go pytać, pod warunkiem jednak, że pytania będą krótkie i proste. Jeżeli uznam, że jego stan się pogarsza, również panów zawiadomię.

- W porządku, doktorze. Dziękujemy.

- Nie mógłbym tego nie zrobić, bo tego właśnie oczekiwaliśmy ode mnie Wenzu. Pójdę teraz do niego.

Zaczął się oczekiwanie. Havilland i Aleks Conklin osiągnęli porozumienie. Gdyby Bourne ponownie usiłował połączyć się z Damą / Wężem, należało mu powiedzieć, że linia będzie odblokowana za dwadzieścia minut. W tym czasie Conklin dostanie się do zakonspirowanego domu

na Yictoria Peak i będzie czekał na telefon. Ustali warunki wymiany i powie Dawidowi, że Marie jest bezpieczna, pod opieką Morrisa Panova. Dwaj mężczyźni wrócili do dyżurki policyjnej i usiedli naprzeciw siebie. Każda minuta ciszy potęgowała napięcie.

Minuty przeciągnęły się jednak w kwadrans, a te w przeszło godzinę. Ambasador łączył się z Peak trzy razy, aby sprawdzić, czy Jason Bourne się odezwał. Nie odezwał się. Dwa razy wyszedł angielski lekarz, aby powiadomić ich o stanie Wenzu. Nie zmieniał się, co było raczej optymistyczne. Raz zadzwonił telefon w dyżurce. Głowy obu mężczyzn gwałtownie zwróciły się w kierunku aparatu, oczy znieruchomiały na pielęgniarce, która spokojnie podniosła słuchawkę. Telefon nie był do ambasadora. Napięcie między obu mężczyznami rosło. Co pewien czas spoglądali na siebie, a w ich oczach pojawiał się ten sam wyraz. Coś było nie w porządku. Coś wymknęło się spod kontroli. Wyszedł lekarz Chińczyk i zbliżył się do dwojga ludzi w końcu sali - młodej kobiety i duchownego. Coś do nich po cichu powiedział. Kobieta krzyknęła, zaczęła płakać i opadła w ramiona księdza. Kolejna wdowa po policjancie. Poprowadzono ją, aby po raz ostatni pożegnała się z mężem.

Cisza.

Telefon odezwał się znowu. I znowu dyplomata i człowiek z CIA wpatrzyli się w pulpit.

- Panie ambasadorze - odezwała się pielęgniarka - to do pana. Ten pan mówi, że bardzo pilne.

Havilland wstał, podszedł spiesznie do biurka dziękując pielęgniarce skinieniem głowy i wziął słuchawkę do ręki.

Cokolwiek to było, stało się. Conklin obserwował, nigdy nie przypuszczając, że ujrzy to, co teraz widział. Zawsze bez zarzutu twarz dyplomaty nagle stała się szara; jego wąskie, zwykle napięte usta otworzyły się, ciemne brwi wygięły się w łuk nad szeroko otwartymi, zapadniętymi oczami. Odwrócił się i przemówił do Aleksa ledwo słyszalnym głosem, szeptem dławionym przez strach.

- Bourne uciekł. Oszust uciekł. Dwóch ludzi odnaleziono związanych i ciężko rannych. - Odwrócił się, by dokończyć przerwana rozmowę, a jego oczy zwęziły się, gdy słuchał. - O, Boże! - zawołał zwracając się znowu do Conklina. Conklina tam nie było.

Dawid Webb zniknął, został Jason Bourne. Jason Bourne, który był jednocześnie czymś więcej i czymś mniej aniżeli łowca Carlosa Szakala. Był Deltą, drapieżnym zwierzęciem pragnącym tylko zemsty za odebraną mu powtórnie bezcenną część jego życia. Jak mściwy drapieżnik działał w ustalonym tempie z instynktowną logiką, w stanie zbliżonym do transu, kiedy każda decyzja jest precyzyjna, a każdy ruch niesie śmierć. Oczy śledziły ofiarę, a ludzki umysł stał się zwierzęcy.

Przemierzał brudne ulice Yau Ma Ti, ciągnąc za sobą więźnia ze skrępowanymi wciąż nadgarstkami, znajdował to, co chciał znaleźć, płacąc tysiące dolarów za rzeczy warte zaledwie ułamek płaconej sumy. Do Mongkoku dotarła wieść o dziwnym człowieku i jego jeszcze dziwniejszym, cichym towarzyszu, skrępowanym i drżącym o swoje życie. Niektóre drzwi otwierały się przed nim, drzwi zarezerwowane dla zbiegłych przemytników - narkotyki, sprzedawane za granicę dziwki, klejnoty, złoto oraz środki niszczenia, oszustwa i śmierci - a wieści o nim towarzyszyły wyolbrzymione przestrogi przed tym opętanym człowiekiem, którego osoba warta była tysiące.

Jest maniakiem, jest biały i zabija szybko. Podobno tym dwóm, którzy byli wobec niego nieuczciwi, rozpruto gardła. Mówi się, że jakiś Zhongguo ren został zastrzelony, bo oszukał na dostawie. Jest szalony. Daj mu to, czego chce. Płaci gotówką. Kto by się przejmował? To nie nasz kłopot. Niech przyjdzie. Niech odejdzie. Po prostu weź jego pieniądze.

Zanim nadeszła północ, Delta zdobył narzędzia potrzebne do jego morderczego zajęcia. Osiągnięcie powodzenia było teraz najważniejsze w umyśle meduzyjczyka. Musiał odnieść sukces. Ofiara była teraz wszystkim.

Gdzie jest Echo? Potrzebował Echa. Drogi Echo był jego dobrym, szczęśliwym duchem.

Echo nie żyje, zabity obrzędowym mieczem przez szaleńca w pełnym spokoju lesie wśród ptaków. Wspomnienia.

Echo. Marie.

Zabiję ich za to, co wam zrobili!

W Mongokoku zatrzymał rozgruchotaną taksówkę i pokazując szoferowi pieniądze, kazał mu wysiadać.

- Tak, co jest, panie? - zapytał człowiek łamaną angielszczyzną.

- Ile jest wart twój samochód? - powiedział Delta.

- Nie rozumieć.

- Ile? Pieniądze? Za twój samochód!

- Ty fengkuang!

- Bul - krzyknął Delta, dając do zrozumienia kierowcy, że nie postradał zmysłów. - Ile chcesz za swój samochód? - ciągnął dalej po chińsku. - Jutro rano możesz powiedzieć, że go ukradli. Policja go odnajdzie.

- To moje jedyne źródło utrzymania, a ja mam dużą rodzinę! Pan jest szalony!

- Cztery tysiące, amerykańskich?

- Aiya. Wziąć to!

- Kuai! - rzekł Jason, każąc mężczyźnie pospieszyć się. - Pomóż mi z tym chorym. On ma drgawki i musi być przywiązany, żeby się nie poranił.

Właściciel taksówki widząc banknoty w ręku Bourne'a, pomógł mu wrzucić zabójcę na tylne siedzenie i przytrzymał go, gdy człowiek z „Meduzy” obwiązywał nylonową linką kostki, kolana i łokcie komandosa, ponownie knebłował mu usta i zawiązywał oczy paskami materiału pochodzącymi z taniej hotelowej poszewki. Nie rozumiejąc, o czym mówili - a właściwie krzyczeli po chińsku - więzień mógł stawiać jedynie bierny opór. Nie była to tylko kara nałożona na jego przeguby, jaką odczuwał przy każdym ruchu wyrażającym sprzeciw, było to coś, co dostrzegł, gdy przyglądał się człowiekowi, który go pojmał. W Jasonie Bournie dokonała się zmiana, znalazł się w innym świecie, w świecie dużo mroczniejszym. Zabójstwo kryło się w coraz dłuższych okresach milczenia meduzyjczyka. Było w jego oczach.

Jadąc zatłoczonym tunelem z Koulunu na wyspę Hongkong, Delta przygotowywał się do ataku, wyobrażał sobie przeszkody, jakie napotka, przywoływał z pamięci możliwe sposoby przeciwdziałania, które mogły być przydatne. Wszystko to było nadmiernie przesadne przygotowywał się jednak na najgorsze.

Zrobił to samo w dżungli Tam Quan. Nie było niczego, czego nie brałby pod uwagę, i wyprowadził ich wszystkich - wszystkich oprócz jednego. Kawalka śmiecia, człowieka bez duszy,

który chciał tylko jednego - złota; zdrajcy, którzy za niewielką nagrodę sprzedałyby życie swoich towarzyszy. To tam wszystko się zaczęło. W dżungli Tam Quan. Delta zlikwidował śmiecia, przestrzelił mu kulą skroń, gdy tamten przekazywał Wietkongowi przez radio informację o ich położeniu. Ten śmieć to człowiek z „Meduzy” - Jason Bourne, pozostawiony, aby zgnić w dżungli. To on był początkiem szaleństwa. Jednak Delta wyprowadził ich wszystkich, również swego brata, którego nie pamięta. Przeprowadził ich przez dwa tysiące mil na terytorium nieprzyjaciela, ponieważ przestudiował przedtem prawdopodobieństwa i mógł wyobrazić sobie fakty nieprawdopodobne - te ostatnie o wiele bardziej istotne dla ich ucieczki, bo rzeczywiście się zdarzyły, a jego umysł przygotowany był na niespodzianki. Teraz było to samo. Dom na Victoria Peak nie mógł być taką zasadzką, której on by nie pokonał. Na śmierć trzeba odpowiedzieć śmiercią.

Ujrzał wysokie mury otaczające budowlę i minął je nie zwracając na pozór większej uwagi - powoli, jak mógłby to uczynić gość lub turysta, niepewny kierunku, pojechał dalej wzdłuż okazałej drogi. Dostrzegł szkło ukrytych reflektorów, zauważył drut kolczasty rozciągnięty gęsto nad murem. Wypatrzył dwóch strażników w głębi ogromnej bramy. Znajdowali się w cieniu, lecz ich polowe mundury piechoty morskiej połyskiem zdradzały swój kolor - to niewłaściwe:

materiał powinien być bardziej matowy lub też należało wybrać strój o mniej militarnym charakterze. Wysoki mur kończył się w tym miejscu, to był róg ogrodzenia; z prawej strony kamienna ściana ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Dla wprawnego wzroku dom był zakonspirowaną bazą. Dla kogoś nie wtajemniczonego był najwyraźniej rezydencją wysoko postawionego dyplomaty, może ambasadora, który wymagał ochrony ze względu na niespokojne czasy. Terroryzm czaił się wszędzie, chwymano zakładników, środki bezpieczeństwa były nakazem chwili. O zmierzchu podawano koktajle wśród cichych śmiechów elity, która decydowała o losach rządów, lecz na zewnątrz w ciemnościach czekała przygotowana do strzału broń. Delta to rozumiał. Dlatego zabrał ze sobą swój pękaty plecak.

Wyjechał swym sponiewieranym samochodem z pobocza. Nie było potrzeby go ukrywać. Nie będzie wracał. Nie zależało mu na tym, by wrócić. Nie było Marie i wszystko się skończyło. Jakiegokolwiek były kolejne etapy jego życia - były skończone. Dawid Webb. Delta. Jason Bourne. To była przeszłość. Chciał tylko spokoju. Ból przekroczył granice jego wytrzymałości. Spokój. Ale najpierw musi zabić. Swoich wrogów. Wrogów Marie. Wrogów wszystkich ludzi, gdziekolwiek się znajdują, którzy są sterowani przez bezimiennych manipulatorów bez twarzy. Wszyscy oni dostaną nauczkę. Oczywiście niewielką nauczkę, jako że znawcy udzielą odpowiednich wyjaśnień, które będą możliwe do przyjęcia dzięki zawiłym słowom i zafałszowanym półprawdom. Kłamstwa. Odrzuć wątpliwości, wyklucz pytania, czuj się znieważony, tak jak czują się ludzie, i podążaj, aż zabrzmiały werble pojednania. Celem jest wszystko, nieważni gracze to tylko konieczne cyfry w śmiertelnych równaniach. Wykorzystaj ich, wyciśnij, zabij, jeżeli będziesz musiał. Wykonaj to, ponieważ my tak mówimy. My rozumiemy - inni nie. Nie zadawaj nam pytań. Nie masz dostępu do naszej wiedzy.

Jason wyskoczył z samochodu, otworzył tylne drzwi i nożem przeciął więzy krępujące nogi zamachowca. Zdjął mu z oczu opaskę, knebla nie ruszał. Chwycił więźnia za ramię i...

Cios był paraliżujący! Zabójca obrócił się w miejscu, jego prawe kolano huknęło Bourne'a w lewą nerkę, a w chwili gdy Delta się wygiął, związane ręce wylądowały mu na gardle. Drugie kolano trafiło Bourne'a w klatkę piersiową; upadł na ziemię, a komandos puścił się drogą. Nie. To nie może się stać! Potrzebuję jego karabinu, jego ognia. To jest częścią mojej strategii.

Delta podniósł się i z rozsadzającym piersi i bok bólem rzucił się w pogoń za biegnącą drogą sylwetką. Za parę sekund morderca zniknie w ciemnościach! Człowiek z „Meduzy” biegł szybciej,

zapomniałszy o bólu, a funkcjonująca jeszcze część jego umysłu skoncentrowana była wyłącznie na zabójcy. Szybciej, szybciej! Nagle u podnóża góry rozbłysły reflektory oświetlając postać uciekiniera. Komandos rzucił się w bok, aby uniknąć światła. Bourne do ostatniej chwili trzymał się prawej strony drogi, wiedząc, że w czasie gdy przejeżdża tamtędy samochód, jego odległość od przeciwnika zmniejsza się o cenne metry. Mając unieruchomione ręce oszust potknął się o niewielki występ na drodze, jednak wyczołgał się szybko na asfalt, stanął na nogi i znowu zaczął biec. Ale było za późno. Ramię Deltę opadło na kark więźnia, obaj mężczyźni zwalili się na ziemię. Gardłowe krzyki komandosa były rykami zwierzęcia opętanego pasją. Jason obrócił mordercę na plecy i brutalnie przycisnął mu brzuch kolanem.

- Słuchaj, ty wyrzutku! - mówił bez tchu, a pot spływał mu po twarzy. - To, czy zginiesz, czy nie, jest dla mnie bez znaczenia. Za parę minut nie będziesz mnie w ogóle obchodził, ale do tego czasu jesteś częścią planu, mojego planu! Czy umrzesz później, będzie już zależało od ciebie, nie ode mnie. Daję ci szansę, która jest czymś więcej, niż ty kiedykolwiek zrobiłeś dla człowieka, na którego polowałeś. Teraz wstawaj! Rób wszystko, co ci każę, bo inaczej twoja szansa zostanie zdmuchnięta razem z twoją głową - dokładnie to im obiecałem.

Zatrzymali się znowu przy samochodzie. Delta podniósł swój plecak, wyjął strzelbę, którą zdobył w Pekinie, i wyciągnął ją w stronę komandosa.

- Błagałeś mnie o broń na lotnisku w Jinan, pamiętasz? - Morderca skinął głową, jego oczy były szeroko otwarte, a w rozciągniętych ustach tkwił szmaciany knebel. - Jest twoja - ciągnął Jason Bourne matowym, obojętnym głosem. - Kiedy znajdziemy się za tamtym murem - a ty będziesz szedł przede mną - dam ci ją. - Zabójca zmarszczył brwi, jego oczy zwęziły się. - Zapomniałem - rzekł Delta. - Nie mogłeś zobaczyć. Jest tam dobrze strzeżony dom, niecałe dwieście metrów stąd, idąc wzdłuż tej drogi. Pójdziemy tam. Ja zostanę na zewnątrz i wyciągnę stamtąd, kogo będę mógł. A ty? Masz dziewięć naboń, dostaniesz jeszcze coś. Jedną „bombkę”. - Meduzyjczyk wyjął z plecaka ładunek plastiku i pokazał go swemu więźniowi. - Tak jak ja to widzę, nigdy nie wydostaniesz się z powrotem przez mur, oni cię wykończą. I tak możesz się wydostać tylko przez bramę, to będzie gdzieś w prawo na skos. Żeby tam dotrzeć, będziesz musiał torować sobie drogę bronią. Zapalnik czasowy na plastiku można nastawić na minimum dziesięć sekund. Radź sobie z tym, jak chcesz. Nie obchodzi mnie to. Capiśce?

Zabójca podniósł związane ręce, a następnie wskazał na knebel. Wydając tłumione jęki dawał Jasonowi do zrozumienia, że powinien uwolnić jego ręce i usunąć tampon.

- Przy murze - powiedział Delta. - Kiedy będę gotowy, przetnę ci te liny. Ale kiedy już to zrobię, gdybyś spróbował usunąć knebel, zanim ci pozwolę, będzie po twojej szansie. - Zabójca popatrzył na niego i skinął głową.

Jason Bourne i morderca samozwaniec poszli drogą na Victoria Peak w kierunku zakonspirowanego domu.

Conklin kuśtykając zbiegał po schodach szpitala najszybciej jak mógł, trzymając się środkowej poręczy i gorączkowo rozglądając się po podjeździe za taksówką. Nie było żadnej. Zamiast niej zobaczył pielęgniarkę w fartuchu, która stojąc samotnie czytała South China Times korzystając z oświetlenia nad drzwiami wejściowymi. Co pewien czas wzrok jej kierował się w stronę wjazdu na parking.

- Przepraszam panią - wysapał z trudem Aleks. - Czy mówi pani po angielsku?

- Trochę - odpowiedziała kobieta, najwyraźniej zauważając jego ułomność i podniecony głos. -

Czy ma pan jakieś trudności?

- Wiele trudności. Muszę znaleźć taksówkę. Muszę natychmiast do kogoś dotrzeć, a nie mogę załatwić tego telefonicznie.

- Wezwą taksówkę dla pana z recepcji. Wzywają co wieczór dla mnie, kiedy wychodzę.

- Pani czeka?...

- Właśnie nadjeżdża - rzekła kobieta, gdy zbliżające się światła reflektorów pojawiły się przy wjeździe na parking.

- Proszę pani! - krzyknął Conklin. - To jest pilne. Człowiek umiera, a inny może umrzeć, jeżeli się do niego nie dostanę. Proszę! Czy mógłbym...

- Bie zhaoji - krzyknęła kobieta, prosząc, aby się uspokoił. - Panu się spieszy. Mnie nie. Niech pan weźmie moją taksówkę. Sprowadzę sobie inną.

- Dziękuję - rzekł Aleks, gdy taksówka zatrzymała się przy krawężniku. - Dziękuję! - dodał otwierając drzwi i wsiadając do samochodu. Kobieta uprzejmie skinęła głową i wzruszyła ramionami odwracając się, by wejść z powrotem po schodach. Szklane drzwi na górze otworzyły się szeroko i Conklin widział przez tylną szybę, jak kobieta omal nie zderzyła się z dwoma ludźmi Lina. Jeden z nich zatrzymał ją i coś do niej mówił, drugi dobiegł do krawężnika i zmrużył oczy wpatrując się w ciemność.

- Pospiesz się - powiedział Aleks do kierowcy, gdy przejeżdżali przez bramę. - Kuai yidiar, jeżeli wyrażam się poprawnie.

- Zrobię to - odparł taksówkarz płynną angielszczyzną. - ffurry brzmi jednak lepiej.

Nathan Road stanowiła iście galaktyczny wjazd do mieniącego się barwami świata, jakim była Golden Mile. Jaskrawo kolorowe światła, światła, które tańczyły, mrugały i iskrzyły się na murach tej zatłoczonej, miejskiej doliny ludzkości, gdzie kupujący wciąż czegoś poszukiwali, a handlarze krzykiem zachwalali swe towary. Był to bazar bazarów, z dziesiątkami języków i dialektów przekrzykujących się nawzajem, z nieustannie płynącymi tłumami ludzi. Tutaj właśnie, w tym zakątku handlowego zgiełku, Aleks Conklin wysiadł z taksówki. Mimo bólu - kalectwo dawało mu się we znaki, żyły na nodze pozbawionej stopy nabrzmiały - ruszył spieszenie wzdłuż wschodniej strony ulicy, błędząc wzrokiem w różnych kierunkach; przypominał żbika szukającego swych młodych na terytorium opanowanym przez hieny.

Dotarł do końca czwartego kwartału, ostatniego kwartału. Gdzie oni są? Gdzie jest szczupły, niepozorny Panov i wysoka, uderzająco piękna, kasztanowłosa Marie? Jego instrukcje były jasne, bezdyskusyjne. Pierwsze cztery kwartały w kierunku północnym po prawej stronie, wschodniej stronie. Mo Panov powtórzył je z pamięci. O, Chryste! Szukał dwóch osób, a jedna z nich mogła przypominać setki ludzi w tych czterech zatłoczonych kwartałach. Jego oczy szukały więc wysokiej, ciemnorudej kobiety - a przecież ona wyglądała już inaczej. Miała włosy przemalowane na siwo, z białymi pasemkami! Aleks zawrócił w stronę Salisbury Road, jego oczy wypatrywały teraz tego, czego powinien szukać, a nie tego, co chciałby znaleźć, a co podsuwały mu jego wspomnienia.

Są! Na skraju tłumu otaczającego ulicznego sprzedawcę, na którego straganie leżały stopy jedwabi różnych gatunków - tkaniny niepewnego pochodzenia, z metkami równie autentycznymi jak sfałszowane podpisy.

- Chodźmy - powiedział Conklin biorąc oboje pod rękę.

- Aleks! - krzyknęła Marie.

- Czy u ciebie wszystko w porządku? - spytał Panov.

- Nie - powiedział agent CIA. - Ani u nikogo z nas.

- Dawid, tak? - Marie mocno chwyciła Conklina za ramię.

- Nie teraz. Pospieszmy się. Musimy się stąd wydostać.

- Oni są tutaj? - Marie oddychała ciężko, jej siwowłosa głowa odwracała się to w prawo, to w lewo, a w oczach malował się strach.

- Kto?

- Nie wiem! - zawołała przekrzykując zgiełk.

- Nie, nie ma ich tutaj - powiedział Conklin. - Chodźcie. Pen zamówił dla mnie taksówkę.

- Co za Pen? - spytał Panov.

- Mówiłem ci. Hotel Peninsula.

- Ach tak, zapomniałem.

Cała trójka ruszyła wzdłuż Nathan Road. Aleks - co dla Marie i Morrisa Panova było oczywiste - szedł z trudem.

- Możemy zwolnić, prawda? - zapytał psychiatra.

- Nie możemy!

- Ale ciebie boli - powiedziała Marie.

- Skończcie z tym. Oboje. Nie potrzebuję waszej zasranej litości.

- Powiedz nam w takim razie, co się stało - domagała się Marie, gdy przechodzili przez ulicę wymijając samochody, kupujących i sprzedawców, a także turystów, którzy ciągnęli w kierunku egzotycznego tłumu na Golden Mile.

- Oto taksówka - powiedział Conklin, gdy zbliżyli się do Salisbury Road. - Prędszej. Kierowca wie, dokąd jechać.

Wewnątrz samochodu, gdzie Panov usiadł między Marie i Alekssem, jeszcze raz sięgnęła ręką w stronę Conklina zaciskając ją na jego ramieniu.

- To Dawid, prawda?

- Tak. Wrócił. Jest tutaj, w Hongkongu.

- Dzięki Bogu!

- Masz nadzieję. Mamy nadzieję.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał ostro psychiatra.

- Coś poszło nie tak. Scenariusz nie wypalił.

- Na litość boską! - krzyknął Panov. - Mówże po angielsku!

- Jemu chodzi o to - powiedziała Marie wpatrując się w człowieka z CIA - że Dawid zrobił coś,

czego nie powinien był robić lub też nie zrobił czegoś, co zrobić należało.

- Mniej więcej. - Wzrok Conklina powędrował w prawo w kierunku świateł Portu Wiktorii i wyspy Hongkong. - Zazwyczaj byłem w stanie przewidzieć posunięcia Delty. Później, kiedy stał się Bourne'em, umiałem go wytropić, podczas gdy inni tego nie potrafili, ponieważ wiedziałem, jakie ma możliwości i którą z nich wybierze. Tak było, zanim to wszystko go spotkało i już nikt nie był w stanie nic przewidzieć, ponieważ on stracił kontakt z Delta, który w nim tkwił. Ale teraz Delta wrócił i tak jak często zdarzało się to przed laty, jego wrogowie nie docenili go. Chciałbym się mylić. Jezu, obym się mylił!

Z pistoletem wycelowanym w kark sobowtóra Delta posuwał się cicho przez krzaki rosnące przed wysokim murem otaczającym dom. Zabójca zawahał się; znajdowali się około trzech metrów od ciemnego wejścia. Wciskając mocniej broń w ciało komandosa, Delta wyszeptał:

- Nie ma tu żadnych włączających się samoczynnie świateł, ani na murze, ani na ziemi. Co chwila uruchamiałyby je szczury, których tu pełno na drzewach. Idź naprzód. Powiem, kiedy masz się zatrzymać.

Rozkaz padł, gdy znaleźli się niewiele ponad metr od bramy. Delta chwycił swego więźnia za kołnierz i obrócił go, trzymając wciąż lufę pistoletu przy jego szyi. Człowiek z „Meduzy” sięgnął do kieszeni, wyjął ładunek plastiku i najdalej jak mógł wyciągnął przed siebie rękę w kierunku bramy. Przylepną stroną przycisnął ładunek mocno do muru; niewielki zapalnik czasowy znajdujący się w środku został wcześniej nastawiony na siedem minut, liczbę wybraną na szczęście, a także po to, by mieć czas oddalić się stamtąd o kilkaset metrów.

- Idziemy! - powiedział szeptem.

Skręcili za rogiem i poszli dalej prosto do miejsca, skąd widać było w księżycowej poświacie koniec kamiennego muru.

- Poczekaj - powiedział Delta sięgając do plecaka, który przewieszony był przez klatkę piersiową niczym ładownica i zwisał przy jego prawym boku. Wyjął czarne prostokątne pudełko, które miało 12 cm szerokości, 7 cm wysokości i 5 cm głębokości. Z boku umieszczona była kilkunastometrowa linka cienkiego, czarnego, plastikowego kabla. Był to zasilany baterią głośnik. Umieścił go na szczycie muru i nacisnął przełącznik z tyłu. Zapaliło się czerwone światełko. Rozwinął cienki kabel i popchnął zabójcę do przodu. - Jeszcze z siedem, dziesięć metrów - powiedział.

Ponad nimi rozpościerały się gałęzie wierzby płaczącej, które sięgały powyżej muru, a następnie opadały łukiem w dół. Kryjówka.

- Tutaj - szepnął Bourne chrapliwie i zatrzymał komandosa chwytając go za ramię. Wydobył z plecaka obcęgi do cięcia drutu i przycisnął mordercę do ogrodzenia. - Oswobodzam cię, ale nie uwalniam. Rozumiesz? - Komandos skinął głową, a Delta przeciął liny, którymi skrupowane były nadgarstki i łokcie więźnia, trzymając bez przerwy broń wymierzoną w jego głowę. Cofnął się o krok i stojąc przed nim wysunął do przodu zgiętą w -kolanie prawą nogę, podając mu jednocześnie obcęgi. - Stań mi na nodze i przetnij druty. Dosięgniesz do nich, jeśli trochę podskoczysz i przygniesz je ręką. Niczego nie próbuj. Nie masz jeszcze broni, ja za to mam i jak sądzę, zorientowałeś się, że na niczym mi już nie zależy.

Więzień wykonał polecenie. Lekko odbił się od nogi Jasona, zręcznie przełożył lewe ramię między drutami i uchwycił się przeciwległej krawędzi muru. Bezszelestnie poprzecinał splecione

druty przykładając obcęgi tylko z jednej strony, aby wyłumić odgłosy. Wolna przestrzeń nad nimi miała półtora metra szerokości.

- Wejdz na górę - rzekł Delta.

Zabójca wypełnił polecenie. W chwili gdy jego lewa noga znalazła się po drugiej stronie muru, Delta podskoczył chwytając się jego spodni, po czym podciągnął się w górę i przerzucił lewą nogę ponad murem. Obaj siedzieli teraz okrakiem na murze.

- Dobra robota, majorze Allcott-Price - powiedział Bourne trzymając w ręku mały, okrągły mikrofon i mierząc ponownie z pistoletu w głowę mordercy. - Już niedługo. Na twoim miejscu zbadałbym teren.

Ponaglany przez Conklina kierowca taksówki pędził drogą na Yictoria Peak. Minęli rozbitą samochód stojący na poboczu;

nie pasował do tego eleganckiego otoczenia - Aleks wzdrygnął się na myśl o wypadku drogowym.

- Dom jest tutaj! - krzyknął człowiek z CIA. - Na litość boską, niech się pan pospieszy. Jedźmy do...

Nie dokończył - nie mógł. Drogę przed nimi wypełnił huk wybuchu, a noc stała się nagle jasna. Ogień i kamienie rozprysnęły się na wszystkie strony - najpierw runęła spora część muru, a następnie wielka żelazna brama, która niesamowitym, spowolnionym ruchem zwała się do przodu, prosto w płomienie.

- O, mój Boże, miałem rację - powiedział cicho Aleksander Conklin. - Delta wrócił. Chce umrzeć. I umrze.

ROZDZIAŁ 32

Jeszcze nie! - ryknął Jason Bourne, gdy kawałki muru rozleciały się po wspinałym ogrodzie obsadzonym rzędami bzu i róż. - Powiem ci, kiedy - dodał pośpiesznie trzymając w wolnej ręce mały, okrągły mikrofon.

Morderca mruknął, znów odezwały się w nim pierwotne instynkty;

pragnienie zabijania było równie silne jak pragnienie przeżycia, a oba wzajemnie od siebie uzależnione. Znajdował się na skraju obłądu i tylko lufa pistoletu Deltę powstrzymywała go od szaleńczego ataku. Jednak nadal pozostał człowiekiem i lepiej było próbować ocalić życie, niż skazać się na śmierć nie dotrzymując zobowiązania. Ale kiedy, kiedy? Nerwowy tik znowu pojawił się na twarzy Allcotta-Price'a, a dolna warga wykrzywiła się, kiedy wrzaski i krzyki biegających w panice ludzi wypełniły ogród. Ręce zamachowca drżały, gdy przyglądał się Delcie w bladym, migającym świetle odległych płomieni.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział człowiek z „Meduzy”. - Jeżeli się ruszysz, jesteś trupem. Poznałeś mnie, więc wiesz, że nie ma odwołania. Jeżeli to zrobisz, to na własną odpowiedzialność. Przełóż nogę przez mur i bądź gotowy do skoku, kiedy ci powiem. Nie wcześniej.

Bez uprzedzenia Bourne przysunął nagle mikrofon do ust i nacisnął włącznik. Gdy mówił, jego nagłośnione słowa zadudniły pełnym grozy echem po całym terenie, a jego przenikliwy, donośny głos, towarzyszący grzmotom eksplozji, brzmiał jeszcze bardziej złowieszczo dzięki swej prostocie i opanowaniu.

- Wy, piechota morska. Ukryjcie się i trzymajcie od tego z daleka. Nie jest to wasza walka. Nie umierajcie za ludzi, którzy was tu ściągnęli. Oni mogą was poświęcić, tak jak poświęcili mnie. Nie ma w tym żadnych wyższych racji, nie wchodzi tu w grę ani obrona terytorium, ani honor waszej ojczyzny. Jesteście tutaj tylko dla ochrony zbrodniarzy. Jedyna różnica między nami polega na tym, że mnie także wykorzystano, ale teraz chcą mnie zabić, bo wiem, czego oni się dopuścili. Nie gińcie za tych ludzi, nie są tego warci. Daję wam moje słowo, że nie będę do was strzelał, ale pod warunkiem, że wy nie będziecie strzelać do mnie, bo wtedy nie będę miał wyboru. Ale jest tu także człowiek, który nie zamierza wchodzić w żadne układy...

Wybuchła strzelanina zagłuszając jego głos; w stronę niewidzialnego mówcy na murze posypał się grad pocisków. Delta był gotowy; to musiało się stać. Jeden z manipulatorów bez twarzy i nazwiska wydał rozkaz, który został wykonany. Jason sięgnął do plecaka i wyjął odbezpieczony wcześniej trzydziestopięciocentymetrowy miotacz granatów z gazem łzawiącym. Był on w stanie roztrzaskać grube szkło z odległości czterdziestu pięciu metrów. Bourne wycelował i pociągnął za spust. Znajdujące się trzydzieści metrów dalej okno rozleciało się na kawałki, a wewnątrz pokoju wypełniło się gazem. Za strzaskaną szybą dojrzał biegające po pokoju postacie. Lampy i żyrandole zgaszono, zapalając reflektory umieszczone rzędem pod okapem wielkiego domu i na pniach okolicznych drzew. Nagle cały teren zalało oślepiające białe światło. Zwisające gałęzie wierzby mogły stać się łatwym celem dla wypatrujących oczu i wycelowanej broni. Delta rozumiał, że żaden jego apel nie mógł spowodować cofnięcia rozkazów. Zwrócił się z wezwaniem, które miało być zarówno uczciwym ostrzeżeniem, jak i ratunkiem dla tych resztek sumienia, jakie ocalały w ledwie myślącym i czującym, odczłowieczonym mścicielu. Gdzieś w mrokach swego umysłu zdawał sobie sprawę, że nie chce pozbawiać życia tych młodych chłopców, których wezwano tutaj, by służyli

chorym ambicjom manipulatorów - zbyt wiele takich rzeczy widział przed laty w Sajgonie. Chciał zabić jedynie tych, którzy znajdowali się w domu i zamierzał tego dokonać. Jasona Bourne'a nikt nie powstrzyma. Oni zabrali mu wszystko i jego osobiste rachunki miały być teraz wyrównane. Decyzja została podjęta jakby poza nim - był niczym marionetka, którą kierowała niepohamowana pasja; prócz niej nie istniało nic.

- Skacz! - szepnął Delta przekładając prawą nogę przez mur i szturchańcem zrzucając komandosa na ziemię. Skoczył za nim, gdy tamten był jeszcze w powietrzu, a kiedy zaskoczony zabójca wylądował na trawie, chwycił go za ramię. Bourne usunął go z widoku wciągając do altany gęsto obrosniętej zielenią sięgającą prawie dwóch metrów. - Oto twoja broń, majorze - powiedział prawdziwy Jason Bourne. - Moja wymierzona jest w ciebie, nie zapominaj!

Morderca chwycił karabin i jednocześnie wyrwał z ust tampon, kaszląc i plując, gdy nagle gwałtowna seria pocisków przeszła liście i gałęzie wzdłuż całej ściany.

- Twój pieprzony wykład na nic się nie zdał, co?

- Spodziewałem się tego. Prawdę mówiąc, oni chcą ciebie, nie mnie. Widzisz, ja jestem teraz dla nich bezużyteczny. Od początku mieli taki plan. Przyprawdzą cię i zginę. Moja żona nie żyje. Zbyt dużo wiedzieliśmy. Ona straciła życie, ponieważ dowiedziała się, kim oni są - musiała, bo była przynętą - ja, ponieważ skojarzyłem pewne sprawy w Pekinie. Jesteś uwikłany w zabijanie, majorze. Potężna bomba może zniszczyć cały Daleki Wschód i tak się stanie, jeśli ci przytomniej myślący z Tajwanu nie wyłapią i nie pozbędą się tych twoich obłąkanych klientów. Ale mnie to już głównie obchodzi. Prowadź dalej swoje cholerne rozgrywki i szukaj śmierci. Ja chcę tylko wejść do tego domu.

Oddział żołnierzy z podniesionymi do góry, gotowymi do strzału karabinami biegł wzdłuż kamiennego ogrodzenia. Delta wyjął z plecaka drugi ładunek plastiku. Nastawił miniaturowy zapalnik czasowy na dziesięć sekund i rzucił ładunkiem jak mógł najdalej w kierunku muru na tyłach ogrodu, z dala od strażników.

- Chodź - rozkazał komandosowi, wbijając mu broń w kręgosłup. - Ty przodem! Tą ścieżką. W stronę domu.

- Daj mi jeden z tych ładunków!

- Raczej nie.

- Na rany Chrystusa, dałeś mi słowo!

- W takim razie albo kłamałem, albo zmieniłem zdanie.

- Dlaczego? Czym się zajmujesz?

- A jednak. Nie wiedziałem, że jest tu aż tyle dzieci. Zbyt dużo dzieci. Mógłbyś tym wykończyć dziesięcioro z nich, a okaleczyć dużo więcej.

- Trochę późno stajesz się takim pieprzonym chrześcijaninem!

- Każdy miał zawsze prawo nim być. Wiem, kogo chcę dostać, a kogo nie. Nie zależy mi na dzieciakach wciśniętych na siłę w wojskowe łachy. Muszę dopaść tych ludzi w środku...

Eksplozja nastąpiła czterdzieści metrów dalej, w głębi ogrodu. Drzewa i ziemia, krzaki i całe rabaty kwiatów buchnęły ogniem wzbijając się w powietrze - panorama zieleni i brązów z widocznymi tu i ówdzie jaśniejszymi plamami pośród falującego szarego dymu, oświetlonego

ostrym, białym światłem reflektorów.

- Ruszaj! - szepnął Delta. - Do końca tego rzędu. Jakies dwadzieścia metrów od rogu domu są drzwi... - Bourne zamknął oczy z bezsilnej wściekłości słysząc serię nie kończących się wystrzałów karabinowych dobiegających z głębi ogrodu. To były dzieci. Ogarnięte strachem, strzelały gdzie popadło niszcząc urojone demony, a nie właściwe cele. One by nie usłuchały.

Inny oddział żołnierzy, prowadzony najwyraźniej przez doświadczonego oficera, zajął równoległą pozycję na wprost domu. Otaczali go powoli półkolem; wszyscy pochyleni, na ugiętych nogach, gotowi do skoku, z bronią skierowaną do przodu. Decydenci zawezwali swoją gwardię przyboczną. Niech będzie. Delta znowu sięgnął do plecaka, sprawdził dotykiem jego zawartość i wydobyl jedną z dwóch bomb zapalających, w które zaopatrzył się w Mongkoku. W górnej części przypominała okrągły granat, ale zabezpieczona była osłoną z grubego plastiku. Jej podstawę stanowił piętnastocentymetrowy uchwyt, który pozwalał rzucić ładunek wybuchowy dużo dalej i z większą dokładnością. Cała sztuka polegała na precyzyjnym rzucie i odpowiednim ustawieniu czasu. Po usunięciu plastikowej osłony bombę można było przyczepić do dowolnej powierzchni dzięki gęstemu klejowi, który błyskawicznie wysychał pod wpływem powietrza, a w czasie wybuchu chemiczny ładunek rozpryskiwał się we wszystkich kierunkach wzniesając płomień, osiadając na porowatych przedmiotach, przenikając je i wypalając. Od momentu usunięcia osłony do wybuchu upływało piętnaście sekund. Ściany tego wspaniałego domu, powyżej masywnej podmurówki obite były drewnem. Delta pchnął zamachowca na krzaki róż, ściągnął plastikową osłonę i umieścił bombę wysoko u góry na oszalowanej części budynku w odległości około dziesięciu metrów na lewo od drzwi balkonowych. Przylgnęła do drewna, Pozostało jedynie przeczekać tych kilkanaście sekund wśród strzałów, które teraz rozlegały się coraz rzadziej, aż wreszcie całkowicie umilkły.

Ściana domu runęła. W ogromnej wyrwie ukazała się tradycyjna wiktoriańska sypialnia z mosiężnym łóżkiem i ozdobnymi angielskimi meblami. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie, coraz to nowe płomienie buchały ze swego głównego źródła, strzelały w górę wzdłuż oszalowanych ścian przebijając się do wnętrza domu.

Rozkaz został wydany i ponownie rozszalał się ogień z broni palnej - grad pocisków docierał do klombów kwiatowych od strony muru w głębi ogrodu, gdzie znajdował się teraz oddział żołnierzy, którzy pobiegli na miejsce poprzedniej eksplozji. Dało się słyszeć sprzeczne rozkazy, wykrzykiwane tonem pełnym złości i rozgoryczenia, a następnie pojawili się dwaj oficerowie z bronią boczną w rękach. Jeden z nich obszedł posterunki wartowników sprawdzając ich uzbrojenie i przyglądając się badawczo każdemu z nich. Drugi skierował się w stronę muru podążając tą samą drogą, którą przeszedł pierwszy oddział, nieustannie zerkając ku domowi i grzędom kwiatów. Zatrzymał się pod wierzbą i sprawdził mur, a potem trawę. Podniósł głowę i popatrzył na zarośniętą altanę. Chwyciwszy broń oburącz skierował się w jej stronę.

Delta obserwował oficera z zarośli, cały czas przyciskając pistolet do pleców komandosa. Wydobyl następny ładunek plastiku, nastawił mechanizm zegarowy i rzucił ponad krzakami, daleko w stronę bocznego muru.

- Przejdź tędy - rozkazał Bourne chwytając zabójcę za ramię i popychając go w stronę rzędu krzaków na lewo. Sam ruszył za komandosem, trzymając lufę swego pistoletu tuż przy jego głowie. Po chwili zatrzymał go i sięgnął do plecaka. - Jeszcze tylko parę minut, majorze, a potem będziesz samodzielny.

Czwarty wybuch zrobił dwumetrową wyrwę w bocznym murze i żołnierze piechoty morskiej, jakby obawiając się stamtąd inwazji nieprzyjacielskich zastępów, otworzyli ogień w stronę walących

się kamieni. W oddali na drogach Yictoria Peak zawodziły syreny tworząc swym dwutonowym sygnałem akompaniament do odgłosów rzezi mającej miejsce wokół zakonspirowanego domu. Delta wydobyl przedostatni ładunek plastiku, nastawił zapalnik na dziewięćdziesiąt sekund i cisnął w róg tylnego ogrodzenia, gdzie nie było nikogo. Rozpoczął się ostatni etap jego akcji dywersyjnej. Reszta będzie już czystą matematyką. Wyjął miotacz, wsunął granat z gazem łzawiącym i rzekł do komandosa:

- Odwróć się. - Zamachowiec odwrócił się, a lufa pistoletu Bourne'a znalazła się na wysokości jego oczu. - Weź to - powiedział Delta. - Możesz to trzymać jedną ręką. Gdy dam ci znak, rzuć tym w dom, na prawo od drzwi balkonowych. Gaz się rozejdzie i oślepi większość tych chłopaczków. Nie będą mogli strzelać, nie marnuj więc naboji, bo nie masz ich za dużo.

Morderca nie odpowiadał. Zamiast tego podniósł swoją broń i wycelował Bourne'owi w głowę.

- Teraz jesteśmy jeden na jednego, panie Oryginale - rzekł. - Powiedziałem ci, że zniósłbym kulę w łeb. Czekam na to od lat. Ale ty, jak mi się zdaje, nie wyobrażasz sobie, że mógłbyś nie dostać się do tego domu. - Nagle rozległy się krzyki i nowa seria strzałów; to oddział piechoty morskiej rzucił się w stronę zawalonego bocznego muru. Delta obserwował, czekał na krótki moment dekoncentracji mordercy. Ten moment jednak nie nadchodził. Komandos ciągnął spokojnie, wpatrując się w Bourne'a, a w jego głosie czuło się kontrolowane napięcie. - Pewnie się spodziewają napaści, głupie gęsi. Gdy nie jesteś pewien, atakuj, dopóki twoje flanki są osłaniane, zgadza się, panie Oryginale? Usuń z plecaka swoje niespodzianki, Delta. Tak się chyba nazywasz, co?

- Nic już nie zostało. Bourne odbezpieczył swój automat. Zabójca uczynił to samo.

- Sprawdźmy więc - powiedział komandos wyciągając powoli rękę i dotykając plecaka, który Delta miał przewieszony przez ramię. Ich spojrzenia zderzyły się. Morderca pomacał materiał; nacisnął szorstką tkaninę w kilku miejscach. Powoli cofnął rękę. - Wśród tych wszystkich „nie będziesz” w tej cholernej wielkiej Księdze nie wspomina się o kłamstwie, prawda? Tylko o fałszywym świadectwie, ale to oczywiście nie to samo. Sądzę, że wzięłeś sobie to zaniedbanie do serca, stary. Tam w środku jest broń automatyczna i dwa lub trzy magazynki, które mają, sądząc po kształcie, przynajmniej po pięćdziesiąt naboji.

- Ściśle mówiąc czterdzieści.

- To dużo amunicji. Wystarczy mi, aby się stąd wydostać. Dawaj! Albo jeden z nas zostanie tutaj. Zaraz.

Piąty z kolei wybuch plastiku wstrząsnął ziemią. Zaskoczony zabójca zamrugał oczami. To wystarczyło. Ręka Bourne'a z ciężkim automatem wystrzeliła w górę odtrącając broń mordercy i uderzając go niczym młotem w lewą skroń.

- Ty skurwysynu! - krzyknął oszust dziko, padając na lewy bok. Jason przygniótł kolaniem jego dłoń, z której wypadł pistolet.

- Błagaj o szybką śmierć, majorze - powiedział Bourne, gdy piekło rozgrywające się na terenie wiktoriańskiej posiadłości osiągnęło swój szczyt. Grupa żołnierzy atakująca w rejonie zawalonego muru została teraz skierowana na tył ogrodu. - Ty naprawdę siebie nie lubisz, mam rację? Ale pomysł miałeś dobry. Opróżnij mój plecak z niespodzianek. Już na to czas.

Bourne odpiął pasy i odwrócił plecak do góry nogami, wytrząsając jego zawartość na trawę. Płomienie rozszerzającego się gwałtownie pożaru, trawiącego już pierwsze piętro domu, oświetliły leżące przedmioty. Była tam jedna bomba zapalająca i ostatni ładunek plastiku, a także, jak dokładnie

opisał to komandos, ręczny pistolet maszynowy MAC 10, który należało tylko złożyć i naładować, aby był gotowy do strzału. Bourne zmontował śmiertcionośną broń, włożył jeden z czterech magazynków wsuwając trzy pozostałe za pasek. Następnie odciągnął sprężynę miotacza, umieścił granat z gazem łzawiącym i nastawił mechanizm. Był gotowy - gotowy ratować życie dzieci, dzieci, które narażały się dla tych podstarzałych manipulatorów. Pozostała bomba zapalająca. Wiedział, gdzie ją skierować. Podniósł bombę do góry, zerwał osłonę i z całej siły rzucił ją w stronę ostro zakończonych szczytu drzwi balkonowych. Przykleiła się do drewna. Nadszedł odpowiedni moment. Pociągnął za spust i wystrzelił granat z gazem, kierując go na prawo od przeszklonych drzwi. Ekspłodował, odbijając się od kamiennej ściany i spadając na ziemię. Natychmiast zaczęły się unosić kłębiące się chmury gazu, który dławił wszystkich znajdujących się w zasięgu jego działania. Żołnierze wypuszczali broń, przecierając rękami zapuchnięte, zażawione oczy i zakrywając podrażnione nozdrza.

Wybuchła druga bomba zapalająca, rozrywając wytworną wiktoriańską fasadę nad drzwiami i roztrzaskując szyby. Górna część ściany zwała się do wyłożonego płytami foyer. Płomienie pięły się do góry w kierunku poddasza oraz przenikały do wnętrza obejmując zasłony i obicia mebli. Żołnierze uciekali jak najdalej od miejsca ogłuszającej eksplozji i pożau, wpadając w chmury gazów łzawiących. Wielu z nich porzuciło broń. Wszyscy biegali bezładnie zderzając się ze sobą. Próbowali wydostać się z ognia, zasłaniając usta, kaszląc i szukając schronienia.

Delta ukucnął trzymając w ręku pistolet maszynowy i trącił zabójcę znajdującego się tuż obok. Nadeszła pora. Zapanował kompletny chaos. Na skutek wysokiej temperatury gaz unoszący się przed roztrzaskanymi drzwiami wsysało do środka, rozrzedził się więc na tyle, by można było się tamtędy przedostać. Gdy znajdzie się wewnątrz, poszukiwania nie będą trwały długo. Reżyserzy tajnej operacji, wymagającej zakonspirowanej siedziby na obcym terytorium pozostaną w domu z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że nie mogli dokładnie ocenić liczebności i uzbrojenia atakujących sił, a ryzyko pojmania lub śmierci na zewnątrz było zbyt duże. Ważniejszy był jednak drugi powód. Dokumenty należało zniszczyć, spalić, a nie podrzeć, jak nauczyło ich doświadczenie z Teheranu. Dyrektywy, teczki z aktami, sprawozdania z przebiegu operacji, materiały dodatkowe - wszystko to musiało zniknąć. Syreny na Victoria Peak stawały się głośniejsze; szalony wyścig w górę stromych dróg prawie się zakończył.

- Teraz odliczamy - powiedział Bourne, nastawiając zapalnik czasowy na ostatnim ładunku plastiku. - Nie dam ci go, ale zużyję z korzyścią dla ciebie, a także dla mnie. Trzydzieści sekund, majorze Allcott-Price. - Jason rzucił ładunek łukiem jak najdalej w prawo, w kierunku frontowego muru.

- Moja broń! Na litość boską, daj mi pistolet!

- Jest na ziemi. Pod moją nogą. Zabójca schylił się.

- Zejdź z niego!

- Kiedy zechcę. A na pewno zechcę. Ale jeżeli spróbujesz go wziąć, następną rzeczą, jaką zobaczysz, będzie cela w więzieniu garnizonowym w Hongkongu i - zgodnie z życzeniem - szubienica, gruby stryczek i kat w niedalekiej przyszłości.

Morderca spojrział w górę z przerażeniem.

- Ty przeklęty kłamco! Kłamałeś!

- Często. A ty nie?

- Powiedziałaś...

- Wiem, co powiedziałem. Wiem również, dlaczego tu jesteś i dlaczego zamiast dziewięciu naboju masz trzy.

- Co?

- Ty jesteś moją przynętą, majorze. Kiedy cię stąd wypuszczę z pistoletem, pobiegiesz w stronę bramy albo zniszczonej części ogrodzenia - sam zdecydujesz. Oni będą próbowali cię zatrzymać. Oczywiście odpowiesz ogniem, a gdy oni skoncentrują się na tobie, ja wejdę do środka.

- Ty sukinsynu!

- Czuję się urażony, ale przecież zostałem pozbawiony uczuć, tak więc nie ma to większego znaczenia. Po prostu muszę się dostać do środka...

Ostatni wybuch wyrwał z ziemi ozdobne drzewo; jego korzenie gruchnęły w nadwerżoną część ogrodzenia. Posypały się kamienie, niemalże całkowicie rujnując mur, a pękające bryły rozstępowały się pod wpływem wtórnego uderzenia. Żołnierze z oddziału pełniącego straż przy bramie ruszyli do przodu.

- Teraz! - ryknął Delta i wyprostował się.

- Daj mi rewolwer! Zejdź z niego.

Nagle Jason Bourne zamarł. Nie mógł ruszyć się z miejsca, tylko wiedziony jakimś instynktem wymierzył zabójcy cios kolaniem w gardło powalając go na ziemię. Za roztrzaskanymi szklanymi drzwiami prowadzącymi do płonącego foyer pojawił się człowiek. Twarz miał zakrytą chustką, ale jego utykająca noga była widoczna. Jego kuśtykająca noga! Niewyraźna postać utorowała sobie drogę przez drzwi za pomocą protezy, po czym niezdarnie zeszła po trzech stopniach na wyłożony płytami dziedziniec wychodzący na wspaniałe niegdyś ogrody. Mężczyzna wysunął się do przodu i krzyknął najgłośniej jak umiał, nakazując strażnikom, którzy go słyszeli, wstrzymać ogień. Nie musiał odsłaniać chustki, Delta znał tę twarz. Była to twarz jego wroga. Paryż, cmentarz pod Paryżem. Aleksander Conklin przyszedł wtedy go zabić. Na wysokim szczeblu zapadł wyrok: nie do uratowania.

- Dawidzie! To ja, Aleks! Nie rób tego! Przestań! To ja, Dawidzie! Jestem tu, by ci pomóc!

- Jesteś tu, aby mnie zabić. Chciałeś zabić mnie w Paryżu, próbowałeś znowu w Nowym Jorku. Treadstone-71! Masz krótką pamięć, draniu!

- A ty nie masz żadnej pamięci, do cholery! Stałeś się Delta, bo oni tego chcieli! Znam całą historię, Dawidzie. Jestem tu, bo powiązaliśmy ze sobą wszystkie fakty! Marie, Mo Panov i ja! Wszyscy jesteśmy tutaj. Marie jest bezpieczna!

- Kłamstwa! Sztuczki! Wy wszyscy razem ją zabiliście! Zabiłbyś ją już w Paryżu, ale nie dopuściłem cię do niej! Trzymałem ją z dala od ciebie!

- Ona nie umarła, Dawidzie! Ona żyje! Mogę ją przyprowadzić! Zaraz!

- Kolejne kłamstwa! - Delta przykucnął, pociągnął za spust i ostrzelał patio. Pociski odbijały się rykoszetem i wpadały do palącego się foyer, ale z niezrozumiałych powodów omijały samego człowieka. - Chcesz mnie zwabić, tak aby móc wydać rozkaz - i będę martwy. Nie do uratowania - wykonano! Nie ma mowy, oprawco! Wchodzę do środka. Dopadnę tych cichych konspiratorów, którzy są za tobą! Oni są tam! Wiem, że tam są! - Bourne chwycił leżącego mordercę, postawił go na

nogi i podał mu broń. - Chciałeś Jasona Bourne'a, jest twój! Uwalniam go tutaj, koło tych róż. Zabij go, a ja zabiję ciebie!

Komandos, na wpół oszalały, na wpół żywy, gwałtownie rzucił się do ucieczki poprzez kwitnące krzaki oddalając się od Bourne'a. Początkowo biegł ścieżką, później, widząc, że żołnierze obstawili mur od północy i od południa, błyskawicznie zawrócił. Gdyby pojawił się we wschodniej części ogrodu, dostałby się pomiędzy oba oddziały. I już by nie żył.

- Nie mam więcej czasu, Conklin! - wrzasnął Bourne. Dlaczego nie mógł zabić człowieka, który go zdradził? Pociągnij za spust! Zabij ostatniego z Treadstone-71. Zabij. Zabij! Co go powstrzymywało]

Morderca przebiegł przez kwietnik, chwycił gorącą lufę pistoletu maszynowego Bourne'a, wykręcił ją do dołu, wymierzył ze swojej broni do Jasona i strzelił. Pocisk drasnął Bourne'a w czoło; wściekły pociągnął za spust swego automatu. Kule zadudniły o ziemię powodując drgania na małym poletku ich zawziętej, śmiertelnej walki. Chwycił pistolet Anglika wykręcając go w lewo. Z okaleczoną prawą ręką zabójca nie miał szans w starciu z człowiekiem z „Meduzy”. Broń wystrzeliła w chwili, gdy Bourne ją wyszarpnął. Oszust upadł do tyłu na trawę, a w jego szklistych oczach widniała świadomość poniesionej klęski.

- Dawid! Na litość boską, posłuchaj mnie! Musisz...

- Nie ma tu żadnego Dawida! - wrzasnął Jason, wbijając kolano w tors mordercy. - Moje prawdziwe nazwisko brzmi Bourne, który jest potomkiem Deltę spłodzonego przez „Meduzę”! Dama z Wężem! Pamiętasz?

- Musimy porozmawiać!

- Musimy umrzeć. T y musisz umrzeć! Ci konspiratorzy wewnątrz to mój dług, dług wobec Marie! Oni muszą umrzeć! - Bourne chwycił mordercę za klapę kurtki i postawił go na nogi. - Powtarzam! Oto Jason Bourne! Jest wasz!

- Nie strzelajcie! Wstrzymajcie ogień! - krzyknął chrapliwie Conklin, podczas gdy zdeorientowani żołnierze z trzech oddziałów piechoty morskiej zaczęli zwierać szeregi, a ogłuszające swym przeraźliwym gwizdem syreny policyjne z Hongkongu umilkły przed zniszczoną bramą.

Człowiek z „Meduzy” gwałtownym ruchem chwycił komandosa za kark i pchnął go w stronę światła bijącego od buzujących płomieni i wzmocnionego przez reflektory. * - Oto on! To zdobycz, o którą wam chodziło!

Wybuchła strzelanina. Morderca zachwiał się, padł na ziemię i koziołkując starał się umknąć przed kulami.

- Przestańcie! Nie jego! Na litość boską, wstrzymajcie ogień. Nie zabijajcie go!

- Nie jego? - zagrmiał Jason Bourne. - Nie jego? Tylko mnie! Czy tak, ty skurwysynu? Teraz ty umieraj! Za Marie, za Echo, za nas wszystkich!

Pociągnął za spust pistoletu maszynowego, jednakże kule nadal nie trafiały do celu! Odwrócił się, cofnął, a następnie pochylił do przodu i skierował swą śmiertcionośną broń w stronę obu przegrupowujących się oddziałów. Ponownie oddał kilka dłuższych serii, kucając, robiąc uniki i przemykając się za krzakami róż z miejsca na miejsce. Celował jednak ponad ich głowami! Dlaczego? Dzieci nie mogły go powstrzymać. Ale przecież te dzieci, zmuszone do wykonywania

rozkazów nie powinny umierać za tych, którzy nimi manipulują. Musi się dostać do zakonspirowanego domu. Teraz! Niewiele czasu zostało. Nadszedł właściwy moment!

- Dawidzie! - rozległ się kobiecy głos. O, Chryste, kobiecy głos! - Dawidzie, Dawidzie, Dawidzie! - Postać w plisowanej spódnicy wybiegła z domu! Zbliżyła się do Aleksandra Conklina i odepchnęła go na bok. Pozostała na dziedzińcu sama. - To ja, Dawidzie! Jestem tutaj. Jestem bezpieczna! Wszystko jest w porządku, kochany!

Kolejny podstęp, jeszcze jedno kłamstwo. To jest jakaś stara kobieta z siwymi, białymi włosami!

- Niech pani zejdzie mi z drogi, bo zabiję. To jeszcze jedna sztuczka!

- Dawidzie, to ja. Nie słyszysz mnie?...

- W i d z ę! To podstęp!

- Nie, Dawidzie.

- Nie nazywam się Dawid. Powiedziałem pani przyjacielowi, tej szumowinie, że nie ma tu żadnego Dawida.

- Nie! - krzyknęła Marie rozpaczliwie potrząsając głową i biegnąc w stronę kilku żołnierzy, którzy czołgali się po trawie z dala od kłębiących się, zanikających już obłoków gazu. Posuwali się na kolanach, mając przed sobą Bourne'a jak na dłoni; niezdecydowanie kierowali ku niemu uniesione lufy karabinów. Marie stanęła pomiędzy zbliżającymi się żołnierzami a ich celem.

- Czy nie wyrządziliście mu już dosyć zła? Na miłość boską, niech ich ktoś powstrzyma!

- I da się rozwalić jakiemuś kurewskiemu terroryście? - rozległ się donośny, młody głos z oddziału przy frontowym murze.

- On wcale nie jest taki, jak myślicie! Do takiego stanu doprowadzili go ludzie, którzy są tam w środku. Słyszeliście, co mówił. Nie będzie do was strzelał, jeżeli przerwiecie ogień!

- Przecież już strzelał - mruknął oficer,

- Ale ty jeszcze trzymasz się na nogach! - krzyknął w odpowiedzi Aleks Conklin stojący na skraju dziedzińca. - On jest lepszym strzelcem i ma więcej środków samoobrony niż którykolwiek z tych tutaj ludzi. Weź to pod uwagę. Ja wziąłem!

- Nie jesteś mi potrzebny! - wrzasnął Jason Bourne, ponownie oddając serię z broni maszynowej w kierunku płonącej ściany domu.

Nagle morderca zerwał się na nogi, po czym zadał cios znajdującemu się najbliżej żołnierzowi, młodzikowi z odkrytą głową, który wciąż krztusił się od gazu. Wyrwał mu broń, kopnięciem w głowę obalił na ziemię i wycelował w kolejnego żołnierza, który runął do tyłu chwytając się za brzuch. Zabójca obrócił się i z pistoletu maszynowego podobnego do broni Bourne'a wymierzył do oficera przestrzeliwując mu szyję. Gdy ciało osuwało się na ziemię, wyrwał broń z bezwładnych rąk. Przez moment wahał się, oceniając swoje szansę, a następnie wsunął pistolet pod lewe ramię. Delta obserwował, instynktownie odgadując, co robi komandos; wiedział, że będzie próbował zmylić przeciwnika.

To właśnie zrobił. Wystrzelił znowu kilka krótkich serii w kierunku zbitych szeregów młodych, niedoświadczonych żołnierzy znajdujących się przy frontowym ogrodzeniu; biegnąc zakosami starał się przemknąć przez niewielki trawnik, aby następnie móc się ukryć wśród wysokich kwiatów, które

rosły na lewo od Bourne'a. Była to jedyna możliwa droga ucieczki, przez najślabiej oświetloną, zburzoną prawą część tylnego ogrodzenia.

- Zatrzymać go! - krzyknął Conklin, który ogarnięty wściekłością kuśtykał po całym dziedzińcu.
- Ale nie strzelać! Nie zabijać go! Na Chrystusa, nie zabijać go!

- Gówno! - rzucił w odpowiedzi ktoś z oddziału zgrupowanego obok lewej części tylnego muru. Tymczasem zabójca klucząc, zawracając i kucając, przedostał się szybko w stronę zwalonego muru, nieprzerwanym ogniem z karabinu zmuszając żołnierzy do zachowania pewnej odległości. Gdy w komorze pistoletu zabrakło pocisków, rzucił go na ziemię, chwycił zamiast niego karabin maszynowy i rozpoczął swój końcowy bieg ku zwalonemu ogrodzeniu, ostrzeliwując jednocześnie nacierający oddział żołnierzy. Dotarł na miejsce. Ciemność w oddali była jego ucieczką.

- Ty sukinsynu! - Był to krzyk nastolatka, głos niedojrzały, wyrażający cierpienie, a jednak morderczy. - Zabiłeś mojego kumpla! Strzeliłeś mu w twarz! Zapłacisz za to, ty zasrańcu!

Młody czarnoskóry żołnierz odskoczył od swego białego, nieżywego towarzysza i rzucił się w stronę muru, podczas gdy zabójca odwrócił się przeskakując przez gruzy. Kolejnym strzałem trafił żołnierza w ramię;

chłopak upadł na ziemię, przeturlał się w lewo i wystrzelił cztery razy.

W chwilę potem rozległ się rozdzierający, przeraźliwy krzyk protestu. Był to krzyk śmierci; ozuszt z rozszerzonymi ze strachu oczyma zwałił się na stos kamieni. Major Allcott-Price, dawny komandos z Oddziałów Królewskich zginął.

Bourne z podniesioną bronią ruszył do przodu, podczas gdy Marie podbiegła do skraju dziedzińca. Dzieliło ich zaledwie parę metrów.

- Nie rób tego, Dawidzie!

- Nie jestem Dawidem, proszę pani! Niech pani zapyta swojego nikczemnego przyjaciela. Znamy się od lat. Niech mi pani zejdzie z drogi! - Dlaczego nie potrafił jej zabić? Jeden strzał i mógłby dalej robić to, co zrobić musiał! Dlaczego?

- Dobrze! - wrzasnęła Marie nie dając za wygraną. - Nie ma Dawida, w porządku? Jesteś Jason Bourne! Jesteś Delta! Jesteś kimkolwiek chcesz, ale jesteś również mój! Jesteś moim mężem! - To zaskakujące wyznanie podziałało na słyszających je żołnierzy z siłą uderzenia piorunu. Oficerowie podnieśli ręce do góry, wydając komendę wstrzymania ognia; zarówno oni, jak i ich ludzie nie mogli ukryć zdziwienia.

- Nie znam cię!

- To jest mój głos. Znasz go, Jasonie.

- Podstęp! Aktorka! Gra! Kłamstwo! To zostało ukartowane.

- Jeżeli wyglądam inaczej, to dzięki tobie, Jasonie Bourne!

- Zejdz mi z drogi, bo zabiję!

- Nauczyłeś mnie tego w Paryżu! Na rue de Rivoli, hotel Meurice, kiosk z gazetami na rogu ulicy. Pamiętasz? Gazety opisujące historię z Zurychu, moje zdjęcie na pierwszych stronach. Mały hotel na Montparnassie, gdy płaciliśmy rachunek, konsjerż czytający gazetę i moje zdjęcie przed jego oczami! Byłeś tak wystraszony, że kazałeś mi wybiec na zewnątrz... Taksówka! Pamiętasz taksówkę?

Jechaliśmy do Issy-les-Moulineaux - nigdy nie zapomnę tej okropnej nazwy.,,Zmień fryzurę", powiedziałaś. „Odsłoń czoło albo zwiąż włosy". Powiedziałaś, że ci wszystko jedno, co zrobię, bylebym się zmieniła. Zapytałaś, czy mam kredkę, i kazałaś mi pogrubić i przedłużyć brwi. To są twoje własne słowa, Jasonie! Walczyliśmy o życie i chciałaś, żebym wyglądała inaczej niż na fotografii, którą znała cała Europa! Musiałam stać się kameleonem, bo Jason Bourne był kameleonem. On musiał nauczyć tego swoją kochankę, swoją żonę! I to właśnie zrobiłam, Jasonie!

- Nie! - krzyknął Delta, a głos jego przeszedł w ryk. Opanowało go z wątpienie, a jego umysł zaczęła ogarniać panika. Widział te obrazy! Rue de Rivoli, Montparnasse, taksówka. Słuchaj mnie. Jestem kameleonem, który zwie się Kain i nauczę cię wielu rzeczy, których wcale nie chcę cię nauczyć, ale w tych okolicznościach muszę. Potrafię zmienić kolor skóry i stopić się w jedno z poszyciem dżungli, potrafię wyczuć nosem kierunek wiatru. Potrafię przedzierać się przez naturalne i stworzone przez człowieka dżungle. Alfa, Bravo, Chanie, Delta... Delta to Charlie, a Chanie to Kain. Jestem Kainem. Jestem śmiercią, I to ja muszę ci powiedzieć, kim jestem i utracić cię.

- Na pewno pamiętasz! - zawołała żona Dawida Webba.

- Podstęp! Rzeczywiście wypowiedziałem te słowa. Oni ci je przekazali. Bo muszą mnie powstrzymać.

- Niczego mi nie przekazali. Niczego od nich nie chcę. Chcę tylko mojego męża! Jestem Marie!

- Jesteś oszustwem! Oni ją zabili! - Delta pociągnął za spust. Grad kul wzbił w powietrze ziemię w pobliżu stóp Marie. Karabiny szybko uniosły się do góry gotowe do strzału.

- Nie róbcie tego! - rzekła Marie zwracając głowę w kierunku żołnierzy; w jej oczach była furia, a słowa brzmiały jak rozkaz. - Dobrze, Jasonie. Jeżeli ty mnie nie znasz - ja nie chcę żyć. Nie potrafię się jaśniej wyrazić, kochany. Dlatego rozumiem twoje postępowanie. Odrzucasz życie, ponieważ ten drugi człowiek, który w tobie tkwi, jest przekonany, że ja nie żyję i nie chcesz żyć beze mnie. Rozumiem to doskonale, bo ja też nie chcę żyć bez ciebie. - Marie zrobiła kilka kroków i stanęła nieruchomo.

Delta podniósł karabin maszynowy; wystający z lufy celownik zatrzymał się na szarych włosach przetykanych białymi pasemkami. Palec wskazujący Jasona zacisnął się na spuście. Nagle, bezwiednie, jego prawa ręka zaczęła drżeć, a po chwili również lewa. Śmiercionośna broń zakołysała się - początkowo powoli - w przód i w tył, potem szybciej - zataczając koła. Głowa Bourne'a drgała konwulsyjnie, coraz gwałtowniej, a szyja nie mogła tego drżenia opanować.

Wśród tłumu zebranego kilkadziesiąt metrów dalej, przy tłących się ruinach bramy i wartowni, wybuchło zamieszanie. Ktoś szamotał się z dwoma żołnierzami.

- Puśćcie mnie, wy cholerni głupcy! Jestem lekarzem, jego lekarzem! - Mocnym szarpnięciem Morris Panov wyrwał się i pobiegł przez trawnik w stronę oślepiających świateł reflektorów. Zatrzymał się w odległości pięciu metrów od Bourne'a.

Delta zaczął jęczeć, odgłosy, które wydawał, były nieludzkie. Jason Bourne upuścił broń... a Dawid Webb padł na kolana i rozpłakał się. Marie ruszyła ku niemu.

- Nie - zarządził Panov spokojnie, lecz stanowczo, zatrzymując żonę Webba. - On ma przyjść do ciebie. Musi to zrobić.

- On mnie potrzebuje!

- Ale nie w ten sposób. On ma cię rozpoznać. Dawid musi ciebie rozpoznać i uwolnić się od

swojego drugiego ja! Ty nie możesz tego zrobić za niego. On musi to zrobić sam.

Cisza. Reflektory. Ogień.

Jak zastraszone, zbite dziecko Dawid Webb podniósł głowę. Po policzkach spływały mu łzy. Powoli, z trudem podniósł się z kolan i pobiegł wprost w ramiona swojej żony.

ROZDZIAŁ 33

Znajdowali się w zakonspirowanym domu, w ośrodku łączności, w aseptycznej celi o białych ścianach należącej do jakiegoś wybiegającego w przyszłość kompleksu laboratoryjnego. Z lewej strony na białych pulpitych wznosiły się białe czoła komputerów. W dziesiątkach małych, ciemnych prostokątnych ust pojawiały się od czasu do czasu znaki; ich zęby tworzyły cyfrowe dane wyjściowe układające się w świecące zielone liczby, które nieustannie, ze stałą częstotliwością przetwarzane były na słowa, co stanowiło mniej wyszukany i mniej bezpieczny sposób przesyłania i odbierania informacji. W prawej części pomieszczenia, na wyłożonej białymi płytkami podłodze stał duży biały stół konferencyjny. Jedynym odstępstwem od jednolitości kolorystycznej i aseptyki było kilka czarnych popielniczek. Gracze zajęli miejsca wokół stołu. Obsługa techniczna została odprawiona, a wszystkie systemy zatrzymane, z wyjątkiem Czerwonego Alarmu, tablicy o wymiarach 7 na 25 centymetrów wyświetlanej przez główny komputer. Alarm nadal działał, a za zamkniętymi drzwiami czuwał operator, w razie gdyby na monitorze pojawiły się czerwone światła. Na zewnątrz tego sterylnego, odizolowanego pomieszczenia strażacy z Hongkongu walczyli z żywiołem lejąc strumienie wody na tłący się jeszcze żar, podczas gdy policjanci starali się uspokoić wystraszonych mieszkańców z pobliskich posiadłości na Victoria Peak - z których wielu było przekonanych, że nastąpił Armageddon w postaci najazdu z kontynentu - wyjaśniając wszystkim, że te straszne wydarzenia są dziełem obłąkanego kryminalisty, który został zabity przez rządowe oddziały interwencyjne. Sceptyczni mieszkańcy Yictoria Peak mieli jednak wątpliwości. Czasy nastały dla nich trudne, świat nie był taki, jak być powinien. Dlatego zażądali dowodu. Ze zwłokami zabójcy na noszach przedefilowano więc przed ciekawskimi widzami; podziurawione, ociekające krwią ciało było częściowo odkryte, tak aby wszyscy mogli je zobaczyć. Szacowni rezydenci, którzy zdążyli już rozważyć wszystkie możliwości uzyskania odszkodowania, powrócili do swych okazałych domów.

Gracze zasiedli na białych, plastikowych krzesłach; żywe ludzkie roboty czekały na sygnał do rozpoczęcia, nikt jednak nie miał dość odwagi ani energii, by się odezwać. Wyczerpanie zmieszane z lękiem przed gwałtowną śmiercią malowało się na wszystkich twarzach - z wyjątkiem jednej. Na jego twarzy widniały głębokie bruzdy i ziemiste cienie świadczące o skrajnym zmęczeniu, w oczach nie było jednak strachu, a jedynie zagubienie i bierne pogodzenie się ze sprawami, których nie był w stanie zrozumieć. Jeszcze kilka minut' temu nie bał się śmierci, była bardziej pożądana niż życie. Lecz teraz, gdy oszołomiony siedział obok żony trzymającej go za rękę, odczuwał przypływ gniewu tkwiącego dotąd gdzieś głęboko w zakamarkach jego umysłu, gniewu, który teraz nieustępliwie posuwał się naprzód niczym odległy grzmot uderzający w jezioro podczas nadciągającej letniej burzy.

- Kto nam to zrobił? - odezwał się Dawid Webb głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- Ja - odrzekł Havilland siedzący na końcu prostokątnego, białego stołu. Ambasador pochylił się wolno odwzajemniając grobowe spojrzenie Webba. - Gdybym znajdował się w sądzie, to prosząc o darowanie kary za popełniony haniebny czyn, musiałbym przedstawić okoliczności łagodzące.

- To znaczy? - zapytał Dawid monotonnym głosem.

- Po pierwsze, jest kryzys - rzekł dyplomata. - Po drugie, chodziło o pańską osobę.

- Proszę to wyjaśnić - przerwał Aleks Conklin zajmujący miejsce na wprost Havillanda po przeciwnej stronie stołu. Webb i Marie siedzieli po jego lewej stronie, tyłem do jasnej ściany, Morris

Panov i McAllister naprzeciwko nich. - I niech pan niczego nie pominie - dodał złośliwy oficer wywiadu.

- Wcale nie zamierzam - podjął ambasador patrząc na Dawida. - Kryzys jest rzeczywisty, nadciąga katastrofa. Intryga, której korzenie tkwią głęboko w Pekinie, została zmontowana przez grupę zagorzalców, której przewodzi człowiek osadzony tak mocno w hierarchii swego rządu i otoczony taką czcią jako księżę filozof, że nie ma sposobu, aby go zdemaskować. Nikt by w to nie uwierzył. Gdyby ktoś usiłował to zrobić, stałby się pariasem. Co więcej, jakakolwiek próba zdemaskowania tego człowieka groziłaby następstwami tak groźnymi, że Pekin okrzykałoby to za zniewagę i pogwałcenie praw i powrócił do polityki podejrzliwości i nieprzejednania. Jeżeli jednak spisek nie zostanie udaremniony, zniszczy on porozumienia brytyjsko--chińskie i doprowadzi do wybuchu w kolonii. Rezultatem będzie natychmiastowa okupacja Hongkongu przez Republikę Ludową. Nie muszę chyba mówić, co by to oznaczało - chaos ekonomiczny, przemoc, rozlew krwi i niewątpliwie wojnę na Dalekim Wschodzie. Jak długo da się ograniczyć zasięg konfliktu, zanim inne narody zostaną zmuszone do opowiedzenia się po którejś ze stron? Ryzyko jest niewyobrażalne.

Cisza. Wszyscy patrzyli po sobie.

- Fanatycy z Kuomintangu - rzekł Dawid matowym, zimnym głosem. - Chiny przeciwko Chinom. Maniacy wznoszą okrzyki wojenne od czterdziestu lat.

- Ale tylko okrzyki, panie Webb. Słowa, gadanina, a nie ruch społeczny, strajki czy działania strategiczne. - Havilland oparł ręce na stole, oddychając głęboko. - To już się stało. A strategia, którą przyjęto, jest tak obłudna, podstępna i od tak dawna przygotowywana, że jej twórcy są przekonani o jej niezawodności. Ale okaże się zawodna, a wówczas świat stanie w obliczu kryzysu o nieprawdopodobnych rozmiarach. Może to doprowadzić do ostatecznego kryzysu, kryzysu, którego nie przeżyjemy. A już na pewno nie przeżyje go Daleki Wschód.

- Nie mówi pan niczego nowego. Opanowali najwyższe stanowiska w państwie, ale to nadal tylko fanatycy, garstka obłąkańców. I jeżeli szaleni, którego widziałem i który urządził to całe widowisko, podobny jest do innych, to wszyscy oni zawisną na placu Tiananmen. Powinno się ich pokazać w telewizji i na pewno poparłyby to nawet ugrupowania przeciwne karze śmierci. Był on, czy też jest, nawiedzonym sadystą, rzeźnikiem. A tacy nie są mężami stanu. Nie traktuje się ich poważnie.

- Herr Hitler był traktowany poważnie w 1933 - zauważył Havilland. - Ajatollah Chomeini zaledwie kilka lat temu. Najwyraźniej nie wie pan jednak, kto jest ich prawdziwym przywódcą. On nigdy i nigdzie by się nie pokazał, choćby nawet z daleka. Niemniej mogę pana zapewnić, że jest mężem stanu i jest traktowany z całą powagą. Jednak przedmiotem jego zainteresowania nie jest wcale Pekin. Jest nim Hongkong.

- Widziałem, co widziałem, i słyszałem, co słyszałem, i to wszystko pozostanie we mnie na długo. Nie potrzebujecie mnie, nigdy mnie nie potrzebowaliście! Odizolujcie ich, puśćcie w obieg wiadomość w Komitecie Centralnym, nakłońcie Tajwan, by się od nich odciął - oni to zrobią! Czasy się zmieniają. Oni nie chcą tej wojny tak samo jak Pekin.

Ambasador przypatrywał się meduzyjczykowi, najwyraźniej oceniając informacje Dawida. Zdawał sobie sprawę, że Webb widział w Pekinie wystarczająco dużo, aby wyciągnąć swoje własne wnioski, zbyt mało jednak, by zrozumieć istotę spisku wymierzonego przeciw Hongkongowi.

- Za późno. Siły zostały wprawione w ruch. Zdrada szerzy się na najwyższych szczeblach rządu chińskiego, zdrada uknuta przez pogardzanych nacjonalistów, o których sądzi się, że działają w

porozumieniu z zachodnią finansjerą. Nawet oddani następcy Deng Xiaopinga nie mogliby pogodzić się z tym ciosem wymierzonym w godność Pekinu, z utratą zaufania na arenie międzynarodowej, z rolą wyprowadzonego w pole rogarza. My też nie pogodzilibyśmy się z faktem, by Generał Motors, IBM lub giełda nowojorska były kierowane przez amerykańskich zdrajców wyszkolonych u Sowieców, lokujących miliardy w przedsięwzięcia nie leżące w naszym narodowym interesie.

- Analogia jest dokładna - wtrącił McAllister pocierając palcami prawą skroń. - Tym właśnie Hongkong stałby się dla Republiki Ludowej - ale w znacznie większym stopniu. Jest jednak jeszcze inny element, nie mniej alarmujący. Chciałbym to teraz poruszyć - jako analityk, który powinien przewidywać reakcje przeciwników, jak również potencjalnych przeciwników...

- Niech się pan streszcza - przerwał Webb. - Mówi pan zbyt dużo, bez przerwy drapie się po głowie i nie podobają mi się pańskie oczy. Przypominają oczy śniętej ryby. Mówił pan za dużo w Maine. Jest pan kłamcą.

- Tak. Rozumiem, co pan ma na myśli i dlaczego pan tak mówi. Ale jestem przyzwoitym człowiekiem, panie Webb. Wierzę w przyzwoitość.

- Ja nie. Już nie. Niech pan mówi. To wszystko jest bardzo pouczające, ale ja nie rozumiem ni cholery, bo nikt dotąd nie powiedział nic, co miałoby jakikolwiek sens. Jaki jest zatem pański udział, kłamco?

- Czynniki zorganizowanej przestępczości. - McAllister przełknął obelgi Dawida i wypowiedział sentencję, którą, miał nadzieję, zrozumieją wszyscy. Ujrzawszy zakłopotanie na twarzach, dodał: - Triady!

- Grupy mafijne w stylu orientalnym - podjęła Marie patrząc na podsekretarza stanu. - Takie przestępcze bractwa. McAllister skinął głową.

- Narkotyki, nielegalna imigracja, hazard, prostytutka, wyłudzenie pieniędzy - wszystkie typowe procedury.

- I nie tylko te typowe - dodała Marie. - Mają swoje własne struktury gospodarcze. Są właścicielami banków - oczywiście tylko pośrednio - w różnych częściach Kalifornii, Oregonu, stanu Waszyngton, a także w Kolumbii Brytyjskiej, w moim kraju. Obracają codziennie milionami dokonując międzynarodowych przelewów.

- Co tylko potęguje kryzys - dodał McAllister z naciskiem.

- Dlaczego? - zaniepokoił się Dawid. - O co panu chodzi?

- Przestępczość, panie Webb. Przywódcy Republiki Ludowej mają obsesję na punkcie przestępczości. Z raportów wynika, że w ciągu ostatnich trzech lat wykonano ponad sto tysięcy egzekucji na ludziach, którzy dopuścili się nie tylko poważnych przestępstw kryminalnych, lecz także drobnych wykroczeń. Jest to typowe dla tego reżimu i stanowi jego podstawy. Wszystkie rewolucje głoszą hasło czystości; czystość sprawy liczy się przede wszystkim. Pekin jest gotów nagiąć się ideologicznie, aby czerpać korzyści z zachodniego rynku, nie pójdzie jednak na żadne ustępstwa, jeżeli pojawi się choćby cień podejrzenia o zorganizowaną przestępczość.

- Mówi pan o nich, jakby stanowili zgromadzenie paranoików - wtrącił Panov.

- Bo nimi są. Nie mogą sobie pozwolić na to, by nimi nie być.

- Ze względów ideologicznych? - zapytał psychiatra z niedowierzaniem.

- Chodzi o liczebność, doktorze. Czystość rewolucji to tylko parawan, ale tym, co ich przeraża, jest liczebność. Olbrzymi, niezmiernie zaludniony kraj z ogromnymi bogactwami... mój Boże, gdyby rozwinęła się tam zorganizowana przestępczość, to z miliardem ludzi w jego granicach - niech pan ani przez chwilę nie myśli, że elity rządzące nie są przerażone tą perspektywą - kraj ten mógłby się stać krajem triad. Wioski, miasteczka i miasta mogłyby zostać podzielone na terytoria kontrolowane przez „rodziny”, które czerpałyby zyski z napływu zachodniego kapitału i technologii. Nastąpiłby gwałtowny wzrost nielegalnego eksportu, co spowodowałoby zalew światowych rynków towarem z przemytu. Narkotyki uprawiane na stokach niezliczonych wzgórz i na polach, najprawdopodobniej poza wszelką kontrolą, broń z nielegalnych fabryk zakładanych za łapówki, wyroby tekstylne z setek podziemnych zakładów, które wykorzystują kradzione maszyny i pracę wieśniaków, paraliżując w ten sposób tę gałąź przemysłu na zachodzie. Przystępczość.

- To ogromny skok w przyszłość, którego nikt nie mógł tu wykonać przez ostatnie czterdzieści lat - rzekł Conklin.

- Kto by się odważył? - zapytał McAllister. - Jeżeli człowiek może zostać skazany na śmierć za kradzież pięćdziesięciu juań, to kto wyciągnie rękę po sto tysięcy? Wymaga to protekcji, organizacji, ludzi na wysokich stanowiskach. Tego właśnie Pekin się obawia i dlatego jest to paranoidalne. Przywódcy panicznie boją się skorumpowanych dygnitarzy. Cała struktura polityczna mogłaby się zachwiać. Liderzy mogliby stracić kontrolę nad sytuacją, a tego nie zaryzykują. Ich obawy są paranoidalne, ale dla nich są one absolutnie realne. Jakakolwiek wzmianka o tym, że potężne ugrupowania przestępcze w zмовie z uczestnikami spisku próbują opanować gospodarkę, byłaby wystarczającym powodem do zerwania porozumień i wysłania wojsk do Hongkongu.

- Pański wniosek jest oczywisty - odezwała się Marie. - Ale gdzie tu logika? Jak mogłoby do tego dojść?

- Właśnie do tego doszło, pani Webb - odrzekł ambasador Havilland. - Dlatego potrzebowaliśmy Jasona Bourne'a.

- Lepiej, żeby ktoś zaczął od samego początku - powiedział Dawid.

Uczynił to dyplomata.

- Wszystko zaczęło się ponad trzydzieści lat temu, kiedy to zdolny, młody człowiek został odesłany z Tajwanu do kraju rodzinnego swojego ojca, gdzie nadano mu nowe nazwisko i znaleziono nową rodzinę. Był to plan dalekosiężny, zrodzony z fanatyzmu i chęci odwetu...

Webb wysłuchał nieprawdopodobnej historii Sheng Chouyanga, opowiedzianej dokładnie, z podaniem faktów, które były niewątpliwie prawdziwe, ponieważ nie istniał już żaden powód, by kłamać. Dwadzieścia siedem minut później, skończywszy opowieść, Havilland wziął do ręki kartonową teczkę z czarną obwódką. Otworzył ją pokazując plik ponad siedemdziesięciu spiętych ze sobą kartek, po czym ponownie ją zamknął i położył przed Dawidem.

- To jest wszystko, co wiemy, wszystko, czego się dowiedzieliśmy - wszystkie szczegóły tego, co powiedziałem. Te materiały nie mogą opuścić tego pomieszczenia, chyba że jako popiół, ale pan może się z nimi zapoznać. Jeżeli będzie pan miał jakieś wątpliwości lub pytania, obiecuję poruszyć wszystkie źródła w rządzie Stanów Zjednoczonych - od Gabinetu Owalnego aż do Rady Bezpieczeństwa Narodowego - by pana zadowolić. Nie mógłbym tego nie zrobić. - Dyplomata przerwał, a jego wzrok zatrzymał się na Webbie. - Być może nie mamy prawa o to prosić, ale potrzebujemy pańskiej pomocy. Potrzebne są nam wszelkie informacje, których mógłby nam pan udzielić.

- Przecież możecie wysłać kogoś, żeby wykończył tego Sheng Chouyanga.

- Zasadniczo tak. Jest to jednak dużo bardziej skomplikowane. Musimy pozostać niewidoczni. Nie możemy wzbudzić nawet najmniejszych podejrzeń. Sheng zamaskował się doskonale. Pekin uważa go za wizjonera, wielkiego patriotę, który niewolniczo pracuje dla swojej chińskiej ojczyzny, niemalże za świętego. Zapewniono mu absolutne bezpieczeństwo. Ludzie, którzy go otaczają, jego doradcy i członkowie ochrony, stanowią jego osobiste oddziały szturmowe, podporządkowane wyłącznie jemu.

- To dlatego potrzebowaliście tego zabójcy - przerwała Marie. - Poprzez niego mogliście dotrzeć do Shenga.

- Wiedzieliśmy, że przyjmował od niego zlecenia. Sheng musiał - musi - wyeliminować swoich przeciwników, zarówno tych, którzy przeciwstawiają mu się ideologicznie, jak i tych, których zamierza wykluczyć ze swoich działań.

- W tej ostatniej grupie - wtrącił McAllister - znajdują się przywódcy rywalizujących triad, którym Sheng nie ufa i którym nie ufają fanatycy z Kuomintangu. Zdaje on sobie sprawę, że jeżeli poczują się odsunięci, może wybuchnąć destabilizująca wojna między gangami, a tego Sheng nie zamierza tolerować, podobnie jak Anglicy agresywnych poczynań Pekinu. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zabito siedmiu przywódców triad, paraliżując ich organizacje.

- Nowy Jason Bourne stanowił dla Shenga znakomite rozwiązanie - ciągnął ambasador. - Kosmopolityczny, najemny morderca bez żadnych politycznych powiązań. Chodziło bowiem przede wszystkim o to, by nie dało się wykryć, że rozkazy pochodzą z Chin.

- Ale on przecież pojechał do Pekinu - sprzeciwił się Webb. - Tam się właśnie na niego natknąłem. Nawet jeśli początkowo miała to być pułapka na mnie, a tak rzeczywiście było...

- Pułapka na pana? - wykrzyknął Havilland. - Oni w i e- d z i e l i o panu?

- Znalazłem się twarzą w twarz z moim „następcą” dwa dni temu na lotnisku. Obaj wiedzieliśmy, kim był ten drugi - niemożliwością było nie wiedzieć. On nie zamierzał robić z tego tajemnicy i narażać się na konsekwencje z powodu niewykonania zlecenia.

- A więc to był pan - przerwał mu McAllister. - Wiedziałem!

- Wiedział też Sheng i jego ludzie. Byłem tam intruzem i należało mnie powstrzymać, zlikwidować za wszelką cenę. Nie mogli ryzykować, że powiązę fakty w jedną całość. Pułapka była przygotowana i zastawiona tej samej nocy.

- Chryste! - krzyknął Conklin. - Czytałem o wydarzeniach na Kai Tak w Waszyngtonie. Gazety podały, że uznano to za działanie skrajnie prawicowych szaleńców. Utrzymać komunistów z dala od kapitalizmu! A tymczasem to byłeś ty?

- Oba rządy musiały coś sprepować dla światowej prasy - dodał podsekretarz. - My też musimy coś powiedzieć o dzisiejszej nocy...

- Mam propozycję - odezwał się Dawid, ignorując McAllistera. -

Ten Sheng sprowadził komandosa, użył go jako pułapki na mnie, lecz tym samym wciągnął go do kręgu wtajemniczonych. Nie ma sposobu, aby ukryty klient mógł trzymać na dystans wynajętego mordercę.

- To tak, jakby nie przewidywał, że morderca wydobędzie się z tego kręgu żywy - dopowiedział

Havilland patrząc na podsekretarza stanu. - Jest to teoria Edwarda, a ja się pod nią podpisuję. Gdyby zlecenie zostało wykonane lub gdyby doszli do wniosku, że morderca zbyt dużo wie i stał się przez to niebezpieczny, zostałby zlikwidowany w chwili odbierania zapłaty - oczywiście byłby przekonany, że otrzymuje następne zlecenie. Nie pozostawiono by żadnych śladów. Wypadki na Kai Tak niewątpliwie przypieczętowały jego wyrok śmierci.

- Nie był dość rozgarnięty, aby to zrozumieć - rzekł Jason Bourne. - Nie miał wyobraźni przestrzennej.

- Co takiego? - spytał ambasador.

- Nic - odparł Webb, znowu wpatrując się w dyplomatę. - Tak więc wszystko, co mi powiedzieliście, było po części prawdą, a po części kłamstwem. Hongkong jest zagrożony, ale nie z powodów, które mi podano.

- Prawdą była nasza wiarygodność, musiał pan uznać fakt, że znaleźliśmy się w obliczu niebywale groźnej sytuacji i mamy podstawy do niepokoju. Kłamstwa były po to, by pana zwerbować. - Havilland oparł się na krześle. - Nie mogę już być bardziej szczerzy.

- Sukinsyny - podsumował Webb niskim, lodowatym tonem.

- Niech będzie - zgodził się Havilland. - Jednakże, jak już wspomniałem, były też okoliczności łagodzące, dwie w szczególności. Kryzys i pan.

- I co? - zapytała Marie.

- Proszę wybaczyć, pani Webb, ale muszę o coś zapytać pana Webba. Gdybyśmy przyszli do pana i przedstawili całą sprawę, czy pan by się zgodził z nami współpracować? Czy dobrowolnie przeistoczyłby się pan znowu w Jasona Bourne'a?

Cisza. Wszystkie oczy zwrócone były na Dawida, który błędził bezwiednie wzrokiem po powierzchni stołu, aż w końcu zatrzymał go na teczce z aktami.

- Nie - powiedział cicho. - Nie ufam wam.

- Wiedzieliśmy o tym - przyznał Havilland kiwając głową. - Ale z naszego punktu widzenia musieliśmy pana zwerbować. Był pan w stanie zrobić to, czego nikt inny nie mógł, i nikt nie zrobiłby tego tak jak pan. Przyznaję, że ta ocena była słuszna. Koszt okazał się straszny, każdy to docenia, ale czuliśmy - ja czułem - że nie ma innego wyboru. Czas i skutki były przeciwko nam - są przeciwko nam.

- Tak jak przedtem - dodał Webb. - Komandos nie żyje.

- Komandos? - McAllister pochylił się do przodu.

- Wasz morderca. Ten oszust. To, co nam zrobiliście, na nic się nie przydało.

- Niekoniecznie - zaprotestował Havilland. - Będzie to zależało od tego, co pan może nam powiedzieć. Wiadomość o śmierci, która miała tutaj miejsce, znajdzie się w nagłówkach jutrzejszych gazet i temu nie możemy zaradzić, ale Sheng nie będzie wiedział, o czyj ą śmierć chodzi. Nie zrobiono żadnych zdjęć, nie było tu w tym czasie nikogo z prasy, a ci, którzy przybyli później, zostali odcięci kordonem policji kilkaset metrów dalej. Będziemy mieli wpływ na informacje, ponieważ my ich dostarczymy.

- A co z ciałem? - zapytał Panov. - Obowiązuje przecież rutynowe postępowanie medyczne.

- Tym zajęli się ludzie z MI 6 - powiedział ambasador. - To jest wciąż terytorium brytyjskie i błyskawicznie nawiązano łączność między Londynem, Waszyngtonem i siedzibą rządu. Twarz mordercy była zbyt zmasakrowana, aby można ją było opisać, a jego zwłoki znajdują się w bezpiecznym miejscu i nikt nie ma do nich dostępu. To był pomysł Edwarda, trzeba przyznać, że miał piekielnie szybki refleks.

- Jest jeszcze Dawid i Marie - upierał się psychiatra. - Zbyt wielu ludzi ich widziało i słyszało.

- Tylko kilka oddziałów piechoty morskiej znajdowało się dostatecznie blisko, aby widzieć i słyszeć dokładnie - powiedział McAllister. - Cały kontyngent zostanie odesłany z powrotem na Hawaje w ciągu godziny razem z dwoma zabitymi i siedmioma rannymi. Opuścili już teren i znajdują się teraz na lotnisku; nie dopuszcza się do nich nikogo. Było dużo zamieszania i paniki. Policja i strażacy zajęci byli gdzie indziej, poza terenem ogrodu. Możemy powiedzieć, co tylko chcemy.

- Wydaje się, że macie to w zwyczaju - skomentował Webb.

- Słyszał pan, co mówił ambasador - bronił się podsekretarz unikając wzroku Dawida. - Uważaliśmy, że nie mamy wyboru.

- Bądź sprawiedliwy w stosunku do siebie, Edwardzie. - Haviland znowu popatrzył na Dawida, podczas gdy zwracał się do podsekretarza. - To ja uważałem, że nie mamy wyboru. Ty zawzięcie protestowałeś.

- Nie miałem racji - powiedział McAllister stanowczo, gdy dyplomata skierował na niego wzrok. - Ale to bez znaczenia - mówił spieszenie dalej. - Teraz musimy postanowić, co powiemy prasie. W konsulacie nie milkną telefony...

- Konsulat? - wtrącił Conklin. - Jakiś zakonspirowany dom!

- Nie było czasu na sporządzenie odpowiedniej umowy najmu dla zachowania pozorów - rzekł ambasador. - W miarę możliwości trzymaliśmy wszystko w tajemnicy i obmyślaliśmy wiarygodną historyjkę. O ile wiem, nie było żadnych pytań, ale raport policyjny powinien zawierać nazwiska właściciela i dzierżawcy. Jak radzi sobie z tym Garden Road, Edwardzie?

- Po prostu utrzymują, że sytuacja nie została dotąd wyjaśniona. Czekają na nas, ale nie mogą już dłużej tego przeciągać. Lepiej będzie coś przygotować, aniżeli pozostawić ludzkim domysłom.

- Bez wątplenia - zgodził się Haviland. - Podejrzewam, że oznacza to, iż masz jakiś pomysł.

- To fortel, ale jeżeli dobrze zrozumiałem pana Webba, chwilowo można by się nim posłużyć.

- O co chodzi?

- Kilkakrotnie użył pan słowa „komandos”. Sądzę, że nie jako metafory. Zabójca był komandosem?

- Byłem. Oficerem, chorym psychicznie, a ściślej mówiąc, ze skłonnościami morderczymi.

- Czy dowiedział się pan, kim on jest, jak się nazywa? Dawid popatrzył surowo na analityka przypominając sobie słowa Allcott-Price'a wypowiedziane tonem perwersyjnego, chorobliwego triumfu... Jeżeli przegram i cała historia nabierze rozgłosu, ilu społecznych wyrzutków podniesie to na duchu? Ilu jest takich „odmieńców”, którzy byliby szczęśliwi mogąc zająć moje miejsce, tak jak ja zająłem twoje? Ten cholerny świat pełen jest Jasonów Bourne'ów. Wystarczy tylko wskazać im kierunek, podsunąć ideę, a natychmiast zaczną działać...

- Nie dowiedziałem się, kim on był - odrzekł Webb.

- Niemniej był komandosem.

- To prawda.

- Ale nie z Rangers, Zielonych Beretów czy Sił Specjalnych...

- Nie.

- Rozumiem więc, że ma pan na myśli Brytyjczyka.

- Tak.

- W takim razie ogłosimy wersję, która będzie całkowicie sprzeczna z tą charakterystyką. Nie Anglik, żadnych wzmianek o służbie wojskowej - pójdziemy w przeciwnym kierunku.

- Biały Amerykanin - spokojnie odezwał się Conklin patrząc na podsekretarza stanu nie bez pewnego podziwu. - Niech pan mu doda nazwisko i życiorys z akt kogoś zmarłego. Najlepiej jakiegoś nic nie znaczącego psychopaty, tak porywczego, że ścigając kogoś mógłby dotrzeć aż tutaj.

- Coś w tym rodzaju, choć może niezupełnie - odrzekł McAllister zmieniając niezgrabnie pozycję na krześle, jak gdyby nie chciał się sprzeciwić doświadczonemu agentowi CIA. - Biały mężczyzna - tak. Amerykanin - tak. Z pewnością człowiek z tak silną obsesją, że doprowadził do masowej rzezi, a jego furia skierowana była przeciwko komuś, kto, jak pan powiedział, znajdował się tutaj.

- Przeciwno komu? - zapytał Dawid.

- Mnie - odrzekł McAllister, a jego wzrok napotkał wzrok Webba.

- Czyli że to ja - stwierdził Dawid. - Ja jestem tym człowiekiem, tym opętanym człowiekiem.

- Nie użyjemy pańskiego nazwiska - ciągnął podsekretarz spokojnie i obojętnie. - Możemy wymyślić jakiegoś amerykańskiego zbiega, który kilka lat temu poszukiwany był przez władze po całym Dalekim Wschodzie za różnego rodzaju przestępstwa, od wielokrotnych morderstw poczynając, a na przemyśle narkotyków kończąc. Powiemy, że współpracowałem z policją w Hongkongu, Makau, Singapurze, Japonii i Malezji, na Sumatrze i Filipinach. Dzięki moim wysiłkom udało się ukrócić jego działalność i on stracił na tym miliony. Dowiaduje się, że wróciłem do Hongkongu i przebywam na Yictoria

Peak. Dociera więc aż tutaj, chcąc się zemścić na człowieku, który go zrujnował. - McAllister przerwał, po czym zwrócił się do Dawida. - Ponieważ spędziłem tu, w Hongkongu, wiele lat, nie wyobrażam sobie, aby Pekin mnie nie zauważył. Jestem pewien, że istnieje grube dossier dotyczące pewnego analityka, który przysporzył sobie wielu wrogów, pełniąc tu swoje obowiązki. Napytałem sobie wrogów, panie Webb. Na tym polegała moja praca. Próbowaliśmy zwiększyć nasze wpływy w tej części świata i jeśli Amerykanie byli gdziekolwiek uwikłani w przestępczą działalność, wykorzystując swoją pozycję starałem się zawsze pomóc władzom w ich ujęciu lub przynajmniej w wydaleniu z Azji. Był to najlepszy sposób, aby pokazać nasze dobre chęci, pilnując naszych własnych obywateli. Z tego też powodu zostałem odwołany przez rząd do Waszyngtonu. Dzięki mojemu nazwisku postać Sheng Chouyanga nabrała pewnej wiarygodności. Widzi pan, my się znaliśmy. Będzie snuł dziesiątki domysłów, i liczę na to, że wyciągnie prawidłowe wnioski, ale żaden z nich nie będzie w najmniejszym stopniu związany z brytyjskim komandosem.

- Prawidłowy wniosek - przerwał Conklin spokojnie - byłby taki, że nikt nie usłyszy tutaj o

prawdziwym Jasonie Bourne w ciągu kilku lat.

- Właśnie.

- Czyli że to ja jestem tym ciałem, które znajduje się w bezpiecznym miejscu - stwierdził Webb.

- To całkiem możliwe - przyznał McAllister. - Widzi pan, nie mamy pojęcia, co Sheng wie i jak daleko potrafił dotrzeć. Chcemy jedynie go przekonać, że zabity mężczyzna nie jest jego zabójcą.

- Otwierając w ten sposób drogę dla innego oszusta, który dotrze z powrotem do Shenga i wystawi go na strzał - dodał Conklin z uznaniem. - Łebski z pana facet, panie analityku, chociaż kawał sukinsyna.

- Naraziłbyś się na niebezpieczeństwo, Edwardzie - powiedział Havilland spoglądając na podsekretarza. - Nigdy tego od ciebie nie wymagałem. Ty faktycznie masz wrogów.

- Chcę to zrobić właśnie tak, panie ambasadorze. Po to mnie pan zatrudnia, abym wypowiadała swoje opinie, a według mnie to najlepszy sposób. Musi być jakaś przekonująca zasłona dymna. Dla Shenga może nią być moje nazwisko. Resztę można ubrać w niejasne słowa, ale tak, by mogli nas zrozumieć ci, do których mamy dotrzeć.

- Niech będzie - powiedział Webb przymykając oczy i słysząc słowa, które Jason Bourne wypowiadał tak często.

- Dawidzie... - Marie dotknęła jego twarzy.

- Przepraszam. - Webb otworzył leżącą przed nim kartotekę. Na pierwszej stronie znajdowała się fotografia z wydrukowanym poniżej nazwiskiem. Miała to być twarz Sheng Chouyanga, ale było to coś znacznie więcej. To była ta twarz! Twarz rzeźnika! Twarz szaleńca, który zarąbał na śmierć kobiety i mężczyzn swoim wysadzaniem klejnotami, obrzędowym mieczem, który zmuszał braci do walki na ostre jak brzytwa noże, dopóki jeden z nich nie zabił drugiego, szaleńca, który jednym cięciem w głowę pozbawił życia dzielnego, umęczonego Echa. Bourne wstrzymał oddech, doprowadzony do wściekłości nieprawdopodobnym okrucieństwem, gdy w jego pamięci ożyły krwawe obrazy. Patrząc na fotografię, widział Echo oddającego życie, by uratować Deltę i znowu znajdował się na leśnej polanie. Delta wiedział, że to właśnie śmierć Echa umożliwiła mu ujęcie zabójcy. Echo umarł z godnością; godząc się na okrutną egzekucję dał szansę ucieczki towarzyszowi z „Meduzy”, a swoim ostatnim gestem powiedział mu, że szaleniec z mieczem musi zginąć!

- Czy to o n - wyszeptał Jason Bourne - jest synem pańskiego nieznanego taipana?

- Tak - odrzekł Havilland.

- Pański czcigodny książę filozof? Chiński święty, którego nikt nie może zdemaskować?

- Tak.

- Myliliście się! On się pokazał. Na Chrystusa, pokazał się! Oszołomiony ambasador rzucił się do przodu.

- Jest pan pewien?

- Bardziej niż kiedykolwiek.

- Okoliczności musiały być zatem niezwykle - rzekł zdziwiony McAllister. - To tylko potwierdza, że oszust nigdy nie wyszedłby z tego żywy. Niemniej sytuacja musiała być dla niego krytyczna!

- Biorąc pod uwagę fakt, że poza Chinami nikt o nich nie słyszał, to rzeczywiście była. Mauzoleum Mao zamieniło się w strzelnicę. Było to częścią pułapki i oni przegrali. Echo przegrał.

- Kto? - zapytała Marie, nadal ściskając go za rękę.

- Przyjaciel.

- Mauzoleum Mao? - powtórzył Havilland. - Niezwykłe!

- Bynajmniej - powiedział Bourne. - To bardzo sprytne. Ostatnie miejsce w Chinach, gdzie można by się spodziewać ataku. Jest przekonany, że jako myśliwy ścigający zwierzynę będzie mógł ją pochwyć na zewnątrz, po drugiej stronie. Światła są przyćmione, czujność słabnie. I cały czas człowiek jest jak zwierzyna, ścigana, opuszczona, wystawiona na strzał. Bardzo sprytne.

- I bardzo niebezpieczne dla myśliwych - rzekł ambasador. - Dla ludzi Shenga; Jeden fałszywy krok i mogliby wpaść. Szaleństwo!

- Żaden fałszywy krok nie był możliwy. Sami wykończyliby swoich, gdybym ja tego nie zrobił. Teraz to rozumiem. Gdy wszystko się zawaliło, oni po prostu zniknęli. Razem z Echem.

- Wróćmy do Shenga, panie Webb. - Havillandowi nie dawało to spokoju. W jego oczach widać było prośbę. - Proszę nam powiedzieć, co pan widział i co pan wie.

- To potwór - zaczął Jason spokojnie, a jego oczy stały się szkliste, gdy patrzył na fotografię. - Rodem z piekła, Savonarola, który torturuje i zabija - mężczyzn, kobiety i dzieci - a robi to z uśmiechem na twarzy. Wygłasza kazania jak prorok, przemawia do dzieci, ale pod tym wszystkim kryje się maniak, który rządzi swoim gangiem wykolejeńców za pomocą terroru. Oddziały szturmowe, o których pan wspomniał, to nie żadne oddziały, lecz bandy chuliganów, sadystycznych zbirów, którzy nauczyli się swego rzemiosła od samego mistrza. On jest jak Oświęcim, Dachau i Bergen Belsen razem wzięte. Boże, miej nas wszystkich w opiece, jeżeli zechce coś tutaj zorganizować.

- Może to zrobić, panie Webb - powiedział cicho Havilland, utkwivszy przerażone spojrzenie w Jasonie Bourne. - I robi to. Opisał pan właśnie takiego Sheng Chouyanga, jakiego świat nigdy nie widział, a obecnie jest on najpotężniejszym człowiekiem w Chinach. Jak Adolf Hitler wkroczył zwycięsko do Reichstagu, tak Sheng wkroczy do Komitetu Centralnego i uczyni go swoją marionetką. To, co pan nam powiedział, jest o wiele bardziej przerażające aniżeli wszystko, co byliśmy w stanie sobie wyobrazić. - Chiny przeciwko Chinom... A potem Armageddon. O, mój Boże!

- To brutalne zwierzę - powiedział Jason chrapliwym szeptem. - On musi zabijać jak drapieżnik, jedynym głodem, jaki odczuwa, jest zabijanie - nie dla pożywienia, lecz dla samego uśmiercania.

- Mówi pan ogólnikami - przerwał McAllister chłodno i stanowczo. - Musimy wiedzieć więcej. - Ja muszę wiedzieć więcej!

- Zwołał konferencję - Bourne mówił niewyraźnie, kołysząc głową, ze wzrokiem utkwionym w fotografię. - Zaczynają się noce długiego ostrza, powiedział. Znalazł się zdrajca, powiedział. Ta konferencja to było coś, co mogło powstać tylko w umyśle szaleńca, z pochodniami, zorganizowana gdzieś na prowincji, o godzinę drogi z Pekinu, w rezerwacie ptaków - czy możecie w to uwierzyć? Rezerwat ptaków - a on rzeczywiście zrobił to, co powiedziałem. Zabił człowieka zawieszono na linach, wbijając swój miecz w przeraźliwie krzyczące ciało. Potem kobietę, która próbowała udowodnić swoją niewinność, obcinając jej głowę - jej głowa! Na oczach wszystkich! A potem dwóch braci...

- Zdrajca? - szepnął McAllister, niestrudzony analityk. - Czy on go znalazł? Czy ktoś się przyznał? Czy jest tam jakaś opozycja?

- Skończcie z tym! - krzyknęła Marie.

- Nie, pani Webb! On tam wraca. Przeżywa to na nowo. Proszę na niego spojrzeć! Czy pani nie widzi? On jest tam.

- Obawiam się, że nasz denerwujący kolega ma rację, Marie - powiedział łagodnie Panov, obserwując Webba. - Raz jest tam, raz tutaj, usiłując odnaleźć swoją własną rzeczywistość. Wszystko jest w porządku. Niech w tym trwa. To może nam wszystkim zaoszczędzić mnóstwo czasu.

- Gówno!

- Zawsze trafne, moja droga, i zawsze dyskusyjne. Ucisz się.

- ...Nie było zdrajcy, nikt się nie odezwał, tylko kobieta, która miała wątpliwości. Zabił ją i nastąpiła cisza, okropna cisza. Ostrzegali wszystkich mówiąc, że oni są wszędzie i że jednocześnie nie ma ich nigdzie. W ministerstwach, w Służbie Bezpieczeństwa, wszędzie... I wtedy zabił Echo, lecz Echo wiedział, że musi umrzeć. Chciał umrzeć szybko, ponieważ i tak nie mógłby dłużej żyć. Po torturach, jakie mu zadali, był w okropnym stanie! Jednak, gdyby dał mi czas...

- Kto to jest Echo, Dawidzie? - zapytał Morris Panov. - Powiedz nam, proszę.

- Alfa, Bravo, Charlie, Delta, Echo... Fokstrot...

- „Meduza” - domyślił się psychiatra. - To „Meduza”, prawda? Echo był w „Meduzie”.

- On był w Paryżu. Luwr. Próbował uratować mi życie, ale to ja uratowałem jego życie. To było w porządku, było słuszne. On ocalił mnie przedtem, przed laty. „Odpoczynek jest bronią”, powiedział. Kazał innym stanąć wokół, a mnie zmusił do spania. I wtedy wydostaliśmy się z dżungli.

- „Odpoczynek jest bronią” - powiedziała Marie cicho, ściskając rękę swego męża; spod jej przymkniętych powiek spływały łzy. - O, Chryste!

- ...Echo zobaczył mnie w lesie. Użyliśmy starych sygnałów sprzed lat. On nie zapomniał. Żaden z nas nigdy nie zapomina.

- Czy jesteśmy teraz na wsi, w rezerwacie ptaków, Dawidzie? - zapytał Panov chwytając McAllistera za ramię, aby nie przerywał.

- Tak - odparł Jason Bourne błędząc niewidzącym wzrokiem. - Obaj wiemy. On ma umrzeć. To takie proste, takie oczywiste - umrzeć, śmierć. Koniec. Zyskać na czasie, zdobyć kilka cennych minut. Wtedy może uda mi się to zrobić.

- Zrobić co, Delto? - Panov wymówił imię z lekkim naciskiem.

- Wykończyć skurwysyna. Wykończyć tego rzeźnika. On nie zasługuje na to, aby żyć, nie ma prawa żyć. Zbyt łatwo przychodzi mu zabijanie, robi to z uśmiechem na twarzy. Echo to widział. Ja to widziałem. To się dzieje teraz - wszystko dzieje się naraz. Wybuchy w lesie, wszyscy biegają, krzyczą. Mogę to zrobić teraz! Stanowi idealny cel. Widzi mnie! Wpatruje się we mnie! Wie, że jestem jego wrogiem. Jestem twoim wrogiem, rzeźniku! Moja twarz będzie ostatnią, jaką będziesz oglądał!... Coś nie tak? Coś jest nie w porządku! On się zasłania! Wypycha kogoś przed siebie! Muszę się stąd wydostać. Nie mogę tego zrobić!

- Nie mogę czy nie zrobię? - zapytał Panov wychylając się do przodu. - Jesteś Jasonem

Bourne'em czy Dawidem Webbem? Kim jesteś?

- Delta! - ryknęła ofiara ogłuszając wszystkich przy stole swoim wybuchem. - Jestem Delta! Jestem Bourne! Kain to Delta, a Carlos to Kain! - Mężczyzna, kimkolwiek był, osunął się na krzesło, a jego głowa opadła na piersi. Zamilkł.

Trwało to kilka minut - nikt nie wiedział jak długo, nikt nie mierzył czasu - zanim mężczyzna, który nie był w stanie ustalić swojej tożsamości, podniósł głowę. Jego oczy były teraz na wpół wyzwolone, jednak było w nich jeszcze widać męczarnie, które przeżywał.

- Przepraszam - powiedział Dawid Webb. - Nie wiem, co się ze mną działo. Proszę mi wybaczyć.

- Nie przepraszaj, Dawidzie - rzekł Panov. - Wróciłeś tam. To zrozumiałe. Wszystko w porządku.

- Tak, wróciłem. To szaleństwo, czyż nie?

- Wcale nie - odrzekł psychiatra. - To zupełnie naturalne.

- Muszę tam wrócić, to także zrozumiałe, prawda, Mo?

- Dawidzie - krzyknęła Marie obejmując go.

- Muszę - powtórzył Jason Bourne, delikatnie ujmując jej dłonie. - Nikt inny nie może tego zrobić - to proste. Znam szyfry. Znam drogę... Echo oddał za mnie swoje życie, wierząc, że ja to zrobię. Że zabiję rzeźnika. Wtedy zawiodłem. Teraz nie zawiodę.

- A co znam i? - Marie objęła go kurczowo ramionami, jej głos odbijał się echem od białych ścian. - Czy m y się nie liczymy?

- Wrócę, obiecuję ci - odparł Dawid uwalniając się z jej objęć i patrząc jej prosto w oczy. - Ale najpierw muszę tam wrócić, czy tego nie rozumiesz?

- Dla tych ludzi? Tych kłamców!

- Nie, nie dla nich. Dla kogoś, kto chciał żyć - ponad wszystko. Nie znałaś go; on zawsze wychodził cało z każdej sytuacji. Wiedział jednak, że tym razem nie warto ratować własnego życia za cenę mojej śmierci. Ja musiałem żyć i zrobić to, co do mnie należało. Musiałem żyć i wrócić do ciebie, o tym również wiedział. Dokonał bilansu i podjął decyzję. Gdzieś tam na naszej drodze każdy z nas musi podejmować tego rodzaju decyzje. - Bourne zwrócił się do McAllis-tera: - Czy jest tu ktoś, kto może zrobić zdjęcie zwłok?

- Czyich? - zapytał podsekretarz.

- Moich - odrzekł Jason Bourne.

ROZDZIAŁ 34

Przerażające zdjęcie zostało wykonane na białym konferencyjnym stole przez technika z zakonspirowanego domu i pod wyraźnie niechętnym nadzorem Morrisa Panova. Ciało Webba przykryto pokrwawionym, białym prześcieradłem, które odwinęto przy szyi, tak że widać było jego pokrytą krwawymi pręgami twarz, szeroko otwarte oczy i wyraźne rysy.

- Wywołaj rolkę jak najszybciej i przynieś mi odbitki - polecił Conklin.

- Za dwadzieścia minut - rzekł technik, kierując się ku drzwiom w chwili, gdy McAllister wchodził do pokoju.

- Co się dzieje? - zapytał Dawid siadając na stole. Marie krzywiąc się wycierała mu twarz mokrym, ciepłym ręcznikiem.

- Ludzie z obsługi prasowej konsulatu porozumieli się z dziennikarzami. Powiedzieli, że wydadzą oświadczenie mniej więcej za godzinę, gdy tylko ustalą się wszystkie fakty. Teraz nad nim pracują. Podałem im scenariusz i pozwoliłem, aby użyto mego nazwiska. Opracują go używając typowych dla nich, mętnych sformułowań i przedstawią nam przed opublikowaniem.

- Czy wiadomo coś o Linie Wenzu? - zapytał agent CIA.

- Jest wiadomość od doktora. Jego stan jest nadal krytyczny, ale jakoś się trzyma.

-- A co z tymi dziennikarzami na ulicy? - zapytał Havilland. - Prędzej czy później musimy ich tu wpuścić. Im dłużej będziemy zwlekać, tym więcej damy im powodów do myślenia, że coś ukrywamy. A na to również nie możemy sobie pozwolić.

- Teren jest nadal ogrodzony liną - powiedział McAllister. - Rozpuściłem pogłoskę, że policja - podejmując wielkie ryzyko - oczyszcza tę posiadłość z niewypałów. W takich okolicznościach reporterzy będą bardzo spokojni. Nawiasem mówiąc, w tym komunikacie dla prasy przygotowanym przez ludzi z konsulatu kazałem podkreślić fakt, że człowiek, który dokonał ataku na dom, był najwyraźniej ekspertem w dziedzinie burzenia.

Jason Bourne, który wśród meduzyjczyków był jednym z najbardziej biegłych w sztuce niszczenia, spojrział na McAllistera. Podsekretarz odwrócił wzrok.

- Muszę się stąd wydostać - powiedział Jason. - Muszę dotrzeć do Makau tak szybko, jak to możliwe.

- Dawidzie, na litość boską! - powiedziała Marie niskim, napiętym głosem; stała przed swoim mężem, patrząc na niego.

- Wiele bym dał, żeby nie musiało tak być - powiedział Webb schodząc ze stołu. - Wiele bym dał, żeby tak nie było - powtórzył cicho - ale tak jest. Muszę być na miejscu. Muszę dotrzeć do Shenga, zanim cała historia pojawi się w porannej prasie i zanim ukaże się to zdjęcie potwierdzające wiadomość, którą wysyłam kanałami nie znanymi w jego przekonaniu nikomu. Musi uwierzyć, że jestem jego mordercą, człowiekiem, którego zamierzał zabić, a nie Jasonem Bourne'em z „Meduzy”, który usiłował zabić go w tamtej leśnej dolinie. Powinien otrzymać wiadomość ode mnie - od człowieka, za którego mnie uważa - zanim dotrą do niego inne informacje. A to dlatego, że wiadomość, którą mu przesyłam, jest ostatnią rzeczą, jaką chciałby usłyszeć. Wszystko inne nie będzie miało znaczenia.

- Przynęta - powiedział Aleks Conklin. - Jeśli chcesz, aby mistyfikacja się udała, dostarcz mu najpierw jakąś alarmującą informację, ponieważ gdy będzie oszołomiony i zaabsorbowany, uwierzy w wydrukowaną oficjalną wersję, szczególnie kiedy zobaczy zdjęcie w gazetach.

- Co zamierza mu pan przekazać? - spytał ambasador, tonem głosu dając do zrozumienia, że nie podoba mu się perspektywa utraty kontroli nad tą najbardziej ponurą z akcji.

- To, co wy mi powiedzieliście. Częściowo prawdę, a częściowo kłamstwo.

- Niech pan to jaśniej sformułuje, panie Webb - nalegał Havilland stanowczo. - Wiele panu zawdzięczamy, ale...

- Zawdzięczacie mi tyle, że nie możecie mi się wypłacić - przerwał ostro Jason Bourne. - Chyba że palnie pan sobie w łeb tutaj na moich oczach.

- Rozumiem pański gniew, jednak muszę nalegać. Nie zrobi pan niczego, co mogłoby narazić na niebezpieczeństwo życie pięciu milionów ludzi lub żywotne interesy rządu Stanów Zjednoczonych.

- Cieszę się, że ustalił pan właściwą kolejność - chociaż raz. W porządku, panie ambasadorze, powiem panu. To samo bym panu powiedział, gdyby miał pan na tyle przyzwoitości, aby przyjść do mnie i przedstawić waszą sprawę. Dziwię się, że nigdy nie wpadło to panu do głowy - nie, nie dziwię się, jestem zaskoczony - chociaż chyba nie powinienem. Wierzy pan w swoje wyrafinowane zabiegi i podstępny, które może pan stosować dzięki posiadanej przez siebie władzy... uważa pan zapewne, że uprawnia pana do tego niepospolity intelekt lub coś w tym rodzaju. Niczym się pan nie różni od innych. Znajduje pan przyjemność w zawłościach - i w swojej ich interpretacji - więc nie może pan nawet dostrzec, kiedy prosta droga jest o niebo skuteczniejsza.

- Czekam, aby mnie poinformowano - rzekł chłodno Havilland.

- Niech będzie - powiedział Bourne. - Bardzo uważnie słuchałem pańskich wywodów. Zadał pan sobie niemało trudu, aby wyjaśnić, dlaczego nikt nie mógł oficjalnie dotrzeć do Shenga i powiedzieć mu tego, co wiecie. Nie było to pozbawione racji. Zaśmiałyby się wam w twarz, plunął w oczy lub, jak pan woli, kazał kręcić bicze z piasku. Zapewne tak by zrobił. On ma wpływy. Wy wytaczacie swoje ważne zarzuty, on zaś chce doprowadzić do tego, aby Pekin wycofał się z porozumień w sprawie Hongkongu. Przegrywacie. Staracie się go wyeliminować prowadząc zakulisowe rozgrywki, bez powodzenia. Znowu przegrywacie. Nie macie przeciwko niemu żadnych dowodów prócz słów kilku zabitych, którym poderżnięto gardła, członków Kuomintangu, którzy powiedzieliby wszystko, by skompromitować działaczy partyjnych w Republice Ludowej. On się uśmiecha i bez stów daje wam do zrozumienia, że lepiej będzie, jeżeli zgodzicie się z nim współpracować. Według waszej oceny współpraca jest niemożliwa ze względu na zbyt wielkie ryzyko - jeżeli przyjdzie czas na Shenga, cały Daleki Wschód pograży się w wojnie. Co do tego również mieliście rację, ale gdyby miało do tego dojść, to raczej z powodów, które podał nam Edward, a nie pan. Pekin mógłby prawdopodobnie przymknąć oczy na skorumpowaną komisję, tolerując przez pewien czas zachłanność, nie pozwoli jednak, aby rozrastająca się chińska mafia przenikała do przemysłu, do warstw pracujących czy do rządu. Tak jak powiedział Edward, mogliby stracić posady...

- Nadal czekam, panie Webb - przypomniał dyplomata.

- W porządku. Zwerbowaliście mnie, ale zapomnieliście o Tread-stone-71, niczego was to nie nauczyło. Wysłać zabójcę, żeby schwytać innego zabójcę.

- To jedyna rzecz, o której nie zapomnieliśmy - przerwał mu zdziwiony dyplomata. - Wszystko na tym oparliśmy.

- Lecz z niewłaściwych powodów - odparował ostro Bourne. - Istniał lepszy sposób, aby dotrzeć do Shenga i go zgładzić. Ja nie byłem do tego potrzebny. Ani moja żona! Ale pan na to nie wpadł. Pański niepospolity umysł musiał wszystko skomplikować.

- Cóż to takiego, na co ja nie wpadłem, panie Webb?

- Wysłać spiskowca, żeby schwytał innego spiskowca. Nieoficjalnie... Teraz jest już na to za późno, ale to właśnie bym panu powiedział.

- Nie wydaje mi się, aby pan mi cokolwiek powiedział.

- Po części prawda, po części kłamstwo - pańska strategia. Do Shenga wysyła się kuriera, najlepiej jakiegoś zgrzybiałego starca, którego opłacił ślepiec i któremu przekazano informację przez telefon. Żadnych dających się wysledzić źródeł. Ma on dostarczyć ustną wiadomość przeznaczoną tylko dla uszu, tylko dla uszu Shenga, nic nie jest zapisane na papierze. Wiadomość zawiera dostatecznie dużo prawdy, aby sparaliżować Shenga. Powiedzmy, że osoba, która ją wysyła, jest z Hongkongu. Jest to człowiek, któremu w razie niepowodzenia planu Shenga grozi utrata milionów, lecz jest dość sprytny i jednocześnie na tyle wystraszony, by nie podawać swego nazwiska. Wiadomość mogłaby zawierać jakąś wzmiankę o przeciekach, zdrajcach w salach konferencyjnych lub wykluczonych triadach, które tworzą wspólny front właśnie dlatego, że zostały odsunięte - o tych wszystkich sprawach, które waszym zdaniem z pewnością będą miały miejsce. A więc prawda. Sheng musi to zbadać, nie może postąpić inaczej. Za pośrednictwem łączników organizuje spotkanie. Konspirator z Hongkongu dba o własne bezpieczeństwo tak samo jak Sheng, a ponieważ jest równie przebiegły, domaga się spotkania na neutralnym gruncie.

Tak też zostaje ustalone. To jest pułapka. - Bourne przerwał, patrząc na McAllistera. - Nawet podrzędny dywersant dałby sobie z tym radę.

- Bardzo inteligentnie i fachowo - przyznał ambasador. - I z imponującym rozmachem. Tylko gdzie znajdziemy w Hongkongu takiego konspiratora?

Jason Bourne przypatrywał się uważnie starszemu politykowi, wyraz jego twarzy graniczył z pogardą. - Pan go stworzył - powiedział. - I to będzie kłamstwo.

Havilland i Conklin pozostali sami w pokoju o białych ścianach. Siedzieli na przeciwległych krańcach stołu konferencyjnego spoglądając na siebie. McAllister i Morris Panov udali się do biura podsekretarza, by tam używając specjalnych telefonów posłuchać, jak wypadł fikcyjny portret amerykańskiego mordercy stworzony przez ludzi z konsulatu na użytek prasy. Panov zgodził się dostarczyć odpowiedniej terminologii z zakresu psychiatrii, która ponadto wskazywałaby na powiązania zabójcy z Waszyngtonem. Dawid Webb poprosił, aby pozwolono mu zostać sam na sam z żoną aż do czasu, kiedy będzie musiał wyjechać. Zaprowadzono ich do pokoju na górze;

nikomu nie przyszło do głowy, że jest to sypialnia. Były to po prostu drzwi do pustego pokoju w południowej części starego wiktoriańskiego domu, z dala od strażaków i ruin północnego skrzydła. McAllister zdecydował, że Webb wyjedzie za piętnaście minut lub nawet wcześniej. Jason Bourne i podsekretarz zostaną odwiezieni samochodem na lotnisko Kai Tak. Aby zyskać na czasie, a także dlatego, że wodoloty przestawały kursować o dziewiątej wieczorem, polecą do Makau helikopterem sanitarnym, jako nadzorujący transport leków dla szpitala Kiang Wu na Rua Coelho Do Amaral, dzięki czemu unikną wszelkiej kontroli na granicy.

- To by się nie udało - odezwał się Havilland patrząc na Conklina.

- Co mianowicie? - zapytał człowiek z Langley, wyrwany z rozmyślań przez dyplomatę. - Co

Dawid panu powiedział?

- Sheng nigdy by się nie zgodził spotkać z kimś, kogo nie zna, z kimś, kto by nie ujawnił swego nazwiska.

- To zależy, jak sprawa zostałaby przedstawiona. Tak się zawsze dzieje w podobnych wypadkach. Jeżeli informacja jest rzeczywiście alarmująca, a fakty prawdziwe, adresat nie ma zbyt dużego wyboru. Nie może wypytywać posłańca - on nic nie wie - musi więc próbować dotrzeć do źródła. Tak jak ujął to Webb, nie może postąpić inaczej.

- Webb? - zapytał obojętnie ambasador marszcząc brwi.

- Bourne, Delta. Kto to, u diabła, wie? Strategia jest słuszna.

- Jednak zbyt łatwo można się przeliczyć, zbyt wiele jest szans na zrobienie niewłaściwego kroku, kiedy jedna ze stron wymyśla sobie mityczną postać.

- Niech pan to powie Jasonowi Bourne'owi.

- Inne okoliczności. W Treadstone działał zapaleniak, agent--prowokator, który ścigał Szakala, człowiek opętany, podejmujący największe ryzyko, ponieważ tak był wyszkolony, a poza tym zbyt długo stosował przemoc, by z niej zrezygnować. Nie chciał zrezygnować. Nie było dla niego innej roli.

- To akademickie - powiedział Conklin - i nie sądzę, że ma pan odpowiednie argumenty, by z nim dyskutować. Wysłał go pan z misją bez żadnych szans powodzenia, a on wraca z pojmanym mordercą - i znajduje pana. Skoro powiedział, że można to było zrobić w inny sposób, to prawdopodobnie ma rację i nie może pan temu zaprzeczyć.

- Mogę natomiast powiedzieć - rzekł Havilland opierając ręce na stole i nie spuszczać wzroku z agenta CIA - że to, co zrobiliśmy, jednak było udanym pociągnięciem. Straciliśmy zabójcę, ale zyskaliśmy zapaleńca, a nawet opętanego prowokatora. Od początku stanowił on naszą najkorzystniejszą alternatywę, lecz nigdy, ani przez chwilę, nie przypuszczaliśmy, że podjąłby się tego zadania z własnej woli. A teraz nie pozwoli tego zrobić nikomu innemu, uważając, że to jemu należy się wyłączne prawo. Tak więc w rezultacie mieliśmy rację -ja miałem rację. Trzeba wprawić siły w ruch doprowadzając do starcia - i obserwować, będąc gotowym zatrzymać akcję, zabić, jeśli trzeba, wiedząc jednocześnie, że im bardziej piętrzą się przeszkody, im bardziej przeciwnicy stają się dla siebie niebezpieczni, tym szybciej nastąpi rozwiązanie. W końcu - to ich nienawiść, podejrzania i namiętności rodzą w nich tę przemoc - i robota jest wykonana. Można stracić własnych ludzi, lecz warto ponieść tę stratę, by zniszczyć przeciwnika, zdemaskować go.

- Pan również ryzykuje ujawnienie swojego udziału, tej ręki, która, jak pan twierdzi, musi pozostać niewidoczna.

- Jak to?

- Ponieważ to jeszcze nie koniec. Przypuśćmy, że Webbowi się nie uda. Powiedzmy, że go złapią, a może się pan założyć o swój wytworny tyłek, że wydadzą rozkaz, aby wziąć go żywcem. Kiedy człowiek pokroju Shenga zobaczy, że zastawiono na niego pułapkę, będzie chciał się dowiedzieć, kto za tym stoi. Jeżeli nie wystarczy wyrwanie jednego lub dziesięciu paznokci - a prawdopodobnie nie wystarczy - wycisną z Webba wszystkie soki, aby dowiedzieć się, kto go przysyła. A on słyszał wszystko, co pan mu powiedział...

- Aż po samo sedno sprawy, w co rząd Stanów Zjednoczonych nie może być zamieszany -

przerwał dyplomata.

- Zgadza się, ale on nie będzie w stanie sobie z tym poradzić. Środki chemiczne wszystko z niego wyciągną. Pańska ręka zostanie odkryta, jak również fakt, że Waszyngton j e s t w to zamieszany.

- Przez kogo?

- Przez Webba, na litość boską! Przez Jasona Bourne'a, jeśli pan woli.

- Przez człowieka z historią choroby umysłowej, z adnotacjami o skłonnościach do ślepej agresji i samooszukiwania? Paranoicznego schizofrenika, którego natrętne telefony świadczą o tym, iż jest to człowiek tracący zmysły, wysuwający szaleńcze oskarżenia i rzucający wściekłe groźby pod adresem tych, którzy chcą mu pomóc? - Havilland przerwał, po czym dodał ciszej: - Proszę mnie posłuchać, panie Conklin, taki człowiek nie reprezentuje rządu Stanów Zjednoczonych. Bo jakżeby mógł? Szukamy go wszędzie. Jest jak bez-rozumna bomba zegarowa, węsząca spisek, gdziekolwiek skieruje się jego chory, udręczony umysł. Chcemy ponownie poddać go terapii. Podejrzewamy również, że z powodu swej dawnej działalności wyjechał z kraju z fałszywym paszportem...

- Terapia...? - wtrącił Aleks zaskoczony słowami starego człowieka. - Dawna działalność?

- Oczywiście, panie Conklin. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, jesteśmy skłonni przyznać - wykorzystując w tym celu gorącą linię Shenga - że Webb pracował swego czasu dla rządu, co naraziło go na poważne szkody. Lecz obecnie niemożliwe jest, aby miał jakiegokolwiek oficjalne poparcie. No bo jakim sposobem? Ten nieszczęsny, porywczy człowiek być może jest odpowiedzialny za śmierć żony, która, jak utrzymuje, zniknęła.

- Marie? Użylibyście Marie?

- Musielibyśmy. Ona jest związana przysięgą z ludźmi, którzy znali Webbajako psychicznie chorego pacjenta i starali się mu pomóc.

- O, Jezu! - szepnął Aleks oszołomiony słowami wyrachowanego, dokładnego, podstarzałego dyplomaty od tajnych operacji. - Powiedział mu pan wszystko, ponieważ miał pan swoje własne cele. Nawet gdyby go schwytano, mógłby pan ochronić swój tyłek zasłaniając się oficjalną przysięgą czy diagnozą psychiatrów - wyłączając z tego swoją osobę! O, Boże, ty sukinsynu!

- Powiedziałem mu prawdę, ponieważ zorientowałby się, gdybym usiłował znowu go okłamać. McAllister posunął się oczywiście dalej, kładąc nacisk na czynnik zorganizowanej przestępczości, co oczywiście stanowi prawdziwy problem, lecz jednocześnie jest to na tyle drażliwa kwestia, że ja osobiście wolałbym jej nie poruszać. Nikt tego nie robi. Nie powiedziałem wtedy Edwardowi całej prawdy. On nie potrafi pogodzić swoich norm etycznych z wymaganiami, jakie stawia przed nim jego praca. Jeżeli mu się to uda, może zajść równie wysoko jak ja, nie sądzę jednak, aby był do tego zdolny.

- Powiedział pan Dawidowi wszystko, na wypadek gdyby został Ul^{ty} - ciągnął Conklin, nie słuchając Havillanda. - Jeżeli nie dojdzie do zabójstwa, to chciałby pan, żeby go schwytano. Liczy pan na amfetaminy i skopolaminę. Na narkotyki. Bo wówczas Sheng uzyska informację, że wiemy o jego spisku, a uzyska ją n i e o f i e j a 1-n i e, nie od nas, lecz od psychicznie chorego człowieka. Jezu! To jest inny wariant tego, co Webb panu powiedział!

- Nieoficjalnie - przyznał dyplomata. - Tak wiele można w ten sposób zyskać. Bez żadnej konfrontacji, bardzo gładko. Bardzo tanio. Właściwie bez żadnych kosztów.

- Z wyjątkiem ludzkiego życia! - krzyknął Aleks. - On zginie. Musi zginąć, bo to jest w interesie wszystkich.

- Taka jest cena, panie Conklin, jeżeli trzeba ją zapłacić. Aleks czekał, jakby spodziewał się, że Havilland dokończy zdanie.

Nic jednak na to nie wskazywało, napotkał tylko spojrzenie jego stanowczych, smutnych oczu.

- Czy to wszystko, co ma pan do powiedzenia? Taka jest cena - jeśli trzeba ją zapłacić?

- Stawka jest dużo wyższa, niż przypuszczaliśmy, o wiele wyższa. Wie pan o tym równie dobrze jak ja, więc niech pan nie będzie taki zaskoczony. - Ambasador odchylił się do tyłu na swoim krześle trochę sztywno. - Pan podejmował przedtem takie decyzje, dokonywał takich kalkulacji.

- Nie takie. Nigdy takich nie podejmowałem! Wysłał pan swojego człowieka, wiedząc, jakie grozi mu niebezpieczeństwo, ale nie zapewnia mu pan żadnego ubezpieczenia i zamyka w ten sposób drogę ucieczki.

- Cel jest jednak inny. Nieskończenie bardziej istotny.

- To wiem. Niech pan go więc nie wysła! Zdobędzie pan szyfry i będzie pan mógł wysłać kogoś innego. Kogoś, kto nie jest na wpół żywy z wyczerpania!

- Wyczerpany czy nie, on się najlepiej do tego nadaje, a przy tym upiera się, żeby to zrobić.

- Bo nie wie, co pan obmyślił. Jak go pan urządził robiąc z niego posłańca, który musi zginąć!

- Nie miałem wyboru. Tak jak pan mówi - odnalazł mnie. Musiałem powiedzieć mu prawdę.

- W takim razie powtarzam: niech pan pošle kogoś innego! Specjalną grupę zwerbowaną gdzieś przez ślepcę. Żadnych powiązań z nami, tylko zapłata za usługę - zabicie Shenga. Webb wie, jak do niego dotrzeć, powiedział to panu. Przekonam go, aby podał panu szyfry czy hasło, czy cokolwiek to, u diabła, jest, ale niech pan opłaci specjalną grupę!

- Postawiłby pan nas na równi z Kadafimi tego świata?

- Jest to tak nedorzeczne porównanie, że nie mogę znaleźć słów...

- Niech pan o tym zapomni - przerwał mu Havilland. - Gdyby kiedyś wysłedzono nasze powiązania - a to byłoby możliwe - musielibyśmy rozpocząć atak przeciwko Chinom, zanim oni spuściliby coś na nas. To nie do pomyślenia.

- To, co pan tutaj wyprawia, jest nie do pomyślenia!

- Istnieją ważniejsze cele niż utrzymanie przy życiu jednego człowieka, panie Conklin, i o tym również doskonale pan wie. Zajmował się pan tym przez całe życie - proszę mi wybaczyć - ale obecny przypadek rozgrywa się na wyższej płaszczyźnie aniżeli wszystko to, z czym się pan dotychczas zetknął. Nazwijmy to płaszczyzną geopolityczną.

- Skurwysyn.

- Wyłazi z ciebie kompleks winy, Aleks - jeżeli oczywiście mogę cię nazywać Alekssem - skoro kwestionujesz moje pochodzenie. Nigdy nie uważałem, że Jason Bourne jest nie do uratowania. Z całego serca pragnę, aby mu się powiodło, aby zabił tego człowieka. Jeżeli tak się stanie, będzie wolny. Daleki Wschód pozbędzie się wówczas potwora, a światu oszczędzone będzie Sarajewo w stylu wschodnim. Na tym polega moje zadanie, Aleks.

- Niech mu pan przynajmniej powie. Ostrzeże go!

- Nie mogę. Podobnie jak ty nie mógłbyś tego zrobić będąc na moim miejscu. Nie dyskutuje się z płatnym mordercą...

- A ten znowu swoje, elegancki błazen!

- Człowiek, którego się wysyła, by dokonał zabójstwa, musi być pewny swoich racji. Nie może ani przez chwilę zastanawiać się nad motywami czy pobudkami, które nim powodują. Nie powinien mieć żadnych wątpliwości. Żadnych. Musi działać pod wpływem obsesji. Tylko wtedy ma szansę powodzenia.

- Przypuśćmy, że mu się nie powiedzie, że zostanie zabity?

- Wtedy spróbujemy ponownie, możliwie szybko, zastępując go kimś innym. McAllister będzie z nim w Makau i nauczy się sekwencji haseł, które umożliwiają dotarcie do Shenga. Bourne się na to zgodził. Jeżeli wydarzy się najgorsze, wtedy moglibyśmy nawet wypróbować jego teorię „konspirator przeciwko konspiratorowi”. Bourne twierdzi, że jest na to zbyt późno, ale może się mylić. Jak widzisz, Aleks, nie jestem ponad wiedzą.

- Nie jest pan ponad niczym - rzekł Conklin ze złością wstając z krzesła. - O czymś jednak pan zapomniał - o tym, co powiedział pan Dawidowi. To rażące niedociągnięcie.

- Cóż to takiego?

- Nie pozwolę, aby uszło ci to bezkarnie. - Aleks utykając zbliżył się do drzwi. - Można długo prosić, ale w końcu przychodzi taki moment, że ma się tego dość. Jesteś skończony, wytworny błaznie. Webb dowie się prawdy. Całej prawdy.

Conklin otworzył drzwi. Miał przed sobą plecy wysokiego żołnierza, który na dźwięk otwieranych drzwi wykonał pełny zwrot unosząc broń.

- Zejdź mi z drogi, żołnierzu - powiedział Aleks.

- Przykro mi, sir - warknął żołnierz, patrząc obojętnym wzrokiem prosto przed siebie.

Conklin obrócił się do dyplomaty siedzącego za biurkiem. Havilland wzruszył ramionami.

- Przepisy - rzekł.

- Myślałem, że tych ludzi już tu nie ma. Sądziłem, że znajdują się na lotnisku.

- Tamci, których widziałeś, istotnie tam są. Ci natomiast należą do oddziału z kontyngentu konsularnego. Dzięki nagięciu paru przepisów przez Downing Street jest to teraz oficjalnie terytorium USA. Jesteśmy upoważnieni do obecności militarnej.

- Chcę zobaczyć Webba!

- Nie możesz. On wyjeżdża.

- Kim, u diabła, wydaje ci się, że jesteś?

- Nazywam się Raymond Oliver Havilland. Jestem pełnomocnym ambasadorem rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki. W sytuacjach kryzysowych moje polecenia muszą być wykonywane bez dyskusji. A to jest sytuacja kryzysowa. Odpieprz się, Aleks.

Conklin zamknął drzwi i podszedł niezgrabnie do swego krzesła. - Co dalej, panie ambasadorze? Czy nasza trójka dostanie kule w łeb, czy poddadacie nas lobotomii?

- Jestem przekonany, że możemy wszyscy dojść do porozumienia.

Leżeli objęci. Marie zdawała sobie jednak sprawę, że on tylko częściowo jest obecny, że tylko częściowo jest sobą. Myślami znowu wróciła do Paryża. Przypomniała sobie zdesperowanego mężczyznę o nazwisku Bourne, który walczył o swoje życie, niepewny, czy mu się uda i czy w ogóle powinien to robić, a jego własne wątpliwości stanowiły dla niego nie mniejsze zagrożenie niż ci, którzy usiłowali go zabić. Ale teraz to nie był Paryż. Nie było już zwątpienia w siebie, nie było improwizowanej w pośpiechu taktyki, by zwieść prześladowców, nie było wyścigu, by schwytać w pułapkę myśliwych. O Paryżu przypominał jej dający się wyczuć między nimi dystans. Dawid starał się do niej dotrzeć - Dawid szlachetny i współczujący - a Jason Bourne mu nie pozwalał. Jason był teraz ścigającym, a nie ściganym, co jedynie wzmogło jego determinację. Świadczyły o tym powtarzane przez niego bez przerwy słowa: Ruszaj! Działaj!

- Dlaczego, Dawidzie, dlaczego?

- Powiedziałem ci. Dlatego, że mogę. Dlatego, że muszę. Dlatego, że trzeba to zrobić.

- To nie jest odpowiedź, kochanie.

- Więc dobrze. - Webb nieznacznie odsunął się od żony, ujął ją za ramiona i popatrzył w oczy. - W takim razie robię to dla nas.

- Dla nas?

- Tak. Widziałbym te obrazy do końca życia. Stale by powracały i raniły mnie, ponieważ miałbym świadomość, że czegoś nie dokończyłem i nie byłbym w stanie się z tym uporać. Popadłbym w depresję i pociągnął za sobą ciebie, ponieważ mimo całej swojej mądrości nie jesteś zbyt odporna.

- Wolałabym popaść w całkowitą depresję razem z tobą niż bez ciebie. Zrozum, ja chcę, abys żył.

- To nie jest argument.

- Ale musisz się z tym liczyć.

- Będę prowokował pewne ruchy, ale nie będę ich wykonywał.

- Cóż to, u licha, znaczy?

- Chcę, żeby Sheng został usunięty, dokładnie to mam na myśli. Nie zasługuje na to, aby żyć, ale nie ja będę go usuwał.

- Wizerunek Boga do ciebie nie pasuje! - przerwała ostro Marie. - Niech inni podejmują takie decyzje. Odsuń się od tego. Pozostań bezpieczny.

- Nie słuchasz mnie. Byłem tam. Widziałem go i słyszałem. On nie zasługuje na to, aby żyć. W jednej ze swych wrzaskliwych tyrad nazwał życie drogocennym darem. Można by nad tym dyskutować zależnie od rodzaju tego życia, jednak dla niego życie nie znaczy nic. On pragnie zabijać - może musi, nie wiem; zapytaj Panova - to jest w jego oczach! Jest Hitlerem, Mengelem i Czyngischanem... mechanicznym mordercą - czymkolwiek - j musi zginąć. Ja zaś muszę mieć pewność, że zginął.

- Ale dlaczego? - błagała Marie. - Nie odpowiedziałeś mi!

- Odpowiedziałem, ale mnie nie słuchałaś. W ten czy inny sposób widziałbym go każdego dnia,

słyszałbym ten głos. Widziałbym, jak bawi się tymi wystraszonymi ludźmi, zanim ich zabije, zanim ich zarżnie. Spróbuj to zrozumieć. Ja próbowałem i chociaż nie jestem specjalistą, trochę siebie poznałem. Tylko idiota by tego nie pojął. To te obrazy, Marie, te cholerne obrazy, które stale wracają, otwierają drzwi, to te wspomnienia, o których nie chcę pamiętać, a jednak muszę. Ujmując to najjaśniej i najprościej jak umiem - ja po prostu więcej nie zniosę. Nie mogę już nic dodawać do tej kolekcji nieprzyjemnych niespodzianek. Widzisz, chcę dojść do siebie - może nie całkowicie się wyleczyć, bo mogę się z tym pogodzić i z tym żyć - ale nie chcę się w tym dalej pograżać. Nie będę się pograżał. Dla naszego wspólnego dobra.

- I myślisz, że jeśli doprowadzisz do śmierci tego człowieka, to uwolnisz się od tych obrazów?

- Tak, myślę, że to pomoże. Wszystko jest względne i nie byłoby mnie tutaj, gdyby Echo nie poświęcił swojego życia po to, abym ja mógł żyć. Nie zawsze wypada o tym mówić, ale tak jak większość ludzi ja także mam sumienie. Być może jest to poczucie winy, ponieważ przeżyłem. Ja po prostu muszę to zrobić dlatego, że mogę to zrobić.

- Przekonałeś sam siebie?

- Tak, przekonałem. Jestem do tego najlepiej przygotowany.

- I mówisz, że masz prowokować ruchy, a nie je wykonywać?

- Nie zdołałbym tego zrobić w żaden inny sposób. Wracam, bo chcę jeszcze długo żyć razem z tobą, moja pani.

- A jaką ja mam gwarancję? Kto ma wykonać to zadanie?

- Ta kurwa, która nas w to wpakowała.

- Havilland?

- Nie, on jest rajfurem. McAllister jest kurwą, zawsze był. Człowiek, który wierzy w przyzwoitość, obnosi się z nią, traktuje jako swoją etykietkę, dopóki chłopcy od wielkiej polityki nie każą mu jej wyrzucić. Prawdopodobnie on sprowadzi rajfura, i dobrze się stanie. Razem mogą to zrobić.

- Ale jak?

- Istnieją mężczyźni - również kobiety - którzy gotowi są zabić, jeżeli im się dostatecznie dużo zapłaci. Mogą nie mieć osobowości legendarnego Jasona Bourne'a czy autentycznego Carlosa Szakala, ale jest ich pełno na tym cholernym, plugawym świecie. Edward, ta kurwa, powiedział nam, że narobił sobie wrogów na całym Dalekim

Wschodzie, od Hongkongu po Filipiny, od Singapuru aż do Tokio, działając w imieniu Waszyngtonu, który chciał zdobyć tu wpływy. Gdy ma się wrogów, z reguły wiadomo, kim oni są, wiadomo też, za pomocą jakich sygnałów można do nich dotrzeć. Oto co kurwa i rajfur mogą zrobić. Ja to morderstwo przygotowuję, ale dokona go ktoś inny i nie obchodzi mnie, ile milionów będzie ich to kosztowało. Będę obserwował z daleka, żeby mieć pewność, że rzeźnik został zabity, że Echo dostanie to, co mu się należy, że Daleki Wschód uwolnił się od potwora, który mógłby pograżyć cały ten rejon w straszliwej wojnie -lecz to jest wszystko, co zrobię. Będę obserwować. McAllister o tym nie wie, ale on jedzie ze mną. Rozpoczynamy nasze ostateczne starcie.

- Kto teraz przez ciebie przemawia? - zapytała Marie. - Dawid czy Jason?

Mąż zamilkł pograżony w myślach. - Bourne - zdecydował w końcu. - To musi być Bourne,

dopóki nie wrócę.

- Ty to wiesz?

- Godzę się na to. Nie mam wyboru.

Usłyszeli ciche, szybkie pukanie do drzwi sypialni.

- Webb! To ja, McAllister. Czas jechać.

ROZDZIAŁ 35

Helikopter sanitarny przeleciał z łoskotem nad Portem Wiktorii w kierunku Makau mijając wyspy położone na Morzu Południowochińskim. Łodzie patrolowe Republiki Ludowej zostały zawiadomione przez radiostację marynarki wojennej w Gongbei, by nie otwierano ognia do nisko lecącego śmigłowca, który wypełniał misję dobroczynną. McAllisterowi dopisało szczęście: przebywający z wizytą w Makau dostojnik partyjny z Pekinu został przyjęty do szpitala Kiang Wu z krwawiącym wrzodem dwunastnicy. Potrzebowano dla niego krwi z ujemnym czynnikiem Rh, której stale brakowało. Niech przychodzą, niech odchodzą. Gdyby dostojnik był chłopem ze wzgórz Zhuhai, podano by mu krew kozią i kazano być dobrej myśli.

Bourne i podsekretarz stanu, ubrani w białe, przewiązane paskami kombinezony i białe czapki Królewskich Oddziałów Medycznych, nie mieli na rękawach żadnych naszywek, które wskazywałyby na ich rangę; byli po prostu podwładnymi, którym polecono dostarczyć krew dla Zhonggito rena, członka reżimu zaangażowanego w proces dalszego demontowania imperium. Wszystko załatwiano prawidłowo i sprawnie w nowym duchu porozumienia pomiędzy kolonią i jej przyszłymi władcami. Niech przychodzą, niech odchodzą. Wszystko to jest odległe o całe życie i dla nas zupełnie bez znaczenia. My nie skorzystamy. Nigdy nie korzystamy. I nie dzięki nim, nie dzięki tym na górze.

Z parkingu za szpitalem usunięto wszystkie pojazdy. Cztery reflektory oświetlały teren. Pilot helikoptera zaczął schodzić pionowo w dół w kierunku betonowej nawierzchni przygotowanej do lądowania.

Widok światła i hałaśliwy łoskot helikoptera zgromadziły za bramą szpitala na Rua Coelho Do Amaral tłumy ludzi. Tym lepiej, pomyślał Bourne spoglądając w dół z otwartego luku. Spodziewał się, że odlot helikoptera spodziewany za mniej więcej pięć minut przyciągnie jeszcze więcej gapiów. Śmigła nadal wolno się obracały, reflektory wciąż były włączone, a policjanci tworzący kordon pozostawali na swoich stanowiskach - wszystko to świadczyło o wyjątkowym charakterze sytuacji. Tłumy stanowiły najbardziej sprzyjającą okoliczność, na jaką Bourne i McAllister mogli liczyć; w zamieszaniu mogli dołączyć do ciekawskich widzów, podczas gdy dwaj inni mężczyźni w białych kombinezonach medycznego personelu pomocniczego pobiegliby do helikoptera i zginając się pod śmigłami wsiedliby do niego, by zamiast nich udać się w drogę powrotną do Hongkongu.

Jason, choć niechętnie, podziwiał zręczność, z jaką McAllister przesuwiał swoje figury na szachownicy. Analityk był zdecydowany w działaniu. Wiedział, które guziki trzeba nacisnąć, by przemieścić pionki. W aktualnej sytuacji pionkiem był pewien lekarz ze szpitala Kiang Wu, który przed kilku laty przeznaczył środki przyznane przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy na cele medyczne na potrzeby własnej kliniki na Almirante Sergio. Międzynarodowy Fundusz Walutowy był wspierany finansowo przez Waszyngton, a ponieważ McAllister przyłapał lekarza na gorącym uczynku, miał sposobność go zdemaskować i zagroził, że to uczyni. Jednak doktor był górą. Zapytał McAllistera, kim ma zamiar go zastąpić - w Makau brak było dobrych lekarzy. Czy nie byłoby lepiej, gdyby Amerykanin przymknął oczy na to nadużycie, a w zamian za to jego klinika roztoczy opiekę lekarską nad biednymi? Z podaniem tego do publicznej wiadomości? McAllister, w którym odezwała się mentalność ministranta, poddał się, lecz nie zapomniał nierozważnego czynu doktora ani jego długu. Miał być spleacony dziś wieczorem.

- Chodź! - wrzasnął Bourne podnosząc się i chwytając jeden z dwóch pojemników z krwią. - Ruszaj!

McAllister trzymał się kurczowo metalowej sztaby, podczas gdy helikopter z głośnym uderzeniem opadł na betonową nawierzchnię. Był blady, jego nieruchoma twarz przypominała maskę.

- Jakie to obrzydliwe - wymamrotał. - Zaczekaj, proszę, aż wylądujemy.

- Już wylądowaliśmy. To twój plan, analityku. Ruszaj! Kierowani przez policję, pospiesznie przeszli przez parking w stronę podwójnych otwartych drzwi przytrzymywanych przez dwie pielęgniarki. Wewnątrz natknął-i się na chińskiego lekarza ubranego w biały kitel z nieodłącznym stetoskopem wystającym z kieszeni. Doktor chwycił McAllistera za ramię.

- Miło znowu pana spotkać, sir - powiedział po angielsku płynnie, lecz z mocnym akcentem. - Chociaż ma to miejsce w dziwnych okolicznościach...

- Pańskie nie były inne trzy lata temu - powiedział ostro zadyszany analityk, przerywając lekarzowi, któremu kiedyś zdarzyło się pobłądzić. - Dokąd idziemy?

- Proszę iść za mną do laboratorium. Znajduje się przy końcu korytarza. Przełożona pielęgniarek sprawdzi plomby na pojemnikach i podpisze kwity, a później pójdziemy do innego pokoju, gdzie czekają dwaj mężczyźni, którzy mają was zastąpić. Dacie im panowie pokwitowania, przebierzecie się i oni odlecą.

- Kim oni są? - zapytał Bourne. - Gdzie pan ich znalazł?

- Portugalscy stażyści - odparł doktor. - Młodzi lekarze bez grosza przy duszy przysłani z Lizbony dla zaludnienia tutejszych rezydencji.

- Wyjaśnienia? - dopytywał się Jason, gdy ruszyli korytarzem.

- W zasadzie żadnych - rzekł mieszkaniak Makau. - Można to określić jako „handel”. Całkowicie zgodny z prawem. Dwaj brytyjscy medycy, którzy chcą spędzić tutaj noc, i dwaj przepracowani młodzi lekarze, którzy zasłużyli sobie na noc w Hongkongu. Wrócą rano wodolotem. Żaden z nich nie mówi po angielsku. Nic nie będą wiedzieć ani nawet podejrzewać. Po prostu będą zadowoleni, że starszy doktor odgadł ich potrzeby i docenił zasługi.

- Znalazłeś odpowiedniego człowieka, analityku.

- Jest złodziejem.

- A ty kurwą.

- Słucham?

- Nic. Chodźmy.

Kiedy już dostarczono pojemniki, sprawdzono plomby i podpisano pokwitowania, Bourne i McAllister udali się razem z lekarzem do przyległego, zamkniętego na klucz biura, gdzie znajdowały się zapasy leków i skąd drugie drzwi, również zamknięte na klucz, prowadziły na korytarz. Dwaj portugalscy stażyści czekali przed oszkloną szafką. Jeden z nich był nieco wyższy od drugiego i obaj uśmiechali się. Zamiast prezentacji mężczyźni tylko skinęli sobie głowami, a potem lekarz zwrócił się do podsekretarza stanu.

- Na podstawie dostarczonych mi przez pana opisów - opis pańskiej osoby nie był mi oczywiście potrzebny - powiedziałbym, że mają odpowiednie wymiary, nie sądzi pan?

- Mniej więcej - zgodził się McAllister, podczas gdy obaj z Jasonem zaczęli ściągać swoje białe

kombinezony. - Ubrania są trochę za duże. Ale jeżeli przebiegną dostatecznie szybko i pochylą głowy, wszystko będzie w porządku. Niech pan im powie, żeby zostawili pokwitowania i kombinezony pilotowi. On ma się za nas podpisać, kiedy przyleci do Hongkongu. - Bourne i analityk przebrali się w ciemne, wymięte spodnie i luźne kurtki. Potem wręczyli młodemu lekarzowi swoje kombinezony i czapki. McAllister niepokoił się. - Proszę im powiedzieć, żeby się pośpieszyli. Odlot planowany jest za niecałe dwie minuty.

Doktor powiedział coś po portugalsku, a następnie zwrócił się do podsekretarza stanu. - Pilot nie może przecież odlecieć bez nich, sir.

- Wszystko zostało zgrane w czasie i obliczone co do minuty - warknął analityk głosem, w którym wyczuwało się strach. - Nie należy wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania. Wszystko ma być jak w zegarku. Szybciej!

Stażyści byli gotowi; czapki nasunęli nisko na oczy, a pokwitowania na pojemniki z krwią wsadzili do kieszeni. Doktor udzielił Amerykanom ostatnich wskazówek wręczając im jednocześnie dwie pomarańczowe przepustki szpitalne.

- Wyjdziemy stąd razem; drzwi zamykają się samoczynnie. Zaraz potem odprowadzę naszych młodych lekarzy, dziękując im głośno i wylewnie, gdy będziemy przechodzić wzdłuż szpaleru policjantów, dopóki nie znajdą się w helikopterze. Panowie tymczasem pójdziecie w prawo, a później skręćcie w lewo do frontowego hallu i do wyjścia. Mam nadzieję, głęboką nadzieję, że nasz przyjacielski układ, choć niewątpliwie przyjemny, można od tej chwili uznać za zakończony.

- Po co te świstki? - zapytał McAllister wskazując na trzymaną w ręku przepustkę.

- Prawdopodobnie na nic. Ale w razie gdyby panowie zostali zatrzymani, wyjaśnią waszą obecność i nie będą kwestionowane.

- Dlaczego? Co w nich jest? - Nie było takiego faktu, takiej informacji, którą analityk mógłby pozostawić bez wyjaśnienia.

- To całkiem proste - powiedział lekarz patrząc spokojnie na McAllistera. - Przedstawiają one panów jako ubogich uchodźców, bez jakichkolwiek środków, których ja wspaniałomyślnie leczę w mojej klinice, nie pobierając żadnej opłaty. Na rzeźączkę - dla ścisłości. Oczywiście znajdują się tu typowe dane osobowe - wzrost, przybliżona waga, kolor włosów i oczu, obywatelstwo. Pańskie dane są bardziej kompletne, ponieważ niestety nie spotkałem wcześniej pańskiego przyjaciela. Naturalnie w moich aktach znajdują się duplikaty, tak że nikt nie będzie miał wątpliwości, że to pan.

- Co takiego?

- Sądzę, że gdy już znajdziecie się na ulicy, mój stary dług zostanie umorzony. Zgadza się pan ze mną?

- Rzeźączka?

- Musimy się pośpieszyć, sir. Wszystko jak w zegarku. - Doktor otworzył drzwi, przepuścił czterech mężczyzn, po czym wraz z dwoma Portugalczycami skierował się w lewo w stronę bocznego wyjścia i helikoptera sanitarnego.

- Chodźmy - szepnął Bourne, biorąc McAllistera za ramię i skręcając w prawo.

- Czy słyszałeś, co mówił ten człowiek?

- Nazwałeś go złodziejem.

- Bo nim był. Jest.

- Kiedy oskarżenie o złodziejstwo pada z ust złodzieja, nie należy tego brać dosłownie.

- A cóż to znaczy?

- To proste - ciągnął Jason Bourne patrząc z pogardą na idącego obok analityka. - Ma na ciebie trzy haczyki: zмова, korupcja... i rzeźniczka.

- O, mój Boże.

Stali na obrzeżach tłumy oblegającego wysokie ogrodzenie i patrzyli, jak helikopter odrywa się z hukiem od betonowej płyty i wzbija w nocne niebo. Kolejno zgaszono wszystkie reflektory i po chwili parking oświetlały już tylko słabe latarnie. Większość policjantów wsiadła do furgonetki; pozostali przechadzali się obojętnie lub zapalali papierosy, jak gdyby obwieszczając fakt, że podniecenie minęło. Ludzie zaczęli się rozchodzić, rzucając pytania adresowane do każdego i do nikogo zarazem. Kto to był? Ktoś bardzo ważny, no nie? Co się wydarzyło, jak myślisz? Sądysz, że kiedyś się dowiemy? Kogo to obchodzi? Mieliliśmy rozrywkę, a teraz się napijmy, dobrze? Spójrz na tę kobietę. Kurwa pierwszej klasy, przyznasz, co? To moja bliska krewna, ty bęcwale!

Podniecenie minęło.

- Chodźmy - odezwał się Jason. - Musimy iść.

- Wiesz co, Webb, masz dwa rozkazy, które powtarzasz z denerwującą częstotliwością. „Ruszaj” i „chodźmy”.

- One skutkują. - Obaj mężczyźni przeszli na drugą stronę Do Amaral.

- Zdaję sobie sprawę, że musimy działać szybko, ale nie powiedziałaś, dokąd idziemy.

- Wiem o tym - odparł Bourne.

- Myślę, że już czas, abyś to zrobił. - Szli dalej. Bourne nadawał tempo. - Nazwałeś mnie kurwą - ciągnął podsekretarz.

- Bo jesteś kurwą.

- Ponieważ zgodziłem się zrobić to, co uważałem za słuszne, to, co trzeba było zrobić?

- Ponieważ oni cię wykorzystali; chłopcy, którzy mają władzę. Wykorzystali, a teraz pozbędą się ciebie bez zastanowienia. Marzyły ci się w przyszłości limuzyny i konferencje na wysokim szczeblu i nie mogłeś się temu oprzeć. Byłeś skłonny poświęcić moje życie nie szukając żadnego innego rozwiązania - za to ci w końcu płacą. Byłeś skłonny narazić życie mojej żony, ponieważ pokusa była zbyt duża. Obiady w Komitecie Czterdziestu, może nawet członkostwo, spokojne, poufne spotkania w Owalnym Gabinetcie razem ze sławnym ambasadorem Havillandem. Dla mnie to znaczy być kurwą. Tylko że, powtarzam, oni się ciebie pozbędą bez chwili wahania.

Milczenie. Aż do następnej przecznicy.

- Myślisz, że o tym nie wiem, Bourne?

- O czym?

- Że się mnie pozbędą.

Jason ponownie spojrział z pogardą na idącego obok bezdusznego biurokrate. - Wiesz o tym?

- Oczywiście. Nie należę do ich przymierza, bo oni wcale mnie tam nie chcą. Mam pewne kompetencje oraz głowę na karku. Brakuje mi jednak tego niezwykłego, tak typowego dla nich, talentu do udawania. Nie umiem robić dobrego wrażenia. Zamarłbym chyba przed kamerą telewizyjną - chociaż stale oglądam idiotów, którzy uprawiają tę grę i ciągle popełniają te same bezsensowne błędy. Jak widzisz, znam swoje ograniczenia. Ponieważ nie potrafię robić tego, co oni robią z taką wprawą, muszę robić to, co jest najkorzystniejsze dla nich i dla kraju. Muszę za nich myśleć.

- Za Havillanda? Przyjechałeś do nas do Maine i uprowadziłeś mi żonę! I nie znalazłeś żadnego innego rozwiązania w swoim pęczniącym od pomysłów mózgu?

- Żadnego, które mógłbym zaproponować. Żadnego, które tak jak strategia Havillanda uwzględniałoby całą złożoność sytuacji. Do Shenga można było dotrzeć tylko poprzez zabójcę, który wydawał się nieuchwytny. To, że ty mogłeś go pojmać i doprowadzić do nas, znacznie upraszczało całą sprawę - dzięki temu mogliśmy szybciej dobrać się do Shenga.

- Mieliście do mnie cholerne zaufanie, o wiele większe niż ja sam mam do siebie.

- Mieliśmy zaufanie do Jasona Bourne'a, do Kaina - człowieka z „Meduzy” zwanego Delta. Miałeś bardzo silny motyw: odzyskać żonę, którą bardzo kochasz. Nie byłoby też najmniejszych powiązań z naszym rządem...

- Od początku przeczuwaliśmy jakiś ukartowany scenariusz! - wybuchnął Bourne. - Ja przeczuwałem i Conklin też.

- Przeczucie to jeszcze nie pewność - zaprotestował analityk, gdy przemierzali szybko ciemną brukowaną uliczkę. - Nie wiedziałeś nic konkretnego, nic, co mógłbyś ujawnić, nie było żadnego pośrednika, który wskazywałby na udział Waszyngtonu. Byłeś opętany myślą o odnalezieniu zabójcy, który podszywał się pod ciebie, bo chciałeś, żeby rozwścieczony taipan oddał ci żonę - rozwścieczony, ponieważ jego własna żona została prawdopodobnie zamordowana przez owego zabójcę, który nazywał siebie Jasonem Bourne'em. Początkowo wydawało mi się to szaleństwem, lecz później dostrzegłem w tym chytrą logikę. Havilland miał rację. Jeżeli był na świecie chociaż jeden człowiek, który mógł schwytać zabójcę i w ten sposób unieszkodliwić Shenga, to byłeś nim ty. Nie mogłeś mieć jednak żadnych powiązań z Waszyngtonem. Dlatego też trzeba było tobą umiejętnie manewrować, posługując się jakimś doskonałym kłamstwem. W przeciwnym razie mógłbyś zareagować w bardziej normalny sposób. Mógłbyś udać się na policję lub do kogoś z rządu, do ludzi, których znałeś w przeszłości - tej przeszłości, którą mogłeś pamiętać, co było również dla nas bardzo korzystne.

- Rzeczywiście poszedłem do ludzi, których znałem wcześniej.

- I dowiedziałeś się jedynie, że im bardziej grozisz ujawnieniem różnych rzeczy, tym chętniej rząd każe ci poddać ponownej kuracji. W końcu wywodziś się z „Meduzy” i cierpiełaś na amnezję, a nawet schizofrenię.

- Conklin udał się do innych...

- I powiedziano mu na początku akurat tyle, abyśmy mogli się zorientować, co on wie i co udało mu się wydedukować. Sądzę, że kiedyś był jednym z najlepszych ludzi, jakich mieliśmy.

- Był. I nadal jest.

- Uznał, że jesteś nie do uratowania.

- To przeszłość. W tamtych warunkach pewnie postąpiłbym tak samo. Nauczył się w Waszyngtonie o wiele więcej niż ja.

- Dał sobie wmówić coś, co dokładnie pokrywało się z tym, czego oczekiwał. Było to zresztą jedno z najbardziej genialnych pociągnięć Havillanda, wykazał przy tym znakomity refleks. Pamiętaj, że Aleksander Conklin jest wypalonym, zgorzkniałym człowiekiem. Nie kocha świata, w którym spędził swoje dojrzałe życie, nie kocha też ludzi, z którymi przyszło mu pracować. Powiedziano mu, że cała ta operacja może wymknąć się spod kontroli, że scenariusz mogą przechwycić wrogie elementy. - McAllister zamilkł, kiedy wyszli z alejki, skręcili za rogiem i znaleźli się wśród tłumów wypełniających ulice Makau. Wszędzie wokół migotały kolorowe światła. - To było kłamstwo do kwadratu, rozumiesz? - ciągnął analityk. - Conklin był przekonany, że do sprawy wmieszał się ktoś inny, że ty i twoja żona znajdziecie się w beznadziejnej sytuacji, jeżeli nie będziesz działał zgodnie z nowym scenariuszem przygotowanym przez te wrogie elementy.

- To właśnie mi powiedział - rzekł Jason marszcząc brwi na wspomnienie poczekalni lotniska Dullesa i łez, które napłynęły mu wtedy do oczu. - Kazał mi działać zgodnie ze scenariuszem.

- Nie miał wyboru. - Nagle McAllister chwycił Bourne'a za ramię i wskazał głową znajdujący się przed nimi z prawej strony ciemny uliczny stragan. - Musimy porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy - powiedział ostro człowiek z „Meduzy”. - Wiem, dokąd idziemy i nie możemy tracić czasu.

- Nie, nie wolno ci się spieszyć - rzekł analityk. Powiedział to z taką desperacją, że Bourne zatrzymał się, spojrzał na niego, a następnie poszedł za nim w stronę stojącego w niszy straganu. - Zanim cokolwiek zrobisz, musisz zrozumieć.

- Co mam zrozumieć? Kłamstwa?

- Nie, prawdę.

- Ty nie wiesz, co to prawda - rzekł Jason.

- Wiem, może nawet lepiej od ciebie. Jak powiedziałaś, na tym polega moja praca. Gdyby nie twoja żona, plan działania Havillanda okazałby się trafny. Ale ona uciekła. Wymknęła się. Ona spowodowała, że ten plan się rozleciał.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- A zatem zdajesz sobie również sprawę z tego, że jeśli nawet Sheng nie domyśla się, kim ona jest, to w każdym razie wie o niej i docenia jej znaczenie w całej tej sprawie.

- Jakoś o tym nie pomyślałem.

- No to pomyśl teraz. Przeniknęli do grupy operacyjnej Lina Wenzu, podczas gdy on i cały Hongkong starali się ją znaleźć. Zabito Catherine Staples, ponieważ była związana z twoją żoną, i uznano, że dzięki tej tajemniczej kobiecie dowiedziała się zbyt dużo albo też była bliska odkrycia prawdy, co mogło okazać się zgubne. Sheng niewątpliwie dąży do wyeliminowania wszystkich przeciwników, nawet tych potencjalnych. Przekonałeś się w Pekinie, że to fanatyk przewrażliwiony na punkcie zagrożenia - wróg czai się w każdym ciemnym zakamarku.

- Co proponujesz? - zapytał Bourne niecierpliwie.

- Sheng jest również inteligentny, a jego ludzie są na terenie całej kolonii.

- A więc?

- Gdy historia ukaże się w porannych gazetach i w telewizji, Sheng wyciągnie odpowiednie wnioski i każe wziąć dom na Yictoria Peak oraz MI 6 pod ścisłą obserwację, nawet gdyby musiał przetrzymywać jako zakładników mieszkańców którejś z sąsiednich posiadłości i przeniknąć ponownie do brytyjskiego wywiadu.

- Niech to cholera, do czego zmierzasz?

- Znajdzie Havillanda, a później twoją żonę.

- I?

- Załóżmy, że ci się nie uda? Załóżmy, że cię zabiją? Sheng nie spocznie, póki nie dowie się wszystkiego, czego można się dowiedzieć. Kluczową postacią jest z pewnością kobieta, która towarzyszy Havil-landowi, wysoka kobieta, której wszyscy szukali. Ona musi coś wiedzieć, ponieważ tkwi w samym środku tej tajemnicy i ma powiązania z ambasadorem. Jeżeli coś ci się stanie, Havilland będzie zmuszony ją wypuścić, a Sheng już dopilnuje, aby ją odnaleziono - na Kai Tak lub w Honolulu, w Los Angeles czy w Nowym Jorku. Uwierz mi, Webb, on nie spocznie, póki jej nie dopadnie. Musi się dowiedzieć, co przeciwko niemu szykowano, a ona stanowi klucz. Nikt inny.

- No i co proponujesz?

- Wszystko może się powtórzyć, ale skutki mogą okazać się tragiczne.

- Scenariusz? - zapytał Jason, a przed oczyma znowu stanęły mu krwawe obrazy z doliny w rezerwacie ptaków.

- Tak - powiedział stanowczo analityk. - Tylko że tym razem nie będzie to już element strategii, która miała na celu ciebie zwerbować. Twoja żona zostanie naprawdę porwana, Sheng tego dopilnuje.

- Nie dopilnuje, bo będzie martwy!

- Prawdopodobnie. Jednakże istnieje poważne ryzyko niepowodzenia. Sheng może przeżyć.

- Usiłujesz coś powiedzieć, ale tego nie mówisz.

- W porządku. Powiem teraz. Jako zabójca możesz dotrzeć do Shenga, jesteś tym, który nas do niego doprowadzi. Ja jednak będę tym, który go wywabi.

- Ty?

- Z tego właśnie powodu poleciłem ambasadzie użyć mojego nazwiska w oświadczeniu dla prasy. Widzisz, Sheng mnie zna, a ja uważnie słuchałem, kiedy ty przedstawiałeś Havillandowi swoją teorię „konspirator przeciwko konspiratorowi”. On jej nie zaakceptował, prawdę mówiąc, ja też nie. Sheng nie zgodziłby się na spotkanie z nie znaną mu osobą, ale z pewnością zgodzi się spotkać z kimś, kogo zna.

- Dlaczego z tobą?

- Po części prawda, po części kłamstwo - odparł analityk powtarzając słowa Bourne'a.

- Dziękuję za tak uważne wysłuchanie. A teraz mi to wyjaśnij.

- Najpierw prawda, Bourne lub Webb, czy jak tam chcesz, by cię nazywać. Sheng wie zarówno o moich zasługach dla rządu, jak i o tym, że nie przynoszą mi one żadnych wymiernych korzyści. Jestem inteligentnym, ale niewidocznym i nieznanym urzędnikiem, wiecznie pomijanym, ponieważ

brak mi tych cech, które pozwoliłyby mi dojść do wysokich godności czy intratnych posad w sektorze prywatnym. W pewnym sensie jestem podobny do Aleksandra Conklina i choć nie mam tak jak on ciągot do alkoholu, to czuję się prawie tak samo rozgoryczony. Byłem równie dobry jak Sheng i on o tym wiedział, ale jemu udało się czegoś dokonać, a mnie nie.

- Wzruszająca spowiedź - wtrącił znowu zniecierpliwiony Ja-son. - Ale dlaczego miałby się z tobą spotkać? Jak zdołasz go wywabić i wystawić na strzał, panie analityku? Mam nadzieję, że wiesz, co to oznacza?

- Chcę mu wyrwać kawałek jego Hongkongu. Omal mnie nie zabito zeszłej nocy. To było ostateczne upokorzenie i teraz, po tych wszystkich latach, chcę wreszcie czegoś dla siebie, dla swojej rodziny. To jest to kłamstwo.

- Mówisz niezrozumiale. Nie mogę za tobą nadążyć.

- Bo nie słuchasz między wierszami. Za to mi płacą, pamiętasz?... Jestem skończony. Nadszedł kres mojej zawodowej kariery. Przysłano mnie tutaj, żebym zbadał i przeanalizował pogłoski docierające z Tajwanu. Pogłoski o ekonomicznym spisku zawiązanym w Pekinie wydawały mi się prawdziwe, a skoro tak, to źródło w Pekinie mogło być tylko jedno - mój dawny partner z chińsko-amerykańskich negocjacji handlowych, inspirator nowej polityki handlowej Chin. Nic takiego nie mogłoby mieć miejsca bez jego udziału, nawet jeżeli byłyby to tylko zamierzenia. Uznałem więc, że mam uzasadnione powody, by się z nim skontaktować, nie po to, by położyć temu kres, lecz by oficjalnie zdementować te pogłoski, oczywiście za pewną cenę. Mógłbym posunąć się nawet do stwierdzenia, że nie jest to sprzeczne z interesami mojego rządu, no i naturalnie moimi. Chodzi przede wszystkim o to, żeby on m u s i a ł się ze mną spotkać.

- I co wtedy?

- Wtedy ty powiedziałbyś mi, co robić. Mówiłeś, że mógłby tego dokonać byle dywersant, czemu więc ja miałbym sobie nie poradzić? Ale materiały wybuchowe odpadają. Nie umiem się nimi posługiwać. Wolałbym jakąś broń.

- Mogą cię zabić.

- Podejmę ryzyko.

- Czemu?

- Ponieważ to trzeba zrobić. Tu Havilland ma rację. Gdyby Sheng zobaczył, że nie jesteś oszustem, lecz prawdziwym zabójcą, tym, który próbował go zamordować w rezerwacie ptaków, jego strażnicy posiekaliby cię na kawałki.

- Wcale nie zamierzałem mu się pokazywać - powiedział spokojnie Bourne. - Ty miałeś tego dopilnować, ale nie w ten sposób.

W cieniu straganu McAllister przyglądał się meduzyjczykowi. - Zabierasz mnie ze sobą, prawda? - zapytał w końcu. - Zmusisz mnie do tego, jeśli będzie potrzeba.

- Zmuszę.

- Tak też myślałem. Nie zgodziłbyś się tak łatwo, żebym jechał z tobą do Makau. Mogłeś mi powiedzieć na lotnisku, jak dostać się do Shenga, mogłeś też zażądać, żeby dano ci trochę czasu przed rozpoczęciem akcji. Nie sprzeciwilibyśmy się, jesteśmy zbyt przerażeni. Niezależnie od tego widzisz teraz, że wcale nie potrzebujesz mnie zmuszać. Zabrałem nawet ze sobą swój paszport

dyplomatyczny - McAllister przerwał na chwilę, po czym dodał: - I drugi paszport, który wyjąłem z akt asystenta technicznego - tego wysokiego faceta, który zrobił ci zdjęcie na stole.

- Co zrobiłeś?

- Wszystkie osoby z personelu technicznego Departamentu Stanu mające dostęp do poufnych spraw muszą oddawać do depozytu swoje paszporty. Jest to środek ostrożności, konieczny również dla ich własnego bezpieczeństwa...

- Ja mam trzy paszporty - przerwał mu Jason. - A jak, do cholery, uważasz, że sobie radzę?

- Wiedzieliśmy, że masz co najmniej dwa zawierające dane dawnego Bourne'a. Lecąc do Pekinu używałaś jednego z poprzednich nazwisk, a w rysopisie podany był brązowy kolor oczu, nie piwny. Jak udało ci się tego dokonać?

- Nosiłem szkła kontaktowe. Za radą pewnego przyjaciela, który ma dziwaczne przezwisko i jest lepszy niż którykolwiek z waszych ludzi.

- O, tak. Czarnoskóry fotograf, spec od fałszywych dokumentów, który nazywa się Kaktus. W rzeczywistości potajemnie współpracował z Treadstone, ale przecież ty z pewnością o tym pamiętałeś, jak również to, że często odwiedzał cię w Wirginii. Z zebranych przez nas informacji wynikało, że należy go zwolnić, ponieważ zadawał się z kryminalistami.

- Jeżeli go tkniesz, postaram się, żebyś wyleciał z hukiem z tej swojej biurokratycznej maszyny.

- Nikt nie ma takiego zamiaru. A teraz po prostu zamienimy zdjęcia i wkleimy do paszportu asystenta to, które najbardziej pasuje do jego rysopisu.

- To strata czasu.

- Wcale nie. Paszporty dyplomatyczne mają ogromne zalety, szczególnie tutaj. Eliminują czasochłonną procedurę związaną z ubieganiem się o wizę i chociaż jestem pewien, że posiadasz środki, aby za nią zapłacić, tak będzie znacznie prościej. Chiny chcą od nas pieniędzy, Bourne, ale również zależy im na naszej technologii. Przepuszczą nas szybko, a Sheng będzie mógł skontaktować się ze służbą graniczną i upewnić się, że jestem tym, za kogo się podaję. Jeżeli zechcemy, zapewnią nam także szybki transport, a to może okazać się ważne, w zależności od wyniku naszych kolejnych rozmów telefonicznych z Shengiem i jego doradcami.

- Kolejnych rozmów?

- Będiesz rozmawiał z jego podwładnymi przestrzegając takiej kolejności, jaka jest wymagana. Powiem ci, co masz mówić, lecz gdy droga będzie już całkowicie przetarta, ja będę rozmawiał z Sheng Chouyangiem.

- Nie nadajesz się do tego! - wykrzyknął Jason zwrócony twarzą w kierunku ciemnego straganu i McAllistera. - Jesteś amatorem w tych sprawach!

- W tym, co ty robisz, rzeczywiście jestem. Ale nie w tym, co robię ja.

- Dlaczego nie powiedziałeś Havillandowi o tym swoim wspaniałym planie?

- Bo on by się na to nie zgodził. Zamknąłby mnie w areszcie domowym, ponieważ uważa, że ja się do tego nie nadaję. Zawsze tak będzie myślał. Nie potrafię grać. Nie mam na każde zawołanie tych gładkich odpowiedzi, które brzmią szczerze, ale w istocie nie zawierają żadnej treści. Tym n.zem jednak to co innego i wykonawcy widzą to dokładnie, ponieważ stanowi to element ich twardej

męskiej gry. Pomijając gospodarkę, jest to spisek mający na celu osłabienie podejrzliwego autorytatywnego reżimu. I kto stoi za tym spiskiem, który musi upaść? Kim są ci konspiratorzy, którym Pekin tak ufa? Najbardziej zagorzałymi wrogami Chin - ich własnymi braćmi z Kuomintangu na Tajwanie. Mówiąc dosadnie, gdy całe to gówno wypłynie na powierzchnię - a tak zapewne się stanie - aktorzy ze wszystkich stron wejdą na trybuny i zaczną wrzeszczeć o zdradzie i słusznej „wewnętrznej rewolcie”, ponieważ nic innego nie potrafią zrobić. Zapanuje ogólne zamieszanie, powszechne, na skalę światową, a wielkie zamieszanie prowadzi do wielkiej przemocy.

Teraz z kolei Bourne popatrzył na analityka. Gdy mu się przyglądał, przypomniały mu się słowa Marie, które, choć wypowiedziane w innych okolicznościach, miały również zastosowanie w obecnej sytuacji.

- To nie jest odpowiedź - powiedział. - To punkt widzenia, ale nie odpowiedź. Dlaczego ty? Mam nadzieję, że nie robisz tego po to, aby udowodnić swoją przyzwoitość. To byłoby bardzo niemądre i bardzo niebezpieczne.

- Może to dziwne - zaczął McAllister marszcząc brwi i spoglądając przelotnie na ziemię - ale o tyle, o ile ta sprawa dotyczy ciebie i twojej żony, sądzę, że jest to część odpowiedzi - niewielka część. - Podsekretarz stanu podniósł wzrok i mówił dalej spokojnie. - Lecz zasadniczym powodem, Bourne, jest to, że mam już trochę dość bycia Edwardem Newingtonem McAllisterem, może nawet zdolnym, ale na pewno pozbawionym większego znaczenia analitykiem.

Jestem tylko mózgiem trzymanym w pokoju na zapleczu, który wyciąga się stamtąd wtedy, gdy sprawy zbyt się komplikują, a po udzieleniu rady odsyła z powrotem. Można powiedzieć, że chciałbym wykorzystać tę okazję, aby przez moment pobyć na słońcu - poza pokojem na zapleczu, jak to było dotąd.

Jason przyglądał się w mroku podsekretarzowi. - Przed paroma minutami powiedziałaś, że istnieje ryzyko niepowodzenia. A ja przecież jestem doświadczony. Ty zaś nie. Czy wzięłaś pod uwagę następstwa, jeżeli t o b i e się nie uda?

- Nie sądzę, aby tak się stało.

- Nie sądzisz, aby tak się stało - powtórzył apatycznie Bourne. - Czy mogę zapytać dlaczego?

- Przemyślałem to.

- To doskonale.

- Nie. Ja mówię poważnie - zaprotestował McAllister. - Strategia jest zasadniczo prosta: sprawić, aby Sheng został ze mną sam. Ja mogę to zrobić, natomiast ty tego za mnie nie zrobisz. I na pewno nie doprowadzisz do takiej sytuacji, by pozostał sam na sam z tobą. Wszystko, czego mi potrzeba, to kilka sekund i broń.

- Gdybym do tego dopuścił, nie wiem, co przeraziłoby mnie bardziej. Twój sukces czy twoja porażka. Chcę ci przypomnieć, że jesteś podsekretarzem stanu w rządzie Stanów Zjednoczonych. Przypuśćmy, że cię złapią. Wtedy „żegnaj, Charlie” dla wszystkich.

- Rozważam to od dnia, kiedy wróciłem do Hongkongu.

- Co takiego?

- Przez całe tygodnie rozmyślałem nad tym, że to mogłoby być rozwiązaniem, że ja sam mógłbym być tym rozwiązaniem. Rząd jest kryty. Wszystko to jest zapisane w moich papierach

pozostawionych na Victoria Peak, z kopią dla Havillanda i drugim kompletem, który będzie dostarczony do Konsulatu Chińskiego w Hongkongu po upływie siedemdziesięciu dwóch godzin. Być może ambasador jest już w posiadaniu swojej kopii. Więc sam widzisz, że nie ma już odwrotu.

- Coś ty, do cholery, zrobił?!

- Opisałem przyczyny tego krwawego starcia między mną a Shen-giem. Zawarłem tam swoje obserwacje z okresu, który tutaj spędziłem, jak również wspomniałem o znanej skłonności Shenga do utrzymywania wszystkiego w tajemnicy. W gruncie rzeczy jest to całkiem wiarygodne. Jego przeciwnicy w Komitecie Centralnym na pewno się na to rzucą. Jeżeli zginę lub zostanę ujęty, na Shengu skupi się tyle uwagi, posypie się tyle pytań bez względu na jego zaprzeczenia, że nie odważy się zrobić kroku - jeśli oczywiście przeżyje.

- Dobry Boże, ratuj mnie - wykrztusił oszołomiony Bourne.

- Nie musisz znać szczegółów, ale rozpoznasz istotę swojej teorii „konspirator przeciwko konspiratorowi”. Z grubsza rzecz biorąc oskarżam go o złamanie danego słowa, o odsunięcie mnie od jego manipulacji w Hongkongu, mimo że przez całe lata korzystał potajemnie z mojej pomocy w tworzeniu całej tej struktury. Odsuwa mnie, ponieważ już nie jestem mu potrzebny, a poza tym wie, że prawdopodobnie nic nie powiem, bo byłbym zrujnowany. Napisałem, że obawiam się nawet o swoje życie.

- Zapomnij o tym! - krzyknął Jason. - Zapomnij o tej całej przeklętej historii! To szaleństwo!

- Zakładasz, że spudłuję lub że mnie złapią. Ja nie biorę pod uwagę żadnej z tych możliwości - oczywiście przy twojej pomocy.

Bourne odetchnął głęboko i ściszył głos. - Podziwiam twoją odwagę, a nawet to skrywane poczucie przyzwoitości, ale istnieje lepszy sposób i ty jesteś w stanie wiele tutaj zdziałać. Będziesz miał swoją chwilę w słońcu, panie analityku, ale nie tą drogą.

- W takim razie jaką? - zapytał podsekretarz stanu nieco zaskoczony.

- Widziałem, jak działasz i Conklin miał rację. Możesz być skurwysynem, ale na pewno masz głowę na karku. Docierasz do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie i dowiadujesz się, kto dyktuje warunki. Spędzasz tu sześć lat grzebiąc się w jakichś brudnych interesach, tropiąc morderców, złodziei i sutenerów po całym Dalekim Wschodzie w imię dobrosąsiedzkiej polityki rządu. Wiesz, który guzik nacisnąć, wiesz, w czym tkwi sedno sprawy. Zapamiętałeś nawet pazernego doktora tu w Makau mającego wobec ciebie dług wdzięczności i zmusiłeś go, żeby ten dług spłacił.

- Mam to we krwi. Takich ludzi łatwo się nie zapomina.

- Znajdź mi innych. Znajdź mi płatnych morderców. Możecie to załatwić obaj z Havillandem. Połączysz się z nim telefonicznie i powiesz mu, że to są moje warunki. Ma przekazać milion - może i pięć milionów, jeżeli będzie trzeba - tu do Makau jutro z rana i do południa chcę mieć tutaj ludzi, którzy będą gotowi udać się do Chin. Ja poczynię przygotowania. Znam miejsce na wzgórzach Guangdongu, gdzie przedtem odbywały się spotkania. Są tam pola, na które łatwo można się dostać helikopterem, tam właśnie Sheng lub jego wysłannicy spotykali się z zabójcą. Gdy tylko otrzyma moją wiadomość, pojedzie tam, masz na to moje słowo. Ty rób swoje. Musisz wysilić swój umysł i zjawić się tu z trzema lub czterema płatnymi zbirami. Powiedz im, że ryzyko jest minimalne, a cena wysoka. To jest ta twoja chwila w słońcu, panie analityku. Trudno ci się będzie oprzeć. Będziesz miał coś na Havillanda do końca jego życia. Uczyni cię swoim głównym doradcą, może nawet sekretarzem stanu, jeżeli zechcesz. Nie będzie miał innego wyjścia.

- Niemożliwe - powiedział spokojnie McAllister patrząc w oczy Jasonowi.

- No, może sekretarz stanu to trochę za dużo...

- Niemożliwe jest to, co proponujesz - przerwał mu podsekretarz.

- Czy twierdzisz, że nie ma takich ludzi? Jeśli tak, to znowu kłamiesz.

- Jestem pewien, że są. Może nawet wiem o kilku; sądzę, że są też inni na tej liście, którą dał ci Wenzu, kiedy w Mieście za Murami odgrywał rolę ubranego na biało taipana. Ale nie skorzystałbym z ich usług. Odmówiłbym, nawet gdyby rozkazał mi Havilland.

- W takim razie nie chcesz dopaść Shenga! A wszystko, co powiedziałaś, było po prostu kolejnym kłamstwem. Łgarz!

- Mylisz się, chcę go dopaść. Ale, używając twoich słów, nie tą drogą.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ nie narażę mojego rządu i mojego kraju na tego rodzaju kompromitację. W gruncie rzeczy myślę, że Havilland zgodziłby się ze mną. Najmowanie morderców pozostawia zbyt dużo śladów, tak samo zresztą jak przekazywanie pieniędzy. Ktoś się zdenerwuje albo będzie się przechwalał po pijanemu; powie wszystko i morderstwem będzie obciążony Waszyngton. Nie mógłbym przyłożyć do tego ręki. Przypomnę ci spisek Kennedy'ego przeciwko Castro przy użyciu mafii. Obłąd... Nie, Bourne, obawiam się, że jesteś na mnie skazany.

- Nie jestem na nikogo skazany! Ja mogę dotrzeć do Shenga. Ty nie możesz!

- Skomplikowane kwestie można zazwyczaj sprowadzić do prostych równań, jeżeli pamięta się pewne fakty.

- Co to znaczy?

- Znaczy to, że obstaję przy swoim sposobie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że Havilland ma twoją żonę.

- Ona jest z Conklinem! Z Mo Panovem! Nie ośmieliliby się...

- Nie znasz go - przerwał McAllister. - Obrażasz go, ale go nie znasz. On jest taki jak Sheng Chouyang. Nic go nie powstrzyma. Jeżeli mam rację - a jestem pewien, że tak - pani Webb, pan Conklin i doktor Panov są na czas trwania wojny gośćmi w domu na Yictoria Peak.

- Gośćmi?

- Areszt domowy, o którym wspominałem parę minut temu.

- Sukinsyn! - szepnął Jason, a mięśnie na jego twarzy zadrgały.

- A więc jak dotrzemy do Pekinu?

Bourne odpowiedział nie otwierając oczu. - Człowiek z garnizonu w Guangdongu o nazwisku Su Jiang. Porozumiem się z nim po francusku. On zostawi dla nas wiadomość tu w Makau. Przy stoliku w kasynie.

- Ruszaj! - ponaglił McAllister.

ROZDZIAŁ 36

Dzwonek telefonu wyrwał ze snu nagą kobietę, która szybko usiadła na łóżku. Leżący obok mężczyzna oprzytomniał w jednej chwili; nie lubił, kiedy niepokojono go w środku nocy, a dokładnie mówiąc wczesnym rankiem. Jednakże wyraz jego delikatnej, okrągłej azjatyckiej twarzy świadczył o tym, że niepokojono go dość często i że działało to na niego deprymująco. Sięgnął do telefonu stojącego na stoliku obok łóżka.

- Wefł - powiedział cicho.

- Aomen lai dianhua - odpowiedział operator centrali z kwatery głównej garnizonu w Guangdongu.

- Połącz mnie na urządzeniu zabezpieczającym i wyłącz nagrywanie.

- Zrobione, pułkowniku Su.

- Sam to sprawdzę - rzekł Su Jiang podnosząc się, by wziąć mały, płaski, prostokątny przedmiot, zakończony z jednego boku sterzącym okręgiem.

- To zbyteczne, sir.

- Przecież nie przez wzgląd na ciebie. - Su umieścił okrąg nad mikrofonem słuchawki i nacisnął guzik. Gdyby linia była na podsłuchu, przenikliwy gwizd, który rozległ się nagle i trwał przez sekundę, brzmiałby nadal ze zmiennym natężeniem, dopóki urządzenie podsłuchowe nie zostałoby usunięte lub dopóki nie pękłaby błona bębnekowa w uchu słuchacza. Panowała cisza spotęgowana światłem księżyca wpadającym przez okno. - Dawaj Makau - polecił pułkownik.

- Bonsoir, mon ami - powiedział głos z Makau. Su Jiang natychmiast pojął, że rozmawia z zabójcą. - Comment ya va?

- Vous? - wysapał oszołomiony Jiang wysuwając spod prześcieradła swoje grube nogi i stawiając je na podłodze. - Attenc^! - Pułkownik odwrócił się do kobiety. - Ty, jazda. Wynoś się stąd - polecił w dialekcie kantońskim. - Zabieraj swoje rzeczy i ubierz się we frontowym pokoju. Zostaw drzwi otwarte, żebym widział, jak wychodzisz.

- Jesteś mi winien pieniądze! - szepnęła kobieta piskliwie. - Jesteś mi winien za dwa razy i podwójnie za to, co dla ciebie zrobiłam na dole!

- Wystarczającą zapłatą jest to, że być może nie będę zwołał twojego męża. A teraz wynoś się! Masz trzydzieści sekund, w przeciwnym razie twój mąż zostanie bez grosza.

- Nazywają cię Świnia - powiedziała kobieta zbierając swoje rzeczy i ruszając ku drzwiom sypialni, gdzie odwróciła się i popatrzyła na Su. - Świnia!

- Won!

Chwilę później Su powrócił do telefonu kontynuując rozmowę po francusku. - Co się stało? Wiadomości z Pekinu są nieprawdopodobne. Podobnie wieści z lotniska w Shenzhen. Zostałeś przez niego porwany!

- On nie żyje - odezwał się głos z Makau.

- Nie żyje?

- Zastrzelony przez własnych ludzi. Wpakowali mu co najmniej pięćdziesiąt kul.

- A ty?

- Uwierzyli w moją historyjkę. Byłem niewinnym zakładnikiem wziętym na ulicy i wykorzystanym jako tarcza, a także jako przynęta. Traktowali mnie dobrze i w gruncie rzeczy trzymali z dala od prasy na moją prośbę. Oczywiście starają się wyciszyć całą sprawę, ale nie sądzę, żeby im się to udało. Na miejscu było wielu ludzi z prasy i z telewizji, tak że przeczytasz o tym w porannych gazetach.

- O, mój Boże, gdzie to się stało?

- Posiadłość na Yictoria Peak. Należy do konsulatu i jest zakonspirowana jak diabli. Dlatego właśnie muszę dotrzeć do twojego najwyższego przywódcy. Dowiedziałem się rzeczy, o których powinien wiedzieć.

- Powiedz mnie.

Zabójca zaśmiał się szyderczo.- Ja sprzedaję tego rodzaju informacje. Nie rozdaję ich - a już na pewno nie świniom.

- Będziesz miał dobrą ochronę - upierał się Su.

- Zbyt dobrą jak dla mnie.

- Kogo masz na myśli mówiąc „najwyższy przywódca”? - powrócił do tematu pułkownik Su Jiang ignorując uwagę.

- Twojego zwierzchnika, szefa, wielkiego koguta - jakkolwiek chcesz go nazwać. To tamten człowiek, który w leśnym rezerwacie wygłaszał wszystkie mowy, prawda? Ten, który z taką wprawą używał swojego miecza, mężczyzna o dzikim spojrzeniu i krótkich włosach, ten, którego próbowałem ostrzec przed opóźniającą taktyką stosowaną przez Francuza...

- Ośmieliłeś się...? Zrobiłeś to?

- Zapytaj go. Powiedziałem mu, że coś jest nie w porządku, że Francuz go zwodzi. Chryste, zapłaciłem za to, że mnie nie słuchał. Powinien był porąbać tego francuskiego drania, kiedy go ostrzegałem! Teraz powiedz mu, że chcę z nim rozmawiać!

- Nawet ja z nim nie rozmawiam - powiedział pułkownik. - Kontaktuję się tylko z jego podwładnymi używając ich pseudonimów. Nie znam prawdziwych...

- Masz na myśli ludzi, którzy przylatują na wzgórza w Guang-dongu, żeby spotkać się ze mną i przekazać mi zlecenia? - przerwał mu Bourne.

- Tak.

- Nie będę rozmawiał z żadnym z nich! - wybuchnął Jason, udając swojego sobowtóra. - Chcę rozmawiać wyłącznie z tym człowiekiem. I byłoby lepiej, żeby on chciał rozmawiać ze mną.

- Najpierw będziesz rozmawiał z innymi, ale nawet jeżeli chodzi o nich, muszą być ku temu bardzo ważne powody. Tylko oni wyznaczają spotkania. Powinieneś się już dotąd tego nauczyć.

- Dobrze. Ty możesz być kurierem. Spędziłem z Amerykanami prawie trzy godziny, wciskając im najlepszą historyjkę, jaką udało mi się kiedykolwiek wymyślić. Wypytywali mnie szczegółowo i odpowiadałem im bez ogródek - nie muszę ci mówić, że mam na całym terytorium swoich ludzi,

zarówno mężczyźni, jak i kobiety, którzy przysięgną, że jestem przedstawicielem handlowym i że przebywałem z nimi w określonym czasie, niezależnie od tego, kto będzie dzwonił...

- Nie musisz mi tego wszystkiego mówić - przerwał mu Su. - Podaj mi tylko wiadomość, którą mam przekazać. Rozmawiałeś z Amerykanami - i co?

- Również słuchałem. Ci kolonialisci mają głupi zwyczaj prowadzenia swobodnej rozmowy w obecności obcych.

- Tak jakbym słyszał teraz głos Brytyjczyka. Głos pełen wyższości. Wszyscy to znamy.

- Cholera, masz rację. Arabowie tego nie robią i Bóg świadkiem, że wy, skośnoocy, też nie.

- Proszę mówić dalej.

- Człowiek, który mnie porwał, ten, który został zabity przez Amerykanów, sam był Amerykaninem.

- Tak?

- Podpisuję się pod swoimi morderstwami pewnym nazwiskiem. Nazwisko to ma długą historię. Brzmi ono Jason Bourne.

- Wiemy o tym. I co?

- On był tym prawdziwym! Tym Amerykaninem, którego oni poszukiwali przez blisko dwa lata.

- No i?

- Oni uważają, że to Pekin go odnalazł i wynajął. Ktoś z Pekinu, dla kogo najważniejszą rzeczą w życiu stało się zabójstwo pewnego człowieka z tamtego domu. Bourne jest do wynajęcia i każdy ma takie same szansę go kupić, jak mawiają Amerykanie.

- Twój język jest wykrętny. Proszę, mów jaśniej!

- W tamtym pokoju razem z Amerykanami było jeszcze kilku innych ludzi. Chińczycy z Tajwanu, którzy powiedzieli otwarcie, że są przeciwnikami większości przywódców tajnych ugrupowań z Kuomin-tangu. Byli wściekli i myślę, że również wystraszeni. - Bourne przerwał. Zapanowała cisza.

- Tak? - naciskał zaniepokojony pułkownik.

- Mówili też wiele innych rzeczy. Ciągłe wspominali o kimś, kto nazywa się Sheng.

- Aiya!

- To jest ta wiadomość, którą przekażesz, a ja będę czekał na odpowiedź w kasynie w ciągu trzech godzin. Wyślę kogoś, żeby ją odebrał i nie próbuj żadnych głupstw. Mam tam ludzi, którzy mogą wszcząć burdę równie łatwo, jak pociągnąć za spust. Jakikolwiek podejrzany ruch, a twoi ludzie zginą.

- Pamiętamy Tsimshatsui parę tygodni temu - powiedział Su Jiang. - Pięciu z naszych wrogów zostało zabitych w gabinecie na zapleczu, podczas gdy w kabarecie rozpętała się bijatyka. Nie będzie żadnych podejrzanych ruchów; nie jesteśmy głupcami, kiedy mamy do czynienia z tobą. Często zastanawialiśmy się, czy ten prawdziwy Jason Bourne był takim fachowcem jak jego następca.

- Nie był. - Wspomnij o burdzie w kasynie, gdyby ludzie Shenga próbowali zastawić na ciebie pułapkę. Powiedz, że zostaną zabici. Nie musisz wdawać się w szczegóły. Oni rozumieją... Analityk

dobrze wiedział, o czym mówi. - Jedno pytanie - dodał Jason z niekłamanyim zainteresowaniem. - Kiedy doszliście do tego, że ja nie jestem prawdziwym Jasonem Bourne'em?

- Zorientowaliśmy się na pierwszy rzut oka - odparł pułkownik. - Lata robią swoje, czyż nie? Ciało może pozostać sprawne, dzięki ćwiczeniom można nawet poprawić swoją formę, ale na twarzy odciska się piętno czasu; to nieuniknione. Twoja twarz nie mogłaby być twarzą człowieka z „Meduzy”. To było ponad piętnaście lat temu, a ty masz teraz niewiele ponad trzydzieści. Do „Meduzy” nie werbowano dzieci. Ciebie stworzył Francuz.

- Hasłem jest „Kryzys”. Masz trzy godziny - powiedział Bourne odwieszając słuchawkę.

To szaleństwo! - Jason wyszedł z oszklonej kabiny w czynnym przez całą dobę centrum telefonicznym i spojrzął ze złością na McAllistera.

- Bardzo dobrze ci poszło - pochwalił go analityk zapisując coś w małym notesiku. - Ja zapłacę rachunek. - Podsekretarz ruszył w kierunku podwyższenia, gdzie telefonistki przyjmowały opłaty za rozmowy międzynarodowe.

- Ty nie rozumiesz, w czym rzecz - ciągnął Bourne idąc obok McAllistera, mówiąc ściszym, chrapliwym głosem. - To nie może się udać. Jest za bardzo wymyślne, zbyt oczywiste, by ktoś mógł się na to nabrać.

- Gdybyś nalegał na spotkanie - to owszem, ale ty przecież nie nalegasz. Chodzi ci tylko o rozmowę telefoniczną.

- Chcę, aby potwierdził swój udział w tym całym cholernym szwindlu. Żeby się przyznał, że to on za tym wszystkim stoi!

- Przytaczając znowu twoje słowa - powiedział analityk, biorąc z lady rachunek i wyjmując pieniądze - on nie może nie odpowiedzieć. Musi to zrobić.

- Stawiając takie warunki wstępne, które rozwalą cały twój plan.

- W takich sprawach będę oczywiście potrzebował twojej pomocy. - McAllister wziął resztę dziękując skinieniem głowy znużonej telefonistce i ruszył ku drzwiom. Jason szedł obok.

-Może ja nie będę mógł ci pomóc.

- W tych okolicznościach, chcesz powiedzieć - rzekł analityk, gdy wyszli na zatłoczony chodnik.

- Co?

- To nie ta strategia tak cię niepokoi, Bourne, ponieważ zasadniczo jest to twój własny plan. Doprowadza cię do wściekłości to, że to ja wprowadzam go w czyn, a nie ty. Podobnie jak Havilland uważasz, że się do tego nie nadaję.

- Nie wydaje mi się, aby teraz był odpowiedni czas i okazja, żebyś udowadniał, że jesteś nieustraszonym rewolwerowcem z westernu! Jeśli ci się nie powiedzie, twoje życie będzie ostatnią rzeczą, jaką będę się przejmował. Dla mnie ważniejszy jest Daleki Wschód, ważniejszy jest świat.

- Nie ma takiej możliwości, żeby mi się nie udało. Powiedziałem ci, że nawet doznając porażki nie przegram. To Sheng przegra, niezależnie od tego, czy będzie żył, czy nie, konsulat w Hongkongu zapewni to w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

- Nie pochwalam takiego poświęcania się z całą premedytacją - powiedział Jason, gdy szli ulicą. - Złudne bohaterskie wyczyny zawsze wszystko utrudniają i komplikują. Poza tym twoja tak zwana

strategia śmierdzi pułapką. Oni to poczują! •

- Poczuliby, gdybyś to ty pertraktował z Shengiem, a nie ja. Mówisz, że to jest zbyt wymyślne, zbyt oczywiste, że są to posunięcia amatora. Wspaniale. Gdy Sheng usłyszy mój głos przez telefon, wszystko stanie się dla niego jasne. Rzeczywiście jestem zgorzkniałym amatorem, człowiekiem, który nigdy nie brał udziału w żadnej bezpośredniej akcji, biurokrata czystej wody, który został odrzucony przez system, któremu tak dobrze służył. Wiem, co robię, Bourne. Daj mi tylko broń.

Prośba nie była trudna do spełnienia. Niedaleko w Porto Interior, na Rua das Lorchas, znajdowało się mieszkanie d'Anjou, które stanowiło niewielki arsenał broni i sprzętu używanego w zawodzie Francuza. Pozostawała jedynie kwestia dostania się do środka i wybrania takiej broni, którą najłatwiej będzie rozłożyć, aby przekroczyć stosunkowo słabo strzeżoną granicę w Guangdongzie z paszportami dyplomatycznymi. Zajęło im to jednak ponad dwie godziny, gdyż sposób, w jaki dokonywali wyboru, okazał się bardzo czasochłonny; Jason wręczał McAllisterowi pistolet po pistolecie, zwracając za każdym razem uwagę na prawidłowy chwyt i na wyraz twarzy analityka. Ostatecznie zdecydowali się na najmniejszy pistolet, jaki znajdował się w arsenale d'Anjou, charter arms kalibru 0.22 z tłumikiem.

- Celuj w głowę, co najmniej trzy kule w czaszkę. Inaczej będzie to tylko ukłucie pszczoły.

McAllister przełknął ślinę patrząc na swój pistolet, a Jason tymczasem oglądał pozostałe, chcąc wybrać broń o największej sile rażenia i jednocześnie jak najmniejszych rozmiarach. Wybrał dla siebie trzy pistolety maszynowe typu KG-9, które wyposażone były w większe niż normalnie magazynki mieszczące po trzydzieści naboji.

Z bronią ukrytą pod kurtkami wkroczyli o godzinie 3.35 nad ranem do na wpół wypełnionego kasyna Kam Pék i przeszli na koniec długiego, mahoniowego baru. Bourne podszedł do miejsca, które zajmował poprzednio. Podsekretarz usiadł cztery stołki dalej. Barman rozpoznał hojnego klienta, który niespełna tydzień temu dał mu napiwek prawie że równy jego tygodniówce. Powitał go jak stałego bywalca znanego ze szczodrości.

- Nei hou a!

- Mchoh La. Mgoi - odrzekł Bourne zapewniając, że cieszy się dobrym zdrowiem.

- Angielska whisky, tak? - zapytał barman, pewny swojej pamięci, która, miał nadzieję, warta będzie nagrody.

- Powiedziałem przyjacielom z kasyna w hotelu Lisboa, że powinni z tobą porozmawiać. Myślę, że jesteś najlepszym barmanem w Makau.

- Lisboa? Tam to dopiero są prawdziwe pieniądze! Dziękuję, sir.

Barman pospieszył przygotować Jasonowi drinka, który zwałiby z nóg cały legion Cezara. Bourne skinął w milczeniu głową, a mężczyzna skierował się niechętnie w stronę oddalonego o cztery miejsca McAllistera. Jason zauważył, że analityk zamówił białe wino, uregulował należność co do centa i zapisał sumę w swym notesie. Barman wzruszając ramionami wykonał, co do niego należało, po czym przeszedł do środkowej części niezbyt tłumnie obleganego baru nie spuszczając wzroku ze swego ulubionego klienta.

Krok pierwszy.

On tu był. Dobrze ubrany Chińczyk, w ciemnym, szytym na miarę garniturze, weteran sztuki walki, który nie opanował wystarczająco perfidnych chwytów, człowiek, z którym on walczył w

zaułku i który zaprowadził go na wzgórze Guangdongu. Pułkownik Su Jiang wołał nie podejmować w tych warunkach żadnego ryzyka. Postanowił zaangażować tej nocy tylko najbardziej wypróbowanych łączników. Żadnych żebraków, żadnych prostytutek.

Mężczyzna przeszedł powoli obok kilku stolików, jak gdyby chciał się zorientować, w jakiej fazie znajduje się gra, oceniając rozdających karty i graczy i zastanawiając się, gdzie spróbować szczęścia. Zbliżył się do stolika piątego i przez blisko trzy minuty obserwował grę, po czym przysiadł się i wyjął z kieszeni plik banknotów. Wśród nich, pomyślał Jason, jest wiadomość opatrzona hasłem „Kryzys”.

Dwadzieścia minut później nienagannie ubrany Chińczyk pokręcił głową, schował pieniądze z powrotem do kieszeni i wstał od stołu. On był „skrótem” prowadzącym do Shenga! Znał zarówno Makau, jak i przejście graniczne w Guangdongu; Bourne wiedział, że musi do niego podejść, i to szybko! Spojrzał najpierw na barmana, który odszedł na drugi koniec baru, by przygotować napoje dla kelnera obsługującego gości przy stolikach, a potem na McAllistera.

- Analityku! - szepnął. - Zostajesz tutaj!

- Co robisz?

- Przecież nie idę się bawić, na rany Chrystusa! - Jason wstał ze stołka i podążył w stronę drzwi za łącznikiem. Przechodząc obok barmana rzucił w dialekcie kantońskim: - Zaraz wracam.

- W porządku, sir.

Znalazłszy się na zewnątrz, Bourne szedł za elegancko ubranym człowiekiem mijając po drodze kilka budynków, dopóki tamten nie skręcił w wąską, słabo oświetloną, boczną uliczkę i nie zbliżył się do zaparkowanego pustego samochodu. Z nikim się nie spotkał; dostarczył wiadomość i teraz chciał odjechać. Jason ruszył szybko w jego stronę i gdy mężczyzna otworzył drzwi samochodu, dotknął jego ramienia. Łącznik obrócił się błyskawicznie, zgiął się i wyrzucił z impetem w górę wyćwiczoną lewą nogę. Bourne odskoczył w tył podnosząc w pokojowym geście ręce do góry.

- Nie musimy znowu przez to przechodzić - powiedział po angielsku, pamiętał bowiem, że ten człowiek władał angielskim, którego nauczyły go portugalskie zakonnice. - Ciągłe czuję cięgi, jakie mi sprawiłeś w zeszłym tygodniu.

- Aiya! Pan! - Łącznik podniósł ręce w podobnym geście oznaczającym zawieszenie broni. - Oddaje mi pan honory, kiedy na nie nie zasługuję. Tamtej nocy pan mnie pokonał i dlatego ćwiczyłem po sześć godzin dziennie, aby podnieść swoją sprawność... Pokonał mnie pan wtedy. Nie teraz.

- Biorąc pod uwagę twój wiek, a także mój, daję ci słowo, że nie zostałeś pokonany. Mnie kości bolały o wiele bardziej niż ciebie, a poza tym wcale nie mam zamiaru sprawdzać twojego nowego programu treningu. Dobrze ci zapłacę, ale nie będę z tobą walczył. Można to nazwać tchórzostwem.

- Nie z pana strony, sir - zaprotestował Chińczyk opuszczając ręce i uśmiechając się od ucha do ucha. - Jest pan bardzo dobry.

- A jednak z mojej - odparł Jason. - Byłem nieprzytomny ze strachu. I oddałeś mi wielką przysługę.

- Dobrze mi pan zapłacił. Bardzo dobrze.

- Tym razem zapłacę ci jeszcze lepiej.

- Wiadomość była dla p a n a?

- Tak.

- Zajął pan miejsce Francuza?

- On nie żyje. Został zabity przez ludzi, którzy wysłali tę wiadomość.

Chińczyk wydawał się oszołomiony, może nawet smutny.

- Dlaczego? - zapytał. - Przecież dla nich pracował i był starym człowiekiem, starszym od pana.

- Serdeczne dzięki.

- Czy on zdradził tych, którym służył?

- Nie, to jego zdradzono.

- Komuniści?

- Kuomintang - powiedział Bourne potrząsając głową.

- Dongwu! Oni nie są lepsi od komunistów. Czego pan chce ode mnie?

- Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, mniej więcej tyle, ile zrobiłeś poprzednio, ale tym razem chcę, żebyś ze mną został. Chcę wynająć parę oczu.

- Wybiera się pan na wzgórze w Guangdongu?

- Tak.

- Więc potrzebuje pan pomocy przy przekraczaniu granicy?

- Nie będzie to konieczne, jeżeli znajdziesz mi kogoś, kto potrafi przenieść zdjęcie z jednego paszportu do drugiego.

- Robi się to codziennie. Nawet dzieci to potrafią.

- Dobrze. W takim razie pomówmy o użyczeniu mi twoich oczu. Istnieje pewne ryzyko, ale niewielkie. Jest również dwadzieścia tysięcy dolarów amerykańskich. Poprzednio zapłaciłem ci dziesięć, tym razem jest dwadzieścia.

- Aiya, to majątek! - Łącznik zamilkł, przyglądając się Bour-ne'owi. - Ryzyko musi być wielkie.

- Jeżeli będą kłopoty, mam nadzieję, że sobie z nimi poradzisz. Pieniądze zostawimy tutaj, w Makau, i tylko ty będziesz miał do nich dostęp. Czy podejmiesz się tego, czy mam szukać kogoś innego?

- Mam oczy sokoła. Niech pan nie szuka.

- Chodź ze mną z powrotem do kasyna. Poczekaś na zewnątrz, na ulicy, a ja odbiorę wiadomość.

Barman z ochotą wykonał to, o co Jason go poprosił, chociaż w zakłopotanie wprawiło go dziwne słowo „Kryzys”, którego należało użyć; uspokoiły go jednak wyjaśnienia Bourne'a, że jest to imię konia biorącego udział w wyścigach. Zaniósł „specjalnego” drinka zdezorientowanemu graczowi przy stoliku piątym i wrócił niosąc pod tacą zapieczetowaną kopertę. Jason pilnie obserwował sąsiednie stoliki wypatrując odwracających się głów czy przelotnych spojrzeń rzucanych spoza kłębow dymu. Nie zauważył jednak niczego. Widok ubranego w rudą kurtkę

barmana pośród kelnerów noszących także rude kurtki był czymś tak naturalnym, że nie zwrócił niczyjej uwagi. Zgodnie z instrukcją, taca została umieszczona pomiędzy Bourne'em i McAllisterem. Jason wyjął z paczki papierosa, a pudełko zapalek pchnął w kierunku niepalącego analityka. Zanim zdumiony podsekretarz zdołał się połapać, Bourne wstał ze swego stołka i podszedł do niego.

- Czy ma pan ogień?

McAllister spojrział na zapalki, podniósł pudełko, po czym wyjął jedną, zapalił i przytknął do papierosa. Gdy Jason wrócił na swoje miejsce, w rękę trzymał zapieczętowaną kopertę. Otworzył ją, wydobyl znajdującą się wewnątrz kartkę i odczytał notatkę napisaną na maszynie po angielsku: Telefon Makau - 32-61-443.

Rozejrzał się w poszukiwaniu automatu telefonicznego i wówczas uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie korzystał z automatu w Makau;

nawet jeżeli znalazłby tam instrukcję, to i tak nie wiedział, jakich monet używa się w portugalskiej kolonii. To właśnie te nic nie znaczące drobiazgi zawsze niweczą ważne zamierzenia. Dał znak barmanowi, który podszedł, zanim Jason zdążył opuścić rękę.

- Słucham, sir? Jeszcze jedną whisky, sir?

- Przez najbliższy tydzień nie - powiedział Bourne, kładąc przed nim pieniądze używane w Hongkongu. - Muszę zadzwonić do kogoś tu w Makau. Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie jest automat telefoniczny i zaopatrzyć mnie w odpowiednie monety?

- Nie mógłbym pozwolić na to, aby taki dżentelmen jak pan korzystał z publicznego telefonu, sir. Między nami mówiąc, obawiam się, że wielu z tutejszych klientów może być zarażonych. - Barman uśmiechnął się. - Pan pozwoli, sir. Mam telefon u siebie na kontuarze - dla wyjątkowych gości.

Zanim Jason zdążył zaprotestować lub wyrazić podziękowanie, telefon znalazł się przed nim. McAllister przyglądał mu się, gdy nakręcał numer.

- Wei? - odezwał się kobiecy głos.

- Polecono mi zadzwonić pod ten numer - odpowiedział Bourne po angielsku. Oszust, którego zabito, nie znał chińskiego.

- Spotkamy się.

- Nie spotkamy się.

- Nalegamy.

- Więc nie nalegajcie. Znaie mnie chyba na tyle dobrze, a przynajmniej powinniście. Chcę rozmawiać z tym człowiekiem, tylko z nim.

- Jesteś arogancki.

- Idiotka to zbyt łagodne określenie. I to samo odnosi się do tego nędznego kaznodziei z wielkim mieczem, jeżeli nie zechce ze mną mówić.

- Ośmielasz się...

- Już to słyszałem - przerwał ostro Jason. - Odpowiedź brzmi: tak, ja się ośmielam. On ma o całe niebo więcej do stracenia niż ja. On jest tylko jednym z klientów, a moja lista stale się powiększa.

Ja go nie potrzebuję, ale myślę, że właśnie teraz on potrzebuje mnie.

- Podaj powód, który można by uznać za wiarygodny.

- Nie podaję powodów kapralom. Kiedyś byłem majorem, a może o tym nie wiedziałaś?

- Nie ma potrzeby się obrażać.

- Nie ma potrzeby przeciągać tej rozmowy. Zadzwoń jeszcze raz za pół godziny. Zaproponuj mi coś sensowniejszego, zaproponuj mi tego człowieka. Ja od razu poznam, czy to będzie rzeczywiście on, ponieważ zadam mu jedno lub dwa pytania, na które tylko on może odpowiedzieć. Ciao. - Bourne odłożył słuchawkę.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał szeptem wstrząśnięty McAllister siedzący cztery miejsca dalej.

- Przygotowuję twój słoneczny dzień i mam nadzieję, że masz trochę olejku do opalania. Oczekaj pięć minut, a potem idź za mną. Po wyjściu stąd skręć w prawo i idź przed siebie. Zauważymy cię.

- My?

- Chcę, żebyś kogoś poznał. To stary przyjaciel - młody przyjaciel - który, jak sądzę, spodoba ci się. Ubiera się tak jak ty.

- Ktoś trzeci? Czy ty postradałeś rozum?

- Nie trać zimnej krwi, analityku, ma to wyglądać tak, jakbyśmy się nie znali. Nie, nie postradałem rozumu. Wynająłem po prostu pomocnika na wypadek, gdyby mnie przechytrzone. Nie zapominaj, że liczyłeś na moją pomoc w tych sprawach.

Prezentacja trwała krótko i nie padły żadne nazwiska, najwyraźniej jednak krępy, barczysty, dobrze ubrany Chińczyk wywarł na McAllisterze wrażenie.

- Czy kieruje pan którąś z tutejszych firm? - zapytał analityk, gdy szli boczną ulicą w kierunku zaparkowanego samochodu.

- Ujmując to w ten sposób, tak, sir. Jest to jednak moja własna firma. Świadczę usługi dla ważnych osobistości.

- W jaki sposób on pana znalazł?

- Przykro mi, sir, ale jestem pewien, że pan zrozumie. Taka informacja jest poufna.

- Dobry Boże - mruknął McAllister spoglądając na człowieka z „Meduzy”.

- Za dwadzieścia minut muszę zadzwonić - odezwał się Jason, który usiadł z przodu. Tylne siedzenie zajmował oszołomiony podsekretarz.

- A więc używają pośrednika? - zapytał łącznik. - Często tak robili z Francuzem.

- Jak on to z nimi załatwiał? - spytał Bourne.

- Nie spieszył się. Powiedziałałby „niech się poca”. Proponowałbym przetrzymać ich przez godzinę.

- Ty decydujesz. Czy jest tu gdzieś w pobliżu czynna restauracja?

- Na Rua Mercadores.

- Musimy coś zjeść, a Francuz miał rację - on zawsze miał rację. Niech się pocą.

- Mnie zawsze traktował przyzwoicie - powiedział łącznik.

- Pod koniec stał się takim gadatliwym, trochę przekornym świętym.

- Nie rozumiem, sir.

- Nie ma potrzeby, żebyś rozumiał. Ale ja żyję, a on nie, ponieważ on podjął decyzję.

- Jaką decyzję, sir?

- Że musi umrzeć po to, abym ja mógł żyć.

- Jak w Piśmie świętym chrześcijan. Zakonnice nas tego uczyły.

- Trochę - odparł Jason ubawiony tym porównaniem. - Gdyby było jakieś inne wyjście, skorzystalibyśmy z niego. Ale nie było. On po prostu uznał fakt, że jego śmierć jest moim ratunkiem.

- Lubiłem go - powiedział Chińczyk.

- Zawieź nas do restauracji.

Edwardowi McAllisterowi nie pozostawało nic innego, jak tylko zachować spokój. To, czego nie wiedział i o czym Bourne nie chciał rozmawiać przy stoliku, napawało go lękiem, że jego plany zostaną zniweczone. Dwukrotnie próbował poruszyć temat pośredników oraz aktualnej sytuacji i dwukrotnie Jason mu przerwał, rzucając podsekretarzowi ostrzegawcze spojrzenie, podczas gdy łącznik dyskretnie odwracał wzrok. Istniały pewne fakty, o których Chińczyk wiedział, istniały też i takie, o których dla swojego własnego bezpieczeństwa wiedzieć nie chciał.

- Odpoczynek i jedzenie - zadumał się Bourne kończąc ostatni tiansuanrou. - Francuz mówił, że są swego rodzaju bronią. Oczywiście, . miał rację.

- Sądzę, że potrzebował tego pierwszego w większym stopniu niż pan, sir - rzekł łącznik.

- Możliwe, ale on studiował historię wojskowości. Twierdził, że więcej bitew przegrano z powodu wyczerpania niż złego uzbrojenia.

- To wszystko jest bardzo interesujące - wtrącił ostro McAllister - jednakże siedzimy już tutaj od pewnego czasu, a jestem pewien, że są sprawy, którymi powinniśmy się zająć.

- Zajmiemy się, Edwardzie. Jeżeli jesteś zdenerwowany, pomyśl, co oni tam muszą przeżywać. Francuz również zwykł mówić, że wystawione na próbę nerwy nieprzyjaciela to nasi najlepsi sojusznicy.

- Jestem już zmęczony tym twoim Francuzem - odparł gniewnie McAllister.

Jason spojrział na analityka i powiedział cicho:

- Nie mów tak do mnie nigdy więcej. Nie byłeś tam. - Bourne spojrział na zegarek. - Już minęła godzina. Poszukajmy automatu - zwrócił się do łącznika. - Będę potrzebował twojej pomocy - dodał. - Wrzucisz pieniądze. Ja nakręcę numer.

Miałeś dzwonić za pół godziny! - fuknęła kobieta, która odebrała telefon.

- Musiałem dopilnować pewnych spraw. Mam też innych klientów i nie podoba mi się za bardzo twoje nastawienie. Jeżeli ma to być tylko strata czasu, mam co innego do roboty, a ty odpowiesz za to przed tym człowiekiem, kiedy nadciągnie tajfun.

- Jak mogłoby do tego dojść?

- Wolnego, łaskawa pani. Daj mi kufer z taką ilością pieniędzy, o jakiej nigdy nie śniłaś, a wtedy może ci powiem. W innym wypadku raczej nie. Lubię, kiedy ludzie wysoko postawieni mają wobec mnie długi wdzięczności za wyświadczone przysługi. Masz dziesięć sekund, zanim się rozłączę.

- Proszę. Spotkasz się z człowiekiem, który zaprowadzi cię do domu na Guia Hill, gdzie znajdują się bardzo nowoczesne urządzenia łącznościowe...

- I gdzie pół tuzina waszych zbójów rozłupie mi czaszkę i wrzuci do pokoju, gdzie doktor napoi mnie alkoholem i wszystko to zdobędziecie za darmo! - Gniew Bourne'a był tylko w części udawany. Ludzie z oddziałów Shenga zachowywali się jak dyletanci. - Powiem ci więc o innym bardzo nowoczesnym urządzeniu. Nazywa się telefon i nie uważam, aby możliwe było utrzymywanie łączności między Makau a garnizonem w Guangdongu, gdybyście nie mieli odpowiedniego sprzętu eliminującego podsłuch. Oczywiście zakupiliście te urządzenia w Tokio, bo gdybyście sami je wyprodukowali, prawdopodobnie by nie działały. Użyjcie ich więc. Zadzwoń jeszcze raz. Postaraj się o numer. Numer tego człowieka. - Jason skończył rozmowę.

- To ciekawe - zauważył McAllister, spoglądając przelotnie na chińskiego łącznika, który tymczasem wrócił do stołu. - Użyłeś kija, podczas gdy ja użyłbym marchewki.

- Czego użyłem?

- Ja bym raczej położył nacisk na to, jak niezwykle informacje mam do ujawnienia. Ty natomiast straszysz, jakbyś chciał odstręczyć rozmówcę.

- Oszczędź mnie - odrzekł Bourne przypalając papierosa, zadowolony, że nie trzęsie mu się ręka. - Żebyś wiedział, że zrobiłem zarówno jedno, jak i drugie. Groźba uwydatnia wagę informacji a lekceważenie rozmówcy dodatkowo wzmacnia obie te rzeczy.

- Twoja pomoc zaczyna być odczuwalna - rzekł podsekretarz stanu z nikłym uśmiechem na twarzy. - Dziękuję ci.

Człowiek z „Meduzy” spojrział surowo na człowieka z Waszyngtonu.

- Jeżeli cała ta cholerna mistyfikacja się uda, czy będziesz mógł, analityku, to wykonać? Czy potrafisz błyskawicznie wyjąć broń i pociągnąć za spust? Bo jeśli nie, to obaj jesteśmy martwi.

- Potrafię - stwierdził McAllister spokojnie. - Dla Dalekiego Wschodu. Dla świata.

- I dla twojego dnia w słońcu. - Jason ruszył w stronę stolika. - Wyjdźmy stąd. Nie chcę używać tego telefonu po raz drugi.

Spokój Góry Nefrytowej Wieży został naruszony wskutek szalonego ożywienia, jakie zapanowało w Willi Sheng Chou-yanga. Zamieszanie to spowodowane było nie tyle dużą liczbą znajdujących się ludzi, gdyż przebywało tam zaledwie pięć osób, ile napięciem, w jakim ci ludzie się znajdowali. Minister wysłuchiwał swoich podwładnych, którzy wchodzili i wychodzili z ogrodu przynosząc najświeższe wiadomości, nieśmiało podsuwali swoje rady i natychmiast się z nich wycofywali, gdy tylko dostrzegli u swego przywódcy najmniejszą oznakę niezadowolenia.

- Nasi ludzie potwierdzili tę historię, sir - krzyknął umundurowany mężczyzna w średnim wieku, wybiegając z domu. - Rozmawiali z dziennikarzami. Wszystko odbyło się tak, jak przedstawił to zabójca, a zdjęcie zabitego człowieka zostało podane do gazet.

- Zdobądź je - rozkazał Sheng. - Niech nam je natychmiast prześlą telegraficznie. To nie do

wiary.

- Już to robią - oświadczył żołnierz. - Konsulat wysłał attache do „South China News”. Powinno nadejść w ciągu kilku minut.

- Nie do wiary - powtarzał Sheng cicho, spoglądając ku pływającym liściom lilii wodnej w najbliższym z czterech sztucznych stawów. - Symetria jest zbyt doskonała, zbieżność w czasie również, to zaś oznacza, że coś nie gra. Ktoś złamał porządek.

- Zabójca? - zapytał jeden z doradców.

- W jakim celu? On nie wie, że miał zostać zabity w rezerwacie, zanim skończy się noc. Myślał, że jest uprzywilejowany, a tymczasem my użyliśmy go tylko jako pułapki na jego poprzednika, którego wykrył nasz człowiek z Wydziału Specjalnego.

- W takim razie kto? - zapytał inny doradca.

- To jest właśnie dylemat. Kto? Oferta wydaje się nęcąca, a jednocześnie wyczuwa się w tym jakąś nieudolność. To wszystko jest zbyt oczywiste, tchnie amatorszczyzną. Zabójca, o ile mówi prawdę, powinien być przekonany, że nie ma się czego obawiać z mojej strony, a mimo to grozi porzuceniem najlepszego klienta. Zawodowcy tego nie robią i to mnie właśnie niepokoi.

- Czy sugeruje pan jakieś osoby trzecie, panie ministrze? - podsunął trzeci z kolei doradca.

- Jeżeli tak - rzekł Sheng, a jego wzrok przykuł tym razem pojedynczy liść lilii wodnej - to jest to ktoś bez żadnego doświadczenia lub o inteligencji wołu. To jest dylemat.

- Mam je, sir! - krzyknął młody człowiek wbiegając do ogrodu ze zdjęciem w ręku.

- Daj mi to. Szybko! - Sheng chwycił fotografię i ustawił tak, by padało na nią światło reflektora. - To jest on! Nie zapomnę tej twarzy, dopóki będę żył. Wszystko przygotuj! Powiedz kobiecie w Makau, żeby podała naszemu mordercy numer i włączyła elektroniczne urządzenia zabezpieczające przed podsłuchem. Niepowodzenie oznacza śmierć.

- Natychmiast, panie ministrze. - Telefonista pobiegł z powrotem do domu.

- Moja żona i dzieci - rzekł Sheng Chouyang w zamyśleniu - mogą być zaniepokojeni tym całym poruszeniem. Proszę, żeby ktoś z was do nich poszedł i wyjaśnił, że sprawy państwowe zatrzymują mnie z dala od ich najmilszego towarzystwa.

- To dla mnie zaszczyt, sir - rzekł jeden z doradców.

- Oni tak wiele tracą z powodu mojego zaangażowania w pracę. To prawdziwe anioły. Pewnego dnia zostaną za to wynagrodzeni.

Bourne dotknął ramienia łącznika i wskazał na zapalony neon hotelu po prawej stronie ulicy. - Wpiszemy się tu na listę gości, a potem pojedziemy do automatu na drugi kraniec miasta. W porządku?

- Tak będzie rozsądnie - rzekł Chińczyk. - Jest ich wszędzie pełno.

- A poza tym należy nam się trochę snu. Francuz ciągle mi mówił, że odpoczynek to również broń. Chryste, czemu ja się powtarzam?

- Ponieważ cię to prześladowuje - odezwał się McAllister z tylnego siedzenia.

- Powiedz mi coś o tym. Nie. Nie mów.

•Fason nakręcił numer w Makau i przez stację przekaźnikową w Chinach uzyskał połączenie z zabezpieczonym przed podsłuchem telefonem na Górze Nefrytowej Wieży. Potem spojrzął na analityka. - Czy Sheng mówi po francusku? - zapytał pospiesznie.

- Oczywiście - odparł podsekretarz. - Ma do czynienia z francuskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych; zresztą władza językiem każdego, z kim prowadzi pertraktacje. To jedna z jego mocnych stron. Czemu jednak nie miałbyś mówić w dialekcie mandaryńskim? Przecież go znasz.

- Ale zabójca go nie znał, a jeżeli będę mówił po angielsku, Sheng może się zdziwić, gdzie się podział mój brytyjski akcent. Francuski to ukryje, tak jak to było w przypadku Su Jianga, a ja jednocześnie przekonam się, czy to jest rzeczywiście Sheng. - Bourne zasłonił mikrofon chusteczką i usłyszał drugi, odbijający się echem sygnał telefonu oddalonego o tysiąc pięćset mil. Zabezpieczenie przed podsłuchem działało.

- Wei?

- Comme le colonel, je prefere parler francais.

- Shenma? - odezwał się donośny, pełen zakłopotania głos.

- Fawen - Jason podał mandaryński odpowiednik francuskiego.

- Fawen? Wo buhui! - odpowiedział podekscytowany mężczyzna stwierdzając, że nie zna francuskiego. Spodziewano się telefonu. Wmieszał się jakiś inny głos; był oddalony i zbyt cichy, aby można było cokolwiek usłyszeć. Po chwili odezwał się w słuchawce.

- Mais pourauoi parlez-vous francais? - To był Sheng! Bez względu na język Bourne nigdy nie zapomniaby zawodzącego głosu mówcy. Był to zaślepiony wyznawca jakiegoś bezlitosnego boga mający swe audytorium przed przystąpieniem do właściwego ataku z użyciem ognia i siarki.

- Powiedzmy, że tak mi jest wygodniej.

- Dobrze. Cóż to za nieprawdopodobną historię masz do opowiedzenia? Mam na myśli to szaleństwo, w trakcie którego padło pewne nazwisko?

- Powiedziano mi również, że pan mówi po francusku - przerwał Jason.

Nastąpiła przerwa, podczas której słyhać było jedynie równomierny oddech Shenga.

- Ty wiesz, kim ja jestem?

- Znam nazwisko, które mnie nic nie mówi, ma ono jednak znaczenie dla kogoś innego. Dla kogoś, kogo znał pan przed laty. On chce z panem rozmawiać.

- Co? - wrzasnął Sheng. - To zdrada!

- Nic w tym guście, a na pańskim miejscu posłuchałbym, co on ma do powiedzenia. On w lot się zorientował, że wszystko, co im mówiłem, było kłamstwem. Inni się nie połapali, tylko on jeden. - Bourne spojrzął na stojącego obok McAllistera; analityk pokiwał głową dając do zrozumienia, że Jason przekonywająco używa słów, które wcześniej podpowiedział mu podsekretarz. - Tylko raz na mnie spojrzął i skojarzył fakty. Ale wtedy prawdziwy chłopiec Francuza był już całkiem nieźle podziurawiony; jego głowa przypominała raczej zakrwawiony kalafior.

- Co ty zrobiłeś?

- Prawdopodobnie największą przysługę, jaką panu kiedykolwiek wyświadczono, i spodziewam

się za to zapłaty. A oto pański przyjaciel. Będzie mówił po angielsku. - Bourne wręczył słuchawkę analitykowi, który natychmiast zaczął mówić.

- Tu Edward McAllister, Sheng.

- Edward...? - Oszołomiony Sheng Chouyang nie był w stanie dokończyć nazwiska.

- Ta rozmowa nie jest nagrywana i nie ma żadnego oficjalnego znaczenia. Nikt nie wie, gdzie się w tej chwili znajduję. Rozmawiając z tobą mam na uwadze jedynie swoje własne dobro - a także twoje.

- Ty... zaskoczysz mnie, mój stary przyjacielu - rzekł minister powoli opanowując strach.

- Przeczytasz o tym w porannych gazetach i niewątpliwie mówią już o tym w wiadomościach radiowych i telewizyjnych nadawanych z Hawajów. Konsulat życzył sobie, abym zniknął na kilka dni - im mniej pytań, tym lepiej - a ja wiedziałem tylko, z kim chcę zniknąć.

- Co się stało i w jaki sposób ty...

- Podobieństwo w ich wyglądzie było zbyt uderzające, by mogło być przypadkowe - przerwał mu podsekretarz stanu. - Sądzę, że d'Anjou chciał w maksymalnym stopniu wykorzystać legendę, a tu istotną rolę odgrywały cechy zewnętrzne, ze względu na tych, którzy widzieli Jasona Bourne'a w przeszłości. W moim przekonaniu było to zupełnie niepotrzebne, chociaż okazało się skuteczne. W całym tym zamieszaniu na Yictoria Peak nikt inny nie dostrzegł tego uderzającego podobieństwa, tym bardziej że z trudem można było rozpoznać twarz zabitego. Ale przecież nikt z nich nie znał Bourne'a. Ja go znałem.

- Ty?

- Ja go przepędziłem z Azji. To mnie chciał zabić i kierując się pragnieniem odwetu, a także z przekory, postanowił to uczynić zostawiając ciało twojego zabójcy na Yictoria Peak. Na szczęście dla mnie nie docenił możliwości twojego człowieka. Kiedy wybuchła strzelanina, nasz wspólny teraz znajomy obezwładnił go i pchnął prosto pod lufy karabinów.

- Edwardzie, zbyt wiele informacji naraz. Pogubiłem się w tym wszystkim. Kto sprowadził Jasona Bourne'a z powrotem do Azji?

- Oczywiście Francuz. Jego zdolny uczeń, z którego ciągnął zyski, zdradził go. Chciał się zemścić i wiedział, gdzie znaleźć jedyne go człowieka, który mógł mu w tym pomóc: był nim jego towarzysz z „Meduzy”, prawdziwy Jason Bourne.

- Meduza! - szepnął Sheng z obrzydzeniem.

- Bez względu na ich reputację w niektórych oddziałach panowało niezwykle silne poczucie lojalności. Kiedy człowiekowi uratowano życie, on tego nie zapomina.

- Skąd ci przyszedł do głowy ten nedorzeczny pomysł, że ja mógłbym mieć cokolwiek wspólnego z człowiekiem, którego nazywasz zabójcą...

- Proszę cię, Sheng - przerwał mu analityk. - Za późno na wykręty. Rozmawiamy. Odpowiem jednak na twoje pytanie. Wskazywał na to sposób, w jaki dokonano kilku kolejnych zabójstw. Zaczęło się od wicepremiera Chin i czterech innych ludzi w Tsimshatsui. Wszyscy oni byli twoimi wrogami. A któregoś wieczoru na Kai Tak dwaj spośród twoich najbardziej pyskatej oponentów wchodzący w skład chińskiej delegacji - byli obiektem zamachu bombowego. Krążyły również pogłoski, jak to zwykle w świecie przestępczym. Mówiono szeptem o wiadomościach przesyłanych pomiędzy Makau

i Guangdongem, o potężnych ludziach w Pekinie - a zwłaszcza o jednym posiadającym bezgraniczną władzę. A na koniec było jeszcze dossier. Wszystko się zsumowało. Ty.

- Dossier? A cóż to takiego, Edwardzie? - zapytał Sheng siląc się na stanowczość. - Skąd ta nieoficjalna, nie protokołowana rozmowa między nami?

- Myślę, że wiesz.

- Jesteś wybitnym człowiekiem. Wiesz, że bym nie pytał, gdybym to wiedział. Nie będziemy chyba tak dreptać w miejscu.

- Wybitny biurokrata trzymany na zapleczu, czy nie chciałbyś tego dodać?

- Prawdę mówiąc, spodziewałem się dla ciebie czegoś więcej. To ty dyktowałeś niemal wszystkie posunięcia swoim tak zwanym negocjatorom w czasie konferencji handlowych. I wszyscy wiedzą, że wykonałeś w Hongkongu wielką pracę. Zanim wyjechałeś, Waszyngton sprawował prawie całkowitą kontrolę nad tym terytorium.

- Zdecydowałem się przejść na emeryturę, Sheng. Oddałem mojemu rządowi dwadzieścia lat swojego życia, ale nie podaruję mu mojej śmierci. Nie dam się wciągnąć w zasadzkę i zastrzelić ani podłożyć sobie bomby. Nie stanę się celem dla terrorystów, niezależnie od tego, czy jest to tutaj, czy w Iranie, czy w Bejrucie. Pora, abym pomyślał o sobie, o swojej rodzinie. Czasy się zmieniają, zmieniają się ludzie, a życie jest drogie. Moja emerytura i moje perspektywy są dużo gorsze od tych, na jakie zasługuję.

- Zgadzam się z tobą całkowicie, Edwardzie, ale co to ma wspólnego ze mną? Razem prowadziliśmy pertraktacje - byliśmy oczywiście przeciwnikami, jak na sali sądowej - ale z pewnością nie wrogami stosującymi przemoc. I cóż to, na miły Bóg, za głupota z moim nazwiskiem wymienianym przez tych szakali z Kuomintangu?

- Daruj mi. - Analityk popatrzył na Bourne'a. - Cokolwiek powiedział ci nasz wspólny znajomy, nie były to jego własne słowa, lecz moje. Twoje nazwisko nie padło na Yictoria Peak i nie było tam też żadnego, Tajwańczyka, kiedy przesłuchiwałeś twojego człowieka. Kazałem mu to powiedzieć, ponieważ ma to dla ciebie pewne znaczenie. Co do twojego nazwiska, to może je poznać jedynie niewielki krąg osób. Znajduje się ono w dossier, o którym wspomniałem, a które zabezpieczone jest w moim biurze w Hongkongu. Widnieje na nim znak „Nadzwyczajne Środki Bezpieczeństwa”. Istnieje tylko jeden duplikat tego dossier, przechowywany w podziemiach w Waszyngtonie, do którego mam wyłączny dostęp. Jednakże, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego, powiedzmy katastrofa lotnicza, lub gdybym zginął czy został zamordowany - dossier zostanie przekazane do Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Gdyby informacje w nim zawarte dostały się w niepowołane ręce, mogłoby to mieć katastrofalne skutki dla całego Dalekiego Wschodu.

- Jestem zaintrygowany, Edwardzie, twoją szczerością, choć nie są to pełne informacje.

- Spotkaj się ze mną, Sheng. I przynieś pieniądze, dużo pieniędzy - amerykańskich. Nasz wspólny znajomy twierdzi, że w Guang-dongu są wzgórza, gdzie twoi ludzie przylatywali, aby się z nim zobaczyć. Spotkaj się tam ze mną jutro między godziną dziesiątą a północą.

- Muszę zaprotestować, mój przyjacielu i adwersarzu. Nie dałeś mi żadnej zachęty.

- Mogę zniszczyć obydwie kopie tego dossier. Przesłano mnie tutaj, żebym zbadał pogłoski dochodzące z Tajwanu, pogłoski tak szkodliwe dla naszych interesów, że gdyby się okazało, iż zawierają choć odrobinę prawdy, zapoczątkowałyby to całą lawinę wypadków, które przerażają

każdego. Sądzę, że te pogłoski nie są bezpodstawne i jeżeli się nie mylę, mogą one doprowadzić prosto do mojego dawnego partnera z chińsko-amerykańskich negocjacji handlowych. Nie mogłoby się to odbywać bez jego udziału... Jest to moje ostatnie zadanie, Sheng, a kilka moich słów może sprawić, że to dossier zniknie z powierzchni Ziemi. Zdementuję po prostu te pogłoski jako całkowicie fałszywe i niebezpieczne, spreparowane przez twoich wrogów z Tajwanu. Ci nieliczni, którzy o tym wiedzą, uwierzą mi, daję na to moje słowo. Dossier pójdzie wówczas na przemiał. Kopia w Waszyngtonie - również.

- Nadal nie powiedziałaś mi, dlaczego właściwie powinienem cię słuchać!

- Syn taipana z Kuomintangu będzie to wiedział. Przywódca spisku w Pekinie będzie wiedział. Człowiek, który jutro rano może zostać zniesławiony i ścięty, na pewno będzie wiedział.

Przerwa trwała długo, w słuchawce słychać było nierówny oddech. W końcu Sheng przemówił.

- Wzgórza w Guangdong. On zna miejsce.

- Tylko jeden helikopter - rzekł McAllister. - Ty i pilot, nikogo więcej.

ROZDZIAŁ 37

Ciemności. Postać ubrana w mundur żołnierza piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych zeskoczyła z muru na tyłach terenu otaczającego dom na Yictoria Peak. Mężczyzna podczołgał się w lewo, minął splątane zwoje drutu kolczastego wypełniające przestrzeń, gdzie odcinek muru został zniszczony, i posuwał się dalej skrajem posiadłości. Kryjąc się w cieniu, przebiegł przez trawnik w kierunku narożnika domu. Popatrzył na zdemolowane wykuszowe okna należące do pomieszczenia, które stanowiło kiedyś duży wiktoriański gabinet. Przed roztrzaskaną framugą, z której sterczały odłamki rozbitej szyby, stał na warcie żołnierz piechoty morskiej z bronią typu M-16 opartą niedbale na trawie - lufę karabinu przytrzymał ręką - i z pistoletem automatycznym kalibru 0.45 przymocowanym do pasa. Dodatkowe wyposażenie w karabin oprócz broni krótkiej świadczyło o stanie najwyższej gotowości; intruz rozumiał to doskonale i uśmiechnął się widząc, że wartownik nie uważał za konieczne trzymać swojego M-16 w rękach. Marines nie mieli zwyczaju trzymać broni w pozycji gotowej do strzału. Kolbę karabinu można było roztrzaskać człowiekowi głowę, zanim zdążyłby się zorientować, że użyto jej przeciwko niemu. Intruz czekał na dogodny moment; moment taki nadszedł, gdy wartownik wciągnął głęboko powietrze i przymykając na krótką chwilę oczy ziewnął przeciągle. Intruz, pochylony, wybiegł błyskawicznie z za rogu, zarzucając pętlę garoty na szyję wartownika. Trwało to sekundy. Wartownik nie wydał prawie żadnego odgłosu.

Morderca zostawił ciało tam, gdzie upadło, było to bowiem najciemniejsze miejsce. Większość reflektorów znajdujących się z tyłu domu została uszkodzona wskutek eksplozji. Mężczyzna wstał i prześlizgnął się chyłkiem w stronę drugiego narożnika budynku, gdzie wyjął papierosa i przypalił go wątlm płomieniem zapalniczki gazowej. Następnie wynurzył się z mroku i idąc niedbałym krokiem okrążył róg domu i skierował się ku wypalonym drzwiom balkonowym, gdzie na kamiennych schodach stał na posterunku drugi żołnierz. Intruz trzymał papierosa w lewej ręce, tak że zaciągając się mógł jednocześnie zasłonić nią twarz.

- Na papieroska? - zapytał strażnik.

- No. Nie mogłem spać - odrzekł mężczyzna z amerykańskim akcentem z południowego zachodu.

- Te pieprzone prycze nie nadają się do spania. Wystarczy na którąś usiąść i... Ej, czekaj no! Kim ty, do cholery, jesteś?

Strażnik nie miał żadnej szansy wymierzyć z karabinu. Intruz błyskawicznie wbił nóż prosto w gardło mężczyzny, jednym precyzyjnym ruchem pozbawiając go głosu, a także życia. Morderca przeciągnął zwłoki za róg budynku i pozostawił w ciemności. Wytarł ostrze o mundur zabitego człowieka, ukrył nóż pod kurtką i zawrócił w stronę drzwi. Wszedł do domu.

Szedł długim, słabo oświetlonym korytarzem, na końcu którego przed szerokimi, rzeźbionymi drzwiami stał trzeci żołnierz. Strażnik opuścił broń i spojrzał na zegarek.

- Wcześniej przychodzisz - powiedział. - Mam zejść z posterunku dopiero za godzinę i dwadzieścia minut.

- Ja nie jestem z tego oddziału, przyjacielu.

- Jesteś z grupy Oahu?

- Taa.

- Myślałem, że wszystkich was stąd zabrali i odesłali z powrotem na Hawaje. To pewnie była plotka.

- "Kilku z nas dostało rozkaz, żeby tu zostać. Przydzielili nas teraz do konsulatu. Ten gość, jak mu tam, McAllister, przez całą noc wysłuchiwał naszych zeznań.

- Powiem ci coś, kolego, ta cała cholerna sprawa jest po prostu niesamowita!

- W zupełności się zgadzam. Aha! Gdzie jest biuro tego ważniaka? Przysłał mnie tu po swój specjalny tytoń do fajki.

- Jasne. Dodaj mu trochę trawki.

- Które to biuro?

- Poprzednio widziałem, jak on i doktor wchodzili w te pierwsze drzwi na prawo. Później, zanim stąd wyszedł, wchodził też tutaj. - Strażnik ruchem głowy wskazał drzwi znajdujące się za nim.

- Czyj to pokój?

- Nie wiem, jak on się nazywa, ale jest tu najważniejszy. Mówią do niego „ambasadorze”.

Oczy mordercy zwęziły się. - Ambasador?

- Nie inaczej. Pokój jest zniszczony. Co najmniej połowę rozwalił ten pieprzony maniak, ale kasa jest nietknięta i dlatego tu jestem, ja i jeszcze jeden facet przed domem, w tulipanach. Musi być tam z parę milionów na dodatkową działalność.

- Albo na co innego - dodał cicho intruz. - Pierwsze drzwi po prawej, tak? - upewnił się, wykonując obrót i sięgając pod kurtkę.

- Chwileczkę - rzekł marynarz. - Dlaczego ten przy wejściu mnie nie zawiadomił? - Sięgnął do ręcznej radiostacji umocowanej do pasa. - Przykro mi, ale muszę cię sprawdzić, przyjacielu. Takie są...

Morderca rzucił nożem. Gdy nóż zatopił się w piersi wartownika, zwałił się na niego całym ciężarem, zaciskając kciuki na jego gardle. Trzydzieści sekund później otworzył drzwi do biura Havillanda i wciągnął martwego mężczyznę do środka.

Przekroczyli granicę w zupełnych ciemnościach, urzędowe garnitury i obowiązkowe krawaty zastąpiły wymięte, nijakie ubrania, które nosili poprzednio. Dodatek do ich stroju stanowiły dwie skórzane teczki zabezpieczone specjalną taśmą ze znakami korpusu dyplomatycznego, która wskazywała na to, że w teczkach znajdowały się dokumenty rządowe nie podlegające kontroli na przejściach granicznych. W rzeczywistości teczki zawierały broń oraz kilka innych drobiazgów, które Bourne zabrał dodatkowo z mieszkania d'Anjou po tym, jak McAllisterowi udało się zdobyć tę zapewniającą nietykalność taśmę, respektowaną nawet przez Republikę Ludową - respektowaną dopóty, dopóki Chinom zależało, aby te same względy okazywano również ich własnemu personelowi dyplomatycznemu. Na łączniku z Makau, który nazywał się Wong - a przynajmniej takie nazwisko podał - paszporty dyplomatyczne wywarły niemałe wrażenie, jednak dla większego bezpieczeństwa - i za dwadzieścia tysięcy dolarów amerykańskich, które, jak twierdził, zobowiązywały go moralnie - zdecydował, że zorganizuje przejście przez granicę po swojemu.

- Nie jest to być może aż tak trudne, jak to poprzednio panu sugerowałem, sir. Dwaj ze strażników to kuzyni ze strony mojej błogosławionej matki - niech spoczywa w Chrystusie - a my mamy zwyczaj wzajemnie sobie pomagać. Ja robię jednak dla nich więcej niż oni dla mnie, ale jestem

przecież w lepszej sytuacji. Są bardziej syci niżeli większość mieszkańców w Zhuhai Shi i obaj mają telewizory.

- Jeżeli są twoimi kuzynami - zdziwił się Bourne - to dlaczego nie podobało ci się, kiedy dałem jednemu z nich zegarek? Powiedziałaś, że jest za drogi.

- Ponieważ on go sprzeda, sir, poza tym nie chcę, żeby go psuto. Będzie wymagał ode mnie zbyt wiele.

Na takich zasadach, pomyślał Bourne, strzeżone są najbardziej szczelne granice na świecie. Wong polecił im, aby podeszli do ostatniego przejścia po prawej stronie dokładnie o godzinie 8.55; on przejdzie osobno kilka minut później. Ich paszporty z czerwonym paskiem dokładnie sprawdzono i odesłano do biura, po czym szacownych dyplomatów, zaszczyconych przez kuzyna skąpymi uśmiechami, szybko przepuszczono przez granicę. Niemal jednocześnie zostali powitani w Chinach przez panią prefekt Obwodu Granicznego Zhuhai Shi-Guangdong, która wręczyła im paszporty. Była to niska, szeroka w ramionach, muskularna kobieta. Jej angielski, choć zniekształcony silnym akcentem, był jednak zrozumiały.

- Panowie mają sprawy urzędowe w Zhuhai Shi? - zapytała. Jej uśmiech nie przystawał do chmurnego, prawie wrogiego spojrzenia. - A może w garnizonie w Guangdongu? Mogę zorganizować przejazd samochodem, jeżeli panowie sobie życzą.

- Bu yao, xiexie - rzekł podsekretarz stanu, odrzucając propozycję i przez grzeczność przechodząc na angielski, by wyrazić w ten sposób uznanie dla pilności ich rozmówczyni w nauce języków. - To mała ważna konferencja, która potrwa tylko parę godzin. Wrócimy do Makau jeszcze dziś w nocy. Nasi gospodarze przyjadą po nas tutaj, napijemy się więc kawy i poczekamy.

- Może w moim biurze?

- Dziękuję, ale raczej nie. Mamy się spotkać w... Kafeidian - w kawiarni.

- To tam, na prawo, a potem w lewo, sir. Na tej ulicy. Jeszcze raz - witajcie w Republice Ludowej.

- Nigdy nie zapomnę pani uprzejmości - skłonił się McAllister.

- Dziękuję - odparła korpulentna kobieta odwzajemniając ukłon i oddalając się zamaszystym krokiem.

- Cytując twoje słowa, analityku - odezwał się Bourne - bardzo dobrze ci to poszło. Myślę jednak, że ona nie jest po naszej stronie.

- Oczywiście, że nie - zgodził się podsekretarz. - Z pewnością polecono jej zadzwonić do kogoś tutaj w garnizonie albo do Pekinu i zawiadomić, że przekroczyliśmy granicę. Ten ktoś połączy się z Shengiem, a on będzie wiedział, że to nikt inny tylko my.

- On przyleci helikopterem - rzekł Jason, gdy szli w stronę przyćmionych świateł kawiarni znajdującej się przy końcu brudnego, betonowego przejścia widocznego na ulicy. - On jest w drodze. Nawiasem mówiąc, będziemy śledzeni, wiesz o tym, prawda?

- Nie, nie wiem - odparł McAllister spoglądając na Bourne'a. - Sheng będzie ostrożny. Podałem mu wystarczająco dużo alarmujących informacji. Gdyby przypuszczał, że istnieje tylko jedno dossier - co zresztą jest prawdą - mógłby próbować szczęścia uważając, że może je ode mnie kupić, a potem mnie zabić. Ale on myśli, a przynajmniej musi brać to pod uwagę, że istnieje jego kopia w

Waszyngtonie. Tę właśnie kopię chce zniszczyć. Nie zrobi więc niczego, aby mnie zdenerwować czy wystraszyć i spłoszyć. Pamiętaj, że jestem amatorem i nietrudno mnie przerazić. Znam go. Rozmyśla teraz nad tym wszystkim i prawdopodobnie wiezie ze sobą więcej pieniędzy, niż mógłbym się spodziewać. Oczywiście ma nadzieję je odzyskać, kiedy dossier zostanie już zniszczone, a ja będę trupem. Widzisz więc, że mam bardzo ważne powody, aby starać się nie doznać porażki - lub żeby nie osiągnąć sukcesu dzięki porażce.

Człowiek z „Meduzy” popatrzył na człowieka z Waszyngtonu.

- Ty to wszystko przemyślałeś, prawda?

- Jak najdokładniej - zgodził się McAllister patrząc prosto przed siebie. - Każdy szczegół. Zajęło mi to całe tygodnie. Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że ty weźmiesz w tym udział, bo sądziłem, że nie będziesz już żyć, wiedziałem jednak, że uda mi się dotrzeć do Shenga. Oczywiście jakąś nieoficjalną drogą. Każda bowiem inna droga, jak na przykład poufna konferencja, wymagałaby protokołu i nawet gdybym został z nim sam na sam, bez jego doradców, to i tak nie mógłbym go tknąć, bo wyglądałoby to na morderstwo popełnione za przyzwoleniem rządu. Rozważałem także możliwość bezpośredniego spotkania przez pamięć na dawne czasy; użyłbym wówczas argumentów, które nie mogłyby pozostać bez odpowiedzi - podobnie jak to uczyniłem wczorajszej nocy. Tak jak powiedziałeś Havillandowi, najprostsze sposoby są zazwyczaj najlepsze. My mamy zwyczaj komplikować sprawy.

- Często trzeba tak działać, we własnej obronie. Nie można dać się złapać na gorącym uczynku.

- To takie wytarte powiedzenie - powiedział analityk z ironicznym uśmiechem. - Cóż to oznacza? Że cię oszukano czy świadomie wprowadzono w błąd? Polityka nie zajmuje się kłopotami jednostki, a przynajmniej nie powinna. Niezmiennie przerażają mnie głosy wołające o uczciwość, podczas gdy ci, którzy do tego nawołują, nie wiedzą, nie mają pojęcia o tym, jak my zmuszeni jesteśmy postępować.

- Być może ludzie zawsze domagają się jasnej odpowiedzi.

- Nie mogą takiej uzyskać - stwierdził McAllister, gdy zbliżyli się do drzwi kawiarni - bo nic by z tego nie zrozumieli. Bourne zatrzymał się przed drzwiami, ale ich nie otwierał.

- Jesteś zaślepiony - powiedział patrząc McAllisterowi w oczy. - Ja również nie uzyskałem jasnej odpowiedzi ani tym bardziej wyjaśnienia. Zbyt długo byłeś w Waszyngtonie. Przydałoby ci się kilka tygodni w Cleveland, Bangor lub Maine. Rozszerzyłyby to twoje horyzonty.

- Proszę mnie nie pouczać, panie Bourne. Jedyne niecałe czterdzieści sześć procent naszego społeczeństwa przejmuje się tym wszystkim na tyle, aby oddać swój głos w wyborach - a to ma wpływ na kierunki, jakie obieramy. Wszystko pozostawia się nam, graczom, zawodowym biurokratom. My jesteśmy wszystkim, co posiadacie... Czy moglibyśmy wejść do środka? Twój przyjaciel, pan Wong, powiedział, że mamy się tam pokazać tylko na kilka minut - wypić kawę i wyjść na ulicę. Powiedział, że spotka się tam z nami dokładnie za dwadzieścia pięć minut, z których dwanaście już minęło.

- Dwanaście? Nie dziesięć, nie piętnaście, tylko akurat dwanaście?

- Właśnie.

- A co zrobimy, jeżeli spóźni się o dwie minuty? Zastrzelimy go?

- Bardzo zabawne - rzekł analityk otwierając drzwi.

\Wyszli z kawiarni i znaleźli się na wyboistym chodniku biegnącym wzdłuż nie mniej zrujnowanego placu, który usytuowany był niedaleko punktu kontroli granicznej w Guangdong. Na przejściu panował niewielki ruch; znajdowało się tam nie więcej niż kilkanaście osób, które wkrótce zniknęły w ciemnościach po drugiej stronie granicy. Z trzech pobliskich latarni paliła się tylko jedna i to niezbyt jasno. Niewiele więc można było zobaczyć. Dwadzieścia pięć minut minęło, potem pół godziny. Po dalszych dziesięciu minutach oczekiwania Bourne zaczął się niepokoić.

- Coś jest nie w porządku. Powinien już tu być.

- Dwie minuty i strzelamy? - zaczął McAllister, ale natychmiast przeszła mu ochota do żartów. - Właściwie miałem na myśli to, że musimy po prostu spokojnie czekać.

- Przez dwie minuty, a nie blisko kwadrans - odpowiedział Jason. - To nie jest normalne - dodał ciszej, jakby do siebie. - Z drugiej strony to może być całkiem normalnie anormalne. On chce, żebyśmy to my się z nim skontaktowali.

- Nie rozumiem...

- Nie musisz. Idź tylko obok mnie, tak jakbyśmy się przechadzali dla zabicia czasu, dopóki ktoś nas nie zaczepi. Jeżeli ona, ta zapaśniczka, nas zobaczy, nie zdziwi się. Chińscy urzędnicy są znani z tego, że spóźniają się na spotkania; uważają, że mają dzięki temu większe szansę.

- Niech się pocą?

- Właśnie tak. Tylko że to nie z nimi mamy się teraz spotkać. Chodź, przejdźmy na lewą stronę, tam jest ciemniej, dalej od światła. Zachowuj się swobodnie, mów o pogodzie, o czym chcesz. Kiwaj lub potrząśnij głową, wzruszaj ramionami, cały czas wykonuj jakieś powściągliwe ruchy.

Zdążyli przejść około dwudziestu metrów, gdy to nastąpiło.

- Kam Pęk! - wypowiedziana szeptem nazwa kasyna w Makau dotarła do nich z ciemności zza pustego kiosku z gazetami.

- Wong?

- Zostańcie tam, gdzie jesteście, udawajcie, że prowadzicie rozmowę, i słuchajcie tego, co powiem!

- Co się stało?

- Jesteście śledzeni.

- Dwa punkty dla znakomitego biurokraty - zadrwił Jason. -- Czy ma pan coś do dodania, panie podsekretarzu?

- Jest to dość nieoczekiwane, ale nie pozbawione logiki - odrzekł McAllister. - Prawdopodobnie eskorta. Fałszywych paszportów tu nie brakuje, o czym mieliśmy okazję przekonać.

- Królowa Kong zaszachowała nas. Pierwszy cios.

- Może po to, by upewnić się, że nie jesteśmy powiązani z ludźmi, o których wspominałeś wczoraj wieczorem - szepnął analityk tak cicho, że nie mógł być słyszany przez chińskiego łącznika.

- Możliwe. - Bourne zaczął mówić o ton głośniejszy, tak aby łącznik był w stanie go usłyszeć. Spojrzał w stronę przejścia granicznego, ale nikogo tam nie zauważył. - Kto nas śledzi?

- Świnia.

- Su?

- Nie inaczej, sir. Dlatego właśnie muszę pozostać w ukryciu.

- Czy jeszcze ktoś?

- Nikogo nie widziałem, nie wiem jednak, kto jest na drodze prowadzącej na wzgórze.

- Ja go usunę - powiedział człowiek z „Meduzy” zwany Deltą.

- Nie! - zaprotestował McAllister. - Być może Sheng kazał mu się upewnić, że jesteśmy sami, że z nikim się nie kontaktujemy. Dopiero co przyznałeś, że to jest możliwe.

- Mógłby to sprawdzić tylko wtedy, gdyby sam się z tym kimś skontaktował. Nie może zrobić tego pierwszego... jeśli nie zrobi tego drugiego. A twój stary przyjaciel nie ryzykowałby połączenia radiowego podczas lotu samolotem czy helikopterem. Ktoś mógłby to przechwycić.

- A jeśli mają umówione sygnały - ognisko lub silny reflektor skierowany do góry - które potwierdzą, że wszystko jest w porządku? Jason spojrzał na analityka. - Ty naprawdę wszystko przemyślałeś.

- Widzę pewne wyjście - ułyszeli z ciemności głos Wonga - i jest to jednocześnie przywilej, który chciałbym zarezerwować dla siebie, bez dodatkowej zapłaty.

- Jaki przywilej?

- Ja zabiję Świnie. Zrobię to w taki sposób, że nikt na tym nie ucierpi.

- Co? - Bourne, zaskoczony, pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Błagam, sir! Proszę patrzeć przed siebie.

- Przepraszam. Ale dlaczego?

- Cudzołóży na prawo i lewo grożąc kobietom, które sobie upatrzy, że one lub ich mężowie, bracia czy nawet kuzyni stracą pracę. W ciągu ostatnich czterech lat okrył hańbą wiele rodzin, w tym także moją ze strony mojej błogosławionej matki.

- Czemu nikt go dotąd nie zabił?

- Podróżuje z uzbrojonymi ludźmi, nawet w Makau. Pomimo to rozwścieczeni mężczyźni kilkakrotnie podejmowali takie próby, ale rezultatem były wzmożone represje.

- Represje? - zapytał cicho McAllister.

- Wybierano zupełnie przypadkowych ludzi i oskarżano ich o kradzież żywności i sprzętu z garnizonu. Karą za takie zbrodnie jest publicznie wykonany wyrok śmierci.

- Jezu - mruknął Bourne. - O nic więcej nie będę pytał. Masz wystarczający powód. Ale w jaki sposób zrobisz to dziś w nocy?

- Jest w tej chwili sam, bez swoich goryli. Prawdopodobnie czekają na niego przy drodze prowadzącej na wzgórze, w każdym razie tu ich nie ma. Wy teraz wyruszycie i jeżeli on pójdzie za wami, ja podążę za nim. Jeśli nie pójdzie, będę wiedział, że po drodze nic wam nie grozi i wtedy was dogonię.

- Dogonisz nas? - Bourne zmarszczył brwi.

- Gdy tylko zabiję Świnie i zostawię jego parszywe cielsko w odpowiednim dla niego, choć

haniebnym miejscu - w damskiej toalecie.

- A jeśli on jednak pójdzie za nami? - dopytywał się Jason.

- Okazja się nadarzy, nawet jeżeli będę służył wam swoim wzrokiem. Ja dojrzę jego goryli, ale oni mnie nie zobaczą. Wszystko jedno, co będzie robił, odpowiedni moment nadejdzie, gdy tylko trochę się oddali i znajdzie w ciemności. To mi wystarczy, a wszyscy dojdą do wniosku, że okrył hańbą także jednego ze swoich ludzi.

- Możemy już iść.

- Pan zna drogę, sir.

- Tak jakbym miał przed sobą mapę.

- Spotkam się z wami u podnóża pierwszego pagórka za polem porośniętym wysoką trawą. Pamięta pan?

- Trudno byłoby zapomnieć. Niewiele brakowało, a miałbym tam w Chinach swój grób.

- Po przejściu siedmiu kilometrów trzeba skręcić w las w kierunku pół.

- Tak zrobimy. Powiedziałaś mi wszystko. Pomyślnych łowów, Wong.

- Postaram się, sir. Mam dostatecznie dużo rozsądku.

Dwaj Amerykanie przeszli przez zaniedbany stary plac trzymając się z dala od nikłego oświetlenia i znaleźli się w zupełnej ciemności. Korpulentna postać w cywilnym ubraniu ukryta w cieniu betonowego przejścia nie przestawała ich obserwować. Mężczyzna spojrzął na zegarek i pokiwał głową uśmiechając się do siebie z satysfakcją. Po chwili pułkownik Su Jiang odwrócił się i ruszył z powrotem tunelem w kierunku przejścia granicznego, którego żelazne bramy, drewniane kabiny i widoczny w oddali drut kolczasty oświetlone były przyćmionym szarym światłem. Powitała go tu pani prefekt Obwodu Granicznego Zhuhai Shi-Guangdong, która zamaszystym krokiem, wyprostowana jak żołnierz maszerowała rażno w jego stronę.

- To muszą być jacyś bardzo ważni ludzie, pułkowniku - stwierdziła pani prefekt, a w jej oczach nie było teraz ani śladu wrogości, przeciwnie, malowało się w nich niemal ślepe uwielbienie. I strach.

- O, tak, z pewnością - zgodził się pułkownik.

- Muszą być, skoro tak znakomity oficer jak pan czuwa nad wszystkim. Ja zadzwoniłam do tego mężczyzny w Guangzhou, tak jak pan sobie życzył; podziękował mi, ale nie zapisał mojego nazwiska...

- Dopilnuję, żeby to zrobił - przerwał znużony Su.

- I dam na przejście moich najlepszych ludzi, aby ich odpowiednio przyjęli, kiedy będą wracać późno w nocy do Makau. Su popatrzył na kobietę.

- To nie będzie potrzebne. Oni udadzą się do Pekinu na ściśle tajne obrady na najwyższym szczeblu. Mam rozkaz, aby usunąć wszelkie dane świadczące o tym, że przekroczyli granicę w Guangdongu.

- To aż takie poufne?

- Szalenie poufne, towarzysko. Są to ściśle tajne sprawy państwowe i jako takie muszą być utrzymane w tajemnicy nawet przed najbliższymi współpracownikami. Proszę was do biura.

- Natychmiast - odrzekła barczysta kobieta wykonując sprawnie żołnierski zwrot. - Mam herbatę i kawę, a nawet angielską whisky z Hongkongu.

- O, angielska whisky. Chodźmy, towarzyszeko. Skończyłem już pracę.

Dwie nieco groteskowe, jakby rodem z opery Wagnera postaci pomaszerowały noga w nogę w kierunku masywnych, szklanych drzwi biura pani prefekt.

Papierosy! - szepnął Bourne chwytając Edwarda McAllistera za ramię.

- Gdzie?

- Przed nami, po lewej stronie drogi. W lesie!

- Nie zauważyłem.

- Bo się nie rozglądałeś. Są ukryci, ale jednak tam są. Korę drzew momentami rozświetla słaby blask, a potem znowu jest zupełnie ciemno. W nierównych odstępach czasu. Ludzie palą papierosy. Czasami wydaje mi się, że mieszkańcy Dalekiego Wschodu przedkładają papierosy nad seks.

- Co zrobimy?

- Dokładnie to, co robimy, tylko głośniej.

- Co?

- Idź dalej i mów, cokolwiek przychodzi ci do głowy. Oni nie rozumieją. Na pewno znasz „Hajawatę” lub „Horacjusza na moście”, czy jakąś inną pieśń ze swoich szalonych szkolnych lat. Nie śpiewaj, tylko powtarzaj słowa. Odwróci to twoje myśli od innych spraw.

- Ale dlaczego?

- Dlatego, że to jest to, co przewidziałeś. Sheng sprawdza, czy nie kontaktujemy się z nikim, kto mógłby stanowić dla niego zagrożenie. Upewnijmy go w tym, zgoda?

- O, mój Boże! A jeżeli któryś z nich zna angielski?

- To wielce nieprawdopodobne. Ale jeżeli wolisz, możemy zaimprovizować rozmowę.

- Nie, nie jestem w tym dobry. Nienawidzę przyjęć i proszonych obiadów, nigdy nie wiem, o czym mam mówić.

- Dlatego proponuję jakieś rymowanki. Ja będę coś wtrącał, gdy ty zapomnisz słów. No, zacznaj, mów szybko i w miarę naturalnie. Niemożliwe, by wśród nich znajdowali się chińscy naukowcy mówiący biegle po angielsku... Zgasili papierosy. Dostrzegli nas. Śmiało!

- O, Boże... no dobrze. Och... „Prawiąc o rzeziach pełnych krwi, siedząc na ganku O'Reilly'ego...”

- To bardzo odpowiednie! - rzekł Jason patrząc z aprobatą na swojego ucznia.

- „Nagle do głowy przyszło mi, by się zabawić z córką starego...”

- Ależ, Edwardzie, ty mnie ciągle zadziwiasz.

- To stara studencka piosenka - cicho wyjaśnił analityk.

- Co? Nie słyszę cię, Edwardzie. Mów głośniej.

- „Dylu-dylu-di-aj-i, dylu-dylu-di-aj-o, dylu-dylu-di-aj-i, balujmy z ojczulkiem Reilly”.

- Kapitalnie - pochwalił Bourne, gdy mijali miejsce, w którym ukryci w lesie ludzie palili przed chwilą papierosy. - Myślę, że twój przyjaciel doceni twój punkt widzenia. Czy masz jeszcze jakieś inne cenne myśli?

- Zapomniałem słów.

- To znaczy myśli. Z pewnością sobie przypomnisz.

- Coś o „starym Reillyrn”... O, tak, pamiętam. Dalej szło tak. „Zabaw się, zabaw jeszcze raz, baw się, dopóki jest przyjemnie”, a później wpada stary Reilly... „i wymachując groźnie dwururką, chce znaleźć drania, co niestety pozwalał sobie z jego córką”. Jednak pamiętałem.

- Można by cię wystawić w muzeum, jeżeli coś takiego znajduje się w twoim rodzinnym Ripley... Ale spójrz na to inaczej, można było rozważyć cały ten plan w Makau.

- Jaki plan?... Była jeszcze jedna, bardzo zabawna. „Sto butelek piwa na półce stało, sto butelek piwa, jedna spadła na dół i się rozbiła...” O, Boże, to było tak dawno temu. Chodziło o to, że ciągle ubywa tych butelek... „dziewięćdziesiąt dziewięć butelek piwa na półce stało...”

- Daj spokój, już nie słyszą.

- Nie słyszą? Dzięki Bogu.

- To, co mówiłeś, było świetne. Jeżeli któryś z tych pajaców cokolwiek z tego zrozumiał, to są pewnie jeszcze bardziej zakłopotani niż ja. Dobra robota, analityku. No, chodźmy teraz szybciej.

McAllister spojrzał na Jasona.

- Zrobiłeś to celowo, prawda? Zmusiłeś mnie, abym sobie coś przypominał, wszystko jedno co, wiedząc, że się na tym skoncentruję i nie poddam się panice.

Bourne puścił to mimo uszu i powiedział:

- Jeszcze trzydzieści metrów i dalej pójdiesz sam.

- Co? Zostawiasz mnie?

- Na dziesięć, może piętnaście minut. Nie zatrzymując się zegnij rękę tak, abym mógł oprzeć na niej swoją teczkę i ją otworzyć.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał podsekretarz, gdy „dyplomatyczna” teczka spoczęła niepewnie na jego ramieniu. Jason otworzył ją, wyjął nóż o długim ostrzu, po czym zamknął. - Nie możesz zostawić mnie samego!

- Nic ci się nie stanie, nikt nie ma zamiaru ciebie czy mnie zatrzymywać. Gdyby chcieli to zrobić, już by to zrobili.

- Chcesz przez to powiedzieć, że to mogła być zasadzka?

- Polegałem na twojej analitycznej ocenie, że tak nie jest. Weź teczkę.

- Ale co masz zamiar...

- Muszę sprawdzić, co jest tam w głębi. Nie zatrzymuj się. W miejscu, gdzie droga zakręcała, człowiek z „Meduzy” skręcił w lewo i wszedł do lasu. Biegając szybko, bezgłośnie, instynktownie omijając splątane zarośla, których ledwie dotykał, posuwał się w prawo zataczając szerokie półkole. Parę minut później dostrzegł żarzące się papierosy i ze zwinnością dzikiego kota podczołgał się na odległość około trzech metrów od znajdującej się tam grupy ludzi. W migotliwym świetle księżyca

przedzierającym się przez korony potężnych drzew mógł ich policzyć. Było ich sześciu, wszyscy uzbrojeni w lekkie karabiny maszynowe przewieszane przez ramię. Zauważył jeszcze coś, co go zastanowiło. Każdy z nich miał na sobie zapinany na cztery guziki, szyty na miarę mundur wyższego oficera armii Republiki Ludowej. Z urywków rozmowy, jakie do niego dotarły, zorientował się, że mówili w dialekcie mandaryńskim, a nie kantońskim, którego używali żołnierze, a nawet oficerowie z garnizonu w Guangdongu. Ci ludzie nie byli z Guangdongu. Sheng ściągnął swoje specjalne oddziały szturmowe.

Nagle jeden z oficerów pstryknął zapalniczką i spojrzął na zegarek. Bourne dojrzał nad płomieniem jego twarz. Znał tę twarz, a jej widok potwierdził jego przypuszczenia. Była to twarz człowieka, który tamtej straszliwej nocy próbował podstępnie wyciągnąć coś z Echa w ciężarówce udając więźnia, oficer, którego Sheng traktował do pewnego stopnia z szacunkiem. Rozumny morderca o łagodnym głosie.

- Xianzai - rzekł mężczyzna, oznajmiając, że nadszedł właściwy moment. Uniósł do góry przenośną radiostację i zaczął mówić. Dalishi, dalishi\ - warknął, podając swemu odbiorcy hasło wywoławcze, które brzmiało „Marmur”. - Są sami, nie ma z nimi nikogo. Będziemy postępować według instrukcji. Przygotujcie się na sygnał.

Oficerowie wstali z ziemi, poprawili broń i zgasili papierosy rozgniatając je na ziemi. Ruszyli szybkim krokiem ku leśnej drodze.

Bourne przedzierał się przez pewien czas na czworakach, po czym wstał na nogi i puścił się pędem przez las. Musiał dobiec do McAllistera, zanim ludzie Shenga zblizną się do niego na tyle, że będą mogli w świetle księżyca dojrzeć, że podsekretarz jest sam. Z pewnością by ich to zaalarmowało, a wówczas mogliby wysłać inny „sygnał” - konferencja odwołana. Jason dotarł do zakrętu i zaczął biec jeszcze szybciej przeskakując przez leżące gałęzie, których inni pewnie by nie zauważyli, prześlizgiwał się przez pnącza i splątane poszycie, przeszkody, których inni nie byliby w stanie przewidzieć. Niespełna dwie minuty później wybiegł bezszelestnie z lasu tuż przy McAllisterze.

- Dobry Boże! - wysapał z trudem podsekretarz stanu.

- Spokojnie!

- Jesteś szaleńcem!

- Wyjaśnij dlaczego.

- Trwałoby to kilka godzin. - Drżącymi rękami wręczył Jasonowi teczkę. - Dobrze, że chociaż to nie wybuchło.

- Powinienem był cię ostrzec, że nie można tego upuścić ani potrząsać tym zbyt gwałtownie.

- O, Jezu!.. Czy nie czas zboczyć z drogi? Wong powiedział...

- Nie myśl o tym. Mamy być całkowicie widoczni, dopóki nie dojdziemy do drugiego wzgórza, a wtedy ciebie będzie widać znacznie lepiej niż mnie. Chodź szybciej. Mają nadać jakiś sygnał, co oznacza, że znowu miałeś rację. Pilot ma otrzymać znak, że może lądować, lecz nie drogą radiową, a światłem.

- Mamy gdzieś się spotkać z Wongiem. Chyba mówił, że u podnóża pierwszego pagórka.

- Poczekamy na niego parę minut, ale myślę, że raczej możemy o nim zapomnieć. Zobaczysz to, co ja widziałem, i gdybym był na jego miejscu, zawróciłbym prosto do Makau, gdzie czeka na niego

dwadzieścia tysięcy dolarów, i powiedziałbym, że zabłądziłem.

- A co takiego widziałeś?

- Sześciu uzbrojonych ludzi wyposażonych w taką ilość amunicji, że wystarczyłoby, aby zmieść z powierzchni Ziemi jedną z tych gór.

- O, mój Boże, nigdy się stąd nie wydostaniemy!

- Nie poddawaj się przedwcześnie. To jedna ze spraw, o których cały czas myślałem. - Bourne odwrócił się do McAllistera przyspieszając kroku. - Z drugiej strony - dodał śmiertelnie poważnym tonem - wprowadzenie w czyn twojego planu zawsze związane było z ryzykiem.

- Tak, wiem o tym. Nie będę poddawał się panice. Nie będę! - Nagle las się skończył, polna droga przechodziła teraz w ścieżkę biegnącą przez pola porośnięte wysoką trawą. - Jak myślisz, po co ci ludzie tutaj są? - zapytał analityk.

- Asekuracja na wypadek zasadzki, jaką każdy drań zamieszany w tę brudną robotę może podejrzewać. Mówiłem ci, ale nie chciałeś mi wierzyć. Jeżeli jednak twoje przewidywania okażą się trafne, a wszystko na to wskazuje, będą trzymać się z daleka, w ukryciu - abyś się nie przestraszył i nie uciekł. Jeżeli tak się stanie, to uda nam się stąd wydostać.

- W jaki sposób?

- Teraz w prawo przez pola - odrzekł Jason, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. - Daję Wongowi pięć minut, chyba że zauważylibyśmy jakiś sygnał lub usłyszeli samolot, ale ani chwili dłużej. A daję mu aż tyle czasu tylko dlatego, że rzeczywiście potrzebuję tych oczu, za które zapłaciłem.

- Czy mógłby przejść w pobliżu tych ludzi, tak żeby go nie zauważyli?

- Bez problemu, oczywiście pod warunkiem, że nie jest teraz w drodze powrotnej do Makau.

Dotarli do końca trawiastego pola i znaleźli się u podnóża pierwszego pagórka, którego zbocze porośnięte było drzewami. Bourne spojrział na zegarek, następnie na McAllistera. - Wejźmy w las, tak by nas nie widziano - polecił wskazując na drzewa rosnące powyżej. - Ja zostanę tutaj, ty wejźdź trochę wyżej, ale nie wychodź na otwarty teren, nie pokazuj się, zostań na skraju lasu. Gdy zobaczysz światła lub usłyszysz samolot, zagwiżdż. Chyba umiesz gwizdać?

- Prawdę mówiąc, nie za bardzo. Kiedy dzieci były mniejsze i mieliśmy psa, brązowego psa myśliwskiego...

- Och, na miłość boską! No to rzuć w dół kilka kamieni. Usłyszę, jak będą spadały. No, idź!

- Tak, rozumiem. Ruszam.

Delta - bo był teraz Deltą - stanął na czatach. Księżyc nieustannie przesłaniały przesuwające się powoli niskie chmury, wyteżał więc wzrok obserwując uważnie porośnięte trawą pole, wypatrując jakiegoś poruszenia w tym jednostajnym pejzażu - trzciny zginających się w kierunku podnóża, ku niemu. Minęły trzy minuty i Jason prawie już uznał, że jest to strata czasu, gdy nagle z wysokiej trawy po jego prawej stronie wynurzył się pochylony mężczyzna i skrył się natychmiast z powrotem. Bourne odstawił teczkę i wyciągnął zza pasa długi nóż.

- Kam Pęk! - odezwał się szeptem mężczyzna.

- Wong?

- Tak, sir - rzekł łącznik wymijając pnie drzew i zbliżając się do Jasona. - Wita mnie pan z nożem?

- Idzie za nami paru innych ludzi, a poza tym, szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że się tu pokażesz. Powiedziałem ci przecież, że możesz się wycofać, jeśli uznasz, że ryzyko jest zbyt wielkie. Nie sądziłem, że nastąpi to tak szybko, ale pogodziłbym się z tym. Broń, jaką mają ci ludzie, robi wrażenie.

- Mogłem wykorzystać sytuację, ale oprócz pieniędzy ofiarował mi pan coś więcej - pozwolił dokonać czynu, który dostarczył mi ogromnej satysfakcji. Nie tylko zresztą mnie. Nawet pan sobie nie wyobraża, ilu ludzi będzie błogosławić człowieka, który tego dokonał.

- Świnia Su?

- Zgadza się, sir.

- Czekał no - rzekł przerażony Bourne. - Skąd masz pewność, że będą o to podejrzewać jednego z tych ludzi?

- Jakich ludzi?

- Tych z karabinami maszynowymi, którzy podążają za nami, Oni nie są z Guangdongu, nie są z garnizonu. Ściągnięto ich z Pekinu.

- Miało to miejsce w Zhuhai Shi. Na przejściu.

- A niech cię! Rozwaliłeś wszystko! Oni czekali na Su!

- Jeżeli nawet czekali, to on i tak nigdy by do nich nie dotarł.

- Co?

- Urządzili sobie z panią prefekt libację. Poszedł do niej, żeby się pocieszyć, tam właśnie go zastałem. Teraz znajduje się w sąsiednim pomieszczeniu, w brudnej damskiej toalecie, z poderżniętym gardłem i obciętych genitaliami.

- Na Boga... Czyli że on za nami nie poszedł?

- Nie miał najmniejszego zamiaru.

- Rozumiem, choć nie za dobrze. Był wyłączony z dzisiejszej akcji. Jest to w całości operacja prowadzona przez Pekin. Jednak tam na dole on był głównym łącznikiem.

- Nic mi o tych sprawach nie wiadomo - przerwał Wong nie chcąc podtrzymywać tematu.

- Przepraszam, oczywiście, że nie.

- Oto są oczy, które pan wynajął, sir. W którą stronę życzy pan sobie, abym patrzył i czego pan ode mnie oczekuje?

- Czy udało ci się bez kłopotu wyminąć tę uzbrojoną grupę na drodze?

- Tak. Widziałem ich, ale oni mnie nie widzieli. Siedzą teraz w lesie na skraju pola. Jeśli to się panu na coś przyda, to mężczyzna z radiostacją polecił człowiekowi, z którym się połączył, aby się oddalił w chwili, gdy zostanie nadany „sygnał”. Nie wiem, co to oznacza, ale przypuszczam, że chodzi tu o helikopter.

- Tak przypuszczasz?

- Razem z Francuzem śledziliśmy tu którejś nocy pewnego angielskiego majora. Stąd właśnie wiedziałem, jak pana tu doprowadzić. Helikopter wylądował i wysiedli z niego ludzie na spotkanie z Anglikiem.

- Dokładnie tak mi opowiadał.

- Opowiadał panu, sir?

- Mniejsza z tym. Zostań tutaj. Gdy ci ludzie siedzący teraz w lesie wyjdą na pole, chcę o tym wiedzieć. Będę trochę wyżej na polu przed drugim wzgórzem z prawej strony. Na tym samym polu, gdzie ty i Echo widzieliście wtedy helikopter.

- Echo?

- Francuz. - Delta przerwał myśląc intensywnie. - Nie wolno ci zapalić zapałki, nie możesz ściągać na siebie uwagi...

Nagle dał się słyszeć przytłumiony, lecz wyraźnie słyszalny stukot. Drzewa! Kamienie! To McAllister dawał znaki!

- Nazbieraj kamieni, kawałków drewna czy skał i rzucaj nimi w kierunku lasu, w prawo. Ja usłyszę.

- Już teraz napełnię sobie nimi kieszenie.

- Nie mam prawa cię o to pytać - rzekł Delta podnosząc swą „dyplomatyczną” teczkę - ale czy masz broń?

- Duży karabin kalibru 0.357 z ładownicą pełną amunicji, dzięki uprzejmości kuzyna ze strony mojej matki, niech spoczywa w Chrystusie.

- Prawdopodobnie już się nie zobaczymy, Wong, a więc żegnaj. Może nie we wszystkim cię pochwalam, ale tak czy inaczej, jesteś chłop na schwał. Wierz mi, że naprawdę dołożyłeś mi ostatnim razem.

- Nie, sir, to pan mnie pokonał. Chętnie zmierzyłbym się z panem jeszcze raz.

- Wybij to sobie z głowy! - krzyknął człowiek z „Meduzy” biegnąc pod górę.

Helikopter, niczym wielki, monstrualny ptak rozjaśniony od spodu oślepiającym światłem, wylądował na polu. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami McAllister stanął tak, aby mógł być dobrze widoczny i tak, jak się spodziewano, reflektory helikoptera oświetliły jego postać. Bourne, co również było zgodne z planem, znajdował się niecałe czterdzieści metrów dalej pod osłoną drzew, gdzie można go było dostrzec, choć z trudem. Śmigła helikoptera zaczęły wytracać prędkość, a po chwili zatrzymały się ze zgrzytem. Zaległa pełna napięcia cisza. Otworzyły się drzwi, spuszczone schody i szczupły siwowłosy Sheng Chouyang z aktówką w ręku zszedł na dół.

- Jak przyjemnie widzieć cię znowu po tylu latach, Edwardzie - krzyknął pierworodny syn taipana. - Czy będziesz chciał dokonać inspekcji śmigłowca? Tak jak sobie tego życzyłeś, nie ma tu nikogo prócz mnie i mojego najbardziej zaufanego pilota.

- Nie, Sheng, ty możesz to zrobić za mnie! - zawołał McAllister z odległości kilkudziesięciu metrów, wyciągając ukryty pod kurtką pojemnik i rzucając go w stronę helikoptera. - Każ pilotowi wysiąść na parę minut i spryskaj wewnątrz kabinę. Jeżeli ktoś jeszcze jest w środku, wyjdzie stamtąd bardzo szybko.

- To zupełnie do ciebie niepodobne, Edwardzie. Ludzie naszego pokroju wiedzą, kiedy mogą sobie wzajemnie zaufać. Nie jesteśmy głupcami.

- Zrób to, Sheng!

- Oczywiście, zrobię, jak sobie życzysz. - Pilot otrzymał rozkaz opuszczenia śmigłowca. Sheng Chouyang podniósł pojemnik i wtrysnął paraliżującą substancję do wnętrza helikoptera. Minęło kilka minut;

nikt nie wyszedł. - Czy jesteś zadowolony, czy też mam wypuścić to wszystko w powietrze, co nie wyszłoby na dobre żadnemu z nas. Chodź, przyjacielu, nie zniżajmy się do takich machinacji. Nigdy tego nie robiliśmy.

- Ale ty stałeś się tym, czym jesteś, a ja zostałem tym, czym byłem.

- Możemy to naprawić, Edwardzie. Mogę zażądać twojej obecności na wszystkich naszych konferencjach. Dzięki mnie osiągniesz bardzo wysoką pozycję. Staniesz się gwiazdą na firmamencie polityki zagranicznej.

- A więc to prawda, tak? To, co jest w dossier. Wróciliście tu. Kuomintang znowu działa w Chinach...

- Porozmawiajmy spokojnie, Edwardzie. - Sheng spojrzał na Bourne'a stojącego w ciemnościach, a następnie wskazał ręką na prawo. - To sprawa prywatna.

Jason działał szybko; gdy obaj negocjatorzy stali zwróceny do niego plecami, pobiegł w stronę śmigłowca. Kiedy pilot wszedł do kabiny i zajął ponownie swoje miejsce, człowiek z „Meduzy” znalazł się tuż za nim.

- Anjing! - szepnął Jason nakazując mężczyźnie milczenie pod groźbą pistoletu maszynowego. Zanim oszołomiony pilot zdążył zareagować, Bourne owinał mu głowę paskiem mocnego materiału, zatykając otwarte w szoku usta mężczyzny i zacisnął go mocno z tyłu. Następnie wyciągnął z kieszeni długą, cienką, nylonową linkę, którą przywiązał mężczyznę do siedzenia unieruchamiając mu jednocześnie ręce. Nie będzie żadnego niespodziewanego startu.

Schowawszy broń za pas pod kurtkę, Bourne wyczołgał się z helikoptera. Wielka maszyna zasłaniała mu widok McAllistera i Sheng Chouyanga, a to oznaczało, że oni również nie mogli go widzieć. Zaczął iść szybkim krokiem w kierunku miejsca, które zajmował poprzednio, rozglądając się bez przerwy, gotów w każdej chwili zmienić kierunek, gdyby dwaj mężczyźni pojawili się nagle z jednej lub drugiej strony śmigłowca. Helikopter stanowił jego osłonę. Zatrzymał się. Był wystarczająco blisko - czas się pokazać. Wyjął papierosa i przypalił go zapałką. Następnie ruszył wolnym krokiem, niby bez celu w lewo, skąd mógł dostrzec ledwie widoczne dwie postacie stojące z drugiej strony helikoptera. Zastanawiał się, o czym ci dwaj wrodzy sobie ludzie mogli rozmawiać. Dziwił się, na co McAllister czeka.

Do dzieła, analityku. Zrób to teraz! To najlepsza sposobność. Zwlekając tracisz cenny czas, a czas przynosi komplikacje! Do diabła z tym. Działaj!

Bourne zamarł. Usłyszał odgłos kamienia uderzającego o drzewo w pobliżu miejsca, które mijał przechodząc przez pole. Po chwili rozległ się następny, dużo bliżej, a potem jeszcze jeden, moment później. To ostrzeżenie Wonga! Ludzie Shenga przechodzą przez pole!

Analityku, doprowadzisz do tego, że nas zabiją! Jeżeli teraz wybiegnę i strzelę, odgłos wystrzału ściągnie tu sześciu ludzi, którzy dysponują takim uzbrojeniem, że nie damy im rady! Na Chrystusa,

zrób to!

Człowiek z „Meduzy” spojrział na Shenga i McAllistera; ogarnęła go taka wściekłość na samego siebie, że był bliski wybuchu. Nie powinien był dopuścić, aby potoczyło się to w ten sposób. Śmierć zadana ręką amatora, rozgoryczonego biurokraty, który pragnął przeżyć swój słoneczny dzień.

- Kam Pęk! - To był Wong. Przeszedł przez las porastający wierzchołek pagórka i znajdował się teraz za nim, ukryty między drzewami.

- No? Słyszałem, jak rzucałeś kamienie.

- Nie spodoba się panu to, co teraz powiem, sir.

- Co się dzieje?

- Ludzie Shenga wchodzą na górę.

- To tylko asekuracja - rzekł Jason, nie odrywając wzroku od dwóch postaci stojących na otwartej przestrzeni. - Wszystko może się jeszcze dobrze skończyć. Tak cholernie dużo to oni znowu nie zobaczą.

- Nie jestem pewien, czy to ma jakieś znaczenie, sir. Oni się szykują. Słyszałem ich. Mają broń gotową do strzału.

Bourne'a zatkało, opanowało go uczucie beznadziejności. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że wpadli we własną pułapkę.

- Lepiej stąd uciekaj, Wong.

- Czy mogę o coś zapytać? Czy to są ludzie, którzy zabili Francuza?

- Tak.

- I to dla nich Świnia, Su Jiang, wykonywał tę ohydną robotę przez ostatnie cztery lata?

- Tak.

- Chyba jednak zostanę, sir.

Nie mówiąc ani słowa meduzyjczyk podszedł do miejsca, gdzie leżała jego teczka. Podniósł ją i rzucił między drzewa.

- Otwórz ją - rzekł. - Jeśli z tego wyjdziemy, będziesz mógł spędzić resztę życia w kasynie bez przyjmowania zleceń.

- Nie uprawiam hazardu.

- Robisz to teraz, Wong.

Czy rzeczywiście sądziłeś, że my, wielcy synowie najstarszego i kulturowo najwyższego rozwiniętego imperium w dziejach świata zostawilibyśmy to wszystko tym brudnym wieśniakom i ich nieprawemu potomstwu, wychowanemu na skompromitowanych teoriach egalitaryzmu? - Sheng stał przed McAllisterem, przyciskając oburącz do piersi swoją aktówkę. - Oni powinni być naszymi niewolnikami, a nie władcami.

- To właśnie ten sposób myślenia sprawił, że zostaliście pozbawieni ojczyzny - wy, przywódcy, a nie naród. Ludzi nie pytano o zdanie. Gdyby to zrobiono, można by było wprowadzić pewne poprawki, pójść na jakiś kompromis, wtedy nie stracilibyście kraju.

- Nikt nie wdaje się w kompromisy z marksistowską hołotą ani z kłamcami. I ja też nie będę wchodził w żadne układy z tobą, Edwardzie.

- Cóż to ma znaczyć?

Sheng lewą ręką otworzył aktówkę i wyjął z niej dossier skradzione z domu na Victoria Peak.

- Poznajesz to? - zapytał spokojnie.

- Nie wierzę!

- Uwierz, stary przeciwniku. Przy odrobinie pomysłowości można zdziałać bardzo wiele.

- To niemożliwe!

- Mam to tutaj, w ręce. A na pierwszej stronie wyraźnie jest napisane, że istnieje tylko jeden egzemplarz, który w razie konieczności ma być przesłany jednostronnie władzom pod nadzorem wojskowym z zachowaniem wyjątkowych środków bezpieczeństwa. W moim przekonaniu bardzo rozsądnie, ponieważ prawidłowo oceniłeś sytuację podczas naszej rozmowy telefonicznej. Ujawnienie zawartości tej teczki mogłoby doprowadzić do wybuchu na Dalekim Wschodzie - wojna stałaby się nieunikniona. Odłamy prawicowe z Pekinu wkroczą do Hongkongu - oczywiście tutejszą prawicę wy nazwalibyście lewicą w waszej części świata. Trochę to głupie, nieprawdaż?

- Poleciałem sporządzić kopię i przesłać ją do Waszyngtonu - przerwał spieszenie podsekretarz, mówiąc spokojnie i zdecydowanie.

- Nie wierzę w to - odparł Sheng. - Wszelkiego rodzaju przesyłki dyplomatyczne przekazywane drogą telegraficzno-komputerową lub pocztą kurierską muszą być zatwierdzone przez najwyższego urzędnika państwowego. Znany wszystkim ambasador Havilland nigdy by na to nie pozwolił, a konsulat nie tknąłby nawet przesyłki, nie uzyskawszy jego zgody.

- Wysłałem kopię do konsulatu chińskiego! - rzekł McAllister podniesionym głosem. - Jesteś skończony, Sheng!

- Czyżby? Jak sądzisz, kto odbiera całą korespondencję ze wszystkich zagranicznych źródeł w naszym konsulacie w Hongkongu? Nie łam sobie głowy nad odpowiedzią, zrobię to za ciebie. Jeden z naszych ludzi. - Sheng przerwał, a jego oczy mesjasza nagle zapłonęły. - Jesteśmy wszędzie, Edwardzie! Nikt nam nie przeszkodzi! Odzyskamy nasz naród, nasze imperium!

- Jesteś szalony. To się nie uda. Rozpętacie wojnę!

- Będzie to sprawiedliwa wojna! Rządy na całym świecie będą musiały dokonać wyboru. Władza jednostki lub władza administracji. Wolność lub tyrania.

- Zbyt niewielu z was dało ludziom wolność, a zbyt wielu okazało się tyranami.

- Zwycięzimy - w ten czy inny sposób.

- O, Boże, to tego właśnie pragniesz! Chcesz pchnąć świat na skraj przepaści, dając mu do wyboru unicestwienie lub przeżycie! Uważasz, że w ten sposób zdobędziesz to, na czym ci zależy, że wola przeżycia zwycięży. Ta komisja gospodarcza i cała twoja strategia wobec Hongkongu to zaledwie początek! Chcesz zarazić tym swoim jadem cały Daleki Wschód! Jesteś zagorzalcem, jesteś zaślepiiony! Czy nie zdajesz sobie sprawy z tragicznych konsekwencji...

- Nasz naród został nam skradziony i musimy go odzyskać! Nikt nas nie powstrzyma! Idziemy naprzód!

- Można was powstrzymać - rzekł McAllister spokojnie, sięgając prawą ręką pod kurtkę. - Ja was powstrzymam.

Sheng błyskawicznie rzucił aktówkę i wydobył broń. Wypalił, a przerażony McAllister cofnął się odruchowo chwytając się za ramię.

- Na ziemię! - ryknął Bourne, przebiegając przed helikopterem w świetle jego reflektorów i oddając serię z pistoletu maszynowego. - Tocz się, tocz! Jeśli możesz się poruszać, odtocz się jak najdalej!

- Ty! - wrzasnął Sheng oddając dwa szybkie strzały ku ziemi, w kierunku leżącego podsekretarza stanu, po czym uniósł broń i pociągając raz za razem za spust mierzył do biegnącego zygzakami meduzyjczyka, który coraz bardziej się do niego zbliżał.

- Za Echo! - krzyknął Bourne wysilając płuca. - Za ludzi, których zarąbałeś! Za nauczyciela zawieszono na linie, którego zarząnąłeś! Za kobietę, której nie mogłeś powstrzymać... o, Chryste! Za tamtych dwóch braci, ale przede wszystkim za Echo, ty draniu! - Z pistoletu maszynowego wydobył się krótki szczęk - nic więcej, i żadna siła naciskająca spust nie mogła go uruchomić! Zaciął się! Zaciął! Sheng to widział; nastawił dokładnie broń przymierzając się do strzału, podczas gdy Jason rzucił pistolet na ziemię i zaczął posuwać się w jego stronę. Gdy Sheng wystrzelił, Delta instynktownie uchylił się w prawo wykonując obrót w powietrzu i wyciągając jednocześnie zza pasa swój nóż; odzyskawszy równowagę, błyskawicznie zmienił kierunek i gwałtownie rzucił się do przodu ku Shengowi. Nóż trafił w cel i człowiek z „Meduzy” rozpruł klatkę piersiową fanatyka. Morderca setek i niedoszły morderca milionów ludzi nie żył.

Jego słuch przestał na moment reagować, tak jakby nie działo się to na jawie. Żołnierze Shenga wybiegli tymczasem z lasu, w ciemności rozległy się wystrzały z broni maszynowej. Odgłosy strzałów dochodziły też zza helikoptera - Wong otworzył „dyplomatyczną” teczkę i znalazł w niej to, czego potrzebował. Dwaj żołnierze zwalili się martwi na trawę, czterej pozostali przypadli do ziemi; jeden z nich czołgał się w stronę lasu i coś krzyczał. Radiostacja! Próbował się połączyć z innymi ludźmi z obstawy Shenga! Jak daleko się znajdowali? Jak blisko?

Priorytety! Bourne przemknął za helikopterem i podbiegł do Wonga, który przykucnął przy drzewie na skraju lasu.

- Jeszcze jednego z nich tutaj mamy - szepnął. - Daj mi to!

- Trzeba oszczędzać amunicję - rzekł Wong - nie ma jej za dużo.

- Wiem. Zostań tutaj i postaraj się ich zatrzymać, ale strzelaj nisko, tuż przy ziemi.

- Dokąd pan idzie, sir?

- Przedostanę się przez las i zajdę ich od tyłu.

- Zrobi pan dokładnie to, co Francuz kazały mi zrobić.

- Miał rację. On zawsze miał rację. - Jason wbiegł do lasu mając za pasem swój zakrwawiony nóż; dyszał ciężko, mięśnie nóg miał naprężone, a jego oczy wpatrywały się w ciemność. Przedzierał się przez gęste poszycie tak szybko, jak potrafił, robiąc przy tym jak najmniej hałasu.

Dwa trzaski! Ktoś musiał nastąpić na grube gałęzie leżące na ziemi - były połamane! Dostrzegł zarys sylwetki zbliżającej się ku niemu i szybko schował się za pień drzewa. Wiedział, kto to jest - oficer z radiostacją, ten rozważny, o łagodnie brzmiącym głosie morderca z rezerwatu koło Pekinu,

zaprawiony do walki żołnierz, który stosował taktykę: otoczyć wroga i zabić. Brakowało mu jednak wyszkolenia partyzanckiego i za to miał dziś zapłacić życiem. Nie następuje się w lesie na grube gałęzie.

Kiedy oficer, nachylony, podszedł dostatecznie blisko, Jason wyskoczył zza drzewa, lewym ramieniem otoczył szyję mężczyzny, uderzył go pistoletem w głowę - a potem nóż jeszcze raz spełnił swoje zadanie. Bourne ukląkł przy ciele mężczyzny, schował broń za pas i zabrał potężny karabin maszynowy należący do oficera. Znalazł dwa dodatkowe magazynki z amunicją; szansę były teraz bardziej wyrównane. Może nawet wyjdą z tego cało. Czy McAllister jeszcze żył? Czy też słoneczna chwila sfrustrowanego biurokraty zakończyła się wieczną ciemnością. Priorytety!

Jason okrążył pole i dotarł do miejsca, z którego rozpoczął swój bieg przez las. Sporadyczne strzały oddawane przez Wonga uniemożliwiały trzem pozostałym ludziom z doborowego oddziału Shenga wykonanie jakiegokolwiek ruchu; wciąż tkwili w tym samym miejscu. Nagle coś sprawiło, że Bourne musiał się odwrócić - niewyraźny warkot w oddali lub jasna plamka, którą dostrzegły jego oczy. A właściwie obie te rzeczy naraz. Warkot był odgłosem jadącego szybko pojazdu, plamka światła - reflektorem oświetlającym czarne niebo. Patrząc z góry ponad drzewami rosnącymi na zboczu pagórka mógł dojrzeć ów pojazd - samochód ciężarowy - z reflektorem obsługiwanym wprawna ręką. Ciężarówka skręciła z drogi i zasłonięta była teraz wysoką trawą, tylko reflektor pozostawał widoczny; jechała coraz szybciej zbliżając się do podnóża pagórka niespełna dwieście metrów niżej. Priorytety. Ruszaj.

- Wstrzymać ogień! - wrzasnął Bourne i pochyłony przebiegł w inne miejsce. Trzej oficerowie obrócili się leżąc na ziemi, ich karabiny maszynowe zadudniły i grad pocisków przeszył przestrzeń w miejscu, z którego usłyszeli głos.

Człowiek z „Meduzy” wysunął się do przodu trzymając w rękach śmiertelnościaną broń. Trwało to sekundy: potężny wybuch rozerwał ziemię i tych morderców, którzy w przeciwnym razie zabiliby jego.

- Wong! - zawołał wybiegając na pole. - Chodź ze mną! - W kilka sekund dotarł do nieruchomych ciał McAllistera i Shenga - jeden z nich jeszcze żył, drugi był martwy. Jason nachylił się nad analitykiem, który poruszał rękami, wyciągając rozpaczliwie prawe ramię, jakby próbował do czegoś dosięgnąć.

- Mac, słyszysz mnie?

- Akta! - wyszeptał podsekretarz stanu. - Weź akta!

- Co...? - Bourne spojrzał na ciało Sheng Chouyanga i w słabym świetle księżyca zobaczył coś, co było ostatnią rzeczą, jaką spodziewał się tam ujrzeć: otoczone czarną obwódką dossier Shenga, jeden z najbardziej tajnych dokumentów na Ziemi. - Jezu Chryste! - powiedział cicho Jason, sięgając po akta. - Słuchaj, analityku! - zaczął mówić głośniej, gdy dołączył do nich Wong. - Musimy cię przenieść. Może ci to sprawić ból, ale nie mamy wyboru! - Spojrzał na Wonga i ciągnął dalej. - Zbliży się tu jeszcze jedna uzbrojona grupa, posuwają się szybko do przodu. Są to dodatkowe posiłki i według mojej oceny będą tu najpóźniej za dwie minuty. Zaciśnij zęby, panie podsekretarzu. Ruszamy!

Jason i Wong podnieśli wspólnymi siłami McAllistera i ruszyli w stronę śmigłowca. Nagle Bourne stanął.

- Chryste, poczekaj chwilę!... Albo nie, dalej nieś go sam! - krzyknął do łącznika. - Ja muszę

wrócić!

- Po co? - wyszeptał podsekretarz bliski agonii.

- Co pan robi, sir? - spytał Wong.

- Pożywka dla rewizjonistów - odpowiedział Jason enigmatycznie i pobiegł z powrotem ku zwłokom Sheng Chouyanga. Gdy dotarł na miejsce, nachylił się i wsunął płaski przedmiot pod kurtkę zabitego. Wyprostował się i biegiem wrócił do helikoptera w momencie, gdy Wong ostrożnie i bardzo delikatnie układał McAllistera na dwóch tylnych siedzeniach. Bourne przeszedł na przód, wyciągnął nóż, przeciął nylonową linkę, którą pilot był skrzepowany, a następnie pasek materiału, którym miał zakneblowane usta. Pilot dostał ataku kaszlu i nie mógł złapać tchu, ale Jason nie czekając, aż mu przejdzie, wydał rozkazy.

- Kaifeiji ba! - krzyknął.

- Może pan mówić po angielsku - wysapał pilot. - Dobrze znam ten język. Wymagano tego od nas.

- Startuj, skurwysynu! Już!

Pilot uruchomił silnik i w tym samym momencie ujrzeli w światłach helikoptera, jak całe pole wypełniło się postaciami w mundurach. Żołnierze natychmiast dostrzegli ciała pięciu zabitych ludzi z doborowego oddziału Shenga i otworzyli ogień do wznoszącego się powoli do góry śmigłowca.

- Szybciej, do jasnej cholery! - wrzasnął Jason.

- To pudełko to prawdziwa forteca godna Shenga - objaśnił pilot. - Nawet szyby są kuloodporne. Dokąd lecimy?

- Do Hongkongu! - krzyknął Bourne, stwierdzając ze zdziwieniem, że pilot prowadzący teraz maszynę szybko do góry odwrócił się do niego z uśmiechem.

- Chyba wspaniałomyślni Amerykanie lub życzliwi Brytyjczycy udzielą mi azylu, co, sir? To marzenie mojego życia!

- Do diabła z tym - rzekł człowiek z „Meduzy”, gdy weszli w pierwszą warstwę nisko zawieszonych chmur.

- To był doskonały pomysł, sir - odezwał się Wong siedzący w mroku w głębi śmigłowca. - Jak pan na to wpadł?

- Już raz się sprawdził - odpowiedział Jason, przypalając papierosa. - Historia, nawet ta niezbyt odległa, lubi się powtarzać.

- Webb? - zaczął szeptać McAllister.

- Co takiego, analityku? Jak się czujesz?

- Mniejsza z tym. Czemu wróciłeś tam - do Shenga?

- Żeby dać mu pożegnalny prezent. Książeczkę czekową. Jej właściciel ma tajne konto w banku na Kajmanach.

- Co?

- Nikomu już się nie przyda. Nazwisko i numery konta zostały wycięte. Ciekawe, jak zareaguje Pekin, kiedy dowie się o jej istnieniu, nie sądzisz?

EPILOG

Edward Newington McAllister, o kulach, wszedł utykając do niegdyś imponującego gabinetu w starym domu na Victoria Peak, którego duże, wykuszowe okna zabezpieczone były teraz grubą folią plastikową i gdzie wszędzie jeszcze widniały ślady niedawnej masakry. Ambasador Raymond Havilland patrzył, jak podsekretarz stanu rzuca na jego biurko teczkę z aktami Shenga.

- Sądzę, że to twoja zguba - rzekł analityk odstawiając kule i z trudem sadowiąc się na krześle.

- Lekarze powiedzieli mi, że twoje rany nie są groźne - odezwał się dyplomata. - Ciesz się mną to.

- Cieszysz się? A kim ty, do cholery, jesteś, że możesz się tak po królewsku cieszyć?

- Tak się po prostu mówi. Może masz i rację, że brzmi to trochę wyniośle, ale powiedziałem to szczerze. To, czego dokonałeś, było nadzwyczajne, przeszło wszystkie moje wyobrażenia.

- Tego jestem pewien. - Podsekretarz zmienił pozycję, układając zranioną rękę wygodniej na poręczu krzesła. - W gruncie rzeczy to nie moja zasługa. On to zrobił.

- Ale ty mu to umożliwiłeś, Edwardzie.

- Jak się okazało, nie byłem w swoim żywiole, to nie moja branża. Ci ludzie potrafią robić rzeczy, o których my możemy tylko marzyć lub oglądać na ekranie z niedowierzaniem, ponieważ wydaje się to tak nieprawdopodobne.

- Nie mielibyśmy podobnych marzeń ani nie bylibyśmy zdumieni taką pomysłowością, gdyby to wszystko nie opierało się na ludzkim doświadczeniu/A przecież oni wykonują to, co najlepiej potrafią, my zaś to, co jest w naszej kompetencji. Każdy w swojej własnej dziedzinie, panie podsekretarzu.

McAllister obrzucił Havillanda surowym spojrzeniem.

- Jak to się stało? W jaki sposób zdobyli dossier?

- Jeszcze jedna dziedzina. Fachowiec. Zabił w dość okrutny sposób trzech młodych ludzi. Dostał się do niedostępnego sejfu.

- Niewybaczalne!

- Zgadza się - odparł Haviiland, pochylając się do przodu i gwałtownie podnosząc głos. - Tak jak i twoje wyczyny są niewybaczalne! Kim, na Boga, wydaje ci się, że jesteś, abyś mógł robić to, co zrobiłeś? Jakim prawem przejąłeś sprawy w swoje ręce - niedoświadczony ręce? Pogwałciłeś wszystkie przysięgi, jakie kiedykolwiek składałeś rozpoczynając działalność w służbie swojego rządu! Dymisja to za mało. Za te zbrodnie należałoby ci się raczej trzydzieści lat więzienia! Czy zdajesz sobie sprawę, co mogło się wydarzyć? Wojna, która mogłaby wtrącić Daleki Wschód i cały świat do piekła!

- Zrobiłem to, co zrobiłem, ponieważ miałem taką możliwość. To lekcja, jakiej udzielił mi Jason Bourne, nasz Jason Bourne. Niezależnie od tego, proszę przyjąć moją rezygnację, panie ambasadorze. Natychmiastową - chyba że wysuniesz przeciwko mnie oskarżenie.

- Myślisz, że pozwolilibym ci tak po prostu odejść? - Haviiland poprawił się na krześle. - Nie bądź śmieszny. Rozmawiałem z prezydentem i on wyraża zgodę. Zostaniesz przewodniczącym Rady

Bezpieczeństwa Narodowego.

- Przewodniczącym...? Ależ ja nie byłbym w stanie tym pokierować!

- Ze swoją własną limuzyną i tymi wszystkimi innymi bzdurami.

- Nie będę wiedział, co mówić!

- Potrafisz myśleć, a ja zawsze będę w pobliżu.

- O, mój Boże!

- Rozważ to na spokojnie. A później przekaż swoją decyzję tym, którzy potrafią mówić. To jest ta rzeczywista władza, chyba wiesz o tym. Nie rządzą ci, którzy mówią, lecz ci, którzy myślą.

- Jest to tak niespodziewane, tak...

- Tak zasłużone, panie podsekretarzu - przerwał mu dyplomata. - Umysł to cudowna rzecz. Nie można go nie doceniać. A propos, lekarz twierdzi, że Lin Wenzu się wyliże. Stracił władzę w lewej ręce, ale będzie żył. Jestem pewien, że poprzecz jego awans w MI 6 w Londynie. Oni wezmą twoją opinię pod uwagę.

- A państwo Wehb? Gdzie oni są?

- Są już na Hawajach. Oczywiście z doktorem Panovem i panem Conklinem. Obawiam się, że nie wspominają mnie najlepiej.

- Dałeś im do tego powody.

- Możliwe, ale to już mnie nie obchodzi.

- Myślę, że cię rozumiem. Dopiero teraz.

- Mam nadzieję, że twój Bóg ma trochę litości dla ludzi takich jak my, Edwardzie. W przeciwnym razie nie chciałbym się z Nim spotkać.

- Istnieje jeszcze odpuszczenie win.

- Naprawdę? Wobec tego nie chciałbym Go poznać. Okazałby się oszustem.

- Dlaczego?

- Ponieważ zaludnił świat rasą bezmyślnych, krwiożerczych wilków, które myślą tylko o swoim własnym przetrwaniu, nie troszcząc się ani trochę o los całego plemienia. Chyba nie jest to doskonały Bóg, nieprawdaż?

- On jest doskonały. To my jesteśmy niedoskonali.

- W takim razie jest to dla Niego tylko gra. Ustawia jak pionki stworzone przez siebie istoty i dla rozrywki ogląda, jak się wzajemnie niszczą. Patrzy obojętnie, jak się wyniszczamy.

- Ale to są nasze narzędzia zagłady, panie ambasadorze. Mamy przecież wolną wolę.

- Jednak zgodnie z Pismem Świętym taka jest Jego wola, czyż nie? Niech się dzieje wola Jego.

- To nieuchwytnie sfery.

- Doskonale! Może pewnego dnia rzeczywiście zostaniesz sekretarzem stanu.

- Nie sądzę.

- Ani ja - przyznał Havilland. - A tymczasem musimy wypełniać nasze zadania: utrzymywać pionki na swoich miejscach, aby uchronić świat od samozagłady. Z pomocą duchów, jak powiadają tu na Wschodzie, i dzięki ludziom takim jak ty i ja, Jason Bourne i Dawid Webb. Wciąż tylko odsuwamy w czasie godzinę Armageddonu. Co się stanie, kiedy nas już tu nie będzie?

Jej długie kasztanowate włosy zakryły mu twarz, jej ciało przywarło do niego, a usta znalazły się blisko ust. Dawid otworzył oczy i uśmiechnął się. Było tak, jak gdyby nie wydarzył się żaden koszmar, który w tak okrutny sposób zakłócił ich życie, jakby nie zadano im gwałtu, który przywiódł ich na skraj otchłani ziejącej przerażeniem i śmiercią. Znowu byli razem i olbrzymia radość, jaką dawała ta rzeczywistość, wypełniała go głęboką wdzięcznością. Było to więcej, aniżeli mógł się kiedykolwiek spodziewać - i to mu wystarczało.

Zaczął przypominać sobie wydarzenia minionych dwudziestu czterech godzin, co wywołało na jego twarzy uśmiech, a następnie krótki, tłumiony wybuch głośnego śmiechu. Życie nigdy nie układa się tak, jak powinno, zgodnie z oczekiwaniami. Razem z Mo Panovem wypili o wiele za dużo podczas lotu z Hongkongu na Hawaje, natomiast Aleks Conklin poprzestał na mrożonej herbacie i wodzie sodowej - na czymś, czym dopiero co wyleczeni z nałogu alkoholicy starają się zaimponować innym - ale znosił to bez utyskiwań, przeżywając swoje męczarnie w milczeniu. Marie przytrzymała wybitną głowę doktora Panova, podczas gdy sławnego psychiatrę męczyły torsje w małej i zbyt dusznej toalecie brytyjskiego samolotu wojskowego, a potem, gdy Mo zapadł w głęboki sen, okryła go kocem. Wtedy to delikatnie, ale i stanowczo odrzuciła zabiegi miłosne Dawida, wynagrodziła mu to jednak później, gdy wraz z trzeźwym już małżonkiem znaleźli się w hotelu w Kabała. Wspaniała, szalona noc spędzona na miłości, o jakiej marzy się w wieku młodszym, pozwalająca odsunąć w niepamięć paniczny strach przeżytego koszmaru.

Aleks? Tak, pamiętał. Conklin zabrał się pierwszym samolotem charterowym, jaki leciał z Oahu do Los Angeles i Waszyngtonu. - Są tam tacy, którym trzeba dać porządnie po głowie - ujął to w ten sposób. - I ja zamierzam to zrobić. - Aleksander Conklin zyskał nowy cel w swoim niepełnym życiu. Nazywa się to rozliczaniem ludzi, pociąganiem ich do odpowiedzialności.

Mo? Morris Panov? Pogromca niedouczonego psychologów i szarlatanów w jego zawodzie? Znajdował się teraz obok w sąsiednim pokoju i zapewne leczył największego kaca, jaki przydarzył mu się w życiu.

- Śmiałeś się - szepnęła Marie leżąc z zamkniętymi oczami, z twarzą wtuloną w jego ramię. - Co, u diabła, jest takie zabawne?

- Ty, ja, my - wszystko.

- Zdecydowanie nie dorównuję ci poczuciem humoru. Z drugiej jednak strony wydaje mi się, że słyszę w tobie Dawida.

- Teraz już zawsze będziesz go we mnie słyszeć. Rozległo się pukanie do drzwi, nie do drzwi wejściowych, a do tych, które prowadziły do sąsiedniego pokoju. Panov. Webb wstał z łóżka, poszedł szybko do łazienki i wziął ręcznik, którym owinął swoje nagie ciało. - Za chwilę, Mo! - krzyknął idąc do drzwi.

Morris Panov, którego twarz była blada, ale opanowana, stał z walizką w r»"ku.

- Czy mogę przekroczyć próg świątyni Erosa?

- Oczywiście, przyjacielu.

- Mogłem się tego spodziewać... Dzień dobry, moja droga - zwróci -;ę psychiatra do leżącej w łóżku Marie, podchodząc do krzesła tuż przy szklanych drzwiach balkonowych, z których rozciągał się widok na hawajską plażę. - Nie rób zamieszania, nie szukaj nic do jedzenia, a jeżeli wstaniesz z łóżka, nie przejmuj się. Jestem przecież lekarzem. Tak sądzę.

- Jak się czujesz, Mo? - Marie usiadła okrywając się prześcieradłem.

- Dużo lepiej niż trzy godziny temu, ale ty tego nie zrozumiesz. Byłaś nieprzyzwoicie trzeźwa.

- Byłeś napięty, musiałeś się jakoś odprężyć.

- Jeżeli będziesz sobie liczyć sto dolarów za godzinę, uroczą damo, zastawię swój dom i zgłoszę się do ciebie na pięcioletnią kurację.

- To byłoby niezłe wyjście - rzekł z uśmiechem Dawid, siadając naprzeciw Panova. - A po co ta walizka?

- Wyjeżdżam. Mam w Waszyngtonie pacjentów i myślę sobie, że oni mogą mnie potrzebować.

Zapanowało pełne wzruszenia milczenie. Dawid i Marie wpatrywali się w Panova.

- Cóż mamy rzec, Mo? - zapytał Webb. - Jak to wyrazić?

- Nie mówcie nic. Ja to zrobię. Marie została skrzywdzona, odczuwała ból przekraczający granice normalnej ludzkiej wytrzymałości. Ale przecież jej wytrzymałość nie jest przeciętna i dlatego mogła temu wszystkiemu podołać. Być może niesłusznie oczekujemy tak wiele po niektórych ludziach. Jest to nieuczciwe, ale tak właśnie się dzieje.

- Ja musiałam przeżyć, Mo - rzekła Marie, spoglądając na męża. - Musiałam go odzyskać. Dlatego tak się stało.

- A ty, Dawidzie? Ty doznałeś urazu, takiego, z którym uporać się możesz tylko sam, i nie są ci potrzebne te wszystkie moje bzdury, które miały ci pomóc. Jesteś teraz sobą, nikim innym. Jason Bourne odszedł i już nie powróci. Żyj jako Dawid Webb, myśl wyłącznie o Marie i Dawidzie - bo tylko to istnieje i tak właśnie powinno być. A jeżeli przyjdzie taki moment, że wrócą twoje obawy i lęki - prawdopodobnie tak nie będzie, ale nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś od czasu do czasu sam je stworzył - daj mi tylko znać, a wsiądę do pierwszego samolotu lecącego do Maine. Kocham was oboje, a gulasz wołowy przyrządzony przez Marie jest znakomity.

Zachód słońca; lśniący pomarańczowy krąg zbliżający się do zachodniej części horyzontu i powoli niknący w Pacyfiku. Szli plażą trzymając się mocno za ręce i tuląc się do siebie, co było tak naturalne i tak przez nich upragnione.

- Co robisz, gdy znajdujesz w sobie coś, czego nienawidzisz? - zapytał Webb.

- Godzę się z tym - odrzekła Marie. - Każdy z nas ma jakąś ciemną stronę, Dawidzie. Chcielibyśmy się tego pozbyć, ale nie potrafimy. Ona istnieje. Może nie jesteśmy w stanie bez niej żyć? Twoją ciemną stroną jest legenda zwana Jason Bourne, i to wszystko.

- Czuję do niego wstręt.

- A jednak to on przywiódł cię z powrotem do mnie. I tylko to jest ważne.

Table of Contents

[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Rozdział 18](#)
[Rozdział 19](#)
[Rozdział 20](#)
[Rozdział 21](#)
[Rozdział 22](#)
[Rozdział 23](#)
[Rozdział 24](#)
[Rozdział 25](#)
[Rozdział 26](#)
[Rozdział 27](#)
[Rozdział 28](#)
[Rozdział 29](#)
[Rozdział 30](#)
[Rozdział 31](#)
[Rozdział 32](#)
[Rozdział 33](#)
[Rozdział 34](#)
[Rozdział 35](#)
[Rozdział 36](#)
[Rozdział 37](#)
[Epilog](#)